

HARRY MULISCH

ODKRYCIE NIEBA

Przełożył: Ryszard Turczyn

Część pierwsza Początek początku

Prolog

1 Rodzinna uroczystość

2 Ich spotkanie

3 Odprowadzenie do domu

4 Przyjaźń

5 Zabawa na dworze

6 Jeszcze jedno spotkanie

7 Obserwatorium

8 Idylla

9 Demony

10 Cyganie

11 Proces

12 Trójkąt

13 Porządki

14 Zadośćuczynienie

15 Zaproszenie

16 Kongres

17 Gorące dni

18 Punkt zbiegu

19 W morzu

Zadanie

Część druga Koniec początku

Pierwsze intermezzo

20 Hurleburle

21 Nowina

22 Co teraz?

23 Wóz albo przewóz

24 Wesele

25 Zwierciadło

26 Huragan Fancy

27 Pocieszenie

28 Wyprowadzenie zwłok

29 Nieodwracalność

30 Szafot

31 Prośba

32 Fuszerka

33 Sectio caesarea

Z otchłani

Część trzecia Początek końca

Drugie intermezzo

34 Dar

35 Osiedliny

36 Pomnik

37 Wyprawy

38 Grób

39 Następne wyprawy

40 Świat słów

41 Nieobecności

42 Zamczysko

43 Znaleźiska

44 Nie

45 Zmiany

46 Gospodarka wolnorynkowa

47 Muzyka

48 Prędkości

49 Westerbork

50 Decyzja

Z otchłani

Część czwarta Koniec końca

Trzecie intermezzo

51 Złoty Mur

52 Podróż włoska

53 Cień

54 Kamienie Rzymu

55 To miejsce

56 Uczoność w Piśmie

57 Odkrycia

58 Przygotowania

59 Antyszambrowanie

60 Komando

61 Ucieczka

62 Tam

63 Środek środka

64 Chawa Lawan?

65 Prawobiorca

Epilog

CZĘŚĆ PIERWSZA

POCZĄTEK POCZĄTKU

Prolog

- Można na momencik?
- O co chodzi?
- Zadanie wykonane. Sprawa zamknięta.
- Jaka sprawa?
- Hm, no, bardzo przepraszam, ta najważniejsza. Zasadnicza sprawa.
- Zasadnicza sprawa? O czym ty mówisz?
- O Świadectwie.
- Ach tak, rzeczywiście! Wielkie nieba, to okropne! Bez przerwy się zajmujemy istotnymi rzeczami, wszystkie siły się temu poświęca, a potem przychodzi taka chwila, że się o nich po prostu zapomina albo załatwia w okamgnieniu.
- Może należałoby trochę więcej zlecać innym?
- Może raczej należałoby nie zapominać, kim się jest, nawet jak się usłyszy coś poufnego. Więcej zlecać innym! Chyba jeszcze nie zdajesz sobie sprawy, co nam wisi nad głową! A jak ci się zdaje, dlaczego w ogóle wdrożono ten projekt? Powiedz no, jak długo zajmujesz się tą sprawą?
- Prawie siedemdziesiąt lat ludzkiego czasu.
- No to opowiadaj.
- Od czego zacząć?

– Sam wiesz najlepiej. Najpierw co nieco wstępu.

– Rzadko kiedy miałem do czynienia z tak skomplikowanym programem. Bogu dzięki, ogólnie rzecz biorąc, pozostawiamy sprawy własnemu biegowi, a przy wcześniejszych zadaniach miałem do dyspozycji znacznie więcej czasu. Ponieważ jednak z tych czy innych względów całą sprawę należało zamknąć jeszcze przed zakończeniem tego tysiąclecia trwania świata, miałem najwyżej cztery pokolenia, żeby trafić wreszcie na kogoś, kto mógł wykonać zadanie. Przy mniej więcej normalnym biegu rzeczy absolutnie nie dałoby się tego osiągnąć w tak krótkim terminie. Na początku zadanie można było oczywiście zlecić dowolnej Iskierce, ale to by nie miało sensu. Problem polegał na tym, że on, jeśli rzeczywiście miał być naszym wysłannikiem, musiałby pamiętać o tym zadaniu, kiedy już przyoblekłby się w ducha i ciało. A to oznacza, że sam musiałby wpaść na taki nieprawdopodobny pomysł, ponadto musiałby mieć wolę i odwagę, by go zrealizować. Powiadam „on”, ponieważ nie wydaje mi się, żeby mogła to być „ona”. Pośród nieskończonych ludzkich rezerw, jakimi dysponujemy, na pewno znajduje się Iskierka spełniająca stosowne wymagania, ale jak ją przetransportować na Ziemię? Po pierwsze, trzeba byłoby określić tę jedną jedyną sekwencję DNA, w której mogłaby się objawić. Nie muszę chyba mówić, że taka podwójna spirala DNA z informacją na temat człowieka, hermetyczny kaduceusz tkwiący w jądrze każdej z miliardów komórek i ważący nie więcej niż jedna stutysięczna grama, po rozwinięciu sięga mniej więcej wzrostu człowieka: tak więc liczba możliwych kombinacji na poziomie molekularnym ma wartość wręcz nieprzyzwoitą. Gdyby to zapisać trzyliterowymi słowami czteroliterowego alfabetu, człowiek określony byłby przez opowiadanie genetyczne, którym wypełnić można księgę odpowiadającą pięciuset Bibliom. Nawiasem mówiąc, ludzie też już zdążyli do tego dojść.

– To prawda. Odszyfrowali nasz najtajniejszy koncept, mianowicie, że życie to niekończące się czytanie. Oni sami są Księgą nad Księgami. W ich roku 1869 te pokręcone istoty odkryły DNA w jądrze komórkowym, a my wmawialiśmy sobie, że to nie ma większego znaczenia, ponieważ nigdy nie dojdą, że te kwasy zawierają kod, a już na pewno nigdy nie uda im się go złamać – tymczasem już w sto ludzkich lat później odcyfrowali tajne genetyczne pismo w najdrobniejszych szczegółach. Chyba po prostu nasz kod sprawił, że stali się za mądrzy.

- Tych sto lat później i mnie udało się zrobić, co należy. Na początek udało nam się zapisać tajne imię naszego człowieka – ale to jeszcze nic w porównaniu z tym, co nas potem czekało. W końcu musieliśmy przecież znaleźć jeszcze jego prapradziadków, pradiadków i rodziców, którzy w ciągu mniej więcej pięćdziesięciu lat mogliby wytworzyć pożądaną kombinację. W swej niezgłębionej mądrości, która z pewnością zadziwiłaby jego samego, Szefer tak wszystko kiedyś urządził, że w naszej Nieskończonej Światłości mamy Iskierki spełniające każdą z możliwych kombinacji komórek nasiennych i jajowych. Przy każdym wytrysku mężczyzna uwalnia trzysta milionów plemników: dla jednej żeńskiej komórki jajowej daje to dokładnie taką właśnie liczbę potencjalnie możliwych osób, za które odpowiada dokładnie tyle samo Iskierek. Dodatkowo jeszcze dla każdej kombinacji każdego plemnika z każdego wytrysku każdego mężczyzny z teraźniejszości, przeszłości i przyszłości z każdą komórką jajową każdej kobiety w teraźniejszości, przeszłości i przyszłości przewidziana jest jedna konkretna Iskierka. Było to niezbędne, ponieważ i w tym wypadku nikt nie mógł przewidzieć, kiedy człowiek odkryje coś, co przedłuży jego życie o setki czy tysiące lat. Tak więc istnieje też Iskierka dla konkretnego plemnika z konkretnej ejakulacji Juliusza Cezara, który mógłby się połączyć z konkretną komórką jajową Marilyn Monroe. I każdy taki plemnik z niezliczonych ejakulacji syna zrodzonego z tego mezaliansu mógłby się z kolei połączyć z dowolną komórką jajową każdej z nieskończonej wielu potencjalnych córek Johna F. Kennedy’ego i Kleopatry albo dowolnego kamieniarza z czasów Cheopsa z babcią klozetową żyjącą dziesięć tysięcy lat po nim – wszystkie te kombinacje i ich potomstwo mogłyby się znowu łączyć ze wszystkimi innymi potencjalnymi kombinacjami ich potencjalnego potomstwa w przestrzeni i czasie, i tak dalej, i tak dalej, bez końca. Tak więc obok Iskierki dla kombinacji wszystkich plemników – epoka po epoce nieprzerwanie wydostających się z hektolitrami wyrzucanej spermy – ze wszystkimi komórkami jajowymi ze wszystkich epok, są także dla wszystkich alternatywnych, hipernieskończenie powielających się i mieszających ze sobą pokoleń: oto właśnie Logos Spermatikos – Absolutnie Nieskończona Światłość!

- Wolno zapytać, czy mówisz mi to wszystko, żeby mnie czegoś nauczyć?

- Świętość, Świętość, Świętość nad Świętościami! Mówię to tylko dlatego, że wciąż jeszcze odejmuje mi mowę, gdy myślę o naszej Światłości!

- To się chwali. Pewnie chciałeś powiedzieć, że to trochę dużo.

- Otóż właśnie. Można to i tak określić.

- Ale jakoś ci się jednak udało?

- Wolę nie mówić jak. Rozszyfrowanie genomu, odkrycie pełnego tajnego imienia człowieka, to dla samych ludzi już tylko kwestia pieniędzy, ściśle, jednego dolara za każdy nukleotyd, czyli trzech miliardów dolarów, a wtedy będą nad tym pracować na całej Ziemi. Dzięki biotechnologii w niezbyt długim czasie znacznie szybciej i prościej będą wytwarzać genetyczną esencję konkretnej komórki jajowej i konkretnego jądra ogoniastej komórki, niż my selekcjonujemy ich w ramach naszej romantycznej i mocno staroświeckiej hodowli – ale taka była konieczność przed rokiem 2000.

- No właśnie. A może jedno ma z drugim coś wspólnego? Nic ci nie świta? My sami dopiero siedemdziesiąt pięć ludzkich lat temu odkryliśmy z przerażeniem, jak szybko przybywa tam na dole technicznych możliwości i do czego ludzie stają się dzięki nim zdolni – nie tylko w dziedzinie biotechnologii, ale we wszystkich innych także. Już wkrótce naszej organizacji nie pozostanie nic innego, tylko restrukturyzacja, wskutek czego niebo zostanie zatrasnięte jak książka. Opowiadaj, jak ci się udało to wszystko zorganizować.

- Mimo wszelkich trudności, jakieś siedemdziesiąt ludzkich lat temu dostrzegłem szansę tchnięcia właściwej Iskierki w ducha i ciało nie w ciągu czterech, ale już trzech pokoleń.

- No, proszę. Jesteś bardziej twórczy, niż sądziłem.

- Niestety, nie obyło się bez pewnych strat. Musiałem posłużyć się czymś strasznym.

- Mianowicie?

- Pierwszą wojną światową.

- Cóż, jest to po prostu inny aspekt tej samej sprawy. Ta bezsensowna jatka ostatecznie potwierdziła słuszność naszego zaniepokojenia rozmiarem rewolucji technologicznej, jakiej w coraz większym stopniu dokonywała ludzkość.

- Chciałbym dodać tylko jeszcze jedno. Otóż: cofając się na moje polecenie od niezbędnej sekwencji aminokwasów do potencjalnego dziadka ze strony ojca, moich 301655 722 pracowników doszło do pewnego Austriaka, niejakiego Wolfganga Deliusa, urodzonego bez specjalnego przeznaczenia w roku 1892. Jako babka ze strony ojca wchodziła w grę tylko i wyłącznie niejaka Ewa Weiss, także urodzona bez specjalnego przeznaczenia, ale dopiero w roku 1908, w Brukseli.

- Nazwisko Weiss nie wygląda na specjalnie flamandzkie. Czy nie powinna się nazywać raczej De Witte?

- Jej rodzicami byli niemieckojęzyczni Żydzi, pochodzili z Frankfurtu i Wiednia. Rodzina szlifierzy diamentów.

- Pobożni?

- Kompletni agnostycy. Wyśmiewali się z nas.

- Hm.

- Również wiara nie jest dla ludzi sprawą prostą, aż trudno nam sobie to wyobrazić. My przecież nie musimy wierzyć, my wiemy.

- Tak, tak, nietrudno wyczuć, że operujesz na najdalszych peryferiach Światłości. Może warto, żebyś się wystrzegła zbytnej dominacji rozumu. Mów dalej, proszę.

- W kwietniu roku 1914 otrzymałem polecenie i już w czerwcu w Sarajewie wyskoczył z tłumu student, niejaki Gawriło Princip, i zastrzelił austriackiego arcyksięcia. Gdy się słyszy to imię i nazwisko, trudno ukryć wewnętrzną radość. Był on zwolennikiem Nietzschego, najpotworniejszego z potwornych.

- Nazwisko Nietzsche także wydaje mi się niepozbowione dodatkowego znaczenia. Niczewo. To przecież ten nihilista, który swego czasu rozpuszczał plotki, że Szef nie żyje. Między nami mówiąc, nie był tak daleki od prawdy, choć fakt, iż nasz boss nie może umrzeć, jest niewątpliwie najwstrętniejszym ograniczeniem jego wszechmocy. Istnieje z łaski paradoksu, lecz z tej samej łaski musi istnieć wiecznie i wiecznie umierać.

- W ciągu paru miesięcy jatka rozkręciła się na dobre. Widowisko to mogłem wykorzystać nie tylko do połączenia Wolfganga Deliusa z Ewą Weiss, ale także w odniesieniu do następnego pokolenia, kiedy to konieczna była pomoc Holendrów.

- Holendrów? Czy to aby nie nazbyt przekombinowane?

- To był jedyny sposób. Niemieckie i austriackie sztaby generalne wyciągnęły z szuflady stary plan Schlieffena, który przewidywał pogwałcenie holenderskiej i belgijskiej neutralności, co umożliwiło wykonanie manewru oskrzydającego i zaatakowanie Francji. Ale dla mojego projektu neutralność Holandii była sprawą równie zasadniczą, co pogwałcenie neutralności Belgii, i drogą delikatnych ingerencji w mózg von Moltkego udało mi się osiągnąć tyle, że plan został wykonany wyłącznie w odniesieniu do Belgii.

- Moja pamięć ludzkich spraw zaczyna już trochę szwankować! Jaki Moltke?

- Feldmarszałek von Moltke, niemiecki głównodowodzący. Wolfgang Delius – lub też, jak zwykł o sobie mówić zgodnie ze zwyczajem panującym w jego okolicach: Delius Wolfgang – którego jedynym tytułem był ten uzyskany w wiedeńskiej Akademii Handlowej, został zawodowym wojskowym i walczył na froncie włoskim, rosyjskim i francuskim. W Brukseli zakwaterowano go w domu rodziny Weissów, gdzie jego przyszła żona bawiła się jeszcze lalką na podłodze. Na tej lalce wprawiała się do przyszłej roli. Delius był chwackim młodym oficerem artylerii konnej, miał wysokie odznaczenia i srebrne ostrogi, ale też coś nadzwyczaj posępnego w wejrzeniu, co każdy przypisywał jego wojennym doświadczeniom, i było w tym sporo racji, chociaż nie do końca. Była w nim jeszcze głębsza, pierwotna posępność. W tornistrze nosił, jak się to mówi, dzieło Stirnera *Jedyny i jego własność*. Weiss, od dawna już szczęśliwy, że znowu jest pośród ludzi mówiących jego językiem, jeździł tymczasem otwartym samochodem niemieckiego gubernatora wojskowego po bulwarze Anspach, co nie uszło uwagi brukselczyków. Wojna wypełniła, co do niej należało, toteż kiedy Niemcy i Austria skapitulowały, Weiss popadł, zgodnie z moim planem, w poważne tarapaty. W dzień po ogłoszeniu zawieszenia broni skonfiskowano cały jego majątek, i żeby uniknąć aresztowania, musiał na łeb, na szyję uciekać wraz z całą rodziną z Belgii. Oczywiście do Holandii, gdzie ich potrzebowałem, bo to była moja jedyna szansa. W tym czasie Delius konno posuwał się na czele swojego oddziału w kierunku Niemiec.

- No ale przynajmniej już się znali.

- Fundament został położony. Po powrocie do zimnego, głodującego Wiednia Delius objął posadę nauczyciela rachunkowości w prywatnej pensji dla panien, nadal jednak utrzymywał kontakt listowny z Weisssem, który w Amsterdamie bardzo szybko znowu nabrał wiatru w żagle. Z początkiem lat dwudziestych ściągnął do siebie młodszego przyjaciela i zatrudnił go na razie jako księgowego w swoim diamentowym interesie. Z pomocą Weissa Delius wkrótce sam otworzył firmę pośrednictwa w handlu z Niemcami i Austrią. W ciągu paru lat firma rozrosła się w całkiem pokaźne biuro, Delius przyjął obywatelstwo holenderskie i w roku 1926 poślubił Ewę Weiss, o szesnaście lat młodszą od siebie córkę swego dobroczyńcy. Dziewczyna miała wtedy osiemnaście lat i w rok po ślubie urodziła dziecko, ale niestety wskutek błędu pisarskiego popełnionego w moim dziele anielski chłopczyk zmarł już po dwóch tygodniach na zespół nagłej śmierci łożeczkowej. To było okropne małżeństwo, przykro mi, że muszę tak powiedzieć. Znowu uświadomiłem sobie, jak to dobrze, że nie musimy być ani kobietami, ani mężczyznami. Było jednak konieczne ze względu na drugiego syna, który przyszedł na świat w roku 1933 i który miał dla mnie kluczowe znaczenie jako ojciec naszego człowieka na Ziemi.

- Dlaczego to małżeństwo było takie okropne?

– Bez wydanej przez ciebie instrukcji nigdy nie doszłoby do skutku. Wiadomo, że na Ziemi każdy bierze ślub nie z tym, co trzeba, ale rzadko zdarza się, żeby dwoje ludzi było aż tak źle dobranych jak oni. Tak czy inaczej ta młoda kobieta i jej znacznie starszy małżonek musieli się strasznie dręczyć nawzajem – nie tyle przez to, że coś konkretnego mówili, robili czy czegoś zaniechali, ile raczej przez to, jacy byli. W końcu pobrali się tylko dlatego, że my tak chcieliśmy, choć oczywiście nie zdawali sobie z tego sprawy. W jej przypadku decyzja przyszła może wskutek intrygującej, mrocznej głębi spojrzenia jego jasnoniebieskich oczu, która ostatecznie miała obrócić się przeciwko niej; dla niego może przez tę jej niezależność, której na koniec nie mógł już znieść. Była dziesięć razy bystrzejsza i myślała dziesięć razy szybciej od niego. Jego myślenie było ciężkie i poplątane jak lina kotwiczna, która dostała się w śrubę statku – tak samo zresztą jak myślenie niemal wszystkich Austriaków po roku 1918, duszące się nienawiścią do wszystkich i do samych siebie w tym sadosachermasochtorcie rozbitej cesarsko-królewskiej monarchii, która w kilka lat później, dzięki szaleństwu jeszcze jednego Austriaka, w ogóle miała przestać istnieć. Ona chciała wyjść wieczorem, ale on wolał zagłębiać się w swojego Maksa Stirnera. Podczas gdy ona ze swoimi żydowskimi przyjaciółkami i przyjaciółmi z jej osobnych czasów bawiła się w mieście, Germanin z monoklem w oku czytał o jednostce jako „Jedynym” i o jej własności: świecie. Zdaniem Stirnera człowiek nie powinien pozwolić, żeby ktokolwiek albo cokolwiek coś mu nakazywało: jednostkowe ego było w pełni swobodne, po występek włącznie. Kiedy wracała nocą do domu, zastawała go czasem krzyczącego przez sen, bijącego się poduszką z Włochami. Może powinna coś z tym zrobić, zanim sprawy zaszły za daleko, ale nie zrobiła. Może dlatego, że była za młoda, może też dlatego, że w końcu ona stała się jeszcze bardziej „jedyna” niż on. W roku 1939 Ewa opuściła swojego Wolfganga, zabierając ze sobą sześciolatniego synka.

– No pięknie. A teraz proszę o przyszłej matce.

– Tutaj na szczęście nie byłem zmuszony do tak szeroko zakrojonych ingerencji. Prawie nie było z tym problemów, przynajmniej międzynarodowych. Dotyczyło to wyłącznie Holendrów, a w przypadku tych dzielnych kupców wszystko w ogóle odbywa się mniej gwałtownie. Nie przeczę, iż po części dlatego, że udało mi się ich utrzymać z dala od pierwszej wojny światowej, druga wojna była dla nich w zasadzie pierwszą od XVI wieku, kiedy walczyli z Hiszpanią, która w tamtym czasie też rządzona była przez pół-Austriaka. Gdyby ominęła ich także druga wojna, byłiby pewnie takimi samymi niezadowolonymi prawiczkami jak mieszkańcy szwajcarskich dolin.

– Nie jestem pewien, czy to porównanie specjalnie mi się podoba.

– Jeśli chcesz, mogę się z niego wycofać i stwierdzić coś wręcz przeciwnego.

– To też nie jest wyjście.

- Musiałem się tylko odrobinę wmieszać, żeby tę drugą wojnę powołać do życia. Wychodząc od osoby, która była nam potrzebna, w połączeniu z materiałem genetycznym Deliusa juniora, jako potencjalnego dziadka ze strony matki odkryliśmy osobę kustosza Holenderskiego Muzeum Historii Naturalnej w Lejdzie, niejakiego Oswalda Bronsa, urodzonego bez specjalnego przeznaczenia w roku 1921. Niezbędna babka ze strony matki, Sophia Haken, całkiem przypadkowo mieszkała w pobliżu, mianowicie w Delft, gdzie przyszła na świat w roku 1923, także bez specjalnego przeznaczenia. Ze względu na wiek Brons pod koniec wojny znalazł schronienie w muzeum; często tam również sypiał, w sali z surrealistycznym przyrządem Heike Kamerlingha-Onnesa, służącym do skraplania helu i wyglądającym jak monstrum z „piekła muzykantów” na prawym skrzydle *Ogrody rozkoszy* Hieronima Boscha oraz jak najwyżej umieszczona figura z *Wielkiej szyby* Marcela Duchampa.

- O czym ty mówisz?!

- Nie zwracaj na to uwagi. Przez tę genetyczną dłubaninę ciągle jeszcze jestem rozedrgany jak szpulka na krosnach. Pod koniec roku 1944, ostatniej wojennej zimy, niemieccy okupanci regularnie zatrzymywali pociągi z raketami V2 na stacji w Lejdzie, trochę na południe od Kliniki Uniwersyteckiej, w nadziei, że powstrzyma to Anglików od ataków z powietrza. Pociski odpalano na Londyn z położonej niedaleko bazy. Ale pewnego grudniowego południa, punktualnie o godzinie dwunastej, stacja została jednak zbombardowana; wkrótce potem po Delft zaczęła krążyć fałszywa plotka, jakoby zapalił się szpital. Chociaż osłabiona głodem, Sophia mimo zimna natychmiast pojechała na rowerze do Lejdy, żeby sprawdzić, czy nic się nie stało jej najlepszej przyjaciółce, pielęgniarce. Kiedy przejeżdżała obok muzeum, kilkaset metrów na południe od stacji, rozpoczął się drugi nalot i Sophia schowała się w wejściu. Ponieważ jednak Anglicy pod moim korzystnym wpływem bali się trafić w szpital, nagle spadł wokół niej grad bomb. Jedna spustoszyła skrzydło muzeum, w którym eksponowano mosiężne teleskopy z XVIII i XIX wieku. W chaosie ognia, huku, pyłu, krzyków po niderlandzku i niemiecku, straży pożarnej, karetok i policji Sophia z impetem wpadła na Oswalda Bronsa. Ogłupiały, w poszarpanym ubraniu, pokiereszowany, błąkał się po zwałach cegieł z kolosalnym teleskopem w objęciach, i Sophia ulitowała się nad nim.

- Drobną ingerencja. Korzystny wpływ. Ilu zabitych?

- Pięćdziesiąt cztery osoby.

- I to ma być to lekkie wmieszanie się, tak?

– No zaraz, chwileczkę, o co ci właściwie chodzi? Sam tego nie wymyśliłem, tej całej manipulacji, ja tylko wypełniam twoją cherubińską wolę. A poza tym udało mi się zapobiec zrównaniu z ziemią szpitala. Wydaje się, że to takie łatwe wpływać na naturalny bieg rzeczy, ale rzeczywistość jest zupełnie jak woda: wprawdzie płynna i ruchoma, ale tylko z najwyższym trudem daje się ją ścisnąć. Kiedy człowiekowi bardzo na niej zależy, staje się twarda jak skała, w którą uderzył Mojżesz, by trysnęło źródło.

– Ach, ten nasz Mojżesz... Dotykasz bardzo czułej struny.

– Bardzo przepraszam.

– Kiedy przyszła na świat jej córka?

– W roku 1946, w czasie wyżu demograficznego.

– Kiedy poznała młodego Deliusa?

– W maju roku 1967.

– Opowiedz mi więc wszystko, co się działo od tego momentu. Jeśli można prosić, bez komentarzy. Ale zrób to obszernie i ze szczegółami, tak żebym miał z czego wybierać, kiedy zechcę zrobić z tego użytek.

– Dla lepszego rozumienia należałoby jednak zacząć nieco wcześniej.

– Kiedy?

– W poniedziałek, 13 lutego 1967 roku o północy.

– A więc w zasadzie 14 lutego.

– Tak, ludzka miara czasu to jeden wielki paradoks.

– Który rok mają tam teraz na dole?

– 1985.

– Zaczynaj. Słucham.

1

Rodzinną uroczystość

Dokładnie o północy zadbałem o krótkie sPiecie. Gdyby ktoś w tym momencie szedł cichą haską uliczką, z głową wciśniętą głęboko w kołnierz z powodu przenikliwego zimna (ale nikogo takiego tam wtedy nie było), zobaczyłby, że w wolno stojącym domu gasną nagle wszystkie światła, zupełnie jakby w środku ktoś zdmuchnął wielką świecę. Dla sąsiadów willa miała ponurą w pewnym sensie aurę: tam właśnie mieszkał legendarny minister stanu, silnie reformowany Hendrikus Quist. W pełnym ludzi salonie na dole, gdzie odbywała się uroczystość, nagłe ciemności i zapadnięcie się muzyki w bezdenną czeluść przywitano gromkim śmiechem.

– Godzinka dla młodych! – wykrzyknął nie tak już młody damski głos.

- Kto tu ma zdolności techniczne?
- Zaraz to naprawię. Babciu, gdzie stopki?
- Na liczniku, w tej skrzynce przy drzwiach do piwnicy.
- Ktoś musiał coś zakombinować, niemożliwe, żeby tak po prostu zrobiło się

sPiecie.

- Pójdę na górę zajrzeć do małego.
- Au!
- Oczywiście ktoś musiał używać tego cholernego tostera. Coba?
- Tak, proszę pani?
- To ty używałaś tostera?
- Nie, proszę pani.
- Zajrzyj no, czy są świece w kredensie.
- Tak jest, proszę pani.

Tylko uliczna latarnia rzucała nieco światła do wnętrza. Na mrocznej werandzie, gdzieś z tyłu, z trzciniowego fotela podniosła się jakaś wielka postać. Z kieliszkiem w ręku popatrzyła na dziesiątki cieni.

- Nie, mam! - zawołała, mocno akcentując każde słowo: - To nie ma nic wspólnego z robieniem tostów. Zaczęło się!

- Co się zaczęło?

- TO! - wykrzyknęła postać z głową ekstatycznie odchyloną do tyłu, niby mający widzenie mistyk.

- Znowu zaczynasz! - powiedział jakiś męski głos. - Siadaj i skup się na picciu.

- TO!

- Tak, tak. To. To dobre.

- A pewnie, że dobre! Jest też ciemne i marznie na dworze. Już czas, żeby się wreszcie zaczęło, ale teraz, Bogu dzięki, nadszedł czas. Niech się stanie. Amen - żeby chrześcijańscy barbarzyńcy też coś zrozumieli.

- Onno, jesteś nie do zniesienia.

Onno tymczasem poczuł się zainspirowany sprzeciwem, jaki wywołał. Wiedział, że robi z siebie błazna, ale porywały go jego własne słowa.

- Czyżby moje uszy usłyszały złowieszczy głos mego najstarszego brata? Tego największego bigota pośród kalwinistów? Cóż może spotkać człowieka straszniejszego niż być najstarszym bratem? Niechże już moje usta wypowiedzą te słowa: mieć starszego brata! Ojcze, zasznurowuj temu czemuś usta!

- Nie wiem, czy jeszcze pamiętasz - powiedział w ciemnościach jakiś kobiecy głos - ale właśnie obchodzimy urodziny ojca. Kończy siedemdziesiąt pięć lat, pamiętasz? To ma być święto.

- Czyż to nie moja młodsza siostrzyczka? *The fair Ophelia*? Oczywiście, że wiem, jak najbardziej. Ja sam mam lat trzydzieści trzy – czy to komuś daje może do myślenia w tym towarzystwie fanatyków i zelotów? Wiem to wszystko, bo nigdy o niczym nie zapominam. Czyż to nie drugi raz w ciągu tygodnia świętujemy urodziny ojca? Ojczu, co ty na to? „Szukam cię, lecz widzę tylko jakby przez zwierciadło i niby w zagadce”. Ty jeszcze przedwczoraj u szczytu stołu, na zamku Wittenburg: po twojej prawicy królowa, po twojej lewicy księżniczka; na drugim końcu stołu, całe dziesięć minut od ciebie, nasza biedna matka, wciśnięta między księcia i premiera; a dalej cały gabinet, osiemdziesięciu sześciu emerytowanych ministrów, sto siedemdziesiąt osiem tysięcy generałów, prałatów, bankierów, polityków i przemysłowców, jak okiem sięgnąć; no i oczywiście wy wszyscy tutaj, wszyscy paszowie i wielcy wezyrowie i małżonki mogołów i satrapów. *Hic sunt monstra*. Nie było tylko mojego strasznego najstarszego brata, komisarza królowej w tej zacofanej prowincji, której nazwa ciągle mi jakoś umyka.

- Tego już naprawdę za wiele. Zaraz go strzelę w pysk!

- Uspokój się, Diederic. Ależ ty jesteś beznadziejny, Onno. Sam przecież wbity w smoking rozmawiałeś nieśmiało z panną Bob.

- Ach, mój Boże, panna Bob, cóż za miłe stworzenie. Uświadamiałem ją seksualnie. Wszystko było dla niej takie nowe.

Onno napawał się chwilą. Zwróciły się przeciwko niemu głównie osoby z jego pokolenia. Pokolenie starsze niewiele się odzywało, pokolenie młodsze, chodzące jeszcze do gimnazjum, było rozbawione i pełne podziwu. Takim trzeba być. Takim powinno się zostać.

- Nie mogę nigdzie znaleźć świec, proszę pani.

Do salonu wszedł młodzieniec z kieszonkową latarką, rozsiewającą światło słabsze niż blask świecy.

- Poszły bezpieczniki.

Młodzieniec położył latarkę na stole i wtedy twarze kilku starszych pań, pogryzających okrągłe brązowe ciasteczka z migdałami i popijających likier, zmieniły się w oblicza transylwańskich wiedźm. Powoli jednak oczy obecnych przywykły do ciemności, tak że wszystkim zaczęło się wydawać, jakby zrobiło się jaśniej. Onno wciąż stał w pozie hetmana obserwującego pole bitwy.

- Coba, idź, proszę, tu obok do pani Van Pallandt – powiedziała jego matka. – Może ona nam coś pomóc. Ale tylko pod warunkiem, że jeszcze pali się u niej światło.

- Dobrze, proszę pani.

- Ledwie minęły dwa miesiące od dnia narodzin Pana Jezusa, a już nie ma nawet jednej świecy w tym antyrewolucyjnym bastionie! – zaczął znowu Onno.

- Czy mógłbyś wreszcie skończyć z tymi bluźnierstwami? – spytał mąż jego najstarszej siostry. – Najlepiej zabieraj się stąd, człowieku. Wynoś się do Amsterdamu, gdzie twoje miejsce.

- O tak, Bogu niech będą dzięki, że mieszkam w Amsterdamie, a nie w prawdziwej Holandii.

- Który to już rum z colą, Onno?

- U nas w Amsterdamie tej cieczy nie nazywa się rumem z colą – powiedział Onno, wznosząc w górę kieliszek. – U nas w Amsterdamie mówimy na to *cuba libre*, ale kiedyś też na to wpadniecie tu, w Holandii. Dlatego wznoszę teraz toast za *el lider maximo. Patria o muerte! Venceremos!*

Onno jednym haustem wypił zawartość kieliszka.

- Niech żyje Che Guevara! – zawołał jakiś chłopiec.

- Maarten, czyś ty oszalał!

- No proszę, niby małpie figle, a wyszło szydło z worka.

- Lepiej uważaj na swoje małpy! Już niedługo ta małpa zrobi porządek z wami i waszą obrzydliwą Holandią. Jeszcze trochę, i to Coba będzie tu szefową, a wtedy ekskomisarz ekskrólowej będzie się musiał pofatygować po świece do sąsiadów, którzy nie będą się już nazywali Van Pallandt, tylko – czy ja wiem: Gortzak albo jakoś równie szlachetnie, po robotniczemu. Wy i ta wasza Holandia. Bez Quistów Holandia w ogóle by nie istniała. To by było błogosławieństwo dla całej ludzkości.

- Onno...

- Ignorować. Trzeba go po prostu ignorować, to sam przestanie.

- Czy ci się to podoba, czy nie, sam jesteś Quistem.

- Ja? Quistem? Cóż za niewybaczalna obraza! Ja jestem bastardecem – powiedział dumnie Onno – jestem kukułczym jajem, podrzutkiem, nikim więcej.

- No to idź tam, skąd przyszedłeś – rzekła jedna z ciotek siedzących przy stole z latarką, której światło coraz bardziej słabło.

- A któż miałby być tą kukułką? – spytała najstarsza siostra.

- Ani matka, ani ja nigdy tego nie zdradzimy. Nigdy, przenigdy! Prawda, mamó? Przysięgliśmy to.

- Co przysięgliśmy?

- No tak, teraz będziesz udawać Greka. Nie pamiętasz już tego pięknego jak z bajki księcia z dalekiego kraju, który przybył do Holandii na białym rumaku?

- O czym on gada?

- Moim zdaniem on nie jest już całkiem *compos mentis*.

Onno położył rękę na sercu.

- Mówię o siódmym przykazaniu, kobieto.

- Czy ten książę miał może czarną brodę? – spytał jego brat, wykładowca prawa karnego w Groningen. – Nie chodził czasem w zielonym mundurze, z pistoletem u pasa?

Onno zaniemówił, odstawił kieliszek, oparł się obiema rękami o ścianę i cały trząsł się ze śmiechu.

– Jeszcze go to bawi, bałwana jednego.

– Mamo! – wykrzyknął Onno zduszonym głosem. – Oni już wiedzą! Wydało się!

– Co się wydało?

– Że zdradziłaś ojca z Fidelem Castro.

– Zdradziłam ojca? Co ci strześliło do głowy? Ja przecież nawet nie znam tego człowieka.

– To miał być taki żart. To żart.

– Ciekawe żarty się tutaj robi. Nigdy w życiu nie zdradziłam ojca.

– Ale mnie zdradziłaś! – zawołał Onno, wyprostował się i wyciągnął palec w geście napomnienia, jak natchniony prorok. – Z ojcem! Powołując mnie do życia!

W tym momencie pojawiła się przed nim jego najmłodsza siostra, niższa od niego o dwie głowy, i złapała go za rękę. Jak ocieżały cyrkowy niedźwiedź dał się odprowadzić na bok.

– Już naprawdę wystarczy, Onno – rzekła dziewczyna łagodnie. – Są pewne granice.

– Kto ci to powiedział?

– Wszystko w porządku, dużo zniósę, ale wprawiasz mamę w zakłopotanie. Ona nie bardzo podziela twoje swoiste poczucie humoru.

– Swoiste poczucie humoru? – powtórzył. – Przecież mówię o wszystkich. Czy nikt tego nie rozumie? Nawet ty? Skoro nawet ty mnie nie rozumiesz, to kto mnie zrozumie? O, gdzież jest ten, który mnie zrozumie?

– Przyznaj, że nawykłeś do prowokowania innych, że bardzo cię to bawi.

– Oczywiście, oczywiście, ale mówię całkiem poważnie. To, czego nie mówię, też mówię poważnie.

– Tak, tak, w ten sposób można w nieskończoność.

– O nie, wcale nie w nieskończoność. Umierając, przyczołgam się do ciebie na kolanach, ale nawet ty nic z tego nie zrozumiesz. Nikt mnie nie rozumie! – wykrzyknął Onno patetycznie, niespodziewanie znowu na cały głos.

– No właśnie – powiedział mąż jego najstarszej siostry. – Dlatego wracaj lepiej do tych swoich kryptogramów, a my tutaj w Holandii zadbamy, żebyś mógł się spokojnie bawić w swoje układanki.

Onno przyłożył dłoń do ucha.

– Czyżbym usłyszał złośliwość w głosie? Może się to bierze z tego, że nikt nie chce uwierzyć, iż pewien nędzny prokurator generalny z prowincji jest szwagrem wielkiego, niezapomnianego, światowej sławy Onno Quista?

Kiedy Onno walił się pięściami w klatkę piersiową, otworzyły się drzwi i pojawiła się grupka dzieci. Na przodzie, w białej nocnej koszulce, sięgającej jej do bosych stopek, szła mała, może siedmioletnia dziewczynka, która zawołała:

– A kto to jest ten pijany pan?

Onno rzucił jej pełne obrzydzenia spojrzenie.

– Pomiot źmii! – zakrzyknął. – Czy znowu muszą z nich wyrosnąć żony ministrów, prawników i ambasadorów? O Boże, weź tę dźwiatwę i roztrzaskaj o skały, bo inaczej to się nigdy nie skończy!

– Wujku Onno! Wujku Onno!

– Nie jestem niczym wujkiem. Jak możecie? Jestem wyłącznie swoim własnym wujkiem. Nierozumiany, wyśmiewany przez wszystkich i przyparty do ściany, samotnie i majestatycznie ulatuję w szlachetne sfery czegoś Innego.

– Zaczynam mieć dosyć tego błazna – rzekł komisarz królowej. – Ojcze, nie możesz jakoś położyć temu kresu?

Zrobiło się cicho. Także Onno niespodziewanie zamilkł. Gdzieś bardzo daleko, w końcu pokoju, przy pluszowych zasłonach, siedział stary Quist. Onno nie mógł go dojrzeć, patrzył w jego kierunku, szukając go wzrokiem, jak ktoś próbujący zlokalizować słabą gwiazdę.

– Ach, nie trzeba się przejmować tym chłopakiem – powiedział Quist senior.

Kiedy Onno to usłyszał, odstawił kieliszek na parapet i ruszył w jego stronę, szukając po omacku drogi między ciężkimi meblami i wyciągniętymi nogami siedzących – trasa, w miarę której średnia wieku gości stopniowo rosła. W drugim końcu pokoju siedział jego ojciec, jak ciemna skała w fotelu z uszatym zagłówkiem: ostatni głaz narzutowy naniesiony przez morenę czołową jego czasów. Obok stał dębowy pulpit z ogromną siedemnastowieczną Biblią, wielką jak waliza, ze srebrnymi okuciami i dwoma ciężkimi zamknięciami. Ojciec siedział plecami do ulicznych latarni, tak że Onno nie mógł zobaczyć jego twarzy. Padł na kolana i przycisnął wargi do wysokich czarnych butów ojca. Skóra była ciepła od ukrytych w nich stóp. Onno podniósł się z kolan i powiedział niespodziewanie wesołym tonem:

– Do widzenia wszystkim. Idę do domu.

– A która to godzina? – spytała jego matka. – Chyba nie ma już żadnego pociągu?

– Złapię jakąś okazję.

– To bezsens, przecież możesz tu przenocować.

Szwagier Onna roześmiał się.

– Do głowy by mi nie przyszło, żeby zabrać takie podejrzane indywiduum w środzku nocy.

- U nas znalazłoby się miejsce - powiedziała najstarsza siostra Onna. - Możesz pojechać razem z nami, my już wracamy do domu, jest prawie wpół do pierwszej.

- Pojadę do Amsterdamu, mam spotkanie.

- Nie wygłupiaj się, wiadomo, że nie masz spotkania o tej porze.

- Daj mu spokój - powiedział prokurator generalny.

Czyżby wszyscy już zapomnieli o obelgach? Najwyraźniej rodzina traktowała Onna jak zjawisko przyrodnicze: po burzy uprzęta się połamane gałęzie i na tym koniec. Onno rozpostarł ramiona w geście pożegnania i pogwizdując cichutko, wyszedł do holu.

- Trudno ci będzie coś znaleźć w tych egipskich ciemnościach - powiedziała najmłodsza siostra, trzymając w rękach przygasającą latarkę.

Kiedy Onno grzebał w stosach płaszczy, w zamku zazgrzytał klucz.

- O mój Boże, wszystko pan pomiesza! - zmartwiła się Coba, w jednej chwili odnajdując właściwy płaszcz.

- Może cię jednak podrzucę samochodem do Wassenaarseweg? - zaproponowała siostra, gdy Onno rozpinął płaszcz, żeby ponownie zapiąć symetrycznie wszystkie guziki. - To przecież co najmniej pół godziny piechotą.

- Wolę się trochę przejść.

- Strasznie cię nosi.

Onno pocałował ją w czoło i wyszedł na dwór. Kiedy zamykał ogrodową furtkę, w całym domu rozbłyły światła.

Nocna Haga rozciągała się przed nim spokojna i cicha. Prawie nie było samochodów. Domy były jaśniejsze niż w Amsterdamie, ale niemal wszystkie okna były ciemne. Urzędnicy spali - śniąc o tym, że za pomocą czołgów ustawionych na każdym rogu i bombowców nurkujących, które odpaliły rakiety w kierunku uniwersytetów, udało im się siłą zdusić niepokoje trwające już kilka lat w stolicy, co przyniosło im awanse na komisarzy rządowych spacyfikowanego miasta.

W ciężkim, długim zimowym płaszczu Onno maszerował w stronę drogi wylotowej na Lejdę. Było mu zimno, ale nie miał rękawiczek, nie wsunął też dłoni w rękawy, tylko założył je do tyłu, tak że po pewnym czasie zeszytywniały mu z zimna, ale on niczego nie poczuł. Spędził tutaj młodość, więc znał każdy kamień, ale nie budziło to w nim żadnych nostalgicznych doznań. Ponadto nie rozglądał się na boki, bo cały czas rozmyślał o minionym wieczorze. Pochylony nieco do przodu, posuwając się z pewnym trudem w rozczłapanych, nigdy nieczyszczonych butach, szedł opustoszałymi ulicami, cały czas mając przed oczami okrągłą glinianą tabliczkę - to jedną jej stronę, to znów drugą.

Wydawał się teraz zupełnie innym człowiekiem. Koniuszek języka wsunął między zęby z lewej strony ust i żuł go delikatnie, jak zawsze, kiedy pogrążał się w rozmyślaniach. Jego twarz miała nieco ospały wyraz, ale nie był to wynik zmęczenia czy alkoholu, była to ospałość spowodowana myśleniem. Myślenie nigdy nie jest akcją, parciem do przodu, przed siebie, jak sądzą ludzie, którzy nie wiedzą, co to jest myślenie; nie ma w nim nic z przedzierania się wędrowca przez liany dżungli, to raczej zanurzanie się w odprężającej ciepłej kąpieli.

Tabliczka miała wymiary patery do deserów. Obydwie strony pokrywał wzór, najbardziej przypominający kwadraty do gry w klasy, jakie dzieci rysują na chodnikach: ułożona z kwadratów spirala, biegnąca zgodnie z ruchem wskazówek zegara od zewnątrz do środka i kończąca się w środku tabliczki. Trochę wyglądało to też jak labirynt, ale wcale nim nie było; w żadnym razie nie można się było w nim zgubić, była tylko jedna droga i prowadziła do samego środka. Całość składała się z kwadracików zapełnionych prymitywnymi znaczkami, takimi jak głowa w hełmie, kilka ukazanych z profilu postaci ludzkich i zwierzęcych, topór, coś jakby przenośna klatka i mnóstwo innych rysunków. Onno przyglądał się temu rebusowi, którego 242 znaki i 45 sylab w 61 polach znał lepiej niż własne ciało i który w pewnym sensie był jednak czymś w rodzaju labiryntu – ponieważ powodował, że w jego umyśle powstawały coraz to nowe związki między poszczególnymi elementami, by za chwilę zniknąć i znowu się pojawić, połączyć się ze zjawiskami i znakami z innych języków: filistyńskiego, likijskiego, z języków semickich... Wokół niego rozciągała się wielka cisza.

2

Ich spotkanie

Gdy Onno Quist opuszczał dom rodziców, w innej, znacznie mniej nobliwej dzielnicy Hagi pewien młody człowiek w tym samym wieku co on właśnie przeżywał cztery, pięć głośno wykrzyczanych fal orgazmu.

– Och ty w życiu! – wydyszał ze zdumieniem i uznaniem, kiedy już ochłonął. – Wielkie dzięki.

Leżał na podłodze i z zamkniętymi oczami głąskał kobietę, zwiotczała na nim jak balon, z którego na wpeł wypuszczono powietrze, i coś mu się nie zgadzało. Wyczuwał nogę tam, gdzie w zasadzie nie powinno być nogi, jej głowa znajdowała się w miejscu, gdzie raczej spodziewałby się stopy. Pogładził kragłość, która przypuszczalnie była nasadą piersi, ale równie dobrze mogła być nasadą pośladka, uniósł z rezygnacją brwi, westchnął głęboko i zapadł w drzemkę...

Spotkał ją kilka godzin wcześniej w Rotterdamie, gdzie studenci Wyższej Szkoły Ekonomicznej zorganizowali „karnawał rewolucyjny”; zapowiedź przeczytał na tablicy ogłoszeń w Lejdzie, gdzie pracował. Mieszkał w Amsterdamie, ale ponieważ nie miał specjalnych planów na wieczór, po pracy pojechał na ten festyn. Ogłuszająca muzyka w przystrojonych salach, wszędzie odbywały się tańce, nawet na schodach był tłum. W zaimprovizowanej kubańskiej restauracji „Moncada” zjadł kawałek jakiegoś mięsa, a we flamandzkiej knajpcie „In de Racebroek” napił się soku z pomarańczy. W jednej z sal urządzono Kiermasz Okultystyczny: przy stolikach najróżniejsze indywidualia oferowały karty do tarota, horoskopy, wahadełka, szklane kulki i wróżenie z pałeczek I Ching. W tłumie szukał dziewczyn, z którymi dałoby się coś zakręcić, ale wszyscy byli w parach, poprzebierani – dziesiątki chłopaków w beretach à la Che Guevara – w nastroju do zabawy; luźna, zupełnie nieerotyczna atmosfera bardzo szybko zaczęła mu wychodzić nosem. Człowiek nie jest na świecie dla przyjemności, uważał; istnieje obowiązek bzykania – i po godzinie postanowił wrócić do samochodu. Był zmęczony, ale do tego też się nie chciał przyznać; w Amsterdamie na pewno coś się jeszcze da przygruchać.

W drodze do wyjścia przeszedł ponownie przez salę czarodziejów i czarodziejek, gdzie było już zdecydowanie luźniej. W miarę jak zabawa się rozkręcała, ludzie tracili zainteresowanie dla spraw wyższych, więc sprzedawcy zaczęli pakować swoje pozazmysłowe instrumentarium. Tylko przy kramiku wróżki w fioletowym swetrze siedziała jeszcze dziewczyna, dłoń odwróconą przegubem do góry złożyła w dłoni wróżki, zupełnie jak święta prezentująca stygmaty.

Była to atrakcyjna osoba. Miała nie więcej niż dziewiętnaście lat, blond włosy spięte w koński ogon. Z udawanym zainteresowaniem przystanął przy niej i słuchał, co chiromantka ma do powiedzenia. Cienkim ołówkiem znaczyła kreseczki, krzyżyki i kółeczka przy wiele mówiących zawijasach linii na jej dłoni, co przypomniało mu znakowanie zdjęć astronomicznych. Ogólnie biorąc, wzór miał wymowę raczej pozytywną, i tylko pewne znaki obok linii życia mogły budzić niepokój; wskazywało to na jakąś poważną chorobę około czterdziestego roku życia; lepiej też, gdyby nie było tych kratek na Wzgórzu Słońca. Dziewczyna spoglądała na swoją dłoń i kiwała głową ze zrozumieniem.

– To skandal, co pani tutaj wyprawia – powiedział nagle, przede wszystkim dlatego, żeby zasłużyć się u dziewczyny, ale poza tym naprawdę tak myślał. – Mam nadzieję, że pani klientka uważa to wszystko za bzdury, bo tak jest w istocie, z pewnością jednak gdzieś w podświadomości będzie pamiętała o zagrożeniu chorobą, o którym pani powiedziała. I to przez dwadzieścia lat.

Obydwie kobiety spojrzały na niego: dziewczyna rozbawionym spojrzeniem, wróżka ponurym wzrokiem znad wąskich okularów do czytania. Była pewnie w jego wieku, a może trochę starsza; gęste ciemnobrązowe włosy miała zwinięte w dziwny kok, wyglądający zupełnie tak, jakby na jej głowie rozsiadła się jakaś wielka jaszczurka czy legwan. Było w jej twarzy coś, co nagle przykuło jego uwagę. Dostrzegł pod swetrem drobne piersi, między nimi miała metalowy wisior w kształcie płaskiej rączki – i w tym samym momencie już wiedział, że to z nią chce pójść do łóżka, a nie z jej klientką.

– Skandal – stwierdził, cały czas patrząc na nią.

Dziewczyna zauważyła widocznie zmianę, jaka w nim zaszła, wstała bowiem, pożegnała się uprzejmie i poszła.

– Wydaje mi się, że musimy poważnie porozmawiać – powiedział surowym tonem.

Kiedy wróżka podniosła się, żeby spakować swoje rzeczy, okazało się, że jest bardzo drobna: jaszczurczy kok nie sięgał mu nawet do ramienia. Nie odezwawszy się ani słowem, włożyła płaszcz i wyszła. Zastanawiając się, jak przerwać to milczenie, ruszył za nią na parking. Gdy wkładała kluczyk w zamek drzwi małego autka, odwróciła się nagle w jego stronę i wykonała zapraszający gest. Maks zaśmiał się.

– Też mam coś takiego. Pojadę za tobą.

Chwilę później pruł do Hagi swoim ciemnozielonym sportowym kabrioletem z białym płóciennym dachem, napiętym od pędu, on zaś cały czas w połowicznej erekcji, w związku z sytuacją.

– Jasnowidzka! – zawołał na wysokości Delft i walnął dłonią w drewniane koło kierownicy. – Tego mi jeszcze brakowało!

Czuł się w swoim żywiole i zaczął śpiewać głośno pieśń Mahlera: *Wenn mein Schatz Hochzeit macht, fröhliche Hochzeit macht...* Oczywiście mu łzami. Melancholia, podniecenie, muzyka, wszystko to nagle spadło na niego, kiedy tak patrzył na tylne światła samochodu przed sobą.

– Żyję! – zawołał. – Ja żyję!

Mieszkała w pozbawionym wdzięku bloku, ordynarnie wszczepionym w ulicę z dziewiętnastowiecznymi robotniczymi domkami. Milczała także wtedy, kiedy szli galerią od podwórza. W małym, ciepłym mieszkanku zapaliła świece oraz pałeczki kadzidełek i podała mu butelkę wina, którego etykieta nie budziła w nim specjalnego zaufania. Kiedy ścisnęła butelkę między kolanami i wbił korkociąg w korek, pokój wypełniły dźwięki sitaru.

– Jakżeby inaczej – powiedział. – Ravi Shankar.

Stuknęli się kieliszkami i wypili, przyglądając się sobie nawzajem. Wino mu nie smakowało i odstawił kieliszek. Co teraz? Usiadł w za ciasnym foteliku, ona na kanapie. Podszedł do niej, kucnął i położył otwartą prawą dłoń na jej udach.

– No, a teraz pokaż, co potrafisz.

Czuł ciepło jej ud, ale ona odłożyła jego rękę na bok, jak książkę, której nie ma ochoty czytać, i wzięła lewą. Jego dłoń leżała jak jakiś znaleziony przedmiot w jej dłoni – jej drobna dłoń była cieplejsza od jego dłoni, co jeszcze bardziej go podnieciło. Nadal nie wypowiedziała ani słowa – nawet nie wiedzieli, jak mają na imię. Po szybkim spojrzeniu na jego krótki, w dziwny sposób zniekształcony kciuk też zaczęła krążyć ołówkiem nad jego dłonią, rysując koła – nagle jednak zatrzymała się i spojrzała na niego z przestraszeniem. On też się przestraszył. W jej spojrzeniu wyczytał coś, w co oczywiście by nie uwierzył, ale czego nie chciał jednak usłyszeć. Zabrał dłoń i położył na jej biodrze, drugą na karku, wsunął palce w jej gęste włosy i odrobinę przyciągnął jej głowę w swoją stronę, na co ona bez oporu pozwoliła. Mruknął coś i nagle rzucił się do przodu, na nią, a ona rozchyliła szeroko uda. W tej samej chwili zaczęli tarzać się i gryźć jak walczące ze sobą psy, zdzierali z siebie ubranie, jęczeli, krzyczeli, wreszcie porwał ich potężny wir i rzucił w otchłań, z której nic się potem nie pamięta...

Ocknął się nagle. Z pewnością nie spał dłużej niż minutę. Odwrócił głowę w bok. Nad dogasającym żarem kadzidełka cienki słupek białego popiołu przechylał się coraz bardziej, by wreszcie się odłamać.

– Muszę wyjść – powiedział do siebie.

Raz jeszcze przestudiował topografię chiromantki. Wyglądało na to, że jest także kobietą węzem; pozycja, w której leżała, była niemożliwa jak rycina Eschera, węzeł na głowie rozplótł się i czarne włosy leżały jak zastygła lawa na ramionach i plecach, choć równie dobrze mogły to być piersi. Nie budząc jej, Maks wysunął się spod niej i otworzył drzwi, za którymi spodziewał się sypialni. Uniósł ją, była leciutka jak dziecko, i ostrożnie położył na łóżku, przykrywając kołdrą. Nie obudziła się. Ponieważ czuł niepokój, zupełnie jakby się do czegoś śpieszył, nie wziął prysznic, przemył się tylko w kuchni zimną wodą, wytarł wilgotną ścierką, szybko się ubrał, a potem badawczo rozejrzał dokoła. Na regale z jasnego szwedzkiego drewna stała pocztówka z reprodukcją obrazu Jana van Eycka Małżeństwo Arnolfinich: może dlatego, że ciężarna małżonka trzymała rękę z otwartą do góry dłonią na dłoni męża. Tył pocztówki był niezapisany. Maks wyjął z wewnętrznej kieszeni żółty ołówek z gumką na końcu, a z bocznej kieszeni blezera małą temperówkę, starannie zatemperował ołówek nad popielniczką i napisał: „Nigdy tego nie zapomnę – Maks”. Zastanawiał się nawet przez moment, czy nie zostawić numeru telefonu, ale w końcu zrezygnował. Starannie postawił pocztówkę na biurku, obok wygładzonego do śliskości różowego kamienia z żyłkami, być może mającego jakieś właściwości magiczne, a być może tylko pamiątki ze śródziemnomorskiej plaży. Następnie zdmuchnął świeczki, nie ruszając kadzidełek, i delikatnie zamknął za sobą drzwi.

Wszystkie zakamarki jego ciała wypełniało zadowolenie. Przypomniał sobie wakacje w Wenecji, kiedy po burzy nagle ukazały się na horyzoncie granatowe szczyty gór. Zmęczenie zniknęło i z towarzyszeniem I Symfonii Schuberta w radiu – przypuszczalnie w wykonaniu Filharmoników Berlińskich pod dyrekcją Böhma – jechał przed siebie pustymi zimowymi ulicami. Był wolny! Niczego już nie chciał! Było to równie zachwycające jak samo bzykanie albo jak wcześniejsza pewność, że do niego dojdzie. A może nawet bardziej zachwycające? Może powodem, dla którego codziennie myślał o tym, żeby pójść z kobietą do łóżka, każdego dnia z inną, było pragnienie osiągnięcia tego jednego celu: żeby chociaż przez krótką chwilę nie chcieć? Jakżeż zatem szczęśliwy będzie z niego staruszek. Oczywiście tak z pewnością nie będzie; wtedy będzie chciał chcieć tego, czego już nie będzie mógł. Szczęście to nie jest wolność od jarzma, lecz uwalnianie się od jarzma. Jarzmo jest konieczne do szczęścia!

Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, ale jeśli będzie jechał ciągle w prawo, w którymś momencie wyjedzie z miasta. W końcu Haga wcale nie jest taka duża. Nagle dostrzegł skrzyżowanie. Na opustoszałym chodniku stał wysoki człowiek w długim płaszczu i unosił rękę.

*

Bandyta by tak nie stał na mrozie o pierwszej w nocy – pomyślał Maks. Włączył migacz, szybkim ruchem zjechał na prawo i się zatrzymał. W lusterku zobaczył, jak człowiek zbliża się dostojnym krokiem; ściszył radio, przechylił się w bok i opuścił szybę w drzwiach.

Onno, zgięty wpół, spoglądał na drobną, przejętą twarz Maksa. Skojarzył mu się z ibisem, egipskim *Ibis religiosa*, z długą, cienką szyją i wygiętym dziobem, w którym było coś groźnego, jak w toporze. Maks spoglądał na pełne, władcze oblicze Onna. Klasyczne, równe czoło przechodziło w prosty nos; pod nim równie klasyczne, małe usta o wypukłych wargach, niewiele szerszych niż skrzydełka nosa. Twarz wydała mu się dziwnie znajoma.

- Dokąd chce pan jechać?
- Jedzie pan w kierunku Amsterdamu?
- Niech pan wsiada.

Onno cofnął się o krok i zmierzył samochód wzrokiem.

– Ale z pewnym oporem!

– Błagam na wszystkie świętości – powiedział Maks rozbawiony. Kiedy z niejakim trudem Onno siedział już czy raczej leżał w środku, Maks przycisnął gaz i wóz skoczył do przodu jak koń wyścigowy.

– Ładna bryczka – powiedział Onno z miną, która zdradzała, że uważa swojego dobroczyńcę za niezbyt zdrowego na umyśle.

Maks parsknął śmiechem.

– O, to jeszcze nic. Jak już dorosnę, kupię sobie wielkiego, białego, otwartego rolls-royce'a. Będę siedział w białym garniturze na tylnym siedzeniu, a za kierownicą będę miał piękną kobietę.

Teraz i Onno krzywo się uśmiechnął, zwracając głowę w stronę Maksa. Miał już początki drugiego podbródka.

– To może lepiej od razu wózek dziecienny?

Maks też na niego spojrział. Właśnie się znaleźli – to był ten moment. Czy już o tym wiedzieli? Tych kilka słów przerzuciło między nimi most. Maks czuł, że Onno go przejrzał jak nikt wcześniej, Onno z kolei czuł, że Maks go rozumie, ponieważ jego napastliwa ironia nie napotkała żadnego oporu, jak zawsze dotąd, tylko ugrzęzła w śmiechu, w którym było coś niepokonanego. Rozpoznali się. Nieco zakłopotani sytuacją milczeli parę minut. Kiedy już minęli elegancką aleję Wassenaar i wyjechali na ciemną autostradę, Maks przyspieszył do stu sześćdziesięciu i powiedział:

– Mam wrażenie, jakbym skądś pana znał. Czy pana zdjęcie przypadkiem nie było niedawno w gazecie?

– Ależ o c z y w i ś c i e , że moje zdjęcie było ostatnio w gazecie – odrzekł Onno takim tonem, jakby go zapytano, czy umie czytać.

– W związku z czym?

– Nie pamięta pan? Już pan zapomniał?

– Przyznaję, że pamięć mam krótką.

– Moje zdjęcie było w gazecie dlatego, że otrzymałem doktorat honoris causa uniwersytetu w Uppsali – powiedział Onno wyniośle.

– Moje najszczęśliwsze gratulacje. A z jakiego tytułu?

– Ach, więc tego też pan nie pamięta. Proszę mi powiedzieć w takim razie, co pan w ogóle wie.

– W zasadzie nic.

– Otóż honorowy doktorat otrzymałem za rozszyfrowanie języka etruskiego. Największe umysły na świecie nie umiały tego dokonać, nawet profesor Massimo Pellegrini z Rzymu był za głupi, no więc ja to zrobiłem.

Maks skinął głową. Teraz sobie przypominał. Wysoki facet we fraku, z udawanym zdziwieniem przyjmujący od kobiety w birecie dyplom, jakby była to dla niego kompletna niespodzianka.

Onno podniósł wzrok.

– A pan? – spytał. – Czym się pan zajmuje? Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widział w gazecie pańskie zdjęcie.

– Ależ z pana łajdak – roześmiał się Maks. – Jestem astronomem. – Ruchem głowy pokazał na prawo. – Tam, w Lejdzie.

Onno spojrział w stronę miasta widocznego na skraju nagich pól.

- Nie skręca pan?
- Bogu dzięki, mieszkam w Amsterdamzie. Po to właśnie mam samochód. Onno wyciągnął rękę w jego stronę i rzekł:
- Onno Quist.
- Maks uścisnął mu dłoń.
- Delius Maks.

3

Odprowadzenie do domu

Onno nigdy nie odpowiadał na wścibskie pytania dotyczące jego odkrycia. „Proszę sobie przeczytać w «Journal of Near Eastern Studies» odpowiadał zazwyczaj. – Nie płacą mi za nadgodziny”. Teraz jednak, kiedy Maks zapytał go, w jaki sposób odcyfrował starożytne pismo, cierpliwie wyjaśnił, że nie może tu być mowy o odcyfrowywaniu, ponieważ pismo to od zawsze było czytelne. Składa się po większej części z liter alfabetu greckiego, tyle że nie był to grecki, treść była nie do odczytania. To zupełnie tak, jakby nie znając greki, nauczyć się alfabetu greckiego i próbować czytać *Iliadę*. Etruskowie byli ludem italskim, wyjaśniał Onno, mieszkającym w dzisiejszej Toskanii: rzymscy zdobywcy mówili o nich Tusci. Łacina naszpikowana jest zapożyczeniami z etruskiego, takimi jak „persona” w sensie „maska”, ale znane jest znaczenie zaledwie kilku etruskich słów, mianowicie takich jak „bóg”, „kobieta” czy „syn”. Problem polega na tym, że brakowało dwujęzycznego tekstu, takiego jak kamień z Rosetty Champolliona, z tym samym tekstem po etrusku i w jakimś znanym języku. Tak więc Etruskowie mieli coś wspólnego z Grekami, jednocześnie zaś ich język nie miał nic wspólnego z greką. Zapisywali swój język fonetycznie za pomocą greckich liter, tak jak gimnazjaliści w pierwszej klasie pisali greckimi literami swoje nazwiska albo jak dawni Holendrzy posługiwali się łacińskimi literami. Lud ten przybył nie wiadomo skąd około IX wieku przed Chrystusem, w każdym razie z terenów, gdzie byli też Grecy. Ale – i na tym polegała istota pomysłu – istniała również możliwość, że to Grecy zapożyczyli kiedyś swój alfabet od Etrusków, aby za jego pomocą zapisać fonetycznie swój język – grekę. Był to oczywiście zbyt zwariowany pomysł, żeby od razu się na niego rzucić, ale podążając tą drogą, znajdując potwierdzenia w różnych przekazach archeologicznych, dotarł do języków kretańskich: pisma linearnego typu B z XV wieku przed Chrystusem, które piętnaście lat wcześniej odcyfrował jego świętej pamięci kolega Michael Ventris, oraz pisma linearnego typu A z XVIII wieku – w którym z kolei widoczne były korzenie semickie...

– Krótko mówiąc, mój drogi Watsonie – zakończył Onno, kiedy przejeżdżali obok Schiphol – udało mi się dokonać odkrycia dzięki kombinacji dedukcji i szczypty wiary oraz mądrości. Wielce uczony Pellegrini nadal wprowadzie patrzy na mnie jak na jakiegoś fantastę i szarlatana, ale jest to dowód głównie jego autystycznego podejścia do świata.

– Co studiowałeś?

– Prawo.

– Prawo?

– To taki rodzinny przymus...

– No, ale te wszystkie języki...

– To hobby. Jestem amatorem, tak samo jak wielki Ventris, który był z domu architektem. Jeśli trzeba, potrafię nauczyć się języka w ciągu miesiąca. Umiałem czytać w wieku trzech lat.

– To ile znasz języków?

– W rachunkach jestem nie najlepszy. To chyba raczej twoja specjalność. Ile jest gwiazd na niebie?

– Jeszcze wszystkich nie policzyliśmy. Ich liczba zresztą nie jest stała, ale w samej naszej Drodze Mlecznej będzie ich ze sto miliardów. Tyle samo, ile mamy w mózgu komórek.

– Mów za siebie.

– Dalej znamy jeszcze ze sto miliardów układów słonecznych poza naszą galaktyką, tyle samo, ile mam komórek mózgowych, więc sobie policz. Jedynek z dwudziestoma dwoma zerami. A ile jest języków?

– Ledwie pięć tysięcy dwieście.

– Umiesz też czytać hieroglify?

– Jakie hieroglify?

– No, egipskie.

– Nie tylko. Mówić też. *Paut neteroe her resch sep sen ini Asar sa Heroe men ab maä kheroe sa Ast auau Asar*. Co w wolnym tłumaczeniu brzmi mniej więcej tak: „Paut bogów radują się z nadejścia Ozyrysowgo syna, Horusa, poczętego w sercu, którego słowo jest absolutem, syna Izydy, małżonki Ozyrysa”.

– No, no. A co znaczy *paut*?

– No cóż, to trudna sprawa, szkoda, że spytałeś. Zdaniem większości znawców chodzi tutaj o jakąś prasu substancję, z której stworzeni są bogowie, tak naprawdę jest to jednak jeszcze bardziej skomplikowane, ponieważ w Księdze Umarłych Bóg Stworzyciel powiada: „Wydobyłem siebie z prasu substancji, którą stworzyłem”. Ale nie chce cię zanudzać tymi starożytnymi paradoksami.

– Wydają mi się całkiem nowoczesne – powiedział Maks. – Powiedz, gdzie mieszkasz, to podwożę cię pod dom.

Wyglądało na to, że obaj mieszkają w centrum, niedaleko od siebie. Kiedy wjeżdżali do miasta, Onno mówił, że hieroglify potrafił odczytywać już w wieku jedenastu lat. Sam się tego nauczył ze starego angielskiego podręcznika, kupionego za dwadzieścia pięć centów na bazarze, a korzystając ze słownika, nauczył się jednocześnie angielskiego. Działo się to ostatniej wojennej zimy, kiedy, jak sam stwierdził, w końcu nawet jego dopadły głód i zimno. Onno zupełnie nie rozumiał, z jakiego powodu opowiada takie rzeczy zupełnie obcemu człowiekowi. W dzieciństwie nigdy nie mówił w domu o swoich studiach językowych. Wydawało mu się, że każdy to potrafi, jeśli tylko zada sobie trochę trudu. Tak to zawsze bywa z ludźmi utalentowanymi: pisarz też nie potrafi sobie wyobrazić, że ktoś może nie umieć pisać. O tym, że to jednak nie jest takie zwyczajne, przekonał się dopiero po wojnie, kiedy był z rodzicami na wakacjach w Finlandii. Mieszkali w hotelu w Hameenlinna, położonym gdzieś wśród nostalgicznych jezior i lasów iglastych, w dniu ich wyjazdu kolacja była zimna, a co najwyżej letnia. Ojciec Onna zawołał kierownika sali, który udawał, że udziela reprimendy kelnerowi, naprawdę jednak mówił, że nie będzie się przejmował kutwopatnymi serojadami, bo przecież już jutro wyniosą się wreszcie do swoich durnych tulipanów i wiatraków. Na co on, Onno, zwrócił się do niego z zapytaniem, czy aby na pewno jest przy zdrowych zmysłach, żeby wygadywać takie rzeczy o swoich gościach, i czy może chce, żeby mu rozwalić głowę holenderskim drewniakiem. Wszystkich zamurowało. On mówił po fińsku! Po trzech tygodniach pobytu! Trudnym ugryjskim językiem! Widząc zdumioną minę ojca, pomyślał sobie: Zakasowałem cię, ekscelencjo!

– Jesteś synem tego Quista? – spytał Maks zaskoczony.

– Zgadza się. Właśnie tego.

– Czy on przed wojną nie był premierem czy kimś takim?

– Czyżbyś zamierzał, Deliusie Maksie, powiedzieć coś niepochlebnego o moim ojcu? Cztery lata rządów gabinetu Quista należą do najciemniejszych kart w historii ludzkości. Naród holenderski jęczał pod jarzmem teokratycznego terroru mego szanownego pana ojca, o którym nie życzę sobie słyszeć ani jednego złego słowa, zwłaszcza od kogoś, kto ma tak dziwny samochód.

– No, przynajmniej dowiózł nas do domu – powiedział Maks, zatrzymując wóz. – Domyślałem się, że nawet nie umiesz prowadzić samochodu.

– Oczywiście, że nie! Za kogo ty mnie uważasz? Za szofera? Są rzeczy, których człowiek nie jest się w stanie nauczyć. Nie ma potrzeby umieć nabierać jedzenie widelcem i łyżką trzymanymi jedną ręką, bo wtedy jest się kelnerem. Ty to pewnie też potrafisz, ale szlachetnie urodzony pan, jak ja, nie musi sobie nic sam nabierać. Szlachetnie urodzony pan, taki jak ja, robi to całkiem zwyczajnie, dwiema rękami i jeszcze w dodatku upuszcza połowę na obrus, bo tak właśnie ma być.

W świetle latarni na wąskiej uliczce mogli się sobie lepiej przyjrzeć. Onno stwierdził, że Maks jest zbyt starannie ubrany, żeby można go było traktować poważnie. Miał na sobie coś w rodzaju mieszczańskiego stroju Anglosasa, blezer i koszulę w kratę, którymi tak gardził u braci i szwagrów. Maks zaś stwierdził, że Onno nie byłby najgorszy w roli kataryniarza, miał nawet przy uszach i na podbródku takie miejsca, które przeoczył przy goleniu. Pewnie był krótkowidzem, zapłaciwszy wzrokiem za ślęczenie nad ideogramami.

Onno zaproponował, że podjedzie z Maksem pod jego dom, a potem wróci do siebie na piechotę. Z zadowoleniem stwierdził, że na ulicach kręci się jeszcze sporo ludzi i że wszędzie w domach palą się światła, podczas gdy w Hadze wszelkie życie zamarło. Maks zaparkował samochód przy wysokim płocie okalającym park i włożył płaszcz. Onno zauważył teraz, że Maks nosi buty z gienzowej skóry. Chciał się pożegnać, ale z kolei Maks zaproponował:

– Nie, nie, podejść z tobą kawałek.

Od strony placu Lejdejskiego słychać było policyjne syreny: pewnie coś się tam działo, może jakieś niedobitki demonstracji przeciwko amerykańskiej wojnie w Wietnamie.

– Czy też jesteś doktorem honoris causa uniwersytetu w Uppsali, tak jak ja? – spytał Onno.

– Tak wysoko jeszcze nie zaszedłem.

– A więc nie jesteś doktorem honoris causa uniwersytetu w Uppsali?! – wykrzyknął Onno zdumiony i zatrzymał się. – Czy w takim razie ktoś taki jak ja w ogóle powinien z tobą rozmawiać? – Nagle zmienił ton, wciąż przyglądając się Maksowi: – A wiesz, że twoja twarz zupełnie mi się nie zgadza? Masz stalowe spojrzenie całkiem sympatycznych błękitnych oczu, a przy tym śmiesznie miękkie usta, z którymi ja raczej bym się nie pokazywał.

Maks uniósł wzrok, żeby na niego spojrzeć. Onno był niemal o głowę od niego wyższy.

– Zgadza się – powiedział po chwili wahania.

– Właśnie że się nie zgadza.

– Zgadza się, że się nie zgadza.

– A ten twój nos! Należałoby spuścić nań litościwą zasłonę milczenia.

– Psy myśliwskie zawsze mają długie nosy, bo dzięki temu lepiej węszą. Nie bierz tego do siebie, ale pekińczyk nie czuje nic. A tak poza tym nie jestem doktorem *cum grano salis*, jak ty, tylko takim prawdziwym, z dyplomem i tak dalej.

– Co ty powiesz! A więc jesteś jednym z tych tępaków, którzy uważają, że osiągnięcia to większa zasługa niż talent. Z czego się doktoryzowałeś?

– Z linii widmowych wodoru.

– Jezu, a co to takiego?

– Nie zrozumiesz. Do tego trzeba już być kimś.

Maks poinformował, że jest astronomem i pracuje w obserwatorium w Lejdzie. Niedawno dostał propozycję objęcia profesury w obserwatorium Mount Palomar w Kalifornii, gdzie jest właśnie jego kolega z Lejdy, który ma coś do powiedzenia, odkrywca kwazarów, ale on, Maks, interesuje się bardziej radioastronomią, dzięki której można zobaczyć to, co niewidzialne, nawet w dzień. Astronomowie optyczni to wymizerowani obserwatorzy nocni, wystarczy, że pojawi się byle chmurka, i od razu mogą wsiadać na rower i pedałować pod wiatr do domu. Poza tym on ma nocą ciekawsze zajęcia. Regularnie bywał w Dwingeloo, w Drenthe, gdzie był radioteleskop. Pod Westerbork budują właśnie gigantyczny interferometr, składający się z dwunastu zwierciadeł, o którym można powiedzieć jedno, że to największy przyrząd obserwacyjny na świecie, i on wiąże z nim bardzo duże nadzieje.

– Powiedziałaś niedawno, że twoje początki sięgają czasów wojny, że mną było pewnie jakoś podobnie. W samym środku miasta niebo było tak jasne, jak dzisiaj wyłącznie na morzu albo na Mount Palomar. Byłem wtedy w czymś w rodzaju internatu, u zakonników. Kiedy wieczorami śpiewali w kaplicy swoje nabożne pieśni, budziłem się czasem i wychylałem przez okno. Tak mi się wydaje, że właśnie te ciche noce i gwiazdy, i śpiewy gregoriańskie, i wojna wpłynęły zasadniczo na moje wybory zawodowe, że się tak wyrażę. Może dlatego, że gwiazdy nie miały nic wspólnego z wojną.

Przy słowie „gwiazdy” Maks spojrział w górę, ale widać było tylko łunę światła miasta, odbijającą się od szarej powłoki chmur.

– Czyli że z domu byłeś wyznania rzymskokatolickiego, tak? A może dalej jesteś?

– Z domu nie jestem nikim.

– To skąd ci się wzięło, że poszedłeś w tym kierunku?

Maks milczał. Postawił kołnierz swojego *british warm* z wielbłądziej wełny, ściskając jego rogi dłońią w rękawiczce. Zakonnicy w kaplicy na dole:

*Kyrie eleison, kyrie eleison,
Christe eleison, Christe eleison.*

Na niebie Wielka Niedźwiedzica, Kasjopeja i Gwiazda Polarna – przez którą przechodzi oś nieba. Gdzie była jego matka?

Spojrział na Onna.

– Powiedzieć ci?

Onno zorientował się, że dotknął bolesnego miejsca.

– Jeśli nie jest to przeznaczone dla moich uszu, nie chcę tego słyszeć.

Maks dziwił się sam sobie. Nie dlatego, żeby miał coś do ukrycia, ale dlatego, że nie był to raczej temat do rozmowy. Nigdy dotąd nie rozmawiał o tym z kolegami ani przyjaciółmi, nie mówiąc już o przyjaciółkach, sam zresztą też rzadko o tym myślał. Było to mniej więcej tak jak z tym talentem, o którym mówił Onno: każdy człowiek jest wprawdzie wyjątkowy i odkrywa to dopiero wówczas, kiedy ktoś się w nim zakocha albo kiedy nikt nie chce się w nim zakochać – lecz nawet nadzwyczajne okoliczności mogą wydać się oczywiste, po prostu dlatego, że są, jakie są. Świadomość wyjątkowości też pojawia się dopiero wówczas, kiedy inni zaczynają nas uważać za wyjątkowych. Nawet królewicz dopiero z czasem uświadamia sobie, że nie dla każdego, kto obchodzi urodziny, w całym kraju wciąga się flagi na maszt.

Kanały były zamrożone. W cienistych kanionach pomykali jeszcze łyżwiarze – milczące postacie z rękami na plecach, gwałtownie hamujące przed mostami, gdzie lód nie budził zaufania. Kiedy tak szli spacerkiem przez swoje miasto, wzdłuż Rijksmuseum, przez mosty z dziwaczными ozdobami w kształcie morskich potworów z piaskowca i kutego żelaza, wyczołgujących się na wydmy, Maks opowiadał, jak jego rodzice – na skutek wydarzeń pierwszej wojny światowej – znaleźli się w Amsterdamie, jak się tam spotkali, jak się rozstali, jak potem przeniósł się z matką do innej dzielnicy, za Concertgebouw. Jego ojciec nie chciał jej więcej widzieć, i kiedy zaczęła się druga wojna, wstąpiło w niego coś dziwnego. Nawiązał kontakty z dawnymi austriackimi przyjaciółmi z czasów pierwszej wojny, którzy po anshlusie zostali wysokiej rangi wielkoniemieckimi generałami i obersturmbannführerami SS. On, Maks, właściwie wie o tym wszystkim tylko tyle, ile słyszał od innych, sam nigdy się w to specjalnie nie zagłębiał. Może po prostu ojciec musiał dowieść swoich proniemieckich sympatii? Nadal był przecież żonaty z Żydówką, dopuścił się „zhańbienia rasy”, a nawet spłodził z tą kobietą dziecko: może musiał to wszystko najpierw wyprostować? W tym czasie odgrywał już znaczącą rolę w stosunkach handlowych z okupantem, jego biuro rozrosło się w coś w rodzaju instytucji rządowej, w rzeczywistości specjalizującej się zwłaszcza w rabunku mienia żydowskiego, i w końcu przez adwokata ojciec powiadomił Ewę Delius-Weiss, że chce się z nią rozwieść. Ona jednak nie chciała się na to zgodzić: małżeństwo z Aryjczykiem było wyjątkowym zabezpieczeniem przed deportacją, może nawet skuteczniejszym niż dziecko, które z nim miała. Właściwie to żądanie rozwodu było niejako przygrywką do skrytobójstwa popełnionego na żonie. Jak wyszło na jaw po wojnie, w końcu zaangażował w sprawę swoich dawnych kolegów.

Pewnego ranka 1942 roku, skończył wtedy dziewięć lat, opowiadał Maks, woźna wywołała go z klasy, a w gabinecie dyrektora czekał już żandarm w wysokiej czapce, długich butach, z białymi akselbantami. Maks usłyszał od niego, że matka opuściła nagle miasto i udała się w niewiadomym kierunku, a on musi pójść z żandarmem pozbierać swoje rzeczy. Kiedy przybyli do mieszkania, przed wejściem stał już samochód firmy przewozowej z wielkim napisem „Puls”, co do dzisiaj bardzo dokładnie pamięta. Tragarze wynosili właśnie fortepian. Wewnątrz kręciło się kilku urzędników z listami w rękach, wpisujących do rejestru wszystko, czego oczywiście wcześniej nie poupychali po kieszeniach. Nigdzie nie było widać Niemców, poza dwoma funkcjonariuszami policji gminnej. Wszystko było wywrócone do góry nogami, szuflady i szafy w sypialni matki otwarte, jej ubrania poniewierały się po podłodze. Maks dostał pięć minut na zebranie dobytku, potem przeniesiono go do innego kolegium rzymskokatolickiego. W swojej niewinności powiedział, że chce do ojca: nie miał jeszcze wtedy pojęcia, że ojciec traktuje go jak zapowietrzonego. Dziadkowie, jedyna rodzina, jaką jeszcze miał w Holandii, siedzieli gdzieś w ukryciu, nawet nie wiedział gdzie, tak jak nie wiedział też, że ojciec zdążył tymczasem zdradzić także ich kryjówkę i że podobnie jak matka znaleźli się w obozie przejściowym Westerbork i trafili do transportu do Auschwitz, z którego żadne z nich już nie wróciło. Kolaborant zmienił się w zbrodniarza wojennego. Wszystko, co nosiło nazwisko Weiss, musiało zniknąć z powierzchni ziemi – i Bóg jeden raczył wiedzieć, kto jeszcze z ich otoczenia. Maks opowiedział, że po kilku tygodniach zakonnicy umieścili go u pewnego bezdzietnego, dość leciwego katolickiego małżeństwa, które nawet nie wymagało od niego, żeby się zęgnął znakiem krzyża przed posiłkiem. Raz jeden przejechał na rowerze obok swojego dawnego domu: frontowe drzwi i okna były zamurowane. O ojcu usłyszał dopiero po wojnie, kiedy ten został postawiony przed sądem – a potem jeszcze raz: kiedy czytał krótką notatkę w gazecie o jego egzekucji.

– Dobry Boże! – wykrzyknął Onno. – Jesteś synem tego Deliusa? No, to chyba wiele grzechów będzie ci odpuszczonych.

Znaleźli się z powrotem przy Kerkstraat. Małe, wąskie domy o drewnianych schodach wiodących do drzwi parteru, kamienne stopnie prowadzące w dół, do drzwi suterenu.

– Mój dziadek kolaborował w czasie pierwszej wojny, ojciec w czasie drugiej – mówił Maks. – Żeby podtrzymać rodzinną tradycję, ja powinienem zostać kolaborantem podczas trzeciej.

Zapalając papierosa, na chwilę odwrócił głowę, żeby ocenić nogi przechodzącej kobiety.

- Czy dobrze słyszę – spytał Onno – że najpierw opowiadasz mi o śmierci matki, a potem pozwalasz sobie na wątpliwy dowcip, oglądając się przy tym za jakąś kobietą? Co z ciebie za człowiek?

- A taki, który ogląda się za kobietą, opowiadając o śmierci swojej matki. Oczywiście mówiłem też o śmierci mojego ojca.

Onno chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Było dla niego niepojęte, że można chłodno mówić o takich doświadczeniach. Próbował sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby to jego matka została zagazowana w obozie zagłady, a ojciec rozstrzelany po wojnie przez pluton egzekucyjny – ale jakoś mu nie wychodziło. Naprawdę jego ojciec przesiedział półtora roku jako więzień czegoś w rodzaju komanda dla VIP-ów w obozie koncentracyjnym Buchenwald, gdzie wraz z innymi prominentnymi osobami snuł plany co do powojennej Holandii, poczynając od wprowadzenia „prawa stanu wyjątkowego” i przywrócenia kary śmierci za najcięższe przewinienia. Wszyscy jego bracia też byli w ruchu oporu. Spojrzał na Maksa i poczuł, że przepadł z kretesem. Wykluczone, żeby mógł teraz tak po prostu wyciągnąć dłoń na pożegnanie i pójść do siebie.

- Chodź, odprowadzę cię z powrotem – zaproponował.

Przez długie minuty szli obok siebie w milczeniu przez zimową noc, otoczeni wspomnieniami dawnego świata, które wywołał Maks, a które spadły na nich niespodziewanie jak cios pięści. Także Maks czuł, że już przepadł. Oto opowiedział swoje paradoksalne dzieje zupełnie inaczej niż te parę razy, kiedy zdarzało mu się to czynić poprzednio. Jeśli ktoś opowiada to samo różnym osobom, to opowiada na różne sposoby, tak odmienne od siebie, jak odmienni są słuchacze – teraz jednak po raz pierwszy poczuł, jakby opowiadał tę historię samemu sobie. Sprawilo mu to ulgę w takim samym stopniu, w jakim wprawiło Onna w przygnębienie. Żeby coś powiedzieć, wskazał na chleb rozsypyany pod drzewami.

- Są jeszcze dobre dusze na tym świecie.

Onno czekał na moment, kiedy Maks przerwie milczenie, nie czuł się jednak w prawie pytać o szczegóły jego historii.

- Mogę ci coś powiedzieć? To mój ojciec odpowiada za to, że twój ojciec został naturalizowany. To było w latach dwudziestych, za rządów jego gabinetu.

Maks spojrzawszy na Onna, parsknął śmiechem.

- To stwarza dość zabawną więź między nami. On jeszcze żyje?

- O c z y w i ś c i e , że mój ojciec jeszcze żyje. Mój ojciec nigdy nie umrze.

- Opowiedz mu kiedyś o tym. Największa wpadka w całej jego karierze.

Onno chciał powiedzieć, że wobec tego jego ojciec też zasłużył na kulkę, ale powstrzymał się, nie był bowiem pewien, czy również może sobie pozwolić na nonszalancje w traktowaniu tej sprawy, bo trudno było mu ocenić, jak grubą skórę ma właściwie Maks. Kto wie, może kryło się pod nią coś zupełnie innego?

– Skoro twoja matka była Żydówką, to ty też jesteś Żydem – powiedział Onno i zrobiło mu się nieprzyjemnie, kiedy usłyszał wypowiedziane przez siebie słowo „Żyd”. Może tylko Żydzi chcą mieć prawo, by je wypowiadać, po tym wszystkim, co ich spotkało, może to słowo było tabu; ale z drugiej strony, czy już na zawsze ma mieć usta zakneblowane przez faszystów?

– Zdaniem rabinów to oczywiste. Zdaniem nazistów byłem na szczęście tylko pół-Żydem, inaczej też bym nie przeżył. Prawdę mówiąc, cały czas zadaję sobie pytanie, która to połowa. Górna? Dolna? Lewa? Prawa?

– Naziści byli przyrodnikami. Dla nich byłeś kimś w rodzaju rozcieńczonego Żyda, zmieszało się w tobie pięćdziesiąt procent aryjskiej wody z pięćdziesięcioma procentami żydowskiego wina.

– Czy to się nie nazywa „chrzczenie”? – spytał Maks ze śmiechem. – Pewnie wiesz, dlaczego według ortodoksów jesteś Żydem tylko wtedy, kiedy masz żydowską matkę, a w ogóle nie jesteś Żydem, kiedy masz tylko żydowskiego ojca?

– Chętnie posłucham.

– To też ma pewien związek z naturą, ponieważ mężczyzna nigdy nie może być w stu procentach pewien, że jest rzeczywistym ojcem swego dziecka. Matka wprawdzie też może nie być pewna, kto jest ojcem dziecka, ale jedno zawsze jest pewne w stu procentach: że to ona jest matką.

– Świadczy to o wnikliwym zrozumieniu kłamliwości natury kobiety jako takiej.

Maks skręcał się ze śmiechu.

– Jesteś może żonaty? Masz dzieci?

Onno bardzo się ucieszył, że udało się przegnać czarną chmurę.

– Dzieci! Ja i dzieci! Aż tak okrutny nie jestem. Od czasu do czasu pomieszkuję u przyjaciółki, jeśli o to ci chodzi. Też taka dobra dusza rozsypująca chleb dla ptaków. – Onno postanowił nie zgłębiać erotycznego statusu Maksa, bo pewnie także był nazbyt przerażający, żeby o tym słuchać. – A propos, wspominałeś, że w roku 1942 miałeś dziewięć lat. To by znaczyło, że jesteśmy w tym samym wieku. Kiedy masz urodziny?

– Dwudziestego siódmego listopada.

– A ja szóstego. Od tej chwili uważam cię zatem za młodszego przyjaciela, który wiele się jeszcze może ode mnie nauczyć. Chociaż, poczekaj... – Onno przystanął. – O ile wiem, urodziłem się trzy tygodnie przed terminem, a to oznacza, że zostaliśmy poczęci tego samego dnia!

Obaj popatrzyli na siebie ze zdumieniem.

– W tym samym momencie! – wykrzyknął Maks.

Obydwaj, zarówno kierowca, jak i pasażer, poczuli, że oto wyjaśniło się, skąd ten pierwszy szok, kiedy mieli wrażenie, że się znają, chociaż nigdy wcześniej się nie spotkali. Uroczyście podali sobie dłonie.

- Tylko śmierć może nas rozłączyć - powiedział Maks podniosłym tonem, który kojarzył mu się z Winnetou i Old Shatterhandem. W tej samej chwili pomyślał też o braterstwie krwi opisywanym w książkach o Indianach: przyjaciele nacinali sobie palec i przykładali ranę do rany. Już, już miał powiedzieć: „Właściwie to powinniśmy...” - ale jednak zrezygnował.

Znowu stali pod domem Maksa przy eleganckiej Vossiusstraat i umówili się, że skontaktują się telefonicznie następnego dnia. Maks zaproponował, że odwiezie Onna pod dom, ale Onno podziękował. Wyjmując klucze od domu, Maks spojrzął za Onnem na wypadek, gdyby ten się odwrócił i mu pomachał, ale nic takiego nie nastąpiło. Gdy szukał właściwego klucza w etui, znowu ujrzał kręgi i krzyże na wewnętrznej stronie lewej dłoni.

4

Przyjaźń

Jeśli tylko któryś z nich nie przebywał akurat w sprawach zawodowych za granicą, przez następne miesiące nie było prawie dnia, żeby się nie widzieli. Maks nigdy dotąd nie spotkał kogoś takiego jak Onno, Onno nigdy nie spotkał nikogo takiego jak Maks – zupełnie jak dwa samozwańcze bliźniaki nie mogli się sobą nacieszyć. Każdy z nich czuł się gorszy od drugiego, każdy z nich był jednocześnie sługą i panem, wskutek czego powstał rodzaj nieskończoności, jak w postawionych naprzeciw siebie i odbijających się w sobie nawzajem lustrach. Wskutek tego, że bezustannie pojawiali się razem w kawiarniach i piwiarniach, mówiono o nich czasem „homointelektualiści”. Otaczało ich niezrozumienie i podejrzliwość, ponieważ sytuacja sprawiała wszystkim trudność: dwóch dorosłych mężczyzn, o których wiadomo było, że nie są homoseksualistami i że nic ich ze sobą nie łączy, na jakiejś zagadkowej zasadzie właśnie dlatego, niejako symbiotycznie, zlewało się ze sobą. Gdyby byli gejami, sprawa byłaby jasna, stanowiliby po prostu zakochaną parę. A tak stawiali wszystkich wobec zjawiska, które niekiedy było nieprzyjemną mieszaniną niechęci i agresji: jeden okazywał się przerośniętym studentem, który nie potrafił dorosnąć, drugi z kolei aroganckim dupkiem. Żeby to zneutralizować, obydwaj na głos przyznawali się do wszystkiego, co o nich mówiono, dorzucając jeszcze co nieco od siebie. Pytanie, co też takiego jest między nimi, postanowili rozpatrzyć dopiero później, kiedy tego już nie będzie, kiedy wszystkie te dni zleją się w ich wspomnieniach w jeden wieczny i niezapomniany dzień. Sami Grecy, jak argumentował Onno, którzy stworzyli podstawy cywilizacji zachodnioeuropejskiej, nie znali słowa „cywilizacja”. Słowa przychodziły dopiero wówczas, kiedy sprawa, której dotyczyły, przestawała istnieć.

Każdy z nich miał oczywiście swój krąg przyjaciół, którzy teraz poznali się nawzajem, jednocześnie jednak Maks i Onno zaczęli się od nich oddalać, odwracać, zostawiając ich za sobą kręcących z niedowierzaniem głowami. Najczęściej spotykali się w „Cafe Américain”, przy stolikach pod secesyjnymi lampami, gdzie wykładano gazety, otoczeni graffiti przedstawiającymi sceny z oper Wagnera. Maks często jadał w Lejdzie, albo robił sobie coś na szybko w domu, podczas gdy Onno wciąż jeszcze siedział przy swoim obiedzie – to znaczy, obok jego gazety zawsze stał talerz z czterema czy pięcioma mięsnymi krokietkami, do których wypijał cztery, pięć szklanek mleka. Zieleniny nie jadał nigdy: „Sałata jest dobra dla królików”, mawiał. Zdawał się nie mieć żadnego stosunku do swego ciała, które może dlatego właśnie było tak potężnie obecne. Jego posiłki były równie niechlujne, jak jego ubranie i niemyte zęby. Kiedy pewnego dnia po twarzy spływał mu pot, Maks powiedział: „Onno, ty masz gorączkę”, na co Onno przejechał dłonią po czole, spojrzał na mokrą od potu dłoń i rzekł: „Cholera, chyba masz rację”, po czym w następnej sekundzie o tym zapomniał. Maks natomiast w wyznaczone dni siedział w poczekalni u swojego komunizującego lekarza domowego, gapiąc się w wielką fotografię strajkujących robotników w beretach, stojących oko w oko z ciężkobrajnym oddziałem gwardii narodowej – chociaż nigdy nic mu nie było, pomijając drobny tryperek od czasu do czasu. Niezależnie od tego, jak wielki był jego strach przed śmiercią, krawat nigdy nie kłócił się ze skarpetami.

Pewnego razu Maks zaczął coś mówić o śmierci, co natychmiast beżmiernie zirytowało Onna:

– Rozmowa o śmierci jest zwykłą stratą czasu. Dopóki żyjesz, nie jesteś martwy, ale jak już nie będziesz żył, to jesteś martwy tylko dla innych.

Lecz Maksowi nie o to chodziło. Powiedział, że z jednej strony jest przekonany, iż pewnego dnia umrze w straszliwych boleściach na zawał serca, z drugiej jednak strony podejrzewa, że może być nieśmiertelny. Jak wiadomo bowiem, każdy może naukowymi metodami określić przypuszczalną długość życia, sumując wiek, w jakim umarli jego rodzice, i dzieląc to przez dwa. Ponieważ jednak obydwójce rodzice Maksa zmarli śmiercią gwałtowną, nie istnieje więc data ich naturalnej śmierci, niewykluczone zatem, że są nieśmiertelni. A ponieważ według Cantora nieskończoność plus nieskończoność podzielona przez dwa daje również nieskończoność, więc może i on jest nieśmiertelny, co było do udowodnienia.

– Nader żenujący błąd myślowy, jak na tak ścisłego uczonego – powiedział Onno. – W rzeczywistości wynika z tego, że masz pięćdziesiąt procent szans, że zostaniesz zamordowany, i pięćdziesiąt procent, że zginiesz z wyroku sądu – to oznacza, że masz sto procent szans skończyć gwałtowną śmiercią.

Kiedy krokiety zniknęły z talerza, wyszli na miasto, gdzie w powietrzu nie czuło się już zimowego chłodu. Poszli najpierw do kina, rezygnując z Bonda na rzecz nowego filmu Kubricka *2001: Odyseja kosmiczna*, w którym komputer zwany HAL przejmie władzę nad statkiem kosmicznym. Kiedy wyszli potem na ulicę – w stanie wyjąłowania, które sprawia, że zetknięcie z rzeczywistością na dworze przypomina spotkanie z szorstkim pilnikiem – Onno spytał Maksa, dlaczego jego zdaniem komputer nazwano HAL. Maks stwierdził, że pewnie przez skojarzenie ze słowem „hell” czyli „piekło”. „Nic takiego”, powiedział Onno, któremu nawet nie przyszło to do głowy, i zasugerował Maksowi, żeby sprawdził, co otrzyma, przesuwając litery H, A i L o jedno miejsce dalej w alfabecie.

– I – zaczął Maks. – I B M. IBM! – wykrzyknął. – No, no, moje uznanie!

Onno zrobił skromną minę.

– Ma się ten dar.

Kiedy pili gdzieś kawę przy wtórce wrzasków Little Richarda dobiegających z grającej szafy, Onno dał do zrozumienia, że jego smykałka do tego rodzaju, rzeczy jest wynikiem kalwińskiego wychowania: wszystko wzięło się z czytania Biblii, „to znaczy całego Pisma Świętego”. Dla niego prawda może kryć się tylko w tym, co napisane, a nie da się jej na przykład zobaczyć przez teleskop. Tę wyższą formę czytania kalwiniści mają wspólną z Żydami: katolicy nigdy nie czytają Biblii, często nawet nie mają jej w domu, są pod tym względem analfabetami. Obrazki i ryciny, to wszystko, co potrafią zrozumieć. Poza tym kalwiniści bardziej zajmują się Starym Testamentem niż Nowym, jak rzymscy katolicy, którzy – co jest szczytem prymitywizmu – w dodatku te teksty śpiewają. Kiedy prześladowano Żydów, kalwiniści o wiele częściej buntowali się przeciwko temu niż katolicy, którzy wynaleźli antysemityzm, prawie tak samo często jak buntowali się komuniści, którzy także czerpali swoją prawdę z księgi autorstwa niejakiego Marksa, też Żyda.

Dla Maksa tego rodzaju wywody przyjaciela były jak świszczący w powietrzu długi bicz tresera. W końcu skłaniało to i jego do wygłoszenia jakiegoś sądu.

– A czy zwróciłeś kiedyś uwagę – zapytał – że obszar występowania protestantyzmu pokrywa się z obszarem zlodowacenia? W Niderlandach granica przebiega dokładnie przez środek: tam gdzie był lód, rozciąga się terytorium protestantów i sięga aż do Hammerferst, a tam gdzie rosła trawa, jest terytorium katolików, aż po Palermo. A gdzie mieszkał sam Kalwin? – przyszło mu nagle do głowy. – W Szwajcarii! Jedyny protestancki kraj wśród katolickiego żywiołu, tam nadal są jeszcze lodowce!

– Mam od tego dreszcze – powiedział Onno. – Ciarki chodzą mi po plecach. Tylko ktoś, kto nie jest Holendrem, może dokonywać takich obrazoburczych odkryć. *Vade retro, Satanas!* Jesteś nie z tego świata.

– To z jakiego?

Onno wykonał nieokreślony ruch.

- Z jakiegoś tam kosmosu. Patrzysz na Holandię z kosmosu, zupełnie jak astronauta, ja natomiast siedzę w samym środku, wmarznięty w kalwiński lód, jak jakiś mamut. Lepiej mnie nie prowokuj, radzę ci. Holandia jest dla mnie, a nie dla takiego środkowoeuropejskiego drwala, co się zgubił we własnym lesie tak jak ty.

Była to prawda. Maks nie umiał sobie wyobrazić, jak czuje się ktoś będący częścią jakiegoś społeczeństwa, narodu, rasy czy wyznania – krótko mówiąc, nie jest sam. Był Holendrem, Austriakiem, Żydem, Aryjczykiem – i w dodatku naraz, dlatego też jednocześnie żadnym z nich. Należał wyłącznie do tych, którzy nigdzie nie należeli.

- Nie czuję się w takim stopniu Niderlandczykiem, jak musiał się czuć Spinoza – powiedział.

- Dlaczego akurat Spinoza?

- Z bardzo wielu powodów. Choćby dlatego, że on też szlifował soczewki.

Lecz ten nieprzerwany strumień teorii, żartów, poglądów i anegdot nie był głównym tworzywem ich rozmowy: ona odbywała się niejako podskórnie, bez słów, i dotyczyła ich samych. Niekiedy można ją było odkryć dopiero zupełnie określonym sposobem, tak samo jak w dawnych czasach rybacy na Morzu Północnym stwierdzali pojawienie się ławicy śledzi, obserwując jej srebrzyste refleksy na chmurach.

W prasowej części kawiarni, pełnej dziennikarzy z porannych gazet, a także tych z gazet wieczornych, Onno, zamówiwszy swoją pierwszą colę z rumem, opowiedział kiedyś Maksowi o eposie o Gilgameszu: najstarszej opowieści w dziejach ludzkości, odszyfrowanej w XIX wieku przez kolegę Rawlisona, a napisanej tyle wieków przed Chrystusem, ile wieków po Chrystusie żyją oni. Piramida Cheopsa już stała, powiedział Onno, bo tak naprawdę ona stała zawsze; ale Mojżesz, wojna trojańska, wszystko to dopiero miało się wydarzyć. Najpierwsza część eposu opowiadała o przyjaźni. Babiloński król Gilgamesz marzył o tajemniczym toporze, w którym się zakochał i na którym „leżał jak na kobiecie”. Jego matka, najwyraźniej oblatana w naukach Freuda, zinterpretowała topór jako mężczyznę, na którym Gilgamesz miałby leżeć jak na kobiecie. I rzeczywiście, w jakiś czas później taki się pojawił: Enkidu, oswojone dziecko natury, z którym Gilgamesz wyruszył na wyprawę i zabił potwora Humbabę. Lecz czyn ten doprowadził zarazem do śmierci Enkidu. W swej rozpaczce Gilgamesz wyruszył na poszukiwanie eliksiru nieśmiertelności, kiedy jednak ostatecznie stracił także eliksir, ukradziony mu przez węża, niby Kandyd *avant la lettre* pogodził się w końcu z nieuniknionym i odnalazł spełnienie jako budowniczy murów obronnych miasta Uruk.

- Wstrząsające – powiedział Maks. – Dlaczego ja tego wszystkiego nie wiem? Dlaczego nie każdy to czyta?

- Bo nie każdy mnie zna.

- Nie znać ciebie to musi być straszny los.

- Już sama ta myśl wydaje mi się nie do zniesienia.

- Ja też dość długo żyłem w tym piekle.

Z wyliczoną wcześniej precyzją kogoś, kto za wiele wypił, na krzesło przy ich stoliku opadł jakiś mężczyzna.

- Mogę posłuchać, o czym to panowie rozmawiają?

Onno ze wstrętem spojrział w cyniczną twarz dziennikarza.

- O c z y w i ś c i e , że nie, bo to uświadomiłoby ci cały dramat twojej małości, wyrobniku. Twoja wiedza historyczna nie sięga dalej niż wieczorna gazeta z wczoraj, my natomiast, my ogarniamy eony! Herberg! – to ostatnie odnosiło się do potężnie zbudowanego młodzieńca, który pełnił tu rolę kelnera. – Mamy wielkie zamówienie! Jeszcze raz *cuba libre* i świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy!

Maks nachylił się poufale w stronę siedzącego naprzeciw mężczyzny.

- Osobiście nic do ciebie nie mam – powiedział łagodnie – ale powiedz mi, jak to jest, że wszyscy uważają cię za obrzydliwca?

Mężczyzna gapił się na niego, przeżuając obelgę. Nagle rzucił się do przodu i chwycił Maksa za kłapy. Może chciał go przeciągnąć przez stół, ale kiedy Maks tkwił bezradnie unieruchomiony w jego chwycie, Onno doskoczył do nich i zrobił to samo z dziennikarzem, wskutek czego Maks spadł z krzesła. Lewą ręką przyciskając dziennikarza do stołu, Onno uniósł prawą wysoko w powietrze, jakby chciał zadać śmiertelny cios karate w kark, rozejrzał się po kawiarni, w której zaległa nagle cisza, i rzekł:

- Ten człowiek chciał zrobić krzywdę mojemu przyjacielowi, musi teraz umrzeć!

Maks nic nie wiedział o Gilgameszu i o Enkidu, chociaż w tym samym miejscu i w tym samym czasie powstały podstawy astronomii, ale wiedział o innych podobnych ludziach, mianowicie Loebie i Leopoldzie. Tego samego lub może innego dnia razem z Onnem spierali się w jakiejś kawiarni z czerwonymi działaczami i grubo po północy szli przez miasto, a gdy mijali plac ze zrujnowanymi synagogami, opowiedział przyjacielowi o dwóch amerykańskich studentach prawa, pochodzących z zamożnych chicagowskich rodzin, serdecznych przyjaciółach, z których jeden miał osiemnaście, a drugi dziewiętnaście lat. Czytywali Nietzschego, *Tako rzecze Zaratustra* i *Poza dobrem i złem*, i doszli do wniosku, że są übermenschami, których nie obowiązują żadne ludzkie prawa. Był rok 1924; żeby to usankcjonować, postanowili dokonać zbrodni doskonałej, zupełnie pozbawionej motywów – poza tym jednym, który znali tylko oni. Zamordowali czternastoletniego chłopca, kwasem solnym spalili mu nie do poznania twarz, ciało ukryli w rurze kanalizacyjnej i poszli na kolację do eleganckiej restauracji. Tak się jednak złożyło, że Leopold, ornitolog amator, zgubił okulary i po jakimś czasie wszystko się wydało. Każdy z nich dostał dożywocie plus dziewięćdziesiąt dziewięć lat. Loeb, ten bardziej ujmujący z nich dwóch, zginął potem w więziennej bójkę, Leopold natomiast, mózgowiec, wyszedł na wolność jakieś dziesięć lat temu i jeśli jeszcze żyje, ma sześćdziesiąt dwa lata.

Onno nic nie odrzekł. W jednej chwili zrozumiał, o czym mówi Maks. Od tego wieczoru, kiedy spotkali się po raz pierwszy, nigdy już nie rozmawiali o jego ojcu, pewnie teraz znowu powróci to jako temat, ale Onno uważał, że nie jest jego zadaniem wybór właściwego momentu. Maks wiedział oczywiście, że Onno wie, ale on też na razie nie ruszał tej sprawy. Zamiast tego spytał:

– A kogo my zamordujemy, Onno?

Nie doczekał się odpowiedzi. Onno wciągnął głęboko nocne powietrze i rzekł:

– Wyczuwam domysły z zeszłego roku.

Zgrzytając i sypiąc iskrami, w stronę opustoszałego placu zbliżał się techniczny wóz tramwajowy do szlifowania szyn. Kiedy przejeżdżał obok nich, zaczęli krzyzczeć „brawo!” i klaskać w ręce, wskutek czego tramwaj się zatrzymał i jeden z robotników zaproponował, że ich zabiorą. W metalowym wnętrzu, wypełnionym ubrudzonymi smarem narzędziami, zobaczyli jeszcze jednego pasażera, mianowicie zbląkaną dziewczynę, kompletnie pijaną czy odurzoną, która siedząc na skrzyni, wyrzucała z siebie jakieś niezrozumiałe słowa. Kiedy Onno zobaczył, że Maks na nią spogląda, powiedział surowo:

– Masz się trzymać od niej z daleka, obrzydliwcze.

W poczuciu dobrowolnego poświęcenia Maks uznał, że tym razem jest to jednak całkiem słuszna rada.

– Wio, panie dorożkarzu! – zawołał Onno do motorniczego.

Sypiąc iskrami ze szlifowanych szyn, tramwaj ruszył z miejsca. Onno stał na szeroko rozstawionych nogach, chwycił się pod boki, wyciągnął przed siebie brodę i wykrzyknął, tocząc zwycięskim wzrokiem, zupełnie jak Bismarck:

– Jestem bogiem tego miasta!

Takim lubił go Maks najbardziej, takie chwile na zawsze pozostaną mu w pamięci. Dla robotników zakładów tramwajowych był oczywiście kolejnym dziwnym zawiadaczem, jakich często spotkać można nocą na ulicach, lecz Maks wiedział, że Onno nie wygadywał tego w pijanym widzie, tylko rzeczywiście był teraz personifikacją samego boga, z tymi iskrami sypiącymi się spod nóg, pytyjską wyrocznią siedzącą na skrzyni i w otoczeniu trzech czy czterech synagog – i Onno wiedział, że Maks jako jedyny to rozumie.

A gdy o czwartej nad ranem – w kawiarni „Het Sterretje”, pełnej podejrzanych taksówkarzy, dziwek, alfonsów, złodziei i bandytów – nagle okazało się, że Onno nigdy nie czytał *Listu do ojca* Kafki, poszli obaj do mieszkania Maksa, żeby odrobić tę zaległość.

Kiedy Onno po raz pierwszy wspiął się na trzecie piętro i zobaczył mieszkanie Maksa, jeszcze w drzwiach powiedział:

– Teraz już wiem na pewno, że jesteś nienormalny.

– Zgadza się. Może więc raz na zawsze podzielimy się rolami: ja jestem wariat, a ty jesteś głupi.

– Umowa stoi!

Na pierwszy rzut oka Onno zorientował się, że tutaj nic nie stoi ani nie leży na miejscu, w którym znalazłoby się przypadkowo. Nie chodzi o to, że pomieszczenie było estetycznie puste czy neurotycznie wysprzątane – było tu raczej pełno, z książkami i teczkami leżącymi nawet na podłodze i na niewielkim pianinie, nigdy jednak większa książka nie leżała na mniejszej albo teczka na książce, wszystko wyglądało tak, jakby nie mogło leżeć gdzie indziej – zupełnie jak na obrazie. Harmonia kompozycji rozciągała się na wszystko w tym mieszkaniu; nie można też było mówić o jakimś określonym stylu, były tutaj zarówno meble nowoczesne, jak i staroświeckie czy na wpół staroświeckie, wszystko jednak do siebie pasowało i nic nie kłuło w oczy, bo nie było niczego w rodzaju kolorowego plastiku, folderu reklamowego czy choćby długopisu. Nawet biurko pełne było książek i papierów, wszystko jednak starannie ułożone, równoległe i pod kątem prostym, ale nie sprawiało wrażenia dzieła maniaka. Użyte przez Onna słowo „nienormalny” było raczej wyrazem podziwu dla tego, czego zupełnie brakowało w jego codziennym życiu.

Ludzka natura jest do tego stopnia konserwatywna, że przyszedłszy do kogoś, zawsze siądziemy na tym samym miejscu, na którym siedzieliśmy za pierwszym razem. Onno usiadł w oliwkowozielonym fotelu chesterfield, dostał butelkę bacardi i litrową butelkę coli, które postawił sobie pod ręką, do tego miseczkę z kostkami lodu, a Maks podszedł do „honorowej półki”, którą stanowił gzyms kominka. Między dwiema podpórkami z brązu, przedstawiającymi satyrów z kozimi kopytami, stało może z dziesięć albo piętnaście książek, które w danym momencie były dla niego najważniejsze. Od czasu do czasu następowała zmiana, zawsze jednak stał wśród nich należący do jego ojca egzemplarz *Jedynego i jego własności* podpisany „Wolfgang Delius – na froncie 1917”, który opiekunom Maksu przysłano w roku 1946 z zakładu karnego w Scheveningen razem z paroma innymi rzeczami. Reszta dobytku została skonfiskowana i zniknęła. Na honorowej półce stały także *Przygotowania do wesela na ws* Kafki, zawierające jego nigdy niewysłany *List do ojca*.

I tych dwóch w środku nocy, a właściwie trzech – ze swoimi ojcami! Przez długi czas, przerywając sobie własnymi komentarzami, Maks odczytywał *List* bezbłędną niemczyzną. Kafka, który obnażał się całkowicie, chciał się żenić, ale nie mógł się żenić, zawsze w cieniu tego, który go spłodził i już na samym początku oświadczył, że „rozszarpie go na strzępy” – za każdym razem, kiedy pojawiało się coś tak przerażającego, Onno pochylał się jeszcze bardziej do przodu w swoim fotelu, jak trafiony salwą, tak że wkrótce leżał już na podłodze, dygocząc euforycznie. Maks wstał w końcu z książką w dłoni i ciskał na niego słowa prosto z góry, podczas gdy Onno wykrzykiwał:

– Litości! Ojcze! Tylko nie to! Tak jest, gotów jestem dokonać dla ciebie *sacrificium intellectus*, tak, będę cię wielbił do końca moich dni, jak najnikczemniejsze ze wszystkich stworzeń, ja, robak, niegodzien całować twoich stóp, rozgnieć mnie, aby sprawiedliwości stało się zadość!

Maks zatrzasnęła książkę z hukiem i śmiejąc się, przycisnęła ją do brzucha. Byli jedyni w swoim rodzaju, nieśmiertelni! Nikt nie mógłby tego pojąć, ale nie było potrzeby, by ktokolwiek to pojmował. Onno wrócił na fotel i jeszcze raz napełnił sobie szklankę pół na pół po sam brzeg. Maks powiedział, że ten list jest kluczem do wszystkich dzieł Kafki. Tylko poprzez ten list można zrozumieć *Proces*. Józefa K!

– Byłeś na tyle genialny, żeby wytropić pochodzenie HAL, ale to ja odkryłem, skąd ten „Józef. „K.” to oczywiście Kafka; człowiek, który wchodzi do pokoju na początku książki, żeby go aresztować, nazywa się Franz, tak jak Kafka. Dlaczego więc sam K. ma na imię Józef, a nie Maks, jak jego przyjaciel Maks Brod, albo Moryc?

– Franciszek Józef! – wykrzyknął Onno.

– Właśnie! Aresztujący, aresztowany i sam Kafka tworzą trójkę Jego Cesarsko-Królewskiej Apostolskiej Wysokości!

Noc posuwała się do przodu, Ziemia obracała się wokół swojej osi, a oni rozmawiali o tym, dlaczego flaga na wietrze – który jest przecież stałym strumieniem powietrza – łopocze, albo dlaczego fale we włosach Maksa nie przesuwały się w miarę ich rośnięcia, tylko zostają na swoim miejscu, zupełnie odwrotnie, niż to się dzieje na morzu, gdzie fale przesuwały się poziomo, a woda z kolei pozostaje w tym samym miejscu, albo o wojnie, o Adolfie Hitlerze, o którym mówili jako o „doświadczeniu A.H.”, i o córkach bliźniaczkach Maksa Plancka, twórcy podstaw mechaniki kwantowej: jedna powiła córkę i zmarła w połogu, druga zajęła się dzieckiem i wyszła za wdowca, dwa lata później sama powiła córkę i też zmarła w połogu. Do tego jeszcze jeden jego syn zginął na froncie pierwszej wojny światowej, a drugi został rozstrzelany w czasie drugiej. Stała Plancka!

Później będą być może żałowali, że nie prowadzili zapisków z tych dni; ale gdyby je prowadzili, to pewnie nie byłoby tak, jak było. Wtedy być może Onno nie opowiedziałaby tego, co opowiedział nad ranem: że jego matka miała nadzieję, iż on będzie dziewczynką. Był beniaminkiem i do czwartego roku życia biegał z długimi lokami i w różowych sukieneczkach z kokardami. Potem jednak systematycznie niszczył dowody tego stanu rzeczy – nie tylko nie można znaleźć najmniejszych śladów w albumach fotograficznych rodziców; posługując się najprzemysłniejszymi sposobami, wyczyścił także albumy braci i sióstr.

Maks patrzył na niego, kiwając głową.

– No to powiedz mi teraz o czymś, o czym n a p r a w d ę nikomu nie mówiłeś – poprosił.

Niezależnie od tego, jak wiele Onno wypił, zawsze był taki moment, w którym trzeźwiał. Odstawił szklanę.

– To straszne! Jako student mieszkałem na stacji, gdzie próbowałem zgłębić filozofię idei prawa. Obok mieszkała samotna matka, dziewczyna z dzieckiem, które bezustannie płakało. Bóg jeden wie, co we mnie wstąpiło. Pewnego zimowego wieczora doprowadzony do ostateczności wpadłem do jej mieszkania, ona siedząc przy stole, szyła jakieś ubranka, dzieciak płakał. Wiadomo, za ojcem, oczywiście! Był tam jeszcze taki staroświecki piecyk na węgiel, rozżarzony do czerwoności. Wyszarpnąłem dzieciaka z kołyski, podniosłem go prawą ręką za nogi, lewą złapałem pogrzebacz, odsunąłem fajerkę i trzymałem go głową w dół nad żarem. Nie odezwałem się słowem, tylko patrzyłem na tę dziewczynę. Ona siedziała skamieniała, wyglądała jak своя własna fotografia. Dzieciak też zamilkł. Straszne! Powinni mnie za to aresztować i wtrącić do więzienia.

Onno przez cały czas patrzył Maksowi w oczy.

- No - powiedział w końcu. - Więc teraz już wiesz. Ale obaj wiemy, że nie zapytałeś mnie ot tak, dla samego pytania, ponieważ wiesz dobrze, że zapytam cię o to samo. Zapytałeś, bo sam chcesz mi opowiedzieć coś, o czym nigdy jeszcze nikomu nie powiedziałeś. Spowiadaj się.

Maks skinął głową.

- Kiedy w zeszłym roku mój przybrany ojciec leżał na łożu śmierci - zaczął bezbarwnym głosem - dostałem list od mojej przybranej matki. Rzadko się z nimi widywałem, bo wygląda na to, że człowiek nigdy nie wybacza tym, którzy są dla niego dobrzy. Napisła, że on koniecznie chce się jeszcze ze mną zobaczyć przed śmiercią.

- Przestań - powiedział Onno.

Alkohol w jednej chwili z niego wyparował. Po jakimś czasie Maks wstał i odstawił na miejsce książkę Kafki. Stał niezdecydowany, a potem pod wpływem jakiegoś impulsu zapalił świecę, która stała na stole. Odwrócił się, spojrzał na zegarek i powiedział:

- Jest siódma, a ja zgłodniałem. Chodźmy na śniadanie do „American Hotel”. Nabrałem też oczywiście ochoty na jakiś czuły numer. Może siedzi tam jakaś poranna sikoreczka, nigdy nic nie wiadomo.

5

Zabawa na dworze

Bliźniaki syjamskie nazwano tak od braci Enga i Changa, którzy w XIX wieku dożyli sześćdziesięciu trzech lat: żeby rozbawić Onna, Maks znalazł te informacje w encyklopedii. Ponieważ bracia byli zrosnięci klatkami piersiowymi, w terminologii medycznej zwano ich *thoracopagus* - tak więc Onno od razu wiedział, że ich dwóch, zważywszy, że byli zrosnięci umysłami, można nazwać *mentepagus*.

Konsekwencją było to, że zaczęli nawzajem zmieniać swoje życie.

Pod koniec marca Onno znowu mieszkał przez parę dni u swojej przyjaciółki; jak zawsze, zabrał ze sobą brudne rzeczy do prania. Przyjaciółka mieszkała nad zamkniętym przeważnie sklepem z różnymi drobiazgami, przy cichym kanale, w wąskiej, siedemnastowiecznej kamieniczce, zwieńczonej tympanonem w postaci jednorożca. Przed paroma laty spotkał ją w Muzeum Historii Sztuki, gdzie była bibliotekarką. Zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia, ponieważ wyglądała dokładnie tak, jak wyobrażał sobie idealną bibliotekarkę, a jak bibliotekarki rzadko kiedy wyglądają: wysoka, szczupła, z upiętymi do góry włosami, o surowej holenderskiej twarzy, zupełnie jak przełożona sierocińca na obrazie Fransa Halsa, tylko o wiele młodsza.

Od czasu do czasu sprzątała suterенę, w której Onno mieszkał jak chomik w norze. On czasem zarabiał trochę pisaniem artykułów i prowadzeniem wykładów, ale specjalnie nie było mu to potrzebne, bo mało wydawał i spokojnie żył z procentów od przyszłego spadku. Pewnego razu sześćioletni krewniak spytał go w czasie rodzinnego obiadu: „Wujku Onno, a kim chcesz zostać w przyszłości?” Kiedy już ucichł śmiech, wszyscy patrzyli na niego wyczekująco, a on odpowiedział: „Pytanie jest zbyt dobre, żeby je popsuć jakąś odpowiedzią”. Gdyby tylko chciał, dawno już mógłby być docentem na którymś z uniwersytetów w kraju czy za granicą, bezustannie napływały stamtąd propozycje, on jednak nie widział powodu, by rezygnować ze swojego trybu życia. Uważał siebie za osiemnastowiecznego uczonego, działalność dydaktyczną uznawał za nazbyt pospolitą. Profesorowie byli jego zdaniem kimś w rodzaju instruktorów pływania – a czy ktoś widział kiedyś instruktora pływania w wodzie? Czegoś takiego nikt nigdy nie widział, bo instruktorzy pływania w ogóle nie umieją pływać, oni umieją tylko gadać o pływaniu. On natomiast był kimś, kto przemierzał wodę niebiorącym pod uwagę niczego ani nikogo stylem motylkowym.

Zaczęło się to w pewne słoneczne sobotnie południe, wiosna wychynęła właśnie zza kulis w pięknym szpagacie, okna były pootwierane i łagodne powietrze wypełniało pokój. Onno wziął trochę papierów pod jednorożca, ale robota nie szła mu już od tygodni. Jego wielkie ciało leżało na kanapie niby wyrzucony na mieliznę statek.

– Obrzydliwy Pernier – wzdychał, – Żałuję, że w roku 1908 nie upuścił tego kręgu, żeby się roztrzaskał w drobny mak. No tak, ale wtedy by go posklejali. Gdzieś tam kryje się w nim cały lud, w hełmach i z toporami, ale siedzi cicho i ani drgnie.

Helga zsunęła z nosa okulary do czytania i spojrzała znad książki.

– Czemu sobie trochę nie odpoczniesz? Weź się do czegoś innego.

– Jezu, czy ty w ogóle wiesz, co mówisz? Dobrze znam tych wszystkich, którzy nad tym pracują, oni też nie tykają niczego innego. Co tam czytasz?

Zupełnie jakby nie miała pojęcia, Helga spojrzała na okładkę.

– *Progress in Library Science*.

– Ta książka, moja droga Helgo, jest wydrukowana, prawda? I wszystkie książki, o których mówi, też są wydrukowane, nieprawdaż? Każdy sobie myśli, że drukowanie za pomocą pojedynczych czcionek wynaleziono tysiąc lat temu w Chinach, tymczasem wiesz, kto tak naprawdę to wymyślił? – Onno pomachał zdjęciem dysku z Fajstos. – Ludzie, którzy to zrobili. Cztery tysiące lat temu! Te znaki są odciskane! Skoro zatem byli to tacy prealfabetowi geniusze, to przecież musi tu być napisane coś ciekawego, prawda? A w tej sytuacji powinienem być pierwszym, który to odczyta, nie sądzisz? Najgorsze jest to, że mamy tylko tę jedną sztukę, a nikt nie robił kompletu stempli dla jednej tablicy. Musi ich być o wiele więcej, ale na Krecie nic więcej nie znaleziono. Oczywiście nie ma tu nic minojskiego, wiadomo, na przykład ta głupia lektyka, co to takiego jest? Co oznacza? Musimy szukać gdzieś dalej, ale gdzie? W jakiej rodzinie języków?

– Naprawdę nie masz żadnego punktu zaczepienia?

– Wyjaśnię ci, na czym stoję – podniósł z podłogi gazetę i napisał coś na marginesie. – Zapisz cyframi następującą liczbę: osiemdziesiąt trzy miliardy sto dziewięćdziesiąt jeden milionów dwadzieścia cztery tysiące pięćset sześćdziesiąt siedem. – Kiedy zapisała to na kartce, na której robiła notatki, kontynuował: – A teraz wyobraź sobie aborygeńskiego kryptografa siedzącego gdzieś w australijskiej dżungli, który nie ma nawet pojęcia, że to są cyfry. Dla niego jest to tylko jedenaście kompletnie niepojętych znaczków: 83 191 024 567. Każda z nich jest inna, poza powtarzającą się dwukrotnie 1. Co on może z tym począć? Nic. W tym punkcie właśnie jestem. Załóżmy, że tamten kryptograf wpadnie na genialny pomysł, iż to są cyfry, jak jednak miałyby wpaść na to, że odpowiadają one ułożonym w alfabetycznym porządku niderlandzkim liczebnikom od „jeden” do „dziesięć”? Na początku mamy „a” od ósemki (acht), na końcu „z” od siódemki (zeven). Jak miałyby dojść do tego, że liczebnik „osiem” odpowiada znaczkowi „8”? Nawet nie zna systemu dziesiętnego, nie mówiąc o języku niderlandzkim. Jak, na Boga, miałyby odkryć, że oto ma przed sobą nieśmiertelną *Opowieść od a do z* autorstwa niejakiego doktora Quista? Gdzie jest klucz? A jednak musi i chce to odkryć! I c o t y n a t o ? – wykrzyknął nagle do trzymanego w rękę zdjęcia. – Halo! Jest tam kto? Nie rozumiem! Zakłócenia na linii! – Rzucił zdjęcie na podłogę i ukrył twarz w dłoniach. – Jestem kompletnie zablokowany.

Helga zamknęła książkę, trzymając palec wskazujący na stronie, którą właśnie czytała.

– A wiesz, dlaczego jesteś taki zablokowany? – spytała z czymś śpiewnym w głosie.

– Nie mam pojęcia – powiedział Onno z udawanym płaczem – nie mam pojęcia. Może jest tak, że w życiu człowiek dokonuje tylko jednego odkrycia?

– A może raczej przez te noce przebalowane z nowym przyjacielem?

Udawany grymas bóleści zniknął z twarzy Onna; usiadł prosto i spojrzał na nią.

– Nie mówisz poważnie.

– Ależ jak najbardziej. Czy ty właściwie zdajesz sobie sprawę, jakie to rodzi naPiecie?

– Helga! – zawołał zdumiony. – O co ci chodzi?

– Nie wiem, o co tobie chodzi, wiem tylko tyle, że od kiedy go poznałeś, wsiąkłeś kompletnie. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo się ostatnio zmieniłeś.

– W jakim sensie?

Helga odłożyła książkę i skrzyżowała ręce na piersiach.

– Moim zdaniem przez cały czas jesteś myślami przy nim, a nie przy swojej pracy. Wracasz do domu, kiedy ja wychodzę do instytutu. Jak on to robi? Przecież jest chyba astronomem? Czy nie powinien nocami obserwować gwiazd?

– Przecież ja też nie jeżdżę do muzeum w Heraklionie, żeby studiować moje znaczki. I mam czas się wyspać.

Podniósł się z kanapy i podszedł do okna. To prawda, że mniej teraz myślał o pracy, ale czy to taki grzech? Dzięki temu myślenie nie zamieniało się w zwykłe gonienie w piętę, które znacznie bardziej szkodzi myśleniu niż niemyślenie. Jego wymiana myśli z Maksem stanowiła przecież w pewnym sensie to „coś innego”, czym się zajmował. Ona jest po prostu zazdrosna.

– Czy ty nie jesteś czasem zazdrosna?

– Chcę tylko twojego dobra.

Onno nabrał głęboko powietrza i odwrócił się w jej stronę.

– Słuchaj, tego, co jest między Maksem a mną, nigdy nie będzie między tobą a mną, a tego, co jest między tobą a mną, nigdy nie będzie między mną a Maksem. To jasne jak słońce i szkoda marnować na to bodaj jedno słowo więcej. Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że i tak za wiele słów już zmarnowaliśmy.

Helga podniosła się z miejsca, zrobiła kilka kroków w jego stronę, zatrzymała się i rzekła:

– Onno, radzę ci uważać.

– Jezuu, na co mam znowu uważać? – spytał zdumiony.

Helga wykonała bezradny gest.

– Nie mam pojęcia.

- Aha - powiedział Onno, podchodząc do niej. - Słynna kobieca intuicja. - Nieporadnie przytulił ją do siebie. - Jaka szkoda. Kobiety mają wszystko: rozum, uczucia, wolę, ale tylko mężczyźni mają intuicję. To dlatego nie ma na świecie ważnych rzeczy stworzonych przez kobiety, a nie dlatego, że kobiety ciągle siedziały w kuchni, bo nawet najlepsi kucharze to zawsze mężczyźni. Przykre, ale prawdziwe. Kobiety potrafią tylko jedno, czego nie potrafią mężczyźni, a mianowicie potrafią rodić mężczyzn. A to już naprawdę coś.

Helga uwolniła się z jego objęć.

- Czemu zawsze, kiedy próbuję z tobą porozmawiać, ty zaczynasz paplać?

- Hm, wiesz, co powiedział Napoleon? Że wszystkie wojny, jakie prowadzi, to drobiazg w porównaniu z wojną, jaka wybuchnie kiedyś między mężczyznami a kobietami. Dlatego już teraz mogę ci uroczystie przysiąc, że kiedy przyjdzie na to pora, jako pierwszy zdradzę własną płęć, chociaż wiem, że przyjdzie mi za to słono zapłacić.

- W porządku, Onno. Dajmy spokój. Jesteś niezdolny. - Helga sięgnęła obiema rękami do włosów z tyłu głowy, upychając kosmyki, które wysunęły się spod klamry. - Pójdziemy do parku?

W tym momencie ktoś zawołał z dworu:

- Heja, heja, Onno!

Popatrzyli na siebie obydwójce i wyrzeli, każde z innego okna. Na dole, oparty o budkę telefoniczną nad brzegiem kanału, stał Maks z rękami w kieszeniach i z gazetą pod pachą.

- Psze pani! - zawołał do Helgi, naśladując piskliwy głos podrostka. - Czy Onno może wyjść na dwór się ze mną pobawić?

Onno i Helga znowu popatrzyli na siebie, wychyleni każde ze swojego okna. Katastrofa. W jednej chwili oboje wiedzieli, że to koniec - że w swojej niewinności Maks nagle obnażył sedno ich związku.

Po kwadransie Onno znalazł się wreszcie na dole.

- Co ty, musiałeś najpierw odrobić lekcje? - spytał Maks.

Onno nie patrzył na niego. Szedł obok, wściekły.

- Jak mogłeś zrobić coś takiego przyjacielowi... Skończone. Twoja wina. Zostawiłem klucz od domu na stole.

- Moja wina? A co ja takiego zrobiłem?

- Nic ci do tego. Nie gadam z tobą więcej. - Onno zatrzymał się i popatrzył na Maksa z obrzydzeniem. - Wiesz, jaki jest z tobą problem? - A kiedy Maks popatrzył na niego pytająco, dokończył: - Nie wiesz? Naprawdę?

- Nie mam bladego pojęcia.

- Ach, nie wiesz, tak? No to ja ci powiem: otóż twoja intuicja mi nie odpowiada, rozumiesz? Twoja intuicja zupełnie, ale to zupełnie mi nie odpowiada.

Maks nie miał pojęcia, do czego miała to być aluzja; jeśli chodzi o układy między Onnem a Helgą, to nic na ten temat nie wiedział. Nigdy nie rozmawiali ze sobą o kobietach, tak samo jak nie rozmawiali o samochodach, pieniądzech czy sporcie. Co najwyżej o „kobiecie jako takiej”, jak zwykł mawiać Onno – natomiast nigdy o własnych przyjaciółkach. Maks nie mówił o swoich, ponieważ sam nie zadał sobie trudu, żeby je bliżej poznać – no i dlatego, że Onno uznałby to za zbyt obrzydliwe, by tego słuchać – a Onno nie mówił o Heldze, ponieważ dżentelmeni tego nie robią. Tych kilka razy, kiedy Maks się z nią spotkał, prawie ze sobą nie rozmawiali – nie dlatego, że Maks miał coś przeciwko niej, ale po prostu dlatego, że w jego odczuciu należała do zupełnie innego świata. Sam z siebie nigdy w życiu nie zwróciłby na nią uwagi, nawet gdyby przez godzinę siedział naprzeciwko niej w pociągu; na jej przykładzie stwierdził przy okazji, że całkowicie różni się od Onna. Nie potrafił wyobrazić sobie kobiety, która mogłaby wpaść w oko im obu.

Maks nigdy nie był w mieszkaniu Helgi przy Kerkstraat, nigdy też Onno nie zaprosił go do domu rodziców. Onno zwykł mawiać, że świat dzieli się na gości i na gospodarzy i że on sam z natury zalicza się do tej pierwszej kategorii; a poza tym tak mu wygodniej. Tak mawiał Onno, ale nie to był prawdziwy powód. Wprost nie do pomyślenia było, żeby przedstawił Maksa w swoim domu, swojej rodzinie, ojcu, chociaż oczywiście wszyscy oni od dawna już słyszeli w Hadze – unosząc brwi z wyrazem lekkiego zdziwienia – że łączy go osobliwa przyjaźń z synem Deliusa, więc w zasadzie nie byłoby od rzeczy poznać bliżej tego osobnika. Nie, przyczyna tkwiła także w nim samym, bo i on miał w sobie taki obszar, do którego nikogo nie dopuszczał, nawet Maksa, nawet Helgi, a nawet siebie samego. Tam właśnie, w tym nieprzytulnym, jałowym miejscu, kryła się klasztorna szkoła, klauzura kartuzów, gdzie panowało lodowate milczenie – coś, co czyhało na niego groźnie i o czym wolał nie myśleć i o czym nigdy nie rozmawiał z Maksem.

Narzekając, szedł brzegiem kanału, zgarbiony, z opuszczonymi ramionami, jak człowiek złamany.

- I co ja teraz zrobię? Zniszczyłeś mi życie. Już nigdzie nie mieszkam, a ty mieszkasz, mnie zostaje tylko nędzne schronienie przed deszczem i wiatrem. Kto mi będzie robił pranie? Teraz już tak na amen doprowadziłeś mnie do zguby, i o to właśnie cały czas ci chodziło. Mam skończyć w rynsztoku, zebrzący o jałmużnę z rozczochranymi włosami, potarganą brodą i chorym spojrzeniem. I po co tam w ogóle przychodziłeś, łajdaku? Co chciałeś zrobić?

- Ja nigdy nie przychodzę, żeby coś zrobić - powiedział Maks. - Mam po prostu wspaniałą wiadomość. Właśnie byłem u dentysty, w poczekalni leżał stary numer „Time’a”. Jest tam bardzo ważny artykuł o nas dwóch.

- O nas dwóch? - powtórzył Onno. - W „Time”?

Maks rozłożył gazetę i pokazał wspomnieniowy artykuł o pożarze Reichstagu, który miał miejsce 27 lutego, trzydzieści cztery lata temu.

- No i co z tego?

- Człowieku! Chyba pamiętasz, że ja się urodziłem 27 listopada 1933 roku, a ty prawidłowo też powinieneś się urodzić tego samego dnia? Sami przecież stwierdziliśmy, że musimy być jednojajowymi bliźniakami! Nadal nie rozumiesz? Dziewięć miesięcy! Zostaliśmy poczęci w dniu pożaru Reichstagu! Kiedy Lubbe podpalał kotary, w Hadze nasi rodzice właśnie na siebie włązili!

Onno stanął jak wryty, wyprostował się na całą długość swego ciała i triumfalnie wyciągnął w górę ramiona, a na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Gdzież jest, o śmierci, twój oścień! - wykrzyknął. - Znów zaczynam żyć!

6

Jeszcze jedno spotkanie

Dwa miesiące później - odświętność ich przyjaźni nie wykazywała jeszcze żadnych oznak osłabienia - Onno miał spotkanie z kolegą z Jeruzolimy w Królewskim Muzeum Historii Naturalnej w Lejdzie. Nadal nie posunął się ani o krok w odszyfrowaniu napisu, a Izraelczyk był równie ciekaw jego postępów, jak on jego. Kiedy później, około południa, Onno wyszedł z ogromnego budynku, Maks czekał na niego w słońcu koło dziwacznej małej budowli, przytykającej do gmachu muzeum przyrodniczego - oczy miał zamknięte, a głowę odchyłoną do tyłu. Umówili się, że Maks pokaże mu obserwatorium.

Onno wyraził pogardę dla bezmózgowców opalających się na słońcu - jego własne blade, kalwińskie ciało nigdy nie widziało słońca - Maks jednak powiedział, że opalenie się należy do jego obowiązków zawodowych; w końcu Słońce to przecież gwiazda. Ruszyli do miasta, żeby najpierw napić się gdzieś kawy. Onno z ulgą opowiadał, że Landau, jego najpoważniejszy rywal, najwyraźniej także nie poczynił żadnych postępów; jednym słowem, niebezpieczeństwo na jakiś czas zostało zażegnane. Niewielkie miasto z niskimi domami zajmowało ich w inny sposób niż Amsterdam: był to rodzaj czułości, zapewne takiej samej, jakiej doznaje ktoś z Londynu czy Nowego Jorku, przyjechawszy do Amsterdamu.

- Tak sobie idziemy tymi ulicami – mówił Maks – a kiedy na ciebie czekałem, to mi się pomyślało o dwóch innych facetach, którzy też tędy chodzili.

- Wszyscy chodzili tymi ulicami. Nawet Einstein.

- Właśnie, z Lorentzem i De Sitterem, ale to nie o nich mi chodzi.

Chodziło mu o Freuda i Mahlera. O ile dobrze sobie przypominał ich biografie, było to latem roku 1908. Freud mieszkał w pensjonacie w Noordwijk, skąd miał pojechać do Włoch, kiedy przyszedł telegram z Wiednia: Mahler ma problemy, cierpi na impotencję i nie może sypiać z żoną Alną, która później miała jeszcze zawrócić w głowie Franzowi Werflowi, Walterowi Gropiusowi i Oskarowi Kokoschce. Koniecznie trzeba mu natychmiast pomóc. Mahler wsiadł w pociąg do Lejdy, gdzie spotkał się z Freudem w hotelu. Następnie cztery godziny spacerowali po mieście i Mahler został poddany czemuś w rodzaju pierwszej pomocy psychoanalitycznej, która w dodatku, zdaje się, odniosła jakiś skutek.

Mała dziewczynka przymocowuje sznur do słupa latarni, zaczyna kręcić tym sznurem, druga kilka razy kiwa się w tym samym rytmie w przód i w tył, a potem wskakuje do kreślonego w powietrzu jaja i rozpoczyna się skakanie przez sznur – i dokładnie tak samo płynnie, *mutatis mutandis*, Onno włączył się w anegdotyczną opowieść przyjaciela.

- Ach, tak, *Herr Obermusikdirektor*, więc cierpi pan na nadmiar potencji. W mojej psychoanalizie stworzyłem na to termin „astronomiczna satyriasis”. Obraz choroby nawet u specjalistów, obeznanych przecież z ciemną stroną ludzkiej natury, budzi odruch najwyższego obrzydzenia.

- No ale kiedy to takie przyjemne! – odrzekł Maks płaczącym tonem. – Proszę mnie więc z tego wyleczyć, Herr Professor. Ja już nie chcę, żeby mi to sprawiało przyjemność. Ja też chcę być monogamiczny, tak jak pan, albo być impotentem, bo jak to właściwie z panem jest? Zapłacę podwójnie.

- Skoro jednocześnie zaczął pan mówić o pieniądzach, wskazuje to na erotyczną fiksację analną, wywołującą przed oczyma mojej duszy obrazy, przed którymi cofnąłby się nawet Dante. Czy dobrze usłyszałem, że to się panu podoba? To przecież nie może być prawda.

- Ależ tak!

- Zdarza się, że nawet doświadczony alpinista stanie oko w oko z tak otchłanną przepaścią, iż mówi sobie: „Nie, to już zbyt wielkie szaleństwo”. Kiedy opowiem o tym mojemu przyjacielowi Ferencziemu, na pewno stwierdzi: „Możesz mi wmawiać, co chcesz, Siggie, ale czegoś takiego po prostu nie ma”.

- Ale ja jestem!

– To, że ty jesteś, rzeczywiście stanowi ostateczne *mysterium tremendum ac fascinans*. Wiele rzeczy widziałem w moim gabinecie, Małego Hansa, Wilkołaka, i „wszyscy są idiotami”, ale spotkanie z takim zjawiskiem jak ty pozbawiło mnie resztek wiary w człowieka. Z twojego obrzydliwego sposobu życia wnoszę, że w swojej seksualnej histerii masz ochotę kopulować ze wszystkimi kobietami, przy czym twoja lubieżna satyrowa potencja z bezsilną wściekłością uświadamia sobie własne ograniczenie do tego, co żyje. Kobiety z przeszłości przeszły ci koło twego monstualnego nosa, a te z przyszłości koło niego przejdą. Najchętniej posiadłbyś za jednym zamachem wszystkie kobiety w całej czasoprzestrzeni, pod postacią kobiety kobiet: nadkobiety. Czy myślę się, suponując, *mein Lieber*, iż imię twojej matki było Ewa?

– *Donnerwetter!* – zaśmiał się Maks. – Zgadza się! Teraz rozumiem, dlaczego mój *Nervenarzt* doradził mi konsultacje u pana.

Nigdy nie podał Onnowi imienia swojej matki, i stwierdzenie, które teraz usłyszał, lekko go zaszokowało.

– Przejrzałem pana na wskroś, *Herr Generalkapellmeister*.

– Skoro jednak moją matką jest Ewa, *verehrter Herr Doktor*, to czy ja jestem Kainem, czy Ablem?

Teraz Onno z kolei stracił na moment kontenans, ale nie na długo. Zatrzymał się i wykrzyknął:

– Wszchemogący nie przyjmie pańskiej ofiary, po siedmiokroć przeklęty! Tylko moja znajdzie u niego łaskę!

Kiedy Onno wypowiedział te słowa z pewnością, której tajemnicę znał jedynie on sam, spojrzenie Maksu padło na witrynę antykwariatu. Stali na wąskiej uliczce za kościołem Świętego Piotra, wystrzelającym ponad niskie domy starego miasta niby szczyt Jungfrau.

– No popatrz tylko. O wilku mowa, a wilk tu. – Wskazał przyjacielowi egzemplarz książki Almy Mahler *Mein Leben*. – Chodź – powiedział, kładąc dłoń na klamce – dostaniesz ode mnie w prezencie. Jako honorarium za psychoanalizę.

*

W świecie pełnym wojen, głodu, ucisku, zagrożenia, nudy co jest – poza wieczną niewinnością zwierząt – wyrazem nadziei? Matka z nowo narodzonym dzieckiem na ręku? Ale przecież dziecko może skończyć jako morderca albo ofiara morderstwa, tak że pełen nadziei obraz będzie tylko rodzajem przecucia piety: matki z dopiero co zmarłym dzieckiem w objęciach. Nie, wyrazem nadziei jest ktoś, kto mija cię z instrumentem muzycznym w futerałach. Nie wnosi nim nic do dzieła ucisku ani do dzieła wyzwolenia, ale do tego, co trwa w jednym i w drugim. Chłopak na rowerze, z gitarą w powycieranym pokrowcu z dermy na plecach, dziewczyna czekająca na tramwaj z pękatym futerałem na wionlonczelę. Święte pomieszczenia pod koncertowymi scenami, gdzie wszędzie muzycy orkiestrowi na stołach, krzesłach i podłodze otwierają futerały, wyjmują z nich błyszczące i skrzące się instrumenty, a w futerałach zostają ich odciski: negatywy klarnetów, fletów poprzecznych, fagotów z ustnikami i dodatkowym wyposażeniem, zastygłe w delikatnym, zbitym aksamicie. I podczas gdy powietrze stopniowo wypełnia się stłumioną kakofonią dźwięków wszystkich instrumentów, krążących wokół „a”, jak wróble, mewy i szpaki, i drozdy wokół kromki chleba, wieka wysokich na człowieka mieszkań kontrabasów stoją otwarte jak drzwi do innego świata...

A może wyrazem nadziei jest ta młoda kobieta, która po próbie chowa wionlonczelę do futerału i zamyka wieko?

Zbiera rozsypaną partyturę z pulpitu i starannie układa kartki we właściwej kolejności, aż po stronę tytułową, która ląduje na wierzchu: *Pohádka*. Proste, niemal po japońsku czarne włosy obcięte na pazia okalają jej bladą twarz, tworząc czysty prostokąt. W jedwabistym rozkołysie podążają za każdym ruchem głowy, aby na koniec za każdym razem zastygnąć z matematyczną precyzją w pierwotnym układzie. Twarz dziewczyny jest surowa, usta nieco zaciśnięte jak u kogoś, kto wie, czego chce. Jej pianista, nieco korpulentny młody człowiek o gładkich rudawoblond włosach i szerokiej twarzy, siedzi pochylony do przodu, z rękami skrzyżowanymi na fortepianie, opiera się na brodzie i patrzy w jej brązowe oczy o głębokim odcieniu pod jeszcze ciemniejszymi od nich, ostro zarysowanymi brwiami.

– O czym myślisz, Ada?

Jego studio, wielkie, prostokątne pomieszczenie w dawnym budynku szkoły, wypełniają obiekty kolekcjonerskiej pasji: rzędy starych walizkowych gramofonów, ułożonych równo pod ścianą, zakurzone trąby, wiolonczele i inne instrumenty muzyczne, zapchane książkami półki, ciężkie stoły z targów staroci, zavalone stosami partytur dawnej muzyki salonowej, rzędy płyt na siedemdziesiąt osiem obrotów w podartych papierowych kopertach, poprzecierane perskie dywany na podłodze i kilka wielkich foteli z brązowej skóry, żeby było na czym usiąść, wziąć do ręki książkę i oderwać się całkowicie od świata.

- O tym, że ta koda ciągle jeszcze jest niedobra. Absolutnie nie możemy z czymś takim wystąpić.

Jest młodsza od niego, dopiero od niedawna w konserwatorium, w którym on uczy w klasie fortepianu, nie ulega jednak wątpliwości, że to ona decyduje w tym duecie, który tworzą. On jest dobrym pianistą, co znacznie mniej go obchodzi niż mnóstwo innych rzeczy, takich na przykład, jak archeologia muzyki rozrywkowej. Założył zespół, żeby wykonywać taką właśnie muzykę, którą słuchacze przyjmowali z uśmiezkami niezbyt pasującymi do pietyzmu, z jakim wykonywali ją muzycy. On sam oczywiście nie może się śmiać – chociaż prawdę mówiąc, on nie śmieje się nigdy, całą swoją osobowość zbudował na postanowieniu, że nigdy nie będzie się śmiał. Często był to powód śmiechu innych, chociaż rzadko kiedy ktoś płacze tylko dlatego, że ktoś inny nie płacze nigdy. Brakuje mu ambicji, by rozwijać się jako pianista. To, że występuje także z Adą, mniej wiąże się z muzyką, bardziej zaś z samą Adą, i ona zdaje sobie z tego sprawę. Jednak godzi się z tym. Występowali kilka razy w klubach studenckich, ale przyniosło im to tylko jedną życzliwą wzmiankę w gazecie. Ona widzi przed sobą większe perspektywy jako solistka, perspektywy międzynarodowe, tam koncerty wiolonczelowe odgrywają jakąś rolę, słynni dyrygenci, sceny Paryża i Mediolanu. Rostropowicz! Pablo Casals!

- Wyskoczmy na miasto coś przekąsić?

Tego pytania się spodziewała i ma mu za złe, że znowu wprawia ją w zakłopotanie. W końcu powinno już do niego dotrzeć, że nie ma na co u niej liczyć. Oczywiście mogłaby mu powiedzieć, że nie pójdzie z nim do łóżka, ale wtedy on stwierdziłby, że wcale o to nie pytał, chociaż naprawdę o nic innego mu nie chodzi. Pewnie uważa ją za oziębłą, i taka może nawet jest – mimo swoich dwudziestu jeden lat nigdy jeszcze nie spała z mężczyzną – ale przecież chyba da się z kimś pracować bez tego rodzaju konsekwencji. A może raczej powinni przerwać współpracę, skoro rzeczy mają się tak, jak się mają? Następny krok, do którego ona zmierza, to trio albo kwartet. Literatura na wiolonczelę i fortepian jest zbyt skromna, żeby mogli dłużej pociągnąć. Ona szuka ludzi o motywacjach m u z y c z n y c h , dopóki ich jednak nie znalazła, jeszcze go potrzebuje.

– Nie pogniewasz się, Bruno, jak pójdę po prostu do domu? Chciałabym się jeszcze pouczyć.

– Przecież jedno nie wyklucza drugiego! W końcu jeść trzeba.

Ada przytakuje.

– To prawda. Ale wiesz, jak to jest.

– No jak?

Ada zupełnie nie chce tej rozmowy. Tak się dzieje w małżeństwach po dziesięciu latach, kiedy partnerzy nic już w sobie nie widzą: napieranie, nadzieja, rezygnacja – a na horyzoncie groźba przemocy.

– Daj mi już spokój. – Jest gotowa do wyjścia, z jedną ręką na rączce futerału, druga zaciśnięta w nieszczęśliwą piąstkę, czterema palcami obejmująca kciuk, żeby nikt nie zobaczył, że obgryza paznokcie, chociaż przez to widać to tym wyraźniej. – Do jutra.

Z przypominającym sarkofag futerałem na wiononczelę w ramionach idzie po schodach do wyjścia. Studio Brunona znajduje się niedaleko domu jej rodziców, gdzie Ada wciąż jeszcze mieszka, i po drodze staje jej przed oczyma obraz ze snu, jaki miała poprzedniej nocy: rozległa zatoka z wąską, wysoką, bursztynowej barwy chmurą nad powierzchnią morza, w formie prastarego, pokrzywionego pnia drzewa, które powoli zmienia kształt... Próbuje uchwycić ten obraz, przypomnieć sobie więcej – już prawie widzi niewyraźny zarys czarnej, dziwnie rozciągniętej wszerek postaci w szpiczastej czapce i z długą szyją – ale w tej właśnie chwili klakson przejeżdżającego w pędzie auta i stukający w czoło palec kierowcy kładą temu kres.

Przechodzi ścieżką za domem i wchodzi tylnymi drzwiami do kuchni, gdzie jej matka związuje właśnie białą nitką blade, zdekapitowane zwłoki kurczaka. Jest wysoka i chuda, nieco wyższa od córki, i pilnuje, żeby cały czas mieć proste plecy. Jej oczy spoglądają na Adę spod czarnych, upiętych do góry włosów, spojrzenie jest chłodne, podejrzliwe, chociaż nie ma po temu żadnych specjalnych powodów.

– Jak poszło?

– Dobrze.

– Herbaty?

– Chętnie.

Ada chce wejść po schodach na górę, ale matka mówi:

– Nie możesz teraz iść na górę, bo tata właśnie maluje twój pokój.

Ada gniewnie zatrzymuje nogę nad pierwszym stopniem.

– Co to znowu za idiotyczny pomysł? Czy ja o to prosiłam?

– Nie bądź zawsze taka niemiła, on to przecież robi dla ciebie! Posiedź przez ten czas na dole, za godzinkę powinien skończyć.

- Co mu nagle strzeliło do głowy, żeby malować mój pokój? Czy nie ma nic lepszego do roboty?

- Sama go o to zapytaj, ja nic nie wiem. Wszedł na górę i powiedział, że twój pokój wymaga pędzla.

- Wariactwo jest uciążliwe - mówi Ada i z instrumentem idzie do pokoju w głębi, w którym jadają i przebywają za dnia.

Cieszyłaby się, gdyby mogła się stąd wynieść i sama decydować o swoim życiu. Najgorsze są dobre intencje, bo wpędzają ją w bezsilność. Jej matka to ścierwo, ale ojciec to dzielny wolnomyśliciel, niemający w sobie ani cienia zła. Gdyby była w nim chociaż odrobina zła, potrafiłby to przynajmniej pojąć. Na przykład swoją żonę. Największym pragnieniem Ady jest własne mieszkanie, w którym mogłaby się odciąć od wszystkiego. Chciałaby chodzić na próby, podróżować, występować, odnosić sukcesy - ale potem zawsze wracać do mieszkania z wyłączonym dzwonkiem i telefonem, z odłączonym radiem i telewizorem, albo nawet bez nich, żeby w pełni rozkoszować się muzyką lub czytaniem poezji albo żeby godzinami po prostu nic nie robić i tylko rozmyślać, bez obawy, że ktoś koniecznie będzie chciał wejść do jej pokoju. Na razie jednak nie miała na to pieniędzy, także ojciec nie mógł jej pomóc.

Ada wzdyga się, kiedy matka stawia obok szklanek z herbatą i kawałek ciasta.

- O czym myślisz?

- O niczym.

- Jak tam było z Brunonem?

- W porządku - Ada z poirytowaniem stwierdza, że matka wciąż na nią patrzy. - O co chodzi?

- Czemu gdzieś z nim nie wyjdiesz? To taki miły chłopak.

- Dobra, dobra, może byś się tym jednak nie zajmowała, co? A ty wychodzisz z tatą?

- No i po co się tak od razu irytujesz? Nie zaszkodziłoby, gdybyś się trochę rozerwała.

- Pozwól, że to będzie moja sprawa.

Kiedy matka wychodzi z pokoju, Ada otwiera partyturę i z ołówkiem w rękę zaczyna studiować nuty. Nawet trzymając kartki do góry nogami, potrafi dostrzec, że utwór jest wstrząsający. Nie było po prostu tak, że Ada „słyszy” to, co widzi, ona raczej widzi to, co słuchacz widzi, słuchając: piękno struktury, istniejące w przestrzeni jako kartka partytury, natomiast jako słuchana muzyka istniejące wyłącznie w czasie. Dlatego właśnie nie przepadała za powieściami, które czyta się w ciszy, wołała raczej poezję, której potrzebny był też dźwięk. Nie było tak, że ona wszystko to myślała dosłownie, jednak to, co rozgrywało się w jej umyśle, kiedy patrzyła na nuty, od czasu do czasu wybijając lewą ręką wyimaginowany takt, opierało się właśnie na tym – zupełnie jak u dziecka, które mówi w ojczystym języku, nie znając przecież jego gramatyki.

Ada kładzie partyturę na podłodze, wydobywa wiolonczelę z futerału i przykręca nóżkę. Napiąwszy smyczek, podchodzi do drzwi i odsuwa je ramieniem; ciasne pomieszczenie ją ogranicza. Ustawia instrument między udami, opiera o nie, i z głową odwróconą w bok, w stronę nut, zaczyna grać, słysząc jednocześnie to, czego nie gra Bruno, od czasu do czasu nuci też pod nosem.

Maks otworzył drzwi antykwiariatu i zamarł bez ruchu z dłonią na klamce. Zaszuchany wyciągnął w górę palec wskazujący.

– Janáček – powiedział po kilku sekundach. – To nie płyta. Ktoś tam gra.

Nie zadzwonił dzwonek. Maks położył palec na ustach i cichutko wszedł do środka. Śpiewny ton wiolonczeli rozbrzmiewał w niewielkim pomieszczeniu zastawionym książkami. Wypełniały one po sufit nie tylko zbite z desek regały, ale stały też po lewej i prawej stronie w wysokich stertach – prawdziwa dżungla książek z wąskimi ścieżkami. Onno zatrzymał się, ale Maks szedł dalej, krok do przodu, krok w bok, wzdłuż stosów książek, pudeł, czasopism, „Architektura”, „Literatura dla dziewcząt”, „Judaica”, „Przewodniki”, skręt za róg, znowu kilka kroków do przodu – i ujrzał Adę siedzącą w pokoju na zapleczu: w obszernej białej bluzce z długimi rękawami i malutką stójką, odwrócona głowa, wiolonczela między szeroko rozstawionymi nogami. Lewa stopa elegancko wysunięta trochę do przodu; jej szeroka czarna spódnica była podciągnięta i Maks ujrzał wąskie kolano, a potem przejście między skrajem północy i jasnym ciałem uda.

Chyba zwariuję, pomyślał. Wrócił na palcach tą samą drogą i szepnął:

– Obowiązek wzywa. Zobaczymy się zaraz „Pod Złoconym Turkiem”.

Onno skinął głową z pobłażaniem.

– Do zobaczenia, nieszczęsny.

Serce Maksa biło jak szalone. Za każdym razem wszystko było tak samo nowe jak za pierwszym. Stał tak, żeby nie być widzianym. Kiedy słuchał, patrząc jednocześnie na nią, coś się w nim zmieniło. Podniecenie wprawdzie nie zniknęło, lecz z wolna otworzyła się za nim jakby dodatkowa przestrzeń, zupełnie jak w teatrze, kiedy kurtyna idzie w górę. Ponieważ Ada była tak bez reszty zatopiona w sobie, muzyka sprawiała wrażenie, jakby składała się ze słyszalnej ciszy, uformowanej ciszy, przypominającej jakąś geometryczną figurę, którą Ada rozciągnęła wokół siebie. Od czasu do czasu przerywała, szukając czegoś końcem smyczka w partyturze: wtedy zapadała cisza w ciszy. Jej czarno obramowana twarz; różowawy blask skóry ud obejmujących wcięte pudło rezonansowe, lewa dłoń na szyjce wiolonczeli; obok otwarty futerał. Maksowi przemknęło przez głowę zdanie z wiersza Mallarmégo: *Musicienne du silence...* Dlaczego przemknęła mu przez głowę akurat fraza z Mallarmégo? Chciał się z tą dziewczyną przespać, ale w tym nie było nic szczególnego, zwykły chleb powszedni – szczególne było to, że do głowy przyszła mu fraza z wiersza Mallarmégo. Normalnie nigdy nie przychodziły mu do głowy frazy z wiersza Mallarmégo. Gdyby chciał, mógłby oczywiście wygrzebać parę z pamięci, takie jak: *Un coup de dés n'abolira pas le hasard* – ale to było raczej coś jakby tytuł; przywodziło na myśl słowa Einsteina, być może wypowiedziane właśnie tutaj, w Lejdzie: „Bóg nie gra w kości”.

Wpatrywał się w nią, zagubiony między książkami. Nad głową słyszał jakieś stukanie. Czyżby chciał czegoś więcej niż tylko pójść z nią raz czy dwa do łóżka?

W spontanicznym odruchu wszedł nagle do pokoju.

Jego pojawienie się tak przestraszyło Adę, że cała zadrżała. Gapiła się na niego szeroko otwartymi oczami. Reakcja jej ciała, jako coś silniejszego od niej samej, wobec czego była bezbronna, jeszcze bardziej go do niej przyciągnęła.

– Chciałbym kupić książkę, ale nikt się nie pojawił – powiedział Maks. – A wtedy zacząłem panią podsłuchiwać. *Ein Märchen*.

Tak brzmiał tytuł utworu: widocznie go znał. Znacznie bardziej jednak zdumiała ją bezpośredniość, z jaką się do niej zwracał. Mężczyźni zawsze trochę się jej bali, zupełnie jak ona bała się matki, ten natomiast najwyraźniej w ogóle tego nie miał.

– Podsłuchiwanie to rzecz raczej mało elegancka.

Maks wybuchnął śmiechem.

– I to mówi *musicienne*! Narząd słuchu jako aparatura podsłuchowa!

Z nożem do mięsa w dłoni weszła do pokoju matka Ady: zgrabna, szczupła kobieta, emanująca surowością. Miała szeroki podbródek i wąskie usta. Gdyby była w habitie zakonnicy, można by powiedzieć, że weszła siostra przełożona.

– Czyżbym słyszała głosy?

Ada pokazała smykkiem na Maksa.

– Klient.

– Dzień dobry pani.

Maks zauważył pełne dezaprobaty spojrzenie ciemnych oczu spod czarnych brwi, nieco uniesionych na końcach.

– Czyżby dzwonek nie działał? – matka Ady przeprosiła za kłopot i krzyknęła przez korytarz na górę: – Oswald! Ktoś przyszedł do sklepu!

– Miły sklepik – stwierdził Maks, idąc po schodkach i rozglądając się. – Ale pani tu mieszka, więc pewnie nigdy tu pani nie buszowała.

– Mój ojciec najczęściej wie, czego mi potrzeba.

Jego wzrok padł na album z barwnymi zdjęciami: olśniewające, wysadzone drogimi kamieniami złote jaja Fabergégo, które rosyjski car zwykł dawać carycy w prezencie na Wielkanoc.

– Zna pani Fabergégo? – spytał, nie podnosząc wzroku.

– To kompozytor?

Sposób, w jaki bez namysłu odpowiedziała, przekonał go, że wybrał właściwą drogę.

– Coś w tym rodzaju. Złotnik.

Kiedy Maks przeglądał album, zjawił się antykwariusz. Niepozorny człowiek około pięćdziesiątki, o pofalowanych siwoblond włosach, nieco niższy od żony; tylko z ust był podobny do córki. On także zaczął się sumitować, że jeszcze przed chwilą dzwonek działał. Maks powiedział, że chciałby kupić album Fabergégo oraz wspomnienia Almy Mahler z wystawy. Uśmiechając się z zakłopotaniem, antykwariusz spojrział na swoje ręce i spytał, czy może Maks zechciałby sam wziąć tamtą książkę. Antykwariusz nawet na twarzy miał ślady farby. Idąc po książkę, Maks przeczytał napis umieszczony na szybie wystawy:

АНТИКВАРИАТ ПОСВЯЩЕНАЯ КОЛЛЕКЦИЯ

Maks pokazał ceny na obwolutach i powiedział, że nie trzeba pakować. Zapłaciwszy, wrócił jeszcze do pokoju na zapleczu. Dziewczyna wciąż siedziała w tej samej pozycji z wiolonczelą i odpowiedziała spojrzeniem na spojrzenie. Maks podszedł do niej i wręczył jej album o Fabergém.

– To dla pani. Prezent za kodę.

– No nie, nie trzeba. – Ada zaczerwieniła się zawstydzona. Odłożyła wiolonczelę i wstała, żeby przyjąć album. – Jaki miły gest... – powiedziała ze śmiechem. Jej przednie zęby były nieco szersze i nieco dłuższe od pozostałych.

Maks odwrócił się w stronę jej ojca.

– Czy pozwoli pan, że porwę pańską córkę na filiżankę kawy?

Starając się za wszelką cenę nie pobrudzić farbą kasy, ojciec Ady praktycznie nie widział całej sceny i mruknął, że to zależy tylko od niej.

Maks wyciągnął rękę do Ady.

– Delius Maks.

Ada podała mu swoją.

– Ada Brons.

7

Obserwatorium

Lokal „Pod Złoconym Turkiem” był tuż obok, na Breestraat. Na ulicy, z ironią grając kawalera starej daty, Maks podał Adzie ramię, a ona przyjęła zaproszenie i oto, ku swemu własnemu zdumieniu, zupełnie niespodziewanie paradowała po ulicy z kompletnie obcym człowiekiem, dyskutując o Janáček. Miała tylko nadzieję, że Bruno jej nie zobaczy. Maks ostrzegał ją przed swoim przyjacielem, który miał czekać na niego w lokalu: to podobno potwór, nie człowiek i musi go traktować z przymrużeniem oka.

W rozległej kawiarni panował popołudniowy tłok, w głębi hałaśliwie popisywała się grupa studentów w swetrach, każdy ze szklanicą piwa w dłoni. Onno siedział przy stole z gazetami, już ze szklanką mleka i niedojedzonym krokietem.

– Proszę bardzo – powiedział Maks, kładąc na stole książkę. – *Mein Leben*. Dla ciebie.

– Rzeczywiście – Onno podniósł wzrok, żeby mu podziękować, i zobaczył, że Maks nie jest sam.

– Onno Quist – przedstawił ich sobie Maks. – Ada Brons.

W tym samym momencie któryś z kelnerów upuścił na ziemię tacę pełną naczyń, co wywołało gwałtowny aplauz i okrzyki studentów. Onno wstał z miejsca i podał Adzie rękę, patrząc jednocześnie na Maksa wzrokiem, który niewiele różnił się od tego, jakim Maks patrzył przedtem na jego krokiet. Przystawili dodatkowe krzesła i przez chwilę wyglądało na to, że Onno z moralnego obowiązku powróci do lektury gazety, ale tak się jednak nie stało. Odchylił się na oparcie krzesła, założył nogę na nogę, ukazując sinoblade ciało nad skrajem przykrótkiej skarpetki, i spytał jak zadowolony z siebie prowincjonalny psychiatra:

– Długo już się znacie?

– Nigdy nie było tak, żebyśmy się nie znali – powiedział Maks, spoglądając na Adę w oczekiwaniu potwierdzenia.

Kiedy nic takiego nie nastąpiło, Onno poczuł do niej sympatię.

– Zupełnie nie pojmuję, że ty, taka porządna dziewczyna, możesz wytrzymać wieki z takim osobnikiem jak ten tutaj. Ale może jego natura ma jakąś tajemną stronę, którą dotąd skrętnie przede mną ukrywał. Czym mogę cię poczęstować?

– Może woda mineralna.

– Woda – powtórzył Onno, wykrzywiając twarz z obrzydzeniem. – Woda służy do mycia zębów.

– No właśnie – powiedział Maks. – Warto, żebyś częściej o tym pamiętała.

Ada nie wiedziała, co powiedzieć. Musiała najpierw przywyknąć do sposobu, w jaki tych dwóch ze sobą rozmawia. Charakter ich rozmowy był całkiem luźny, ale jednak zupełnie różny od luzu, jaki spotykała u studentów z Lejdy, dla których maniera była właściwie jedyną treścią ich rozmów. A może ta maniera była po prostu chłopięca: jaskrawa przesada, właściwa bawiącym się chłopczkom z niższych klas. Jeśli tak będzie dalej, może się to okazać dla niej męczące. To oczywiste, obrzucają się inwektywami, bo za sobą przepadają. W Onnie była jakaś majestatyczność, Maks był inny, lżejszy: jeśli Onno był skałą, to Maks był wodą. Sposób, w jaki ją zbałamucił, był nie do odparcia, ale jednak nieco rutynowy, takie numery robił już z pewnością setki razy, poza tym za bardzo wyglądał na przygaszonego. A może to było zblazowanie? Ona sama była oczywiście sztywna i spiczniała. Maks i Onno znowu rozmawiali tylko ze sobą, o ukrytych stronach ich natury, z których jedna była straszliwsza od drugiej; właściwie ona do niczego nie była im potrzebna. Uważają ją pewnie za drobnomieszczankę, i nawet mają rację, bo nie może się z nimi równać: zaraz któryś cmoknie ją w rękę, poczęstuje błyskotliwym aforyzmem na otarcie łez i może sobie iść... Nagle poczuła, że pieką ją oczy, wymamrotała jakieś przeprosiny i wyszła do toalety.

Zamknęła drzwi kabiny i usiadła na sedesie. Co się z nią dzieje? Poznała go zaledwie dziesięć minut temu, a już siedzi i zalewa się łzami na myśl, że może nigdy więcej nie zobaczy? Nic o nim nie wie, poza tym, że zna się na muzyce, nie miała jeszcze nawet okazji go zapytać, czy może jest muzykiem. Czyżby się zakochała? A może to tylko zwykłe wahania nastroju, bo zaraz będzie miała okres? Każda nowa miesięczka oznaczała: znowu nie będzie dziecka, ale przecież dopiero co miała okres. Co to więc znaczy? Nie był ani specjalnie przystojny, ani specjalnie brzydki, po prostu całkiem zwyczajny. Może to przez ten jego sposób patrzenia, ten wzrok, którym tak bezpośrednio i bez zahamowań na nią patrzył. Pojawił się w jej życiu tak niespodziewanie jak spadająca gwiazda, jak meteor, który nagle rozbłyskuje w atmosferze, a wtedy należy wypowiedzieć życzenie. A jej życzeniem było, żeby on nie przestał dla niej błyszczeć! Myśl o tym, że zaraz wróci do domu, do wiolonczeli i do rodziców, i że wszystko znowu będzie tak samo jak zawsze, nagle stała się dla niej nie do zniesienia. Ale skoro tak, to musi jak najszybciej stąd wyjść, zanim tamci dwaj sobie pójdą!

Kiedy Ada podniosła się z krzesła, Maks pochylił się do Onna, opierając się dłonią na siedzisku, z którego właśnie wstała, i powiedział:

– Nawet cię nie zapytam, czy ci się ona podoba, bo nie masz o tych sprawach zielonego pojęcia.

Wydając z siebie odgłos, jakby miał zaraz zwymiotować, Onno patrzył na rękę Maksu opierającą się o ciepłe jeszcze krzesło Ady.

– Dobrze widzę, co robisz, zboczeńcu.

Czy tylko o to chodziło? A może jest jednak inaczej, niż myśli Onno i niż on sam myśli?

– Zastanawiałeś się kiedyś – zaczął Maks – jak to się dzieje, że krzesło, na którym przed chwilą ktoś siedział, wydaje ci się ciepłe, natomiast nigdy nie jest tak z krzesłem, z którego ty sam się właśnie podniosłeś?

– Ciekawe zagadnienie. Jaka jest tego przyczyna?

– Były na ten temat ciekawe publikacje. To dlatego, że każdy przenosi na przedmioty swoją osobniczą ciepłotę. Ciepło to nie jest po prostu ciepło, jak kiedyś myślano, to nie tylko ruchy Browna, pobudzające bezduszne cząsteczki; każdy z nas ma swoją własną ciepłotę, której charakter jest funkcją jego własnej niepowtarzalnej osobowości. I jest na to dowód. Gdybyśmy teraz wstali, ja bym nie patrzył, a ty zamieniłbyś nasze krzesła albo ich nie zamienił, to na pewno potrafiłbym powiedzieć, które krzesło jest twoje.

– To jakieś chore teorie! – wykrzyknął Onno. – Natychmiast podnieś dupsko!

Maks podniósł się i odwrócił. Pod zniecierpliwionym spojrzeniem popijających herbatkę pań Onno zaczął suwać krzesłami i wykonywać pozorne ruchy, dla zmylenia Maksu.

– Bardzo proszę, siadaj – powiedział, wykonując zapraszający gest. – I które to moje krzesło?

Maks pokazał w stronę Ady, która zbliżała się między stolikami.

– Musimy się już zbierać, bo inaczej nikogo nie zastaniemy. Obserwatoria są nocami zamknięte. Pójdiesz z nami? – spytał Adę.

– Dokąd?

– Niespodzianka.

Idąc tak między nimi dwoma przez Rapenburg, brzegiem szacownego kanału uniwersyteckiego, zaczęła się po trosze domyślać, w czym jest towarzystwie – być może składając w całość drobne kawałki puzzli w postaci aluzji na temat zdobywców nieba i fanatyków zagadek. Przy gmachu Akademii skręcili w prawo i weszli do ogrodu botanicznego, gdzie po raz ostatni była jeszcze jako dziecko, razem z ojcem. Jakby to wyczuwając, Maks ujął jej dłoń w swoją. Był maj, mnóstwo drzew i krzewów pokryło się już zielenią, drzewa iglaste egzotycznymi kształtami nastrojowo zdradzały swoje tropikalne pochodzenie na tej samej zasadzie, na jakiej Murzyn jest Murzynem także na północy, ale bez tego głębokiego blasku, jaki ma w afrykańskim słońcu. Tabliczki przy każdym drzewie i każdej roślinie skłoniły Onna do uwagi, że najwyraźniej znaleźli się w raju, gdzie Adam właśnie dokończył dzieła nadawania nazw rzeczom.

– Człowiek został stworzony na ogrodnika! – wykrzyknął z zamaszystym gestem.

W końcu ogrodu ukazało się obserwatorium: główny budynek miał dwie kondygnacje i był zwieńczony kopułą, po obu stronach stały niższe budynki – wszystko to w pastelowych barwach, pod względem architektonicznym gdzieś pomiędzy dziewiętnastowiecznym zarządem portu i renesansowym kościołem. Z tyłu widać było jeszcze dwie mniejsze kopuły. Wszystkie te stanowiska obserwacyjne, jak zakomunikował Maks, są już tylko relikdami wykorzystywanymi w weekendy przez zrzeszonych w kółkach zainteresowań astronomów amatorów. Światło i wyziewy miasta sprawiły, że poważne obserwacje stały się niemożliwe. Prawdziwi astronomowie posługują się podobno już tylko danymi z radioteleskopów.

Gdy weszli do środka, przywitało Maksa kilku kolegów, zajętych w holu rozplątywaniem perforowanych taśm: ktoś trzymał jeden koniec na drugim piętrze, a inni przy balustradzie pierwszego piętra i na parterze próbowali rozdzielić sploty brązowego spaghetti. Zaraz miały pójść do odczytu w Centralnym Instytucie Matematycznym, dokąd trzeba je było dostarczyć rowerem.

– Nie mógłbyś ich zawieźć swoim bolidem, Maks?

– Czemu nie.

Także w sali wykładowej panował rozgardiasz: poprzedniego dnia zawalił się sufit biblioteki, i studenci oraz technicy byli zajęci wydobywaniem książek ze sterty belek i tynku.

– Czasem czuje się tak samo przygnieciony – powiedział Onno.

Na korytarzu jakaś kobieta zawołała przez otwarte drzwi, że dzwonił do Maksy Flons z Dwingeloo: podobno wykrył linie rekombinacyjne a H 166 w paśmie częstotliwości 1424,7 MHz.

– Dzięki, Til.

Maks oprowadził ich po obserwatorium, objaśniając stare przyrządy, i w pewnej chwili powiedział Adzie, że cała materia, z jakiej stworzone jest jej ciało, narodziła się w gwiazdach – po tych słowach z galanterią ujął jej dłoń i złożył na niej pocałunek.

– Tylko niech ci się nie wydaje, że to samo dotyczy materii mojego ciała – rzucił Onno – bo jeśli o to chodzi, to została ona stworzona przez moją panią matkę.

W pomieszczeniu komputerowym napotkali badawcze spojrzenie postawnego arystokratycznego pana pod siedemdziesiątkę, o rzadziejących włosach i ostrych rysach twarzy. Maks jakby się nawet lekko zmieszał. Był to sam dyrektor, jak powiedział potem, już na schodach prowadzących na pierwsze piętro – który dowiódł nie tylko tego, że Droga Mleczna się obraca, ale też tego, że ma strukturę spiralną.

W swojej pracowni, której okna wychodziły na ogród, opowiedział im o programie badawczym, w którym brał udział, o rozkładzie neutralnego wodoru w jądrze układu Drogi Mlecznej, ale z tego Ada nie rozumiała już ani słowa. Patrzyła na równo poukładane stosy teczek na półkach za jego biurkiem oraz na szkice i wzory na zielonej szkolnej tablicy. Było dla niej zagadkowe, że to ten sam człowiek, który tak niedawno bez trudu ją zbałamucił – i zaczęła się zastanawiać, czy ona kiedykolwiek nauczy się patrzeć na ludzi. W milczeniu przysłuchiwała się ich rozmowie.

Podniesionym głosem Onno zaczął się dopytywać, czy w tym budynku, w którym, jak wiadomo, wszystko idzie nie tak, nie wątpi się aby w dzieło stworzenia dokonane przez Boga. Z przepraszającym gestem Maks odpowiedział, że niestety od trzech lat jest już pewne, że wprawdzie jakieś piętnaście do dwudziestu miliardów lat temu rzeczywiście miał miejsce początek świata, lecz że powstał on w wyniku Wielkiego Wybuchu: eksplozji punktu matematycznego o nieskończonej gęstości i nieskończonej wysokiej temperaturze, w wyniku czego powstała nie tylko cała materia i energia, ale także przestrzeń i czas. Echo tego wybuchu zostało odkryte w roku 1964.

– A więc przed tym błuźnierczym Wielkim Wybuchem nic z ciebie jeszcze nie było – stwierdził Onno.

– Dokładnie tak. Nie było też czasu.

– A więc wybuchło nic.

– Można tak to określić.

– A więc nie było żadnego Wielkiego Wybuchu. Jasne jak słońce. Szyderczy śmiech z tej żalostnej teorii przez lata będzie się niósł echem po całej astronomii. Nie słuchaj tego głupka – zwrócił się Onno do Ady. – Niebo i ziemia zostały stworzone przez Boga w piątek pierwszego kwietnia roku cztery tysiące czwartego przed Chrystusem, kwadrans po dziesiątej rano, a potem Pan zobaczył, że było dobre. Zupełnie nieźle, jak na początkującego.

Maks zaśmiał się.

– Jesteś w stanie oprzeć swoją wiarę na czysto logicznych podstawach.

– Tak jest! – wykrzyknął Onno ekstatycznie. – Bóg jest logiką! Logika to Bóg! Tak jest, wierzę w to, albowiem jest to absurd.

– A pamiętasz jeszcze, co mi mówiłeś na temat paut bogów? No wiesz, chodzi o tego Boga Stworzyciela, który sam siebie stworzył w akcie stwórczym?

– Nigdy więcej nic ci nie opowiem, bo zawsze wykorzystasz to potem przeciwko mnie.

– Oducz się wreszcie lęku przed paradoksem. Chciałbyś może, żebym ci powiedział, co jest zapewne napisane na tym twoim dysku?

– Teraz już naprawdę mnie zaciekawiłeś.

– Tam jest napisane: „To, co tu jest napisane, jest nie do odczytania”.

– Bardzo dobre – uśmiechnął się krzywo Onno – bardzo dobre. Może wykonał go Epimenides, który twierdził, że wszyscy Kreteńczycy kłamią.

Adzie kręciło się w głowie. Miała wrażenie, jakby była świadkiem intelektualnego pojedynku szermierczego: zamaskowani przeciwnicy skaczą ku sobie i odskakują, między nimi raptowne błyski kling, zbyt szybkie, by za nimi nadążyć. Jak ona kiedykolwiek dotrzyma im kroku? Ale może to wcale nie jest konieczne, może wręcz niepożądane? Może to jest z góry zarezerwowane tylko dla nich dwóch?

Kiedy Maks dzwonił do Florisa w Dwingeloo, żeby porozmawiać o najnowszych pomiarach, Onno podszedł do okna, wsadził ręce w kieszenie i powiedział na wpół do siebie, na wpół do niej:

– To wcale nie jest *hortus botanicus*, to *hortus condusus*, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Przykro mi, ale kończyłam tylko konserwatorium.

– To znaczy „ogród zamknięty”, w którym mieszka jednorożec. To takie strasznie dzikie zwierzę, które schwytać można tylko przy pomocy dziewicy, bo on kładzie głowę na jej łonie. W ikonografii jest to symbol niepokalanego poczęcia – Onno odwrócił się w jej stronę, uśmiechnął i dodał: – Lepiej uważaj, dziewczyno.

*

To, że pojedzie z nimi do Amsterdamu, było najwyraźniej oczywiste dla wszystkich, włącznie z nią samą. Kiedy Maks spytał, czy nie chciałaby może zadzwonić do domu, Ada odrzekła:

- Chyba nie.
- Rodzice nie będą czekali z kolacją?
- Może będą.

Samochód Maksu stał na dziedzińcu, siedzenia zostały odchyłone do przodu i Ada musiała się jakoś wcisnąć za przednie fotele. Zaczął wiać gwałtowny wiatr, a oni, po zawiezieniu bębnow z taśmą perforowaną do Instytutu Matematycznego, gdzie był komputer, wyjechali z miasta. Po drodze Onno nieśmiało zapytał, czy nie jest dla Maksu problemem, że będzie się musiał przenieść do obserwatorium w Westerbork, kiedy zwierciadła będą gotowe.

- Czy mi się wydaje, czy to jest gdzieś w okolicy dawnego obozu przejściowego?

- Na terenie samego obozu - powiedział Maks, czując, jak tężeją mu policzki. - Teraz zakwaterowali tam Moluków.

- Kiedy będzie gotowe?
- Pewnie gdzieś pod koniec przyszłego roku.

Onno kiwnął głową.

- Westerbork - powiedział. - Dwingeloo.

Spojrzeni po sobie i zamilkli.

Po wysadzeniu Onna przy Kerkstraat Maks poszedł z Adą do włoskiej restauracji „L'Arca”, gdzie przy wejściu ścisnęło się rękę właścicielowi. Pod sklepieniem ze sztucznych winogron i pustych butelek po chianti rozmawiali o Onnie, o jej rodzicach i jej pracy - a kiedy ona chciała zabrać się nożem do spaghetti, Maks poinstruował ją, jak można jeść tę potrawę nawet bez uciekania się do pomocy łyżki. Potem poszła z nim do jego mieszkania.

Wszystko przebiegało z bezlitosną precyzją, godną wariacji Bacha. Wiedziała, że przyszedł na to czas. Teraz się to wydarzy, i tego właśnie chciała – chciała od pierwszej chwili. Oczywiście miewała już chłopaków i dochodziło do mniej lub bardziej śmiałych pieszczot, do spoconych zapasów na łóżku, były dłonie studentów próbujące wśliznąć się w jej spodnie, były kolana muzyków próbujące wcisnąć się między jej uda, zawsze jednak wszystko kończyło się w momencie, kiedy któryś drżącymi palcami usiłował rozpiąć jej spodnie, bo wtedy od razu była zdyszana awantura, ze zmierzwionymi włosami i pomiętym ubraniem, a zdarzał się na koniec i policzek. Nigdy do niczego tak naprawdę nie doszło. Sama myśl o tym budziła w niej dotąd raczej lekkie obrzydzenie niż uczucie pożądania. To, że mężczyznom zawsze chodzi tylko o jedno, leżało w ich naturze, w pozytywnej, zwróconej na zewnątrz budowie ciała: penis był jak palec rękawiczki, podczas gdy wagina była jakby palcem rękawiczki wciągniętym do środka, i fakt, że zdarzają się kobiety opętane seksem, stanowił dla niej zagadkę. Różnica była taka sama jak między pójściem w gości a przyjęciem gości: wstąpić można od biedy do każdego, ale przecież nie każdego wpuszcza się do siebie! Czy w ogóle trzeba kogokolwiek wpuszczać do swojego przedpokojku? Nie zastanawiając się nad tym przesadnie, pogodziła się w zasadzie z myślą, że nigdy nikogo u siebie nie przyjmie – a teraz nagle siedzi jako gość i jako gospodyni u kogoś, kogo zna niecałe pół dnia. Dlaczego tak się stało? Czy to jego zapach? Delikatna struktura jego skóry?

– Rozgość się – powiedział Maks, kiedy już zasunął zasłony w oknach i usiadł w zielonym fotelu.

Był wyrafinowany. Większość mężczyzn to byli głupcy, którzy sami siadali od razu na kanapie, tak że potem pojawiał się problem, w jaki sposób sprawić, żeby dziewczyna usiadła obok nich. A ona miała teraz wybór między drugim fotelem i kanapą. Gdyby usiadła w drugim fotelu, obydwójce mieliby krępujący widok na nienaturalnie pustą kanapę, czym ona udowodniłaby oczywiście, czego wcale nie chciała, że jest nie wiadomo jak dobrze wychowana, ale zarazem zdradziłaby, o czym myśli. Gdyby usiadła na kanapie, mogłoby to oznaczać, że absolutnie nie w głowie jej takie nieprzyzwoite sprawy, ale wówczas on z łatwością mógłby usiąść przy niej, żeby pokazać jej album ze zdjęciami lub zbiór znaczków. Inaczej niż jego przyjaciel Onno, który zapewne nie miał kompletnie wycucia w tych sprawach, Maks wszystko oczywiście zauważył. Widział, że ona jest ciekawa jego sztuki uwodzenia, i miał tylko nadzieję, że się przed nią nie ośmieszy.

Mocno odchyliwszy głowę do tyłu, Ada oglądała jego obszerny, ułożony w porządku chronologicznym zbiór płyt, rzuciła też okiem na reprodukcję obrazu Magritte'a na ścianie: człowiek spoglądający w lustro i widzący własne plecy. Uderzyła w klawisz *a* na fortepianie, potem wyższe *d* i znowu *a*.

– Bardzo poetycki temat – przytaknął Maks. – Szkoda tylko, że nie ma tu *m* albo *x*, takie najwyższe dźwięki spotkać można tylko w stradivariusach.

– A więc tak widzisz sam siebie – powiedziała Ada i usiadła na kanapie.

– Onno powiedziałyby: obracam się w ostatecznych, metafizycznych regionach absolutnie niepoznawalnego.

– A co ty byś powiedział?

– Nic.

Uderzyła ją nagle zmiana jego spojrzenia, zupełnie jak wtedy, gdy zimą okulary zaparowują się po wejściu do ciepłego pomieszczenia. Nie wiedziała tak do końca, co się stało, ale czuła, że dotknęła czegoś, czego nawet on sam być może do końca nie pojmuje. Odpowiedziała na jego spojrzenie i w pokoju zaległa cisza. Na dworze wiał wiatr, gdzieś z oddali dobiegał trójtonowy sygnał karetki.

– Czy możemy się rozebrać i położyć do łóżka? – spytał.

Ada skinęła głową.

– Dobrze.

Więc to takie proste. Niepotrzebny był nawet pocałunek tytułem wstępu, a przecież wcale nie było to chłodne ani rzeczowe – pocałunek byłby bardziej chłodny i bardziej rzeczowy: prostsze okazało się zarazem bardziej skomplikowane. Przypomniała sobie wiersz Brechta do muzyki Eislera, w którym była mowa o *das Einfache, dass schwer zu machen ist*, coś w rodzaju pieśni miłosnej pod adresem komunizmu. Teraz nie chodziło o komunizm, ale w powietrzu wisiało coś jakby pieśń miłosna.

Maks zaprowadził ją do łazienki, położył na brzegu wanny biały szlafrok i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. W łazience nie było okien, w wywietrzniku na suficie słyszała silne powiewy wiatru. Także i tutaj panował zdecydowany, chociaż nie pedantyczny porządek, jaki rzucił jej się w oczy już w pokoju. Flakony i pojemniczki były ustawione nie według wielkości, ale według zawartości, wszystkie wieczka były na swoim miejscu, a tubka pasty do zębów nie wyglądała jak przejechany wąż, tylko była porządnie zrolowana do określonego punktu. Ada rozebrała się i stanęła przed wysokim na człowieka lustrem – szczęśliwa, że nie widzi scen, które bez wątplenia wcześniej się w nim odbijały. Jej szczupłe ciało o drobnych piersiach i z odwróconą czarną piramidą, na które tak często spoglądała z mieszanymi uczuciami, wydało jej się zmienione w coś wtajemniczonego: oto przyszedł moment, w którym miało zacząć służyć temu, do czego poza wszystkim innym także było przeznaczone. W pokoju Maks puścił uverture do *Tristana i Izoldy*, co wydało jej się dość zastanawiającym wyborem. Położyła prawą dłoń na sercu, a lewą na brzuchu, i przez moment wyobraziła sobie, że stoi na muszli z macicy perłowej.

Weszła do pokoju przy dźwiękach Wagnera. Maks leżał w łóżku z rękami pod głową i przywitał ją uśmiechem.

- A może jesteś antyniemiecka i wolisz Purcella?
- Siebie już znam.
- Nie rozumiem.
- Mówię, że wolę poznać ciebie.

Kiedy z wahaniem zaczęła rozwiązywać pasek szlafroka, on zakrył oczy dłońmi i poczekał, aż znajdzie się obok niego pod przykryciem. Odwrócił się w jej stronę i popatrzył, opierając głowę na łokciu. Widziała, że chce chyba coś powiedzieć, ale chociaż się nie odezwał, później miała wrażenie, że jednak coś powiedział i przycisnął usta do jej ust, i wziął ją mocno w ramiona, a potem na wpół się na nią nasunął.

Ada zaczęła drżeć i wyszeptać:

- Proszę cię, bądź delikatny i nie spraw mi bólu...

Maks w jednej chwili zrozumiał, że to jej pierwszy raz. To znaczyło, że będzie ją musiał pozbawić dziewictwa; w przypadku każdej innej wykorzystałby to jako pretekst, żeby dać sobie spokój. Wymówić się bólem głowy. Albo koniecznością wczesnego wstania rano. Za każdym razem, kiedy brał na siebie to zadanie, działo się tak samo: zmienione w kobiety dziewczęta miesiącami wydzwaniały i dobijały się do drzwi, kiedy on właściwie zdążył już o nich zapomnieć. Mężczyzna rozdzielający kobietę zajmuje w jej życiu miejsce porównywalne z miejscem lekarza, który pomaga jej przyjść na świat, albo tego, który będzie jej asystował w godzinie śmierci. Ale teraz, przy Adzie, ani myślał zrezygnować.

Trzymała go między udami jak wiolonczelę – czuła, jak wnika w nią powoli, milimetr po milimetrze, by na chwilę się wycofać i zaraz zacząć od nowa, i było tak, jakby on coraz bardziej ją otulał, a ona coraz głębiej w nim się roztopiała. Kiedy poczuła, że dotarł do jej błony dziewiczej, wczepiła się w niego lekliwie pod wpływem wyobrażenia: coś jak oko albo przesłona aparatu fotograficznego. Chciała zawołać „mamo!”, ale nagle on już był w niej i wypełniał ją całkowicie. Szlochając i śmiejąc się na przemian, zaczęła go całować, podczas gdy on w ogóle się w niej nie poruszał. Głęboko w brzuchu czuła jego tętno, najwyraźniej próbował zapanować nad podnieceniem, a kiedy pojawiła się obawa, że nie podoła, wysunął się z niej i położył obok, obejmując ją ramieniem.

- Chyba poprzeszaniemy dzisiaj na tym.

Jego ojcowski ton zdumiał ją, ale zarazem była mu wdzięczna. Nie powiedziała ani słowa, płyta się skończyła i Ada słuchała wycia wiatru w drzewach pod domem. Oto leży w amsterdamskim łóżku z astronomem, który za jednym zamachem przekreślił całe lata zadręczania się niepotrzebnymi myślami i zapoczątkował nowy okres w jej życiu. Wtuliła się w niego mocniej z głębokim westchnieniem.

On też słuchał wiatru. Wyobraził sobie dom: światło i ciepło w środku, a na zewnątrz mokra, zimna noc.

- Jak myślisz - spytał - gdybyśmy tak teraz weszli na dach, a ja wytrząsnąłbym kropelkę atramentu z wiecznego pióra i pozwolił wiatrowi rozbryzgać ją na kartce papieru, to jaka jest szansa, że powstałoby napisane moim charakterem pisma zdanie: „Nie chcę, żeby Ada u mnie została”?

- Żadna.

- Prawdopodobieństwo nie jest wprawdzie równe zeru, ale przypuszczalnie cały wszechświat okazałby się za mały, żeby pomieścić atrament potrzebny do tego, żeby tak się stało.

8

Idylla

Przez tygodnie, które potem nastąpiły, widywali się codziennie w Lejdzie, gdzie koło południa spacerowali po ogrodzie botanicznym, popijali kawę w kantine obserwatorium albo wieczorami chodzili coś zjeść do Chińczyka. Na weekend Maks zabierał ją do Amsterdamu, czasami razem z wiolonczelą na tylnym siedzeniu. Soboty i niedziele zaczęły dawać mu poczucie pewnego spokoju, co było czymś nowym. Kilkakrotnie wcześniej pozostawał już w dłuższych związkach, ale nic one nie zmieniały w jego wewnętrznym niepokoju; nawet kiedy przyjaciółki były u niego, on miał ochotę wyjść, na ulicę, do kawiarni - nie po to, żeby pić, bo tego nie robił, ani nie po to, żeby odprężyć się paplaniną z kimś, bo tego nie robił tym bardziej, ale żeby poszukać kogoś nowego. Myśl o tym, że gdzieś w mieście chodzi ulicami jakaś kobieta albo siedzi sama przy kawiarnianym stoliku, podczas gdy on marnuje w domu czas z przyjaciółką, była dla niego nie do zniesienia. Niekiedy nawet taka kobieta pojawiała mu się przed oczami w czymś w rodzaju wizji: Maks dokładnie wiedział, jak ona wygląda i gdzie siedzi, w której kawiarni, przy którym stoliku. Zdarzało się, że wychodził wówczas z domu pod byle pretekstem i gnał za tym przywidzeniem. Kiedy jej nie zastawał, to tylko dlatego, że przybył za późno, tak więc stał potem na ulicy, wspinając się na palce i rozglądając się na lewo i na prawo.

Oczywiście nie było tak, że w jednej chwili Maks zamienił się w monogamicznego kochanka: od poniedziałku do piątku jego czasochłonne życie erotyczne toczyło się po staremu. Ale w czasie weekendu, kiedy była z nim Ada, obsesja znikła. Nie siedział oczywiście odprężony przed telewizorem, nie czytał kryminału ani nie wykonywał drobnych prac domowych, ponieważ nigdy nie rozumiał, co to znaczy „odprężyć się”, i nie miał szans, by to zrozumieć. Było nie do pomyślenia, żeby kiedykolwiek czymś się zajął, uprawiał jakiś sport albo przynajmniej wyszedł na spacer. Na urlop zabierał wyłącznie materiały naukowe, nie było też kościoła czy muzeum, którego by nie zwiedził. A jeśli już leżał na słońcu, to nie dlatego, że to przyjemne, ale dlatego, że musiał się opalić: była to nie tyle kąpiel słoneczna, ile dokonywane według przyjętego z góry schematu naświetlanie promieniami słonecznymi całego ciała, włącznie z wewnętrzną stroną nóg i rąk. To też była praca – a to dlatego, że gdy Maks nie pracował albo nie uganiał się za kobietami, otwierała się przed nim przerażająca pustka, która była czymś więcej niż tylko nudą. Gdy jednak uganiał się za kobietami, marzył o tym, żeby pracować, a gdy pracował, najchętniej uganiałby się za kobietami, wskutek czego cały czas go nosiło. Kiedy ktoś mówił coś na ten temat, Maks odpowiadał zazwyczaj: „Wieczny odpoczynek i tak kiedyś nadejdzie – nie muszę go więc teraz szukać”. Ale teraz, z Adą, kochał się w odprężony, niemalże mieszczański sposób, niczego już więcej nie chcąc, czym zresztą zaczynał się nawet martwić. Czyżby postępowała degeneracja w kierunku zawarcia związku małżeńskiego? Na jego nalegania Ada zaczęła brać pigułkę.

Jego rozmowy z Onnem także mieściły się w ramach obsesji, ale z Adą było zupełnie inaczej. Nie można powiedzieć, żeby Maks był zakochany. Zakochany był w pewnym sensie we wszystkich kobietach, poza właśnie Adą. Kiedy patrzył na kobietę, często miał poczucie, że przenika swoimi błękitnymi oczami aż do dna jej duszy, niby przez krystaliczne wody zatoki; może tak zresztą było, może kobiety tak samo to odczuwały i w tym tkwił klucz jego powodzenia, czego zazdroszczono mu i za co nienawidzono go we wszystkich kawiarniach. Ale kiedy spoglądał na Adę, powiększał się jeszcze dystans, jaki go od niej dzielił. Kompletnie jej nie pojmował, dla niego miała nieprzeniknione spojrzenie istoty z innego świata, i właśnie to go tak z nią wiązało. Jej obecność nie była dla niego obecnością w domu psa, który nie ma przed człowiekiem tajemnic, ale raczej kota, który sam w sobie jest tajemnicą – w tym też sensie sam czuł się wolny i niezagrożony. I tak jak pies należy do człowieka, ale kot tylko do mieszkania, tak Ada stapiała się z porządkiem panującym w jego mieszkaniu, stając się jego częścią. Psy przewracają stoliki, ściągają poduszki z foteli i z podniesionym łbem wynoszą z pokoju różne rzeczy; koty nie dotykają nawet tego, czego dotykają – z wyjątkiem chwil, gdy czasami wbijają pazury w wykładzinę. Kiedy ona kładła książkę na stole, to książka leżała dokładnie tak samo, jak gdyby on sam ją tam położył: tytułem do góry, nie na książce, która byłaby mniejsza, nie ukosem, i zgodnie ze złotym podziałem odległości między popielniczką a krawędzią, równoległe do tej krawędzi. Nigdy się nie zdarzyło, żeby nie złożyła z powrotem gazety. Kiedy podnosił wzrok znad biurka, żeby popatrzeć, jak Ada siedzi na kanapie, czytając wiersze Rilkego, to siedziała dokładnie tak, jak powinna siedzieć. Maks nigdy dotąd nie spotkał kogoś, kto miałby ten sam naturalny zmysł do określonych zachowań, bez zmuszania się do nich i bez tego, by były wyrazem lękliwej akuratanności.

Mało rozmawiali, i to też mu się podobało. *Musicienne du silence*. Gadać mógł sobie z innymi, uważał, że móc milczeć ze sobą, tak żeby nie było to krępujące, to coś znacznie rzadszego. Tylko kiedy był z nimi Onno, konwersacja toczyła się bez przerwy. Jeśli dotyczyło to w jakiś sposób jego zapisanego dysku, Onno prowadził długie dyskusje z Adą lekko ojcowskim tonem, ponieważ był to jedyny sposób, w jaki potrafił okazać jej sympatię – chociaż właściwie był to raczej ton teściowski. Ada za każdym razem zauważała, że Maks także o wiele więcej jej o sobie mówi, kiedy jest z nimi Onno: wyglądało na to, że w obecności Onna stawała się dla niego zupełnie kimś innym. Bez obecności Onna na przykład nigdy nie potrafiłby tłumaczyć jej z taką cierpliwością, że w nowoczesnych naukach przyrodniczych to, co postrzegane, rozpatrywać można wyłącznie w powiązaniu z podmiotem postrzegającym, ponieważ podmiot postrzegający zmienia to, co postrzegane, poprzez fakt postrzegania. Maks wiedział, że takie zagadnienia nie interesują jej w najmniejszym nawet stopniu, a jednak jej o tym mówił: a więc najprawdopodobniej robił to bardziej dla Onna niż dla niej. Ada bardziej lubiła Maksa takim, jakim był bez Onna.

Sama też nie była zbyt rozmowna. Całymi godzinami potrafiła siedzieć w otwartym oknie i patrzeć na park Vondela, gdzie rodziny wychodziły z dziećmi i z psami, gdzie hipisi we wschodnich szatach śpiewali swoje pieśni i tańczyli przybrani kwiatami i gdzie ciągle ten sam chłopak wciąż ćwiczył na trawniku żonglerkę, ale jedyną sztuką, jaką udało mu się opanować, była sztuka schylania się. Po drugiej stronie, niewidoczny z parku, bo zasłonięty drzewami i krzewami, stał niski budynek, w którym wystawiano zwłoki przed pogrzebem, do którego kilka razy w ciągu dnia podjeżdżały karawany i do którego wchodził, i z którego wychodzili zapłakani ludzie. Z różnych względów uważała, że ta panorama idealnie pasuje do Maksa: w nim także wyczuwała taką przeraźliwą kombinację życia i śmierci. W zasadzie cały czas miał dobry humor, ale odnosiło się wrażenie, że wygląda to tak wyłącznie wskutek kontrastu z czarną otchłanią, która się pod tym kryje, zupełnie jak u jubilera, gdzie diament prezentuje się na czarnym aksamicie.

Dopiero kiedy Maks ją o to kiedyś zapytał, opowiedziała mu coś o swoich rodzicach, o ich spotkaniu w czasie bombardowania Lejdy i o tym, jak później założyli antykwariat. Nigdy nie miała poczucia, że jest dzieckiem tych dwojga ludzi, tak całkowicie byli od niej różni, tylko raczej, że jest adoptowana i nie ma z nimi nic wspólnego. Oczywiście nie dorabiała do tego żadnej romantycznej legendy, bo wystarczyło, żeby spojrzała w lustro, i od razu widziała w nim matkę.

– Zdarza się też odwrotnie – powiedział Maks. – Mianowicie ktoś myśli, że jego rodzice są jego rodzicami, podczas gdy naprawdę tak nie jest.

Poza pierwszym spotkaniem Maks nigdy nie widział jej rodziców. On też uważał, że nie musi mieć z nimi nic wspólnego, Ada zaś nie naciskała – chociaż rodzice dali kilkakrotnie do zrozumienia, że chętnie poznaliby jej chłopaka. Maks wiedział, że Ada jest mu wdzięczna, bo zabiera ją z tego domu przynajmniej na te dwa dni w tygodniu. Co się tyczy jego własnych rodziców, to gdyby go o nich spytała, na pewno opowiedziałyby jej całą historię, ponieważ jednak tego nie zrobiła, zostawił sprawy tak, jak są.

W powietrzu wisiało rodzinne szczęście! Maks miał zwyczaj krążyć po mieszkaniu, kiedy nad czymś rozmyślał, nigdy jednak tego nie robił, nie będąc sam. Ada była pierwszą osobą, która go w tym nie krępowała. To krążenie po mieszkaniu nie było zwykłym chodzeniem od ściany do ściany, tak jak zresztą nie jest również w przypadku uwieczonych w klatkach niedźwiedzi czy lwów – trasę wyznaczała precyzyjna geometryczna struktura, której sam do końca sobie nie uświadamiał, ale z której nie zbaczał ani na milimetr. Tworzyły ją niewidzialne linie odchodzące od mebli: przedłużenia boków i przekątnych oraz prostopadłych. Krzesła, stoły i szafy, w kombinacji z liniami podziału kątów pokoju, były węzłami skomplikowanej sieci, przypominającej wyobrazony ogród w stylu Lenôtre, co pozwalało mu stawiać stopy na pewnej liczbie miejsc, ale nie wszędzie. Krążąc po mieszkaniu z rękami założonymi na plecach, Maks przytąpywał się czasem na tym, że myśli o przyszłości. Kiedy za kilka lat zakończy się budowa urządzeń w Westerbork, przypuszczalnie będzie musiał jeździć do Drenthe jeszcze częściej niż teraz. Beznadziejne tamtejsze wieczory, kiedy w promieniu paru kilometrów nie ma co robić. Grające w bilard wiejskie tłumoki, parę dziewcząt na krzyż, których języka prawie nie rozumiał i z którymi strach się było zadawać, bo zaraz mogli zakłuć widłami. Czy nie byłoby fajnie, gdyby od czasu do czasu przyjechała do niego Ada? Wynajęliby sobie jakieś mieszkanko, na przykład u miejscowego notariusza, i urządzili według swego gustu. Ada miała oczywiście pracę, ale samochodem droga zabierała ledwie godzinę, a z Amsterdamu półtorej...

Od kiedy do Brunona dotarło, że Ada ma chłopaka, ciągle coś mu przeszkadzało w pojawianiu się na próbach, dlatego Ada zaczęła teraz próbować nowy utwór na wiolonczelę solo autorstwa Xenakisa: *Nomos alpha*. Maksowi zupełnie nie przeszkadzało to w pracy – wprost przeciwnie: to, że ona coś robi, zwalniało go z obowiązku powiedzenia czegoś chociaż od czasu do czasu. Zdarzało im się też muzykować razem. W czasie wojny matka dawała Maksowi lekcje gry na fortepianie, później jego przybrani rodzice posłali go do szkoły muzycznej, ale jego gra nie była wiele warta; fortepian kupił pod wpływem impulsu na jakiejś aukcji – pewnie tylko po to, żeby się przekonać, w jaki sposób zostanie wniesiony do mieszkania i jak znowu coś zostanie równo ustawione. Za każdym razem, kiedy grał z Adą, działy się dwie kompletnie różne rzeczy. Ona skończyła konserwatorium w Hadze, była z branży i wiedziała, że kiedy się gra, to nie chodzi o wyrażanie emocji, tylko o ich wywoływanie: a to może się udać tylko przy profesjonalnym wykonaniu, czyli z dystansem, zupełnie tak, jak wykonuje swoją pracę chirurg – niezależnie od tego, jakie teatralne grymasy mają na twarzach dyrygenci czy soliści, kiedy wiedzą, że są obserwowani, w domu czy na próbach nigdy nie robią takich min, podobnie jak muzycy orkiestrowi, ponieważ miny są zarezerwowane dla słuchaczy. Maks natomiast do tego stopnia nie był muzykiem, że niemalże nie był w stanie wykonywać muzyki – nie dlatego, żeby nic dla niego nie znaczyła, ale raczej dlatego, że znaczyła dla niego za wiele. Miał bogatą kolekcję płyt, od Machauta i Dufaya po Bouleza i Rileya, ale właściwie dla siebie nic nie puszczał. Wystarczyło, że zagrał na fortepianie jakikolwiek dźwięk i potem drugi, oddalony o oktawę, a od razu otwierał się w nim bezdenne szyb, wywołujący lęk wysokości. Kiedy przychodził do niego stroiciel, Maks udawał, że czyta gazetę, w rzeczywistości natomiast pożerały go emocje, jeśli to możliwe, nawet większe niż wówczas, gdy grał jakiś wielki solista, ponieważ tutaj brzmiała sama harmonia w stanie czystym, bez pośrednictwa kompozytora – tak jak i w domu surowe ciasto zawsze jest smaczniejsze od gotowego – ale nigdy nie pozwalano mu tego spróbować, nawet jeśli zapewniał po tysiackroć, że nie ma ochoty na ciasto. Mleko, jaja, masło, mąka i cukier – w piecu ta boska mieszanka ulega wprawdzie przemianie w dzieło sztuki kucharskiej, ale zarazem zostaje zmarnowana. Dziesiątki razy powtarzał na fortepianie z Adą pierwsze cztery takty *Fantazji f-moll op. 103* Schuberta: i co się wtedy działo? Pojawiało się ciepłe gniazdko, rozbrzmiewało kilka prostych dźwięków i oto nagle stawało się absolutne piękno, pojawiało się najwyższe z najwyższych, pojawiało się najbardziej skomplikowane i najbardziej niepojęte w postaci tego, co najprostsze. Nawet po setnym razie nic nie traciło ze swego blasku ani nie uchyliło rąbka swej tajemnicy.

– Co to takiego jest? – wykrzyknął zrozpaczony Maks. – Co to jest takiego, na miłość boską? Przypomniało mi to nagle coś innego. O, już wiem: to *Hebrydy Mendelssohna*. – Wstał, wyjął płytę i położył ją na talerzu gramofonu: – Proszę, posłuchaj, gdzieś tak przy sto piętnastym takcie. – Uniósł w górę palec: – Słyszysz? To przecież prawie to samo, dokładnie tak samo zagnieżdżone!

Ada pocałowała go w policzek.

– Słuch masz naprawdę bezlitosny – powiedziała.

Maks zamknął ją w ramionach.

– Z tobą mogę o tym przynajmniej porozmawiać, chociaż też nie masz o tym bladego pojęcia, ale nikt nie ma. A wiesz, co Onno powiedział któregoś razu, kiedy zacząłem mówić o muzyce? Pokiwał swoją wielką głową z lekko obwisłymi policzkami i rzekł: „Muzyka to coś dla dziewczyn”. Cóż, dziewczyna już jakby jest. Chyba dobrze to przeczuwał.

– A dlaczego muzyka miałaby być tylko dla dziewczyn?

– Nie bierz go tak dosłownie. Kiedy raz kupiłem sobie loda, Onno powiedział: „Lody są dla pastorów”. Muzyka się dla niego nie liczy, dźwięk jest dla niego pozbawiony znaczenia. Dla niego liczą się tylko słowa. To, co Onno ma do zarzucenia muzyce, to fakt, że dla wielu ludzi jest ona czymś w rodzaju ucieczki, możliwością odcięcia się, mniej więcej na zasadzie: poza wszystkim jest też jeszcze muzyka. Może zresztą uważa muzykę za tchórzliwą wymówkę? Oczywiście opowiedział mi kiedyś, że greckie *mousikè technè* – „sztuka muzy” – zostało w średniowieczu wywiedzione ze staro egipskiego słowa *moys*, które oznacza wodę. Tym samym wynalazcą muzyki byłby Mojżesz, ponieważ wedle tej samej fałszywej etymologii jego imię tłumaczy się jako „uratowany z wody”. Wiesz, ten koszyk z sitowia, w którym znaleziono go jako noworodka na Nilu. Ten sam Mojżesz, który sprawił, że ze skały trysnęła woda i powiedział w Księdze Rodzaju, że Bóg stworzył niebo i ziemię, a potem jego duch unosił się nad wodami. Wszystko tu się zgadza. Tak więc uprawiasz w zasadzie sztukę mojseszową.

– Na pewno. Pokaż kciuki.

Maks włożył swoje dłonie w jej dłonie: były ładnie ukształtowane, tak jak całe jego ciało, ani za grube, ani za szczupłe, tylko kciuki były krótkie i spłaszczone.

– Z nich sobie wszystko wysysam – powiedział.

– Po kim je masz?

– Nie mam pojęcia. Może po ojcu, a może po sobie samym. Dlatego obejmują tylko oktawę, więcej nie dają rady. Jak się nazywał ten pianista, który kazał sobie zoperować dłonie, żeby obejmować większe akordy, a potem w ogóle nie mógł grać?

– Nie mam pojęcia – powiedziała Ada, składając dłonie na kolanach. – A dlaczego lody są dla pastorów?

– Żeby mogli się rozpieszczać, oczywiście, gdy się zważy fakt, że nikt inny tego nie robi.

Ada patrzyła na niego przez chwilę, a potem pokiwała głową.

– Lubisz go, prawda?

– Oczywiście, że go lubię.

Oczy Maksa nagle zwilgotniały. Ada patrzyła na to ze zdumieniem. Nie miała pojęcia, co o tym myśleć, nagle jednak poczuła się tak, jakby była matką ich obydwu.

– Czy wy dwaj wszystko sobie mówicie?

– Wszystko. – Na szczęście nie zapytała, czy bardziej lubi Onna, czy ją. – Opowiadamy sobie nawet to, czego nie powiedzielibyśmy nikomu innemu na świecie. Na tym polega przyjaźń.

9

Demony

Kiedy słońce osiągnęło punkt przesilenia w Zwrotniku Raka, a więc na początku lata, w Amsterdamie zorganizowano mityng muzyczno-polityczny na zakończenie niespokojnego sezonu i w oczekiwaniu na jeszcze bardziej niespokojne czasy. Od czasu rozruchów w poprzednim roku Amsterdam został, by posłużyć się słowami Onna, zajęty przez wkraczające do miasta oddziały holenderskie: umundurowani chłopscy synowie z chrześcijańskich rodzin opanowali chwilowo miasto i na porządku dziennym znalazło się teraz jego uwolnienie, po którym powinno nastąpić nieodwołalne podporządkowanie sobie Holandii przez Amsterdam. Pośród organizatorów mityngu najwyraźniej był ktoś, kto słyszał kiedyś popisy Ady i Brunona, bo i oni zostali zaproszeni. Miał to być ich pierwszy występ w Amsterdamie i chociaż nie chodziło o cały koncert, to jednak był to dla nich wielki zaszczyt. Ada miała opory przed graniem swojej muzyki dla takiej publiczności, jaką spodziewała się tam zastać, niemniej jednak zdobyła się na to i przekonała Brunona na tyle, że wrócili do wspólnych prób. Maks zapewniał ją, że będą wszyscy. Polityka była nową rozrywką dla ludu, tak jak nie działało się to od czasów wojny i jak długo potem nie będzie się działo. Maks oceniał długość trwania tych okresów na dwadzieścia dwa lata: 1945, 1967, 1989... Najpierw Ada poszła coś zjeść z innymi muzykami, Maks miał się z nią potem spotkać w foyer dla artystów, żeby zabrać ją na noc do siebie.

Onno poszedł z nimi. Od kiedy utknął w martwym punkcie w pracy nad dyskiem z Fajstos, zainteresował się bardziej polityką. W końcu nawet Chomsky zajmował się aktualnie raczej polityką niż językoznawstwem, więc był w dobrym towarzystwie. Jego instynktowna sympatia leżała po stronie anarchistycznych prowokatorów i rewolucjonistów, podobnie jak sympatia Maksa, ale z domu wyniósł wiedzę, że nie mają oni cienia szansy, stosując rebelianckie wystąpienia. Holandia nienawidziła radykalizmu, tego rodzaju teorie zrodziły się w bagnistej delcie Renu i zostały unieszkodliwione w ramach teologii, praktyką był merkantylizm i targ – Maks ze swym niebezpiecznym dziwnym charakterem nie miał najmniejszych złudzeń: tutaj liczył się tylko Erazm, dla Holandii istniała tylko jedna droga, i była to droga środka. W polityce chodzi o władzę i o nic innego. Cóż zatem pozostawało? Socjaldemokraci skostnieli tak samo jak partie chrześcijańskie. Odpryskowe ugrupowania w rodzaju komunistów czy pacyfistów? Ale przecież to, bez obrazu, zupełnie inny gatunek ludzi. Wprawdzie powstała nowa partia lewicowo-liberalna, która kilka miesięcy wcześniej, w wyborach uzupełniających, odniosła wielki sukces i miała siedem miejsc w Drugiej Izbie parlamentu, ale chociaż kierowali nią tacy sami ludzie jak on, nawet z tego samego pokolenia, to jednak Onno uznał ten klub za zbyt ahistoryczny, a ponadto podejrzewał, że zamierzają przeprowadzić wyłącznie zmiany formalno-prawne, żeby uprzedzić te społeczno-ekonomiczne.

– Chyba nie wchodzisz naprawdę w politykę, Onno? – spytał Maks w drodze na mityng.

Onno spojrzał na niego niepewnie.

– A może taki mój los?

– Los? Przecież sam o nim decydujesz!

– Tak myślisz? Ty w każdym razie kompletnie się do polityki nie nadajesz, ponieważ w tym celu trzeba pochodzić z licznej rodziny. Polityki można się nauczyć, tylko tocząc walki o przetrwanie z braćmi i siostrami. Jeśli nie przeszedłeś szkoły intrygi, oszustwa oraz zastraszania, nic z tego nigdy nie będzie. Ja mam zatem świetne kwalifikacje, ty zaś jesteś jedynakiem, nigdy nie musiałeś walczyć o względy rodziców.

– Prawie się zgadza. Miałem starszego brata, który zmarł w kołysce.

– To do ciebie pasuje. Nie zniesiesz przy sobie nikogo. Ale tak jak to teraz wygląda, to nadajesz się tylko i wyłącznie na króla. Kto wie, jak tak dalej pójdzie, to zwolni się pewnie i to miejsce.

– No to wtedy przynajmniej desygnuję cię od razu do sformowania własnego gabinetu, bo natychmiast zniosę demokrację i ogłoszę monarchię absolutną.

Onno schylił się w ukłon i wykonał dworny gest rękami.

– Wasza Cesarsko-Królewska Apostolska Wysokość, a może by tak...

– To moje ostatnie słowo, audyencja skończona, tam są drzwi. Albo lepiej: tam jest okno.

– Sir, czy naprawdę muszę...

– Skacz!

– Niech to szlag! – powiedział Onno, prostując się. – Nie wiem, czy wiesz, ale to, co ci się roi w twojej chorej głowie, to defenestracja praska. W Pradze na Hradczanach już dawno temu wyrzucano przez okno niepokornych polityków.

Onno popatrzył z dezaprobatą na elegancki letni garnitur Maksa z chusteczką w kieszonce.

– Nie jesteś zbyt stosownie ubrany, jak na wywrotową manifestację.

– Robespierre również hołdował modzie ancien regime’u.

– Tak, dopóki mu nie odcięli głowy od koronkowego kołnierzyka.

– A ty masz sweter włożony na lewą stronę. Śmiesznie wyglądasz z metką na karku.

– Ty byś zrobił coś takiego umyślnie.

W bocznych uliczkach stały granatowe policyjne busy z uzbrojonymi funkcjonariuszami z prowincji, jak cierpliwe koty czekające przy mysich dziurach. Przy obrotowych drzwiach panował wielki ścisk. Sala teatralna, prowizorycznie przerobiona z sali aukcyjnej, była przyozdobiona czerwonymi flagami i plakatami z Marksem, Leninem, Bakuninem, Mao, Ho Chi Minhem i naturalnie El Che, bohaterem bohaterów, który zrezygnował ze stanowiska ministerialnego w rządzie kubańskim i walczył teraz w partyzantce, chyba w boliwijskiej dżungli, o wyzwolenie kontynentu południowo-amerykańskiego. Panował swojski tłok, którym wszyscy stopniowo coraz bardziej się nakręcali. Między żeliwnymi słupami krytej galerii, biegnącej wokół sali, stały kramiki, na których oferowano rewolucję we wszystkich smakach i wykonaniach: promoskiewscy komuniści, komuniści odszczepieńcy, trockiści, anarchiści, maoiści, Młodzieżówka Socjalistyczna, Czerwona Młodzieżówka, Zawodowy Ruch Studentów, Komitet Medyczny Holandia-Wietnam, provosi, Stowarzyszenie Holandia-ZSSR, Holandia-NRD, Holandia-Polska, Holandia-Rumunia... Holandia-Wszechświat! Najatrakcyjniejszym stoiskiem na tym jarmarku przemian było oczywiście stoisko Komitetu Solidarności z Kubą, dysponujące samym Che Guevarą, którego portrety zdobiły w mieście nawet wystawy co lepszych sklepów z modą męską. Z mieszaniną ironii i szacunku spoglądano na znanego pisarza, znamienitego szachistę i wybitnego kompozytora, siedzących na zwykłych kuchennych taboretach i pogrążonych w rozmowie z dwoma śniadymi mężczyznami, wprawdzie bez bród i bez cygar, ale niewątpliwie Kubańczykami. Oczywiście wszędzie widać też było rozglądających się na wszystkie strony osobników z jak najbardziej na miejscu, podburzającą, radykalnie lewicową lekturą pod pachą, ale ich twarze i fryzury mówiły zupełnie co innego: wywiadowcy, Służba Bezpieczeństwa Wewnętrznego, szpiedzy reakcji. W końcu i korytarze były już pełne na wpół leżących na sobie widzów i stopniowo powietrze zaczęła wypełniać metafizyczna słodycz dymu z konopi indyjskich.

Wieczór otworzył ulubiony przywódca studencki Bart Bork, socjolog, który napiętnował imperializm amerykański i nawoływał do działania. Kiedy mówił, dziwnie unosił dolne powieki aż do wysokości źrenic, co sprawiało dość groźne wrażenie, jakby na kogoś czytał, ale wszyscy przyjmowali to wyrozumiale, bo zagrożenie dotyczyło wyłącznie wrogów ludu. Bork mówił za długo, jak niemal wszyscy, ale dostał rześiste brawa, potem jakiś zespół zagrał utwór Charlesa Ivesa i rozgrzał salę do białości marszowymi melodiami Hannsa Eislera, po czterdziestu latach uśpienia przywróconego tutaj do życia pocałunkiem ducha czasów.

Następnie na trybunie pojawił się gość z Berlina, Rudi Dutschke we własnej osobie, i uderzył w zupełnie inny ton. Dutschke miał dwadzieścia siedem lat, był nieduży, filigranowy, ale tak jak kotwica wbija się w morskie dno, tak fanatyczne spojrzenie jego ciemnych oczu natychmiast podporządkowało sobie całą salę. Obok niego, przy osobnym mikrofonie, stanęła przysadzista dama w średnim wieku, która mogłaby być jego matką, i nie spuszczała go z oka. Dutschke zaczął mówić swoim chrypliwym głosem, staccato, całkowicie improwizując, i co kilka zdań czekając z wyraźnym zniecierpliwieniem, aż tłumaczka przełoży jego słowa. Widać było, że przerywanie toku myśli kosztowało go więcej wysiłku niż ich formułowanie. Z teoretyczną furią, obcą praktycznie nastawionym Holendrom, cytując Marcusego, Różę Luksemburg, Plechanowa, wywodził, że radykalne zmiany społeczne, nawet subiektywnie niepożądane przez masy, obiektywnie stają się coraz bardziej niezbędne. Późnokapitalistyczna klasa robotnicza, wciąż poddawana wyzyskowi aż do utraty tożsamości włącznie, nieświadomie obstawała przy swoim względnym dobrobycie oraz demokratycznych z formalnego punktu widzenia strukturach, które tak naprawdę służą wyłącznie kamuflowaniu przemocy właściwej imperializmowi. W jaki zatem sposób opozycja parlamentarna składająca się ze studentów oraz intelektualistów z miejskich metropolii – niebiorących przecież bezpośredniego udziału w procesie produkcji – może przełamać izolację i stworzyć nieodzowną bazę wśród mas społecznych? Dutschke zadał to pytanie, robiąc subtelny gest wąską, wrażliwą dłonią – tłumaczka wykonała dokładnie ten sam gest swoimi upierścienionymi palcami. Otóż baza taka znajduje się wyłącznie w Trzecim Świecie. Tylko tam istnieje nowy proletariatus, nieokaleczony jeszcze fałszywą świadomością – i tylko przez solidarność z ruchami narodowowyzwoleńczymi Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej, których katalizatorem jest obecne ludobójstwo w Wietnamie, może pojawić się działanie, w formie radykalnej negacji światowego kapitalizmu, co może zarazem stworzyć podstawy nowej antropologii, pozwalając uniknąć zwyrodnienia rewolucji, jakie dokonało się w Związku Radzieckim i państwach satelickich, gdzie przecież dyktatura proletariatus zdegenerowała się najpierw do postaci partii bolszewickiej, następnie biurokratycznego aparatus państwowego, a wreszcie jednego człowieka, Stalina, wraz z należącymi do tego zjawiska uciskiem, brutalnością, torturami oraz okrucieństwem. Wszystko to stanowi ilustrację różnicy – wykazanej już przez Marksa w *Rękopisach ekonomiczno-filozoficznych* – między komunizmem despotycznym a komunizmem demokratycznym.

Było to trochę za szybko dla tłumaczki, która dukała dopiero coś o „zwyrodnieniu” i „Stalinie”, ale zebrani rozumieli go i bez tego. Dutschke dostał gromkie brawa, za które nie podziękował nawet skinieniem głowy, tylko zszedł z trybuny, żeby dołączyć do swoich towarzyszy siedzących w pierwszym rzędzie. W tym momencie doszło do incydentu. Wszystko stało się tak szybko, że ani Maks, ani Onno niewiele zdążyli zobaczyć. Nagle niemiecki ideolog zniknął, przygnieciony do ziemi przez wrzeszczącego i wierzgającego na wszystkie strony mężczyznę, najbliższe osoby rzuciły się do niego, a cała sala podniosła się z miejsc. W ogólnym tumulcie ktoś zawołał, że zna tego człowieka, że to osławiony faszysta z zachodniej części Amsterdamu, jeszcze wczoraj widział go na granicy belgijskiej, ktoś inny natomiast krzychał, że to nieprawda, bo to partyjny komunista z terenu Oost-Groningen.

– Skoro ktoś ma dwóch tak diametralnie różnych wrogów, to musi mieć rację – stwierdził lakonicznie Onno.

Maks był myślami przy Adzie, która właśnie teraz miała wystąpić. Zastanawiał się, czy nie powinien pójść za kulisy i zaproponować, żeby zamieniono jej występ z występem orkiestry, która miała zagrać na zakończenie, ale pracownicy techniczni właśnie wtoczyli na scenę fortepian, ustawili krzeselka i pulpit. Kiedy urągającego wciąż na cały głos napastnika z boleśnie wykręconymi do tyłu ramionami wyprowadzano bocznymi drzwiami z sali, pojawili się Bruno i Ada ze swoją wiolonczelą. Widok ten natychmiast podzielał uspokajająco na publiczność i wszyscy usiedli z powrotem na miejsca. Mówca najwyraźniej nie odniósł większych obrażeń, ponieważ pozostał na sali. Ada, ubrana w dżinsy i białą koszulę z szafy Maksa, objęła wiolonczelę udami i uporządkowała partyturę – położyła smyczek na strunach, spojrzała na Brunona i uniosła głowę, sygnalizując początek...

Janaček. Od razu po pierwszych dźwiękach Maks poczuł się tak, jakby we wszystkim, co polityczne i doczesne tutaj, pojawiło się rozdarcie, rysa, przez którą wyrzała wieczność – jakby odwrócił się, będąc w jaskini Platona. Onno miał rację w swojej opinii na temat muzyki: ona była nie z tego świata. I Maks zadumał się nad tym, co też myśli sobie teraz niemiecki aktywista, dopiero co skopany i pobity. Może o słowach Lenina: „Też chciałbym się wzruszać Appassionatą, ale nie ma czasu na takie wzruszenia, bo teraz czas odrąbywać głowy”. Muzyka – może niekoniecznie ta Eislera, ale na pewno Schuberta czy Janačka – była widocznie głosem najczarniejszej reakcji, arcywrogiem postępowej części ludzkości, wrogiem ludu numer jeden. Sala, dopiero co gwałtownie wzburzona, słuchała jak wytrawna publiczność koncertowa. Wielu bez wątplenia po raz pierwszy w życiu słuchało czegoś takiego: o ile w domu, kiedy w radiu rozlega się taka nudna muzyka, od razu zmieniają stację i szukają czegoś weselszego, o tyle teraz dostąpili artystycznego pasowania na rycerza.

Maks z dumą patrzył na Adę, jak się kłania i jak wywołują ją drugi raz na scenę z Brunonem.

- Dbaj, chłopie, o tę dziewczynę - powiedział Onno. - Tak naprawdę to zupełnie na nią nie zasługujesz.

Coś w tym jest, pomyślał Maks. Przez cały wieczór jego oczy wędrowały w stronę trzeciego rzędu do damskiej głowy z burzą niesfornych rudych włosów. Ich właścicielka zdawała się to wyczuwać, ponieważ od czasu do czasu patrzyła w bok, nie wprost na niego, ale jednak w taki sposób, że musiała go mieć na skraj polu widzenia, bo widział, że ona nie patrzy na to, co widzi, ale na pewno widzi to, na co nie patrzy: mianowicie jego. Nic się na to nie da poradzić. Musiała do tego dojść, czy tego chce, czy nie.

Fortepian i pulpit na nuty zniknęły, a za długim stołem zebrało się forum dyskusyjne. Składało się z lewicowej elity Komitetu Kubańskiego, z pisarzem, szachistą i kompozytorem, uzupełnionej o elegancko wyglądającą damę, która w czasie hiszpańskiej wojny domowej była sanitariuszką u czerwonych i do dzisiaj nie odzyskała holenderskiego obywatelstwa. Przewodniczącym był powszechnie szanowany dziennikarz i publicysta, też już niemłody, kiedyś anarchista, a dzisiaj znowu anarchista. Każdy złożył na początek krótkie oświadczenie, po czym rozpoczęła się dyskusja na tematy, które wywrotowy Niemiec w zasadzie wyczerpująco już omówił. Starsza pani zwróciła uwagę na fakt, że podstawowym zadaniem przemysłu farmaceutycznego w gospodarce kapitalistycznej jest nie dopuścić do tego, by pacjenci wyzdrowieli, wyraźnie zatem widać, jakie musi to mieć konsekwencje dla jakości leków, a tym samym dla stanu zdrowia narodu - na co kompozytor muzyki serialnej wzniosł ręce nad głową i zaczął wychwalać chińską medycynę, która pod światłym wpływem Przewodniczącego Mao nawet przy najcięższych operacjach obywa się bez narkozy.

W tym momencie Onno nie wiadomo dlaczego nie zdołał się powstrzymać i zawołał na cały głos:

- Histeryk! Za dziesięć lat będziesz takim prawicowcem jak byle amerykański generał!

- O nie, pozwolę sobie się z tym nie zgodzić - powiedział ze śmiechem kompozytor, na co Onno podniósł się z miejsca i godnie oświadczył:

- Nie życzę sobie, żeby ktoś się ze mną nie zgadzał, życzę sobie, żeby ktoś mi dołożył.

Atmosfera na sali zrobiła się gorętsza. Także pisarz musiał się zmierzyć z zwischenrufami. Kiedy niezbyt przekonująco wyraził zatroskanie, że robotnicy zostawiają intelektualistów na łasce losu, ktoś zawołał:

- Wypchaj się, człowieku! Lepiej byś pojechał na Kubę zbierać trzcinę cukrową!

- Ja już zbierałem trzcinę cukrową na Kubie.

– Tak, akurat: jedną dwieście pięćdziesiątą sekundy – pozując do zdjęcia!

Z wyniosłym uśmiechem pisarz odchylił się na oparcie krzesła i pogrążył w milczeniu.

– Co za bubek – powiedział Maks.

Onno przytaknął.

– Bardzo jesteś do niego podobny.

W tym momencie ktoś na sali powiedział gromkim głosem:

– Jestem robotnikiem!

Wszyscy odwrócili głowy w jego stronę. Rzeczywiście. Oto i on. Nie ulegało wątpliwości: robotnik. Pewnie przemysł ciężki. Wielkie piece. Na głowie beret z antenką, poorana zmarszczkami twarz zniszczona wyzyskiem, wpólotwarte dłonie na wysokości bioder, gotowe wykonać każdą pracę. Tu i ówdzie rozległy się brawa, starsza pani pochyliła się do mikrofonu i zaprosiła go, by zajął miejsce przy stole. Przewodniczący próbował jeszcze temu zapobiec, ale robotnik już zmierzał na scenę, z uniesioną wysoko brodą, emanując głęboką pogardą dla każdego, kto nie był robotnikiem.

– To jakiś wariat – powiedział Onno. – Od razu widać. Nigdy w życiu nie tknął żadnej pracy.

Każdy, kto miał chociaż odrobinę doświadczenia, wiedział, że wieczór skończy się teraz kompletną katastrofą. Robotnik nie zaszczycił członków forum ani jednym spojrzeniem, przysunął sobie mikrofon starszej pani i z nieruchomym spojrzeniem zaczął wywodzić, że jezuici wykopali pod ulicami i placami Amsterdamu całą sieć podziemnych kanałów, aby pewnego dnia bezlitośnie stamtąd uderzyć. Napisał już w tej sprawie setki listów do władz gminy, do rządu, do królowej, do Narodów Zjednoczonych, nigdy jednak...

– Bardzo panu dziękuję za szczerą wypowiedź – wpadł mu w słowo przewodniczący. – A teraz zupełnie inny temat: ostatnia napaść Izraela na...

– Stul pysk, jak mówię – powiedział robotnik, nawet nie odwracając głowy. Podczas gdy członkowie forum patrzyli po sobie zdumieni, a atmosfera na sali stawała się coraz bardziej rozluźniona, robotnik kontynuował niewzruszony: – To nie przypadek, że generał zakonu jezuitów jest Holendrem. Ma swoją kwaterę główną w Hiszpanii, która od wojny osiemdziesięcioletniej i czasów Inkwizycji...

W tym momencie znowu wstał ktoś z sali i powiedział:

– Człowieku, skończ już z tymi bredniami!

Autor tych słów był żywym dowodem na to, że masa ciała bywa pomocna w uzyskaniu przewagi umysłowej, ponieważ w tym momencie robotnik zamilkł. Nader otyły łysy mężczyzna, znany w mieście restaurator, wyciągając ręce, zwrócił się do publiczności, która zagrzewała go okrzykami.

- Po co nam ta głupia gadka? Wszyscy wiemy, że Amsterdam to Drugie Jeruzalem, nawiedzone hiperbiogeometryczną etyką Dantego, Goethego i królowej Estery z jej trzydziestoma sześcioma esseńczykami i trzydziestoma sześcioma cadykami, i nawiedzone nową wszechodnowicielską mesjanistyczno-pitagorejską wiedzą o świecie, prawiedzą o wszechwiedzy o przedświecie, jako wykładni Starego i Nowego Testamentu, będącej nową żydowską zasadą harmonii między liczbami pierwszymi a pierwszymi bliźniakami, Mojżeszem, Dawidem i Salomonem – nową bioalgebrą, biogeometrią i biociążeniem rodem z Willema de Zwijgera i Spinozy, Erazma z Rotterdamu, Simona Stevina, Christiana Huyghensa, Kartezjusza i Rembrandta, oraz nową nauką plastyczną Teilharda de Chardin, Mondriana, Steinera, Tomasza z Akwinu, Mersenne’a, Fermaty, Arystotelesa, Mikołaja z Kuzy, Wittgensteina, Weinreb...

Grubasowi nie dane jednak było dokończyć listy: z tyłu sali otwały się gwałtownie drzwi, przez które wpadł do środka niedawny napastnik.

- Gdzie ten obrzydliwy czerwony Szwab! – wrzeszczał, kopiąc dziko na wszystkie strony. – Dawajcie go tutaj, to mu przykopię na śmierć!

Tym samym przekroczony został nagle punkt krytyczny: powaga znikła i sala wybuchnęła gromkim śmiechem. Przewodniczący skrzyżował dłonie na piersi, odchylił się na oparcie krzesła i rozluźniony przyglądał się temu pandemium.

- To nie jest przypadek – niewzruszonym głosem podjął swoje wywody robotnik – że księżniczka Irena trzy lata temu wzięła rzymskokatolicki ślub z francuskim łowcą posagów, który chce zostać królem Hiszpanii.

- Święty Augustyn! – krzyczał restaurator. – Einstein! Euklides!

- Dajcie tu tego drania! Rozwalę mu łeb!

- Księżniczka Beatrix musi zostać królową Izraela!

- Dobry pomysł! Republika! Republika!

Zaraz potem organizatorzy wpadli na dobry pomysł, bo oto dmąc w saksofony, trąbki, klarnety, fagoty i tuby, z dwóch stron wyszli na scenę muzycy, grali głośną, lecz powolną, obco i orientalnie brzmiącą melodię, podczas gdy z końca sali w stronę podium zmierzał człowiek z owcą.

- Owca! Owca!

Nie było wiadomo, o co w tym chodzi, może jakaś symboliczna ofiara, ale szok był ogromny – i niewykluczone, że Maks był jedynym, któremu łzy zakreśliły się w oczach na widok przerażonego, drepczącego przed siebie zwierzątka, na widok bezgranicznej powagi, a zarazem intymności, jaka łączyła je z prowadzącym ją chłopem, który być może wiedział już, że zwierzę za chwilę skona wskutek szoku.

10

Cyganie

W tłumie przy wyjściu Maks wykorzystał jeszcze szansę na szybkie umówienie się z rudą z trzeciego rzędu, po czym udał się do foyer artystów za sceną. Także inne osoby publiczne zdołały się tam dostać. Przy barze stał wysoki młodzieniec o jasnoblond włosach, w deszczowcu i z parasolem: „wywoływacz deszczu” z dawnego ruchu provo, który sztuczkami magicznymi wywoływał opady, jeśli mogło to przeszkodzić w czymś policji. Ze śmiechem przysłuchiwał się blademu chłopcu z opatrunkiem na czole: za pomocą dentystycznego wiertła wywiercił on sobie dziurę w czaszce, wskutek czego – jak wyjaśniał w wywiadach – przez tę nową fontanelkę był bez przerwy na haju, jak niemowlę. Pisarz, dręczony czkawką ze śmiechu, siedział, robiąc notatki. W przelocie Maks usłyszał, jak mówi do szachisty, że kiedyś jeszcze będą miło wspominać ten moment, arcymistrz jednak pochyłał się nieobecny nad szachownicą, analizując być może jakiś wariant na zbliżający się pojedynek ze Smysłowem w Palma de Mallorca.

Ada siedziała przy wielkim, okrągłym stole z Brunonem i paroma innymi muzykami, kompozytorem z forum, przywódcą studenckim Bartem Borkiem i Onnem. Maks pocałował ją i usiadł przy niej na tym samym krześle.

– Moje gratulacje – powiedział. – Byliście jedynymi, którzy naprawdę przykuli uwagę publiczności. Zmęczona?

– Śmiertelnie. Długo tu nie zostanę.

Maks wyciągnął rękę do Brunona, który patrzył na niego z nieprzeniknioną twarzą. Spotkali się już kilkakrotnie, ale jakoś nigdy nie doszło między nimi do rozmowy.

Onno wyjaśnił kompozytorowi, dlaczego, jak drugi Ryszard Wagner, za dziesięć lat będzie tak samo prawicowy jak amerykański generał i że, jak wszyscy maoiści, na łożu śmierci przygarnie do piersi Święty Kościół Powszechny, zważywszy, że jest on tym, czego zawsze szukał: Ojcem Świętym.

– Towarzysz Królik to dla pana jedynie szczebel.

– Towarzysz Królik?

– To właśnie znaczy po chińsku słowo *mao* – powiedział Onno. – Ale pragnę pana pocieszyć, że jest to zarazem nazwa gwiazdozbioru. Ja natomiast zostanę po rewolucji prezydentem Ludowej Republiki Holandii i udam się z wizytą państwową do Pekinu.

Z lekko przekrzywioną głową Bork patrzył na Onna kątem oka.

– Po rewolucji – powiedział powoli – będziesz co najwyżej zbierał na plaży to, co wyrzuci morze.

Onno spojrział na niego zaszokowany. Oto wreszcie ktoś, kto ma własne zdanie. Poczuł, że uwaga Borka zapada w niego jak wrzucony w mętną wodę kanału rewolwer grzęznący w mule. Czy naprawdę wszystko może pójść w tym właśnie kierunku? A jeśli pewnego dnia Bart Bork naprawdę będzie miał coś do powiedzenia? A jeśli wszystko pójdzie nie tak, co – jak znał Holandię – jest najbardziej prawdopodobne, to co zrobią takie osoby jak on? Jak sobie z tym poradzą? Teraz jeszcze niesie ich powszechna, przesycona humorem przychylność – ale kiedy te nastroje opadną i nagle zostaną sami? Co wtedy uczynią w rozpaczy? Czy zmienią się w terrorystów? Był przerażony. Może naprawdę powinien zająć się polityką, żeby jakoś temu przeciwdziałać?

– Onno, mógłbyś nam pomóc?

Maks, Ada i Bruno stali, rozmawiając z jednym z Kubańczyków, który z ulgą przeszedł od razu z mozolnego angielskiego z amerykańskim akcentem na hiszpański, czy raczej na swój niechlujny latynoamerykański dialekt w odmianie kubańskiej. Powiedział, że jest pod wielkim wrażeniem duetu i że chciałby otrzymać adres odpowiedniego holenderskiego stowarzyszenia muzycznego, ponieważ być może pojawi się możliwość zaproszenia, tymczasem *compañera* nie wiadomo dlaczego chce mu podać swój prywatny adres. Widocznie jego instynkt władzy podpowiedział mu, że należy się zwrócić do Ady, a nie do Brunona. Za pośrednictwem Onna Ada wyjaśniła Kubańczykowi, że nie ma nic wspólnego z tego rodzaju instytucjami, bo życie muzyczne w Holandii wygląda trochę inaczej, tak że w końcu z niejakim niedowierzaniem Kubańczyk zapisał sobie jej nazwisko i adres.

– To by było coś – powiedział Maks, kiedy Kubańczyk się oddalił.

– Wiem, jak to się odbywa – powiedział Brunon. – Nigdy więcej na oczy go nie zobaczymy. Chciał się tylko popisać.

– Naprawdę myślisz, że dostaniemy zaproszenie na Kubę? – spytała Ada. – Jest przecież mnóstwo lepszych duetów.

– Ale one nie występują na lewicowych mityngach.

– Zobaczymy, co z tego wyjdzie, na razie nie chce mi się o tym myśleć. Moglibyśmy już pójść do domu?

Pracownicy układali krzesła na stołach, wszyscy zbierali się do wyjścia. Bruno powiedział, że wybiera się jeszcze do miasta, bo jest występ orkiestry cygańskiej i chciałby posłuchać. Ada spojrzała na Maksa.

– Widzę po twojej minie, że chętnie byś się wybrał. Możesz spokojnie iść, ja i tak pójdę spać.

– Mogę z wami iść, mogę z wami iść? – dopytywał się po dziecinnemu Onno, wyciągając dwa palce, jak w szkole.

- Tak, skarbie – powiedział Maks. – Możesz.
- Słuchaj, czy ty naprawdę jesteś już niespełna rozumu?

Maks dał Adzie klucze od domu i patrząc jej prosto w oczy, rzekł:

- Wchodząc po schodach, policz do czterech. Z prawej zobaczysz luźną połówkę cegły. Wyjmij ją, włóż tam klucze i odłóż cegłę na miejsce.

Orkiestra cygańska grała w mrocznym barze na tyłach placu Rembrandta. Wyglądało na to, że Bruno zna muzyków. Przywitał się z pierwszym skrzypkiem, który razem z drugim chodził wśród publiczności, pomachał do cymbalisty i do siedzącego w kącie szefa. Drugi skrzypek pytającym gestem uniósł w górę skrzypce, na co Bruno wziął je od niego i nagle pokazał się wszystkim jako zręczny improwizator, niemający najmniejszych trudności z zagranieniem ognistego czardasza, a nawet z okrzykami „hop, hop”.

Gdy tylko Maks usłyszał pierwsze dźwięki, cały stopniał w środku. Nikt nie musiał mu mówić, jaki jest status tej muzyki i jaka jest jej pozycja wobec, na przykład, *Wielkiej fugi*: widać to było już choćby po błyszczących koszulach z szerokimi rękawami. Jednocześnie jednak kryła ona w sobie coś, czego nie było nawet u Beethovena ani u Bacha, a czego Maks doświadczał, nawet grając na swoim fortepianie cygańską gamę harmoniczną z podwyższonym czwartym dźwiękiem: środkowo-europejsko-żydowsko-cygański zaśpiew, który całkowicie go obezwładniał.

Orkiestra grała teraz wolny numer, skrzypek pochylił się nad stolikiem, przy którym siedzieli Maks z Onnem, przyjaciele jego przyjaciela. Miał może z pięćdziesiąt lat, górne powieki w jego nienormalnie dużej, mięsistej twarzy były nabrzmiące i ciężkie od melancholii, tak że ledwie unosił je na tyle, by odsłonić źrenice. Miał czarne bokobrody, sięgające aż podbródka: w studenckich czasach Maksa mówiło się na nie „ciziochwyty”, bo panienki mogły się ich przytrzymać w czasie swawolenia. Onno, któremu w uszach bardziej niż muzyka brzmiała groźba skończenia jako zbieracz odpadków wyrzuconych przez morze, odwrócił się zażenowany i zapalił papierosa – za to Maks, cały czas odpowiadający spojrzeniem na spojrzenie grajka, nagle pomyślał o ojcu.

On także słuchał tej muzyki jeszcze w swoich rodzinnych stronach, w austro-węgierskim Wiedniu, Pradze, Budapeszcie, gdy o Holandii zaledwie słyszał, tak jak teraz jego syn o Islandii: coś bardzo dalekiego, Ultima Thule, gdzie miałyby ochotę spędzić może parę dni. W swoim wciętym w pasie, bordowym habsburskim uniformie z paradną szablą, u każdego boku wyzywająca przyjaciółka, przed nim butelka tokaju, w roku 1914 słuchał może ojca tego skrzypka w tej czy innej „Café Hungaria”, jego myśli krążące w mrocznym zaklętym kręgu, z którego nigdy nie zdołały się uwolnić, podczas gdy Austria wypowiedziała wojnę Serbii – *Serbien muss sterbien!* – a w Brukseli matka jego syna właśnie szła do szkoły...

Kiedy utwór się skończył, Maks zamówił dla orkiestry butelkę białego wina i spytał Brunona, w jakim języku mówi szef, bo chciałby mu coś powiedzieć. Zdaniem Brunona szef znał tylko parę słów po niemiecku.

– Onno?

– Jeśli myślisz, że mówię wszystkimi siedemdziesięcioma pięcioma tysiącami ludzkich dialektów, to się grubo mylisz.

Onno spróbował po węgiersku, ale nic to nie dało, więc spróbował od drugiej strony, i nagle twarz skrzypka rozjaśniła się szerokim uśmiechem. Położył dłoń na ramieniu Onna i zwrócił się w tym samym języku do swoich przyjaciół, którzy zaczęli krzyczeć „brawo” i „hop, hop”.

– To po jakiemu się odezwałeś? – spytał Maks.

– Nie mam pojęcia. Chyba w jakimś serbo-chorwackim czy czymś takim. W każdym razie mnie rozumie. Co mam mu powiedzieć?

Wolno, jak przy dyktowaniu listu, Maks zaczął:

– Powiedz mu, że uważam Cyganów za świętych, bo są jedynym narodem na całej ziemi, który nigdy nie prowadził żadnej wojny.

Onno zrobił, o co go poproszono, i uśmiech zniknął z szerokiej twarzy skrzypka.

– To wszystko?

– Nie. Powiedz mu, że ponieważ jako jedyni nie są mordercami, to wszyscy robią z nich złodziei, ale tak naprawdę to właśnie my ich okradliśmy, nawet ze śmierci.

– Co masz na myśli?

– A to, że byli zagazowywani i tępieni tak samo jak Żydzi, ale że się to skrętnie przemilcza, żeby nadal móc ich szykanować, także tutaj, w Holandii.

– Jesteś pewien, że mam to powiedzieć?

– Tak.

Skutek był wstrząsający. Trzymając instrument pod pachą, skrzypek patrzył nieruchomo na Maksa, a jego oczy wypełniły się łzami. Odwrócił się do swoich i krzyknął zduszonym głosem coś, co Onno przetłumaczył jako: „Roma! Razem!”. Wtedy podszedł basista, zaraz też cymbalista ze swoim instrumentem, tak że goście musieli wstać i rozsunięto stoliki, a drugi skrzypek wziął z powrotem skrzypce od Brunona. W chwilę potem orkiestra ustawiła się półkołem wokół Maksa i zaczęła dla niego grać i śpiewać – jak przypuszczał Onno, w swoim własnym języku: jakiejś nowohinduskiej odmianie hindi, jak się wydawało, z zapożyczeniami z irańskiego, armeńskiego, nowogreckiego, języków południowoślowiańskich i Bóg raczy wiedzieć jakich jeszcze.

Kogoś, kto siedzi na krześle, można otoczyć i zniszczyć groźbami, ciosami, prądem, ale tutaj złamano kogoś wdzięcznością w formie muzyki. Maks płakał – już po raz drugi tego wieczoru. Z przeproszającym gestem spojrzął w stronę Onna, który widział, że muzycanci bezlitośnie spychają Maksa do jego korzeni, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, co robią. To, co się działo, było dla Onna kompletnie dziwaczne, muzyczny skandal, najchętniej natychmiast położyłby temu kres, ale było to oczywiście niemożliwe. Z drugiej strony jego emocjonalna więź z Maksem jeszcze bardziej przybrała na sile. Cóż to za człowiek, skoro kilkoma słowami potrafił zmienić kiczowatych muzykantów, występujących w podrzędnym barze, w orkiestrę wykonującą *Missa solemnis* za zmarłych? Spojrzął na Brunona i zobaczył wyraz jego twarzy, który mówił: nie ma co, Ada do niego pasuje.

Po zakończeniu litanii Maks uniósł dłonie w rytualnym geście podziękowania. Muzycanci wrócili na swoje miejsca, Maks wypił łyk soku pomarańczowego i powiedział wzruszony:

– Dziś minęło dokładnie dwadzieścia jeden lat od dnia, kiedy na moim ojcu wykonano wyrok śmierci.

Kiedy Bruno to usłyszał, podniósł się i odszedł. Onno chciał unieść kieliszek do ust, ale odstawił go z powrotem. Więc o to chodzi. Cyganie dotknęli sedna. Wskazana była najwyższa ostrożność, ale jednak nie potrafił się powstrzymać od pytania:

- Zapaliłeś za niego świeczkę?
- Dopiero teraz o tym pomyślałem.
- Pamiętasz moment, kiedy o tym usłyszałeś?

– Prawie wcale. Miałem dwanaście lat. Nie wydaje mi się zresztą, żeby to wtedy coś dla mnie znaczyło. Po raz ostatni widziałem go jako sześciolatek.

Onno skinął głową. I co teraz? Maks sam zaczął – widocznie nie chciał zostać z tym sam.

– Zaglądałeś kiedyś do gazet z tamtego okresu? Próbowalesz dowiedzieć się czegoś o procesie?

- Nigdy mi to nawet nie przyszło do głowy. Prawie zupełnie nic o nim nie wiem, nie wiem nawet, w którym roku się urodził i którego dnia. Zawsze miałem poczucie, że nie mogę tego zrobić matce, że nie mogę interesować się ojcem. - W zamyśleniu patrzył na pierwszego skrzyпка, który tymczasem znowu krążył między stolikami i grając na swoim instrumencie, pochylał się ku damom, zapuszczał wzrok w dekolty, podczas gdy znający tutejsze zwyczaje panowie składali wzdłuż banknoty i niby karty do głosowania wsuwali je w jego szerokie rękawy. Bruno siedział przy cymbaliście.

- Czy zwróciłeś kiedyś uwagę, że ludzie czasem bardzo dużo wiedzą o rzeczach, z którymi mają mało do czynienia, za to bardzo mało o tych, którymi zajmują się często? Ludzie, którzy siedzieli w obozach, nic nie wiedzieli na temat struktury Himmlerowskiego Reichssicherheitshauptamt, ja natomiast znam ją w najdrobniejszych szczegółach, mógłbym ci to wszystko dokładnie wyrysować. Nie mam natomiast najmniejszego pojęcia, jak u nas wybiera się deputowanych do Izby Wyższej.

- Mogę ci to kiedyś wyjaśnić.

- Oczywiście. Ale ty jesteś obciążony dziedzicznie.

- Święte słowa. Ty oczywiście nie.

- Wiesz wszystko o językach, ale co masz z nimi wspólnego? Ja wiem wszystko o gwiazdach, ale co mam z nimi wspólnego?

- Zaraz, chwileczkę. Chyba nie jesteś taki głupi, żeby uważać, że więcej masz wspólnego z Izłą Wyższą naszego parlamentu niż z Reichssicherheitshauptamt?

Maks milczał. Cała ta rozmowa jeszcze bardziej go rozstrajała. Pięć lat temu dzień w dzień śledził proces Eichmanna w Jerozolimie: człowiek o asymetrycznej twarzy w szklanej klatce, jak mechaniczna lalka z opowieści E.T.A. Hoffmanna. Z zalewu książek na temat nazizmu, które się potem ukazały, przeczytał kilkanaście. Oczywiście myślał też przy tym o swoim ojcu, o jego procesie, ale jakoś nie dotarło do jego świadomości, że przecież są jeszcze gazety z 1946 roku. Z tego czy innego powodu żył wyobrażeniem, że to wszystko zniknęło w przeszłości, zmielone przez czas. Nawet o procesie Loeba-Leopolda wiedział więcej niż o tym. Tymczasem wszystko to wciąż istniało!

Uniósł wzrok.

- Powiedzieć ci coś? Jutro je przejrzę. Coś z tego może wyniknie. W Instytucie Prasy muszą przecież mieć wszystkie te stare gazety. Chciałbym, żebyś poszedł ze mną.

Onno zastanowił się przez chwilę.

- Może dałoby się jednak zająć tym trochę gruntowniej. Jegoteczka powinna chyba leżeć w Królewskim Instytucie Dokumentacji Wojennej. Może byśmy się tam kiedyś wybrali?

- Myślisz, że to ogólnie dostępne?

- Oczywiście, że nie. Ale ty jesteś przecież okropnym synalkiem okropnego ojca, prawda? Poza tym jesteś też synem swojej zamordowanej matki. Jeśli będą się opierali, włączę w to mojego obrzydliwego braciszka, w razie konieczności nawet ojca, a wtedy bardzo chciałbym usłyszeć, jak mówią „nie”. Ale ponieważ i tak o tym wiedzą, więc z pewnością nie zajdzie taka konieczność, zanim w ogóle mogłaby zajść.

Pożegnali się z Brunonem i Maks podwiózł Onna aż pod drzwi, gdzie umówili się, że następnego dnia o dziesiątej Onno przyjdzie po niego do domu, a Maks weźmie sobie wolne przedpołudnie. Uznali, że lepiej nie umawiać wcześniej spotkania w Instytucie, bo mogą to wykorzystać jako pretekst do odwołania wszystkiego w czasie.

W drodze do domu Maks sprawdził sobie puls – przyśpieszony, ale regularny. Jutro uporządkuje swoją przeszłość. Nie miał ani jednego zdjęcia rodziców, wszystko przepadło w czasie aresztowania. Matkę całkiem dobrze pamiętał: młoda, pogodna kobieta, w pokoju, przy fortepianie, na ulicy, w parku, po lewej stronie na piersi wszystkich ubrań przyszyta sześcioramienna gwiazda Dawida, z szyderczo ułożonym z nibyhebrajskich liter napisem „Żyd”. Pamiętał, jak śmiejąc się, mówiła z pewnego rodzaju żalosnym triumfem: „Ona wcale nie jest żółta, tylko pomarańczowa!” Ale ojca miał przed oczami wyłącznie w jednej, stężełej scenie. W Wigilię – która w Holandii była czymś nieznanym, ale którą oni zwykli byli obchodzić na modłę środkowoeuropejską – miał zostać w swoim pokoju tak długo, aż choinka będzie przystrojona, a świece zapalone. Ojciec był jeszcze mniej wierzący od matki. Maks uświadomił sobie później, że jedynym chrześcijańskim elementem poza pogańsko-germańskim symbolem przesilenia zimowego, który stanowiło przybrane drzewko ze światełkami, był zbity z nieheblowanego drewna krzyż, w którym drzewko było osadzone. Ale kamuflowano go czerwoną krepiną, na której kładło się prezenty. Być może wybuchła jakaś kłótnia, albo wynikło to z jego przejęcia i niecierpliwości, dość że Maksowi wydawało się, że go zawołano. Wszedł zatem do pokoju i widok, jaki zobaczył, na zawsze wrył mu się w pamięć: ojciec stojący na krześle przy choince, trzymający w dłoni błyszczącą gwiazdę przeznaczoną do umieszczenia na czubku, i jego jasne, błękitne oczy, patrzące na niego z niebotycznej wysokości spojrzeniem tak zimnym, jak płynne powietrze...

Przy drzwiach wejściowych sięgnął do kieszeni po klucze i przypomniał sobie, że dał je Adzie. Wszedł po stopniach i wyjął połówkę cegły. W mrocznym otworze leżał błyszczący klucz, tak jak na górze leżała w łóżku śpiąca Ada.

11

Proces

Ada kilkakrotnie na wpół się przebudziła, również wtedy, kiedy Maks kładł się obok – a kiedy słońce świeciło już na zasłony, zaplątała się w niezwykle skomplikowany sen:

Na tylnym siedzeniu samochodu leży w jej ramionach stary, wychudzony człowiek, czuje na policzku jego kłujący siwy zarost. Próbuje go od siebie odsunąć, ale problem polega na tym, że pierwszy od góry guzik wymiętego przeciwdeszczowego płaszcza mężczyzny jest zarazem guzikiem płaszcza mordercy i jej własnego. W końcu okazuje się, że musi zejść do podziemi rozciągających się pod placem Saturna. Kto zna ten plac, może sobie dośpiewać ich układ z kształtu samego placu. W wielkiej, ciemnej przestrzeni, pełnej schodów, wiszących mostów, sklepień, balustrad, zwisających kabli i łańcuchów, musi dostać się do klatki z desek, i wtedy nagle okazuje się, że to sąd. Główny sędzia, siedzący pośrodku, pokazuje jej prostokątny, srebrny medalion albo może puzderko z klejnotem, zaraz potem grupa pobożnych Żydów w modlitewnych szatach zaczyna żałośliwe śpiewy. Jej wejście spowodowało zamieszanie w tych obrzędach. Nagle trzyma w dłoni kieliszek szampana, a błogosławiącemu duchownemu w habicie wydaje się, że to należy do mszy; potem musi wspiąć się po długich, stromych schodach, ale z jakiegoś powodu nie może pokonać stopni. Kiedy się odwraca, widzi starą kobietę, sunącą albo może szybującą w pozycji Buddy po przekątnej przez całe pomieszczenie i po raz nie wiadomo który opowiadającą o tajemnicach przeszłości...

Budzi ją ręka Maksu pieszcząca jej brzuch. Maks ma erekcję, ale jeszcze na wpół śpi: erekcja nic więc nie oznacza, bo miałby ją także, gdyby jej przy nim nie było. Maks wzdycha.

– Najpierw nastawię kawy – mówi Ada i patrzy na zegarek. – Słuchaj, już wpół do dziesiątej, czy nie powinienesz jechać do Lejdy?

– Wziąłem sobie wolne przedpołudnie.

Ada rozsunęła zasłony i poszła naga do małej kuchenki. Sponad drzew wpadało do środka poranne słońce, na dole w parku jakiś biegacz oparł piętę o ławkę i próbował rozerwać się na pół. Zapach kawy i zapiekanych tostów, śpiew ptaków w gałęziach drzew, nieco dalej szum ulicy. Wszystko było w porządku. W pokoju Maks nastawił radio, żeby posłuchać wiadomości. Usłyszała, jak dzwoni, pewnie do obserwatorium. Zaraz powinien ją odwiedzić do Lejdy i znowu przez parę dni będzie go widywała tylko w południe. Za każdym razem, kiedy znikał w swoim samochodzie za rogiem, miała poczucie, jakby nigdy go nie było i nigdy już nie miało być – gdzie jednak tkwiło źródło tego poczucia nieobecności: w nim czy w niej?

Kiedy weszła ze śniadaniem do pokoju, Maks siedział ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, co niejasno skojarzyło jej się z czymś, o czym śniła, ale czego nie udało jej się zapamiętać. Poczwała jego spojrzenie prześlizgujące się po jej ciele niby tchnienie wiatru i dopiero teraz skojarzyła, że też jest naga, tak jak on. Ale nawet nago wydawał jej się lepiej ubrany, niż ona kiedykolwiek mogłaby być. Miał atletyczną sylwetkę, niezdeformowaną przez sport ani inną przemoc do proporcji, które mają imponować kobiecie, ale robią wrażenie wyłącznie na mężczyznach, a jego skóra była miękka i gładka jak u dziecka.

Ze skrzyżowanymi nogami siedzieli naprzeciwko siebie na łóżku, mając tacę między sobą, smarowali tosty marmoladą, odgryzali kęs, popijali kawą, obierali jajka ze skorupki, a Maks od czasu do czasu dotykał przy okazji dłonią jej sromu z taką oczywistością, jakby był to normalny element śniadaniowego rytuału. Erekcja, której stopniowo dostawał, podobała jej się bardziej niż poprzednia – i znowu zdumiewała się rozmiarami, jakie potrafią przybierać rzeczy na tym doczesnym świecie. Kiedy Maks opowiadał jej o Cyganach, ona łagodnie objęła dłońmi jego chłodną mosznę, jakby chciała zważyć jej zawartość.

– *Seid umschlungen, Millionen* – powiedziała.

Spojrzenie Maksu lekko się zmąciło, ale najwyraźniej postanowił się nie śpieszyć.

– Potem wszyscy stanęli wokół mnie – odezwał się z nutą jakby lekkiego zamroczenia w głosie. – Poczułem się zupełnie jak w ognisku soczewki...

Zamilkł. Każde z nich trzymało ręce w kroku drugiego i Ada czuła, że on czuje, jak ona robi się mokra. Cały czas patrząc na nią, Maks zgiął plecy, zupełnie jakby go coś zabiło. Ada uśmiechnęła się. Maks odstawił tacę na podłogę i ze stęknieniem i uciekającymi oczami nasunął się na nią, wnikając w nią głęboko językiem i penisem.

– Powoli – wydyszał – powoli...

Mówił to w zasadzie do siebie, bo ona niczego bardziej nie pragnęła. Ich ciała leniwie poruszały się na łóżku, *andante maestoso* – czuła się tak, jakby robili to na morskich falach, od czasu do czasu zanurzając się pod wodę, gdzie był nadal ten sam ruch, tylko jakby bardziej odgradzony od zewnętrznego świata, od powietrza, od światła... bez dźwięku, coraz ciemniejszy granat, fiolet...

Odezwał się dzwonek.

Ścieżka została uniesiona. Ruchy Maksa ustały, oparł się na łokciu i spojrzał na zegarek.

– Niech sobie dzwoni – wyszeptęła z zamkniętymi oczami Ada.

– To Onno. Jesteśmy umówieni. – Szybko się z nią rozłączył, jej ramiona ześliznęły się po jego ciele i Maks wyszedł do przedpokoju. Usłyszała, jak woła do domofonu: „To ty, Onno? Zaraz schodzę. Za minutkę”. Pośpiesznie wrócił do pokoju i otworzył szafę. Kiedy zobaczył Adę leżącą na łóżku, wciąż jeszcze z rozchyłonymi nogami, powiedział:

– Dogódź sobie sama.

I zniknęła w łazience.

Ada zdrętwiała. Co takiego? Nie mogła uwierzyć, że powiedział to, co usłyszała. Czy naprawdę powiedział, żeby sobie sama dogodziła? On tak powiedział? Żeby sobie sama dogodziła? Z oczami rozszerzonymi zdumieniem patrzyła w sufit, niezdolna do żadnego ruchu. Czy to w ogóle możliwe, żeby był taki chamski?

– Maks... – zaczęła, kiedy zjawił się ubrany w pokoju, ale on tylko w pośpiechu pocałował ją przelotnie w czoło i powiedział:

– Zobaczymy się koło południa, to ci wszystko opowiem. Na razie.

W chwilę później usłyszała szybki tupot jego kroków na schodach, potem, nieco cichszy, tupot na schodach niżej, potem już go w ogóle nie słyszała, dopiero przez otwarte okno dobiegł ją stuk zamykanych drzwi wejściowych.

Cisza.

Zszokowana usiadła na skraju łóżka. Wciąż jeszcze nie do końca to do niej docierało, ale wiedziała, że to koniec. Tego się już nie da naprawić: zupełnie jakby niespodziewanie ujrzała wstrętne rysy Mr. Hyde'a w twarzy swojego Dr. Jekylla. „Dogódź sobie sama”. Nie miała pojęcia, po co tych dwóch się umówiło, ale czy nie mogło to poczekać kwadrans? Czy nie mógł poprosić Onna, żeby poczekał gdzieś na niego przy kawie? Pośpiech Maksa nie wynikał z pilności sprawy, tylko z tego, że to Onno zadzwonił. Onno nie mógł czekać, Maks musiał czuć paniczną obawę, że Onno może się od niego odwrócić. Oczywiście bzdura, ale nawet to dałoby się może jeszcze jakoś zrozumieć. Potrafiłaby też pogodzić się z tym, że pod pewnymi względami Onno był dla Maksa ważniejszy od niej, ale obrzydliwy sposób, w jaki podeptał jej duszę, był nie do zniesienia. Gdyby uderzył ją w twarz, byłoby to mniej upokarzające.

Łazienka była jeszcze ciepła po jego prysznicu. W strumieniach wody przez chwilę wydawało się jej, że potrafi to z siebie strząsnąć, ale gdy tylko znalazła się z powrotem w pokoju, wszystko wróciło. „Dogódź sobie sama”. Zupełnie jakby chodziło tutaj o dogodzenie komukolwiek. On też przecież nie miał orgazmu. Z nagłą wściekłością zaczęła się ubierać – ale wtedy znów zobaczyła Maksą wyłaniającego się z nicości w antykwariacie. Czy go kocha? Nie była tego pewna, a więc może tak nie jest. Może kiedy się kogoś kocha, to się jest tego pewnym, czyli że ona jeszcze nigdy nikogo nie kochała i być może musi oswoić się z myślą, że nigdy nie pokocha. Wiedziała na pewno, że kocha muzykę. Ale może chciałyby kiedyś mieć z nim dziecko. Parę razy zastanawiała się, czy nie odstawić pigułki i nie zobaczyć, co będzie. Wyobrażenie małego Maksa czy Maksymy raczkujących po podłodze pokoju sprawiało, że rozpływała się jak kostka cukru w szklance gorącej herbaty: wiedziała na pewno, że dzieci umiałyby kochać. Ale stawiałoby to pod znakiem zapytania jej dalszą karierę muzyczną, więc o dziecku nie mogło być mowy. Wiedziała oczywiście, że podrywał też inne dziewczyny – nie uszły jej uwagi ślady w jego mieszkaniu w postaci blond włosów czy niedopałków ze śladami szminki w kubie na śmieci. Ale nie miało to dla niej wielkiego znaczenia, bo wiedziała, że zapominał o tych dziewczynach, zanim jeszcze je zobaczył. Ale teraz zdarzyło się coś nieodwołalnego.

Rozejrzała się wokół. Koniec. Podeszła do jego pustego, wysprzątanego biurka i wyciągnęła szufladę, w której miał swój „sklep papirniczy”, jak to nazywał: arkusze papieru w różnych formatach i rodzajach, dziesiątki zeszytów i notesów, poczynając od mikroskopijnych, a na potężnych, ze wzmacnianymi rogami, kończąc, wszelkiego rodzaju notatniki, także z żółtego lub błękitnego amerykańskiego papieru, czyste, liniowane, kratkowane fiszki, starannie poukładane w piramidy według wielkości – zapas na całe życie. „Jeśli idzie o papier, to bez lęku patrzę na groźbę trzeciej wojny światowej” – powiedział kiedyś. Wyjęła kartkę zwykłego papieru maszynowego i położyła na blacie. Z pojemniczka z ołówkami wyjęła żółty ołówek z gumką na końcu i w zamyśleniu wpatrywała się w ustawione na brzegu biurka jak w muzeum przyrządy: magnes, pryzmat, klepsydra, kieszonkowe lustro, linijka, lupa, kompas, kamerton...

Urzednicy Królewskiego Instytutu Dokumentacji Wojennej patrzyli z dużym zdziwieniem, zobaczywszy nagle przed sobą Quista i Deliusa. Nie było to jednak dziwniejsze niż fakt, że ich sąsiadem na tej samej ulicy był niemiecki Instytut Goethego. W każdym razie sprawa musiała w ich mniemaniu oprzeć się o samego dyrektora. Dębowymi schodami i marmurowymi korytarzami, przyozdobionymi wiszącymi na stelażach mapami, zaprowadzono Maksa i Onna do jego cichego gabinetu na tyłach budynku, z widokiem na siedemnastowieczny ogród o geometrycznym założeniu.

Dyrektor właśnie coś pisał w notatniku i podniósł wzrok. Znali jego twarz. Kilka lat temu prowadził w telewizji cykl programów na temat niemieckiej okupacji, teraz powierzono mu zadanie udokumentowania tego okresu dzień po dniu, co miało się zawrzeć w dwudziestu grubych tomach. Po jego smutnej twarzy widać było, że nie ma nic takiego, czego nie wiedziałyby o wojnie, którą przeżył w Londynie. To zadanie upamiętnienia tamtych wydarzeń, mające trwać trzykrotnie dłużej niż sama wojna, wziął na siebie ku czci brata bliźniaka, który nie zdążył uciec do Anglii i został zagazowany. W kilku krótkich słowach Maks opowiedział swoją historię, która była tak całkowicie inna.

– Chodzi o to – zakończył Maks – że mój ojciec dostał kulę za to, że wydał moją matkę na śmierć.

– Wiem o tym, panie Delius, wiem.

– Ale to przecież nadal mój ojciec. Więc chciałbym bardzo zobaczyć jego teczkę.

Dyrektor skinął głową.

– Rozumiem. A dlaczego akurat teraz?

Czy powinien opowiedzieć o Cyganach? Ale to też nie był ten właściwy powód.

– Może dlatego, że przyszedł czas.

– Cóż – powiedział dyrektor. – W zasadzie nie widzę żadnych przeciwwskazań. Żyjemy przecież w czasach otwartości i demokratyzacji, jeśli się nie mylę. A pan, panie Quist, jaka jest w tym pańska rola? Pozwoli pan, że pogratuluję doktoratu honoris causa. W zasadzie zajmujemy się tym samym, czyż nie?

Onno na moment zaniemówił.

– O niczym pan nie zapomina.

– Od tego jest się historykiem.

– Jestem tu wyłącznie jako przyjaciel.

– To mi wystarczy – powiedział dyrektor i podniósł słuchawkę. – Adriaan? Są u mnie panowie Delius i Quist. Co mówisz? Tak, istotnie. Chodzi o sprawę Wolfganga Deliusa. Przerwij sobie na razie i zajmij się panami, zaraz ich do ciebie wyślę.

Maks nigdy nie wymieniał imienia swego ojca. Doznał niemal szoku, kiedy usłyszał je, wypowiedziane z taką oczywistością, z ust dyrektora. Zostali poinformowani, dokąd mają iść, i na pożegnanie dyrektor zwrócił się do Onna:

– Pozdrowienia dla ojca.

Kiedy zamknęli za sobą drzwi, Onno rzucił ściszym głosem:

– Znowu telefonuje. Pewnie wydaje instrukcje.

– Jakie instrukcje?

– Co możemy zobaczyć, a czego nie.

– Cóż może być straszniejszego od tego, co już i tak wiemy?

– Nic. Ale oczywiście w sprawie są też inne nazwiska, nie wszyscy zostali rozstrzelani.

Ze spojrzeń, z jakimi spotykali się w korytarzach, wynikało, że wieść o ich wizycie rozeszła się już po całym gmachu. Urzędnik nazwany przez dyrektora Adriaanem odłożył słuchawkę, kiedy weszli do jego pokoju: przysadzisty, nieco pochylony mężczyzna około pięćdziesiątki o okrągłej twarzy i świdrującym spojrzeniu, który przedstawił się jako Oud. Bez specjalnych ceregieli poprosił ich, by usiedli, a w chwilę potem udał się z nimi po akta do piwnic.

Zajęli miejsca obok siebie przy długim stole, na którym leżały stosy przejrzyste porozkładanych papierów. Onno omiółł wzrokiem regały wypełnione po sam sufit teczkami opatrzonymi numerami kodów i powiedział, że na pewno znalazłoby się parę osób, które chętnie przyłożyłyby do tego płonąca zapałkę. Maks nie odezwał się ani słowem. Miał świadomość, że zbliża się do punktu końcowego. Wreszcie pojawią się jakieś konkretne dokumenty. Ale kiedy tu przyszedł, to nagle nie chciał już wcale wszystkiego wiedzieć, nie chciał wiedzieć, jak dokładnie do tego doszło, jak to zrekonstruowano w czasie procesu, co zeznali świadkowie i jakie jeszcze inne zbrodnie popełnił być może jego ojciec. Nie chciał nawet czytać sentencji wyroku. Jedyne, co chciał zobaczyć, to cokolwiek konkretnego, bezpośrednio związanego z ojcem, co dowodziłoby, że on naprawdę istniał – może w zasadzie wystarczyłaby jego fotografia.

Dźwigając przed sobą sześć grubych segregatorów, wszedł Oud w towarzystwie młodego człowieka z jeszcze większą górą zakurzonych teczek i pudełek pod brodą. Kiedy wszystko to znalazło się przed nimi, Oud usiadł za stołem jak sprzedawca, wskazał gestem papiery i rzekł:

– Jestem do dyspozycji.

I oto mieli wszystko przed sobą – jak brudną pianę po spuszczonej z wanny wodzie.

Wspomnienie

o

– przeczytał Maks na jednej z okładek. Najchętniej podniósłby się teraz z miejsca i wyszedł, ale został tylko dlatego, że był z nim Onno. Ten z kolei miał zamiar wszystkich zaskoczyć i wziąć sprawy w swoje ręce, ale ogrom materiału go sparaliżował. Odczuwał też niejasny lęk przed tym człowiekiem, który siedział za górą akt, człowiekiem o groźnych, chrześcijańskich inicjałach: Alfa i Omega.

Widząc, że Maks się waha, Oud powiedział:

– Znam te akta, swego czasu zajmowałem się wstępną fazą śledztwa. Czy chce pan zobaczyć dokumenty, w których jest mowa o panu?

– A więc znał go pan – Maks chciał powiedzieć „mojego ojca”, ale nie przeszło mu to przez gardło.

– Czy znałem... Wydaje mi się, że nikt nie może powiedzieć, że go znał. Ale kilkakrotnie się z nim zetknąłem, to prawda.

– I co mówił o mnie?

– On? On nigdy nic nie powiedział, ani o panu, ani w ogóle o czymkolwiek. Przez cały okres aresztowania ani razu nie otworzył ust, w czasie rozpraw również. Przesłuchanie go było niemożliwe.

– Jak w takim razie...

Maks nie musiał kończyć pytania. Oud kiwnął głową, że rozumie, otworzył jeden z segregatorów, odpiął klamrę i położył płasko dłoń na pisanim na maszynie liście: szare rzędkie liter z małymi odstępami, odręczny podpis, na wpół widoczny spod jego nadgarstka.

– W tym liście pański ojciec pyta niejakiego generała von Schumanna z Wehrmachtu, który poległ później pod Stalingradem, czy nie mógłby podjąć jakichś kroków, żeby definitywnie uwolnić go od młodej żony. Generał musiał być jego bliskim przyjacielem, ponieważ autor zwracał się do niego per „ty”. Wyraźnie zresztą mówi o „przyjacielskiej przysłudze”.

Maks odwrócił głowę. Nawet nie chciał na to patrzeć. Miał nadzieję, że Onno nie spyta go teraz, czy chce przeczytać list, co wiązałoby się z koniecznością wzięcia go w ręce. Kątem oka zobaczył, jak Oud przewraca kartki.

- Tu jest list od Schumanna do Rautera, wyższego dowódcy SS i policji w Hadze, do którego też zwraca się per „ty”. Oni wszyscy byli ze sobą zaprzyjaźnieni - powiedział Oud, wertując dalej. - Składał jeszcze zeznania jako świadek w procesie pańskiego ojca, sam zresztą stanął przed sądem dopiero trzy lata później. O, tutaj mamy jego polecenie dla służby bezpieczeństwa w Amsterdamie, z adresem i wszystkim. A to lista z amsterdamskiej służby bezpieczeństwa z tamtego okresu, na której odhaczono nazwisko pańskiej matki, co oznaczało, że sprawa została załatwiona. Co się tyczy pańskich dziadków, których już nie chroniła opieka nad panem, posłużył się znacznie bardziej bezpośrednimi sposobami. Mam odszukać stosowny dokument?

Maks przełknął ślinę i pokręcił przecząco głową.

- A co jest w takim razie w tych wszystkich pozostałych teczkach? - spytał Onno.

- Dotyczy to wielu innych osób - powiedział Oud z nieprzeniknioną twarzą. - Poza tym głównie rabunków i kradzieży.

Zapadła cisza. Maks znowu miał przed oczami moment, kiedy z domu wnoszono fortepian, i widział stos ubrań matki, leżących na podłodze w sypialni. Aby jakoś pomóc przetrwać Maksowi ten trudny moment, Onno spytał, czy istnieje jakieś wytłumaczenie konsekwentnego milczenia Deliusa.

- Czy to z poczucia winy? Dlatego, że tak fatalnie obnażył się w liście? Ezra Pound też milczy obecnie z podobnego powodu.

- Zdaniem prokuratora generalnego była to dla niego ostatnia deska ratunku, żeby uniknąć przygniatającego ciężaru dowodów - powiedział Oud. - Ale któregoś dnia znaleziono w jego celi coś dziwnego.

Oud otworzył jedno z archiwalnych pudeł i wy dobył z niego grubą, jasną urzędową kopertę.

- Proszę - powiedział, wyjmując z niej pudełko papierosów i podając je Maksowi.

Było to pudełko po papierosach marki Sweet Caporal, pogniecione i puste. Maks wziął je ze zdziwieniem i odwrócił. Na dnie pudełka były napisane zielonym atramentem jakieś słowa.

- „Istnieję tylko ja - przeczytał. - Jeśli coś nie istnieje, to nie może umrzeć”.

- To brzmi trochę jak z Wittgensteina - powiedział Onno. - „O czym nie można mówić, o tym trzeba milczeć”. Też taki sfrustrowany Austriak.

Maks nie słuchał. Nigdy wcześniej nie widział odręcznego pisma ojca. Nie było holenderskie, tylko ostrzejsze, bardziej kanciaste. To samo pudełko trzymał w rękę jego ojciec, tam w celi więzienia Scheveningen, i to on napisał te słowa, pewnie na kolanie, siedząc na skraju pryczy.

Oud powiedział, że to nie jest z Wittgensteina, tylko że to słowa Deliusa. O Wittgensteinie, swoim rówieśniku, z pewnością nigdy nie słyszał, ponieważ ten dopiero niedawno stał się modny. W raporcie psychiatrycznym znalazła się uwaga, która miała być świadectwem, że oskarżony ma silnie ograniczoną poczytalność: żyje w przeświadczeniu, że tylko on istnieje na świecie, a wszystko inne jest iluzją, projekcją. Z tego punktu widzenia nie można go uznać za winnego morderstwa, ponieważ poza nim samym wszyscy inni nie istnieją, tylko on zatem może umrzeć. Nie istnieli także sędziowie i przesłuchujący. Paradoksalnie nie istniał dla niego także jego kat. Takiego pacjenta należałoby zatem uwolnić od oskarżenia i przekazać do dyspozycji rządu. Zdaniem oskarżyciela był to jednak tylko chytry wybieg inteligentnego zbrodniarza, aby za wszelką cenę ująć sprawiedliwej kary. Giltay Veth natomiast, obrońca z urzędu, któremu także nie udało się wydobyć z niego ani słowa, zagłębił się w sprawę jeszcze bardziej. Wywodził, że w celi Deliusa znalazła się osławiona rozprawa Maksxa Stirnera, niemieckiego filozofa z pierwszej połowy XIX stulecia, propagatora ekstremalnego, amoralnego egoizmu, którego *Jedyny* był prekursorem nietscheańskiego Nadczłowieka. Po upadku Hitlera Delius najprawdopodobniej poszedł jeszcze o krok dalej w stronę czystego metafizycznego solipsyzmu. W tej kwestii Giltay zasięgnął opinii dwóch czołowych filozofów zagranicznych: niejakiego Russella z Cambridge i Heideggera z Fryburga Bryzgowijskiego.

Oud otworzył kolejny segregator i położył palec na karcie pocztowej.

– Oto, co napisał Russell: *Solipsism, although not my cup of tea, is a perfectly legitimate philosophical position. No taking it serious would imply a defamation of philosophy as such. In my opinion, therefore, your client should be executed without hesitation*¹. Jak się panowie domyślają, Giltay nigdy nie przedłożył sądowi tej ekspertyzy; o ile wiadomo, znalazła się ona w aktach przez niedopatrzenie. Giltay posłużył się jedynie listem od Heideggera: *Der Ausdruck Solipsismus leitet sich ab von solus ipse: „ich allein“. Der Anfang dieses seinsvergessenen Gedankens findet man nicht in der Antike, er wäre bei Descartes anzusetzen. Dessen Universal-Zweifel, der an allem zweifelte, nur nicht an sich selbst, führte zu der jedem Schuljungen geläufigen Formel cogito ergo sum. Der solipsistische Standpunkt ergibt sich, wenn das cogito ergo sum zu ergo solus ego sum verschärft wird. Das aber liegt in der Konsequenz des Cartesianismus. Diese zurückzuweisen bedeutet die gesamte nachcartesianische Philosophie zu verneinen. Mit einem Todesurteil Ihres verehrten Herrn Klienten, wäre somit dem Wesen nach die gesamte Philosophie gerichtet*².

No cóż. Zdaniem prokuratora, jak powiedział Oud, Heidegger sam był filozoficznym przestępcą, mianowicie nazistą z najwyższej półki, który pośrednio pragnął w ten sposób zdjąć oskarżenia z siebie samego, bo już widział nadciągające kłopoty. W sentencji wyroku sędziowie zajęli ostatecznie stanowisko, że ktoś, kto wydaje na pewną śmierć żonę i teściów, z definicji nie może być normalny i że żaden morderca nie jest normalny, ale że to nie może oznaczać, że mordercy mogą powoływać się na popełniony przez siebie czyn jako na okoliczność łagodzącą, ponieważ oznaczałoby to koniec wymiaru sprawiedliwości i powrót ludzkości do czasów barbarzyńskich – krótko mówiąc, do porządku społecznego, którego zaprowadzeniu właśnie udało się zapobiec kosztem pięćdziesięciu milionów istnień.

– Bardzo słusznie – zgodził się Onno.

1 „Solipsyzm to wprawdzie nie moje poletko, niemniej jednak jest to najzupełniej spójne stanowisko filozoficzne. Jego lekceważenie byłoby obelgą dla filozofii jako takiej. Dlatego też opowiadam się za niezwłoczną egzekucją waszego klienta”.

2 „Termin «solipsyzm» wywodzi się od łacińskiego «solus ipse» (ja sam). Początków tej zapominającej bycia myśli nie znajdziemy w starożytności, doszukiwać się ich należy raczej u Descartes’a. Jego wszechwzrost, wątpliwe we wszystkim, poza sobą samym, doprowadziło do wypracowania znanej każdemu uczniowi formułki «cogito ergo sum». Solipsystyczny punkt widzenia powstaje wówczas, gdy «cogito ergo sum» spotęgujemy do «ergo solus ergo sum». To właśnie jest konsekwencją kartezjanizmu. Odrzucenie tej myśli oznaczałoby zaprzeczenie całej filozofii postkartezjańskiej. Wykonanie wyroku śmierci na pańskim szanownym kliencie byłoby zatem w swej istocie egzekucją wszelkiej filozofii”.

W rogach pudełka po papierosach zachowało się jeszcze tu i ówdzie trochę szerniałego tytoniu. Maks zamknął pudełko i w chwilę potem zobaczył, jak znika z powrotem w kopercie.

– Czy ma pan gdzieś tutaj fotografię mojego ojca?

Oud uniósł brwi.

– W zasadzie powinna być – powiedział z nutą niepewności w głosie i zaczął szukać. – W każdym razie na pewno w paszporcie...

– A czy ty w ogóle wiesz, gdzie znajduje się grób twojego ojca? – spytał Onno z udawaną obojętnością.

– Nie – odrzekł Maks i spojrzał na Ouda.

Ten podniósł na chwilę wzrok i wykonał krótki, przeprasający gest. Znalazł bowiem tylko niewyraźne gazetowe zdjęcie z sali sądowej, zrobione z dużej odległości. Maks ujrzał niemożliwy do rozpoznania zarys postaci u boku policjanta z białymi galonami. Być może tego samego, który cztery lata wcześniej zabrał go ze szkoły.

*

Onno był umówiony z kilkoma politykami i Maks poszedł od razu do domu. Był zmęczony i czuł potrzebę porozmawiania z Adą. Dziewczyna o niczym nie wiedziała, urodziła się w tym samym roku, w którym rozstrzelano jego ojca. Oczywiście nazwisko Delius mogło obudzić jakieś skojarzenia u jej rodziców, bo występowało w Holandii dosyć rzadko, z drugiej jednak strony wszystko było już tak dawno i dużo toczyło się wtedy procesów, w większości bardziej spektakularnych niż proces jego ojca. Ona jednak powinna wiedzieć, zwłaszcza że dzisiaj rano nie zachował się wobec niej zbyt elegancko.

Gdy tylko wszedł do pokoju, od razu poczuł, że coś jest nie tak. Zniknęła też wiolonczela, która zawsze stała obok fortepianu. Na biurku znalazł list:

Kochany Maksie,

Kiedy wrócisz do domu, mnie już nie będzie. Może nie od razu to zrozumiesz, ale jak się trochę zastanowisz, to wszystkiego się domyślisz. Przeżyłam z tobą piękne chwile, za które jestem Ci bardzo wdzięczna i których nigdy nie zapomnę. Bardzo wiele dla mnie znaczyłeś, może i ja znałam chociaż trochę dla Ciebie. Jeśli kiedykolwiek jeszcze się spotkamy, mam nadzieję, że zostaniemy wspianiałymi przyjaciółmi.

Na zawsze Twoja Ada

Powoli odłożył kartkę na biurko. Nieoczekiwany ton tego pożegnania, jakaś definitywność zapisanych zdań głęboko w niego zapadły, wiedział jednak zarazem, że nie podejmie żadnych kroków, żeby to odwrócić. Więc to tyle. Ten epizod się skończył. Usiadł i wysunął dolną szufladę biurka, żeby zrobić to, co zawsze chciał zrobić pod nieobecność Ady. Wystarczyło, że sięgnął bez patrzenia, żeby wyjąć wszystko, czego potrzebował: dzięki porządkowi, jaki wokół siebie stworzył, zyskiwał co najmniej rok życia, który inni marnują na szukanie różnych rzeczy.

Położył przed sobą staromodne wieczne pióro i etui na okulary. Pióro było grube, miało płomienisty wzór i zrobione było z granatowego ebonitu, który zmatowiał i był bez życia; mosiężna skuwka i ozdobne pierścienie straciły blask i miały plamy śniedzi. Maks ostrożnie je odkręcił i przyjrzał się złotej stalówce, poczerniałej od prastarego atramentu. Zapalił lampkę na biurku i uważnie przestudiował pióro przez lupę – i zobaczył to, co miał nadzieję zobaczyć: w resztkach atramentu przebijał ciemnozielony błysk, jak algi w gnijącym stawie. Chciał zakręcić pióro z powrotem, ale gwint był zniszczony. W końcu jednak wyczuł po nieznacznym oporze, kiedy doszedł do końca.

Etui na okulary było z taniego, beżowego papier-maché. Otworzył je i wyjął okulary. Oprawki były z cienkiego, przezrystego celuloиду, grube, brudne szkła były wypukłe. Chciał założyć je na nos, ale kiedy je rozchylił, wszystko rozsypało się w drobny mak, szkła wypadły i na liście Ady leżały już tylko szczątki. Twarz Maksa stężała. Lewą ręką ujął kosz na śmieci, a prawym przedramieniem zgarnął to wszystko do środka.

12

Trójkąt

Maks mógłby oczywiście spytać o to Onna, bo na pewno było coś na ten temat w dokumentach procesowych, ale nie chciał już więcej wchodzić do tego domu upiorów. W ministerstwie sprawiedliwości dowiedział się z pewnym trudem, że jego dziadkowie ze strony ojca pobrali się w Pradze i że dzień i miesiąc urodzin jego ojca z kalendarzową dokładnością pokrywa się z dniem i miesiącem jego śmierci: 21 czerwca 1892 roku w Bielitz, na terenie ówczesnych Austro-Węgier. Pewnie nawet nikomu nie przyszło do głowy, że staje pod murem w dniu urodzin. Do szkoły powszechnej chodził w Kattowitz, następnie do gimnazjum w Krakau, a w wieku lat dziewiętnastu wyjechał na studia do Wiednia. Od czasu wizyty w Królewskim Instytucie Dokumentacji Wojennej Maks zastanawiał się nad sugestią Onna, żeby tego lata nie spędzał wakacji na jakiejś beznadziejnej plaży we Francji, tylko na terenach, z których pochodził jego ojciec – po czym najprawdopodobniej będzie mógł całą sprawę odłożyć *ad acta*. Choć z drugiej strony, jeśli idzie o przeszłość, w tamtych krajach oczywiście panuje takie samo powszechne milczenie, jak w Brukseli, gdzie urodziła się jego matka. Trzy miejsca z młodości ojca – leżące teraz na południowym obszarze Polski, przy czeskiej granicy, i nazywające się Bielsko-Biała, Katowice i Kraków – tworzyły klasyczny trójkąt równoboczny, zwrócony jak strzała precyzyjnie na wschód. Pośrodku, dokładnie w punkcie przecięcia siecznych każdego z kątów tego trójkąta, leżał obóz zagłady Auschwitz.

Maks pojechał pociągiem, tak jak jego matka. Przymuszcześnie jechała trasa bardziej na południe, przez Lipsk i Drezno, jego wiza tranzytowa przez NRD zaprowadziła go najpierw do Berlina Zachodniego na dworzec Zoo, gdzie przyjechał wcześniej rano i gdzie oddał do przechowalni walizkę. Spacerował w porannym słońcu po Kurfurstendamm, kupił w jakimś kiosku bedeker i pojechał taksówką do ruin Reichstagu, gdzie trwała intensywna odbudowa. Budowla była łysa: wielka środkowa kopuła – bismarckowski hełm – zniknęła, ale kiedy Maks się odwrócił, na drugim końcu wielkiego pustego placu ujrzał nowe centrum kongresowe, mające dokładnie kształt hitlerowskiej czapki. A więc i pod tym względem przywrócono równowagę. Przez chwilę rozmyślał o Van der Lubbem, który ogniem radości uczcił moment poczęcia jego i Onna; powędrował potem przez park wzdłuż muru berlińskiego, w milczeniu wykrzykującego swoje jaskrawe przesłania. W chaosie wózków z kiełbaskami, kramów z pamiątkami i zaparkowanych autobusów, tam gdzie kiedyś był plac Poczdamski, wspiął się na drewniany podest i pośród fotografujących i przepychających się turystów spoglądał w beźmierną pustkę wyrąbaną po drugiej stronie muru, gdzie ośmiokąt placu Lipskiego wyglądał jak odcisk kopyta olbrzymiego potwora. Kilkaset metrów dalej widać było miejsce, gdzie ten potwór odebrał sobie na koniec życie.

Około południa odebrał walizkę z przechowalni i pojechał S-Bahnem do Berlina Wschodniego. Dotarłszy tam, poczuł się od razu tak, jakby wyjechał z domu parę tygodni temu. Na granicznym dworcu Friedrichstrasse enerdownscy milicjanci przez półtorej godziny odsyłali go od okienka do okienka z kolejnymi biurokratycznymi formularzami do wypełnienia. Paszport, wiza, wszystkie pieniądze na stół, proszę zdjąć okulary przeciwsłoneczne! Uświadomił sobie też zarazem, że nie tylko przechodzi z jednej części miasta do drugiej, nie tylko z jednego kraju do drugiego, ale że jest to przejście między dwoma światami. Przyglądał się ogrodzonej Bramie Brandenburskiej i przespacerował się aleją Unter den Linden, nad którą unosiła się zapierająca dech w piersiach cisza. Różnica między Berlinem Zachodnim a Wschodnim była taka jak między Amsterdamem z roku 1967 a tym z 1947. Wszędzie na bezbarwnych fasadach domów reklama ideologiczna, hasła na czerwonych transparentach: „Artyści i ludzie kultury, swoją sztuką zagrzewajcie ludzi pracy do walki o zwycięstwo socjalizmu”. Mijający go przechodnie patrzyli na jego francuski letni garnitur, włoskie buty, amerykańską koszulę i angielski krawat – od czasu do czasu ktoś zagadywał go, proponując wymianę marek po kursie cztery do jednego.

Na końcu alei, naprzeciwko placu, gdzie w roku 1933 palono książki, wszedł do Neue Wache: małego neoklasycystycznego budyneczku z kolumnowym portalem, gdzie dwóch stojących bez ruchu żołnierzy stawiało czoła spojrzoniom rozchichotanej grupki ciekawskich. W środku, w kryształowym sześcianie, płonął wieczny ogień nad prochami nieznanego żołnierza i nieznanego bojownika ruchu oporu. *Den Opfern des Faschismus und Militarismus* głosiły złote litery na bocznej ścianie. Nie miał jednak czasu na medytację, bo wszystkich dyskretnie wyproszono i kiedy wyszedł na zewnątrz, zobaczył, jak przy wtórze wojskowej orkiestry i chrzęstu wojskowych butów zbliża się od strony Unter den Linden zmiana warty. Rozkazy, paradny krok, sylwetki wyglądające jakby były jednym ciałem, budząca dreszcz przerażenia pruska precyzja, z jaką pięćdziesiąt karabinowych kolb uderza o bruk jak jedna kolba, cały ten niezrozumiały ceremoniał wywoływał u berlińczyków głównie chichoty – jedynym, który czuł, jak wilgotnieją mu oczy, był Maks, bo chociaż był to ceremoniał wojskowy, to jednak dla uczczenia ofiar faszyzmu.

Z przewodnikiem w dłoni Maks przechadzał się dalej po mieście i czuł się tak, jakby brodził po kolana w historii. Na opustoszałej ulicy Grotewohla, kiedyś Wilhelmstrasse, długie minuty wpatrywał się w zalany słońcem gazon, gdzie stała niegdyś Kancelaria Rzeszy. Wystający z ziemi niby tumor wskazywał miejsce, gdzie było wejście do bunkra; tam w dole, głęboko pod ziemią, potwór oddał na koniec pierwszy strzał od czasu pierwszej wojny światowej: we własne usta. Maks pokiwał głową. Taki bywa koniec, jak się lubi łasuchować, pomyślał.

Ku jego radości nocny pociąg do Katowic ciągnęła jeszcze sapiąca ze świstem i archaicznie gwizdząca lokomotywa. Na polskiej granicy zaczął się wielogodzinny postój, na korytarzu co chwila pojawiali się coraz to inni funkcjonariusze w innych mundurach i odsuwali drzwi przedziału. Pociąg ruszył do tyłu, potem do przodu, stuknął o inne wagony, wyjechał ze stacji, wrócił na stację, a za oknem wieże strażnicze, reflektory, łaziki z wojskowymi, wysoki but oficera wysiadającego z samochodu. Maks czuł pełne zadowolenie. Nareszcie wszystko było inaczej. Próbował czytać przy skąpym świetle artykuł angielskich kolegów na temat odkrycia nowego źródła sygnałów radiowych, zwanego pulsarem. Byli na tyle nieostrożni, by przyznać, iż przez moment myśleli, że to może sygnały pozaziemskiej cywilizacji. Ale nie w głowie mu teraz były szczegóły techniczne. Dotąd siedział twarzą do kierunku jazdy, teraz wjeżdżał plecami do Polski, tak że miał wrażenie, jakby wracał. Kilkakrotnie pojawił się w przedziale konduktor, oferując coraz korzystniejszy kurs wymiany, ale Maks wolał nie ryzykować. Wieśniaczka na siedzeniu naprzeciwko, w chuście na głowie, trzymająca na kolanach kosz z sapiącym prosiakiem, zdawała się nic nie słyszeć. Przed Gliwicami wszyscy zaczęli wstawać i zbierać bagaże – Maks wiedział, że miasto nazywało się dawniej Gleiwitz, że leżało na dawnej granicy polsko-niemieckiej i że to właśnie tu Hitler zainscenizował „incydent”, który posłużył następnego dnia jako pretekst do napaści na Polskę: a więc to tutaj wszystko się zaczęło.

W Krakowie Maks zakwaterował się w zapuszczonym rodzinnym hoteliku w centrum. Czyżby Łysenko miał jednak rację? Czyżby także doświadczenia były dziedziczne? Maks miał wrażenie, jakby wrócił do domu. Kiedy otworzył drzwi balkonu wychodzącego na ciche, pełne zieleni wewnętrzne podwórko, otoczył go nieznan, a jednak nieopisanie znajomy zapach węgla brunatnego i temperatura dokładnie odpowiadająca temperaturze jego ciała, tak że miał wrażenie, jakby jego ciało rozdymało się, sięgając aż do ścian otaczających podwórko budynków. Nieco później, już w mieście, próbował dopuścić do siebie świadomość, że także jego ojciec chadzał tymi ulicami z tornistrem ze sztywnej skóry na plecach – ale jego osoba nie przybierała żadnej konkretnej postaci. Jego gimnazjum wyglądało tak samo jak wszystkie inne gimnazja, z jońskimi kolumnami przy wejściu i wieńczącym je tympanonem. W kawiarni, gdzie do kawy podano mu szklankę wody, zajrzał do książki telefonicznej, żeby sprawdzić, czy może mieszka jeszcze w mieście jakiś Delius, jakiś kuzyn albo kuzynka, ale przecież wszyscy niemieckojęzyczni mieszkańcy tego miasta już po pierwszej wojnie światowej przenieśli się do austriackiego tułowia. Bardzo możliwe, że w Pradze, Wiedniu czy Budapeszcie, dokąd chciał potem także pojechać, mieszkają jeszcze jacyś Deliusowie. Resztę dnia spędził jak prawdziwy turysta, podziwiając katedrę, stojąc przy sarkofagach polskich królów, nie wiadomo po co przemierzając w filcowych kapciach parkiety niezliczonych komnat zamku na Wawelu.

Następnego ranka pojechał jak najwcześniejszym pociągiem osobowym wzdłuż północnego boku trójkąta z powrotem do Katowic. Pod zaciągniętym chmurami niebem melancholijnie puste połączenie płaskich pól, nędzne wioski, dzieciaki na podwórkach drewnianych zagród machające w stronę pociągu, ponure lasy, stopniowo przechodzące w czarny krajobraz przemysłowy kopalń i fabryk, a potem nieprzenikniony gąszcz torów stacji rozrządowej, pełnej pociągów towarowych. Parę godzin błędził bez celu cichymi ulicami, wciągał w nozdrza ciężki, wilgotny zapach węgla i siarki i przyglądał się kobietom sprzątającym ulice. Czy kiedykolwiek jego własne dziecko będzie tak samo wędrowało ulicami Amsterdamu i Lejdy? Przyłapał się na tym, że od razu pomyślał przy tym o Adzie. Czy to znaczy, że powinien do niej wrócić? Po jej odejściu już się z nią nie widział, nawet na wpół o niej zapomniał – a co by było, gdyby nagle zadzwoniła z wiadomością, że jest z nim w ciąży? Co by wtedy zrobił? Ale to wykluczone, brała przecież pigułkę. Porzucił te myśli i wrócił na dworzec. Trasą będącą podstawą trójkąta pociąg zawiózł go do Bielska-Białej, pięćdziesiąt kilometrów na południe. Ale i w tym miasteczku, gdzie jego babka krzyczała, rodząc jego ojca, nie usłyszał żadnego echa. Może jednak Łysenko nie miał racji? W godzinę później znowu jechał, tym razem wzdłuż południowego boku trójkąta, z powrotem do Krakowa, przyglądał się wronom na polach, koniom i chłopskim wozom na polnych drogach i zadawał sobie pytanie, czy na pewno dobrze zrobił, że posłuchał Onna.

Trzeciego dnia znowu pojechał pociągiem trasą na Katowice. W Trzebini miał przesiadkę i z bijącym sercem wyruszył do serca trójkąta, do Oświęcimia, leżącego w punkcie przecięcia siecznych wszystkich jego kątów. Także tam, pod mlecznym niebem, rozległe stacje rozrządowe z manewrującymi pociągami, maszyniści wychylający się z sapiących lokomotyw i patrzący do tyłu, na niekończący się rząd zamkniętych wagonów. W ciągu pięciu minut taksówka zawiozła go pod samą bramę obozu.

Rdzawobrązowe budynki prześwitujące między drzewami. Wysoki, kwadratowy komin krematorium. „*Arbeit macht frei*”. Ponuro spoglądał na kute w żelazie litery hasła umieszczonego w zwieńczeniu bramy. Czy był to wyraz narodowosocjalistycznego cynizmu, jak zawsze sądził, czy też może słowa te widniały na bramie już w czasach, kiedy mieściły się tutaj koszary austro-węgierskiej kawalerii, usytuowane przy dawnej granicy cesarstwa Habsburgów i cesarstwa Hohenzollernów? Być może jego ojciec służył nawet w tym garnizonie, który tu stacjonował. W powietrzu wisiał lepki, bezwietrzny upał. W budce zjadł przyprawioną na ostro kiełbaskę na kromeczce ciemnego chleba, w drugiej budce kupił kilka broszur i wszedł do środka. Miał wrażenie, jakby na bliżej nieznanym zasadzie szedł za sobą – że tylko jego ciało kroczy żwirowaną alejką, a on sam długo jeszcze się tutaj nie znajdzie, że miną jeszcze dziesiątki lat, zanim tak naprawdę tutaj wejdzie. Wieże strażnicze. Podwójne rzędy zagiętych u góry, betonowych słupów z drutem kolczastym i izolatorami. Trupie czaszki ze skrzyżowanymi piszczelami. „Halt! Stój!” Wszystko było mniejsze, niż się spodziewał. Cicha wioska z trzydziestu trzech ceglanych budynków, trzy rzędy po jedenaście, w których dziesiątki tysięcy ludzi zakatowano, zastrzelono, zaszprycowano, gdzie eksperymentowano z gazem na rannych radzieckich jeńcach wojennych i chorych z okolicznych szpitali. Ale to nadal jeszcze nie było to właściwe miejsce. Cegły, zatęchłe piwnice, mroczne jamy, żelazne kółka na ścianach, łańcuchy, pordzewiałe stoły operacyjne. W kilku blokach urządzono muzeum. Patrzył na infernalne terrarium, dwadzieścia metrów długości i trzy metry głębokości, wypełnione kobiecymi włosami, które przybrały już jednolity matowoszary kolor. Czy były tam też włosy jego matki? Inne terrarium, pełne poniszczonych dziecięcych bucików, jeszcze inne pełne okularów, szczoteczek do zębów, skórzanych protez. Wszystko tak po prostu sobie leżało. Czy to nie jest jednak tak, zastanawiał się Maks, że ostatecznie nic już nie ma znaczenia? Że wszystko jest możliwe i wszystko można zrobić, zważywszy fakt, iż pewnego dnia nieodwołalnie zostanie to odsunięte na dalszy plan? Nawet w niebie wieczna błogość jest możliwa tylko dzięki łasce zbrodniczego zaniku pamięci. Czyż takich szczęśliwców nie należałoby pokarać za to piekłem? Wszystko zmarnowane na wieki wieków – nie tylko tutaj, ale w tysiącach wcześniejszych i późniejszych okazjach, o których nikt już nie myśli. Niebo nie było możliwe, mogło istnieć co najwyżej piekło. Każdego, kto wierzy w Boga, myślał, patrząc na ogromną gablotę pełną dziecięcych zabawek, należałoby postawić przed sądem – pod wysmołowaną na czarno ścianą straceń, którą widział pod blokiem numer 11.

Czuł, że jest na najlepszej drodze, żeby sobie coś zrobić. W jednej z budek wypił szklankę letniej wody mineralnej, przejrzał broszurki, wpatrywał się w liczby i plany i ruszył do odległego o parę kilometrów miejsca, gdzie znajdował się obóz zagłady Auschwitz II. Mógłby wezwać taksówkę, ale ponieważ drogą tą pędzono na śmierć niezliczone tysiące, Maks czuł, że sam też musi ją przejść, tak jak chrześcijanin przechodzi Via Dolorosa. Wąska droga ciągnęła się samotnie wśród ściernisk i od czasu do czasu brzoźowych zagajników, zza których wyłaniały się wieże wyciągowe kopalń i fabryczne kominy. Było duszno. Spocony, lekko się pochylając, patrzył na kocie łby, po których szedł, podczas gdy wokół niego odsuwał się w niebyt nie tylko krajobraz, ale stopniowo również wszystko, co go w jakiś sposób wiązało: Amsterdam, Onno, jego przyjaciółki, jego koledzy, a także jego praca, obserwatorium, absurdalne otchłanie wszechświata. Pozostał tylko on sam, idący brukowaną drogą między Oświęcimiem a Brzezinką, w samym centrum diabelskiego trójkąta. Nie myśląc o niczym szczególnym, z coraz większą siłą uświadamiał sobie, że jest, że istnieje, tu i teraz, że tu i teraz jest tym, kim jest: dlaczego? Może właśnie on był tym pytaniem, samym jądrem tajemnicy? Może pytanie było odpowiedzią, a odpowiedź pytaniem? Widział idące do przodu własne buty, na przemian jeden i drugi, i nagle uświadomił sobie ruch obrotowy Ziemi: musiał iść, by trwać w tym samym miejscu. Po chwili jednak obrót stał się szybszy, tak że i on musiał przyspieszyć kroku, by go wyrównać, w chwilę później poczuł, że zaraz upadnie na twarz – przystanął półprzytomny i rozejrzał się wokoło. Dotarł do skrzyżowania z piaszczystą polną drogą, pełną śladów kół. Kilkaset metrów dalej widniał wiadukt nad torami, a dobry kilometr dalej, oświetlony zamglonym słońcem, rozciągał się płasko szeroki budynek wejściowy do obozu Auschwitz-Birkenau: *anus mundi*.

Maks patrzył znieruchomiały. Ze swoją niewielką wieżyczką nad bramą budynek wyglądał jak jakiś monstrualny drapieżny ptak, który przysiadł właśnie z rozpostartymi skrzydłami. Niebo nad nim przez całą noc było czerwone od płonących mężczyzn, kobiet i dzieci. Wszędzie dokoła musiały leżeć na polach ich prochy. Nie słychać było żadnego ruchu, ciszę wypełniały jedynie głosy ptaków i gwizdy lokomotyw w oddali, czuć było zapach rozgrzanej słońcem trawy, przemieszany z jakąś nieokreśloną chemiczną wonią. Budynek spoglądał na niego, znieruchomiały w swej bezlitosnej symetrii. Kiedy znowu ruszył przed siebie, zobaczył po drugiej stronie skrzyżowania figurkę Matki Boskiej umieszczoną w czymś w rodzaju budki dla ptaków. Madonna trzymała w dłoniach wyschnięte kwiaty i patrzyła w górę spojrzeniem, które Maks – prostując się – jakże często widywał pod sobą na poduszce. W tym samym momencie owładnęła nim ślepa wściekłość. Nie zastanawiając się ani przez chwilę, ani nawet nie rozglądając się, podbiegł, zdarł drewnianą figurkę z postumentu, złapał ją za głowę i cisnął, jak mógł najdalej, w krzaki.

Nie odwracając oczu, z bijącym sercem szedł dalej, minął wiadukt nad torami i z każdym krokiem widział zbliżający się coraz bardziej obóz: Czarna Dziura, z której nic już nie może uciec. To właśnie był ołtarz, właściwy ośrodek władzy faszyzmu. Czy gdziekolwiek na całej Ziemi jest takie miejsce, w którym wyrządzono tyle dobrego, ile tutaj wyrządzono zła? Skoro to była ziemská filia piekła, to gdzie w takim razie jest filia nieba? Nie było takiego miejsca, bo istniało tylko piekło, a nieba nie ma. To miejsce było dokładnym przeciwieństwem raju, nawet jeśli raj nigdy nie istniał. Dopiero teraz uderzyło go, że do budynku z czerwonej cegły prowadzą dwa wejścia: jedno pośrodku, przez które przechodziła pojedyncza nitka torów, a na lewo od niego drugie, dla pozostałego ruchu. Setki metrów w lewo i w prawo podwójne rzędy betonowych słupów z drutem kolczastym pod naPieciem, wysokie na cztery metry, z wieżami strażniczymi w niewielkich odstępach. Nie chciał wchodzić do obozu przez środkową bramę, wyglądającą jak otwór krematorium, i nagle stało się coś takiego, jakby w jednym momencie wyrosła przed nim niewidzialna ściana: w ogóle nie chciał tam wchodzić. Przeklęta ziemia, na której wymordowano miliony ludzi, stała się święta: nie chciał jej podeptać.

Stojąc w progu, spoglądał na zaniedbany teren, porośnięty krzakami i chwastami. Panował tu bałagan jak w opuszczonej pośpiesznie sypialni, gdzie zostaje nieposłane łóżko, wysunięte są wszystkie szuflady i na podłodze leżą ubrania. Nie było żywej duszy. W środku tory rozgałęziały się, potem jeszcze raz. Na długich rampach między nimi przeprowadzano selekcję na tych, którzy mieli umrzeć od razu, i tych, którym było to przeznaczone dopiero po pewnym czasie. Na lewo od Lagerstrasse ciągnęły się szeregi drewnianych baraków, z tych po prawej zostały już tylko ceglane kominy. Daleko z przodu, na końcu torów, widział po lewej i prawej ruiny wysadzonych w powietrze krematoriów i komór gazowych. Tył obozu, tej czworokątnej misy ofiarnej, był nazbyt odległy, żeby mógł coś zobaczyć. Przykucnął i dotknął prawą dłońią zardzewiałej szyny. Tędy wjechała do środka. Poczucił się tak, jakby wlała się w niego panująca tutaj nieruchoma cisza – to nie on wszedł do obozu, to obóz wszedł w niego. Nie było już katów i nie było ich ofiar, wszyscy zniknęli – nie było ani jego ojca, ani matki: czyż sam nie był teraz uosobieniem obozu jako takiego?

Postanowił, że wolnym krokiem obejdzie teraz te cztery i pół miliona metrów kwadratowych. Na każdym metrze kwadratowym stał jeden martwy człowiek.

13

Porządki

W tych samych godzinach, kiedy Maks wykonywał swój ośmiokilometrowy polski obchód, Ada przewyciężyła wahanie i zadzwoniła do Onna, żeby zapytać, gdzie podziewa się jego przyjaciel. Maks oczywiście zachował się wobec niej wstrętnie, ale z drugiej strony taka była ta jego dziecinna przyjaźń; może tego ranka rzeczywiście miał w programie coś bardzo ważnego – chociaż naturalnie mógł jej o tym po prostu powiedzieć. W każdym razie nie mogła przestać o nim myśleć, i może zareagowała nazbyt gwałtownie.

W głosie Onna słyhać było zaskoczenie, ale niestety nie mógł jej służyć żadną informacją.

– Chyba gdzieś w Polsce albo w Czechosłowacji czy na Węgrzech, wiesz przecież, z kim miałaś do czynienia. Straszna rzecz.

Jak to, z kim miała do czynienia? Ada nie bardzo zrozumiała sens tego zdania.

– A kiedy wróci?

– Chyba za jakieś trzy tygodnie.

– Czy coś o mnie mówił?

– Mam wrażenie, że jest mu przykro, że coś się między wami popsulo. Mnie oczywiście też. Miałaś dobroczynny wpływ na tego czubka. Był to naturalnie skutek oczyszczającego działania muzyki. Jak tam twój duet?

– Właściwie nie istnieje. Bruno uznał, że już mu się nie chce. Niedawno byłam na przesłuchaniu w sprawie angażu do orkiestry Concertgebouw.

– No i?

– Mają mnie zawiadomić.

– A skąd ci się to tak nagle wzięło?

– Muszę zarabiać, chcę się przecież wyprowadzić z domu. A jak tam u ciebie? Jedziesz na urlop?

– Ja? Na urlop? Naprawdę myślałaś, że oddaję się takim drobnomieszczańskim przyjemnościom? Hańba! Zresztą, sama też chyba nie jesteś na urlopie?

– Tylko dlatego, że nie mogę sobie na to pozwolić.

– Skąd dzwonisz?

– Z Concertgebouw.

– OK, to może spotkamy się na kawie u Keyzera na rogu? Przyjdę do ciebie, żeby rzucić jaskrawy blask mej światłości na tego czeskiego koniokrada.

Od swojego stolika przy oknie widziała go, jak zbliża się od strony Museumplein i przechodzi przez ulicę. Maks od razu by ją zobaczył, pewnie nawet wcześniej niż ona jego, Onno natomiast, całkowicie pogrążony we własnych myślach, gapił się w chodnik, myślami z pewnością będąc zupełnie gdzie indziej niż w rzeczywistości. Jego wielka, niezgrabna postać budziła w niej lekką fizyczną odrazę, ale zarazem ją pociągała. Nie potrafiła wyobrazić sobie większego kontrastu niż ten między Maksem a Onnem: Maks, któremu nie umknął żaden szczegół, który był jednocześnie wszędzie, i Onno, który zawsze skupiony był na jednym i dla którego nie istniała wówczas reszta świata.

Najwyraźniej ucieszył się, że ją widzi. Na początek pocałował ją nawet niezręcznie w policzek.

- Nad czym się tak głęboko zastanawiałeś?

- Naprawdę cię to interesuje?

- Jeśli to nie żadna tajemnica...

- To wielka tajemnica, ale i tak ci opowiem. Myślałem o kwadracie magicznym.

Onno zdjął gazetę z wieszaka, usiadł naprzeciwko Ady i napisał na marginesie:

m a x

a d a

x a m

- Przyjrzyj się dobrze literom po przekątnej. Zastanawiałem się, co może oznaczać to *xdx* oraz *mdm*, ale na razie nie udało mi się nic wymyślić. *Mdm* to pewnie skrót od *madman*, ale co może znaczyć *xdx*? Może coś z rachunku różniczkowego, ale w tym Maks jest lepszy ode mnie. Słuchaj, powiedz, co tam u ciebie? Ostatni raz widzieliśmy się w ten zwariowany wieczór, kiedy miałeś występ.

- Ja też jestem dzisiaj w Amsterdamie po raz pierwszy od tamtego czasu.

- Co zaszło między wami, że wszystko tak nagle się skończyło? Wyglądało przecież sielankowo.

- Nie powiedział ci? - spytała Ada zdziwiona.

- Nigdy go nie zapytałem.

Widać jednak nie wszystko sobie mówią, jak zapewniał Maks - pomyślała Ada.

- No to ja też wołałabym o tym nie mówić.

Onno kiwnął głową, że się zgadza, i zamieszał kawę.

- No i tak sobie siedzimy. Maks wyruszył na poszukiwanie swoich korzeni, a my siedzimy tutaj jak dwie sierotki.

– A jakie on może mieć tam korzenie?

Onno spojrział na nią z niedowierzaniem.

– Nigdy ci o tym nie mówił?

– W ogóle nie za wiele mówił.

Onno zastanowił się przez chwilę, czy to wskazane, żeby to on o tym opowiadał. Ponieważ nic nie wskazywało na to, żeby Maks zamierzał ukrywać swoją historię, i ponieważ Onno uważał, że Ada ma prawo ją poznać, opowiedział jej o wszystkich faktach – poczynając od wojny, a na wizycie w Królewskim Instytucie Dokumentacji Wojennej kończąc.

Kiedy Ada usłyszała to ostatnie, coś zaczęło jej świtać. „Dogódź sobie sama”. Jednocześnie była przekonana, że Maks nie zareagowałby w ten sposób, gdyby to kto inny przyszedł go zabrać do tego instytutu: a to właśnie Onno zadzwonił, Onno, który pewnie odszedłby, gdyby nie otworzono mu od razu, i który już nigdy by nie wrócił. Nagle też zrozumiała coś jeszcze: kiedyś jego rodzice odeszli i nigdy nie wrócili. W milczeniu piła kawę. Maks nagle stał się dla niej kimś innym – było zupełnie tak samo jak wtedy, gdy rankiem rozsuwała zasłony, i okazało się, że znajomy widok został w nocy przysypany śniegiem: wszystko było niby takie samo, a przecież inne. W sposób, który ją zdumiał, tęskniła za nim w swoim cichym pokoiku w Lejdzie, nie fizycznie, bo to wciąż niewielkie jeszcze miało dla niej znaczenie, lecz po prostu za zwykłą jego obecnością. Tyle że jego obecność właśnie okazała się zarazem nieobecnością: przez wszystkie te tygodnie nie raczył jej powiedzieć, kim właściwie jest. A może to nie w porządku sądzić w ten sposób o kimś z takimi doświadczeniami, o jakich ona nie miała nawet pojęcia? Bo gdyby to jej ojciec kazał zamordować matkę, a potem sam został rozstrzelany... nie do pomyślenia. Między Maksem a nią było nie więcej niż trzynaście lat różnicy, lecz dla niej cała ta wojna, o której zresztą jej rodzice bez przerwy mówili i której zawdzięczała swe istnienie – była wydarzeniem z zamierzchłej przeszłości. W końcu wyszło na to, że jest dla Maksa zbędna. Takie poczucie miała zresztą przez cały czas, a teraz zrozumiała, skąd się ono brało. Podjęła słuszną decyzję, żeby od niego odejść, nawet jeśli miałyby to nastąpić z niewłaściwego powodu. On był zamknięty na klucz i nie chciał dać jej tego klucza, który Onno najwyraźniej miał w kieszeni.

– Wrócisz do niego? – spytał Onno.

– Już się nie da. Nie dlatego, że mi to wszystko opowiedziałeś, ale dlatego, że on mi tego nie opowiedział.

Ada zauważyła, że Onno czuje się niezręcznie i zaczyna się zastanawiać, czy jednak nie popełnił błędu, mówiąc jej o wszystkim.

– A jak tam u ciebie? – spytała, żeby go wyratować z opresji. – Co słychać? Jakież sukcesy w odcyfrowywaniu?

– Lepiej mi o tym nie wspominać. Każdego ranka, gdy tylko się obudzę, widzę przed sobą moje zrujnowane życie.

– Czy ty aby trochę nie przesadzasz?

– Trochę? Chyba chcesz mnie obrazić? Przesadzam jak diabli!

– To znaczy, że w zasadzie wszystko u ciebie świetnie?

Po jego twarzy przemknął krzywy uśmiech.

– Bynajmniej, Ada, ale jakoś sobie radzę.

Rozczuliło ją, że zwrócił się do niej po imieniu. Czy Maks w ogóle kiedykolwiek zwrócił się do niej po imieniu, kiedy rozmawiali? Użycie czyjegoś imienia w czasie rozmowy ma w sobie coś z drobnej pieśczoły, pogładzenia po włosach – a czy ona sama kiedykolwiek zwróciła się do Maksa po imieniu?

Onno oznajmił, że kiedy już nie mógł sobie poradzić z dyskiem z Fajstos, postanowił dla zabicia czasu naprawić Holandię. Właśnie nadarzał się najlepszy moment, który tak szybko na pewno się nie powtórzy. Dlatego niedawno został członkiem partii socjaldemokratycznej – nie było to oczywiście żadne tam towarzystwo marzycieli pragnących sięgnąć gwiazd, właściwie partia raczej żałosna, ale i tak jedyna, która ma jakieś szanse na dojście do władzy i w której można się było pokazać, będąc człowiekiem kulturalnym. Na początek należało zmienić samą partię. Onno wstąpił do Nowej Lewicy, małej, ale elitarnej grupki buntowników, dziennikarzy i innych tego rodzaju dziwacznych postaci, która w krótkim czasie przełamała hegemonię zmurszałej socjaldemokratycznej regencji, wszystkich tych niewolniczych zwolenników Ameryki, przepełnionych nienawiścią do komunistów i perwersyjną miłością do Kościoła rzymskokatolickiego. Jednocześnie trzeba było zapobiec sytuacji, w której do władzy mogliby dojść różnego autoramentu podejrzani przywódcy studenccy – tego stara gwardia też już nie potrafiła. Krótko mówiąc, większość czasu Onno spędzał obecnie na zebraniach.

– Moim zdaniem robisz to trochę na złość braciom. Co na to twój ojciec?

– No i proszę! – zaśmiał się Onno. – Nigdy nie mów nic kobiecie, ponieważ na pewno to przekreśli, żeby cię zrozumieć. W głębi serca ojciec niemal uważa to za wspaniałe, że oto jakiś Quist odgrywa pewną rolę u czerwonych, ale prędzej by sobie język odgryzł, zanimby się do tego przyznał. A socjalistom też się podoba, że mają u siebie Quista. W swej naiwnej szlachetności, jakże charakterystycznej dla mojej osoby, pozwalałam na takie podejście. W polityce trzeba używać takiej broni, jaka jest akurat pod ręką, podobnie jak w miłości. Wszystko naturalnie w granicach przyzwoitości.

– A więc widzisz Maksa rzadziej niż przedtem.

– Tak – odpowiedział Onno. – Widuję Maksą rzadziej niż przedtem. – Zapalił papierosa i dodał: – Chyba nie potrafisz ci tego wyjaśnić, bo właściwie sam nie całkiem to pojmuję, ale do końca moich dni będę mu wdzięczny za to, że w ogóle jest.

– To samo on twierdzi na twój temat. Wiem coś o tym – powiedziała Ada, patrząc na niego. – Ale dlaczego nagle zebrało ci się na takie wzniosłe deklaracje?

– Skutek saturnicznej melancholii.

– Czy to znaczy, że zaszło między wami coś nieprzyjemnego?

– Ależ skąd. Wszystko wynika raczej z upływu czasu. Znamy się od pół roku, a przez ostatnie tygodnie łapię się na tym, że kiedy myślę o pierwszych miesiącach naszej znajomości, wciąż przychodzi mi do głowy zdanie Hegla: *Das war also ein herrlicher Sonnenaufgang*. Napisał to jako stary reakcjonista na temat Rewolucji Francuskiej, która inspirowała go w czasach młodości – w czasach, kiedy wszyscy mówili już tylko o grozie jakobińskiego terroru. Jeszcze dwa miesiące temu to zdanie nigdy nie przyszłoby mi do głowy, a ponieważ teraz się to przydarzyło, w dodatku z tym złowróżnym czasem przeszłym, jest to oczywiście niechybny znak, że jednak coś się zmienia. Widuję go rzadziej wskutek mojego zaangażowania politycznego, ale pewnie jest też i odwrotnie, sama rozumiesz. Jednym słowem, stara śpiewka, nic szczególnego: po akcji następuje reakcja, po miłości małżeństwo. Z pewnością na zawsze już pozostaniemy przyjaciółmi, mimo że ten łajdak odbił mi dziewczynę.

– Odbił ci dziewczynę? – powtórzyła za nim Ada, bardziej przestraszona niż zdziwiona. – I ty mówisz, że nic strasznego się nie stało? Kiedy to było?

Onno zaśmiał się i powiedział, że zawsze lepiej nie brać tego, co mówi, tak całkiem dosłownie. Z rozbawieniem opowiedział o swoim związku z Helgą, któremu Maks położył kres, odgrywając małego chłopca na ulicy pod jej oknem. Tak naprawdę był to oczywiście wielki dramat. Zupełnie jak w *Hamlecie*, *the play within the play*, w której król staje oko w oko ze swoim niecznym czynem – z tą jednak różnicą, że u Szekspira jest to świadomie zainscenizowane przez sprytnego pasierba, natomiast Maks zrobił to z właściwą sobie świętą niewinnością.

– Kto w takim razie zajmuje się aktualnie sprzątaniami twojego pokoju?

– Nikt – powiedział Onno komicznie zduszonym głosem i wykrzywił twarz w takim grymasie, jakby zaraz miał wybuchnąć szloch. – Nikt. Jestem sam jeden na świecie.

– Biedny chłopczyk – powiedziała Ada ze śmiechem, – To może ja ci kiedyś posprzątam?

– Tak jest, proszę pani – odparł Onno, potakując głową w sposób, który w książkach dla dzieci zwykło się określać słowem „gorliwy”. – Bardzo chętnie, proszę pani.

- To pójdziemy teraz?

Spojrzał na nią badawczo.

- Czy to dalej ma być żart?

- Absolutnie nie. Mam ochotę zobaczyć w końcu, jak mieszkasz. Tak dużo o tobie słyszałam...

- Maks też nigdy jeszcze nie widział, jak mieszkam, czy raczej, jak nie mieszkam, bo trudno to nazwać mieszkaniem.

- Nie jestem Maksem.

Spojrzeni na siebie. Wszystko nagle zaczęło być inne - zupełnie jak wtedy, gdy przewraca się drzewo i wyrrywają się z ziemi korzenie, wśród których kłębi się robactwo. Nie, nie była Maksem, lecz także on nie był Maksem - a zarazem była nim i Onno też nim był.

*

Podczas gdy Maks odbywał w Polsce pokutną rundę wokół megaszafotu, Ada zaniemówiła na myśl o tym, co narobiła, a Onno na myśl o tym, do czego dopuścił. Dźwigał jej wiolonczelę przez Museumplein i zażartował, że teraz już rozumie, dlaczego Maks postanowił z nią zerwać. Przejściem pod Rijksmuseum dotarli do Kerkstraat, tam Onno zszedł cztery stopnie do sutereny, otworzył drzwi dawnego wejścia dla dostawców i wpuścił Adę do środka.

- Nie, to absolutnie niemożliwe - powiedział, idąc przed nią ciemnym korytarzem z popękanych marmurowych płyt. Jedna ze ścian była niemal całkowicie zasłonięta ustawionymi jedna na drugiej czerwonymi i zielonymi blaszankami po nafcie.

- Jak to? Gospodyni nie pozwala ci przyjmować kobiet?

- Moja gospodyni sama jest nieprawdopodobną łajdaczką. Nocą muszę się przed nią zamykać na klucz.

- Zachowujesz się tak, jakbym cię pytała, czy pójdziesz ze mną do łóżka.

- A pytałaś?

- Niewykluczone - powiedziała Ada ku swemu własnemu zdumieniu.

Onno zatrzymał się i wzniósł oczy w górę.

- Czy można chcieć czegoś więcej? Oto ostateczny dowód na bezbrzeżną niegodziwość kobiety jako takiej. Najwyraźniej nawet cud muzyki nie jest w stanie nic na to pomóc.

Ada słyszała siebie, jak mówi, lekko, błyskotliwie, i zupełnie siebie nie poznawała, czuła się tak, jakby zobaczyła siebie w lustrze w szatach królowej. Czuła się panią sytuacji – ona, prowincjuszka z Lejdy, tu w Amsterdamie, u światowej sławy uczonego z wysoko postawionej rodziny. Ona tu rządziła. U Maksa nigdy nie rządziła, nawet nie przyszło jej to do głowy. Kiedy łagodnym ruchem odsuwał ją od siebie, czuła jego łaskawą cierpliwość, jak dla utrzymanego na kolanach kota. A teraz ten kot trzymał w pazurach ptaszka.

Na progu zamarła. Rzeczywiście dobrze się stało, że Maks nigdy nie zobaczył tego co ona. Bałagan był totalny. Pod niewielkim okienkiem, przez które widać było tylko nogi śpieszących chodnikami przechodniów, stało biurko zawałone papierami, otwartymi książkami, gazetami, starymi czasopismami, folderami, przebitkami, pismami z banku, kopertami, rachunkami, wszystko w nieładzie, przybrane przesypanych się popielniczkami, pustą butelką po mleku, rozerwaną torbą cukru, przenośnym radiem, kawałkiem pomarańczowego ze starości masła w sreberku – a przez podłogę i przez pokrzywione półki na książki, przechyloną ławkę i olejowy kaloryfer wszystko to przenosiło się do drugiego pokoju, kończąc się na materacu, na którym leżały prześcieradła koloru wielesetletniego werniksu na freskach Kaplicy Sykstyńskiej.

– No tak – powiedziała Ada, wchodząc do pokoju. – Jeśli coś jest absolutnie niemożliwe, to to, co tutaj widzę.

– Co, może ci się tu nie podoba?

– Jak by ci tu powiedzieć. Wygląda inaczej niż u twojego przyjaciela.

– Ale ja nie żyję w przeświadczeniu, że w każdej chwili będę musiał rzucić się do ucieczki – powiedział Onno. – Dla niego w każdej chwili możliwe jest wszystko, i musi natychmiast znaleźć to, co ma ze sobą wziąć. Ja nigdy niczego nie umiem znaleźć.

Ada podniosła z ziemi staroświecki brązowy foliał ze zniszczonym skórzanym grzbietem i z trudem odczytała tytuł wydrukowany kilkunastoma rodzajami pisma: *Vollständiges Hebräisch-chaldäisch-rabbinisches Wörterbuch über das alte Testament, die Thargumim, Midraschim und den Talmud, mit Erläuterungen aus dem Bereiche der historischen Kritik, Archäologie, Mythologie, Naturkunde etc. und mit besonderer Berücksichtigung der Dicta messiana, als Bindemittel der Schriften des alten und neuen Bundes.*

– Ciekawa książka? – spytała, podnosząc na niego wzrok.

– Ciekawsza, niż sądzisz. Z rodzaju tych, które przygotowują dla mnie krasnoludki. Nocami, kiedy śpię.

Jako zakładka służyła współczesna broszurka zatytułowana *Socjalizm & demokracja*. Ostrożnie odłożywszy książkę na stos innych, Ada nagle przypomniała sobie antykwariat ojca i poczuła się swojsko. Otworzyła okno, a jej wzrok padł na dwie błyszczące fotografie przypięte pinezkami do futryny: coś w rodzaju planszy z polami biegnącymi spiralnie od środka na zewnątrz, w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

- Czy to on?

- Tak, to on.

Nucąc pod nosem, z taką swobodą, jakby po prostu czytała, co tam jest napisane, Ada przesuwała wzrokiem po znaczkach. Onno patrzył na jej kruchą postać stojącą na tle światła, oko w oko z tym, co od tak dawna go absorbowało. Właściwie czemu nie? - pomyślał. Z Maksem się skończyło i Maks wcale nie sprawiał wrażenia zdruzgotanego; ponadto w czasie, gdy z nim była, miewał też inne przyjaciółki. On natomiast nie był takim maniakiem, który specjalnie się od razu napala, raczej pozwalał, żeby to jego uwodzono; z Helgą też tak było. Nieczęsto się zdarzało, żeby ktoś zwracał na niego uwagę, kiedy się to już jednak stało, wtedy był nie tylko bezbronny, lecz odczuwał chęci drugiej osoby jako swoją własną miłość do niej. Tak było i w tym przypadku. Był zakochany w Adzie - kiedy tak stała ze swymi czarnymi włosami, spoglądając na zagadkowe pismo. Musiał jednak dać sobie trochę czasu. Nigdy nie widział jej bez Maksa, nie tylko w rzeczywistości, ale także w wyobraźni: ona była dla niego po prostu częścią Maksa i musiał poczekać, aż to wrażenie zniknie. Wiedział na pewno, że nie pójdzie z nią od razu do łóżka, jak zrobiłby to na pewno Maksa. Zresztą i tak trzeba było najpierw zmienić pościel.

Ada odwróciła się i raz jeszcze rozejrzała po pokoju. Zauważyła tylko jedną w miarę ładną rzecz: przebogato zdobiony chiński kuferek z ciemnego drewna, z miedzianym zamkiem. Kiedy odchyliła wieko i jej oczom ukazały się stare ubrania i buty, z wnętrza dobył się ciężki zapach kamfory.

- Jaki masz tutaj system? - spytała tonem osoby przygotowującej się do wykonania zadania. - Żebyśmy wiedziała, jak sprzątać.

- Nie ma żadnego systemu. Panuje tutaj dziki nieład, typowy dla geniusza.

Nie była to całkiem prawda. Ada poszła do drugiego pokoju, gdzie między wybrzuszonym regałem na książki a obrzydliwie brudnym zlewem przypięte było do tapety mnóstwo kartek kratkowanego papieru, starannie podzielonych na ponumerowane poziome i pionowe rubryki z napisami w rodzaju: „Męski?” „Żeński?” „Mianownik”. „Możliwe «akuzatywy»”. „Warianty ortograficzne”. „Spółgłoska Zc przed 24?” Nad rubrykami rozsiane były znaki pisma, jak się zdaje, nie tylko tego z dysku z Fajstos, niektóre ich grupy obwiedzione czerwonym albo zielonym atramentem, zaopatrzone w notki – wszystko precyzyjne i przejrzyste w układzie. Na wymietolonym jaśku leżał *Il principe Makiawello*, okno wychodziło na ciemne, brukowane wewnętrzne podwórko.

Ada podniosła z ziemi jakieś ubrania i spytała:

– Masz pralkę?

– Jest na górze i wolno mi jej używać, ale boję się tego cholerstwa. Kiedy wiruje, cały dom dygoce, zdarza się, że łązi sama po kuchni.

– Masz jakiś odkurzacz i inne takie? Jakies wiadra, szmaty czy coś? Może nawet mydło?

– Kurczę, Ada, ty naprawdę chcesz tu sprzątać? Taki z ciebie Herkules?

– Jeśli mogę cię prosić, wyjdź sobie na parę godzin do miasta.

– No cóż, dobrze. – Pocałował ją w czoło. – Tylko niczego nie dotykaj.

14

Zadośćuczynienie

Każdy, kto wraca z podróży, niesie ze sobą pokonane odległości jak rozpostarte skrzydła – do chwili, gdy włoży klucz do zamka drzwi. Wtedy skrzydła zwijają się i osoba taka znowu jest w swoim domu, jak w centralnym punkcie nieprzekraczalnego stalowego okręgu na horyzoncie. Gdy zamknie za sobą drzwi, nie potrafi już sobie wyobrazić, że kiedyś jej tu nie było. Wszystko jest takie jak przedtem: przedpokój, schody, poręcz. Maks zebrał z podłogi pocztę oraz gazety i wolno poczłapał na górę. Otworzył okna, wypakował walizki, wrzucił rzeczy do kosza na brudy i wziął prysznic. Następnie przejrzał pocztę, chronologicznie ułożył gazety w stos, te z dnia wyjazdu na samej górze, i zaczął je gorączkowo przeglądać. Tylko w Wiedniu miał przez kilka dni możliwość czytania zachodnich gazet, potem nawet nie przyszło mu do głowy, że mogą być jakieś ważne wydarzenia. Ale po przejrzaniu gazet z pierwszego tygodnia uznał jednak, że co się stało, to się nie odstanie, a co się nie stało, to się nie stało, i już. W każdym razie zdawał sobie sprawę, że przez całe lata będzie uważał za żywe te osoby, którym zdarzyło się umrzeć w czasie tych tygodni, kiedy go nie było.

Wziął telefon na kolana i zaczął wykręcać numer Onna, ale przy trzeciej cyfrze zatrzymał się. Nagle okazało się, że nie pamięta. Odłożył słuchawkę i zapatrzył się przed siebie: miał do wyboru trzy albo cztery cyfry. Setki razy wykręcał ten numer, ale teraz nie pozostało mu nic innego, jak w zawstydzeniu go poszukać. Najwyraźniej był bardziej zmęczony, niż mu się wydawało.

- Quist.
- Cześć, Onno, mówi Maks.
- Maks! Od kiedy już jesteś?
- Właśnie wróciłem z Budapesztu.

Pomiędzy chwilą, kiedy się przedstawił, a chwilą, kiedy Onno wykrzyknął „Maks”, minął czas o ułamek sekundy dłuższy, niż się spodziewał, takie minimalne opóźnienie: coś musiało być nie tak.

- I co będziesz robił? Idziesz spać?
- Zwariowałeś? Przyleciałem samolotem. Wpadnij.

Kiedy pół godziny później Onno rozsiadł się w zielonym fotelu chesterfield, w jego zachowaniu znowu była jakaś niepewność. Maks nie miał ochoty o to zagadnąć, jak troskliwa mamusia, która wszystko zauważy. Zdając przyjacielowi sprawę z podróży, miał wrażenie, jakby opowiadał jakiś sen. Jeszcze dzisiaj przed południem szedł ze swojego hotelu przy Lenin Körút w stronę budynku parlamentu, żeby rzucić ostatnie spojrzenie na Dunaj i na wzgórze zamkowe na drugim brzegu, z jego pałacami, kościołami i umocnieniami – tę samą budzącą szacunek Europę, jaką widział już w Wiedniu, a przede wszystkim w Pradze, i która sprawiała na nim obco-swojskie wrażenie, jak austriacki akcent w niemieckim słyszanej w tych krajach. Kiedy opowiadał o dniach spędzonych w Berlinie i w polskich miastach, ledwie potrafił sobie wyobrazić, że tam naprawdę był. Przed oczami stanął mu obóz Birkenau, nieruchomy we mgle. Chciał opowiedzieć o swojej wielogodzinnej wędrówce wokół obozu, ale zamilkł.

- Jesteś przybity, Maks.

Maks przytaknął ruchem głowy i zaczął oglądać paznokcie.

- W każdym razie miałeś słuszość, twierdząc, że muszę tam pojechać. Tyle tylko, że nie wzmocniło to raczej moich więzi z Holandią.

- Mógłbyś tam zamieszkać?

- Nie ma mowy. Tu się urodziłem, moim językiem ojczystym jest niderlandzki, tu wyrastałem i tu mam przyjaciół. Nie zapominajmy też o przyjaciółkach. Ale oczywiście to nie największy problem – zwłaszcza w Wiedniu czy Budapeszcie. Jeśli o te sprawy chodzi, nie byłoby najmniejszych trudności.

- Tak, tak, oczywiście – powiedział Onno. – Ale oszczędź mi szczegółów.

- A propos Wiednia, znalazłem tam w książce telefonicznej jeszcze jednego Deliusa.

- I oczywiście nie zadzwoniłeś.

– Zgadłeś.

Onno pokiwał głową. Czuł się nieswojo i po krótkiej chwili milczenia zapytał Maks o jego wrażenia z za żelaznej kurtyny.

– Jak to?

– Jak to „jak to”?

– Jak to „jak to «jak to»”? No dobrze, co mam ci powiedzieć? Wielkie radzieckie gwiazdy na budynkach, pomniki Lenina, portrety rodzimych przywódców różnego autoramentu, transparenty z hasłami, które poliglota taki jak ty z pewnością potrafiłby odczytać, ale ja nie. Wszędzie nędznie i brudno, wszędzie przerażająco aroganckie zachowanie urzędników, zupełnie jak u nas w ratuszu, w okienku na poczcie czy w urzędzie pracy.

– Dyktatura to naturalny żywioł klasy urzędniczej – potwierdził Onno. – W dyktaturze wszyscy są urzędnikami.

– W Pradze nikt nigdy nie słyszał o Kafce. Jednocześnie jednak wszyscy są o wiele miłsi niż u nas. Myślę, że stłamszono tam mnóstwo dobra, ale pewnie także mnóstwo zła.

– Jednym słowem, powinno tak zostać?

– Nie pytaj mnie o takie rzeczy. Powiem tylko tyle, moim zdaniem faszyzm nie ma tam najmniejszej szansy, a to najważniejsze. Cała reszta to luksus.

– Stalinizm też?

– Do czego zmierzasz, Onno? Hitler i Mussolini byli wielkimi łajdakami, a Churchill, Roosevelt i Stalin pomogli ich usunąć z tego świata. Tak ja to widzę.

– I tego się właśnie obawiałem.

– OK – powiedział Maks. – Doskonale rozumiem, czego ode mnie oczekujesz, ale na początek pozwól, że cię przetestuję. Pan Bóg wzywa cię przed swój tron i mówi „Mój synu, postanowiłem, że świat na wieki wieków będzie rządzony albo przez Hitlera, albo przez Stalina. Ty musisz zdecydować, który z nich dwóch ma zostać władcą – z takim zastrzeżeniem, że jeśli nie wybierzesz między tymi dwoma łajdakami lub jeśli odmówisz uczestnictwa w takich niemoralnych gierkach, władcą zostanie Hitler”. I co wtedy powiesz?

– Ty oczywiście powiedziałabyś „Stalin” – stwierdził Onno.

– Bez sekundy wahania.

– Dlaczego nie zawahałabyś się ani chwili?

– Ponieważ Stalin jest ucieleśnieniem nieludzkiego aspektu racjonalizmu, Hitler natomiast – irracjonalizmu. Ja zaś ze swej natury jestem za racjonalizmem. Hitler był nieobliczalnym szaleńcem, Stalin natomiast wszystko kalkulował, tak więc sam również był przewidywalny.

– Naprawdę tak sądzisz? Jakiz z ciebie dzieciak. Nic dziwnego, że wszystkie kobiety na ciebie lecą. A jaka to różnica dla ich ofiar? Łatwiej się umiera w służbie rozumu?

– Nie, dla jednostki nie stanowi to żadnej różnicy. Każdy umiera swoją własną śmiercią.

Onno spojrział na niego.

– Powiedzieć ci coś? Ty w ogóle nie byłeś w bloku wschodnim. Ty byłeś wyłącznie w Wielkoniemieckiej Rzeszy Hitlera, a potem może jeszcze co najwyżej w monarchii austro-węgierskiej cesarza Franciszka Józefa.

Maks uśmiechnął się.

– Powiedzmy, że jestem ucieleśnieniem ciągłości dziejów. I stwierdzam, że nie udzieliłeś odpowiedzi na pytanie Pana Boga. Tak więc stalinizm znika z powierzchni ziemi, a świat po wsze czasy dostaje się pod panowanie Hitlera. Zbliża się koniec cywilizacji. Dzieli nas przepaść.

– A może jest jeszcze trzecia możliwość?

– Pan Bóg o niczym takim nie wspominał. Onno skinął głową.

– Tak, ale być może najrozsądniej byłoby zakończyć tę rozmowę.

Było coś w tonie jego głosu, co sprawiło, że takie rozwiązanie również wydało się Maksowi najlepsze.

– OK, ale mam nadzieję, że nadal pijasz cuba libre? – powiedział, wstając, żeby nalać przyjacielowi. – Opowiedz mi, co tu porabiałeś?

Onno zdjął nogę z nogi, żeby założyć je odwrotnie.

– Odciskam swe niezatarte piętno na polityce naszego kraju. Właśnie opracowujemy strategię werbowania na kongresie naszej partii zwolenników uznania NRD. Powinno ci to sprawić przyjemność.

– Onno... nie jestem pewien, czy dobrze mnie zrozumiałeś. Czy zdarza ci się czytać cokolwiek poza gazetami?

– Tak, tak, wiem, co o tym myślisz. Ale przecież wiadomo, że nie chodzi o NRD, tylko o Holandię.

– Zrób chociaż raz coś bezużytecznego, jak przystało na faceta.

Onno skinął głową.

– Jeszcze zobaczymy, który z nas ostatecznie okaże się bardziej facetem – powiedział, a po krótkiej chwili dodał: – Strasznie się cieszę, że już wróciłeś, bo nareszcie będę się mógł napawać nie tylko społecznie użytecznym bełkotem moich towarzyszy z ruchu robotniczego, lecz także twoimi haniebnymi poglądami.

Onno wziął od Maksa swoją szklankę rumu z colą i zaczął niespokojnie wiercić się w fotelu.

– Muszę ci powiedzieć coś strasznego – zaczął, a widząc przestraszony wyraz twarzy Maksa, który rzeczywiście spodziewał się czegoś strasznego, dokończył: – Coś bardzo pięknego zaczęło się między mną a Adą.

W czasach, kiedy chemia była jeszcze nauką dla śmiałków, zdarzało się, że dolanie jednej cieczy do drugiej prowadziło do powstania kompletnie niepojętej mieszaniny, do zmiany koloru czy podwyższenia temperatury: dokładnie tak samo podziałała ta informacja na umysł Maksu. W jednej chwili poczuł się tak, jakby ujrzał Adę fizycznie przed sobą: przesuwaną się po przekątnej od niego w stronę Onna, jak figura szachowa, czarna królowa.

- Cóż za niespodzianka, przyjacielu. Od kiedy?
- Od jakichś dwóch tygodni.

Maks nie bardzo jeszcze wiedział, jak zareagować. Z jednej strony cieszył się ze szczęścia przyjaciela, ale przy tym zupełnie nie potrafił sobie wyobrazić tych dwojga razem, na przykład w łóżku. Tego zresztą nawet nie chciał sobie wyobrażać, ale patrząc na Onna, widział przed oczami jej nagie ciało.

- Gratuluję. Nie mogłeś lepiej wybrać.
- W zasadzie powinienem cię poprosić o jej rękę, ale akurat cię nie było.
- Rzeczywiście. Specjalnie mnie wysłałeś w podróż.
- No przestań, chyba nie myślisz, że...
- No pewnie, że nie.

Maks roześmiał się. Chciał zapytać, jak i gdzie się spotkali, ale nie była to jego sprawa. To już go nie dotyczyło. Jeśli Onno nie zechce sam o tym opowiedzieć, nie będzie pytał. Dopiero teraz uświadomił sobie jasno, że między nim a Adą wszystko definitywnie się skończyło – chociaż przecież skończyło się już dawno temu. Przez cały czas, kiedy go nie było, żadne z nich nie odezwało się do niego słowem. Nie trzeba było nawet zadawać pytania, czy to on sam pozwolił, żeby coś wymknęło mu się z rąk; skoro już tak się stało, to była to jego wina, a w każdym razie stało się to nieodwołalnie.

Onno odstawił szklaneczkę, padł na kolana i złożył ręce jak do modlitwy.

- Czy dostanę twoje błogosławieństwo?
- Przecież podsuvanie przyjaciółom własnej kobiety to jedno z podstawowych przykazań wśród cywilizowanych ludzi.

Onno ponownie opadł na fotel.

- Racja. Stokrotne dzięki. Uznajmy, że to zadośćuczynienie za Helgę.

*

Już po kilku tygodniach, kiedy lato zaczęło zbliżać się ku końcowi, Maks właściwie nie pamiętał, że układ kiedykolwiek był inny. Ponownie zobaczył Adę dopiero przy okazji koncertu orkiestry Concertgebouw. Ada dostała angaż, sezon rozpoczął się wykonaniem *VI Symfonii* Brucknera. Maks grzecznie siedział obok Onna w wypełnionej po brzegi sali i spoglądał na ogromne organy, wyglądające jak schowek na Torę w orientalnej synagodze. *Adagio* z bezlitosną partią wiolonczeli dosłownie go przeorało. Nigdy nie chodził na koncerty, za bardzo to przeżywał, a teraz było to jeszcze bardziej dojmujące niż przy innych okazjach – nie tylko dlatego, że tym razem słuchał także Ady, ale przede wszystkim dlatego, że od czasu swojej podróży stał się mniej odporny, zupełnie jak człowiek po przejściu operacji. Onno tymczasem próbował jakoś zabić czas czytaniem programu: w *Adagiu* mały Austriak próbował podobno oddać swoje uczucia związane ze śmiercią Wagnera – a Onno od razu analizował: *Adagio*, *Ada-Gio*, *Giove*, *Jupiter*, *Zeus*, *Ada* i najważniejszy z bogów: no właśnie, siedziała na podium po prawej stronie, podporządkowana woli dyrygenta.

Żeby się jakoś przybliżyć do muzyki, Onno przyswoił sobie – podczas zjazdów w amsterdamskiej kwaterze głównej swojej partii, w kafejkach i salkach konferencyjnych hoteli – podręcznik harmonii, tak że już nikt nie musiał mu tłumaczyć, co znaczy *cis-moll*, ale to też niewiele pomogło. Kiedy pewnego razu jeden ze współpiskowców spytał go, czemu nie słucha, Onno odpowiedział, nie podnosząc oczu znad książki: „Nie czytam uszami”, wskutek czego śmiech pozostałych boleśnie zdegradował surowego pytającego w partyjnej hierarchii, być może nawet do końca jego politycznej kariery. Onno odkrył przy okazji, że ma słuch absolutny.

Po koncercie poszli obaj do lokaliku na tyłach Concertgebouw, urządzonego meblami od handlarza starzyzną i zatłoczonego jak tramwaj w godzinach szczytu: znieświeżeni artyści z całej okolicy, rozwódki, studenci, słuchacze koncertów, członkowie orkiestry w smokingach. Kiedy weszła Ada i precyzyjnie się do nich przez tłum, od razu radośnie przywitała się z Maksem, ale powitanie naznaczone było czymś w rodzaju napiętego luzu, z całowaniem się w policzki, jakby nigdy nie było inaczej, bez jakichkolwiek aluzji na temat zmiany, nawet w spojrzeniu.

- Strasznie się cieszę, że cię znowu widzę! Jak tam podróż?
- Wszystko znakomicie.
- Jak ci się dzisiaj podobało?
- Wstrząsające. Oczywiście gratuluję występu.
- Marijke! – zawołała Ada do koleżanki. – Dla ciebie też małego pilznera?

Maks ledwie ją poznawał. Rozprawiała i śmiała się, zamieniała po parę słów z różnymi osobami, przedstawiała je, znikwała z nimi na moment w tłumie, pojawiała się znowu, wieszła się u ramienia Onna, umawiała się, machała do wychodzących – jednym słowem, wyglądała na absolutnie szczęśliwą. Maks nie wiedział, że i on wydawał jej się kimś zupełnie innym, od kiedy Onno więcej jej o nim opowiedział.

– Przejdiesz się z nami? – spytał Onno, kiedy zapłacili.

– Nie, nie, jeszcze trochę zostanę – powiedział Maks, spoglądając w stronę Marijke. – Bawcie się dobrze.

Tak jak Onno nigdy dotąd nie widywał Ady bez Maksa, tak teraz Maks nigdy nie spotykał się z nią bez Onna. Ale i tak niezbyt często się widywali. Onno był coraz bardziej zaabsorbowany działalnością partyjną, zwłaszcza wieczorami; mówiąc ogólnie, polityka rujnuje małżeństwa i związki – a byli też tacy, którzy zajmowali się polityką tylko dlatego, żeby nie być w domu – ale i Ada miała swoje próby i występy. Maks też jeździł co tydzień do Dwingeloo.

Coraz częściej budził się rano z głupim poczuciem niesmaku, którego u siebie nie znał. W zasadzie dopadało go ono, jeszcze zanim się na dobre obudził, jeszcze w półśnie: ponury pesymizm, który rozciągał się zwłaszcza na jego pracę. Wątpliwości co do sensu jego programu badawczego, ważne argumenty, których nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy otwierał oczy, ale przygnębienie pozostawało, jak swąd spalenizny po pożarze. O ile dawniej po kilku sekundach wyskakiwał z łóżka, żeby odkręcić kran prysznic, to teraz leżał jeszcze długie minuty, zadając sobie pytanie, o co właściwie chodzi. Rozpamiętywał własną pracę, ale nie mógł się doszukać tego, żeby coś było z nią nie tak – to z nim było coś nie tak. W miarę upływu poranka wszystko nabierało jaśniejszych barw, ale kiedy ruszała na wschód, spędzając półtorej godziny w samochodzie, zdarzało się, że przygnębienie powracało. Nie była to prawdziwa depresja, kiedy trzeba szukać pomocy u specjalisty i łykać pigułki; Maks przypuszczał, że jego nastrój ma swoją konkretną przyczynę: podróż. To, co zdominowało jego wspomnienia w pierwszych tygodniach po powrocie – barokowe pałace i katedry na wzgórzach, podobizny świętych na praskich mostach, wiedeński Hofburg, wieczorami cygańska muzyka w secesyjnych węgierskich hotelach albo w nędznych kafejkach o nazwach w rodzaju „Fixmatros” – wszystko to coraz bardziej ustępowało miejsca nieruchomo rozciągającemu się piekłu w samym środku jego diabelskiego trójkąta. To bezdenne coś wniknęło w niego głębiej, niż się spodziewał – może jednak nie powinien był posłuchać Onna. Może powinien wyjechać na urlop, żeby podnieść się jakoś po urlopie. Pomyślał sobie, że dziesięć dni na Wyspach Kanaryjskich mogłoby mu dobrze zrobić, wiedział jednak, że na pewno nie zadzwoni do biura podróży, żeby zarezerwować miejsce.

Ada bardzo szybko przeniosła się do Onna. Wyprowadzili się mieszkający nad nim sąsiedzi z parteru i Onno wynajął dodatkowo ich pomieszczenia, tak że nagle dysponował prawdziwym mieszkaniem z własną kuchnią i normalnym wejściem. Ada dostała jeden z nowych pokoi, w drugim urządzili sypialnię, tylko mały boczny pokoić nie miał jeszcze konkretnego przeznaczenia.

- To będzie pokoić naszego dzidziusia! - wykrzyknął Onno. - Tego obrzydliwego bachora, który nie będzie mi dawał spać swoim doprowadzającym wszystkich do szału wyciem, tak że po pewnym czasie będę niestety zmuszony udusić go poduszką.

Ale tak naprawdę wcale nie chciał dziecka, Ada również. Kiedy już za łaskawym przyzwoleniem Onna w ciągu kilku tygodni wyszorowała, wypastowała, pobieliała i pomalowała całe mieszkanie, chciała po prostu zamówić samochód i przywieźć swoje rzeczy z Lejdy; tego jednak było dla Onna za dużo. Uważał, że powinna to poprzedzać rozmowa z jej rodzicami. Nie dlatego, żeby to miało coś zmienić, ale w końcu była ich jedynym dzieckiem, i nie byłoby w porządku, gdyby ją sobie tak bez słowa przywłaszczył. W końcu nawet nigdy się z nimi dotąd nie spotkał!

- Wyobraź sobie, że sama jesteś matką i twoje dziecko ni stąd, ni zowąd znika z domu!

- A co w takim razie z twoimi rodzicami? Czy nie powinienes im mnie przedstawić? Ja cię chyba też sobie przywłaszczam?

- O Boże, wiesz, co ty mówisz? Gdyby się dowiedzieli, że będę z tobą mieszkał bez ślubu, to dostaliby apopleksji. Helgi też im nigdy nie przedstawiałem. Zawsze muszę wszystko robić po kryjomu.

Jeśli idzie o Adę, to zupełnie jej na tym nie zależało. Onno już wcześniej chciał odwiedzić jej rodziców, był ciekaw, jacy są, zwłaszcza matka: jego zdaniem, należy przyjrzeć się matce kobiety, żeby wiedzieć, jaka kiedyś sama będzie. Głównie ta uwaga powodowała, że Ada odwlekała spotkanie; na myśl o tym, że miałyby być taka jak matka, Ada czuła obrzydzenie. Nienawidziła matki i wstydziła się za ojca, który zawsze wszystko mówił nie tak. Z drugiej jednak strony ceniła ten gest Onna. Maks na przykład ledwie raz zapytał o jej rodziców; byli dla niego tak samo zbędni, jak w końcu zbędna okazała się ona sama. Teraz nie miała poczucia, że jest zbędna, wprost przeciwnie: wydawało się jej, że Onno nie potrafi już bez niej żyć, chociaż nie należał do mężczyzn, którzy zdobyliby się, żeby coś takiego powiedzieć. Pytanie, czy ona czuje to samo do niego, starała się jak najdalej od siebie odsunąć.

Udało jej się nie dopuścić do sytuacji, żeby Onno pojechał do Lejdy i na własne oczy zobaczyć drobnomieszczańskie mieszkanie rodziców: to oni przyjechali do Amsterdamu w następnym poniedziałek, w południe, kiedy antykwariat był zamknięty. W mieszkaniu przy Kerkstraat Oswald i Sophia Brons uściśniły dłoń Onna z nieporadnością petentów. Brons wydał mu się porządnym gościem, ale przed matką natychmiast poczuł lekki strach: patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby był nie człowiekiem, ale rzeczą, na przykład krzesłem stojącym nie na swoim miejscu.

Następnie wszyscy udali się na oględziny pustych pomieszczeń i Onno przekonał się, że matka Ady na wszystko tak właśnie patrzy – po prostu taki miała sposób patrzenia. W suterenie, która z dżungli przekształciła się w porządnie utrzymany ogród, ojciec Ady wskazał ręką na wciąż wiszące w dawnym miejscu tabele i spytał:

– To już całkiem przestałeś się zajmować astronomią?

– Tato, znowu ci się wszystko pomieszało – rzekła poirytowanym głosem Ada.

– Astronomią zajmował się Maks, mój poprzedni chłopak.

– Nie wysyłałaś się specjalnie, żeby nas informować na bieżąco – powiedziała matka Ady, patrząc na Onna. – Każde słowo trzeba z ciebie wyciągać obcęgami.

– Właśnie, ta dzisiejsza młodzież – przytaknęła Onno. – Co zrobić.

– A ty ile masz lat? – zapytał pan Brons.

– Cóż za niestosowne pytanie. Wydaje mi się, że jestem o tyle samo starszy od Ady, co pan ode mnie.

– W domu sobie wyliczę. Ale umówmy się, że dalej będziesz się do mnie zwracał per „pan”.

– Przecież nie mogę się zwracać do teścia po imieniu! To by podkopało cały porządek społeczny.

Matka spojrzała na niego spod ciemnych, ostro zarysowanych brwi Ady.

– Zamierzacie się pobrać?

– Mamo, proszę cię...

– Dlaczego nie wolno spytać?

– Bo to nudne. Zupełnie jakby małżeństwo było najważniejsze. Jeśli będziemy mieli zamiar się pobrać, na pewno się o tym dowiesz. Na razie nie mamy tego w planach.

Umówili się, że rodzice przyjadą jeszcze raz, jak wszystko już będzie urządzone, a tymczasem Sophia Brons zaproponowała, żeby poszli na herbatę do „Bijenkorf”, gdzie chciała przy okazji zrobić jakieś zakupy.

Kiedy Ada zniknęła z matką w wyperfumowanym lustrzanym labiryncie domu towarowego, Onno i Oswald Brons przysiedli w kafeterii przy stoliku pod oknem. Lekko zbici z tropu, w otoczeniu samych pań, wyglądali przez okno na Dam. Szerokie stopnie Nationale Monument, wzwiedzonego w niebo obelisku przedfreudowskiej niewinności, oblepione były tłumem siedzących i leżących hipisów w kolorowych ubraniach, pilnowanych przez przechadzających się wokół policjantów w czarnych mundurach i dwóch żandarmów na koniach. Pan Brons powiedział, że pokładanie się na tych schodach to właściwie profanacja poległych, na co Onno wykonał gest, który miał oznaczać, że w zasadzie tak, chociaż z drugiej strony... Po przeciwnej stronie placu, u stóp zamku królewskiego – który według Onna i innych członków partii znowu powinien zostać ratuszem, jak to było w czasach republiki – wprost na ulicy siedziały dzieci i oglądały przedstawienie teatrzyku kukielkowego.

Ku przerażeniu Onna pan Brons położył dłoń na jego dłoni.

– Onno, spójrz na mnie. Czy możesz mi przyrzec, że zadbasz o Adę?

– Przyrzekam – powiedział Onno ironicznie uroczystym tonem, jakby wypowiadał słowa przysięgi.

Miał ochotę cofnąć rękę, ale było to oczywiście wykluczone. Dłoń pana Bronsa spoczywała na niej jeszcze przez jakiś czas, tak że potem długo czuł jej ciepło. Było mu nieswojo, kiedy patrzył w szczerze oczy antykwariusza. Widać było, że ten chce mu coś powiedzieć, ale nie wie, jak zacząć. Być może przygotował sobie wcześniej przemowę, a teraz próbował ją sobie przypomnieć.

– Ada jest dziewczyną, która sprawia dużo problemów, zwłaszcza sobie samej – zaczął pan Brons. – Jako dziecko była bardzo zamknięta, w zasadzie nigdy nie miała koleżanek. Bardzo chciała je mieć, ale z różnych powodów zawsze wywoływała we wszystkich agresję, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy. W szkole dziewczynki bezustannie intrygowały przeciwko niej, plotkowały za jej plecami, rozsiewając bezsensowne insynuacje na jej temat.

– Dlaczego tak się działo?

– Nie mam pojęcia. Do szesnastego czy siedemnastego roku życia siedziała jakby w sennym kokonie, patrzyła na człowieka w taki sposób, że każdy zadawał sobie pytanie, czy ona go w ogóle widzi. Nie tylko źle się uczyła, ale mieliśmy wrażenie, że ona w ogóle nie ma pojęcia, co to znaczy się uczyć. Przenosiła się ze szkoły do szkoły, ale to kompletnie nic nie dawało.

Pan Brons cofnął dłoń i poczekał, aż kelnerka postawi na stoliku zamówioną herbatę. Skąd się bierze taka asymetria? – zastanawiał się Onno; dlaczego miłość rodziców do dziecka jest sprawą tak oczywistą, a odwrotnie już nie. Dlaczego „czcij ojca swego i matkę swoją” musi być przykazaniem, a „czcij dziecię swoje” nie?

– No ale w końcu wszystko jakoś się unormowało – powiedział.

- No niby tak. Ale... Wszystko było wobec niej agresywne - ciągnął pan Brons.
- Do ósmego czy dziesiątego roku życia miała nieprzerwanie problemy z uszami, ciągle trzeba je było przetykać. Na szczęście to minęło, ale wtedy zaczęła mieć problemy z oczami. Zdarzało jej się jednocześnie być dalekowiedzem i krótkowidzem, o ile dobrze to rozumiałem. Raz takie okulary, raz takie. Na szczęście to też jej jakoś przeszło, może dlatego, że dalekowiedztwo i krótkowidztwo zniosły się w końcu nawzajem, ale przez cały ten czas zdążyła odbyć ze sto wizyt u okulistów. Do tego doszło jeszcze to, że ciągle ściągała na siebie różne nieszczęścia. Jedzie na rowerze, bach, ułamane przednie zęby. Jedzie na łyżwach, bach, ktoś przejechał jej po ręce, i przecięte ścięgna. Na szczęście w prawej ręce. Aż boję się pomyśleć, co by się z nią stało, gdyby nie mogła grać na wiolonczeli. Bo właśnie to jej w końcu pomogło: muzyka. Tak naprawdę nigdy nie udało mi się tego zrozumieć, bo sam jestem kompletnie niemuzyczny, do tego stopnia, że nie potrafiłbym nawet odróżnić requiem od walca wiedeńskiego.

- Bo może nie ma żadnej różnicy.

- No właśnie, sam widzisz. Ty to rozumiesz, inaczej nie byłbyś z Adą.

- Skąd to panu przyszło do głowy? - zdziwił się Onno. - Ja też nic z tego nie rozumiem. Słowo jest dniem, muzyka nocą. Pańska córka jest dla mnie zagadką. Ale może rozum jest tylko przeszkodą w miłości. Czy pan rozumie swoją żonę, jeśli wolno spytać?

- Że co, proszę? - spytał pan Brons i popatrzył na niego z nagłą twardością w spojrzeniu. - Co masz na myśli?

- Właściwie nic. Chciałem tylko powiedzieć, że przypuszczalnie nie da się zrozumieć nie tylko cudzego małżeństwa, ale nawet własnego. Ja na przykład nieraz zadawałem sobie pytanie, co też takiego mój ojciec widział w matce, ale szczerze mówiąc, nigdy tego nie będę wiedział. On zresztą pewnie też nie. Ale może właśnie to jest miłość?

Nagle przy stoliku pojawiła się Ada z matką. Ada spojrzała badawczo na Onna i swego ojca. O czym oni tak rozmawiali? Czy to matka tak wszystko zaplanowała? Onno podniósł się z miejsca i spojrzał w sfinksowe oblicze Sophii Brons.

- Właśnie omówiliśmy tendencje na rynku papierów wartościowych - powiedział. - Postanowiłem, że będę spekulował na bessę.

Zaproszenie

Nawet kiedy mieszkanie przy Kerkstraat zostało już doprowadzone do ładu i Onno wreszcie naprawdę „mieszkał”, Maks nigdy nie był tam zaproszony. Ponieważ Ada wolała już nie chodzić na Vossiusstraat, najczęściej spotykali się gdzieś na mieście. Pewnego wieczora umówili się przy barze w lokalu „Lucky Star”, dansingu, gdzie już od paru lat bezustannie grzała się na ogniu społeczna *bouillabaisse* Amsterdamu: intelektualiści, poeci, pisarze, kompozytorzy, działacze, politycy, eks-provosi, przemieszani z frywolnymi biznesmenami, bufonowatymi kreatorami mody, chichoczącymi fryzjerami wyższych sfer i ucywilizowanymi przedstawicielami świata przestępczego, każdy z damską lub męską osobą towarzyszącą – wszystko to zanurzone w tłumie chcących potańczyć młodych ludzi z robotniczych dzielnic. Maks słuchał piosenki *California Dreamin'* zespołu The Mamas and the Papas i przyglądał się dziewczynom, idącym na parkiet przed chłopakami i charakteryzującym się dziwną motoryką jednej ręki: ręka była nieruchoma, mniej lub bardziej wyciągnięta do tyłu, ale zgięta pod kątem prostym, przy czym nie ruszała się górna część ręki, natomiast przedramię ze zwisającą swobodnie dłonią wykonywało ruchy w poziomie po wycinku koła obejmującym mniej więcej czterdzieści pięć stopni. Nad parkietem obracała się kula wyłożona sześciokątnymi kawałkami lustrzanego szkła. Odbite światło kilku reflektorków tańczyło niezliczonymi plamkami na ścianach i tłumie, od czasu do czasu oślepił Maksa jaskrawy odbłask. Kto wie, może gdzieś tam, w kosmosie, też wisi coś takiego, pomyślał.

Kiedy Onno ukazał się zza rozchylającej się ciemnoczerwonej zasłony przy wejściu i zobaczył siedzącego Maksa, wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki list i pomachał nim nad głową.

– Spadaj – powiedział do trupio bladego młodzieńca na barowym stołku obok Maksa i, ku jego zdumieniu, stało się tak, jak kazał. – No i co ty na to? List z Kuby.

– A więc jednak! – powiedział Maks zaskoczony.

Pismo było skierowane do *compañera* Ada Brons, co zdaniem Onna nie znaczyło „koleżanka”, bo wtedy byłoby napisane *camarada*, tylko „towarzyszka”.

– Na tym właśnie polega różnica – oznajmił.

List był napisany koślawą angielszczyzną i został wysłany z Instituto Cubano de Amistad con los Pueblos. W październiku odbędzie się w Hawanie dziesięciodniowy festiwal muzyki kameralnej, w którym wezmą udział liczne zespoły z Europy Wschodniej i Zachodniej oraz Ameryki Południowej. Koszty przelotu na Kubę i pobyt w „Hotel Nacional” pokrywa ICAP. W związku z trudną sytuacją dewizową wynikającą z amerykańskiej blokady gospodarczej honorarium się nie przewiduje.

– Fantastyczne! Tyle że ten duet już chyba nie istnieje?

– Ale będzie – powiedział Onno zdecydowanie.

– Więc ona jedzie?

– No pewnie! Oczywiście przy założeniu, że dadzą jej wolne w orkiestrze. Jeśli w kierownictwie będzie jakiś zagorzały antykomunista, mogą być trudności. Wczoraj grała i po występie miała z kimś rozmawiać. Zaraz się z nią zobaczę w „Nad Bamboo”. Jest jeden mały problem – powiedział Onno i pokazał palcem datę. – List potrzebował całych dwóch miesięcy, żeby dotrzeć na chrześcijański Zachód. Na tym polega podstawowy problem Trzeciego Świata: komunikacja.

– Ada dzwoniła już do ambasady?

– Jeśli dostanie urlop od tych swoich udzielnych władców, to jutro tam pójdziemy. W telefony nie wierzę: jak znam życie, to oddzwonią po zakończeniu festiwalu.

– Jak chcecie, możecie rano jechać ze mną, zawiozę was do Hagi.

– Chodź, pójdziemy.

Bar „Nad Bamboo”, skąd dobiegały dźwięki orkiestry dixielandowej, był to klub założony przez nowych lewicowych liberałów, ale można tu było zastać także socjaldemokratów z klubu buntowników, bo każdy znał każdego i przynależność do tego samego pokolenia wciąż jeszcze była silniejsza od przynależności partyjnej. U góry stromych schodów stał melancholijny węgierski portier, który jedenaście lat temu uciekł z Budapesztu po powstaniu. „Ada już jest” – rzucił z miną, która mówiła, że w zasadzie to też jest mu kompletnie obojętne.

Było pełno, sączyła się łagodna muzyka Dave’a Brubecka. Po drodze Onno usłyszał przypadkiem, jak ktoś mówi: „Kiedy zdarzy mi się podać rękę jakiemuś chadekowi, zawsze potem liczę, czy mam wszystkie palce”. Był to właściciel baru, wybitny dziennikarz, jeden z założycieli partii lewicowych liberałów.

– *Wished I said it myself*– powiedział Onno przez ramię, na co tamten, uśmiechając się przewrotnie, spojrział na niego i rzucił:

– *You will, Onno, you will.*

Ada stała w głębi. Witając się na lewo i prawo, Onno zmierzał w jej kierunku.

– No i?

- Udało się – powiedziała Ada, wymieniając pocałunek z Maksem bez patrzenia na niego. – Pod warunkiem, że nie będę tam trąbić na wszystkie strony, że gram w orkiestrze Concertgebouw.

- A Bruno?

- Wiesz, jaki on jest. Udawał twardziela i powiedział, że spróbuje załatwić sobie wolne na te dni, ale wiadomo, że tak naprawdę skakał do góry z radości.

- Koen! – zawołał Maks do mężczyzny za barem. – „La Veuve!”

Onno patrzył na niego z uniesionymi brwiami.

- A ty od kiedy pijesz?

- Od teraz. Trzeba to przecież oblać. Kuba! Wyobrażacie to sobie?

Na ich stoliku wylądował kubek z szampanem i wszyscy stuknęli się kieliszkami.

- Za przyjaźń między narodami! – zawołał Onno i pochylając się ze swej wysokości, musnął ustami włosy Ady.

- A gdybyśmy tak – powiedział Maks, zupełnie nie zastanawiając się, co mówi – po prostu pojechali razem z nimi?

W tym samym momencie wiedział już jednak, że to właśnie było rozwiązanie. Być może daleko stąd, w tropikach, słońce rozgoni polskie mgły, które od wielu tygodni go spowijały. Bydłące wagony, selekcje, komory gazowe, może tam, na tej czerwonej wyspie, uda się całą tę czarną kloakę... no, nie zasypać, bo tego nie da się zrobić czymś nieskończonym, ale może przynajmniej padnie na nią jakiś blask, który sprawi, że ludzkość przestanie się wydawać zwykłą beznadziejną pomyłką. Nie dlatego, żeby Kuba miała być dla niego tą pilnie poszukiwaną filią nieba, ale może znajdzie tam przynajmniej jakieś tego przecucie.

Onno i Ada spojrzeli po sobie.

- No, właściwie czemu nie? – powiedziała Ada. – Co was tu trzyma?

Onno pokręcił głową.

- Jak ty to sobie wyobrazasz? To już za trzy tygodnie. Trzeba załatwić wizę i nie wiadomo, co jeszcze. Możemy przecież być terrorystami i chcieć zamordować Fidela Castro. Z bolszewickimi biurokratami, i to w dodatku z Trzeciego Świata, nic się nie da zrobić w tak krótkim terminie. Dwa miesiące minęły, zanim dostałaś sam list.

- Ja też nie mam wizy.

- Ale masz zaproszenie.

- Słuchajcie – powiedział Maks. – Co nam szkodzi spróbować. Co wy na to, żebyśmy jutro poszli całą trójką do ambasady. Położymy paszporty na stół i powiemy, proszę nam wstawić stemple, bo jesteśmy przyjaciółmi rewolucji kubańskiej.

- Jak to się dzieje - spytał retorycznie Onno - że akurat ja, jeden z najmądrzejszych ludzi, jakich znam, i to mówiąc najskromniej, mam tak głupiego przyjaciela? Człowieku, świat nie działa na takich zasadach!

Nagle Maks był już absolutnie pewien swego. Pociągnął łyk, pochylił się do przodu i rzekł:

- Nie wiem, na jakich zasadach działa ten świat, Onno, ale może na tym właśnie polega moja siła. Jak dla mnie, to ten świat w ogóle nie działa na żadnych zasadach, tak jak trudno dopatrzeć się jakiejś zasady w zawartości kosza na śmieci. Moim zdaniem świat - przynajmniej ten ziemski - jest jednym wielkim, improwizowanym chaosem, który z kompletnie niezrozumiałych powodów nadal jakoś tam działa. Właściwie człowiek zupełnie nie pasuje do wszechświata, ale skoro jednak pomimo to istnieje, to znaczy, że pod pewnymi względami wszystko jest możliwe. Historia tego zresztą dowiodła, jak mi się zdaje, a ty, jako polityk, tym bardziej powinienesz to wiedzieć. Ale jeśli zaczynasz od mówienia: świat działa tak i tak, więc to jest możliwe, a to jest niemożliwe, to lepiej od razu wracaj do swojego dysku z Fajstos. W końcu to dzieło człowieka, a więc zwykła partanina, więc może powinienesz zawsze zrobić najpierw coś, co dyktuje ci serce, a nie sam siebie z góry ograniczać zastrzeżeniami, które być może innych ludzi posuwają do przodu, albo i nie.

Czy to wpływ szampana? W każdym razie jego słowa trafiały w sedno. Onno popatrzył zdumiony na Adę i powiedział: - Oj, coś mi się wydaje, że mi się dostało. Ale on ma racje. Spróbujmy, co nam zrobią, może to właśnie jest jajko Kolumba *in politicis*. Zresztą - ciągnął, wydobywając butelkę z grzechoczącego lodu - kiedy Kolumb odkrywał Amerykę, najpierw trafił na Kubę, o której myślał, że to legendarne El Dorado, o którym pisał Marco Polo.

Kiedy następnego dnia rano wjeżdżali do Hagi, Ada w poprzek na tylnym siedzeniu, Maks pokazał jej miejsce, gdzie w lutym zatrzymał się, żeby zabrać Onna.

- „Ciicha noc, koszmarna noc...” - zaczął nucić Onno.

- O, dziękuję ci - powiedziała Ada. - Gdyby Maks się wtedy nie zatrzymał, nigdy byś mnie nie poznał.

- To prawda - przyznał Onno. - Najprawdziwsza prawda. Ale ja także odegrałem w tym zdarzeniu kluczową rolę, ponieważ gdybym tego dnia nie był umówiony w Lejdzie, Maks nie poznałby ciebie.

- A to - podchwycił Maks, zwracając się do Ady - zawdzięczamy twojemu ojcu.

- Mojemu ojcu?

- Gdyby nie wyłożył na wystawie *Mein Leben* Almy Mahler, nigdy nie weszlibyśmy do „Pochwały Głupoty”.

- Alma Mater – kiwnął głową Onno. – Ale prawdę mówiąc, mój ojciec też się do tego oczywiście przyczynił. Gdyby nie zachciało mu się mieć urodzin tego właśnie dnia, do niczego by nie doszło.

- Ani wtedy, gdybym nie jechał na karnawał do Rotterdamu – dodał Maks. – W ogóle całe życie składa się z przypadków. Jakkolwiek... co na przykład powiedzieć o takim Schönbergu, wynalazcy systemu dwunastotonowego w muzyce? Odczuwał paniczny strach przed liczbą trzynaście. Bardzo często w swoich kompozycjach nawet numerował takty „dwanaście”, „dwanaście a”, „czternaście”. I wiecie, kiedy umarł? W piątek trzynastego.

- Przecież to był histeryk – zaśmiał się Onno. – Wszyscy kompozytorzy to historycy.

- Wcale nie – zaprzeczyła Ada. – On po prostu przeczuwał coś, co tak właśnie miało być. Według mnie wszystko jest z góry ustalone. Wszystko mamy zapisane w liniach dłoni.

Patrząc cały czas na drogę, Maks zrobił wielkie oczy, ale uznał, że lepiej przemilczeć, co mu właśnie przyszło do głowy.

- Ach, jakież to byłoby piękne – westchnął namiętnie Onno.

- Wprost przeciwnie, nie dałoby się z tym wytrzymać – nie zgodził się Maks. – Predestynacja jest zresztą w tym wszechświecie wykluczona, co wynika ze stałej Plancka. Ona sprawia, że wszystko jest niepewne.

- W swej nieskończonej mądrości Bóg stworzył także stałą Plancka – wykrzyknął Onno, wznosząc do góry palec. – Stała Plancka jest objawieniem się Boga w przyrodzie. Dzięki temu mamy wolną wolę i możemy grzeszyć. A po cóż jesteśmy na tej ziemi? Jesteśmy na ziemi po to, by grzeszyć i w ten sposób sławić imię Boga.

Chociaż nie byli umówieni i pierwotnie Ada miała się stawić w kancelarii sama, ambasador Kuby zdecydował się ich przyjąć, co oczywiście wiązało się z nazwiskiem „Quist”. Ku rozczarowaniu Maksa ambasador nie był brodatym dzikusiem z cygarem w zębach i pistoletem w kaburze na biurku, tylko eleganckim panem grubo po siedemdziesiątce, w ciemnoszarym trzyczęściowym garniturze. Miał przerzedzone siwe włosy oraz arystokratycznie bladą skórę, typową dla wysokich funkcjonariuszy dawnego hiszpańskiego dworu. Stwierdził, że Ada otrzyma wizę automatycznie, na podstawie listu zapraszającego, pianista też, wystarczy, że się zgłosi. Jeszcze dzisiaj powiadomi telegraficznie ICAP o ich przybyciu, a za parę dni mogą się zgłosić tutaj po bilety lotnicze.

Kiedy sekretarka wyprowadziła Adę, żeby załatwić kilka formalności, ambasador zwrócił się do Onna, mówiąc, że kilkakrotnie spotykał się z jego ojcem przy oficjalnych okazjach. Przez większą część swojej kadencji w Holandii był dziekanem korpusu dyplomatycznego, z tego powodu zresztą Hawana co roku odmawia mu zezwolenia na udanie się na emeryturę. Na tym stanowisku mógł utrzymywać kontakty z kolegami dyplomatami, którym z racji polityki ich rządów nie wolno było zamienić słowa z ambasadorem Kuby. Chętnie robił to dla Fidela, swego czasu w Nowym Jorku zbierał pieniądze na wyprawę jachtem „Granma”, która doprowadziła do wybuchu rewolucji – ale wolałby już wreszcie wrócić na stare lata na Kubę, co oczywiście nie jest absolutnie wyrazem jakichś zastrzeżeń wobec Holandii. No, może tylko sprawą klimatu.

Onno wyczuł swoją szansę.

– Tak, tam musi być naprawdę wspaniale – powiedział. – Gdyby nie to, że jest tak mało czasu, bardzo chętnie też byśmy tam pojechali.

– Ach, panowie chcieliby towarzyszyć przyjaciółce na naszą piękną wyspę? – spytał z udawanym zdziwieniem ambasador. – Czemuż nie pojechać na przykład innym razem?

– Jak to?

– Cóż, na Kubie też są piękne kobiety.

Onno popatrzył na niego oburzony.

– Ależ panie ambasadorze! Ja jestem mojej przyjaciółce niezłomnie wierny! Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby coś takiego kiedykolwiek miało miejsce.

Ambasador uśmiechnął się łagodnie.

– Drogi panie Quist, jeśli coś dzieje się dziesięć tysięcy kilometrów od nas, to tak jakby nigdy się nie stało. – Zostawił Onna sam na sam z jego oburzeniem i zwrócił się do Maksa: – A pan? Dlaczego pan chce odwiedzić Kubę?

– Właściwy powód właśnie przed chwilą usłyszałem od pana. Do tego momentu chciałem jechać tylko i wyłącznie jako przyjaciel domu.

Ambasador skinął głową.

– Nowa Kuba wysoko ceni sobie przyjaźń. Kuba potrzebuje przyjaciół, aby przeżyć. – Spoglądał przez chwilę to na jednego, to na drugiego: – Oczywiście rozumiem, że paszporty całkiem przypadkiem mają panowie przy sobie?

Ada i Bruno mieli być zakwaterowani w „Hotel Nacional”, jeśli idzie o Maksa i Onna, to ambasador doradził, że najlepiej będzie, jeśli załatwią sobie coś od razu po przylocie na lotnisku w Hawanie. Gdy tylko rozbrzmiał ponury odgłos przystawianych pieczęci, który niezliczone razy decydował już na świecie o czymś życiu i śmierci, dla całej trójki czas nabrał niespodziewanego przyspieszenia. Na lot liniami Cubana, którymi Ada i Bruno mogliby się zabrać dopiero z Pragi, nie było już wolnego miejsca. Jedyne europejskie linie latające do Hawany to Iberia, bo tylko faszystowska Hiszpania wyłamała się z blokady nałożonej na komunistyczną Kubę. Zdaniem Onna wynikało to z tego, że Hiszpania była macierzystym krajem tej byłej kolonii. Charakter narodowy zawsze przeważał nad ideologią: Franco był hiszpańskim królem, Fidel Castro południowoamerykańskim *caudillo*, de Gaulle kolejnym Ludwikiem, Stalin carem wszystkich Rosjan, Mao cesarzem Chin, a królowa Juliana namiestnikiem Holandii. Polityczni przyjaciele Onna, którzy chcieli się pozbyć wszystkich regentów, sami skończą kiedyś jako regenci, bo królewskiej Holandii nikt nie ujdzie, te przepowiednie Maks miał zachować dla siebie jako poufną.

– A ty?

– Ja? Ja będę najstraszliwszym z regentów, jaki kiedykolwiek istniał. Wszyscy ludzie dobrej woli będą drzeć przede mną.

Duet Ady i Brunona odrodził się jak feniks z popiołów, oboje musieli teraz ułożyć jakiś program i go wyćwiczyć. Ponieważ było to dla Ady zbyt uciążliwe, żeby codziennie dojeżdżać do Lejdy z wiolonczelą, i ponieważ Onno nie miał w domu pianina, Maks oddał im do dyspozycji swoje mieszkanie, bo i tak przez cały dzień go nie było. Ada wahała się, czy przyjąć tę propozycję, ale ponieważ to nic nie zmieniało, ostatecznie się zgodziła. Dostała klucze i za pierwszym razem wchodziła tam z takim poczuciem, jakby wchodziła do domu zmarłego: wszystko nietknięte, wszystko wygląda tak samo jak wtedy, gdy jeszcze żył. Ale ponieważ był z nią Bruno, który od razu usiadł do fortepianu, poczucie szybko ustąpiło.

Kiedy Maks wracał wieczorem i zastawał jeszcze tych dwoje w trakcie próby, a często także i Onna, siedzącego na jego miejscu i czytającego jakieś papiery, ogarniało go ojcowskie uczucie zadowolenia. Cóż za szczęśliwa z nich rodzina! W ciągu dnia, w Lejdzie, cieszył się na myśl, że niedługo będzie w domu. Czasami zdarzało im się nie zauważyć, że już wrócił, ale taka zbędność we własnym domu wcale mu nie przeszkadzała, wprost przeciwnie: ku swemu zdumieniu przepełniało go to błogim zadowoleniem. Skąd u niego ten dystans? Przecież zdarzało się nawet, że rzeczy stały nie na swoich miejscach! Bywało, że przychodził, siadał, brał jakąś książkę o Kubie i zaczynał czytać zupełnie tak, jakby to on był ich gościem. Słuchał muzyki, patrzył kątem oka na Onna i mówił sobie, że ta idylla zaraz się przecież skończy: dzieciaki wyjdą z domu i już wieczorem wszystko będzie tak, jak to zostawił rano.

Ada, trzymając wiolonczelę między udami, czuła czasem na sobie jego spojrzenie, ale nie odpowiadała na nie. Jest, jak jest. Była teraz z Onnem i tak już zostanie, i Ada wiedziała, że Maks też to wie. Co jej się jednak nie podobało, to to, że najwyraźniej coś się jeszcze w nim tliło, wbrew niemu samemu – a może tak jej się tylko wydaje? Może to po prostu w niej się coś tli? Patrzyła na Onna siedzącego na zielonym fotelu z oparciem: dziecko w ciele olbrzyma.

– Czy mogłabyś się skupić? – spytał Bruno.

16

Kongres

Chociaż Ada i Bruno wyruszyli trzy dni wcześniej, dotarli tylko dzień przed nimi. W Pradze musieli czekać dwadzieścia godzin na połączenie, poza tym Kubańczycy wciąż latali starymi radzieckimi samolotami turbośmigłowymi nad Szkocją i Nową Fundlandią. Maks i Onno polecili przez Madryd, z jednym międzylądowaniem na Azorach, W samolocie widzieli same znajome twarze, artystyczne i intelektualne znakomitości z całej Europy, pisarzy, malarzy, filozofów, których znali z fotografii. Także wiele osób z Północnej i Południowej Ameryki, które z powodu blokady musiały nadłożyć drogi. Od stewardesy dowiedzieli się, że w Hawanie odbywa się jakiś kongres kultury. Onno czytał frankistowską gazetę partyjną, a Maks wyglądał przez okno na zwartą powłokę chmur. Potężne cumulusy jak białe góry, z siwymi jeziorami w dolinach, które mogłyby mieć własne nazwy – równie dobrze Ziemia tak właśnie mogłaby wyglądać. Im bardziej na południe, tym cieńsza stawała się powłoka chmur, aż nagle, w błękitnym zastygnięciu, ukazał się ocean. Maks zapadł w drzemkę i w odgłosie pracy silników słyszał nieprawdopodobne symfonie, składające się przeważnie z trójdźwięków, którymi mógł dowolnie dyrygować...

Ziemia na horyzoncie! *Fasten your seat belts.* Na dole ktoś powtykał pionowo w ziemię mnóstwo zapałek, rzucających w jednym i tym samym kierunku długie, ostre cienie: palmy. Lecieli łukiem nad zatoką i białym miastem, by wylądować na lotnisku Jose Marti. Wokół lotniska wszędzie widać było artylerię przeciwlotniczą; nad wejściem olbrzymi portret Che Guevary – jego apostołska twarz w berecie, która tutaj, w miejscu, do którego należała, nagle zyskała zupełnie inny charakter. A poniżej widniał napis z metrowej wysokości liter:

HASTA LA VICTORIA SIEMPRE

Kiedy otworzyły się drzwi samolotu, do środka niby strumień gorącej wody wdarł się październikowy upał. Onno zatrzymał się na moment u szczytu schodków i rozejrzał się wokoło.

– I proszę! – wykrzyknął. – El Dorado! Nie ma wątpliwości, że nie jesteśmy u serojadów!

Słońce stało nisko i pomarańczowo nad horyzontem, nadal jednak promieniowało potęgą, jakiej nie zna się na północy. Maks przyłożył na moment nadgarstek do betonu, który nadal był gorący jak płyta kuchenki: wystarczyłoby parę minut, żeby usmażyć sadzone jajko.

W chłodnej, klimatyzowanej hali przylotów niewielka orkiestra umilała panujący chaos, grając guarachę. Przyleciała też maszyna Aeroflotu z Moskwy, wszędzie widać było padających sobie w ramiona przybywających i witających, ale nie za bardzo było wiadomo, gdzie jest odprawa celna i kontrola paszportowa. Wszędzie pełno żołnierzy w zielonych mundurach i czapkach polowych, paru kiwało się w takt muzyki. Wokół kręcili się kelnerzy z wielkimi tacami, na których stały wypełnione po brzegi szklanki. Kiedy wzięli coś do picia i chcieli zapłacić, kelner pokręcił uprzejmie głową.

Podeszła do nich czarna dziewczyna w żołnierskim mundurze, o gęstych, prostowanych włosach i spytała, z jakiej są delegacji. Onno powiedział, że w ogóle nie są z delegacji, tylko przyjechali jako zwykli turyści z Holandi, którzy szukają pokoju, najchętniej w „Hotel Nacional”. Dziewczyna poprosiła o paszporty i studiowała wizy na luźnych, przytwierdzonych zszywkami kartkach, ponieważ inaczej nigdy nie zostaliby już wpuszczeni do Stanów Zjednoczonych. Przesunęła palcem po nazwiskach na swojej liście.

– Nie mam tutaj nazwisk panów.

– Czyli się zgadza – powiedział Onno.

– Właśnie, że się nie zgadza. Z Holandii, tak? Proszę sobie tutaj usiąść.

Zniknęła z ich paszportami; metalowy suwak obcisłych spodni umieszczony był dokładnie między bujnymi pośladkami. Onno skorzystał z okazji i poszedł zadzwonić do Ady. Maks rozejrzał się i westchnął głęboko. Właśnie tego było mu trzeba: czegoś kompletnie innego, czegoś, co zupełnie nie miało z nim żadnego związku. Dla niego ta podróż już teraz była sukcesem. Wszędzie wisiały transparenty witające uczestników „Primera Conferencia de La Habana”, oprócz tego wielkie portrety brodatych rewolucjonistów pierwszej godziny, nie było tylko Fidela Castro. Jedno z haseł wypisanych czerwonymi literami przetłumaczył jako: „Kiedy rzeczy niezwykle stają się powszedniością, to znaczy, że trwa rewolucja”. Patrzył w stronę uśmiechniętych muzyków na niewielkim podwyższeniu i przypomniał sobie ponurą atmosferę na przejściach granicznych w krajach Europy Wschodniej. Czy jedno w ogóle ma z drugim coś wspólnego?

Wrócił Onno z pozdrowieniami od Ady, która miała na nich czekać w foyer swojego hotelu. Pojawiła się też znowu czarna dziewczyna.

– Wszystko w porządku. Proszę ze mną.

Paszportów im jeszcze nie oddała. Odszukali swój bagaż i bez żadnej dalszej kontroli wyszli na pulsujący hałasem plac przed halą przylotów, gdzie znowu buchnął na nich żar jak z rozżarzonego pieca. Tymczasem niebo w paroksyzmie kolorów oddawało się zachodowi słońca, który w Europie mógłby wyczarować tylko jakiś zupełnie oszalały oświetleniowiec, za co zaraz potem wyleciałby z pracy. Na ulicy panował ruch jak w wesołym miasteczku z elektrycznymi samochodzikami: warkoczące amerykańskie limuzyny, każda co najmniej dziesięcioletnia, zdezelowane, wypluwające czarne kłęby dymu autobusy, wszyscy kierowcy z ręką na klaksonie.

– Jesús! – zawołała dziewczyna, machając dłonią.

Z hałasem podjechał do nich powgniatany czarny chrysler; przednią szybę miał popękana, brakowało jednego błotnika. Dziewczyna podała małemu Mulatowi za kierownicą kopertę z zezwoleniami i powiedziała mu, żeby zawiózł *los compañeros* do hotelu „Habana Libre”.

– Ale co to za hotel? – spytał Onno. – Ile kosztuje?

– Proszę się nie martwić, już tam dzwoniłszy. Wszystko załatwione. Jesteście gośćmi rewolucji.

Onno chciał jeszcze coś powiedzieć, ale z anielskim uśmiechem zębów tak białych jak sama niewinność dziewczyna zniknęła w budynku dworca. Maks i Onno zapakowali walizki do bagażnika, a kiedy kierowca zatrzasnął pokrywę, od samochodu oderwały się otwarte lewe drzwi i upadły na ulicę. Jesús zaklął, wypluł papierosa, wybuchnął śmiechem i razem z Onnem włożył do bagażnika także drzwi. Miał na sobie szary dziurawy podkoszulek, jakieś bezkształtne spodnie i sandały na bose stopy. Grzechocząc jak stary młynek do kawy, auto ruszyło przed siebie, podczas gdy wszystkie wskazówki na tablicy przyrządów flegmatycznie trwały w pozycjach wyjściowych. Maks i Onno usadowili się jakoś między sprężynami porozrywanych siedzeń i w chwilę później skręcili w ulicę prowadzącą do Hawany. Ponieważ na Kubie najwyraźniej nie było czegoś takiego jak zmierzch, nagle zapadła po prostu noc. Po lewej i prawej stronie drogi szły rzesze czarnych i białych uczniów, robotników, kobiet wachlujących się dla ochłody.

– A więc teraz jesteśmy delegacją holenderską na kongres kultury – powiedział Maks z rozwianymi włosami. – Jak dobrze pójdzie, to jeszcze zwrócą nam koszty podróży.

– Właśnie. Tyle że to niemożliwe. Co mielibyśmy powiedzieć, gdy nas zapytają, jaką dziedziną kultury się zajmujemy.

- *Compañeros!* - rozpoczął Maks oratorskim tonem. - Także rewolucyjny pogląd na temat powstania i rozwoju wszechświata pozostaje w zgodzie z dialektycznymi zasadami nauki Marksa i Engelsa! Bóg jeden zresztą raczy wiedzieć, czy nie jest tak naprawdę - powiedział całkiem innym tonem. - Był taki słynny radziecki biolog, nazywał się Oparin, prawdziwy marksista, który opublikował przełomowe prace na temat początków życia. A jeśli coś jest prawdziwe w odniesieniu do życia, to być może na zasadzie analogii odniesie się też do wszechświata.

- Czyli że ty już masz jakąś bajeczkę. Ale ja? Co ja mam powiedzieć.

- Na przykład to, że dokonałeś niezwykle ważnego społecznie odkrycia, jakoby składnia wszystkich współczesnych języków odzwierciedlała mechanizmy ucisku klasowego stosunków społecznych, jak to wynika już choćby z samej terminologii, w której spotykamy „podmiot”, „czasownik posiłkowy”, „zdanie podrzędne” czy „orzeczenie bierne”. Burżuazja to klasa, która wszystko upodmiotawia, pravicowi intelektualiści służą do tego, żeby się nimi posiłkować, a klasa robotnicza traktowana jest jako coś podrzędnego. W językach prymitywnokomunistycznych bezklasowych społeczeństw tego jeszcze nie było, dlatego też w epoce socjalizmu należy radykalnie zmienić terminologię gramatyczną.

- Bardzo interesująca teza! Czy ja również mogę się powołać na radzieckiego uczonego? To, co teraz mówisz, przypomina nieco teorię lingwisty N.J. Marra, przeciwko której wystąpił osobiście towarzysz Józef Wissanonowicz Stalin w napisanym przez siebie i nie całkiem nawet bezsensownym pamflecie. W porównaniu z pismami Adolfa Hitlera można wręcz mówić o genialności. - Onno z troską wyjrzał przez okno.

- My tu sobie żartujemy, a tymczasem siedzimy w pułapce, Deliusie Maksie. Może powinniśmy powiedzieć, że jesteśmy poetami? Tego się nie da sprawdzić. Wiersze są nieprzekładalne.

- A co nam mogą zrobić? Przecież nigdzie się nie pchaliśmy, raczej zostaliśmy wtłoczeni przez tę ślicznotkę. Bądźmy po prostu tym, kim jesteśmy: ja astronomem, ty językoznawcą. A dalej się zobaczy.

Onno potrząsnął głową i westchnął głęboko.

- To nieodpowiedzialne, zdecydowanie nieodpowiedzialne... - nagle podniósł rękę w górę i wykrzyknął: - *Vivere pericolosamente!*

Wjechali do miasta. Oszczędnie oświetlone stare uliczki i wyłożone marmurem place, białe kościoły w stylu hiszpańskiego baroku, pomniki czasów kolonializmu. Symptomy rozkładu skrywały się za intensywnym ruchem ulicznym warkoczających wraków, biednym, lecz niezwykle ożywionym tłumem na chodnikach, za rzędami sklepików, w których widać było wszelkie możliwe kolory skóry, od najczarniejszej afrykańskiej czerni po najbielszą iberyjską biel. Z okien i z przenośnych radioodbiorników rozbrzmiewała muzyka, czacza, bigbit, bębnienia. Minęli stare umocnienia i wielometrowej wysokości śnieżnobiałą figurę Chrystusa.

- To z pewnością kubańskie wyobrażenie Lenina - zażartował Maks. W pobliżu portu, pełnego radzieckich statków z sierpem i młotem na kominach, skręcili w szeroki bulwar. Jego lewa strona, gdzie kłębiły się tysiące ludzi, była oświetlona, z prawej rozciągała się czerń morza. Wszędzie na ciężkich, kamiennych falochronach, zbudowanych nad kipiela dla ochrony przed huraganami, siedziały obściskujące się pary i grający w szachy staruszkowie. Tutaj też wszechobecna muzyka. Wielkie tablice informują, że po drugiej stronie wody, sto pięćdziesiąt kilometrów za horyzontem, na Florydzie, czyha wróg, *el imperialismo yanqui*. Przy końcu długiego bulwaru zaczęła się nowoczesna dzielnica miasta, z wysokościowcami i lepszym oświetleniem, zdarzały się nawet neonowe reklamy, a ulice nieco mniej były zdominowane przez czarny kolor skóry.

Przed podjazdem do wysokiego, nowoczesnego hotelu Jesús musiał pokazać papiery; po drugiej stronie ulicy, za barierkami, stali ciekawscy. Papiery najwyraźniej podziały, ponieważ ujrzeli chłodny ruch ręki, opanowany przez policję na całym świecie, obojętne, czy w służbie komunizmu, kapitalizmu czy faszyzmu, nakazujący im jechać dalej. Wysiedli pod szeroką wiatą: „Habana Libre”. Widać było jeszcze ślady, że hotel nazywał się kiedyś „Habana Hilton”, ale tych liter już nie było. Także przy wejściu następuje złowieszcze patrzenie to na zdjęcia w paszporcie, to na ich twarze, tak że Maks i Onno mają uczucie, jakby to właśnie ich twarze były tą tropioną kontrabandą.

- Bardzo dobrze uważają tutaj na przedstawicieli świata kultury - stwierdził Maks.

Niosąc walizki, szli za Jesúsem do recepcji przez chłodny, wypełniony tłumem gości hol. Kiedy po raz kolejny wyjmowano tam ich papiery z koperty, oni ze zdumieniem rozglądali się po przestronnym pomieszczeniu.

Na dwóch wielkich ekranach po obu stronach wyświetlano nieme filmy z towarzyszeniem dynamicznej i radosnej muzyki kubańskiej, prowokującej do tańca: na jednym widać było amerykańskie działania w Wietnamie, bomby wysypujące się z szarych superfortec B-52, helikoptery zasypujące wietnamskie wioski gradem kul, samoloty wypalające pola napalmem, sierżanta, który pochylony do przodu przez długie minuty masakruje kopniakami leżącego na ziemi żołnierza Wietkongu, a następnie z niedbale trzymanego pistoletu maszynowego posyła mu kulę w tył głowy, następną w plecy, a na koniec, tak dla żartu, w siedzenie, przy czym ciało za każdym razem podskakuje w piasku na kilka centymetrów. Dla porównania na drugim ekranie amerykańscy policjanci okładają pałkami czarnoskórych demonstrantów. Pośrodku holu, także przyozdobionego hasłami i wielkimi fotografiami, przedstawiającymi na przykład mały pijące coca-cole, stał sięgający niemal sufitu rodzaj totemicznego pala przemocy, obwieszono pistoletami maszynowymi, karabinami, rewolwerami, erkaemami, granatami ręcznymi i w ogóle wszystkim, co może siać śmierć i zniszczenie.

- Mamy tu do czynienia ze zdecydowanie oryginalnym pojmowaniem kultury – stwierdził Onno.

Maks wybuchnął śmiechem.

- A może to kongres poświęcony narodzinom rewolucji z ducha futuryzmu?

Wpisali się do księgi gości i dziewczyna z komitetu organizacyjnego spytała, czy chcieliby się na początek odświeżyć w pokojach, zanim udadzą się do biura kongresu. Onno jednak chciał wszystko szybko załatwić i od razu jechać do Ady, żeby się zdziwiła, że jej dwaj przyjaciele niespodziewanie reprezentują na Kubie życie kulturalne Holandii. Oddali walizki i udali się za dziewczyną na galerię, gdzie dawniej znajdowały się butiki oferujące torebki z krokodylej skóry i buty ze skóry węża.

Niektóre z nich były zabite na głucho, inne zmieniono na magazyny dla stolarzy i malarzy. Na szybkie pomieszczeń biura widać było jeszcze ślady napisu „Cartier”. W tłumie i hałasie dziewczyna załatwiła im wpisanie na listę, wręczyła teczkę z materiałami kongresowymi opatrzone napisem „Primera Conferencia de La Habana” oraz identyfikatory z wypisanymi na maszynie nazwiskami: „Maks Delius, Holanda, Delegado”, „Onno Quist, Holanda, Delegado”.

- Oficjalne otwarcie jutro rano o dziewiątej, ale wolelibyśmy już dzisiaj wiedzieć, w jakich komisjach roboczych chcieliby panowie zasiadać.

Kiedy wracali do holu, przyczepiwszy sobie identyfikatory, Onno powiedział:

- Z pewnością będzie jakaś komisja poświęcona Nowemu Człowiekowi. Mam o tym nie byle jakie pojęcie, bo sam jestem właśnie takim człowiekiem. W płomiennej przemowie oddam należny hołd wielkiemu Rousseau, nawet jeśli jest tylko niepozornym karzełkiem w potężnym cieniu Marksa i Engelsa. Człowiek jest z natury rzeczy dobry, zły staje się dopiero wskutek złych warunków życia, które zatem trzeba polepszyć.

Kiedy jednak znaleźli miejsce na wyściełanej kanapie i otworzyli teczki z materiałami, stwierdzili, że komisje nie zajmują się bynajmniej kulturalno-filozoficznymi aspektami tego wielkiego zadania, tylko raczej jego stroną praktyczną, bo nosiły nazwy następujące: „Walka zbrojna”, „Partyzantka miejska”, „Rola chłopów w przejmowaniu władzy”, „Partie komunistyczne”.

Popatrzyli na siebie z otwartymi ustami.

- O mój Boże - powiedział Onno.

- To mi raczej nie wygląda na kongres kultury.

Zaczęli grzebać w papierach i w chwilę później wszystko było już jasne. Konferencja była wysoce politycznym spotkaniem organizacji gerylasów ze wszystkich krajów Ameryki Łacińskiej i Afryki oraz Frontu Wyzwolenia Wietnamu z jednej strony, z drugiej zaś murzyńskiej Black Power ze Stanów Zjednoczonych oraz rewolucyjnych ugrupowań studenckich z Europy Zachodniej - wszystko to, jak wynikało z *lista official de participantes*, zawsze z pominięciem oficjalnych, wiernych Moskwie partii komunistycznych - nie zaproszono też ugrupowań maoistycznych. Było to nader ekskluzywne spotkanie w celu uczczenia rewolucji, którą udało się urzeczywistnić tylko i wyłącznie na Kubie. Na liście brakowało delegacji holenderskiej. Dziewczyna na lotnisku z tych czy innych powodów była widocznie przekonana, że to oni są delegatami. A ponieważ Holandia należała do tych krajów, które mają wciąż nadzieje na wyzwolenie, pomyślała, że to pewnie jakieś biurokratyczne przeoczenie, i wpisała ich na listę zaproszonych.

W tym momencie dostrzegli jeszcze coś, co powinno rzucić im się w oczy już wcześniej: nie dość, że w holu nie zobaczyli ani jednego z luminarzy kultury, z którymi siedzieli w samolocie, to jeszcze żaden z obecnych nie odznaczał się zwiotczalymi, bezbronnymi, błazeńskimi rysami twarzy, które zdradzają zwykłe artystów czy intelektualistów. Białe, czarne i żółte oblicza emanowały wyrazem twardego zdecydowania, jakkolwiek przebijała też przez nie pewna melancholia, ponieważ ich twardość nie wynikała ze zła, lecz – jak można było mieć nadzieję – z dobra. Niektórzy wyglądali oczywiście jak ascetyczni święci z obrazów El Greca. Byli też kubańscy wyżsi oficerowie, *comandantes*, a więc majorzy, ponieważ po rewolucji zlikwidowano wszystkie wyższe stopnie – bohaterowie pierwszej godziny, czterdziestolatki, w połowych mundurach bez dystynkcji, ale rozpoznawalni dzięki brodom oraz tłumowi, jaki ich otaczał: im już udało się to, co innym miało się dopiero udać.

– Zostaliśmy zatem awansowani na przywódców przewrotu w Holandii – stwierdził Maks.

Ledwie to powiedział, dostał ataku śmiechu. Opadł na ławkę, z trudem łapiąc powietrze: ich nowy status w tłumie najniebezpieczniejszych i najbardziej poszukiwanych mężczyzn i kobiet świata, zebranych tutaj w tym jednym pomieszczeniu, filmy, które nieprzerwanie pokazywały te same okrucieństwa, muzyka... poczuł się zupełnie tak, jakby gdzieś głęboko w nim nagle dowiercono się do źródła, z którego wytrysnęła woda życia. Łzy ciekły mu po twarzy, ale Onno nerwowo skubał identyfikator w kłapie.

– Nie śmieję się, idioto! Musimy to natychmiast odkręcić, wszystko wyjaśnić i wynieść się stąd. Jesteśmy w poważnych tarapatkach, nie rozumiesz?

– *Vivere pericolosamente* – powiedział Maks z czerwono nabiegłą twarzą, prostując się na ławce.

– Czy ty wiesz, co się stanie, jak oni odkryją, że my w ogóle nie mamy prawa tu być? Lepiej, żebyśmy się o tym nie przekonali. Z tymi facetami nie ma żartów. Wyobraź sobie, co będzie, gdy im przyjdzie do głowy, że jesteś z CIA.

– Przecież zawsze chciałeś zmieniać Holandię.

– No, ale nie tak! – powiedział Onno, pokazując na słup obwieszony bronią. – Jestem rewizjonistycznym socjalfaszystą, a moim jedynym celem jest zapobieżenie rewolucji i utrzymywanie klasy robotniczej w wiecznym jarzmie, jestem gnidą, hieną, lokajem kapitalizmu opłacanym przez CIA, który powinien skończyć na śmietniku historii. Takich ścierwojadów stawia się tutaj bez pardonu pod mur.

Przy ostatnim zdaniu ugryzł się w język, rzuciwszy szybkie spojrzenie na Maksa, ale ten tylko przytaknął, dusząc się ze śmiechu.

– I całkiem słusznie. Ale oczywiście można też spojrzeć na to zupełnie inaczej. Jesteś grzecznym holenderskim socjaldemokratą, który chce zmienić Holandię w jedyny sposób, jaki w tym kraju jest możliwy, czyli na sposób holenderski. I oni tutaj na pewno doskonale to rozumieją, jak mi się zdaje, zwłaszcza gdy znajduje to wyraz w pomocy gospodarczej dla Kuby. W każdym razie, gdybyś chciał wiedzieć, *compañero*, ja zasiądę w komisji numer cztery. Potem się zobaczy. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym się teraz wycofał. Po raz kolejny okazało się, że w życiu wszystko jest możliwe. Może jutro rano Amerykanie zbombardują hotel w czasie obrad plenarnych i nikt się nawet nie zająknie, bo Moskwa woli oczywiście mieć z głowy tego rodzaju ludzi jak ci tutaj, niż się z nimi użerać? Moim zdaniem mamy tutaj do czynienia z czystym trockizmem.

– Ależ, Maks – zaproponował Onno – a co będzie, jak mój ojciec się o tym dowie? Jego syn w diabelskiej Hawanie delegatem na kongres światowej elity rewolucjonistów!

– To, że jest tutaj elita, powinno mu przecież odpowiadać. Będziesz idiotą, jeśli przegapisz tę jedyną w życiu szansę. Poznasz tych ludzi i przynajmniej raz w życiu zobaczysz inną twarz polityki niż ta holenderska dziecinada. Będziesz jedynym, oprócz mnie, który będzie wiedział, o czym mówi, dyskutując o takich sprawach. A może za parę lat watahy tych facetów zaczną przyjeżdżać z wizytami państwowymi do Holandii, drogi Onno Quist, i może to ty będziesz kroczył razem z nimi wzdłuż kompanii honorowej?

– Dobra, dobra – powiedział Onno trochę uspokojony i otworzył teczkę z materiałami. – Znowu dałem ci się zagadać. Ale w razie czego wszystko będzie na ciebie. Tak się składa, że tutejszy ambasador jest mężem mojej dalekiej kuzynki, niejakiej pani van Lynden, więc może się to ewentualnie okazać pomocne, gdyby coś poszło nie tak. Jako zagorzały jakobin nie zamierzam zasiadać w takiej łagodnej komisji jak twoja, tylko wybieram pierwszą: *La lucha armada!* Walka zbrojna!

Po zapisaniu się do komisji i wymianie dolarów w hotelowej kasie zdjęli identyfikatory i wyszli w duszny wieczór. Prawie naprzeciwko, w parku, długie kolejki ludzi stały przed wielką lodziarnią, „Coppelia”, wyglądającą jak latający talerz, który dopiero co wylądował. Na trawniku obok budynku rozłożyła się bateria przeciwlotnicza, także na dachu hotelu widzieli długą lufę działka.

– Co jest piękniejsze od groźby katastrofy? – spytał Maks.

– Pokój, kretynie, pokój.

– Nie mówię o katastrofie, tylko o groźbie katastrofy. Kto wie, może nawet politykę można koniec końców sprowadzić do estetyki, tak jak naukę. Może ostatecznym kryterium obowiązującym w świecie wcale nie jest prawda, tylko piękno?

Kiedy przeciskali się wypełnioną tłumem Rampą, schodzącą łagodnie w stronę morza, Onno wpatrywał się w płyty chodnika, przygryzając język zębami trzonowymi – dla niego konstrukcja myślowa zawsze miała większy walor realności niż to, co widzialne. Maks natomiast, który rzucił tę myśl ot tak, bez zastanowienia, łąpczywie chłonał wszystko, co się wokół działo. Wszędzie widać było spacerujące pod palmami rodziny, z głośników umieszczonych na słupach latarni rozbrzmiewała jakaś kompozycja elektroniczna, która przypominała mu muzykę skomponowaną przez Luigię Nono do sztuki *Dochodzenie* Petera Weissa. Miał ją w domu na płycie, ale oczywiście muzyki elektronicznej nie da się zapamiętać. Do tego jeszcze hałasowały niezliczone przenośne radia.

– Ja! Ja! – wołali chłopcy za przechodzącymi Mulatkami, niekiedy tak porażającej piękności, że Maksowi odbierało nie tylko oddech, ale i pożądanie, ponieważ były za piękne, już po prostu prawdziwe dzieła sztuki, do których nie można było, ba, wręcz nie wolno było nic dodać – erotyka natomiast pojawia się dopiero przy niedostatku doskonałości. Kobiety policjantki w zielonych uniformach i białych beretach, liczące niewiele więcej niż siedemnaście lat, próbowały zaprowadzić na skrzyżowaniach jakiś porządek w chaotycznym ruchu. Na bocznej ścianie kina widniała neonowa reklama dziesięciometrowej wysokości, niepromująca żadnego komercyjnego produktu, tylko produkt polityczny: mapę Wietnamu z gasnącymi i zapalającymi się kolorowymi punktami, symbolizującymi amerykańskie lotniska i bazy morskie, z liczbą zaangażowanych w konflikt żołnierzy, bitwami, zajęтыми i oswobodzonymi terenami oraz lecącym bombowcem, wypuszczającym przerywane linie zakończone rozbłyskującymi czerwono gwiazdkami, który w pewnym momencie znika w czerwonym ogniu, po którym pojawiają się najnowsze dane na temat liczby zestrzelonych maszyn: 2263.

– *Gracias, towariszcz!* – radośnie zawołał do Onna jakiś mężczyzna, unosząc rękę w górę.

Onno odpowiedział pełnym elegancji ukłonem.

– Biorą nas za Rosjan.

Po drugiej stronie ulicy, w otwartym białym pawilonie wisiało gigantyczne malowidło, przedstawiające twarz Fidela Castro skomponowaną z zespawanych płyt pancernych, między zębami pęk rakiet i czerwona róża zamiast cygara, opancerzona głowa z odwróconym nocnikiem w charakterze hełmu, ozdobiona krwawym okiem, wokół ginące czarne postacie, wszystko zasypane sierpami, młotami, cyframi, pośladkami, cygarami, rybami, jajami, czaszkami, książkami, gałkami ocznymi i ślimakami. Kiedy Maks zwrócił Onnowi uwagę na to dzieło, mówiąc coś o „socjalistycznym surrealizmie”, w orgii muzyki i ulicznych hałasów usłyszeli nagle złowieszczy ryk całkiem z innego świata. Szerokie schody, poniżej pomarańczowe flamingi, stojące na jednej nodze w wodzie stawu, prowadziły do następnej kondygnacji pawilonu: na podeście stała klatka z dwoma lwami, a obok była zagroda z jagnięciem. Tuż za nimi wisiała ogromnych rozmiarów reprodukcja fresku Michała Anioła z Kaplicy Sykstyńskiej *Stworzenie Adama*: unoszący się w powietrzu starzec z wyciągniętym ramieniem, wstający z trudem Adam, iskra życia docierająca do jego wyciągniętego palca, sygnalizowana kolorowymi lampkami, imitującymi błyskawice biegnące od Boga w stronę powstającej istoty niby z butelki lejdejskiej – wszystko to z towarzyszeniem puszczanego bez końca na cały regulator porywającego pasażu drugiej suitę symfonicznej baletu Prokofiewa *Romeo i Julia*, z partii o Montekkich i Capulettich.

– Ja śnię! – wykrzyknął Maks. – Ja śnię! – Ada!

Pojawiła się nagle w tłumie nieznanymi twarzami przed wejściem do „Hotel Nacional”, potężnego budynku w dawnym stylu, rzuciła się w ich stronę i padła Onnowi w ramiona. Całował ją i głaskał jak dziecko, zagrzewany do tego przez przechodniów. Maks złożył braterski pocałunek na obu jej policzkach.

– No i jak wam się tutaj podoba? – spytała podekscytowana i dumna.

Ta doba, którą spędziła na Kubie, jakby całkowicie ją odmieniła: jej twarz promieniała entuzjazmem, którego żaden z nich dwóch jeszcze u niej nie widział. Trzymając ich obu pod ramiona, opowiadała, jak to przyjął ją ktoś z instytutu przyjaźni, jak była w konserwatorium, gdzie mogli odbywać próby, o spotkaniach z kubańskimi i zagranicznymi kolegami. Bruno był tego wieczora umówiony na starym mieście z orkiestrą grającą habanerę.

– To wszystko tutaj to jedno wielkie święto!

Jej hotel nie był obstawiony wojskiem. W wypełnionym tłumem holu zobaczyli nie tylko niemieckich pisarzy, francuskich filozofów i włoskich kompozytorów, była to również jakby część ulicy: przez hol promenowali przechodnie, także całe rodziny z małymi dziećmi, wchodząc jednym, a wychodząc drugim wejściem.

– To mi już bardziej wygląda na socjalizm – stwierdził Onno.

Ada spotkała nie tylko pisarza, który uczestniczył w forum owego wieczoru w Amsterdamie, ale też mistrza szachowego, który przyjechał na turniej imienia Capablanki.

- Wszyscy tu są. Cały świat. Wszyscy lewicowi intelektualiści.

- Daruj sobie słowo „lewicowy” - zaprotestował Onno. - Inaczej ta alternatywa staje się *contradictio in terminis*.

Na wielkim tarasie z tyłu hotelu Onno zamówił swój pierwszy w życiu autentyczny koktajl *cuba libre*. Ada i Maks wzięli po koktajlu mlecznym. Kiedy Ada usłyszała, co im się przytrafiło, wybuchnęła śmiechem.

- Tutaj wszystko jest możliwe. Zupełnie jak w tej baśni, w której brzydka ropucha zmienia się w pięknego królewicza.

- Kiedy już dojdziemy do władzy w Holandii - powiedział Maks - zadekretujemy sobie taki sam tropikalny klimat jak tutaj.

- Właśnie - przytaknął Onno. - Święte słowa. Być może polityka istotnie jest uwarunkowana estetycznie, ale niewątpliwie jest też uwarunkowana meteorologicznie.

- Jak to wspaniale, że tu jesteście. Strasznie za wami tęskniłam.

- Mam nadzieję, że za Maksem nie - upewnił się Onno.

- Inaczej niż za tobą.

Noc była nadal upalna. Taras graniczył z wielkim, przypominającym park ogrodem schodzącym do morza. Kiedy atmosfera się trochę uspokoiła, Onno oznajmił, że ma z Adą coś niesłychanie ważnego do omówienia, coś ściśle poufnego, co wymaga bezwzględnego sam na sam. Umówił się z Maksem, że zobaczą się rano na ceremonii otwarcia.

- Tak, tak - powiedział Maks. - Nowy Człowiek jako prosię.

Kiedy Onno i Ada poszli do jej pokoju, Maks ruszył spacerkiem do mrocznego ogrodu. Powietrze stało nieruchome w sklepieniach olbrzymich, pospłatanych ze sobą drzew, inne z kolei wyglądały jak uduchowione przez swoje filigranowe listki, delikatne jak brabanckie koronki - chociaż wszystko tu było egzotyczne, wydawało się zarazem znajome, a to za sprawą widoku, jaki miał ze swojego gabinetu w Lejdzie na ogród botaniczny. Cała ta wyspa była jednym wielkim ogrodem botanicznym, tyle że bez tabliczek z nazwami roślin. Na końcu parku, przy niskiej balustradzie, przystanął i zapatrzył się w morze. Poczuł na twarzy chłodniejszy powiew, tu i tam widać było świetlne punkciki rybackich łodzi na wodzie. Łagodny szum fal niemal zagłuszał pandemonium miasta.

Oto więc był tutaj. To tutaj przyniosło go życie, do tego rajskiego zakątka. Rozmyślał o swojej historii, o swojej podróży do Polski – a potem przypomniał sobie słowa kubańskiego ambasadora: „Jeśli coś dzieje się dziesięć tysięcy kilometrów od nas, to tak jakby nigdy się nie stało”. Czyżby więc tutaj nie było miejsca na Auschwitz? Cóż za przepych rozgwieżdżonego nieba. Znajdował się dokładnie na zwrotniku Koziorożca, Gwiazda Polarna wisiała nad horyzontem, lecz drzewa za jego plecami zasłaniały mu widok na gwiazdozbiory półkuli południowej, których nigdy jeszcze nie widział.

Nagle usłyszał ciche głosy. Spojrzał w górę i dwadzieścia metrów dalej zobaczył niewielki oddział żołnierzy przy szybkostrzelnym działku wycelowanym płasko w horyzont. Kiedy podniósł rękę w geście powitania, odpowiedzieli tym samym. Odetchnął głęboko – ośladnęło nim przemożne uczucie szczęścia.

17

Gorące dni

Oficjalnego otwarcia konferencji następnego dnia dokonał prezydent republiki, nie mylić z Fidelem Castro, bo miał przemawiać dopiero na zakończenie ostatniego posiedzenia plenarnego, po którym przewidziano bankiet w Pałacu Rewolucji. W czasie przerwy na kawę Maks i Onno wyszli z hotelu, żeby zobaczyć trochę miasta za dnia.

Ich oczy, przyzwyczajone do sztucznego oświetlenia w sali obrad, oślepiły potoki słonecznego światła: czuli niemal, jak przenika ono przez skórę, rozjaśniając najgłębszą głębię ich ciał. Wysoko w powietrzu unosiły się sępy, czarne ptaszyska zataczały leniwe koła i pętla nad rozpalonym miastem, ani razu nie poruszywszy skrzydłami. Za płótkami po drugiej stronie ulicy znowu zgromadzili się ciekawscy, którzy wpatrywali się w nich, usiłując sobie przypomnieć, jakich to widzą bohaterów i z jakiego kraju. Oczywiście od tygodni gazety pełne były doniesień na temat konferencji, łącznie z biografiami uczestników. Chociaż lody są dla pastorów, Maks chciał sobie kupić loda w „Coppeli”, gdyby jednak próbował stanąć w kolejce, nie zdążyłby pewnie nawet na lunch. Rozmawiając o przemówieniu prezydenta, w którym dał on jasno do zrozumienia, jakie nadzieje naród kubański, rewolucyjny rząd Kuby i jej partia komunistyczna wiążą z tym zgromadzeniem, weszli w cienisty park.

W chwilę później za którymś z drzew ujrzeli scenę, której nielegalny charakter cuchnął na kilometr jak ropiejąca rana. Starszawy Kubańczyk w białej panamie i w krawacie wymieniał pieniądze jakiemuś młodemu cudzoziemcowi, który stał odwrócony do nich plecami. Kiedy Kubańczyk ich zauważył, natychmiast schował banknoty do kieszeni. Maks i Onno chcieli pójść dalej, udając, że nic nie widzieli, w tym jednak momencie cudzoziemiec obejrzał się przez ramię, żeby zobaczyć, o co chodzi.

Onno stanął jak wryty i nie wierzył własnym oczom. Czy to możliwe? Czyżby los naprawdę miał dla niego taki prezent? Serce omal nie wyskoczyło mu z piersi.

– Bork!

Usłyszawszy swoje nazwisko, słynny przywódca studencki poczuł się jak uderzony obuchem. W jednej chwili odwrócił się i ze zdumieniem wpatrywał w Onna. Najwyraźniej był zbyt zaskoczony, by uciec, i Onno podszedł do niego wielkimi krokami, a za nim Maks. Miał go, miał go w garści, godzina zemsty wybiła! Co za rozkosz! Stanął tuż przed nim, wspierając się pod boki.

– Natychmiast cofnij całą transakcję, ty łajdaku! Natychmiast, słyszysz, co powiedziałem? – krzyknął, a dygocącego Kubańczyka poinformował po hiszpańsku, że nie ma się czego bać, ale interes nie dojdzie do skutku, po czym znowu zwrócił się do Borka: – Ty nędzna kreaturo! To w Holandii zgrywa się lewicowego przywódcę, a na Kubie wymienia na lewo dolary? No jak, długo jeszcze będę czekać?

Bart Bork był równie zaskoczony jak Onno, ale kiedy zobaczył u nich identyfikatory uczestników konferencji, już całkowicie odebrało mu mowę. Kubańczyk, który też lęklonie popatrywał na ich plakietki, dostał z powrotem swoje pesety, a kiedy zaczął grzebać w kieszeni, żeby oddać dolary, Onno powiedział mu, że może je sobie zatrzymać, pod warunkiem, że natychmiast się zmyje. Usłyszawszy te słowa, Kubańczyk z ulgą uchylił kapelusza, i tyle go widzieli. W glorii swojej władzy Onno znowu zwrócił się do Borka:

– Chyba wiesz, ty obrzydliwy łajdaku, czyj podpis znajduje się na tych banknotach, prawda? Przyjrzyj się kiedyś przy okazji: Che. A teraz on siedzi gdzieś w boliwijskiej dżungli z karabinem, podczas gdy ty się kryjesz za drzewem, załatwiając brudne kapitalistyczne interesy. Jak myślisz, co się stanie, kiedy dowie się o tym cała Holandia? Nie mówiąc na razie o Kubie, bo to by mogło wyglądać dla ciebie naprawdę nieciekawie. Nie chce mi się więcej tracić czasu, ale zadaję sobie pytanie, co ty właściwie robisz? I wiesz, co myślę? Myślę, że na własną rękę przyleciałeś jakimś czarterem, żeby się jakoś wkręcić na tę konferencję, i że ci się nie udało. Po prostu tu nie pasujesz, jasne? Wszyscy twoi przyjaciele z innych krajów siedzą w „Habana Libre”, ale ty nie, ty mieszkasz w jakimś marnym schronisku młodzieżowym – i tak właśnie być powinno, jak się jest na Kubie zbieraczem śmieci wyrzuconych przez morze.

Rachunki zostały wyrównane. Onno spojrzął na zegarek i powiedział do Maksa:

– Za dziesięć minut zaczynają się obrady komisji.

Zostawili Borka i nie żegnając się, odeszli.

– Słuchaj no – powiedział Maks, kiedy odeszli na tyle daleko, że Bork nie mógł ich już usłyszeć. – Takim cię jeszcze nie znałem.

– Reszta mego życia będzie z głęboką satysfakcją spoglądać wstecz na ten dzień.

– Nie obawiasz się, że może nam narobić kłopotów u organizatorów kongresu?

– On? Czy sądzisz, że jemu kiedykolwiek przyjdzie do głowy pomyśleć, że nie powinniśmy być na tej konferencji? Dopiero teraz pojął, dlaczego nie został zaproszony. Bo my zostaliśmy zaproszeni. Niepomierne urosiliśmy w jego oczach. Wydawało mu się, że ma do czynienia z jakimiś naiwnymi uczonymi, którym można bezkarnie zagrać na nosie, a teraz dotarło do niego, że jesteśmy niesłuchanie ważni w ruchu lewicowym. On wierzy w światową rewolucję i teraz już wie, że jeśli bodaj pomyśli o tym, żeby nam tu zrobić jakąkolwiek trudność, to rozprawimy się z nim tak samo, jak on zamierzał zrobić z nami. Przy pierwszej lepszej okazji będzie oczywiście próbował się do nas dobrać. Może już zresztą jest członkiem Komunistycznej Partii Holandii i dlatego go nie zaproszono? Wierz mi, oni tutaj wiedzą takie rzeczy. Co za dzień! Jakże słodki jest smak zemsty! I pomyśleć, że gdyby wczoraj nie udało ci się mnie przekonać...

– ...jaką to ważną jesteś osobistością – dokończył Maks, kiedy pokazywali już dokumenty przy wejściu. – Twoje moralne oburzenie naprawdę wydało mi się nadzwyczaj nieszczerze. Zwłaszcza jak na kogoś, kto sam bezpodstawnie mieszka gratis w najwyższej klasy hotelu i jada na koszt ludności biednego kraju Trzeciego Świata.

– Milcz, nędzniku! Wszystko to oddam jeszcze zawiązką, w dwój- albo nawet w trójnasób, przekonasz się. W każdym razie cinkciarze zostali przepędzeni ze świątyni.

Około południa przedstawiono holenderską delegację *compañero* Salvadorowi Guerra Guerra: wychudłemu mężczyźnie w wieku około pięćdziesięciu lat, o rzadkich siwych włosach, zapadniętych policzkach i nadgarstkach cienkich jak kij od szczotki. Był całkowicie do ich dyspozycji jako tłumacz, przewodnik i źródło wiedzy. Oczekiwano też, że będzie jadał z nimi posiłki. Dla samego pana Guerry zwłaszcza to ostatnie zdawało się mieć zasadnicze znaczenie. W czasie lunchu, składającego się z trzech dań, w którym uczestniczyli wszyscy delegaci, pan Guerra opowiedział, że jest po całkiem niedawnej ciężkiej operacji żołądka i tylko jedząc w „Habana Libre”, ma nadzieję przybrać nieco na wadze. Poza tym nie będzie się narzucał, a jeśli by go potrzebowali, to wystarczy o niego spytać w biurze kongresu. Ani razu nie zapytał o ich status polityczny w Holandii – wspaniałym kraju, jak w którymś momencie powiedział, o wspaniałej rewolucyjnej tradycji, bo przecież już czterysta lat temu właśnie Holandia jako pierwsza zbuntowała się przeciwko hiszpańskiej hegemonii. Na Kubie miało to miejsce zaledwie przed stu laty.

– No tak, nawet nie wiadomo, co na to odpowiedzieć – zwrócił się Onno do Maksa. – Mają tu o Holandii lepsze mniemanie niż my w Holandii.

– Lecz dziesięć lat temu – kontynuował pan Guerra – Kuba trochę przynajmniej Holandię dogoniła.

Po kolacji składającej się z czterech dań, do tego francuskie wino, poszli z Adą na festiwal muzyki kameralnej, gdzie tego wieczoru miały występować jakieś zespoły z Europy Wschodniej. Pan Guerra powiedział, że w każdej chwili mogą oczywiście mieć do dyspozycji samochód z kierowcą, ale ponieważ oni jeszcze nie oswoili się z myślą, że mogą tutaj żyć jak milionerzy, na razie pojechali na stare miasto taksówką. W sali koncertowej spotkali też Brunona, który już wszystkich tam znał i zachowywał się tak, jakby mieszkał w Hawanie od lat. Po koncercie Onno zabrał Adę do siebie do hotelu. Tak jak w „Hotel Nacional”, i tutaj przy stoliku obok wind siedziała gruba kobieta w średnim wieku, która popatrzyła na niego z wyrzutem, jakby była jego matką, ale on zupełnie się tym nie przejął. Kiedy mrugnął do niej porozumiewawczo, kobieta rozpromieniła się w poczuciu wtajemniczenia.

Maks jeszcze trochę został. Jego znajomość *Wielkiej fugi B-dur op. 133* Beethovena, wykonanej właśnie przez kwartet z Bułgarii, zrobiła wielkie wrażenie na pewnej kubańskiej studentce medycyny – wysokiej dziewczynie o długich, szczupłych palcach, która położyła dłoń wysoko na jego udzie, kiedy jej opowiadał, że cały utwór pochodzi z końcowej części opusu 133. Aby dokonać dalszej analizy, udali się do baru, gdzie było ciemno, jak w najgłębszych głębinach wszechświata. Jedyne oświetlenie stanowiły żarzące się końce cygar i papierosów. Kelner, który prowadził ich do ich stolika przez upał, gitarową muzykę oraz niewidzialne szelesty i chichoty, z uprzejmości świecił latarką pionowo w podłogę. Na kanapie przy wysokim drewnianym przepierzeniu popijali son, kubański zamiennik coca-coli, i z towarzyszeniem nieustannych pojękiwań i skrzypień w sąsiednim boksie zagłębiali się coraz bardziej w *Grande Fugue, tantôt libre, tantôt recherchée*. Aby rozwikłać ostatnie problemy fugalne, udali się następnie do posada, kilka ulic dalej. Przy kasie każde z nich dostało ręcznik i kawałek mydła, z którym musieli przez dziesięć minut czekać w korytarzu: na jednej ławce mężczyźni, od białych po czarnych, na ławce naprzeciwko kobiety. Kiedy miał to już za sobą i wracał spacerkiem do hotelu przez nocne miasto, gdzie wszędzie przed domami siedzieli na ulicy ludzie, a wszystkie okna i drzwi były pootwierane, po raz pierwszy naprawdę poczuł, że nie jest w Europie. Przy wejściu znowu poddano go kontroli, a w holu pozdrowił Angela, kelnera, który obsługiwał go przy stoliku i którego przywoływało się, mówiąc „psst!”. Angel miał teraz na sobie niebieski mundur milicjanta i czyścił rewolwer.

Mimo wszystko już dwa dni później Maks zaczął sobie zadawać pytanie, co on tu właściwie robi. Wielogodzinne przesiadywanie przy tak wspaniałej pogodzie w sali pozbawionej naturalnego oświetlenia, wysłuchiwanie symultanicznych tłumaczeń tasiemcowych referatów, za plecami bezustanny szmer głosów tłumaczy w kabinach, podczas kiedy najchętniej przechadzałyby się po mieście, coraz bardziej zaczęło go mierzwić. Czy naprawdę musi w tym uczestniczyć jeszcze całe pięć dni? Rano jeździł w szlafroku windą na znajdujący się na pierwszym piętrze wielki odkryty basen, gdzie już leciała niezmienniana od lat pięćdziesiątych taśma z utworami *Gonna take a sentimental journey* czy *Don't fence me in*. Do lunchu wagarował, leżąc w słońcu, a w czasie popołudniowych obrad skracał sobie czas lekturą powieści *Henryk von Ofterdingen* Novalisa, którą w ostatniej chwili wrzucił do walizki. Ale nie po to przecież przyjechał na Kubę! Ideologiczne i taktyczne spory też go nie interesowały. Ponadto rzeczy naprawdę interesujących nie stawiano oczywiście na porządku obrad komisji, omawiano je w pokojach hotelowych, przy zamkniętych na klucz drzwiach, albo w gmachu Komitetu Centralnego.

Najbardziej zaszokowała go delegacja palestyńska, która chciała wyrugować z tego świata państwo Izrael i za to wszyscy bili jej brawo. To było dla niego coś nowego. Izrael! Dziecię i przeciwieństwo Auschwitz! Izrael, wiadomo, też nie był filią nieba, ale czy to oznacza, że zaraz trzeba go zmieniać w drugą filię piekła? Czy to możliwe, żeby skrajna lewica i skrajna prawica potrafiły się porozumieć, gdy szło o Żydów? Z wojny przypominał sobie palestyńskiego wielkiego muftiego Jerozolimy, który przyjechał w swojej białej szacie do Hitlera, aby omówić sprawę wytopienia Żydów w Palestynie: generał Rommel był już wtedy w Afryce ze swoim Afrikaner-Korps. Czy „antysyjonizm” był najnowszym synonimem „antysemityzmu”, tak jak „ostateczne rozwiązanie” było synonimem „wytopienia”? Czy piekło wysuwało swoje macki także w stronę Kuby? Skoro Izrael był jego matką, to może niech ta wspaniała wyspa nie okaże się częścią świata jego ojca!

Nie chciał rozpamiętywać tego dylematu, z nikiem też o nim nie rozmawiał. Został tylko ze względu na Onna, który powiedział, że mnóstwo się tu uczy, chociaż – jako erazmiański zwolennik demokracji parlamentarnej, którym tak naprawdę był – niezbyt akceptował cały ten radykalizm. No a poza tym były jeszcze przyjemności: samochód z kierowcą, wycieczki autokarami w głąb kraju, spektakle teatralne, późnymi wieczorami kolacje w rustykalnych lokalach na starym mieście, przy rzędach zastawionych stołów dwudziestometrowej długości, z muzyką i toastami, czy wizyta w „La Tropicana”, gigantycznym nocnym klubie pod gołym niebem, gdzie spod ziemi wyłaniały się białe fortepiany, na których czarni muzycy w białych smokingach grali *Guantanamere*, i gdzie pięćdziesiąt dziewcząt ze strusimi piórami we włosach machało nogami, by na zakończenie odśpiewać *Międzynaródkę*, a tego wszystkiego pilnowały setki rozsiansych wśród zieleni żołnierzy, ponieważ najwyraźniej przez cały czas należało się liczyć z inwazją z Miami.

Kiedy pod koniec tygodnia przyszedł czas na występ Ady, Maks był w nie najlepszej formie. Przez cały dzień miał lekką gorączkę, najchętniej położyłby się do łóżka, ale było to oczywiście wykluczone, choć przecież nikt nie miałby mu tego za złe. Onno wyszedł już wcześniej z Adą i Maks udał się do jadalni tylko po to, żeby pan Guerra mógł się posilić, sam zadowolając się sałatką owocową. Ponieważ nie było już żadnych samochodów do dyspozycji, pojechał na stare miasto dymiącym, rozklekotanym autobusem, ścigany ciekawymi spojrzeniami rozradowanych współpasażerów.

Niewielka sala była gorąca i przepełniona, publiczność siedziała nawet w przejściach – przybyło też paru kompozytorów. Ada była zdenerwowana. Wszystkie te próby, darmowa podróż, hotel, posiłki, darmowy wstęp na wszystkie koncerty i przedstawienia baletowe, przyjazne podejście każdego, kogo tu spotkała, wszystko to należało teraz zrównoważyć półgodzinnym koncertem po przerwie. Zagrali *Allegro appassionato* Saint-Saënsa, potem *Bajkę* Janáčka i wszystko poszło świetnie. Refleksyjna cisza trwała chwile po ostatnich dźwiękach, ustępując miejsca brawom, które wprawdzie nie były frenetyczne, ale jednak wyraźnie wykraczały poza granicę uprzejmości.

Po zakończeniu koncertu w tłumie za kulisami serwowano daiquiri. Kiedy Onno ujrzał twarz Maksa, jednocześnie spaloną na brąz i białą, powiedział:

– Strzel sobie jednego, to ci dobrze zrobi.

Maks stuknął się z Adą i Brunonem i ostrożnie pociągał kruszony lód z rumem z płaskiego kieliszka. Smakowało mu. Wypił do dna, przyłożył szkło na moment do czoła i wziął drugi. Ale po pierwszym łyku nagle poczuł, że jest pijany. Zupełnie jakby opadła na niego jakaś sieć czy firanka, ale jednocześnie też wydobył się ze złego samopoczucia, które dręczyło go przez cały dzień.

- *Zdrowyje!* - zawołał, wychylił do dna także drugi kieliszek i miał ochotę cisnąć nim przez ramię o podłogę, jak na jego oczach zrobił to w „Tropicanie” jakiś kwadratowy radziecki generał.

Od tego momentu coraz szybciej przestawał kontrolować, co się wokół niego dzieje. Dwaj Kubańczycy, których spotkali w Amsterdamie, pojawili się przed nim, by zaraz zniknąć, także jego przyjaciółka sprzed paru dni podała mu policzek do pocałowania i w następnej chwili też się jakoś rozmyła. Maks siorbał lodowato zimną białą zawiesinę i czuł, jak spływa mu w dół przełykiem, dając przyjemną ochłodę, a on w tym czasie z zadowoleniem toczył wzrokiem po ludzkiej ciżbie. Nagle towarzystwo zaczęło się zbierać do wyjścia. Widocznie nie było jeszcze po nim widać, że coś jest nie tak. Onno powiedział, że Bruno zorganizował drobną wycieczkę, więc niech Maks odstawi kieliszek, bo trzeba jechać do „Santerii”. „Santeria”? Niech będzie „Santeria”. Pod warunkiem, że tam też dają daiquiri.

Ale nie dawali. Rozklekotanymi samochodami pojechali na jakąś nędzną uliczkę w podrzędnej dzielnicy. Maks na tylnym siedzeniu, wtłoczony między dwie czy trzy osoby, których kompletnie nie znał. Wysiedli przed drewnianym domem z otwartymi na oścież drzwiami wejściowymi między dwiema obciążonymi z farby kolumnami. W małych pokoikach był już taki tłum, że ledwie udało im się wcisnąć. Maks stanął na palcach: najwyraźniej odbywał się tutaj jakiś nadzwyczajny okultystyczny rytuał.

Z pokoju w głębi dobiegało transowe bębnienie i śpiew; na zwykłym drewnianym krześle, dwie świece po bokach, siedział wychudzony czarnoskóry w błękitnej marynarce w kwiaty, jego ciałem wstrząsały drgawki, jakby przepuszczano przez nie prąd elektryczny, a dwie czarnoskóre kobiety usiłowały go jakoś poskromić. Mężczyzna wyrzucał z siebie w transie jakieś słowa i dźwięki, które zdaniem Onna nie miały nic wspólnego z hiszpańskim, tylko raczej z jakimś narzeczem murzyńskim, joruba albo coś w tym rodzaju. Najwyraźniej owładnął nim jakiś afrykański demon, chociaż z drugiej strony nie mógł być tak do końca pogański, ponieważ z tyłu, nad głową Murzyna, stał na podeście kiczowaty posążek Matki Boskiej, a jeszcze wyżej wisiał na ścianie portret Fidela Castro. Może jednak demon był wszystkim tym po trosze, z pogwałceniem zasady wyłączonośrodku i ku wiecznej sromocie tych, którym się wydawało, że coś z tego rozumieją.

Nagle w powietrzu zawirował puch i kurze pióra, a bębniści i śpiewaczki wprowadzili się w stan bezrozumnej ekstazy, która zaczęła się przenosić na czarnoskórych mężczyzn i kobiety pośród publiczności, tak że trzeba było szybko się usuwać, żeby uniknąć młóćących powietrze rąk i nóg. Maks został wciśnięty w kąt, i spojrzeniem zbyt ciężkim od rumu, aby mógł je w pełni kontrolować, natrafił niespodziewanie na wzrok holenderskiego pisarza, który siedział na scenie wśród uczestników dyskusyjnego forum w Amsterdamie.

– No to się znowu widzimy – powiedział Maks.

Próbował skupić spojrzenie na pisarzu, ale ten stał zbyt blisko, więc Maks nadal widział dwóch pisarzy, którzy za nic nie chcieli złąć się w jedno. Tylko dlatego, że wypił za dużo, miał odwagę zapytać: – Jak to, na Boga, możliwe, żeby od A do Z wymyślić powieść?

– Ja nigdy niczego nie wymyślam – odrzekły chłodno podwójne usta. – Ja sobie to przypominam. Przypominam sobie rzeczy, które nigdy się nie wydarzyły. Tak jak ty, kiedy potem moją powieść czytasz.

Następnego ranka – kongres dobiegał już końca – delegaci skoro świt udali się autobusami na lotnisko, skąd miano ich przewieźć do Oriente, prowincji położonej na południowo-wschodnim skraju wyspy. W programie był dwudniowy pobyt w Sierra Maestra, łańcuchu górskim, gdzie przed jedenastu laty zaczęła walkę dwunastoosobowa grupka rebeliantów. Chociaż poszła plotka, że ma się tam pojawić sam *el líder máximo*, Maks i Onno pozostali w Hawanie. Samolot Ady wylatywał następnego dnia w południe – oni sami mieli lot trzy dni później – i przy protestach Onna zapadła decyzja, że ten ostatni dzień z Adą spędzą na plaży Varadero. Pan Guerra miał zadbać, żeby samochód podjechał po nich o dziesiątej, po czym mieli odebrać Adę z „Hotel Nacional”.

O wpół do dziesiątej Onno siedział zgodnie z umową w zacienionej części baru, który oddzielał basen od sali jadalnej. W hotelu zrobiło się cicho. W nocy była burza. Czyściciel basenów specjalną siatką wydobywał z wody liście i owady, barman porównywał stan butelek na półkach ze specjalną listą. Na drugim końcu baru siedziała tylko jedna osoba, kobieta ze szklaneczką jakiegoś napoju przed sobą: najwyraźniej była to whisky. Onno rozmyślał o swoich rozmowach z delegatami, które przeważnie mógł prowadzić w ojczystym języku każdego z nich, o radykalnych ruchach na całym świecie, o których w Holandii docierały do niego jedynie strzępy wiadomości – to znaczy próbował o tym wszystkim myśleć, ponieważ, choć tamta kobieta ani razu na niego nie spojrzała, Onno wprost namacalnie wyczuwał jakąś łączność między sobą a nią. Niepokojnie pytał sam siebie, o co tu może chodzić? Co to takiego jest? Z poczuciem, jakby właśnie miał zamiar zdradzić Adę, poprosił o rachunek. Powinien zadzwonić do Maksa do pokoju i powiedzieć, że czeka w holu. Składając podpis na rachunku i zastanawiając się po raz kolejny, w jaki sposób ma płacić, poczuł, że kobieta patrzy na niego nachalnie: już taki z niego głupiec. Odpowiedział na jej spojrzenie i z uśmiechem wykonał lekki ruch głową w bok, jakby mówiąc, że bardzo mu przykro, ale nic na to nie poradzi, że taki z niego głupiec.

Kiedy jednak szedł do telefonu w holu, zobaczył, że ona wchodzi za nim po schodach. Natychmiast zrozumiał, co się stało. Kobieta zupełnie opacznie rozumiała ten ruch, mianowicie jako coś w rodzaju: „chodź” czy „wyjdźmy stąd” – w subtelnym wykonaniu, mającym zmylić barmana. Po krótkim wahaniu podeszła do niej. Był w pułapce bez możliwości wydostania się z niej. Ale nawet wcale już tego nie chciał. Kobieta miała może ze trzydzieści lat, pełne, bujne ciało, włosy ciemnoblond, ciemnobrązowe oczy i skórę o barwie orzecha laskowego.

– Chodźmy – powiedziała z powagą w głosie.

Po akcencie poznał, że jest Kubanką. Wyglądała na zadbaną, w lekko burżuazyjnym stylu. Może była gusano, jak się tutaj mówiło, kontrrewolucyjnym „robakiem”, który najchętniej już dziś uciekłby do Stanów Zjednoczonych. Skąd się więc wzięła w tym hermetycznie odgradzonym od świata hotelu? Kiwnął głową i wyszedł z nią na ulicę. Czy to zawsze jest takie proste? Sam z siebie oczywiście nigdy nie zdobyłby się na ruch głowy o takim znaczeniu, jak ona go rozumiała. To raczej domena Maksa.

Wyciągnął rękę i powiedział:

– Onno Quist.

– Maria.

Kiedy usiadł obok niej w samochodzie, który był w stosunkowo niezłym stanie, zastanawiał się, co mu właściwie strzeliło do głowy. Powinien natychmiast pójść na plażę, to ostatni dzień Ady tutaj, nie, wykluczone, musi natychmiast wracać. Ale było już za późno. Żołnierz przy wyjeździe zasalutował, kiedy go mijali.

– Muszę zadzwonić – powiedział Onno.

– Zrobisz to ode mnie. Zaraz tam będziemy.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się smutno. Była niedziela, ulice wyludnione i w parę minut później jechali eleganckim bulwarem z pasem zieleni pośrodku, na którym od czasu do czasu pojawiała się wielka tablica z hasłem w rodzaju: gdziekolwiek nas zaskoczy śmierć, powitamy ją z radością. Mieściły się tutaj ambasady, a wcześniej pewnie mieszkali bogacze; obecnie luksusowe domy zamieniono w większości na akademiki i siedziby różnych uniwersyteckich instytucji. Tu też wszędzie leżały liście i połamane gałęzie. Wysiedli przed niewielką willą z ładnie utrzymanym ogrodem.

Drzwi wejściowe prowadziły wprost do białego, wyłożonego terakotą salonu, który jak na zwyczaj holenderskie był niemal pusty. Także na ścianach nic nie wisiało, poza zdjęciem w ramce, nad bufetem: uśmiechający się szeroko czterdziestoletni może mężczyzna, w mundurze i z brodą, na głowie wielki kapelusz z szerokim rondem, jaki nosi się przy zbieraniu trzciny cukrowej, ramieniem obejmujący Marię, także uśmiechniętą, ale nieco przytłoczoną witalną potęgą obok siebie. Kiedy Onno ujrzał brodę, symbol rewolucyjnej arystokracji, poczuł, że musi stąd natychmiast uciec, jak najszybciej wypaść przez frontowe drzwi i co sił w nogach pognać z powrotem bulwarem: zaraz wejdzie tutaj ten człowiek i najzwyczajniej w świecie go zastrzeli, a potem zdmuchnie dym z lufy pistoletu i wybuchnie serdecznym śmiechem. Ledwie pierwszy raz w życiu wdał się w jakąś przygodę, już od razu wpakował się w taką sytuację. Sam sobie jestem winien, pomyślał. Mam, czego chciałem. Narobił sobie kłopotu, więc musi teraz ponieść konsekwencje. Gdziekolwiek nas zaskoczy śmierć, powitamy ją z radością. Mr. dr h.c. Onno Quist, Haga, 6 listopada 1933 – Hawana, 8 października 1967.

Opadł na trzcinowy fotel i zadzwonił do „Hotel Nacional”. Gdy czekał na połączenie z pokojem Ady, Maria spytała, czy napije się whisky.

– O niczym tak nie marzę! – powiedział z takim naciskiem, że aż się zaśmiała.

Kiedy usłyszał głos Ady, zrobiło mu się wstyd i znowu pożałował tego, co robi. Chciał powiedzieć, że wybrał się na miasto i pobłądził, że za kwadrans będzie z powrotem w hotelu – ale tak nie zrobił.

– Halo? – powiedziała Ada znowu.

– To ja.

– O, cześć! Maks na pewno zasnął, co? Trochę za dużo wczoraj wypił. Nie ma sprawy, siedzę sobie na balkonie i opalam się.

– Nie, nie w tym rzecz, chociaż pewnie tak, jeszcze niedawno go nie było.

– A co? Nie jesteś w hotelu?

– Nie. Słuchaj, czy bardzo będziesz zła, jeśli z wami nie pojedę?

– Tak właśnie pomyślałam. Ty i plaża, nie bardzo to widzę. A co zamierzasz dzisiaj robić? Gdzie jesteś?

– W kościele – powiedział Onno uroczyście, patrząc, jak Maria wrzuca lód do szklanek.

– W kościele? – powtórzyła Ada ze śmiechem. – Modlisz się za rewolucję?

– Chciałem zobaczyć, jak to się tutaj odbywa. Zaraz ma się zacząć uroczysta msza.

– Słuchaj, a może do ciebie przyjadę? Gdzie jest ten kościół?

– Nie, nie, lepiej już pojedź z Maksem nad morze. To twoja ostatnia szansa, pojutrze będziesz w Holandii, a tam wiatr i deszcz.

– Naprawdę nie będzie ci przykro?

– Zobaczymy się wieczorem. Ale zadzwoń do niego, jeśli mogę cię prosić, bo on jeszcze o niczym nie wie.

– Dobrze.

– No, to na razie. Módl się za moją duszę.

Kiedy odłożył słuchawkę na widełki, sięgnął po szklankę, którą Maria postawiła obok niego, i wypił spory łyk.

– Po jakimu mówiłeś? – spytała Maria, siadając na kanapie.

– W języku bohaterskiego narodu holenderskiego.

Nie dostrzegła ironii w jego odpowiedzi.

– Holandia ma piękną historię – powiedziała, zapalając papierosa. – To żona?

Onno westchnął głęboko.

– Przyjaciółka. A po czym poznałaś?

– Po wszystkim.

– Na Kubie jesteście tak samo okropne jak wszędzie. – Onno wskazał na fotografię. – To twój mąż?

– Już nie.

Spojrzał na nią z ulgą. Spodziewał się z jej strony jakiejś reakcji na to, ale jej twarz pozostała nieporuszona. Nagle opadły go nowe wątpliwości. A może jest tajną agentką, może ma się dowiedzieć, jak to właściwie jest z tymi dwoma Holendrami na kongresie, o których nikt nigdy nie słyszał, którzy nigdy nie zabrali głosu i którzy nawet nie chcieli jechać do Sierra Maestra.

– Dlaczego wszyscy ci rycerze wciąż noszą brody z czasów guerilli?

– Bo złożyli przysięgę, że ogolą brody i zdejmą mundury dopiero wówczas, gdy zwycięstwo rewolucji stanie się faktem w całej Ameryce Łacińskiej.

Kobieta wstała i z szuflady kredensu wyjęła dużą fotografię, którą mu podała.

– To jest mój mąż.

Twarz Onna wykrzywiła się z obrzydzeniem. Był to ten sam człowiek, ale tutaj leżał nago na katafalku, cały zbryzgany krwią, czarne dziury po kulach w piersi, zmierzwiona, posklejana broda, jedno oko na wpół otwarte.

– Jezu Chryste! – powiedział i spojrzał na nią przerażony. – Gdzie to się stało?

– W Boliwii.

Nie wiedział, co powiedzieć. Wstał, odłożył fotografię do szuflady, zasunął ją i wrócił na miejsce. Teraz wszystko było jasne. Jako wdowa po poległym bohaterze otrzymała przywileje od jego przyjaciół, ładny dom, samochód, kartki na benzynę i whisky od samego rana. Może miała dzieci? Chciał spytać, czy ma jakieś, ale tego nie zrobił. Patrzył na nią w milczeniu. Odpowiedziała na jego spojrzenie, a potem zapraszającym gestem poklepała lekko miejsce obok siebie.

18

Punkt zbiegu

Mocną kawą i wodą mineralną przy barze Maks usiłował pozbyć się bólu głowy. Miał dziwny sen o Kubie: leżała kompletnie biała i zaśnieżona na zamrzniętym morzu polarnym – nic więcej nie pamiętał. Była prawie dziesiąta. Właśnie zamierzał zadzwonić do Onna na górę, żeby spytać, gdzie się podziewa, kiedy w barze zadzwonił telefon. Barman podniósł słuchawkę, spojrzał na niego i spytał:

– *Compañero* Delius?

Dzwoniła Ada, że Onno poszedł do kościoła i nie chce z nimi jechać.

– A więc twój dziwaczny narzeczony woli siedzieć w oparach kadzideł niż na słońcu – powiedział. – I co zrobimy?

– Zaproponuj coś. A w ogóle, jak się czujesz po wczorajszym?

– Boli mnie głowa, ale albo robi mi się gorzej od słońca, albo wszystko minie od morza. Pojedźmy może, bo już się nastawiłem, w razie czego zawsze mogę posiedzieć w cieniu. Będę u ciebie za dziesięć minut.

Wziął torbę z rzeczami do kąpieli i poszedł do holu, gdzie siedział pan Guerra i czytał partyjną gazetę „Granma”. Miał na sobie białą, wyszywaną koszulę, która była jednocześnie marynarką.

– *Towariszczowi* Quistowi przeszkodziła religia – powiedział Maks. – Bardzo mu przykro, ale poszedł się pomodlić za rewolucję. Jeśli o mnie chodzi, to może pan zostać w Hawanie. Poradzimy sobie jakoś.

Ale pan Salvador Guerra Guerra nie chciał nawet o tym słyszeć. Jest niedziela, w Varadero będą tłumy i bez niego na pewno nie uda im się znaleźć dobrego miejsca – trzeba też będzie coś zjeść.

– Poza tym jestem odpowiedzialny za wasze bezpieczeństwo. Trzeba przejechać przez terytorium, na którym regularnie lądują oddziały terrorystów z Florydy. Czy mogę przedstawić... *compañera* Marilyn.

Wykonał gest w stronę młodej blondynki, która właśnie do nich podeszła: była w zielonym mundurze, ciężkich wysokich butach, na ukos przez pierś miała przewieszony niezbyt duży, ale groźny pistolet maszynowy, a na ustach wytworny, ostry jak brzytwa uśmiech. Była mniej więcej w wieku Ady, a od swojej filmowej imienniczki różniła się żywym, inteligentnym spojrzeniem zielonych oczu, w których jednak była lekka mgiełka. Maksowi z miejsca trochę się polepszyło. Uścisnął jej dłoń i wiedział, że nie może powiedzieć „Monroe”, bo pewnie wszyscy tak mówią. Nie mógł się jednak powstrzymać, żeby nie zrobić przynajmniej ukrytej aluzji:

– Wyglądasz wspaniale. Chyba nawet jest pewna doktryna, która wzięła od ciebie nazwę.

Zrozumiała natychmiast. Północnoamerykańska doktryna Monroe, niedopuszczająca mieszania się państw zewnętrznych w sprawy półkuli zachodniej, znów odegrała pewną rolę pięć lat temu w czasie kryzysu kubańskiego. Marilyn mówiła płynnie po amerykańsku, a kiedy Maks ją za to skomplementował, powiedziała, że jest Amerykanką z Nowego Jorku, gdzie studiowała historię sztuki, ale nie chce więcej o tym mówić. Stwierdziła, że w ogóle nie powinna zdradzać swojej narodowości, bo jakby jej rodzice się dowiedzieli, gdzie jest i co robi, to baliby się wyjść na ulicę. Tak więc lepiej nie będzie podawać nazwiska.

– A rodzice myślą, że gdzie jesteś?

– Podróżuję po Europie, zwiedzając muzea, studiuje we Włoszech zagadnienie perspektywy w dziełach Paola Uccella i Piera delia Franceski.

– Co oczywiście też ma swoją wagę.

– Tak, ale na innej zasadzie.

Patrząc z uznaniem na jej pośladki, wyszedł za nią przed hotel, gdzie w samochodzie czekał już na nich Jesús. Marilyn z kałasznikowem na kolanach usiadła obok kierowcy i pojechali wyludnioną Rampą do „Hotel Nacional”. Ada czekała na schodach. Z serdecznością, jaką okazać sobie natychmiast potrafią tylko kobiety, Ada i Marilyn pomachały do siebie przez okno. Pan Guerra, jak przystało na gentlemiana, wysiadł i wpuścił ją na miejsce między sobą a Maksem. W chwilę później jechali już skalistym wybrzeżem w stronę Varadero.

– No i co o nim sądzisz, o tym byłym kalwiniście, który u komunistów udaje się na rzymskokatolicką mszę? – spytał Adę Maks. – Coś takiego nawet trudno wymyślić.

– Takie rzeczy możliwe są tylko na Kubie.

– Popatrz. Nawet ziemia jest tutaj czerwona.

Po prawej stronie mieli morze wysokiej na człowieka trzciny cukrowej wyrastającej z czerwonej gliny – idealna kryjówka dla wszelkiej maści hołoty przybijającej do brzegu. Ponieważ była niedziela, spodziewał się tłoku na drodze, ale z powodu racjonowania benzyny wszyscy podróżowali raczej pociągami, więc praktycznie nie było żadnego ruchu. Wszędzie na drodze poniewierały się naniesione przez wichur liście trzciny cukrowej, a nad lądem i morzem panowała osobiwa cisza.

Ada też to zauważyła.

– To się jeszcze okaże, czy uda nam się jutro wylecieć. Bruno usłyszał gdzieś, że w okolice Haiti nadciągnął cyklon, który być może zahaczy też o Kubę. Fancy.

– To już szósty tego roku.

– Skąd wiesz?

– Bo litera F jest szóstą literą alfabetu. W tych okolicach porządkuje się alfabetycznie nie tylko ludność, ale także katastrofy. Muszę kiedyś pogadać o tym z Onnem, ale on pewnie właśnie słucha *Kyrie eleison*.

Po raz pierwszy od bardzo dawna znowu czuł jej zapach, a udem wyczuwał ciepło jej ciała, ale odbierał to wyłącznie jako coś swojskiego. Siedział za Jesusem, więc widział kawałek twarzy Marilyn. Pod uszami, na łuku podbródka, połyskiwał puszek delikatnych włosków, jak plamki światła. Paolo Uccello. Piero delia Francesca. Kałasznikow. Jak to opowiedzieć w Holandii, żeby ktoś zrozumiał? Wszystko, co się tu dzieje, będzie tam równie niepojęte jak to, co dzieje się w NRD czy Polsce.

Stan techniczny auta sprawił, że podróż trwała prawie dwie godziny. W chłodzącym powiewie z otwartego okna pan Guerra opowiadał o swojej roli w czasie rewolucji, którą spędził nie w górach, lecz w Hawanie. Mówił o tym, że miejski ruch oporu przeciwko skorumpowanemu reżimowi Batisty, skupiający głównie studentów i intelektualistów, który też pochłonął niemało ofiar, zawsze pozostawał w cieniu *guerilleros*, ale brało się to również stąd, że zbyt wiele osób twierdziło potem, iż to był obywatelski ruch oporu, chociaż to wcale nieprawda. Ale tego nie da się już sprawdzić.

– Nikt nigdy nie odważył się twierdzić, że walczył w Sierra Maestra, jeśli nie była to prawda – oznajmił pan Guerra, pochylając się do przodu i patrząc na Maksa. – Ale w skomplikowanych sytuacjach zawsze znajdują się tacy, którzy gotowi są podawać się za kogo innego, niż są w istocie.

Pan Guerra pokiwał głową i z powrotem odchylił się na oparcie.

Maks zmartwił. Czyżby pan Guerra wiedział, jak to było z holenderską delegacją? Czyżby właśnie zrobił do tego aluzję? Czy może on sobie tylko to wmawia? Ależ oczywiście, że muszą to wiedzieć! Wiedzą od dawna! Gdyby nie wiedzieli takich rzeczy, ich państwo nie przetrwałoby ani chwili! Ale zostawili to tak, jak jest, bo błąd leżał po ich stronie. Od dawna wiedzieli, że nie mają do czynienia z dwoma wielce obiecującymi członkami ruchu oporu, tylko z jakimś żalonym astronomem i nieliczącym się kryptografem, który po amatorsku próbuje się bawić w politykę. „Zostawmy to, jak jest – powiedział ktoś między włożeniem cygara do ust a jego zapaleniem – to zwykłe dzieciaki”, i wszystko skończyło się nałożeniem kary dyscyplinarnej na czarnoskórą dziewczynę z lotniska. Spojrzał na Adę, ale nie sprawiała wrażenia, jakby dotarła do niej ukryta aluzja. Najchętniej przyznałby się teraz panu Guerze do wszystkiego, że oni rzeczywiście wzięli bezprawnie udział w konferencji, więc sami pokryją wszystkie koszty – ale jeśli się jednak mylił, to czym to wszystko mogłoby się skończyć?

Nagle Jesús zawołał:

– Fidel!

Maks poczuł jakby uderzenie prądem. Przed nimi jechała kolumna pojazdów wojskowych. Z ostatniej ciężarówki spokojnie, ale czujnie obserwowało ich dwóch uzbrojonych po zęby żołnierzy, z których jeden miał lornetkę, a drugi krótkofalówkę. Gestem nakazali im utrzymywać odstęp. Atmosfera w chryslerze od razu uległa zmianie. Jesús odwrócił głowę i jeszcze raz powiedział: „Fidel!”, Ada pochyliła się do przodu, pan Guerra wyciągnął szyję, a Marilyn wyprostowała się w fotelu. Pięć serc zaczęło nagle uderzać szybciej tylko dlatego, że ten, a nie inny człowiek był w pobliżu, człowiek jak każdy inny, z krwi i kości, z dwójgiem oczu, dwójgiem uszu, dwójgiem rąk i nóg – a jednocześnie człowiek jak żaden inny: wyzwoliciel narodu, uosobienie historii swego kraju. Maks patrzył ponad ramieniem Jesús a na jadącą powoli kolumnę. Widział anteny, tu i ówdzie jakąś nogę przewieszoną przez burtę ciężarówki albo lufę automatu. Gdzieś tam był on – tam przemieszczała się władza. Pan Guerra powiedział, że on zawsze tak podróżuje, a raczej że bezustannie przemieszcza się po wyspie samochodami albo śmigłowcami, że nigdzie w Hawanie nie ma czegoś takiego, jak rezydencja czy urząd, że tu właśnie był jego urząd, tu wszyscy jego zaufani ludzie. Każdy każdego znał, sypiali w koszarach, u chłopów albo w hamakach rozwieszonych między drzewami. To nieuporządkowane życie było pozostałością *guerilli*, to przez to Che wyjechał z kraju. Nikt nigdy nie wiedział, gdzie on w danej chwili jest, pojawiał się niespodziewanie w różnych miejscach, co oczywiście zwiększało jego bezpieczeństwo, było bowiem mnóstwo ludzi, którzy najchętniej widzieliby go martwym.

Kiedy jednak żołnierz z krótkofalówką dał im znak, że mogą wyprzedzać, Maks zadał sobie pytanie, czy to aby nie jest przejaw lekkomyślności. Na przednim siedzeniu samochodu, którym jechał i który wolno wyprzedzał teraz wojskową kolumnę, siedziała Amerykanka z gotową do strzału bronią. A kto powiedział, że nie jest to właśnie jakiś zaplanowany z diabelską precyzją zamach CIA na życie Fidela, z cynicznym poświęceniem życia niewinnej wiolonczelistki i obiecującego astronoma? Wyjaśnieniem mógł być fakt, że czujność żołnierzy w kolumnie nie brała się ze strachu. Co chwila pokazywały się jakieś dłonie, które nakazywały im przyśpieszyć. Maks przechylił się, jak mógł najbardziej, w stronę Ady, żeby niczego nie przegapić, pan Guerra odchylił się do tyłu, żeby mu nie zasłaniać, ale jechali za szybko, żeby można było coś dokładniej zobaczyć. Ciężarówka za ciężarówką, także kuchnia polowa, ambulans, radiostacja. I nagle ujrzeli długi rząd jeepów z *comandantes* i innymi oficerami, w przelocie zobaczył go w pierwszym: Fidel siedział obok czarnego kierowcy, miał na nosie okulary w ciemnych oprawkach i czytał jakieś papiery. Na metalowym stelażu nad jego kolanami leżał pistolet maszynowy.

Zatoka wyglądała pod czystym niebem niby kielich ciemnoniebieskiej krwi. Maks i Ada stali przy samochodzie, w niemym zachwycie przyglądając się dziesiątkom wielkich białych pelikanów, które frunęły wysoko nad falami, wyciągając przed siebie długie dzioby, by nagle, jak bomby głębinowe, spaść pionowo do wody, zniknąć w niej, a w chwilę później wychynąć, ociekając wodą, z rzucającą się zdobyczą w worku pod dziobem, i znowu wzbić się w powietrze. Ich nieustający pionowy ruch tworzył jakby niewidzialne strzeliste kolumny, które zamieniały przestrzeń w zamkniętą wypukłym sklepieniem komnatę. Aż do samej szerokiej plaży ciągnął się las, wyglądający zupełnie tak, jakby to nie drzewa rzucały cień, tylko jakby cień unosił drzewa. Nie drgnął ani jeden listek.

– Całkiem nie z tego świata – powiedziała Ada.

Nieco dalej plaża była pełna, ale tutaj siedziało w słońcu tylko paru lewicowych artystów i intelektualistów o międzynarodowej renomie. Ukryte wśród drzew stały luksusowe, ale nieco już podupadłe bungalowy, które, jak poinformował ich pan Guerra, zamieszkiwane były dawniej przez dwa miesiące w roku przez kubańskich i amerykańskich właścicieli domów publicznych oraz handlarzy kokainą, a teraz służyły jako pokoje gościnne różnym instytucjom. Domy położone blisko publicznej plaży były udostępnione do ogólnego użytku.

Na zacienionej werandzie jednego z bungalowów Kubańczyk chińskiego pochodzenia w białej marynarce podał lunch: gazpacho, pieczona ryba-miecz i białe wytrawne wino – którego nie piła tylko Marilyn – oraz słodkie lody o smaku orzechów laskowych i kawa. Zmieniając spodenki na kąpielówki, Maks spytał Adę, czy ona też odniosła wrażenie, że organizatorzy przejrzeni ich oszustwo.

- Czyś ty oszalał? - zdziwiła się Ada. - To wszystko przez wasze wyrzuty sumienia.

- Tak myślisz?

- No pewnie. Ale oczywiście pewnego dnia musicie to wszystko sprostować.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

Jej uwaga trochę go uspokoiła, podobnie jak wcześniej wino. Na stole leżały okulary do nurkowania, i gdy tylko Maks się przebrał, ruszył przez rozpalony, atlasowy w dotyku piasek ku falom i z okularami na rękę zanurzył się w wodzie. Przyzwyczajony do zimnego Morza Północnego i chłodnego Morza Śródziemnego nie spodziewał się takiej temperatury. Z okrzykiem rozkoszy wyskoczył w górę i opadł na plecy. To nie do wiary! W takiej wodzie musiało kiedyś powstać życie! Pomachał Adzie, która właśnie rozkładała ręcznik, i Ada odmachnęła, że przyjdzie za chwilę. Jak małe dziecko w brodziku taplał się w wodzie, wyskakiwał w górę, zanurzał się z głową, i dawno już zapomniał, że miał coś takiego, jak ból głowy. Założył okulary i w sekundę rozpostarł się przed nim świat, który dotychczas widywał tylko w snach: rozkołysana cisza, zamieniony w rośliny ruch, wędrujące na szczudłach światło, zakłęte w ryby kolory widma, i w to wszystko, niby przekleństwo, wpadł nagle przez oślepiający dach ze światła wielki pelikan, by porwać zdobycz, ale okulary, najwyraźniej jeszcze sprzed rewolucji, napełniły się całą wodą, i Maks musiał się wynurzyć na powierzchnię.

Nawet Marilyn pozbyła się swojego symbolu władzy i siedziała w bikini na ręczniku obok Ady. Najwidoczniej pilnowaniem zajmował się tutaj ktoś inny. Pan Guerra został na werandzie, rozmawiał z Jesúsem i obsługującym ich przed chwilą Chińczykiem, który siedział teraz z nogami na stole, a tęga czarnoskóra kobieta sprzątała talerze. Maks usiadł od strony Marilyn. Naga, pokryta delikatnym puszkim skóra ramion, nóg i brzucha, przy braku pistoletu maszynowego i tak miała inny walor, niż gdyby nigdy nie widział jej z tą bronią. Wtedy byłaby po prostu zwyczajną dziewczyną w bikini, tak jak Ada, tymczasem teraz, przez swoją nieobecność, pistolet maszynowy był jakby jeszcze bardziej obecny, niż kiedy był rzeczywiście obecny. Czy to właśnie tak bardzo pociąga w wojskowych pewien typ kobiet: że muszą się oni przed nimi niejako rozbroić? Może jest to też jakiś rodzaj usprawiedliwienia dla kobiet, które w czasie wojny sypiały z Niemcami? Bo może tak naprawdę były bojowniczkami ruchu oporu, zupełnie niesprawiedliwie golonymi po wojnie do gołej skóry? W końcu dopóki wróg na nich leżał, nie mógł strzelać.

Nie podobało mu się, że znowu zaczął myśleć o wojnie. Położył się na plecach, zaplótł dłonie pod głowę i spytał po angielsku:

- Co Fidel teraz robi?

- Na pewno się nie opala - odpowiedziała Ada. - Nigdy tego zresztą nie robił.

– Widziałem go. Jestem człowiekiem spełnionym. Od tego momentu wszystko może być tylko gorzej.

Marilyn odwróciła głowę w jego stronę i spojrzała na niego badawczo.

– Czy to ma być żart?

– Dlaczego myślisz, że to żart? Może wcale nie? Może to żart, który nie jest żartem?

– Jesteś jednak podobny do Onna – stwierdziła Ada.

Maks spojrział w górę, w oczy Marilyn, i zrozumiał, że musi trochę bardziej uważać. Niejednokrotnie przekonał się, że rewolucja na Kubie nie jest pozbawiona zabawnych aspektów, ale już u cudzoziemców uczestniczących w kongresie tego nie stwierdził, podobnie jak wtedy w Europie Wschodniej – a tu ma Amerykankę. Zarazem jednak korciło go, żeby się z nią trochę podrażnić.

– Może należałoby na to spojrzeć z innej perspektywy.

– Z jakiej mianowicie?

– Z perspektywy wieczności.

Tym razem wyglądało na to, że zrozumiała nawet więcej, niż potrafił wyrazić. Przekręciła się na brzuch i powiedziała belferskim tonem:

– Wieczność i perspektywa nie dadzą się ze sobą połączyć. Powiedzieć ci coś, holenderski Maksie? Perspektywę wynaleziono w XV wieku. Do tego czasu Bóg był przedstawiany w przestrzeni w bardzo naturalny sposób, podobnie jak Madonna z Dzieciątkiem, tyle że sama przestrzeń była nienaturalna. Bóg siedział po prostu na tronie w błękitnych przestworzach, nad głową Madonny, mając wokół siebie jakieś orbity i gwiazdy. Po lewej można było zobaczyć świętego Dionizosa w kolorowej mitrze zamkniętego w lochu, po prawej scenę, jak odrąbują mu potem głowę, a pośrodku Chrystusa z czasów o kilkaset lat wcześniejszych, wiszącego nago na krzyżu, i zebranych wokół niego dwunastu apostołów w biskupich szatach: wszystko to całkowicie naturalistyczne, nakreślone w nienaturalnej przestrzeni i nienaturalnym czasie. Natomiast z chwilą wynalezienia perspektywy zbieżnej następuje zdefiniowanie naturalnej przestrzeni i naturalnego czasu. Ktoś siedzący na tronie w powietrzu spadłby na ziemię, a coś, co następowało po sobie, nie może dzieć się w tym samym czasie. Był to zatem początek końca wieczności.

Maks ze zdumieniem wysłuchał jej wywodu. Brzmiało to zupełnie tak, jakby streszczała swoją pracę doktorską.

– Chcesz może powiedzieć, że od tego czasu nic, co znajduje się po niebiańskiej stronie, nie może się już precyzyjnie do tego świata przez perspektywiczny punkt zbiegu?

– Takiej bzdury na pewno ode mnie nie usłyszysz.

– Szkoda.

– Nie ma czegoś takiego, jak niebiańska strona punktu zbiegu.

– A skąd wiesz? Może nie da się tego uwidocznić środkami artystycznymi, ale tak właśnie jest? – Maks powiedział to, żeby się z nią podrażnić, ale ona najwyraźniej nie znała się na takich gierkach.

– Moim zdaniem jest to zwyczajne puste gadanie. Wieczne są tylko czas i przestrzeń.

– A i to niekoniecznie. – Maks też przewrócił się na brzuch. – O ile wiem, w astronomii niekiedy się w to wątpi. A tak w ogóle, to właśnie przypomniało mi się *Stworzenie Adama* Michała Anioła, które widziałem przy Rampie... to dzieło powstało chyba już po wynalezieniu perspektywy?

– Dlatego z konieczności Bóg musi unosić się w przestworzach, w naturalnej przestrzeni, po tej stronie punktu zbiegu, który innej strony już nie ma. Nie jest to już zatem wiarygodny Bóg, lecz tylko wspaniałe wyobrażenie istoty, która przewyciężyła prawa przyrody.

– A nie stworzyła – kiwnął głową Maks. – Ale zaraz... Obecnie...

– Tak, tak, wiem, co chcesz powiedzieć.

– Naprawdę? Co mianowicie?

– Że sztuka współczesna znowu odrzuciła zasady perspektywy.

– No właśnie. Weź takiego Picassa. U niego nie ma żadnych nierównoczesnych wydarzeń, jak w malarstwie średniowiecznym, ale za to różne przestrzenne niemożliwości, takie jak równoczesne pokazanie przodu i boku twarzy. A słyszałem gdzieś, że naukowe wyjaśnienie wszystkich tego rodzaju osobliwości czasoprzestrzeni odnaleźć można w teorii względności.

– Z tym że Bóg już się więcej nie pojawił. Jeśli miałoby być coś takiego, jak druga strona perspektywicznego punktu zbiegu, to musiał się tam udusić. A to oznacza, że w niebie leżą już tylko jego rozkładające się zwłoki.

– Tak uważasz? Moim zdaniem nic się tam nie zmieniło, bo nic nie może się zmienić w wieczności. Wieczność to dokładnie to samo, co chwila. Punkt zbiegu to brama do nieba, przy której stoi z kluczami święty Piotr. Pewnie nie ma sposobu, żeby mu je podwędzić, ale mam wrażenie, że ty ze swoim pistoletem maszynowym oczywiście mogłabyś sobie utorować drogę przez ten punkt. A ja wśliznąłbym się zaraz za tobą.

– Słuchaj, całkiem fajne rzeczy opowiadasz, ale chyba nie będziesz mi teraz próbował wmawiać, że jesteś wierzący?

– Oczywiście, że nie.

– Że nie będziesz próbował wmawiać, czy że nie jesteś?

- Może Einstein jest Bogiem, nawet go trochę przypomina. *Ein Stein der Weisen*: kamień filozoficzny. - Maks westchnął głęboko. Wcisnął palce w piasek, aż do miejsca, gdzie był nieco chłodniejszy. - Doskonale pamiętam moment, kiedy umarł, to było w roku 1955, miałem wtedy dwadzieścia dwa lata i czułem się tak, jakbym stracił ojca. Słuchaj, Marilyn, czasem zdarza mi się pożartować, wiem, że dla takich ścisłych umysłów jak twój to nie do przyjęcia, ale taki już jestem. W dodatku jestem na Kubie. Tak jak i ty wierzę, że możliwe jest zaprowadzenie na Ziemi sprawiedliwej koegzystencji. Na tyle jestem jeszcze wierzący - podobnie jak ty. I jeśli Fidelowi się to uda, nawet tylko odrobinę, bardzo chętnie przyznam, że ma w sobie, jak to się mówi, refleks czegoś w rodzaju boskości. Kto wie, może należy mu się to już za same intencje, nawet jeśli mu się nie uda? Zdecydowanie unosi się wokół niego coś z atmosfery apostołskiej, mam absolutne wycucie takich rzeczy.

Zamierzał właśnie powiedzieć po niderlandzku do Ady, że wreszcie spotkał kogoś, kto poważnie traktuje historię sztuki, a jednocześnie potrafi wziąć do ręki karabin, ale ponieważ byłoby trochę niegrzecznie nagle odzywać się w niezrozumiałym dla innych języku, położył tylko głowę na rękach i zamknął oczy. Było mu przykro, że nie ma z nimi Onna, z pewnością potrafiłby jeszcze coś dodać. Może by ją pochwalił, że nie posłużyła się argumentami z psychologii religii czy z Marksa. Kiedy słońce przypalało mu plecy, on słuchał szumu fal. Ten odgłos był bez wątpienia prawie wieczny. Może tylko odgłos wybuchającego wulkanu był starszy. Najstarszym sygnałem było oczywiście kosmiczne promieniowanie tła o temperaturze trzech stopni Kelvina, echo Wielkiego Wybuchu, w którym powstały wspomniane przez Marilyn „naturalna przestrzeń i czas”. Eksplodujący punkt przestrzeni byłby wówczas tym, co Marilyn nazywała punktem zbiegu, przez który nic nie mogło się przedostać. Pytanie, co jest za nim albo przed nim, było pozbawione sensu. To jasne jak słońce. Sztuka nie tylko jako wyznacznik działań politycznych, ale także naukowego pojmowania świata!

- Spalisz się - powiedziała Ada. - Ja oczywiście też. Pójdę zobaczyć, czy jest gdzieś olejek do opalania.

Kiedy Ada poszła w stronę bungalowu, Maks wsparł się na łokciu, spojrzał Marilyn głęboko w oczy i rzekł:

- Skoro wszystko tak właśnie wygląda, to może byśmy się od razu pobrali?

Marilyn odwzajemniła krótko jego spojrzenie, a potem w napadzie śmiechu sturlała się z ręcznika na piasek i zastygła bez ruchu na plecach z szeroko rozrzuconymi rękami i nogami. On też chciał się zaśmiać, ale kiedy ujrzał nagle jej wysklepiony wzgórek Wenery i cienki materiał bikini obciskający wargi sromowe niby wielkie ziarno kawy, zdołał tylko otworzyć usta. Kiedy Marilyn zorientowała się, co się dzieje, też straciła ochotę do śmiechu. Usiadła, objęła kolana rękami i spoglądała na niego przez chwilę, kiwając głową.

– Co ci się tam płacze po głowie? – spytała.
– Różne okropne rzeczy.
– No to je sobie lepiej wybij z głowy. Nic u mnie nie wskórasz.
– Tego się właśnie obawiam.
– Boże, jakie to beznadziejne. Tak się fajnie i ciekawie rozmawiało, a ledwie twoja żona czy przyjaciółka się oddaliła, od razu zaczynasz bajerować.

– Ada nie jest moją przyjaciółką. Jest przyjaciółką mojego przyjaciela. – Maks zauważył, że ta informacja na moment zbiła ją z tropu. – Nie przejmuj się, wystarczy, jeśli powiesz teraz: „Kochanie, to wszystko zmienia”, i rzucisz mi się na szyję.

Z wyraźnym trudem przychodziło jej zachowanie urażonej miny, ale pewnie sobie pomyślała, że jeśli się teraz roześmieje, to coś jednak może pójść nie tak. Na pewno zdarzało jej się przespać z tym czy innym *comandante*, chociaż nie, raczej z poważnym profesorem estetyki albo jakimś jowialnym surrealistą w zapuszczonym atelier – wszystko było możliwe: mężczyzna nigdy nie wie do końca, z kim związana jest kobieta. Może zresztą Marilyn była związana wyłącznie z rewolucją? Maks zdecydował pozostawić na razie wszystko tak, jak jest. Dzień się jeszcze nie skończył. Położył się z powrotem na brzuchu, wsparł brodę na rękach i patrzył na Adę, która właśnie wyszła z bungalowu, niosąc olejek.

19

W morzu

Wieczorem Jesús również wolał zjeść swój posiłek w kuchni. Ociężali, ze spalonymi na czerwono twarzami, siedzieli w czasie niesłychanego zachodu słońca przy stole na werandzie. Upał ledwie zelżał i po wzięciu prysznicą zostali w samych koszulach. Pan Guerra przez cały czas miał na sobie długie spodnie i wyszywane wdzianko. Kiedy szybko zapadły ciemności i las przestał przyciągać uwagę swoim cieniem, wypełnił się głosem tysięcy cykad. W lekko melancholijnym nastroju przed zbliżającym się wyjazdem, podsyconym jeszcze aromatycznym czerwonym winem podanym do pieczonej jagnięciny, Ada spoglądała na coraz bardziej ciemniejący fioletowy płomień nad widnokregiem.

- Jestem niepokieszona. Ostatni raz oglądam tutaj zachodzące słońce.
- Więc zostań – powiedział pan Guerra. – Marilyn została.
- Żeby to było takie proste...

– Założmy, że Ada mówi teraz „zostaję” – zaczął Maks, zanurzając kawałek chleba w winie. – Jak myślisz, co by to dla niej oznaczało? Wielkie szczęście czy pytanie: i co dalej?

– Innymi słowy: szczęście jest niemożliwe – stwierdziła Marilyn. Spojrzał na nią i był przekonany, że także ona czuje, iż obydwójce prowadzą równoległe drugą rozmowę bez słów. Sięgnął po butelkę i rzekł:

– Ależ ty jesteś zasadnicza. Lepiej napij się wina. Zdaniem naszego nieobecnego przyjaciela woda służy wyłącznie do mycia zębów.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała Marilyn. – Może będę musiała strzelać.

Maks ze śmiechem nalał wina pozostałym.

– No właśnie. Na drodze czyha niebezpieczeństwo, na całym wybrzeżu roi się od agresorów. A czemu nie zostaniemy tutaj na noc? To chyba możliwe?

– Oczywiście, że możliwe – powiedział pan Guerra. – Jeśli sobie życzycie...

– Daj spokój, Maks – zaprotestowała Ada, trącając go z dziewczęcą gracją łokciem. – Ani mi się śni, jutro mam przecież samolot. A poza tym nie byłoby to zbyt grzeczne wobec Onna. Powinniśmy się już raczej powoli zbierać.

Maks przytaknął z zamkniętymi oczami, dając do zrozumienia, że zrezygnował z tego spontanicznie wyrażonego pomysłu, i odłożył nóż i widelec.

– Coś ci powiem, Marilyn. Możesz mi wierzyć lub nie, ale jestem teraz szczęśliwy. Bo wiem, że kiedyś pomyślę sobie o tym wieczorze ze świadomością, że byłem wtedy szczęśliwy. Być może w ogóle szczęścia można zaznać tylko przez lustro wspomnień. Pewnego dnia będę leżał na łożu śmieci, wiedząc, że już z niego nie wstanę, i być może myśl o tym wieczorze rozjaśni moje ostatnie chwile. – Maks pociągnął łyk wina, ale nie przełknął go. Poruszał w nim językiem, tak że zapach przeniknął od środka do nosa, i zdawało mu się, jakby tych parę centymetrów sześciennych wina w mrokach jego ust zawierało w sobie cały świat, tak jak w kropli rosy na źdźbłe trawy odbija się cały krajobraz. A potem przełknął i rzekł: – Mam wizję.

– Opowiedz – zachęciła go Ada.

– Widzę niemieckiego żołnierza na radzieckim stepie dwadzieścia pięć lat temu. Trzeba wam bowiem wiedzieć, że w tamtym czasie u nas w Europie szalała wojna, ale za dużo by o tym opowiadać. Ma dwadzieścia jeden lat, na dworze czterdzieści stopni poniżej zera, a on leży na plecach w świszczącej zamieci pośród rozbitych pociskami czołgów i zamarzniętych zwłok koni, w jego trzewiach syczy rozgrzany do czerwoności odłamek. I w tych ostatnich chwilach życia on także nagle doznaje wizji. Widzi stół na werandzie nad bajkową zatoką, jest wieczór, stół jest zastawiony potrawami i winem i jest tak ciepło, że dwie przepiękne kobiety ubrane są tylko w przewiewne koszule...

Na chwilę zapadła cisza. Ada rzuciła Marilyn krótkie spojrzenie, które mówiło, że pojawił się mały problem.

– A dlaczego – spytał pan Guerra, odchylając się nieco w bok, aby Chińczyk mógł zabrać jego talerz – znaleźliśmy się w wizji faszystowskiego żołnierza, a nie radzieckiego?

Maks westchnął.

– Słuszna uwaga, ale wizji nie da się do niczego zmusić. To przecież jego wizja, prawda?

Pan Guerra uśmiechnął się.

– Byłby pan całkiem niezły jako wykładowca dialektyki w szkole partyjnej.

– Jeśli mi pan zagwarantuje, że tam też nie wymusza się konkretnych wizji, niniejszym zgłaszam swoją kandydaturę.

– My nikogo do niczego nie zmuszamy. Już sama Kuba jest wizją.

– No proszę – powiedział Maks, zwracając się do Ady. – W tej sytuacji to ja zostaję.

Wszyscy troje spojrzeli na niego i nagle poczuł się nieswojo. Czy za dużo mówi? Powstało coś w rodzaju dystansu między nim a pozostałą trójką, nagle poczuł się zostawiony na łasce losu. Ponieważ wracał mu ból głowy, złoczył dłonie i poprosił Adę, żeby naląła mu do nich trochę wody z lodem z karafki, po czym skropił sobie nią kolana, a potem zanurzył w dłoniach twarz.

– Źle się czujesz?

– Mała chwila słabości – powiedział z twarzą ociekającą wodą. – Już minęło.

Wstał i dopiero kiedy wyrzekł te słowa, wiedział, że to właśnie chciał zakomunikować:

– Mam zadzwonić do Onna i powiedzieć mu, że za parę godzin będziemy z powrotem?

– Może ja to zrobię?

– Nie, nie, już dobrze.

Nie wycierając się, wszedł do bungalowu, gdzie czarna gospodyni pokazała mu telefon w holu. Na poręczy krzesła wisiał pistolet maszynowy Marilyn. Tu wisiła jej właściwa tożsamość. Pomylił się co do niej, musi dać sobie spokój, bo inaczej połamie na niej zęby. Na razie jednak cały jego układ wydzielania wewnętrznego zdążył się już na to nastawić: odczuwał to jako pewne zeszytnienie w środku, sięgające od podbrzusza do serca, jak gąbczasty pieniek wkładany czasem do wazonu, by można było wbijać w niego kwiaty.

Ponieważ Onno siedział pewnie jeszcze przy kolacji, poprosił przez telefon o wywołanie go z tarasu restauracji, ale tam go nie było. W pokoju z kolei nikt nie odbierał. Maks właśnie chciał odłożyć słuchawkę, kiedy usłyszał cichy, schrypnięty głos:

– Si?

– O, kogo my tu mamy? Mówi Maks. Spałeś?

- Tak. Właśnie mnie obudziłeś. Co jest? Nie chce z nikim rozmawiać. Z tobą też.

- Co się stało?!

- Nic ci do tego.

- Onno! Powiedz, co się dzieje!

Przez chwile w słuchawce panowała cisza. Maks był pewien, że Onno właśnie wpółniósł się w pościeli i oparł na łokciu, żeby zobaczyć, która godzina.

- Nie mogę spojrzeć sobie w oczy. Nie jestem godzien, aby ktoś tak wysoko postawiony jak ty w ogóle ze mną rozmawiał. Więcej nic nie powiem. Ale to, co usłyszałeś, też musi zostać między nami. Czy Ada cię słyszy?

- Nie, siedzi na tarasie. Jesteśmy tutaj we wspaniałej daczce nad morzem, z panem Guerrą, Jesúsem, obsługiwani przez tłum kelnerów, co tu dużo mówić, sam wiesz, że tylko w krajach komunistycznych ludzie tacy jak ty czy ja mogą żyć jak prawdziwi kapitaliści. Ponadto rewolucja wybrała mnie na przyszłego przywódcę Ludowej Republiki Holandii i męża zapierającej dech w piersiach kobiety z pistoletem automatycznym.

- Tak, tak, słyszę to w twoim głosie, właśnie zaspokoiono twoje najgłębsze instynkty masochistyczne. Nie powinienem cię słuchać, nigdy nie powinniśmy tutaj przyjeżdżać, bo tutaj wszystko jest serio i przez to stałem się nekrofilem. Jestem moralnym wrakiem, tylko sen może mi przynieść ukojenie.

- I to wszystko przytrafiło ci się w kościele? Czyżbyś napluł do wody święconej?

- Właśnie! Naplułem do wody święconej!

- Onno, chyba mi nie powiesz, że poszedłeś do łóżka z inną kobietą?

- W ogóle nic ci nie powiem, zbroczeńcu. Wystarczy, że taka niestęchanie subtelna osoba jak ja robi sobie wyrzuty, a tobie zaraz tylko to jedno w głowie. Mój właściwy problem jest zupełnie innej, duchowej natury. Dałem się pochłonąć, padłem ofiarą mojej własnej dobroci. Moja wzniosła szlachetność doprowadzi mnie kiedyś do zguby. A teraz nie pozostaje mi nic innego, jak się... znaczy, jak tylko odwieść słuchawkę, bo jestem wycieńczony. Powiedz Adzie, że jutro z samego rana do niej przyjdę, żeby rzucić się jej do stóp. Nie, tego ostatniego jej nie mów. A wy jak? Chyba wróćcie jeszcze dzisiaj?

- Tak, będziemy z powrotem około północy, - No to do jutra.

- *Good night, sweet prince.*

Maks odwiesił słuchawkę i stał pogrążony w myślach. Co to wszystko miało znaczyć? Czyżby Onno naprawdę zdradził Adę? Tak w biały dzień? Nie, to nie do pomyślenia. Ale nawet jeśli tak było, to jego opowieść nadal pozostawała niezrozumiała, nawet po odjęciu wszystkich udziwnień. Co on miał na myśli, mówiąc o sobie jak o „nekrofilu”? Czyżby dał się namówić do spożycia hostii? *Hoc est enim corpus meum*? Czy poszedł do ołtarza ze spuszczoną głową i złożonymi jak do modlitwy rękami i wystawił język? Może po to, żeby sprawić komuś przyjemność? Kapłanowi? Może był jedyną osobą w kościele? W każdym razie wiedział, że Onno zawsze przesadzał w stronę prawdy, a nie kłamstwa, i że naprawdę coś musi go dręczyć. Coś, do czego on sam nie powinien wracać, dopóki Onno nie zdecyduje się mówić.

Maks pojawił się znów na werandzie, gdzie do towarzystwa dołączyli już także Chińczyk, kucharka i Jesús, w ciemnościach zatopieni w cichej rozmowie. Ady nie było. Marilyn oznajmiła, że poszła jeszcze raz wykąpać się w morzu, „żeby się pożegnać”.

– Na co pan czeka? – spytał pan Guerra, wykonując gest w stronę szumu fal w ciemnościach.

No właśnie, dlaczego nie? Nigdy jeszcze nie kąpał się nocą w Zatoce Meksykańskiej, poza tym za kilka dni on także będzie otwierał i zamykał przed domem swój angielski parasol z bambusową rączką, jakby walczył z olbrzymim nietoperzem. W bungalowie przebrał się w wilgotne kąpielówki i zbiegł po schodkach na plażę.

Kiedy wyszedł spod drzew, a jego bose stopy utonęły w piasku, który wciąż jeszcze był nagrzany od słońca, otworzyło się nad nim bezkسیężycowe rozgwieżdżone niebo i zrobiło to tak, że niemal to usłyszał: zabrzmiało to jak precudowny akord, wykonany przez żywą orkiestrę. Widok na niebo z jego hotelowego pokoju na dwudziestym piątym piętrze, zamglony od świateł miasta i jego wyziewów, był w porównaniu z tym jak płyta odtworzona na starym patefonie. Przystanął. Z uczuciem, jakby jego głowa była kopułą obserwatorium, przesunął wzrokiem po niebie. Czystym różowym blaskiem wśród roziskrzonych gwiazd świecił Mars, a w krzyżu Oriona jak plama zaschniętej spermy na rozporku smokinga biała wielka mgławica M42. Gwiazdy na południe od niej, poniżej Beteleguzy i Rigela, niewidoczne w wyższych szerokościach geograficznych nawet latem, nie chciały mu się układać w płaskie, geometryczno-mityczne „znaki” antycznej astronomii, tak samo jak na półkuli północnej jego umiejętność identyfikowania ograniczała się do paru podstawowych konstelacji, które poznał jeszcze jako chłopiec w czasie wojny – na tej samej zasadzie, na jakiej praktykujący lekarz nie pamięta Hipokratesowej teorii humorów. Kapryśna, słabo świecąca wstęga Drogi Mlecznej wiła się po niebie niby welon, który zsunął się z ramion panny młodej, i po raz pierwszy od wielu lat Maks znowu uświadomił sobie, dlaczego poświęcił życie tej wspianiałej kopule.

Morze, które wydawało się teraz jeszcze cieplejsze niż w południe, przyjęło go jak powracającego do domu podróżnika. Kiedy chwiejąc się, pozwalał falom uderzać o swoją pierś, starał się dojrzeć Adę, ale było to niemożliwe pośród tego czarnego ruchu. Przyłożył dłonie do ust i zawołał:

– Ada!

Zawahała się. Widziała sylwetkę Maksą odcinającą się od jaśniejszego tła plaży, każda fala unosiła ją w górę i stawiała z powrotem na czubkach palców. Myślamy wciąż była przy bajkowym wręcz fakcie, że jest tutaj tylko dzięki temu, że gra na wiolonczeli: to muzyka przyniosła ją *na skrzydłach pieśni* w to miejsce nad morzem. Gdyby matka mogła ją teraz zobaczyć!

– Maks! – Pomachała do niego. – Tutaj!

Maks odmachnął i dał nurka pod wodę.

Najchętniej zostałaaby w wodzie sama, ale wtedy on oczywiście niepokoiłby się, że pochłonie ją morze. Tylko kiedy była sama, miała poczucie, że naprawdę istnieje. Być może inni ludzie po prostu boją się tej świadomości, ona natomiast bała się, że inni jej tę świadomość odbiorą.

Tuż przed nią wyłonił się Maks.

– Czemuż to wszystko zawdzięczamy? – zawołał.

– Naszej szczęśliwej gwiazdzie!

Objął ją wpół i w nieomal czarnym morzu kołysali się razem w górę i w dół. Dużo czasu minęło, od kiedy ostatni raz widziała go z tak bliska, ociekającą wodą twarz oświetlały tylko gwiazdy. Położyła mu dłonie na ramionach i powiedziała ze śmiechem:

– Zupełnie jakbyśmy tańczyli.

Prawą ręką objął ją w pasie, lewą ujął jej prawą dłoń i przyciągnął ją do siebie.

– *La valse...*

Ujrzała zawadiackie błyski w jego oczach i poczuła u niego wzwód, ponieważ jednak działo się to pod wodą, niewidoczne w głębinach, miała wrażenie, że w ogóle jej nie dotyczy: morze kryło jeszcze tyle niewyjaśnionych tajemnic. Przytulił policzek do jej policzka i usiłując doszukać się w szumie fal przerażającego tematu z muzyki Ravela, ujrzał jaśniejsze światło przecinające niebo.

– Spójrz! Spadająca gwiazda! Możemy pomyśleć życzenie.

Odwrócił głowę, ale nie do końca był pewien tego ziarnistego, żarzącego się długo gazowego śladu: musiał to być okruch o wadze kilograma albo dwóch, a meteoryty rzadko kiedy są tej wielkości.

– A jeśli się nie spełni – powiedział – będzie to znaczyło, że to tylko kawałek satelity, których pełno na tej szerokości. O czym pomyślałaś?

– Tego się nie mówi – spojrzała na niego zmieszana. „Dziecko”, pomyślała od razu bez zastanowienia, zupełnie jakby to życzenie wtargnęło w nią tak samo, jak to coś na niebie wtargnęło w atmosferę, „chciałabym mieć dziecko”. Była tym tak samo zaskoczona jak stateczny ojciec rodziny, który widząc ślad meteorytu na niebie, zamarzyłby sobie przecudnej urody siedemnastoletniego efeba. O ile wiedziała, wcale nie chce dziecka, dokładnie tak samo jak Onno. Czyżby więc za każdym razem, kiedy łykała małą białą pigułkę, dusiła w sobie najszybsze marzenie?

Nagle w rytmie fal pojawiła się synkopa: przyszła fala szybsza, wyższa, która uniosła ich i przewróciła; krztusząc się i plując słoną wodą wydostali się z powrotem na powierzchnię, chwyciwszy się siebie. Maks pocałował Adę w policzek i zaraz potem poszukał jej ust. Czyżby zobaczył, o czym pomyślała? Pozwoliła się całować i poczuła jego dłoń wsuwającą się z tyłu za jej bikini.

– Co ty wyprawiasz?

– Musimy coś dokończyć... – wydyszał Maks.

„Dogodź sobie sama”. Jego podniecenie wzięło się oczywiście także ze stanu, do którego doprowadził go flirt z Marilyn, dostał od niej kosza i teraz Ada była dla niego erotycznym zamiennikiem. Zarazem jednak nawiązał do tego poranka sprzed dobrych trzech miesięcy i to uczyniło ją bezbronną. A więc on też tego nie zapomniał, on też wiedział, że to nie było w porządku. W chwili kiedy uniosła ich fala, Maks zsunął jej w dół majtki od bikini i już trzymał ją w ramionach. Bez konieczności pokonania siły ciężenia uniosła nogi, obejmując jego biodra.

– Maks... tak nie można... jeśli Onno...

Ale on już tego nie słyszał, zadbałem o to, żeby odezwała się w nim całkiem inna siła, która zupełnie się nim nie przejmowała. Poczwała, jak w nią wszedł – i przez jego ramię patrzyła, jak na niebo wypływa krwawoczerwony, ogromny sierp księżycy: był w pierwszej kwadrze i wisiał jakby za horyzontem...

Zadanie

W tym momencie powiedziałem:

– Iskierko! Tak, ty! Spłyn ku mnie w wirujących z wolna równoległościanach przez tę Światłość bielszą niż biel, która promienieje i rozbrzmiewa ze wszystkich stron, która nas otacza i która nas przenika, nas, którzy jesteśmy jej częścią, światłem w Światłości, harmonią w Harmonii. Któż chciałby się wydostać z tej powietrznej przestrzeni, gdzie każda część zlewa się z całością, gdzie całość mieści się w każdej z części i gdzie to tu, to tam figury przyjmują kształty i znikają, trójkąty, koła, elipsy, hiperbole, kule, stożki, sześciiany, ośmiościany, dwunastościany, gdzie koziółkujące sferoidy rozbłyskują i gasną w nieskończonej harmonii Nieskończonej Światłości, w której jesteś pojedynczym punktem, nie, w którym jesteś harmonijnie brzmiącą struną Światłości. Czy możesz się stąd wydostać? Spójrz, tam, w tym wypukłym wycinku wielokąta, tam jest wejście: plum, i po wszystkim – jeszcze coś drży, słaby powidok, maluteńka cisza, potem Światłość zasklepia się i jest tak, jakby nic się nie zdarzyło. Ale zdarzyło się. Rozejrzyj się wokół, zobaczysz, jak się dzieje, wszędzie, bezustannie. Dokąd zmierzają? Spójrz uważnie – zobaczysz także Iskierki wracające do Światłości: o, tu i tu, i tu. Czyżby było zatem coś więcej niż ta odwieczna domena? Wejrzyj teraz w siebie, w to spójne światło, jakim jesteś, w które nie da się już wcisnąć nawet szpilki – ale czyż nie tkwi w nim właśnie jakaś szpilka? I czy ta szpilka nie jest jakimś nieokreślonym pragnieniem, które zawsze w tobie tkwi i którego przez to nigdy sobie nie uświadamiasz, tak jak nie uświadamiasz sobie świetlistej harmonii, którą jesteś, ponieważ jesteś jej częścią? Coś w rodzaju tęsknoty za domem, chociaż nigdy nigdzie indziej cię nie było niż tutaj? Czy to nie jest tak, jakby nawet doskonałość nie była doskonała? Jakby Światłość nie była całkiem świetlista, a Harmonia nie całkiem harmonijna? Powinieneś się wreszcie dowiedzieć: tak, ten świat nie jest jedynym światem. Jest też inny świat. Nie mogę tego udowodnić, musisz w to uwierzyć, musisz odważyć się na ten krok i dopiero wówczas tak naprawdę się dowiesz. Jest coś, co nazywa się Ziemia. Ziemia istnieje – jako wewnętrzna kazamata w Królestwie Archontów. Nie ma sensu wiele ci o tym opowiadać, mało opowiadać też nie ma sensu, ponieważ i tak tego nie pojmiesz. Nie pojmiesz nawet, czego tak naprawdę nie pojmujesz, ponieważ nie wiesz nawet, co to znaczy „nie”. Tak więc na Ziemi nie cały czas jest światło – ale to też przekracza twoją zdolność pojmowania. W zasadzie nie muszę nic mówić, ale jednak powiem: może z zazdrości, bo mnie nigdy nie będzie dane tam zamieszkać. Z tyleż dających się wyjaśnić, ile zagadkowych powodów raz jest tam światło, a raz ciemność. Ale nawet ziemskie światło Słońca jest Ciemnością w porównaniu z naszą Światłością. Jest ono niejako cieniem naszego, a cieniem tego cienia jest trucizna ziemskiej ciemności. Przyznaję, że to niezbyt atrakcyjne, udawać się do mało przejrzystego, pogmatwanego świata, ale nie mam zamiaru nikomu mydlić oczu, nawet jeśli nic z tego nie rozumie. Zresztą właśnie dlatego, że mnie nie rozumiesz, odkryję przed tobą najgłębszą tajemnicę. Tak jak

Światłość skrywa w nas zalążek Ciemności, tak samo Ciemność skłania się ku naszej Światłości i bardzo ją lubi. Przechodząc tam, zabierzesz ze sobą Światłość, a jedynym sposobem na przeniesienie tam Światłości jest przejście tam. Ten kosmiczny mezalians zawiera też w sobie ostateczny sens naszego świata. To znaczy, dopiero przebijając się w regiony czarnego światła, kłamstwa, oszustwa, przemocy, mordów, chorób i śmierci, nadajesz sobie sens. Ogromna większość – jeśli w ogóle można tak powiedzieć – niezliczonej liczby Iskierek nigdy nie będzie miała takiej okazji, ponieważ jest ona zarezerwowana dla przypadków, które nigdy nie nastąpią. Dla nich wieczność nigdy nie ustąpi miejsca chwilowości i skończoności. Ty jednak należysz do niewielkiej grupki wybrańców, na którą przychodzi kiedyś czas. I sporo zainwestowano, żeby twoje pojawienie się tam było możliwe – a ile, dla własnego spokoju nigdy tak do końca się nie dowiesz. I cała ta inwestycja służy temu, abyś mógł otrzymać na drogę zadanie, które tylko ty potrafisz sobie przypomnieć. Nie wróci jednak w formie wspomnienia, lecz uznasz, że to twój własny pomysł, genialne olśnienie. A to dlatego, że tak jak będąc tutaj, nic nie wiesz o Ziemi, tak samo będąc na Ziemi, nic nie będziesz wiedział o istnieniu tego świata. Całkowicie o nim zapomnisz. Kiedy rozmowa zejdzie na nas, wzruszysz ramionami, które tam dostaniesz. Albowiem kiedy będziesz mknął ku Ziemi do konkretnego punktu czasu przez trzysta siedemdziesiąt pięć eonów, światów i pokoleń, będziesz nabierać coraz większego ciężaru, będzie się do ciebie przyklejać coraz więcej śmieci ze sfer niebieskich, skorup, ubrań, wyrostków, szlaki, martwego balastu, który przykryje twoją pamięć pierwotnej Światłości, i nie minie wiele czasu, a znajdziesz się w więzieniu ducha i ciała i narodzisz się jako człowiek, czyli istota, która nie wie nic, nawet tego, czym naprawdę jest, mianowicie Światłością – zupełnie jak ktoś, kto śpi. To samo będzie dotyczyło ciebie. Jednocześnie będziesz mimo wszystko inny od pozostałych. Pozostali będą jak śpiący, których trzeba obudzić – wiarą lub wiedzą. Tylko wówczas otwiera się przed nimi droga powrotu. Lecz cały ten zebrany po drodze balast najczęściej pogodził ich już z życiem na Ziemi, zapominają o tym, że są tam obcymi, a wówczas stają się tymi, za których sami się uważają: to właśnie jest największe zagrożenie dla ich powrotu. Tobie będzie łatwiej. Ze względów technicznych zdecydowaliśmy się na procedurę VIP-owską. A teraz – teraz nadeszła twoja chwila, wszystko już gotowe na twoje przyjęcie. Powodzenia! W drogę! Nuże! Przynieś nam z powrotem nasze Świadectwo!
Adieu!

CZĘŚĆ DRUGA

KONIEC POCZĄTKU

Pierwsze intermezzo

- Uff, dosłownie w ostatniej chwili!

- I kto to mówi. Problem polega na tym, że możemy ludzi skusić, ale nie zmusić. Bez większego wysiłku możemy sprawić, żeby ktoś się zatrzymał albo krążył po pokoju, albo spowodować, żeby się poślizgnął i skrzył kark, ale żeby ktoś zrobił coś, co jest sprzeczne z jego uczuciami, to już trudniejsza sprawa. Ludzie to nie marionetki, mają własną wolę, ani się obejrzysz, a już ich nie ma. Weźmy takie spotkanie Maksa z Onnem.

- To twoja sprawka?

- A czyja?

- Mogło być przypadkowe.

- To była trudna sprawa. Gdyby Delius przejeżdżał tamtędy bodaj minutę później, Onno mógł się zabrać z kimś zupełnie innym.

- No, a wtedy wszystko psu na budę. Dziękuję za komplement, ale takie rzeczy to rutynowa sprawa dla mojego wydziału. To dla nas niemal równie proste, jak taka czy inna mechaniczna operacja, powiedzmy, zwalenie przez wiatr drzewa albo uderzenie meteorytu, żeby przywołać jakieś przykłady, jakkolwiek i w tej sferze borykamy się z pewnym ryzykiem niepewności. Oczywiście była to składowa znacznie szerzej zakrojonej akcji, ponieważ musieliśmy najpierw zadbać, żeby Maks pojechał do Rotterdamu w tym samym dniu, w którym ojciec Onna obchodził urodziny i tak dalej, i tak dalej, ale tutaj raczej nie należało się spodziewać oporu.

- Dlaczego wszystko psu na budę? Jaki był właściwie sens tego spotkania? Przecież ono tylko wszystko dodatkowo skomplikowało. Mogłeś zostawić tego całego Onna gdzieś na boku, Maks spotkałby Adę i ona miałaby z nim dziecko.

- Po pierwsze, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wcale by jej wtedy nie zrobił dziecka, a po drugie, jeszcze się okaże, że obecność Onna ma zasadnicze znaczenie dla osiągnięcia naszego ostatecznego celu. Zajmując się takim projektem, nie można pracować jedynie nad momentem, którego kolej właśnie przyszła, bezustannie trzeba pamiętać, co już się wydarzyło, co wydarzy się za chwilę, co może pójść nie tak i jak temu zaradzić, a więc co przygotować na taką ewentualność, oczywiście jeśli nie chcemy, żeby wszystko wymknęło nam się z rąk. Przyjrzyj się sprawie wojny: potem w podręcznikach historii jest to ładna, okrągła opowieść o znanym zakończeniu; dopóki jednak trwała, będąc feldmarszałkiem, miałbyś wprowadzić swój plan działań wojennych, ale i tak przekształciłby się on przede wszystkim w chaotyczne następowanie po sobie wydarzeń, głupstw i nieprzewidzianych niespodzianek, wymagających co chwila nowych decyzji. A po trzecie... hm, już nie pamiętam. Nie bierz mi tego za złe, ale tymi pytaniami dotknąłeś zasadniczego punktu, który pewnie w ogóle powinniśmy otwarcie sobie wyjaśnić od razu na samym początku. Poprosiłeś mnie, żebym opowiedział wszystko obszernie i ze szczegółami, więc zacząłem to robić. Szczerze mówiąc, nie chce mi się snuć opowieści z jednoczesnym snuciem rozważań o tym, dlaczego jest tak, jak jest, gdzie ingerowałem, a gdzie nie i dlaczego.

- Co, nadepnąłem niechcący na odcisk?

- Przede wszystkim chciałbym przypomnieć, że nie mam odcisków, bo tutaj, w pneumie, istniejemy wyłącznie jako czysta inteligencja, a poza tym...

- Poza tym?

- Dobrze, zostawmy to już. Od czasu do czasu gotów jestem złożyć sprawozdanie albo coś bliżej wyjaśnić, nie mam jednak zamiaru gryźć się przy okazji we własny ogon.

- Czyżbyś miał coś takiego jak ogon?

- Ja nie, ale opowiadanie może tak.

- Nie wiem, czy wiesz, lecz Ouroboros, wąż polykający własny ogon, jest na teźe właśnie Ziemi symbolem wieczności.

- Być może, lecz jeśli nie będzie mi wolno opowiadać w sposób zawarty w samych zdarzeniach, to będziesz się musiał zadowolić informacją, że sprawa została zakończona. Możesz mi oczywiście zadać setki pytań albo tysiące czy setki tysięcy, na przykład, dlaczego taka Kuba siłą musiała zostać włączona do tej historii, i nie wiadomo ile podobnych, ale wszystko to w pewnym momencie i tak samo się wyjaśni. Przyjmij po prostu to, co powiedziałem, że nie stało się nic, co nie byłoby absolutnie konieczne, przynajmniej w części dotyczącej moich ingerencji. Nie bez przyczyny ani razu jeszcze nie powiedziałem „ja”.

- Oprócz tych trzech razy w ostatnich zdaniach. Pozwól więc sobie powiedzieć, że fakt, iż ty także siedzisz na samym szczycie *Hierarchia Caelestis*, nadal nie daje ci najmniejszego prawa do odzywiania się tak bezczelnym tonem do funkcjonariusza, który stoi jednak odrobinę wyżej od ciebie. Przynajmniej w tym momencie. Powoli zaczyna mnie to zasmucać, ale może to wina twojej opowieści. Wiesz, żaden z nas nie ma przeglądu całej Pleromy, kiedy się jednak operuje na skraju Światłości, z widokiem na demoniczny świat Ciemności, to jest jednak trudniej niż istotom wyższym, w zasadzie niemającym o tym pojęcia. A ty jeszcze bardziej ode mnie stoisz plecami do Światłości, a twarzą do Ciemności. Jeśli dobrze sobie przypominam, kilkakrotnie pokazywałeś się w tych archonckich obszarach, które nie mogą się nawet poszczycić, że zostały stworzone przez Szefa, jak twierdzi większość tamtejszych mądrali, ponieważ antropiczna eksplozja światła, która jest do tego konieczna, była dziełem naszej centrali. W porównaniu ze mną jesteś niemal jednym z nich, chociaż dla nich jesteś kimś nieskończenie odległym - jeśli w ogóle domyślają się twojego istnienia. Większość z nich zna istoty takie jak my wyłącznie jako wytwory infantylny wyobraźni, w rodzaju Supermana czy Batmana. Chcesz wiedzieć, skąd się to bierze? Otóż stąd, że oni w zasadzie dysponują już wszystkimi naszymi mocami, w formie techniki. I jest to nasza własna głupia wina. Całe wieki przespaliśmy tutaj w samozadowoleniu, a tymczasem Szatan robił swoje.

*

- Szatan? Co ja słyszę? Pod jaką postacią?

- Wszystkie te postacie są i tak tylko narzędziami: Belial, Belzebub, Asmodeusz, Azazel, Samael, Mefistofeles, jakkolwiek ich nazwiesz, zawsze będzie to ostatnia hołota. Ale naprawdę znowu był to Lucyfer.

- I co ten łajdak tym razem zrobił?

- Dopiero niedawno się tego dowiedzieliśmy. Otóż czterysta lat temu za naszymi plecami zawarł pakt z ludzkością. Coś w rodzaju diabelskiej przeciwwagi dla Świadectwa naszego Szefa.

- Co ty powiesz! Ja znam tylko opowieść o tym, jak Mefistofeles zawarł pakt z niejakim doktorem Faustem, na mocy którego ten zapisał mu duszę, ale to należy raczej do literatury.

- To prawda, niemniej jednak sprawa ma jeden niezwykle groźny aspekt. Pozwolisz, że odświeżę ci nieco pamięć? Historyczny Johannes Faust był podróżującym po Europie niemieckim magiem z Wirtembergii, cieszącym się złą sławą, jak wielu innych jemu podobnych, w pierwszej połowie ludzkiego XVI wieku. W roku 1587, kiedy Faust nie żył już od czterdziestu czy pięćdziesięciu lat, stał się legendą za sprawą kroniki *Historia von D. Johann Fausten dem weitbeschreiten Zauberer und Schwarzkunstler*, w której pojawia się opowieść o jego pakcie z diabłem. Naszym zdaniem jednak korzenie legendy Fausta sięgają jeszcze innego krążącego po świecie osobnika, żyjącego tysiąc pięćset lat wcześniej i wspomnianego w Dziejach Apostolskich, niejakiego Szymona Maga. Pokłócił się on ze świętym Piotrem, bo chciał od niego odkupić Ducha Świętego. Człowiek ów bowiem, Samarytanin, wbił sobie do głowy, że to on jest Szefem.

- No dajcie spokój! Czy już wtedy stał za tym Szatan?

- Tak przypuszczamy. Szymon Mag utrzymywał stosunki z pewną fenicką ladacnicą, o której twierdził, że jest inkarnacją Heleny Trojańskiej.

- Jak można coś takiego twierdzić?

- Na Ziemi można twierdzić wszystko i zawsze znajdują się tacy, którzy w to uwierzą. Ale przestrzegam, nie lekceważ go. Szymon Mag twierdził, że Pierwiastek Kobiocy był najpierwszą myślą myślenia, to znaczy Szefa, za którego się uważał. Ten Pierwiastek stworzył następnie nas, a my z kolei stworzyliśmy świat. Zdaniem Szymona Maga jednak nie chcieliśmy być postrzegani jako stworzeni, tylko jako stwórcy, w związku z czym strąciliśmy naszą stwórczynię ze Światłości w stworzoną przez nas Ciemność, właczając ją w ciała całego szeregu kobiet żyjących w ciągu wielu wieków, między innymi właśnie Heleny Trojańskiej, a na koniec teje ladacznicy z zamtuza w Tyrze, gdzie zstępujący z niebios i stający się ciałem Ojciec ma w końcu uwolnić uwięzioną Matkę.

- Co za historia! To o porwaniu i tych wszystkich kobietach to oczywiście jedna wielka bzdura, ale w jaki sposób temu Magowi udało się poznać prawdę o Stworzeniu? Czy to Lucyfer wyszeptał mu wszystko do ucha?

- Widzisz jakieś inne wyjaśnienie?

- A jaki miał w tym cel?

- Był to manewr odwracający uwagę od tego, co naprawdę zamierzał. Nieopstrzeżenie dla wszystkich Szymon Mag powraca pod koniec XVI wieku w legendzie o doktorze Fauście, niestrudzonym poszukiwaczu wiedzy, który zawiera umowę z diabłem. Pierwsze literackie świadectwo pochodzi od Christophera Marlowe'a, który w roku 1590 opublikował w Londynie *The Tragicall History of Doctor Faustus*. Dało to początek niekończącemu się łańcuchowi opracowań tego tematu, ciągnącemu się aż po dzisiejszy ziemski dzień, którego zwieńczeniem jest oczywiście Faust Goethego, gdzie także pojawia się Helena. W jednym z ostatnich dzieł na ten temat, *Doktorze Faustusie* Tomasza Manna, też zresztą mamy syfilityczną ladacznicę, będącą towarzyszką życia bohatera, a inspirację dla tej postaci stanowiła fatalna ladacznica w życiu Nietzschego, o którym niedawno rozmawialiśmy. To ona sprawiła, że popadł w obłąd.

- Wiem wszystko na ten temat. Sam ją kiedyś na niego nasłałem. Po co twierdził, że Szef nie żyje? Na czym jednak miał polegać ten odwracający uwagę manewr Lucyfera? Od czego miał odwracać uwagę?

- Chodziło o to, żeby przekonać ludzkość, że pakt z diabłem to temat wyłącznie literacki: zwykła opowieść o wymyślonej, żądnej wiedzy postaci, która sprzedaje duszę. Dzięki temu po dziś dzień ludzkiej miary czasu ludzkość nie zauważyła przerażającego, bynajmniej nie literackiego, lecz jak najbardziej realnego faktu, że w ostatnich dziesięcioleciach tegoż samego XVI wieku, także w Londynie, Lucyfer zawarł pakt z ludzkością: kolektywny pakt, w którym cała ludzkość zaprzedała mu duszę.

- Wielkie nieba! Jak mam to sobie wyobrazić? Czy ktoś podpisał ten pakt w imieniu ludzkości?

- Tak.

- Kto taki?

- Francis Bacon.

- Francis Bacon?

- Tak jest, Francis Bacon, Zawsze widziano w nim człowieka, który profetycznie przepowiedział powstanie obecnego, naukowo-technicznego świata. W kilku epokowych dziełach zarysował kontury świata, w którym nauka i technika nie znajdują się już w rękach paru osamotnionych amatorów, jak to się działo w jego własnych czasach około roku 1600, tylko przekształcają się w zorganizowane na skalę międzynarodową wspólne przedsięwzięcie, finansowane przez władzę, z konferencjami i systematycznymi publikacjami. Tylko w ten sposób miało być możliwe całkowite opanowanie natury, metodą zaś nauki miała być indukcja, w której wychodzi się od tego, co szczególne, dochodząc do tego, co ogólne, od zjawisk empirycznych do praw przyrody – ty i ja oczywiście wiemy, że jedyną właściwą metodą jest metoda dokładnie odwrotna, czyli dedukcja. Pod koniec życia Bacon zaczął pisać *Nova Atlantis*, *Nową Atlantyde*, która zachowała się we fragmencie i została opublikowana po jego śmierci. Opisuje tam centralny instytut na utopijnej wyspie Bensalem, który nazywa „Domem Salomona” – ale bynajmniej nie jest to coś takiego, jak błogosławiona Świątynia Salomona w Jerozolimie, która tak bardzo leży nam na sercu, ani coś takiego, jak Kościół katolicki, tylko nowoczesne centrum badawcze, w którym tworzy się nawet nowe gatunki biologiczne.

- Z ludzkiego punktu widzenia wszystko to wydaje się oczywistością.

- Oczywistością do tego stopnia, że w XX wieku nikt już o nim na Ziemi nie wspomina. Takie właśnie są niebezpieczeństwa, kiedy się ma rację w wielkich sprawach: nikt już prawie nie pamięta, że kiedykolwiek było inaczej. Pomyśl, że w jego czasach nawet doświadczenie naukowe było w zasadzie nieznanie. Dlatego zawsze nas dziwiło, że właśnie wokół tego racjonalistycznego prekursora naukowo-technicznej nowoczesności nagromadziło się tyle tajemnic. Miał być podobno współtwórcą wolnomularstwa, zakamuflowanym różokrzyżowcem i członkiem kilku innych tajnych stowarzyszeń. Od wieków istnieje sekta baconistów, starająca się udowodnić za pomocą wszelkiej maści numerologicznych sztuczek, że to on właśnie napisał dramaty i sonety Szekspira. Wszystko oczywiście bzdura, dlaczego jednak przyłgnęło właśnie do tego chłodnego, racjonalistycznego autora teorii złudzeń? Jakby nie dość na tym, miał on być także prawdziwym autorem *Anatomy of Melancholy* Burtona, a z różnych konstruowanych na siłę akrostychów ma też podobno wynikać, że wszystkie dzieła Edmunda Spensera wyszły w rzeczywistości spod jego ręki, a także – no bo jakżeby inaczej – dzieła Marlowe’a. Bacon jako autor pierwszego dramatu o Fauście! W czasie pogrzebu włożono podobno do grobu pustą skrzynię, ponieważ sam Bacon miał jeszcze żyć dwadzieścia jeden lat w Niemczech pod innym nazwiskiem.

- Na pewno w Wirtembergii!

- I to w samej stolicy: w Stuttgarcie. Właśnie to tak zwane odkrycie obudziło w końcu naszą czujność, i jesteśmy już teraz w stanie zrekonstruować, jak było naprawdę. Baconiści próbują dowodzić, że Bacon był prawowitym synem królowej Elżbiety i hrabiego Leicester, w rzeczywistości jednak przyszedł na świat w roku 1561 jako syn królewskiego strażnika wielkiej pieczęci. Ponieważ był najmłodszym z rodzeństwa, po śmierci ojca pozostał bez środków; jako dwudziestotrzyletni prawnik otrzymał fotel w parlamencie. Chciał być tak samo bogaty i potężny jak ojciec, ale kariera jakoś mu nie wychodziła. Jego serdeczny przyjaciel, hrabia Essex, kochanek królowej, starał się dla niego zrobić, co tylko się da, ale Elżbieta nie ufała Baconowi. Kiedy zawiodły już wszelkie starania o załatwienie przyjacielowi jakiegoś wysokiego urzędu, dzielny Essex podarował mu na otarcie łez majątek ziemski, wykrojony z jego własnych posiadłości. Było to w roku 1595. Ale już cztery lata później Essex sam popadł w niełaskę, wytoczono mu proces o zdradę stanu i nagle Elżbieta dała o sobie znać, zwracając się do Bacona z zapytaniem, czy nie zechciałby uprzejmie sformułować aktu oskarżenia. W tym momencie godzina diabła wybiła, bo jak myślisz, co się dzieje? Bacon sporządza akt oskarżenia, chociaż doskonale wie, że doprowadzi to do egzekucji jego dobroczyńcy. Bestia obiecała mu, że zajdzie jeszcze wyżej niż ojciec, ale przedtem musi złożyć podpis pod aktem oskarżenia, a następnie opublikować kilka ksiąg, które zostaną mu podyktowane.

- A dlaczego Lucyfer wybrał właśnie Bacona? Czy on już wtedy coś napisał?

- W roku 1597 Bacon wydał zbiór bardzo inteligentnych esejów, które do dziś są czytane, ale nie mają w sobie nic takiego, żeby mogły zwrócić uwagę diabła. Ale już znacznie wcześniej, bo w wieku lat dwudziestu dwóch, w roku 1583, opublikował pamflet zatytułowany *Temporis partus maximus*, czyli *Największe narodziny czasów*. Nasze podejrzania wzbudził fakt, że nie zachował się ani jeden egzemplarz, przypuszczamy zatem, że w pamflecie tym musiały pojawić się tony, które kazały diabłu nadstawić ucha. Z jakiegoś powodu gdzieś potem ukrył wszystkie egzemplarze. Obojętnie, jak z tym było; kiedy prorok nowych czasów podpisał pakt ludzkości z diabłem, złożyłwszy podpis pod wyrokiem śmierci na swego najlepszego przyjaciela, nagle skończyła się stagnacja w jego życiu zawodowym. W roku 1600 Essex został ścięty w Tower, w 1607 Bacon zostaje adwokatem generalnym, w 1613 prokuratorem generalnym, a w 1617 zrównuje się z ojcem, po mianowaniu na strażnika wielkiej pieczęci. Dwa lata później potwierdza swoje posłuszeństwo diabłu, każąc torturować niewinnie oskarżonego, ponieważ król Jerzy potrzebuje przyznania się do winy oraz wyroku. Niedługo potem Bacon zostaje lordem kanclerzem, najwyższa funkcja w jego kraju, co oznacza, że przeskoczył własnego ojca. Wchodzi do stanu szlacheckiego jako baron of Verulam, następnie zostaje hrabią Saint Albans. Pisze w tym czasie książki, które podszeptuje mu diabeł i które nie miały w sobie nic proroczego, ponieważ były zwykłymi samosprawdzającymi się przepowiedniami - z jednym tylko celem: zagładą ludzkości.

- To znaczy, że ten oportunistyczny zdrajca nie tylko nie napisał dzieł Szekspira i Marlowe'a, ale nawet swoich własnych.

- Otóż to. Lucyfer jednak nie byłby Lucyferem, gdyby na tym poprzestał. Nawet ktoś, kto mu się podporządkuje i służy, musi w końcu zostać zniszczony. Kiedy bowiem sir Francis osiągnął już więcej, niż kiedykolwiek mógł zamarzyć, pewnego dnia ukazał mu się diabeł w postaci urzędnika, od którego przyjmuje łapówkę, co doprowadza do procesu o korupcję, uwięzienia w Tower i całkowitego usunięcia z życia publicznego. Pięć lat później, w wieku sześćdziesięciu pięciu lat, poszedł do piekła.

- Niech żyje przyjaźń!

- Także twoja opowieść pokazuje, dlaczego jednak jej brak - i bardzo mnie smuci, że tak musi być. Tego bowiem zawsze, pomimo pozorów, najbardziej mi brakowało tutaj, w Światłości. Nie brakowało miłości, szczęścia, dobroci, mądrości, prawdy, pokoju, piękna - wszystko dla nas. Tyle że brak przyjaźni.

- To nie jesteś moim przyjacielem?

– Ani przyjaciółką. W organizacjach nie istnieją przyjaźnie, a już na pewno nie w takiej jak nasza, a już na pewno nie między wyżej i niżej postawionymi. Przyjaźń istnieje tylko w otchłani. Znasz może te słynne, przepiękne, wyróżniające się pasażerki o przyjaźni, które Bacon napisał tuż przed śmiercią? *No receipt openeth the heart but a true friend* – tak, i tętnicę szyjną! Tak pisał ten, który wysłał na szafot najlepszego przyjaciela. Słyszysz? Rechet pozbawionego serca diabła o temperaturze własnej bliskiej zera absolutnego huczy w komnatach wieczności.

– No to teraz rozumiem, dlaczego tak się wysilałem przez wszystkie te lata.

– Kontynuuj. Słucham.

20

Hurleburle

Jedną z pierwszych rzeczy, jakie zrobili po powrocie do jesiennej Holandii – okazało się, że w noc ich wycieczki do Varadero Che Guevara został zamordowany w Boliwii – było wyrównanie Kubie wszystkich poniesionych kosztów. W drodze powrotnej Maks nie bardzo już się tym przejmował, jego przestrach, wywołany słowami pana de Guerry, malał w miarę oddalania się od wyspy, a poza tym, jego zdaniem, i tak cała sprawa rozplynęła się już w lochach biurokratycznej niepamięci. Zdaniem Onna jednak była to sprawa moralności, „praktycznego rozumu”, a tym nie wolno kupczyć. Maks dowiedział się w hotelu „Hilton” w Amsterdamie, ile kosztuje dzień z pełnym wyżywieniem, co okazało się niemałą sumą; kapitaлистyczną stopę lichwiarskiego zysku Conrada Hiltona i jego wspólników na nowojorskiej giełdzie określili na pięćdziesiąt procent, całość podzielili rewolucyjnie przez dwa i postanowili, że wycieczki i wynajem samochodów potraktują jako kubańską inwestycję w przyszłą propagandę wyspy. Zastanawiali się nad wysłaniem pieniędzy w formie anonimowego dolarowego czeku na adres ICAP, lecz Ada powiedziała im, że konserwatorium w Hawanie pilnie potrzebuje nowej kserokopiarki, która jest nie do dostania na Kubie, wobec czego Maks wyszukał zgrabne urządzenie i wysłał statkiem na Kubę z następującą adnotacją: *Hasta la victoria siempre. – Dos amigos.*

Kiedy zacytował potem Onnowi, co napisał, ten kiwnął głową z aprobatą, Ada natomiast posłała mu krótkie spojrzenie, które odczuł jak uderzenie w twarz. Zamknął oczy i pomyślał dokładnie to samo, co ona. *Dos amigos?* Czy przyjaciel idzie do łóżka, a raczej do morza, z przyjaciółką przyjaciela, nawet jeśli kiedyś była ona jego przyjaciółką? Według jego własnych słów przyjaźń to przecież coś takiego, że opowiada się drugiej osobie o sprawach, o których nigdy się nikomu nie mówiło – czy kiedykolwiek opowie Onnowi, czego się dopuścił w wodach Zatoki Meksykańskiej? Czy opowie, czy też nie – czyż nie oznacza to w obydwu przypadkach końca *amistad*? Jeśli opowie, zamiast przyjaźni wcale nie musi się od razu pojawić wrogość, mogą się pojawić najróżniejsze rzeczy, ale na pewno będzie już wtedy inaczej. Jeśli jednak nie powie, sytuacja stanie się jeszcze bardziej dwuznaczna moralnie: dla Onna wszystko będzie po staremu, ale on i Ada będą mieli coś do ukrycia: obydwójce zdradzili Onna. W najmniejszym stopniu oczywiście nie zmieni to istoty sytuacji, ale Onno będzie jak ktoś, kto zainwestował majątek w rysunek Rembrandta, który pewnej nocy zostaje wykradzony przez złodzieja, a zamiast tego pojawia się idealna reprodukcja, i już do końca życia Onno nie będzie wiedział, że ma na ścianie bezwartościowy szmelc.

Z kolei Maks i Ada nie wiedzieli o przygodzie, jaką miał Onno – ale on został uwiedziony, on zdradził tylko przyjaciółkę, nie przyjaciela. Maks pocieszał sumienie refleksją, że tak naprawdę nie zdarzyło się to w październiku, ale już w czerwcu, jako spóźnione wyrównanie za coś, co się kiedyś kupiło, teraz zaś już się tego nie posiada, ale jednak trzeba za to zapłacić – a w tydzień później stopiło się harmonijnie z innymi jego niewiarygodnymi przeżyciami na wyspie, które można podsumować aforyzmem, jaki ujrzał na lotnisku w Hawanie: „Kiedy rzeczy niezwykle stają się powszedniością, to znaczy, że trwa rewolucja”. Czuł się odświeżony tą międzykontynentalną wycieczką i w sali wykładowej obserwatorium wygłosił płomienną prelekcję na temat rewolucji na Kubie. Przyszli nawet ludzie z innych wydziałów, którzy chcieli chociaż raz wysłuchać relacji naocznego świadka. Ponieważ było wśród nich kilku cudzoziemców, Maks mówił po angielsku. Jeden z kolegów radioastronomów, Amerykanin pracujący w Goldstone i badający zjawiska na Słońcu, oburzył się taką polityką dławienia wolności, prowadzoną przez jego własny rząd. Wstydził się, że jest Amerykaninem!

Onno oddał się wypełnianiu obowiązków wobec politycznych przyjaciół. On także przemilczał, że był delegatem na kongres radykalnych rewolucjonistów, nikt by mu nawet nie uwierzył, jak do tego doszło. Dał natomiast wyraz swemu przeświadczeniu, że głównym problemem Trzeciego Świata jest komunikacja, nie tylko w odniesieniu do wymiany towarowej, ale także wymiany informacji: jedno i drugie jest równie niesprawne, wskutek czego możliwe są najbardziej zwariowane nieporozumienia, sam mógłby podać niejedną zadziwiający przykład, ale to by prowadziło za daleko. No a potem ideologia! Na Kubie można się nauczyć prawdziwego znaczenia słowa „radykalizm”. W Stanach Zjednoczonych lewe skrzydło Partii Demokratycznej zawsze będzie jeszcze bardziej na prawo niż najbardziej prawicowa partia w Holandii, a partia stojąca tak bardzo na prawo jak Republikanie, pomijając nawet ich najbardziej prawicowe skrzydło, w Holandii właściwie nie istnieje na serio. Na Kubie natomiast władze znajdują się jeszcze bardziej na lewo, niż w Holandii nawet partia komunistyczna. Z tego punktu widzenia łatwo zatem zrozumieć wściekłość Amerykanów na ten czerwony bastion u ich wybrzeży, bo w ich rozumieniu mieszka tam ni mniej, ni więcej, tylko sam diabeł ze swoją starą matką, tam siedzą nowi czerwonoskórzy, których trzeba wykończyć, najlepiej strzałami z biodra. Dla holenderskich socjaldemokratów z kolei wciąż znaczy to tyle, że tamtejszą sytuację należy obserwować z odpowiednim dla sprawy sceptycyzmem, a nawet dystansem.

*

– Wychodzę na chwilę do miasta – powiedziała Ada.

Już w płaszczu wetknęła głowę przez drzwi do gabinetu Onna. Onno miał gościa, jakiegoś współbojownika z wąsikami, palącego wielką, zakrzywioną fajkę. Odwrócony plecami, Onno pomachał tylko ręką, nawet się nie odwracając.

Po kłujących w oczy tropikalnych barwach amsterdamska szarość wciąż jeszcze była dla niej uderzająca, ale nie jakoś specjalnie nieprzyjemna. Tu była u siebie. Ludzie patrzyli ponuro i z niezadowoleniem, było chłodno, drzewa nie miały liści i szybko robiło się ciemno, ale właśnie takiej przemiany pór roku nie znali z kolei ci w tropikach: nie mieli jesieni, zimy, wiosny – w zasadzie samo lato. Czyż Szopen i Strawiński byliby do pomyślenia w takim klimacie? W każdym razie na pewno tam nie byli i o ile dobrze pamiętała, w ogóle niczego ważnego na tej wyspie nie wymyślono ani nie wynaleziono. Mając poczucie, że tego rodzaju rozważania powinna raczej pozostawić dla Onna i Maksa, nie kontynuowała tej myśli.

Chciała uniknąć zatłoczonych ulic, po których jeżdżą tramwaje, i ruszyła bez celu przez Spiegelstraat w stronę śródmieścia. Czuła jakiś niepokój, nagle zaczęło ją niecierpliwie całe to studiowanie, zupełnie jak wtedy, gdy musiała jeszcze coś zrobić, a tu w każdej chwili spodziewała się gości. Od czasu do czasu przystawała przed wystawą sklepu z antykami i patrzyła na pogodnego, błyszczącego złotem Buddę z wyciągniętymi w obronnym geście rękami, na samotną brudnozieloną japońską czarkę na atłasie mysiego koloru, po którą nikt by się nawet nie schylił, gdyby leżała w rynsztoku, na antyczne wyroby ze szkła i srebra i na rozświetlone obrazy z XVII wieku. Piękno na tym świecie nie znało granic, tak samo zresztą jak okrucieństwo. Czuła ból w piersiach – wszystko przez to, że znowu przyjmowała złą postawę w czasie grania. Był to jej błąd od pierwszej lekcji, gdy miała sześć lat. Jutro wieczorem miała grać w Hadze z orkiestrą, na marzec mieli w programie tournée po Stanach Zjednoczonych. Dyrektor artystyczny radził jej z całego serca, by nie zdradzić się ani słowem ze swymi kubańskimi występami, najlepiej gdyby nie wspominała o tym nawet innym kolegom muzykom, ponieważ mogłoby to zagrozić całemu ich tournée. Ktoś, kto był na Kubie, w Stanach uchodził za nosiciela zarazy – Czerwonej Śmierci, by posłużyć się słowami Poego.

Wzdłuż Keizersgracht doszła do wąskich poprzecznych uliczek o barbarzyńskich nazwach, których nie potrafiła zapamiętać, Niedźwiedzia i Wilcza, gdzie w małych sklepikach oferowano do sprzedaży małe przedmioty: kolorowe ozdoby, pseudoantyczne drobiazgi, fifki z kości słoniowej, porzewiewałe naparstki, lalki w pozółtkich koronkowych kołnierzykach. Wróciła myślą do swojej ulubionej lalki, Liesje: małego tysego brzydactwa o złośliwym spojrzeniu, która jednak właśnie przez to miała własny charakter. Od razu stanęła jej przed oczami piaskowego koloru kokosowa mata, na której się bawiła, oraz nogi od stołu i taborety o szorstkich spodach wyplatanych siedzeń. Liesje była lalką, a zarazem nią nie była. Kiedy wyciągała jej rączkę, pokazywała się biała gumka, kiedy puszczała, rączka z trzaskiem uderzała o tułów, ustawiając się w niespodziewanych pozycjach: „cześć!”, albo: „o, tam!”. Mogła jej też wykręcać rączki i nóżki w różne dręczące pozycje, ale gdy tylko wszystko wracało do normalności, Liesje znowu była czymś więcej niż tylko lalką. Była wówczas także dziewczynką, taką jak ona sama, dziewczynką, która ją rozumiała i dla której była tak jak matka dla niej, ponieważ zarazem sama była Liesje. I obie, Liesje i Liesje, były zagrożone przez przerażającego potwora, kryjącego się czasem w cieniu zasłon, a czasem krążącego gdzieś pod sufitem, chociaż nie można go było zobaczyć: Hurleburle.

Przypomniała sobie o tym wszystkim zupełnie niespodziewanie, idąc przez giełdę filatelistyczną pełną niechlujnych filatelistów, siedzących w swoich budach, gdzie albumy przykryte były płachtami folii dla ochrony przed mżawką. Nie myślała o tym dziesięć czy nawet piętnaście lat. Ponure zagrożenie przez Hurleburle unosiło się nad jej dzieciństwem jak burzowa chmura, która nigdy się nie rozładowała. Hurleburle chciał ją wcisnąć do pudełka. Nie miała z kim o tym porozmawiać, tylko z Liesje, która w antykwariacie ojca ochoczo dawała się pakować do kartonowych kaset na duże książki, żeby zobaczyć, jak to jest. Pewnego dnia Hurleburle rzeczywiście uderzył i Liesje zniknęła na zawsze – ojciec wystawił kasetę wraz z innymi niepotrzebnymi rzeczami na skraju chodnika dla śmieciarzy. Razem z ojcem próbowała jeszcze gonić śmieciarkę, ale już tylko po to, żeby zobaczyć, jak dwie ulice dalej pojemnik ze zgrzytem unosi się w górę i Liesje zostaje zmielona ze wszystkimi odpadkami tego świata...

Brodząc wśród gołębi, przemierzyła Dam i przywitana powiewem ciepłego powietrza za obrotowymi drzwiami, weszła do domu towarowego „Bijenkorf”. Bez celu wałęsała się jakiś czas w tłumie kobiet wachających nadgarstki lub robiących sobie na nich tłuste czerwone kreski szminką, weszła na ruchome schody, piętro powoli odsuwało się w dół. Poczula od tego lekkie mdłości, może powinna coś zjeść. Przy wysokim stoliku kafeterii zjadła na stojąco bułkę ze śledziem i poszła do działu zabawek, gdzie patrzyły na nią dziesiątki lalek, jedna o głępszym spojrzeniu od drugiej. Żadna z nich w najmniejszym nawet stopniu nie przypominała Liesje. Na półce stał cały kontyngent radzieckich matrioszek wszelkich rozmiarów: pomalowane kolorowo drewniane lale, które można rozkręcać i wtedy znajduje się w środku następną. Jej spojrzenie padło na pudełko pełne malutkich lalek w chłopskich strojach, wszystkie w tym samym stylu, nie większe niż pięć centymetrów, pod spódniczką każdej z nich kryła się temperówka. Na jej twarzy pojawił się uśmiech. Taki właśnie prezent da Maksowi w listopadzie na urodziny: małą kobietkę o budzących grozę narządach płciowych – to będzie dla niego nauczka. „Cena 1,05 guldena”, głosiła etykieta. Wahała się, trzymając w ręku laleczkę. Z jakiegoś powodu miała poczucie, że laleczka należy już do niej i że byłoby dla niej zagrożeniem, gdyby za nią zapłaciła – zupełnie tak samo jak klient prostytutki, płacąc jej, wie dzięki temu, że ona nie należy do niego. Rozejrzała się na wszystkie strony, zamknęła laleczkę w dłoni, odeszła od stoiska i po chwili schowała ją do kieszeni płaszcza.

Ten uczynek wypełnił ją poczuciem rozbawionego zadowolenia. Przypomniła jej się teza Onna, że wygranie stu tysięcy na loterii daje większą przyjemność niż zarobienie tych pieniędzy, i właśnie dlatego należy zabronić gier hazardowych. Nawet jako dziecko nigdy niczego nie ukradła w sklepie i była zdziwiona, jakie to łatwe. Dotykając laleczki od czasu do czasu, udała się do działu spożywczego, żeby zrobić od razu zakupy na wieczór. Od kiedy mieszkała z Onnem, o wiele lepiej rozumiała matkę. Konieczność zastanawiania się codziennie od nowa, co przygotować do jedzenia, była gorsza od ćwiczenia gam, a przecież jeśli idzie o Onna, to i tak jeszcze mogła mówić o szczęściu, bo on najchętniej codziennie jadłby to samo. Zapłaciła za makaron, szynkę oraz mleko i ruszyła w stronę wyjścia. Na dworze już zmierzchało.

Kiedy przeszła przez obrotowe drzwi, drogę zagroził jej nagle mężczyzna.

– Zechce pani łaskawie pokazać, co pani ma w kieszeni płaszcza?

Przestraszona patrzyła na legitymację, którą jej pokazał, gdzie widniało zdjęcie jego twarzy, ale innej niż ta, którą miała przed sobą: przyjemniejszej, bardziej odprężonej, jakby patrzył na coś przyjemnego, a teraz miała przed sobą oczy jak lód. Zawstydzona podała mu temperówkę.

– Nikt tego pani nie zapakował? Mogę zobaczyć paragon?

– Nie mam.

– Pozwoli pani ze mną.

Ludzie odwracali głowy w jej stronę, po drugiej stronie ulicy przeczytała szyld „Pod Złotym Lwem” i nagle oczywisty świat niezmierzonej swobody zniknął gdzieś za horyzontem, ponieważ musiała z powrotem wejść do budynku.

– Zapłacę za to – powiedziała.

– To już musi pani załatwić z kimś innym. Proszę przodem.

Nierzucającymi się w oczy drzwiami za błyszczącymi witrynami pełnymi kosmetyków weszła na betonowy, oświetlony jarzeniówkami korytarz, gdzie w jednej chwili skończyła się dla niej słodycz istnienia. Ochroniarz wpuścił ją przez metalowe drzwi do niemal pustego pokoju bez okien, gdzie stał tylko stół i kilka krzeseł. Spodziewała się, że wejdzie za nią, ale drzwi zamknęły się i usłyszała zgrzyt przekręcanego klucza.

Obejrzała się przerażona. Była zamknięta! Przytłoczyło ją uczucie rozpacz. Co jej mogą zrobić z powodu guldena i pięciu centów? Taka oczywiście była zwyczajowa procedura, chodzi o to, żeby napędzić jej stracha: zaraz przyjdzie inny urzędnik, otrzyma ostrzeżenie, zapłaci i będzie mogła sobie pójść. Dopóki jednak drzwi się nie otworzą, jest zamknięta. Postawiła torbę z zakupami na stole i usiadła. Gdyby to był film, powinna zawołać, że chce się zobaczyć ze swoim adwokatem. Tabuny mężczyzn, kobiet i dzieci były już tutaj przed nią. Błat stołu był zrobiony z byle jakiego plastiku, w wielu miejscach miał głębokie dziury. Słyszała głosy w korytarzu, szcęk wózków, którymi widocznie dowożono towar. Spojrzała na zegarek, pomyślała o Onnie, który prowadzi rozmowę w swoim pokoju i nawet do głowy mu nie przyjdzie, że ona siedzi zamknięta w celi domu towarowego. Wyjęła z portmonetki guldena i piątkę i położyła monety obok siebie.

Kiedy jednak po kwadransie, po dwudziestu minutach nadal nikt się nie pojawiał, wezbrała w niej nagle fala strachu. Zrobiło się już po wpół do szóstej, zaraz zamykają sklepy – a jeśli tak o niej zapomną? A jeśli będzie musiała przesiedzieć tutaj do rana? Złana potem wstała z krzesła i zaczęła chodzić tam i z powrotem, obgryzając paznokcie. Czy powinna walić w drzwi? A może krzyzczeć? Ale może oni właśnie na to czekają, może cały czas ją skądś obserwują? Obejrzała dokładnie cementowe ściany, ale niczego nie odkryła. Kiedy podjęła decyzję, że czeka jeszcze tylko pięć minut, usłyszała szcęk klucza w zamku.

Na progu stanął znany jej już ochroniarz w towarzystwie policjanta.

– Nazwisko?

Wielkimi oczami Ada patrzyła na mężczyznę w czarnym mundurze i czarnych butach, z czarną pałką u boku.

– Ada Brons – wyjąkała, nie mogąc uwierzyć, że sprawa trafiła jednak na policję.

– Przyznaje się pani do przywłaszczenia tego przedmiotu? – spytał policjant, wskazując laleczkę, którą pokazał mu ochroniarz.

Ada wzięła monety ze stołu i podała mu na otwartej dłoni.

– Tu są pieniądze. Bardzo żałuję tego, co zrobiłam.

Policjant pokręcił głową.

– Musi pani pofatygować się ze mną na komisariat.

– Na komisariat? – powtórzyła zdumiona. – A po co?

– Spiszemy protokół zajścia.

Sięgnął pod mundur i Ada z przerażeniem ujrzała, że wyciąga kajdanki. Widok błyszczącej wypolerowanej stali jakby ją rozdarł. Jej opór pękł i szlochając, cisnęła w nich monetami.

– Wyście poszaleli! Normalnie poszaleli!

– Spokojnie, proszę pani, spokojnie, nic się pani nie stanie. Po prostu takie są przepisy.

Kiedy kajdanki zatrzasnęły się na jej nadgarstkach, pierwszą myślą Ady było, jak ona teraz będzie grała na wiolonczeli? Nie ma przecież jak trzymać nawet ukulele. Szli korytarzami do tylnego wyjścia, a policjant niósł jej torbę z zakupami. Było już ciemno. Na podwórku stał mały bus z zakratowanymi okienkami, służący do przewozu aresztantów. W chwilę potem jechali już w stronę komisariatu Warmoesstraat, który był tuż za rogiem, na skraju dzielnicy prostytutek.

Doprowadzono ją do kontuaru, gdzie zdjęto jej kajdanki. Gruba pijana kobieta o zmierzwionych włosach wydzierała się na policjanta tak młodego, że wyglądał zupełnie, jakby był przebrany, i starała się wciągnąć w konflikt także Adę, ale z miejsca umilkła, kiedy dwóch wywiadowców wprowadziło półprzytomnego mężczyznę w koszuli czerwonej z przodu od krwi. Skierowano Adę do pokoju numer 21, pod którym musiała czekać na drewnianej ławce, wpatrując się w pomalowane na zielono drzwi. Z chwilą kiedy zdjęto jej kajdanki, wyparowały gdzieś wściekłość i oburzenie. Miała wrażenie, jakby wpadła do wody, ale teraz już znowu była na brzegu.

W środku przyjął ją siwawy policjant za wysoką czarną maszyną do pisania, wyglądającą jak schody do mauzoleum. Spojrzał na nią ojcowskim wzrokiem i spytał, czy już kiedyś dopuściła się podobnego czynu. Zaprzeczyła, lecz nie umiała mu wyjaśnić, dlaczego w takim razie zrobiła to teraz, w dodatku taki idiotyczny drobiazg. Z westchnieniem włożył arkusz czarnej kalki między dwa blankiety, obstukał je o blat, żeby się dobrze ułożyły, i wkręcił w maszynę. Kiedy Ada powiedziała, że trochę ją dziwi tyle zachodu z powodu głupiego guldena i pięciu centów, policjant wyjaśnił:

– Tu nie chodzi o guldena i pięć centów, tylko o kradzież w sklepie. Jeśli kilkanaście osób ukradnie coś za guldena i pięć centów, a my nic nie zrobimy, to dlaczego mielibyśmy ścigać kogoś, kto ukradł coś za pięćset guldenów? Albo w ogóle ukradł pięćset guldenów?

– Ma pan rację – zgodziła się Ada. Czuła wprawdzie, że rachunek nie bardzo się zgadza, ale wydało jej się rozsądniejsze nie wdawać się w niepotrzebną dyskusję.

– Jeśli nic nie zrobimy, to wtedy za dziesięć lat nic się nie będzie robiło, kiedy ktoś ukradnie rower albo radio samochodowe, a za pięćdziesiąt lat, kiedy ktoś popełni morderstwo. Chyba tego by pani nie chciała?

Pomyślała o orkiestrze.

– Czy trafię pod sąd?

– Jest to jak najbardziej możliwe.

– I co wtedy?

– Dostanie pani grzywnę i może coś w zawieszeniu. Kim pani jest z zawodu?

Kiedy usłyszał, że wiolonczelistką, odchylił się na chwilę w fotelu, zdjął okulary i uśmiechając się, spojrział zamyślony w sufit. Widocznie coś mu się przypomniało, ale w końcu nic nie powiedział. Co chwila odrywając od papieru zakleszczającą się czcionkę, opisał całe zajście, spytał, jak się pisze słowo „matrioszka”, i w końcu przy wtórze jęklivego zgrzytu wałka wyjął dokumenty z maszyny. Zanim dał jej papiery do podpisania, przeczytał treść protokołu, w którym ona, Ada Brons, urodzona 24 czerwca 1946 roku w Lejdzie, z zawodu wiolonczelistka, oświadcza, że 27 października 1967 roku w Amsterdamie z zamiarem bezprawnego przywłaszczenia wyniosła z budynku domu towarowego „Bijenkorf” temperówkę, model matrioszka, będącą własnością domu towarowego „Bijenkorf, a nie jej, podejrzaną.

– Odwrotnie pan włożył kalkę – powiedziała Ada.

Policjant spojrzął na drugi blankiet: był pusty. Tekst znajdował się na drugiej stronie pierwszej kartki, odbity jak w lustrze. Policjant pokręcił głową.

– Że też mi się to musi przytrafiać na stare lata. Chyba czas iść na emeryturę. Wie pani co? – powiedział i wielkimi dłońmi przedarł obie kartki na pół. – Umówmy się, że cała sprawa w ogóle nie miała miejsca. Życzę powodzenia.

21

Nowina

– Nie możesz spać? – spytał szeptem Onno.

– Nie mogę.

Było to półtora tygodnia później. Onno pracował do późna i po północy położył się przy niej, nie zapalając światła. Prawie już zasypiał, kiedy nagle ocknął się, pewny, że ona ma otwarte oczy. W ciemnościach jednak tego nie widział.

– Oczywiście dręczą cię wyrzuty sumienia, ponieważ wkroczyłaś na drogę przestępstwa.

– Może i o to chodzi.

Onno przewrócił się na plecy, podłożył dłonie pod głowę i wpatrywał się w ciemność.

– Ciekawe, dlaczego wszystkich przestępców dręczy bezsenność? Sen siostrą śmierci, jak powiada poeta, ale wtedy mordercy powinni sypiać szczególnie głęboko. Sumienie, jak wiadomo, jest przeciwieństwem śmierci. Pewnie wiesz, dlaczego człowiek w ogóle musi spać? – spytał, odwracając twarz w jej stronę, ale nadal niczego nie widząc. – To przecież czysty idiotyzm, że marnujemy na to jedną trzecią naszego bezcennego czasu. Jak się dobrze nad tym zastanowić, to przecież w zasadzie kompletnie żalodne i niegodne człowieka, tak leżeć głupio z zamkniętymi oczami – typowy przeżytek czasów przedwojennych. Zupełnie jak bezrobocie lat trzydziestych.

– No i?

– Ten chory zwyczaj powstał wtedy, kiedy nasi praprzodkowie wypłynęli z morza na ląd. Morze miało wtedy temperaturę trzydziestu siedmiu stopni, taką samą jak teraz nasza krew. W ciągu dnia nie stanowiło to problemu, ponieważ wtedy na praquistów i prabronsów świeciło słońce, ale nocą robiło się zimno i zapadali w stan letargu, tak jak nietoperze i temu podobne stworzenia robią to na czas snu zimowego. My jesteśmy już stałocieplni, ale sen to nasze dziedzictwo po zmiennocieplnym stadium, jeśli rozumiesz, o czym mówię.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Jest to następstwo tragicznego faktu, że nigdy nie zapominam czegoś, co chociaż raz przeczytałem. Moja pamięć jest moim przekleństwem, ale na pocieszenie mogę powiedzieć, że od czasu do czasu udaje mi się jeszcze coś nowego wymyślić. Wymyśliłem na przykład, że sposób, w jaki śnimy, jest reminiscencją naszego dawnego istnienia w morzu. To kolejny idiotyzm. Bo przypomnij sobie to takie na współ rozkołysanie we śnie – znasz coś takiego, prawda? Normalnie jest to możliwe tylko w wodzie. Może zamiast do Zygmunta Freuda powinniśmy się zwracać do Jacques-Yves'a Cousteau?

Ada milczała. Wyglądało, że Onno nawiązuje do rzeczy, o których nie miał pojęcia. Z ulicy dobiegło kilka dzikich zwierzęcych wrzasków, wyrastających z germańskiego ducha piwa. Onno wsłuchiwał się w ciche tykanie budzika i czuł, jak po przedstawieniu teorii zaczyna powoli odpływać – przed jego oczami ukazała się jakaś zwierzęca postać, która nagle zaczęła się przekształcać w coś w rodzaju przenośnej klatki...

– Onno?

Ocknął się przestraszony. – Tak?

– Która godzina?

– Pewnie gdzieś koło drugiej.

– Wiesz, jaki dzisiaj dzień?

– Poniedziałek. A co?

– Szósty listopada. Twoje urodziny. Otworzył szeroko oczy.

– Masz rację! – powiedział. – Trzydzieści cztery, udało mi się!

- Co ci się udało?
- Żywy przekroczyłem wiek chrystusowy.

Pocałowali się i kiedy jeszcze trzymał ją w ramionach, Ada powiedziała do niego z wahaniem:

- Mam dla ciebie prezent.
- Mam nadzieję, że niekradziony?

Ciałem Ady wstrząsnął lekki dreszcz. Z trudem udało jej się opanować głos:

- Żebyś tylko był z niego zadowolony...

Darowanemu koniowi nie patrzy się w zęby. Nie miałam okresu.

Choć był człowiekiem języka, jeszcze nigdy w życiu nie usłyszał zdania, które zapowiadałoby jakąś fundamentalną zmianę sytuacji. Zdania w rodzaju: „jest pan aresztowany”, „jest pan poważnie chory” czy „odchodzę od ciebie”, zostały mu jak dotąd oszczędzone, ponieważ nie wchodził w konflikt z prawem, był zdrowy i nigdy serio nie związał się jeszcze z kobietą. Nigdy też, jak na razie, nie dostał wiadomości o śmierci kogoś bliskiego. Usłyszał raz wprawdzie zdanie: „Po rewolucji będziesz co najwyżej zbierał na plaży to, co wyrzuci morze”, i jeszcze takie, którego nie potrafił odcyfrować, ale ogólnie rzecz biorąc, jego życie – i to pomimo wojny – wciąż miało w sobie coś dziewczęcego. „Nie miałam okresu” – to zdanie miało wręcz jakby własny kształt: ciemne i wydłużone, jak torpeda, która wystrzeliła z otworu wyrzutni i zmknęła w odmętach. Chciał zapalić światło, ale ostatecznie się nie ruszył, tylko patrzył w ciemności na miejsce, gdzie powinna wisieć stara szkolna tablica z abecadłem.

- To kiedy powinnaś mieć?

- Tydzień temu.

- Często ci się spóźnia?

- Nigdy. Zawsze jak w zegarku.

- I ani razu nie zapomniałaś pigułki? Nawet na Kubie?

- Jestem pewna, że nie. Chcesz zobaczyć opakowanie? Poszło dwadzieścia jeden.

- Nie, nie, proszę cię. Wierzę ci też, że nie spuściłaś ich z wodą w toalecie. To nie do wiary. A więc w przemyśle farmaceutycznym panuje taki sam bałagan jak wszędzie. Jeśli naprawdę będziesz miała dziecko, włożymy je do pudełka od butów i wyślemy do działu reklamacji fabryki. Będą mieli nauczkę. - Wydało mu się, że Ada się przestraszyła, objął ją ramieniem i powiedział zupełnie innym tonem: - Jeśli będziesz miała dziecko, wychowamy je z miłością, ale żelazną ręką, w jednym jedynym celu, aby czciło ojca swego.

- Onno, co teraz myślisz naprawdę?

– Jeśli mam być szczery: nie mam pojęcia. Ty już oswojasz się z tym na pewno od paru dni, ale skąd ja mam tak od razu wiedzieć, co myślę? – Naprawdę tego nie wiedział. Był to taki sam moment, jak wówczas, kiedy w klasycznym krajobrazie nagle wybija Godzina Bożka Pana: początek niespokojnego, mieniącego się upału w południe. – Przez cały wieczór zgłębiałem zapierający dech w piersiach problem, jak skorelować zasiłki socjalne z zarobkami urzędników, a tu nagle mówisz mi, że jesteś w ciąży. Wielkie nieba! – wykrzyknął. – Teraz, kiedy sam to wypowiedziałem, nagle wszystko do mnie dotarło. Nie mówisz poważnie! Naprawdę?

– Jeśli wyszedłbyś teraz z pokoju, to byłabym pewna, że nie zostałam sama – powiedziała Ada.

Przypomniał sobie, że w ostatnim czasie parę razy zauważył w jej spojrzeniu coś dziwnego: zupełnie jakby jej oczy nie spoglądały na zewnątrz, tylko do wewnątrz. Czuł się tak, jakby patrzył na nią od drugiej strony specjalnie spreparowanego lustra, jakie montuje się w sklepach i domach publicznych – gdy na niego patrzyła, miał wrażenie, że widzi nie jego, tylko siebie samą.

– A więc najważniejszy dowód już mamy. W związku z tym nie będę wychodził z pokoju, zostaniemy tutaj na dobre we trójkę, ponieważ rodzina to podstawa życia społecznego. Dobrze tylko, że w partii nie wiedzą, jak bardzo pravicowy i kryptochadecki jestem z natury. – Ku jego własnemu zdumieniu myśl, że być może zostanie ojcem, zaczynała mu się coraz bardziej podobać, zupełnie jak pracującemu w samotności uczonemu niespodziewana propozycja odbycia podróży dookoła świata. Przewróci to oczywiście jego życie do góry nogami, ale kto powiedział, że ono cały czas musi być jednakowe?

Ada pocałowała go w policzek.

– Bałam się, że powiesz, że musimy je usunąć.

– Usunąć? – powtórzył Onno z oburzeniem w głosie. – Ja miałbym kazać usunąć moje dziecko? Mógłbym co najwyżej usunąć ciebie, ale na pewno nie moje dziecko! Usunąć Quista – czy ktoś w ogóle słyszał o tak haniebnym czynie? No i oczywiście pobierzemy się, bo co mi z Bronsa.

Wciąż leżeli w ciemnościach, jakby jeszcze nie mogli sobie spojrzeć w oczy w tej nowej sytuacji.

– Mnie wszystko jedno, jak się będzie nazywało. Ważne, żeby to było normalne, zdrowe dziecko.

– Zdrowe, owszem, normalne, nie. Genetycznie szansę oczywiście wydają się nie za wielkie. Nienormalnie uzdolniona, o wszechstronnych zainteresowaniach, piękna jak obrazek – taka właśnie będzie.

– Ona? Chciałbyś, żeby to była dziewczynka?

– Nic nie chciałbym, ale to pewne, że będzie dziewczynka. Prawdziwi mężczyźni płodzą córki. – Nagle Onno zaczął ciężko wdychać.

– Co się dzieje?

– Myślę o hańbie, jaka spadnie na moją rodzinę. Nigdy się jeszcze nie zdarzyło, żeby jakiś Quist poślubił ciężarną, moi starzy tego nie przeżyją. Może jednak powinienem zacząć cię powoli przedstawiać. – Miał ochotę na papierosa, ale nie chciał patrzeć na światło zapałki. – Wiesz, dla kogo jeszcze będzie to miła niespodzianka?

– Dla Maksa – powiedziała nieco bezbarwnym głosem Ada.

Przez ostatnie dni myśl o Maksie wielokrotnie się u niej pojawiała, jak pyszczyk ryby wysuwający się nad wodę stawu, za każdym razem jednak odsuwała ją od siebie. Na razie chciała myśleć wyłącznie o dziecku, a nie o ojcu. Onno poszukał jej dłoni i przez chwilę leżeli obok siebie w milczeniu.

– A gdybym powiedział, że musimy usunąć dziecko, tobyś to zrobiła? – spytał.

– Za żadne skarby.

Odwrócił się na bok i drugą dłoń położył jej na brzuchu.

– Jakie już jest duże? Milimetr? Dwa?

– Chyba takie jak bąbelek żabiego skrzeku. Takie jak ty w jego wieku.

– Nie pozwalaj sobie! Ja i bąbelek żabiego skrzeku, chyba nie wiesz, co mówisz! Ja wyskoczyłem spontanicznie z ciemniaczka mojej matki, w pełnym stroju, z tarczą i dzidą, mój ojciec zemdlął na ten widok, planety fikały koziołki na orbitach i na wszystkich ścieżkach Pana pokazały się cudowne znaki – oparł się na łokciu i spytał, patrząc w stronę, gdzie powinna być jej twarz: – Słuchaj, ale czy to na pewno prawda? A co będzie, jak jutro dostaniesz okres?

Gdy tylko zadał to pytanie, wiedział, że i dla niego byłoby to wielkie rozczarowanie.

– Nie dostanę jutro okresu.

– Byłaś u ginekologa?

– Jeszcze nie.

– Jutro marsz do ginekologa. A jeśli się okaże, że nie jesteś w ciąży, przestajesz brać pigułkę. – Ruch poduszki zdradził mu, że potakuje głową. – Kiedy ma się urodzić? Jako kobieta ciężarna kalendarz masz na pewno w małym palcu.

– Ósmego lipca.

– A więc to się stało...

– W naszą ostatnią noc w Hawanie. Onno wpatrywał się w ciemność.

Na tle poświaty z korytarza znowu ujrzał jej cień pojawiający się w drzwiach hotelowego pokoju – hen, daleko za horyzontem, na odległej Kubie. A więc jednak największą tajemnicą okazuje się w końcu pamięć. Jak Wielki Wybuch Maksy może prowadzić do zjawiska pamięci? Do wszystkiego, co istnieje, to owszem, rozumiałe, ale jak do wspomnienia o wszystkim, co było, łącznie z samym Wielkim Wybuchem? Do Marii, która dwa razy łagodnie klepnęła w miejsce obok siebie, a on posłuchał jej polecenia jak pies, bezbronny skutek tych wszystkich nieporozumień, kłamiwej rozmowy telefonicznej z Adą i przerażającego zdjęcia ciała na katafalku. Zabrała go ze sobą do łóżka, w którym unosił się jeszcze duch mężczyzny w wielkim kapeluszu, tam wykorzystała, a potem – mijając salutujących żołnierzy – odstawiła z powrotem do hotelu, gdzie kilka godzin spędził w wannie, a resztę dnia, sapiąc i wzdychając, poświęcił na lekturę listów Walthera Rathenaua do matki w przekładzie na hiszpański: stare, postrzępione wydanie, które zostawił w szufladzie nocnej szafki poprzedni gość, oczywiście jakiś anarcho-syndykalistyczno-radykaliński. Czując obrzydzenie do samego siebie, dręczony poczuciem winy, poszedł wcześniej do łóżka i siłą zmusił się do zaśnięcia. Po rozmowie telefonicznej z Maksym obudziła go z kolei Ada, która powinna spać w swoim hotelu, a tymczasem wśliznęła się do łóżka obok niego. Miał wrażenie, że ona domyśliła się jego zdrady i chciała ją uczynić niewidoczną, tak jak nakłada się warstwę farby na grunt. Już to odebrało mu prawo żądania od niej usunięcia dziecka – nawet gdyby tego chciał.

Także dla Ady, leżącej teraz obok niego, ciemność wypełniła się wspomnieniem tamtego ostatniego wieczoru. Nie miała najmniejszego powodu sądzić, że zaszła w ciążę z Maksem, ponieważ zażywała pigułkę. Ale w czasie nocnej jazdy do Hawany, kiedy mało kto się odzywał, opadło ją poczucie niepewności, które nie było związane z niczym konkretnym, ale za nic nie chciało jej opuścić. Gdyby nie zażywała pigułki, byłaby dokładnie w okresie płodności. A jeśli pigularz niedokładnie ukręcił właśnie tę pigułkę! Czytała gdzieś, że to się zdarza raz na ileś tam milionów: trafiło akurat na nią. Przez całe życie prześladował ją ten rodzaj pecha. Z drugiej jednak strony miała nadzieję, że tak właśnie było, nie dlatego, że chciałyby, aby dziecko było Maksa, tylko dlatego, żeby w ogóle mieć dziecko. Na kilka miesięcy wypadnie z muzycznego obiegu, ale miejsce będzie na nią czekało. Cztery czy pięć dni wcześniej poszła z Onnem do łóżka – żadne z nich dwojga nie było takim seksualnym maniakiem jak Maks – i jeśli los tak chciał, także i on musiał się z nią przespać w płodnym okresie. Nie tylko dlatego, że to Onno musiał być ojcem, ponieważ chciała z nim być, ale dlatego, że w tym wypadku sama nie miałyby pojęcia, który z nich dwóch jest ojcem. Mogłaby wtedy powiedzieć Maksowi zgodnie z prawdą, że tego nie wie. Wysiadła przy „Habana Libre”. Powiedziała, że ostatnią noc chce spędzić z Onnem, którego nie widziała przez cały dzień, a ponieważ większość delegatów i tak była w Sierra Maestra, z pomocą pana Guerry została wpuszczona. Na dwudziestym piątym piętrze Maks pokazał jej, gdzie jest pokój Onna, po czym złapał się za głowę i bez słowa zniknął w swoim pokoju. Obydwoje wspominali tamtą noc, kiedy dokładnie tak jak teraz leżeli obok siebie. Ada powiedziała, że bardzo go zapragnęła, i spytała, jak było w kościele. Onno powiedział, że w kościele było ciekawie, pełno zdeklasowanej burżuazji, i że on też jej pragnie. Nigdy wcześniej nie obejmowali się z taką intymnością, nawet przy pierwszym razie, było zupełnie tak, jakby dopiero tej nocy ich udziałem stała się prawdziwa, czysta miłość...

– A więc to się zdarzyło tamtej nocy – rzekł Onno. – Dokładnie pamiętam.

– Ja też.

Ada nie wiedziała, że Onno wstydzi się w ciemnościach tak samo jak ona – Onno nie wiedział tego z kolei o Adzie. Może jest tak, pomyślał, że prawdziwa, czysta miłość, jak każdy kwiat, rozkwita najlepiej, tkwiąc korzeniami w nawozie i bagnie. Może to właśnie jest zasada spajająca ten świat: dzień, który staje się dniem jedynie dzięki łasce nocy. Ale skoro dzień warunkowany jest jako dzień przez noc, to czyż noc nie kryje się z konieczności w sercu dnia? Czy taki dzień można jeszcze nazwać czystym, prawdziwym dniem? Czyż w samym centrum słońca nie tkwi czarne kukułcze jajo? Musi kiedyś przedstawić ten problem Maksowi. Jeśli tak jest i nie istnieje prawdziwa czystość, to jedynym pocieszeniem może być świadomość, że nawet noc nie jest czystą nocą, a co za tym idzie, może i śmierć nie jest absolutną śmiercią. Skoro śmierć stanowi część życia, to czyż życie nie jest częścią śmierci?

– Powinienem się domyślić, że tym razem będzie z tego dziecko – powiedział.

Ada chyba czuła coś takiego, tak samo jak kilka godzin wcześniej, z Maksem. Może dwa takie zdarzenia jedno po drugim zniosły działanie pigułki, tak jak minus i minus daje plus? Może też oznaczało to, że jest w ciąży z obydwojma – a więc właściwie z żadnym? Czy tego powinna się trzymać? Może była w ciąży z przyjaźnią, jaka łączyła tych dwóch?

– Okaże się, że jednak miałeś rację, kiedy mówiłeś o przeznaczeniu tego pokoiku obok – powiedziała.

Przytaknęła ruchem głowy, chociaż nikt nie mógł tego zobaczyć.

– Do sytuacji nadzwyczajnych rzeczywiście zawsze najlepiej podchodzić praktycznie. Musimy kupić kołyskę, kojec i grzechotkę. To wszystko wpędzi nas jeszcze w niezłe koszty. W przyszłości będzie też na pewno chciała wieżę stereo. Zbyt straszne, żeby już teraz o tym myśleć. Co powiesz na to twoi starzy?

– Na pewno im się spodoba. Przynajmniej tacie.

– A czemu nie mamie?

– Moja matka jest wariatką.

– Nie wolno ci tak mówić. Ledwie od pięciu minut sama jesteś jakby matką, a już sobie pozwalasz. Czemu twoja matka miałaby być wariatką? Moim zdaniem twoja matka wcale nie jest wariatką, to moja matka jest wariatką.

– Nie znam twojej matki.

– Ale ja znam twoją.

– Tak ci się tylko wydaje. Opowiedzieć ci coś o niej?

– To zależy. Nie chcę słyszeć niczego, co sprawi, że będę się wstydził spojrzeć jej w oczy w czasie naszego bajkowego wesela.

– Jeszcze nikomu tego nie mówiłam.

– Maksowi też? Wzruszyła ramionami.

– Nigdy tak naprawdę go nie interesowałam.

Gdyby w sypialni było zapalone światło, pewnie nie opowiedziałyby tego także Onnowi, ale wskutek otaczających ją ciemności zniknęła ta część świadomości, gdzie kończyła się ona, a zaczynała reszta świata. Jedli kiedyś w pokoju za sklepem kotlety z ziemniakami i sałatką z endywii, i ojciec opowiadał, że jako młody chłopak miał przyjaciela, który bardzo chciał zostać wielkim chemikiem, a jemu wolno było pomagać mu w przygotowywaniu doświadczeń. Kolega miał na strychu laboratorium, czytał biografie wielkich chemików, takich jak Lavoisier, Dalton czy Liebig, a na urodziny dostał prawdziwy biały fartuch laboratoryjny ze stójką. Jego rodzice mieli w sypialni szafę na ubrania z wielkim lustrem na jednym skrzydle drzwi, w którym widział się od razu każdy wchodzący. Kiedy nie było ich w domu, kolega schodził czasem w swoim robiącym wrażenie kitlu do sypialni i nerwowo zbliżał się do siebie w lustrze z wyciągniętą dłonią, zupełnie jak wielki chemik, który właśnie znalazł minutę czasu dla gościa przybyłego aż z dalekiej Ameryki, żeby zasięgnąć rady noblisty.

– I rzeczywiście został wielkim chemikiem? – spytała Ada.

– Chemikiem nie, ale za to wielkim biznesmenem. Jest dyrektorem wydziału u Philipsa i ma samochód z szoferem. Wszystko zależy od mentalności.

– No właśnie – powiedziała na to jej matka. – To teraz zobacz, jak daleko ty zajechałaś ze swoją mentalnością. Najpierw zostałam marnym strażnikiem w muzeum, a potem jeszcze marniejszym handlarzem zakurzonymi książkami, które cuchną grobem.

Ojciec Ady popatrzył na jej matkę, jakby smagnęła go pejcem, i kiedy Ada dostrzegła to spojrzenie, upuściła nóż i widelec i rzuciła się na matkę. Złapała ją za nadgarstki i przycisnęła plecami do ściany.

– Przepróż! – wrzasnęła. – Natychmiast przepróż!

Pierś Ady unosiła się przyspieszonym rytmem oddechu. Właśnie rozwarła się przed nią szczelina, przez którą ujrziała prawdę o małżeństwie rodziców. Ojciec wciąż odgrywał w nim taką samą rolę, jak wtedy u swego kolegi, wielkiego chemika.

– Moim zdaniem ona tak naprawdę jest lesbijką, tylko sama tego nie wie.

– O zgrozo! O zgrozo! – wykrzyknął Onno, podciągając kołdrę pod samą brodę. – Śmiałaś postawić pod ścianą babkę mojej córki! I jak to się skończyło?

– Spojrzała na mnie, jakby miała ochotę mnie zamordować, ale wmieszał się ojciec, ja poszłam do swojego pokoju i nigdy więcej nie było o tym mowy. Zapewne ona sobie potem wmówiła, że to nigdy nie miało miejsca.

– To znaczy, że dysponuje godnym pozazdrosczenia darem, dzięki któremu dożywa się późnego wieku.

Na dworze panowała zwarta cisza, rozciągająca się nad ledwie słyszalnym odgłosem silników samolotu – gdzieś bardzo wysoko albo gdzieś bardzo daleko, na pasie startowym lotniska Schiphol.

- Może jak już będziemy całkiem pewni, powinieneś od razu powiedzieć Maksowi – powiedziała po chwili Ada.

- Oczywiście. - Onno znowu pomyślał, że bez Makska nie tylko nie poznałby Ady, ale nie miałby też teraz tego dziecka. Oczywiście duszy widział, jak jego ciemnozielony sportowy wóz nadjeżdża Wassenaarseweg, daje sygnał migaczem i szybko skręca do krawężnika. Musiał prawie kucnąć, żeby zobaczyć za kierownicą tę twarz klauna. Od tej chwili nie minął nawet rok. - Jak ją nazwiemy? - spytał.

- Jeszcze się nie zastanawiałam - powiedziała Ada z uśmiechem. - Może Elżbieta? - spytała w chwilę później. - Wtedy będziemy ją wołać Liesje.

- I znowu ten najgłupszy z możliwych zwyczaj - zaprotestował Onno. - Nadać dziecku imię, którego w ogóle nie zamierzasz używać. Skoro chcesz ją wołać Liesje, to nazwijmy ją Liesje. Imię Elżbieta jest oczywiście ładniejsze: tak nazywała się matka Jana Chrzciciela. Ale uważam, że powinna mieć imię tak samo symetryczne, jak nasze imiona, co osiągniemy, zmieniając imię Onno według fonologicznej zasady Quista na Anna. Religijnie też wszystko powinno być w porządku, bo tak miała na imię babka naszego Pana i Zbawiciela. Ze strony matki, rozumie się. Na temat babki ze strony ojca wiadomo niewiele, ja przynajmniej nigdy nic nie słyszałem na temat matki Boga. Sprawę powinny kiedyś zbadać feministki. Córka Freuda też zresztą miała na imię Anna. Tak wielcy ludzie nazywają swoje córki.

- A jeśli jednak będzie chłopiec?

- No to wtedy zgodnie z prawem wymiany alfy na omegę zamienimy imię Anna na Odo.

- To brzmi trochę jak z młodzieżowej książki o rycerzach.

- Trafna uwaga. A więc nie możemy. Oczywiście nie mamy się nawet co nad tym zastanawiać, bo na pewno nie będzie to chłopiec. To będzie dziewczynka, ze wspaniałymi długimi, kręconymi włosami. Jeśli jednak będzie to chłopiec, wymyślimy jakieś zupełnie niemożliwe imię. - Pocałował ją. - Dziękuję. Bardzo się cieszę z prezentu od ciebie.

22

Co teraz?

Kiedy nauka – jak przystało na naukę – potwierdziła przypuszczenia, Onno zadzwonił do Maksa do Lejdy i spytał, czy ma coś wieczorem. Zdumiało to trochę Maksa, bo Onno zgłaszał się przeważnie na dziesięć minut przed przyjściem. O dziewiątej rozległo się dudnienie jego kroków na schodach, a na progu Onno z niedbałą elegancją przybrał pozę klasycznego posągu antycznego bóstwa, czyli Apolla Belwederskiego: wyciągnięta ręka, lekko odwrócona głowa.

– *Szlachetna prostota i dostojna wielkość* – powiedział. – Oto spoglądasz na osobę, przy której sam nikniesz w otchłani braku znaczenia.

– Jesteś nieziemskiej piękności – podchwycił Maks. – Bez wątpienia niebiosa spuściły na ciebie Łaskę.

– Nawet w połowie nie zdajesz sobie sprawy, co niebiosa spuściły – Onno usiadł w swoim stałym fotelu i powiedział: – Trzymasz się czegoś, Maks? – A kiedy Maks podjął zabawę i złapał się fortepianu, rzekł: – Będę ojcem.

Maks trzymał dłonie na gładkim czarnym lakierze i patrzył na przyjaciela.

– To nieprawda.

– Prawda, prawda, po trzykroć prawda!

Doniosłość tych niewielu słów nie dotarła jeszcze w pełni do Maksa, od razu jednak miał takie poczucie jak w czasie wodowania statku, kiedy butelka szampana pieniście rozbija się o burtę i kadłub z wolna zaczyna zsuwać się po pochylni. Jego ręce jakby przykleiły się do fortepianu, pozycja Maksa wciąż jeszcze była częścią zabawy, która nagle nie była już zabawą. Wyprostował się.

– Od kiedy to wiesz?

– Od wczoraj na sto procent. Pewna żaba umarła na krzyżu dla mojego dziecka. Za jakieś osiem miesięcy je zobaczysz, skoro jeszcze nie wierzysz. Dla twego astronomicznego umysłu, który operuje wyłącznie pojęciem wieczności, takie nieskończenie subtelne powstanie nowego życia nic oczywiście nie znaczy, ale i tak jesteś pierwszym, który się o tym dowiaduje – z powodów tak obrzydliwych, że aż nie sposób o nich mówić.

Maks poczuł się nieswojo. Czyżby Ada mu opowiedziała, co zdarzyło się w Varadero? Nie, to niemożliwe! Kiedy powróciło wspomnienie tamtej nocy w morzu, przeliczył coś błyskawicznie i zaświtała mu jeszcze bardziej przerażająca możliwość: czyje to właściwie dziecko? Podszedł do szafki ze szkłem i spytał:

– Co masz na myśli?

– To, na przykład, że to ty mi ją przedstawiłeś. A co podejrzewałeś, pytając „co masz na myśli”? Co z tobą, Maks? Zbladłeś, przyjacielu.

Maks zorientował się, że zaczyna wpadać w panikę.

– Jestem szokowany – powiedział, stawiając szklanki. – Nie gniewaj się. Może to dlatego, że sam kiedyś myślałem o dziecku, kiedy jeszcze byłem z Adą, a teraz to się po prostu stało.

Wyszedł do kuchni. To też kłamstwo – Onno opowie to teraz Adzie, a ona będzie wiedziała, że nie to było przyczyną jego przerażenia, ale nie powie o tym Onnowi. Drżącymi rękami wyjął z zamrażalnika dymiący pojemnik z kostkami lodu, potrzymał go przez chwilę pod wodą z kranu i wycisnął kostki do miseczki. Musiał pozbierać myśli, zastanowić się dokładnie nad wszystkim, pomyśleć, co ma zrobić, a jednocześnie musiał wrócić do pokoju i prowadzić rozmowę z Onnem, która nie będzie dotyczyła tego, czego tak naprawdę dotyczy. Obrócił w ruinę pałac ich przyjaźni, który dla Onna wciąż jeszcze stał nienaruszony, bo nie wiedział, że to już tylko fatamorgana.

– Nic o tym nie wiedziałem – powiedział Onno.

– O czym?

– Że chciałeś mieć z Adą dziecko.

– No bo to nie do końca tak było. To po prostu jedyna kobieta w moim życiu, przy której myśl o dziecku nie napełniała mnie paraliżującym lękiem. Nie ma sprawy. Jest, jak jest.

– Gdyby było inaczej, niż jest, to znaczyłoby, że coś nader dziwnego dzieje się na świecie.

Postawił Onnowi rum z colą, sobie nalał kieliszek wina i usiadł naprzeciwko. Zmusił się, żeby na niego spojrzeć.

– Ada odstawiła pigułkę?

– Pigułka! Tylko mi nie wspominaj o pigułce! Równie dobrze mogłaby codziennie łykać orzeszka. Technologia farmaceutyczna, jak wiadomo, dopiero raczkuje – zupełnie jak niedługo będzie to robić moje dziecko. Ale specjalnie się tym nie przejąłem. Zareagowałem zupełnie inaczej, niżbym się mógł spodziewać. Sam z siebie na pewno nigdy w życiu nie podjąłbym decyzji, żeby mieć dziecko, ale ponieważ załatwił to za mnie oszukańczy fabrykant, odkryłem, że jestem urodzonym ojcem. Z pewnością sam zwróciłeś nieraz uwagę na ten ciepły, głęboko ojcowski pierwiastek emanujący ze mnie, prawda?

– Ależ oczywiście – przytaknął Maks, z trudem nawiązując do tonu słów Onna, który był taki jak zawsze, ale dla niego należał już do przeszłości. Pociągnął łyk i powiedział: – Jeśli dobrze liczę, musiało się to stać na Kubie.

– W Hawanie, w kwaterze głównej rewolucji, w nocy z ósmego na dziewiąty października 1967 roku po Chrystusie, mniej więcej o drugiej nad ranem. W tę niedzielę, kiedy pojechaliście na plażę. Mnie przeszkodził wtedy eksperyment polowy z fenomenologii nabożeństwa.

Patrzyli sobie w oczy. Maks kiwnął głową. Wiedział, że Onno wie, że on myśli teraz o ich rozmowie telefonicznej, w której Onno nazwał siebie „moralnym wrakiem” i „nekrofilem”. Niezależnie od tego, co zaszło, pewne było w każdym razie, że Ada – po tym, co zaszło między nią a Maksem – uwiódła Onna tej nocy: dlatego chciała spać u niego, a nie w swoim hotelu. Spodziewała się wszystkiego, jak teraz widać, nie bez powodu. Z premedytacją doprowadziła do tego, by rozmyć pewność ojcostwa mało prawdopodobnego, ale jednak nie niemożliwego dziecka. Na ile właściwie była wyrachowana? Nie znał jej takiej, Onno także nie. Pewnego dnia jednak wybije godzina prawdy, bo do kogo dziecko będzie podobne? Przestraszony zastanowił się nad tą kwestią. Gdyby chociaż odrobinę był podobny do Onna, to nikomu na świecie nie przyszyłoby do głowy, że dziecko nie jest Onna, nawet jeśli byłoby Maksa – ale jakież mogło ich łączyć podobieństwo? Patrzył na Onna siedzącego w zielonym fotelu chesterfield, wielkie, zwaliste cielsko, przy którym jego własne, dobrze zbudowane ciało sprawiało wrażenie niemal eterycznego, ale przede wszystkim ten jego klasyczny, prosty nos i wypukłe wargi skromnych, małych ust, co rzeczywiście dawało obraz niemalże greckiej twarzy. Twarz Maksa natomiast należała z punktu widzenia historii sztuki raczej do okresu manieryzmu: krogulczy nos i nienasycone usta. W pewnym sensie jego głowa bardziej pasowałaby do ciała Onna i *vice versa*. Na szczęście obaj byli ciemnymi blondynami i mieli niebieskie oczy. Co by to było, gdyby jeden z nich był Chińczykiem albo czarnym...

– Moja córka – powiedział Onno – będzie wcieleniem rewolucji. Drugą Różą Luksemburg, albo nie, raczej kimś takim jak ta kobieta na obrazie Delacroix: z obnażoną piersią, karabinem w jednej ręce, z łopoczącą trójkolorową flagą w drugiej, prowadząca do boju klasę robotniczą.

Oczywiście, dziewczynka. To też możliwe, wtedy może przeważą cechy Ady, najlepiej jednak byłoby, gdyby w ogóle nic z tego nie wyszło.

– Jesteście pewni, że chcecie mieć to dziecko?

– W zasadzie – powiedział Onno, z grzechotem wrzucając do szklanki kostki lodu – jestem za usuwaniem ciąży do czterdziestego roku życia i eutanazją po czterdziestce, i dołożę wszelkich starań, by taki zapis znalazł się w programie mojej partii. W tym jednak specjalnym przypadku zamierzam zrobić wyjątek. Wiedziałem, że będiesz sugerował usunięcie. Nigdy nie będziesz miał dzieci, bo sam nie masz ojca. Ale ja mam ojca, i to nie byle jakiego, i w tym jest moja szansa zadania mu niszczącego ciosu na jego własnym terenie, ponieważ już niedługo będę mu równy i nic już nie będzie mi mógł powiedzieć. Na pewno usunę dziecko, tak jest! Ale będę to ja, jako jego syn, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Unicestwię jego syna! – wykrzyknął Onno z rozmarzonym błyskiem w oku.

Maks był coraz bardziej zbity z tropu. Kiedyś radowałby się każdym słowem wypowiedianym przez Onna, a teraz czuł się tak, jakby zmuszano go do picia szampana przy łożu umierającego. Tak dłużej się nie da, coś się musi stać. Najbardziej chciałby, żeby Onno sobie poszedł, tak by mógł się nad wszystkim dobrze zastanowić, ale Onno dopiero przyszedł i zostanie jeszcze długo, tak długo, aż wywinduje status swojego ojcostwa w najwyższe regiony, gdzie mieszka sam Bóg Ojciec, który też nie ma mu od tej pory nic więcej do powiedzenia.

– A Ada? Co będzie z jej karierą muzyczną?

– Nie ma z tym najmniejszego problemu, bo to ja zostaję w połogu. Tak, tak, co tak głupio patrzysz? Na Czarnym Łądzie, gdzie zachowały się jeszcze związki z praźródłami ludzkości, jest to powszechnie przyjęte. Przyszła matka pracuje ze śpiewem na ustach na roli w lejącym się z nieba upale, a przyszły ojciec leży, stękając na łóżku w cieniu chaty. Rozwiązanie to krótka sprawa, Ada znowu weźmie do ręki wiolonczelę, a ja będę chodził po parku Vondela, popychając przed sobą wózek, przysiądę sobie na ławeczce, żeby pogawędzić o dawnych czasach z emerytowanym urzędnikiem wydziału infrastruktury miasta, przy okazji drugą ręką kołysząc wózkim. Później będę chodził ze skrabem do piaskownicy i rozmawiał z młodymi matkami o podrażnionych pupciach oraz o środkach piorących, podczas gdy nasze skarбки będą próbowały rozwalić sobie nawzajem czaszki kamieniami. Wieczorem, kiedy Ada będzie się zanurzać w przyprawiające o zawrót głowy otchłanie muzyki Mahlera w Concertgebouw, ja będę skłonny wyrzucić płaczące dziecko przez okno, ale kiedy już wreszcie zaśnie, będę je zaraz budził ze strachu, że może nie żyje. Krótko mówiąc, zamierzam całkowicie stopić się z kretyńską wiecznością spraw elementarnych.

– A polityka?

– Od tego będę już na szczęście uwolniony. Podczas gdy pozbawiona steru Holandia pogrążyć się będzie beze mnie w chaosie, ja dotrę do ostatecznego wniosku wszelkiej filozofii, który objawia się niewielu: mianowicie, że ojciec jest matką. – Onno pociągnął spory łyk i powiedział: – Może z czasem sam zacznę nosić sukienki i kolczyki do samej ziemi?

Maks wstał, żeby zrobić coś przy tablicy, przy której nie było nic do zrobienia. Ułożył jakieś papiery, których lepiej już ułożyć się nie dało, i spytał w końcu:

– Zamierzacie się pobrać?

– Jasne, a co sobie myślałeś? Że zamierzam nadal żyć w grzechu? Wystarczająco straszne, że nasze dziecko zacznie kiedyś liczyć i jakoś nie będzie mogło się doliczyć dziewięciu miesięcy między datą naszego ślubu a swoimi narodzinami, w lipcu przyszłego roku. Co ono sobie o nas pomyśli?!

Ta konkretna data była dla Maksa kolejnym szokiem. Teraz był listopad, czas będzie sobie płynął, tydzień po tygodniu, przejdzie zima, wiosna, zacznie się lato i wtedy nieodwołalnie nadejdzie ten dzień.

- No tak – powiedział, bo nie miał pojęcia, co powiedzieć.

- I powiem ci coś jeszcze – ciągnął Onno. – Dzisiaj daliśmy na zapowiedzi. Za dwa tygodnie ślub. Dwudziestego siódmego.

- W moje urodziny.

- Wiem, ale taką datę wyznaczył urząd. Może uda ci się jednak wykroić wolną chwilkę. Jesteś oczywiście świadkiem.

Maks miał wrażenie, że poddawany jest torturze. Puszczona została w ruch machina, której nie dało się już zatrzymać, ale która przecież nie mogła się tak dalej kręcić. Coś musi się stać – ale co?

- Jestem zaszczycony.

- Słuchaj, nie bardzo wyglądasz na zbudowanego faktem, że pęd do zakładania rodziny opanował także twojego przyjaciela. Czy ty w ogóle słuchasz, co do ciebie mówię?

- Szczerze mówiąc, Onno – powiedział Maks i usiadł za biurkiem – nie do końca. W tej chwili pracujemy w Lejdzie nad kilkoma bardzo ważnymi pomiarami z Dwingeloo i cały czas tłucze mi się to po głowie. Nie pogniewasz się, że zadzwonię na moment do kolegi?

- Jeśli to dla ciebie ważniejsze od mojego ślubu, to oczywiście dzwoń. Najwyraźniej straciłeś wszelkie wyczucie proporcji.

Maks uśmiechnął się, wykręcił swój własny numer i usłyszał sygnał zajętości.

- Mówi Maks – powiedział do tępo powtarzającego się sygnału.

- Coś nowego? – Nie, nie o to chodzi. – Czterdziestoprocentowa polaryzacja przy dziesięciocentymetrowej długości fali? – To sensacyjne! Ale skoro tak, to znaczy... – Oczywiście... Oczywiście... – Nie wiedział zupełnie, co powiedzieć, więc mówił tylko po to, żeby mówić: – A jeśli to dwa podwójne radioźródła? – No, tak, dlaczego nie? – Z jednej strony przecież struktura pola magnetycznego jest jednorodna, ale z drugiej strony, jeśli uwzględnić rotację Faradaya... Co mówisz? – Wiesz, to trochę trudne... – powiedział, patrząc z wahaniem na Onna: – Mam teraz gościa. Może...

- Dobra, dobra, już sobie idę – powiedział Onno, odstawiając szklanekę. – Jedź do tej swojej polaryzacji.

- Dobra, to jadę. Za dwadzieścia minut będę w Lejdzie.

Ale nie pojechał do Lejdy. Odwiózł Onna samochodem na Kerkstraat, a następnie nie zaparkował wozu przed drzwiami swego domu, tylko ulicę dalej, żeby nie było wpadki, gdyby Onno i Ada wybrali się jeszcze na spacer. A więc sprawy zaszły tak daleko! Z uczuciem obrzydzenia do samego siebie, jakiego nie doznał nigdy wcześniej, wspinał się po schodach i nie zapalając światła, do późna w nocy łąził ciężko wzdłuż wyimaginowanych przekątnych i siecznych, od czasu do czasu rzucając spojrzenie na szklanę Onna, której ten nawet nie dopił do końca.

Następnego ranka już w chwili przebudzenia wszystko od razu wróciło i nie dawało mu spokoju przez cały dzień. Z minuty na minutę płód powiększał się w ciemności łona Ady, dochodziły dziesiątki nowych komórek i organizowały się w przerażające zagrożenie. Chociaż naprawdę napływały niezwykle ważne dane z Instytutu Matematycznego, Maks bezustannie podchodził do okna swojego gabinetu w Lejdzie i z rękami w kieszeniach spoglądał na ogród botaniczny, gdzie holenderska jesień kładła się na tropikach. Od dłuższego czasu powtarzał te same myśli. Było pięćdziesiąt procent szans, że dziecko jest jego, to przerażające ryzyko, i nawet jeśli ostatecznie nie byłoby to jego dziecko, to przez całe lata żyłby w ciągłym strachu przed ewentualnością pojawienia się jakiegoś podobieństwa. O ile wiedział, nadal nie było jeszcze metody pozwalającej w tym stadium rozwoju płodu ustalić ojcostwo. Tak czy inaczej, najpóźniej w dniu porodu jego ojcostwo wyjdzie na jaw: w postaci łopatowatych kciuków. I co wtedy? Albo na przykład pod repliką oczu Ady ukaże się jego nos, to znaczy nos jego matki – i co wtedy? Czy nie powinien wyemigrować w ciągu najbliższych ośmiu miesięcy? Może jednak zostać tym profesorem w Kalifornii, na Mount Palomar? Albo się powiesić? Co on by zrobił na miejscu Onna? Może nawet by go zamordował.

Potarł dłońmi twarz. Czy to możliwe, że zniszczył sobie życie? Czy kiedykolwiek jeszcze odzyska godność? Teraz o n był moralnym wrakiem, unurzany po uszy w kłamstwie i zdradzie. Pomyślał o tamtej nocy w morzu: jakież diabeł go podkusił, na miły Bóg? Jak on mógł w ogóle być tak szalony? Onno poprosił go, żeby za dwa tygodnie był świadkiem na jego ślubie: tego nie może odmówić. Był w potrzasku. Jeszcze w tym tygodniu, najlepiej jutro albo pojutrze, sytuacja musi się diametralnie zmienić – ale jak? Najbardziej chciałby zdobyć się na szczerłość i wypowiedać się przed Onnem ze swego występku, paść mu do nóg, postawić sobie jego stopę na karku i czekać, co stanie się dalej. Albo może powinien – tchórzliwiej, ale precyzyjniej – zrobić to na piśmie?

Usiadł za biurkiem, wyjął arkusz kratkowanego papieru, zaostrzył ołówek nad koszem na śmieci i bez większego przekonania zaczęła pisać:

Mój drogi Onno,

Nie wiem, ile oddałbym lat ze swego życia, żeby nie być zmuszonym do napisania tego listu. Nasza przyjaźń trwająca przez ostatnie dziewięć miesięcy była czymś najcenniejszym, co posiadałem. Nie wiem nawet, czy „przyjaźń” jest tutaj odpowiednim słowem. Wielu mężczyzn się przyjaźni, chociaż w niczym nie przypomina to tego, co było między nami. Ja sam często miałem „przyjaciół”, ale zawsze było to coś całkowicie innego. A więc może „pokrewieństwo dusz”? Także i to słowo nie dotyka sedna sprawy, ponieważ jakież inne dusze różnią się od siebie bardziej niż nasze. Może, myślałem sobie kiedyś, powinniśmy raczej pomyśleć o afiniczności błyskawicy względem ziemi, kiedy to czasem ty byłeś błyskawicą, a czasem ja. Nie mogę mówić za Ciebie, ale do czasu, kiedy Cię spotkałem, nieraz czułem się jak burzowa chmura, która nie może się wyładować. Albo lepiej: kiedy spotkałem Ciebie, uświadomiłem sobie, że tak się czułem. Zdaję sobie sprawę, że wszystko, co dotąd napisałem, brzmi jak list miłosny, i w pewnym sensie tym właśnie jest. Jesteś jednak ostatnią osobą, która przeoczyłaby fakt, że został on napisany w czasie przeszłym. W sposób, jakiego nigdy sobie nie wybaczę, przegrałem prawo nazywania siebie Twoim przyjacielem. Wręcz nie umiem się przyznać, o co chodzi, najchętniej pisałbym ten list do samego końca moich dni, żeby tylko tego nie powiedzieć. Onno! Być może dziecko, którego spodziewa się Ada, jest moje.

W momencie, kiedy to wszystko napisał, wiedział już, że oczywiście nie może wysłać tego listu. Nie miał prawa zdradzać tego na własną rękę, za plecami Ady. W takim wypadku bowiem, znowu dla własnej wygody, wyrządziłby jej w pewnym sensie dokładnie to samo, co wyrządził Onnowi. Był na nią zdany, bez niej nic nie może przedsięwziąć. Pierwsza rzecz zatem, jaką musi zrobić, to porozmawiać z Adą. Ale i to musi się stać za plecami Onna – cokolwiek zrobi, coraz głębiej będzie się zapadał w bagno. Poza tym musi ją namówić, żeby jednak usunęła ciążę. Jedno bardziej obrzydliwe od drugiego, ale nie mógł nic nie zrobić. Jeśli nie uda mu się jej namówić, ona może powiedzieć, żeby w takim razie o n pojął ją za dwa tygodnie za żonę i odgrywał rolę ojca – z pięćdziesięcioprocentową szansą, że to jednak dziecko Onna. To również oznacza koniec ich przyjaźni, ale gdyby tak się musiało stać, nie wahałby się ani chwili. Uznałby to po prostu za fatum ciążące nad jego życiem. Oczywiście, gdyby nie uwiódł tego wieczora Ady, ona z kolei nie uwiódłaby tej nocy Onna – czyli że nawet jeśli to dziecko Onna, to jednak nie powstało bez jego udziału. Głęboko w sercu czuł też jakieś przyzwolenie na to, że miałyby wówczas dziecko Onna.

Ale co zrobiłby w takiej sytuacji Onno? W tej chwili cieszył się z dziecka i przygotowywał swój ślub, może już zdążył omówić wszystko z rodziną – i nagle to miałyby mu zostać odebrane? To przecież też nie do pomyślenia. Z drugiej strony niewykluczone, że zareaguje ugodowo i wykaże gotowość zaakceptowania jego dziecka, ale z rezygnacją z przyjaźni. Nie, to nieprawdopodobne. Chyba że tego dnia w Hawanie, kiedy on jechał z Adą do Varadero, Onno rzeczywiście przespał się z jakąś kobietą. „Nie mogę spojrzeć sobie w oczy. Jestem moralnym wrakiem. Naplułem do wody świeconej”. Wtedy byłby uwikłany w podobną sytuację i być może argumentowałby, że bez tej przygody w ogóle nic by się nie przydarzyło i dlatego musi odpokutować z dzieckiem przyjaciela. Chociaż nie, dla niego sprawa ma chyba poważniejszy aspekt: może dla niego dziecko musi być przede wszystkim Quistem, kontynuacją dynastii – ale wtedy musiałyby to być rzeczywiście Quist, a nie w zasadzie Delius. On sam nie był wprawdzie czuły na tym punkcie, ale wystarczył niewielki wysiłek, żeby zrozumieć przyczyny takiego myślenia.

Do gabinetu zajrzała młoda koleżanka, która zajmowała się polaryzacją, ale wyglądała bardziej na mistrzynię w pływaniu, i powiedziała, że wciąż są kłopoty z 3C296.

– Właśnie nad tym dumam – powiedział Maks, stukając gumką na końcu ołówka w list. – A co byś powiedziała, gdyby to były dwa podwójne radioźródła? To mniejsze pokrywa się może wówczas z optyczną mgławicą. Pomyśl o Centaurus A.

Koleżanka powstała chwilę, patrząc na niego, a potem wyciągnęła w górę palec wskazujący i zniknęła.

Już po raz drugi chlapnął te słowa tylko po to, żeby coś powiedzieć, ale właśnie dotarło do niego, że tak przypuszczalnie było: na pierwszy rzut oka wyjaśnia to wszystkie wątpliwości. Może właśnie dokonał ważnego odkrycia, nad którym powinien od razu popracować, żeby ktoś mu go nie odebrał – ale nie odkrycia były mu w głowie. Przede wszystkim musi rozmówić się jakoś z Adą. Wziął list, przedał go pięciokrotnie przez środek, następnie każdą połówkę jeszcze raz, a potem starannie wymieszał skrawki z innymi śmieciami w koszu.

Wóz albo przewóz

Nie grała dla publiczności, tylko dla dziecka – pomyślała sobie, że dźwięki instrumentu, który trzyma między nogami, muszą przecież przenikać głęboko do jej brzucha i otulać to małe stworzonko w środku pięknem. Po ostatnim takcie heroicznego finału, gdy występujący gościnnie czeski dyrygent zamarł skulony, zupełnie jakby złapał go atak kolki, na sali przez chwilę panowała cisza, a potem zerwały się brawa, z okrzykami i gwizdami zachwytu. Dyrygent stopniowo wyzwolił się ze skurczu, z szerokim uśmiechem zaczął potrząsać złączonymi dłońmi, dziękując orkiestrze, jego spojrzenie na krótko spotkało się ze spojrzeniem Ady. Zamaszystym ruchem wydobył z kieszonki na piersi chustkę, ceremonialnie otarł spocone czoło, następnie odwrócił się plecami do orkiestry, przez kilka chwil patrzył na balkony, triumfalnie wydymając nozdrza, a potem jak trafiony ciosem w kark złamał się do przodu. Publiczność powstała z miejsc, gotując mu owację, zupełnie jakby to on był Franciszkiem Lisztem, chociaż w obecnej sytuacji taki wichrzyciel jak *Mazepa* natychmiast zostałby w Amsterdamie aresztowany przez policję, przy równie pełnej akceptacji tejże samej publiczności. Stukając delikatnie smykem o kant wiolonczeli, Ada czekała, aż dyrygent się odwróci i szerokim gestem, trzymając w jednej ręce pałeczkę, a w drugiej chustkę, każe im wstać jak marionetkom. Stojąc, przyłapała się na tym, że nie patrzy na salę, tylko ponad wszystkimi głowami spogląda gdzieś przez ścianę w jeden punkt gdzieś w nieskończonym oddaleniu.

W pomieszczeniu dla orkiestry pod sceną ułożyła instrument do snu w futerał. Ponieważ jutro rano była próba, nie brała go do domu. Jej przyjaciółka, klarncistka Marijke, spytała Adę, czy pójdzie z nimi do knajpy. Właściwie Ada najchętniej poszłaby od razu do domu, bo czuła się zmęczona, ale pokusa była z rodzaju tych, którym oprzeć się mogą jedynie najsilniejsze charaktery.

– Dobra, ale na tylko chwilę – odpowiedziała na nalegania Marijke. Maks już tam był, siedział na wygniecionej kanapie z czerwonego pluszu przy gazowym piecyku i czytał gazetę. Zerwał się na równe nogi zaskoczony.

– Co za przypadek!

Ada wcale nie była tego taka pewna – wprost przeciwnie. Na pewno sprawdził w kalendarzu koncertów, kiedy jest występ jej orkiestry. Wciąż jeszcze widać na nim było opaleniznę z Kuby. Pocałowali się w policzki, Ada zdjęła przemoczony płaszcz i usiadła obok Maksa, a Marijke dała się gdzieś połączyć szybko powiększającemu się tłumowi.

A więc w końcu stało się, co się musiało stać. Kiedy Maks usłyszał, że po przerwie zagrali na bis *Mazepę*, powiedział, że Prokofiew też musiał bardzo uważnie słuchać tego arcyromantycznego poematu symfonicznego, bo zawsze przypomina mu się przy tej okazji pasaż z *Romea i Julii*, który rozbrzmiewał na ulicy w Hawanie jako ilustracja muzyczna do *Stworzenia Adama*. Obie kompozycje nałożyły się teraz w pamięci Ady na siebie i usłyszała, o czym mówi Maks. Onno mógł jej wprawdzie opowiedzieć wszystko na temat pitagorejskiego przecinka albo na temat *Il diavolo in musica* czy dlaczego miksolidyjska i eolska gama stanowią swoje lustrzane odbicia, ale nigdy nie byłby zdolny do takiej obserwacji, jaką poczynił Maks.

– Ty i Onno razem wzięci wiecie o muzyce wszystko – stwierdziła Ada. – Ale ja siedzę za partyturą, liczę takty i wydobywam smykiem dźwięki ze strun. To zupełnie coś innego.

Maks skinął głową i spojrzał na nią.

– Dopiero we trójkę wiemy tak naprawdę wszystko.

Od razu zrozumiała, co ma na myśli, Z pochyloną głową, wbijając wzrok w złożone na brzuchu dłonie, powiedziała po kilku sekundach:

– Może nawet i to nie.

Maks uniósł kolano i na w pół odwrócił się na kanapie w jej stronę.

– Słuchaj, Ada – powiedział łagodnie. – Od kiedy usłyszałem od Onna, że spodziewasz się dziecka, nie potrafię o niczym innym myśleć. To absolutna katastrofa.

– Jeśli o mnie chodzi, to bardzo się z tego cieszę.

Spostrzegła, że Maks jest spanikowany, ale wiedziała, że cokolwiek powie, ona nie ustąpi ani na milimetr, i on pewnie to wyczuwał. Wykonał kilka nieskoordynowanych ruchów głową i rękami.

– Oczywiście, jesteś kobietą, jesteś w ciąży, spodziewasz się dziecka, i to dziecko to jesteś jednocześnie ty sama. Wszystko to rozumiem. Pewnie tak samo jest z artystą, który nosi w sobie pomysł na symfonię albo powieść – on też nie da się niczemu ani nikomu powstrzymać. Ale zarazem na tym właśnie polega różnica, że dzieło sztuki ma tylko matkę, podczas gdy twoje dziecko ma również ojca. W końcu nie było to przecież niepokalane poczęcie!

– No, raczej nie, choć przecież zażywałam pigułkę.

– Było to raczej podwójnie pokalane poczęcie. Ale kto jest tak naprawdę ojcem? Tego nie wiesz.

– I nie chcę wiedzieć. Dla mnie ojcem jesteś ty i Onno. Przecież stanowicie jedność.

– Ada, ty oszalałaś! Przecież któregoś dnia wyjdzie jednak na jaw, kto jest naprawdę ojcem, Onno czy ja. Niech Bóg da, żeby to był Onno, bo wtedy nie będzie problemu, to znaczy... po prostu przez lata będziemy żyli w strachu i nic więcej, przynajmniej ja. Ale co będzie, jeśli urodzi się moja kopia? Jak będziemy się czuli wobec Onna? Co będzie dalej? Nie da się wtedy uniknąć katastrofy!

– Pożyjemy, zobaczymy – powiedziała Ada, krzyżując ręce na piersi. – Doskonale zdaję sobie sprawę, do czego zmierzasz, ale możesz sobie darować. Na pewno nie usunę ciąży.

Maks przysunął się jeszcze odrobinę bliżej. Przy ich stoliku siedzieli też inni ludzie: jakiś niechlujny facet z siwą brodą, który najwyraźniej postanowił na stare lata spróbować młodościowego życia i właśnie starał się zrobić wrażenie na jakiejś młodej dziewczynie opowieścią z czasów wojny, podczas gdy jej chłopak ledwie tego słuchał. Od czasu do czasu cała trójka musiała pochylać się do przodu pod naporem tłumy za ich plecami. Woń wilgotnych włosów i płaszczy mieszała się z papierosowym dymem i oparami piwa w melanz, którego w domu nikt nie zniósłby ani przez minutę. Wśród głośnych rozmów i śmiechów Maks i Ada nie musieli się obawiać, że ktoś ich podsłucha.

– Ale zrozum, na miłość boską, że nie ma innego wyjścia! Możesz przecież powiedzieć Onnowi, że poroniłaś, a za parę miesięcy znowu zajdziesz w ciążę, jak będziesz chciała.

Ada upiła łyk białego wina przyniesionego przez kelnera, który był cienki jak ołówka, pewnie dlatego, że co wieczór musiał się przeciskać przez gąszcz ciał.

– Nie zajdę.

– Nie rozumiem.

Ada odstawiła kieliszek i spojrzała na Maksa.

– Drugi raz nie zajdę już w ciążę.

– Skąd ta pewność?

– Nie mam pojęcia.

– Może tak ci się wydaje ze względu na skrobankę? Słuchaj, przecież wiadomo, że nie będzie tego robiła jakaś znachorka z lewatywą z mydła, już ja o to zadbam. Może uda się załatwić nawet Klinikę Uniwersytecką w Lejdzie.

– To nie ma z tym nic wspólnego. Ja po prostu wiem, że to moja jedyna szansa, żeby mieć dziecko.

Żal jej go było. Może był ojcem jej dziecka, a może nie, w każdym razie czekały go teraz straszne miesiące. Wszystko, co rozważał Maks, rozważała oczywiście także ona, ale żeby się waliło i paliło, koniecznie chciała urodzić to dziecko. Jakoś się to wszystko potem ułoży, nawet gdyby dziecko miało się okazać dzieckiem Maksa – w ostateczności kosztem jej małżeństwa i przyjaźni między Maksem a Onnem, ale to wszystko było mało ważne. Może Maks zechce wtedy dzielić z nią dalsze życie, może nie zechce, może zostanie całkiem sama, nie robiło jej to różnicy; wszystko okaże się, kiedy dziecko przyjdzie już na świat. Było dla niej zagadką, gdzie tkwi źródło tej determinacji. Dawniej miewała z czymś takim do czynienia w odniesieniu do swojej kariery muzycznej, ale kiedy niedawno z jej orkiestrą zagrała światowej sławy wiolonczelistka w jej wieku, wykonując koncert Elgara na stradivariusie, przez moment pomyślała: właściwie chciałabym być na jej miejscu.

– Przecież to irracjonalne, Ada. Niezliczone rzesze kobiet przerywały ciążę i jeszcze rodziły potem dzieci.

Spojrzała na niego.

– Skoro jesteś taki racjonalny, to dlaczego po prostu nie powiesz Onnowi prawdy.

Maks bezradnie wychylił kieliszek do dna.

– Zacząłem nawet pisać do niego list, ale go zniszczyłem.

– Dlaczego?

– Uważałem, że nie wolno mi tego zrobić za twoimi plecami.

– Teraz już jestem poinformowana.

– Uważasz, że powinienem to zrobić? Czy zdajesz sobie sprawę, jakie to będzie miało konsekwencje dla ciebie? Ty też nic mu nie powiedziałaś.

– Nie powiedziałałam. I to nie tylko dlatego, że uważałam, iż nie mogę tego zrobić za twoimi plecami. Jestem gotowa wziąć na siebie to ryzyko. Wóz albo przewóz. Jeśli mu powiemy, tak czy tak wszystko skończone.

– Chyba że wtedy my się pobierzemy.

Położyła na moment dłoń na jego dłoni i uśmiechnęła się.

– Wtedy również. Po prostu będzie to inne bagno.

– No właśnie – przytaknął Maks. – Bagno to właściwe słowo. Grzęzawisko. Cokolwiek zrobimy, zawsze czeka nas katastrofa. Nawet jeśli nic nie zrobimy i dziecko okaże się Onna, to i tak już na dobre będziemy wobec niego nie w porządku. Zupełnie jakby wiedzieć o kimś, że ma raka, podczas gdy ta osoba myśli, że jest zdrowa.

- Dokładnie tak samo będzie, gdybym usunęła ciążę - powiedziała Ada. - Między innymi dlatego nawet o tym nie myślę. Moje dziecko jest przyczyną wszystkiego, ale zarazem jedynym jasnym punktem w tej sprawie. Kiedyś wszyscy umrzemy i wszystkie nasze problemy znikną razem z nami, ale on nadal będzie żył i jego dzieci, i jego wnuki.

- Skąd wiesz, że to będzie chłopak?

Ada wzruszyła ramionami.

- Onno uważa, że to będzie dziewczynka. Już nawet wymyślił dla niej imię.

- Imię? - powtórzył Maks zdumiony. - Wy już myślicie o imionach? To tak jakby już było na świecie!

Marijke przecisnęła się do nich, stawiając jeszcze dwa kieliszki wina.

- Wszystko w porządku?

Ada spojrzała na Maksa, który z westchnieniem wykonał nieokreślony gest.

- Jak cię mogę.

Człowiek siedzący obok przechylił się, żeby umożliwić sąsiadowi zdjęcie płaszcza, i skarżył się, że teraz w Amsterdamie tramwaje zawsze są takie przepełnione w godzinach szczytu i że w zasadzie nie można już korzystać z transportu miejskiego.

- To co zrobimy? - spytał Maks.

Ada wzruszyła ramionami. - Nic.

- Poznałaś już jego rodzinę?

Ada skinęła głową.

- No i?

- Onno przedstawił mnie oficjalnie rodzicom. Byliśmy u nich na herbacie. Tam jest tak, że herbatę przywozi służąca na specjalnym stolyczku na kółkach, a potem pani domu sama nalewa.

- I jak cię przyjęli?

- Nie bardzo umiem to ocenić. Byli niesłychanie serdeczni, ale nie mam pojęcia, co z tego było prawdziwe, a co nie. Onno twierdzi, że przypadłam im do gustu. Był tak zdenerwowany, jakby po raz pierwszy składał im wizytę. Jego matka nie wydała mi się bardzo bystra, za to ojciec trochę przerażający. Nie mówił wiele, był bardzo uprzejmy, ale kryło się za tym zupełnie co innego. Kiedy potem powiedziałam o tym Onnowi, stwierdził, że oto odkryłam, iż jego ojciec jest politykiem. Jego zdaniem polityk to taka uszlachetniona wersja bojówkarza, u którego mózg zastąpił mięśnie, człowiek, który potrafi rozprawić się ze swoimi wrogami.

- A potem powiedział - podchwycił Maks - że to samo odnosi się do niego samego i że on także potrafi zmiażdżyć swoich wrogów co do jednego. - Przypomniawszy sobie, jak Onno w parku w Hawanie rozprawił się z Bartem Borkiem. Poczuł, że pieką go oczy. Onno wypełniał go już całkowicie, lecz to właśnie Onna nigdy więcej już dla niego nie będzie.

- Możliwe. Nie pamiętam.

Ada spojrzała na zegarek. Chciała wracać do domu, gdzie czekał na nią Onno. Zupełnie jak tamtego dnia w Hadze jej obecność w pękającej w szwach knajpie przypominała jej coś w rodzaju portretu, jaki można sobie zrobić czasem na jarmarkach: naturalnej wielkości, naklejone na tekturę zdjęcie królowej w koronie i gronostajowym płaszczu, z wycięciem na twarz, w które wkłada się głowę. Głęboko we wnętrzu czuła obecność jeszcze czegoś innego - nie tylko w brzuchu, ale też w swej własnej istocie. Zarazem jednak wciąż była całkiem sobą, tak jak powiedział Maks: była, a jednocześnie nie była, jej osobowość zawierała część siebie jako coś odrębnego, co jednak było całkowicie nią samą, tak jak na podium wykonywana przez nią partia jest częścią niepodzielnego brzmienia orkiestry.

24

Wesele

Kiedy Maks znalazł w skrzynce zaproszenie, na którym Onno Matthias Jacob Quist i Ada Brons zawiadamiają o zamiarze zawarcia małżeństwa – z pominięciem zgody rodziców obojga stron, co zwłaszcza w Hadze musiało być sporym nietaktem – zdążył już nabrać znacznie większego dystansu do sprawy. Żądło kłamstwa tkwiło w jego egzystencji i nadal będzie tkwiło. Jego życie nieodwołalnie rozpadło się na dwie części: białą do momentu wieczoru nad pelikanową zatoką i czarną potem. Nigdy w życiu nie wyobrażał sobie, że coś takiego go spotka – a teraz go właśnie spotkało, i to nie w postaci choroby czy jakiegoś niezawinionego nieszczęścia, lecz wskutek jego własnego działania: był w pewnym sensie przeciwstawieniem mordercy, ale wyrzuty sumienia były dokładnie te same. Dawniej budził się jak cyrkowy artysta, który spadł z trapezu na siatkę; jednym sprężystym skokiem stawał obok łóżka i spoglądał w dzień, który się przed nim rozciągał – teraz wydawał z siebie odgłos, jakby zbierało mu się na wymioty, i najchętniej dalej leżałby w pościeli. Regularnie leżała tam obok niego jakaś kolejna przyjaciółka, ale już rzadziej niż poprzednio; w końcu ta właśnie jego żarłoczność była przyczyną wszystkiego. Harmonijny trójdźwięk, jaki tworzył z Onnem i Adą, definitywnie zmienił się w dysonansowy akord, godny kompozytora ze szkoły darmsztadzkiej.

Onno uznał za bardzo taktowne z jego strony, że jako dawny przyjaciel Ady odmówił wystąpienia w roli świadka.

– Twój szlachetny charakter rzuca przyjemne światło na moją umiejętność dobierania sobie przyjaciół.

Dzień ślubu, będący jednocześnie dniem urodzin Maksa, powitał ich tęsknym wspomnieniem lata: było bezwietrznie, a słońce świeciło pogodnie z bezchmurnego bladoniebieskiego nieba. Około południa Maks udał się bez płaszcza do ratusza, ukrytego na starym mieście gdzieś przy podejrzanym kanale, przytykającym do dzielnicy czerwonych latarni, od kiedy monarchia przepędziła republikańskie mieszczaństwo z dumnego pałacu miejskiego przy Damie. Wejście nie było specjalnie widoczne, tylko amsterdamczycy potrafili znaleźć obskurną ceglana bramę, prowadzącą na wewnętrzny dziedziniec. A tam widać już było istnienie ludu niderlandzkiego w pełnej krasie: tłumnie wchodzące i wychodzące grupy, czarne limuzyny z białymi wstążkami przy bocznych lusterkach wjeżdżające i wyjeżdżające z bramy, wszędzie młodzi przedstawiciele klasy średniej w wypożyczonych żakietach, w brązowych butach, w koszulach ze zbyt szerokimi kołnierzykami i w szarych cylindrach, noszonych zazwyczaj przez tych, którzy od pokoleń jeździli na wyścigi do Ascot, panny młode w bieli, z bukietami kwiatów, czasem w towarzystwie potykających się druhen, pozujące fotografom, podczas gdy przy akompaniamencie gromkich śmiechów garściami sypano im na głowę konfetti. Wszędzie stały grupki ludzi i po szybkim rozejrzeniu się Maks zlokalizował tę z Adą i Onnem.

Właściwie były to dwie grupy. Jedna składała się aż nazbyt wyraźnie z rodziny Onna, którą Maks widział dzisiaj po raz pierwszy: dziesięć lub dwanaście eleganckich osób, panie w kapeluszach, ze sznurami pereł, mnóstwo jaskrawej czerwieni i morskiego błękitu, białe guzy. Ze sceptycznym rozbawieniem patrzyli na plebejski amsterdamski tłumek. Jedną z osób był bez wątpienia brat Onna: równie wysoki, o takiej samej twarzy, lecz wszystko przetransponowane w dbałość i akuratność. O wiele niższy, lekko zgarbiony, ale krzepki starszy pan w kapeluszu i z laską, który właśnie spoglądał na wydobyty z kieszeni kamizelki zegarek, to bez wątpienia ojciec Onna. Było to widać po sposobie, w jaki inni skupiali się wokół niego. Matka Onna była imponującej postury kobietą, wyższą od męża, miała siwe włosy i trzymała się prosto. Zdjąwszy czapkę, szofer otworzył drzwi auta, które właśnie podjechało i z którego wysiadł kolejny nieodrodny Quist z żoną: najstarszy brat Onna, Diederick, komisarz królowej. Nagle Maks dostrzegł rodziców Ady: lekko onieśmieleni niby stali razem z Quistami, ale nie rozplynęli się w ich grupie, zupełnie jak oka tłuszczu na rosole. Kolejna grupa stojąca obok, ale w pewnej odległości, była to banda z Nowej Lewicy: rozchichotani mężczyźni w wieku Maksa, mimo wszystko lekko onieśmieleni żywą obecnością jednej z ikon starej Holandii sięgającej XVI wieku – tej Holandii, którą oni zamierzali właśnie zdemontować.

Maks zawahał się. Do kogo tu dołączyć? Jedyne z rodzicami Ady spotkał się kilkakrotnie, poza tym nie znał nikogo – choć przecież nikt z obecnych nie był bliżej z parą młodożeńców niż on. Powoli zbliżał się w ich stronę, a kiedy przypadkiem usłyszał gdzieś z boku o „cypryjskim szeregu sylabicznym”, zrozumiał, że jest jeszcze trzecia grupa, mianowicie językoznawcy, koledzy Onna. Okazało się też, że jest i grupa czwarta – nagle zobaczył Brunona, a potem także Marijke: muzycy. Przywitał się z Brunonem, którego nie widział od chwili pożegnania na lotnisku w Hawanie.

– Myślisz jeszcze o Kubie? – spytał go pianista z nieprzeniknioną twarzą.

– Codziennie.

– Miałem nadzieję, że Ada będzie miała po tym dość Onna, że to ja będę dzisiaj panem młodym. A tak jestem tylko świadkiem.

– Ja nawet tym nie jestem – powiedział Maks, a w duchu dodał: Nie do pomyślenia, żeby jeszcze z nim miała pójść do łóżka.

– To nasz czarny dzień.

W chwilę później w bramie pojawił się Onno: na rowerze, z Adą na bagażniku. Przy akompaniamencie braw z gracją ześliznął się z siodelka, wykonał triumfalny gest jak cyrkowy artysta, zeskakujący z trzymetrowego jednokołowego roweru, i skłonił się, dziękując za aplauz.

– Wybaczcie spóźnienie, ale musieliśmy jeszcze kupić strój panny młodej. Czyż ona nie wygląda porywająco, ta moja przyszła?

Ada miała na sobie prostą czarną sukienkę z kamizelką ze złotej lamy, która nie leżała całkowicie bez zarzutu, ale i tak nadawała jej oprawę jak cennemu klejnotowi. Sam Onno wyglądał jak zawsze, poza może czerwonym krawatem. Maks miał wrażenie, że nawet nie umył na tę okazję włosów.

– Mogę? – spytała Marijke, biorąc rękę Ady i odgryzając metkę z rękawa.

Zamknąwszy rower na kłódkę, Onno zawołał:

– Zaraz was sobie poprzedstawiam, ale na razie muszę błyskawicznie zawrzeć związek małżeński!

Mroczna, wyłożona drewnem sala ślubów była właściwie za mała dla całego towarzystwa. Maks stał z tyłu i patrzył na plecy Ady i Onna. Świadkiem ze strony Ady był, oprócz Brunona, jej ojciec, Onno miał jakąś kobietę, która była pewnie jego młodszą siostrą, i jednego ze swoich kolegów polityków. Jako urzędnik stanu cywilnego występował jeden z jego towarzyszy partyjnych, radny Rady Miejskiej, który ogłosił, że na prośbę pana młodego nie odczyta standardowego tekstu, lecz ten używany w Republice Batawskiej do roku 1806. Wziął ze stołu brązowy pergamin, spojrzął krótko przez wąskie okulary do czytania na kontrrewolucyjnego arcyrodzica w pierwszym rządzie i zaczął czytać:

- Formuła, jaka używana jest przy ślubach w Domu Gminnym miasta Amsterdam od czasów pamiętnej rewolucji 19 stycznia 1795 roku. Panie Młody i Panno Młoda! Ponieważ zakładamy, że nie dokonaliście nierozumnego wyboru, że łączycie się z uczciwymi zamiarami i że wymodliliście dla tego połączenia błogosławieństwo Tego, któremuście wszystko winni, tako i my nie czynimy żadnych trudności, by zadośćuczynić waszemu szczeremu pragnieniu, pieczętując Prawem Waszą wyrażoną sobie wzajem miłość i przyrzeczoną wierność. Przedtem jednak przypomnimy Wam krótko wasze powinności.

Wśród obecnych na sali dawało się odczuć pewne rozbawienie. Socjaldemokratyczni rebelianci próbowali coś odczytać z twarzy starego Quista, ale pozostała ona nieporuszona jak kamień. Także komisarz królowej, prokurator generalny i profesor prawa karnego, których znali oczywiście z widzenia, nic po sobie nie dawali poznać. Kiedy urzędnik przypominał już patriotycznie o konieczności pilnej pracy, uczciwości, dobrego postępowania, skromności, posłuszeństwa i oszczędności oraz ostrzegł przed nadmierną ustepliwością wobec dzieci, spytał:

- Czy ty, Panie Młody, bierzesz zatem tu obecną Pannę Młodą za żonę?

Onno odchylił głowę do tyłu i wykrzyknął patetycznie: - Tak!

Nie wszyscy na sali zaczęli się śmiać, ale jednak większość. Także urzędnik stanu cywilnego miał kłopoty z zachowaniem powagi.

- Czy ty, Panno Młoda, bierzesz zatem tu obecnego Pana Młodego za męża?

- Tak - powiedziała Ada cicho.

Było coś w jej głosie, co sprawiło, że wszyscy zamilkli. Coś ścisnęło Maksa nieoczekiwanie w gardle, miał kłopoty, żeby się opanować, najchętniej wyszedłby z sali, ale to oczywiście było nie do pomyslenia. Ada i Onno musieli teraz podać sobie prawe dłonie i kiedy tak stali, urzędnik kontynuował językiem rewolucyjnej przeszłości: - Czy zatem w obecności wszechwiedzącego Boga oraz w obecności zebranych tu Współobywateli potwierdzacie, że złożyliście sobie nawzajem śluby małżeńskie i że wypełniając nałożone na Was obowiązki, będziecie razem żyć i mieszkać, póki śmierć Was nie rozłączy?

- Tak. - Tak.

- Niech Bóg, który jest samą miłością, zwiąże Was przysięgą, ustrzeże Was przed małżeńskimi niesnaskami, ukoronuje Was najlepszym ze swych błogosławieństw i będzie z Wami we wszystkich okolicznościach Waszego życia!

- Urzędnik podniósł wzrok, zdjął okulary z nosa i zakończył słowami: - I wspomnijcie ubogich!

- Fantastyczne - szepnął jeden z politycznych przyjaciół Onna: - I wspomnijcie Trzeci Świat.

Maks poczuł przyływ emocji: czyż nie on był tym biednym, o którym powinni wspomnieć? Nikt jednak nie pomyślał o nim, nie mógł zresztą, poza być może Adą. Ujrzał, jak Onno wsuwa jej na palec obrączkę. Kiedy urzędnik czekał, aż Ada zrobi to samo, Onno mruknął niechętnie:

- Mężczyzna nie nosi pierścionków.

Nastąpiło podpisanie dokumentów, po dopełnieniu formalności urzędnik uściskał młodej parze dłonie i można było przystąpić do składania gratulacji. Maks odczekał, aż minie pierwsze zamieszanie. Bez słowa pocałował Adę trzy razy w policzek. Ściskając dłoń Onna, uświadomił sobie, że robi to po raz drugi w życiu: pierwszy raz było to w jego samochodzie, tego wieczora, kiedy mijali Lejdę i przedstawili się sobie nawzajem. Dłoń Onna była biała, ciepła i sucha.

- Gratulacje, Onno.

- Dzięki, Maks. Ja też ci gratuluję.

- Dzięki. Jak się czujesz?

- Absolutnie zdecydowany. Będę najbardziej ograniczonym ze wszystkich ojców rodziny. Wszystko twoja wina.

Wieczorem odbywało się przyjęcie dla najbliższych, ale teraz wszyscy zostali zaproszeni do kawiarni na starym mieście, gdzie zarezerwowano stoliki i czekał szampan. Tam również grupy nie przemieszały się ze sobą. Muzycy trzymali się razem, naukowcy też, a politycy zbojkotowali stoliki, obsiedli barowe stołki i zamówili piwo. Ada była z rodzicami, którzy rozdzielili się z Quistami. Kiedy Onno zobaczył Maksa, zabrał go ze sobą do kąta, gdzie rozsiadła się jego rodzina.

- Najwyższy czas, żebyś wreszcie zobaczył, jaki spotkał mnie los.

Przy stoliku wskazał na Maksa palcem i powiedział, jakby prowadził aukcję:

- To jest mój przyjaciel Maks Delius.

- Ach, to pan - powiedziała jakaś dama pod pięćdziesiątkę, która okazała się potem starszą siostrą Onna, żoną prokuratora generalnego. Ona także miała w sobie coś wielkiego i budzącego lęk, co musiało być endemiczną właściwością tej rodziny. W jej twarzy dostrzegało się coś surowego, męskiego, co budziło w Maksie lekki przestрах.

- Tak, Trees, to on - powiedział Onno poirytowany. - Brakuje tylko, żebyś przyłożyła do oka lorgnon.

Nie dał Maksowi okazji, by wymienić uścisk dłoni, ponieważ zaraz przedstawił go rodzicom, dwóm braciom z żonami i najmłodszej siostrze z mężem. Nazywał ją Dol i tylko dla niej miał miłe słowo. Potem zostawił Maksa z nimi sam na sam.

Zapanowała dość napięta atmosfera. Amsterdamska modła, na jaką wszystko się tutaj odbywało, państwo młodzi na rowerze, przyjęcie w knajpie, wszędzie artyści, wolnomyśliciele i czerwoni, jak okiem sięgnąć, ani śladu pastora, prowokacja z rewolucyjnym dokumentem z czasów Francuzów, a teraz w dodatku Onno uszczęśliwił ich towarzystwem syna zbrodniarza wojennego z czasów niemieckiej okupacji – trudno się raczej dziwić ich kwaśnym humorom. Takie rzeczy w Hadze się nie zdarzały. Każdy przy tym stole wiedział oczywiście, kim był jego ojciec, ale też kim była jego matka. Wiedzano tu o wszystkim – oprócz tego, kim jest on sam. Brat Onna, Menno, profesor prawa w Groningen, starszy od Maksa jakieś dziesięć lat, z uprzejmym uśmiechem wskazał mu wolne miejsce, i kiedy Maks usiadł, poczuł ciężar tej rodziny. On sam nie miał nikogo na świecie, rodzina była dla niego pojęciem z dalekiej przeszłości, a tu zebrała się potęga, dzięki czemu nagle jakby lepiej zaczął rozumieć Onna. To właśnie przeciwko temu się buntował, ale czynił to siłą tejże właśnie rodziny, której niepodważalną część stanowił.

– No i, panie Delius? – zaczął Diederick, prokurator generalny, krzyżując ręce na piersi i odchylając się na oparcie krzesła: – Bardzo jest pan zbudowany ceremonią?

Diederick miał pod pięćdziesiątkę, jego żona Antonia, też dość przerażająca matrona, musiała dobiegać sześćdziesiątki i z powodzeniem mogłaby być babką Ady.

Maks stwierdził z przerażeniem, że tutaj także nastąpiła właśnie faza dwuznaczności i skrytości – jakże on będzie mógł kiedykolwiek być po prostu sobą, skoro bez przerwy musi zważać na to, czego nie powinien mówić?

– Wydaje mi się, że to dość oryginalny pomysł Onna, ten dokument z czasów Republiki Batawskiej. Zwłaszcza jeśli zważyć obecną sytuację polityczną.

– Tyle tylko, że w ten sposób małżeństwo jest nieważne – powiedział prokurator generalny. Był korpulentny i trochę napuchnięty, miał rzadkie strąkowate włosy i przebiegłe niebieskie oczka: – Przymuszczalnie ten urzędnik będzie musiał ustąpić.

– Przestań, Coen, nie ośmieszaj się – upomniała go Dol. Zupełnie nie przypominała swojej grubokościstej siostry Trees. Była raczej drobnej budowy, miała otwartą, sympatyczną twarz; pewnie odezwały się w niej geny którejs z subtelniejszych przodków. Maks od razu zrozumiał, dlaczego była ulubioną siostrą Onna.

– Ustąpić – burczał pod nosem Coen. – Ustąpić.

– Może byś tak sobie wziął jeszcze kieliszek szampana – zaproponował Karel, mąż Dol, neurochirurg jednego z rotterdamskich szpitali, jak pamiętał Maks z opowieści Onna. On także wyróżniał się spośród pozostałych ostrymi rysami, nadającymi jego wąskiej twarzy wygląd diabolicznego uczonego z rodu Frankensteinów, który z największą przyjemnością zniszczyłby cały świat, chociaż w rzeczywistości wcale taki nie był.

– Ustąpić – powtórzył jeszcze raz Coen, co dało żonie Menna asumpt do wybuchnięcia śmiechem.

– Zupełnie jak jakiś ojciec chrzestny – stwierdziła.

– Pan też jest taki lewicowiec jak Onno, panie Delius? – spytała Trees. – Raczej nie, prawda? Mam nadzieję, że wyrzuci pan na niego korzystny wpływ.

– Oczywiście, że tak – odrzekł Maks. – Dla mnie istnieją tylko sprawy wyższe. Jestem astronomem.

– Ach tak? – matka Onna pochyliła się do przodu. – A więc umie pan przepowiadać przyszłość.

– Zamilcz – powiedział Quist.

– Ależ oczywiście – potwierdził Maks. – Przynajmniej w pewnym sensie. Potrafię na przykład przepowiedzieć, kiedy nastąpi zaćmienie słońca. W innym sensie natomiast nie.

– W jakim nie?

– Na przykład, czy nadejdzie jakiś list, w którym będzie napisane, że czeka panią wielka podróż.

– Szkoda.

– Ma pani absolutną rację.

– Tak bym chciała jeszcze kiedyś pojechać na wyspy Galapagos – powiedziała pani Quist rozmarzonym głosem, spoglądając na męża.

– Podobno są tam różne dziwne zwierzęta. Pamiętasz jeszcze, Henk, te żółwie w Surinamie?

Pan Quist skinął głową.

– To było w dwudziestym szóstym.

– Jakoś wszystko im się wtedy pomieszało. Składały jaja na plaży, ale nie wracały do morza, tylko wychodziły coraz dalej na ląd. A tam wyłapywali je kosztami murzyńscy chłopcy.

Maks popatrzył na nią. Miała klasyczny, prosty nos, jak Onno. Do czwartego roku życia ubierała syna w różowe sukienki i kazała mu nosić długie loki. Ciekawe od kogo będzie pochodził jej wnuk? Od niej samej czy od zagazowanej w Auschwitz Żydówki? A jego, pana ministra stanu? Od niego samego czy od straconego po wojnie zbrodniarza?

*

W małej restauracji w piwnicy przy Prinsengracht, którą wynajął Onno, podano pieczeń zajęczą z czerwoną kapustą, a do tego burgunda. Całą rodzinę odesłano do domu i została tylko wybrana grupa głównie polityków, muzyków, lingwistów i jeden jedyny astronom. Wygłaszano dowcipne przemówienia i toasty, które Onno przyjmował z nadętym samozadowoleniem, władczo obejmując kruche ramiona Ady w złocie. Kiedy ktoś zrobił aluzję do jego ojcostwa, wykrzyknął:

– Pojąłem za żonę córkę babki mojego dziecka!

– Myślisz, że to coś wyjątkowego?

– No przecież słyszysz!

Kilkakrotnie Maks napotkał pytające spojrzenia: czy jako najbliższy przyjaciel nie powinien także zabrać głosu? Zrobił nieznaczny odmowny gest dłonią i pokręcił przecząco głową. Wolał nie otwierać ust. Gdyby coś poszło nie tak, mogłoby się jeszcze zdarzyć, że wszystko zabrzmiałoby jak nieprzyjemne szyderstwo. Może jego milczenie odczytywane jest jako dowód dobrego smaku, skoro panna młoda była jego dawną przyjaciółką, albo jako oznaka smutku, że to nie on jest panem młodym – w każdym razie musiał się z tym pogodzić.

Po kawie alkohol nadal lał się strumieniami, zaczęto zmieniać miejsca i wreszcie towarzystwo ostatecznie się wymieszało. Wąтли językoznawcy i nieporadni politycy dali do zrozumienia, że też wiedzą co nieco o muzyce, a filigranowi muzycy, że nie mają pojęcia o lingwistyce i nie interesują się polityką. Politycy zapewniali lingwistów, że to oni tak naprawdę są „językoznawcami”, ponieważ pracują wyłącznie za pomocą słów, tak że właściwie dla lingwistów nic już nie zostało. W takim razie co oni tu w ogóle robią? Onno też był tego zdania. Wtedy lingwiści zaczęli się dopytywać, czy politycy mają już jakieś stanowisko w sprawie nadmiernego stosowania nawozów sztucznych. Kiedy atmosfera robiła się coraz gorętsza, poziom hałasu narastał i ktoś zaintonował stentorowym głosem „Wyklęty powstań, ludu ziemi!”, wołając potem, że to przecież znacznie piękniejsze niż *Król olch* Schuberta, Maks po raz pierwszy miał okazję zamienić parę słów z Adą. Zobaczył, że pije tylko wodę.

– Dobrze – odpowiedziała, kiedy Maks spytał, jak się czuje. – A ty?

– Jak ktoś, kto nadepnął na minę przeciwpiechotną, usłyszał „klik” i już wie, że wyleci w powietrze, gdy tylko spróbuje zrobić jakiś krok.

– Poczekaj spokojnie. Przecież nie ma sensu się tak zadręczać. Szansę na to, że wszystko będzie w porządku, są jednakowo duże.

– Ale, Ada, ten ślub, ci ludzie, to przyjęcie, i tylko my dwoje wiemy, że być może to wszystko kłamstwo i oszustwo, bezsens i szwindel. Jak możesz z tym żyć?

– Ja żyję dzieckiem.

- Kiedy pomyślę, że Onno...
- Cicho, właśnie idzie.

Trzymając w dłoni szklanke coli z rumem, Onno zmierzył Maksa spojrzeniem od stóp do głów.

- Kiedy tak patrzę na twoją nikczemną postać, przypomina mi się okropny czas, gdy byłem jeszcze kawalerem. Co za straszliwa wizja! Oczyma duszy widzę opustoszały krajobraz z uschłym drzewem w rozszałym wietrze, z którym walczy samotny, pochylony do przodu pielgrzym z długim kosturem, zmierzający tam, gdzie czeka go marny koniec. A teraz popatrz na mnie - powiedział, wypinając pierś. - Wspiąłem się na najwyższy szczebel ludzkiego rozwoju: małżeństwo! Moje ciało wydziela woń godną róży Saronu, albowiem jestem oblubieńcem! Jak lilia pośród cierni, tak jestem wśród młodzieńców. Miodem najświeższym ociekają wargi moje, pędy me - granatów gaj, bo jestem oblubieńcem! Ogrodem zamkniętym jestem, źródłem zapieczętowanym - wykrzyknął i zainspirowany ciszą, jaka zapadła, wyciągnął rękę w stronę Ady: - O, jaka piękna jesteś, oblubienico moja! Oczy twe jako słońce wschodzące nad wędkarzami, którzy o świtanu wyjeżdżają z miasta na rowerach, wioząc robaki. Głos twój jak głos pierwszych ptaków w rynnice. Serce twe błyszczący jak olej, który w wymyłym świetle poranka widoczny jest na ulicach, gdzie parkowały samochody. Zęby twe jak mleko, które szkolna dziatwa pije na dużej przerwie, wargi twe jak kałuża purpurowej krwi, która około południa przypomina o przejechanej kobiecie. Cała piękna jesteś, przyjaciółko moja! Śmiech twój jak pozłotko wycia syreny w uszach fabrycznych dziewcząt. Piersi twe błyszczą jak świetlna reklama, ledwie widoczne w zapadającym zmierzchu. Pępek twój pomarańczowym pożarem zachodzącego słońca w oknach domów towarowych. Brzuch twój ukryty jak wystawa za stalową roletą, którą jubiler po zamknięciu sklepu ze zgrzytem opuszcza do samej ziemi. Powstań, południowy wietrze, nadleć! Jesteś jak późny wieczór, kiedy aktorka w tunice woła: „O, nieszczęsny! Biada ci, jeśliś nigdy nie usłyszał, kim jesteś!” A sen twój... nie mam pojęcia. Sen twój jak przebudzenie małego chłopca, nad którym, kwacząc, pochyla się obłąd!

Wyczerpany przyłożył szklanke do ust. Wśród braw, jakimi go nagrodzono, Maks nagle poczuł nieprzeparowane pragnienie modlenia się, żeby to jednak było dziecko Onna - nie miało to sensu, bo już było zdecydowane, czyje to dziecko. Nawet jeśli Bóg istnieje, on też nic już nie mógłby zmienić.

Zwierciadło

W połowie lutego minął rok od czasu, kiedy się poznali, ale Onno był zbyt zajęty polityką, by o tym myśleć, a Maks mu nie przypomniał. Zima zupełnie nie wyglądała już jak prawdziwa zima – w Czechosłowacji zaczęła się nawet „praska wiosna” – czasem zdarzało się nagle parę dni dużego mrozu. Nadciągające niebezpieczeństwo na całe godziny znikało niekiedy z myśli Maksa, ale potem znowu stawało mu nagle przed oczami, jak skalna ściana wyłaniająca się z oparów mgły. W czasie pracy łapał się też na tym, że jego uwaga nie skupiała się na papierach leżących na biurku, tylko siedział, gapiąc się na sekundnik zegarka, nieubłaganymi skokami wędrujący wokół cyferblatu, ale w zasadzie poruszający się wzdłuż potencjalnie nieskończonej prostej, na której pewnego letniego dnia będzie miało miejsce to wydarzenie.

„Poczekaj spokojnie”, powiedziała Ada. Wrócił myślą do porównania, które przyszło mu do głowy w czasie weselnej kolacji: że stoi na odbezpieczonej minie przeciwpiechotnej. Wyobraził sobie amerykańskiego żołnierza na zwiadzie w wietnamskiej dżungli. Klik. Zamarł bez ruchu. Przy następnym kroku zostanie rozerwany na strzępy. Co teraz? Stracił z oczu resztę patrolu, a krzyżeć nie było sensu w ogłuszającym harmidrze czynionym przez małpy i papugi. Podobnie ze strzałem, ponieważ odrzut mógłby spowodować detonację. Pod stopami, przykryta cienką warstwą ziemi, czaiła się śmierć: płaski metalowy szybownik, złożony kobiecymi rękami gdzieś w Chinach albo Związku Radzieckim. Musi się teraz mocno zastanowić – ale nie było się nad czym zastanawiać. Pozostało mu czekać. Może przypadkiem ktoś go zobaczy stojącego i miał tylko nadzieję, że nie będą to żołnierze Wietkongu: nieruchomy amerykański żołnierz w tropikalnej dżungli. Pomyślał o swoim życiu, które nagle stanęło w miejscu, jak zakleszczona w projektorze taśma. Po co zawsze pilnie odrabiał lekcje? Wszystko wokół niego było w ruchu, tylko on zmienił się w posąg GI, uzbrojonego po zęby, w hełmie i oporzędzeniu bojowym. Jeszcze poruszał głową, pierś unosiła się i opadała w rytm oddechu, w ciele biło serce i pracowały wnętrzości, ale ciężar tego wszystkiego decydował teraz o jego życiu i śmierci. Nie wolno mu było niczego się pozbyć, nie mógł też bez narażenia życia sięgnąć po manierkę. Mijała godzina za godziną. Zlany potem, pokąsany przez owady, z językiem opuchniętym i wyschłym na wiór, rozmyślał o swojej dziewczynie tam w Oakland, nad zatoką – niemal niepostrzeżenie zapadła noc, nogi zaczęły mu lekko dygotać ze zmęczenia. Jeśli odmówią posłuszeństwa albo jeśli zaśnie – będzie po nim. Może powinien skierować ku sobie lufę karabinu, a może jest jeszcze nadzieja? A może mu się wydawało? Może był to odgłos, jaki wydają w czasie kopulacji jakieś gigantyczne chrząszcze? Może wcale nie stał na minie i po prostu powinien ruszyć dalej?

Maks z kolei zapomniał, że dwudziestego szóstego lutego przypada rocznica ich wspólnego poczęcia.

– Musimy to uczcić – powiedział przez telefon Onno. – Oczywiście mam też ochotę wyrwać się na chwilę i porozmawiać z kimś normalnym.

– Masz na myśli mnie?

– Sam widzisz, jaki już jestem zdeformowany.

– Gdzie to ma być?

– Co byś powiedział na budynek Reichstagu w Berlinie?

– Trudno o lepszy pomysł – odrzekł Maks, zaglądając do terminarza. – Tyle tylko, że przez cały wtorek muszę siedzieć w Dwingeloo. Co ty na to, żeby przyjechać tym pociągiem, który jedzie do Drenthe? Odbiorę cię w Wijster na stacji i pokażę ten cały bałagan tutaj, żebyś sobie potem mógł zasłużyć na wdzięczność jakąś porządną subwencją, kiedy już dojdiesz do władzy.

– Wprost przeciwnie, szykują się drastyczne cięcia. Zwierciadła, zwierciadła, nic, tylko coraz więcej zwierciadeł. Jesteście zupełnie jak wojskowi. A jaka jest korzyść społeczna z tych waszych wszystkich zwierciadeł?

– Bogu dzięki, zerowa.

– Każę kiedyś obliczyć, ile placówek opieki nad dziećmi można wybudować za pieniądze na jedno zwierciadło!

– W takim razie będziesz musiał też zadbać o większy przyrost naturalny – powiedział Maks i natychmiast zmieszał się dwuznacznością swojej uwagi.

– Moim zdaniem macie tam same krzywe zwierciadła i całymi dniami turlacie się ze śmiechu nad głupotą przełożonych.

– Tylko nie mów o tym nikomu. Przyjedź we wtorek popatrzeć, to umrzesz ze śmiechu. Jak chcesz, możesz przenocować w pokoju gościnnym, a następnego dnia wrócimy razem.

– Zgoda. Oczywiście nie będziesz miał nic przeciwko temu, że zabiorę ze sobą Adę? Prawie w ogóle jej nie widuję. Jak tak dalej pójdzie, mojemu małżeństwu grozi rozpad. Już nic wokół siebie nie dostrzegam.

– Wszyscy troje jesteście mile widziani.

*

Cały tydzień był nienaturalnie ciepły. Tego popołudnia jednak, kiedy Maks jako jedyna osoba siedział na otwartym peronie prowincjonalnej stacyjki, było duszno i bezwietrznie, niebo zaciągnięte chmurami i wyglądało na to, że może przyjść burza. Środkowym palcem prawej ręki przejechał po malutkim łysym miejscu, które ku swemu przerażeniu odkrył kilka tygodni temu na potylicy. Miało owalny kształt, średnicę może centymetra i było niewidoczne pod włosami. Przerażenie, że nagle wyłysieje, nie opuszczało go przez wiele dni, ale kiedy stwierdził, że łysina się nie powiększa, jego niepokój minął.

Patrzył na zbliżający się powoli krótki pociąg. Żółta gąsienica. Przywoził mu to, co było mu najmiłsze na świecie, a zarazem najbardziej na świecie mu zagrażało. Kiedy Onno podawał Adzie rękę przy wysiadaniu, w drugiej trzymając torbę, Maks po raz pierwszy zauważył jej zaokrąglony brzuch. Miała na sobie długą, czarną suknię aż do ziemi, oblamowaną przy szyi i długich rękawach paskami koronki; poniżej talii suknia rozszerzała się nagle, co przesunęło punkt ciężkości ciała, i Ada wskutek tego poruszała się lekko odchylona do tyłu.

Onno rozejrzał się wokoło z dezaprobatą.

– A więc to w tej dziurze masz nadzieję zgłębić sekrety wszechświata. – Przyłożył dłoń do ucha i nasłuchiwał. – Zupełnie nie słyszę echa tego twojego Wielkiego Wybuchu. Słyszę natomiast durne krówska w oddali, które czekają, żeby je ktoś wydoił.

– Czyli że jednak słyszysz.

Dach samochodu Maksa był opuszczony i mali chłopcy pochylali się nad deską rozdzielczą, żeby zobaczyć, ile wyciąga. W związku z tym, że Ada była w odmiennym stanie, tym razem Onno musiał się wcisnąć na wąskie miejsce z tyłu za oparciami siedzeń. Polną drogą, po której obu stronach rosły wysokie wiązy, wyjechali ze wsi; cynowoszare niebo wisiało nad mijanymi na przemian polami i lasami. Maks pokazywał im wielkie kamienie polodowcowe, poukładane w piramidy przy wjeździe do każdego gospodarstwa. Opowiadał, że same wydostają się z głębin ziemi i rolnicy natykają się na nie potem w czasie orki.

– Czy dobrze zrozumiałem, że tutaj kamienie spadają do góry? – zdziwił się Onno.

– Jak już są na górze, to nie.

– Ach, matko Ziemio! – wykrzyknął Onno z ojcowskim współczuciem w głosie.

Maks chciał powiedzieć, że słyszał również, iż po dwudziestu latach weteranom potrafi wyjść z pleców kula, ale nie umiał już rozmawiać z Onnem tak żartobliwie. Przeszkoda znajdowała się teraz tuż obok niego, skryta pod czarną wypukłością. Rzucił okiem w lusterko, w którym widział Onna z rozwianym włosom, rozglądającego się na wszystkie strony i najwyraźniej bardzo zadowolonego z jazdy. Za nim, też w lusterku, widać było, jakby jechali do tyłu i w dodatku po złej stronie drogi – dokładnie tak samo, jak wyglądał ich obecny układ.

Minęli domki robotnicze, też z granitowymi głazami w maleńkich ogródkach, przejechali przez wieś i po kilkuset metrach zobaczyli na leśnej drodze znaki zakazujące wszelkiego ruchu pojazdów mechanicznych. Było to związane z falami radiowymi wysyłanymi przez świece zapłonowe, jak wyjaśnił Maks. Teleskop był do tego stopnia czuły, że nawet tak słaby sygnał mógł zakłócić odbiór.

– A co z twoimi świecami? – spytała Ada.

– Są izolowane.

– A więc jest możliwe – wtrącił Onno – że tobie się wydaje, iż odkryłeś nową mgławicę spiralną, a tymczasem to tylko jakiś motorower wjechał nie tam gdzie trzeba?

Maks wykonał gest wyrażający zwątpienie.

– OK – powiedział. – W zasadzie jest to możliwe. Mam nadzieję, że nie zabrałeś ze sobą elektrycznej golarki? – A więc nie da się wykluczyć – kontynuował Onno – że to, co wy radioastronomowie uważacie za obraz wszechświata, odzwierciedla wyłącznie ruch drogowy w okolicy.

Maks nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

– Bóg jeden raczy wiedzieć.

– Sam widzisz! Ziemia jest płaska, a gwiazdy to dziury w firmamencie, przez które prześwieca blask Empireum, miejsce, w którym przebywają dusze zbawionych. A każdy, kto twierdzi co innego, tak jak na przykład ty, znajduje się na złej drodze.

Nagle ponad drzewami ukazał się kawałek zwierciadła radioteleskopu: gigantyczna konstrukcja o średnicy dwudziestu pięciu metrów, ażurowa parabola z szarej stali, eksplodująca w wiejskim otoczeniu jak przekleństwo w pacierzu.

– To wcale nie jest oko – stwierdził Onno. – To ucho.

Maks wyłączył silnik pod kompleksem niskich budynków i spadła na nich niczym niezmacona cisza. Ptaki śpiewające w lesie tylko ją jeszcze pogłębiały. Od drugiej strony, bardziej otwartej, płynął zapach łąk.

Ada wysiadła, zaczerpnęła głęboko powietrza i rozejrzała się dokoła.

– Ależ tu pięknie.

– No – potwierdził Onno, zapalił papierosa i mocno się zaciągnął. – Prawdziwe piękno otępienia. Przyroda to uspienie umysłu, tylko w mieście umysł dochodzi do siebie.

– Spokojnie mogłabym tutaj mieszkać. Nawet z odrobiną mniej umysłu.

– O, hańbo! Przyroda to dobre dla dzieci.

– Właśnie o tym mówię.

Z ciężkim westchnieniem Onno wygramolił się z auta i pocałował ją.

– Jesteś cudowna, ale popełniasz straszliwy błąd myślowy. Dla swego własnego bezpieczeństwa nasza córka musi być prawdziwym dzieckiem miasta. Przecież widzisz to na przykładzie tych wszystkich dzieciaków z prowincji: w wieku czternastu lat przyjeżdżają potajemnie do Amsterdamu i wpadają we wszystkie możliwe pułapki naraz. Doskonale wiedzą, które grzyby są trujące i że nie wolno chodzić na bosaka w wysokiej trawie, ale o żmijach miasta nie mają zielonego pojęcia. Kiedy natomiast wychowują się w mieście, doskonale wiedzą, na co powinny uważać. I wierz mi, że za czternaście lat w Amsterdamie będzie o wiele niebezpieczniej niż dzisiaj, bo wszystko zawsze zmienia się tylko na gorsze.

– Chciałbyś tutaj mieszkać? – zwrócił się z pytaniem do Maksa. – Założę się, że na wsi na pewno niczego nie wymyślono. Przecież ty też wymyślasz w Lejdzie, co będziesz tutaj badał?

Maks słuchał go z rozpaczą. Ta tyrada o „córce” była oczywiście żartem, ale jako prawdziwy ojciec na pewno już się zastanawiał nad najlepszym otoczeniem dla dziecka Ady.

– Mieszkać wyłącznie tutaj? Prędeż bym zrezygnował z astronomii. Czuję się jak skazany na banicję przestępca. Nie mam nic przeciwko Drenthe, ale to oczywiście Syberia Holandii. – Spojrzał w niebo. – Chyba lepiej postawię dach.

Z pomocą Onna naciągnął brezent i po zapięciu wszystkich naciągów i zatrzasków zaprowadził ich do budynku z pokojami gościnnymi, gdzie zarezerwował już dla nich nocleg. We wspólnym salonie, wyposażonym w wyplatane fotele i drewniane ławy, przedstawił ich swojemu młodszemu koledze z Sydney, który był za gruby jak na swój wiek i pracował przy stole do posiłków. Maks objaśnił po angielsku, że kolega przyjechał tutaj, żeby połączyć australijskie dane na temat rozkładu naturalnego wodoru w Drodze Mlecznej z analogicznymi danymi dotyczącymi półkuli północnej i w ten sposób skompletować całą mapę.

– O, coś takiego – powiedział, wskazując na jeden z arkuszy papieru, na którym widniał diagram, wyglądający zdaniem Onna jak obrazek z testu Rorschacha, a zdaniem Ady jak mózg widziany od dołu.

– Co ty wiesz o mózgu? – zdziwił się Onno. – To przecież moja specjalność.

– Widziałam kiedyś na fotografii.

Kiedy już rozpakowali torbę w sypialni, poszli do długiej hali w głównym budynku, w której astronomowie, technicy, personel administracyjny i studenci zebrali się przy wózkach z kawą i herbatą. Niektórych Ada i Onno znali już z wizyty w obserwatorium w Lejdzie – Maks przypomniał sobie nagle, że było to pierwszego dnia, kiedy wyłuskał Adę z antykwariatu „Pochwała Głupoty”. Ujrzał ją siedzącą z wiolonczelą, *musicienne du silence*, jej ojca z plamami farby na twarzy – a potem: „Proszę cię, bądź delikatny i nie spraw mi bólu...”

Pozwolił im obejrzeć swój gabinet, równie uporządkowany jak ten w Lejdzie, pokój pomiarowy, warsztaty wytwarzające przyrządy, a także inne pomieszczenia – we wszystkich paliło się już światło – a potem wyszli na tyły kompleksu. Sto metrów dalej stał ogromny teleskop, cicho wycelowany w jeden punkt ciemnego nieba. Nawet dla Maksy ten doskonale mu przecież znany instrument wciąż emanował czymś tajemniczym, nieporównywalnym z jakąkolwiek inną budowlą techniczną. Powiał lekki wiaterek i kiedy szli ścieżką w kierunku anteny, Maks powiedział, że to na pewno z powodu kontaktu z tym czymś najpierwszym i najwcześniejszym, co w ogóle miało miejsce. Gdy doszli do skrajy ciągnącej się aż po horyzont łąki, zwierciadło wznosiło się nad nimi, ażurowe jak opadły liść, z którego zimą zostają same żyłki. Konstrukcja spoczywała na stalowych nogach, między którymi usytuowany był barak obsługi. Całość zamontowana była na czterech kołach, które stały na tworzących okrąg torach.

– To mi wygląda na szczotki do zmywania naczyń – powiedziała Ada, pokazując szczotki przymocowane prowizorycznie sznurkami z przodu i z tyłu każdego koła, żeby utrzymać gładkość szyn.

– Ze sklepu z artykułami gospodarstwa domowego w Dwingeloo – przytaknął Maks. – Wszystko sprowadza się ostatecznie do takich przyziemności. Tak to jest w nauce, ale nikt nie może się o tym dowiedzieć.

– W polityce zresztą też – dorzucił Onno, – Wszędzie improwizacja i fuszerka. Ludzie sobie wyobrażają jakieś ostre jak brzytwa umysły i diabelskie spiski, ale gdyby tak chociaż raz usłyszeli, jak się to wszystko odbywa, toby się przerazili. Bo to zupełnie jak u każdego w domu. W ogóle myślę, że kiedy się zajrzy za kulisy, ze wszystkim jest tak samo. W ogóle cud, że świat się jeszcze kręci.

W baraku obsługi, gdzie przy aparaturze siedziało kilku techników, Maks objaśnił, co się w tym momencie obserwuje, czy raczej czego się nasłuchuje.

– W tej chwili chyba kalibrują – powiedział. – Co teraz robimy, Floris? 3C296?

Nie odwracając się od aparatury, jeden z techników, mniej więcej w jego wieku, a może nieco młodszy, powiedział:

– Tak, ale mamy jakieś zakłócenie. Pewnie znowu jakiś cholerny balon meteorologiczny z Cuxhaven pracujący na trzydziestej ósmej harmonicznej. Czemu nie zadzwonimy do bazy myśliwców w Leeuwarden, żeby je pozestrzelowali?

– Przecież tamci tak samo zakłócają.

Maks potwierdził, że to rzeczywiście jest duży problem i Onno miał trochę racji, podając ten przykład motoroweru. Kiedy już informacja zostanie zapisana na taśmach perforowanych, trzeba jeszcze sprawdzić, co się tak naprawdę zmierzyło, i dopiero oddzielić od tego dane astronomiczne.

– Nie gniewajcie się, ale chyba muszę się tym zająć. Może pójdziecie na łąki się przejść i zobaczymy się koło obiadu. Zamówiłem stolik we wsi, powiedzmy, że w takiej jednogwiazdkowej restauracji. I pamiętajcie, gdyby zaczęła się burza, to macie się położyć płasko na ziemi i powoli czołgać tyłem. To takie rzeczy, o których człowiek jako mieszczuch nie ma pojęcia.

W chwili kiedy to powiedział, sam poczuł się trafiony jak gromem myślą, że byłoby to rozwiązanie jego problemu: gdyby Ada zakończyła w ten sposób życie – i od razu zapragnął, żeby ta myśl natychmiast została wypalona z jego mózgu.

Rezerwacja okazała się niepotrzebna: z powodu złej pogody byli jedynymi gośćmi. W mrocznej chłopskiej izbie o ścianach ozdobionych licznymi, trudnymi do zidentyfikowania obrazkami i żelaznymi patelniami, wybrali stolik możliwie daleko od okien, o które dudniły strugi deszczu. Maks zapalił świecę i słuchał wykładu Onna na temat różnicy między gównianą pogodą w mieście i na wsi. Jego zdaniem w mieście człowiek jest od deszczu bardziej przemoczony, taka pogoda właściwie w ogóle do miasta nie pasuje. Na wsi działa ona na człowieka depresyjnie, podczas gdy w mieście w zasadzie odczuwana jest tylko jako niestosowna.

– Raczej nie sprawiasz wrażenia, jakbyś był akurat pogrążony w depresji.

– Nie, oczywiście, że nie, ale ja jestem ponad to wszystko, albowiem przebywam w regionach czystego rozumu, na które pogoda nie ma żadnego wpływu. Ty jednak, ty sprawiasz wrażenie cokolwiek depresyjnego. Coś ci jest?

– Ależ skąd – rzekł Maks. Rzucił niepewne spojrzenie na Adę, której tak niedawno życzył śmierci. – A co mi ma być?

– Oto jest pytanie. Może za często tu przyjeżdżasz? A co to dopiero będzie, jak już skończą budować Westerbork?

– Wtedy zobaczymy.

– Jak zaawansowane są prace? – W tym roku mają montować dwunaste zwierciadło.

– To musi być fantastyczny widok – stwierdziła Ada. – Już to jedno robi niesamowite wrażenie.

– Też tak myślę.

Onno popatrzył na niego badawczo.

– Chcesz powiedzieć, że jeszcze nigdy tam nie byłeś?

– Nie. Znaczący, tak. Nigdy jeszcze tam nie byłem.

– Czy to gdzieś niedaleko?

– Dwadzieścia pięć kilometrów stąd.

– A więc całkiem blisko.

Onno położył na moment dłoń na dłoni Ady i Maks widział, że nie był to tylko czuły gest, ale też polecenie, żeby nic więcej nie mówiła. Najwyraźniej Ada nie miała pojęcia, jakie znaczenie ma dla niego Westerbork – on sam nigdy jej o tym nie powiedział, ale może dowiedziała się tymczasem od Onna i po prostu nazwa wyleciała jej z pamięci. Niezbyt było mu przyjemnie, że są wobec niego tak uważający, zupełnie jakby był pacjentem.

– Ale znam tamten teren jak własną kieszeń. Pamiętam wszystkie plany i z zamkniętymi oczami mogę was zaprowadzić na miejsce, gdzie był plac apelowy albo karcer.

Wszystko coraz bardziej wskazywało na to, że będzie pracował w Westerbork na normalnym teleskopie astronomicznym, czyli regularnie przebywał na miejscu razem z technikami. Będzie się musiał zorientować. Może to i lepiej odsuwać to od siebie tak długo, jak tylko się da, tak jak lepiej nie próbować stopą, jak zimna jest woda, tylko po prostu do niej wskoczyć. A poza tym przez ostatnie miesiące problem ten został przesłonięty przez inny, który sam ściągnął sobie na głowę.

Nawet schludne czarne ubranie nie zdołało zmienić topornych rysów twarzy kelnera, którego dziadkowie przyszli pewnie na świat jeszcze w glinianej chacie. Ale szampana otworzył fachowo, nie pozwalając korkowi wystrzelić. Maks spróbował, poczekał, aż szampan zostanie rozlany – Ada przykryła swój kieliszek dłonią – i dopiero wtedy wypowiedział słowa toastu:

– Za nasze symultaniczne poczęcie!

Ada spojrzała na niego okrągłymi ze zdumienia oczami. Czyżby powiedział o wszystkim Onnowi?

– Na miłość boską, o czym ty mówisz?

Maks od razu zrozumiał, o czym pomyślała, ale zanim zdążył odpowiedzieć, odezwał się Onno:

– Mówiłem ci przecież, ale nie słuchałaś. Pomyślałaś sobie: tak, tak, gadaj zdrów. Właśnie tę okazję tutaj świętujemy: cichą, świętą noc Van der Lubbe, najbardziej wpływowego polityka holenderskiego, jaki kiedykolwiek chodził po tej ziemi!

Kiedy przeglądali menu, Onno jeszcze raz wyjaśnił Adzie, o co chodzi, opowiedział jej też, przy jakiej okazji Maks mu to wyliczył. „Psze pani! Czy Onno może wyjść na dwór się ze mną pobawić?” Maks prawie już o tym zapomniał. Było to rok temu, a wydawało się jakąś zamierzchłą przeszłością.

– Co tam u Helgi? – spytał. – Widziałaś ją od tego czasu?

– Nie, ani razu. Pewnie siedzi dzielnie w Instytucie Historii Sztuki i aktualizuje katalog.

Jedli pieczeń z dzika, a Onno rozprawił o różnych obrzydliwościach polityki wewnętrznej, czego Maks i Ada uprzejmie słuchali. Dowiedzieli się, że właśnie dokonuje się Wielki Skok Naprzód, a więc że nareszcie urzeczywistnione zostanie to, co uniemożliwił jego ojciec ze swoimi kolegami w roku 1945. Odbywa się to w połączeniu z raptowną falą demokratyzacji, nie do końca wolną od cech plebejskich: nikomu nie wolno zdziałać więcej niż innym – jeśli zatem będzie się to wspierać, samemu robiąc arystokratycznie to, czego nie robią inni, to do końca tego wieku na pewno dojdzie się do władzy.

– Nie darmo był ktoś taki jak Machiavelli – stwierdził Maks.

– Ach, Machiavelli! – wykrzyknął Onno. – Nazwisko, które nazbyt rzadko się wymienia!

Po kawie Onno poprosił o rachunek, ale kelner powiedział, że wszystko jest już uregulowane.

– Byliście moimi gośćmi – wyjaśnił Maks, podnosząc się z miejsca. – W Amsterdamie chętnie dam się kiedyś wam zaprosić.

26

Huragan Fancy

Ciągle jeszcze lało, do tego zerwał się silny wiatr, więc starali się jak najszybciej dostać do samochodu. Przez opustoszałą, ciemną okolicę w ciągu dziesięciu minut dotarli z powrotem do obserwatorium. Wszędzie paliły się światła, wszędzie nadal prowadzono obserwację, także gość z antypodów wciąż siedział przy stole w salonie. Było wpół do jedenastej i Maks zapytał, czy Ada i Onno chcą już iść spać, bo jeśli nie, to ma w kuchni trochę wina, rumu i coli. Ada powiedziała, że chętnie napije się jeszcze szklaneczkę coli, chociaż to może niezbyt wskazane dla kobiety w ciąży, ale Onno był zdania, że alkohol działa zabójczo na szkodliwe bakterie, więc na pewno jest niezwykle zdrowy dla rozwijającego się płodu. Maks niemal widział kolorowy stos książek na temat ciąży i porodu przy łóżku Ady.

Na dworze szalała coraz gwałtowniejsza burza, a oni siedzieli w przytulnym pokoju przy niezapalonym kominku. Onno zaczął teraz objaśniać różnicę między „wielką pogodą” a „małą pogodą”: otóż pogoda może być tak zła, że przekracza punkt zerowy i zaczyna być znowu dobra. Grzmoty i błyskawice, przerwane tamy, powodzie – trudno o tym mówić, że to „zła pogoda”. Maks odrzekł na to, że Dickens podobno w każdą Wigilię zapraszał przyjaciół, a pod oknem stał w śnieżycy opłacony łachmaniarz i co parę minut wykrzykiwał: „Hu, hu! Ale ziąb!” – tak aby siedzący w środku goście jeszcze bardziej mogli się rozkoszować ciepłem i gęsią.

– Co za łajdak – stwierdziła Ada.

– Właśnie że nie – zaprotestował Onno. – Z punktu widzenia dialektyki jest to całkowicie w porządku. Widać z tego tylko, że także w sposobie życia był wielkim pisarzem.

– Macie jakieś dziwne kryteria wielkości.

– A jaka jest twoim zdaniem oznaka wielkości?

– Skromność.

– Ada! – wykrzyknął Onno, łapiąc się rozpaczliwie za głowę. – Tylko nie to!

– Kiedy ja naprawdę tak uważam. Moim zdaniem Bach czuł się mały wobec muzyki.

– A przy okazji pisał jedno arcydzieło za drugim. Niezła mi skromność. A tak w ogóle, co to jest „muzyka”? Bez Bacha i innych kompozytorów muzyka w ogóle by nie istniała. A może uważasz, że muzyka to coś, co unosi się gdzieś tam w niebiosach?

– Kto wie.

– Wszystkie kobiety są platonikami – stwierdził Onno, kręcąc smutno głowę.

– A na przykład Maks z tym teleskopem tutaj? – spytała Ada i odwróciła się do niego. – Czy nie czujesz się mały, spoglądając w niezmierzone niebo?

– Wydaje mi się, że mieszasz ze sobą dwie różne sprawy – zaczął ostrożnie Maks. – Einstein też był bardzo skromnym człowiekiem, jak się zawsze czyta, a jednocześnie nie miał oporów przed podaniem wyjaśnienia, jak to jest z wszechświatem. Onno ma rację: co to właściwie za skromność? Można powiedzieć, że w życiu codziennym nie wynosił się z powodu swych odkryć, co zresztą wcale nie było konieczne, ale wtedy skromność byłaby kategorią wyłącznie psychologiczną...

– A psychologia zawsze jest mało interesująca – przerwał mu Onno. – No bo na ile skromny był na przykład taki Freud? Przeczytajcie jego teksty, to się przerazicie.

- Szczerze mówiąc - zaczął Maks - jako chłopiec nigdy nie mogłem zrozumieć, jak ktoś może się czuć mały wobec wszechświata. Człowiek przecież wie, jak przytłaczająco wielki jest wszechświat, i wie też parę innych rzeczy - a to znaczy, że wcale nie jest taki mały! Sam fakt, że to wszystko odkrył, dowodzi jego wielkości. Zdumiewać może raczej, że ta marna istota potrafi zamknąć cały wszechświat w tak niewielkiej przestrzeni pod czaszką, i jeszcze w dodatku potrafi to analizować, tak jak to teraz robimy. W pewnym sensie czyni ją to nawet większą od wszechświata.

- Właśnie - powiedział Onno, uśmiechając się do Ady. - Posłuchaj tego uważnie.

Przewód kominowy wylł na wietrze jak rozstrojona piszczałka organów.

- Oczywiście można sobie wyobrazić - ciągnął Maks, dolewając do kieliszków - że ktoś stwierdzi, iż człowiek powinien się czuć mały wobec własnej wielkości, bo ma ją przecież od Boga.

- Ale wtedy jest masochistą - wpadł mu w słowo Onno. - I zapomina, że sam Bóg również jest wytworem człowieka.

Maks wpatrywał się w głęboką czerwień wina i milczał. *Jedyny i jego własność*. Zajmował się badaniami pozagalaktycznymi, sygnałami wydarzeń kosmicznych, które rozgrywały się miliardy lat temu w młodym wszechświecie, ale teraz pogrążyły się w nicości wobec wydarzenia, które być może czekało jego samego na niewielkiej planecie w mało znaczącym układzie słonecznym na peryferiach dziesiątków miliardów układów gwiazdnych. Świadomość tego w żadnym jednak razie nie prowadziła u Maksa do czegoś w rodzaju „relatywizacji”. Przeciwnie, narodziny człowieka nie były nieistotnym zdarzeniem w mierzalnej niezmiarowości wszechświata, tylko raczej czymś o proporcjach metakosmicznych - nawet bez Boga. Zwłaszcza bez Boga.

Do środka wpadł Floris, ociekający deszczem, ze zmierzwiionymi włosami.

- Maks, musimy jakoś zamocować teleskop, bo inaczej jutro możemy go szukać po łąkach. Na razie wieje dziesiątka, ale meteo twierdzi, że będzie jeszcze gorzej, oczekują podmuchów do stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. To podobno jakaś odnoga huraganu znad Karaibów, błąkająca się od paru miesięcy nad oceanem. Przyjdiesz? Ustawiliśmy go już tyłem do wiatru.

Onno i Australijczyk też włożyli płaszcze. Ada powiedziała, że pójdzie już do łóżka, bo ma ze sobą partyturę *Das Lied von der Erde* i trochę ją postudiuje.

- No proszę! - wykrzyknął Onno, kiedy znalazł się na dworze. Drzewa kołysały się i gięły w szalejącym wicherze, jakby wreszcie chciały się wyrwać z krepujących je łańcuchów. Deszcz siekł im twarze, pochyleni do przodu popędzili ścieżką w stronę teleskopu, gdzie widać było podrygujące światła latarek i ze dwadzieścia biegających osób. Zwierciadło powoli przyjmowało pozycję horyzontalną. Przymocowano je linami do bloków zaczepionych o koła, ktoś krzyknął, że trzeba wyłączyć silnik do ustawiania azymutu, ktoś inny zawołał, żeby Floris wszedł na górę i wyłączył silnik do ustawiania kąta. Cała procedura przebiegała według instrukcji przewidzianej w takich przypadkach i pół godziny później wszyscy z zadowoleniem popatrzyli na reflektor teleskopu, niezachwianie spoglądający w zenit niby jakaś majestatyczna misa ofiarna. Przemoczeni do suchej nitki zebrali się wszyscy w laboratorium, żeby jeszcze trochę porozmawiać i wysłuchać słów podziękowania od dyrektora.

- Tylko popatrz na moje nowiusieńkie kasztanowego koloru buty z cielęcej skóry - powiedział Maks, pokazując ubłocone czarne buciska.

- Dobrze ci tak - skwitował Onno.

Żona kierownika administracyjnego zrobiła gorącej czekolady, którą rozlewała z emaliowanego kociołka do pękatek białych kubków i wszyscy poczuli się tak, jakby po dobrze spędzonym dniu znaleźli się z powrotem w domu u mamy i taty.

- Też zostanę astronomem - powiedział Onno zadowolony. - Tutaj przynajmniej panuje jeszcze prawdziwe ludzkie ciepło.

W tym momencie jakaś dziewczyna zawołała:

- Czy jest tutaj pan Quist?

- Tak - zgłosił się Onno zdziwiony.

- Telefon do pana.

- Nie może być - powiedział Onno, podnosząc się z miejsca.

Maks też nie mógł w to uwierzyć. Była prawie północ, kto by jeszcze go tutaj szukał o tej godzinie? Może coś się stało z ojcem albo matką?

Chwilę później Onno wrócił i po jego minie Maks zorientował się, że istotnie musiało chodzić o jakąś niedobłą wiadomość.

- Ojciec Ady miał zawał. Dzwoniła jej matka. Sprawa jest poważna i pytała, czy moglibyśmy zaraz wracać do Lejdy. Przyjęli go na ostry dyżur w Klinice Uniwersyteckiej.

- O tej porze nie ma żadnych pociągów - powiedział Maks, wstając. - Chodźmy. Zawiozę was.

Przeszli wewnętrznym łącznikiem do budynku z pokojami gościnnymi. Ada już spała, z głową odwróconą na bok, z palcem wskazującym między kartkami zamkniętej partytury. Kiedy Onno ją budził, Maks poszedł do swojego pokoju spakować rzeczy. Wyobrażał sobie, jak ojciec Ady, którego twarz ledwie pamiętał, doznaje na schodach przy regałach z książkami czegoś podobnego do uderzenia pięścią w serce. Właściwie wszystko w każdej chwili może się zdarzyć. Każdy żyje z dnia na dzień w pewnego rodzaju ufności w Boga, że wszystko będzie wiecznie trwało tak jak teraz, a potem nagle jest zupełnie inaczej. Szybko złapał jeszcze taśmy perforowane dla Instytutu Matematycznego i z dwiema torbami zszedł do poczekalni, gdzie w chwilę później pojawili się Ada i Onno.

- Boże, Ada - powiedział, całując ją w czoło - co za nieszczęście. Czy już wcześniej miałeś kłopoty z sercem?

- Moim zdaniem tak, ale nie chciał się do tego przyznać. Mężczyźni przecież zawsze są tacy dzielni, prawda? Jedźmy już.

Żadne z nich nie miało płaszcza. Na dworze Maks pobiegł przez ulewę do samochodu i podjechał tuż pod drzwi. Ponieważ dach był postawiony, Onno musiał się zwinąć za fotelami do jednej czwartej swojej wielkości. Ada zaproponowała, żeby usiadł na jej miejscu, ale nawet nie chciał o tym słyszeć. Deszcz dudnił o płócienny dach, Maks zapalił długie światła i wyjechał na piaszczystą dróżkę.

Las poruszał się zupełnie tak, jakby nie składał się z roślin, tylko ze zwierząt. Wszędzie leżały w błocie połamane gałęzie, które musieli omijać. Pochylny nad kierownicą, przecierając od czasu do czasu szybę rękawem, Maks wpatrywał się w dróżkę. Wkrótce przeszła w drogę, na której oberwanie chmury powołało do życia miriady podrygujących myszek: opaste banieczki wody na nogach, kompletnie bezsensowna polka, zważywszy fakt, że i tak widział tylko ułamek ich wszystkich. Oczywiście w żadnym domu we wsi nie paliło się już światło, wzdłuż chodników ciągnęły się szerokie kałuże, których nie były już w stanie przyjąć studzienki odpływowe. Z odgłosem szlifowanego noża woda bryzgała spod kół aż do ogródków. Kiedy mijali restaurację, przez moment błysnęło mu w pamięci jej wnętrze: kelner i kucharz poszli już do domu, światła pogaszone i tylko w niezmiernym, mrocznym opuszczeniu stoły i krzesła oraz patelnie na ścianach.

Na wiejskiej drodze, przy której nie paliły się już latarnie, silnie chwycił kierownicę, żeby nie stracić kontroli nad samochodem. Asphalt błyszczał od wody, ale na szczęście samochód był dobrze dociążony, ponieważ Onno siedział na tylnej osi, a Ada liczyła się prawie podwójnie. Padało tak gwałtownie, że wycieraczki praktycznie nie miały wpływu na kurtynę wody na przedniej szybie. Maks korygował natychmiast każdy podmuch wiatru, ale miał duże trudności, żeby nie stracić z oczu białej środkowej linii drogi, bo światła reflektorów zmieniły się w stożki pełne rozbłyskujących oślepiająco perełek.

– Przykro mi, ale muszę jechać wolniej – powiedział, rzucając spojrzenie na Adę.

– Uważaj! – krzyknęła.

W poprzek drogi leżało wyrwane z korzeniami drzewo, które upadło z lewej strony. Maks nacisnął hamulec, ale od razu poczuł, że opony straciły przyczepność, wysprzęglił i skręcił kierownicę w bok, Ada wczepiła się w jego ramię, a samochód zatrzymał się kilka metrów przed przeszkodą, zarywszy przednimi kołami w pobocze.

– O, Boże – powiedział Maks. – Mało brakowało. Musimy zawrócić. Wrzucił wsteczny i próbował wyjechać z pobocza, ale koła zaryły się zbyt głęboko.

– Onno, musimy popchnąć.

Wyłączył silnik, otworzył drzwi, które wiatr niemal wyrwał mu z ręki, i odchylił oparcie swojego fotela, żeby Onno mógł się wygramolić.

– Pomóc wam jakoś? – spytała Ada.

– Broń Boże! Zostań na miejscu – powiedział Onno.

– Musimy się pośpieszyć, zanim ktoś tu nadjedzie – powiedział Maks, zatraskując drzwi.

W szalejącym piekle przeszli na pobocze i w świetle reflektorów chwycili za zderzak. Tym razem tkwiąc w swoich nowych butach po same kostki w błocie, Maks policzył do trzech – ale w tym momencie wydarzyło się coś nowego. Z wycia wiatru i chlupotu deszczu wyodrębnił się jakiś inny odgłos: głuchy jęk, który przeszedł w głośny trzask i zgrzyt. Maks rozejrzał się wokoło, spojrzał w górę i nagle zobaczył walącą się na nich z drugiego pobocza ciemną, wyglądającą jak ogromna dłoń koronę drzewa. Chwycił Onna i pociągnął go własnym ciężarem na ziemię. Z ogłuszającym hukiem drzewo spadło na drogę i na samochód, który zamortyzował uderzenie.

Mimo że hałas wcale się nie zmniejszył, mieli wrażenie, jakby nagle zapadła śmiertelna cisza. Reflektory zgasły, nad nimi wisiały gałęzie. Maks szukał po omacku Onna.

– Onno!

– Tak, tak, w porządku. Ale Ada!

Wygramolili się spomiędzy gałęzi i z przerażeniem popatrzyli na ciemny cień pnia pod nagimi gałęziami, leżący na białym dachu.

– Jezus, tylko nie to... – wyszeptał Onno. – To nie może być prawda... Ada! – krzyknął.

Jak mogli najszybciej, ślizgając się i raniąc, uwolnili się z gęstwiny i próbowali dostać się jakoś do drzwi, ale było to niemożliwe.

– Ada! – krzyknął znowu Onno.

Żadnej odpowiedzi. Wszystko było powyginane. Na wpół leżąc, Maks przecisnął rękę między gałęziami i próbował jakoś odpiąć dach, ale nic mu się nie udawało zrobić.

– Musimy sprowadzić pomoc!

Ciężko dysząc, rozejrzał się dokoła. Sto metrów dalej, w polu, widać było zabudowania, w których paliło się światło. Kiedy właśnie zamierzał tam pobiec, po drugiej stronie rowu rozbłysło światło latarki i jakiś głos zawołał:

– Niech to szlag! To już drugie w ciągu dziesięciu minut! Jest tam kto?

– Niech pan szybko sprowadzi pomoc!

– Policja już zawiadomiona.

– Jak najszybciej potrzebna jest karetka!

Światło latarki zatoczyło łuk i zaczęło skokami oddalać się w stronę zabudowań.

Rozpaczliwie natężając wszystkie siły, Onno usiłował przedrzeć się przez gałęzie, ale był to daremny wysiłek: samochód był zamknięty jak w klatce.

– Niech to wszyscy diabli! – darł się na całe gardło. – Ada! Nasze dziecko!

Maks zmartwił. Jej dziecko... Już po raz drugi tego dnia pojawiła się w jego głowie ta potworna myśl – chciał ją stłumić, jednak już była, i to nie z okazji dowcipu o błyskawicy, ale w momencie, kiedy ona może naprawdę już nie żyła pod tą górą drewna. Poczuł, jakby opadła na niego błyszcząca czarna płachta, dokładnie otulając jego ciało jak druga skóra. W tym momencie zrobiło mu się niedobrze. Odwrócił się i zwymiotował dziczyznę. Kiedy się wyprostował, zobaczył, że Onno stoi, wtulając twarz w ramię oparte o gałęzie, i szlocha.

Na sygnale, błyskając czerwonymi światłami, nadjeżdżał od strony Dwingeloo wóz straży pożarnej, za nim policyjny radiowóz błyskający na niebiesko. W chwilę później wszystko zalało jaskrawe światło reflektora i nagle zaroiło się od ludzi w ceratowych płaszczach. Na drodze rozciągnięto biało-czerwone taśmy, zaraz potem rozległ się zgrzyt motorowych pił przechodzących przez gałęzie jak nóż przez chleb. Nikt ich o nic nie pytał. Onno patrzył na to, co się dzieje, i chodził zdezorientowany tam i z powrotem jak tygrys w klatce. Maks pomagał odciągać gałęzie, chciał coś do Onna powiedzieć, ale nie wiedział, co. W ustach czuł gorzki smak wymiocin. Bagażnik był wgnieciony, pewnie taśmy perforowane też uległy zniszczeniu. Światła straży i radiowozu migają dalej, ich pulsujące sygnały tworzyły przerażający deseń, który dokładnie oddawał to, co właśnie odczuwał. Wciąż szalał wicher i lał deszcz, ale wydawało się, że trochę słabnie.

Kiedy strażacy uwolnili kabinę, dostrzegł Adę zgiętą we dwoje pod wgniecionym dachem, który nie dał jej żadnej ochrony – nieruchoma, z twarzą na kolanach. Pień nie upadł dokładnie na miejsce, gdzie siedziała, lecz tuż obok, na miejsce kierowcy. Nie patrzył dłużej niż sekundę, potem odwrócił wzrok, ale teraz, potykając się, podszedł Onno i stanął oparty o maskę. Jeden z policjantów szorstko złapał go za ramię.

– Proszę stąd odejść. Aż tak się panu podoba ten widok?

Najwyraźniej wziął go za jakiegoś gapia z okolicy. Onno, dygocąc, odwrócił się w jego stronę.

– To moja żona.

Policjant puścił go na moment i zaraz złapał w inny sposób, tym razem obiema rękami za ramiona.

– Chodźmy stąd.

– Czy ona żyje? Ada! Słyszysz mnie?

– Chodźmy stąd.

Podczas gdy strażacy ostrożnie zdjęli dach i okryli Adę kocami, z przeciwnej strony z wielką szybkością nadjechała karetka z wyjącą syreną, oślepiającymi niebieskimi reflektorami i błyskającymi światłami na dachu. Wskoczyło z niej dwóch sanitariuszy – jeden pobiegł na tył karetki, żeby wyciągnąć nosze, a drugi przedarł się przez gałęzie, kucnął przy Adzie i włożył do uszu słuchawki stetoskopu.

– Ona jest w ciąży – powiedział Onno.

Sanitariusz podniósł na moment wzrok i skinął głową. Nie zmieniając pozycji Ady, ostrożnie założył jej na szyję kołnierz ortopedyczny. Wszyscy znieruchomieli, a sanitariusz nasłuchiwał, przekrzywiając trochę głowę. Serce Maksa waliło jak młotem. Miał wrażenie, jakby jedynym dźwiękiem był chaotyczny rytm błyskających nierówno świateł.

Sanitariusz schował stetoskop i wstał.

– Żyje – powiedział.

Maks nabrał głęboko powietrza i zakrył oczy dłońmi. W chwilę później patrzył w ociekającą deszczem, brudną twarz Onna i rzucił mu się na szyję.

*

Ada nie odzyskała przytomności w karetce. Maks usiadł w kabinie obok kierowcy, który nic nie chciał powiedzieć. Wysiadając pod szpitalem w Hoogeveen, zobaczył, że ulga, jaką odczuł Onno, ustąpiła nowemu niepokojowi. Adę natychmiast gdzieś zabrano, a ich dwóch pielęgniarka zaprowadziła do łazienki, żeby mogli się trochę umyć. W jasnym, cichym, jałowym otoczeniu aż się przestraszyli swojego widoku w lustrze: w poszarpanych ubraniach, przemoczeni i umazani błotem, z zielonymi szramami od kory drzewa, twarze i dłonie pokrwawione i pełne zadrapań. Wyglądali zupełnie tak, jakby nie tylko uratowali się z niebezpiecznej dla życia nawałnicy, ale w pewnym sensie wrócili z innego czasu.

– Żeby tylko dobrze się skończyło – powiedział Onno. – Co za cholerny pech. Że też musieliśmy stanąć akurat w tym miejscu, gdzie spadło to pieprzone drzewo. Co to wszystko w ogóle znaczy?

Maks przepłukał usta i na razie nie odpowiedział. Zrozumiał, że Onno właśnie po raz pierwszy w życiu odczuł na własnej skórze bezsensowną nicłość istnienia. To, że w każdej chwili zdarzyć się może wszystko, dla niego samego było tak oczywiste jak fakt, że jednego dnia jest ładna pogoda, a drugiego nie. Tak to już po prostu jest na tej Ziemi. Na niebie było trochę inaczej, bo tam panują o wiele twardsze zasady: słońce wschodziło zawsze, nie raz tak, a raz nie, albo po prostu dzień później – czego nawet nie da się określić – tylko dokładnie w przewidzianym momencie. Z tej strony nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Niestety nie miało to jednak nic wspólnego z życiem na Ziemi i może właśnie dlatego zdecydował się uczynić z tej nieludzkiej niezawodności swój zawód.

– Z drugiej strony, gdyby siedziała z tyłu, na twoim miejscu, toby nie przeżyła.

Onno nabierał w dłonie wody i przyskał sobie w twarz i nagle zamarł. Wyprostował się powoli, patrząc wielkimi oczami na odbicie Maksa w lustrze.

– Maks... – powiedział cicho, prawie szeptem. – Ojciec Ady...

Maks nieświadomie aż otworzył usta.

– Jezu! Ani przez moment o tym nie pomyślałem.

Patrzyli na siebie przerażeni.

– Tego jeszcze brakowało – powiedział Onno. – Co teraz będzie?

– Musisz zadzwonić.

– Zadzwonić? Wyobraź sobie tę kobietę. Jej mąż dostaje ciężkiego zawału i łąduje w szpitalu. Potem dzwoni telefon i dostaje wiadomość, że jej ciężarna córka miała wypadek i leży w śpiączce. Ona tego nie przeżyje.

– To co mamy zrobić?

– Musisz do niej pojechać i jakoś ostrożnie jej to wszystko powiedzieć. Ja zostanę tutaj, z Adą, to oczywiste.

– A jak się mam tam dostać?

– Taksówką. Na mój koszt.

- To będzie paręset guldenów. Mamy tyle przy sobie?
- W razie czego pożyczymy jakoś tu na miejscu.

Maks spojrział na zegarek.

- Jest kwadrans po pierwszej. Powinniśmy prawie dojeżdżać do Lejdy. Kiedy tam dotrę, będzie około trzeciej. Ale dobrze, zrobię to oczywiście.

Poszli do poczekalni, policzyli, ile mają pieniędzy, i zadzwonili po taksówkę. Miejscowy kierowca już spał, ale obiecał, że za dwadzieścia minut będzie. Kiedy na niego czekali, zjawił się młody blondyn w białym kitlu, który okazał się dyżurnym lekarzem. Niewiele jeszcze można było powiedzieć. Ada nadal nie odzyskała przytomności, ale wyglądało na to, że nie ma żadnych złamań. Ciśnienie, tętno i oddech były w normie. Z dzieckiem też wszystko było w porządku.

- Bogu niech będą dzięki - powiedział Onno.
- Czekamy teraz na badanie neurologiczne.
- Kiedy zostanie przeprowadzone?
- Zaraz. Wyciągnęliśmy neurologa z łóżka.

Ponieważ taksówki jeszcze nie było, Maks poszedł z Onnem do pokoju Ady. Leżała na poduszce z zamkniętymi oczami, do ręki miała podłączoną kroplówkę. Wypukłość jej brzucha pod przykryciem wyglądała jak fala. Było coś w wyrazie jej twarzy, co zwróciło jego uwagę, co wydawało mu się znajome, ale czego nie mógł sobie dokładnie przypomnieć. W chwilę później jednak już wiedział: był to ten sam wyraz twarzy, jaki miała, grając, kiedy rozpływała się całkowicie w muzyce.

27

Pocieszenie

Kiedy taksówkarz zobaczył Maksa, powiedział, że ani myśli go takiego zabierać.

- Dymaj na piechotę, człowieku. Mam nowe obicia.

Może pomyślał, że mu wszystko zamoczy. Dopiero kiedy Maks przyniósł od portiera gazetę i rozłożył na tylnym siedzeniu, taksówkarz zgodził się go wziąć. Maks był zaszokowany tak ordynarnym potraktowaniem, ale z drugiej strony nawet go to ucieszyło, bo dzięki temu nie musiał z uprzejmości zająć miejsca obok kierowcy, żeby prowadzić rozmowę niewątpliwie o piłce nożnej, na której kompletnie się nie znał i znać się nie chciał.

Znowu deszcz i silny wiatr. Nadal nie docierało do niego w pełni, co tak naprawdę zaszło – kiedy samochód wjechał na główną szosę, zamknął oczy, żeby sobie to wszystko uświadomić: drzewo zwalone ukośnie na drogę... pobocze... głowa Ady na poduszce, czarne włosy na białej pościeli... oślepiające reflektory w rozszalałą noc, z wyciem syren i miganiem świateł... błoto, gałęzie... jedzie rowerem przez Rapenburg, obok niego jedzie kobieta w letniej sukience. Pyta, gdzie jest przystanek tramwaju do Nordwijk. Tu niedaleko, odpowiada, pierwsza ulica w lewo. Czy bilet jest drogi? Najlepiej, jak pani pojedzie rowerem, to całkiem blisko. Ale może będę musiała długo czekać na miejsce dla roweru? Nie będzie tak źle. Jest gorąco, ale Maks ma na sobie płaszcz przeciwdeszczowy. Jest już dwadzieścia pięć po czwartej. W ogrodzie czekają na niego pierwsze obsypane liśćmi drzewa: górna część ich koron pokryta jest grubą warstwą śniegu, błyszczącego oślepiająco w letnim słońcu. Niech pani spojrzy! – woła, zatrzymując się, ale jej to najwyraźniej nie interesuje, zatopiona w sobie pedałuje dalej w stronę plaży...

Maks budzi się gwałtownie. Przez okno samochodu widział przed momentem wejście do Kapitolu w Hawanie, które zaraz skurczyło się w schody prowadzące do Kliniki Uniwersyteckiej w Lejdzie. Ubranie ciągle miał lepkie i wilgotne. Jeszcze padało, ale burza się uspokoiła, albo może tutaj w ogóle nie szalała. Rozliczył się z kierowcą i bez pożegnania wszedł do budynku.

Nocny portier, który zmierzył go nieufnie od stóp do głów, miał wiadomość dla pana i pani Quist – kim więc on jest. Kiedy już zdecydował się dać wiarę wyjaśnieniom Maksa, powiedział, że pani Brons dziesięć minut temu pojechała do domu, gdzie ma dalej czekać na córkę.

– A pan Brons?

– Zmarł około wpół do pierwszej.

Maks odwrócił się, spojrzął raz jeszcze na portiera, znowu się odwrócił i znowu na niego spojrzął.

– Czy byłby pan tak uprzejmy zadzwonić w moim imieniu do szpitala w Hoogeveen? – spytał i zdał sobie sprawę, że ta wybitnie oficjalna forma pomaga mu się opanować.

Portier zrobił to, o co go poproszono, i podał mu słuchawkę. Minęło trochę czasu, zanim do telefonu podszedł Onno.

– Mama?

– Nie, tu Maks. Jestem właśnie w szpitalu w Lejdzie. – Zawahał się przez moment. – To jeszcze nie koniec nieszczęść, Onno. – A kiedy zapadła cisza, dorzucił: – Ojciec Ady nie żyje.

– Nie mówisz poważnie!

– Sam nie mogę w to uwierzyć.

- Boże, chyba oszaleję. To przecież wszystko nie trzyma się kupy! Taki porządny człowiek. Naprawdę nie żyje?

- Podobno stało się to o wpół do pierwszej. Nic więcej nie wiem.

- A moja teściowa? Jak ona to zniosła? Powiedziałeś jej już, co z Adą?

- Jeszcze z nią nie rozmawiałem. Czekwała na nas, ale poszła już do domu. Zaraz się tam wybieram. Jak Ada?

- Bada ją neurolog, będą robić prześwietlenie.

- No, dobra, to idę. Trzymaj się. Spróbuj się trochę przespać.

- No właśnie. Wstawili mi tutaj łóżko do pokoju Ady. Postaram się, żeby zaraz jutro przewieźli ją do Amsterdamu.

- Pewnie niedługo zadzwoni do ciebie teściowa.

- Dziękuję ci, Maks. Niesamowite, ile dla mnie robisz.

- Daj spokój, to przecież oczywiste.

Maks oddał słuchawkę portierowi, który odłożył ją z powrotem na widełki.

- Czy mógłbym sobie zapisać numer do tamtego szpitala? - A kiedy już to zrobił, spytał: - Mógłby mi pan zamówić taksówkę? Poczekam na dworze.

- Pan też niech się jakoś trzyma - powiedział portier, sięgając ponownie po słuchawkę.

Przed wejściem Maks kilka razy zaczerpnął głęboko powietrza. Co to w ogóle za noc? Tym razem trafiło na niego, inne noce trafiają na innych, także ta dzisiejsza trafiła również na niezliczonych innych - nigdy nie ma takiej nocy ani dnia, ani w ogóle chwili, żeby coś takiego nie miało miejsca, dopóki istnieje ludzkość. Nieszczęście bezustannie krąży nad ziemią niby jaskółka w chmarze komarów, wykonująca gwałtowne zwroty z szeroko rozwartym dziobem.

Kiedy wysiadał z taksówki przy antykwariacie, nareszcie był już prawie suchy. W środku paliło się światło. Gdzieś daleko, w ciszy miasta rozbrzmiewały ryki studentów wracających z knajpy. Gdy tylko zadzwonił, w książkowym lochu pojawiła się Sophia Brons. Twarz miała znieruchomiałą, ale oczy nie były zaczerwienione.

Gdy otworzyła drzwi i ujrzała Maksa, jakby się przeraziła. Szybko wyrzała na ulicę, patrząc najpierw w lewo, potem w prawo.

- Jak ty wyglądasz! Co się stało? Gdzie Ada i Onno?

- Mieliliśmy po drodze wypadek, ale proszę się nie denerwować, wszyscy żyją.

- Wypadek? - powtórzyła. Jej zimne, ciemne oczy patrzyły na niego w taki sposób, że od razu poczuł się wszystkiemu winny. - A dziecko?

- Wszystko w porządku. Są w szpitalu w Hoogeveen. Ja przyjechałem taksówką. Byłem przed chwilą w Klinice Uniwersyteckiej, gdzie usłyszałem tę okropną wiadomość o pani mężu. To musi być dla pani straszne.

Znowu popatrzyła na jego zadrapania i poszarpane ubranie.

– Wszystko ma swój koniec – powiedziała przez zaciśnięte usta. – Wejdz, proszę.

Onno zupełnie nie znał swojej teściowej: nie należała do kobiet, z którymi trzeba się obchodzić jak z jajkiem i które jakiś telefon mógłby wytrącić z równowagi. Szedł za nią przez czytelniczy labirynt do pokoju z tyłu sklepu. „Poezja”. „Technika”. „Teologia”. Na niskim stoliku leżał otwarty album ze zdjęciami, obok okulary do czytania w czarnych oprawkach. Nad brązową kanapą ze sztruksowym obiciem wisiał duży portret Multatulego, który poprzednim razem nie rzucił mu się w oczy: pisarz w romantycznej władczej pozie bawarskiego króla, na ramionach peleryna jako płaszcz z gronostajów, wodniste oczy wypatrujące prawdy.

– Filiżankę kawy?

– O niczym bardziej nie marzę.

Kiedy matka Ady napełniała filiżankę, Maks opowiadał, co zaszło. Gdy z niepewnością w głosie poinformował, że Ada wciąż jeszcze nie odzyskała przytomności, Sophia Brons przestała mieszać swoją kawę i spytała:

– Aż do teraz? Przez całe trzy godziny? – zastanowiła się. – Na szczęście jest jeszcze młoda. Miewałam do czynienia z pacjentami, którzy przez całe dni czy nawet tygodnie leżeli w śpiączce bez żadnych szkodliwych następstw.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Była pani pielęgniarką?

– Dawno temu. W czasie wojny.

– Oczywiście nie mam pojęcia, jak jest teraz. Niedawno dzwoniłem do Onna ze szpitala, wtedy robili jej badania neurologiczne. Może zadzwonię do Hoogeveen? Wziąłem numer.

Wykonała gest w stronę telefonu.

– Proszę bardzo.

– Onno już wie o pani mężu – mówił Maks, wybierając numer. – Był zszokowany. Powiedział też, że postara się, żeby jutro przewieziono Adę do Amsterdamu.

Kiedy uzyskał połączenie, oddał słuchawkę Sophii.

– Mówi Brons. – Dziękuję. – Dziękuję, Onno – Nie mam pojęcia. Byłam na wykładzie o Thoreau i Gandhim. Kiedy wróciłam, leżał nieprzytomny na podłodze w kuchni. – Tak. – Tak, no trudno. – Tak, już słyszałam. Jest tutaj. – Tak. – Tak. – Tak. – Oczywiście. – Tak. – Oh. – Tak. – Tak. – Tak. – Zawiadom mnie wtedy. – Dobrze. – Oczywiście, że tak. – Do jutra. – Odłożyła słuchawkę na widełki.

Kiedy wróciła do stołu, nic nie mówiąc, Maks spytał: – No i?

- Zdjęcia wyszły w porządku. Żadnego pęknięcia podstawy czaszki ani niczego podobnego. Trzeba czekać. Jutro zostanie przyjęta do szpitala w Amsterdamie, może Wilhelmina Gasthuis. Tam jej zrobią EEG.

Maks skinął głową. Nie bardzo wiedział, co powiedzieć, zapytał więc:

- Ile lat miał pani mąż?

- Czterdzieści siedem.

- I w tym wieku zawał? Przecież prowadził takie spokojne życie wśród tych swoich książek.

- Nigdy nie wiadomo, jakie kto naprawdę prowadzi życie.

Maks przytaknął ruchem głowy.

- Pewnie ma pani rację - powiedział i zamilkł na chwilę. - Bywają ludzie żyjący w bezustannym stresie i dożywający setki. Jakie były jego ostatnie słowa?

- „A ten deszcz bębni i bębni”. - Z rękami skrzyżowanymi na piersi patrzyła przez chwilę przed siebie, jakby znowu miała go przed oczami. - Przez cały dzień był zdenerwowany i czuł jakiś lęk. Miał wrażenie, że to przez pogodę.

Popatrzyli na siebie. Maks chciał zapytać, czy bardzo cierpiał, ale wydało mu się to nie na miejscu. Pochylił się nad albumem i zobaczył zdjęcie całej rodziny przy cokole pomnika. U stóp postaci na pomniku leżał większy niż w rzeczywistości uskrzydłony lew. Rozluźniona Ada trzymała głowę na stopniu, pod łapą z brązu, podczas gdy ojciec cofał się z udawanym przerażeniem. Jej matka patrzyła w górę na pomnik, którego nie było widać na zdjęciu.

- Wenecja? - spytał, podnosząc wzrok.

- Dwa lata temu.

- Jesteście tu wszyscy troje. Kto zrobił zdjęcie?

- Jakiś przypadkowy przechodzień.

Maks odchylił się na krześle i patrzył przez niezamknięte drzwi na sklep. Właściwie chciał sobie pójść, ale jednocześnie czuł, że nie wypada mu tego zrobić.

- Co teraz będzie z antykwariatem? Nadal będzie go pani prowadzić?

- Na razie nie chcę o tym myśleć. Najpierw trzeba zorganizować pogrzeb.

Maks pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Wszystko będzie na pani głowie, czy jest jeszcze jakaś rodzina?

- Mam matkę w domu opieki i brata w Kanadzie. Ale mój mąż ma jeszcze dwie siostry, one mi pomogą. Onno też oczywiście powiedział, że zaraz z rana włączy swoją rodzinę.

- Na nich można polegać. Gdybym mógł być pani w czymś pomocny, jestem zawsze do dyspozycji - powiedział oficjalnie i podniósł się z miejsca. - No cóż, nie będę już dłużej przeszkadzał.

Spojrzała na niego pytająco.

- Dokąd się wybierasz? Przecież jest po czwartej. Chyba nie będziesz jechał taksówką do Amsterdamu?

- Mogę się zatrzymać w obserwatorium. Dyrektor mieszka na miejscu, na pewno znajdzie się dla mnie jakieś łóżko. Albo prześpię się po prostu u dozorczy.

Sophia również podniosła się z miejsca.

- Nie ma sensu nikogo budzić. Możesz przecież zanoćować w pokoju Ady. Najlepiej będzie, jak pójdziesz teraz na górę wziąć prysznic.

Właściwie - czemu nie? Bał się, że zostanie bezradną wdowę, rozpaczliwie szlochającą nad ciałem męża, tymczasem wyglądało na to, że z chwilą jego śmierci stała się jeszcze twardsza. Myśl o tym, że musiałby teraz znowu wyjść na ulicę, jemu samemu też wydała się mało zachęcająca. I może zresztą wolałby nie spędzać dzisiejszej nocy sam w domu.

- No cóż, jeśli nie będzie to dla pani zbyt wielkim kłopotem, chętnie skorzystam.

Sophia Brons pogasiła światła i pokazała mu, gdzie jest łazienka - niewielkie pomieszczenie z umywalką, złożoną deską do prasowania pod ścianą i wysokim koszem na brudną bieliznę. Najchętniej wymoczyłby się w wannie, ale była tylko kwadratowa kabina prysznicowa z białą plastikową zasłoną. Szybko zdjął z siebie ubranie, które wciąż jeszcze było nie do końca suche, rzucił je na podłogę i wszedł na uginającą się cynkową blachę brodzika. Próba doczyszczenia go najwyraźniej jakimś kwasem pozostawiła białe ślady na metalu, lecz skromny strumień wody z prysznicza był ciepły i przepełnił go błogim uczuciem, zupełnie jakby nie miał już dzisiaj dosyć wody. Na sznureczku wisiało jajowatego kształtu różowe mydło, którym wreszcie mógł wszystko z siebie zmyć - nie tylko brud, ale także w pewnym sensie bliskość tego, co się stało.

Kiedy odsunął zasłonę, zobaczył na umywalce ręcznik kąpielowy i złożoną piżamę.

Oczywiście ojca Ady. Nogawki były za krótkie, ale flanela miękka i przyjemna. W pokoju Ady, na tyłach domu, jej matka właśnie przygotowywała mu łóżko. Okno było otwarte. Rzuciła mu krótkie spojrzenie.

- No, zupełnie co innego.

Nigdy tutaj nie był. Większość rzeczy Ada zabrała oczywiście do Onna, ale parę dziewczęńskich drobiazgów jednak zostało. Lalki i pluszowe zwierzaki na długiej półce obok książek dla dziewcząt, różne drobiazgi i bibeloty, pusзки, buteleczki, na ścianie wielki plakat z melancholijnym psem, ale także zdjęcie Strawińskiego w ramach i pogięty pulpit na nuty z wełnianym króliczkiem. Wszystko wyglądało bardzo porządnie, widocznie pokój został całkiem niedawno odmalowany.

Życzyli sobie nawzajem dobrej nocy i Maks położył się do łóżka. Obok niego na ścianie wisiał sznur, a na suficie widać było taki sam wyłącznik w kształcie papuziego dzioba jak w jego dzieciennym pokoju u matki. Wydał z siebie to samo pstryknięcie i w jednej chwili Maksa ogarnęły ciemności. Za oknem panowała głęboka cisza. Podłożył ręce pod głowę i zamknął oczy. Czy to naprawdę dzisiaj odbierał tamtych dwoje ze stacji? Walczą się na drodze korona drzewa...

Obudził się, kiedy wsunęła się obok niego pod kołdrę. Z początku myślał, że to mu się śni, bo przecież było to niemożliwe. Ale to nie był sen, nagle poczuł obejmujące go ramię Sophii i jej ciepłe ciało obok siebie, wstrząsane szlochem. Włosy miała rozpuszczone. Nie, to naprawdę niemożliwe, nie do pomyślenia!

- Co się dzieje? - spytał.

- Nie gniewaj się - powiedziała, szlochając, i wtuliła twarz w jego szyję. - Jak chcesz, możesz kazać mi wyjść. To przez to, jak wyglądałaś, te zadrapania i poszarpane ubranie. Dokładnie tak samo wyglądał Oswald tego dnia, kiedy go poznałam, w czasie wojny, po bombardowaniu... to był dokładnie ten sam dzień i miesiąc, co w dacie jego śmierci. Oczywiście był zwykłym safandulą, ale jednak... No i jeszcze Ada... Może i lepiej, że on tego nie dożył...

Maks przeraził się jej słowami. Czy to możliwe, żeby nastąpił aż tak fatalny zbieg okoliczności? Nie wiedząc, co robi, też objął ją ramieniem, w geście ojcowskiego pocieszenia i zarazem szukania pomocy, i wtedy poczuł pod cienką, podwiniętą koszulą nocną jej miękkie plecy i pełne biodra. O co tu chodzi? Jej ciało dokładnie pasowało do kształtu jego ciała, jej piersi, jej brzuch, zupełnie jak instrument do futerału. Nieświadomie pogładził jej okazałe nagie pośladki, nie takie, jakie ma młoda dziewczyna, lecz dojrzała, czterdziestoparoletnia kobieta - i zupełnie jakby jego dłoń porwał jakiś niewidzialny wir, wsunął ją między nie i od razu znalazł się w innym, tropikalnym świecie wilgoci, włosów, żywego ciała, które w ciemnościach jakby okryło go całego. Zaczął dygotać, pocałował ją, ona ściągnęła mu w dół spodnie od piżamy i bez żadnej pomocy zniknęła w niej, zupełnie jakby jej otwór był wszędzie. Cały czas miała wysunięty daleko język, z jej krtani wydobywało się głuche rżenie, a w głębi jej brzucha coś przy każdym ruchu przysysało się do jego żołądki - co to za tajemnica? Czyżby szyjka macicy? Przez moment pomyślał o jej mężu, zeszywniałym teraz na katafalku w kostnicy, który musiał czuć to samo, płodząc Adę, ale dalej już nie myślał. To przysysanie szybko doprowadziło go do szczytu, zupełnie jakby pracowała pompa. Oddech zamarł mu w piersi i z głośnym krzykiem przekroczył punkt, od którego nie było powrotu, by z drugim i trzecim, i czwartym krzykiem wytrysnął do jej wnętrza. Zlany potem, zdyszany, opadł na plecy i zanim jeszcze zdążył dojść do siebie, ona już zniknęła. Usłyszał tylko odgłos zamykanych drzwi.

Nie widział jej. Poszukał dłonią sznura wyłącznika i oślepiony zamknął oczy. To niemożliwe, żeby to, co się właśnie stało, było prawdą! To musiało być przywidzenie wywołane emocjami i zmęczeniem! Pomacał penisa, wciąż jeszcze do połowy wzwiedzonego i całkiem mokrego. Zdumiony zadawał sobie pytanie, czy naprawdę właśnie przespał się z babką własnego dziecka w łóżku jej córki, która parę godzin wcześniej miała wypadek, ubrany w piżamę jej zmarłego przed kilkoma godzinami męża. Te dwa ostatnie fakty były w każdym razie pewne. Jak oni sobie rano spojrzą w oczy? Kto kogo uwiódł? Oczywiście ona jego! Po raz pierwszy w życiu to jego uwiedziono. Może od lat nie sypiała z mężem? Czy nie powinien teraz wstać, zostawić jakiś liścik i wynieść się stąd? Ale jak go zacząć? „Droga Sophio? Szanowna Pani?” Jedno bardziej niemożliwe od drugiego. A może w ogóle bez nagłówka? Myśl, że znowu musiałyby włożyć swoje brudne rzeczy i jednak pójść przez ogród botaniczny do obserwatorium, była dla jego ciała ostatecznym sygnałem, że musi jakoś zapomnieć o dzisiejszym dniu. Świadomości starczyło mu jeszcze na tyle, żeby pociągnąć za sznur wyłącznika.

Obudził się kwadrans po dziewiątej i wspomnienie nocy natychmiast przepełniło go niepokojem. Jak zawsze, kiedy się budził, strzelił stawami kciuków. Szybko wyskoczył z łóżka i rozsunął zasłony. Na dworze było spokojnie, tylko połamane gałęzie i szczątki dachówek przypominały, co się działo. Na krześle wisiało jego ubranie, wszystko suche, czyste i wyprasowane, nawet buty nosiły ślady pastowania. W łazience na umywalce stały jeszcze przybory do golenia pana Bronsa, ale ich nie tknął. Kiedy zszedł na dół do pokoju, Sophia właśnie telefonowała. Włosy znowu miała upięte, skinęła mu głową na powitanie i bez słowa wskazała dzbanek kawy stojący na stole.

Nalewając sobie kawy, słyszał jej rozmowę, która dotyczyła nekrologów i pogrzebu. Zachowywała się wobec niego normalnie, w jej oczach znowu była obojętność zakonnicy, jakby zupełnie nic nie zaszło. Jeśli specjalnie wybrała tę postawę, to rzeczywiście wiele mu ona ułatwiła. A może naprawdę nic nie zaszło? Może to wszystko tylko mu się śniło? Rzucił ukradkowe spojrzenie w jej stronę. Czy to ta sama kobieta, która w nocy wysuwała z ust cały język? Dopiero teraz zauważył, że ma całkiem niezłą figurę, jest pełniejsza niż Ada, ale wszędzie proporcjonalna, bez rozmytych tuszą konturów, a jej mocne łydki z gracją przechodziły w cienkie kostki.

– Dzwoniła Dol, siostra Onna – powiedziała, odkładając słuchawkę. – Wzięła wszystko na siebie. Dobrze się spało?

– Znakomicie. Wielkie dzięki za przywrócenie ludzkiego wyglądu moim rzeczom.

Sophia powiedziała, że dzwonił też Onno. Stan Ady nie uległ zmianie, rano przewieziono ją karetką do Amsterdamu. Sophia zamierza pojechać do niej po południu.

- Powiedziała pani, że tu nocowałem?
- Oczywiście, przecież tak właśnie było. Może sadzone jajko?
- Bardzo chętnie, dziękuję.

Kiedy wyszła do kuchni, pomyślał: Ta kobieta składa się z dwóch części. Jest Sophia dzienna i Sophia nocna, i jedna nie ma nic wspólnego z drugą – istota chłodna, pozbawiona uczuć i druga, przepełniona emocjami. Przypomnił sobie, jak Ada mówiła o niej czasem jak o jakiejś wstydlivej tajemnicy, ale czy tak naprawdę dobrze znała matkę? Było to dla niego fascynujące, z drugiej jednak strony nie miał wątpliwości, że nie wolno mu ani słowem wspomnieć o tym, co zdarzyło się w nocy.

Zastanawiał się, co ma dzisiaj do zrobienia. Oczywiście musi zadzwonić do Onna, a potem udać się do obserwatorium i uprzedzić wszystkich, że być może zniszczeniu uległy wyniki całotygodniowych obserwacji. Musi zadzwonić do Dwingeloo, żeby Floris skontaktował się z policją. Musi zadzwonić do firmy ubezpieczeniowej i do warsztatu. Samochód nie był do kasacji, silnikowi przypuszczalnie w ogóle nic się nie stało, ale nie chciał go więcej oglądać. Niech go ściągną i sprzedadzą. Wyjął notes i zamierzał zapisać parę rzeczy, ale okazało się, że grafit ołówek jest złamany. Kiedy go temperował, odezwał się dzwonek przy drzwiach sklepu.

- Zobacz, kto to, dobrze? – zawołała Sophia z kuchni.

Zszedł po schodkach i ruszył przez labirynt książek. Przy kasie stał wysoki, chudy jegomość z krótką czarną bródkę, który dziwnie przenikliwie wbił spojrzenie w Maksa.

- Czy ma pan coś o metempsychozie?

Metempsychoza – to brzmiało jak nazwa choroby psychicznej. Maks poszukał wzrokiem dokoła.

- Może w pudle z psychiatrią...
- Chodzi o wędrówkę dusz – powiedział mężczyzna, nie spuszczać go z oczu.

Maks już miał na końcu języka, żeby powiedzieć, że nie ma nic z tego działu turystyki, kiedy pojawiła się Sophia.

- Antykwariat nieczynny, proszę pana. Śmierć w rodzinie – powiedziała. A zwracając się do Maksa, rzekła: - Jajko już gotowe.

Wyprowadzenie zwłok

Wieczorem tego dnia, w drodze do „Keyzera”, gdzie umówił się na siódmą z Maksem, Onno z przestrachem spojrzął na gmach Concertgebouw: kompletnie zapomniał powiadomić orkiestrę! A przecież zaraz miał się rozpocząć koncert! Kiedy przy wejściu dla artystów pytał, czy jest ktoś z administracji, zobaczył przechodzącą z klarnetem Marijke. Opowiadając jej, co zaszło, widział, jak krew odpływa jej z twarzy, obiema rękami przycisnęła futerał do piersi, jak dziecko, które trzeba przed czymś ochronić. Obiecała, że przekaże wiadomość, i powiedziała, że jutro pójdzie odwiedzić Adę.

– Na razie możesz sobie darować – powiedział Onno. – Ada jeszcze nie odzyskała przytomności i zupełnie nie wie, co się wokół niej dzieje.

– A ty skąd wiesz? Zresztą chcę do niej pójść, także dla siebie samej.

Podał jej numer pokoju Ady, cmoknął w czoło i przeszedł na drugą stronę ulicy, gdzie mieściła się restauracja wypełniona gośćmi szykującymi się na koncert.

Maks siedział przy niewielkim stoliku pod ścianą.

– No i? – spytał od razu.

– Nie najlepiej.

Około południa Onno dowiedział się od neurologa, że EEG na szczęście nie jest „płaskie”, jak się obawiał, ale daje „dość niepokojący, poważnie spowolniony obraz”.

– Znam te określenia z mojej dziedziny – skinął głową Maks.

– Powiedział, że na razie nie może nic prognozować, dopiero jeśli nic się nie zmieni przez dwa albo trzy miesiące, będzie można mówić o nieodwracalnej śpiączce.

– A jak człowiek ma płaskie EEG...

– ...to jest rośliną.

Siedzieli naprzeciw siebie w milczeniu.

– Ale zakładając, że... – zaczął Maks z wahaniem – Ada jest teraz w piątym miesiącu... gdyby rzeczywiście...

– Podobno nie ma to żadnego wpływu na dziecko.

Nagle Maks uświadomił sobie, że jest już jedyną osobą, która może opowiedzieć, co się zdarzyło nad Zatoką Meksykańską. Ale nawet jeśli tak miałyby zostać, niewiele mu to dawało, bo gdyby Ada nie doznała tego wypadku, też nigdy by nic na ten temat nie powiedziała.

– A co potem? – spytał niepewnie.

– No właśnie, to jest problem. Ale na razie nie ma się nad czym zastanawiać. A tak w ogóle, to wszystko zdarzyło się zaledwie zeszłej nocy, czy ty sobie wyobrażasz? Dzisiaj po południu odwiedziła ją matka, była kiedyś pielęgniarką, ona też powiedziała, że widywała wielotygodniowe utraty przytomności. – Onno słyszał swoje własne słowa, a jednocześnie widział nieruchomą twarz Ady na poduszce, tę straszną sondę w nosie i to, jak on sam po południu w pustym domu przez długie minuty siedział, wpatrując się w jej wiolonczelę, jakby to był nagrobek.

– W każdym razie dziecku nie grozi żadne niebezpieczeństwo – powiedział Maks z namysłem.

– Co do tego wszyscy byli zgodni.

Kelner przyniósł menu, ale Onno wykonał odmowny gest ręką i zamówił cztery kromki i dwie szklanki mleka. Maks najchętniej w ogóle by nic nie jadł i zamówił tylko talerz zupy jarzynowej. Miał wrażenie, jakby Onno był bardziej optymistyczny od niego, on sam nie bardzo już miał nadzieję – do tego dochodziło też oczywiście to, co powiedziała Sophia, po raz pierwszy w nocy.

– A ty znowu zaczynasz z tymi swoimi krokicikami i mlekiem – rzucił.

Onno westchnął głęboko.

– Jeśli miałbym być całkiem szczery, ale oczywiście nie wolno ci tego nikomu powtórzyć, to moim zdaniem nie jest to jeszcze samo w sobie najgorsze. Jestem komicznym typem ożenionego kawalera.

Maks uśmiechnął się. Chciał powiedzieć, że w takim razie on sam, jako wieczne przeciwieństwo Onna, jest tragicznym typem samotnego małżonka – ale było to zbyt dwuznaczne, żeby mogło mu przejść przez gardło. Onno ze swojej strony oczywiście od razu to sobie pomyślał i wiedział, że Maks pomyślał to samo, ale też doceniał w nim to, że nie chciał jednak popaść w zwykły między nimi kpiarski ton.

Maks rozłożył sobie serwetkę na kolanach.

– Jak zareagowała twoja teściowa, kiedy zobaczyła Adę?

– W zupełnie niepojęty sposób. Popatrzyła na swoją córkę, jakby to był pierwszy lepszy pacjent. Ani śladu uczuć, przecież w końcu dopiero co umarł jej mąż. Naprawdę, mieć taką matkę to aż strach. Nigdy nie chciałem wierzyć Adzie, ale teraz przekonałem się na własne oczy.

– Dla mnie była bardzo miła – powiedział Maks, nie patrząc na Onna – nie mogę powiedzieć złego słowa. Zaoferowała mi nocleg, wyprasowała spodnie i usmażyła na śniadanie jajko. Może ma trudności z wyrażaniem uczuć.

– Tak, tak. Mógłbym ci opowiedzieć o niej parę rzeczy, które słyszałem od Ady, ale tego nie zrobię. Może je zresztą znasz. Aha, w poniedziałek odbędzie się kremacja jej ojca, dostaniesz zawiadomienie. Przyjdiesz czy znowu będziesz siedział w Dwingeloo? – Nagle zmienił wątek: – Co się z tobą dzieje? Wyglądasz, jakbyś narobił w spodnie.

Oczy Maksa zrobiły się okrągłe ze zdumienia. Stwierdził bowiem, że na myśl o tym, iż ma szansę znowu zobaczyć Sophię, dostał erekcji pod serwetką. Co to wszystko ma znaczyć, na miłość boską? Czy to oznacza, że podobnie jak Ada i Onno nie potrafi zrozumieć do końca nie tylko Sophii Brons, ale także samego siebie?

Volkswagenem pożyczonym w warsztacie Maks przyjechał z Dwingeloo do krematorium na wydmach pod Hagą. Rzeczywiście powinien raczej zostać w obserwatorium, ale kiedy powołał się na nieszczęście, jakie mu się przytrafiło, zaraz ktoś zgodził się przejąć jego obowiązki.

To tutaj cała nadzieja rozwiewała się z dymem. Zupełnie tak samo jak przed trzema miesiącami na ślubie Onna, panował tutaj ożywiony ruch – tym razem jednak chodziło o unicestwienie tego, pod co bezustannie kładzie się podwaliny w urzędach stanu cywilnego. Takie same czarne limuzyny, tylko tym razem bez białych wstążek na lusterkach, wjeżdżają i wyjeżdżają przez bramę, bez konfetti i śmiechów, za to w ołowianej ciszy, wypełnionej co najwyżej cichym zgrzytem muszelek miażdżonych kołami samochodów. Maks głęboko wciągnął w płuca morskie powietrze. I tutaj wszędzie stały grupki osób, ale nie widział nikogo znajomego. Przy bramie jakiś człowiek w czarnym garniturze i z kapeluszem w dłoni spytał, do którego ze zmarłych przyszedł. Na jego twarzy malował się tak bezmierny, uniwersalny, niemalże sylogistyczny smutek z powodu śmiertelności wszystkich ludzi, a więc także Sokratesa, że nikt nie mógł się z nim nawet równać swoim indywidualnym cierpieniem. Nabożeństwo za pana Bronsa miało się odbyć w małej sali. Żałobnicy jeszcze nie przybyli.

Poszedł leśną ścieżką wzdłuż kolumbariów. W niszach muru stały urny niby słoje w osiemnastowiecznej aptece, a jednocześnie wyglądało to nieco azjatycko, miało w sobie coś chińskiego, coś z zaginionej od tysiącleci kultury. Sam nigdy nie chciałby zostać poddany kremacji, było to dla niego zbyt definitywne. Kiedyś doszli razem z Onnem do wniosku, że powinno się móc decydować, czy po śmierci powróci się do ojca czy do matki. Jeśli chcesz powrócić do ojca, wtedy trzeba dać się spalić, ponieważ jest to duch, natomiast matka to ziemia, ciało. Od czasu tej rozmowy dla Onna było jasne, że da się skremować. Słońce świeciło ukośnie nad wierzchołkami drzew i kiedy wyłoniło się przed nim krematorium, ujrzał nad niskim, płaskim dachem wątlą smużkę bladoniebieskiego dymu, odcinającą się od ciemnego tła lasu niby dymek z papierosa. Przed wejściem do środka postanowił obejść najpierw cały budynek dookoła.

Kiedy znalazł się na tyłach, aż go zatkało. Nie z powodu stojącego tam kontenera na śmieci, ponieważ odpadki wszędzie były czymś nieuniknionym; nawet nie z powodu kierowców rozprawiających przy wtórze śmiechu obok karawanów, bo w końcu to też tylko ich zawód – chodziło o kwadratowy komin, który znał z Birkenau. W tej chwili nie wydobywał się z niego dym, tylko rozedrgany żar. U stóp komina widniała kratownica, zza której dobiegał warkot wentylatorów. Nie widział tego, a jednocześnie widział: jak palacze gdzieś tam pod ziemią wytaczają z wind wózki z trumnami, pchają je po wykafelkowanej podłodze w blasku neonowego światła i wsuwają razem z kwiatami w rozżarzone do białości piekło. Oczywiście nie tysiące dziennie, ale dwie, trzy na godzinę, właśnie to jednak odbywało się tam na dole.

W poczekalni obok małej sali zebrało się już nieliczne towarzystwo. Byli rodzice Onna i mąż najmłodszej z siostr, Karel, neurochirurg z Rotterdamu. Tych innych – czyli oczywiście przyjaciół i znajomych Oswalda Bronsa, wolnomyślicieli i anarchistów, a może nawet anonimowych alkoholików – nigdy wcześniej nie widział na oczy. Tylko mgliście przypominał sobie ojca Ady, ale jakoś miał wrażenie, że są do niego podobni: trochę niechlujni, jak to socjaldemokraci, ale z odjęciem kołtuństwa i dodaniem pewnej intelektualnej jasności w spojrzeniu. Czytywali książki, chociaż najpewniej takie, jakich nikt poza nimi nie czytał. Onieśmieleni spoglądali na kalwińskiego ministra stanu, który czytywał głównie jedną konkretną Księgę Książ.

Poza tym znał tylko Brunona. Pianista przeczytał gdzieś nekrolog i spytał go teraz, jak Ada zareagowała na śmierć ojca.

– Wcale – odrzekł Maks.

Kiedy krótko zdał Brunonowi relację z tego, co zaszło, ten spytał przestraszony, czy Ada do dzisiaj nie odzyskała przytomności, ale tego Maks nie wiedział. Przeprosił i podszedł przywitać się z rodziną Onna. Dla niego również było czymś oczywistym, że rozmawia się o Adzie, a nie o jej ojcu. Z pewnym wahaniem Karel, neurochirurg, potwierdził, że nawet długotrwała śpiączka wcale nie musi oznaczać spustoszenia mózgu, ale oczywiście wolałby, żeby Ada obudziła się już dzisiaj niż dopiero jutro. W każdym razie pień mózgu, gdzie znajduje się ośrodek oddechowy, nie jest uszkodzony.

– Biedne dziecko – powiedziała matka Onna. – I to jeszcze w błogosławionym stanie. Czy to nie woła o pomstę do nieba?

– Nie wolno tak mówić, To – odezwał się Quist z kamienną wyższością. – Niezbadane są drogi Opatrzności.

– No tak, oczywiście, ale...

– W obliczu Opatrzności nie ma żadnego „ale”.

Jego żona umilkła speszona.

– Właściwie to wszystko wyglądało bardziej na sprawkę diabła – powiedział Maks. – Zatrzymaliśmy się przy przewróconym drzewie i dokładnie w to właśnie miejsce w chwilę później zważyło się drugie.

Quist posłał mu krótkie spojrzenie, którego Maks nie umiał tak do końca zinterpretować: z jednej strony mówiło, że diabeł jest dobry wyłącznie dla obrazoburców albo katolików, co w praktyce na jedno wychodzi, a z drugiej wyrażało coś jakby sympatię, że pośpieszył jego żonie z manichejskim argumentem, pomocnym w rozwiązaniu dylematu teodycei. A może jest tak, pomyślał Maks, że naprawdę wierzyć w Boga można tylko wtedy, kiedy wierzy się też w diabła. Jeśli wierzy się wyłącznie w Boga, od razu zaczynają się problemy. Bo skąd się wtedy wzięły komory gazowe? Albo dlaczego tamto drzewo upadło właśnie tam, gdzie upadło? Dlaczego boskie dzieło stworzenia jest tak kruche, że aż potrzebuje ponownego przyjścia Mesjasza? „A Bóg widział, że wszystko, co uczynił, było bardzo dobre”, ale wcale nie było dobre. Do niczego się nie nadawało.

Jeden z pracowników, który mimo młodego wieku także był już całkowicie złamany bólem, powoli otworzył drzwi do sali. Maks wszedł do środka jako ostatni. Okryta kwiatami trumna stała pośrodku zupełnie jak pocisk, który zaraz zostanie wystrzelony. W pierwszym rzędzie zobaczył Onna, jego siostrę Dol oraz Sophię z jakąś starszą panią, która musiała być jej matką, pozostali to była rodzina Bronsów. Dol wpadła na pomysł, żeby odegrano drugą część koncertu wiolonczelowego Dvoraka, dzięki czemu Ada była bardziej obecna, niż gdyby była tu naprawdę. Maks miał wrażenie, jakby muzyka była jedynym, co porusza się w tej sali. Spoglądał na siwą głowę babki Ady, z włosami upiętymi w kok. Czyżby miał przed sobą prababkę swego dziecka?

Kiedy powoli wyciszono muzykę, złamany bólem młodzieniec wystąpił krok naprzód i powiedział, trzymając czapkę w dłoniach:

– Głos zabierze pan Akkersdijk.

Wyciągnąwszy kartki z wewnętrznej kieszeni marynarki, pomiędzy rzędów wyszedł mężczyzna o siwiejących skroniach i stanął przy pulpicie. Rozpostarł kartki, rzucił zebrany mroczny spójrzenie i rzekł z wielkim zdecydowaniem w głosie:

– Oswald Brons nie żyje.

Oto przemówił ktoś, komu obce są wszelkie wątpliwości. Podczas kiedy pan Akkersdijk przedstawiał zasługi Oswalda Bronsa dla sprawy wolnej myśli i zwycięstwa rozumu nad wszelkiej maści obskurantyzmem, zwycięstwa naukowego ateizmu nad dogmatyzmem kościołów wszystkich wyznań, zwłaszcza w okręgu Lejdy, czemu Oswald poświęcił najlepsze siły, Maks, patrząc z tyłu na Onna, wiedział, że ten myśli teraz o swoim ojcu, który musi to jakoś znieść. Rozejrzał się wokoło. Jasna sala o ceglanych ścianach była tak piękna i naga jak strumień zimnej wody z kranu – funkcjonalna architektura współczesnej śmierci. A może jednak prawdziwą architekturą smutku i żałoby nadal pozostaje mroczny kościół, wypełniony dymem kadzideł, z kolumnami i malowidłami w ciemnych niszach, gdzie płoną świece, z majaczącymi obrazami, ukrzyżowanymi bogami i świętymi sprzętami? Czyż nie było to bardziej użyteczne pod względem emocjonalnym? Widocznie zapomnieli o tym wegetariańscy ikonoklaści spod znaku Bauhausu i De Stijl.

Na zakończenie swojej przemowy pan Akkersdijk zacytował gorzki aforyzm Multatulego, a jego głos przypominał wtedy głos kapłana czytającego werset z Biblii. Złożył tekst i niejako w sprzeczności ze swym światopoglądem spojrzął na trumnę i rzekł sucho:

– Do zobaczenia, Oswaldzie.

I znowu sale objęła w posiadanie muzyka. Po półminucie Maks zaczął się zastanawiać, na co wszyscy czekają – kiedy nagle spostrzegł, że trumna niemal całkowicie zniknęła w podłodze. Także kwiaty przestały być widoczne i powoli zasunęły się drzwi zapadni. Teraz do pracy przystąpili ci z piwnicy, spoceni mężczyźni z brzuchami rozdętymi od piwa i papierosami w kącikach ust. Najchętniej wyszedłby na dwór, żeby zobaczyć, jak nagle z komina zaczyna wydobywać się dym. Pomyślał o Adzie. Kiedy palono ciało jej ojca, ona leżała na łóżku, o niczym nie wiedząc. A może między ojcem a córką istnieje tak głęboka, podziemna więź, że jednak jakoś zdawała sobie z tego sprawę? Może więź podobna do tej między nią a nienarodzonym dzieckiem albo między matką a synem?

Kiedy procedura w podziemnym świecie dobiegła końca, młody człowiek znowu wystąpił krok do przodu i uczynił zapraszający gest w stronę rodziny. W tym samym momencie w bocznej ścianie otworzyły się podwójne drzwi i nagle po sali – niby woń kadzideł z królestwa żywych – rozszedł się zapach kawy. Wszyscy obecni ustawili się w kolejce, Maks złożył kondolencje jako ostatni. Bez słowa uściśnął dłoń Sophii, uświadamiając sobie jej ciepło, ale chociaż ona musiała po nim poznać emocję, nie okazała niczego. Przedstawiła go matce, która, opierając się na lasce, spoglądała na niego takimi samymi chłodnymi oczami i powiedziała:

– Podobno siedział pan wtedy za kierownicą, jak słyszałam. Jakie to wszystko straszne.

Skinął w milczeniu głową. Matka Oswalda Bronsa rozplakała się, wskutek czego także jej mąż nie potrafił się opanować. Im jednak młodsze pokolenie, tym znośniejsze było cierpienie: najmłodszy kuzyni i kuzynki byli w niedwuznacznie wesołym nastroju.

Za nim nie było już w kolejce nikogo i Maks spytał Onna, jak się dzisiaj czuje Ada.

– Bez zmian – powiedział Onno i przeprosił, że musi pójść do ojca i matki naprawić szkody, jakich narobił pan Akkersdijk. – Na co ja tych biedaków narażam... Kiedyś spotka mnie za to kara. Aha, zaraz potem idziemy na Statenlaan do moich rodziców, ale to spotkanie tylko dla najbliższej rodziny. Nie bardzo mogę cię zaprosić.

– Oczywiście, rozumiem. Zadzwoń do ciebie jutro.

Przy bufecie wziął sobie kawę i ciasteczko, wmieszał się między obecnych, tu i tam zamienił z kimś słowo. Co chwila rzucał krótkie spojrzenie wdowie, ale ona nie patrzyła w jego stronę. To oczywiste. Popełnił wielki błąd i powinien wybić sobie całą sprawę z głowy. Był to nieistotny incydent, raz jeden zapomniała się pod wpływem sytuacji, ale teraz trzyma się w karchach. Znowu była kobietą nieosiągalną, tak jak dotychczas. Może nawet wmówiła sobie, że zupełnie nic nie zaszło.

Mimo wszystko jednak, kiedy zaczęli się już zbierać do wyjścia, postarał się znaleźć w pobliżu niej. Pomagając matce podnieść się z miejsca, Sophia zwróciła się do niego:

- Nie szukałeś przypadkiem temperówki? Zostawiłeś ją w zeszłym tygodniu.
- Ach, więc to u pani! Spojrzała na niego beznamiętnie.
- Do widzenia. Dziękuję, że przyszedłeś.
- Do widzenia pani.

Maks najchętniej poszedłby po temperówkę jeszcze tego samego wieczora, ale było to oczywiście wykluczone. Także następnego dnia jego myśli bezustannie przeskakiwały od układu 3C296 do ssania we wnętrzu pani Brons. Przecież to było oczywiste zakamuflowane zaproszenie! „Do widzenia”. A może tylko jemu się tak zdaje? Może jej naprawdę chodziło wyłącznie o temperówkę? Ale czy wtedy wracałaby do czegoś tak nieistotnego jak zapomniana temperówka zaraz po ceremonii skremowania małżonka? Gdyby to było przynajmniej wieczne pióro albo jakaś wyjątkowa temperówka, ale był to najzwyczajniejszy w świecie przyrząd za grosze, którego braku nawet nie zauważył, bo miał takich w domu i w obserwatorium jeszcze co najmniej pięć albo dziesięć. Nie odwiedził jej także następnego wieczora, tylko zmusił się, żeby pojechać samochodem do Amsterdamu, ponieważ zdawał sobie sprawę, że może się znowu w coś wpakować. Czy już nie dość sobie narobił kłopotów? Pierwszy raz wydarzył się z inicjatywy Sophii Brons i w nadzwyczajnych okolicznościach, w pewnym sensie zatem w ogóle nie miał miejsca. Lecz za drugim razem inicjatywa miała już być po jego stronie, był to nowy początek, w rezultacie wszystko na pewno będzie inaczej. Potem nastąpi pewnie trzeci raz i czwarty. Czy może to pozostać tajemnicą? A gdyby tak Onno się o tym dowiedział! Poza tym: wkrótce jej córka urodzi dziecko, które być może będzie jota w jotę podobne do jej kochanka – i co wtedy? Wszystko okaże się wówczas podwójnie tragiczne i może nawet groźne. Jako człowiek nauki nie mógł też wykluczyć ewentualności, że wszystko skomplikuje się jeszcze potrójnie, bo na przykład także Sophia zajdzie z nim w ciążę.

Ale sprawa była już nie do odwrócenia. Wspomnienie tego ssania oraz podniecających okoliczności tamtej nocy sprzed tygodnia odebrały mu wszelkie zainteresowanie innymi kobietami. Zupełnie jak ktoś, kto rzucił palenie i przez cały dzień myśli tylko o papierosach, kręcił się po obserwatorium, szedł do ogrodu botanicznego, wracał, chodził tam i z powrotem po swoim gabinecie, wypadał na kawę, prowadził rozmowy, o których natychmiast zapominał, a kiedy wszyscy rozjechali się do domów, zjadł kolację u Chińczyka, u którego często bywał z Adą. Wypił trzy czarki sake i o wpół do dziesiątej wykręcił numer telefonu, który miał w notesie zapisany pod imieniem Ada.

- Brons.
- Mówi Maks Delius. Dzwonię w sprawie temperówki.
- Leży na stole.
- Nie miałyby pani nic przeciwko temu, żebym jeszcze dzisiaj wpadł ją zabrać, czy może już za późno?
- Wcale nie jest jeszcze tak późno.
- W takim razie niedługo u pani będę.

Rozdygotany zapłacił rachunek i pojechał do antykwariatu „Pochwała Głupoty”. Zaparkował dwoma kołami na chodniku i postanowił, że nie wykaże żadnej inicjatywy, jak miał w zwyczaju dotychczas. Po prostu zobaczy, co się stanie.

Sophia Brons otworzyła w czarnych okularach do czytania na czubku nosa.

– Witaj, Maks.

– Dzień dobry pani.

Szedł za nią przez antykwariat, który sprawiał wrażenie czynnego. W salonie chodził telewizor, dźwięk był wyłączony. Na jakimś placu, chyba w Rzymie, policja rozprawiała się z tłumem demonstrantów.

– Co się dzieje?

– A, to? Nie mam pojęcia, chciałam obejrzeć film z Gretą Garbo, który ma zaraz być. Siadaj, a może musisz zaraz wyjść?

Kiedy przygotowywała dla niego kawę w kuchni, Maks podkręcił głoś i usiadł na kanapie. Od chwili kiedy Ada zaszła w ciążę, wydarzenia polityczne przechodziły obok niego. Oczywiście czytał w gazetach, co się dzieje, a działa się dużo, ale czytał to zupełnie tak, jak czyta się ogłoszenia albo wiadomości gospodarcze. Nic nie przedostawało się do tego obszaru, w którym od tamtej chwili mieszkał już niejako wyłączenie – teraz także tak było. Kiedy Sophia weszła z kawą, w telewizorze pokazały się pierwsze napisy filmu *Anna Karenina*.

Maks miał w domu przenośny telewizor z wysuwaną anteną pokojową w kształcie litery V, ale rzadko kiedy go włączał. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek oglądał z Adą telewizję. Teraz jednak, w tym pokoju na tyłach sklepu z książkami, w najgłębszej tajemnicy, ta najbardziej kołtuńska ze wszystkich przyjemności ukazała nagle swoją podniecającą drugą stronę, zupełnie jak niewinny bucik dla fetyszystycznego miłośnika obuwia. Sophia siedziała w małym foteliku z nogą założoną na nogę, mieszała kawę i patrzyła na rozgrywający się dramat. Nie odzywali się do siebie. Jakies dziesięć lat temu przeczytał tę powieść, ale odnosił wrażenie, że film nie ma z książką więcej wspólnego niż zdjęcie miejsca katastrofy z samą katastrofą. Pałace, olśniewające mundury. Nieprzenikniona twarz Garbo, śpiewny ton rozpaczy w jej głosie. Kątem oka patrzył od czasu do czasu na Sophię, na jej piękne, szczupłe kostki nóg. Pomyślał sobie, że tym samym, czym kiedyś dla rodziny był piec, wokół którego wszyscy siedzieli, stał się dzisiaj telewizor. Chciał jej to powiedzieć, ale czuł, że powinien jednak trzymać język za zębami.

Kiedy gwizd i syk złowieszczej lokomotywy oraz niesamowite kłęby pary ustąpiły miejsca najnowszemu wydaniu wiadomości, Sophia wyłączyła aparat i spytała Maksa, czy się jeszcze czegoś napije.

– Może kieliszek wina?

– Jeśli nie będzie to dla pani kłopotliwe...

- Ja chodzę spać dosyć późno, ale ty musisz wracać do Amsterdamu.
- Dotrę tam w pół godziny. O tej porze na drogach jest pusto.

Czy to była z jej strony gra, czy też nie? Kiedy nalała mu wina z otwartej już butelki rioi, rozmawiali o Adzie. Rano Sophia znowu była u niej w szpitalu: stan Ady nadal był bez zmian i lekarze zaczęli się już wyraźnie niepokoić. Ponieważ Sophia dała do zrozumienia, że jest dyplomowaną pielęgniarką, rozmawiali z nią inaczej niż ze zwykłym członkiem rodziny. Poznała szczegóły analiz laboratoryjnych, badań funkcji motorycznych i odruchów ocznych. Dopiero za kilka tygodni będzie można próbować coś prognozować, nadal jednak istniała nadzieja i na razie wszyscy się tego trzymali. W literaturze medycznej opisywano nawet przypadek czterdziestoletniego mężczyzny, który leżał w śpiączce półtora roku, a potem jednak się obudził i zaczął mówić, jakkolwiek był prawie całkowicie sparaliżowany i skazany na pomoc z zewnątrz.

Maks pokiwał głową. Sophia na pewno myślała teraz dokładnie o tym samym co on: jak to będzie, kiedy Ada nie odzyska jednak przytomności. Chciał do tego nawiązać, ale nie miał odwagi. Na pytanie o antykwariat Sophia odpowiedziała, że otwiera po południu, ale że dłużej się tak nie da, ponieważ jeśli ktoś przychodzi pobuszować i znajdzie coś do kupienia, to sprzedaje książkę za cenę, którą jej mąż napisał ołówkiem na okładce, ale jeśli ktoś zjawia się ze stosem książek do sprzedania, nie ma pojęcia, jak je wycenić i odprawia go z kwitkiem.

Zapadła cisza.

- Jaka była Ada jako dziecko? - spytał Maks. Sophia popatrzyła na swoje dłonie.

- Opowiedzieć ci coś? Raz, na krótko przed tym, kiedy właśnie miałam gdzieś wyjść z Oswaldem, pokłóciłyśmy się. Miała wtedy może jedenaście czy dwanaście lat. Rozpuściła potem na mój temat jakąś straszną opowieść, że zamknęłam kota w kartonie po książkach i utopiłam w kanale, chociaż nawet nie mieliśmy kota, bo Oswald był na nie uczulony. Kiedy wróciliśmy do domu, znaleźliśmy na stole list, w którym napisała, że ucieka z domu i że już nigdy nie wróci. Poprzedniego dnia mieliśmy naleśniki, i jak sam wiesz, zawsze smaży się ich za dużo. Okazało się, że wszystkie zniknęły. Pomyśleliśmy sobie, że taka ucieczka nie potrwa pewnie długo, ale kiedy Ada nie pojawiła się w porze kolacji, zaczęliśmy się niepokoić. Obdzwoniliśmy wszystkich jej znajomych, a wieczorem Oswald poszedł z jej zdjęciem na policję. Nie kładliśmy się oczywiście spać i gdzieś o północy Oswald nie wytrzymał, wsiadł na rower i pojechał jej szukać. Nawet kiedy odjechał już parę ulic dalej, wciąż słyszałam, jak woła ją po imieniu. Ale jakies pół godziny potem nagle coś mnie tknęło, nie mam pojęcia, co to mogło być, poszłam na strych i otworzyłam drzwi od schowka. Patrę, a tam leży Ada w płaszczu. Obok niej zawinięte w ścierkę naleśniki.

- A pani mąż jeszcze przez całą godzinę jeździł po Lejdzie, wołając córkę?

- Tak. Kiedy wrócił, ona leżała już w łóżku. Nawet nie zauważyła, że ją rozebrałam.

- A następnego dnia?

- Nigdy nie zamieniłyśmy słowa na ten temat.

Na dworze panowała kompletna cisza. Maks dopił wino z kieliszka i pod wpływem nagłego impulsu postanowił, że pierwszy już się nie odezwie. Nalał Sophii i sobie jeszcze po kieliszku i popatrzył na leżącą na stole temperówkę „Bajka”. Oto siedzi w pokoju, w którym po raz pierwszy zobaczył Adę, a potem jej matkę. Czas mijał i milczenie otulało go niby coraz cieplejsza kąpiel. Na skraju pola widzenia cały czas miał jej postać, z tą tajemnicą głęboko w łonie. Po kilku minutach popatrzył na nią przez moment i w ułamku sekundy odpowiedziała spojrzeniem na jego spojrzenie, ale kompletnie bez wyrazu. On też nie dał jej żadnego znaku porozumienia. Był pewien, że gdyby się teraz uśmiechnął, wszystko by zepsuł.

Po dziesięciu, a może piętnastu minutach kompletnej ciszy wiedział, że przegrywa. Ona była panią sytuacji. Bez trudu mogłaby tak dosiedzieć w milczeniu do samego rana. Z walącym mocno sercem spojrzął na zegarek i rzekł:

- Późno już, chyba będę się zbierał.

Ona też spojrzała na zegarek.

- Czy jutro rano znowu musisz przyjechać do Lejdy?

- Oczywiście.

- W dodatku trochę piłeś. Jeśli chcesz, możesz przenocować.

- Hm... jeśli to dla pani nie jest zbyt kłopotliwe...

W łazience nie było już drobiazgów Oswalda Bronsa.

Nieodwracalność

Przez następne tygodnie odwiedzał Sopię co parę dni. Za każdym razem najpierw dzwonił, żeby się zapowiedzieć, ponieważ nawet umówienie się z wizyty na wizytę byłoby w jego rozumieniu zbyt intymne, a każdego dnia rano formalnie dziękował za gościnę. Rozmawiali o tym i owym, czytali albo oglądali razem telewizję, a kiedy w końcu okazywało się, że jest za późno na powrót do Amsterdamu, ona proponowała, że nie ma nic przeciwko temu, żeby został na noc. Za każdym razem w ciemnościach otwierały się potem drzwi i Sophia wślizgiwała się do jego łóżka, a kiedy już całkowicie się zaspokoila, znikala tak, że nawet jej nie widzial. Po tamtym pierwszym razie tez nie powiedziala ani slowa, co bylo sygnalem takze dla niego, zeby nic nie mowic w lozku. Nigdy w zyciu nie uczestniczyl w czymś rownie zagadkowym, ale w jakis sposob odpowiadalo to jego najglębszemu pragnieniu, ktorego sobie dotad nawet nie uwiadamiat. Oto zdobył kobietę nieosiagalną! Nikt nie mógł się o tym dowiedziec, z nikim nie wolno mu bylo o tym rozmawiac – przede wszystkim z nią samą. Gdyby bodaj raz dal do zrozumienia, ze o tym wie, wszystko w jednej chwili by się skonczylo. Ona musi pozostac dwiema osobami, z ktorych się sklada, Sopią dzienna i Sopią nocna – gdyby próbował je ze sobą polaczyc, natychmiast jakies krótkie spiecie zepsuloby cały mechanizm. Nie wolno mu bylo nawet uzywac jej imienia, jezli mu na to wyraźnie nie pozwolila. Psychiatra nazwalaby to zapewne perwersja, przypuszczal Maks, a Freud dostalby pewnie ataku smiechu, ale poniewaz jej tajemnica dokladnie pasowala do jego tajemnicy, jak nakretka do sruby, Maks kompletnie oszalal dla całej tej sytuacji – pomijajac nawet dlugi język Sophii i gorace, podziemne ssanie. O ile dawniej jego pozadanie jednej i tej samej kobiety zawsze malalo w postepie geometrycznym, o tyle teraz po miesiacu wydawalo się stale wzrastac. Za innymi kobietami w ogole się juz nie ogladal, co mialo tę dodatkowa zaletę, ze oszczedzalo mu mnóstwo czasu.

Onno pytał go kilka razy, gdzie się podziewał przez te ostatnie tygodnie, bo rzadko kiedy zjawia się u siebie przy Vossiusstraat, na co Maks odpowiadał, że wieczorami regularnie odbywa spotkania w sprawie programu pracy nowego teleskopu w Westerbork, który jeszcze w tym roku ma wejść do eksploatacji. Onno uwierzył tym łatwiej, że on też praktycznie chodził ze spotkania na spotkanie. Po Berkeley, Amsterdamie i Berlinie, gdzie właśnie postrzelono Rudiego Dutschke – rozpoczęła się rewolta studencka w Paryżu. Miało to już inny, poważniejszy wymiar, ponieważ natrafiło na rewolucyjną tradycję i bardzo szybko rewolta przeniosła się na robotników, którzy zaczęli okupować fabryki i nagle w całej Europie zrobiło się groźnie. *L'Imagination au pouvoir!* Świat stanął u progu nowej epoki, także w Holandii trzeba było przygotować nową gwardię do przejęcia władzy. Aby być na bieżąco, Onno wyjechał w połowie maja z kilkoma współbojownikami na parę dni do Paryża, gdzie w zatłoczonych kawiarniach wokół okupowanej Sorbony zobaczył najróżniejszych aktywistów, których poznał w Hawanie, szpanujących swoim kubańskim autorytetem, mających w oczach blask zwycięstwa. Jak jednak powiedział Maksowi po powrocie, nie ujawniał się ze swoim tam pobylem w obecności holenderskich przyjaciół, ponieważ wcale nie muszą wiedzieć, co dokładnie namieszał na Kubie, żeby kiedyś nie zachciało im się wykorzystać tego przeciwko niemu.

– Nieżyły masz zawód – stwierdził Maks.

– Można tak powiedzieć. Politykę uprawia wysublimowane podziemie, a ja jestem najbrzydliwszym gangsterem z nich wszystkich. To nie jest zajęcie dla łagodnych, oderwanych od rzeczywistości pięknoduchów jak ty.

Wszystkie te wydarzenia omijały Adę. Od tej nocy, kiedy miała wypadek, Maks jej już nie widział. Miał jakieś opory przed chodzeniem do niej z wizytą, a ponieważ nie musiał tego robić dla niej, nie miał specjalnych wyrzutów sumienia. Sophia nigdy go nie zapytała, czy był już w klinice, ale kiedy pewnej niedzieli rano Onno zadzwonił z pytaniem, czy nie wybrałby się z nim do szpitala, nie mógł odmówić i godzinę później kroczyli alejkami rozległego kompleksu ponurych budynków, pochodzących jeszcze z ubiegłego stulecia. Nawet na dworze unosił się tam w bezwietrznym wiosennym poranku zapach lizolu zmieszany z wonią pomarańczy.

Ada leżała wraz z ósmiorgiem innych pogrążonych w śpiączce pacjentów w położonym na uboczu pawilonie, w pomalowanej na brudno-żółty kolor sali. Był czas odwiedzin i przy każdym łóżku siedzieli już milczący albo szepczący między sobą członkowie rodzin. Większość pacjentów miała bandaże na głowach. Przy stoliku pod pokazującym miesiące kalendarzem z wielkim zdjęciem piramidy Cheopsa siedział pielęgniarz i czytał gazetę. Ada leżała na owczej skórze, głowę z sondą w nosie miała lekko odwróconą w bok na poduszce. Oddychała spokojnie, z zamkniętymi oczami, zupełnie jakby spała – z drugiej jednak strony widać było od razu, że nie jest to normalny sen. Wyraz jej twarzy się zmienił, Maks nie potrafiłby jednak określić, na czym to polegało: było w nim coś wiecznego, zupełnie jakby usuwała się, robiąc już miejsce na obraz samej siebie. Ręce miała ułożone wzdłuż ciała, dłonie leżały nieruchomo. Bez wątpienia natomiast zmieniła się, urosła fala pod przykryciem. Ada była teraz w siódmym miesiącu, a to, co rosnęło w jej wnętrzu, nie było obrazem, tylko istotą z krwi i kości. Wydawało się, że ona istnieje tylko po to, aby dokończyć dzieła, zupełnie jak bezwolna królowa pszczół, podtrzymywana przy życiu przez robotnice.

Maks i Onno spojrzeli na siebie, stojąc po obu stronach wysokiego łóżka ze świeżo powleczonej pościelą.

– Obraz rodzi człowieka – rzekł Maks cicho, czując w tym samym momencie, że posunął się za daleko.

Onno wzdrygnął się. Słowa te wyrażały dokładnie to, co sam odczuwał od tygodni. Ada została zredukowana do roli pieca, który był już czymś innym niż chleb, co się w nim dopiekał. Czy kiedykolwiek przyjdzie jeszcze taka chwila, że ona otworzy oczy? Dzisiaj też nic się nie zmieniło, i niedawno prawie całkowicie utracił nadzieję, tyle że nie chciał się do tego przed sobą przyznać. Miał jakieś nieokreślone uczucie, że poprzez fakt rozważania tego w myślach jakoś sprowadza właśnie to nieodwracalne.

– Wszyscy są przekonani, że ci ludzie w łóżkach nic nie słyszą, a jednak każdy mówi szeptem – powiedział.

– Żeby na pewno nic nie usłyszeli – dokończył Maks. – Bo może jednak coś słyszą.

– Naprawdę tak myślisz?

Maks wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Sami przecież mówimy szeptem, prawda? Dlaczego właściwie tutaj przyszliśmy? Być może w głębi ducha jesteśmy przekonani, że oni tutaj wszystko odbierają, tylko nie mogą tego zasygnalizować. – Onno otworzył na moment usta, ale zaraz je zamknął, wobec czego Maks dopowiedział: – Tak, tak, wiem oczywiście o EEG.

Onno przypominał sobie, że Marijke też coś takiego twierdziła, ale to oczywiście totalna bzdura. Chciał powiedzieć, że w takim razie zmarli też powinni wszystko słyszeć, bo przy łózkach zmarłych też się mówi szeptem, ale powstrzymała go obecność Ady, co mogło świadczyć o tym, że nie było to jednak takie całkiem pozbawione sensu. Poza tym wiedział, że Maks natychmiast pójdzie z jego teorią jeszcze dalej, tak jak ze wszystkim szedł zawsze o krok dalej, i gotów będzie skorzystać z okazji, by rozszerzyć granicę między życiem a śmiercią w prawdziwy pas ziemi niczyjej. O ile go znał, z tą jego niemalże homoseksualną skłonnością do symetrii, przyjąłby pewnie dla tego pośmiertnego okresu miarę dziewięciu miesięcy, co byłoby też dla niego wyjaśnieniem głębszych przyczyn okresu żałoby.

Maks ze swej strony również nie wierzył w jego teorię, jednocześnie jednak był pewien, że nie miałyby odwagi szepnąć Adzie do ucha: „Twój ojciec nie żyje, a ja mam romans z twoją matką”.

Przeczytał karteczkę dołączoną do kwiatów stojących przy łóżku: „Od Brunona”.

Spojrzał na Onna.

- Bezsensowny gest. Wyrzucone pieniądze.
- Zrobił to dla siebie.
- Gorzej.

Kiedy Onno uświadomił sobie, że jego sąd zawierał w sobie przeświadczenie, iż Ada może się już nigdy nie obudzić, dodał:

- Może miał nadzieję, że jak odzyska przytomność, od razu zobaczy jego kwiaty.

W pokoju znowu zapadła cisza. Leżący bez ruchu pacjenci, na których patrzyli odwiedzający: żywe trupy.

- Czuję się zupełnie jak w muzeum – szepnął Maks.

Maks ujął dłoń Ady w tym samym momencie, w którym uczynił to Onno: Onno tę, którą Ada obsługiwała struny, Maks tę, którą trzymała smyczek. Obydwaj czuli, że dłoń, którą trzymają, choć ciepła, jest już tylko przedmiotem. Przez białą farbę łóżka przezierała miejscami rdza.

- Chodźmy już – powiedział Onno po paru chwilach.

Położyli dłonie Ady z powrotem na pościel. Onno odcisnął pocałunek na jej czole i ruszyli w stronę drzwi. Kiedy Maks wyciągnął rękę w stronę klamki, ktoś z drugiej strony właśnie ją nacisnął i w drzwiach pojawił się lekarz w rozpiętym białym kitlu, przepuszczając przed sobą Sophię.

- No, proszę – powiedział Onno. – Dzień dobry, mamó.

- Dzień dobry, Onno. Dzień dobry, Maks.

- Dzień dobry pani – Maks ucisnął jej dłoń ze świadomością, że patrząc teraz na nią i na niego, nikt nie ma szansy domyślić się czegokolwiek.

Lekarz, mały, łysiejący człowieczek, nosił podwójne okulary, z których pierwsze były odchylone do góry, tak że wyglądał zupełnie, jakby pod kątem prostym patrzył w niebo. Onno przedstawił go jako doktora Stevensa, neurologa Ady, i wszyscy wrócili do jej łóżka.

Maks poczuł się nieswojo. Oto byli nagle razem wszyscy czworo, czy raczej wszyscy pięcioro. Tylko kto był kim? Dla Onna sprawa była prosta, bo znajdował się zwyczajnie w towarzystwie przyjaciela, teściowej i matki swego dziecka. Jednocześnie jednak był w towarzystwie kochanki swego przyjaciela, który być może był też ojcem dziecka, które miała urodzić jego żona, tak więc nie zasługiwał tak do końca na miano przyjaciela, tak jak jego żona nie zasługiwała tak do końca na miano żony. Sophia wiedziała nieco więcej niż Onno, ale też nie wszystko, tak jak i on sam.

Sophia przesunęła dłonią po włosach Ady i poluźniła nieco prześcieradło w nogach łóżka.

– Inaczej może dojść do deformacji stóp – powiedziała, nie patrząc na doktora Stevensa, a potem dodała z nieprzeniknioną twarzą: – Wyniki nie są najlepsze, Onno.

Onno spojrzął z przestachem na neurologa.

– Cóż... – zaczął lekarz, rzucając spojrzenie na Maksa.

– Proszę mówić, nie mam tajemnic przed przyjacielem.

– Właśnie przed chwilą o tym rozmawialiśmy. EEG znacznie się pogorszyło w ciągu ostatnich dni, także inne symptomy wskazują na to, iż musi się pan przygotować na to, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa pańska żona znajduje się w stanie nieodwracalnej śpiączki.

Onno patrzył na niego przez chwilę, potem spojrzął na Adę i opuścił pokój. Maks wahał się przez moment, w końcu wyszedł za nim na korytarz, gdzie Onno stał przy oknie, patrząc na wydeptane szpitalne ścieżki.

– Wiedziałem – powiedział. – Przez cały czas wiedziałem. Wszyscy wiedzieliśmy. I co teraz, na miłość boską?

W jego oczach Maks dostrzegł kompletną, bezdenną rozpacz, która w tym samym momencie niejako przeniosła się na niego niby swego rodzaju apel, wyzwanie!

Kiedy jeszcze tego samego popołudnia Onno zadzwonił do swojej najmłodszej siostry ze złą wiadomością, dowiedział się od niej, że rodzina od paru dni dzwoni do siebie, zastanawiając się, co będzie, jeśli Ada się nie obudzi. Od razu niepomiernie go to zdenerwowało, bo przecież chyba on też ma tutaj coś do powiedzenia! Z drugiej jednak strony zdawał sobie doskonale sprawę, że decyzje muszą przyjść także z tej strony. „Rodzina trwa najdłużej” – zwykł być sam mawiać i kiedy Dol zaproponowała zwołanie rady rodzinnej, przystał na to. Wieczorem zadzwoniła do niego raz jeszcze z wiadomością, że ojciec chce zaprosić również pastora, na co Onno powiedział, że jeśli tak, to wszystko odbędzie się bez niego.

Najwyraźniej klan Quistów zdążył już wszystko omówić między sobą, narada rodzinna była tylko zwykłą przykrywką i Onno już wiedział, czym się to skończy. Wśród najbliższych krewnych były tylko dwie rodziny z małymi dziećmi: najstarszego syna Diederica, Hansa, oraz najstarszej córki Trees, Pauli. Onno nigdy nie wykazywał specjalnego zainteresowania tymi drugorzędnymi odnogami rodziny, widział ich potomków kilkakrotnie przy okazji rodzinnych uroczystości, ale za każdym razem byli już tak podrośnięci i tak inni, że już nawet nie umiałby powiedzieć, który jest który. Jego kuzyn Hans, aktualnie pierwszy sekretarz ambasady w Kopenhadze, z którym nigdy nie zamienił więcej niż parę słów, stał u progu wielce obiecującej kariery dyplomatycznej. Jako Quist był przeznaczony na stanowisko ambasadora w najokropniejszych krajach, by w końcu pewnego dnia wspiąć się na najwyższy szczebel dyplomatycznego błogosławieństwa: Londyn. Jego żoną była córka bankiera z Bredy, której ojciec wpadł na pomysł, by dać jej na imię Hadewych. Z kolei kuzynka Onna, Paula, którą znał równie mało, wybrała sobie za męża o piętnaście lat starszego barona portowego z Rotterdamu, Jana-Keesa, który wniósł do związku troje dzieci z poprzedniego małżeństwa: nieokrzesany jowialny mężczyzna pod czterdziestkę, który głośno mówił i palił cygara.

Dwa dni później okazała delegacja zebrała się w domu rodziców Onna w Hadze. Siedzący w swoim fotelu z zagłówkiem obok pulpitu z Biblią stary Quist powiódł wzrokiem po swoich dzieciach i wnukach. Większość stanowiły kobiety. Diederic i jego Antonia byli nieobecni, ponieważ musieli udać się z oficjalną wizytą do Indonezji, zjawiał się natomiast kopenhaski Hans ze swoją Hadewych – skorzystał z okazji, ponieważ i tak miał coś do załatwienia w departamencie. Tak jak spodziewał się Onno, nie zabrakło też Pauli i Jana-Keesa. Podobnie jak Hadewych, Paula była mniej więcej w wieku Ady, może odrobinę starsza, i właśnie spodziewała się drugiego dziecka. Tylko Sophia była spoza kręgu najbliższej rodziny. Kiedy Coba podała już herbatę oraz makaroniki i wyszła z pokoju, Onno spodziewał się, że spotkanie otworzy ojciec, jak przystało na prezesa rady ministrów – ale to jego matka odezwała się pierwsza:

- Co za biedne dziecko. Wczoraj w nocy nie mogłam zmrzyć oka. Czy już naprawdę nie ma żadnej nadziei, Onno?

Onno wzruszył ramionami.

- W naukach medycznych nic nie jest pewne na sto procent, ale z tego, co mówią lekarze, wynika, że trzeba się spodziewać, że tak już zostanie. Zresztą zapytaj Karela.

- Dzwoniłem wczoraj do kliniki, w której leży Ada - powiedział jego szwagier, neurochirurg. - Obawiam się, że to prawda. Niewykluczone, że to i tak mniejsze zło - dodał, rzucając krótkie spojrzenie w stronę Onna. - Taka długotrwała śpiączka miewa bowiem nieodwracalne skutki w postaci całkowitej utraty pamięci lub zupełnej zmiany charakteru danej osoby.

Całkowita utrata pamięci. Zupełna zmiana charakteru. Słowa te zapadły w Onna jak pociski grzęznące w ciele. Nikt mu wcześniej o tym nie powiedział, ani Karel, ani lekarze w szpitalu. Widocznie wszyscy mieli nadzieję, że Ada się jednak nie obudzi.

- Dla pani również musi to być okropne przeżycie - zwróciła się pani Quist do Sophii. - Najpierw śmierć męża, a teraz ten straszliwy los jedyne dziecko.

Onno spojrział na teściową. Od kiedy zjawił się kiedyś w szpitalu i zobaczył, jak Sophia wyrównuje pilniczką paznokcie Ady - już przecież nieobgryzane - złagodził nieco surowy osąd jej osoby. Widać było wyraźnie, że niezbyt zręcznie czuje się w tym towarzystwie, ale siedziała wyprostowana i trzymała się dzielnie.

- Zawsze wiedziałam, że życie jest jak pogoda i w każdej chwili może się zmienić.

Po tych słowach, które niekoniecznie świadczyły o chrześcijańskim podejściu do życia, na chwilę zapadła cisza. Gdzieś z oddali dobiegł odgłos młotów pneumatycznych, którymi zrywano nawierzchnię ulicy. Onno miał nadzieję, że nie padnie teraz jakiś świątobliwy cytat z Katechizmu Heideberskiego, na szczęście jednak zebrani najwyraźniej mieli dostateczne wycucie taktu. Zresztą, pomyślał, słowa Sophii odnosiły się głównie do warunków pogodowych typowych dla Holandii, a nie tych panujących na Saharze - zachował to jednak dla siebie.

- Sprawy wyglądają tak, jak wyglądają - odezwał się z poczuciem, że ta tautologia zawiera w sobie jakąś ostateczną prawdę o życiu. - Może dzisiaj nie powinniśmy rozmawiać o naszych uczuciach, tylko o tym, co dalej. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, to za dwa miesiące, w lipcu, przyjdzie na świat nasze dziecko. A zdaniem ludzi, którzy wiedzą, co mówią, nie ma najmniejszych powodów przypuszczać, żeby coś miało w tym względzie pójść niedobrze. Pytanie zatem, co dalej?

- W każdym razie nikt na pewno nie oczekuje od ciebie, że będziesz prał pieluchy - powiedziała Trees, jego najstarsza siostra, poprawiając jedwabny szal.

Onno niemalże usłyszał przemilczane zakończenie tego zdania: „bo przecież sam jeszcze je nosisz”, pozostawił jednak sprawę bez komentarza, nie tylko dlatego, że nie był to odpowiedni moment na zjadliwe odpowiedzi, ale też dlatego, że po części się z tym zgadzał. Z pewnością przebiłyby agrafkami nie tylko pieluchy, ale i dziecko, zatopiony w myślach pozwoliłby mu sturlać się ze stolika do przewijania, mógłby odebrać telefon i pozwolić, żeby dziecko utopiło się w tym czasie w wanience.

– Oczywiście, że nie – odezwał się mąż Trees. – To zajęcie dla kobiet. Dzisiaj słyszy się wprawdzie inne głosy, ale tak już jest, że to kobiety rodzą dzieci, a nie mężczyźni. Oni znają to tylko ze słyszenia. Tak więc najlepiej, żeby była co do tego jasność. Wkrótce urodzi się dziecko Onna, on sam nie może się nim opiekować, kto zatem się tym zajmie?

Tym samym Coen doszedł do sedna, bo widocznie miał dzisiejszego wieczora także inne sprawy do załatwienia. Prokurator generalny popatrzył wokoło spod uniesionych brwi, zupełnie jakby miał przydzielić dziecko pierwszej osobie, która podniesie palce, i w ten sposób rzecz zgodnie z prawem załatwić. Potem porozmawiałoby się jeszcze trochę o pogodzie, wypito po filiżance herbaty przyniesionej przez Cobę i wszyscy rozeszliby się do domów.

– My nie mamy dzieci i bylibyśmy szczęśliwi, gdybyśmy mogli zaopiekować się twoim, Onno – powiedziała Dol. – Dochodzę do czterdziestki, więc jeszcze dałoby się to zrobić. Dość długo to rozważaliśmy, ale ostatecznie doszliśmy do wniosku, że dla dziecka będzie lepiej, jeśli będzie miało młodszych przybranych rodziców. Prawda, Karel?

Chirurg siedział, trzymając dłonie zetknięte opuszkami wyprostowanych palców. Oderwał je na moment od siebie, by zaraz ułożyć je w poprzedniej pozycji. Ten gest sprawił, że jeszcze bardziej przypominał barona Frankensteina.

– Najlepiej byłoby oczywiście, gdyby dziecko wychowywało się w rodzinie, w której są także inne małe dzieci.

Onno skinął głową i spojrzał na Sophię.

– Wydaje mi się to rozsądne.

– Powinno trafić tam, gdzie będzie miało największe szansę rozwoju – powiedziała Sophia.

Było to dość oczywiste, ale Onno wysłyszał w tym odległe echo Salomonowego wyroku: „Rozetnijcie to żywe dziecko na dwoje i dajcie połowę jednej i połowę drugiej!”. Spojrzał na obydwie pary, Hansa i Hadewych oraz Paulę i Jana-Keesa, ale najpierw zabrała głos Margo, żona jego uczonego brata Menno, który sam nie mógł się pojawić, ponieważ składał wyjaśnienia przed zgromadzeniem studentów. Margo jak zwykle miała opuchnięte powieki z czerwoną obwódką, zupełnie jakby właśnie płakała, chociaż była osobą skorą raczej do śmiechu.

- Nasze dzieciaki chodzą już do szkoły średniej i szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie, żebym mogła wrócić do prania pieluch. O ile znam Onna, na pewno nie chciałaby, żeby jego dziecko wychowywało się w Groningen. Chyba się nie myślę? Dla ciebie to zapyziała prowincja, poza tym miałbyś daleko.

- Nikt nie musi się tutaj usprawiedliwiać ani tłumaczyć – powiedział Onno. – Nikogo o nic nie proszę.

- W porządku – powiedział Jan-Kees. – W takim razie sami oferujemy ci pomoc. – Odłożył cygaro do popielniczki, wyprostował nogi, zakładając stopę na stopę, i oparł dłonie na karku. – I tak mamy dom pełen dzieciaków, więc twoje też się zmieści. Mamy chałupę pod Rotterdamem z całkiem niezłym ogródkiem, bo prowadzę firmę przewozową i zarabiam kupę forsy. Jestem wprawdzie prawicowcem, ale dbam o moich pracowników, a który sądzi inaczej, wylatuje na bruk. Na pewno wychowamy dzieciaka w twoim duchu, możesz mi wierzyć, bo zanim awansowałem do eleganckiego towarzystwa, sam byłem socjalistą. No i nie będzie cię to kosztowało ani centa. No więc jak? Dobijemy targu? Teraz twoja kolej.

Typowo rotterdamskie postawienie sprawy. Zapadła nieco zażenowana cisza, ale Onnowi odpowiadała taka bezpośredniość. Oczywiście była to ze strony Jana-Keesa prowokacja, może spowodowana onieśmieniem, odegrał osobę, którą w końcu przecież był, ale ponieważ ją odegrał, to jednocześnie nią jednak nie był.

- Znowu popisałeś się strasznym taktem – powiedziała Paula, uśmiechając się do Onna przepraszająco.

- No a co, może nie?

- Oczywiście – potwierdził Coen, jego teść.

- W każdym razie mówimy jak najpoważniej, Onno. Z chęcią to zrobimy.

To, że jego dziecko dorastałoby w reakcyjnym środowisku, nie stanowiło dla Onna problemu, w końcu z nim było tak samo i wielu z jego postępowych przyjaciół również wywodziło się z dobrze sytuowanych kręgów. Jan-Kees był jednak prymitywnym dorobkiewiczem, pozbawionym jakichkolwiek zainteresowań kulturalnych, poza tym miał w sobie coś zdecydowanie zwierzęcego, z tymi spiczastymi zębami i gęstą czarną brodą, która znowu zaczęła obrastać mu twarz. Jego Paula natomiast sprawiała wrażenie przemiłej bezbronnej osoby, kiedy tak siedziała z wielkim brzuchem w czarnej, lamowanej złotem afgańskiej sukni do samej ziemi. Zewnętrznie zupełnie nie przypominała swojej budzącej lęk matki, Trees, ale w domu zapewne to ona była szefem. Niewątpliwie miała w sobie coś z treserki zwierząt.

- My też jesteśmy gotowi ci pomóc – zadeklarowała Hadewych. Oto i druga oferta.

– Nie wszyscy naraz! – zaśmiała się Margo, zanurzając w herbacie makaronik. Zaraz jednak trzepnęła się w usta i spojrzała z przestraszeniem dokoła: – Przepraszam.

Być może Hadewych jakąś nadnaturalną drogą była określona przez swoje świątobliwe imię, albo może starała się jakoś wedle niego ukształtować, w każdym razie rzeczywiście wyglądała jak średniowieczna mistyczka. Miała nieco ciemniejszą karnację, pozostałość po oddziałach hiszpańskich grasujących czterysta lat temu w Brabancji, i dwoje zbyt wielkich brązowych oczu, które zdawały się błyszczeć wewnętrzną ekstazą.

– Nie mamy willi w Kralingen – powiedział Hans – ani ogrodu z basenem, ale za to całkiem wygodne mieszkanie w Kopenhadze. To znaczy, na razie. Jaka będzie nasza następna placówka, oczywiście nie mam pojęcia. Domyślam się jednak, że może to stanowić dla ciebie problem. Zawsze będzie to dalej od Amsterdamu niż Groningen.

Hans był pod każdym względem przeciwieństwem Jana-Keesa. Miał jedwabiste, zaczesane do góry blond włosy i jasnoniebieskie oczy, dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem lat i od stóp do głów ubrany był wedle reguł obowiązujących w Ministerstwie Spraw Zagranicznych: garnitur we właściwym odcieniu szarości, nie za ciemny, ale przede wszystkim nie za jasny, koszula w białe paski, do tego granatowy krawat w subtelne białe kropki, a na nogach czarne półbuty z plecionki. Sprawiał jednak wrażenie sympatycznego, inteligentnego, choć nieco bezbarwnego, no i z miejsca wypunktował najważniejszą kwestię, mianowicie swoje koczownicze życie.

Zatopiony w myślach Onno powiódł wzrokiem dokoła. Trees zwróciła głowę w stronę Coena, który w zwolnionym tempie wysunął lewy nadgarstek z mankietu koszuli, żeby nie poruszając głową, sprawdzić, która godzina. Matka westchnęła głęboko i ledwie dostrzegalnie kręcąc głową, spoglądała na Sopię, która nieporuszona jak zwykle przesuwiała palec tam i z powrotem przez pętelkę swoich krwistoczerwonych koralików. Obydwie pary, które złożyły ofertę, zdawały się unikać swoich spojrzeń, zupełnie jak osoby ubiegające się o to samo stanowisko.

Onno podskoczył nagle, przestraszony.

– Ale chyba nie muszę od razu decydować?

Wszyscy z miejsca zaczęli mówić jeden przez drugiego.

– Ależ nie ma mowy!

– No coś ty!

– Pewnie, że nie!

– Też pomysły!

– Spokojnie to sobie przemyśl – powiedziała Dol. – Masz jeszcze na to dwa miesiące.

– W zasadzie tak – powiedział Karel.

Otoczony nagle taką życzliwością rodziny, Onno miał trudności ze znalezieniem odpowiednich słów podziękowania. Szczególnie krepująca była dla niego sytuacja bezpośredniej konkurencji, w jakiej dobrowolnie postawiły się wobec niego rodziny Hansa i Jana-Keesa. A gdyby tak nie miał żadnej rodziny, jak Maks? Co by wtedy począł?

– Często zachowywałem się wobec was obrzydliwie – wydusił. – Chciałbym was teraz za to przeprosić.

Mówił poważnie, jednocześnie czuł do siebie wstręt z powodu tych słów. Obecni zaczęli kręcić przecząco głowami i czynić obronne gesty, ale jego matka rozpromieniła się, a ojciec, niejako przypieczętowując to jego ukorzenie się, rzekł:

– Dobrze. Pomódlmy się zatem.

Zapadła cisza, odłożono cygara, pochyliły się głowy, złożyły dłonie. Nawet Onno przyłapał się na tym, że pochyła tułów do przodu. Tylko Sophia nie zmieniła pozycji, jedynie przestała bawić się koralami. W tej ciszy Coba otworzyła drzwi, żeby raz jeszcze nalać wszystkim herbaty, ale zaczerwieniła się i szybko z powrotem je zamknęła.

Z zamkniętymi oczami stary Quist mówił:

– Panie Boże, ojczyźnie w niebie, oto zebraliśmy się w nieszczęściu przed Twym obliczem. Żywot nasz, który przecież jest tylko nieustającym umieraniem, stał się dla nas jeszcze bardziej ponury wskutek Twego niezbadanego postanowienia co do losu Ady. Ale wiemy przecież, że jesteś wszechmocny i żadna z Twoich myśli nie pozostaje niedokończona. Udziel nam zatem swego błogosławieństwa i oświeć nasze serca. Z głęboką wiarą w Twą niezmierną litościwość błagamy Cię, o wszechmogący wieczny Boże, abyś zesłał siłę i mądrość na naszego syna marnotrawnego, który oto powrócił na łono rodziny. Amen.

30 Szafot

Maks wiedział o spotkaniu i niespokojnie czekał na relację. Najchętniej natychmiast skontaktowałby się z Onnem, ale uznał, że okazywanie nazbyt wielkiego zainteresowania nie będzie rozsądne. Dzień później Onno zadzwonił do niego do Lejdy i zapowiedział się na wieczór.

O ile dawniej zawsze z miejsca opadał na swój zielony fotel, o tyle tym razem cały czas chodził po gabinecie Maks, opowiadając o przebiegu rodzinnej narady, o tym, jak na koniec ukorzył się, za co natychmiast został nagrodzony wstawiennictwem u Pana Boga.

- Co to za niegodna religia niewolników! Jak ten nędzny facet z Nazaretu mógł pokonać dumnego Jowisza?

- O ile się nie mylę, to ci niegodni chrześcijanie jednak zaproponowali ci wychowanie dziecka.

- Chcesz powiedzieć, że wśród barbarzyńskich Rzymian byłoby inaczej? To nie ma nic wspólnego z wiarą, to sprawa klanu. Nie masz o tym pojęcia, bo nie masz rodziny, ale takie rzeczy dzieją się nawet wśród zwierząt. To zwykłe więzy krwi.

- To prawda, nie mam rodziny - powiedział Maks, patrząc na niego. - Ale mam o tym pojęcie, ponieważ kiedyś sam zostałem wychowany przez chrześcijan, chociaż wcale nie należałem do ich rodziny.

Kiedy to mówił, dotarło do niego, że być może to samo będzie dotyczyło dziecka Ady, jeśli nie będzie ono z rodu Onna. Onno odwzajemnił jego spojrzenie; wiedział, że popełnił błąd.

- Dobrze - powiedział z łaskawym gestem - zgódźmy się, że istnieje coś takiego, jak bezinteresowna miłość bliźniego. Tylko że kiedy jutro rano się obudzę, to nadal nie będę wiedział, co robić. Kogo, na miłość boską, wybrać? Pierwsza opcja gorsza od drugiej, a druga od pierwszej. Dla ograniczonych umysłów jest to logicznie sprzeczne, ale w tym wypadku właśnie to, co niemożliwe, okazuje się prawdą.

- To dlaczego nie powiesz, że pierwsza jest lepsza od drugiej, a druga od pierwszej?

- Bo żadna z nich dwóch nie jest dobra. A przynajmniej nie dostatecznie dobra. Weźmy takiego Jana-Keesa i jego Paulę. Mieszkają w Rotterdamie w wielkim domu, dokąd mogą sobie pojechać w każde środowe popołudnie i zabrać dziecko do zoo. W jakimś sensie nawet ich lubię, ale to nie mój styl i nie styl Ady; nie chciałbym, żeby moje dziecko się tam wychowywało. Hans i Hadewych są pod tym względem lepsi, ale zaraz po Danii zostaną przeniesieni do Zambii, a potem z Zambii do Brazylii, a z Brazylii na Filipiny, a nasze dziecko będzie ciągane z jednej międzynarodowej szkoły do drugiej i co cztery lata będzie się musiało rozstawać z przyjaciółmi i przyjaciółkami. Z drugiej strony oczywiście pozna kawał świata i nauczy się mnóstwa języków, ale za to nieodwołalnie stałbym się dla niego kimś obcym, kimś w rodzaju wujka z dalekiej Holandii. Tylko w czasie letnich wakacji mogłoby tu spędzać kilka tygodni, co też nie bardzo mi odpowiada. Gdyby to Jan-Kees był w dyplomacji, a Hans i Hadewych mieszkali w Kralingen, o, wtedy nie miałbym problemu. Ale życie nie chce być tak łaskawe. Na co się więc zdecydować? A innego wyboru nie ma. Co byś zrobił na moim miejscu?

Onno usiadł, a Maks wstał. Z rękami w kieszeniach stanął przy oknie i patrzył niewidzącym wzrokiem w ciemny wieczór. Wiedział, że jego plecy mówią, iż oddaje się spokojnemu rozmyślaniu, ale serce waliło mu w piersiach i czuł wewnętrzne rozdarcie. Co by zrobił na miejscu Onna? A może on jest na miejscu Onna - to znaczy, może Onno sam nie bardzo wie, kto na czym jest miejscu. Jak długo to jeszcze ma tak trwać? Czy już nie czas na radykalne przecięcie tego węzła kłamstw i oszustw? Czy nie powinien odwrócić się teraz, właśnie teraz, w tym momencie, i wreszcie powiedzieć: „Onno, być może dziecko, którego spodziewa się Ada, jest moje...”? Słowa, które kiedyś chciał do niego napisać i które nawet napisał, ale ich nie wysłał; zastrzeżenie, że nie wolno mu tego robić za plecami Ady, straciło rację bytu. Nic już nie działa się za jej plecami, ponieważ wszystko działa się za jej plecami. Tyle tylko, że nie potrafił zebrać się na odwagę, ponieważ pozwolił, by sprawy zaszły za daleko. A z drugiej strony nie mógł tak po prostu czekać, licząc na to, że wszystko się jakoś samo ułoży. Coś musi się wydarzyć!

Nagle odkrył swoje odbicie w ciemnej szybie. Poprawił krawat i przesunął dłońmi po włosach, przypomniawszy sobie wieczór, kiedy poszedł z Onnem do teatru na *Króla Edypa*. W przerwie, kiedy zeszli do foyer na filiżankę zbyt lurowatej kawy, Onno spytał: „A ty tak ciągle gapisz się w lustro, bufonie jeden?”, na co on odpowiedział: „Tak, muszę spojrzeć w każde lustro, żeby je skalibrować”.

Odwrócił się, wetknął ręce z powrotem do kieszeni i usiadł na parapecie.

- Powinieneś wynająć gospozię, taką pomoc na stałe.

– Miałbym pozwolić, żeby moje dziecko wychowywała gosposia? I samemu przez bite dwadzieścia lat mieć na karku nieszczęśliwą kobietę, która wieczorami będzie mi pochlipywała w kuchni? Ani mi się śni. A poza tym, jakie to koszty! Jak wiesz, z powodu szlachetnego charakteru poświęcam się wyłącznie nauce i sprawom publicznym, więc oczywiście nie mam żadnych zarobków, żyję tylko z niewielkiej comiesięcznej zaliczki na poczet przyszłego spadku. Ale w porządku, na pewno dałoby się to jakoś rozwiązać, mógłbym na przykład pójść do pracy, chociaż kompletnie mi to nie odpowiada. Uczyć studentów trzeciego roku abecadła. W każdej chwili oczywiście mógłbym znaleźć pracę na tym czy innym uniwersytecie, kto wie, może nawet w Holandii.

– Przecież to nie będzie trwać dłużej niż pierwsze pięć, sześć lat, prawda? Potem mógłbyś wysłać dzieciaka do dobrej szkoły z internatem.

– Dobra szkoła z internatem! Czy moje dziecko naprawdę musi w szóstym roku życia zostać wyrwane z pewności i wrzucone w niepewność, tak żeby już do końca życia cały świat był dla niego niepewny? Na elegancki angielski sposób? Tak byś właśnie zrobił na moim miejscu?

Maks przesunął obiema dłońmi po twarzy.

– Nie – odrzekł.

*

– Proszę bardzo – powiedziała Sophia, kiedy następnego dnia Maks zadzwonił z pytaniem, czy nie miałyby nic przeciwko temu, żeby po obiedzie wpadł do niej na filiżankę kawy. – Jeśli chcesz, możesz też u mnie zjeść.

To było coś nowego.

– Jest pani pewna, że nie będę dla pani ciężarem?

Już słysząc siebie mówiącego te słowa, miał wrażenie, że to zupełny idiotyzm z jego strony, ale okazało się, że wcale nie.

– Sam wiesz, jak to jest. Jak jest jedzenie dla jednego, to znajdzie się i dla dwojga, a jak jest dla dwojga, to znajdzie się i dla trojga.

– To prawda. A jak jest jedzenie dla setki, to znajdzie się też dla stu dziesięciu. Aż trudno pojąć, skąd jeszcze w ogóle głód na świecie.

Wziął ze sobą butelkę chianti i siedzieli teraz naprzeciwko siebie przy stole w kuchni, krojąc nożem kotlety. Kiedy słuchał jej opowieści o rodzinnym spotkaniu w Hadze, znowu poczuł podniecenie, jakie za każdym razem wywoływała w nim cała ta sytuacja: oto siedzi na audyencji u nieosiągalnej matki przełożonej, oblubienicy Chrystusa, która w ciemnościach przeistoczy się niedługo w lubieżną, wydającą z siebie okrzyki Circe. Niejednokrotnie zadawał sobie pytanie, jak następuje ta przemiana. Próbował sobie wyobrazić, co się w niej dzieje: przewiesza ubranie przez oparcie krzesła, myje się, kładzie do łóżka i gasi światło. Czy to właśnie ta chwila? Czy zapadająca ciemność przekształca ją w tę drugą osobę? A może w ogóle nie ma momentu przemiany, może to po prostu wyłącznie chorobliwa gra, której efekty odkryła kiedyś przy określonym typie mężczyzn, takich jak Brons i on? Ale co on ma wspólnego z Bronsem? Cóż, może podatność na tego rodzaju gry, ale wtedy musiałyby też istnieć parę innych wspólnych cech, a tego nie było. Oczywiście z Bronsem wcale nie było tak samo, tak było tylko i wyłącznie z nim, i w dodatku nie była to gra. Był przekonany, że na jakiejś zasadzie jej nocne życie w ogóle dla niej za dnia nie istnieje, zupełnie tak samo, jak nie potrafimy sobie w dzień przypomnieć snów. To był jej sen i tak musiało zostać. Jeśliby w ciągu dnia powiedział jej, że znowu mają za sobą porwijącą noc, być może naprawdę nie wiedziałyby, o czym on mówi, i pokazała mu drzwi za głupie gadanie. Ona z nim w łóżku, z dawnym chłopakiem własnej córki – jak coś takiego mogło mu w ogóle przyjść do głowy! Tego rodzaju męskie fantazje niech sobie lepiej rozładowuje u prostytutek!

Słuchał jej, kiwając głową, następnie otarł usta, upił łyk wina i patrzył na jej poruszające się wargi, na jej oczy, potem znowu na poruszające się wargi. Bardziej niż na to, co mówiła – to bowiem wiedział już od Onna – zwracał uwagę na timbre jej głosu. Po raz pierwszy usłyszał u niej coś jakby szloch, jakiś ton rozpaczy, który wcale nie musiał mieć nic wspólnego z emocjami, tylko mógł wynikać z budowy jej strun głosowych. Opowiadała, że po spotkaniu wracała razem z Onnem pociągami.

Między Hagą a Lejdą powiedziała mu, że także ona może oczywiście wychować jego dziecko.

– Powiedziałam, że w końcu taka jest tradycyjna rola babki. Kiedy rodzice wychodzą, to do niej się dzwoni, żeby zajęła się dzieckiem.

Onno nic mu nie powiedział o tej rozmowie. Przez moment pomyślał o swojej własnej matce, która być może byłaby drugą babką dziecka Ady – splot życia i śmierci.

– I co on na to?

– Nie wyraził swojego zdania, ale zorientowałam się, że też nie uważa tego za idealne rozwiązanie, bo zresztą nie jest. Mam już prawie czterdzieści pięć lat, więc wystarczy policzyć: kiedy dziecko będzie miało piętnaście lat, jak będę miała sześćdziesiąt. Może nawet jakoś by to było, ale przy całej swojej postępowości w jednym punkcie Onno okazał się nagle staroświecki: uważa, że w rodzinie musi być mężczyzna. Poza tym mam wrażenie, że nie za bardzo mnie lubi. Tak czy inaczej, będzie musiał dość szybko na coś się zdecydować.

Wstała i sprzątnęła ze stołu. Chociaż Maks dokładnie wiedział, że zapłodnienie nastąpiło 8 października 1967 roku, więc gdy policzyć mniej więcej dziesięć miesięcy księżycowych, poród powinien nastąpić gdzieś na początku lipca 1968, spytał jednak niedbale:

- No tak, w ciągu jakichś dwóch miesięcy, prawda?
- Ależ nie – powiedziała Sophia. – Przypuszczalnie znacznie wcześniej.
- Znacznie wcześniej? – powtórzył zdumiony.

Gdy stawiała talerze na blacie, spytała, nie odwracając się w jego stronę:

- Nie rozmawiałeś dzisiaj z Onnem?
- Ostatnio wczoraj. A co? Stało się coś?

– Zadzwoił krótko po twoim telefonie. Nie wiem dokładnie, o co chodzi, ale wygląda na to, że stan, w jakim znajduje się Ada, kryje w sobie jednak jakieś zagrożenie. Zdaniem neurologa jej EEG prawie w ogóle nie daje już obrazu. Tak czy inaczej lekarze zastanawiają się, czy nie zdecydować się wkrótce na cesarskie cięcie. Oczywiście poród i tak odbyłby się w ten sposób, ponieważ Ada nie ma szans urodzić normalnie. Jutro rano jadę do szpitala, bo musi zapaść jakaś decyzja.

Maks zmartwił. Oto niespodziewanie stało się: nadchodzi godzina prawdy. Oczywiście wiedział już od miesięcy, że taka chwila zbliża się nieuchronnie, ale nawet nie zdając sobie z tego do końca sprawy, cały czas miał poczucie, że ona jednak nigdy nie nadejdzie – tak jak na mocy paradoksu Zenona zawsze zostaje do przebycia jakiś odcinek drogi: najpierw połowa, potem połowa drugiej połowy, potem połowa pozostałej jednej czwartej... Myślał, że zawsze zostanie jeszcze trochę czasu. Tymczasem sprawa niespodziewanie wykonała skok do przodu.

– Dla ciebie też kawy? – spytała Sophia, nalewając wody do czajnika z gwizdkiem.

Maks podniósł się, zbity z tropu. Miał wrażenie, że nic nie jest takie, jak było, że już podjął decyzję, tylko jeszcze nie dopuścił jej do świadomości.

- Nie, bardzo pani dziękuję – szukał odpowiednich słów. – Muszę już iść.

Odwróciła się w jego stronę.

- Co ci się tak nagle stało?

– Nie wiem... Muszę coś przemyśleć. Proszę się na mnie nie gniewać, wiem, że to niegrzeczne, ale... – Podał jej rękę. – Bardzo dziękuję za obiad, zadzwonię do pani jutro. Po prostu muszę być teraz sam.

– Oczywiście. Jak uważasz.

Sophia wypuściła go na ulicę i Maks wsiadł do volkswagena, którego wreszcie sobie kupił. Ruszył przed siebie bez celu. Chciał wszystko przemyśleć, ale dopiero wtedy, kiedy nikogo nie będzie w pobliżu. Nikt nie może się zmusić do tego, żeby jakieś myśli przyszły mu do głowy, ale kiedy już one są, można je powstrzymać: po prostu z przemianą umysłową jest dokładnie tak samo jak z przemianą materii. Po głowie bezustannie tłukł mu się wers z Rilkego, który skutecznie blokował pozostałe myśli:

Musisz twoje życie zmienić.

Zapadł już wieczór i jadąc w stronę Amsterdamu, spontanicznie skręcił ku Noordwijk. Nieoświetloną drogą między wydмами podjechał do latarni morskiej i tam zatrzymał wóz.

Wyłączył silnik i wysiadł: odgłos zatraskiwanych drzwi stanowił jakby kropkę po zakończonym zdaniu. Wielką literę następnego stanowił szum fal – słyszalna cisza, przez którą przesuwiał się stożek światła latarni, jak coś cichszego od ciszy. Wiała chłodna bryza, gwiazdy pojawiały się i znikwały za pędzącymi po niebie czarnymi chmurami. Wdychał głęboko słone powietrze i schodził ścieżką w stronę opustoszałej plaży. Kiedy dotarł do piasku, mając w pamięci niezliczone letnie dni, odruchowo chciał zdjąć buty, zamiast tego jednak postawił kołnierz, wcisnął dłonie głęboko w kieszenie płaszcza i ruszył prosto w stronę wody. Dotarłszy do twardszego, wilgotnego piasku pozostawionego przez fale odpływu, przystanął i patrzył na ciemny horyzont, po którym co kilka sekund prześlizgiwał się powoli, a zarazem szybko stożek światła. Z pochyloną głową ruszył na południe wzdłuż linii wyrzuconych przez fale muszelek.

Cesarskie cięcie! Wszystko było jasne: musi się poświęcić. To on musi wychować dziecko Ady – razem z Sophią. Tylko tym czynem może naprawdę przeciwstawić coś temu, czego dopuścił się wcześniej. Jeśli, co nie daj Boże, w jakikolwiek sposób okazać by się miało, że dziecko nie jest Onna, tylko jego, tragedia będzie oczywiście bezmierna; Onno się wycofa, ale jednocześnie pojmie wagę tego, co on, Maks, zrobił – mianowicie, że zdecydował się wziąć dziecko do siebie w momencie, kiedy jeszcze nie wiedział, kto jest ojcem, i zaryzykował podporządkowanie swego życia dziecku, które nie byłoby jego. Jeśli natomiast okaże się rzeczywiście nie jego, Onno nigdy się nie dowie, jaki był powód jego decyzji. Wówczas nadal nie będzie tak, że po prostu nic się nie stało, ponieważ nie da się zmasać zdrady popełnionej wobec przyjaźni: już na zawsze będzie stało między nimi kłamstwo, nawet jeśli tylko on będzie o tym wiedział, ale przynajmniej zrobi, co w jego mocy. Myśl o tym, że sztuczny poród może się nie udać, wskutek czego cały problem zniknie, natychmiast wyparł – ale też przyłapał się nagle na tym, że w obecnej sytuacji niewykluczone, że byłby to zawód.

Nad jego głową niezmordowanie obracał się krzyż ze stożków światła niby łopaty helikoptera utrzymującego Ziemię we wszechświecie. Jeszcze dziś wieczór, pomyślał, musi przedstawić Sophii swoją propozycję, a najdalej jutro rano, jeśli ona się zgodzi, to od razu także Onnowi. Jeśli i on się zgodzi, to będzie musiał jak najszybciej porzucić Amsterdam i życie, jakie tam prowadził, wymówić mieszkanie, przenieść się do Drenthe i gdzieś w okolicach Dwingeloo i Westerbork wyszukać jakiś dom dla siebie i swojej dziwacznej rodziny: żony, która nie jest matką, lecz babką jego dziecka, które być może wcale nie jest jego dzieckiem. A może po prostu zwariował? Czy jest w stanie coś takiego wytrzymać? Tak, na pewno będzie w stanie, bo oczywiście wcale się nie poświęci – nazwanie tego „poświęceniem” byłoby jedynie kolejnym kłamstwem i Sophia musi o wszystkim wiedzieć. Tym samym jednak nadarzała się okazja, by nadać jego mrocznemu związkowi trwalszą formę; sposób, w jaki wszystko się teraz odbywało, będzie już oczywiście nie do utrzymania bez popadnięcia w śmieszność. Co ona na to powie? Też miała w końcu zmarnowane życie. Co ją trzyma w Lejdzie, gdzie ma antykwariat, którego kompletnie nie umie prowadzić i który nieodwołalnie kiedyś splajtuje? Z drugiej strony: kiedy dziecko będzie miało piętnaście lat, czyli właśnie za piętnaście lat, ona będzie miała lat sześćdziesiąt, jak sama powiedziała – za to on dopiero pięćdziesiąt. Dopiero? Aż się przeraził tą wizją. Czy za piętnaście lat naprawdę będzie miał już pięćdziesiąt lat? Ale wtedy wszystko będzie już zupełnie inaczej i dopiero się zobaczy.

Przypomniał sobie anegdotę, którą w czasie jakiegoś spaceru po mieście opowiedział mu Onno. Na początku ubiegłego wieku drugorzędny dramaturg niemiecki Kotzebue, który był na usługach cara, został zamordowany przez niejakiego Sanda, nacjonalistycznego członka korporacji studenckiej. Sanda skazano na śmierć i zginął od topora kata o nazwisku Braun. Ten jednak dostał potem wyrzutów sumienia z powodu pozbawienia życia tak znamienitej osoby, więc z desek szafotu zbudował chatę, w której potajemnie spotykali się korporanci, żeby czcić pamięć Sanda, całować plamy jego krwi i wyśpiewywać antysemitki pieśni.

Musze zgrzytały pod stopami, a jego samego ogarnął stan odurzenia, nie od wina, ale z powodu całkowitej zmiany, jaka go wkrótce czekała. Czuł się jak ktoś, kto w chwili zagrożenia wojną z minuty na minutę zdecydował się emigrować gdzieś daleko: do kraju, którego nie wystarczy wyznaczyć, wyciągając palec w dowolnym kierunku, ale który określa się, pokazując na nadir, pionowo w dół, na antypody: tak daleko, jak to tylko możliwe, tam gdzie drzewa rosną w dół, ludzie chodzą przyklejeni do ziemi nogami w górę, a kamienie spadają do góry.

I znowu było tak, jakby chciał odwlec w czasie własne myśli, tak jak to robił z orgazmem w łóżku, bo to potęgowało rozkosz. Nagle odczuł potrzebę odwiedzenia przybranej matki. Przez dziesięć lat, aż do roku 1952, mieszkał z nią i jej mężem. Potem przeprowadził się do wynajętego mieszkania, pracował i studiował w Lejdzie. Pod koniec lat pięćdziesiątych przybrani rodzice przenieśli się do Santpoort, gdzie ona została dyrektorką przedszkola; jego przybrany ojciec, swego czasu nauczyciel geografii, poważnie się rozchorował. W miarę upływu czasu Maks odwiedzał ich coraz rzadziej. Najpierw co parę tygodni, potem co parę miesięcy, później już tylko w święta, a wreszcie w ogóle przestał do nich jeździć. Każda wizyta oznaczała dla niego powrót do okresu wojny, co stawało się tym większym obciążeniem, im bardziej oddalona w czasie była wojna. Od lat nie dał już znaku życia.

Wpatrywał się z natężeniem w zegarek – w blasku latarni morskiej zobaczył przez chwilę, że jest wpół do dziesiątej. O której kładł się spać? Było to jakieś trzydzieści kilometrów stąd. W każdym razie na pewno może zadzwonić.

Nieco dalej, na skraju wydm, stał „Dom na Wydmach”, wielki, jasno oświetlony hotel o śródziemnomorskim zacięciu, zupełnie jakby znajdował się przy Boulevard des Anglais w Nicei, a nie pod senną wioską nad zimnym Morzem Północnym. Ruszył po sykim piasku w tamtą stronę, na tarasie znalazł jakieś niezamknięte drzwi i nagle znalazł się w samym środku rozbuchanej zabawy pełnej jenevera, piwa i karnawałowych szlagierów. Na podium siedzieli przebrani w chłopskie stroje muzykanci w czarnych jedwabnych nakryciach głowy i czerwonych apaszkach na szyi i grali najgorsze z najgorszych: „poloneza”, przy którym uczestnicy zabawy węzłem poruszali się po sali pod zwisającymi z sufitu ozdobami, każdy trzymał ręce na ramionach osoby poprzedzającej. Kiedy Maks stał jeszcze, mrużąc oczy od światła i zamętu, ktoś jednym szarpnięciem wciągnął go do podskakującego ze śpiewem szeregu, i zanim się obejrzał, stanowiąc już część zabawy. Rzadko kiedy czuł się równie nie na miejscu, z wyrozumiałym uśmiechem pozwolił się jednak prowadzić, jeśli by bowiem zaczął protestować, kto wie, może zaszlachtowaliby go na miejscu i wrzucili do gorącego tłuszczu między kiełbaski. Przy najbliższych drzwiach wyśliznął się z szeregu i poszedł do recepcji w holu.

Ciężkie kanapy i fotele o lnianych obiciach, zadrukowanych wielkimi czerwonymi i niebieskimi kwiatami, przypominały, że Anglia jest naprzeciwko, po drugiej stronie wody. W budce telefonicznej niecierpliwie wykręcił numer. Czy ona w ogóle jeszcze żyje?

- Słucham, Blok – odezwał się męski głos.
- Przepraszam bardzo, ale czy to numer pani Hondius?
- Ona już tu nie mieszka.

Maks dowiedział się, że od roku jest w domu opieki „Sancta Maria” w Bloemendaal, dostał też numer telefonu. Zawahał się z palcem na tarczy, w otworze nad ostatnią cyfrą, którą była jedynka. Nie powiadomiła go o zmianie adresu, widocznie skreśliła go po tym, jak nie pojawił się przy łożu śmierci jej męża. Myśl o tym napełniła go takim wstydem, że nie miał odwagi dalej kręcić, wiedział jednak zarazem, że jeśli teraz nie zrobi palcem tego ostatniego obrotu o dziewięćdziesiąt stopni, to nigdy w życiu już się z nią nie zobaczy. Jednym zdecydowanym ruchem przekręcił tarczę do oporu.

Portier w Bloemendaal przełączył go do pokoju i po chwili Maks usłyszał jej głos.

- Tak, słucham. Kto mówi?
 - Tu Maks.
- Przez chwilę panowała cisza.
- Naprawdę? – spytała miękko. – To naprawdę ty, Maks?
 - Spała już pani?
 - Nigdy nie śpiam w nocy. Mam nadzieję, że nic się nie stało?

- Jestem akurat w Noordwijk i mógłbym na chwilę wpaść. Czy można?
- Teraz zaraz?
- A może to nie w porę?
- Ależ skąd, ty możesz zawsze. Będę czekała na dole w salonie.
- Za pół godziny będę na miejscu, mamó Toniu.

Ruszył szybko pustym bulwarem w stronę auta. Jadąc do Bloemendaal skrótem przez Haarlem, zastanawiał się, czy powinien coś powiedzieć o swojej haniebnej nieobecności, kiedy jej mąż leżał na łożu śmierci, ale pomyślał, że ona może i bez tego rozumie, że fakt śmierci rodzica, także przybranego, mógł być dla niego psychicznym problemem.

„Sancta Maria”, zbudowana z ciemnej cegły w ponurym stylu holenderskiego katolicyzmu, stała otoczona żelaznym płotem w cichej alejce na skraju lasu. Maks zaparkował samochód na brukowanym dziedzińcu i kiedy otworzył drzwi wejściowe, od razu stanął oko w oko z umęczonym ciałem twórcy wielkiej religii, przymocowanym do krzyża w tej samej pozycji, co Otto Lilienthal do swojej lotni, na której wykonał pierwszy lot ślizgowy. *Consummatum est*, pomyślał Maks; inżynier także nie przeżył swoich eksperymentów. Portier spojrzął zaskoczony znad gazety, rzucił okiem na zegar i ruchem głowy wskazał wejście do salonu.

Na fali zmian społecznych współczesny architekt wewnątrz pokusił się tam o stworzenie za pomocą jaskrawego neonowego światła i obrzydliwych plastikowych mebli o krzyczących barwach nader udanej impresji na temat zbliżających się płomieni czyścica. Przybrana matka Makska siedziała sama przy stole pod oknem i pomachała do niego. Po raz pierwszy od czasu, kiedy się wyprowadził, żeby mieszkać samodzielnie, widział ją bez ojca. Poza nią w sali był jeszcze masywny mężczyzna na wózku inwalidzkim, może sześćdziesięcioletni. Wózek stał ukosem w tak dziwnej pozycji, jakby ktoś pchnął go z daleka, wskutek czego kolebiąc się i zakręcając, dotoczył się do tego właśnie miejsca. Prawe oko mężczyzny przykrywała czarna klapka.

- Maks! Co za niespodzianka! - Jego przybrana matka wstała, ucałowała go z mokrymi oczami i przytrzymała na wyciągnięcie rąk, żeby dokładniej mu się przyjrzeć. - Ależ zmężniałeś. Prawdziwy światowiec.

Aż się uśmiechnął na ten komplement.

- A pani taka sama jak zawsze, mamó Toniu.

Nie była to do końca prawda. Trochę zmaląła, zaokrągliły jej się plecy, twarz nabrała jeszcze ostrzejszych rysów niż dotąd, zupełnie jak na rysunku piórkim, tylko w kącikach ust wciąż błąkał się delikatny uśmiech. Nadal jednak nosiła perukę z kasztanowych włosów, która wyłaniała się z wąskiego, ciemniejszego cienia wokół jej głowy: tajemnicza rozpadlina między głową a peruką, która w dzieciństwie fascynowała go bardziej niż wszystkie rozpadliny w powieściach Karola Maya. Od kiedy ją znał, zawsze nosiła perukę, i nie miał pojęcia, jaka kryła się pod nią tajemnica. Od tamtej pory był przekonany, że zawsze rozpozna, czy ktoś nosi perukę, czy nie – aż do momentu, kiedy Onno powiedział mu pewnego dnia, że potrafi to zobaczyć dopiero wtedy, kiedy to zobaczy, a nie wtedy, kiedy tego nie zobaczy. Do swojej prawdziwej matki zawsze mówił „mamo”.

Usiadł naprzeciw niej, a ona wzięła jego dłonie w swoje. Pogłaskała go po spłaszczonych kciukach i spojrzała na niego.

- Wciąż masz zimne ręce, jak dawniej.
- Tak to już jest u gorącogłowych.
- Opowiadaj, jak tam u ciebie.
- Dobrze – odrzekł. – Dobrze.

Dobrze? Oczywiście nie było mowy, żeby jej opowiedział, jak bardzo pokomplikowało mu się życie i nad jakim zastanawiał się rozwiązaniem.

Sam nie wiedział, co u niego, i może to właśnie był powód, dla którego się tutaj znalazł. Nie była jeszcze tak całkiem stara, mogła mieć niecałe siedemdziesiąt lat – jego prawdziwa matka miałaby teraz sześćdziesiąt – a jednak tkwiła w tym przerażającym miejscu, zupełnie jakby czekając na śmierć, myślami kierując się wyłącznie ku przeszłości, podczas gdy jego zmartwienia dotyczyły wyłącznie tego, co dopiero nadejdzie. Opowiedział o swojej pracy w Lejdzie i że niedługo pewnie się przeniesie do Drenthe, gdzie zostanie uruchomiony nowy teleskop.

- Ty? Do Drenthe? Maks! Taki król życia jak ty na bagniskach? Chyba mi nie powiesz, że zdążyłeś się ożenić, nie mówiąc mi ani słówka?

- Jeśli się ożenię, będzie pani moim świadkiem – powiedział Maks, myśląc jednocześnie, że być może wkrótce będzie miał dziecko, o którym jej nie powiedział. – Nie, po prostu poświęcam się nauce. To bardzo szczególny teleskop.

- Pamiętam cię, jak siedziałeś w swoim pokoiku nad mapą nieba. „Zamierzam rozszyfrować tajemnicę wszechświata”, powiedziałeś któregoś dnia przy stole.

- Naprawdę? – uśmiechnął się zmieszany. – Na uniwersytecie bardzo szybko wybijają człowiekowi takie rzeczy z głowy. Pierwsze, czego tam człowieka pozbawiają, to radość z poznawania przedmiotu, który się obrało. Wszyscy prawdziwi geniusze, tacy jak na przykład Einstein, byli amatorami. Nie tylko zresztą w naukach przyrodniczych.

- Lepiej być człowiekiem szczęśliwym niż wielkim geniuszem.

– Może. Problem w tym, że zapewne Einstein był do tego wszystkiego także szczęśliwy.

– A ty?

– Dla równowagi powinienem właściwie nie być ani geniuszem, ani człowiekiem szczęśliwym, prawda?

Pokręciła powoli głową.

– Nic się nie zmieniłeś, wiesz? Kto normalnie odpowiada w ten sposób?

– Ma pani rację.

Zastanowił się. Byłoby oczywiście bez sensu twierdzić, że jest szczęśliwy, ale czy to od razu musi oznaczać, że jest nieszczęśliwy? Z punktu widzenia logiki być może tak, ale z psychologicznego punktu widzenia? Przez ostatnie miesiące był może naprawdę nieszczęśliwy, a przynajmniej beznadziejnie uwikłany w sieć, którą sam upłół. „Szczęśliwy”, „nieszczęśliwy” – nie były to kategorie, w których zwykł był o sobie myśleć: to raczej „coś dla dziewczyn”, jak by powiedział Onno. Od chwili, kiedy dzisiaj wieczorem powziął tę decyzję, wszystko zostało wprawdzie po staremu – mianowicie było zmarnowane na zawsze – ale też jakoś się jednak zmieniło, przekroczyło jakąś granicę, jak u maratończyka, który właśnie ze swego śmiertelnego wyczerpania zaczyna czerpać siły, a nawet coś w rodzaju rozkoszy. Może zresztą dlatego Maks sam został maratończykiem, właśnie z powodu zniewolenia rozkoszą płynącą z wyczerpania.

– Bóg jeden wie, pewnie jestem szczęśliwy.

Jego przybrana matka zabrała dłonie i spuściła wzrok.

– Wszystko przez tę cholerną wojnę – powiedziała.

Jej uwaga zdziwiła go, ale nie podjął tematu. Teraz on z kolei ujął jej dłonie.

Spojrzała na niego.

– Tak długo się nie widzieliśmy, Maks... Czemu zjawiłeś się tak nagle właśnie dzisiaj?

– Ponieważ właśnie dzisiaj wieczorem podjąłem ważną decyzję, mamó Toniu, która być może zaważy na całym moim przyszłym życiu. Ale proszę mnie nie pytać, co to takiego, bo może w ogóle nic z tego nie wyjdzie. Jak już dojdzie co do czego, to oczywiście o wszystkim panią powiadomię. Sam nie wiem... nagle zapragnąłem znowu się z panią zobaczyć. Oczywiście powinienem to zrobić znacznie wcześniej, wiem, ale...

– Nie mów nic więcej.

Maks umilkł. Na sąsiednim stoliku stała szachownica z przerwana partią. Jutro z rana na pewno zostanie na nowo podjęta przez dwóch starszków, którzy leżą teraz w łózkach i rozważają w myślach następny ruch, prowadzący do miażdżącego mata gońcem lub damą, wysyłającymi swoje linie sił przez wszystkie 666 pól w stronę wrogiej królowej. Człowiek w wózku inwalidzkim nie poruszał się. Pochylił głowę i wpatrywał się w swoje białe dłonie, splecione na kolanach. Wyglądał zupełnie jak król po rozszadzie, czekający już tylko na mata.

W otworze drzwi, pod wiszącym także tutaj krucyfiksem, ukazała się młoda kobieta i powiedziała, że czas do łóżek. Była wysoka i szczupła, mogła mieć niecałe trzydzieści lat. Spod gęstych ciemnoblond brwi spoglądało na Maksą dwoje niebieskich oczu – i z miejsca wiedział, że jeśli tylko chce, może zniknąć z nią w lesie po drugiej stronie. Zobaczył też, że ona natychmiast zorientowała się, że on to wie – ale on nie chciał. Miał to już za sobą. Zupełnie jakby znał ją od lat, posłał jej tytułem przeprosin coś niby mrugnięcie obojgiem oczu. Dziewczyna zaczerwieniła się lekko i podeszła do wózka.

– To jak, idziemy już, panie Blits? Czas pod pierzynkę.

Maks i mama Tonia podnieśli się z miejsc.

– Pójdź, proszę, ze mną na chwilę do mojego pokoju – powiedziała. – Chciałabym ci coś pokazać, a nie mogłam tego tak szybko znaleźć.

Kiedy mijali wózek inwalidzki i Maks wymienił z pielęgniarką melancholijne spojrzenia, pan Blits popatrzył na niego swoim jednym okiem i rzucił:

– Łajdak!

– Hola, hola, panie Blits, co to za pomysły! Zaczynamy rozrabiać?

– Pan Blits ma całkowitą rację – zaśmiał się Maks. – Jestem zupełnie nic niewart.

Wsiadł do windy i wchodząc po chwili do mieszkania mamy Toni, Maks doznał szoku. Wszystko, co tutaj zobaczył, znał z dzieciństwa z ich mieszkania w Amsterdamie, a potem w Santpoort, ale tutaj zostało to zredukowane do esencji, odparowanego ekstraktu. Zaraz po prawej była kuchnia wielkości obrusa, przytykająca do mikroskopijnego saloniku, który przejściem w kształcie łuku łączył się z równie skromną sypialenką. Na kanapie pokrytej niezapomnianie sztywnym i szorstkim obiciem, pochodzącym z lat dwudziestych lub trzydziestych, czytał swoją pierwszą książkę o astronomii, przekład *The Mysterious Universe* Jeansa. Na powycieranych podłokietnikach leżały jakieś trudne do nazwania kawałki materiału. Nad kanapą wisiała reprodukcja *Upadku Ikara* Bruegla, której każdy szczegół zapadł mu na samo dno duszy: bezmierna rozległość przestrzeni łądu i morza, idący za pługiem wieśniak, którego czerwona koszula zdążyła wyblaknąć w delikatny róż, pasterz oparty o swój kij, jakby niczego nie widział, odwrócony plecami do wydarzenia, wokół którego wszystko zostało zbudowane, a które zajmowało tyle miejsca, co mało istotny incydent: ledwie widoczna noga wystająca z fal. Na pustym stole przy kanapie fioletowy pojemniczek na cukierki z rżniętego kryształu, o którym w ogóle już nie pamiętał, ale który był mu znajomy bardziej niż większość przedmiotów w jego własnym domu. W niewielkiej biblioteczce znajome grzbiety książek. *Encyklopedia dla każdego*.

Owładnęło nim bajkowe uczucie, jakby był archeologiem eksplorującym antyczne znaleziska: wszystkie te starożytne przedmioty, zebrane nagle w jednym miejscu na tych paru tajemniczych metrach kwadratowych w Bloemendaal. Były w jego życiu przedmioty jeszcze bardziej archaiczne, pochodzące z ograbionego królewskiego grobowca jego rodzinnego domu, przedmioty, które tylko niejasno pamiętał i które być może gdzieś jeszcze istniały, u złodziei przybyłych w ślad za mordercami albo u wdów po nich, albo u ich dzieci, tyle że już nigdy nie wypłyną na powierzchnię.

Na telewizorze stały dwa oprawione zdjęcia: jedno przedstawiające jego przybranego ojca i drugie, na którym był on sam. Przez wszystkie te lata, kiedy nie dawał znaku życia, stała tutaj jego fotografia i każdego dnia mama Tonia na nią patrzyła! Pan Hondius w kamizelce z wystającą z kieszonki dewizką od zegarka posyłał mu surowe spojrzenie. „Czemu się nie pokazywałeś, Maks?” Odwrócił się zawstydzony. W sypialni, uklękawszy na jedno kolano, jego przybrana matka szukała czegoś w kartonowym pudle wyciągniętym spod łóżka. Na ścianie ujrzał mahoniową szafkę z dwuskrzydłowymi drzwiczkami, których symetryczne rzeźbienia nawet teraz przypominały mu przerażającą głowę nietoperza. Na niej, obok koszyka do robótek, stała głowa: naturalnej wielkości, z gładkiego drewna, ale bez twarzy, zupełnie jak na obrazie Chirico. Nie było to przeznaczone dla jego oczu: tam właśnie odkładała na noc perukę, być może głowa stała dawniej w szafie, bo nigdy wcześniej jej nie widział. Ale teraz przed kim tu cokolwiek ukrywać? Nad drzwiami znowu Chrystus na krzyżu, jedynie z przepaską zakrywającą biodra.

– O, tu jest – powiedziała. Podpierając się na skraju łóżka, podniosła się mozolnie i przyniosła mu duże, pogięte zdjęcie z oślimi uszami, tu i ówdzie ponaddzierane. – Poznajesz?

– To oni! – wykrzyknął Maks.

Oto stali, ramię przy ramieniu: jego ojciec i jego matka. Nie wierząc własnym oczom, z na wpół otwartymi ustami Maks patrzył na tę parę. Pożółkła czarnobiała fotografia, czy raczej zdjęcie portretowe, wykonane jeszcze przed jego urodzeniem przez zawodowego fotografa, może w dniu ich ślubu w roku 1926. Ubrany w nienagannie skrojony garnitur ojciec spoglądał w obiektyw, zastąpiony teraz oczami jego syna, które natychmiast rozpoznały siebie; w prawej dłoni papieros, którego nie odłożył. Po jego lewej ręce żona, osiemnastoletnia, szesnastoletnia młodsza od niego, ciasno przytulona, z jedną ręką na biodrze, na głowie ciemny kapelusz, pod nim dwoje nieopisanych oczu, ich koloru nie było widać i Maks go sobie nie przypominał, w połączeniu z jego własnym nosem i ustami. Patrzył, trzymając palec na fotografii.

– To oni – powtórzył znowu, wciąż nie mogąc otrząsnąć się z zaskoczenia. – Po raz pierwszy w życiu widzę ich zdjęcie.

– Tak też przypuszczałam. Jesteś do nich podobny.

Myśl, że jego dziecko też będzie do niego podobne, tak jak on jest podobny do swoich rodziców, błysnęła mu tylko na moment.

– Skąd pani je ma?

– Znalazłam w papierach męża, kiedy robiłam porządki przed przeprowadzką tutaj. Od razu się zorientowałam, że to nie może być nikt z jego rodziny, bo wyglądają za bardzo światowo. Fotografia musiała być gdzieś wśród rzeczy, które przysłano nam po śmierci twojego ojca.

- Czemu pani mąż nigdy mi tego zdjęcia nie pokazał?

- Nie mam pojęcia. Może wtedy nie chciał, żebyś musiał się zmierzyć z tym, co się stało, i planował je przekazać później, ale jakoś nigdy do tego nie doszło...

Umilkła. Czyżby miało to znaczyć, że pan Hondius chciał mu oddać to zdjęcie na łożu śmierci? Maks nie mógł oderwać oczu od fotografii.

- Czy mogę zatrzymać to zdjęcie?

- Ależ oczywiście.

Była to dla niego zagadka. Zdjęcie pochodziło zatem z celi jego ojca, to znaczy, że w chwili aresztowania zabrał je ze sobą jako jedną z niewielu rzeczy - dlaczego? Przecież wydał tę kobietę u swego boku na śmierć, co jego samego zaprowadziło przed pluton egzekucyjny: jego, Jedynego śmiertelnego. Po co mu więc było zdjęcie z kimś, kto nie istniał, a więc nie mógł umrzeć? Czyżby jednak dla niego istniała? A więc jednak umarła? O ile człowiek jest do pojęcia? O ile do pojęcia jest on sam?

31

Prośba

Następnego dnia rano obudził się we własnym łóżku z jakąś rozjarzoną jasnością we wspomnieniach. Jeszcze przez chwilę nie otwierał oczu i widział, że tym, co skrywała peruka, była srebrna pokrywa czaszki mamy Toni - i na moment ponownie rozwarły się przepastne hale jego snu tej nocy, z ich korytarzami i komnatami, z ich doniosłymi przesłaniami i przyprawiającymi o zawrót głowy obrazami, by zaraz potem zamknąć się na dobre, zupełnie tak, jakby kraj opuszczany przez podróżnika nie tylko zniknął za horyzontem, lecz w ogóle przestawał istnieć...

Otworzył oczy. W łagodnym blasku wpadającym przez pomarańczowe zasłony wszystko było na swoim miejscu, nic się nie zmieniło, zarazem jednak wszystko było inne: w jakiś sposób utraciło swą trwałość, dzięki której jutro byłoby takie jak dzisiaj, a pojutrze takie jak jutro. Było tak, jakby tu już nie mieszkał, jakby jego dusza już się stąd wyniosła. Dziesiąta. Ponieważ była sobota, nie nastawił budzika, nie musiał jechać do Lejdy. Wstał z łóżka, rozsunął zasłony i wykręcił numer Sophii.

Właśnie wybierała się do Amsterdamu, do szpitala.

- Jestem już w płaszczu.

- Onno też będzie?

- Tak myślę. A co?

- Muszę z panią porozmawiać, ale bez Onna. To ważne.

- Czy coś się stało? Wczoraj też wyszedłeś tak nagle.
- Tak, coś się stało, ale nie mogę powiedzieć przez telefon.
- Gdzie się zobaczymy?

Pierwszą jego myślą było, żeby zaprosić ją do siebie, dziesięć minut piechotą od kliniki, ale czuł, że byłoby to przekroczenie pewnej granicy.

- To może w dworcowej restauracji? Tak będzie chyba dla pani najwygodniej.
- Ale w żaden sposób nie mogę powiedzieć dokładnie, o której dotrę.
- Rozumiem. Proszę się nie śpieszyć, będę tam czekał od pierwszej. Może przy okazji zjemy jakiś mały lancz.
- A więc do zobaczenia.

Na biurku leżało zdjęcie jego rodziców. Patrzył na nie przez chwilę i postanowił, że zaraz da je do oprawy. Napełnił wannę do brzegu i zanurzywszy się w gorącej wodzie, próbował rozmyślać o przyszłości, ale niewielki to miało sens, dopóki nie rozmówi się z Sophią. Niewykluczone, że spojrzy na niego zdumiona i spyta, czy nie upadł przypadkiem na głowę. Będzie to przypuszczalnie oznaczało także koniec ich dziwaczno-go związku. Ale może stanie się zupełnie inaczej i wtedy będzie musiał natychmiast podjąć odpowiednie kroki, żeby dostać pracę w Westerbork i załatwić jakieś lokum. Chociaż... w końcu wszystko zależy przecież od Onna. To on decyduje. Chodzi przecież o jego żonę i dziecko, które przynajmniej oficjalnie jest jego dzieckiem. Był pod presją rodziny i pytanie brzmiało, czy potrafi się jakoś odnaleźć w tworze, który najprawdopodobniej skłonny będzie zaklasyfikować raczej do działu „surrealizm”. Maks uświadomił sobie, że przyszło mu pokładać nadzieję akurat w tej przyjaźni, którą sam zdradził.

Ze zdjęciem w złożonej gazecie zszedł około wpół do jedenastej po schodach, wyjął poranną gazetę ze skrzynki i powędrował w stronę Dworca Centralnego. Na wystawie sklepu fotograficznego przy Leidsestraat widniało zdjęcie karambolu z lat dwudziestych: niewielka pożółkła fotografia przedstawiająca dwa samochody, które dziwnym zbiegiem okoliczności zderzyły się ze sobą w tym niemalże pozbawionym samochodów świecie, zreprodukowana za pomocą różnych technicznych sztuczek jako duże, błyszczące zdjęcie, które wyglądało jak zrobione wczoraj. Dziewczyna w sklepie zaproponowała mu, że mogą przetworzyć także jego zdjęcie, ale Maksowi nie chodziło tylko o to, co było widać, ale o sam przedmiot, oryginalny papier, materię, która była w posiadaniu jego ojca i matki i na której musiały jeszcze pozostać molekuly ich dłoni.

Przez Damrak poszedł w stronę Dworca Centralnego, zamykającego port od przodu jak tama. Wyglądało to zupełnie tak, jakby rada miejska Wenecji wpadła na pomysł wybudowania stacji kolejowej na Molo za dwiema kolumnami Piazzetty, co przesłoniłoby widok na lagunę. Amsterdam chciałby być Wenecją północy, pomyślał Maks, ale Wenecja na szczęście nie jest Amsterdamem południa. Od kiedy miał samochód, był na tym dworcu tylko raz, kiedy wyruszał w podróż do Polski. Jak zawsze dotąd, tak i tym razem przed wejściem do hali rzucił okiem w lewo na ukośną rampę towarową, po której setki tysięcy Żydów wpędzono do wagonów.

Olbrzymie półokrągłe sklepienie ze stalowych belek – specjalnie zaprojektowane w ten sposób, żeby przechwytywać dym z lokomotyw – Maks uważał zawsze za wnętrze zeppelinu, teraz jednak skojarzyło mu się ono z żebrami wieloryba, który właśnie go połknął. Czuł coś jakby tremę. W restauracji wyłożonej ciemną boazerią, z drzeworytami i malowidłami na ścianach, usiadł przy stoliku pod oknem. Chociaż dworzec przesłaniał panoramę wielkiego świata, zupełnie jakby miał przypiecztować zmierzch morskiej potęgi Holandii, to jednak był z niego wspaniały widok: na rozgałęziony, zapełniony tłumem plac, przy którym stały kościoły, hotele i siedemnastowieczne kamienice przeglądające się w wodzie, odsłaniający niemalże obsceniczny widok w głąb na środek miasta. Kiedy tak patrzył w tamtą stronę, ogarnęło go takie samo uczucie, jak rano po przebudzeniu: być może to już nie jest jego miasto. Poza pracą naukową wszystko, co go dotyczyło, działo się właśnie tutaj, poczynając od narodzin, a na rozmowie, którą zaraz przeprowadzi, kończąc.

U kelnera w białym fartuchu sięgającym aż do ziemi zamówił kawę i rozłożył gazetę. Wczoraj w Paryżu de Gaulle rozpiął referendum w sprawie swojej dalszej prezydentury, co spowodowało kolejne rozruchy we wszystkich francuskich miastach, z kilkoma ofiarami śmiertelnymi i dziesiątkami rannych. Czytał same nagłówki oraz artykuły redakcyjne – nie dlatego, żeby nie mógł się skoncentrować, ale dlatego, że nadal nic go naprawdę nie interesowało. Od bytności na Kubie zajmował się wyłącznie swoimi osobistymi problemami, jakich tam sobie narobił, oraz sprawami radioźródeł w głębinach kosmosu – wszystko, co leżało pomiędzy, a więc wojna w Wietnamie, rewolta w Europie, istniało dla niego w coraz mniejszym stopniu; zostawił to dla Onna. Przeczytał artykuł o szybkim rozwoju chipów, z którymi będzie jeszcze miał do czynienia, w uszach mając bezustannie skrzypienie drzwi wejściowych, przeraźliwe gwizdki konduktorów dochodzące z brzucha wieloryba, łoskot wtaczających się pociągów, które zatrzymywały się w końcu z obrzydliwym zgrzytem. Z głośników wydobywały się od czasu do czasu niezrozumiałe zapowiedzi.

*

– Długo już czekasz?

Sophia patrzyła na niego z góry. Maks wstał, przywitał się i wziął od niej płaszcz, który był zimny od zewnątrz i ciepły w środku. Kiedy już siedzieli naprzeciw siebie, powiedziała:

– No więc sprawa jest już przesądzona. Najpóźniej w przyszłym tygodniu we czwartek będą wydobywać dziecko.

Maks skinął głową.

– Powiedzieli dlaczego?

– Mnie też nie wszystko mówią, zwłaszcza kiedy jest przy tym Onno. Podobno bardzo długo wszystko rozważali, mówią, że wolą nie ryzykować, ale nie wiem, co to ma znaczyć. Nietrudno sobie wyobrazić, że w tym ciele różne rzeczy mogą zacząć się dziać nie tak. Ona cały czas leży, trzeba ją co trzy godziny odwracać, przykładać lód, osuszać.

Sposób, w jakim powiedziała „w tym ciele”, które przecież sama wydała na świat, zdumiał go przez moment. Odwracać. Okładać lodem. Osuszać.

– Ale czy ona przeżyje taką ciężką operację?

Sophia spuściła wzrok na swoje dłonie.

– A któż to może wiedzieć? Właśnie rozmawialiśmy krótko z chirurgiem, który ma ją operować, ale ten też oczywiście nie chce powiedzieć wszystkiego. Jego zdaniem raczej nie wiąże się to z zagrożeniem życia. Dla dziecka w każdym razie nie jest to żaden problem, w końcu ma już siedem miesięcy.

Maks pomyślał sobie, że byłoby pewnie najlepiej, gdyby Ada nie przeżyła operacji, i że Sophia pewnie widzi to podobnie. Nie miał jednak odwagi powiedzieć tego głośno.

– A Onno?

– Oczywiście też czuje, że coś jest na rzeczy, ale mówi, że woli zostać ojcem już dzisiaj niż dopiero jutro.

Maks wyobraził sobie, jak Onno to mówi, z obszernym gestem, a chirurg nic na to nie odpowiada, bo wie lepiej, co się dzieje. Onno zawsze wywoływał nieporozumienia, więc pewnie i teraz lekarz pomyślał, że Onno kompletnie nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji.

– Jeśli wszystko pójdzie dobrze – powiedział Maks – będzie to oznaczało, że dziecko za kilka tygodni będzie potrzebowało domu. Czy Onno już zdecydował?

Sophia spojrzała na niego zdziwiona.

– Odnoszę wrażenie, jakbyście się w ogóle przestali widywać. Czy coś między wami zaszło?

– Nie, a dlaczego? – powiedział Maks, odpowiadając na jej spojrzenie. – Ostatnio rozmawiałem z nim przedwczoraj.

Maks opuścił wzrok i złożył gazetę.

– W drodze powrotnej mówiliśmy o tym w tramwaju – powiedziała Sophia. – Nie, wciąż jeszcze nie wie, co zrobić. Pytał nawet, co mu radzę.

– I co mu pani poradziła?

– Moim zdaniem nie powinien pozwolić, żeby dziecko włóczyło się z urzędnikami po świecie, tylko powierzyć je swojej siostrzenicy Pauli w Rotterdamie. A tak w ogóle to któregoś dnia spotka jakąś kobietę i wtedy może jeszcze wziąć dziecko do siebie.

Tej możliwości Maks zupełnie nie brał dotąd pod uwagę. No tak, było to oczywiście do pomyślenia, ale na pewno nigdy się nie zdarzy. Przypomniał sobie, co Onno powiedział do niego już w dzień po wypadku, mianowicie, że samotność wcale nie jest mu taka straszna, bo i tak już jest komicznym typem żonatego kawalera. Któregoś dnia na pewno spotka jakąś kobietę, na pewno jednak nigdy z nikim nie zamieszka. Z Adą był to dla niego incydent, jak w przypadku skąpca, który raz w życiu decyduje się na kupno akcji i traci wszystko, po czym już na dobre oddaje swój kapitał do bankowego depozytu, chociaż jego parający się spekulacją przyjaciele powtarzają mu bez końca, że trzymanie pieniędzy w banku to jak wożenie drew do lasu. Dla niego było to jeden raz i nigdy więcej.

– Powiedziała mu pani o tym?

– Oczywiście, że nie.

Maks pokręcił głową.

– O ile go znam, przez resztę życia pozostanie kawalerem, to znaczy będzie prowadził kawalerskie życie.

Obok stolika stanął kelner i trzymając w dłoniach bloczek oraz długopis, w milczeniu patrzył to na jedno, to na drugie. Zamówili po toście z sadzonym jajkiem, który pewnie będzie równie mało apetyczny, jak ten tępawy kelner. Maks wydrapywał paznokciem kratkę w zaschniętej plamie na niezbyt dobrze wypranym obrusie.

– Ale gdybyśmy – zaczął powoli, nie podnosząc wzroku – zdecydowali się, pani i ja...

– Na co gdybyśmy się zdecydowali?

– Na zaopiekowanie się wspólnie dzieckiem Ady.

Wreszcie zostało to powiedziane. Nagle zaistniało jako coś konkretnego, jak meteor wdzierający się w ziemską atmosferę. Patrzył jej w oczy i próbował odczytać, jak przyjęła jego propozycję, ale jej twarz nie wyrażała żadnej emocji.

– My mielibyśmy się wspólnie zaopiekować dzieckiem Ady? Ty i ja? Jak to sobie wyobrażasz?

Już niemal był zdecydowany, żeby powiedzieć: „Skończmy wreszcie, na miłość boską, z tą całą komedią, dostatecznie długo to wszystko trwało. Straciłem dla ciebie głowę, nie potrafię bez ciebie żyć i ty dobrze o tym wiesz. Nawet biorąc od ciebie płaszcz, myślę tylko o ezoterycznym mroku naszych nocy, i z tobą dzieje się to samo”. Ale co będzie, jeśli tak powie, a ona mu na to odrzeknie: „Masz rację, trzeba skończyć z tym teatrem” – czy wtedy będzie jeszcze chciał, żeby się do niego sprowadziła z dzieckiem Ady? Oczywiście, że nie. Dobrze wiedział, że to właśnie tej niepojętej tajemnicy zaprzedał duszę, temu, co ukrywali nie tylko przed światem, ale także przed sobą nawzajem, a kto wie, czy nawet nie przed samymi sobą.

– Od śmierci męża prowadzi pani antykwariat – zaczął Maks – ale nie wydaje mi się, żeby to długo potrwało. Ja w niedługim czasie będę musiał przenieść się najprawdopodobniej do Drenthe, ponieważ dostanę pracę przy teleskopie w Westerbork. W najbliższy czwartek z ciała pani córki wydobyte zostanie dziecko mojego najlepszego przyjaciela. Taki chyba właśnie mamy stan rzeczy, prawda? Ada jest już raczej nie z tego świata, Onno musi oddać dziecko w obce ręce, mnie się nie uśmiecha mieszkać samotnie na prowincji, a pani nic teraz nie trzyma w Lejddie. Wszyscy pięcioro jesteśmy samotni – niech może w ten sposób nasze losy jakoś się ze sobą spleją. Powiedziała pani kiedyś, że babka tradycyjnie opiekuje się wnukami i że zaproponowała pani Onnowi siebie w takiej roli, ale on stwierdził, że w rodzinie musi być mężczyzna. Cóż, jestem mężczyzną. Nie będziemy wprawdzie przeciętną rodziną, ale na zewnątrz tak będzie wyglądało. Chociaż, w głębszym sensie, będziemy może nawet bardziej rodziną niż normalnie.

Sens tego ostatniego zdania nie od razu dotarł do niego samego, ale pewnie kiedyś się wyjaśni. Sophia odwróciła głowę i patrzyła przez okno. Jej bezlitosny profil skojarzył mu się nagle z twarzą kobiety na obrazie Franza von Stucka *Sfinks*, którego reprodukcję kiedyś widział: leżąca nago na brzuchu, z uniesionym tułowiem i zgiętymi w szpony palcami, w pozycji lwicy na brzegu mrocznego górskiego jeziora, do którego wpada wodospad. Nie widział, co się w niej dzieje, ale w każdym razie nie odrzuciła z miejsca jego propozycji. Odwróciła się znowu w jego stronę.

– Czy ty w ogóle wiesz, co mówisz?

– Nie zawsze wiem, co mówię, ponieważ wówczas nigdy nie powiedziałbym nic ważnego, ale to, co powiedziałem teraz, rozważyłem wcześniej na wszystkie możliwe strony. Wiem, że całkowicie zmieni to moje życie, pani życie także, ale jesteśmy to winni Adzie. Może zresztą nie jesteśmy winni, musimy to jednak zrobić, nawet jeśli nie jest to nasz obowiązek. – Odłożył gazetę i wyprostował plecy. – To właśnie chciałem pani powiedzieć. Oczywiście będzie mało czasu na załatwienie wszystkich spraw, muszę znaleźć odpowiednio przestronny dom dla nas trojga, może jakąś starą plebanię albo coś w tym rodzaju, pani musi sprzedać antykwariat, ale wszystko to da się zrobić. Nie mam jakiejś zawrotnie wysokiej pensji, są jednak rodziny utrzymujące się z mniejszych dochodów. Zresztą na wsi wszystko jest tańsze, zwłaszcza kiedy kupuje się bezpośrednio od chłopca. – Zrobił gest dłonią. – Rozumiem, że spadło to na panią nagle i że potrzebuje pani kilku dni, żeby to przemyśleć, ale...

– Nie muszę nic przemyśleć – powiedziała Sophia, patrząc mu prosto w oczy.

– A więc? – spytał, wpatrując się w nią w napięciu.

– Te ostatnie miesiące mojego życia... to znaczy... jeśli Onno się zgodzi...

Miał wielką ochotę wziąć jej dłoń w swoje dłonie, powstrzymał się jednak. Po raz pierwszy zobaczył jakąś rysę w jej pancerzu.

– Czy on jest teraz w domu?

– Chyba tak.

– No to chyba od razu do niego wpadnę. Powiem pani, jak zareagował. Wydaje mi się, że będzie lepiej, jeśli pójdę do niego sam. – Zorientował się, że teraz trochę ją przytłoczył swoją żądzą czynu, dodał więc: – Ważne decyzje zawsze należy podejmować od razu, ponieważ inaczej nic z tego nie wychodzi. – Zaśmiał się. – Ależ Onno robi wielkie oczy, już choćby dlatego, że zadzwonię do jego drzwi. Dotąd nigdy się to jeszcze nie zdarzyło.

W przeciwieństwie do Maksa Onno potrafił w jednej chwili skoncentrować uwagę na czym innym, zupełnie jak ktoś, kto przechodzi z pokoju do pokoju i zamyka za sobą drzwi. Informacja o tym, że za pięć dni przyjdzie na świat jego dziecko i że szybko musi podjąć odpowiednie decyzje, zaprzętała go do momentu, kiedy włożył klucz w drzwi. Zgadzał się z teściową, że wybór Hansa i Hadewych będzie gorszy, ale ponieważ nie chciał wybrać mniejszego zła, tylko dokonać najlepszego wyboru, nadal nie potrafił ostatecznie tego rozstrzygnąć. Gdy tylko wszedł do swojego gabinetu, jego spojrzenie padło na papiery i w chwilę później bez reszty się w nich zagłębił.

Kiedy rozległ się dzwonek, wstał mechanicznie i otworzył drzwi, nie przerywając naukowych rozważań. Dopiero gdy ujrzał stojącego na progu Maksa, ocknął się ze zdumieniem.

– O, to dość niecodzienne – powiedział.

– Dziękuję za gorące powitanie. Zdaję sobie sprawę, że nie należysz do specjalnie gościnnych, ale mam z tobą coś do omówienia.

– *Salve*.

Maks udał się za Onnem do sutereny, która po krótkim okresie umiarkowanego ładu ponownie dostała się w szpony drugiej zasady termodynamiki: panujący tu bałagan sprawiał Maksowi niemal fizyczny ból. Bez słowa spoglądał na rozciągający się przed nim chaos. Sam potrafił długie minuty spędzić na precyzyjnym układaniu na skraju biurka przyrządów, magnesu, kompasu, kamertonu, przy czym liczył się każdy milimetr – tutaj nie było widać nawet śladu świadomości, że w ogóle istnieje coś takiego jak porządek.

– Czy ty w ogóle jesteś człowiekiem? – spytał.

– Oczywiście. Przytknęło cię, co? Jedyne najsilniejsi potrafią żyć w ten sposób. Na górze jest trochę przyjemniej, ale właściwie chodzę tam tylko spać.

Tego, że Onno jednak był człowiekiem, dowodziła wiolonczela Ady: futerał leżał, jak nieboszczyk na marach, na dwóch krzesłach ustawionych przy biurku siedziskami do siebie. Onno poszedł pierwszy do następnego pokoju, gdzie wcześniej stało jego łóżko, i uprzętnął róg zapadniętej kanapy, odsuwając na bok książki, gazety, parę szarych skarpetek i toster. Przez ułamek chwili Maks widział książkę o Fabergém, którą podarował Adzie pierwszego dnia.

– Byłem dzisiaj rano w szpitalu – powiedział Onno. – To będzie we czwartek około wpół do piątej. No tak, ty przecież nic nie wiesz: otóż lekarze...

– Wszystko wiem. Rozmawiałem z twoją teściową. Dlatego tu jestem.

Onno ciężko opadł na niewielki fotel, pochodzący jeszcze z jego studenckich czasów, kupiony wtedy od handlarza starzyzną. Brązowa skóra miała po bokach zadrapania i rysy, może po jakimś dawno nieżyjącym kocie, który kiedyś ostrzył sobie na niej pazury. Maks rozmawiał z jego teściową? Onno patrzył na niego z wysoko uniesionymi brwiami.

– Rozmawiałeś z moją teściową?

Można kogoś znać przez całe lata, ale na pytanie, jaki ten ktoś ma kolor oczu, często nie umiemy odpowiedzieć, ponieważ patrzymy nie na jego oczy, lecz na osobę. Po raz pierwszy Maks zobaczył, że wokół błękitnej tęczówki Onno ma cienką brązową obwódkę.

– Tak.

– Zamieniam się w słuch.

Wszystko zależało teraz od tonu. Maks nie przygotował sobie tego, co ma powiedzieć, ponieważ wówczas musiałby się skupić na przypominaniu sobie, co przygotował, a tutaj nie chodziło o to, żeby sobie przypomnieć, co jest właściwe, tylko o to, by właściwe rzeczy powiedzieć we właściwy sposób.

- Słuchaj, Onno, powiem prosto z mostu. Przedwczoraj opowiedziałeś mi o swoim dylemacie, komu dać na wychowanie dziecko. Ponieważ wydaje mi się, że mogę ci jakoś pomóc, skontaktowałem się wczoraj z twoją teściową, która powiedziała mi dwie rzeczy. Po pierwsze, że w najbliższy czwartek planują zrobić cesarskie cięcie, ponieważ stan Ady może się okazać krytyczny.

- Co może byłoby najlepsze dla wszystkich. A po drugie?

- Po drugie, ona sama zaproponowała, że zaopiekuje się dzieckiem. Ty jednak nie chciałeś, żeby wychowywało się u samotnej kobiety.

Maks odczekał moment, żeby zobaczyć, czy Onno może już teraz zrozumiał, do czego zmierza, ale nic na to nie wskazywało. Onno z kolei słuchał go z nieprzyjemnym uczuciem, że to wszystko staje się nazbyt osobiste, chociaż mówi to jego najlepszy przyjaciel. Najwyraźniej nie tylko w najbliższej rodzinie prowadzi się za jego plecami rozmowy bezpośrednio dotyczące jego dalszego życia. Nie miał najmniejszego pojęcia, do czego zmierza Maks.

- Zgadza się - skinął głową. - No i?

- Jestem z nią umówiony, a wcześniej spotkaliśmy się w dworcowej restauracji. Idę prosto stamtąd.

O co w tym wszystkim chodzi, na miły Bóg? Onno wyprostował się w fotelu.

- Czy to nie trochę dziwne? Nic mi nie powiedziała, że się z tobą umówiła.

- Nie o to chodziło - Maks szukał odpowiednich słów. Właśnie miał to powiedzieć po raz drugi. - Trzymaj się mocno, Onno. Zaproponowałem jej, żebyśmy ona i ja zajęli się wychowaniem waszego dziecka.

Onno patrzył na niego skamieniały. Nie mógł uwierzyć, że usłyszał to naprawdę.

- Powtórz to.

- Jest niemal przesądzone, że zostanę przeniesiony do pracy przy teleskopie w Westerbork i wkrótce będę się musiał definitywnie przenieść do Drenthe.

- Co ty wygadujesz? Dobrze pamiętam, jak twierdziłeś, że czułyś się tam jak zesłaniec na Syberii.

- Dużo się we mnie zmieniło, Onno. Twoja teściowa jest gotowa ze mną zamieszkać, tak że dziecko byłoby w dobrych rękach.

Onno miał wrażenie, jakby na jego oczach jakieś miasto legło w gruzach i odrodziło się jako zupełnie inne miasto – Amsterdam jako Rzym albo pałac przy Damie jako Bazylika Świętego Piotra. Kiedyś już przeżył coś podobnego, było to lata temu w pewien zimowy wieczór, śnieg stłumił wszelkie odgłosy miasta i Onno siedział pochylony nad fotografiami swoich etruskich inskrypcji: ujrzał, jak wszystko przegrupowuje się w zupełnie nową konstelację, odwraca, przestawia – i jego odkrycie stało się faktem. Nagła metamorfoza przyjaciela w opiekuna jego dziecka i teściowej w jego domowniczkę – nie do końca to jeszcze do niego dotarło, ale czyż nie było to idealne rozwiązanie? Precz ze wszystkimi siostrzenicami i bratankami i ich drugimi połowami! A może to jakieś kompletne szaleństwo, na które szkoda nawet słów? Maks z jego okropną teściową w Drenthe – nie, to chyba niemożliwe. On, obłąkany satyr, pod jednym dachem z lodowatą Sophią Brons – co w niego wstąpiło? Skąd mu przyszło do głowy, żeby tak nie liczyć się z samym sobą? Czyżby dogoniła go jego własna przeszłość, bo przecież wychowywał się u przybranych rodziców? Ale to właśnie zaproponował i teraz siedzi, czekając na odpowiedź. A może to po prostu przyjaźń?

– Maks... – zaczął Onno i poczuł, że brzmienie własnego głosu wyciska mu tły z oczu – ...zupełnie nie wiem, co powiedzieć...

– Więc nie mów. Albo jeszcze lepiej, powiedz, że się zgadzasz, i sprawa załatwiona.

Onno wstał i wyszedł z pokoju. Przy umywalce w ubikacji chlusnął sobie w twarz wodą nabraną w dłoń. Szukając ręcznika, którego nie było, zadawał sobie pytanie, czy wolno mu przyjąć tę propozycję. Czy zgadza się być powodem tak zasadniczej zmiany w życiu Maksa? Może Maks czuł się współodpowiedzialny, zwłaszcza że on, Onno, nigdy nie poznałby Ady, gdyby nie Maks? A może jakąś rolę odgrywał wypadek, bo to on siedział wtedy za kierownicą, choć nie ponosi przecież żadnej winy? Wytarł twarz rękawem i wrócił do pokoju.

Maks również wstał i przyglądał się licznym kartkom papieru w kratkę ze schematami lingwistycznymi rozwieszonym na ścianie. Najwyraźniej dysk z Fajstos wciąż jeszcze nie zniknął z systemu Onna.

– Ciągłe huczy mi w głowie – powiedział Onno. – Czy jesteś pewien, że nie dałeś się ponieść swojemu poczuciu humoru?

Maks wybuchnął śmiechem.

– Wydaje mi się, że nigdy wcześniej nie byłem tak poważny jak dzisiaj.

– Być może jest to jajko Kolumba, ale pomóż mi łaskawie coś zrozumieć. Co w ciebie wstąpiło? Ja bym ani godziny nie wytrzymał z tym babsztyłem. Co mam o tym myśleć? Ty z nią kręcisz?

– Ha, ha, ha – roześmiał się Maks. – Nie rozśmieszaj mnie, proszę.

– To by było nawet do ciebie podobne, ale widocznie i ty masz jakieś granice.

- Wydaje mi się, że będę umiał tam żyć jak pastor z gospodynią i jej wnuczkami – stwierdził Maks zdecydowanie. – Będzie dla mnie gotowała i będzie mi prasowała koszule, kołnierzyki nigdy do szpica, tylko zawsze w drugą stronę. Pod względem seksualnym na pewno sobie poradzę, bez wątpienia potrafię sobie kogoś znaleźć.

- Ale dlaczego to wszystko dla mnie robisz?

- Nie tylko dla ciebie, ja sam też mam już dosyć życia, jakie dotychczas prowadziłem. Przecież chyba nie musiałbym przenosić się do Westerbork, gdybym nie miał ochoty? Co do mojego życia erotycznego, to też spróbuję sporządzić, bo jest rzeczą praktycznie niewykonalną wyżywać się na wsi jak zwierzę. Powiedzmy tak: w pewnym sensie wyjdzie mi to tylko na dobre. Mam ochotę popracować na tym teleskopie, a w innym wypadku gnieździłbym się samotnie w pokoiku wynajętym u miejscowego notariusza. Codzienne jeżdżenie tam i z powrotem do Amsterdamu to oczywiście idiotyzm, zwłaszcza volkswagenem; poza tym często jest też sporo do zrobienia w nocy. Na pewno poderwę sobie pielęgniarkę ze szpitala w Hoogeveen, a potem nauczycielkę niemieckiego w Zwolle, którą mogę jeszcze tego i owego nauczyć. A z czasem, kto wie; może i między twoją teściową a jakimś antykwariuszem z Assen rozkwitnie piękne uczucie.

- A co będzie, jeśli naprawdę spotkasz kogoś, z kim będziesz chciał założyć rodzinę?

- To oczywiste, że wezmę dziecko ze sobą. Ale nie widzę szansy, żeby coś takiego zaszło. Choć zawsze może się stać coś nieoczekiwanego, nawet twoi kuzyni Hans i Jan-Kees mogą się przecież rozwieść.

- Dobry Boże! – Onno wznosił ręce ku niebu. – Coś mi przypomniałeś! Moja rodzina! Jak ja to powiem rodzinie?

A więc stało się.

- Czy to znaczy, że tak zrobimy?

- Oczywiście, że tak zrobimy! Jestem pewien, że Ada też uznałaby to za najlepsze rozwiązanie.

Uwaga Onna trafiła Maksa w samo serce. Zupełnie się nad tym dotąd nie zastanawiał, ale nie mogło być co do tego wątpliwości: zdawało mu się niemal, że widzi Adę leżącą z zamkniętymi oczami, jak kiwa potakująco głową. Wyciągnął dłoń, na którą Onno patrzył przez moment, a potem uścisnął.

- Szampana! – zawołał Maks. – „La Veuve”!

- Co prawda, to prawda – powiedział Onno, kręcąc głową z rezygnacją. – Nie mam w domu nawet piwa. Kompletnie stoczyłem się na powrót w barbarzyństwo.

- No to wyjdźmy się gdzieś napić, trzeba to przecież uczcić. Ja stawiam.

- Lepiej już sobie idź. Chciałbym teraz zostać sam. Muszę przez pewien czas posiedzieć, gapiąc się tępo przed siebie, żeby wyjść z szoku. A potem jak najszybciej musimy usiąść we trójkę, bo na pewno jest jeszcze mnóstwo szczegółów do dogrania, ale jakoś sobie poradzimy. Dziecko urodzi się półtora miesiąca za wcześnie i lekarze twierdzą, że z pewnością spędzi w inkubatorze cztery czy pięć tygodni. Dość czasu, żeby wszystko pozałatwiać.

32

Fuszerka

Kiedy Maks wyszedł, Onno udał się na górę i padł na łóżko. Nagle chmury się rozwiały i rozpostarła się przed nim jasna przyszłość, tak jak po nocy przychodzi dzień. Maks go przekonał, ale Onno nadal nie do końca wszystko rozumiał. W końcu wychowanie dziecka to kwestia co najmniej siedemnastu lat – a to oznacza, że Maks zagospodarował sobie życie aż do roku 1985, kiedy będzie miał pięćdziesiąt dwa lata. Pięćdziesiąt dwa lata! Wielki Boże! To znaczy, że życie będzie miał w zasadzie za sobą – on zresztą także. Chociaż, dlaczego od razu za sobą, w końcu kto powiedział, że człowiek nie może dożyć dziewięćdziesiątki, a zatem może nie tyle za sobą, ile raczej już nie w rozkwicie, lecz bardziej w fazie zmierzchu. No i Maks będzie przecież musiał przy okazji robić też różne inne rzeczy niż tylko wychowywać samotnie dziecko, a mianowicie prowadzić badania naukowe; z tym że wychowywanie dziecka pomoże mu wprowadzić pewien ład we własne życie. Być może dziecko będzie właśnie tym, czego Maks potrzebuje, żeby kontynuować poważne prace astronomiczne, ponieważ w innym razie większość czasu marnowałby na namawianie kolejnych kilkunastu kobiet do zdjęcia majtek – co oczywiście jest samo w sobie piękne i godne polecenia, jeśli potrafiłoby się to spamiętać i na łożu śmierci z satysfakcją powrócić do tych wspomnień. Niestety jednak to się zapomina i zostaje człowiekowi tylko wielka góra bielizny, w której jedne majtki nie różnią się niczym od drugich. A zresztą, jak się ma dziewięćdziesiąt lat, to co człowiekowi po pamiętaniu, że leżał na niezliczonych dzisiejszych osiemdziesięciolatkach czy sześćdziesięciolatkach? Czy nawet stulatkach. Człowiek będzie sobie siedział obśliniony na ławce w parku i kiedy przejdzie obok jakaś stara kobieta z ciałem wykrzywionym w reumatyczny kątownik, gadająca do siebie, opierająca się na czarno lakierowanej lasce, pomyśli sobie: z tą też kiedyś wylądowałem w łóżku. Cóż za wspaniały triumf. Ale może Maks wcale nie chce pamiętać, może chce po prostu bez przerwy porzucać kobiety i o nich zapominać, ponieważ sam został kiedyś porzucony i o nim zapomniano. W każdym razie z nim, Onnem, na pewno tak się nie stanie. Przespał się w życiu z jedenastoma kobietami, z których każdą dokładnie pamięta: Helga była dziewiąta, Ada dziesiąta, Maria z Hawany jedenasta. Od czasu wypadku nie spał z żadną.

Skoro jednak Maks doszedł do takiego punktu, zastanawiał się dalej, to przecież miał mnóstwo innych sposobów, żeby zmienić swoje życie – niekoniecznie z Sophią Brons. Sam sobie ją przecież wziął na głowę. Onno za nic nie chciałby stale mieć tej kobiety przy sobie, ale widocznie Maksa to wcale nie onieśmiało. Jęzda czy nie jęzda, dla niej też oznaczało to nowy sens życia. Nie, nie, Maks próbował przedstawiać swoją propozycję jako akt egoizmu, żeby jemu, Onnowi, ułatwić jej przyjęcie, ale i tak pozostanie to przede wszystkim bezinteresownym gestem przyjaźni, za który powinien mu być wdzięczny do końca życia. Będzie mógł teraz ze spokojnym sercem poświęcić się swoim zajęciom, bez nieustającej podświadomej walki z wątpliwościami, czy postąpił właściwie. Klub buntowników wysunął niedawno jego kandydaturę do władz partyjnych, co miało się w najbliższym czasie rozstrzygnąć. Jeśliby przeszedł, musiałyby mieć szansę całkowitego poświęcenia się swojej działalności.

W jednej chwili wstał z łóżka, podszedł do telefonu i wykręcił numer najmłodszej siostry. Chciał natychmiast załatwić sprawę ostatecznie, żeby nie było odwrotu.

– Dol? Mówi Onno.

– Poczekaj chwilę, zaraz wrócę, tylko naleję psu wody. No, już jestem z powrotem.

– Posłuchaj mnie uważnie, Dol. Wiem, że to trochę nagle, ale chcę to z siebie zrzucić. Przed chwilą był u mnie mój przyjaciel Maks, wiesz, o kim mówię, mój najlepszy przyjaciel Maks Delius, i on zaproponował, że wychowa mi dziecko wspólnie z moją teściową. Chciałem cię tylko o tym poinformować.

– Wielkie nieba, Onno, zaraz, chwileczkę, nie tak od razu, co ty w ogóle mówisz!

– Tylko tyle, że właśnie rozwiązał się mój problem. Maks dostaje pracę przy nowym radioteleskopie w Drenthe, gdzie będzie mieszkał. Moja teściowa przynosi się do niego jako gospodyni i będzie tam miejsce także dla mojego dziecka. Lepiej być nie może. Wszystko jest jak należy.

Dol jękała się, nie znajdując słów.

– Ależ Onno... wstrzymaj się trochę... nie możesz przecież tak po prostu...

– Oczywiście, że mogę!

– Nie rób głupstw. Takich decyzji nie podejmuje się w jednej chwili.

– Ja już zdecydowałem.

– Jak ty sobie to wyobrażasz? Na pewno przemyślałeś wszystkie konsekwencje? Jesteś pewien, że nie będziesz potem żałował? Moim zdaniem nie jest to zresztą sprawa, którą można omówić przez telefon. Czy mógłbyś...

– Nie ma już nic do omówienia, chciałem cię tylko powiadomić. Hans i Paula dostaną ode mnie miłe liściki z podziękowaniem za ich propozycję pomocy... i zupełnie nie rozumiem, jakie ten wybór miałby mieć dalsze konsekwencje. Nie umiem wprawdzie przewidzieć przyszłości, ale dlaczego miałbym potem czegoś żałować?

Minęło kilka sekund, zanim Dol odpowiedziała.

– Ponieważ... nie wiem, jak ci to powiedzieć... Chociaż ja sama tak nie uważam, ale ktoś mógłby sobie pomyśleć, że... Słuchaj, nikt nie ma tu zastrzeżeń do twojej teściowej, ale...

– To do kogo w takim razie? – spytał Onno, czując wzbierający gniew. – Albo może lepiej: wobec kogo jeszcze? Powiedz wreszcie, o co ci chodzi.

– No cóż, nie chciałam cię urazić, ale twój przyjaciel Maks... To niewątpliwie nader interesujący człowiek, do tego przystojny, ale... on przecież nie jest z naszej sfery.

– *Et tu, Brute!* – wykrzyknął Onno gniewnie. – Chcesz powiedzieć, że jest synem Żydówki i zbrodniarza wojennego, potomkiem wszystkiego, co jest zabronione przez Boga, a nie potomkiem miłych chrześcijan, którzy przez wieki płądrowali kolonie! To właśnie chcesz powiedzieć! I że taki osobnik w ogóle nie wchodzi w rachubę, gdy idzie o wychowanie dziecka Quistów! O nie, teraz już jestem absolutnie pewien, bardzo się cieszę, że to powiedziałaś, dzięki za pomoc.

Następnego ranka, w niedzielę, Onno pożałował swojego wybuchu i zadzwonił do siostry ponownie. Odebrał szwagier, Dol była na spacerze z psem. Przyjął w jej imieniu przeprosiny, ona zresztą wczoraj sama zrozumiała. A poza tym, zaczął, wczoraj wieczorem byli jeszcze na Statenlaan... ale Onno natychmiast zauważył, że tym sposobem Karel znowu chce rozmawiać na temat Maksa, wpadł mu więc natychmiast w słowo i powiedział, że nic go nie obchodzi, co mają do powiedzenia jego rodzice, ponieważ on decyzję już podjął: stanie się tak, a nie inaczej, i nie ma sensu do tego wracać, rodzina musi się z tym jakoś pogodzić. Potem Onno dzwonił zarówno do Maksa, jak i do Sophii i ustalili, że następnego dnia pojedzie z Maksem do Lejdy. Maks ma na niego czekać przy wejściu do szpitala.

Onno sam nie do końca wiedział, dlaczego odwiedza Adę niemal codziennie – ostatnio przeważnie poza oficjalnymi godzinami odwiedzin. Dla Ady nie musiał tego robić: była to bardziej obecność przy grobie niż przy łóżku chorej. Lecz w tym paradoksalnym grobie to nie martwe ciało powoli, lecz nieubłagane ulegało rozkładowi, tylko raczej zawarte w nim nienarodzone dzieło zaczynało przybierać kształt. Kiedy tak stał przy niej z rękami skrzyżowanymi na piersi, podeszła siostra oddziałowa i powiedziała, że doktor Melchior, chirurg, prosił, żeby wpadł do niego na chwilę; czeka w swoim gabinecie, w pawilonie naprzeciwko.

– Skoro już rozmawiamy: czy zgodzi się pan, żeby przyciąć Adzie włosy? Dotychczas utrzymywaliśmy je w tej samej długości, ale ze względów higienicznych... W razie czego szybko odrosną.

Onno zrozumiał, że nie może tego zabronić, tak samo jak nie może żądać, żeby codziennie rano ktoś robił Adzie makijaż. Skinął głową, ucałował jedwabiste czarne włosy Ady i nie zamieniwszy z siostrą ani jednego spojrzenia, wyszedł z sali.

Zastanawiał się, czego też może od niego chcieć doktor Melchior: zaledwie wczoraj z nim rozmawiał. Po drodze znowu zauważył, że personel patrzy na niego w szczególny sposób: każdy już mniej więcej wiedział, kim on jest i w jakim stanie znajduje się jego żona. Wyglądało to tak, jakby niektórzy chcieli po prostu zobaczyć, jak czuje się ktoś w jego sytuacji, większość jednak sprawiała wrażenie, jakby swoimi spojrzeniami chciała mu jakoś pomóc.

Doktor o mięsistej, okrągłej twarzy, garbaty i chromy, podniósł się zza biurka i uściśnął mu dłoń. Miała na sobie biały fartuch z rękawami do łokcia.

– Proszę usiąść – powiedział. – Sprawa jest krótka. Chciałem po prostu porozmawiać z panem na osobności, bez pańskiej teściowej. – Splótłszy wielkie dłonie, oparł je o blat biurka i spojrzał na Onna przenikliwie, starannie rozważając każde słowo. – Wczoraj pytał pan, jak bardzo ryzykowny jest ten zabieg, którego podejmiemy się w nadchodzący czwartek.

– I o ile dobrze pana zrozumiałem, nie jest jeszcze tak źle. Doktor Melchior skinął głową i znowu przez chwilę milczał, nie odwracając swoich czystych błękitnych oczu od Onna. Onno zdziwiony odpowiedział na jego spojrzenie, coraz bardziej czując, że właśnie w tych pauzach zawiera się właściwa informacja, a nie w jego słowach. Chirurg powiedział powoli:

– Ogólnie rzecz biorąc, tak właśnie jest. Zawsze jednak mogą zaistnieć fatalne w skutkach komplikacje.

– Wszyscy mamy tego świadomość – odparł Onno. – Moja teściowa być może najbardziej, ponieważ sama pracowała w tym fachu. Nie musiał pan tego przed nią ukrywać.

– Słyszałem. – Doktor Melchior znów zamilkł. – Ale sam pan rozumie, matka...

Onno poczuł nagle, jak krew odpływa mu z twarzy. Czy dobrze go zrozumiał? Czyżby ten człowiek był gotów położyć temu kres? Czy gdyby teraz powiedział mu, że taki fatalny zbieg okoliczności byłby może najlepszym rozwiązaniem dla nich, a dla Ady przede wszystkim, jeśli w ogóle można jeszcze mówić o jakiejś Adzie, to czy we czwartek taki zbieg okoliczności by nastąpił? Jakiś krwotok albo zatrzymanie akcji serca ze skutkiem śmiertelnym? Czwartek był dniem, w którym istniała taka możliwość; gdyby się to nie stało, oznaczałoby to przegapienie szansy i jej ciało jeszcze przez miesiące, jeśli nie lata, pozostałoby w stanie, w jakim jest teraz, i umierałoby w sposób naturalny, w drodze fizjologicznej. I trwałoby to jeszcze długo, zanim coś by się zmieniło w chrześcijańskiej przecież głównie Holandii, tak by nikt nie musiał ryzykować więzienia i zakazu wykonywania zawodu lekarza; to też był powód, dla którego warto zmieniać społeczeństwo. Wstał, podszedł do okna i patrzył przez nie, niczego nie widząc. Tego właśnie dotyczyła rozmowa, lecz żadne słowo o tym nie świadczyło. Gdyby użył teraz określenia „eutanazja”, doktor Melchior bez mrugnienia powieką odrzuciłby taką sugestię i cała operacja przebiegłaby jak po maśle. Gdyby potem Ada umarła mu pod nożem i powstałyby jakieś podejrzenia, tak że tacy ludzie, jak jego szwagier Coen, postawiliby doktora przed sądem zgodnie z ustawami, o których uczył jego brat Menno, to każdy mógłby oświadczyć pod przysięgą, że nie było żadnej rozmowy o skróceniu życia. Sędzia pomyślałby swoje, ale wyrok byłby uniewinniający i przyklasnęłaby mu światlejsza część społeczeństwa.

Co teraz zrobić? Nagle musi w jednej chwili zdecydować o jej życiu lub śmierci. Zupełnie nie był do tego przygotowany! Czuł na grzbiecie ciężar odpowiedzialności, jak węglarz z czasów jego młodości wór antracytu. Lecz czy „jej” życie to jeszcze było życie? Czy istniał jeszcze podmiot zwany Ada, leżący pięćdziesiąt metrów stąd na owczej skórze? Przedwczoraj zadał pytanie neurologowi, czy jej EEG jest zupełnie płaskie, na co doktor Stevens odrzekł, że zupełnie niczym się od takiego nie różni. Przypomniawszy sobie jednak także rozmowę, jaką tydzień temu prowadził z Maksem przy jej łóżku: że wszyscy, mimo tych EEG, odruchowo ściszały głos do szeptu przy każdym z tych łóżek.

Odwrócił się. Doktor Melchior przeglądał stos wielkich arkuszy kartotecznych, zlepionych plastrem w prowizoryczny zeszyt; sprawiał wrażenie, że już zapomniał, jaki był przedmiot ich rozmowy. Onno spojrzał na zegarek.

– Bardzo mi przykro, ale ktoś na mnie czeka przy wejściu – rzekł. – Czy możemy dokończyć rozmowę następnym razem?

– Jak pan sobie życzy. Wiele do dodania już nie będzie.

– Co z tobą? – spytał Maks. – Czemu nic nie mówisz?

W otoczeniu niepewnych siwowłosych kierowców, którzy wsiadali do samochodów tylko w niedzielę, jechali szosą do Lejdy. Onno westchnął i spojrzał na niego z boku.

– Czy mogę ci zaufać?

Maks zaśmiał się niepewnie.

– Czy w ogóle mógłbym powiedzieć „nie”?

– Przysięgnij zatem, że nigdy nikomu nie powiesz o tym, co zdradzę ci teraz w najgłębszej tajemnicy.

– Przysięgam.

– Ani mojej teściowej, ani mojemu dziecku, ani komukolwiek innemu. Unieś w górę dwa palce prawej ręki i powtórz to jeszcze raz.

Maks zdjął prawą rękę z kierownicy, uniósł dwa palce i rzekł:

– Przysięgam.

Wtedy Onno opowiedział mu, co przed chwilą zaszło. Maks także był zaszokowany nagłym wyłonieniem się tej jak najbardziej serio traktowanej ostateczności. Decydować o czyimś życiu i śmierci – podobnie jak Onno nigdy nie myślał, że kiedykolwiek stanie wobec takiego problemu. To jest przecież coś dla lekarzy, żołnierzy, polityków, ale nie dla astronomów; a jeśli już, to na pewno bardziej dla Onna niż dla niego.

– Kiedy zaproponowałem, żeby dokończyć rozmowę innym razem, on odparł, że nie będzie już wiele do dodania. Oczywiście odnosiło się to nie do naszej rozmowy, tylko do życia Ady. On wygląda jak Quasimodo, dzwonnik z Notre-Dame, ale od szwagra wiem, że jest nie do pobicia w swoim fachu. I co ty byś zrobił na moim miejscu?

Maks pomyślał, że może i jest na jego miejscu. Nagle mózg zaczął mu działać precyzyjnie i szybko.

– Dowiedziałbym się – rzekł – czy neurolog i chirurg rzeczywiście są w stu procentach przekonani, że Ada umarła już śmiercią mózgową, że nie została ani jedna iskierka z jej osobowości. Bo jeśli została bodaj odrobina, to będzie morderstwo. Pod tym względem jestem zachowawczy. Załóżmy, że zostało z niej zaledwie tyle, co w rocznym dziecku, to wtedy nie wolno. W końcu noworodków też się nie zabija. Ale jeśli naprawdę zupełnie nic z niej nie zostało, zero procent, jeśli naprawdę jest tylko rośliną, to nie ma to już znaczenia. Wtedy wolno.

– W zeszłym tygodniu mówiłeś co innego. Wydawało mi się wtedy, iż według ciebie nawet martwych nie wolno zabijać, że się tak wyrażę.

– Fantazjowałem – powiedział Maks.

– Ale jak się dowiedzieć, co tak naprawdę uważa ten Quasimodo? Nie mogę go przecież po prostu zapytać, bo wtedy już po wszystkim. A do tego neurologa, Stevensa, w ogóle nie mogę z tym pójść, ponieważ Melchior na pewno nie informował go, co rozważa.

W tym samym momencie Maks wpadł na pewien pomysł.

– Wiesz, co trzeba zrobić? Jakby nigdy nic zapytać, czy Ada będzie miała znieczulenie miejscowe, czy ogólne. Jeśli powie ci, że nie będą jej znieczulać, ponieważ ona już nie odbiera żadnych bodźców, to sprawa jest rozwiązana, jeśli jednak powie, że „miejscowo” albo „ogólnie”, to wszystko jasne.

– Od razu poznać przedstawiciela nauk ścisłych! – wykrzyknął Onno. – Ale jeśli zadam mu takie pytanie, to pewnie zwietrzy pismo nosem, bo nie wygląda na głupca. Może lepiej będzie, jeśli pod jakimś pretekstem włączę w to szwagra, w końcu, jak wiesz, jest neurochirurgiem, a wszyscy ci rzeźnicy się znają. Chociaż nie – Onno pokiwał palcem wskazującym – bo pewnie powie, że cesarskiego cięcia nigdy nie wykonuje się w znieczuleniu miejscowym i nie ma po co pytać. Za to może go to zaalarmować, bo każdy przecież pomyślał o tej ewentualności, a już na pewno dzielny Karel, który ze względu na swój charakter może i dałby się przekonać, gdyby nie to, że koniec końców jest jednak chrześcijańskim pieskiem. Nie należy w to nikogo wciągać. – Onno znowu spojrzał w bok. – Znam lepszy sposób. Ty musisz się tego dowiedzieć.

Maks rzucił mu krótkie spojrzenie, a potem skupił się na drodze.

– Jak to sobie wyobrażasz?

– Dzień wcześniej musisz poderwać instrumentariuszkę i od niej się dowiedzieć o znieczulenie, jeśli będzie trzeba, to nawet w łóżku. Wtedy ten twój odrażający promiskuityzm chociaż raz zyska jakiś sens.

Maks uśmiechnął się. Akurat teraz, kiedy jego promiskuityzm mógł zyskać jakiś sens – chociaż Onno powiedział to oczywiście na wpół żartobliwie – nie było go.

– Sukces nie wydaje mi się gwarantowany.

– Co, nagły przyptyk skromności?

– Słuchaj, a może ona jest lesbijką? Z pielęgniarkami nigdy nie wiadomo, co w trawie piszczy. Dużo mógłbym ci opowiadać. Na pewno jest pewniejszy sposób. Jak już przez najbliższe dni trochę się podszkolę w arkanach anestetyki...

– Anestezjologii. Anestetyki to środki odurzające.

– ...żebym mógł stwierdzić, czy aparatura jest włączona i tak dalej, to we czwartek na jakiś kwadrans przed operacją omyłkowo wejść do sali operacyjnej. W Amsterdamie takie rzeczy się zdarzają. Wtedy dam ci znać, co i jak. A ty, jako małżonek, będziesz mógł towarzyszyć jej aż do drzwi sali, do której cię oczywiście nie wpuszczą, ale poprosisz chirurga na moment i w cztery oczy dasz mu do zrozumienia, jaką podejmujesz decyzję.

Onno w zamyśleniu patrzył na trójkołową karykaturę auta przed nimi, które za nic nie chciało zjechać z lewego pasa.

– No dobrze – powiedział. – Tak właśnie zrobimy, *compañero*. Co ja bym bez ciebie począł?

– No, nic.

*

Kiedy tego dnia w południe po raz pierwszy siedzieli razem przy herbacie i krakersach w pokoju za antykwariatem, Onno musiał się najpierw oswoić ze swoim nowym statusem: Maks jako zastępczy ojciec, Sophia jako zastępcza matka, on sam jako niedowarzony wdowiec. Czuł się dość niezręcznie w tej sytuacji, ale Sophia zachowywała się rzeczowo, jak zawsze; wyglądało na to, że całkowicie już przestawiła się na nowe okoliczności, zupełnie jak ktoś, kto po prostu zmienił pozycję. Maks jednak wiedział, że tylko ona i on wiedzą, że ten nowy związek między nimi jest tylko fasadą, za którą kryje się zupełnie innego rodzaju związek; on zresztą też jest oczywiście fasadą, za którą panują wyłącznie chaos i niepewność. Teraz, kiedy do tej świadomości dołączył jeszcze plan, który ułożyli po drodze, Maks czuł się zupełnie tak, jakby sam zapadał w coś w rodzaju narkozy. Najchętniej zostałby w antykwariacie, aby utonąć w ramionach nocnej Sophii, lecz było to oczywiście wykluczone, skoro miał ze sobą Onna.

– Do widzenia pani.

– Do widzenia, Maks.

Kolejne konklawe odbyło się we wtorek wieczór w domu Onna, z tym że niewiele już było do omówienia. Co do finansowej strony bardzo szybko doszli do porozumienia, sprawa sprzedaży antykwariatu też była załatwiona. Onno nawet niespecjalnie musiał sobie nad tym łamać głowę: w niewyczerpanych zasobach jego rodziny pojawił się jakiś daleki pociotek, który nigdy do niczego się nie nadawał, ale był dyrektorem dużej firmy maklerskiej; Onno zadzwonił do niego i powiedział, że ma znaleźć kupca za paskarską cenę, i to bez prowizji dla siebie, bo inaczej złoży na niego doniesienie na policję. Jeśli zaś idzie o mieszkanie w Drenthe, Maks rozmawiał z dyrektorem obserwatorium, który uśmiechnął się tajemniczo i powiedział, że może będzie miał coś ciekawego. Brzmiało to niezłe, w każdym razie nie wyglądało na mieszkanie w blokach. A poza tym znaczyło, że jego posada jako astronoma teleskopowego w nowym obserwatorium jest raczej pewna.

Już po wszystkim Sophia zrobiła odkładane na później zmywanie, odkurzyła i włączyła pralkę, co przypomniało Onnowi pierwszą wizytę Ady: najwyraźniej jest bardziej podobna do matki, niż sobie to uświadamia, czy raczej uświadamiała. Kiedy Sophia była zajęta na gorze, Maks dał do zrozumienia, że w zasadzie powinni ją jednak poinformować o swym anestetycznym przedsięwzięciu. Po pierwsze bowiem знаła się na tym, a po drugie chodziło przecież o jej córkę. Zdaniem Onna to właśnie był powód, dla którego nie należało jej wtajemniczać: jako matka nigdy nie przyłożyła ręki do śmierci swego dziecka, nawet jeśli go już właściwie nie ma. Maks nie był za bardzo przekonany, ale nie mógł się zdradzić, że zna Sophię lepiej niż Onno. Najważniejszym jednak powodem, dla którego należało pozostawić ją w niewiedzy – i co do tego Maks się zgadzał – było to, żeby pod żadnym pozorem nie stwarzać ryzyka dla doktora Melchiora: to on nadstawiał karku i wykazał gotowość przekroczenia wielkiego tabu, a poza tym nie bez przyczyny złożył swoją zawołaną propozycję pod nieobecność Sophii.

We środę rano – noc spędził w Lejdzie, ponieważ bez sensu było wracać na kilka godzin do Amsterdamu – Maks udał się do Kliniki Uniwersyteckiej. Miał zamiar podać się tam za autora powieści lekarskich, który właśnie gromadzi dokumentację i chciałby rzucić okiem na salę operacyjną oraz poprosić o wyjaśnienie, jak działa sprzęt anestetyczny. Kiedy jednak stanął w progu i przypomniał sobie noc katastrofy sprzed trzech miesięcy, nagle opuściła go odwaga i postanowił najpierw zajrzeć do biblioteki naukowej na wydziale medycznym.

Podczas kiedy obok niego dwójka studentów rozprawiła szeptem o teatrze „Carré” w Amsterdamie, gdzie zaraz po koncercie miał się zacząć protest – prowadzony przez pisarza i kompozytora, których spotkał już parę razy na swojej drodze i którzy podobno właśnie wrócili ze zbuntowanego Paryża – Maks przeglądał podręczniki anestezjologii, przypatrując się zdjęciom sprzętu. Następnie poprosił oschłą panią z wysoko upiętymi włosami i ołówkiem za uchem o wskazanie, gdzie znajduje się literatura z zakresu położnictwa. Zagłębiając się w opisy zabiegów cesarskiego cięcia i oglądając zdjęcia zakrwawionych wnętrz brzuchów, z których wilgotnych i ciemnych otchłani w zasadzie wbrew ich woli wydobywa się noworodki, uderzyła go lustrzana symetria działań chirurga i jego własnej pracy. Tak jak on patrzył ze swego ciała w głębinę kosmosu, gdzie wszystko stawało się coraz bardziej niepojęte, tak oni działali w kierunku odwrotnym i wnikali w głąb ciała, natrafiając na równie niepojęte misteria zagadkowych neuronów i cząsteczek DNA, których oddziaływanie w ostatecznym rozrachunku także warunkowały być może procesy kwantowe. Doskonale zgadzało się z tym wyobrażenie, że miara ludzkiego ciała sytuuje się niejako dokładnie pośrodku między wszechświatem a najmniejszą cząsteczką. Człowiek stanowił centralny punkt wszechświata – nie było w tym żadnego teologicznego dogmatu: to można zmierzyć.

Nagle jednak natknął się na nieoczekiwany problem. Okazało się bowiem, że cesarskie cięcie, rutynowy zabieg trwający nie dłużej niż pół godziny, przeprowadza się albo w znieczuleniu ogólnym albo w miejscowym; wstrzykując specjalne środki do kanału rdzeniowego kręgosłupa, znieczula się tylko dolne partie ciała. A to by znaczyło, że nawet jeśli aparatura nie zostanie włączona, to nie można wyciągnąć z tego żadnych wniosków. Jeśli we czwartek nie zapalą się czerwone lampki, będzie to znaczyło, że w ciągu kilku sekund musi wypatrzeć właściwą strzykawkę pośród dziesiątków innych strzykawek, nożyc, haków, klamer, szczypców, skalpeli i co tam jeszcze będzie leżało przygotowane, żeby wszystko przebiegło jak trzeba. Było to oczywiście wykluczone. Równie niewielki sens miało dowiadywanie się pod tym czy innym pozorem, czy na sali będzie anestezjolog, bo to oczywiste, że będzie. Wykluczone, żeby ktoś do niego zadzwonił z wiadomością, że dzisiaj może zostać w domu, ponieważ pacjent i tak nic nie czuje. Ciśnienie krwi, akcja serca – wszystko to należy na bieżąco kontrolować, niezależnie od tego, czy podaje się znieczulenie, czy też nie.

Maks z trzaskiem zamknął książkę, co narażło go na lodowate spojrzenie bibliotekarki. Dawno już stwierdziła, patrząc na niego znad okularów, że to jakiś laik ślęczy nad stosem angielskojęzycznych foliałów, oprawionych w granatowe płótno ze złoceniami. Regularnie zjawiali się tu przecież hipochondrycy, żeby zdiagnozować swoje urojone schorzenia. Maks czuł się śmieszny, zupełnie jak lekarz rodzinny, któremu by się wydawało, że wszedłszy do centrali obserwatorium w Dwingeloo, będzie w stanie jednym rzutem oka stwierdzić, czy zwierciadło jest wykorzystywane w celach szpiegowskich, czy nie. Dziesięciominutowa rozmowa ze specjalistą z Kliniki Uniwersyteckiej wszystko by wyjaśniła, ale gdyby coś poszło nie tak i sprawa trafiłaby do gazet, to mógłby się on zgłosić do sądu z informacją o tym dziwnym zdarzeniu w przeddzień fatalnej operacji, która wstrząsnęła konserwatywną Holandią. Zabójstwo! Wytropiono by go, ponieważ w czasie jednego ze spacerów z Adą po ogrodzie botanicznym bibliotekarka mogła widzieć, jak wychodzi z obserwatorium – i doktor Melchior wylądowałby w więzieniu. Po prostu nie można się było tego dowiedzieć tak szybko, nie narażając się na niebezpieczeństwo. Chyba żeby natychmiast wszedł do samolotu lecącego gdzieś do dalekich krajów, na przykład do Włoch, i w jakimś szpitalu przedstawił się jako niemiecki pisarz pracujący nad powieścią o ciężarnej kobiecie leżącej w śpiączce, która... Ale nie, to też byłoby chyba zbyt ryzykowne. Takie spektakularne wydarzenie mogłoby przedostać się nawet do prasy światowej.

33

Sectio caesarea

Onno i Sophia zobaczyli to już wcześniej, ale kiedy następnego dnia po południu weszli we trójkę do szpitalnego pokoju, Maks przerażony zatrzymał się w progu. Włosy Ady były obcięte prawie przy skórze. Wyglądała zupełnie jak te dziewczęta i kobiety, które w pierwszych dniach po wojnie widział na ulicach, jak za zadawanie się z Niemcami golili je do gołej skóry dyszący wściekłością mężczyźni. „Szwabskie kurwy” w ocenie ulicznej tłuszczy, która aż do bitwy pod Stalingradem kolaborowała z Niemcami w stopniu znacznie większym, niż kolaborowaniem było takie powodowane chęcią użycia zdejmowanie majtek. Zniknęło prostokątne obramowanie twarzy Ady, odsłaniając okrągłą bezbronną głowę, która teraz już ostatecznie odsunęła się przez to w sferę nieosiągalnego.

Za piętnaście czwarta zjawiły się dwie pielęgniarki, żeby przewieźć łóżko Ady na salę operacyjną. Poprzedniego wieczoru Maks zadzwonił do Onna i poinformował go o swojej medycznej porażce, na co Onno odpowiedział natychmiastowym wnioskiem, że skoro nadal nie ma pewności co do istnienia świadomości u Ady, to musi pozostać przy życiu. Maks przycisnął wargi do jej czoła i zadawał sobie pytanie, co by czuł w tym momencie, gdyby decyzja była inna.

Także Onno poczuł ulgę z takiego obrotu sprawy. Po tym wszystkim zaczynał nawet wątpić, czy doktor Melchior w ogóle miał na myśli to, co jemu się wydawało, że miał, ale do tego nigdy się Maksowi nie przyzna. Może zlecił mu zupełnie absurdalną misję? Kiedy Maks i Sophia poszli do poczekalni, on towarzyszył Adzie w drodze przez korytarze i w windzie, cały czas trzymając dłoń na jej brzuchu. W pomieszczeniu przed salą operacyjną zobaczył myjącego ręce człowieka mniej więcej w jego wieku; miał na sobie zielony fartuch z krótkimi rękawami, na głowie czapkę tego samego koloru. Onno przedstawił się i spytał, czy mógłby porozmawiać przez chwilę z doktorem Melchiorem.

- A nie może pan tego powiedzieć mnie? - spytał mężczyzna. - Nazywam się Steenwijk. Jestem anestezjologiem.

Onno spojrział na niego przestraszony. Steenwijk miał orzechową skórę, która wokół oczu była jeszcze ciemniejsza. Onno pojął, że oto nagle znalazł się w sytuacji, w której może jeszcze dowiedzieć się tego, czego chce.

- Anestezjologiem? - powtórzył. - Czy to znaczy, że poda pan mojej żonie znieczulenie?

- Oczywiście.

- Z mojej rozmowy z doktorem Stevenssem wynikało, że ona nie odczuwa już bólu.

Steenwijk z leciutkim uśmiechem pokręcił głową.

- Jedno nie ma z drugim nic wspólnego. Za odczuwanie bólu odpowiada kora mózgowa. Natomiast my musimy dla dobra dziecka zapobiec sytuacji, w której mogłyby się pojawić bodźce płynące z pnia mózgu. A pień mózgu, jak pan wie, jest nienaruszony; w końcu przecież pańska żona wciąż oddycha. Poza tym sam czuję, że powinniśmy tak zrobić.

Onno popatrzył na niego przez chwilę, a potem skinął głową. W jednej chwili zniknęły wszystkie dylematy. Wciąż jednak w uszach Onna brzmiało ostatnie zdanie Steenwijka, mówiące o tym, co on czuje. Czyżby więc także jego zdaniem coś jeszcze z Ady zostało? Chociaż wcale nie był już pewien, że doktor Melchior rzeczywiście zrobił aluzję do eutanazji, Onno powiedział teraz, zdając sobie sprawę ze swojej śmieszności:

- Bardzo proszę o przekazanie doktorowi Melchiorowi, żeby postępował zgodnie z przysięgą Hipokratesa i uczynił wszystko, aby uratować też życie mojej żony.

Teraz z kolei Steenwijk nie od razu odpowiedział. Czyżby zrozumiał?

- Oczywiście przekażę, jakkolwiek jest to właściwie zupełnie niepotrzebne. - Spojrzał na Onna z lekką melancholią i dokończył: - Bardzo panu współczuję. Może pan tutaj poczekać.

- Nie, nie, moi są na dole.

- Jak pan sobie życzy.

Maks i Sophia siedzieli na wyplatanych ogrodowych krzesłach przy okrągłym bambusowym stoliku ze szklanym blatem, w otoczeniu pacjentów w szlafrokach narzuconych na pasiaste piżamy i koszule nocne oraz w kapciach nasuniętych na bose stopy. Niektórzy grali w karty, inni czytali kolorowe pisma, które ukazały się miesiące, jeśli nie lata temu, przede wszystkim jednak palili. Z błogim oddaniem więźniów, którzy wreszcie wyszli na świeże powietrze, wciągali w płuca papierosowy dym, aż rozżarzały się koniuszki papierosów. Na szafce stał wyłączony telewizor.

Ze spokojem, zupełnie jakby czekała na pociąg, Sophia przeglądała jakieś czasopismo. Obok krzesła stała podróżna torba. Maks spojrzął na zegarek: czwarta. Chociaż na zewnątrz i on był pozornie spokojny, w środku dygotał ze strachu. Nagle wydało mu się, jakby czas był pustym w środku stożkiem, w jego wnętrzu on już od miesięcy podąża po rozciągniętej na cały świat podstawie do punktu, przez który wkrótce przejdzie - a jednocześnie miał świadomość, że ten obraz to prosta reminiscencja zwyczajowego schematu czasoprzestrzeni w pracach o teorii względności: to horyzont zdarzeń. W ciągu godziny katastrofa może stać się faktem, kiedy to nagle w ten czy inny sposób okaże się, że to on jest ojcem.

Onno przysiadł się do nich i powiedział:

- Właśnie rozmawiałem z anestezjologiem.

Maks gwałtownie podniósł wzrok, ale zaraz przypomniał sobie, że musi się opanować, żeby Sophia nie zorientowała się, czym się w ostatnim czasie zajmowali.

- No i? - spytała Sophia.

Nie patrząc na Maksa, Onno streścił jej całą rozmowę, co oczywiście było przeznaczone dla Maksa, który w jednej chwili uświadomił sobie, że jego wczorajsze próby zgłębienia problemu były jeszcze bardziej bezsensowne, niż mu się wydawało. Czuł się jak mały chłopiec, który był przekonany, że gwizdek zawiadowcy stacji wprawia w ruch pociąg, a któremu teraz w paru słowach wyjaśniono, że wszystko jest zupełnie inaczej. Było mu wstyd – nie tyle wobec Onna jako przyjaciela, bo po temu miał całkiem inne powody, a poza tym Onno też widział jakiś sens w tym planie, ale przede wszystkim jako człowiekowi nauki – bo niechby dowiedzieli się o tym jego koledzy. Jak w ogóle mogło mu przyjść do głowy, że kwestię życia i śmierci zdoła wyjaśnić na własną rękę w ciągu kilku godzin, na całkowicie obcym sobie terenie, kiedy inni zgłębiają to przez dziesiątki lat! Czyżby to całe naPiecie było już dla niego zbyt duże? Może powinien zacząć trochę uważać? Jakaś pielęgniarka spytała, czy napiją się herbaty. Tylko Maks podziękował. Zdaniem Sophii Ada powinna dostać pełne znieczulenie w kroplówce, bo do znieczulenia miejscowego w normalnych warunkach trzeba usiąść i pochylić się do przodu, aż głowa znajdzie się między kolanami, co w jej obecnym stanie jest niewykonalne; można to też zrobić w pozycji leżącej na lewym boku, ale według niej lekarze tego nie zastosują. Onno powiedział, że najważniejsze, żeby dziecku nic się nie stało, a o to nie był tak do końca spokojny, chociaż lekarze zapewniali, że nie ma najmniejszych powodów do obaw. Sophia stwierdziła, że na sali będzie też przypuszczalnie pediatra – w każdym razie za jej czasów tak było, ale tyle już minęło lat. Chwilami zapadała cisza. Zdawali sobie sprawę, że Ada leży teraz pod wielką lampą na stole operacyjnym i otwierają jej brzuch.

– Za chwilę wszystko będzie zupełnie inaczej – powiedział nagle uroczystym głosem Onno. – Dziecko zmieni się z płodu w człowieka, Ada z córki w matkę, pani z matki w babkę, a ja z syna w ojca. – Spojrzał na Maksa. – Tylko ty się nie zmienisz. To do ciebie podobne.

Maks skinął głową. Najchętniej zaczęłyby się modlić, żeby naprawdę udało mu się zachować kamienną twarz.

– A więc teraz każdego trzydziestego maja będziemy świętować urodziny – powiedziała po chwili Sophia. – Ale zaraz, to znaczy, że będzie Bliźniak.

– Bliźniak? – powtórzył Onno z obrzydzeniem i spojrzał na nią niedowierzająco: – Chyba nie mówi pani poważnie.

– Jak to? Przecież pod koniec maja zaczynają się Bliźnięta.

- Pod koniec maja zaczynają się Bliźnięta - powtórzył znowu Onno z sarkastycznym naciskiem. - Chyba mi pani nie powie, że wierzy pani w te bzdury? Zupełnie jak moja matka. Z tym że ona łączy astrologię z chrześcijaństwem, a pani najwyraźniej z humanizmem. Astrologia jako wszechobejmująca religia światowa. No ale dobrze, niech tak będzie, w końcu można to usprawiedliwić zakorzeniem w średniowieczu. Zawód Maksu też by nie istniał, gdyby nie astrologia.

- Naszymi poprzednikami są astrologowie - przytaknął Maks. Bliźniaki, pomyślał, i w tym samym momencie przypomniał sobie Enga i Czanga, ale zachował to dla siebie. A gdyby tam na górze rzeczywiście przyszły na świat bliźnięta syjamskie... albo dwujajowe, w tym sensie, że jedno byłoby Onna, a drugie jego... Czy coś takiego jest w ogóle możliwe? - A pani? - spytał Onno Sophię, wciąż jeszcze z sardonicznym tonem w głosie. - Czym pani „jest”?

- Panną.

- O, to już lepiej, mamu. Coś takiego robi bardzo przyzwoite wrażenie.

Ilekcóż Onno zwracał się do Sophii „mamo”, Maks czuł się nieswojo, zupełnie jakby sam stawał się przez to dla Onny „ojcem”.

- Wcale w to nie wierzę - powiedziała Sophia, pokazując rubrykę horoskopów w trzymanym na kolanach czasopiśmie. - Przypadkowo teraz przeczytałam.

Do poczekalni wszedł drobnymi kroczkami wychudzony, arystokratycznie wyglądający pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna; plastikowa rurka wychodząca mu z nosa łączyła się z odwróconą dnem do góry butelką, zawieszoną na zaopatrzonym w kółeczka wysokim statywie, który mężczyzna przesuwając obok siebie jak biskup pastorał. Chociaż wyglądał tak, jakby jego ciało wypełniał rozrzedzony gaz, wcale nie sprawiał wrażenia osoby zamierzającej umrzeć - raczej jak ktoś, kto ma lepsze zajęcia niż siedzenie w szpitalu, a przede wszystkim jest rozdrażniony koniecznością bezsensownego tutaj pobytu, który w jego rozumieniu musiał być pewnie czymś raczej dla pospólstwa. Jego granatowy szlafrok, najwyraźniej jedwabny, miał białe lamówki; z kieszonki na piersi wystawała biała chusteczka. Nie zaszczycił nikogo ani jednym spojrzeniem, włączył odbiornik telewizyjny i usiadł przy stoliku obok nich. Kobieta w jaskraworóżowym płaszczu kąpielowym, z wielkim plastrem na uchu à la van Gogh, powiedziała, że o tej porze nic jeszcze nie nadają. Zupełnie jakby powiedziała mu komplement, mężczyzna skłonił się lekko w jej stronę, z niezmaconym spokojem włożył do ust fajkę, która dziwnie kontrastowała z wystającą z nosa sondą, założył nogę na nogę i patrzył wyczekująco w ekran. Na krwistoczerwonych kapciach miał wyszyte złotą nicią herby.

Maks i Sophia, siedzący plecami do odbiornika, rozmawiali o wojnie i o prowizorycznym szpitalu w Delft, kiedy nagle Onno powiedział:

– Przestańcie na chwilę.

W specjalnym programie pokazał się de Gaulle. Zgnębiony generał, przytłoczony swoim kolosalnym ciałem, w czym przypominał nieco Onna, patrzył prosto w kamerę i przemawiał do narodu francuskiego. Powiedział, że mimo krwawych rozruchów z ostatnich tygodni nie ustąpi z urzędu prezydenta republiki; ogłosił rozwiązanie Zgromadzenia Narodowego i rozpisanie wyborów powszechnych. Jeśli niepokoje będą trwały nadal, to wówczas podejmie bardzo zdecydowane kroki. Była to transmisja na żywo, bez napisów, miękki kobiecy głos tłumaczył symultanicznie – ale po niderlandzku nie było to już to samo: Francja przemawiająca do Francji po francusku. Zupełnie jakby język był tym jedynym, co istnieje naprawdę, krystalizując się z jednej strony w osobę generała, z drugiej we Francuzów. Onno pomyślał, że to może dlatego, iż mówca przy całym swoim monumentalizmie miał w sobie coś z małego chłopca, który właśnie próbuje przymierzyć garnitur ojca – króla Francji. Zupełnie jakby mały Charles skrywał pod stołem krótkie spodenki i gołe kolana pokryte strupami gojących się zadrapań.

– No właśnie! – powiedział mężczyzna przy stoliku obok i wstał. Przemówienie trwało niecałe pięć minut. Onno patrzył zdumiony na Maksa i Sopię.

– Powiedzieć wam coś? Już po wszystkim. W tym momencie cała prawicowa Francja wyjdzie na ulicę. Zabawa się skończyła.

Maks nie bardzo wiedział, o czym mowa; polityka była mu teraz w głowie jeszcze mniej niż kiedykolwiek; bez zainteresowania słuchał Onna, który twierdził, że wraz z tymi kilkoma zdaniem nastąpiła nowa epoka i że mówi mu to uwarunkowany zawodem nieomylny instynkt w tych sprawach: właśnie skończyły się lata sześćdziesiąte, wyobraźnia straciła władzę i od tej chwili na świecie nie będzie już tak wesoło. Na szczęście jednak ich pokolenie będzie miało dzięki temu podobne wspomnienia, jak poprzednie pokolenie o latach dwudziestych, i pozostaje tylko pytanie, czy przyszłe pokolenie będzie miało coś porównywalnego.

– Skoro już mówimy o przyszłych pokoleniach... – zaczęła Sophia. – Czy pamiętasz chociaż, dlaczego tu jesteś? Zostałeś ojcem.

Onno gwałtownie wrócił ze świata polityki do rzeczywistości poczekalni. Spojrzał na zegarek.

– Zbierajmy się stąd. Na górze też możemy czekać.

Wielka metalowa winda, najwyraźniej nieprzeznaczona dla odwiedzających, tylko na nosze i trumny, zawiozła ich powoli na pierwsze piętro. W wąskim pomieszczeniu obok sali operacyjnej stała przyśrubowana do ściany drewniana lakierowana ławka; na ścianie naprzeciwko wisiał plakat, na którym było widać słoneczne wybrzeże Grecji: granatowe zatoczki wśród skał okolonych pianą fal – za którymi operowano właśnie Adę.

Usiedli niezgrabnie obok siebie, Sophia pośrodku, dużą podróżną torbę postawiła pod nogami.

– Co pani tak ze sobą taszczy? – spytał Onno.

Bez słowa rozsunała zamek błyskawiczny i jedną ręką wyjęła miniaturową białą koszulkę, a drugą – parę miniaturowych skarpetek.

– W inkubatorze nie będą na razie potrzebne, ale jak wszystko pójdzie dobrze, zaraz włożę to Adzie do szafki. Sama też by tak zrobiła.

– Jest pani wspaniała – powiedział Onno, trzymając rozłożoną koszulkę między palcami i przyglądając się jej tak, jak biolog przygląda się świeżo odkrytemu owadowi. – Że też pani o tym pomyślała...

Patrząc na tę mikroskopijną garderobę, Maks pomyślał o cieniu, jaki w kryminałach klasy B rzuca na ścianę sylwetka podkradającego się złooczyńcy, z którego w następnym ujęciu widać tylko stopy w wyglansowanych butach.

– Proszę, proszę, *les boys!*

W progu stał ten sam dziennikarz, którego rok wcześniej Onno powalił na stół w kawiarni, ponieważ próbował zaatakować Maksa.

– Nie do wiary! – powiedział Onno. – Co ty tu robisz?

– Robię swoje. Mam napisać jakiś kawałek o tym, co się tu dzieje.

– A skąd wiesz, co się tutaj akurat dzieje?

Dziennikarz wzruszył ramionami.

– A niby skąd gazeta ma informacje?

– Wynoś się łaskawie, nie czuję najmniejszej potrzeby rozgłosu. Na pewno zadzwonił do was jakiś pielęgniarka, żeby dorobić parę guldenów do pensji.

– Nawet mnie nie pytaj, Onno, ja też wolałbym siedzieć teraz w knajpie.

– Nie jestem dla ciebie Onno.

– OK, doktorze Quist, spokojnie. Rozumiem, że jest pan trochę zdenerwowany. Czy może pan powiedzieć, co pan teraz czuje?

– Nieodpartą chęć walenia cię godzinami w pysk. A jeśli natychmiast się stąd nie wyniesiesz, na pewno to zrobię.

Kiedy Onno zbierał się, żeby wstać, wciąż jeszcze trzymając w dłoniach koszulkę, dziennikarz znowu wzruszył ramionami.

– No to sam sobie poradzę – powiedział, odwrócił się na Piecie i wyszedł.

Onno z wściekłością wrzucił koszulkę z powrotem do podróżnej torby.

– Co za żądna sensacji kanalia...

- Niepotrzebnie się tak denerwujesz, Onno - powiedział Maks. - Przecież ten facet poniósł już dostatecznie dużą karę przez sam fakt, że jest, jaki jest.

Nagle Sophia położyła im dłonie na ramionach.

- Cicho...

Z drugiej strony ściany rozległ się ledwie słyszalny płacz dziecka.

W chwilę później pielęgniarka wetknęła głowę przez uchylone drzwi i powiedziała z uśmiechem:

- Bocian przyleciał! Anielski chłopczyk! Matka i dziecko czują się dobrze!

Przekonać się o tym, że to chłopiec, nie pozwalały pieluszki - ale samo określenie płci niewiele jeszcze dawało. Z zapartym tchem stali przy inkubatorze, podczas gdy lekarze, pielęgniarze, asystenci i pielęgniarki zaglądali im przez ramię. Nikt jeszcze nigdy nie widział takiego noworodka. Nowo narodzone dzieci wyglądały przeważnie jak bokserzy po zakończeniu ostatniej rundy: napuchnięte, z posklejanymi oczami, oszołomione doznaną przemocą - natomiast to, co leżało przed nimi w zamkniętej szklanej przestrzeni niby cenny muzealny eksponat w gablocie, rzeczywiście wyglądało bardziej jak putto żywcem zdjęty z płócien włoskiego renesansu - brakowało mu tylko skrzydełek. Dziecko nie było ani tyse, ani pomarszczone, jak to czasem noworodki, które w ten sposób niejako od razu antycypują własną starość, tylko miało gładkie czarne włosy w głębokim, hebanowym odcieniu, pokrywające całą czaszkę w taki sposób, jakby chłopczyk właśnie wrócił od fryzjera; skóra dziecka była miękka i wyglądała, jakby padał na nią blask księżyca w pełni. Nie miało też żadnych obrzmiałości i deformacji, które tylko widziane przez okulary instynktu macierzyńskiego czy ojcowskiego wydają się piękne; policzki miało pełne, a na przegubach i udach widać było delikatne fałdki, które u osoby dorosłej świadczyłyby o otyłości, nigdzie jednak nie było śladu rozczulających krągłości, wszystko było perfekcyjne, jak w dziele sztuki zasługującym na to miano. Jednocześnie dziecko emanowało jakimś dystansem, zupełnie jakby nikt nie był mu potrzebny. Mikroskopijne brodawki piersiowe, wysmukłe paluszki u rąk i nóg wyglądały jak wygrawerowane cienką igłą; chociaż dziecko przyszło na świat o miesiąc za wcześnie, nie tylko uszy, ale także nos i usta były już uformowane w kształt niemalże ostateczny.

Najbardziej uderzające były jednak jego oczy. Były szeroko otwarte, a przestrzeń między ciemnymi rzęsami była całkowicie wypełniona barwą lapis lazuli, błękitem, jakiego nikt z nich nigdy wcześniej u żadnego człowieka nie widział. Maksowi skojarzył się on z kolorem Morza Śródziemnego – ale tylko w pewnym określonym momencie: mianowicie kiedy po całodziennym jeździe samochodem przez Belgię i Francję ujrzał pierwszy jego skrawek, prześwitujący między migotliwymi wzgórzami pod Saint-Raphaël: *Thalassa!* Niewiarygodnie błękitny błękit tej chwili, oto co widział teraz w tych dwóch miejscach na rozświetlonej osobliwej twarzy. Jego lęk przed widocznym na pierwszy rzut oka podobieństwem w jednej chwili zniknął, najwyraźniej przez kilka pierwszych lat mógł być spokojny. Natychmiast popatrzył na nos i kciuki, ale i tutaj nie rozpoznał żadnej ze swoich cech; równie niewielkie było podobieństwo do Onna, a od Ady dziecko przejęło jedynie czarne włosy i czarne, ostro zarysowane brwi i rzęsy, pogłębiające jeszcze błękit oczu.

– Co za piękność – powiedziała Sophia. – Będzie miał przez to niemałe kłopoty. – Nagle odwróciła się i rzuciła pytanie w zgromadzone za sobą twarze: – A jak się czuje moja córka?

– Jest jeszcze w sali operacyjnej. Wszystko przebiega jak należy, ale chwilę jeszcze potrwa.

Onno i Maks nawet nie pomyśleli o Adzie.

– Jak ma na imię? – spytał Maks.

Onno spojrział na niego dumnym wzrokiem.

– Znasz tę opowieść o człowieku, który powiedział do twojego kolegi po fachu, że rozumie wprowadzić, iż astronomowie potrafią ustalić za pomocą instrumentów wszystkie właściwości gwiazd, ale zupełnie nie wie, jak im się udaje dowiedzieć, jak się każda z nich nazywa.

– Tak, to rzeczywiście nasze największe osiągnięcie – przytaknął Maks.

– Quinten – powiedział Onno.

Z otchłani

w górę w górę
nie, zostań
liesje
pomoc
dogódź sobie sama
tato
la valse
straszne, straszne
dziewczynka?
delius maks
zostań, na miłość boską
chcę wyjść
gdzie jesteś?

jest
fale
czarne
wstać do szkoły
nie
hurleburle
zostań
zamknąć kłapę
partytura

CZĘŚĆ TRZECIA

POCZĄTEK KOŃCA

Drugie intermezzo

– Gratulacje! Niewątpliwie to jest dla ciebie wielka satysfakcja. Otóż i pojawił się on, nasz wysłannik – po latach ciężkich wysiłków.

– Ale tylko przez moment. Potem było już tak jak zawsze: kiedy wreszcie osiągnie się, co się chciało osiągnąć, przestaje to być tym, co chcesz osiągnąć, a jest po prostu tym, co już osiągnąłeś. Staje się oczywistością. Zdobywając, właściwie w sumie tracisz. Ponadto, kiedy się tak popatrzy, czego trzeba było narobić, żeby to osiągnąć, to zapomina się o satysfakcji. Ale w porządku, jestem zawodowcem, nie pierwszy raz mam z czymś takim do czynienia. Liczy się tylko cel.

– Zakładam, że teraz myślisz o przyjaźni ich dwóch. Ale to spadające drzewo... czy to przypadek, czy też maczałeś w tym palce?

– To również moja sprawka. Były zresztą dwa drzewa.

– Jaki to miało sens? To przecież bardzo ryzykowna akcja, bo pomyśl, co by było, gdyby nie przeżyła albo na przykład poroniła. Wiem, że nie lubisz takich pytań, ale jednak mi odpowiedz.

- Gdybym nie umiał sprawić, żeby drzewa spadały dokładnie tak, jak chcę, to nigdy bym ich nie przewracał. Znamy położenie i energię każdej cząsteczki w przestrzeni, a ponadto elastyczność i opór każdego punktu w drzewie i jego korzeniach – Laplace miałby wielką frajdę, gdyby mógł zobaczyć nasz wydział aerodynamiczny przy robocie.

- Laplace? Pewnie znowu jakiś francuski intelektualista w brudnym halsztuku i pelerynie na ramionach.

- Nie wiem, czy w jego czasach już się tak noszono. W każdym razie wielki człowiek, kolega po fachu Maksa Deliusa. A przy tym niepoprawny optymista. Powiadał, że demon, który znałby położenia wszystkich cząstek wszechświata i siły na nie działające w danym momencie, nie tylko potrafiłby dokładnie zrekonstruować wszechświat, ale też z całkowitą pewnością wyliczyć przyszłość.

- Na pewno ktoś z XVIII wieku. Tego przecież nawet my nie potrafimy.

- W dziedzinie upadających drzew radzimy sobie już całkiem, całkiem.

- Powiedz mi, dlaczego to biedne dziecko musiało mieć taki straszny wypadek?

- Ponieważ inaczej nie zdołalibyśmy wykonać zadania. We wszystkim, co czyniłem, przyświecał mi tylko jeden cel: powrót Świadectwa.

- W porządku, rozumiem, że nie chcesz odpowiedzieć. Pewnie kłóci się to z twoją etyką zawodową, więc uszanuję to. Kiedy się dokona, pewnie wszystko mi się wyjaśni.

- Tobie na pewno. Wcześniej mieliśmy łatwiej.

- Jak to?

- No bo w określonych przypadkach po prostu kierowaliśmy do ludzi nasze słowa.

- Ale szybko z tym skończyliśmy, kiedy te istoty wpadły na pomysł, że to, co słyszą, to nie jest nasz głos, tylko ich własny głos wewnętrzny. Nie mogliśmy oczywiście tolerować, żeby tak nas okradano. Nie da się wprawdzie zaprzeczyć, że na Ziemi technologia w coraz większym stopniu zajmuje miejsce teologii, ale psychologii do tego jeszcze daleko.

- Niemniej szkoda, że tak się stało. Niebo i ziemia są bowiem połączone tylko i wyłącznie za pomocą słowa; operacja, którą teraz przeprowadzamy, jeszcze raz dobitnie tego dowiodła.

- Właśnie. Ta operacja była kropką, którą postawiliśmy na końcu owego dialogu.

- Byłoby wspaniale, gdyby ludzie przerazili się śmiertelnie, słysząc, co się stało, a mianowicie, że Świadectwo zostało im znowu odebrane, i żeby ten szok ich nawrócił.

- Nikt nigdy się o tym nie dowie. A tak w ogóle: jakie tam nawrócenie? Nie rozśmieszaj mnie. Naprawdę myślałeś, że ten pomiot zechce z czegokolwiek zrezygnować? Gdzie tam. Jeśli już coś mają, chcą to zatrzymać. Ten łajdak Lucyfer doskonale sobie to wszystko umyślił. Z każdym nowym wynalazkiem ludzie odbierali nam kawałek naszej wszechmocy i w ten sposób krok po kroku demonizowali własną rzeczywistość. Na mocy cyrografu zmienił ich w wampiry wysysające nas pod jego patronatem. Dzięki rakietom przemieszczali się szybciej niż wiatr, potem szybciej nawet od dźwięku, a któregoś dnia zbliżą się pewnie do prędkości światła; dzięki swej telewizji są już praktycznie niemal wszechobecni, potrafią widzieć w ciemnościach, potrafią zajrzeć do wnętrza człowieka bez rozcinania go, dzięki komputerom posiadają totalitarny system sterowania i kontroli, za jego pomocą próbują wydrzeć twojemu wydziałowi palmę pierwszeństwa, postrzegają już cząstki elementarne i wiedzą nawet, co się stało dziesięć do minus dwudziestej trzeciej sekundy po naszej eksplozji światła. Poza tą granicą ich teorie na razie szwankują, tam wszystkie ich wyliczenia dają jeszcze w wyniku nieskończoność, i miejmy nadzieję, że nigdy nie dostrzegą głębszego sensu tego zjawiska; z tym że powoli przestają być pewny czegokolwiek.

- Na ten temat chciałbym zaraz coś dopowiedzieć.

- Jeśli zechcą, mogą nawet zniszczyć Ziemię. Bez urazy, ale ta zdolność jak dotąd była naprawdę tylko naszym przywilejem. Na razie zajmują się niszczeniem Ziemi w sposób niezamierzony, i na wszelki wypadek spacerują już po Księżycu, jako trampolinie do reszty wszechświata. W całkiem niedługim czasie ludzie zaborą się do czegoś zarezerwowanego wyłącznie dla nas: do tworzenia życia, jako przeciwwagi dla jego masowego niszczenia. Najpierw wirus, potem bakteria, potem robak, pewnie *Caenorhabditis elegans*, a pewnego pięknego dnia zaczną fabrykować ludzi na podobieństwo własnych twarzy – a te są często tak puste, jak twarze lalek: zamiast wyrazu twarzy mają rzeczy, jak choćby samochody. Tak więc z biegiem czasu ludzie sami staną się jak rzeczy. Co dwanaście lat podwaja się ludzka wiedza – zatem teraz, w swoim roku 1985, wiedzą i potrafią dwa razy więcej niż w roku 1973 i wraz z tym zbliżaniem się do wszechmocy możliwe tam na dole staje się dosłownie wszystko. *Knowledge itself is power* – jak myślisz, kto ułożył ten aforyzm? Oczywiście znowu ten przeklęty Francis Bacon. Wiedza to potęga, tak jest, nie tylko potęga dająca władzę nad naturą, ale także nad ludźmi oraz nad nami. Ziemia ostatecznie zmieniła się w jego przeklęty Dom Salomona i ludzie już nas nie potrzebują, staliśmy się dla nich bajką, kuriozum, literaturą... Pamiętasz jeszcze tę serię pytań, którymi Szefer zasypał Hioba – czy umie podnieść głos do chmur, czy umie bramą zamknąć morze i co tam jeszcze było? Nie, nie umiał tego wszystkiego, umiał to tylko Szefer, a teraz, proszę, czegoż to nasz Hiob już nie umie? Są tam rzeczy, które i dla Szefera bywają całkiem nowe. Lucyfer zwyciężył, nie ma sensu dłużej się tego wypierać. Dzięki diabelskiemu posunięciu z użyciem tego zdradzieckiego barona okazał się silniejszy, bez dwóch zdań. W ciągu pięciu lat po śmierci Bacona Galileusz i Kartezjusz piszą swoje fundamentalne dzieła, *Dialog* i *Rozprawę o metodzie*; to wkroczenie w nowoczesność, co nieuchronnie zapoczątkowało drogę do Auschwitz i Hiroszimy oraz do odczytania kodu DNA. Stary Goethe przewidział taki bieg rzeczy, chociaż jeszcze grzecznie ze znakiem dodatnim: swojemu stuletniemu Faustowi każde skończyć jako technokracie, który budując tamy i kanały, zwycięża morze, czyli ni mniej, ni więcej zmienia przyrodę w twór człowieka.

- Coś w rodzaju holenderskiego inżyniera od polderów w Królewskim Urzędzie Gospodarki Wodnej, który zamyka bramami morze. Ciekawe, czy Goethe miał na myśli Leeghwatera, który już w XVI wieku był dość dobrze znany dzięki swojemu dziełu *Haerlemmer-meerboeck*.

- Bardzo możliwe, ale nie w głowie mi teraz rozważania historyczno-literackie. Przez ciebie zgubiłem wątek, o czym to ja mówiłem?

- O ogólnym upadku wszystkiego.

- Aha, właśnie, a przede wszystkim o naszym własnym. Bo o to przecież chodziło Lucyferowi od pierwszego dnia: o nasze całkowite poniżenie i zniszczenie. Tak naprawdę ludzie zupełnie go nie obchodzą. Nie należy oczywiście zapominać, że ta diabelska technika ma też różne przyjemne aspekty. Nie idzie tu tylko o budowę polderów, ale weźmy na przykład taką technikę medyczną. Wystarczy pomyśleć o znieczuleniu miejscowym, żeby wspomnieć coś drobnego. Czy przyszłoby ci do głowy, że ktokolwiek jeszcze da sobie teraz wyrwać ząb trzonowy bez miejscowego znieczulenia? I nawet trudno odmówić im racji. Skoro już się ma zęby trzonowe! Nie, naprawdę, uwierz mi, że sprawa jest beznadziejna. Poprzez ciała Lucyfer zawładnął umysłami ludzi. Naszym największym błędem jest to, że wciąż go nie docenialiśmy. Zdawało się nam, że nie będzie tak źle, bo przecież kto by się odważył mierzyć z Szefem? Otóż właśnie on. Czasem sobie myślę – to grzech, co teraz powiem – że on zna ludzi o wiele lepiej niż Szef. Szef jest idealistą, to wielkie serce, zawsze chce dla ludzi jak najlepiej, zapominając, z kim ma do czynienia. Za to Lucyfer wie, że oni prędzej zgodzą się, żeby zginęły niebo i ziemia, niżby mieli zrezygnować z samochodu. Zadbął o to, żeby znajdowali szczęśliwość w rzeczach. Wie, że w imię tego są gotowi zrezygnować nawet z nóg. Tak więc zginie niebo i ziemia. A w dniu Zmierzchu Ludzkości niewiele będziemy mieli z dusz, bo te zostały zdradzone, zaprzędane diabłu, przetopione na maszyny. Kierowca to nie jest pieszy w samochodzie, tylko zupełnie nowa istota składająca się z ciała, krwi, stali i benzyny. To współczesne centaury, gryfony i właśnie te urzeczywistnione bajeczne stwory będą jedynym, co ostatecznie zostanie, ponieważ powstały kosztem przyrody, człowieka, nas i samego Szefa. Z każdą nową zdobyczą techniki ludzkie życie automatycznie coraz bardziej traci sens. A nasz świat będzie na koniec zawierał już tylko samo triumfujące *negativum*, skąpane w lodowatych płomieniach jego własnego piekła, z wieczystą agonią Szefa w niebie, jako błakającego się odbicia wielkiego Światła. Już po wszystkim okaże się, że wszystko było po nic. Co to ja chciałem właściwie powiedzieć? Całkiem straciłem wątek. No tak, jestem coraz bardziej roztargniony, czuję już ten rozkład i wyczerpanie we mnie samym. Mów dalej. Słucham.

34 Dar

„Zdrowe dziecko wydobyte z ciała matki po śmierci mózgowej” – doniosła następnego dnia poranna gazeta. Ada przetrzymała zabieg bez komplikacji, i następnego tygodnia – Quinten musiał je spędzić w inkubatorze – przyniosły planowane zmiany.

Dyrektor obserwatorium dotrzymał słowa: umówił Maksa ze swoim starym kolegą ze studiów, baronem Geverssem, który mieszkał kilka kilometrów na południe od radioteleskopu Westerbork i miał do wynajęcia jakieś lokum w pobliżu. Był słoneczny czerwcowy dzień, kiedy Maks wyruszył tam z Dwingeloo, mając w głowie marszrutę przekazaną przez właściciela. Po prawej stronie słońce w stroboskopowym rytmie przeblyskiwało między umykającymi olchami na poboczu lokalnej szosy, wskutek czego musiał się bronić przed czymś w rodzaju grożącej mu hipnozy. Jak zwykle czekał, kiedy po lewej stronie szosy ukaże się luka, gdzie brakowało dwóch drzew. Potem kilka kilometrów autostradą, z której zjechał i wreszcie skręcił w krętą leśną drogę. Wszędzie leżały jeszcze poprzewracane drzewa, ich korony na zawsze już były po zimowemu bezlistne, a wyrwane z ziemi korzenie zdążyły zbieleć z wyschnięcia. Ku swemu zdumieniu ujrzał nagle grupę indonezyjskich młodzieńców, czołgających się przez zarośla w niby to polowych mundurach, zupełnie jakby była wojna, lecz już w chwilę później miał wrażenie, że mu się to przywidziało. Od czasu do czasu las ustępował miejsca łąkom z pojedynczą wiejską zagrodą, zaoranym polom, łanom kukurydzy, droga przekroczyła niestrzeżony przejazd kolejowy – i w chwili, kiedy Maks ujrzał rozpościerające się przed nim piękno, przypomniał sobie słowa wypowiedziane zdaniem Onna przez Goethego: *Człowiek zaczyna się od barona.*

Niski, biały, niezbyt okazały dworek, pochodzący na oko z początku ubiegłego wieku, stał na końcu gazonu, emanując dyskretnym dostojeństwem. Był on zarazem centralnym punktem gospodarstwa, w pobliżu znajdowały się stajnie, wielki stóg siana, wiaty na maszyny rolnicze. Miejsce to nazywało się Klein Rechteren. Podjazd był obramowany dużymi głazami i wysypany żwirem, który feudalnie chrząścił pod kołami, nawet volkswagena zmuszając do majestatycznej powolności bentleya. Ponieważ instynkt podpowiadał Maksowi, że nie powinien parkować tuż przy wejściu, zostawił samochód naprzeciwko. Wysiadając, zobaczył siedzącego na kalenicy pawia.

Otworzyły się drzwi i i pojawił się w nich mongoloidalny chłopak w wieku może dwudziestu lat. Popatrzył na Maksa, wytrzeszczywszy zdziwione oczy.

– Mama! – zawołał chrapliwym głosem, nie odrywając od niego wzroku.

W sieni pojawiła się słusznego wzrostu kobieta pod sześćdziesiątkę. Maks przedstawił się, a następnie uściśnął też ciepłą, szeroką, nieruchomą dłoń jej syna, który miał na imię Rutger. Na werandzie z tyłu domu, której drzwi były otwarte na taras i warzywnik, poczęstowano go herbatą w chińskiej filiżance.

– Lada moment spodziewam się męża. A co tam u naszego Jana? Kawał czasu się już nie widzieliśmy. Kiedy przyjeżdża do Dwingeloo, czasem się u nas zatrzymuje.

Mowa była o dyrektorze. Choć z pewnością poinformował ją o sytuacji Maks, w żaden sposób nie nawiązała do tego. Mogło to być przejawem taktu, ale niekoniecznie; wskutek zdystansowanej uprzejmości całej konwersacji Maks czuł się trochę niezręcznie i miał wrażenie, że o to właśnie chodziło. Może na wypadek, gdyby rzeczywiście zamieszkał gdzieś w pobliżu, od samego początku dano mu w ten sposób do zrozumienia, że nie jest to powód do spoufalania się. Obok kobiety stał okrągły stolik z rodzinnymi fotografiami w ramkach; było tam też zdjęcie białego konia. Maks rzucał od czasu do czasu zaciekawione spojrzenia na Rutgera. Chłopak siedział na plecionym fotelu, którego tronowate oparcie rozszerzało się do niebываłych rozmiarów, i robił coś, wysuwając język. Po jego lewej stronie leżał na podłodze kłębek fioletowej wełny; za pomocą szpulki z wbitymi w nią trzema małymi gwoździkami Rutger skręcał z włóczki wełniany sznur, którego musiały być już dziesiątki metrów, tworząc kolorową górę u jego stóp.

– Robić wielką zasłonę – wyjaśnił, zauważywszy spojrzenie Maks. Maks skinął z aprobatą głową i spojrzął na matkę.

– Robi już tę wielką zasłonę od dobrych dziesięciu lat. Od czasu do czasu ucinam kawałek, bo inaczej pewnie już nie można by wejść do domu.

– Nie zorientuje się?

– Nie, dopóki mnie nie przyłapie, gdy to robię.

– Może nie ma świadomości, jak długi jest już ten sznur, ponieważ nie ma świadomości czasu.

Baronowa patrzyła na niego z nieprzystępną miną.

– Bardzo możliwe.

Maks odniósł wrażenie, jakby posunął się o krok za daleko: ktoś, kto mówi o czasie, zawsze mówi niejako o śmierci.

Drogą na końcu warzywnika zbliżał się traktor, kierowany przez ciężką postać w roboczym ubraniu; tylko piaskowego koloru kapelusz z połową runda uniesioną w górę, a drugą połową opuszczoną w dół, sygnalizował, że właściciel nie jest prostym wieśniakiem. W zielonych gumiakach zbliżył się do werandy i nie wchodząc do środka, przedstawił się, jednocześnie podając Maksowi mocną dłoń o stwardniałej skórze. Jego twarz miała w sobie coś surowego, jakkolwiek nie była nieprzyjazna; mężczyzna miał niewielki, wypielęgnowany siwy wąsik.

- Dobrze, że pan przyjechał, bo miałem już z dziesięć telefonów. Możemy od razu pójść?

Po raz kolejny Maks odczuł, że stosunki muszą pozostać takie, jakie są, chociaż polecił go przyjaciel. Idąc u boku swego przyszłego gospodarza przez warzywnik w stronę drogi, odczuwał niezwykłą ciekawość, co też za chwilę zobaczy. Nawet się do tego nie przyznając, liczył na idylliczną wozownię między drzewami, ze starannie utrzymaną murawą przed wejściem, lecz na wszelki wypadek przygotował się na żalosną chatkę robotnika torfowego nad kanałem, który nieruchomo czeka na mające utopić się w nim dzieci. O tym, że tak chyba jednak nie będzie, świadczyły słowa Geversa, który powiedział, że mogą pójść piechotą, ponieważ to całkiem niedaleko. Maks opowiedział o Ambonezyjczykach, których widział czołgających się po lesie.

- A, tak, to ci durni Molukowie z Schattenbergu - powiedział baron. - Parę kilometrów stąd. Przygotowują się do uwolnienia swojej wyspy na drugim końcu świata.

Osada Schattenberg: taka była dzisiejsza nazwa obozu przejściowego Westerborg.

- Naprawdę myślałem, że mi się to śni - powiedział Maks. Baron skinął głową.

- Sny podtrzymują ten świat. Na szczęście jest ich już bardzo niewielu, a dzięki obserwatorium ci też wkrótce się wyniosą.

Spotkali trzy dziewczyny jadące konno z naprzeciwka, które wesoło zawołały: „Dzień dobry, panie Gevers!”, a kilkaset metrów dalej, tam gdzie droga skręcała łagodnym łukiem, była odnoga prowadząca do wielkiej żelaznej bramy, mocowanej do dwóch słupów z ciosanego kamienia, na których siedziały lwy trzymające tarcze herbowe. Przerzucony nad wąskim kanałem mostek prowadził do długiej alei, obsadzonej podwójnym rzędem drzew; u jej drugiego końca był drugi mostek, przerzucony nad fosą i wychodzący na placyk pod zamkiem.

- Groot Rechteren - powiedział pan Gevers, wskazując gestem dłoni, a potem ze zgrzytem otworzył bramę.

Zamek! Kiedy szli po obłuzowanych deskach mostka w stronę alei, Gevers opowiadał, że tu właśnie się urodził, tak jak jego ojciec i dziadek, ale wszystko stało się za drogie, zwłaszcza utrzymanie personelu, no i nie było jak tego ogrzać, żeby nie zbankrutować. Rodzina przeniosła się zatem do Klein Rechteren, a zamek podzielono prowizorycznie na mieszkania, zajmują je sami mili ludzie – poza jednym, komunistą, ale właśnie zwolnił lokal.

Maks zaniemówił, patrząc na wielkie, rozłożyste zamczysko, zbliżające się z każdym krokiem. Po obu stronach i z tyłu okolone było ogromnymi drzewami; sprawiało wrażenie zaniedbanego i nie było specjalnie ładne – najwyraźniej w ciągu wieków wielokrotnie przebudowywane i rozbudowywane – niemniej jednak był to niewątpliwie zamek: budowla, która od domu różni się jak orzeł od kury. Fasada, być może pochodząca dopiero z XIX wieku, była płaska i symetryczna; na wysokości strychu, w spiczastym wykuszu nad wejściem, znajdował się zegar bez wskazówek. Na parterze widać było rząd łukowatych okienek piwnicznych, podwójne schody prowadziły do drzwi wejściowych, flankowanych wysokimi oknami podzielonymi na małe szybki; pierwsze piętro przechodziło z prawej strony w wielki balkon. Pod nim stał kontener, do którego ktoś wrzucił deski i różne rupiecie. Tylna część zamku wyglądała na starszą; widać tam było spiczasty czterospadowy dach kwadratowej wieży z kurkiem na szczycie. Czy to możliwe, że zamieszka w tym bajkowym miejscu? Może nawet tam, gdzie jest ten balkon? Czym sobie na to zasłużył?

Zamek był centralnym punktem niewielkiego osiedla. Po lewej był młodnik przechodzący w las iglasty, a po prawej stało kilka małych domków, wozownia, przebudowane stajnie i stodoły. Na gazonie przed czymś, co kiedyś było może domkiem odźwiernego, jakiś człowiek kosił kosą trawę wokół ogromnego głazu narzutowego, a teraz podniósł wzrok i powiedział: „Dzień dobry, panie baronie” – co dało mu w nagrodę łaskawe: „Dzień dobry, Piet”. Na wpół widoczna między zabudowaniami i płotami stała oranżeria, gdzie też ktoś coś robił; pod drzewami kozioł próbował sięgnąć po trawę dalej, niż pozwalał mu uwiązany do szyi powróż. Wszystko wyglądało na zamieszkane, wszędzie widać było pootwierane okna. W cieniu monumentalnej korony brązowego dębu na skraju fosy płynęły dwa czarne łabędzie z dostojeństwem swego majestatycznego istnienia, a wśród wodnych lilii u stóp wysokich na człowieka rododendronów darło się stadko kaczek.

Maks miał takie poczucie, jakby wypadało tu chodzić na paluszkach. Zamek leżał na wodzie jak na rozpostartej dłoni; kamienny mostek nad zamkową fosą znajdował się zdaniem Geversa w miejscu dawnego mostu zwodzonego. Na placyku, gdzie bruk był ułożony w artystyczne sztuczne fale, co wyglądało, jakby to był leżący mur, stało kilka samochodów. Kiedy właśnie wchodzili po schodach frontowych, do kontenera z ogłuszającym hukiem wpadła łódzka, a znad balustrady balkonu spojrzęła na nich uśmiechnięta twarz. Białobłękitny szyld przy drzwiach wejściowych wskazywał, że zamek znajduje się na liście zabytków. Jedno skrzydło drzwi było otwarte i zablokowane drewnianym klinem; wchodząc do środka, Gevers zsunął z nóg gumy i zdjął kapelusz z szerokim rondem, a jego łyse czaszka nadała mu nagle jeszcze surowszy wygląd.

W wyłożonym dębową boazerią holu pojawiła się w drzwiach malutka, elegancko ubrana kobieta; Maks zdążył rzucić okiem na wielką salę z empirowymi meblami, gdzie stał też stolicek z fotografiami w ramkach, a nad marmurowym gzymsem kominka wisi lustro w złotych ramach. Gevers przedstawił kobietę jako „panią Spier”.

– Pan Delius będzie być może nowym lokatorem na górze.

Spojrzęła na niego badawczo. Była w każdym calu zadbana, ani jeden włoszek jej fryzury nie odważył się wyłamać z szeregu.

– Witamy, panie Delius. Jeśli tylko będziemy mogli w czymś pomóc, proszę się do nas zwrócić.

– Jej mąż jest znanym projektantem czcionek drukarskich – powiedział pan Gevers, kiedy wchodzili już po szerokich dębowych schodach w głębi holu. – Tu aż się roi od tęgich głów, będzie pan doskonale pasował. Ja, prosty chłopek, czułbym się raczej nie na miejscu w tak kulturalnym towarzystwie.

Gwałtowność tego stwierdzenia nie uszła oczywiście uwagi Maksa. Ze sposobu, w jaki pan Gevers się rozglądał, widać było, że niechętnie tu przychodzi; wszystko naokoło przypominało mu o tym, co było, i o upadku świetności zamku. Dyrektor obserwatorium opowiadał Maksowi, że pan Gevers odgrywał w czasie wojny istotną rolę w ruchu oporu; ponieważ Holandia to mały kraj, niewykluczone, że znał ojca Onna. Maks uświadomił sobie, że z tego samego powodu mógł też wiedzieć, kim był jego ojciec.

Na górze również był hol czy raczej przestronny korytarz, od którego odchodziło mnóstwo drzwi; dębowego dostojęstwa tutaj już nie było. Przez wielkie okno oszklonej werandy widać było las na tyłach zamku; z jednej strony korytarza stały przykryte folią wanny oraz gliniane modele na specjalnych wysokich, wysmukłych stojakach.

– Mieszka tu jeden artysta – poinformował pan Gevers, pokazując ruchem głowy drzwi. – Theo Kern, dość dziwny osobnik. Ma jeszcze tu na terenie atelier na większe prace. – Nagle zatrzymał się i spojrzał Maksowi prosto w oczy. – To wspaniały gest z pana strony, panie Delius, że zamierza się pan zająć dzieckiem przyjaciela. Bardzo chciałem to panu powiedzieć. Wspaniały gest. – Zanim Maks zdołał cokolwiek rzec, Gevers wskazał leżące naprzeciwko mieszkanie, którego wszystkie drzwi były pootwierane na oścież i w którym panował chaos przeprowadzki. – Grupa Akcyjna Jajo. Kwatery główna rewolucji w prowincji Drenthe. Jutro lub pojutrze zostanie przeniesiona do Assen, żeby stamtąd przygotować prowincję do stanu proletariackiej gotowości.

Baron nie sprawiał wrażenia zmartwionego wyprowadzką tych lokatorów. Człowiek, który niedawno uśmiechał się do nich z góry, siedział na podłodze pokoju balkonowego w towarzystwie jakiejś kobiety i kilku przyjaciół, wszyscy popijali herbatę z kubków w kwiatki. Miał może ze trzydzieści lat, długie włosy, w zębach trzymał cienkie cygaro, którego nie wyjmował, mówiąc.

– No jak tam, towarzyszu – zagadnął Gevers. – Odpoczywamy?

Młody człowiek z uśmiechem skinął głową, ale nie podniósł się z miejsca. Najwyraźniej fakt, że Gevers był baronem, także i w tym towarzystwie nie był czymś obojętnym, tyle że nie przemawiał na jego korzyść, raczej odwrotnie. Młody człowiek z lekko kpiącym, choć nie wrogim wyrazem twarzy spojrzał na marynarkę i klubowy krawat Maksa.

– Ty będziesz tu mieszkał? – spytał, a kiedy Maks wykonał nieokreślony gest w stronę Geversa, dodał: – Gratuluję. Czegoś takiego jak tutaj nigdzie nie znajdziesz. Możesz się rozejrzeć, jeśli masz ochotę.

Kiedy Maks napotkał spojrzenie kobiety, zobaczył nienawiść w jej oczach, ponieważ być może to on zamieszka w tym mieszkaniu. Ona wcale nie chciała się przenieść do Assen.

W pokoju balkonowym, wychodzącym na południe, był błękitny plafon z białymi obłoczkami; wszystko wymagało gruntownej renowacji. Kolejne drzwi prowadziły do wielkiego pokoju obok, który przez zrujnowane pomieszczenie gospodarcze łączył się z pokojem w wieży na tyłach zamku. Od razu pomyślał, że tu może być pokój dziecka. Ponieważ Sophia powinna spać blisko Quintena, ale także blisko niego, wyglądało na to, że on powinien zająć pokój balkonowy. Drzwi z drugiej strony pokoju prowadziły do przestronnej kuchni mieszkalnej z oknami wychodzącymi na plac przed zamkiem; dalej przytykał do niej jeszcze jeden duży pokój, który znajdował się dokładnie nad wejściem. Wszystkie okiennice były pootwierane. Maks rozglądał się wokół podniecony. Z łatwością mogły tu zamieszkać trzy osoby. Wszędzie było pełno rupieci, pod ścianami stały skłcone z desek regały, wyładowane folderami, stosami gazet i broszur, oraz powielacze na stojakach, ale on oczyma wyobraźni widział już, jak tu będzie potem.

- No i? - spytał Gevers, kiedy wyszli na balkon, który był równie wielki jak pokój, i spoglądali na budzący respekt las po drugiej stronie zamkowej fosy. - Pewnie nie dla pana?

Maks wykonał nieokreślony gest zachwytu.

- Prawdziwy dar niebios - powiedział.

35

Osiedliny

Kiedy w dwa dni później apartament został opróżniony, Maks z dumą pokazał Sophii, co objął w posiadanie, i ona też nie mogła w to uwierzyć. Okres, który Quinten musiał przeżyć w inkubatorze, spędził w większości na odnawianiu zapuszczonych pomieszczeń. Przez pierwsze noce spali w Dwingeloo, każde w swoim pokoju pensjonatu, lecz Maks jeszcze przed właściwą przeprowadzką przewiózł do zamku wynajętym busem parę najpotrzebniejszych rzeczy od siebie i Sophii: materace, pościel, ubrania, naczynia kuchenne, książki. W Dwingeloo nie przyszła do niego do łóżka, pewnie nie tylko ze względu na innych gości, ale też dlatego, że właśnie tutaj jej córka spędziła, jeśli tak można powiedzieć, ostatnią świadomą noc. A może przeszkodą była cisza. Pierwszych kilka nocy, kiedy sam spał w Dwingeloo, Maks, jako człowiek z miasta, prawie nie zmrużył oka: cisza była tak głęboka i całkowita, że miał wrażenie, jakby ogłuchł. Jedyne, co słyszał, to bicie własnego serca i szum krwi w uszach; świat poza pokojem zniknął w nicości. Dopiero później dotarło do niego, że znał tę ciszę z wojny: wtedy nawet w Amsterdamie noce były takie ciche jak na wsi. Jednak już pierwszej nocy w Groot Rechteren, kiedy ciszę przerywał tylko od czasu do czasu głos sowy, sekretny rytuał powrócił. Z bijącym sercem leżał w pokoju balkonowym, czekając na nią, i kiedy usłyszał z pokoju obok, jak podnosi się z prowizorycznego łóżka, a potem zgrzyt klamki i skrzypienie otwieranych drzwi - wszystko to trzeba będzie naoliwić - ulga była może nawet większa niż podniecenie. No bo aż strach pomyśleć, co by było, gdyby wiązało się to dla niej wyłącznie z Lejdą i wspomnieniem zmarłego męża!

Po raz pierwszy przebywali ze sobą także w ciągu dnia we wspólnym gospodarstwie domowym, ale i to niczego nie zmieniło: on nadal zwracał się do niej „proszę pani” i, zupełnie inaczej, niż to jest między ludźmi, których coś łączy, między nim a teściową jego przyjaciela nie dochodziło do małżeńskich kłótni. Budzeni rano przez kaczkę, jedli śniadanie na balkonie, i Maks cały wolny czas, jaki udawało mu się wygospodarować, poświęcał na demontowanie regałów w pierwszym pokoju, usuwanie płyt paździerzowych, które w latach pięćdziesiątych miały nadać nowoczesny wygląd starym, ręcznie robionym drzwiom, oraz malowanie, bejcowanie i bielienie. Coraz bardziej opanowywał go taki zapał do pracy, że wieczorami nie umiał powiedzieć sobie dość. Kiedy Sophia dawno już siedziała z kieliszkiem wina przed telewizorem, szyjąc zasłony, on stał jeszcze na drabinie i jeździł wałkiem po ludycznych obłóczkach na plafonach. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie robił, zawsze załatwiała to za niego przyjaciółki, ale teraz natychmiastowy rezultat działał na niego odprężająco; ponadto myślał wtedy od czasu do czasu o swojej pracy, tyle że inaczej, niż to się działo przy tablicy: mniej bezpośrednio, w pewnym sensie bardziej owocnie, jako że najlepsze pomysły zawsze przychodziły mu do głowy przy czyszczeniu zębów czy butów albo pod prysznicem. Pysznicza jeszcze tu zresztą brakowało, więc kazał go zamontować; ponieważ zamek nie był podłączony do sieci gazowej, trzeba było założyć piecyk przelotowy na gaz z butli; wymiany wymagały też stare piece olejowe. Jeśli potrzebował nowej farby czy pędzli albo desek, jechał w wypalonym roboczym ubraniu do sklepu we wsi Westerbork, leżącej dziesięć kilometrów na południe od nowego obserwatorium i mającej tylko wspólną nazwę z dawnym obozem. Maks wciąż jeszcze tam się nie pojawił; dopóki zwierciadła nie były całkowicie gotowe, nie miał tam czego szukać i postanowił odwlekać ten moment, jak długo się da.

Od razu w pierwszych dniach złożyli razem z Sophią grzecznościowe wizyty pozostałym lokatorom zamku. Pan Spier, mąż pani Spier, właśnie zbierał się do wyjścia, kiedy zapukali. Był równie malutki jak ona i miał równie nienaganny jak ona wygląd, starannie ułożone, rzadkie ciemnoblonde włosy, trzyczęściowy granatowy garnitur w jodełkę, wpięte w butonierkę odznaczenie, a w krawacie szpilka z perłą: tuż obok linii środkowej, tak jak należy. Bardzo uprzejmie powiedział, że z pewnością jeszcze nieraz się spotkają, na co Maks od razu zaprosił ich oboje na kieliszek szampana za kilka tygodni. Pan Verloren van Themaat, który wykładał architekturę w Wyższej Szkole Technicznej w Delft i zajmował parter drugiego skrzydła zamku, pojawiał się tylko w weekendy; na razie spędzał lato w Rzymie, w holenderskim Instytucie Historii Sztuki.

W południowej połowie poddasza – w dawnych pokojach służby po stronie północnej składowano zbywające meble barona – mieszkał angielski tłumacz, czy też raczej tłumacz z angielskiego Marius Proctor, czarnowłosy mężczyzna pod czterdziestkę o ponurym spojrzeniu. Jego żona Clara, prowokująca, roześmiana osoba z ufarbowanymi na rudo włosami, wielkimi kolczykami w uszach, wyglądała jak wróżka; ze starych parasoli sporządzała upiorne abstrakcyjne konstrukcje, które wisały na mansardowych ścianach ich pokoi. Kiedy zaprosił Maksą i Sopię na popołudniową herbatkę, sadzała ich na nowoczesnych fotelach z lat pięćdziesiątych, Proctor przeważnie bez słowa zniknął za grubymi, wytłumionymi materiałem drzwiami do czegoś, co było widocznie jego gabinetem: pomieszczenia w wieży, leżącego nad tym pokojem, w którym stały już kołyska i komódka do przewijania dziecka, czekając na Quintena. Dla zarobku tłumaczył powieści, ale jego właściwym zajęciem był teraz przekład *Raju utraconego* Milтона; ponadto, jak poinformowała Clara, od lat pracował nad książką o pewnym swoim odkryciu, które ma wstrząsnąć historią literatury. W każdym razie miał zapadnięte policzki i skronie fanatyka, który sam się spała. Mieli agresywnego, może czteroletniego synka o imieniu Arendje, który za każdym razem, gdy widział Maksa, biegł w jego stronę z gniewnie pochyloną głową, jak baran, i rączkami walił go z całej siły po udach, jakby chciał wypchnąć z pokoju, z zamku; żartobliwe słowa i delikatny opór nic nie pomagały, i kiedy Clara na koniec odciągała go siłą, Arendje próbował jeszcze szybko kopnąć go w piszczel. Maks starał się unikać zbyt częstych wizyt na górze. Któregoś razu próbował zacząć rozmowę o literaturze, lecz Proctor odpowiedział kilkoma nic nieznaczącymi uwagami i dalej milczał jak sfinks. Sophia go nie zносиła, ale Maks stwierdził, że pewnie przytłaczają go jakieś myśli lub też życie z Clara.

Najlepszy kontakt mieli z Theo Kernem i jego żoną, mieszkającymi na ich piętrze. Wejście do nich oznaczało opuszczenie tego świata i wkroczenie w zupełnie inny. Układ pokoi był zwierciadlanym odwzorowaniem ich mieszkania, lecz było to jedyne podobieństwo. Na pierwszy rzut oka panujący tu chaos przypominał Maksowi mieszkanie Onna, już przy drugim jednak zdał sobie sprawę, że to raczej jego przeciwieństwo, tylko zupełnie inne niż wyrachowany porządek jego własnego domu. Był to nieporządnym porządek lub porządnym nieporządek – była też trzecia możliwość: artystyczne, pozbawione konkretnego zamysłu rozmieszczenie niezliczonych przedmiotów, które najwyraźniej zjawily się tu kiedyś całkiem przypadkowo, zostały tak, a nie inaczej zapomniane, zupełnie jak u Onna, lecz tutaj, na całkowicie niepojętej zasadzie tworzyły harmonijną całość, podobnie jak stado ptaków, które w pewnym momencie przybiera skończony, choć przecież przez nikogo wcześniej nieustalony kształt. Ptaki zresztą też tu były. W różnych pomieszczeniach stały trzy klatki, w każdej po trzy bielutkie gołębie; część drzwiczek była otwarta i nastroszone ptaszyska siedziały na klatkach, gruchając i kiwając się. Stojaki z glinianymi modelami, sztalugi z rysunkami i kwiatami; na gzymsie kominka, na stołach i na podłodze drucziane rzeźby, obrazy, szyszki, gałęzie w wazonach, kamienie, malutkie figurki, pniaki, muszle. Nie było żadnej różnicy między sypialniami, salonem a kuchnią; gdzieś nagle pojawiało się białe łóżko Kernów z baldachimem, bejcowane drewniane łóżko ich córki, która właśnie była na letnim obozie, gdzie indziej kuchenny blat, lodówka, kuchenka, wszystko jasne, świetliste, pozbawione ciężaru, jak papier prześwitujące oraz wkomponowane w całość.

A pośrodku tego wszystkiego znajdował się sam artysta: malutki, krępy, jowialny, zawsze bosy, z głową od ciemienia po podbródek okoloną promieniami siwiejących włosów – istny dmuchawiec. Ilekroć Maks go widział, przychodził mu na myśl krasnoludek na kapeluszu grzyba; lecz jego korpulentna żona Selma, która w swoich szerokich, długich sukniach wyglądała, jakby była w wiecznej ciąży, a poza tym rzadko się śmiała i czasem patrzyła na swojego męża jak na wariata, kazała Maksowi przypuszczać, że za tą postacią rzeźbiarza kryje się jednak coś więcej – Maks był bowiem zdania, że ukryte strony mężczyzny ujawniają się w osobie jego żony, a ukryte strony kobiety w osobie jej męża. Uznał jednak, że lepiej będzie przemilczeć to przed Sophią. „Matka Ziemia” mówił o Selmie. Miała długie, luźno rozpuszczone ciemnoblond włosy i nieśmiałe spojrzenie; Sophia świetnie się z nią rozumiała. Podobnie jak Proctorowie, tak i oni mieli z początku wyraźne trudności z zaklasyfikowaniem konstelacji Maksa, Sophii i dziecka, które wkrótce miało się pojawić, ale potem się to zmieniło. Kern przychodził od czasu do czasu popatrzeć na pracę Maksa, niekiedy mu pomagał i pożyczał narzędzia, wiertarkę elektryczną czy nitownicę. Kilka razy zaprosili ich na kolację: wielkie, smaczne dania z latynoamerykańskim zacięciem, tak że mogli sobie darować tłuste kotlety w miejscowej restauracji.

Onno nie pokazał się jeszcze w zamku. Za każdym razem, kiedy Maks odwoził Sophie do Wilhelmina Gasthuis, gdzie odwiedzała córkę i wnuka, umawiali się gdzieś na mieście, raz nawet w bufecie głównej siedziby jego partii, mieszczącej się niedaleko zlikwidowanego częściowo mieszkania Maksa, z którym ten nie czuł się już nawet wewnętrznie związany. Ich rozmowy toczyły się jednak wyłącznie wokół spraw praktycznych i nie trwały dłużej niż pół godziny. Wraz z kilkoma przyjaciółmi Onno został wybrany na zjeździe na reprezentanta klubu buntowników we władzach partii; w odpowiedzi powstała w partii groźba oderwania prawego skrzydła, czego zdaniem Onna zaczęły im zazdrościć wszystkie partie socjaldemokratyczne w Europie, ponieważ w kręgach lewicowych tradycją było wyłączenie się skrzydła lewego, wskutek czego partie stawały się coraz bardziej prawicowe. Przez to wszystko był bardziej zajęty niż kiedykolwiek przedtem; ku swemu własnemu rozczarowaniu czasem uświadamiał sobie wieczorem w łóżku, że przez cały dzień ani razu nie pomyślał o Quintenie i Adzie. W tym czasie pociotek makler sprzedał dom Sophii za całkiem pokaźną sumę – miał tam teraz powstać snack bar – zasoby książkowe antykwariatu przejęli koledzy, zbędne domowe sprzęty poszły na licytację, a garderobę pana Bronsa zabrała Armia Zbawienia. Kiedy mieli już za sobą przeprowadzki, a pokoje w Groot Rechteren były urządzone, Maks i Sophia pojechali pewnego ciepłego lipcowego ranka do Amsterdamu, gdzie w szpitalu czekał już na nich Onno.

Personel z największym trudem godził się na rozstanie z Quintenem. Leżał w łóżku przy Adzie – znalazł się tam dopiero kilka dni temu, kiedy już nie było potrzeby trzymania go w inkubatorze. Zszokowani patrzyli na anielskie dziecko o szeroko otwartych błękitnych oczach, leżące przy nieruchomej, niemalże marmurowej twarzy Ady o zamkniętych powiekach. Wypukłość pod prześcieradłem zniknęła i Maks czuł, jak ten widok zapada głęboko w niego i na zawsze pozostanie mu w pamięci. W chwili kiedy pielęgniarka odchyliła prześcieradło i podniosła Quintena, wszyscy uświadomili sobie, że oto stało się właśnie coś nieodwracalnego, coś jakby powtórne narodziny, powtórne pożegnanie. Ada również miała wkrótce opuścić szpital; szukano tylko hospicjum, które leżałoby niedaleko zamku.

– Czy mogę go sobie wziąć? – spytała pielęgniarka trzymająca Quintena na ręku. – Nigdy w życiu nie widziałam tak wspaniałego dziecka. Czy wiedzą państwo, że od chwili narodzin ani razu nie zapłakał? Ile trzeba za niego dać?

W samochodzie Sophia siedziała z tyłu, mając przy sobie Quintena w podróznym nosidełku. Nikt się nie odzywał. Podobnie jak Maks, także Onno rozmyślał o ich fatalnej lutowej podróży, której ich obecna podróż była niejako przeciw wagą, ale żaden ani słowem o tym nie wspomniał. Wsiadłszy na płacyku przed Groot Rechteren, Onno rozejrzał się, wypiął dumnie pierś i rzekł:

– Zaiste! Oto właściwe miejsce dla mojego syna! Wprawdzie natura sama w sobie jest w sposób naturalny idiotyczna, a feudalizm też nie do końca współgra z charakterem prostego człowieka z ludu, takiego jak ja, który będąc socjalistą z krwi i kości, myśli wyłącznie o poprawie bytu najniżej zarabiających, lecz w tym wyjątkowym wypadku kierownictwo partii powinno popatrzeć na sprawę przez palce. – A kiedy Sophia ostrożnie wyjęła nosidełko z samochodu i zamierzała wnieść je do środka, powiedział: – O, nie, mam, ja to zrobię. To mój przywilej.

Przełożył sobie uszy nosidełka przez rękę, jakby to była torba z zakupami, uniósł w górę dłoń i wchodząc po schodach, recytował uroczyście: – *In nomine patris, et filii et spiritus sancti!*

W pokoju wieżowym Sophia położyła Quintena na komódce do przewijania, żeby zmienić mu pieluszkę, a Maks oprowadził Onna po mieszkaniu. W saloniku-sypialni Sophii rozpoznał oczywiście od razu obitą sztruksem kanapę i długi stolik, ale tutaj, w pokoju z widokiem na zamkową fosę i las, wszystko to sprawiało zupełnie inne wrażenie. Portret Multatulego pewnie zabrali handlarze starzyzną. Obejrawszy wszystkie pomieszczenia, Onno zadał sobie pytanie, jakie motywy naprawdę kierowały Maksem, ale okazja, by znowu go o to zapytać, już minęła. Rzeczy Maksa, przemieszane z meblami Sophii, stały głównie w dużym pokoju od frontu: zielony fotel chesterfield, fortepian, jego książki. Na biurku znowu szereg drobnych przyrządów, które wskutek ich układu i precyzyjnego usytuowania zyskały rangę symboli. Chociaż Onno znał te wszystkie przedmioty, widział, że i one nabrały tutaj innego charakteru. Spytał, czy na pewno czynsz nie jest astronomicznej wysokości, lecz Maks powiedział, że nie płaci nawet połowy tego, co za mieszkanie w Amsterdamie.

Onno zatrzymał się przy gzymsie kominka z książkami z „honorowej półki”. Z szeregu zniknął Kafka, na jego miejscu zobaczył teraz egzemplarz *Ojców i dzieci* Turgeniewa. Stało tam też zdjęcie Ady z Onnem, zrobione w zeszłym roku w Hawanie przez Brunona. A obok jakieś drugie, stare zdjęcie w ramkach. Od razu zorientował się, że to zdjęcie rodziców Maksa. Bez słowa spojrzął na niego.

Maks skinął głową.

– Wyłoniło się z niebytu – rzekł.

– Skąd się tak nagle wzięło?

Maks opowiedział o swojej wizycie u przybranej matki, nie wspominając nic o okolicznościach, które go do tego skłoniły. Onno pochylił się do przodu i zaczął studiować przedstawioną na zdjęciu parę.

– Górną połowę twarzy masz po ojcu, a dolną po matce.

– Pamiętasz, że już coś podobnego kiedyś powiedziałeś o mojej twarzy? Tego dnia, kiedy po raz pierwszy się spotkaliśmy.

– Nie pamiętam – zaprzeczył Onno. – Ale niewątpliwie było to trafne spostrzeżenie.

– Jasne.

– Idziecie już? – zawołała Sophia.

Siedziała pod parasolem na balkonie, na który Maks wysypał dwa worki świeżego żwiru, i karmiła Quintena z butelki. Zarówno Maks, jak i Onno byli porażeni jednością, jaką tworzyła z dzieckiem, jakby naprawdę była jego matką. Obydwaj ojcowie widzieli w pełni szczęśliwą kobietę, która wyglądała tak, jakby nigdy nie miała córki.

Pojawił się też Kern ze swoją Selmą.

– Maks mi już o panu opowiadał – powiedział Onno, przedstawivszy się z trzaskaniem obcasami, może w formie komentarza do bosych stóp Kerna.

Kern sprawiał wrażenie, jakby tego nie słyszał. Dłonią szarą od gliny i kamiennego pyłu pokazał na Quintena, który pijąc z butelki na kolanach Sophii, błękitniejszymi od błękitu jeziorkami swych oczu wpatrywał się w pomarańczowe pasy parasola.

– Gdzież kto kiedy widział taką istotkę? To przecież coś niemożliwego!

– Dla kogo niemożliwe, dla tego niemożliwe – odrzekł Onno przekornie. – Są artyści, którzy wykuwają piękno w zacieklej walce ducha z materią, jak na przykład pan, a ja tworzę coś takiego w rozkosznym cielesnym okamgnieniu.

Jeszcze mówiąc te słowa, poczuł wewnętrzny chłód, zupełnie jakby nieobecność Ady na tym balkonie przeniknęła do jego ciała.

Być może nie mogąc znieść widoku Quintena, Kern niedługo potem poszedł. W oszronionym kubelku stała butelka szampania i kiedy Maks pozwolił, by korek wystrzelił i z balistycznym samozadowoleniem poleciał parabolą w stronę fosy – kaczki, trzepocząc skrzydłami, na wpół unosząc się nad wodą, pognały w jego stronę, by za moment zanurkować i ruszając ogonami, zwrócić się ku poważniejszemu rzeczom – pojawili się państwo Proctorowie. Clara zachowywała się tak, jak zachowuje się kobieta na widok zobaczonego po raz pierwszy dziecka, za to gdy Quintena ujrzał ponury tłumacz, coś zmieniło się w jego twarzy, która rozjaśniła się, jakby ktoś zdjął z niej zasłonę. Jeszcze bardziej zdumiewający był wpływ dziecka na Arendjego. Nalewając do kieliszków, Maks cały czas czujnie popatrywał na małego łobuza, gdy ten podchodził do Sophii, żeby natychmiast wkroczyć, gdyby ten chciał przywalić Quintenowi piąstką w nos. Tymczasem Arendje przytulił Quintena, cmoknął go w czołko i powiedział:

– Ale on fajnie pachnie.

Arendje poskromiony! Proctor patrzył przez chwilę to na Quintena, to na Onna i w końcu powiedział coś, co sprawiło, że Maksowi szybciej zabiło serce:

– Podobny do pana. Ma pańskie usta.

Lepszego prezentu nie mógł Maksowi zrobić. I rzeczywiście, może tak nawet było: chyba rzeczywiście ma te same wąskie, klasycznie zarysowane usta. Maks poczuł się, jakby te słowa spłukały ostatnie resztki wątpliwości, tak jak czysty strumień wody spłukuje brudną pianę, gdy myjemy ręce.

Kiedy już przyniesiono wystarczająco dużo krzeseł, towarzystwo rozdzieliło się według płci na dwie części, z Quintenem pośrodku między kobietami. Podczas gdy one zaczęły wymieniać się doświadczeniami w opiece nad małymi dziećmi, Onno powiedział Proctorowi, że jego żona była wiolonczelistką. Przyjąwszy, że Maks poinformował o ich wypadku, rzekł:

– Na jej cześć chciałem dać mu na imię Octave: od najprostszego, w pełni konsonansowego interwału, na którym opiera się cała muzyka. Czy zgłębił pan już tę pitagorejską tajemnicę prostego stosunku dwa do jednego?

Maks mówił Onnowi o nieprzystępności Proctora i widział, że Onno stara się znaleźć jakiś sposób, by do niego dotrzeć. Proctor wykonał nieokreślony gest i powiedział:

– Nie znam się na muzyce.

– A ktoś się zna? Muzyka jest poza wszelkim poznaniem. Niemniej jednak przy imieniu Octave oczyma wyobraźni widzę określony typ człowieka, którego niekoniecznie chciałbym mieć za syna. To taki elegancki, lekko wydelikacyony mądrala na szcudłowatych żurawich nogach, z kwiatkiem w butonierce, a nie krzepki człowiek czynu, jakim powinien być mój syn i jakim, zdaniem wszystkich, w znacznym stopniu jestem także ja. Toteż poszedłem krok dalej, od czegoś absolutnie elementarnego do stosunku trzy do dwóch w dominancie. A więc do czystej kwinty!

Było to coś nowego także dla Makska. W tym czasie mózg Proctora najwyraźniej też nie próżnował, gdyż Proctor stwierdził na to:

– Oktawa to osiem, a Bóg to też osiem.

Minęło kilka sekund, zanim stwierdzenie to dotarło do Onna.

– Bóg to osiem? A jak pan to wyliczył?

– Zna się pan co nieco na językach?

Onno roześmiał się gorzko:

– Prawdę mówiąc, nie znam właściwie nikogo, kto zna się na językach tak jak ja. To właśnie jest powód, dla którego nie mogłem dać mojemu synowi imienia Sykstus. Nie dlatego, że seksta to żalosny interwał w stosunku pięć do trzech, ale dlatego, że imię to, wbrew temu, co wszyscy sądzą, wcale nie pochodzi od łacińskiego *sextus*, które znaczy „szósty”, lecz od greckiego *xustos*, czyli „wypolerowany”.

– A więc pewnie wie pan też, co to takiego *tetragrammaton*.

– Proszę dalej, szanowny panie.

Wówczas Proctor przypomniał, iż to imię Boga, składające się z liter Jod He Vau He, wymawianych: Jehowah. Ponieważ język hebrajski, jak pan Quist z pewnością wie, nie znał osobnych oznaczeń cyfr, każdej z tych czterech liter przyporządkowana była określona wartość liczbowa: 10, 5, 6 i jeszcze raz 5. Po zsumowaniu daje to 26. A jeśli zgodnie z regułami gematrii dodamy do siebie 2 i 6, otrzymamy 8.

– No nie, wdęptuje mnie pan w ziemię! – wykrzyknął Onno. – Jest pan zawołanym kabalistą! Ale skoro Bóg to osiem, czym w takim razie jest pięć?

– Oczywiście mamy tu nieskończenie wiele... – zaczął Proctor, ale ostatnie słowo zagłuszył atak rżężącego kaszlu.

– Nie nieskończenie wiele – poprawił go Maks. – Ale rzeczywiście wiele. A ile... chociaż... może nawet zresztą nieskończenie, tak, pewnie tak.

– Jeszcze jedno w tym kontekście daje do myślenia – kontynuował Proctor, nabrawszy głęboko powietrza i otarłszy usta: – Mianowicie liczba liter w alfabecie.

– Oczywiście – skinął Onno głową z ironią, którą zauważył tylko Maks. – Dwadzieścia dwie.

– W hebrajskim tak, ale nasz ma dwadzieścia sześć. – Z miną, jakby właśnie odsłonił jakąś wielką tajemnicę, Proctor spojrzął na Onna.

– Aha! – powiedział Onno, unosząc brwi i celując palcem wskazującym w górę. – Aha! Dokładnie tyle, ile wynosi liczba Boga! Niderlandzki jako boski język! A propos, drogi panie, nie mówi się „Jehowa”, tylko „Jahwe” z akcentem na „e”. „Jehowa” to chrześcijańska zniekształcona forma z późnego średniowiecza. Jeszcze lepiej w ogóle nie wymawiać tego imienia, ponieważ może pana spotkać coś niedobrego. Powinien pan raczej używać słowa „Adonai”, z literami Alef, Daleth, Nun, Jod. Jeśli oczywiście jego wartość liczbową jest w miarę do przyjęcia, ale raczej trudno, żeby było inaczej.

– 1 plus 4, plus 50, plus 10 – odpowiedział Proctor natychmiast. – Razem 65.

– Czyli 11, czyli 2 – skinął Onno. – Chyba w porządku.

Kiedy Arendje, słysząc wszystkie te liczby, zaczęła liczyć paluszki Quintena i wykrzyknęła „dziesięć!”, na balkonie ponownie pojawił się pan Kern, tym razem w towarzystwie państwa Spierów. Z uprzejmością, o której trudno było powiedzieć, czy jest szczerą, czy tylko udawaną, wykonywali towarzyskie zobowiązanie.

– Jaki słodziutki – powiedziała pani Spier.

Również pan Spier spojrzął na Quintena w zamyśleniu, na moment przesunął opuszką serdecznego palca z obrączką po jego miękkim ciemiączku i rzekł, jakby to było widać:

– Jego inicjały są Q.Q.

– *Qualitate qua* – powiedział Onno.

– To rzadko się zdarza. Q to najbardziej tajemniczą z liter, koło z kreseczką – kontynuował pan Spier, lekko obscenicznym gestem łącząc wymanikiowany kciuk z palcem wskazującym jednej ręki w kółko, a palcem wskazującym drugiej ręki imitując kreseczkę. – Komórka jajowa, do której wnika plemnik. I to dwukrotnie. Bardzo piękne. Moje gratulacje.

Podobnie jak Proctor najwyraźniej wiedział, że Onno również interesuje się znakami pisma. Słyszając jego słowa, Maks poczuł ciarki przechodzące mu po plecach, lecz Onno wykonał tylko niedbały, a jednocześnie uprzejmy ukłon. Pan Spier także się wówczas skłonił i wydobyl z kieszeni kamizelki srebrny zegarek. Przeprosił, ale niestety muszą się już oddalić, na placyku przed zamkiem czeka taksówka, żeby zawieźć ich na stację: jak co roku, wyjeżdżają właśnie na wakacje do Walii, do Pontrhydfendigaid.

Pan Kern usiadł w tym czasie okrakiem na krześle, położył na oparciu kawałek grubego kartonu, do którego przymocowany był kłamrą arkusz papieru. Nie odrywając oczu od Sophii i dziecka na jej kolanach, wykonywał zamaszyste, szkicujące ruchy, ledwie dotykając papieru dolną krawędzią dłoni. W palcach trzymał kawałek węgla drzewnego, który jednak nie otrzymał jeszcze zezwolenia, by pozostawić za sobą jakiś ślad. Trzeba było widocznie poczekać na rozkaz z krainy dobra, piękna i prawdy, że oto nadszedł już moment rozpoczęcia nieodwołalnego.

36

Pomnik

Kto jest wolny – rozmyślał Maks pewnego jesiennego popołudnia, stojąc na balkonie i patrząc na żółknące drzewa – nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby kiedykolwiek zostać uwięziony, tak jak więzień nie potrafił sobie tak naprawdę wyobrazić wolności. Inercja masy znajduje swoją przeciwwagę w inercji ducha: wszystko, co nie dzieje się w danym momencie, ma charakter snu. W rezultacie historia to coś, co oczywiście odnaleźć można w książkach, ale bardzo rzadko za drzwiami – a czymże są książki? Niewielkie przedmioty, rzadko kiedy większe od cegły, za to lżejsze, i niemalże nie do odnalezienia pośród miriadów innych rzeczy pokrywających powierzchnię Ziemi, w dodatku na najlepszej drodze, by coraz bardziej tracić na znaczeniu w tym coraz szybciej zmartwychwstającym z abstrakcji elektronicznym świecie. Wszystko kroczyło do przodu, a co się już stało, równie dobrze mogło się nie stać. Sny zachowuje się w pamięci przez parę minut po obudzeniu – chwilę później zostają zapomniane. Gdzie jest dzisiaj bitwa pod Verdun, poza ledwie dającymi się odnaleźć, a już na pewno nieczytanymi książkami i we wspomnieniach garstki starsuszków, którzy za dwadzieścia lat również zostaną pochowani ze swoimi nocnymi koszmarami, ze swoimi bliźniami i całym tym bagażem. Gdzie jest dzisiaj bitwa pod Stalingradem? Gdzie nalot na Drezno? Gdzie Hiroszima? Gdzie Auschwitz?

Zimą 1968, pół roku po tym, jak wprowadzili się do Groot Rechteren, Maks po raz pierwszy udał się do obozu Westerbork. Wszystkich dwanaście zwierciadeł było już gotowych, podobnie jak oprogramowanie komputerów; zrobiono już nawet początek, przeprowadzając eksperymentalne obserwacje. Jego obecność wciąż jeszcze nie była tak naprawdę konieczna, ale w Lejdzie – gdzie jeszcze musiał regularnie bywać – sam dyrektor spytał go kiedyś ze zdumieniem, czy rzeczywiście nie rzucił okiem na swoje nowe miejsce pracy. Zdarzyło się to w końcu tego dnia, kiedy pokazywał Sophii obserwatorium w Dwingeloo. W czasie urzędowania Groot Rechteren nocowała tam kilka razy, nie zwiedzała jednak wówczas samego obserwatorium; technika jej nie interesowała. Pewnego pogodnego, chłodnego poranka udało mu się ją namówić, żeby ubrała Quintena ciepło i pojechała razem z nim. Maks sam nie wiedział, dlaczego tak bardzo tego chce. Pokazując jej budynki i zwierciadło, bezustannie myślał o tym dniu z Adą i Onnem sprzed trzech kwartałów, lecz ani on o tym nie mówił, ani Sophia o nic nie pytała. Niewiele się od tego czasu zmieniło, poza tym, że wszędzie stały po kątach elektryczne maszyny do pisania, każda okręcona kablem zasilania, a na biurkach pojawiły się monitory komputerów. Quinten z poważną miną siedział u Sophii na rękach w czasie oprowadzania i ku ucieście wszystkich, którzy to widzieli, rozglądał się swymi błękitnymi oczami jak ktoś całkiem zadowolony z przebiegu wydarzeń. Miał już siedem miesięcy i jeszcze ani razu nie płakał – w ogóle rzadko wydawał z siebie jakikolwiek dźwięk. Sophia martwiła się niekiedy, że być może jednak doznał jakiegoś urazu w czasie wypadku, ale lekarz uspokoił ją, że najwyraźniej jest to jakieś nadzwyczajne dziecko; nie było żadnych oznak, że miałby być nienormalny.

W czasie przerwy na kawę, kiedy wszyscy pracownicy zebrali się w głównym budynku przy wózku z błyszczącym kotłem, Maks rozmawiał z inżynierem elektronikiem odpowiedzialnym za okablowanie Westerbork Synthesis Radio Telescope; zaraz miał jechać wahadłowym busem do Westerbork, bo znowu coś się tam posypało w systemie. Inżynier mówił takim cichym i nieśmiałym głosem, że Maks ledwie go rozumiał w ogólnym gwarze. Pod wpływem nagłego impulsu zaproponował mu, że go podwiezie samochodem, bo też musi tam jechać. Powiedział to zupełnie niespodziewanie: to była ta chwila, on z Sophia i Quintenem. Przez minione miesiące, w czasie długich wieczorów na zamku, opowiedział Sophii więcej o swoim życiu, niż kiedykolwiek zrobił to wobec jej córki – może dlatego, że fakt zwracania się do niej per „pani” uczynił to w jakiś sposób łatwiejszym niż wobec kogoś, do kogo mówił „ty”.

Trzy kwadranse później jechali już szosą. Sophia, która siedziała z dzieckiem z tyłu, też pewnie się domyślała, że tamten wypadek zdarzył się chyba gdzieś w tej okolicy, ale kiedy mijali to miejsce, Maks rzucił tam tylko krótkie spojrzenie kątem oka. Pustą przestrzeń, gdzie stały drzewa, wypełniały dwie młode olchy podwiązane do drewnianych palików taśmami z czarnej gumy, wyciętymi najprawdopodobniej ze starych samochodowych dętek i skręconymi w ósemkę. Nikt się nie odzywał, inżynier wertował teczkę z papierami trzymaną na kolanach, Quinten usnął i nagle Maksowi przypomniał się spacer w dusznym polskim upale z Auschwitz I do Auschwitz II, zupełnie jakby był to odpowiednik jego drogi z Dwingeloo do Westerbork. Owładnęły nim mdłości, które brały się nie tylko z owego wspomnienia, ale przede wszystkim z tego, co się kryło głęboko za tym. Całymi tygodniami i miesiącami o tym nie myślał, ale zawsze pojawiał się nagle w zupełnie niezmienionej postaci, choć przecież nawet materiał radioaktywny ma swój okres połowicznego rozpadu.

- Hej, trzeba tu skręcić w prawo - powiedział inżynier, kiedy wjechali do wioski Hooghalen.

- Przepraszam, ale jestem tu po raz pierwszy.

- Chyba żartujesz?

- Nie, to prawda.

- Naprawdę interesuje cię astronomia?

- Sam nie wiem.

Zobaczył tablicę informującą, którędy dojechać do sąsiedniej wioski Amen - zupełnie jakby cała ta okolica od wieków była przygotowana na to, co kiedyś się tu wydarzy - i zaraz pokazał się drogowskaz z nazwą Schattenberg. Wjechał w leśną drogę, po jej prawej stronie biegły zardzewiałe szyny kolejowe. Od czasu do czasu mijali Ambonezyjczyków w tradycyjnych indonezyjskich szatach sięgających ziemi i uzupełnionych w obronie przed holenderską zimą wełnianymi szalami i czapkami; niekiedy były to całe rodziny, których członkowie nie szli obok siebie, lecz jeden za drugim, ojciec na czele, najmłodsze dziecko na samym końcu. W chwilę później Maks doznał szoku, uświadomiwszy sobie, jakie to szyny biegną obok drogi: ułożone przez Niemców i kończące się w Birkenau.

Zatrzymał się przed szlabanem przy ogrodzeniu z drutu kolczastego, wysiadł bez słowa i wstrzymując oddech, patrzył na obóz. Z planów i odbitek, które wielokrotnie już oglądał w Lejdzie i Dwingeloo, wiedział, że teren ma kształt trapezu mającego około pół kilometra długości i pół kilometra szerokości. Ujrzał przed sobą rozległy, otoczony lasem obszar, świeże powietrze wypełnione mikroskopijnymi igiełkami lodu, rozmigotanymi w blasku słońca; a w tym rzędy rozpadających się baraków, tak samo ustawionych prostopadłe do siebie, jak w Birkenau, zupełnie jakby wciąż nie schodziły z deski kreślarskiej – nieludzki wzór, nadal stosowany przy budowie powojennych dzielnic mieszkaniowych. Z niektórych kominów unosił się dym, większość baraków była jednak najwyraźniej niezamieszкана; jeden był spalony, tu i ówdzie któregoś brakowało. Widać było bawiące się dzieci, na rowerze przejechał ktoś, kto bez wątpienia mógłby wiele opowiedzieć o tym, co działo się w Indonezji w czasie okupacji japońskiej, ale na pewno nie miał pojęcia o tym, co rozegrało się tutaj.

Po prawej stronie tory biegingy dalej aż do drugiego końca obozu – a równolegle do nich, nieco bardziej na prawo, zupełnie jak... no właśnie, jak co? jak wizja, fatamorgana, jak senna mara stały na długości półtora kilometra ustawione rzędem kolosalne anteny paraboliczne, wkraczające na teren obozu z jednej strony i wychodzące z drugiej. Oczy mu zwilgotniały. Tutaj, w tym holenderskim *anus mundi*, niby misy ze święconą wodą w kompletnej ciszy wznosiły ku niebiosom prośby o błogosławieństwo. Nagle nie mógł sobie wyobrazić żadnego innego miejsca na ziemi, w którym bardziej chciałby pracować niż tutaj. Czyż nie skupiało się tutaj niby w ognisku soczewki wszystko, czym był?

Nie patrząc na Sophie, wsiadł z powrotem do auta i zaczął powoli jechać w stronę niskiego, nowego budynku biurowego – nie mógł teraz powstrzymać potoku słów. Z przejęciem, od czasu do czasu odwracając się do połowy w jej stronę, opowiadał, że obóz założył rząd holenderski dla uciekających z Niemiec Żydów – był to pierwszy obóz żydowski poza Niemcami – ale koszty jego utrzymania przerzucono na gminę żydowską w Holandii. Kiedy więc weszli Niemcy, mieli uchodźców zebranych porządnie w jednym miejscu. Później wywieziono via Westerbork prawie sto tysięcy holenderskich Żydów do obozów w okupowanej Polsce – czyli proporcjonalnie nawet więcej niż z samych Niemiec. Po wojnie zamknięto tutaj holenderskich faszystów, od których roilo się w prowincji Drenthe, przez jakiś czas były to koszary wojskowe, potem umieszczano tutaj repatriantów z Indonezji, a na koniec Moluków, których teraz, wbrew ich woli i przy regularnym udziale policji, stopniowo przenoszono na siłę do zwykłych dzielnic mieszkaniowych. Aby zapobiec ich powrotowi do obozu, pozwalano niszczyć barakom. Lokalizując tutaj obserwatorium astronomiczne, władze miały nadzieję, że nazwa Westerbork straci swój złowieszczy wydźwięk. Kiedy opowiedział to wszystko Onnowi, ten stwierdził, że niemal na pewno siedział tutaj jego najstarszy brat, który był komisarzem królowej w Drenthe.

– Wyobraź sobie, co by było, gdyby tak Polacy zbudowali w Auschwitz konserwatorium, żeby nazwa „Auschwitz” nie brzmiała tak przykro! Przecież nic, tylko w portki porobić ze śmiechu, gdyby nie było to takie smutne. Czasami sobie człowiek zadaje pytanie, czy ludzie w ogóle wiedzą, na jakim świecie żyją? Czy ty na przykład wiesz – spytał Maks, zwracając się do inżyniera – że gmina Westerbork sprzedała całe mnóstwo tych baraków okolicznym chłopom i klubom sportowym? W wielu miejscach Drenthe piłkarze przebiegają się w tych barakach grozy. Interes to interes! Ale te rozwalające się baraki to przecież mienie żydowskie, a jakoś nigdzie nie było napisane, że dochód ze sprzedaży został przekazany gminie żydowskiej. Aż po dziś dzień się ich okrada!

Nie panując nad sobą, uderzył parę razy w kierownicę, na co inżynier odwrócił się w stronę Sophii i wymienił z nią krótkie spojrzenie.

W budynku sterowni na drugim końcu szeregu teleskopów było ciepło i pachniało świeżą kawą. Z uśmiechem zaskoczenia na twarzy pojawił się dyrektor obserwatorium i naczelny inżynier, który przedtem pracował w przemyśle naftowym.

– Już myśleliśmy, że nigdy nie zobaczymy tu żadnego astronoma.– Ciemnymi brązowymi oczami popatrzył w oczy Quintena. – Patrzcie, patrzcie, córeczka gospodarza też się tu wybrała.

Trwało to chwilę, zanim Maks wyjaśnił, że Quinten Quist nie jest córeczką, tylko synkiem, i to w dodatku nie jego, tylko jego przyjaciela, i że Sophia Brons nie jest ani jego żoną, ani matką dziecka, tylko jego babką.

Dyrektor wykonał gest oznaczający, że jeśli o niego chodzi, to nie ma sprawy, i ruszył przodem do pomieszczenia komputerowego. Sophia uwolniła Quintena z kurtek i czapecek i podała mu małą laleczkę, którą on wyniośle zignorował. Maks uściskiem dłoni przywitał się z technikami, którzy siedzieli przy monitorach i których znał jeszcze z Dwingeloo, obejrzał swój pokój i poszedł z dyrektorem do centrali odbiorczej, brzęczącej i szumiącej od wentylatorów, odizolowanej w klatce Faradaya. Po powrocie do głównej sterowni zatrzymał się na chwilę przy wielkim półokrągłym oknie, wychodzącym na czasie i baraki.

Przypomniawszy sobie o obecności Sophii, odwrócił się, wskazał na teleskopy i spytał:

- Wie pani, jak to działa?
- Przecież i tak nic z tego nie zrozumie.
- Bez przesady, to śmiesznie proste.

A potem opowiedział, że te anteny ustawione są w linii prostej, biegnącej dokładnie z zachodu na wschód, i że stoją w odległości stu dwudziestu czterech metrów od siebie z dokładnością do pół milimetra. Nie dość na tym: ta linia jest naprawdę prosta: na całej długości półtora kilometra zniwelowano zakrzywienie powierzchni Ziemi. Fantastyczne, prawda? Taka precyzja jest konieczna, ponieważ te dwanaście zwierciadeł stanowi wówczas odpowiednik jednego gigantycznego okrągłego teleskopu o średnicy półtora kilometra – największego na świecie. Pomysł polega na tym, że dzięki ruchowi obrotowemu Ziemi, patrząc na to z kosmosu, po upływie jednej czwartej dnia zwierciadła zajmują pozycję prostopadłą do swego pierwotnego położenia, a po upływie połowy dnia ustawione są dokładnie odwrotnie, tak więc obserwując jakieś radioźródło przez pół dnia, otrzymuje się syntezę, o którą chodzi.

- Każde dziecko to zrozumie, chyba pani przyzna?
- Słyszę wprawdzie, co mówisz, ale i tak zupełnie sobie tego nie potrafię wyobrazić – odrzekła Sophia, podtrzymując chwiejącą się główkę Quintena i ocierając mu buzię.

Maks wziął z biurka radiomapę i spytał jednego z techników:

- Co to jest?

Ten rzucił przelotne spojrzenie i powiedział:

- M51.

- O, proszę – zaczął Maks i pokazał mapę Sophii. – Tak to właśnie wygląda. Galaktyka wirowa w gwiazdozbiornie Psów Gończych. Tak wyglądała trzysta milionów lat temu.

Ale to Quinten złapał papier obiema rączkami i zaczął poddawać wyteżonej inspekcji ostre szczyty pofalowanego wykresu natężenia promieniowania.

- Ciekawe, czego się od niego dowiemy – powiedział dyrektor, unosząc do góry brwi.

Kiedy Quinten oddał kartkę, ani jej nie pomiąwszy, ani nie rzuciwszy po dziecięcemu na podłogę, Sophia objęła go pieszczotliwie ramionami i powiedziała: – Ależ z ciebie dziwne dziecko. Zupełnie jak tatuś.

Sposób, w jaki od samego początku odnosiła się do Quintena, ukazał zupełnie inną stronę jej istoty, która zdumiewała Onna w czasie jego sporadycznych wizyt, a Maksowi przypominała jej nocne zachowanie wobec niego samego – tyle że wówczas odbywało się to bez słów. Quintenowi niezbyt odpowiadała ta pieszczota i uwolnił się dystygowanie z uścisku. Maks popatrzył na niego zamyślony, a potem powiedział:

– Wyjdę na chwilę.

Zarzucił tylko szal na szyję, włożył ręce w kieszenie marynarki i obszedł cały teren. Powietrze wciąż jeszcze wypełnione było unoszącymi się w nim i czarownie roziskrzonymi kryształkami. Czuł potrzebę pobycia przez kilka minut w samotności, tak aby mogła przeniknąć do niego ta zmiana, której właśnie doznał. Doleciał go delikatny zapach indonezyjskiego jedzenia; w zaniedbanym ogrodzie za jednym z baraków jakiś chłopiec naprawiał rower. Z planów pamiętał, że gdy robiono miejsce na anteny, zburzono cały rząd baraków dla chorych. Obóz nie wyglądał już tak jak w czasie wojny, ale nawet gdyby zniknęło stąd wszystko, i tak po wsze czasy pozostanie jako to miejsce. W willi niedaleko szlabanu, przy którym wysiadł po przyjeździe, mieszkał komendant obozu. Wciąż ktoś tam mieszkał, w oknach były firanki, a na parapetach stały kwiaty. Drogą wzdłuż torów, zwaną niegdyś Boulevard des Miseres, ruszył w kierunku wschodnim. Kiedy niedawno mówił Sophii o dokładnej linii prostej z zachodu na wschód, nagle przyszedł mu do głowy polski trójkąt równoramienny Bielsko-Katowice-Kraków jego ojca, także skierowany wierzchołkiem dokładnie na wschód, z obozem Auschwitz dokładnie pośrodku. Wszystko to razem nie miało żadnego znaczenia, ale tak właśnie było. W tym momencie przypomniał sobie mapę prowincji Drenthe: trójkąt równoramienny z obozem Westerbork pośrodku.

Tu, na tej drodze, może nawet w tym miejscu, przez które właśnie przechodził, jego matka weszła pod okiem komendanta do bydłowego wagonu, zasunięto i zaryglowano drzwi. Tu zaczęła się jej ostatnia podróż. Próbował jakoś zestroić to wyobrażenie z tym, co widział, lecz mimo że wszystko wydarzyło się w tym właśnie miejscu, te dwie sprawy były tak różne od siebie jak myśl od kamienia. Droga była wyludniona, tory puste, w powietrzu nie unosił się zapach gotowanej ryby, tylko nasi goreng. To czas, pomyślał, rwie wszystko na strzępy. Rozejrzał się: cisza, majestatyczne wkraczanie anten do obozu. Skądś dobiegało stukanie dzięcioła. Wiedział na pewno, że to jego miejsce, że tutaj powinien spędzić życie. Szedł dalej, aż do drugiego końca obozu, gdzie tory kończyły się spróchniałym koźłem oporowym. Przykucnął na chwilę, położył dłoń na zardzewiałej szynie, wyprostował się i znowu spojrzął na rząd anten, wszystkie skierowane w jeden i ten sam punkt na niebie. I nagle przypomniał sobie żółtą gwiazdę, którą w czasie wojny jego matka nosiła po prawej stronie na piersi. Gwiazda! Gwiazdy! Te dziesiątki tysięcy tutaj nosiły gwiazdy, z gwiazdami na piersiach upychano ich w wagonach, wyprawiano w drogę z niewielkiego trapezu w stronę wielkiego trójkąta. Pamiętał z gazet dyskusje, czy nie należałoby postawić w Westerbork jakiegoś pomnika ku czci deportowanych; ci, którzy przeżyli, byli przeciwni, bo o wszystkim trzeba jak najszybciej zapomnieć. Tymczasem jednak pomnik stanął! Czymże bowiem był Westerbork Synthesis Radio Telescope, jeśli nie pomnikiem ku czci ofiar, i to mającym półtora kilometra średnicy!

37

Wyprawy

Podczas gdy życie w Groot Rechteren oraz w Dwingeloo biegło sobie z wiejskim i astronomicznym spokojem, Onno rozpoczął w Amsterdamie błyskawiczną karierę polityczną. Czasami miał takie uczucie, że sposób, w jaki przebiegała, wiązał się nie tylko z jego kwalifikacjami, lecz także z losem, który go spotkał: zupełnie jakby jego polityczni przyjaciele uważali, że mu się to należy po wypadku żony, albo przynajmniej że nie mogą mu za bardzo rzucać kłód pod nogi, nie tracąc przy tym twarzy. Na początku roku 1969 wybrano go do rady gminy, a wkrótce potem został kierownikiem wydziału ds. szkolnictwa, nauki i sztuki.

- Za mojej kadencji - powiedział szeptem burmistrzowi do ucha w czasie oficjalnego bankietu po nominacji - system szkolnictwa będzie nastawiony wybitnie na kształcenie bezwolnych potakiwaczy. Mając w pamięci Platona, wszystkich poetów każę bezlitośnie wyciąć w pień, a naukę całkowicie zgłajchszaltuję, oddając ją bez reszty w służbę moich osobistych ambicji. Będę tak zniechęcony, jak jeszcze żaden amsterdamski kierownik wydziału. O ile pod pańskim pomnikiem każdego dnia będą świeże kwiaty, moje imię nawet po stuleciach wymawiać się będzie z najwyższym obrzydzeniem.

Po tych słowach leciwy burmistrz oderwał dłoń od ucha i rzekł:

- Tak, tak, Onno, dobrze, tylko na razie powoli.

Wszyscy trochę się obawiali, że niewyparzony język Onna przyniesie szkodę partii, ale poszło całkiem niezłe: w ciągu paru tygodni Onno się wciągnął i na posiedzeniach zaczął mówić zupełnie inaczej - mianowicie tonem spokojnym i opanowanym, bo wiedział, że tylko taki może być w Holandii skuteczny. Zaczęło się dla niego nowe życie. Rektorzy uczelni prosili o posłuchanie i musieli czekać pod jego gabinetem; prosił go do siebie przewodniczący Rady Kultury, reprezentował interesy Amsterdamu w ministerstwie w Hadze, lobbował u swoich partyjnych towarzyszy w Izbie Niższej parlamentu, podejmował decyzje, mediował, interweniował, odwoływał, powoływał, wchodził w spory ze studentami. Nagle miał władzę, sekretarkę, urzędników na każde skinienie i samochód z kierowcą, który wieczorem odwoził go z ratusza na Kerkstraat.

Ale tam już nie było nikogo. Kiedy zamykał za sobą drzwi, witała go cisza, która zdawała się niejako emanować z dwóch miejsc: z futerału na wilonczelę Ady w jego gabinecie i chińskiego kufra z drzewa kamforowego stojącego w sypialni, do którego to kufra złożył jej ubrania. Lecz myśli o niej i o Quintenie szybko gasły pod stertą teczek, które wydobywał ze swojej monstrualnej aktówki, także dlatego, iż wiedział, że Quintenowi niczego nie brakuje i że Ada ma doskonałą opiekę w hospicjum w Emmen, gdzie zresztą był zaledwie dwa razy. W porównaniu z zainteresowaniem nieodcyfrowanymi znakami na pewnej tabliczce z muzeum w Heraklionie jego ciekawość zawartości teczek była minimalna, w końcu równie dobrze mógł kierować zupełnie innym resortem, ale jakoś tak pogodził się już z myślą, że widocznie jego życie miało być naznaczone początkami, które nagle się skończyły – zarówno w życiu prywatnym, jak i w lingwistyce. Znał osoby, dla których bycie kierownikiem wydziału w radzie gminy miasta Amsterdam byłoby życiowym spełnieniem, on sam zadowolił się tym, że przynajmniej ma coś do roboty. Postanowił wykonywać to najlepiej, jak potrafi, złudzenie, że uda mu się zmienić Holandię, czy choćby tylko Amsterdam, opuściło go już po kilku miesiącach, zresztą jeśli chciał być uczciwy wobec samego siebie, musiał przyznać, że właściwie wcale nie uważał tego za konieczne. No bo gdzież na świecie działa się lepiej niż w Holandii? Może w Szwajcarii – ale tam jest większa korupcja i, co gorsza, większa nuda. Byłby bardzo zadowolony, gdyby udało mu się zachować i utrwalić chociaż te pocieszające zmiany, które w drugiej połowie lat sześćdziesiątych zostały zapoczątkowane od dołu, ale teraz, u progu lat siedemdziesiątych, widział, jak wizja ta tonie w grzęzawisku nieustających zawziętych zebrań, które dawały przedsmak czegoś w rodzaju bezlitosnej, totalitarnej demokracji. Nikt już nic nie robił, każdy mówił tylko o tym, jak coś powinno być zrobione, gdyby ktoś to chciał zrobić. Kiedy w jednym z wywiadów powiedział coś o „samogwałcie intelektualnym”, od czego studenci dostawali rozmiękczenia mózgu i zaniku rdzenia kręgowego, drzwi wejściowe jego mieszkania zostały pomalowane czerwoną farbą, a w środku nocy odezwał się telefon z pogrózkami: „Jeszcze cię kiedyś dostaniemy, gnoju!” Zanim jednak zdążył zapytać: „Czy to ty, Bork?”, połączenie zostało przerwane.

Od czasu wypadku żył w abstynencji. Nie dlatego, że się do tego zmuszał, ale dlatego, że nawet do głowy mu nie przyszło, żeby kogoś poderwać. Specjalnych kłopotów z tym by nie miał: dawno już odkrył, że władza wpływa erotyzująco; ale jeśli ktoś koniecznie chciał mieć u niego krechę, wystarczyło, żeby spytał, dlaczego się jeszcze nie rozwiódł, co z prawnego punktu widzenia byłoby czystą formalnością. Nie bez znaczenia był też oczywiście fakt, że każdego ranka, kiedy on siedział w ratuszu, sprzątaczką z gminy ogarniała mieszkanie, a ponadto ścieliła łóżko i robiła pranie. Wszystko to organizowała dla niego pani Siliakus, jego sekretarka, bez której nic nie byłoby możliwe, ani w pracy, ani w życiu: dokładnie wyczuwała, czego mu potrzeba. „Dopiero razem stanowimy jednego człowieka”, zwykł do niej mawiać. Ale pani Siliakus miała już pięćdziesiątkę i od dwudziestu lat mieszkała razem z pewną panią w swoim wieku. „Gdyby pani nie miała tych nieprzyzwoitych i sprzecznych z naturą upodobań – oświadczył jej kiedyś w przepływie dobrego humoru – tylko była tak przeraźliwie normalna jak ja, to wiedziałbym, co robić”.

I tak było do momentu, gdy któregoś niedzielnego lipcowego wieczoru zadzwonił do niego na nowy, zastrzeżony numer Maks i spytał, czy wie, że tej nocy pierwszy człowiek ma postawić nogę na Księżycu.

– Chyba będziesz oglądał? Ma być transmisja w telewizji.

– O której?

– Około czwartej nad ranem.

– Szczerze mówiąc, nie miałem tego w planie. Księżyc! Ty chyba zwariowałeś. W polityce gminy Księżyc nie odgrywa żadnej roli. Jutro rano o wpół do dziesiątej mam wystąpić wobec Jego Magnificencji rektora z Leningradu, po rosyjsku. Właśnie nad tym pracuję.

– Koniecznie musisz to obejrzeć. Najbardziej fantastyczne nie jest to, że to w ogóle nastąpi, bo przecież w zasadzie przewidzieli to już zarówno Juliusz Verne, jak Cyrano de Bergerac i Kepler...

– A co powiesz na Plutarcha? I na Lukiana? I na Cyncerona? *Somnium Scipionis!* Pewnie nigdy o tym nie słyszałeś. Już przed Chrystusem. Nie wyobrażaj sobie za dużo.

– Daj mi wreszcie dokończyć! Chciałem tylko powiedzieć, że jedno w tym wszystkim nigdy nikomu nie przyszło do głowy: że kiedy człowiek postawi nogę na Księżycu, wszyscy na całej Ziemi będą tego świadkami, wszyscy w tym samym momencie i bez wstawania z fotela – nawet jeśli ktoś tego Księżycyca nie będzie miał na niebie. To jest najbardziej zdumiewające. Gdyby ktoś to kiedyś przepowiedział, uznano by go za niespełna rozumu.

– Czy ty zawsze będziesz dwunastolatkiem? Jeśli cię dobrze rozumiem, mam konieczność oglądać coś, czego właściwie nie widać, a więc ideę. Dla ciebie zawsze wszystko jest inne. A sam to sobie oglądasz prawie Big Bang na tych swoich łąkach. No, ale dobrze, znowu cię posłucham, chociaż nie mam poczucia, że coś mi to da. Powiedz mi teraz, jak tam Quinten Quist? Czy już coś mówi?

– Chyba nie, ja w każdym razie tego nie rozumiem. Ty byś pewnie wiedział, w jakim języku gaworzy. Może to nawet ten sam, którego kiedyś poszukiwałeś?

– Proszę bardzo, rozdrapuj stare rany, sadysto jeden. A może przyjdzie mi się pogodzić, że jestem ojcem analfabety? To się zresztą często zdarza: syn Goethego też był zwykłym głupim Augustem. Wielcy ludzie na ogół mają debilnych synów – co zresztą pośrednio świadczy o tym, że mój ojciec nie jest wielkim człowiekiem. Cóż, może trzeba się zadowolić faktem, że łaskawca przynajmniej raczkuje.

– Wiesz, często wydaje się nam, że on jednak coś rozumie.

– Miejmy nadzieję. A co tam u szanownej pani teściowej?

– Wszystko w porządku. Wpadnij może jakoś niedługo.

Onno odłożył słuchawkę na widełki, ale wciąż jeszcze trzymał ją w dłoni i westchnął. Od czasu pierwszych urodzin Quintena, dwa miesiące temu, nie był ani razu w Drenthe, a z tej okazji tyłu przybyło Quistów wraz z rodzinami, mieszkańców zamku i nawet matka jego teściowej, że nie miał okazji poświęcić więcej czasu Quintenowi. Tamten dzień trzydziesty maja musiał spędzić głównie na dopieszczaniu rodziny, która po raz pierwszy zobaczyła wówczas, jak to Quista wychowuje jego babka i najlepszy przyjaciel ojca. Wciąż jeszcze trzymając rękę na słuchawce, spojrzął na zegarek. Była jedenasta. Te pięć godzin, jakie dzieliły go od zaanonsowanego przez Maksa lunarnego wydarzenia, wydały mu się niewiarygodnie długie. Dobrze mu zrobiło, że usłyszał jego głos; raptownie wyrwało go to z kierunku zajęć zawodowych. Oczywiście mógł zwyczajnie położyć się do łóżka i Maks nigdy by się o tym nie dowiedział, ale czy nie znalazłby się ktoś, kto mógłby mu dotrzymać towarzystwa? Nie dałoby się kogoś takiego znaleźć?

W tym samym momencie już wiedział, do kogo zadzwoni – ten nagły pomysł wywołał jednak taki szok, że potrzebował dobrych paru sekund, żeby ochłonać. Numer wciąż jeszcze znał na pamięć.

– Helga?

– Tak, a kto mówi?

– No nie, to przecież straszne. Już nawet mojego głosu nie poznajesz?

– Onno! Co za niespodzianka! Co tam u ciebie?

– Cóż, myślę, że to i owo obilo ci się o uszy. Dużo się działo.

– Tak, to okropne. Chciałam nawet do ciebie napisać, ale nie wiedziałam, w jakim to powinno być tonie. Czy są jakieś zmiany w jej stanie?

– Nie.

– A twój synek? Ile ma teraz lat?

– Właśnie skończył rok.

– Mieszka z tobą? Jak sobie radzisz? Przecież o ile wiem, jesteś we władzach gminy.

– Mieszkam sam. Wychowuje go moja teściowa razem z Maksem, wiesz, z tym, na którego się tak wściekłaś. Mieszkają w Drenthe.

– To trochę dziwne.

– Trochę może i tak, ale to w sumie idealne rozwiązanie. Oczywiście Maks jak zawsze ma kolejne przyjaciółki, ale o takich sprawach już nie rozmawiamy. A co u ciebie? Co robisz?

– W tej chwili? Czytam sobie.

– A co?

– Będziesz się śmiał: sprawozdanie rady w gazecie.

– Czytasz gazetę? To nie wiesz, co się wydarzy za kilka godzin?

– Co znowu takiego?

– Dzisiaj człowiek postawi nogę na Księżycu.

– No i? Żeby się tylko nie potknął. Tylko dlatego dzwonisz? Od kiedy to interesujesz się takimi rzeczami?

– Od pięciu minut. Zadzwoił Maks i powiedział, że muszę to obejrzeć.

– I ty oczywiście zrobisz, co ci każe.

– Helga, słyszę przecież twój uszczypliwy ton. Wiesz, ciała niebieskie kompletnie mnie nie obchodzą, łącznie z naszą Ziemią, ale cieszę się, że to zrobił, bo dzięki temu mam sposobność cię zapytać, czy mogę wpaść, żebyśmy razem pooglądali.

– Nie wiem, czy tego chcę, Onno.

– To już nie pamiętasz, że to ja decyduję o tym, czego chcesz?

– Chyba już od jakiegoś czasu nie. A tak w ogóle to skąd możesz wiedzieć, czy od nie wiadomo jak dawna nie mam już nowego przyjaciela, który leniwie rozwała się na kanapie?

– Ponieważ wiem, że tam gdzie ja kiedyś stanąłem, nigdy nie wyrośnie żadna trawa.

– Ech, Onno, Onno, czy ty się naprawdę ani trochę nie zmieniłeś?

– Za kwadrans zadzwonię do twoich drzwi, jeśli mi nie otworzysz, jutro likwiduję Instytut Historii Sztuki. *First thing in the morning.*

– Oczywiście chodzi ci tylko o to, żeby przynieść mi brudy do prania.

– Słuchaj no, moja droga Helgo, czy ty wiesz, jak pochowano Habsburgów?

– Że co? Kogo pochowano?

- Habsburgów. Tych z monarchii austro-węgierskiej.
- To jak ich pochowano?
- No przecież na pewno wiesz!
- O co ci chodzi, na miłość boską?

- No to posłuchaj. Kondukt żałobny z trumną dotarł do krypty Kapucynów w Wiedniu i majordomus czy ktoś w tym rodzaju uderzył trzykrotnie laską w bramę. Ze środka usłyszeli trzęsący się głos starego zakonnika, który spytał: „Kto tam”? Wówczas majordomus powiedział: „Jego Cesarsko-Królewska Apostolska Mość Cesarz Austrii, Król Węgier” i dalej jeszcze pięćset osiemdziesiąt sześć dalszych tytułów. W środku nadal było cicho, więc znowu trzy razy uderzył laską w bramę i wyrecytował całą tę litanię od początku. A kiedy po raz trzeci uderzył laską w bramę i zakonnik znowu zapytał: „Kto tam”, wówczas majordomus odpowiedział: „Biedny grzesznik”, i dopiero wówczas brama z wolna się otworzyła.

- I co chcesz przez to powiedzieć? - Czy naprawdę trzeba jeszcze dobitniej? Właśnie mówię ci, stojąc na tylnych łapkach, że mam już dosyć zabawy na dworze - jeśli ci to w ogóle coś mówi.

*

Zapoznawszy się najpierw ze wszystkimi pokojami mieszkania, Quinten poszerzył swój świat o cały zamek Groot Rechteren, wskutek czego każdego dnia co najmniej raz trzeba go było szukać. Ze wspaniałego niemowlaka, który już po trzech miesiącach miał cztery zęby, przepoczwarzył się w dziecko zachwycające wszystkich swoją urodą. Selma Kern wielokrotnie powtarzała Sophii, że jej mąż nie może się wprost napatrzeć na Kuku. Tak właśnie często nazywano Quintena, od kiedy pan Spier konsekwentnie zwracał się do niego Q.Q. - również konsekwentnie pokazując mu drzwi, ponieważ nie życzył sobie konwersować z kimś, kto nic nie mówi: „Naucz się najpierw niderlandzkiego, Q.Q. - mawiał. Ale u Kernów, po drugiej stronie tego samego piętra, zawsze był mile widziany; jeśli rzeźbiarz nie pracował akurat w swoim atelier przy zamku, w jednej z wozowni, nie mógł oderwać od niego oczu. Martha, jego dziesięcioletnia córka, chudziutka dziewczynka o blond włosach, też była nim zauroczona i pogodziła się nawet, że on jeszcze nie mówi; siadała przy nim na podłodze na skrzyżowanych nogach i podawała mu do obejrzenia szyszkę czy muszelkę albo pokazywała białe gołębie. Kiedy pewnego razu jeden z gołębi usiadł mu na głowie i tak siedział, gruchając cicho, pan Kern rozpostarł ramiona, jakby sam zamierzał pofrunąć, i stał w tej pozycji, wpatrując się w Quintena, który też zastygł bez ruchu i z kolei nie odrywał oczu od Selmy, ubranej w czarną suknię.

- No nie, to już zupełnie nie z tego świata! - wykrzyknął Kern.

Wielka teczka kryła dziesiątki rysunków przedstawiających Quintena, na których jego oczy były coraz większe i intensywnie niebieskie od rozcieranego czubkiem środkowego palca błękitu metylowego; pojawiał się też na nich czasem z jabłkiem i berłem w dłoniach na wielkiej poduszce albo jako papież z tiarą na głowie. Jak twierdziła Selma, jego własna córka nigdy go tak nie inspirowała. Kern spytał kiedyś Maksa, czy Onno nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby kiedyś wystawił tę serię rysunków, na co Maks zapewnił go, że spróbuje namówić Onna, żeby ten osobiście otworzył taką wystawę, tylko należy liczyć się z tym, że Onno jako ojciec zawłaszczy cały splendor. Bez wątpienia wymyśli jakąś konstrukcję intelektualną, w której rola artysty sprowadzi się wyłącznie do tępego zdublowania rzeczywistości – i będzie to dowód, że jest tu elementem zupełnie nieistotnym.

– Nazwie to pewnie „zasadą papugi” albo jakoś podobnie – powiedział Maks, po raz kolejny uświadamiając sobie, jak bardzo Onno stał się częścią jego własnej istoty.

Na górze, u Proctorów, wśród przerażających czarnych parasoli, Quinten przyglądał się elektrycznej kolejce i temu, jak Arendje, gdy pociąg zbliżał się do zakrętu, gwałtownym ruchem obracał pokręteł transformatora całkiem w prawo, tak że pociąg wylatywał z szyn, a chłopiec padał na plecy i tarzał się ze śmiechu, z demoniczną radością wierzgając nogami w powietrzu. Quinten patrzył na to z takim samym wyrazem twarzy, z jakim wcześniej patrzył na pociąg. Potem udawał się na poszukiwania do północnej części poddasza. Jeden pokój był stale zamknięty i Quinten niezmiennie szarpał na początek właśnie tę kłamkę. Kiedy nie dawało to żadnego rezultatu, buszował po zatęchłych pokojach z dobytkiem barona, wspinając się po zwiniętych dywanach, stosach powiązanych sznurkami książek, wśród stojących do góry nogami stołów i krzesel, zdjętych żyrandoli, szaf, komódek i stosów ubrań, na których czasami zasypiał i gdzie wreszcie z uczuciem ulgi znajdowali go Sophia lub Maks:

– Jest!

W swoje drugie urodziny Quinten nadal jeszcze nie mówił, a przynajmniej nie powiedział jeszcze nic zrozumiałego; zamiast tego coraz wyraźniej prezentował osobliwą kombinację ciekawości i dystansu. Nie lubił, żeby go przytulać, chociaż od czasu do czasu pozwalał Sophii na to; zabawki, które kupował dla niego Maks, interesowały go nie bardziej niż zwykły ziemniak, śruba czy gałązka. Całe minuty potrafił przyglądać się strumieniowi wody z kranu, przejrzystemu, chłodnemu splotowi, który zachowywał kształt i blask, chociaż składał się wciąż z innej wody. Nikt nie miał pojęcia, co o nim myśleć. Był zbyt śliczny, żeby być prawdziwy, płakał rzadko, nie śmiał się nigdy, nic nie mówił, nikt jednak nie wątpił, że pod tymi czarnymi włoskami coś się jednak dzieje. Pewnego razu stał na balkonie, bez ruchu wpatrując się w balustradę, szarą belkę z naturalnego kamienia, wspartą na drewnianych tralkach w kształcie amfor. Maks przykucnął przy nim, żeby zobaczyć, czy może chodzi po niej jakiś owad; dopiero jednak kiedy Quinten ostrożnie położył palec wskazujący w pewnym miejscu, dostrzegł, że widnieje tam malusieńki skamieniały trylobit, pozostałość paleozoiku, liczący jakieś trzysta milionów lat. W tym samym momencie uświadomił sobie, że organizm, który odkrył Quinten, żył mniej więcej w tym samym czasie, kiedy pozagalaktyczna gromada gwiazd w gwiazdozbiórze Coma Berenices – Warkocz Bereniki – wysłała światło, które w ł a ś n i e t e r a z dotarło do Ziemi.

Quinten spojrzał na niego.

- To trylobit - powiedział Maks - coś w rodzaju stonogi. I co chciałbyś? Uwolnimy go?

Z przybornika do manikiuru Sophii wyjął pilniczek, przyłożył jego ostry koniec tuż obok małej skamieliny i delikatnie puknął w pilniczek kamykiem, tak że trylobit odskoczył i zniknął gdzieś w drobnym żwirze. Quinten jednak schylił się i już trzymał go w palcach.

- Jak dorośniesz - powiedział Maks - powinieneś zostać paleontologiem.

Kiedy Quinten się zapodział, można go było szukać także w piwnicach. Gdy szedł w tę stronę zawsze wieształ się najpierw u kłamki pana Verloren van Themaata, piętro niżej, w wykładanym boazerią holu, naprzeciwko mieszkania państwa Spierów. Te drzwi otwierały się jednak tylko w weekendy i w czasie wakacji. Historyk sztuki miał około sześćdziesiątki, wysoki, chudy, lekko przygarbiony pan z rzadkimi siwymi włosami i subtelnymi rysami twarzy; za szklami okularów w metalowej oprawie widać było najczęściej pełne rezerwy, taksujące spojrzenie, czasem jednak potrafił nagle wybuchnąć niepohamowanym, niemalże szaleńczym śmiechem, w który angażowały się wszystkie kończyny. Jego żona Elsbeth miała nie więcej niż czterdzieści lat, w każdym razie na pewno była jakieś pięć lat młodsza od Sophii; byli bezdzietni. Maks trochę się obawiał profesora: akademicki intelektualista surowego holenderskiego typu, który nie potrafił na nic spojrzeć przez palce. Kiedyś, jeszcze z Onnem, Maks podzielił intelektualistów na podobieństwo katolickich zakonów: on sam bardzo szybko okazał się pozbawionym sumienia jezuitą, podczas gdy Onno początkowo utrzymywał, że jest chłopskim trapistą, który cały czas wypełnia bez słowa swoje obowiązki, na koniec jednak przystał do kulturalnych, dobrze wychowanych benedyktyków, którzy po udanym świeckim życiu zwracają duszę ku Bogu. Themaat był w tym spektrum wymagającym kartuzem, który w odczuciu Maksa uważał go za intelektualnego lekkoducha, z wyłączeniem spraw dotyczących astronomii oczywiście.

Kiedy jednak w drzwiach pojawiał się Quinten, stojący na paluszkach, z rączkami jeszcze nad głową sięgającymi do kłamki, coś zmieniło się także w sztywnym profesorze. Jeśli akurat siedział w swoim bujanym fotelu i czytał – a czytał zawsze – odkładał książkę, zaplatał blade dłonie i patrzył na podchodzące do niego dziecko. Inaczej niż u państwa Spierów, gdzie wszystko było elegancko urządzone antykami, jego pokój sprawiał wrażenie nadmiernie rozrośniętego pokoju studenckiego, z wytartymi perskimi dywanami, starym biurkiem, wyświeconymi fotelami z brązowej skóry, a nawet zdezelowanym kijem hokejowym w stojaku na parasole. Chociaż było to jego drugie mieszkanie, przy dłuższej ścianie naprzeciwko okna stały regały zavalone książkami aż po sam sufit. Gdziekolwiek wisiały oprawione w ramki szkice architektoniczne, większość krzywo, ale pierwsze kroki Quinten niezmiennie kierował w stronę wielkiego oprawnego miedziorytu, który stał na podłodze oparty o regał.

Pewnego razu Themaat uklęknął przy nim i powiedział, że jest na nim obelisk.

- No, powtórz: obelisk. - A kiedy Quinten milczał: - Trzeba na niego patrzeć jak na zaklęty w kamień promień słońca. Stoi w Rzymie niedaleko Lateranu, pałac jest tu, z prawej, w miejscu, gdzie w średniowieczu rezydowali papieże. Widzisz te wszystkie znaki wykute w jego korpusie? A więc właściwie są wykute w świetle. Widzisz te wszystkie ptaszki? To egipskie hieroglify, twój tata pewnie umie je odczytać- w każdym razie na pewno umiał, zanim zaczął marnować czas na politykę. Od obcego zdolności nie dostałeś, Kuku. Cesarz August chciał kiedyś przenieść tę stelę do Rzymu, ale powstrzymał go pewien niedobry znak. Trzysta lat później cesarz Konstantyn już się tym nie przejął; to ten człowiek, który wprowadził chrześcijaństwo. Zwróć uwagę, prawie żadna ulica nie jest utwardzona. Tę rycinę wykonano w XVIII wieku, dzisiaj panuje tam wielki ruch, setki skuterów i trąbiących samochodów. W tym budynku za obeliskiem znajduje się dawna prywatna kaplica papieży, Sancta Sanctorum, oraz Scala Santa, Święte Schody z pałacu Piłata w Jerozolimie, po których stąpił kiedyś Jezus. Tak się przynajmniej mówi. Na schodach widać jeszcze plamy krwi. Dlatego wolno po nich chodzić jedynie na kolanach.

- Po co ty mu to wszystko opowiadasz? - spytała Elsbeth znad czasopisma. - Chyba masz niedobrze w głowie.

- Człowiek nigdy nie jest za młody, żeby się uczyć.

A potem Quinten sobie poszedł. Przez drzwi przy schodach udał się do szeregu piwnic, które znajdowały się po obu stronach długiego korytarza ciągnącego się pod całym zamkiem. Panowała tam cisza jeszcze głębsza niż na górze - może dlatego, iż podkreślało ją echo kropel z rzadka spadających gdzieś daleko do jakiejś kałuży. W zatęchłym korytarzu było oczywiście kompletnie ciemno; przez umieszczone wysoko małe okienka, prawie czarne z brudu, ledwie wpadała do pomieszczeń odrobina światła. Niektóre były jeszcze do połowy zapełnione węglem, którego już się nie używało, w innych z kolei znajdowały się setki pustych butelek, zdezelowane meble i narzędzia ogrodnicze, popsute wózki dzieciinne, rowery bez kół. Pralnie, miejsca do zmywania naczyń, pomocnicze kuchnie, spiżarnie, wszystko zapchane rupieciami z dziesiątków lat; wielka kuchnia, gdzie przez stulecia uwijał się personel, żeby późnym wieczorem wyczerpany powlec się tylnymi schodami na poddasze, spustoszona leżała w głębokim mroku, z potrząskanymi blatami, wyrwanymi rurami i odbitymi kafelkami. Winda do transportowania potraw do jadalni, gdzie był teraz salon pana Spiera, runęła na dno szybu razem z fragmentami lin.

Quinten wczołgał się tam, usiadł, obejmując rękami kolana, i zapatrzył się w ciemność.

38

Grób

Kilka tygodni przed trzecimi urodzinami Quintena, które w roku 1971 przypadły na Zielone Świątki, nastał dla Onna dzień dumy. Wskutek nalegań Helgi znalazł wreszcie chwilę, żeby znowu pojechać do Drenthe – samochodem służbowym, chociaż nie było to tak do końca właściwe; podjechał do Helgi, żeby ją zabrać z domu. Nie było mowy o wspólnym mieszkaniu, on nie chciał tego równie mocno, jak i ona. Wznowił swoje wizyty „Pod Jednorożcem”, tyle że teraz już bez plastikowych toreb z brudnymi rzeczami do prania, i chwilami wydawało mu się, że epizod z Adą pochodzi z jakiejś powieści, którą kiedyś czytał i w której jedną z postaci jest też Quinten. Także apogeum jego przyjaźni z Maksem należało do minionych lat sześćdziesiątych, ona również zalana była nostalgicznym światłem wspomnień. Onno zaczął się zaokrąglać i nosił ciemnogrnatowy garnitur, ale z łupieżem na kołnierzu i z wyłażącą ze spodni połą koszuli, tak że widać było kawałek białego brzucha, zawsze miał nieodpowiedni krawat i zbyt krótkie skarpetki – same katastrofy, które Maks nazywał „socjaldemokratycznym brakiem stylu”. Obaj dochodzili do czterdziestki, ale nie świętowali już dnia swojego poczęcia w rocznicę pożaru Reichstagu, ponieważ teraz była to także rocznica wypadku Ady i śmierci jej ojca. Niekiedy Helga towarzyszyła mu w czasie oficjalnych przyjęć czy kolacji, chociaż najczęściej nie miała ochoty i musiał dopiero na to nalegać; ale właśnie to najbardziej mu się w niej podobało, ponieważ stanowiło dowód, że nie chodzi jej o wątpliwy splendor jego stanowiska, tylko o niego samego.

Także matka Sophii przybyła do Groot Rechteren. Onno przywitał się z Quintenem, kładąc mu rękę na główce, wznosząc oczy ku niebu i mówiąc: „Mądry syn radością ojca”. Właśnie dlatego, że prawie nie myślał o Quintenie, jeśli nie było po temu jakiegoś szczególnego powodu, zupełnie nie wiedział, jakim tonem się do niego zwracać. Podczas obiadu w kuchni – sadzone jajka na szynce, mleko, owoce, wszystko wiejskie – Maks jako *pater familias* siedział naprzeciw Sophii u szczytu stołu; po jego prawej stronie siedziała starsza pani Haken oraz Onno, po lewej Helga z Quintenem. Kierowcę też zaproszono, ale wolał zostać na dziedzińcu i zjeść przywiezione ze sobą kanapki.

– Chrześcijański demokrat, który zna swoje miejsce – skwitował Onno. – Właściwe mechanizmy ucisku znajdują się nie poza człowiekiem, lecz w nim samym, i dobrze, że tak jest. W ostatnich latach i tak o wiele za dużo ich zanikło, jeszcze będziemy tego żałować.

– No, no – powiedział Maks. – Ostre słowa, jak na postępowego polityka.

- Władza zewnętrzna nie jest możliwa bez władzy wewnętrznej, nie da się tego zastąpić policją, trzeba by mieć dwóch policjantów na osobę: jednego na dzień i drugiego na noc. Ale kto wtedy pilnowałby policji?

- A co byś powiedział na Pana Boga? - spytał Maks ze śmiechem. A do Helgi rzekł: - Czy twój przyjaciel naprawdę staje się takim reakcjonistą?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, włączył się Onno:

- To jest naprawdę znacznie bardziej beznadziejne, niż się wam wydaje. Ale proszę was, nie rozmawiajmy o tym, bo wtedy chyba sobie pójdę.

Maks usłyszał nagle w jego głosie ton, którego dotąd nie znał.

- Już idziesz? - spytała starsza pani Haken. - Dopiero co przyszedłeś.

- Nie, babciu. Jeszcze trochę zostaną.

Helga spytała Maksa, jak tam w pracy. Wiedział, że zrobiła to z uprzejmości; jego stosunek do niej nadal był dość chłodny, a ona oczywiście nigdy mu nie zapomni roli, jaką odegrał w jej życiu - kiedy nawet nie zdając sobie z tego sprawy, zniszczył jej związek z Onnem, i kiedy go potem ponownie odtworzył, też nie zdając sobie sprawy. Kiedy Maks po raz pierwszy usłyszał, że znowu są razem, dzięki lądowaniu człowieka na Księżycu, przez chwilę miał takie uczucie, jakby wszystko było tak jak dawniej; wystarczyło jednak, by spojrzeć na Quintena i Sophie, żeby wiedzieć, że to nieprawda.

Odpowiedział, że Westerbork funkcjonuje nadspodziewanie dobrze; koledzy na całym świecie zazdroszczą mu, że może tu prowadzić badania. Na pytanie Onna odrzekł, że po różnych przymusowych eksmisjach i walkach z policją zniknęła ostatnia ambonezyjska rodzina; oczywiście w niczym już nie przypomina to osady Schattenberg, a więc tym bardziej obozu przejściowego Westerbork. Aby zapobiec powrotowi - Moluków oczywiście - rozebrano wszystkie baraki; nie ma też szlabanu. Stało się to wbrew jego woli, ale tak chcieli ci, którzy przeżyli, więc co mógł zrobić? Zdemontowano nawet tory; został tylko spróchniały koziół oporowy. Wymyślił jednak coś dla uczczenia Dnia Pamięci Ofiar, który był czwartego maja; zawsze przecież przychodzi wtedy kilkaset osób. Zlecił mianowicie napisanie niewielkiego programiku komputerowego, który spowodował, że o godzinie ósmej z dokładnością do tysięcznej części sekundy wszystkie dwanaście czasz pochyliło się pokornie ku ziemi. Pozostawały w tej pozycji przez dwie minuty ciszy, a następnie z powrotem skierowały się ku niebu.

– Każdy robi, co potrafi – powiedział, spuszczać na moment wzrok. – Została tylko willa dawnego komendanta obozu. Dziwne, prawda? Nadal mieszka tam wdowa po wojskowym komendancie, urzędującym tuż po wojnie. Chcecie usłyszeć coś ładnego? Kilka tygodni temu nagle nastąpiła przerwa w dostawie prądu, tak że natychmiast przełączyliśmy się na agregat. W chwilę później zobaczyliśmy tę kobietę, jak biegnie w te pędy do terminalu. W rękach trzymała owiniętą w folię paczuszkę: spytała, czy może to przechować u nas w lodówce. Okazało się, że to kolacja dla jej męża – befszytk, smażone kartofelki i groszek – którą przygotowała dla niego ponad dwadzieścia lat temu i której już nie zdążył zjeść, ponieważ zmarł nagle na zawał serca.

– No proszę! – zawołał Onno do Helgi, wywijając nad głową nożem. – Oto miłość! Możesz wziąć z tego przykład.

Quinten siedział w kucki na swoim krześle i z otwartymi ustami patrzył na ojca, jakby oglądał co najmniej pokaz fajerwerków. Kiedy Onno dostrzegł wyraz jego twarzy, rzekł:

– Tak jest, mój synu, nawet jeśli dzisiaj nie trafia się już przez żołądek do serca, to jednak miłość wciąż jest silniejsza od śmierci! No powiedz coś, ciamajdo. Ja w twoim wieku czytałem już Tacyta.

– Onno... – powiedziała Sophia z wyrzutem. – On rozumie więcej, niż ci się wydaje.

Po posiłku Helga została z Quintenem, a oni wszyscy pojechali do Ady – Onno jako najobszerniejszy siedział obok kierowcy, Maks na tylnym siedzeniu ze skrzyżowanymi na piersi rękami, wciśnięty między Sophią i jej matkę. Po drodze pani Haken spytała, kiedy powiedzą Quintenowi, co się stało z jego matką.

– Może nigdy – odrzekł natychmiast Onno, nie patrząc na nią. Zaraz jednak się odwrócił i powiedział do Sophii: – Proszę nie mieć mi tego za złe.

– Nie mam ci tego za złe, dlaczego? Nie musisz się niepokoić, zobaczysz, że ani się obejrzymy, a on zacznie mówić, jestem tego pewna. – A zwracając się do swojej matki, dodała: – Oczywiście ani przez moment nie będziemy go utrzymywać w przekonaniu, że to ja jestem jego matką, a Maks ojcem. Musi się od razu dowiedzieć, jak to jest naprawdę. Zgadza się?

– Oczywiście – powiedział Maks. Po raz pierwszy zobaczył tu i ówdzie siwe pasemka w jej włosach. Siedział obok niej bliżej niż kiedykolwiek za dnia, a w nocy zawsze było ciemno. – Jakżeby inaczej.

– A kiedy zabierzecie go do Ady? – spytała pani Haken.

– O tym zadecyduje Onno.

– O, nie. Pani musi zadecydować – zaprotestował Onno. – Pani zna go najlepiej. Wszystko zależy od tego, jaki będzie z niego chłopak, bo to przecież straszny szok. Może jak będzie miał sześć lat? A może dziesięć? Jak sądzisz, Maks?

- Wydaje mi się, że będziemy dokładnie wiedzieli, kiedy przyjdzie ten właściwy moment.

- Święte słowa.

- A wiesz, kto ją jeszcze odwiedza regularnie, kilka razy do roku? - spytała Sophia. - Marijke i Bruno. Pobrali się.

Zapadło milczenie. Każde z nich czuło, że wszyscy myślą o tym samym: Jak długo będzie jeszcze żyła? Czy na pewno będą to lata? A jeśli nagle umrze? Czy Quinten nie powinien jej jednak przedtem zobaczyć, nawet jeśli ona nic nie robi, tylko oddycha?

Dom opieki - nazwany przez szyderczych urzędników wydziału zdrowia „Oaza Radości” - był to nowy budynek przy nowej ulicy na przedmieściach Emmen. Wzniesiono go w tym samym nowoczesnym bezstylu, co salę, po której błąkał się otumaniony ogniem Oswald Brons, ze ścianami z gołej cegły, które wyglądały jak ściany zewnętrzne, tak że człowiek bez przerwy miał w środku wrażenie, że musi jeszcze gdzieś wejść.

- Nawet architekci zostawiają dziś człowieka na lodzie - stwierdził Maks.

Onno przytaknęła:

- To beznadziejne. Architekci to zbrodniarze. Koniec świata bliski.

Ada leżała na drugim piętrze w małym pokoiku z widokiem na brukowany dziedziniec. W milczeniu obstąpili łóżko; pani Haken, której puściły się z oczu łzy, podsunęło krzesło. I oto zebrali się razem, pomyślał Maks: prababka Quintena, jego babka, jego matka i tak czy inaczej na pewno ojciec. Ada znowu była odmieniona, trudno jednak było powiedzieć, na czym polegała zmiana. To zupełnie jak z nową książką, którą się kupi i nie czytając, wstawia na półkę: kiedy po kilku latach po raz pierwszy bierze się ją do ręki, nie jest już przecież nowa, chociaż trudno też byłoby stwierdzić w niej jakiegokolwiek zmiany. Nie odnowiła się, ani też nie szła razem ze swoim czasem - oto leżała z głową odwróconą na bok i nawet nie wiedziała, że ma synka o nieziemsko błękitnych oczach, było jej obojętne, że Rosjanie zajęli Pragę, że Amerykanie zaczęli pustoszyć także Kambodżę i że jej mąż został radnym w Amsterdamie. Nawet kot wie więcej, pomyślał Onno, może ona ma świadomość co najwyżej myszy? Ale myszy sypnęłyby się trucizny albo zastawiło na nią łapkę... Przeraził się samego siebie i rzucił pełne poczucia winy spojrzenie na Sophię, która wzięła dłoń Ady w swoją i z nieprzeniknionym wyrazem ciemnych oczu patrzyła na córkę.

Po powrocie do Groot Rechteren usiedli jeszcze do herbaty w pokoju, ale nie wywiązała się już między nimi rozmowa. W kuchni siedział kierowca i czytał gazetę, pani Haken poszła się zdrzemnąć na łóżku córki, a Sophia pokazywała Heldze zdjęcia. Kiedy Onno, stojąc przy biurku Maksa, dzwonił w kilka miejsc, Maks z rękami skrzyżowanymi na piersiach wpatrywał się w jeden punkt na regale z książkami i rozmyślał o planach dostawienia trzynastego i czternastego ruchomego zwierciadła w Westerbork, co dwukrotnie podniosłoby rozdzielczość zespołu radioteleskopów, Haga jednak uznała, że na razie dosyć już poszło pieniędzy na to obserwatorium. Okna były otwarte i od strony wozowni dobiegały dźwięki muzyki przypominającej Rolling Stonesów; od czasu do czasu dawało się słyszeć głucho dudnienie, kiedy jakiś samochód przejeżdżał przez obluzowane deski mostka nad zamkową fosą. Onno odwrócił się i powiedział, że polityka polega na telefonowaniu; ciekawe, jak sobie z tym radził Juliusz Cezar. Usiadł w zielonym fotelu i zatopiony w myślach wziął do ręki periodyk astrofizyczny, leżący na małym stoliku.

Z oddali dobiegało stałe dudnienie pociągu mijającego niestrzeżony przejazd kolejowy. W chwili później Maks zobaczył, jak Quinten kładzie się brzuchem na stopach Onna, na wpół przykrywając sobą jego nadal niewyczyszczone buty ze zniszczonymi sznurówkami. Było to coś wyjątkowego, wobec niego Quinten nigdy nie dopuścił się czegoś tak intymnego – pewnie nie bardzo go lubił. Ten widok go uspokoił. Jego lęk przed ojcostwem przygasł przez ostatnie lata, podobnie jak lęk przed łysym miejscem na ciemieniu; inaczej jednak niż to łyse miejsce nigdy tak do końca nie zniknęła – tak jak u kogoś, kto wyleczył się z raka albo wyszedł z zawału, ale nigdy nie będzie w stu procentach pewien i nigdy nie zapomni, że coś takiego mu się przytrafiło, nawet jeśli całymi miesiącami o tym nie myśli: do końca jego dni gdzieś tam w ciemnej jaskini będzie już czyhał potwór. Miał świadomość, że teraz – dopóki Ada jest przy życiu – dałoby się ustalić ojcostwo za pomocą badania krwi: gdyby Quinten posiadał pewne określone cechy dziedziczne, których nie miałyby Ada ani on, ojcem byłby Onno; jeśli brakowałyby ich u Onna, ojcem byłby on, Maks. Swoją krew mógłby oddać do badania bez najmniejszych problemów, po krótkim zastanowieniu doszedł do wniosku, że próbki krwi Ady i Quintena też dałoby się jakoś załatwić – jak jednak zdobyć próbki krwi Onna? Z drugiej jednak strony nie było w stu procentach wykluczone, że w jego własnej krwi znajdą się elementy, które będą też we krwi Onna. Nawet by go to specjalnie nie zdziwiło. W przyszłości będzie może inaczej, ale na razie badania nie we wszystkich przypadkach dawały pewność.

Quinten daremnie próbował odkręcić wieczko błyszczącego blaszanego pudełka, w którym coś grzechotało. Onno, który nawet nie zauważył, co się dzieje na jego stopach, z uniesionymi sceptycznie brwiami kartkował fachowy periodyk, zupełnie jakby to była publikacja Towarzystwa Teozoficznego. Dopiero kiedy poczuł ciepło Quintena przenikające przez skórę jego butów, odłożył pismo i pochylił się do przodu.

– Co, nie daje się? Lepiej niech to zostanie w środku. Znacznie przyjemniej jest nie wiedzieć, co to jest. Co byś powiedział, gdybyśmy wybrali się we dwóch na spacer?

– Jesteś pewien? – spytał Maks. – Ryzykujesz kontakt z przyrodą.

– No to jej napędzę stracha.

– Opiekuj się tatusiem, Quinten – powiedziała Helga, kiedy trzymając się za rękę, szli w stronę drzwi.

Na dziedzińcu Onno zawahał się, w którą stronę pójść. Dopiero teraz zauważył kwitnące rododendrony pod wozowniami: ogromne fioletowe eksplozje zwisające ciężko nad wodą, pod którymi przepływały kaczki, wyłaniając się z nich jak wierni wychodzący z bramy katedry. Decyzję podjął Quinten. Ciepła rączka pociągnęła go przez mostek i ścieżką wzdłuż fosy; przeszli w cieniu wyniosłego brunatnego dębu, minąwszy krótszą ścianę zamku. Płaskie, zwietrzałe kamienie podmurówki, wyłaniające się ukośnie z ciemnej wody, pochodziły pewnie jeszcze ze średniowiecza.

Z zawstydzeniem uświadomił sobie, że oto jest po raz pierwszy z Quintenem sam na sam. Musiał być naprawdę zdegenerowanym ojcem, zostawił wszystko Maksowi, jako coś oczywistego – właściwie na jakiej podstawie? Mała dłoń w jego wielkiej dłoni przypomniła mu jego własną w dłoni ojca, kiedy dreptał obok niego na spacerze nabrzeżem Scheveningen. Razem przechylali się przez barierkę i patrzyli na duże prostokątne sieci, które wyciągano z fal przy akompaniamencie pisków i zgrzytów, w których trzepotało się dziesięć czy dwadzieścia niewinnych ryb. W tamtym czasie miał jeszcze zakręcone loczki i nosił różowe sukienki, zgodnie z życzeniem matki. To wspomnienie go zaszokowało: czyżby Quinten był właśnie tą istotą, której w nim samym szukała jego matka i którą niejako poprzez niego powołała do życia? Przystanął i spojrzął na niego. No tak, jeśli się nie wiedziało, równie dobrze mógłby uchodzić za dziewczynkę, nawet bez sukienki i loczków.

- Ucz się od swego starego, mądrego ojca, Quintenie - mówił, kiedy szli wzdłuż świeżo posadzonych drzewek w stronę świerkowego lasu - że nowe zawsze jest zarazem stare. Wszystko, co stare, było kiedyś nowe, i wszystko, co nowe, będzie kiedyś stare. Najstarsza jest terażniejszość, ponieważ nigdy nie była czymś innym niż tylko terażniejszością. Nigdy jeszcze nikt nie żył w przeszłości, a w przyszłości też jeszcze nikt nie żyje. Idziemy sobie tutaj, ty i ja, lecz kiedyś ja z kolei szedłem zupełnie tak samo z moim ojcem nabrzeżem Scheveningen, które w czasie wojny wysadzili w powietrze Niemcy. Ojciec opowiadał mi o cudownym połowie ryb i o tym, że Pan Panów nazywał apostołów „rybakami ludzi”. To dla mnie niewiarygodnie dawno, trzydzieści pięć lat temu, ale dla twojego przybranego ojca trzydzieści pięć lat temu to ledwie wczoraj. Dla niego wszystko zawsze jest wczoraj. A wojna była dla niego nawet nie wczoraj, lecz rano, niedawno, dopiero co. Nawiasem mówiąc, nie wydaje mi się, żebyś go za bardzo lubił, czy się mylę? Powiedz szczerze, moim zdaniem doskonale wiesz, o czym mówię, chociaż może nie rozumiesz ani słowa. Prawda czy nie? Może czasem uważasz nas zwyczajnie za stukniętych? Może wszystko rozumiesz, tylko po prostu nie widzisz sensu w gadaniu? Może po kryjomu wychodzisz z łóżka i czytasz *Boską Komedie*? Coś mi się zdaje, że tak właśnie jest. Oczywiście denerwuje cię fatalne tłumaczenie, które Maks ma na półce, a nic samego Wergiliusza nie znajdujesz. Prawda, że tak jest? Spokojnie możesz się przyznać.

Quinten nie odpowiadał, ale najwyraźniej doskonale wiedział, dokąd chce iść. Mijali sadzone wedle ścisłego porządku drzewa iglaste, których pnie tworzyły wtedy przesuwające się i rozchodzące przekątne oraz linie prostopadłe, aż przeszły w zdziczały park, gdzie wszędzie leżały nagie, wyrwane z korzeniami drzewa, poprzewracane w różne strony przez najróżniejsze burze i wichury. Kiedy las się nieco przerzedził, znowu pojawiła się ściana przeobficie kwitnących rododendronów. Quinten puścił jego rękę i wszedł między nie, zupełnie jakby nie musiał pokonywać żadnego oporu, podczas gdy Onno, osłoniwszy twarz dłońmi, z trudem przeciskał się przez czepiające się go gałęzie krzaków, wyższych nawet niż on sam.

- Dokąd ty mnie, na Boga, ciągniesz? - zawołał. - To przecież nie jest miejsce dla ludzi, Quinten! Człowiek powinien iść chodnikiem!

Ale kiedy się już przedarł, nawet jego oszołomiła bajkowość tego miejsca. Stali na skraju dużego, dziwnie uformowanego stawu, okolonego kłębowiskiem fioletowych kwiatów; w całkowitej ciszy sunęły wśród lilii wodnych dwa czarne łabędzie. W oddali majaczyła między drzewami wieża zamku, widocznie jezioro miało połączenie z fosą, ale dla kaczek było tu za dostojnie. Także bojowe czarne łyski z popolitym białym paskiem na głowie czuły się tu widocznie nie na miejscu.

To jednak nie był ostateczny cel wyprawy. Quinten ruszył wzdłuż brzegu pod gałęziami. Onno podążał za nim, wśród biadań łapiąc równowagę, zdmuchując sobie z twarzy płatki kwiatów, przeklinając, kiedy się poślizgnął i wyciągnął z wody mokry but. Gdy znowu wy dostał się poza kwietny mur, znalazł się po drugiej stronie stawu, na otwartej przestrzeni, gęsto porośniętej zielonymi pokrzywami sięgającymi mu do piersi.

– No chyba żartujesz? – spytał.

Ale Quinten poprowadził go wąską, krętą ścieżką po przydeptanych, ale w wielu miejscach już się podnoszących pokrzywach. Ponieważ był mniejszy od tej diabelskiej rośliny, puścił Onna przodem. Onno z westchnieniem wpuścił nogawki spodni do skarpetek, podniósł jakiś kij i w mlaszczącym bucie ruszył ścieżką, wściekły i z prawdziwą nienawiścią siekący każdą pokrzywę, jakiej mógł dosięgnąć.

– Do czego ty mnie zmuszasz! – zawołał, – Po co w ogóle było mi się żenić!

Po trzydziestu, czterdziestu metrach stanęli nagle przy czworokątnym nagrobku, leżącym u stóp niewielkiej, zwężającej się ku górze kolumnienki.

– A to co takiego? – powiedział Onno zdumiony.

Przykucnął, tak że jego podrapana twarz znajdowała się teraz na wysokości twarzy Quintena. Palcem wskazującym przejechał po literach wykutych w kamieniu: „Deep Thought Sunstar”. Spojrzał na Quintena.

– Powiedzieć ci coś? Tu leży pogrzebany koń. Tak się nazywa konie wyścigowe. – Podniósł się. – Kto urządza pogrzeb koniowi wyścigowemu? Przecież konie oddaje się chyba do rzeźni?

I wtedy wydarzyło się coś, co sprawiło, że na moment zaniemówił, a potem wziął Quintena w ramiona i triumfalnie zaniósł go przez pokrzywy i kwiaty, wzdłuż geometrycznego tańca pni z powrotem do zamku: otóż Quinten wyciągnął paluszek w stronę kolumnienki, odchylił się na moment do tyłu i powiedział ze śmiechem:

– Obelisk.

Następne wyprawy

Tak jak latarnia morska w Noordwijk, obracając się, rzucała światło na wszystkie cztery strony świata, tak samo Groot Rechteren przemierzały wspaniałymi falami cztery pory roku. Maks znał zmienność pór roku właściwie tylko z Amsterdamu: pewnego dnia lutego czy marca, kiedy wychodził rano na ulicę, czuł pierwszy nieopisany zapach wiosny, równie nieokreślony jak zapis dziesiętny liczby pi, zakurzone lato, w czasie którego miasto zapełniało się strumieniami turystów, równie nagle zmieniające się w wilgotną, pełną gorzkich woni jesień, a potem mdła zima, kiedy to bruk ulic i cegły murów nagle jakby zapragnęły wyrażać nieprzystępną stronę świata – wszystko to jednak właściwie mimochodem, zauważane jedynie w krótkich przerywnikach, kiedy to przemieszczał się z jednego wnętrza do drugiego. O ile w mieście przyroda była jedynie cichą muzyką w tle, o tyle w zamku siedział razem z Quintenem i Sophią w samym środku huczącej sali koncertowej. Wiosna i jesień przychodziły z niezwykłym przepychem, lata były gorętsze i suchsze, zimy mroźniejsze i bielsze. Ta nieprzerwana przemiana jest oczywiście, jak stwierdził kiedyś w rozmowie z Onnem, źródłem wszelkiego stworzenia; monotonia przyrody między zwrotnikami doprowadziła do zastoju kulturalnego, tropiki to nieustanna łaźnia parowa, zawsze zielona, tak jak strefy polarne są zawsze białe, natomiast umiarkowane szerokości geograficzne z ich wielopostaciowością stanowiły naprzemienne kąpiele gorące i zimne, które bezustannie pobudzały człowieka. W mieście było naturalnie to samo, tyle że dopiero na wsi stało się to dla niego tak oczywiste. Na to Onno stwierdził, że na wsi stało się to może zbyt oczywiste, zwłaszcza że powtarzająca się rokrocznie czwórforma znowu staje się czymś monotonnym, tak więc prawdziwa kreacja zawsze jednak następowała w mieście. Zauważył, że Onno powstrzymał się od pytania, czy własna kreatywność Maksu wzrosła z chwilą przeprowadzki na wieś, ale chociaż Maks nie miał powodów, by narzekać na wyniki pracy, sam z siebie też nie podjął tego tematu.

W Drenthe nie tylko ciemności były głębsze, cisza cichsza, burze gwałtowniejsze, a tęcza bardziej kolorowa niż w Amsterdamie, nawet deszcz był tutaj inny. Kiedy w programie był spacer z Quintenem po lesie, Maksowi nawet do głowy nie przyszłoby czekać, aż będzie sucho, nie mówiąc o tym, by brać ze sobą parasol. Wszyscy troje wkładali zielone kalosze, ceratowe peleryny, naciągali kaptury na głowy i brodzili wśród mchów, podczas gdy w oddali rozbrzmiewał huk strzałów z broni myśliwskiej barona i jego przyjaciół. Pewnego razu, kiedy przestało padać i wszędzie z liści skapywała woda, Maks powiedział:

- Kiedy kończy się deszcz, zaczyna padać z drzew.
- Drzewa płaczą – powiedział Quinten.
- W takim razie ty na pewno nie jesteś drzewem – zauważyła Sophia.

Quinten zamachał rękami, skoczył obiema nogami w sam środek kałuży i zawołał:

- Jestem deszczem!

Kiedy w terrarium w „Artis” w Amsterdamie Onno usłyszał od Maksa o tych jego słowach pewnego sobotniego popołudnia – Quinten obserwował w tym czasie nieruchomego węża, zwiniętego jak okrętowa lina wokół pacholka – stwierdził, że w szkole może to być potem źródło problemów. Wszystko bowiem wskazuje na to, że już teraz umysł ma genialniejszy niż jego przyszli nauczyciele, zupełnie tak samo jak było aż nadto wyraźne także w jego przypadku.

Od kiedy Quinten pozwolił uczestniczyć Onnowi w wypowiedzeniu przez siebie pierwszego słowa, w połączeniu z pierwszym wybuchem śmiechu, wyglądało na to, że naprawdę potrafił mówić znacznie wcześniej, tylko nie widział po temu potrzeby. Już po pół roku nie było żadnego zapóźnienia, pod względem gramatycznym raczej wyprzedzał swój wiek; kiedy mówił o sobie, nie używał określenia „Quinten” czy „Kuku”, tylko po prostu „ja”. Na Onna mówił „tata”, na Sophie „babcia” albo „babcia Sophia”, kiedy trzeba było ją odróżnić od „babci To”, a na Maksa „Maks”. Oczywiście nadal pozostał bardziej milczący niż inne dzieci. Dziecięca paplanina o wszystkim i o niczym, despotyczne polecenia, marudzenie, że czegoś chce, albo gadanie bez przerwy o tym, co przed chwilą zrobił albo co zaraz zrobi: nic z tych rzeczy. Nie potrzebował też towarzyszy zabaw; tak naprawdę nie sprawiało mu przyjemności, kiedy Sophia zabierała go na plac zabaw czy na basen. Przed snem można mu było przeczytać bajeczkę, poza tym wystarczył mu zamek i to, co mógł w nim przeżyć; od kiedy zdecydował się mówić, stał się miłym gościem nawet u pana Spiera. Nudzić, nigdy się nie nudził. Godzinami siedział w swoim pokoju w wieży i oglądał obrazki, bynajmniej nie w książkach dla dzieci, ale przede wszystkim ilustracje z dzieła, które pan van Themaat pozwolił mu zabierać ze sobą na górę. Była to Giuseppe Bibieny *Arcchitecture e prospettive*. Zupełnie jakby Quinten wiedział, co znaczy „XVIII wiek” i „dwór wiedeński”, van Themaat opowiadał mu, że książka ta powstała w pierwszej połowie XVIII wieku na dworze wiedeńskim. Fascynowały go zwłaszcza ryciny przedstawiające fantastyczne dekoracje teatralne: wspaniałe barokowe, nadperspektywiczne przestrzenie z kolumnadami, schodami, kariatydami, wszystko przeładowane ornamentami. Najchętniej by do nich wszedł.

Kiedy skończył cztery lata, Sophia chciała go posłać do przedszkola w Westerbork: miało to być dobre dla rozwoju jego osobowości, ponieważ jej zdaniem inaczej stałby się za bardzo samotnikiem. Onno i Maks nigdy nie chodzili do tego rodzaju placówki – w latach trzydziestych niczego takiego jeszcze nie było – i nie bardzo ich to przekonywało, Sophia jednak przeforsowała swój zamiar. Po drodze do obserwatorium Maks po raz pierwszy zostawił go w przedszkolu, i jeszcze tego samego popołudnia jakieś dziecko walnęło go w głowę fajansowym kubkiem. Quinten wcale się nie rozpłakał, tylko popatrzył na sprawcę szeroko otwartymi oczami z takim zdumieniem, że dzieciak wybuchnął płaczem. Przedszkolanka, która nie widziała, co się stało w kąciku zabaw, skarciła Quintena za to, że to on coś zrobił temu chłopcu, bo przecież inaczej tamten by się nie rozpłakał. Quinten milczał. Kiedy Maks go odbierał, otoczony tłumem matek i rozwrzeszczanych dzieciaków, przedszkolanka opowiedziała mu swoją wersję zdarzenia. Oczywiście wcale nie twierdzi, że Quinten jest niegrzeczny czy krnąbrny, ale może jednak trzeba by go trochę bardziej wziąć w rzy. Siedząc na tylnym siedzeniu auta, Quinten opowiedział, jak było naprawdę, i Maks mu wierzył; w domu Sophia odkryła pod jego czarnymi lokami niewielką ranę. Po telefonie do Onna, z którym połączyła ich pani Siliakus, zdecydowali, że natychmiast wypiszą go z tej instytucji.

– Już nie musisz tam iść – powiedział Maks. – W porządku?

Quinten skinął głową. Stał przy biurku Maksa, powoli obracał niewielkim kompasem i patrzył na rozkołysaną igłę, która wyglądała jak przymocowana nie do kompasu, tylko do pokoju.

– Nie przejmuj się – powiedziała Sophia.

Jego absorbowano jednak coś zupełnie innego. Wlepił w nią spojrzenie i powiedział:

– Po wszystkie dzieci przyszły mamy.

Maks i Sophia spojrzeli po sobie. Stało się. Zupełnie niespodziewanie pojawiło się fundamentalne pytanie. Maks nie od razu wiedział, jak zareagować, za to Sophia uklękła przy Quintenie, otoczyła go ramieniem i rzekła:

– Ja jestem mamą twojej mamy, Quinten. Twoja mama jest zbyt zmęczona, żeby cię odbierać. Leży sobie w łóżeczku, w wielkim domu pełnym miłych ludzi, i śpi, i nigdy się już nie obudzi, tak bardzo jest zmęczona. Nic nie słyszy i z nikim nie może rozmawiać.

– Ani ze mną?

– Ani z tobą.

– Ani nawet trochę?

– Ani nawet trochę.

– Naprawdę ani, ani trochę? – A kiedy Sophia pokręciła przecząco głową: – Ani z tatą, ani z ciocią Helgą?

– Z nikim, skarbie.

Quinten w zamyśleniu nałożył wieczko na kompas.

– Jak Śpiąca Królowna.

– Tak. Jak Śpiąca Królowna.

– A co z księciem? – spytał, podnosząc wzrok.

Tak jak Maks, zobaczył, że oczy Sophii zwilgotniały. Takich uczuć Maks nigdy wcześniej u niej nie widział. Quinten otarł jej łzy dłonią i o nic więcej nie pytał. Maks jednak podszedł do gzymsu kominka i podał mu fotografię Ady i Onna.

– To twoja mama, kiedy jeszcze nie spała.

Quinten trzymał zdjęcie obiema rękami i patrzył na twarz w czworokątnym obramowaniu włosów.

– Ładna.

– Dlatego ty też jesteś taki ładny – powiedziała Sophia.

Maks spodziewał się, że Quinten będzie chciał mieć to zdjęcie, ale on oddał mu je, a potem poszedł do swojego pokoju. Kiedy zostali sami, Maks najchętniej objąłby Sopię ramieniem, ale to oczywiście było nie do pomyslenia.

– Można się było tego spodziewać – powiedział. – I co teraz?

– Musimy zastanowić się razem z Onnem. Uważam, że my sami nie powinniśmy do tego wracać. Kiedy o coś nie pyta, to znaczy, że nie potrafi się z tym uporać.

Maks przytaknął.

– Pewnego dnia znowu da nam jakiś znak.

Sophia strzepnęła z kolan prawdziwe i wymaglowane okruszki.

– Kilka tygodni temu przeczytałam mu tę bajkę o Śpiącej Królownie, i mniej więcej w połowie uświadomiłam sobie, o czym właściwie czytam, ale nie mogłam już przestać.

– I z tego powodu teraz czuje się pani winna?

– Winna? – powtórzyła, patrząc na niego. – Dlaczego miałabym się czuć winna?

Napaść w przedszkolu była oczywiście po części sprowokowana urodą Quintena. W czwartym roku życia miał stałe zęby. Theo Kern musiał już założyć drugą teczkę studiów Quintena; do wystawy jeszcze nie doszło, może dlatego że właściwie chciał zachować te rysunki dla siebie. Nie każdy jednak był tak zazdrosny. Mimo tablicy „Wstęp wzbroniony (§461 k.p.c.)” ustawionej przy bramie z dwoma lwami, na placyk regularnie zajeżdżały samochody z nowożeńcami, pozującymi do fotografii na tle zamku: ona w długiej białej sukni, on w pożyczonym ślubnym żakiecie, z szarym, zbyt dużym cylindrem w dłoni, bo inaczej opadłby mu na uszy; on twarz ma przeważnie spaloną na brąz, z wyjątkiem białej skóry na czole, miejsca, które zakrywała zazwyczaj czapka. Parę razy Quinten wpadł już w oko fotografom, którzy potem dzwonili i pytali Sophię, czy pozwoliłaby im wykonać serię zdjęć tego przepięknego chłopczyka – dla celów reklamowych, za dobrą cenę oczywiście.

To, że Quinten w ogóle nie płakał, kiedy został uderzony w głowę, nie zdumiało Maksa ani Sophii. Naprawdę płakał tylko jeden jedyny raz. W czasie fali upałów, w lipcu, Sophia ustawiła któregoś ranka na placyku przed zamkiem okrągły nadmuchiwany basen z białego plastiku; ponieważ nie mogła znaleźć pompki, sama go nadmuchała i za pomocą ogrodowego węża napełniła do połowy wodą. Wstawiła do niego Quintena i zawołała do Maksa, żeby miał dziecko na oku, ponieważ ona musi pojechać na rowerze po wiejskie jajka. Pół godziny potem Maks usłyszał płacz. Plaga much trwała już od początku lata, ale teraz gorące kamienie placyku nagle pokryły się czarnym, rozedrganym dywanem, na który lał się słoneczny żar i który wydawał z siebie złowrogie brzęczenie, jakby stu wiolonczel. Otoczony ze wszystkich stron tym piekielnym pomiotem jak na samotnej wyspie, Quinten stał wyprostowany w wodzie, nagusieńki, zakrywając oczy rękami, płacząc i dygocąc ze strachu. Widok ten w jednej chwili obudził w Maksie wściekłość tak gwałtowną, jakiej nie doświadczył nigdy wcześniej; sam miał na sobie tylko kąpielówki i zanim jeszcze zrozumiał, co robi, już gnał przez tę wzlatującą, rozbrzęczaną masę, czując, jak rozgnięta bosymi stopami setki much, w biegu porwał Quintena z wody i zaniósł w bezpieczne miejsce po drugiej stronie zamkowej fosy, w cień brunatnego dębu.

*

W pobliżu swoich piątych urodzin, w roku 1973 – w tymże roku Maks i Onno kończyli czterdzieści lat, a Sophia pięćdziesiąt – Quinten rozszerzył swoje terytorium na cały przyległy las. Codziennie składał wizytę w dawnej wozowni, gdzie Theo Kern rzeźbił swoje duże prace. W wysokim pomieszczeniu, pełnym kamieni, gruzu i narzędzi, gipsowych modeli, stołów ze szkicami, wysłużonych mebli i z bulgoczącym zawsze ekspresem do kawy w kącie, gdzie wszystko nastawione było wyłącznie na pracę, czuł się jeszcze bardziej swojsko niż w mieszkaniu Kerna w zamku, w obecności Selmy. Godzinami potrafił siedzieć na złomie kamienia i przyglądać się artyście: w jaki sposób wydobywa z kamiennych bloków bujne postacie kobiece czy ornamenty przeznaczone do budynków użyteczności publicznej, stąpając jak fakir bosymi stopami po ostrych odłamkach. Od czasu do czasu działo się z nim coś niepokojącego. Wtedy nagle nieruchomiał, przymykał do połowy powieki, obnażał zęby aż po dziąsła i trzymał ręce w górze, dygocąc, jakby z najwyższym natężeniem musiał się bronić przed rzeźbionym właśnie dziełem. W tym momencie dobrotliwy karzeł w jednej chwili zmieniał się w straszliwą bestię. W chwilę później jego twarz znów była całkowicie odprężona, jakby nigdy nic się nie stało. Quinten widział, że nawet nie zdaje sobie sprawy ze swojego dziwnego zachowania sprzed chwili.

Kern uważał, iż rzeźbienie nie jest sztuką, bo każdy to potrafi – wystarczy, powiedział pewnego dnia, odłupać zbędną resztę kamienia.

– Tego przynajmniej dowiódł Michał Anioł.

– A kto to jest Michał Anioł?

– Ktoś taki jak ja, tylko trochę inny. On zrobił coś takiego – powiedział Kern i pokazał mu zdjęcie przypięte pinezką do drewnianego słupa: przedstawiało mężczyznę o dzikiej twarzy, z długą brodą i dwoma różkami na głowie.

– Czy to diabeł?

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– No bo przecież ma rogi.

– No tak, też nie mam pojęcia, skąd się tam wzięły. W każdym razie to na pewno Mojżesz. Taki ktoś z Biblii.

– A co to jest Biblia?

Dłuto Kerna ucichło.

– Nie wiesz? Tato nigdy ci nie opowiadał? To bardzo gruba księga z historiami, o których mnóstwo ludzi sądzi, że zdarzyły się naprawdę.

Quinten przypomniał sobie ogromną księgę, która leżała u dziadka w Hadze na specjalnym pulpicie i z której dziadek czasem czytał. A więc to była Biblia.

Kern spojrział na zdjęcie z westchnieniem.

- Tak bym nie umiał, Kuku. Ja dostaję zlecenia od gminy Assen, on dostawał od papieża. Różnica w randze i statusie, nie ma rady. Osobiście nie za bardzo lubię kolory, ale on umiał też całkiem ładnie malować. Jego dziełem są na przykład malowidła w Kaplicy Sykstyńskiej, całkiem niezłe, poważnie. To w Watykanie, prywatna kaplica papieża.

- A kto to jest papież?

- Sześć wszystkich katolików. To tacy ludzie, którzy wierzą w Boga. A teraz na pewno zapytasz, kto to jest Bóg.

- Aha - powiedział Quinten. Siedział na bryle niemal czarnego granitu, ręce trzymając między kolanami, i trzy razy pokiwał głową.

- Bóg nie istnieje, ale zdaniem wierzących to on stworzył świat.

- Maks mówi, że świat powstał od wybuchu.

- No to pewnie tak właśnie było. W Kaplicy Sykstyńskiej możesz zobaczyć Boga: unosi się w powietrzu i ma wielką brodę, zupełnie jak Mojżesz.

- I ty.

- Ale jego nie jest tak pięknie biała jak moja. Gdy będziesz trochę starszy, powinieneś pojechać do Rzymu to obejrzeć. Tam jest jeszcze mnóstwo innych rzeczy do zobaczenia.

- Jak można namalować kogoś, kto nie istnieje?

- Trzeba puścić wodze fantazji. Albo zrobić to sposobem. Michelangelo na przykład zwykle malował starca, który każdego dnia przechodził pod jego domem z pizzą; robił to tak, jakby ten unosił się w powietrzu, i wtedy wszyscy mówili, że to Bóg. Gdybym dostał od gminy Assen zamówienie na wyrzeźbienie Boga, to po prostu wyciosałbym w kamieniu swoją własną głowę.

- Wcale byś nie musiał - powiedział Quinten. - Mógłbyś też zrobić rzeźbę samego Boga zupełnie inaczej, skoro on i tak nie istnieje.

- Ciekawe, jak twoim zdaniem się to robi.

- Bierzesz blok marmuru i obciosujesz go tak długo, aż nic z niego nie zostanie.

Kern popatrzył na Quintena zdumiony, a potem wybuchnął gromkim śmiechem.

- A potem zawożę to do Assen, tak? Proszę, oto on, mam powiedzieć. Bóg! Widzicie? Nie? Myślisz, że oni by to zrozumieli? Że by mi zapłacili? Akurat! Nawet za marmur by mi nie zwrócili. Te urzędasy są diabła warte.

- A kto to właściwie jest diabeł?

- Jezu Chryste, Quinten! Kto to właściwie jest diabeł? Lepiej spytaj o to pastorkę. Diabeł to arcywróg Boga!

- To on też nie istnieje czy raczej istnieje?

- Oczywiście, że nie.

- No to wiem też, jak wyrzeźbić portret diabła

Kern opuścił młotek i dłuto i spojrzał na Quintena.

– No, jak?

– Trzeba w tym celu cały świat zapchać marmurem.

Quinten zobaczył, że Kern jest całkiem zbity z tropu.

– Skąd ci takie rzeczy przychodzą do głowy, Kuku?

– No, po prostu... – Quinten nie wiedział, o co Kernowi chodzi, ale czuł, że powinien już sobie iść. Spojrzał jeszcze raz na Mojżesza, który trzymał pod pachą coś dużego, jakby teczkę, która chyba mu się wysuwała i groziła spadnięciem na ziemię, czemu miał jeszcze szansę zapobiec. W rzeczywistości był pewnie ogrodnikiem albo kimś takim. – No to cześć – powiedział Quinten.

Zawsze gdy wychodził z atelier, od razu miał przed sobą Groot Rechteren. Widziane od strony zamku, budyneczki zgrupowane po drugiej stronie fosy sprawiały wrażenie małych i nic nieznaczących; za to zamek wydawał się stamtąd potężny i nieprzystępny. Quinten przystawał na kilka sekund, żeby mu się przyjrzeć. Nie myślał przy tym o niczym – albo raczej: to, co myślał, łączyło się z tym, co widział – zamek jakby zatopiony w swoich własnych myślach, z pozbawionym wskazówek zegarem nad wejściem. Czasami wydawało mu się, że zamek nagle zniknął na mgnienie oka.

Po prawej stronie atelier Kerna znajdował się nieco mniejszy budyneczek; był tam warsztat pana Roskama, stróża Groot i Klein Rechteren, który zajmował się drobnymi naprawami; drzwi były najczęściej zamknięte na klucz. Wzdłuż dłuższej ściany biegły kryte drewniane schodki na pierwsze piętro, gdzie co parę miesięcy zmieniał się lokator: raz kobieta o jasnych włosach, to znów mężczyzna z czarną bródką. Z nimi Quinten nie miał żadnego kontaktu, tylko z Pietem Kellerem, który mieszkał po przeciwnej stronie.

Po obu bokach żwirowej alejki, prowadzącej obok wielkiego głazu narzutowego do jego drzwi, widać było górne połowy kół od powozu. Na pierwszy rzut oka wyglądało to tak, jakby ktoś zakopał je po osie w ziemi, lecz Quinten wiedział, jak jest naprawdę: całkowicie odwrotnie. One wcale nie były wkopane w ziemię, tylko z niej wystawały, nie były to górne połówki kół, tylko dolne. Pod ścieżką znajdował się mianowicie powóz, a ściślej karetą, złota karetą, taka, jaką widział kiedyś w telewizji: tyle że odwrócona do góry kołami, ciągnięta przez ósemkę koni, z woźnicą na koźle trzymającym lejce, też do góry nogami, a w karocy nie siedziała królowna, tylko o wiele, wiele piękniejsza kobieta, najpiękniejsza kobieta świata – karoca zaś tkwiła w miejscu, ponieważ wszyscy zapadli w sen...

Kiedy Piet Keller zapytał raz Quintena, dlaczego nie idzie zwyczajnie ścieżką, tylko zawsze obchodzi te koła łukiem po trawie, ten odrzekł:

– Tak sobie.

Keller miał pięćdziesiąt parę lat, był chudym mężczyzną o zgiętych plecach i niezdrowej cerze, najczęściej ubranym w krótką kurtkę z beżowego materiału. Jego żona wykonywała czasami dziwaczne, raptowne ruchy całym ciałem, wskutek czego Quinten trochę się jej bał; ich córka i dwaj synowie, wszyscy o głowę wyżsi od niego, byli w takim wieku, że prawie w ogóle nie zwracali uwagi na Quintena. Keller miał warsztat w przyległej szopie, Quinten także jemu patrzył godzinami na ręce. Keller reperował stare zamki, które przysyłano mu ze wszystkich zakątków kraju, nie tylko osoby prywatne, ale także antykwariaty i muzea. Wszędzie stały skrzynie pełne kluczy we wszystkich rozmiarach, pudła z zapadkami, zamkami, metalowymi płytkami, dźwigienkami, zasuwami, bolcami i innymi częściami, których nazw Quintena nauczył. Na wielkich żelaznych kółkach wisiły niezliczone wytrychy.

– Mam tu wszystkie klucze świata – powiedział kiedyś, mrugając do Quintena – z wyjątkiem muzycznych i tych świętego Piotra.

Na blacie opartym na kozłach, oświetlonym chybocącym się kloszem, przyczepionym drutem do ściany, leżały zamki, którymi właśnie się zajmował; obok stał regalik z niezliczonymi pudełkami pełnymi śrub, muterek, sztyftów i innych drobiazgów. Był też ciężki stół z frezarką, wiertarkami i szlifierkami. Kiedy Quinten był przy nim, Keller opatrywał wykonywaną pracę wypowiedzianym półgębkiem, monotonnym komentarzem: nie był on w żaden sposób dydaktyczny, raczej było to zwyczajne sprawozdanie na temat tego, co aktualnie robił i myślał. Raz jeden, kiedy akurat zajmował się ciężką średniowieczną kłódką, wielką jak bochen chleba, zatrzaśniętą i bez klucza, do jego relacji zakradły się liryczne tony.

– Popatrz no, czyż to nie jest cudo? To się nazywa kłódka zasuwana. Widzisz tutaj te rowki w kształcie litery H? Trzeba tam włożyć specjalny klucz. Zaraz go zrobię. W samym środku jest blokada z dwóch bardzo mocnych sprężyn; ich końce są teraz wyprostowane i blokują pałąk w korpusie kłódki.

– Skąd pan to wie? Zaglądał pan do środka?

– Nie, i wcale nie będę. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Najpierw zrobię coś zupełnie innego. – Z pudła wyjął kilka długich, stalowych prętów, które pasowały do litery H. Wróciwszy do blatu, naoliwił je i powoli zaczął wsuwać do środka, a jego oczy zwrócone były ku górze, zupełnie jakby było tam widać wnętrze zamka.

– O, już wyczuwam pierwsze zgięcie taśmy sprężyn... dobrze... właśnie tu... jeszcze troszkę dalej... teraz je ściskamy... dobrze... Trudno to idzie, środek jest cały zardzewiały... może troszkę sobie pomożemy młoteczką do nitowania... Jeszcze troszkę postukamy... a teraz jeszcze jedno puknięcie i powinno wystarczyć... – W środku rozległo się zgrzytliwe szczęknięcie i Keller wyjął pałąk z korpusu.

Spojrzał na Quintena z uśmiechem.

- No i proszę, Kuku. Gdybym chciał, mógłbym z łatwością zarabiać o wiele prościej. Ale: Nie kradnij. Zapytaj pastorkę.

Wyjął pręty i ponownie włożył pałąk w otwór, co wywołało kolejne szczęknięcie.

- Co pan robi? Teraz znowu jest zamknięte!

Keller położył monstrualną kłódkę przed Quintenem.

- Ze zwykłymi zamkami dajesz już sobie jako tako radę, ale teraz spróbuj z tym. Kto wie, może zostaniesz moim następcą, bo moi synowie jakoś się do tego nie palą.

Pastorka, pani Trip, była kaznodziejką kościoła reformowanego w Hooghalen, nie miała męża i mieszkała ze swoim czarnym kotem dwadzieścia metrów dalej, w dawnym mieszkaniu ogrodnika z dobudowaną wielką oszkloną werandą. Nie miała specjalnych kontaktów z pozostałymi mieszkańcami Groot Rechteren, tylko państwo Verloren van Themaat pijali u niej herbatę, ponieważ pani Trip była przyjaciółką baronowej. Chociaż nie liczyła więcej lat niż Sophia, włosy miała już białe jak woskowa świeca. Kiedy na tarasie czytała pisma teologiczne Karla Bartha albo jakąś przyjemną powieść, albo gdy pielęgnowała kwiaty w swoim ogródku, schodzącym łagodnie ku jednej z odnóg zamkowej fosy, Quinten zatrzymywał się czasem przy płocie i patrzył na nią. Wtedy ona zawsze skinęła mu przyjaźnie głową, ale nigdy do niego nie machała, czego on zresztą wcale nie uważał za potrzebne. Musiała strasznie dużo wiedzieć, może nawet niemal tyle samo, co jego ojciec, bo wszyscy ciągle mówili: „Zapytaj pastorkę”, kiedy nie umieli odpowiedzieć. Najczęściej dotyczyło to Boga albo Jezusa Chrystusa, ale on nigdy o nic jej nie zapytał. Na ogół szedł po prostu dalej w stronę mostka.

Sophia zabroniła mu przechodzić na drugą stronę: mostek był wysoce romantyczną, zdezelowaną, chwiejną konstrukcją, w której brakowało desek i która z niewiadomych powodów stale przywodziła Maksowi na myśl pieśń Schuberta: *Leise flehen meine Lieder durch die Nacht zu dir*. Po drugiej stronie, w cieniu wysokich buków, stała oranżeria: niska, długa budowla o wielkich oknach, gdzie mieszkał Seerp Verdonkschot z przyjacielem. Nie tylko tam mieszkał, ale miał też swoje „muzeum regionalne”. Kiedy Quinten przychodził z wizytą, prawie nigdy nie było tam żadnych zwiedzających. Samego Verdonkschota też przeważnie nie było, ponieważ miał posadę na poczcie – mrukliwy człowiek, zdaniem Maksa rozgoryczony faktem, że nikt nie traktował go poważnie jako naukowca, ani uniwersytet w Groningen, ani muzeum regionalne w Assen. Może brało się to stąd, że swoje starocie oferował również do sprzedaży.

Jego przyjaciel, Etienne, czterdziestolatek z inklinacją do tycia, za każdym razem wystawiał na moment głowę zza rogu i mówił:

- Witaj, piękniśniu, znowu tu jesteś? Tylko żebyś czegoś nie podwędził!

Na ścianach wisały kolorowane mapy, ilustrujące zasięg kultury pucharów lejkowych w prowincji Drenthe, a w dwóch rzędach gablot eksponowane były prehistoryczne znaleziska Verdonkschota: kilkanaście kamiennych ostrzy oszczepów, liczących pięć tysięcy lat, pięściaki, zardzewiałe szpilki do włosów, skorupy garnków, na wpół przegniłe strzepy skór. To nie same eksponaty fascynowały Quintena, one były mu właściwie obojętne; chodziło o atmosferę tego jasnego pomieszczenia: idealną ciszę z tymi obrzydliwymi starymi przedmiotami, które powinny leżeć gdzieś głęboko w ziemi, a leżały w pełnym świetle, zupełnie jak rybie wnętrzności u rybaka we wsi. Było to tajemnicze, ponieważ nie powinno tego być. A najdziwniejsza z tego wszystkiego była myśl, że wszystkie te rzeczy leżą tu pod szkłem, nawet kiedy nikt nie patrzy na nie – także w nocy, kiedy tutaj jest ciemno, a on leży w łóżku. To było oczywiście niemożliwe, bo wtedy krzyczałyby przecież ze strachu i on by to słyszał w swoim łóżku; tymczasem nigdy w nocy nie dochodziły z oranżerii żadne krzyki. Czasami tylko pohukiwanie sowy. A więc na pewno istniały tylko wtedy, kiedy on je widział.

Po wyjściu z oranżerii zawsze wspinał się od razu na gład narzutowy, który też wyłonił się kiedyś z ziemi. Siadał na nim i czekał, aż kozioł Verdonkschota, Gijs, podbiegnie do niego zygzakowatymi skokami. Gdyby tylko mógł, z chęcią i bez wątpienia bodnąłby Quintena rogami, ale na to postronек był za krótki. Wtedy Quinten mówił do niego:

– Dlaczego jesteś dla mnie taki niedobry? – Wyciągał dłoń w jego kierunku, żeby pogłaskać go po łbie, ale kozioł usuwał się gwałtownym ruchem. – Przecież chyba nic ci nie zrobiłem? I tak cię lubię. Lubię cię o wiele bardziej niż Arendjego, on też tak bodzie ludzi głową do przodu. Lubię cię mniej więcej tak samo jak Maksa, ale bez porównania mniej niż tatę. Tatę lubię najbardziej na świecie. Kiedy bierze mnie na spacer, zawsze opowiada mi najróżniejsze rzeczy. Zna wszystkie języki i umie czytać tajne pismo. Wiesz, dlaczego nie mogę z nim mieszkać? Bo on jest strasznie zajęty zabawą w szefa. To dlatego prawie w ogóle nie przyjeżdża. Jest szefem pewnie z miliona milionów ludzi. Ciocia Helga też z nim nie mieszka. Jeszcze nigdy u niego nie byłem, ale on mieszka w takim pałacu w Amsterdamie. Jak dorosnę, to go odwiedzę. Zabiorę cię wtedy ze sobą. A wiesz, kogo lubię najnajbardziej? Mamę. Mama jest śmiertelnie zmęczona, mówi babcia. Mama zapadła w sen. A wiesz, czym się tak bardzo zmęczyła? Na pewno nie wiesz. A ja wiem. Powiedzieć ci? Tylko żebyś nikomu o tym nie mówił, bo to jest tajemnica, dobrze? Przynekasz, Gijs? To przez to, że cały czas musiała wszystkim machać ręką ze złotej karety.

40

Świat słów

Onno tymczasem był coraz bardziej zajęty zabawą w szefa. Któregoś późnego wieczora, w ostatniej fazie formowania się gabinetu, kiedy po wizycie u Helgi dotarł do domu po wypiciu kilku coli z rumem, zadzwonił polityk desygnowany do utworzenia rządu i spytał go, czy chciałby zostać sekretarzem stanu do spraw nauki i edukacji.

- Od kiedy takie sprawy leżą w gestii osoby desygnowanej do utworzenia rządu?

- Dzwonię w imieniu twojego ministra.

- Czy mogę się chwilę zastanowić?

- Nie.

- Nawet pięć minut?

- Nawet. Sprawa musi zostać zapięta na ostatni guzik w ciągu dwudziestu czterech godzin, bo przepychania trwały już całe pięć miesięcy. Naród się burzy.

- Czemu zawdzięczam ten zaszczyt, Janus?

- Pośrednio sugestii pewnego twojego przyjaciela, właściciela knajpy w tym mieście: nowego ministra budownictwa mieszkaniowego.

- A mój własny minister? Czy on wie, że moje nastawienie do nauki jest wybitnie negatywne?

- Tak, tak, Onno, jestem przekonany, że gabinet będzie miał przez ciebie spore problemy. No to decyduj się, bo mam jeszcze dużo innych zajęć. Tak czy nie.

- Skoro to sprawa wagi państwowej, to wszystko inne przestaje się liczyć. Tak.

- Wspaniale. Jutro rano o dziesiątej czekam na ciebie trzeźwego w Hadze, w ministerstwie. Zrobimy dobrą robotę. Dobranoc.

W jednej chwili wszystko się zmieniło. Onno był właściwie zadowolony ze swojej pracy na stanowisku kierownika wydziału, którą wykonywał już od czterech lat; chociaż instytucje państwowe z roku na rok coraz mniej miały do powiedzenia, to pod pewnymi względami jego wydział miał większą bezpośrednią władzę niż sekretariat stanu podlegający ministrowi. Prowadząc politykę na szczeblu gminy, miał jeszcze bezpośrednio kontakt z obywatelami, na szczeblu krajowym tak już nie będzie. Jednak to właśnie władza napępiała go niekiedy obrzydzeniem, zupełnie jakby doznał porażki; sprawowanie władzy było nieodzowne do funkcjonowania społeczeństwa, zarazem miała ona w sobie coś niedwuznacznie prostackiego. Poza tym zaletą jego obecnego stanowiska było, że pracował w Amsterdamie, a nie w tej mekce urzędasów, Hadze, z której kiedyś uciekł i do której teraz znowu musiałby codziennie jeździć – było błogosławieństwem dla Amsterdamu, że w Holandii siedzibą rządu nie jest stolica kraju. Z wielkim poczuciem wstydu od razu zdał też sobie sprawę, dlaczego powiedział „tak”: mianowicie, żeby przypodobać się ojcu i kłuć w oczy najstarszego brata. Dla nich od razu byłoby przecież jasne, że któregoś dnia na pewno zostanie ministrem: najwyższy szczebel politycznego błogosławieństwa.

Wciąż jeszcze patrząc na telefon, zdumiał się w pewnym momencie, że krótkie „nie” w odpowiedzi na pytanie: „tak czy nie?”, niczego by w jego życiu nie zmieniło, podczas gdy wyartykułowanie być może nawet jeszcze krótszego „tak” zmieniłoby, i to wiele, chociaż spektrogramy obydwu rozróżnić potrafiliby jedynie wytrawni fonetycy. Gdyby zaś powiedział „ken”, również niczego by to nie zmieniło, chociaż zgłoska ta również oznacza „tak”, tyle że po hebrajsku. Wszystko to było dla niego oczywiste, to był jego chleb powszedni, jego elementarz, a jednak nagle go to zaniepokoiło, a zarazem zaniepokoiło go własne zaniepokojenie.

Po wypowiedzeniu słowa „tak” jeszcze mniej miał czasu na wizyty w Groot Rechteren: od tego momentu Quinten częściej widywał go w telewizorze niż na żywo. Quinten chodził już do pierwszej klasy szkoły podstawowej w Westerbork i przy którejś z takich sporadycznych wizyt Onna – przyjechał po uroczystości otwarcia politechniki w Leeuwarden wielką granatową limuzyną służbową z dwiema antenami – Sophia oznajmiła mu z dumą, że Quinten właśnie nauczył się czytać.

– No to pokaż tatusiowi, co potrafisz – powiedziała, podając mu książeczkę.

- Pim jest w lesie - przeczytał Quinten, nie przesuwając palcem po linijce. Zanim jednak Onno zdążył go pochwalić, Quinten rzucił okiem na leżącą na podłodze gazetę i przeczytał nagłówek artykułu: - *Prezydent Kambodży Lon Nol przedłuża stan wyjątkowy.* - W pełnej zdumienia ciszy, jaka zapadła, powiedział: - Wcale się tego nie nauczyłem w szkole. Umiem to od dawna.

Pierwszy odezwał się Maks:

- Od kogo się nauczyłeś?

- Od pana Spiera.

Nie rozumiał, co w tym jest takiego szczególnego. W nieskazitelnie czystym gabinecie pana Spiera z ukośnie ustawionym stołem kreślarskim, gdzie z okna rozciągał się widok na las z tyłu zamku, do ściany przyczepione były w porządku alfabetycznym litery nowo zaprojektowanych czcionek: dwadzieścia sześć dużych kart kratkowanego papieru, na których zawsze była wielka i mała litera, które on nazywał odpowiednio „wersalikiem” i „minuskułą”. Pan Spier - który także w czasie pracy był nienagannie ubrany, w krawacie, kamizelce i z chusteczką w kieszonce marynarki - nie tylko opowiedział mu wszystko o „korpucie”, „szeryfach”, „chorągiewkach” i „ogonkach”, ale też przez kilka następnych dni brał go za rękę i krok po kroku prowadził wzdłuż ściany, wskazując literę po literze i wypowiadając je na głos, co Quinten po nim powtarzał. W ten sposób człowiek w mig się przecież uczy! Przy literze „Q” pan Spier zawsze unosił w górę palec wskazujący. Tę literę ochrzcił „Judith”, na cześć swojej żony. Pan Spier projektował też znaczki i banknoty, ale to działo się wyłącznie w drukarni w Haarlemie pod nadzorem policji, bo oczywiście było ściśle tajne. Pan Spier powtarzał, że zawsze śmieje się w duchu, bo w czasie wojny, kiedy musiał się ukrywać, ponieważ Hitler chciał go zabić, sam sobie fałszował różne rzeczy, takie jak niemieckie pieczęcie i dowody tożsamości.

- A kto to jest Hitler?

- Jak to miło, że znowu są na świecie ludzie, którzy tego nie wiedzą. Hitler to był szef Niemców, który chciał zabić wszystkich Żydów.

- A dlaczego?

- Ponieważ się ich bał.

- A kto to są Żydzi? - Tak, mnóstwo ludzi od dawna zadaje sobie to pytanie, Q.Q., sami Żydzi zresztą też. Może właśnie dlatego on się ich bał. W każdym razie nie udało mu się.

- To znaczy, że pan też jest Żydem?

- Jeszcze jak.

- A jakoś ja się pana nie boję. - A kiedy pan Spier się uśmiechnął, Quinten spytał: - A ja jestem Żydem?

- Wprost przeciwnie, o ile mi wiadomo.

- Wprost przeciwnie?

- To taki żart. Żydzi często tak robią, kiedy mówią o Żydach.
- Co z tobą, Quinten? – spytała Sophia. – Nad czym się zamyśliłeś?
- Nad niczym.

Maks nadal nie mógł tego wszystkiego pojąć.

- Dlaczego nigdy nam nie powiedziałaś, że umiesz czytać?

Quinten wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział.

- Sam widzisz, że ten młodzieniec każdego dnia stawia nas przed nowymi zagadkami – stwierdziła Sophia.

- Po prostu jest dziedzicznie obciążony wielkimi uzdolnieniami – przytaknął Onno. – Pozwolicie, że go sprawdzę? – A zwracając się do Quintena, spytał: – Czy widzisz coś dziwnego w nazwisku Lon Nol?

- Ma w środku lustro – powiedział bez namysłu Quinten.

- Nie do wiary! – wykrzyknął Maks, i to z podwójną radością: teraz już nie mogło być wątpliwości, kto dostarczył materiału genetycznego!

- Zupełnie jak... – próbował dalej Onno.

Opinten zastanawiał się przez chwilę, ale nie potrafił odpowiedzieć.

- Jak ja – powiedział Onno. Chciał jeszcze powiedzieć „i jak Ada”, ale zrezygnował; zresztą to nie do końca pasowało, ponieważ „d” w środku samo w sobie nie było symetryczne.

- No tak! – zaśmiał się Quinten i zakrył paluszkami wskazującymi obie literki „l”. – Jesteś w środku!

- Jestem w Lon Nolu... – powtórzył Onno. – Gdyby tak przewodniczący mojej partii to usłyszał, byłby to koniec mojej kariery.

- To się rymuje – powiedział Quinten – a więc jest prawdziwe.

Maks wybuchnął śmiechem.

- No nareszcie ktoś, kto traktuje poezję poważnie.

- Całkiem niedawno – powiedział Onno – mnie też poproszono, żebym czytał.

Mój s.g.

- A co to jest s.g.? – spytała Sophia.

- Nie „co”, tylko „kto”. Sekretarz generalny, najważniejszy urzędnik w departamencie, taki, który przeżyje wszystkich ministrów, ucieleśnienie wieczności.

- I co miałaś czytać?

- Zawsze wszystko. Oczywiście nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby odczytywać coś z kartki w parlamencie, tak jak to robią szanowni panowie deputowani; ja zawsze wypowiadałem swoje druzgocące prawdy z głowy. On jednak powiedział, że to rodzi złą krew, bo w ten sposób pokazuję im, jacy są nieporadni, i kiedyś się zemszczą. Jego zdaniem polityka holenderska nie potrzebuje talentów oratorskich – i co myślicie? Od tego czasu zniżam się do tego, żeby kłaść przed sobą jakieś papiery, nawet puste kartki, tak żeby Izba zawsze odnosiła wrażenie, że odczytuję. Czy to nie samobójstwo? – A kiedy Maks się zaśmiał, dorzucił: – Śmieję się, śmieję, ale ja coraz bardziej grzęznę w bagnie upadku. W polityce wszystko obraca się wokół słów, to budzący odrazę świat słów.

- Cóż – stwierdził Maks – mam wrażenie, że świat słów to idealne miejsce dla ciebie.

- No tak, ale na pewno nie w taki sposób. Kiedy w zamierzczłych czasach odcyfrowywałem teksty, były to konkretne czyny oderwane od samych tekstów, nawet jeśli sprowadzało się to do zamiany jednego słowa na drugie. Nadążasz?

- Nawet kiedy nikt już nie będzie za tobą nadążał, Onno, ja nadal będę.

- W polityce natomiast same słowa są czynami, a to zupełnie co innego. Siedzisz sobie w tym swoim Westerbork i słuchasz szumów z głębin kosmosu, ja zaś od rana do wieczora słucham słów: w departamencie, w parlamencie, w kantine, w biurze partii, w czasie obrad komisji, przez telefon, w samochodzie, na bankietach, w czasie przyjęć, rautów i wizyt roboczych, od ludzi, którzy szepczą mi coś do ucha, podsuwają mi liściki z informacjami, nawet jeśli to będzie tylko zdanie: „Uważaj na tego gościa”, czy coś w tym rodzaju. Ja też ciągle przy tych okazjach coś mówię na wszelkie tematy i do wszystkich, także w czasie konferencji prasowych czy wywiadów dla gazet czy dla telewizji. Próbuję przekonywać, próbuję wpływać na ludzi. To właśnie jest polityka, władza; wszystko jest werbalne, nieustająca zamieć słów. Nie jest to jednak zwyczajne mówienie, nie, to jest wypowiadanie się. Jest to działanie; robienie bez robienia. To oczywiście wspaniale, jeśli można zmieniać i poprawiać jakieś rzeczy, wcale się na to nie skarżę – świadomość jednak, że dzieje się to w ten właśnie sposób, zaczyna mnie powoli wykańczać.

- A to dlaczego? Cóż jest piękniejszego niż z d z i a ł a ć coś słowami? Czy pisarz robi coś innego? Albo pomyśl o Bogu.

- Słusznie – powiedział Onno. – Pomyślmy o Bogu. To nigdy nie zaszkodzi. „Na początku było słowo, a Słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo”.

- Czy to z Biblii? – spytał Quinten.

- Oczywiście! Według świętego Jana Stwórcy jest tożsamy ze Słowem stwarzającym świat, a zdaniem Psalmisty był to zarazem sam akt stworzenia: „Tak powiedział i tak się stało”. Bóg, słowo, świat – wszystko to jest ze sobą tożsame. Nie ma nic bardziej politycznego niż teologia chrześcijańska.

- Można to również odwrócić i powiedzieć, że polityka to sprawa religijna – powiedział Maks.

- I komu ty to mówisz? „Władza to zbrojna w miecz służebnica Boga”; tę zasadę ujętą w programie Partii Antyrewolucyjnej wyssałem z mlekiem matki. Ale te chrześcijańskie psy nigdy nie patrzyły na to od strony filozofii języka. To się tyczy oczywiście nie tylko polityki. Kiedy w dniu twoich urodzin wypowiedziałem w urzędzie stanu cywilnego słowo „tak”, również było to raczej działanie niż oświadczenie. Podobnie jak wówczas, kiedy nadałem tej cudownej istotce imię „Quinten”. Ale ja nie narodziłem się z boskiego wyboru, jak być może ty. Coś jest nie tak w tym werbalnym robieniu-bez-robienia. Nie odpowiada mi w tym, jak by tu powiedzieć... pewien niemoralny wymiar.

- Niemoralny wymiar... – powtórzył Maks – ...nie najlepiej to brzmi. – Z trudem powstrzymał się od spojrzenia w stronę Sophii, ponieważ nagle wydało mu się, jakby Onno mówił tak naprawdę o jego potajnym związku z nią, co oczywiście było nonsensem.

- Cesarz Napoleon upiększył Paryż – powiedział nagle Onno i zamilkł. Maks skinął głową i czekał na dalszy ciąg. – Król Salomon wybudował pierwszą świątynię w Jerozolimie.

- Też pewnie coś z Biblii – powiedział Quinten.

- Wszystko zawsze jest z Biblii.

- A jaki związek ma Napoleon z Salomonem? – zainteresował się Maks.

- A taki, że król Salomon nigdy w życiu nie położył nawet jednego kamienia na kamieniu. A więc jej nie wybudował. Wydał polecenie swojemu architektowi, żeby ten zbudował świątynię, ale on też jej nie zbudował. Świątynię zbudowała rzesza anonimowych robotników. Z jakiej zatem racji ten, który najmniej zrobił, zbiera największe laury?

- Ponieważ bez niego świątynia nie zostałaby zbudowana.

- A bez jego architekta? Albo bez robotników? A jednak tak naprawdę to właśnie Salomon jest budowniczym świątyni, wskutek potęgi i działania trzech słów: „Wybuduj mi świątynię!”, czy raczej dwóch: „*Tiwne migdász*” „Zbudować” znaczy widocznie „powiedzieć, żeby zbudować”. Czy to nie jest niesamowite, że tak się dzieje?

- Właśnie! - podchwycił Maks, który nagle poczuł, że sprawa jednak go dotyczy, choć w nieco inny sposób. - Nakazanie budowy świątyni to przynajmniej coś pięknego, ale wyobraź sobie rozkaz popełnienia czegoś niegodziwego. - Zwrócił się do Sophii: - Proszę może opowiedzieć, co pani wczoraj usłyszała, o tej czapce.

Sophia podniosła wzrok znad wykroju, który przyczepiała do kawałka materiału. Maks i Onno zobaczyli, że musiała się najpierw skupić: ten rodzaj rozmowy, jaki prowadzili, odbywał się w zasadzie poza nią, pewnie w ogóle uważała ją za pustą młodzieńczą gadaninę.

Sophia opowiedziała, że wczoraj zaprosiła na kawę pana Roskama, dozorcę, a on opowiedział o swoim ojcu, który był stolarzem u ojca dzisiejszego barona. Kiedy pan Roskam był mniej więcej w wieku Quintena, poszedł raz z ojcem do oranżerii, która spełniała jeszcze wówczas funkcję ogrodu zimowego. Na progu stał stary pan Gevers, też z synem, wówczas również mającym może ze sześć lat, i rzucił okiem na czapkę ojca pana Roskama. „Przynies łopatę, przyjacielu”. Ojciec pana Roskama przyniósł łopatę. „Wykop dół”. Ojciec pana Roskama wykopał dół. „Wrzuc tam czapkę. Nie mogę patrzeć na ten brudny łachman”. Ojciec pana Roskama zakopał czapkę i uklepał ziemię drewnianymi chodakami, a obydwaj chłopcy patrzyli na to. Jeszcze po pięćdziesięciu latach pan Roskam dygotał, kiedy o tym opowiadał. Jego ojciec myślał, że dostanie potem nową czapkę, ale nic takiego się nie stało.

- Pan Roskam? - spytał Quinten, który słuchał tego z otwartymi ustami.

- W tym właśnie rzecz - powiedział Onno. - Ilekroć usłyszę coś takiego, od razu wiem, dlaczego jestem lewicowcem.

- Jest właśnie tak, jak mówisz - powiedział Maks z przejęciem - najbardziej niemoralne jest to, że takie słowne sprawowanie władzy w ogóle jest możliwe. „Wybuduj mi świątynię!”, „Zakop czapkę!” Weźmy takiego Hitlera. W którymś momencie wydał przecież Himmlerowi swój najbardziej osobisty rozkaz: „Wymorduj wszystkich Żydów!” - trzy słowa, oczywiście tylko ustnie. Sam zaś nigdy w życiu nie zamordował ani jednego Żyda, tak zresztą jak Himmler i tak jak Heydrich czy Eichmann; tego dokonywali potem najostatniejsi szaraczkowie. W Auschwitz było jeszcze idiotyczniej: tam cyklon B wrzucali do komór gazowych sami żydowscy więźniowie. W ten sposób powstaje obraz, że faktycznego mordu nie dokonali mordercy, tylko same ofiary. Ten, kto to zrobił, tego nie zrobił, a zrobił to ten, kto tego nie zrobił. - Zauważył spojrzenie Sophii i nagle zamilkł. Żeby nie obciążać Quintena przeszłością, nigdy nie rozmawiał o tych sprawach w jego obecności, pod jego nieobecność też raczej nie.

- To właśnie mam na myśli - stwierdził Onno. - *Führerbefehl hat Gesetzeskraft*. U Hitlera zawsze masz wszystko w stanie czystym. Kiedy słowa stają się czynami, ulatniają się czyny i otwiera się piekło paradoksu, pochłaniając wszystko. Coś jest kompletnie nie tak z tym światem, a zarazem nie może być inaczej, niż jest. Może to kryzys wieku średniego, ale w deszczowe popołudnia, w porze zachodu słońca, gapię się czasem u siebie w ministerstwie przez okno i już cieszę się na myśl o dniu, kiedy skończę z polityką. Tam w Hadze wszyscy z lubością nurzają się w tej niemoralnej konstelacji, ale ja będę zadowolony, kiedy mówiąc, będę po prostu tylko mówił - tak jak teraz. A kiedy zechcę coś zrobić, to po prostu to zrobię, jak każdy przyzwoity człowiek. Właśnie otwierałem w Leeuwarden politechnikę: słowami, które zatem stały się czynem; następnie musiałem coś zrobić, mianowicie odsłonić pomnik: było to zatem działanie, które nie było działaniem, lecz jedynie czynnością symboliczną. To przecież niegodne człowieka! A kiedy dzień jest jeszcze smutniejszy, myślę sobie o królowej w tym jej zanurzonym w śmiertelnej ciszy pałacu: Jej Wysokość dzień w dzień zmuszona jest wykonywać takie niebędące działaniami działania, przez całe życie, i nigdy nie może wypowiedzieć własnych słów, lecz tylko nasze. Już choćby z szacunku dla jej osoby należałoby zlikwidować monarchię. - Wstał i podszedł do okna. - Polityka - podjął po chwili - szkodzi duszy człowieka. W polityce twój potencjalny śmiertelny wróg zawsze siedzi w pierwszym rzędzie audytorium. Dlatego muszę być nieufny wobec wszystkich, najbardziej wobec przyjaciół; a to z kolei oznacza, że bezustannie muszę gardzić samym sobą.

Nikt się nie odezwał. Maks z przestachem patrzył na swoje ręce, Quinten na potężne plecy ojca, a słowa, które przed chwilą usłyszał, brzęczały mu w uszach jak rój pszczoł. Po chwili Onno odwrócił się i rzekł do Maksa:

- Oczywiście dzisiaj zamierzałeś znowu lobbować w sprawie tych swoich zabawek, zgadza się? Kompletnie zbędnego trzynastego i czternastego teleskopu. Zdaję sobie sprawę, że w zasadzie ci to w tej chwili uniemożliwiłem. Ponieważ jednak znowu byłoby to uprawianie polityki, gdybym tę okoliczność wykorzystał, w swej nieskończonej dobroci tego nie uczynię.

Z westchnieniem ulgi Maks przyjął do wiadomości, że uwaga Onna na temat nieufności wobec przyjaciół nie była skierowana pod jego adresem.

- „Wybuduj dwa zwierciadła!” - powiedział Maks tonem, którym Onno zacytował Salomona: - Nie mam pojęcia, jak to będzie po hebrajsku.

- „*Tiwne szte mar'ot!*” Uważam to za wyrzucanie państwowych pieniędzy, użyteczność społeczna równa zeru, niemniej jednak mogę ci oznajmić, że udało mi się znaleźć pewne środki, kosztem paru instytucji poza granicami kraju, które oczywiście nie będą mi za to wdzięczne. „Król Onno, budowniczy dwóch zwierciadeł w Westerbork!” – powiedział uroczystym tonem. – Chociaż nie umiałbym nawet oszlifować szkła do okularów, jak Spinoza. Jakiż to jednak ze mnie z gruntu dobry człowiek! – Obejrzał się za siebie: – A gdzie Quinten?

- Z nim to nigdy nic nie wiadomo – rzekła Sophia.

*

Quinten wyszedł na dwór. Na dziedzińcu przed zamkiem stał samochód z dwiema antenami – taki, który w jednej chwili jeszcze się nie porusza, a w następnej potrafi już jechać sto na godzinę. Kierowca palił papierosa przy balustradzie zamkowej fosy i skinął mu przyjaźnie głową. Quintenowi ten samochód podobał się bardziej niż samochód wujka Diederica, komisarza królowej. W zamyśleniu przeszedł mostek i spojrzał na koła przy ścieżce prowadzącej do drzwi Pieta Kellera. Królowa siedziała w swoim pogrążonym w śmiertelnej ciszy pałacu i nie mogła nic mówić. Teraz wiedział już na pewno, że ta królowa to jego mama. Inaczej przecież jego ojciec nie zasiadałby w rządzie i nie miałby takiego ładnego auta z kierowcą; jego wujek jako jej komisarz nie mieszkałby w eleganckim domu w Assen, żeby taty pilnować. Nawet jego własny ojciec to przed nim ukrywał, bo to była oczywiście wielka tajemnica. W szkole pewnie się czegoś domyślali, bo inaczej nie byłiby dla niego tacy niedobrzy. Zazdrościli mu, bo sami mieli najzwyklejsze w świecie matki w sukienkach w kwiatki i z papilotami we włosach, i mieszkali w chłopskich zagrodach albo takich dziwnych małych domkach, przyklejonych jeden do drugiego. Dzieci ze swojej klasy jeszcze potrafił jakoś zrozumieć, ale i tak mówiły z trochę innym akcentem niż on i miały inne głowy. Ich włosy były czasem prawie białe, a oczy przypominały oczy ryb. Chłopcy lubili grać w piłkę nożną, co jego, syna królowej, odstręczało. Taka piękna okrągła piłka – kto to widział, żeby ją kopać! Równie dobrze można by kopać ludzi. Gdy się jest synem królowej, nie robi się takich rzeczy. Ale wszyscy Żydzi mieli być zabici przez Hitlera w komorach gazowych – tym razem powiedział o tym Maks. Może on też jest Żydem, musi go kiedyś o to zapytać; strasznie się nagle przejął, kiedy zaczął mówić o Hitlerze. Ależ to musiał być łądak: żeby myśleć o zabiciu pana Spiera... Kiedy myślał „Hitler”, widział przed sobą ogromną, muskularną postać, kanibala o długich blond włosach powiewających na wietrze, śpiącego nocami w starych kurhanach gdzieś na łąkach.

- Możesz uważać, jak idziesz, Kuku?

Podniósł wzrok. Selma Kern mijala go właśnie na rowerze w swojej monstrialnej sukni. Ten pomnik, z którego ojciec dzisiaj zdejmował zasłonę, być może wykonał pan Kern. Wystarczyło tylko odłupać zbędny kamień, a potem zdjąć zasłonę. Może pan Kern tak samo zdejmował czasem sukienkę z pani Kern, że nagle stawała w pokoju całkiem naga. Quinten wybuchnął śmiechem. Ale widok! A może Maks robił to samo z babcią, kiedy nocą wchodziła do jego łóżka, bo było jej zimno; ale o tym nie chciał dalej myśleć. Spojrzał w stronę atelier pana Kerna: rzeźbiarza nie było, na drzwiach wisiała kłódka. Drzwi do warsztatu pana Roskama były otwarte, zobaczył go, jak szuka tam czegoś po omacku. Jego ojciec musiał zakopać swoją czapkę. A co by było, gdyby to jego ojciec musiał na polecenie barona zakopać czapkę? Na pewno by tego nie zrobił! Zresztą nawet nie miał czapki. Czy pan Roskam rozmawiał kiedyś o tym z panem baronem? Chyba nie. Na pewno śmiertelnie się tego wstydził, a może o tym zapomniał?

Wzdłuż domu pastorki poszedł do oranżerii, spod której właśnie odjeżdżał samochodem Etienne. Opuścił szybę i powiedział:

– Teraz nie możesz tam wejść, piękniśiu, bo jadę do wioski. Wpadnij jutro.

Kiedy usłyszał dudnienie obluzowanych desek mostka, szczegółowo wyobraził sobie tamtą sytuację. Pan Roskam i jego ojciec wyszli z domku ogrodnika, w którym mieszka teraz pastorka, a na progu oranżerii stał stary pan baron z synem. Roskamowie znajdowali się zatem mniej więcej w tym samym miejscu, co on teraz. Tu jednak podłoże było twarde i nie dałoby się wykopać dołu. Quinten odwrócił się i rozejrzał, żeby zobaczyć, gdzie on sam wykopałby dół, gdyby mu kazano. Zrobił kilka kroków z utwardzonej części do miejsca, gdzie zaczynała się miękka ziemia lasu, pokryta teraz opadłymi liśćmi. Podniósł kamień i położył go w miejscu, gdzie musiała leżeć czapka. Następnie wrócił do pana Roskama.

Pan Roskam był już stary; obcęgami próbował zdjąć nakrętkę z kranu i najwyraźniej nie miał już dość siły. Kiedy Quinten spojrział w jego smutne oczy, miał od razu ochotę powiedzieć mu, że znalazł czapkę jego ojca. Ale pomyślał sobie, że będzie zabawniej zrobić mu niespodziankę.

– No, co tam, Kuku, znowu na wojennej ścieżce?

– Mogę na chwilę pożyczyć od pana szpadel?

– Będziesz szukał skarbów?

– Aha – powiedział Quinten.

– Tam stoją. Weź ten najmniejszy. Tylko odnieś go z powrotem, i żeby to nie było strasznie późno, teraz już wcześniej robi się ciemno.

Wróciwszy do oranżerii, Quinten odłożył na bok kamień, odgarnął nogą liście i wbił szpadel w ziemię. Na jakiej głębokości może leżeć czapka? Na pewno nie głębiej niż trzydzieści centymetrów. Aby zwiększyć szansę jej znalezienia, postanowił wykopać rowek długości metra, wtedy z pewnością się na nią natknie. Ostrożnie, aby nie uszkodzić czapki jeszcze bardziej, niż była zniszczona po pięćdziesięciu latach spędzonych w ziemi, zaczął kopać. Na głębokości dziesięciu centymetrów znalazł kamień, który odrzucił na bok. W chwilę potem pokazał się kolejny. Quinten trochę się zmartwił. A więc czapka leżała jednak trochę bardziej z tyłu albo z boku, a on nie może przecież przekopać całego terenu. Jak to dobrze, że nic panu Roskamowi nie powiedział. Zaczęło zmierzchać. Wtedy na jego szpadlu znalazły się nagle cztery kamienne groty – dokładnie takie same, jak te z oranżerii, z gablotek pana Verdonkschota. Starocie! Znalazł coś znacznie ważniejszego od czapki! Na pewno spodoba się to Etienne’owi i panu Verdonkschotowi! Spojrzał ponownie na dwa kamienie, które przedtem odrzucił. Nie było wątpliwości: kamienne pięściaki.

Z przejęciem poupychał znaleziska w kieszeniach, zasypał rowek, udeptał ziemię i przysypał liśćmi, tak że nikomu do głowy by nie przyszło szukać tutaj prehistorycznych przedmiotów. Bardzo był zadowolony, że Gijs siedzi w swojej obórce i nie widzi, co on robi. Postanowił nic nie mówić panu Roskamowi, ponieważ pewnie zadałby mu pytanie, po co w ogóle zaczął tam kopać, a co on by mu wtedy odpowiedział?

Światło w warsztacie jeszcze się świeciło, ale nakrętka nadal nie puszczała.

– No i? – spytał pan Roskam, nie podnosząc oczu, kiedy Quinten odstawiał szpadel. – Znalazłeś?

– Tak.

– To świetnie.

Na szczęście nie zadawał dalszych pytań. Kierowca siedział już w samochodzie, z którego dobiegała cicha muzyczka; niemal bezgłośnie pracował silnik, widocznie kierowcy zrobiło się zimno. Na piętrze w pierwszym pokoju nie paliło się światło, ale kiedy tam wszedł, wszyscy siedzieli na swoich miejscach w zapadającym zmierzchu.

– Coś nabroiłeś – powiedziała Sophia.

– Szukałem czapki ojca pana Roskama.

Znowu zapadła cisza, którą dopiero po dość długim czasie przerwał Maks:

– Aha... szukałeś czapki ojca pana Roskama...

– Tak.

– No i? – spytał Onno.

– Wykopałem taki rowek i popatrzcie, co znalazłem.

Położył znaleziska na stole i zapalił światło. Wszyscy troje podnieśli się z miejsc i pochylili nad przedmiotami.

– Fantastyczne! – wykrzyknął Maks. – Quinten! Nie do wiary! – A do Onna rzekł: – Cóż za niewyobrażalna ironia losu. Bóg raczy wiedzieć, dokąd ten człowiek jeździ kopać, a to, czego szuka, leży pod jego progiem.

– Hmm – powiedział Onno w zamyśleniu, podnosząc do lampy jeden z grotów.

– Tak to w życiu bywa – stwierdziła Sophia.

– A może to nie jest aż takie niesłychane – zastanowił się Maks. – Fakt, że od wieków stoi tutaj zamek, może świadczyć o tym, że to miejsce było zamieszkane już w epoce neolitycznej.

– Czy te przedmioty leżały w jednym rzędzie? – spytał Onno Quintena.

– Tak.

Onno dmuchnął na jeden z grotów, zwilżył go śliną i jeszcze raz uważnie obejrzał. Następnie spojrział na Maksa i rzekł:

– Nie jestem wprawdzie archeologiem, ale z mojego poprzedniego życia mam doświadczenia z pewnym gatunkiem archeologów. Powiedzieć wam, co myślę? Ten gość z oranżerii... jak on się nazywa?

– Verdonkschot.

– Otóż pan Verdorikschoot sam wykonał te przedmioty i zakopał w ziemi, żeby przez następnych parę lat stawały się prehistoryczne i żeby potem móc je sprzedać za ciężkie pieniądze. Daję głowę. Cała ta jego kolekcja to falsyfikaty.

Maks patrzył na niego zdumiony, a potem z rozmachem usiadł na kanapie.

– Ależ oczywiście! Oczywiście! – wykrzyknął.

– No tak, ty się śmiesz – powiedział Onno – bo tobie zawsze do śmiechu, a tymczasem mamy problem. Pewnego dnia oszuści odkryją, że coś zniknęło, a zatem że zostali zdemaskowani.

– Mam to odłożyć na miejsce? – spytał Quinten.

– A zorientują się, że tam kopałeś?

– Przykryłem wszystko liśćmi, tak jak było.

– Świetnie. Mamy październik, a zanim znowu będzie widać gołą ziemię, zrobi się luty lub marzec przyszłego roku. Wtedy już nie będzie śladu po twoim kopaniu, tylko rzeczy znikną, ale to już nie nasze zmartwienie. Może zresztą oni zechcą wykopać swój towar dopiero za trzy, cztery lata, ponieważ na moje wyczucie te przedmioty wcale jeszcze nie wyglądają dość starożytnie. Nie, pewnie jednak nie będzie problemu. Możesz to wyrzucić do śmieci.

– Co za łobuzy! – powiedział oburzony Quinten. – Czy nie powinniśmy zgłosić tego na policji?

– Naturalnie – przytaknął Onno. – Z prawnego punktu widzenia jest to nawet nasz obowiązek. Proponuje jednak dać sobie z tym spokój, bo to nic przyjemnego. Jest wprawdzie rzeczą haniebną, że mówię coś takiego jako decydent, ale policja z pewnością nie będzie nam miała za złe, że nie przyszło nam do głowy to, co od razu przyszło nam do głowy.

Widocznie jednak policja miała też inne kanały, którymi doszła do prawdy, ponieważ w rok później nagle pojawił się pod oranżerią granatowy radiowóz, policjanci w bluzach, bez służbowych czapek, wsypali zawartość gablotek do plastikowych worków na śmieci i przy milczącej asyście niemal wszystkich mieszkańców aresztowali Etienne'a i pana Verdonkschota. Quinten cały się trząsał, widząc ich takich bezbronych, jak wsiadają do radiowozu; popatrzył na Sopię i wyszeptał: „Tatuś ma zawsze rację”, a ona przyłożyła tylko palec do ust. Co to by było, gdyby to wszystko stało się dlatego, że tato na nich doniósł! Etienne pomachał mu jeszcze przez zakratowane okienko. Następnego dnia informacja o zdarzeniu pojawiła się nawet w krajowej prasie. Tym samym pozycja obydwu przyjaciół w Groot Rechteren była nie do utrzymania i baron wymówił im ze skutkiem natychmiastowym. Żona Pieta Kellera opiekowała się przez tydzień kozłem, ale po przeprowadzce i on zniknął, a oranżeria pozostała niezamieszкана.

Quintenowi najbardziej brakowało zwierzaka. Jeszcze w parę tygodni później chodził czasem, żeby usiąść na wielkim kamieniu, a wtedy oczyma wyobraźni widział, jak Gijs znowu zbliża się do niego zygzakowatymi skokami – ale kozła nie było, powietrze było puste, i ta pustka i brak okazały się tak bezbrzeżne i całkowite, że Quinten nie mógł tego znieść. Miał wrażenie, jakby dotknęło to cały świat, i las, i zamek, wszystko było wypełnione niewyobrażalną nieobecnością w tym miejscu, tak że to, co było, w ten czy inny sposób zarazem nie było, właściwie być nie mogło, czy też nie powinno. Z kim teraz tutaj rozmawiać? Kiedy pewnego razu wybuchnął szloch, postanowił już tu więcej nie przychodzić.

Mniej więcej takiego samego uczucia doznał, gdy pod koniec lata nastąpiła plaga os. W oknach pozakładano siatki, ale wydawało się, jakby owady przenikały przez metrowe mury, w każdym pokoju brzęczały ich dziesiątki, objijając się o sufit czarno-żółtymi ciałami: perfidna kombinacja barw, która dawała do zrozumienia, że z ich strony nie można spodziewać się litości. To głupie, uważał Quinten; skoro już się jest łobuzem, lepiej się z tym przecież nie obnosić, raczej należy okryć się na przykład łagodnym błękitem lub różem. Ale tak naprawdę ich pasiasty kamuflaż służył oczywiście do odstraszenia owadożernych ptaków. Nie wiadomo było, skąd się nagle brały; poza tym wyglądało na to, że w środku jest ich więcej niż na dworze, zupełnie jakby siatki dawały odwrotny skutek. Kiedy pewnego popołudnia Quinten snuł się po najostatniejszych zakamarkach strychu, nagle przystanął i przekrzywiwszy głowę, nasłuchiwał. Uświadomił sobie, że cały czas powietrze prawie niesłyszalnie wibruje i że jest to raczej wrażenie niż dźwięk. Także i tutaj o belki stropu objijały się osy, ale ten dźwięk musiał pochodzić skądinąd: mianowicie od strony pokoi, w których baron Gevers składował sprzęty. Quinten zatrzymał się przed jednymi drzwiami. Wiedział, że za nimi znajduje się niewielki pokoić, czy raczej narożnik poddasza, gdzie kiedyś być może sypiała praczka, a gdzie teraz piętrzyło się tylko kilka pordzewiałych ram żelaznych łóżek. Ostrożnie nacisnął klamkę i powoli uchylił drzwi. Znieruchomiał. Miał wrażenie, jakby patrzył na coś świętego, co w zasadzie nie powinno istnieć.

Niby gigantyczna kropla nie z tego świata wisiła pod sufitem gniazdo os – nie dokładnie pośrodku, tylko w absolutnej zgodzie ze złotym podziałem, którego nauczył go pan Themaat. Wyglądało, jakby było zrobione z zakurzonego złota. Setki os chodziły po nim, wchodziły i wychodziły z otworu i fruwały po całym pomieszczeniu, ale niemalże bezgłośnie, zupełnie jakby nie chciały przeszkadzać królowej, która tam, w najciemniejszym środku gniazda, składała jajeczka. Nagle owady przestały być niebezpieczne, sprawiały już tylko wrażenie skromnych i miłych. Okno było zamknięte. Kiedy Quinten delikatnie zamknął drzwi, stało się tak, jakby widok tamtej tajemnicy zapadł w niego głęboko, zupełnie jakby go połknął.

Przy wejściu na strych natknął się na Arenda, który chodził już do szóstej klasy i nie chciał słyszeć o „małym Arendjem”. Kiedy Quinten opowiedział mu o swoim odkryciu, udał się tam z niedowierzaniem, otworzył raptownie drzwi, wykrzyknął: „o, ja cię kręcę”, szybko zamknął drzwi i pognął po ojca. „Dobra robota, Kuku”, powiedział Proctor i natychmiast podjął odpowiednie środki. Ku oburzeniu Quintena w pół godziny później na schodach pojawił się parobek z sąsiedniego gospodarstwa, na plecach niosąc opryskiwacz z pestycydem. Na górze poprosił o miotłę, otworzył drzwi pomieszczenia i jednym ruchem strącił gniazdo z sufitu, potem szybko cofnął się kilka kroków i przez dziesięć, piętnaście sekund wtryskiwał do pomieszczenia gęstą mgłą trującego gazu, celując przede wszystkim w zniszczone gniazdo, potem jeszcze wahadłowym ruchem opryskał całe pomieszczenie i z uśmiechem skinął do Proctora, że można zamykać drzwi. Wszyscy patrzyli zdumieni na Quintena, który nagle zbladł jak ściana i zwymiotował.

Parobek powiedział, że przez cały tydzień najlepiej nie zbliżać się do tego pokoju; Quinten jako jedyny pamiętał o gnieździe. Ponieważ tak fatalnie się wygadał, uważał, że musi to teraz jakoś naprawić. Osy tymczasem zniknęły z zamku i Quinten wyjął z zapchanej najniższej szuflady kuchennej szafki plastikową torbę. Kiedy znalazł się na górze, zatęchły pokój nie miał już w sobie ani odrobiny czaru. Podłoga wokół sponiewieranego gniazda usiana była ciałami martwych, wysuszonych owadów. Cała społeczność została wymordowana – Quinten słyszał od Pieta Kellera, że takie gniazdo os nazywa się „społecznością”. Gniazdo było teraz wypłowiałe jak stary, zmruszały papier pakowy i takie też sprawiało wrażenie w dotyku. Quinten podniósł je obiema rękami – było leciusiśkie, można by powiedzieć, że było przeciwieństwem ciężaru, tak samo jak wypełniony gazem balon, który trzeba wręcz przytrzymywać, aby nie uniósł się w górę – i ostrożnie włożył je do plastikowej torby. Potem pożyczył od pana Roskama szpadel, zakopał je pod brunatnym dębem i zaznaczył ten masowy grób kamieniem, na który mógł patrzeć z zamku.

Nieobecności

Quinten miał dziewięć lat, kiedy Maks dwukrotnie w ciągu dwóch tygodni zapalił świeczkę. Najpierw Quinten usłyszał, że zmarła jego prababka, stara pani Haken; a potem, że jego dziadek Hendrikus Jacobus Andreas Quist, minister stanu, kawaler Wielkiego Krzyża Orderu Dynastii Oranje, Wielkiego Orderu Niderlandzkiego Lwa, Wielkiego Krzyża Orderu Oranje-Nassau itd., itd., zasnął w Panu w wieku osiemdziesięciu czterech lat. W trzyszpaltowym nekrologu, któremu towarzyszyło dziesięć innych, również jemu poświęconych, na długiej liście nazwisk członków rodziny widniało także nazwisko Quintena Quista z Westerbork. Maks pokazał mu to, ale niemal natychmiast tego pożałował: mogło to wywołać pewne trudne pytanie, ale ono się nie pojawiło; widocznie chłopiec nic nie zauważył. Kiedy Quinten poszedł już spać, Maks porozmawiał z Sophią o tym, że Ada Quist-Brons z Emmen nie została wymieniona w nekrologu. Sophia uważała to za słuszne, ponieważ jej córki tak jakby już nie było. Zapomniała mu powiedzieć, że Onno zadzwonił do niej w tej sprawie; byli tego samego zdania.

Quinten nie uczestniczył w uroczystości kremacji matki Sophii. Maks uważał też, że nie należy go obciążać żałobą z powodu kogoś trzy pokolenia starszego, kogo prawie nie znał, ale jego nieobecność na pogrzebie ojca Onna była już wykluczona. Quinten pojawił się kilkakrotnie w domu dziadków w Hadze, także resztę rodziny widywał sporadycznie w czasie urodzin i innych uroczystości; od czasu do czasu jakiś kuzyn czy kuzynka nocowali w Groot Rechteren, ale nie czuł z nimi specjalnej bliskości. Rodzina ze swej strony również traktowała go raczej jako kogoś z zewnątrz: o ile już Onno był dziwaczną odnogą rodziny Quistów – jakkolwiek ostatnimi laty w nieco mniejszym stopniu – o tyle Quinten, wychowywany przez babkę i zupełnie obcego mężczyznę, był dla nich kimś z innego świata. Ponadto jego uroda „nie pasowała do Quistów”, ponieważ, jak wyraziła się ciotka Antonia, „Quist nie może być ładny”. Uroda była właściwie czymś nieodpowiednim dla ludzi przyzwoitych.

Aby uniknąć krępujących sytuacji, Helga nie przybyła na pogrzeb, także Maksowi instynkt podpowiedział, że nie ma tam czego szukać. Zawiózł Quintena i Sophię do Hagi, do ministerstwa, gdzie przyjęła ich pani Siliakus, nadal pracująca u Onna jako sekretarka; Maks natomiast pojechał dalej, do Lejdy, do obserwatorium.

Onno siedział za biurkiem, mając nad głową portret królowej, i rozmawiał z jakimś urzędnikiem.

– Sam jeden na świecie! – wykrzyknął z udawaną rozpaczą, kiedy weszli, lecz tym, co naprawdę udawał, nie była rozpacz, tylko udawanie rozpaczcy.

Po złożeniu jeszcze kilku podpisów – które wyglądały jak bicz tresera w momencie, kiedy z niego strzela – odbyciu rozmowy telefonicznej i wetknięciu głowy w jedne czy drugie drzwi na opustoszałych korytarzach pojechali jego samochodem do domu przy Statenlaan. Przy zasuniętych portierach zebrало się tam kilkadziesiąt osób z rodziny i najbliższych przyjaciół, rozmawiających ze sobą przyciszonymi głosami, podstawiających Cobie filiżanki do kawy i sięgających po makaroniki w wielkiej misie.

Wszystko świadczyło o tym, że Onno jest teraz głową klanu – oczywiście w porównaniu ze zmarłym kompletne zero, marny sekretarzyna stanu, niemniej jednak zmarły był już po prostu zmarły. Wszyscy się rozstępowali, komisarz królowej uściśnął mu dłoń, prokurator generalny spojrzął głęboko w oczy, Onno ucałował Dol i otoczył ramieniem matkę, która siedziała w fotelu na kółkach i wybuchnęła płaczem na jego widok. Następnie trzymając Quintena za rękę, udał się do sąsiedniego pokoju, gdzie płonęły świece i gdzie unosił się duszący zapach mnóstwa kwiatów. Stary Quist, po długim życiu dla królowej i ojczyzny, leżał na marach tuż obok pulpitu z otwartym ogromnym tomem Biblii.

Quinten przeraził się. On naprawdę leży w trumnie, wsadzili dziadka do trumny! Głowa na satynowej poduszce była zmieniona nie do poznania. Quinten pamiętał jeszcze tę pełną, surową, monumentalną twarz, mającą w sobie jednak coś dobrotliwego – a teraz miał przed sobą marmurową rzeźbę drapieżnego ptaka, fanatycznego jastrzębia, takiego, jakiego kilka razy widział spadającego niby łopocząca kłątwa na polną mysz. Na jego czole i skroni widniały dziwne plamy; między wargami coś lśniło, jakby były złączone ze sobą klejem.

– Czy to naprawdę dziadek? – spytał szeptem.

– Raczej nie – powiedział Onno. – Dziadka już nie ma.

Po drugiej stronie trumny stała jego siostra Trees i spojrzała na niego z wyrzutem.

– Dziadek zamienił życie doczesne na wieczne – powiedziała do Quintena.

Quinten szeroko otwartymi oczami patrzył na nieruchomą zawartość trumny, zupełnie nie rozumiejąc, co widzi. Leżało tam coś niemożliwego. Wszystko, co dotąd widział w życiu, było możliwe, ponieważ istniało; tymczasem tutaj leżało coś, czego nie można było zobaczyć, a on jednak to widział. To był dziadek, a jednocześnie nie był to dziadek!

Trees zaczęła niespodziewanie czytać łagodnym głosem z otwartej Biblii:

– „Potem powiedział do niego: Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Ujrzyście niebiosa otwarte i aniołów Bożych wstępujących i zstępujących na Syna Człowieczego”.

Quinten patrzył na nią zdumiony i w tym samym momencie wyobraził sobie cienką, wijącą się strużkę mrówek, wspinających się i schodzących po drzwiach szafki kuchennej, na której ktoś rozsypał cukier. Onno z trudem powstrzymał się, żeby jej nie wygarnąć, że przecież sama wybrała wspinanie się po drabinie społecznej zamiast po Jakubowej, a to obrzydliwe czytanie to zwykła farsa na użytek Quintena.

Chwilę później pojawiło się sześciu mężczyzn w czerni, z wiekiem. Quinten patrzył, jak babcia To, podtrzymywana przez wujka Diederica, składa ostatni pocałunek na czole dziadka, po czym wieko zostaje nałożone na trumnę. Ujrzał cień zakrywający twarz dziadka i lekko przygiął kolana, by rzucić na nią ostatnie spojrzenie. Kiedy zniknęła w ciemnościach i drewno stuknęło o drewno, usłyszał, jak z piersi Onna wyrywa się głębokie westchnienie, zupełnie jak u zwierzęcia, które długo siedziało w niewoli i nareszcie znalazło się z powrotem na wolności. Spojrzał w górę na ojca i ujął jego dłoń – a kiedy Onno poczuł jego małą rączkę w swojej dłoni, odniósł wrażenie, jakby był synem swojego syna.

Quinten wzdrygnął się, zobaczywszy nagle na dworze długi szereg wielkich, czarnych limuzyn. Po drugiej stronie ulicy stali sąsiedzi, gapiąc się z rękami skrzyżowanymi na piersiach, kto wychodzi z ich domu; zjawiała się też policja. Dwóch policjantów na motorach z zapalonymi silnikami stało na czele kolumny, z jedną nogą opartą o ziemię, patrząc chłodno przed siebie, jakby ta śmierć należała do nich. Trumnę wsunęto do pierwszego samochodu, kwiaty i wieńce zapakowano do dwóch następnych. Na polecenie łysiejącego człowieczka, biegającego na wszystkie strony z plikiem papierów w dłoniach, Quinten znalazł się w trzecim samochodzie, na odchylanym krzeselku naprzeciwko Sophii, syna Diederica, Hansa, obecnie konsula w Liberii, oraz ciotki Hadewych; Onno usiadł obok szofera. W tempie już nie z tego świata kolumna ruszyła do Wassenaar, mijając na każdym skrzyżowaniu salutujących policjantów. Pod kościołem w centrum wsi, gdzie gapiów oddzielono barierkami, stały już inne wielkie samochody, ale poza ekipą telewizyjną, fotografami, szoferami i mnóstwem policjantów nie było wielu osób. Przez otwarte szeroko drzwi dobiegała muzyka organowa, która w jakiś czas potem ucichła.

Kiedy Quinten wszedł do środka, przytłoczył go zarówno tłum, jak i panująca tam cisza. Wszyscy w zapełnionym po brzegi kościele podnieśli się z miejsc. Dwa pierwsze rzędy były puste; kiedy podszedł do krzesła, które wskazał mu ten człowiek z papierami, zobaczył, że pośrodku trzeciego rzędu stoi siwa królowa. Nie tylko ona obróciła na niego wzrok, wydawało się, jakby wszyscy na niego patrzyli; on jednak zdążył się już przyzwyczaić, że cały świat zachwyca się jego urodą.

Mając tuż za sobą królową, a tuż przed sobą babcię To na wózku, słyszał pastora, psalmy i śpiewy, ale się im nie przysłuchiwał. Przez jakiś czas już o tym nie myślał, ale teraz przyszło mu do głowy, że ta królowa oczywiście nie może być jego matką, ponieważ po pierwsze nie śpi, a po drugie jest o wiele za stara; ponadto ani jednym znakiem nie zasygnalizowała, że go poznaje. Po jednej jego stronie siedziała babcia Sophia, po drugiej Rudy z Rotterdamu, chłopiec w jego wieku. Palcem przyciskał do uda gumkę recepturkę, a drugą ręką naciągał ją, by po chwili puścić, dopóki Paula, jego matka, raptownym ruchem mu jej nie odebrała.

Kiedy wreszcie się skończyło i Quinten szedł za trumną wąską alejką między grobami, mając z jednej strony Onna, a z drugiej Sophię, spytał nagle:

- Tato?

- Słucham?

- A dlaczego mamy nie było w tym wielkim ogłoszeniu w gazecie?

Onno spojrzał na niego i nie od razu przyszła mu do głowy odpowiedź. Sam długo się nad tym zastanawiał, rozmawiał też na ten temat z Helgą i Dol. Wszyscy uznali, że należy wymienić Adę wśród członków rodziny, chociaż jest nieosiągalna; tyle że jego zdaniem wcale nie była „nieosiągalna”, ponieważ takie stwierdzenie zawierało w sobie możliwość bycia osiągalną, a tej już przecież nie było. Czy o roślinie można powiedzieć, że jest „nieosiągalna”? Jego siostra nazwała to „zabawą słowami”, na co odparł, że widocznie on całkiem inaczej pojmuje zarówno „słowa” jak i „zabawę”. Tylko jego teściowa była tego samego zdania co on; nikt nie pomyślał, żeby spytać Quintena. Onno spojrzał zmieszany na Sophię. Po raz drugi w życiu Quinten powiedział coś na temat Ady.

- Nie możemy mamie przeszkadzać – usłyszał własne słowa i w tej samej chwili uświadomił sobie, że zupełnie nie zgadzało się to z rzeczywistym motywem jego decyzji.

- Bo inaczej się obudzi?

Onno spojrzał na Sophię, szukając pomocy.

- Nie, skarbie – powiedziała Sophia. – To już niemożliwe. Quinten skinął głową bez słowa.

Mały wiejski cmentarzyk był o wiele za mały, żeby wszystkich pomieścić. Kiedy stali już półkołem wokół grobu, królowa teraz obok babci To, nieruchomy szereg wił się jeszcze ścieżkami aż do samego kościoła. Wiele osób miało wieńce, jeszcze więcej kwiaty: dlaczego właśnie kwiaty? Czy kamienie nie byłyby właściwsze? Podczas gdy premier rządu wyliczał nieocenione zasługi, jakie zmarły położył dla kraju, Quinten trzymał Onna za rękę i patrzył na trumnę. Po obu jej bokach stało sześciu mężczyzn w czerni, a za nią, pod cmentarnym murem, w równym szeregu czterech starców, każdy z kolorową wstążeczką w klapie. Między sosnowymi gałęziami widział mroczną otchłań dziury, w której zaraz zniknie na zawsze dziadek.

- Tato? - powiedział szeptem, kiedy premier zakończył przemówienie. Podniósł wzrok w górę i dopiero wtedy zobaczył, że po policzkach Onna płyną łzy. Nie miał już odwagi o nic zapytać, ale Onno odezwał się zduszonym głosem:

- Tak?

- Jednak chciałbym kiedyś zobaczyć mamę.

Onno zamknął oczy i w milczeniu skinął głową.

*

W wieku czterech lat Quinten po raz pierwszy powiedział coś na temat matki, teraz był już dwa razy starszy. Nic nie wiedział o wypadku; poza tym zachowywał się tak, jakby zapomniał, że na gzymsie kominka stoi zdjęcie Ady; nikt nigdy nie widział, żeby kiedykolwiek na nie patrzył. Wszyscy byli zgodni, że powinien iść do matki tylko z ojcem. W tydzień później Onno polecił pani Siliakus, żeby odwołała spotkanie z przedstawicielami laboratoriów Philipsa, następnie zadzwoniła do domu opieki i w imieniu sekretarza stanu poprosiła, aby następnego dnia dokładnie w południe usunięto Adzie sondę z nosa. Chociaż Onno wciąż nie miał zbyt wiele czasu, pojechał po Quintena do zamku, a potem pomknęli z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę lokalną drogą do Emmen. W programie miał jeszcze rozmowę z dyrektorką Unii Gazowej w Groningen; wieczorem musiał wrócić do Hagi na rządowy bankiet ku czci prezydenta jakiegoś afrykańskiego kraju, nazwisko wyleciało mu z głowy - ale bez Helgi, ponieważ konkubiny nie były mile widziane na królewskim dworze.

Siedzieli obok siebie na tylnym siedzeniu, ale nadal nie rozmawiali o Adzie. Kiedy Onno spytał Quintena, co też ciekawego porabia, ten opowiedział mu, że był ostatnio w pracowni Theo Kerna. Rzeźbiarz był właśnie zajęty jakąś tablicą pamiątkową; litery, jakie miały się na niej znaleźć, rzeźbił nie od lewej do prawej, jak można by myśleć, tylko od prawej do lewej; powiedział nawet, że tak mu wygodniej: dłuto trzymał w lewej, młotek w prawej, więc łatwiej mu pracować od prawej do lewej. Quinten zademonstrował to ojcu i rzekł:

– Czy to ma jakiś związek z tym, że ludzie dawniej pisali od prawej do lewej? Bo większość jest praworęczna?

Onno zrobił wielkie oczy i westchnął głęboko.

– Masz rację – potwierdził. – Tak, pewnie wszystko ma z tym związek. Także politycznie rzecz ujmując.

– Tak też myślałem.

– A od kogo się dowiedziałeś, że ludzie pisali dawniej od prawej do lewej?

– Od pana Spiera.

Onna nagle ogarnęło uczucie, że może jeszcze pewnego dnia przyjdzie mu się czegoś od swego syna nauczyć. Potem zamilkł, uświadomiwszy sobie, jak niewiele wniósł do jego wychowania – mniej nawet niż taki pan Spier i inni mieszkańcy zamku. Oczywiście mógłby powziąć postanowienie, żeby spędzać z synem więcej czasu, ale w końcu i tak nic by z tego nie wyszło.

Kiedy zbliżali się do Emmen, kierowca spojrzął w lusterko i rzekł:

– Jedzie za nami policja.

Onno odwrócił się. Był to niewielki radiowóz na długich światłach.

– Szybciej – powiedział.

– Ale, proszę pana...

– Szybciej! To polecenie służbowe.

Kierowca przyśpieszył do stu sześćdziesięciu, usłyszeli za sobą wycie policyjnej syreny, a kiedy zatrzymali się przed wejściem do „Oazy Radości”, radiowóz zatarasował im drogę, stając w poprzek, zupełnie jakby to on zmusił ich do zatrzymania się. Dwóch przejętych policjantów wyskoczyło z wozu i dopiero wtedy zorientowali się, z kim mają do czynienia.

– O, to pan? – powiedział jeden z nich ze zdumieniem.

– Nie wiedziałem, co się dzieje – wyjaśnił Onno. – Myślałem, że to może jakiś napad, wie pan, ci Molukowie tutaj i te obozy treningowe...

– Ach tak – odrzekł policjant, ale jednak z błyskiem nieufności w oczach. – Bardzo przepraszamy, to oczywiście zmienia sytuację.

– Nic nie szkodzi, panowie – zapewnił Onno. – Mam nadzieję, że jazda z taką prędkością też się panom podobała.

– Z jednej strony bardzo, ale jednak było to niebezpieczne.

Wchodząc z Quintenem do budynku, Onno powiedział:

– Mogłem mieć przez to duże nieprzyjemności.

Quinten drżał trochę z przejęcia: nie spodziewał się, że tak szybko znajdzie się u mamy. Po tym wyścigu sprzed chwili fotele na kółkach toczące się po wyłożonym piaskowcem holu wydawały się poruszać jeszcze wolniej niż w rzeczywistości. Dyrektorka czekała już na nich, ale Onno wykonał gest, że woli iść sam, zna przecież drogę. Wjechali wielką windą na górę; trzymając rękę na kłamce, Onno rzekł:

– Nie masz się czego bać.

Quinten ujrzał matkę. Oto ona: właśnie tutaj, w tym miejscu świata, w żadnym innym. Jej czarne włosy były krótko obcięte. Przekroczył próg i spojrzał na śpiącą nieruchomo postać – tylko przykrywające ją prześcieradło poruszało się powoli w górę i w dół. Włosy przy uszach zaczynały lekko siwieć.

Po chwili Quinten spytał:

– I mama naprawdę nigdy się już nie obudzi?

– Nie, Quinten, mama śpi od czasu, kiedy się urodziłaś. Nic nie słyszy, nic nie widzi i nic nie czuje, zupełnie nic.

– Jak to możliwe? Przecież nie jest nieżywa, tak jak dziadek, bo oddycha.

– Zgadza się, oddycha.

– A czy coś jej się śni?

– Nie wiadomo. Lekarze uważają, że nie.

– A skąd wiedzą?

– Twierdzą, że mogą to zmierzyć specjalnymi przyrządami. Ich zdaniem nie można nawet powiedzieć, że mama śpi.

– Tylko co?

Onno wahał się, w końcu jednak to powiedział:

– Że jej nie ma.

– Chociaż nie umarła?

– Chociaż nie umarła. To znaczy – mówił Onno, krzywiąc twarz – mama umarła, chociaż nie umarła... jak by to powiedzieć, to, co nie umarło, to nie jest mama. To nie mama oddycha.

– A kto?

Onno wykonał bezradny gest.

– Nikt.

– To przecież niemożliwe.

– Absolutnie niemożliwe, ale tak właśnie jest.

Quinten ponownie spojrzął na twarz na poduszce. Oczy były zamknięte, czarne, półokrągłe rzęsy przypominały pewne specjalne pędzelki malarskie, stojące u Theo Kerna w kamiennym garnku, które z kolei przypominały egipskie kolumny palmowe, znane mu z pewnej książki pana Themaata; nos był mały i prosty, nozdrza z jednej strony zaczerwienione, jakby w stanie zapalnym, usta zamknięte, wargi wysuszone. A więc jednak mogło być coś bardziej niepojętego niż w zeszłym tygodniu umarły dziadek w trumnie? W łóżku leżała oddychająca, żywa kobieta – a przecież chyba mieli przyjechać do jego mamy? Po co inaczej by tutaj przyjeżdżali? No więc czy to jest w końcu jego mama, czy nie? A jeśli to jest jego mama i jednocześnie nie jego mama, to kim on jest? I kim jest jego tato? Myśli gorączkowo wirowały mu w głowie i nagle, zupełnie jakby zadziało coś w rodzaju dynama, w jego głowie zaczęło powoli jaśnieć, jak ta poświata z tradycyjnego wielkanocnego ogniska, którą leżąc w łóżku, widział między drzewami: gigantyczny stos suchych gałęzi, przynoszonych przez wszystkich z okolicy, który baron każdego roku podpalał własnoręcznie na łączce pod Klein Rechteren i który przychodziły oglądać setki ludzi.

– Mama jest zamknięta na klucz – powiedział i przez moment pomyślał o Piecie Kellerze.

Onno przysunął mu krzesło, sam też usiadł. Z rozgoryczeniem uświadomił sobie, że oto po raz pierwszy cała jego rodzina jest razem: ojciec, matka i syn, i nikt więcej.

Quinten spojrzął na niego ponad łóżkiem.

– Tato, jak to się stało?

Onno skinął głową i pokrótce opowiedział mu całą historię. Prawie całą – okoliczność, że Ada była najpierw przyjaciółką Maksa, pominął. Opowiedział o swojej przyjaźni z Maksem, o tym, że spędzali ze sobą całe dni i całe noce, żeby Quintenowi łatwiej było zrozumieć, dlaczego Maks został jego opiekunem. Kiedy doszedł do wizyty w Dwingeloo i samego wypadku w burzliwą noc, z całą mocą powróciło to wspomnienie i Onno tylko wielkim wysiłkiem zdołał się opanować.

– Potem jeszcze przez trzy miesiące byłeś w brzuchu mamy. To było coś niezwykłego, nawet pisali o tym w gazecie.

Quinten spojrzął na biały zarys ciała Ady pod prześcieradłem.

– To ja potem jeszcze siedziałem w tym brzuchu?

– Tak.

Zamyślony, z dłońmi na kolanach, Quinten kołysał się w przód i w tył.

– Ale gdybym się tam teraz znalazł z powrotem, to już nie byłbym w brzuchu mamy?

Onno wykonał gest oznaczający bezradność i nie bardzo wiedział, jaką dać odpowiedź. Ten paradoks odsłonił całą prawdę, i teraz nic już nie było prawdą.

– Nie staraj się tego zrozumieć, Quinten. Tego się nie da zrozumieć.

Chociaż wszystko w tym pokoju wyglądało zwyczajnie, Quinten czuł się otoczony zagadkami, których częścią był on sam. Miał wrażenie, jakby w tym ciele rozciągała się niezmierna przestrzeń.

– Czy mogę jej dotknąć?

– Ależ oczywiście.

Quinten położył obie dłonie na jej dłoniach i – po raz pierwszy od chwili narodzin – poczuł jej ciepło. Czy ona naprawdę tego nie czuje? Popatrzył na jej twarz, ale wciąż była tak samo nieruchoma jak rzeźba w pracowni pana Kerna.

– Tak bym chciał zobaczyć jej oczy, tato.

Jej oczy! Onno podniósł się poruszony. On też nie widział jej oczu od ośmiu lat! Zawołać siostrę czy samemu podnieść jej powiekę? Z poczuciem, że nie powinien robić tego, co robi, pochylił się nad łóżkiem, położył opuszkę środkowego palca na powiece i delikatnie podsunął ją do góry. Obydwaj patrzyli w jej ciemnobrązowe, niemal czarne oko, które było pozbawione wyrazu – tak samo jak oko, które wydaje się tworzyć na niebie w czasie całkowitego zaćmienia Słońca.

*

Tego wieczoru Quintenowi już w czasie kolacji zamykały się oczy – zaraz potem poszedł do łóżka i z miejsca znalazł się we śnie, który nie miał go opuścić już nigdy...

Wszystko nagle stało się kompletnie zabudowane: wszechświat zmienił się w kompleks architektoniczny bez początku i bez końca. Nigdzie żywej duszy – całkowicie sam, lecz bez poczucia samotności, krąży po nieskończonych amfiladach sal, krużganków, schodów, galerii, wnęk, filarów, kładek, portali, komnat otwierających się na wszystkie strony, mija pompatyczne, przeładowane obrazami i ornamentami frontony, które okazują się ścianami wewnętrznymi, wędruje piwnicami, które są zarazem strychami, wędruje po dachach, które są jednocześnie fundamentami. Ponieważ nie ma wnętrza i zewnątrz, znikąd nie przenika światło dnia, nie palą się też żadne lampy, lecz wcale nie jest ciemno. I chociaż nikogo nie spotyka i nie ma pojęcia, skąd przychodzi ani dokąd zmierza, to jednak włóczęga przez tę majaczącą przed nim budowlę świata napęnia go poczuciem szczęśliwości: wszystkie te murowania, fugowania, spiętrzenia i rozprzestrzeniania się otaczają go i pieszczą niby ożywcza kąpiel z ciepłego miodu. Wszędzie panuje kompletna cisza; tylko od czasu do czasu rozlega się jakiś poszum, przypominający mu uderzenia skrzydeł wielkiego ptaka. Nagle staje przed dwuskrzydłowymi drzwiami z prastarego drewna, są okute skrzyżowanymi żelaznymi sztabami i zamknięte na ciężką żelazną kłódkę wielkości bochna chleba.

Groźny widok napełnia go przerażeniem. Ma wrażenie, jakby drzwi na niego patrzyły, w tym samym momencie słyszy ochryply głos wypowiadający słowa: „Środek świata”. Słowa wypowiedziane są swobodnie, takim tonem, jakim się mówi: „Ładną mamy dziś pogodę” – jednocześnie jednak napełniają go one tak palącym śmiertelnym strachem, że jest już tylko jeden sposób, żeby uratować życie: obudzić się.

Dygocąc na całym ciele, zlany potem Quinten otworzył oczy, lecz przerażenie nie zniknęło; usiadł wyprostowany na łóżku i nie miał pojęcia, gdzie jest, otaczały go zupełne ciemności, jakby cały wszechświat składał się tylko z niego. Wyciągnął rękę i dotknął ściany, wyszedł z łóżka, ciężko dysząc i macając wokół, doszedł do jakichś drzwi, ale za nimi było tak samo ciemno i cicho; bezradnie zrobił kilka kroków, sunął nadgarstkiem po ścianie, zderzył się z czymś, dotykał, nie rozpoznając, przestał i obrócił się wokół własnej osi. Gdzie jest? Znowu zrobił kilka kroków, palcami stóp dotknął jakiegoś progu i zatrzymał się z szeroko otwartymi oczami. Nagle, zupełnie bez udziału woli, z jego ust wydobył się przeraźliwy krzyk.

Zaraz potem usłyszał gdzieś z oddali głos Sophii:

– Quinten! Co się stało? Miałeś zły sen? Poczekaj, już idę...

Kiedy zamknęła za sobą drzwi sypialni, nad progiem pojawił się pasek światła. Maks podłożył dłonie pod głowę i patrzył w górę, w ciemność. To już koniec. Można się było spodziewać, że którejs nocy do tego dojdzie: i tak się właśnie stało. Już nigdy nie przyjdzie do niego do łóżka. W zasadzie nie musiało się to stać, ponieważ kto powiedział, że babka nie może pozostawać w związku z przyjacielem swojego zięcia? Quinten jednak nie powinien się o tym dowiedzieć, ponieważ mógłby kiedyś zacząć o tym mówić, za dnia, do nich, a to było oczywiście niedopuszczalne.

Nasłuchiwał głosów dochodzących z sypialni Sophii. Quinten leżał już w jej łóżku i Maksa ogarnęło przeogromne uczucie ulgi. Właściwie spodziewał się tego znacznie wcześniej. Miał już prawie czterdzieści dwa lata, ona pięćdziesiąt dwa: trwało to sześć lat, i tak długo. Ich związek miał charakter misterium, stanowił absolutnie nową formę rodziny obok klasycznego układu: ojciec, matka i dziecko, nie tracąc przy tym nic z charakteru rodziny. Jako jedyna osoba na świecie był w ciągu dnia głową niekłóczącej się rodziny, składającej się z dziecka jego przyjaciela i jego teściowej, z którą nie łączył go najmniejszy seksualny związek; nocą natomiast był jej kochankiem. W zależności od pozycji słońca, każdy był kim innym – poza dzieckiem: ono cały czas pozostawało dzieckiem jego przyjaciela, mimo że przez długi czas w to powątpiewał. „Dla ciebie wszystko zawsze jest inne” – powiedział mu kiedyś Onno. Nic w jego życiu nie było tym, na co wyglądało. Nawet to, że był „badaczem gwiazd”, w zasadzie znaczyło dla niego co innego, od kiedy zaczął pracować w Westerbork.

Co będzie dalej? Zniknęła podstawa jego związku z Sophią, lecz zadanie, jakie na siebie wziął, pozostało oczywiście bez zmian: wykluczone, żeby się stąd wyprowadził, dopóki mieszka tu Quinten – a to może potrwać nawet dziesięć lat. Będzie miał wtedy lat pięćdziesiąt dwa.

42

Zamczysko

Także na Onna przyszedł taki moment, że nagle wszystko stało się inne. W marcu roku 1977 upadł rząd i rozpisano nowe wybory, w których jego partia odniosła wielkie zwycięstwo: mogło to oznaczać dla niego objęcie teki ministra. Lecz pod koniec najdłuższego politycznego porodu w dziejach Holandii, trwającego całe dziewięć miesięcy, chrześcijańscy demokraci wybrali jednak koalicję z konserwatystami, a nie z socjalistami, i z dnia na dzień Onno stracił pracę. Po przekazaniu obowiązków swojemu następcy i przyjęciu odznaczenia otrzymał propozycję, że po raz ostatni odwiozą go służbowym samochodem do domu, ale odmówił. „Przyzwoci ludzie podróżują pociągami”, powiedział z obraźliwą godnością, ale kiedy znalazł się na ulicy w zimowe popołudnie, okazało się to nie do końca takie proste, ponieważ od kiedy piastował stanowisko, przestał nosić przy sobie pieniądze. Portier zgodził się pożyczyć mu dwadzieścia pięć guldenów, a w tramwaju wiozącym go na dworzec Onno przytapał się na tym, że pogwizduje. Był wolny! Może się wynieść z Hagi! Adieu, proporczyki, aleje, kancelarie, *cocktail parties*, koszule w błękitne prążki, stężale miny!

Kiedy wyszedł z dworca w Amsterdamie, było już ciemno. Pogwizdując, ruszył w ruchliwe, rozświetlone miasto i po raz pierwszy od lat znowu patrzył na codzienne życie bez uporczywych myśli i bez układania podstępnych strategii; czuł się zupełnie tak, jakby po jakimś przyjęciu otwarto na oścież okna i do środka zaczęło wpływać świeże powietrze. Wobec zbliżającego się Bożego Narodzenia wszędzie na ulicach i w sklepach panował jeszcze o tej porze tłok, kawiarnie pękały w szwach, żołnierze Armii Zbawienia śpiewali, stojąc na chodniku, zebrani wokół puszek, do której należało wrzucać datki, jakaś dziewczyna siedząca na schodach grała na gitarze, jakiś człowiek, wychyliwszy się z okna samochodu, zasypał wyzwiskami rowerzystę. Wszystko było takie, jakie było: zatłoczone, hałaśliwe, chaotyczne, a jednocześnie miało w sobie coś wiecznego, coś, co musiało wyglądać zupełnie tak samo w średniowieczu, jak i w cesarskim Rzymie czy w dzisiejszym Kairze, albo jeszcze gdzieś dalej i jeszcze dawniej. Były takie okresy, kiedy wyglądało inaczej, na przykład w czasie niemieckiej okupacji, lecz zważywszy fakt, że z nieznanego bliżej powodu na świecie zawsze w końcu zwyciężało dobro, prawdziwy, ponadczasowy obraz miasta był właśnie taki jak teraz. Czuł się całkowicie zadowolony. Ponieważ bardzo mało wydawał, mógł żyć ze spadku po ojcu aż do samej śmierci; nawet stałe przelewy na wychowanie Quintena nie stanowiły zagrożenia. Po matce, która od kilku tygodni leżała w szpitalu, mógł się spodziewać jeszcze więcej, ponadto przez lata pobierał spore pieniądze. Pomyślał, że człowiek powinien właściwie całe życie tylko włóczyć się po ulicach albo – jeśli nie może sobie na to pozwolić – naprawdę coś zrobić. Może prawdziwy człowiek powinien być rzemieślnikiem?

Z budki telefonicznej, której podłoga pokryta była stronicami podartej na strzępy książki telefonicznej, zadzwonił do Helgi. Umówili się w greckiej restauracji.

Przy blasku świec, służącym temu, żeby nawet najbardziej żyłasty kotlet jagnięcy sprawiał wrażenie szlachetnego tournedo, opowiedział jej, że jego zwolnieni koledzy i partyjni bonzowie siedzą teraz rozgoryczeni w pomieszczeniach opozycji w parlamencie, ale on wolał sobie darować tę stypę. Świętuje teraz odzyskaną wolność, miesiąc temu skończył dopiero czterdzieści cztery lata – całe życie jeszcze przed nim! No i wreszcie będzie miał więcej czasu dla Quintena.

– Kogo ty teraz próbujesz oszukać? – spytała Helga. – Mnie czy siebie?

Onno zamilkł i westchnął ciężko.

– Ależ z ciebie nieznośne babsko. Oczywiście, że sam siebie próbuję oszukać. Ale nie mogłaś dać mi troszkę więcej czasu?

– Dobrze wiem, w którym momencie podniesiesz słuchawkę z widełek i zadzwonisz do swoich rozgoryczonych kolegów.

– Mianowicie?

– Gdy tylko wrócisz do domu i zobaczysz na ścianie te swoje pozółkłe kartki na temat dysku.

Onno spoglądał na nią surowo przez kilka sekund.

– I tobie się zdaje, że to w porządku, tak dobrze kogoś znać? Między kobietą i mężczyzną jest to absolutnie niepożądane. Między kobietą a mężczyzną ma panować wyłącznie wzajemne niezrozumienie, tak żeby można je było potem niwelować w drodze cielesnego zespolenia.

– Przepraszam.

Ujął jej dłoń i złożył na niej pocałunek.

– Co ja bym bez ciebie zrobił?

A w kilka tygodni później siedział już w charakterze przedstawiciela opozycji w ławach Izby Niższej, które właściwie były o wiele za wąskie jak na jego ciało, i ciężko wzdychając, przysłuchiwał się rządowemu exposé.

Dysk z Fajstos bezlitośnie zagnał go z powrotem do Hagi. Tak jak większość jego kolegów z byłego gabinetu mógłby się ubiegać o jakieś stanowisko poza polityką, zostać na przykład prezesem Fundacji Czystości Badań Naukowych albo burmistrzem gminy, na przykład Westerbork, i w następstwie odebrać sarkastyczne gratulacje od najstarszego brata; uczynił jednak to, co jego zdaniem godzi się uczynić politykowi w jego sytuacji: przyłączył się do opozycji skupionej wokół byłego premiera. Poza tym wszystkie te reprezentacyjne funkcje społeczne były sprzeczne z jego charakterem. Nigdy nie czuł się prawdziwym politykiem, niemniej miał z prawdziwymi politykami chociaż tyle wspólnego, że w ostatecznym rozrachunku wszyscy oni byli jednak przedstawicielami cyganerii, ulicznikami, by nie powiedzieć: ludźmi walk ulicznych, byli osobami z marginesu, poszukiwaczami przygód. Bardzo szybko zorientował się też, że jako parlamentarzysta jest bardziej w swoim żywiole niż jako przywódca: łatwiej przychodziło mu wrzucać jadowite wtręty niż wykazać się mądrą roztropnością. W jednej chwili potrafił wzniecić spór polityczny. W odpowiedzi na rozwój sytuacji na holenderskiej lewicy dwie najważniejsze partie protestanckie połączyły się z partią katolicką, tworząc ponadwyznaniowe ugrupowanie, przy czym tak naprawdę katolicy po prostu wcielili ewangelików do swoich szeregów – ikonoklaści zostali więc ostatecznie pokonani przez bałwochwalców – co skłoniło Onna do publicznego wystąpienia w czasie posiedzenia plenarnego i wysunięcia pod adresem superkatolickiego premiera zarzutu, iż najwyraźniej wojna osiemdziesięcioletnia, która doprowadziła do powstania narodu, była daremna. Był to cios w samo serce Holandii, przy okazji godzący także w rodzinę królewską. Słowa Onna wywołały wielotygodniowe poruszenie w prasie i w telewizji.

Kiedy jednak Onno ujrzał tężającą twarz premiera, poczuł do siebie odrazę – nie dlatego, że go skrzywdził, ponieważ premier potrafił to robić w równie wielkim stylu, lecz dlatego, że znowu były to słowa występujące jako czyny. Będąc teraz przedstawicielem narodu pozbawionym władzy i spełniającym funkcję kontrolną, poruszał się *de facto* w świecie jeszcze bardziej kruchym i abstrakcyjnym niż przedtem, kiedy mógł jeszcze podejmować jakieś decyzje. Wtedy miało to dla niego wymiar niemoralny, jak się wcześniej wyraził w rozmowie z Maksem, ponieważ było działaniem bez robienia czegokolwiek, ale przynajmniej prowadziło do jakichś rezultatów. Teraz jego przemówienia nie były ani działaniem, ani zwyczajnym mówieniem, tylko jakimś hybrydycznym bastardem działania – w sali plenarnej, w salach obrad poszczególnych komisji i we wszystkich innych miejscach złudzeń w budynku parlamentu, lata świetlne od rzeczywistości. Wszystko rozgrywało się w kryształowej kuli, którą być może zaobserwuje kiedyś co najwyżej Maks za pomocą swojego trzynastego i czternastego zwierciadła: zdążył jeszcze je dla niego załatwić i właśnie były w budowie.

– Czy naprawdę muszę to robić przez cztery lata? – spytał Helgę zrozpaczony, leżąc u niej na kanapie. – A potem może jeszcze cztery? Będę miał wtedy pięćdziesiąt dwa lata! Jak długo można być demokratą pozbawionym władzy?

– Kto wie – powiedziała Helga – może wkrótce nastąpi kryzys albo zdarzy się coś niespodziewanego, co wszystko zmieni?

– O Panie! – zawołał. – Uczyń wszystko nowe!

Nie nastąpił jednak żaden niespodziewany kryzys, i przez cztery lata, kiedy u władzy był prawicowy, psi, haniebny gabinet, stanowiący niejako przedłużenie hiszpańsko-katolicko-habsburskiego zniewolenia w XVI wieku, Onno widywał Quintena jeszcze rzadziej niż dotychczas, nie częściej niż kilka razy w roku, w dniu urodzin, w czasie świąt Bożego Narodzenia, na pogrzebie babci To – między innymi także dlatego, że nie miał już auta z kierowcą ani też auta bez kierowcy, ponieważ tak jak Helga nie miał prawa jazdy: prowadzenie samochodu, uważał, to wyłącznie zajęcie dla kierowcy, a nie dla pasażerów, czyli dla niego. Quinten coraz bardziej stawał się dla niego incydentem z przeszłości.

Lecz w Groot Rechteren życie toczyło się i bez niego. Od chwili, kiedy tamtej nocy Quinten stanął na progu sypialni Sophii, ta nie pojawiła się już u Maksa, czego się zresztą spodziewał. Po siedmiu latach skrytej wierności, będącej jednocześnie podniecającą zdradą, i po kilku tygodniach celibatu nawiązał romans z sekretarką w instytucie w Dwingeloo, Tsjallingsje Popma, postawną blondynką koło trzydziestki, o zgrabnej figurze, ale też surowym, chrześcijańsko-wiejskim sposobie bycia. Przypominała posąg Arno Brekera, ulubionego rzeźbiarza Hitlera. Za każdym razem, kiedy go widziała w tym jego eleganckim stroju światowca, w jej oczach malował się wyraz głębokiej odrazy i pogardy; zupełnie się tym nie przejmował, ponieważ od samego początku traktował to jako wyznanie miłosne: zazwyczaj nie patrzy się tak na kogoś, kogo prawie się nie zna. Im dłużej jednak pozostawał w abstynencji, tym bardziej zaczynała go pociągać. Już pierwszego wieczora, kiedy zaproponował jej wspólne obejrzenie księżycy w nowiu, pośród huczącej ciszy łąk, jej cnotliwa niechęć zmieniła się w rozwierzgane pożądanie i głośne krzyki „o Boże! o Boże!”, które aż wypłoszyły ciecioriki i żaby, tak że Maks, ze spodniami opuszczonymi do kolan, śmiejąc się, przestał na moment i nasłuchiwał, czy nie zbliżają się jacyś zaniepokojeni astronomowie.

Lecz potem: łzy i krew. Pozbawił ją dziewictwa.

– Tak strasznie się wstydę, przecież prawie cię nie znam...

– No to już choćby tyle mamy ze sobą wspólnego.

Mieszkała w Steenwijk w pokoiku nad niewielką księgarenką, gdzie sprzedawano także pocztówki i albumy na zdjęcia. Jego sympatię do niej wzmogło też wzruszająco dziewczęce urządzenie pokoju z niewielką kolekcją blaszanych zabawek; ponieważ w ostatnich latach pasja ta stała się dla niej zbyt kosztowna, od tej pory, bywając w Lejdzie, kupował jej czasami kolorowego nakręcanego ptaszka. W ogóle niewiele rozmawiali, a już najmniej o nim i o jego życiu; słuchali razem muzyki, on rozkładał swoje radiomapy, ona robiła dla niego na drutach splotem warkoczowym sweter, który musiał nosić, a potem, po wzięciu prysznicą, on szedł do domu. Chociaż kiedyś o tym wspomniała, nigdy nie zabrał jej ze sobą do Groot Rechteren, ale nie było to głównie z powodu Sophii. Ponieważ za dnia i tak nigdy nic między nim a Sophią nie było, po kilku miesiącach rzucił kiedyś w kuchni niedbale:

– Aha, Sophia, jeszcze coś. Mam przyjaciółkę.

– O, bardzo się cieszę – powiedziała, nie podnosząc wzroku. – Czułam, że od czasu do czasu używasz innego mydła.

– Przyzwoita kobieta, córka pastora z Enter – dodał jeszcze, ale ona o nic już nie pytała; tym bardziej nie dawała też do zrozumienia, że chciałaby ją poznać.

Nigdy więcej o tym nie rozmawiali. To jednak głównie z powodu Quintena powstrzymywał się przed pokazaniem się tu ze swoją hożą, przywiązaną do niego Tsjallingsje, Groot Rechteren było przede wszystkim domeną Quintena, do której nie chciał wkraczać ze swoimi prywatnymi swawolami; ponadto bał się trochę jego spojrzenia, które by na niej spoczęło. Z Onnem też o niej nie rozmawiał.

W miarę jak Quinten dorastał, stawał się dla wszystkich coraz bardziej niepojęty. Nie miał żadnych przyjaciół, najczęściej przesiadywał w swoim pokoju i czytał albo też włóczył się po okolicy – czasami z fletem. Siedząc na balkonie, Maks i Sophia słyszeli niekiedy sielankowe melodie dobiegające z lasu, z jego ulubionego miejsca przy stawie z rododendronami. Te dźwięki przemieszane ze śpiewem niewidocznych ptaków budziły w Maksie większe wzruszenia niż najbardziej porywające wykonanie przez najlepszą orkiestrę świata najpiękniejszej symfonii, widział, że Sophia też myśli w takich chwilach o Adzie, nigdy jednak o tym nie mówili.

Kiedy Quinten miał dziesięć lat, było to w roku 1978, pewnego dnia pani Trip zatrzymała Sophię przy zewnętrznym mostku.

– Quinten już pani opowiedział? – spytała.

– Opowiedział? A co takiego? – zdziwiła się Sophia.

Okazało się, że poprzedniego dnia pani Trip spacerowała sobie z baronową po ogrodzie wśród róż. Jak to się często działo w ostatnim czasie, Quinten znowu był u Rutgera. Baronowa nie znosiła niezapowiedzianych wizyt, ale ponieważ Rutger najwyraźniej się ożywił z chwilą przybycia Quintena, nie miała nic przeciwko temu. Nagle usłyszały rozdzierający serce płacz od strony tarasu. Pośpieszyły w tamtym kierunku i ujrzały Rutgera, który szlochając, siedział na ziemi i obejmował rękami kolana Quintena – swojego kata, jak się potem okazało. Quinten ciął właśnie nożycami na kawałki pleciony przez Rutgera sznur – najpiękniejsze, co ten kiedykolwiek posiadał, jego nieskończone dzieło, nad którym pracował od niepamiętnych czasów. Jego matka też wprawdzie regularnie skracała go nożyczkami, ale oczywiście nigdy w jego obecności. Obydwie były nazbyt zdumione, żeby interweniować; ponadto miały poczucie, że oto dzieje się coś, czego za nic nie wolno przerywać. Obezwładniło je też niezwykle piękno tej sceny: cudownej urody chłopiec mający u swych kolan zdeformowanego, starszego o dwadzieścia lat upośledzonego, w dodatku z warzywnika przygląda się temu wszystkiemu paw z rozpostartym ogonem o pięćdziesięciu okach.

- No już, już, uspokój się - mówił Quinten, cały czas dalej tnąc sznur na kawałki długości około metra. - Poczekał chwilę. Zrobimy z tego wielką zasłonę. Przecież chciałeś zrobić wielką zasłonę, prawda?

- Tak - chlapał Rutger. - Nie rób... nie tnij...

- No ale jeśli chcesz zrobić wielką zasłonę, to tak właśnie trzeba. Nie możesz bez końca pleść sznura. Trzeba ją utkać. O, popatrz...

Po tych słowach usiadł przy nim na ziemi, wyjął z kieszeni wielką igłę i sięgnął po sztywną, grubo tkaną kanwę, wielkości metr na metr, którą widocznie kupił za swoje kieszonkowe w wioskowym sklepie z materiałami. Kiedy zaczął przewlekać sznur, cały czas opowiadając, co właśnie robi, Rutger przestał płakać i przyglądał się z zapartym tchem, co się dzieje, wstrząsany jeszcze bezgłośnym szlochem.

- A teraz ty - powiedział Quinten i podał mu igłę. - A kiedy już skończymy, kupimy nową kanwę. A kiedy i ona będzie już wypełniona, doszyjemy ją do tej i znowu kupimy nową i będziemy to robić tak długo - tu wykonał gest ręką - aż zasłona będzie wielka na cały świat!

- Tak! - zaśmiał się Rutger, aż z ust pociekła mu ślina.

- A kiedy potem zrobisz jeszcze firanek, rozwiesimy ją na Słońcu i na Księżycu!

- Tak! Tak! - Rutger pochylił się ku niemu i cmoknął go w policzek.

Nikt dotąd nie wpadł na pomysł, że można zaingerować w pozbawione sensu zajęcie Rutgera, nie mówiąc już o tym, żeby ktokolwiek odważył się na to.

- Jak wpadłeś na ten pomysł? - spytał Maks z podziwem, kiedy zobaczyli się wieczorem.

- Tak po prostu... - odrzekł Quinten. Maks spojrział na Sopię i powiedział:

- Ten chłopak ma zdecydowanie absolutystyczne skłonności.

*

Otulający architektoniczny sen, który Quinten miał po pierwszej wizycie u matki, powracał regularnie co kilka miesięcy – mniej więcej z tą samą częstotliwością, z jaką Quinten jeździł do Emmen. Nie pojawiał się jednak zaraz tego samego dnia i nie kończył się też koszmarem, chociaż opancerzone drzwi w „środku świata” nadal musiały tam być. Za każdym razem, kiedy znowu wędrował po nieskończonej budowlu, po labiryncie pomieszczeń, wzdłuż zdobionych ścian wewnętrznych, przez galerie, po przebudzeniu leżał jeszcze przez chwilę, jak każdego ranka strzelał stawami kciuków i próbował zatrzymać wspomnienie – zawsze jednak obrazy znikwały po paru minutach, zupełnie jak film, którego zakończenia nie można zobaczyć, gdy w sali kinowej za wcześnie zapłonie światło. Od czasu do czasu zadawał sobie pytanie, co to za budowla. Musi przecież gdzieś istnieć, ponieważ za każdym razem bardzo wyraźnie ją widzi. Ponieważ jednak nigdy na nikogo się tam nie natknął, był przekonany, że jest jedyną osobą, która wie, że ta budowla istnieje – a to już było bardzo wiele, ponieważ znaczyło, że to tajemnica i że nie wolno mu o tym z nikim rozmawiać: oczywiście nie z Maksem, ale z babcią też nie, nawet z ojcem, kiedy z rzadka go widywał. Jak zatem mogła znajdować się gdzieś na świecie, skoro cały świat nie był zabudowany? Może to było w jakimś innym świecie? Nawet nadał tej budowli nazwę: Zamczysko.

Bywało, że całymi tygodniami nie myślał o Zamczysku. Kiedy się znowu pojawiało, szedł czasem do pana Themaata sprawdzić, czy w jego grubych księgach nie znajdzie się rycina pokazująca coś, co by je przypominało. Profesor był już na emeryturze i mieszkał teraz na stałe w Groot Rechteren, tak że jego biblioteka jeszcze się rozrosła. Quinten był tam zawsze mile widzianym gościem. Zdarzyło się kilkakrotnie, że pan Themaat siedział na swoim bujanym fotelu bez książki na kolanach, z twarzą zmienioną nagle nie do poznania, jakby była z kamienia, i kamień ten spoglądał na Quintena dwojgiem oczu przepelnionych tak bezdenną rozpaczą, że Quinten szybko wychodził. Wyglądało na to, że będąc w tym stanie pan Themaat nie wie nawet, kim jest. Przez parę dni Quinten nie miał odwagi do niego zaglądać, ale kiedy w końcu się pojawiał, nie było już śladu po kamieniu.

- Czego szukasz, Kuku?
- Niczego specjalnego.
- Jakoś ci nie wierze. To nie jest zwykłe oglądanie obrazków.

Quinten spojrział na niego. Oczywiście nie mógł zdradzić tajemnicy, ponieważ wtedy sen już by może nie powrócił, spytał więc:

- Co to jest ta budowla, proszę pana?

Pan Themaat wydał z siebie głębokie westchnienie.

– Gdyby tak moi studenci kiedykolwiek zadali mi takie pytanie. Co to jest ta budowla, powiadasz? – powtórzył, splótszy dłonie na karku, odchyliwszy się w swym bujanym fotelu i spoglądając na sztukaterię sufitu. – Co to jest ta budowla... – Kiedy się jeszcze zastanawiał, do pokoju weszła jego żona i pan Themaat powiedział do niej: – A wiesz, Kuku właśnie zadał mi pytanie pytań.

– A mianowicie?

– Co to jest ta budowla.

– Może nasz zamek – powiedziała Elsbeth.

– No tak – stwierdził pan Themaat, uśmiechając się do Quintena – kobiety zawsze szukają czegoś mniej odległego, i kto wie, czy nie mają racji. Poczekaj, chyba mam! – powiedział. – Ta budowla oczywiście nie istnieje, ale wydaje mi się, że Panteon to doskonały kandydat na drugie miejsce.

W chwilę później siedzieli obok siebie przy wielkim, okrągłym stole i oglądali zdjęcia i rysunki architektoniczne Panteonu w Rzymie: jedynej rzymskiej świątyni – poświęconej „wszystkim bogom” – jaka zachowała się w całości do naszych czasów. Quinten od razu zobaczył, że w niczym nie przypomina Zamczyska. Panteon nie miał charakteru labiryntu, tylko przeciwnie, był całkiem zwykły i przejrzysty w układzie, z portykiem jak grecki fronton świątynny, jak nazwał to pan Themaat, z kolumnami i dwoma jakby nałożonymi na siebie tympanonami; z tyłu ciężka, okrągła budowla, zawierająca w sobie ogromną rotundę bez okien przykrytą kopułą z dużym okrągłym otworem u góry, przez który wpadało światło – coś jakby ciemiączko w czaszce noworodka. Na przekroju pan Themaat zademonstrował mu, za pomocą cyrkla, że uzupełniając w dół formę kopuły, otrzymuje się regularną, spoczywającą na ziemi kulę. Jego zdaniem świątynię tę można traktować jako odwzorowanie świata.

To by znaczyło, że tego świata, rozważał Quinten – więc nie o tym opowiadał jego sen. Mimo wszystko jednak budowla ta miała coś wspólnego z Zamczyskiem, może przez kontrast między zdobionym frontem a zamkniętym tyłem. W każdym razie go zafascynowała – także wyryte na architrawie litery, które za pomocą kilku skrótów informowały, że jej budowniczym był AGRYPPA. Jak powiedział pan Themaat, po gruntownej przebudowie cesarz Hadrian łaskawie zostawił je na miejscu – przy imieniu Hadrian zamilkł nagle i spojrzał na Quintena: błękit jego oczu w obramowaniu ciemnych rzęs, gładkie czarne włosy wokół twarzy o skórze jak z blasku księżyca. Pan Themaat wykonał gest w jego stronę i powiedział do Elsbeth: – Antinous.

Jego żona uśmiechnęła się, rzuciła na Quintena krótkie spojrzenie i przytaknęła skinieniem głowy. Quinten nie wiedział, o co im chodzi, ale wcale się tym nie przejął.

Kiedy pewnego dnia powiedział coś do pana Spiera o literach na Panteonie, właściwie tylko po to, żeby w ogóle coś powiedzieć, ten natychmiast się rozgadał.

- To *quadrata*, kapitała elegancka albo inaczej kwadratowa, najpiękniejsze kapitała na świecie! Jak na to wpadłeś? - Po czym opowiedział, że takie pismo nazywa się „lapidarne” od łacińskiego słowa „lapis”, które oznacza kamień. - W takiej literze zawiera się idealna równowaga ciała i duszy.

- Jak to możliwe? - zdziwił się Quinten. - Przecież litera to nie człowiek?

- Jeszcze jak!

- Ale jak w ogóle litery mogą mieć duszę?

- Przecież chyba mówią do ciebie, prawda?

- Rzeczywiście, prawda - potwierdził Quinten z powagą.

- Jak każdy człowiek, litera ma ciało i duszę. Jej duszą jest to, co mówi, a jej ciałem jest to, z czego jest zrobiona: atrament albo kamień.

Quinten pomyślał o matce. Czyżby była tylko paroma kroplami atramentu? Czy może niezapisanym jeszcze kamieniem?

- Litera wcale nie musi być z czegoś zrobiona - powiedział.

- Tak sądzisz? Mnie też zdarza się śnić o literach absolutnych, które unoszą się w powietrzu, ale to niemożliwe, tak jak dusza bez ciała.

- A te litery na Panteonie? Nie są z kamienia, tylko właśnie nie z kamienia. Bo kamień został odłupany, widziałem nawet kiedyś, jak to robił Theo Kern. One są z niczego. Przecież czasem zdarza się też ciało bez duszy, prawda?

*

Quinten chodził teraz do szóstej klasy i zdaniem wychowawcy powinien już trochę więcej czasu poświęcać na odrabianie lekcji. Oceny miał nie najgorsze, ale też niespecjalnie dobre; jeśli coś go rzeczywiście interesowało, opanowywał to natychmiast, nawet jeśli było trudne, wszystko inne, nawet jeśli było w zasadzie łatwe, kosztowało go mnóstwo wysiłku. Zamiast jednak uczyć się geografii albo odrabiać rachunki, wolał szukać u pana Themaata swojej drogi do Zamczyska.

Czasami profesor pokazywał mu przykłady nowoczesnej architektury z pierwszej połowy XX wieku, dzieła Franka Lloyda Wrighta, Le Corbusiera czy Miesa van der Rohe, które sam chyba lubił najbardziej. Niektóre bardzo się Quintenowi podobały, ale to wszystko; ponieważ chłodna rzeczowość tych pudełek do zapalek pod żadnym względem nie przypominała Zamczyska, nie interesował się tym. Najbardziej kojarzyły mu się z nim jeszcze budowle klasyczne, z rzymskim Panteonem na czele, który swoją okrągłą, ślepą częścią środkową przydawał czegoś mrocznego i groźnego czystemu światłu greckich świątyń. Ateński Partenon, który pokazał mu pan Themaat, był oczywiście czymś idealnym, nawet w ruinie, ale jednak wydawał mu się zbyt ażurowy i przejrzysty. Zdaniem pana Themaata Rzymianie nigdy niczego sami nie wymyślili w sztuce: okrągłą, mroczną część zapożyczyli z etruskich grobowców, zwanych *tumuli*, które można jeszcze zobaczyć w Rzymie – to mauzoleum Augusta czy mauzoleum Hadriana, zwane dzisiaj Zamkiem Świętego Anioła. Koniecznie musi to obejrzeć na własne oczy, kiedyś później.

Pod kierunkiem pana Themaata, który mawiał o nim do Maksa „mój najlepszy student”, Quinten wkrótce odnalazł własną drogę do włoskiego renesansu. Najbardziej zachwycały go kościoły Andrei Palladia, stanowiące z kolei kombinację wspaniałej klasycznej fasady z samowystarczalnością ceglanych murów. Pan Themaat pochwalił go za dobry, jakkolwiek niezbyt awangardowy gust, lecz Quinten zignorował ten komplement; wszystko to nie miało przecież nic wspólnego z gustem. W baroku zaczął już odczuwać coś zbliżonego ze względu na obfitość ornamentyki, neoklasycystyczne budowle z XIX wieku nudziły go, ponieważ kojarzyły mu się z projektami Palladia z wieku XVI. W każdym przypadku były to fasady: wspaniałe fasady, ale rzecz w tym, że nie fasady go interesowały, tylko wnętrza.

Ryzykując, że zdradzi swoją tajemnicę, postanowił pewnego dnia zadać kluczowe pytanie:

– Czy istnieje budowla, która ma wnętrza, ale nie ma fasady?

Pan Themaat patrzył na niego przez kilka sekund, zanim się odezwał.

– A skąd ci to przyszło do głowy?

– Tak, po prostu.

– Oczywiście nie jest to możliwe, tak samo jak budowla mająca samą fasadę, ale za to bez wnętrza.

– To akurat jest możliwe.

– A jak?

– Jeśli w środku nie będzie pusta, tylko cała z cegły. Tak jak rzeźba.

– Coś w tym jest – zgodził się pan Themaat z uśmiechem. – W tej sytuacji wnętrza bez zewnętrza zapewne też będzie możliwe.

Szukając na półkach z książkami, opowiadał, że sam wzrastał w przekonaniu, iż renesans jest staroświecki, i szczerze mówiąc, nadal tak uważa; kiedy jednak słyszy, jak Quinten się nim interesuje, to zaczyna sobie myśleć, że być może właśnie zaczyna się coś w rodzaju renesansu. Potem pokazał mu zdjęcia Teatro Olimpico w Vicenzy, architektoniczny labędzi śpiew Palladia. Z zewnątrz jest to niepozorne ceglane pudło, za to w środku panuje nieopisany przepych. Tył i boki sceny tworzą wyłożone marmurem ściany szczytowe, przebogato zdobione kolumnami korynckimi, rzeźbami w ozdobnych obramowaniach z trójkątnymi i segmentowymi naczółkami, posągami na postumentach, ornamentami, wolutami, reliefami, inskrypcjami, za amfiteatralnie wznoszącymi się ławami półkolistej widowni znowu kolumny i rzeźby – wszystko z drewna i gipsu, ale to pewnie Quinten już wie. A więc też jakby fasada bez wnętrza, jak stwierdził pan Themaat, ponieważ była to dekoracja, zarazem jednak także wnętrze bez zewnątrz. Quinten rozumiał to doskonale, ale tylko częściowo pokrywało się to z obrazem Zamczyska.

– Na pewno pamiętasz jeszcze książkę Bibieny, którą kiedyś tak lubieś oglądać?

Quinten już nie pamiętał, ale kiedy ją zobaczył, obudziło się w nim jakieś niejasne wspomnienie. Pan Themaat wyjaśnił mu, że także te rysunki dekoracji ukazują wnętrza budynków niemających strony zewnętrznej.

Zadowolony ze swego wyjaśnienia profesor spoglądał jeszcze przez chwilę na perspektywiczne rysunki, by w pewnej chwili powiedzieć nagle:

– Zaczekaj! Chyba będę miał dla ciebie coś ładniejszego. – Z regału, na którym ustawione były w nienagannym porządku alfabetycznym książki, wyjął z okolic P – nieco w bok od Palladia, Panteonu i Partenonu – wielki tom reprodukcji *Carceri Piranesiego*.

Kiedy Quinten otworzył księgę, doznał szoku. Prawie! Oto miał przed sobą prawie to, swój sen! Te same, ciągnące się nieskończenie we wszystkie strony przestrzenie pełne schodów, kładek, łuków, galerii, głębokich cieni bez źródła światła, wszystko wypełnione tym samym, zastygłym bez ruchu powietrzem. Tyle tylko, że na tych rycinach wszystko wydawało się wilgotne i zatęchłe, podczas gdy w Zamczysku było ciepło i sucho. Poza jego osobą Zamczysko było puste, tutaj natomiast wszędzie widać było ludzkie postacie; brakowało też kolumn i ogromnych zdobionych ścian. Dopiero w kombinacji z dekoracjami Palladia i Bibieny przypominałoby tak naprawdę Zamczysko.

– Powoli zaczynam się domyślać, czego szukasz – stwierdził pan Themaat. – W tym celu jednak powinniśmy zacząć oglądać zupełnie inne książki niż te, które oglądaliśmy dotąd. Nie chodzi o budowle istniejące, tylko o fantazje architektów. Oczywiście wiesz, że to Piranesi jest autorem twojej ulubionej ryciny?

– Mojej ulubionej ryciny?

Pan Themaat wskazał oprawioną rycinę, stojącą na podłodze i opartą o regał z książkami. Quinten spojrzał na nią zdumiony. Przez te lata rycina złała mu się z innymi przedmiotami w tym pokoju, tak że przestał ją zauważać: chodziło o obelisk obok budowli ze Świętymi Schodami.

43

Znaleziska

Na początku roku 1980 w Westerbork oddano do użytku dwa nowe zwierciadła – uroczystego otwarcia dokonał nie następca Onna, lecz sam minister. Onno i Helga przyjechali z Hagi razem z nim, powitani przez komisarza królowej, Diederica, który już wkrótce miał odejść na emeryturę. Byli tu także wszyscy astronomowie z Lejdy, z dawnym dyrektorem obserwatorium na czele, człowiekiem już osiemdziesięcioletnim, nadal jednak trzymającym się prosto, jakby był osią, wokół której obraca się ziemski glob. Zjawiło się też oczywiście całe Dwingeloo, nawet Tsjallingsje, która przyjechała tylko po to, żeby wreszcie zobaczyć na własne oczy Sophię i Quintena. Quinten nie miał najpierw ochoty, ale gdy usłyszał, że prawdopodobnie będzie też jego ojciec, od razu zdecydował się jechać z Sophią. Kiedy Maks zobaczył tych ludzi zebranych w budynku sterowni, każdy z kieliszkiem szampana w dłoni, nieodparcie skojarzyło mu się to z pewnym typem powieści kryminalnych, gdzie wszyscy podejrzani zbierają się na koniec w hotelowym holu, a detektyw po błyskotliwej rekonstrukcji wydarzeń wskazuje sprawcę, którym zawsze jest ktoś, po kim naprawdę nikt by się tego nie spodziewał.

Po przemówieniach i naciśnięciu guzika przez pana ministra większość towarzystwa, między innymi Tsjallingsje, udała się spacerkiem w stronę trzynastego i czternastego zwierciadła, oddalonych o jakieś trzy kilometry, niektórzy z kieliszkami w dłoniach. Floris, który wiedział, jak to daleko, włożył do kieszeni butelkę szampana. Sophia została z Helgą w budynku, razem z grupą żon astronomów, niezbyt zainteresowanych zwierciadłami, podczas gdy Maks i Onno udali się wraz z innymi. Onno, który był w Westerbork po raz pierwszy, szedł, trzymając dłoń na ramieniu Quintena i słuchając słów Maksa. Tylko willa komendanta obozu była jeszcze na swoim miejscu; po barakach został jedynie rozległy, niewinnie wyglądający trawiasty obszar, porośnięty gdzieśgdzie drzewami, otoczony z czterech stron lasem. Kiedy szli drogą zwaną Boulevard des Miseres, Maks próbował odmalować Onnowi sceny, które rozegrały się tutaj czterdzieści lat wcześniej; hamował się, pamiętając o obecności Quintena, lecz ten spytał nagle:

– Jesteś Żydem?

Maks i Onno wymienili spojrzenia.

– Moja matka razem z innymi weszła tutaj do pociągu i nigdy już nie wróciła.

– A twój ojciec?

– On nie.

– To on jeszcze żyje?

– Nie, też już od dawna nie.

Quinten milczał. Od czasu, kiedy rozmawiał o tym z panem Spierem, nie myślał już o Żydach – zaszokowało go, że najwyraźniej Maks również ma z tym coś wspólnego: jego matkę też zamordował Hitler! Nie była to jego sprawa, ale miał pewne poczucie winy, że nic o tym nie wiedział. Co on w ogóle wie o Maksie? W zeszłym roku usłyszał przypadkiem, że Maks jedzie do Bloemendaal na pogrzeb swojej przybranej matki; wtedy się tym więcej nie interesował, ale teraz zrozumiał, dlaczego Maks – podobnie jak on teraz – miał przybranych rodziców.

Przy koźle oporowym pozostawiono na długości około dziesięciu metrów szyny na podkładach, wszystko ładnie obramowane czymś w rodzaju krawężnika. Maks zwrócił im uwagę, że koziół jest nowy; stary leżał tuż za nim, niemal całkowicie zmurszały. Końce szyn artysta wygiął do góry, zupełnie tak, jakby ostatni pociąg pojechał wprost do nieba.

– Wszystko już zniknęło – powiedział Maks, przesuwając wzrokiem po terenie.

W oddali rozbawiona grupka notabli i astronomów szła wzdłuż ustawionych w jednej linii parabolicznych zwierciadeł, które podobnie jak szyny skierowane były w błękitne niebo; po całym terenie cichym echem niesły się śmiechy. Kiedy Maks i Onno milczeli, nie wiedząc, co powiedzieć, Quinten przenosił wzrok tam i z powrotem między zwierciadłami i torami, które przypominały mu czułki konika polnego.

– Moim zdaniem – powiedział – pewnego dnia będzie można zobaczyć, co się tutaj zdarzyło w czasie wojny.

Maks i Onno patrzyli na niego, nie posiadając się ze zdumienia.

– Czy można wiedzieć, co masz na myśli, Quinten? – spytał Onno.

– No co, przecież to logiczne. Maks mówił kiedyś, że widzimy gwiazdy takie, jakimi były kiedyś. A zatem z gwiazd widzą Ziemię też taką, jaka kiedyś była. Kiedy z takiej gwiazdy, która jest oddalona o dwadzieścia lat świetlnych, ktoś patrzy przez taki strasznie powiększający teleskop na Ziemię, to przecież na pewno widzi, co tu się zdarzyło czterdzieści lat temu?

– Czy to prawda? – zwrócił się Onno do Maksa. Maks poczuł się nieswojo.

– W zasadzie tak. – Sam był zdumiony, że nigdy nie przyszło mu to do głowy: obraz Westerbork jako obozu przejściowego pędził teraz przez kosmos z prędkością światła gdzieś między Arkturem a Capellą A, tak samo jak obraz Auschwitz z dymiącymi kominami. – Teoretycznie zawsze gdzieś we wszechświecie będzie można to zobaczyć. Tyle że sama świadomość do tego nie wystarczy.

– Ale przecież taki sygnał też się odbija, prawda? – powiedział Quinten.

– Co masz na myśli?

– No przecież możesz tymi teleskopami patrzeć na gwiazdę, która jest oddalona o dwadzieścia lat świetlnych stąd, a wtedy możesz chyba zobaczyć, jak twoja mama czterdzieści lat temu wsiada tutaj do pociągu?

I wysiada gdzie indziej, dopowiedział w myślach Maks.

– Znowu masz rację. Może trzeba by raczej myśleć o odległych planetach lub księżycach, jeśli takowe w ogóle istnieją poza naszym Układem Słonecznym, ale wówczas trzeba by najpierw znaleźć całkowicie nowy sposób odbioru.

– Ale nawet jeśli taki sposób zostanie znaleziony za sto lat, to po prostu będzie to można zobaczyć na planecie albo księżycu oddalonym od nas o pięćdziesiąt plus dwadzieścia lat świetlnych.

– Absolutnie tak.

– Zaczynam czuć się nieswojo – powiedział Onno. – Quinten! Co w ciebie wstąpiło? Coś ty za jeden?

Quinten wzruszył ramionami. Według niego to wszystko było oczywiste.

Podczas gdy Sophia i Helga były zajęte w kuchni, jak przystoi – zdaniem Onna – kobietom, panowie rozmawiali o ustanowionej właśnie przez Quintena „astronomii historycznej”. Był też z nimi Proctor. Zapukał, żeby pożyczyć jajek, ponieważ Clara i Arend spali dzisiaj u teściowej, a wtedy Sophia zaprosiła go, żeby coś wspólnie z nimi przekąsił.

To, że wszystko, co kiedykolwiek wydarzyło się na Ziemi, wciąż jeszcze można zobaczyć gdzieś w kosmosie, było wprawdzie nader wdzięcznym pomysłem Quintena, lecz zdaniem Onna nigdy nie da się zrealizować ze względów technicznych. To prawda, że zdjęcia satelitarne Ziemi można powiększać do najdrobniejszych szczegółów, przynajmniej jeśli niebo w tym czasie było bezchmurne, w Ministerstwie Obrony coś o tym wiedzą; cóż jednak zostanie z takiego obrazu, jeśli będzie on podróżował w kosmosie przez dziesiątki, setki czy tysiące lat? Ponadto jak miałyby zostać odbity? Planety i księżyce nie są przecież zbudowane jak zwierciadła? Są usiane kamieniami i odłamkami, a ponadto wypukłe, a nie wklęsłe: najostatniejsze resztki obrazów zostaną bezpowrotnie rozproszone.

- I tak ma właśnie być - zakończył Onno. - Przeszłość powinna być zapieczętowana na wieki, a dla tego, kto odważy się złamać pieczęcie, lepiej byłoby, gdyby się w ogóle nie urodził. Tylko Pan Zastępów widzi wszystko.

- Bardzo słusznie - powiedział Maks. - Twoja znajomość zasad optyki jest wprawdzie zdumiewająca, ale tak mówiono od zawsze. Wyobraź sobie, że jakiś dwunastoletni chłopiec mówi sto lat temu do swojego ojca, że za sto lat nie tylko człowiek postawi nogę na Księżycu, ale że wszyscy na całej Ziemi będą w tej samej chwili tego świadkami...

- Tak, tak, już to słyszeliśmy - przerwał mu Onno. - Niejasno sobie przypominam, że już kiedyś mi to powiedziałeś, jakieś jedenaście lat temu. - Zrobił gest w stronę Helgi nakrywającej do stołu. - Jeszcze raz wielkie dzięki.

Helga obejrzała się na moment i Maks wykonał dworny ukłon w stronę ich obojga.

- Jeśli nadal będziesz miał na myśli tylko obraz optyczny, to oczywiście nic z tego, to jasne, ale przecież w radioastronomii też nie pracujemy na obrazach optycznych, prawda? Czy ty sobie zdajesz sprawę, jak słabe są te sygnały, które odbieramy tutaj, w Westerbork? Cała sprawa jest tak myląca, bo widząc wielkie przyrządy i maszyny, mimowolnie myślimy o wielkich siłach: wielka tama spiętrzająca musi produkować ogromne ilości energii, wielka armata musi mieć ogromną donośność i tak dalej. Tymczasem w przypadku interferometru radiowego jest dokładnie odwrotnie: to, co wielkie, jest przeznaczone do odkrywania tego, co małe. Powiedzieć ci coś? Lampa rowerowa zużywa w ciągu sekundy więcej energii, niż tych czternaście czasz odbierze w ciągu stu tysięcy lat.

- Naprawdę? - spytał Quinten.

- Naprawdę. Jeśli więc o to chodzi, to posunęliśmy się sporo. Innymi słowy, w praktyce nie jest to niemożliwe, tyle że najpierw ten czy inny Einstein musi zapoczątkować coś zupełnie nowego, tak jak to było niezbędne do powstania telewizji.

- Skoro tak mówisz, to pewnie tak jest - skwitował Onno. - A więc czeka cię spore wyzwanie, tylko pamiętaj, że Quinten ma prawo do części twojego Nobla.

Quintenowi nie podobało się, że Maks zanegował coś, co powiedział jego ojciec; z drugiej strony pochlebiała mu jego pochwała, poza tym uznał, że ojciec okazał uprzejmość, dając się przekonać. Bawiło go też, że tak długo można było rozmawiać o jednym pomysle, który, ot tak, przyszedł mu do głowy.

- Nawet jeśli to możliwe, to jednak myślę, że będzie to o wiele trudniejsze niż znalezienie klucza do tego twojego dysku - powiedział Maks. - Ty też przecież wyszedłeś z założenia, że musi się tam znajdować jakiś przekaz z zamierzchłej przeszłości?

- Doktora Quista wiekopomna *Opowieść od A do Z* - skwitowała Helga, wychodząc z pokoju i rzucając Onnowi krótkie spojrzenie.

Onno westchnął ciężko.

- Czy ty wiesz, kim jest ten babsztyl? To moja osobista pani Eckermann. Zupełnie jakbym był jakimś Goethem! Nigdy nie zapomina niczego, co kiedykolwiek powiem. Jeden Bóg wie, czy na przykład ta nowa zasada, o której rozmawiamy, nie znajduje się właśnie na tym kreteńskim czymś, kto powie, że nie? Kiedy już pewnego dnia z powodu groźnego dla państwa nadmiaru inteligencji zostaną odsunięty od władzy i potajemnie wygnany za granicę przez żandarmerię wojskową, wtedy spróbuję jeszcze raz - obawiam się jednak, że potrzebowałbym właśnie tego historioskopu, żeby odszyfrować zasadę, na jakiej trzeba go zbudować. Pewnie zresztą zostałbym zawczasu zamordowany przez jakieś służby specjalne albo przez agentów papieża, bo wyobraźcie sobie, co by to oznaczało: zdjęcia wszystkiego, co kiedykolwiek się zdarzyło albo właśnie nie zdarzyło...

- Albo filmy - powiedział Quinten.

- Albo filmy, jeszcze lepiej! Najpierw nieme, potem dźwiękowe, a na koniec w technicolorze! Kierujemy historioskop na Gwiazdę Betlejemską i robimy zbliżenie na Górę Oliwną. Czy ktoś wstępuje stamtąd do nieba? Nic takiego. Czy ktoś na górze Horeb odbiera Dziesięcioro Przykazań? Niestety. O, nie, całkiem słusznie by mnie sprzątnięto, bo świat pogrążyłby się w chaosie.

- Wielkie sprzątnięcie - powiedział Maks. - To właśnie by nastąpiło. Wszystkie bzdury i oszustwa wyszłyby na jaw, ludzkość zostałaby uwolniona i wreszcie byłaby w posiadaniu prawdy absolutnej!

Jeszcze kiedy to mówił, nagle ku swemu przerażeniu ujrzał oczami duszy inny dokumentalny film astronomiczny: zatoka koło Varadero, on sam kołyszany przez fale, policzek przy policzku z Adą, jej rozchylone uda wokół jego bioder, w krwawym świetle wschodzącego księżyca... Więc to jednak nie zniknęło na zawsze - nawet w nim samym?

Onno chciał mu właśnie zadać pytanie, jakie wydarzenie chciałby wtedy obejrzeć jako pierwsze, ale po jego wzroku zorientował się, że byłoby to pewnie coś przerażającego, może na przykład egzekucja jego ojca, dlatego zwrócił się do Proctora:

- A pan? Na co pan nastawiłby historyczną kamerę?

Tak jak to wypada osobie, która tylko z przypadku została zaproszona na posiłek, tłumacz nie brał dotąd udziału w rozmowie. Teraz jednak pochylił się do przodu, zginając bardziej kolana, i rzekł:

- Na łożu śmierci w pewnym konkretnym domu w Stuttgarcie, w starym śródmieściu, które zostało potem zniszczone w czasie drugiej wojny. Czas: rok 1647.

- Rozumiem. A więc nakładamy na obiektyw przenikającą przez mury soczewkę rentgenowską. I kogóż to pan chce zobaczyć na tym łożu śmierci?

- Francisa Bacona - powiedział Proctor i ze znaczącym wyrazem twarzy patrzył to na jednego, to na drugiego.

- Francisa Bacona? - powtórzył Maks. - W Stuttgarcie? W roku 1647? Czy coś się panu nie pomyliło?

Proctor zaśmiał się krótko, w jego śmiechu słychać było rozgoryczenie. Istotnie, oficjalna nauka przez całe wieki uważała, że Bacon zmarł w 1626 w Londynie, ale najnowsze dane mówią co innego - to znaczy ludziom o otwartych umysłach, których stać było na odrzucenie dawnych poglądów. Proctor zapewnił, że oczywiście zna te wszystkie nonsensy powtarzane przez baconistów, na przykład, że dzieła Szekspira wyszły spod jego pióra, ale on się takimi bzdurnymi teoriami nie zajmuje, chociaż mają one zagorzałych zwolenników, takich jak choćby staruszek Freud. W każdym razie zawsze go intrygowało, jak to możliwe, że taką bzdurę łączono właśnie z Baconem. No a potem sam odkrył kilka lat temu coś niebywałego. Popatrzył kilkakrotnie to na Maksa, to na Onna i spytał, czy potrafią milczeć.

- Jak grób - zapewnił Onno, krzyżując ramiona.

Otóż Bacon jest prawdziwym ojcem dramatu *Lucyfer* Joosta van Vondela. Tragedia miała premierę 2 lutego 1654 roku w Amsterdamie, autor pracował nad nią sześć lat, musiał więc rozpocząć pracę w rzeczywistym roku śmierci Bacona. Do dzisiejszego dnia on sam zdołał już zebrać setki dowodów tekstowych dla swojej tezy, że pomysł napisania dramatu o upadku Lucyfera pochodzi od Bacona. Na łożu śmierci osiemdziesięciolatek wyszeptał go do ucha sześćdziesięciolatce.

- A czy ma pan też dowód na to - spytał Onno, wymieniwszy krótkie spojrzenie z Maksem - że ten nasz książę dramatu ojczystego był w Stuttgarcie w roku 1647?

- Oczywiście. Jest to dowiedzione pośrednio przez inne moje ustalenia.

- Ach, tak?

- Wciąż znajduję nowe.

- Proszę wymienić chociaż jedno.

Proctor odparł, że będące w użyciu w XVII wieku tajne pismo numerowało litery alfabetu od 1 do 24, przy czym zarówno I, jak i J miało tę samą cyfrę 9, a V i W tę samą liczbę 21. Suma liter w nazwisku BACON daje zatem 33, a w imieniu FRANCIS 67; razem jest 100. Jeśli teraz weźmiemy pierwsze piasze *Lucyfera* Vondela i poszukamy słowa numer 33, będzie to słowo „ów”. Oznacza to zatem: „Ów jest Bacon”. Albo inaczej: „Właściwie należy to przypisać Baconowi”. Jeśli następnie przejdziemy do słowa numer 100, znajdziemy słowo: „gaśnie”. A więc: „Ów gaśnie”. Czyli: „Francis Bacon umiera”.

Przez chwilę panowała cisza, w końcu Maks powiedział do Onna: – Moim zdaniem trudno coś temu zarzucić.

– Temu absolutnie nic nie można zarzucić. Ale skoro – spytał ostrożnie Onno – zamierza pan mimo wszystko skierować lunetę Quintena na łożo śmierci w Stuttgarcie, czy to znaczy, że sam nie jest pan w stu procentach przekonany do sprawy, która mnie wydaje się całkowicie przekonująca?

– Co też panu przyszło do głowy? – zdziwił się Proctor, lekko urażony. – Pragnąłbym tylko usłyszeć, dla czego Bacon chciał, żeby powstał dramat o Lucyferze. Na pewno to Vondelowi powiedział. No bo co on, anglikanin, miałby chcieć od Lucyfera? Być może pozostaje to w jakimś związku z tymi wszystkimi bezsensownymi legendami, które wiąże się z jego osobą; ale jeszcze do tego dojdę.

– Oczywiście – przytaknął Onno. – Absolutnie. A dlaczego w takim razie Bacon wybrał Vondela?

– Przecież to jasne! Jako katolik Vondel miał do czynienia z diabłami i aniołami; u protestanta, takiego jak na przykład Andreas Gryphius, Bacon nie miałby czego szukać. W tym czasie Vondel był jedynym wielkim dramatopisarzem, jaki wchodził w rachubę przy tym projekcie – poza może Corneille’em, ale w teatrze paryskim nie można było w tamtym czasie pozwolić sobie na takie fantazje jak w Amsterdamie.

– Jak to, fantazje? – zdziwił się Quinten.

– Posłuchaj – powiedział Proctor – nigdy wcześniej czegoś takiego nie pokazywano w literaturze: sztuka, która od początku do końca dzieje się w niebie. Jeśli to nie jest fantazja, to ja już nic nie rozumiem.

– Ale ma pan piękny pierścień – powiedział nagle Quinten. Nieco zbity z tropu Proctor popatrzył na swoją dłoń.

– To szafir. Też symbol nieba.

– Pewnie bardzo drogi.

– Raczej tak. Pięciokaratowy kamień kosztuje jakieś pięć tysięcy guldenów. A ten ma jeden gram.

Teraz i Maks pochylił się do przodu.

– Czy widzisz, że ten kamień ma dokładnie taki sam kolor jak twoje oczy, Quinten?

– Można prosić do stołu? – powiedziała Sophia. – Będzie swojski hutspot z kawałkiem mięsa.

Nawet jeśli rozumiał tylko połowę z tego, o czym była mowa, takich dyskusji Quinten nie zapominał już nigdy. Za to rzeczy, których uczono w gimnazjum w Assen – pod koniec lata zaczął tam dojeżdżać autobusem – zapamiętywał z najwyższym trudem. Skłonny był wprawdzie uwierzyć, że *Gallia est omnis divisa in partes tres*, natomiast to, że w jego podręczniku drukowane to było małymi literami albo nawet kursywą, uważał za idiotyczne: takich liter Rzymianie nawet nie znali! Powinny to być kapitaliki, najlepiej *quadrata*. Zdaniem pana Spiera tamto pismo powstało w średniowieczu albo w okresie renesansu – tak jak grecka minuskuła: starożytni Grecy także pisali wyłącznie kapitalikami. Kiedy pewnego razu Onno zadzwonił z parlamentu, żeby powiedzieć, że strasznie mu przykro, ale znowu mu coś wypadło, Quinten się poskarżył:

– Czy to wolno sobie tak po prostu zmieniać? Przecież to zupełnie tak, jakby przedstawić Cezara w dzinsowym ubraniu zamiast w todze.

Na co Onno wykrzyknął:

– Brawo, Quinten! Jesteś nieodrodnym synem swojego ojca! Na szczęście ten nowoczesny teatr cię nie bawi. Dopóki niebo i ziemia nie przeminą, ani jedna jota, ani jedna kreska nie zmieni się w Prawie, aż się wszystko spełni.

Oczywiście znowu było to z Biblii, ale czego dotyczyło, Quinten nie bardzo rozumiał. Od tego wieczora, kiedy oddano do użytku nowe teleskopy, Quinten jeszcze bardziej był zapatrzony w ojca. Przy jedzeniu spytał go, o jakim to dysku rozmawiał z Maksem, i wtedy po raz pierwszy dotarło do niego, że tak naprawdę jego ojciec wcale nie jest politykiem, tylko geniuszem językowym, który rozszyfrował język etruski. Zupełnie co innego niż ten dziwaczny ojciec Arenda, który zajmował się wyłącznie jałową abrakadabram, jak mu potem wyjaśnił Onno, stwierdzając, że gdyby tylko chciał, to w jednej chwili potrafiłby podobnie jak tamten dowieść, że to Bacon napisał biblijną Księgę Rodzaju albo powieści Nabokova: wystarczy przecież popatrzeć na pierwsze pięć liter tego nazwiska i od razu widać, że to anagram słowa „Bacon”, przy czym trzeba pamiętać, że „c” w cyrylicy to odpowiednik „k”, natomiast zakończenie „ov” pochodzi oczywiście od „of Verulam”, chyba każdy to wie. Maks też opowiadał mu niekiedy takie fascynujące rzeczy – na przykład, że obojętne, w którą stronę popatrzymy, to najodleglejszym obiektem zawsze jesteśmy my sami, albo dlaczego w nocy jest ciemno, a nie jeszcze jaśniej niż w dzień, skoro na niebie jest nieskończenie wiele gwiazd, które wszystkie razem powinny stanowić jedno olbrzymie słońce, nieskończone światło, nieprzerwanie zalewające cały firmament... no ale w końcu Maks nie był jego ojcem. Fakt, że jego przybrany ojciec ma coś wspólnego z wojną, z Hitlerem, mordercą jego matki, mieścił się w tym przerażającym świecie, w którym mieszkał także pan Spier, ale który na szczęście jego samego w ogóle nie dotyczył.

Również w gimnazjum jego uwaga nadal skupiała się na rzeczach, których tam nie uczono. Kolegów nie miał tak samo jak w szkole podstawowej; jeszcze nigdy nie spotkał rówieśnika, z którym mógłby porozmawiać o interesujących go rzeczach. Nie cierpiał jednak z tego powodu, ani też go to nie dziwiło, ponieważ nie miał nawet poczucia, że jest inny od kolegów z klasy – tak bardzo było to oczywiste. Na przerwach rozmawiał i śmiał się razem z nimi, ale raczej jak aktor odgrywający rolę; po przedstawieniu, kiedy znowu był sam, odgrywana osoba całkowicie zniknęła z jego myśli. Z tego samego powodu nie czuł się też od swoich rówieśników lepszy, ponieważ do głowy mu nawet nie przyszło, żeby się z nimi porównywać.

W ozdobnej szkatule z litego brązu, którą znalazł na strychu wśród rupieci barona, trzymał szkice sporządzane ze snów o Zamczysku. Ponieważ Zamczysko było nieskończone z każdej strony, niejako z definicji musiał się ograniczyć do fragmentów, przekrojów poprzecznych, rzutów, które w żaden sposób nie mogły tworzyć obrazu całości, niemniej jednak pozostawały we wzajemnym związku. Podwójnie złożone arkusze umieszczone były w grubej beżowej kopercie z Westerbork Synthese Radio Telescope, na której swoją szkolną łaciną i swoją najpiękniejszą kwadratą napisał: „Sen Quintena”, SOMNIUM QUINTI.

W trakcie jego poszukiwań tej budowli pan Themaat naprowadził go pośrednio na trop klasycystycznej architektury rewolucyjnej, która rozkwitła około roku 1800 – jakkolwiek tylko w projektach, ponieważ niewiele z tego zbudowano naprawdę. Znowu zaniedbując odrabianie lekcji, Quinten studiował rysunki dziesiątków architektów tej szkoły, wciąż jednak powracał do megalomańskich fantazji Boulléego. Pan Themaat powiedział, że one rzeczywiście roszadają wszelkie granice, a właśnie ta bezmierność najbardziej fascynowała Quintena. Gigantyczne budynki użyteczności publicznej, pałac sprawiedliwości, nekropolia, biblioteka, muzeum, katedra, wszystkie o tak cyklopowych rozmiarach, że trzeba było lupy, by wytropić ludzkie postacie, które niby mrówki roiły się na schodach lub między kolumnami. Także gigantyczna świątynia, którą zdaniem pana Themaata należało sobie wyobrazić jako koloseum zwieńczone kopułą à la Panteon. Zbudowana była nad niedostępną, mroczną skalną szczeliną, prowadzącą do wnętrza ziemi; u wejścia do groty stał posąg wielopierśnej Artemidy Efeskiej. Quinten patrzył onieśmielony. Czyżby w tej mrocznej otchłani zaczynał się świat Zamczyska? I znowu przyszła mu na myśl matka, zaraz jednak odpędził od siebie ten obraz. Prawie nigdy o niej nie myślał, ponieważ dowiedział się od ojca, że to tak, jakby myślał o niczym; od tamtej chwili więcej już do niej nie pojechał, bo jak można odwiedzać kogoś, kogo nie ma? Na szczęście babcia nigdy nie pytała go, czy chce z nią pojechać do Emmen.

Niebywale fascynowały go też niesamowite projekty pomnika Newtona. Kim był Newton, Quinten wiedział od Maksa: to Einstein XVII wieku, od którego zaczęła się nowoczesna nauka – i który, jak mówił pan Themaat, w wieku XVIII był czczony niemal jak Mesjasz, ponieważ jako pierwszy pojął dzieło Budowniczego Świata i potrafił je obliczyć. Cenotaf miał się składać z kolosalnej kuli o średnicy ponad dwustu metrów, aż do równika ujętej w trzy tworzące jakby kolejne stopnie, pozbawione okien cylindry, na których posadzono podwójne rzędy cyprysów, symboliczne drzewa śmierci. W środku, w głębokim cieniu, stał na podwyższeniu pusty sarkofag, oświetlany przez niewielkie otwory w kuli, którymi wpadał blask słońca zmieniający się nocą w rozgwieżdżone niebo. Kiedy Quinten ujrzał mikroskopijną trumnę w niezmierzonej przestrzeni, znowu przypomniała mu się matka. Jeden ze szkiców przedstawiający budowlę w blasku księżycy emanował tak przerażającą grozą, jakby kula była straszliwą bombą, mogącą w każdej chwili eksplodować i zniszczyć cały świat – i któregoś dnia Quinten uroił sobie, że u dołu kuli wystaje tłący się lont. W chwili kiedy opowiadał panu Themaatowi o tym wyobrażeniu, dostrzegł jeszcze coś innego: bomba z lontem wyglądała jak jabłko z ogonkiem.

– Moim zdaniem ta budowla to w rzeczywistości jabłko, które spadło Newtonowi na głowę.

– Nikt jeszcze tak na to nie patrzył – zaśmiał się pan Themaat. – Dotychczas uważaliśmy zawsze, że to wszechświat.

– A teraz już nawet wiem, co to było za jabłko, które spadło Newtonowi na głowę.

– To tajemnica czy możesz powiedzieć?

– Jabłko, które Ewa zerwała w raju.

- Z drzewa wiadomości dobrego i złego! - dokończył pan Themaat i nagle dostał jednego z tych dziwacznych i nieopanowanych napadów śmiechu, w których brały udział nawet jego długie ramiona i nogi, że aż groziło to wywróceniem bujanego fotela. - Ratunku! *You did it again*, Kuku! A żeby podbudować twoją tezę - powiedział, wstając - zaraz pokażę ci coś jeszcze. - Gdy szukał w stosach czasopism leżących na najniższych półkach regałów z książkami, mówił do Quintena, że na pewno zwrócił uwagę na podobieństwo między cenotafem Newtona autorstwa Boulléego a Panteonem: ta sama pozbawiona okien wysokość i okrągłość, w obu przypadkach symbolizująca wszechświat. - Skoro jednak twórca nowoczesnej nauki miał siedzieć pod drzewem wiadomości dobrego i złego - rzekł - to co powiesz na to? - Triumfalnym gestem położył na stole zdjęcie reaktora jądrowego. - Skoro już mowa o bombie: widzisz, że to urządzenie idealnie pasuje do stylistycznej tradycji Panteonu Palladia i Boulléego? Najbardziej zdumiewające w tym wszystkim jest to, że ta fabryka w żadnym razie nie była przez zatrudnionych przez państwo inżynierów budownictwa projektowana pod kątem jakiejś estetycznej tradycji, lecz wyłącznie pod kątem funkcjonalności. Niesamowicie, zaczynam wierzyć, że twoja uwaga jest słuszna. A kiedy się wie, że uwolnienie energii jądrowej, a więc także bombę atomową, zawdzięczamy Einsteinowi, czyli drugiemu Newtonowi, to kto wie, czy Boullée naprawdę nie zaprojektował mauzoleum Einsteina?

- I dlatego nigdy go nie zrealizowano - skinął głową Quinten.

- Ponieważ stało się to aktualne dopiero teraz, chcesz powiedzieć? Hm, właściwie czemu nie? Chociaż... - powiedział, lekko się wykrzywiając - ...jest tu jeszcze parę problemów. Bynajmniej nie technicznych, ponieważ dzisiaj oczywiście potrafilibyśmy to zbudować, chodzi też raczej o coś związanego z twoim rajskim jabłkiem.

Następnie zrobił Quintenowi wykład na temat gigantyzmu. Rzeczy gigantyczne zawsze wiążą się jakoś ze śmiercią. Koloseum zostało zbudowane z myślą, że będą w nim umierać zabici przez człowieka lub przez zwierzę; okrągły Zamek Świętego Anioła, także w Rzymie, został zbudowany przez Hadriana jako mauzoleum dla niego samego i jego następców. Takie gigantyczne budowle wzięły swój początek z Egiptu, gdzie całe życie skupiało się na królestwie umarłych. Piramidy, czyste zaprzeczenie czasu, też nie były niczym innym, jak tylko grobowcami z sarkofagiem w środku; Boullée z kolei zespolił, jakkolwiek tylko w wyobraźni, nekrofilną gigantomanię z jej diametralnym przeciwieństwem, mianowicie grecką harmonią i umiarem. Pokazał mu arkusze z projektem nekropolii: piramida, w której podstawie widniał półkolisty otwór z wciśniętym weń jak mysz w pułapkę greckim frontonem świątynnym z kolumnami i bogato zdobionym tympanonem. Portyk w połączeniu z łukiem znowu oczywiście przywodziły na myśl Panteon, zarazem jednak ten tryskający radością życia grecki element ginął przytłoczony masą egipskości powyżej. Takie architektoniczne przedstawienie kruchej egipskości, nagle zagrożonej potęgą kolosalnej śmierci, powróciło sto pięćdziesiąt lat po Boulléem jako wyraz prawdziwego ludobójstwa: mianowicie w projektach Alberta Speera, które zamawiał Adolf Hitler.

Quinten przestraszył się, usłyszawszy to nazwisko: znowu ten drań! Tego nazwiska w ogóle nie powinno się wymawiać. Pan Themaat pokazał mu zdjęcia makiet Germanii, jak po ostatecznym zwycięstwie miał się nazywać Berlin, przyszła tysiącletnia stolica świata. Szeregi nadzwyczajnej wielkości budynków, z germaniakalną kulminacją w postaci Wielkiej Hali, przewyższającej wszystko, co kiedykolwiek wymyślono. Także i to monstrum wywodziło się wedle słów samego Speera z niewyczerpanego źródła inwencji, jakim jest Panteon: neoklasykistyczny portyk z okrągłą, przykrytą kopułą przestrzenią z tyłu. Tyle tylko, że ta kopuła miała być dwukrotnie wyższa, od piramidy Cheopsa; na jej szczycie cylindryczna, otoczona kolumnami wieża, przez którą miało wpadać światło, sama o kilka metrów wyższa i szersza od Panteonu, który jest z kolei większy niż wybudowana przez Michała Anioła kopuła Bazyliki Świętego Piotra. A na szczycie wieży, jako lont zobaczonej przez Quintena bomby, znajdował się orzeł trzymający w szponach ziemski glob. Hala mogła pomieścić sto osiemdziesiąt tysięcy ludzi, sprowadzonych do rozmiarów pcheł, w środku należało się nawet liczyć z powstawaniem chmur i siąpieniem deszczu. Projekt powstał na podstawie szkicu, który sporządził kiedyś sam Hitler; jak powiedział pan Themaat, chciał on bowiem początkowo zostać budowniczym, ostatecznie jednak zajął się rozbiórką, ponieważ po jego samobójstwie w Berlinie nie pozostał kamień na kamieniu. Nawet makiety w końcu spłonęły.

- No to już teraz architektonicznie masz komplet, Kuku. Hiroszima i Auschwitz. Gigantyczny triumf nauki i techniki w XX wieku!

*

Kiedy Quinten chciał w spokoju oddać się lekturze albo pograć na flecie, szedł sobie przy ładnej pogodzie na brzeg stawu. Tam, otoczony wysokimi niemalże jak w tropikach rododendronami, najczęściej w towarzystwie dwóch czarnych łabędzi, które pływały po swoich własnych odbiciach, czuł się bezpieczny i zadowolony. Zbudował z gałęzi szałas, z którego był dumny i który dawał mu schronienie przy niewielkim deszczu. Kiedy jednak coś go nurtowało albo chciał coś przemyśleć, wybierał najczęściej inne miejsce: kilkaset metrów dalej, już poza terenem należącym do barona.

Chociaż codziennie przechodziły obok dziesiątki ludzi, był pewien, że tylko on jeden poznał się na tym miejscu, ponieważ nigdy nie widział, żeby ktoś mu się specjalnie przyglądał. Zresztą, właściwie niczym się ono na pierwszy rzut oka nie wyróżniało. Było to miejsce dorocznego ogniska wielkanocnego: niewielka prostokątna łączka, z trzech stron zamknięta ścianą wysokiego lasu, z czwartej wąską polną drogą. Latem pasła się tam kasztanowej barwy krowa, podnosząca w zamyśleniu łeb, kiedy siadał w rowie, objawszy rękami kolana. Może miało to coś wspólnego z tymi dwoma drzewami, które jakby uciekły z ciemnego skraju lasu i stały sobie w trawie, każde na idealnie dobranej pozycji, przez co nadawały tej przestrzeni strukturę, podobnie jak trzy wielkie głązy narzutowe – ale i to nie wyjaśniało tajemnicy, jaka się nad tym miejscem unosiła. Bo ono było jakby cieplejsze i cichsze od innych miejsc, gdzie też było ciepło i cicho.

Wodził spojrzeniem po zamkniętej przestrzeni i rozmyślał o wczorajszym dniu. Ponieważ ojciec już od paru miesięcy nie znajdował czasu, żeby przyjechać do Groot Rechteren, Quinten odwiedził go razem z Maksem w Hadze, gdzie ku jego wielkiemu zadowoleniu zgubili się w budynku Izby Niższej. W jednym z pomieszczeń opozycji dowiedzieli się od kogoś, że Onno jest w sali plenarnej, i po wysłuchaniu długiego opisu, jak tam dojść – przy końcu zapomnieli już, co było na początku – udali się w drogę przez płataninę małych korytarzyków, schodami w górę, schodami w dół, w lewo, w prawo, wzdłuż ciągu portretów zmarłych parlamentarzystów, obok bibliotek, sal różnych komisji, młodych pracownic przy kserokopiarkach, głośno rozmawiających, najwyraźniej podchmielonych lekko dziennikarzy, siedzących na parapetach, oraz naradzających się polityków – wszystkie wnętrza, wielokrotnie przebudowywane, zmieniane, przebijane. Lecz dopiero po dwukrotnym pytaniu o drogę otworzyli drzwi, za którymi znaleźli się nagle na publicznej trybunie.

W ładnej, prostokątnej sali z dużą ilością czerwieni, brązów i ochry, znacznie mniejszej, niż to sobie Quinten wyobrażał, jakiś na wpół leżący na swoim miejscu w ławach rządowych minister słuchał przemówienia kogoś na mównicy, a przynajmniej udawał, że słucha; w niezliczonych ławach siedziało nie więcej niż czterech czy pięciu równie znudzonych parlamentarzystów. Onno, stojąc, rozmawiał z marszałkiem izby, natychmiast ich jednak zauważył i dał znak, że zaraz podejdzie.

- Dziękuję, że mnie uwolniliście z najnudniejszej ze wszystkich klatek z lwami - powiedział, zabierając ich do pękającej w szwach kantyny. A tam, kiedy Quinten jadł swój tost z sadzonym jajkiem i serem, zadał mu pytanie: - Masz już dwanaście lat, kim chciałbyś kiedyś zostać?

Ponieważ Quinten nie odpowiadał, Maks rzekł:

- Coś mi się wydaje, że architektem.

Quinten uważał, że Maks nieładnie zrobił, odpowiadając za niego; poczuł się dotknięty. Poza tym wcale nie chciał zostać architektem.

Poprzedzana przez cztery psy biegła połą drogą młoda kobieta, ubrana w długą białą suknię, z pierścionkami na wszystkich palcach i w ogóle cała obwieszona łańcuchami i bransoletami; wyszła z gospodarstwa naprzeciwko, gdzie była komuna amsterdamskich artystów, którym znudziło się wielkomiejskie życie. Radośnie podniosła na moment rękę, a on machinalnie odwzajemnił powitanie, całkowicie nieobecny duchem.

W rozmarzeniu patrzył na coś, czego nie było widać, a co jednak zbliżało się do niego po tej cichszej od cichych łące z krową, trzema głazami i dwoma olchami. Pytanie, kim chce zostać, nigdy się w jego myślach nie pojawiło. Przecież jest tym, kim jest - kim jeszcze miałby zostać? Lecz jego ojciec miał na myśli jakiś zawód, tak jak jeden z chłopców w jego klasie ciągle mówił, że chce zostać lekarzem. Tyle tylko, że on nie potrafił sobie wyobrazić, że kiedyś będzie wykonywał jakiś zawód, nawet gdyby to miał być zawód architekta. Jego zainteresowania wiązały się tylko i wyłącznie ze snem o Zamczysku, ale tego Maks nie mógł wiedzieć. Może zresztą wszystko na zawsze zostanie, tak jak jest?

44

Nie

Onno też nie wiedział, kim chce zostać, ale dwanaście miesięcy później, w roku 1981, po nowych wyborach został wysunięty przez szefa partii jako kandydat na ministra obrony. Centroprawicowa koalicja z poprzednich lat ustąpiła miejsca koalicji centrolewicowej, w której chadecki premier nie podlegał oczywiście wymianie, ustąpić musiał tylko konserwatywny wicepremier wraz ze swoimi ludźmi, robiąc miejsce dla nowych liberałów i socjaldemokratów z przedprzedostatniego rządu, którzy przez cztery lata nie mieli nic do powiedzenia i teraz za wszelką cenę znowu chcieli rządzić – w myśl powiedzenia, że polityka niszczy nie tych, którzy są u władzy, ale tych, którzy u władzy nie są.

Pod koniec formowania się nowego gabinetu, w pewną sierpniową niedzielę, dwudziestu czy trzydziestu pierwszoplanowych aktorów tego widowiska zebrało się, by odbyć rejs po IJsselmeer. Przygotował go już kilka miesięcy wcześniej pewien oświecony ekscentryczny bankier, który nie tylko wspierał sztukę, ale też nie pozwalał, by interesy wpływały na jego prywatne przekonania, bogactwo bowiem nie przeszkadzało mu w lewicowych ciągotech; a ponieważ poza tym, że był mniej lub bardziej lewicowy, był w dodatku bogatym bankierem, ponadto potomkiem starego patrycjuszowskiego rodu, nikt nigdy nie widział powodu, by odrzucić jego zaproszenie. Teraz jednak rejs stał się dla nowych politycznych przyjaciół znakomitą okazją, by w odosobnieniu przeprowadzić bój o ministerialne teki; poprzedni ministrowie z kręgów konserwatywnych, których również zaproszono, bardzo szybko pojęli, że byłoby dla nich lepiej, gdyby coś im w tym przeszkodziło. Ich miejsca bowiem zajęli inni, faworyzowani teraz ministrowie, tacy jak Onno. Zazwyczaj w sobotni wieczór nocował u Helgi, tym razem jednak pojechał do siebie, żeby nie budzić jej następnego dnia rano; miał jeszcze bilet na nocny seans starego filmu *Komedianci*.

Zanim stępkający, niewyspani politycy weszli na pokład, wypili jeszcze w Muiderslot po kawie, ale już o jedenastej w pojemnikach na śmieci wylądowały pierwsze puste butelki po whisky. Był duszny dzień; pełnomorski jacht motorowy należący do banku, z załogą składającą się z siwiejącego kapitana i sternika w jednej osobie oraz dwóch pań z obsługi w białych fartuszkach, sunął po wodach równie szarych jak niebo. Po południu miano zawinąć do Enkhuizen, gdzie w programie był koncert organowy w wykonaniu przewodniczącego partii socjaldemokratycznej; następnie jacht miał wyruszyć do Stavoren we Fryzji, gdzie czekał wynajęty hotel. Tym, którzy nie mogli zanocować, podstawiono służbowe limuzyny na powrót.

W kręgu rozmówców na rufowej części pokładu, ze szklaneczką rumu z colą w ręku, Onno tłumaczył bankierowi, dlaczego wszyscy uważają, że to właśnie on najlepiej nadaje się na ministra obrony:

- Zawdzięczam to niewyparzonej gębie. Nawet w mojej własnej partii obawiają się, że socjaldemokrata niewiele zdoła wskórać u generałów. Ale o mnie wiedzą, że już pierwszego dnia ustawię ich przed sobą w szeregu w moim gabinecie i powiem: „Panowie, jeśli którykolwiek z was ma zamiar kiedykolwiek grozić mi ustąpieniem, może już teraz czuć się automatycznie zwolniony”. A kiedy już zmuszę ich do złożenia przysięgi wierności mojej osobie aż do śmierci, jednym straszliwym uderzeniem zmiotę Związek Radziecki z mapy świata.

Bankier miał zaraźliwy astmatyczny śmiech, który odbijał się echem w pudle rezonansowym jego zbyt obszernego ciała. Pocił się i oganiał gazetą od miriadów drobnych komarów, towarzyszących jachtowi. Oczywiście nie tylko one mu towarzyszyły: w odległości kilkuset metrów, nieco z tyłu, płynęła łódź patrolowa policji królewskiej. Także na pokładzie dziobowym zebrało się grono rozmówców, lecz prawdziwie ważne sprawy decydowały się w kajucie, do której nikt nie wchodził, dopóki go nie zawołano. Przez otwarte drzwi u dołu stromych schodów Onno widział ich przy stole w salonie: premiera i dwóch przywódców partyjnych z najbliższymi współpracownikami. Regularnie ktoś chodził do sterówki zatelefonować. Chyba coś się stało, ponieważ już od godziny rozmawiali wyłącznie w swoim gronie. Wszyscy byli ze sobą po imieniu, do personelu zwracano się jednak „proszę pana” i „proszę pani”. Właściwie dlaczego – zadawał sobie pytanie Onno – dlaczego właściwie ta oto garstka ludzi rządzi Holandią? Jak to możliwe, że to możliwe? Widocznie na świecie są rzeczywiście dwa rodzaje ludzi. Wychylił szklanekę do dna, potoczył wzrokiem dokoła i już chciał spytać, czy na tym pokładzie nie powinno też być Boga, ale się powstrzymał.

Pojawiły się pierwsze objawy upojenia alkoholowego. Na dziobie jakiś prowizoryczny minister wykrzykiwał już od pewnego czasu do sternika: „Dobrze idzie!”, na co ten za każdym razem kiwał z uśmiechem głową. Kuty na cztery nogi polityk w zbyt grubej marynarskiej bluzie powiedział groźnie do jednej z pań z obsługi: „Dziś w nocy policzę pani wszystkie włosy”. Powoli i niepotrzebnie obracała się antena radaru; minęli Marken, a kiedy zostawili za sobą Volendam i Edam, wybrzeże z wolna zaczęło znikać za horyzontem. Chociaż jacht znajdował się już pośrodku otwartej wody, robiło się coraz duszniej. Wszyscy byli przekonani, że w kajucie coś poszło nie tak jak trzeba; musiało coś zająć. Kiedy Onno stał przy relingu z ministrem spraw zagranicznych, omawiając delikatną kwestię następcy tronu, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zostanie powołany do wojska za jego kadencji, z kajuty wyszedł przewodniczący jego partii. Miał poluzowany krawat, z tyłu wystawała mu ze spodni koszula; rozlazłymi i nieskoordynowanymi ruchami zaciągnął Onna w ustronne miejsce za szalupą. Na pokładzie zrobiło się jakby ciszej i w tym samym momencie Onno już wiedział, że stało się coś poważnego.

Łysiejący przewodniczący jego partii, premier gabinetu, w którym Onno był kiedyś sekretarzem stanu, wicepremier przyszęłego rządu, o dwie głowy niższy od niego, potrząsnął kartką papieru i podniósł wzrok, żeby spojrzeć mu w twarz.

– Zupa się wylała, Onno. Byłeś w sześćdziesiątym siódmym na Kubie?

Stało się.

– Tak.

– Czy brałeś udział w... – przewodniczący nałożył okulary w czarnych oprawkach i spojrzał na kartkę, ale Onno od razu sam uzupełnił:

– Primera Conferencia de La Habana? Tak, a zarazem właściwie nie.

Przewodniczący zaniemówił, zdjął okulary i tylko patrzył na niego przez chwilę.

– I rzeczywiście byłeś w pierwszej komisji, tej od walki zbrojnej? Z trudem przechodzi mi to przez gardło.

– Tak, Koos.

Koos z niedowierzaniem okręcił się wokół własnej osi i spojrzał na wodę; jego trochę zbyt długie siwe włosy zlepily się na karku w kilku punktach i wyglądały jak zęby rekina.

– I powiedz mi, co to wszystko ma znaczyć? Czy ty naprawdę myślisz, że z taką plamą w biografii możesz zostać ministrem obrony? Czemu to przede mną zataiłeś?

– Niczego nie zataiłem, tylko po prostu o tym nie myślałem. To było czternaście lat temu. Dla mnie był to zwykły incydent bez znaczenia.

– Czy ty naprawdę jesteś aż taki głupi, Onno?

– Najwyraźniej tak.

– Czy zdajesz sobie sprawę, co zrobiłeś partii? Cały gabinet stanął przez ciebie pod znakiem zapytania. Powiedz mi, kim ty właściwie jesteś? A może mi jeszcze powiesz, że odbyłeś tam przeszkolenie w walkach partyzantki miejskiej?

Onno puścił tę uwagę mimo uszu i spytał:

– Czy to anonim?

– Tak.

– W takim razie wiem, kto go napisał.

– No kto?

– Bart Bork.

– Bart Bork? Bart Bork? Ten komunistyczny przywódca studencki z tamtych czasów? To z nim byłeś na tej konferencji?

– Wprost przeciwnie. On się nie dostał. Ale miał ze mną na pieńku i wydaje mi się, że właśnie skorzystał z okazji.

– Życzę sobie, żebyś mi zaraz powiedział, co jest grane.

– Zależy mi na tym, aby odbyło się to w obecności desygnowanego premiera.

– Jak sobie chcesz.

– Czy list był adresowany do ciebie? – spytał Onno, kiedy wśród milczących spojrzeń pozostałych zmiierzali do kajuty.

– Nie. Właśnie przed chwilą Dorus wyłożył go ni stąd, ni zowąd na stół. Cholera jasna, Onno, nie chcę mu dać tej satysfakcji.

Onno wiedział, że obecny premier to prawdziwe przekleństwo w życiu Koosa. Już kiedy Dorus był ministrem sprawiedliwości w jego rządzie, Koos wściekał się na tego bigoteryjnego zelotę, który wzdragał się na samo słowo aborcja – nie mówiąc już o eutanazji – chociaż bez mrugnięcia okiem wydał rozkaz użycia broni, kiedy Molukowie porwali pociągi w Drenthe; tworząc poprzedni rząd, Dorus z zimnym rozmysłem pominął kandydaturę Koosa, który jako przywódca opozycji nie miał na niego żadnego wpływu, a teraz na domiar złego znalazł się w roli jego podwładnego. Polityka to kontynuacja wojny innymi środkami i można w niej wygrać lub przegrać; tyle tylko, że do wygrywania łatwo się przyzwyczaić, do przegrywania zaś nigdy. Tak się jednak składa, że kiedy człowiek przegrywa, to więcej się w nim dzieje, niż gdy wygrywa, ponieważ przegrywając, człowiek intensywniej żyje, co z kolei ma ten skutek, że niektórzy ludzie raczej wolą przegrywać niż wygrywać, ponieważ wygrywanie ich nudzi. Onno miał kiedyś wielką ochotę wygarnąć Koosowi, że to właśnie te destrukcyjne skłonności są jego o wiele groźniejszym wrogiem niż Dorus, ale nigdy się nie odważył.

Tymczasem na pokładzie pojawił się Dorus i zyskał wielki aplauz, kiedy wykonał krótką stójkę na rękach, żeby się odprężyć. Onno widział, jak strasznie ubodło to Koosa, który był starszy od Dorusa o jakieś piętnaście-dwadzieścia lat i w tej chwili ledwie trzymał się na nogach. Podobnie jak Onno pochodził z rodziny kalwińskiej.

W chwilę później w ciepłej kajucie zapanowała lodowata atmosfera. Za stołem siedział oprócz nich tylko Piet, przewodniczący nowych liberałów.

- No to słuchamy - powiedział Dorus. On też był bez marynarki, włosy niezwykle starannie uczesane. Jego wygląd miał w sobie coś kruchego i chłopięcego, lecz przymrużone oczy, którymi wpatrywał się w Onna, i mięsiste, lekko zaciśnięte wargi w nieruchomej twarzy o spiczastym nosie mówiły zupełnie innym, bezlitosnym językiem.

Onno sam się dziwił, że jest taki spokojny. Nie mając nawet poczucia, że to cokolwiek zmieni, opowiedział o tym, co miało miejsce czternaście lat wcześniej. O swoim spotkaniu z Borkiem na muzyczno-politycznej manifestacji w Amsterdamie, kiedy ten oznajmił mu, że po rewolucji Onno będzie bezdomnym mementem, zbierającym odpadki na plaży w Ameland, i że właśnie ta złowieszczą uwaga Borka skłoniła go do zajęcia się polityką. A potem jego żona otrzymała zaproszenie na Kubę, było nieporozumienie na lotnisku i bojowa konferencja, na którą go zapisano. Nic nie wspominał o roli Maksa, który go do tego namówił. Na koniec opisał swoje spotkanie z Borkiem w parku w Hawanie, gdzie ten wymieniał na czarno dewizy, i o tym, jaką miał z tego satysfakcję.

- No a teraz najwidoczniej przyszła jego kolej - zakończył. - Niemniej jednak konferencja była nader interesująca i wiele się tam nauczyłem. Patrząc jednak z dzisiejszej perspektywy, widzę, że byłoby znacznie rozsądniej, gdybym akredytował się jako przedstawiciel prasy.

Dorus kilka razy postukał o siebie opuszkami rozczapierzonych palców obu dłoni i przesunął wzrokiem po zebranych.

- Wierzymy ci.

- Ja w każdym razie na pewno - powiedział Piet, patrząc niewinnie zdziwionym wzrokiem swoich błękitnych oczu, które przyniosły mu tyle głosów.

- Ponadto - kontynuował Dorus - doceniam twoją szczerłość. Mamy tylko kserokopie z biura kongresu, gdzie widnieje nazwisko niejakiego Onno Quista, i całkiem spokojnie mogłeś powiedzieć, że to kto inny albo że to fałszerstwo. Dopóki nie ma fotografii przedstawiającej cię w towarzystwie nieustraszonego doktora Castro Ruza, mogłoby ci się udać.

- Ja nie kłamię, Dorus, bo nie mam nic do ukrycia.

- W obecnym stanie rzeczy co to zmienia, że ci wierzymy? Ważne, czy dowódcy armii ci uwierzą albo zechcą uwierzyć? Zupełnie jak z tym niepokornym biskupem, który przydybany w burdelu oświadcza: „Kto chce zwalczać zło, musi je najpierw poznać”. Co będzie z twoim autorytetem? Zapewniam cię bowiem, że w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin generałowie również będą w posiadaniu tych dokumentów. To pismo – powiedział Dorus, kładąc swoją wąską, wypielegnowaną dłoń na kartce – nie jest bowiem zaadresowane do mnie, lecz do amerykańskiego ambasadora, który wczoraj wieczorem przesłał mi je uprzejmie kurierem. Cóż, oznacza to, że natychmiast dowiedziała się też o tym CIA, czyli że wiedzą także nasze własne służby i że będą wiedzieli w Brukseli, w kwatery głównej NATO, kierowanego ojcowską ręką naszego nieocenionego rodaka. Pan Bork podszedł do sprawy bardzo solidnie. Nie ma cienia wątpliwości, że nasi amerykańscy przyjaciele nie będą chcieli pójść na ryzyko, nawet najmniejsze, żeby jakiś fidelowski nikczemnik decydował wewnątrz sojuszu o siłach zbrojnych na obszarach Niziny Północnoniemieckiej i żeby osobnik ten miał dostęp do najpilniej strzeżonych tajemnic wojskowych, wskutek czego mogłoby się okazać, że zimna wojna była na próżno.

Tym samym zostały wyrównane rachunki za prowadzoną na próżno wojnę osiemdziesięcioletnią. Polityka, pomyślał sobie Onno, to taki zawód, w którym każdy odpląca każdemu do ostatniego centa.

- To beznadziejne, Onno – westchnął Koos, nie wyjmując z ust cienkiej cygaretki. – Jesteś skończony. Oczywiście doskonale wiem, że także za mojej kadencji było paru generałów mających różne dziwne pomysły: dla nich nawet moja osoba to już było za dużo. Ponadto pewne ugrupowania monarchistyczne z kręgów dawnego ruchu oporu od początku lat sześćdziesiątych zakładały magazyny broni, na wypadek, gdyby do władzy doszła Nowa Lewica. Oni wiedzą, że my wiemy, kim oni są i gdzie zakopali broń, a jako minister obrony ty też byś się tego dowiedział.

- To znaczy – zauważył Dorus – wiemy to, co wiemy, ale nie wiemy, czego nie wiemy.

- Aż tak źle nie będzie – ciągnął Koos. – To wszystko w większości porządni ludzie, jest też wśród nich paru generałów. Mówię to tylko po to, żebyś wiedział, jakie są nastroje.

Z mieszaniną oszołomienia i ulgi Onno powiedział:

- To oczywiście, że ustąpię.

- A jeśli nasi uzbrojeni w pióra przyjaciele z prasy zapytają o powód? – spytał Dorus. – Od paru tygodni twoje nazwisko krąży w gazetach.

- Powiedzmy, że w swojej niezmierzonej mądrości zdecydowaliście się inaczej rozdzielić ministerialne teki, wobec czego wypadłem z gry. Albo wymyślcie dla mnie jakąś chorobę. Powiedzcie, że miałem lekkie wylew.

- Wykluczone - powiedział Piet. - Czemu miałbyś kłamać, skoro nie chcesz kłamać? Poza tym Bork może jeszcze całą sprawę upublicznić. Jeśli ktoś zapyta, powiesz po prostu, jak było, a za rok będziesz już burmistrzem Lejdy.

- No, nie wiem - stwierdził Dorus z nieporuszoną miną - wygląda na to, że najpierw czeka go zbieranie odpadków na plaży w Ameland.

- Dorus, przestań! - zawołał Piet z wyrzutem, ale i ze śmiechem.

- Powiedz po prostu, co chciałbyś dostać - mruknął Koos.

- A kto obejmie teraz ministerstwo obrony? - spytał Piet.

- Na to nadzwyczaj odpowiedzialne stanowisko mamy przecież jak dwa razy dwa cztery drogiego nam wszystkim *sweet prince'a*.

- Chwileczkę! - powiedział z oburzeniem Koos, unosząc w górę palec wskazujący, którego ostatni paliczek był zdeformowany i odgięty pod kątem. - To by oznaczało, że...

- Bez wątpienia - wpadł mu w słowo Dorus. - Swym ostrym jak brzytwa rozumem wujek Koos z miejsca odgadł istotę mego spontanicznego pomysłu.

Onno podniósł się i powiedział, że czuje się już zbędny. Ustalili, że na razie nic nie powie pozostałym; jak Bóg da, zanim zacumują w Stavoren, będzie już po problemie. Onno obiecał, że nie zmyje się zaraz w Enkhuizen.

Kiedy zasiadł z powrotem w fotelu na tylnym pokładzie, wszyscy dokoła patrzyli na niego w milczeniu, ale nikt o nic nie pytał. Tylko Dolf, niechlujnie ogolony katolicki minister do spraw gospodarczych, przechodząc obok, na moment położył mu dłoń na ramieniu. Onno pomyślał sobie, że najbardziej by chciał, żeby w tej chwili na armatniej kuli wystrzelono go z jachtu na ląd. Gdy na nowo podjęto negocjacje, Onno ze spokojem stwierdził, że nadal nie wie, kim chce zostać. W jednej chwili wszystko znowu się zmieniło. Nie miał najmniejszej ochoty siedzieć nadal w parlamencie, a burmistrzowanie w ogóle nie wchodziło dla niego w rachubę, podobnie jak prezesowanie Fundacji Czystości Badań Naukowych czy jakieś stanowisko w Brukseli; było pewne, że teraz już definitywnie pożegna się z polityką. Wszystko zaczęło się od Borka i na Borku się zakończy. To, że jego życie tak bardzo było związane z życiem tamtego, doprowadzało go do furii. Widział przed sobą jego czyhający wzrok i miał poczucie, jakby chodził po nim jakiś budzący odrazę owad; przejechał dłońmi po twarzy, żeby go strząsnąć. Następnie pomyślał o Maksie, bo to w końcu on miał na sumieniu wszystkie zmiany w jego życiu, ale nie czuł do niego żalu. Jedyną osobą, której nie chciał dać satysfakcji z powodu swego upadku, był emerytowany najstarszy brat - ojciec na szczęście nie musiał już na to patrzeć. Co do Helgi: przypuszczalnie będzie się tylko cieszyła z takiego obrotu sprawy.

Nieliczni mieszkańcy Enkhuizen, którzy w to niedzielne popołudnie widzieli ich idących spacerkiem cichymi, starymi uliczkami od przystani jachtowej w stronę kościoła, stawali jak wryci i nie wierzyli własnym oczom: oto widzieli przed sobą nie tylko premiera, ale w s z y s t k i c h .

Było to oczywiście niemożliwe, ponieważ te twarze można zobaczyć tylko w domu, w telewizorze, a nie na ulicy ich miasteczka: ale jeśli to naprawdę tak jest, to widocznie grozi im jakieś wielkie niebezpieczeństwo.

Również burmistrz i miejscowa policja nie wiedzieli o niczym, na powitanie wyszli tylko pastor i kościelny. Chichocząc jak klasa na szkolnej wycieczce, goście porozsiadali się na drewnianych ławkach w nawie głównej. Żeby trochę rozprostować nogi, przyszli też Koos, Dorus i Piet, ale od razu przenieśli się do nawy bocznej, by pod obrazem świętego Sebastiana kontynuować naradę. W kościele unosił się jeszcze zapach kadzideł z porannej mszy. Minister, który niedawno wołał bez przerwy: „Dobrze idzie!”, niespodziewanie wdrapał się na schodki wiodące na ambonę, niewątpliwie po to, by wygłosić gromkie kazanie w duchu kościoła reformowanego, powstrzymał go jednak jego sekretarz stanu. Tymczasem socjaldemokratyczny przewodniczący partii, kiedyś protestancki teolog, zniknął im z oczu... i w krótką chwilę potem zahuczały za nimi równie niewidoczne jak on wariacje Bacha na temat chorału *Vom Himmel hoch da komm' ich her*, wydobywające się z nieruchomych piszczałek.

Onno odwrócił się na moment: równe szeregi organowych piszczałek przypominały mu otwartą paszczę wieloryba atakującego go z tyłu. Czuł się całkowicie nie na miejscu, zarówno w tym katolickim kościele, jak i w tym towarzystwie. Z zażenowaniem przypomniał sobie swoje niedawne buńczuczne słowa, jak to zbierze generałów w szeregu i postawi im ultimatum – na pewno jeszcze mu to dla żartu wypomną, kiedy go przypadkiem spotkają. Czując jakieś odrętwienie w ciele, podniósł wzrok na krucyfiks wiszący nad ołtarzem i słuchał muzyki. Uwaga Borka mogła być swego czasu impulsem do zajęcia się polityką, niemniej jednak za jego decyzją krył się powód głębszy: porażka z dyskiem z Fajstos. Ponieważ najwyraźniej sprawy zatoczyły właśnie pełny krąg, czy nie powinien spróbować do tego wrócić? Cztery lata temu mógł jeszcze uciec w pracę parlamentarną, teraz wszystko było o wiele bardziej ostateczne. Może to z powodu Bacha, w każdym razie nagle taka perspektywa stała się dla niego niezwykle pociągająca. Oczywiście będzie się musiał całkowicie od nowa wciągnąć, od czternastu lat przecież nie śledził już literatury fachowej; jedyne, co wiedział na pewno, to to, że jeszcze nikomu nie udało się odcyfrować dysku, nawet Landauowi, jego konkurentowi z Izraela, ten bowiem z pewnością nie omieszkałby osobiście go o tym powiadomić. Westchnął ciężko. Kto wie, może wszystkie te lata były potrzebne, aby gdzieś głęboko w nim dojrzało właściwe rozwiązanie: może właśnie teraz w krótkim czasie przyjdzie mu do głowy zbawczy pomysł!

Z zakrystii wyszedł kościelny i spytał kogoś w pierwszym rzędzie, ten odwrócił się, popatrzył wokoło szukającym wzrokiem i wskazał na Onna. Onno pytająco ruszył głową, na co kościelny wykonał przy uchu ruch kręcenia korbką. Onno wstał zdziwiony, a przez głowę przemknęły mu dwie myśli równocześnie: skąd ktoś wiedział, gdzie go szukać, a po drugie, jak to możliwe, że gest oznaczający telefon wciąż jeszcze wywodzi się od zasady działania urzędnika, które wyszło z użycia pół wieku temu i które można jeszcze zobaczyć najwyżej na filmach z Flipem i Flapem?

Kościelny zaprowadził go do zakrystii. Telefon stał na stole pokrytym ciemnoczerwonym sukniem; w ściennej szafie z rozsuniętymi drzwiami wisiały długie liturgiczne szaty kapłańskie, wyglądające zupełnie jak garderoba rzymskiego cesarza.

Onno wziął słuchawkę.

– Słucham, Quist.

– Czy pan Onno Quist? – spytał kobiecy głos.

– Tak, a kto mówi?

– Proszę pana, dzwonię z komendy głównej policji w Amsterdamie. Skontaktowaliśmy się z gabinetem premiera, aby ustalić miejsce pobytu pana. Bardzo nam przykro, ale musi się pan przygotować na szokującą wiadomość.

Onno poczuł, jak napina się całe jego ciało, od razu pomyślał o Quintenie.

– Proszę natychmiast powiedzieć, co się stało.

– Wiadomo nam, że pani Helga Hartman jest pańską przyjaciółką.

Miał wrażenie jakby te dwa słowa „Helga Hartman” uderzyły w jego ciało niby pociski.

– Tak, a o co chodzi?

– Zeszłej nocy stało się coś poważnego.

Onno nagle nie mógł wydobyć z siebie ani słowa; oddech utkwił mu w gardle jak lepka kula.

– Proszę pana! Jest pan tam?

– Czy ona nie żyje? – spytał ochryple.

– Tak, proszę pana...

Jak to możliwe? Helga nie żyje? Helga nie żyje? Powoli jego oczy rozszerzały się z przerażenia, miał wrażenie, że jego ciało staje się puste, bo wszystko mknie w stronę Amsterdamu, gdzie pewnie leży jej ciało.

– Naprawdę tak całkiem nie żyje? – spytał i w tym samym momencie uświadomił sobie idiotyzm swoich słów.

– Tak, proszę pana.

– Niech to wszyscy diabli! – krzyknął nagle. – Jak to się, na miłość boską, stało?

– Jest pan pewien, że telefonicznie...

– Proszę mi powiedzieć! Natychmiast!

Najprawdopodobniej została napadnięta nad ranem, kiedy otwierała na ulicy drzwi wejściowe od domu. Napastnik wciągnął ją do sieni i bezlitośnie zmasakrował nożem; przypuszczalnie był to jakiś narkoman, który przeszukał jej mieszkanie, a ją samą zostawił na łasce losu. Sprawcy nie udało się ustalić. Ponieważ nóż uszkodził jej też struny głosowe, nie mogła wołać o pomoc, ale mimo strasznego krwotoku zdołała jakoś otworzyć drzwi i dotrzeć do budki telefonicznej po drugiej stronie ulicy, z drobnymi monetami w dłoni, które zostały w opróżnionej przez napastnika torebce. Prawdopodobnie chciała zadzwonić na policję, i gdyby udzielono jej natychmiastowej pomocy, pewnie by przeżyła, ale telefon był zdewastowany. Dopiero jakąś godzinę później znalazł ją przypadkowy przechodzień; już nie żyła, zmarła z upływu krwi. Jej ciało znajduje się w kostnicy szpitala Wilhelmina Gasthuis.

Onno nie wrócił już do pozostałych, tylko bocznym wejściem wyszedł na ulicę. Pod zamkniętymi drzwiami kościoła utworzyło się małe zbiegowisko, ale do niego nic już nie docierało; nie miał pojęcia, dokąd idzie, i ruszył chwiejnie wzdłuż wąskiego kanału w stronę miasta.

Helga nie żyje. Rozpostarła się w nim pustynia. Najchętniej wybuchnąłby płaczem, ale nie miał w sobie łez. Zarznęli ją zupełnie bezsensownie. Już jej nie ma, w jakiejś amsterdamskiej piwnicy leży pod prześcieradłem jej zmasakrowane ciało, a jej morderca przeżywa gdzieś w mieście heroinową błogość. Może nawet zobaczy go kiedyś na ulicy, grzebiącego w koszu na śmieci – jak on teraz w ogóle zdoła wyjść na ulicę? Musi wyjechać, na zawsze wyjechać z Holandii. Najpierw Ada, teraz Helga. Wszystko zniszczone do samego dna. Czy ją kochał? Nigdy do końca nie potrafił pojąć, co mają na myśli inni ludzie, kiedy mówią, że kogoś kochają, w każdym razie Helga na pewno była częścią jego samego, częścią, która umarła. Czemu nie usuwa się narkomanów z ulic na podstawie prawa o zaburzeniach umysłowych? Tego może jeszcze złapią – ale co z tymi wandalami, którzy zdemolowali budkę telefoniczną, przez co ona wykrwawiła się na śmierć? Gdyby nie oni, jeszcze by żyła. Tych nikt nigdy nie złapie, bo nikt ich nawet nie szuka. Jeśli kiedyś przypadkowo ktoś przyłapie ich na gorącym uczynku, to w pół godziny potem, po otrzymaniu ostrzeżenia, znowu wyjdą na ulicę. Rabunek i morderstwo są ścigane przez policję, lecz wandalizmowi może zapobiec jedynie despotyczna władza lub Bóg na niebie, w którego nikt już nie wierzy. Boga nie ma, lecz dopóki ktoś w niego wierzy i boskie przykazania zachowują dla niego ważność, dopóty taki ktoś nie będzie dla zabawy niszczył telefonicznych budek. Helga nie żyje. Czyżby więc kłamstwo o Bogu było konieczne, skoro jego alternatywą jest despotyczna władza? W Moskwie prawie nie dewastuje się budek telefonicznych, podobnie jak w Mekce. Czyżby istniał tylko wybór między oszustwem a despotyzmem? Ze światem, w którym rzeczy tak właśnie wyglądają, nie chciał mieć nic wspólnego. Czyżby musiał wybierać między teokracją a świecką tyranią? Czy życie społeczne może właściwie funkcjonować wyłącznie na bazie strachu? Czyżby w każdego człowieka z góry trzeba wbudować policjanta? Czyżby człowiek był z gruntu zły, a stawał się dobry tylko w złych warunkach? Czyżby więc należało pogarszać jego warunki ze względów humanitarnych? Czyżby Rousseau był największym kretyńcem wszech czasów? Ludzie w Holandii nigdy nie byli bardziej humanitarni niż zimą z 1944 na 1945 rok, kiedy tysiące umierały z głodu, a wokoło huczały salwy plutonów egzekucyjnych. To wszystko bez sensu. Helga nie żyje. Jego koledzy w kościele, jego byli koledzy, sami się przekonają, jak to będzie z tą ich tolerancją – ponieważ nie potrafią się zdecydować, pozostaje im tylko anarchia. Fidel miał swój własny optymistyczny projekt, z ideałem Nowego Człowieka w roli Boga, i z osobą Che w roli jego zamordowanego syna – miał tutaj błogosławieństwo Onna, ale teraz z tym koniec. On już ma dosyć, Helga nie żyje. Żadnej więcej polityki, żadnej więcej przyjaciółki; może tylko dysk z Fajstos. Nikim już nie chce zostać. Był skończony. Co to za dzień? Rozejrzał się wokoło, zobaczył grzeczne, odświętne domy. Pewnie Helga nigdy nie była w Enkhuizen, tak samo jak on; ale teraz nie była tutaj już w

zupełnie inny sposób niż on, kiedy tu jeszcze nie był: jej śmierć zaszczerpiła światu i jemu zupełnie inne, trwałe NIE. Wszystko miał za sobą. Podjął decyzję: zniknie. W innych cywilizowanych krajach nie będzie oczywiście ani na jotę lepiej niż tutaj, ale tam przynajmniej nikt go nie zna, ponieważ od tej pory on też nie chce już nikogo znać – nawet Quintena. Stał się obcy dla wszystkich, a dla siebie przede wszystkim. Nie zostanie w Holandii ani o dzień dłużej, niż to konieczne.

45

Zmiany

Po raz ostatni Maks, Sophia i Quinten widzieli go na pogrzebie Helgi, gdzie pojawiło się też dużo policjantów i dziennikarzy. Prasa potraktowała go litościwie; stworzono wrażenie, jakby jego rezygnacja z kandydowania na ministra była spowodowana śmiercią przyjaciółki. Wszyscy uznali, że najlepsze wyjście to nie prostować tej informacji. Oczywiście Onno wyglądał na przybitego i zdruzgotanego, nic jednak nie wskazywało na to, że ma zamiar wycofać się ze wszystkiego, nawet pożegnał się zwyczajnie. W tydzień później każde z nich otrzymało od niego odręcznie pisany list, wrzucony jeszcze w Amsterdamie. Przeczytali je wspólnie w czasie śniadania przy stole na balkonie.

Drogi Maksie,

Pewnie już nigdy się nie zobaczymy. Wyjeżdżam i nigdy nie wrócę. Znalazłem się na skraju. Mam nadzieję, że to zrozumiesz bez konieczności tłumaczenia, ponieważ nie mogę tego wytłumaczyć. Wiem tylko na pewno, że muszę zniknąć, troszkę tak jak umierający słoń. Ten, kim byłem, już nie istnieje, i wszystko, co się jeszcze wydarzy w moim życiu, wydarzy się niejako pośmiertnie. Tobie nie muszę mówić, że są ludzie, którzy przeżyli znacznie straszniejsze rzeczy, a jednak nie reagują tak jak ja, ale to dotyczy ludzi innych niż ja. Są też ludzie, którzy wieszają się ze znacznie błahszych powodów. Nie mam pojęcia, czy to, czego chcę, jest w ogóle możliwe, mianowicie niczego już nie chcieć, muszę jednak spróbować. Chcę tylko przemyśleć parę rzeczy do końca. To, że odsuwam się od tych, którzy znaczą dla mnie najwięcej, na przykład od Ciebie i oczywiście od Quintena, a także od mojej najmłodszej siostry, zamiast bardziej się do Was zbliżyć, dla mnie samego stanowi zagadkę; jakież jednak punkt widzenia ma przyjąć człowiek, aby rozwiązać zagadkę, którą jest on sam? Może zresztą od zawsze chciałem się odsunąć od wszystkiego?

Między wypadkiem Ady a zamordowaniem Helgi rozciąga się czas mojej kariery politycznej, której kres także właśnie nadszedł. Moje życie jest nie do pomyślenia bez Twojego, aż do ostatniego tygodnia włącznie wywierałaś na nie wpływ większy, niż Ci się zdaje. Domyślam się, że brzmi to być może bardzo tajemniczo, ale niech już tak zostanie. Niezależnie od tego, ile się narozmawialiśmy, zwłaszcza w pierwszych miesiącach, najistotniejsze zawsze jednak pozostało przemilczane. Jak nazwać to, co było między nami, Maks? Gilgamesz i Enkidu? Pamiętasz jeszcze? Mentepagus? Niczego nie zapomniałem i niczego nie zapomnę, wspomnienie naszej przyjaźni będzie ze mną do ostatniego tchnienia. To, że zdecydowałaś się zaopiekować Quintenem – rezygnując z dotychczasowego beztroskiego życia w sposób, który, szczerze mówiąc, po dziś dzień budzi moje zdumienie – napędza mnie nie tylko głęboką wdzięcznością, ale być może jeszcze głębszym poczuciem winy. Od samego początku był on bardziej Twoim synem niż moim. Dbaj o niego przez tych kilka lat, które jeszcze będzie z Wami. Wszelkie sprawy praktyczno-finansowe zostały ustalone z moim bankiem; wszystko będzie się odbywało normalnie i tak jak dotąd. Czasami odnoszę wrażenie, że on już teraz wie wszystko, lecz jeśli zechce zapisać się na studia i wynajmować mieszkanie, jest przygotowana specjalna dodatkowa kwota.

Mieszkanie przy Kerkstraat zwolniłem, a moje rzeczy leżą chwilowo w

piwnicy u Dol; gdyby ktoś z Was chciało coś z tego mieć, niech sobie weźmie. Oprócz mojego prawnika, Hansa Giltaya Vetha (tak się składa, że to syn obrońcy Twojego ojca z czasów powojennych), nikt nie wie, jak się ze mną skontaktować, nawet moja rodzina. Jeśli zaszłoby coś poważnego, możesz się do niego zwrócić. Życzę powodzenia, Maks, także w sprawach zawodowych. Rozwikłaj Wielki Wybuch! Zawsze będę pamiętał o Tobie jako o człowieku, który zna odpowiedź napytanie, zanim jeszcze zostanie ono zadane.

Twój Onno

Szanowna Pani,

Każdy inny sposób zwrócenia się do Pani brzmiałby równie idiotycznie, pozostaniemy zatem przy tym. Maks pokaże Pani list ode mnie, w którym jest napisane, że zamierzam zniknąć. Może to sprawiać wrażenie, jakbym podjął jakąś trudną decyzję, nad którą rozmyślałem przez długi czas, lecz tak nie było. Natychmiast po tym, gdy usłyszałem, co stało się z Helgą, wiedziałem, że nie ma innego wyjścia. W moim obecnym stanie jestem już niezdolny do jakichkolwiek relacji społecznych. Oczywiście w tle tego wszystkiego najistotniejszą rolę odgrywa los Ady.

Z wielkim trudem przychodzi mi pisanie tych słów. Chociaż nigdy nie było między nami żadnych sporów, nigdy też nie było między nami prawdziwego porozumienia. Ani Pani nie wybierała mnie, ani ja nie wybierałem Pani; ponieważ jednak Ada i ja wybraliśmy siebie nawzajem, zaczęliśmy i my mieć ze sobą do czynienia, chociaż przez wszystkie te lata pozostaliśmy sobie obcy jak istoty z różnych planet. Jak widać, natura nadąza za psychologią tylko na krótki dystans, i musimy się z tym pogodzić. W niczym nie zmienia to faktu, że Pani córka jest moją żoną... czy raczej była – ta chwiejność w wyborze gramatycznego czasu bardzo precyzyjnie oddaje rozmiary nieszczęścia. Wszyscy pięcioro żyjemy w sposób nierozzerwalnie ze sobą związany: Pani, ja, Ada, Maks i Quinten.

Ada nigdy się nie dowie, jak wspaniale od prawie trzynastu lat spełnia Pani za nią jej powinność, lecz ja to wiem i bardzo chciałbym dysponować umiejętnością wyrażania własnych uczuć. Niestety, nie potrafię tego; pociesza mnie jednak myśl, że wielu z tych, którzy to potrafią, takich uczuć zwyczajnie nie posiada. Ujmę to tak: pod wieloma względami odczuwam wobec Pani wdzięczność większą niż wobec własnej matki, Ada to krew z Pani krwi i kość z kości: gdyby zaszła konieczność podjęcia wobec niej jakichś decyzji, ostatnie słowo należy oczywiście do Pani.

Proszę mi wybaczyć formalny ton tego listu. Pozdrawiam Panią serdecznie i życzę wszystkiego dobrego.

Pani zięć

Mój kochany Quintenie!

Pewnie sam już zauważyłeś, że w życiu wszystko bezustannie się zmienia – najczęściej dzieje się tak z wolna i prawie niezauważalnie, a czasem znów nagle i bardzo zdecydowanie. Kiedy sobie jedziesz na rowerze, niewiele się dzieje, kiedy się jednak wywrócisz i złamiesz nogę, wtedy nagle dzieje się bardzo wiele. Wojna jest też czymś takim, ale nie tylko wojna. Mama i ja żyliśmy sobie całkiem spokojnie, ale kiedy pewnego dnia powiedziała mi, że Ty się urodzisz – to znaczy, w tamtym momencie nie wiedzieliśmy jeszcze, że to będziesz Ty, nie wiedzieliśmy nawet, czy to będzie chłopiec, czy dziewczynka – wtedy w zasadzie nic już nie było takie samo. Była to oczywiście szczęśliwa zmiana, ale wtedy mama miała ten wypadek i wszystko znowu stało się w straszny sposób zupełnie inne. Zdążyłeś już być na grobie dziadka i babci To, oni byli bardzo starzy, i kiedy Ty będziesz kiedyś już bardzo stary, też umrzesz; lecz kilka dni temu pochowaliśmy też ciocię Helgę. Czy potrafisz zrozumieć, że nagle zrobiło się już tego za dużo? Być może się tego po mnie nie spodziewałeś, może będziesz nawet uważał, że to trochę głupie z mojej strony, nic na to nie poradzę. To zupełnie tak jak z zapałką: możesz ją przełamać w jedną, a potem w drugą stronę i wtedy jeszcze obie połówki jakoś się ze sobą trzymają, ale za trzecim razem już jest całkiem w dwóch częściach. W niektórych krajach są specjalne małe woskowe zapałki, które można zginać, ile razy się chce, we wszystkie strony, a one i tak się nie złamią, ale ja taki po prostu nie jestem. Oczywiście takie zapałki są do kitu, bo człowiek sobie nimi zawsze parzy palce.

To, że piszę do Ciebie ten list, oznacza zmianę także dla Ciebie. Kiedy będziesz czytał te słowa, mnie już nie będzie. Schodzę do podziemia, jak się to nazywało w czasie wojny; wtedy ludzie ukrywali się przed Niemcami, ja ukrywam się przed istnieniem. Może uznasz to za dziwactwo w przypadku kogoś, kto się tak wymądrza jak ja, może pewnego dnia mnie za to znienawidzisz, może zresztą już teraz tak czujesz, ale nic na to nie poradzę. Uciekam od Ciebie, tak jak uciekam od siebie samego. Nie powinno Ci mnie specjalnie brakować, ponieważ pod tym względem niewiele się zmienia. Nigdy nie byłem dla Ciebie jak prawdziwy ojciec, zawsze byłem kimś w rodzaju dalekiego wujka. Dla Ciebie ojcem jest Maks, tak jak babcia jest dla Ciebie mamą. Na świecie są ojcowie i synowie, a ja zawsze należałem bardziej do synów niż do ojców. Może nawet Ty jesteś bardziej ojcem niż ja. Zapomnij więc o mnie, ja po prostu potrzebuję trochę czasu na przemyślenia. Pomyśl o mnie jak o eremicie, który na resztę życia przeniósł się na pustynię.

Wybacz mi i nie szukaj mnie, ponieważ i tak nie uda Ci się mnie odnaleźć.

Twój ojciec marnotrawny

Quinten podniósł wzrok i napotkał spojrzenia Maksa i Sophii, którzy też już przeczytali swoje listy. W porannym słońcu pierwsze osy przyleciały do resztek miodu.

– Kto to jest eremita?

– Pustelnik.

– Czy tata jest teraz tak samo daleko jak mama?

Przez cały czas w głowie Maksa tłukły się słowa pieśni Mahlera *Ich bin der Welt abhanden gekommen* – miał wrażenie, jakby kryło się za nimi ostatnie przesłanie Onna, które jeszcze po prostu nie całkiem do niego dotarło. Przeraziło go też zdanie z listu Onna, że wywierał na jego życie wpływ większy, niż mu się zdaje – dalszy ciąg wskazywał jednak, że nie ma to żadnego związku z Quintenem. Oszołomiony patrzył na Quintena, szukając odpowiedzi na jego pytanie, kiedy odezwała się Sophia:

– Oczywiście, że nie. Po prostu jest gdzieś tam, tylko nie chce z nikim rozmawiać. Bardzo przeżywa śmierć cioci Helgi i dlatego to wszystko powiedział. Myślę, że... – Jej słowa nagle zginęły w ogłuszającym ryku lecącej nisko formacji wojskowych odrzutowców. Odczekała, aż huk się przetoczy za lasem, zmieniając się w daleki pomruk burzy. – Czas leczy rany. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby za parę miesięcy znowu stanął tu przed nami.

– Nie byłbym taki pewny – powiedział Maks. Także i on nie uważał tego za całkowicie wykluczone, obawiał się jednak, że takie słowa mogą obudzić złudne nadzieje w Quintenie. – Gdyby tak miało być, to po prostu nie pokazywałyby się przez jakiś czas; ale jeśli ktoś pisze takie listy, to już zupełnie inna sprawa. Czy możemy przeczytać list, który napisał do ciebie?

– Nie teraz. Muszę iść do szkoły.

– Zadzwoń, że się trochę spóźnisz.

Quinten niechętnie podał im swój list, a potem przeczytał listy do Sophii i Maksa. Nie wszystko do końca rozumiał, za to znowu dowiedział się czegoś o przyjaźni, jaka łączyła jego ojca z Maksem. Także w liście do Maksa było napisane, że tak naprawdę to on jest jego ojcem, ale tak naprawdę przecież wcale tak nie było: ten, kto napisał te listy pożegnalne, nie był jego ojcem, tylko właśnie nim był. Maks był tylko tak jakby jego ojcem, podobnie jak babcia Sophia tylko tak jakby była jego mamą.

Spojrzał na nich.

– Mogę trzymać wiolonczelę mamy w swoim pokoju?

– Ależ oczywiście – powiedział Maks. – Przy najbliższej okazji przywiozę ją od cioci Dol.

Quinten westchnął głęboko i wybiegł spojrzeniem ponad zamkową fosę, w stronę drzew i wozowni. Wokół siebie czuł nieobecność ojca, i to czuł o wiele silniej, niż czuł jego obecność, tak że zdawało się zupełnie, jakby teraz był on nawet o wiele bardziej, niż kiedy jeszcze naprawdę był.

Jak to właściwie jest, że tak nagle zmieniają się czasy, zastanawiał się często Maks w kilka miesięcy potem, kiedy późnym wieczorem wracał od Tsjallingsje i w cichym już o tej porze zamku zamierzał wypić jeden czy dwa kieliszki wina, a kończył na wypiciu całej butelki. W latach sześćdziesiątych zbuntowali się studenci w Berkeley, niedługo potem w Amsterdamie powstała partia provosów, wkrótce przystąpiono do okupacji uniwersytetów w Berlinie i Paryżu. Tutaj można się jeszcze było dopatrzeć jakichś związków przyczynowych, ale dlaczego to samo stało się też w Warszawie, po drugiej stronie żelaznej kurtyny? I dlaczego w tym samym czasie wybuchła w Chinach rewolucja kulturalna, która także była sprawą młodych? To już nie miało ze sobą nic wspólnego, a jednak wydarzyło się w tym samym czasie. Cesarska Japonia nie miała nic wspólnego z hitlerowskimi Niemcami, a jednak dokładnie w tym samym okresie oba państwa stały się agresywne. Czyżby rzeczywiście istniało coś takiego, jak heglowski duch czasu, i ludzkość jako całość podlegała przyptywom i odpływowi zagadkowych fal, nic sobie nierobiących z politycznych różnic? Było to pytanie z rodzaju tych, na które nie ma odpowiedzi, w mniejszym zaś wymiarze coś porównywalnego miało miejsce w jego sytuacji osobistej. „Nieszczęścia chodzą parami”, powiada cytowane do znudzenia przysłowie, ale kiedy zaczął dobiegać pięćdziesiątki, uświadomił sobie, że takie komunały są po prostu prawdami. Jakkolwiek jedno nie miało z drugim nic wspólnego, odniósł potem wrażenie, jakby zniknięcie Onna oznaczało koniec jego pobytu w Groot Rechteren.

Kiedy po długiej i ciężkiej chorobie baron zmarł nie spodziewanie, jak głosiła klepsydra, początkowo miało to dla nich nawet pozytywne konsekwencje. Jako prawny opiekun Quintena otrzymał zaproszenie od notariusza z Zwolle, u którego usłyszał, że zmarły uwzględnił Quintena w swojej ostatniej woli. W eleganckim, wyłożonym boazerią gabinecie, do którego od czasu do czasu bezszelestnie wchodziła kobieta, by dodać coś do wysokich stosów złożonych na pół dokumentów, nieco wymizerowany urzędnik państwowy odczytał mu rozporządzenie Geversa. Uwagi zmarłego nie uszło, że Quinten regularnie ścina kosą pokrzywy wokół pomnika wierzchowca Deep Thought Sunstar: jako zapłatę baron przyznał mu dziesięć tysięcy guldenów. Trzydzieści tysięcy miał dostać za to, że umożliwił jego synowi Rutgerowi wykonanie dzieła życia: jego „bardzo wielka zasłona” liczyła już dziesięć metrów na dziesięć. Czterdzieści tysięcy guldenów to duża suma, zauważył notariusz, i rodzina najprawdopodobniej nie będzie zbyt zadowolona, ale gdyby to policzyć, to jest to jakby zwrot czynszu, jaki zapłacili od roku 1968. Tak więc przez wszystkie te lata mieszkali gratis.

- I jeszcze jedno - powiedział, odprowadzając Maksa do drzwi. - Jeśli to pana interesuje, mogę pana poinformować, że spadkobiercy wkrótce będą chcieli sprzedać Groot Rechteren. Może pan kupić, jeśli pan chce. Za pięćset tysięcy ma pan zamek bez parku i mieszkania pani Trip, za to włącznie z wozownią i innymi zabudowaniami. Bajecznie tanio.

- A skąd ja wezmę pół miliona? - zaśmiał się Maks. - Muszę jakoś wyżyć z głodowej pensji naukowca.

- Proszę porozmawiać ze swoim bankiem. A jeśli przekracza to możliwości pana samego, może należałoby rozważyć utworzenie wraz z innymi osobami zamieszkującymi zamek wspólnoty mieszkańców, która mogłaby występować jako strona kupująca. W końcu nie wiadomo przecież, co się zdarzy. Po zmianie właściciela z upływem trzech lat może pan otrzymać wymówienie, a coś takiego jak to nigdy się już panu nie trafi. Zawsze chętnie udzielę porady. Proszę jednak nie czekać zbyt długo z decyzją, ponieważ są już pierwsi chętni.

I tak rozpoczął się okres zamieszania i niepewności, lecz pierwszą reakcją było zacieśnienie więzi. Nigdy wcześniej nie spędzali w zamku tak wiele czasu u siebie nawzajem: u Maksa i Sophii, wśród gruchających gołębi Theo Kerna, na cennych empirowych meblach pana i pani Spier, jeden jedyny raz także na samej górze u Proctora i Clary wśród ich parasoli; najczęściej jednak w bibliotece pana Themaata, z którym ostatnio było już nie za dobrze. Ponieważ nikt z nich nie był zamożny, zwrócili się do notariusza o przygotowanie statutu wspólnoty mieszkańców; mając na oku ewentualne subwencje konserwatorskie, przewidując umieścić tam klauzulę pozwalającą włączyć zewnętrzną stronę trzecią, na przykład Fundację Zamków Prowincji Drenthe czy ministerstwo leśnictwa. Kiedy jednak przyszła kolej na sprawy finansowe, kredyt hipoteczny, środki własne, podatek gruntowy, podatek od nieruchomości, podział kosztów, wtedy zaczęły się problemy. Kto mieszkał najładniej, musiałby oczywiście płacić najwięcej, to by się dało wycenić; ale Kern, który bez wątpienia mieszkał ładniej niż Proctor, a poza tym miał w użytkowaniu wozownię, zaczął się wycofywać. Argumentował, że wszyscy mają stałe pensje lub emerytury, tylko on nie ma, bo jest artystą. Jest już grubo po sześćdziesiątce i gdyby tak zachorował, to nie zarobi ani centa, a wtedy Selma będzie musiała pójść szorować podłogi u baronowej; skąd może wiedzieć, jak długo będzie w stanie rzeźbić, by sprostać zobowiązaniom? Już jego część rachunku za usługi notariusza stanowiła wyrwę w budżecie. Jak jednak stwierdził tenże notariusz, kto nie włączy się do wspólnoty, musi się liczyć z utratą mieszkania.

Również Maksa zaczęły ogarniać wątpliwości. Dał się porwać początkowemu entuzjazmowi, ale kiedy sprawa utknęła, pojawiło się pytanie, czego właściwie sam chce? Maksimum za pięć lat Quinten wyjdzie z domu – czy on nadal będzie musiał mieszkać z Sophią? Zadanie, które wziął na siebie, będzie wówczas wykonane, a wtedy nic go już z nią nie będzie łączyło, poza wspomnieniami.

Pewnego wieczoru, będąc na lekkim rauszu, niespodziewanie zebrał się na odwagę i rzekł:

- Słuchaj, Sophia, wracając do sprawy zamku: kiedy za tych kilka lat Quinten...
- Oczywiście – przerwała mu w pół słowa – wtedy nasze drogi się rozejdą.

Mając jako alibi stwierdzenie, że przecież nie mogą zostawić na łasce losu Kerna, który mieszkał tu najdłużej z nich wszystkich, zdołał nakłonić pozostałych, żeby zdać się na los i tylko mieć nadzieję, że nowy właściciel nic nie zmieni.

Wszystkie te sprawy działały się jakby obok Quintena. Także znaczącą darowizną Geversa przyjął po prostu do wiadomości: to, że opiekował się grobowcem Deep Thought Sunstar czy że nauczył Rutgera tkąć zasłone, to przecież oczywistość!

Ponieważ wiedział, że i tak będzie powtarzał trzecią klasę, jeszcze mniej niż normalnie zajmował się lekcjami. Wieczorami, w kompletnej ciszy, lekko oślepiiony światłem odbijającym się od kartek pootwieranych książek i pism, spoglądał w wysokie, ciemne okno, w którym tylko z najwyższym trudem udawało mu się odnaleźć przejście między ciemnością nieba a jeszcze ciemniejszym lasem. Gdzieś tam w ciemnościach nocy był jego ojciec – daleko stąd, może w Ameryce, albo nawet po drugiej stronie Ziemi, w Australii. W każdym razie na pewno nie nieskończenie daleko, tak jak jego mama. A może nawet był gdzieś niedaleko, może tylko tak powiedział, że wyjeżdża z Holandii, żeby nikt go tutaj nie szukał: może po prostu mieszka gdzieś u jakiegoś chłopca w okolicy. Ale kiedy nie wiadomo, gdzie ktoś jest, to właściwie bez różnicy. Co on teraz robi? Chciał coś „przemyśleć do końca”, jak napisał do Maksa. Co to takiego było? Co chciał przez to powiedzieć? Ze szkatuły z brązu, w której trzymał też tajne szkice ze zbioru SOMNIUM QUINTI, wyjął list od ojca. Nie musiał go znowu czytać, ponieważ znał go na pamięć: delikatnie przesunął opuszkami palców po napisanych słowach, po papierze, którego dotykała ręka jego ojca. To, że już nigdy go nie zobaczy, wydawało mu się tak samo niemożliwe jak to, że jutro miałyby nie wzejść słońce.

Zamknął szkatułę na starą kłódkę, którą dostał od Pieta; mały kluczyczek schował między obluzowanymi cegłami za piecykiem olejowym. Na moment położył dłoń na futerale wiolonczeli Ady i podszedł do okna, żeby znowu przyglądać się pająkom.

Ich wygląd budził obrzydzenie i Quinten bał się ich, a zarazem go fascynowały. Ponieważ światło w jego pokoiku na wieży przyciągało owady z lasu, pięć czy sześć wielkich pajaków zorientowało się, że warto rozpiąć pajęczynę przy szybie. Nie rozumiał ich. Z jednej strony były genialnymi, subtelnymi budowniczymi, którzy cierpliwie tkają swoje cieniuseńkie sieci z czegoś, co przypominało mu to, co od kilku miesięcy po porannym przebudzeniu widywał na wewnętrznej stronie swoich spodni od piżamy; poprzedzał to zawsze jakiś błogi sen, którego nigdy nie potrafił sobie przypomnieć, ale który nie miał nic wspólnego z Zamczyskiem. Kiedy jednak ich dzieło było już skończone, okazywały się równie cierpliwymi, ale i przerażającymi zawodowymi zabójcami, którzy bezlitośnie rzucają się na swe ofiary, zagryzają je, owijają w kokon, gniotąc im skrzydełka, i wysysają. Jak to możliwe, żeby jedno łączyło się z drugim: architektoniczne wyrafinowanie i dzika agresja?

Były pająki, które czaiły się na skraju sieci, aż coś zabłądzi w jej srebrzyste fatum, ale były też takie, które siedziały dokładnie pośrodku. I pewnego wieczoru zauważył nagle, iż przejrzysta struktura sieci w pewnym sensie stanowi geometryczne odwzorowanie ich budzących obrzydzenie ciał o ośmiu kosmatych nogach, ich pewnego rodzaju ażurową emanację, tak jak algebra jest abstraktem matematyki. Postanowił, że musi dowiedzieć się o tym czegoś więcej, i przedstawił problem panu Themaatowi.

– Wiesz, Kuku, co z tobą jest? – zaczął następnego dnia pan Themaat, z rezygnacją właściwą komuś, kto znalazł swego mistrza. – Ty, po prostu... Zresztą, dajmy temu spokój. Nie wiem, co z tobą jest.

A potem powiedział Quintenowi, że właśnie po raz nie wiadomo który trafił w sedno. Pan Themaat mówił wolniej niż kiedyś; zniknęły też gdzieś jego szalone wybuchy śmiechu. Odnosiło się wrażenie, że jego głowa jest nieruchomo zrosnięta z tułowiem, a szeroko otwarte oczy w jakby stężałej twarzy wpatrywały się w Quintena. Quinten usłyszał od Sophii, że to z powodu pigułek, które musiał łykać: wtedy człowiek taki się staje. Pan Themaat wyglądał tak, jakby zmienił się w woskową figurę przedstawiającą jego samego, zupełnie jak u Madame Tussaud, lecz jego słowa zdradzały, że umysł pozostał nietknięty.

Pan Themaat powiedział, że obserwując pajęczynę, Quinten dotarł do zasady *homo-mensura*: tezy Protagorasa, który twierdził, że człowiek jest miarą wszystkich rzeczy. W starożytnym Rzymie Witruwiusz powiedział, że świątynie powinny odpowiadać idealnym proporcjom ludzkiego ciała, tak jak to miało miejsce u Greków; w średniowieczu nakaz ten zaczęto wiązać ze starotestamentowym przekazem, iż Bóg stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo, przez co ludzkim proporcjom przyznano boskie pochodzenie, z nowotestamentowym dodatkiem w postaci zasadniczego znaczenia ciała Chrystusa. W architekturze doprowadziło to do projektowania kościołów i katedr na planie łacińskiego krzyża, czyli schematycznego układu ludzkiego ciała; dopiero w okresie renesansu ujęcie takie rozwinęło się w wyrafinowany system filozoficzno-architektoniczny.

– Połóż się na chwilę na podłodze – polecił pan Themaat. Quinten spojrział na niego zdziwiony.

– Ja?

– Tak, ty.

Kiedy Quinten zrobił, co mu kazano, pan Themaat powoli jak na zwolnionym filmie podniósł się ze swojego bujanego fotela i spytał Elsbeth, czy mają w domu jakiś sznur.

– Sznur? – powtórzyła Elsbeth podejrzliwie. – Na co ci sznur, na miłość boską? Chcesz go wiązać?

– Daj i nie gadaj.

Elsbeth wyjęła z koszyczka kłębek wełny.

– To może być?

– Nawet lepsze.

Pan Themaat poprosił, żeby Quinten ułożył nogi tak, by kostki się stykały, i rozłożył ręce na boki. Przesuwając się na kolanach po dywanie, ułożył z włóczki kwadrat, którego krawędzie dotykały czubka głowy Quintena, czubków palców oraz pięt. Następnie poprosił Quintena o lekkie rozchylenie nóg i przesunięcie rozłożonych ramion do góry, po czym drugi kawałek białej włóczki ułożył w okrąg, który dotykał jego stóp i czubków palców. Quinten wstał ostrożnie i spojrzął na podwójną figurę. Okrąg opierał się o dolną krawędź kwadratu, przecinając krawędzie boczne i przechodząc prawie dokładnie przez górne jego rogi. Pan Themaat wyjął z kieszeni guldena i położył go dokładnie na środku okręgu, który pokrywał się ze środkiem kwadratu.

– Właśnie tu masz pępek – powiedział – którym byłeś połączony z matką.

Quinten patrzył z lekkim przestraszonym na monetę, która po tych słowach pana Themaata nagle zmieniła się w błyszczącą tajemnicę.

Quinten dowiedział się teraz, że zależność pomiędzy *homo circularis* i *homo quadratus* jeszcze w czasach przed Chrystusem opisywał Witruwiusz w rozprawie o architekturze, a w wieku XV Leonardo da Vinci wykonał swój słynny rysunek. Pan Themaat wyjął książkę z regału i pokazał go Quintenowi: dumny nagi mężczyzna wpisany w kwadrat i w okrąg, z gęstymi lokami sięgającymi ramion i czterema rękami i czterema nogami, u góry i u dołu słowa komentarza pisane pismem lustrzanym.

– To pewnie jego autoportret – powiedział. – Do diabła, też wygląda jak pająk siedzący w sieci i w dodatku ma tak samo osiem kończyn! Co to znaczy? – Spojrzął z boku na Quintena, który też od razu to zauważył. – Nie obawiasz się, że powoli zaczynasz wkraczać w rejony, gdzie nikt już za tobą nie nadąży?

– Co to znaczy?

– Sam nie wiem.

Quinten popatrzył ponownie na figury na dywanie i powiedział:

– Przypomina też rzut poziomy Panteonu.

Pan Themaat wymienił spojrzenia z Elsbeth i rzekł z lekko uroczystą nutą w głosie:

- Uświadomienie sobie, że ciało boskie wyznaczają dwie idealne, podstawowe figury geometryczne, postawiło człowieka w samym centrum kosmicznej harmonii. Rozumiesz chyba, że było to niebywałe odkrycie dla architektów okresu humanizmu, takich jak twój wielki przyjaciel Palladio? Quinten nie mógł oderwać wzroku od białego kwadratu i białego okręgu z monetą w środku. Czyżby taka konfiguracja stanowiła także esencję jego Zamczyska? Czy to było to ostatnie słowo? Przypomniało mu się, co powiedział kiedyś Maks, mianowicie że w nieskończonym wszechświecie nie ma kresu, a środek jest wszędzie, ale też przypomniał mu się ochrypli, ścinający krew w żyłach głos z jego majaków, który pod zakratowanymi drzwiami powiedział, że za nimi znajduje się „środek świata”. Spojrzał na monetę i nagle ujrzał przed sobą matkę leżącą na białym łóżku – tyle że ono było prostokątne. Czy prostokąt to jeszcze krok dalej niż kwadrat? Wtedy jednak okrąg automatycznie zamieniłby się w elipsę, elipsę o dwóch ogniskach: orbita Ziemi wokół Słońca!

W tym samym momencie poczuł dotyk czyichś palców na włosach z tyłu głowy, trochę na prawo od środka. Była to pani Themaat.

- Quinten! Wiesz, że robi ci się tutaj taki biały kosmyk? Tylko tutaj, w tym jednym miejscu!

Gospodarka wolnorynkowa

Już kilka miesięcy potem okazało się, że o zamki nadal walczy się tak samo zaciekle jak w średniowieczu. Walka toczyła się w ciemną, choć oko wykol, noc między niemalże niewidzialnymi stronami – żadną z nich nie byli mieszkańcy, która to walka przypuszczalnie miała się zakończyć ich wypędzeniem przez zwycięzcę. Im dłużej trwała wojna, tym lepiej dla nich. Pierwszym kupcem był bogaty hodowca drobiu trzymanego na pierze, pan życia i śmierci milionów kurczaków. Kiedy pojawił się pewnego dnia w Groot Rechteren, żeby na własne oczy zobaczyć swój nowy nabytek, który kupił w ciemno, wyglądał dokładnie tak, jak wszyscy sobie kogoś takiego zwykle wyobrażają: wysoki postawny mężczyzna o tubalnym głosie, z cygarem i w wyśmienitym humorze. Drugi raz się już nie pokazał. Scedował zamek na administratora, siwiejącego wielmożę, który nawet wyglądem dostosował się do swojego tytułu, ale zdaniem Maksa w tych pumpach, zielonych skarpetkach i starannie wyglansowanych trzewikach sprawiał wrażenie wręcz przesadnie arystokratyczne, jak na kogoś, kto był w końcu tylko pracownikiem najzwyczajszego hodowcy drobiu. Nowy właściciel nic nie powiedział na temat przeznaczenia, jakie przewiduje dla Groot Rechteren, lecz wedle zapewnień wielmożnego administratora na pewno nie zamierzał tu mieszkać; miał już luksusową willę w Lunteren. We wsi pojawiły się plotki, że zamek zostanie przekształcony w główny ośrodek antropozoficznego centrum dla umysłowo chorych, przy czym w parku – który rzekomo został sprzedany jakiemuś funduszowi emerytalnemu – postawione zostaną trzy pawilony, mieszczące sześćdziesięciu pensjonariuszy każdy. Takie miało być podobno zastrzeżenie baronowej przy sprzedaży, chociaż nawet pastorka mówiła, że nic jej na ten temat nie wiadomo.

Ponieważ to Maks wyperswadował pozostałym tworzenie wspólnoty mieszkańców, czuł się zobowiązany rozwiać jakoś tę niepewność. Mimo że był całkowicie pochłonięty przygotowaniami do rozległego międzynarodowego programu badawczego na nowej częstotliwości 92 centymetrów, dotyczącego kwazara MQ 3412, na którego przykładzie spodziewano się przestudiować warunki panujące we wczesnej fazie rozwoju wszechświata, to jednak regularnie bywał w ratuszu, spędzając czas na próbach wysondowania zamierzeń co do zamku. Lecz zarówno kierownik wydziału, jak i pozostali urzędnicy, którzy oczywiście byli dokładnie o wszystkim poinformowani i którzy bez wątplenia z radością widzieliby nazwę Westerbork skojarzoną z placówką medyczną, okazali się jeszcze bardziej nieprzeniknieni niż horyzont wszechświata, do którego właśnie miał szansę tak bardzo się zbliżyć.

W pół roku później nagle przestano mówić o antropozoficznym domu wariatów. Czynniki należało od zaraz wpłacać na zupełnie inne konto bankowe, na nazwisko człowieka, który nawet się nie pofatygował, by obejrzeć swój zakup. Człowiek ten mieszkał w obszernym wiejskim domu w prowincji Overijssel, w środku lasu, gdzie Maks go odwiedził. Wyglądał jak nie przymierzając urzędnik z pocztowego okienka, jego chuda jak szczapa żona była lekko garbata, a z trawnika patrzył na niego krwiożerczym spojrzeniem zapadniętych głęboko oczu ogrodnik z kosą. Atmosfera była przerażająca jak w powieści gotyckiej, a jemu nie udało się nawet dowiedzieć, czym zajmuje się nowy właściciel, nie mówiąc już o tym, by poznać jego plany. Zdaniem pana Rosingi, który zimą taszczył schodami na górę bańki z olejem opałowym, we wsi mówiło się teraz, że Groot Rechteren zostanie przerobione na luksusowy hotel z restauracją, ale Piet Keller słyszał, że ma tu mieć siedzibę szkoła policyjna.

To też ostatecznie się nie sprawdziło i tylko zmieniali się kolejni właściciele. Raz mówiono o domu aukcyjnym, który miał się zainstalować w zamku, potem o ośrodku medytacyjnym dla przepracowanych menedżerów. Nikt już nie dbał o jego konserwację. Pan Roskam opuścił swój warsztat i nikt nawet nie wiedział, czy przypadkiem nie poszedł już śladem barona do ziemi, w rejony zakopanej czapki ojca. W murach zewnętrznych zaczęły pojawiać się pęknięcia, przeciekał dach, z trzcinowych sufitów odpadały kawałki tynku, a w kątach pokoi odchodziły od ściany zetlałe tapety, odsłaniając gołe wielowiekowe cegły. Jesienne liście zatykały odpływy rynien, tak że deszczówka spływała po murach, podtapiając piwnice, co powodowało latem plagę komarów. Sprawiało to wrażenie, jakby zamek miał raka, z miesiąca na miesiąc podupadał coraz bardziej, ale każdy z mieszkańców miał niezłomne postanowienie: nie damy się wypędzić kapitalistom!

Półtora roku po śmierci Geversa, w roku 1983 – Maks miał już lat pięćdziesiąt, a Sophia sześćdziesiąt – pojawiła się pierwsza rysa na wspólnocie: Keller dał się wykupić. Właścicielem zamku był w tym czasie czterdziestoparoletni mężczyzna o łagodnym wyglądzie, zdaniem pastorki świadek Jehowy, którego żona prowadziła seksklub w Amersfoort. On sam nazywał siebie „antykwarem”, co polegało na tym, że raz w miesiącu wyjeżdżał ze swoim „wspólnikiem” pustą ciężarówką do Hiszpanii, skąd wracał z rustykalnymi stołkami, stołami i szafami, które składował w zrujnowanej oranżerii. Dom Kellera był przeznaczony dla wspólnika, który sprawiał raczej wrażenie lokaja, gotowego skoczyć za swojego pana w ogień. Wedle jego słów mogli spokojnie wykorzystać do końca trzyletni okres wypowiedzenia; dopiero potem zamek zostanie gruntownie wyremontowany, podłączony do instalacji gazowej i otrzyma centralne ogrzewanie. Obecni mieszkańcy będą oczywiście mieli pierwszeństwo, należy się jednak liczyć z tym, że czynsze będą stanowiły wtedy wielokrotność obecnych. Zdaniem pana Spiera zamek zostanie przerobiony na gigantyczny burdel pod patronatem Wszechmogącego.

Nagle jednak się okazało, że zamek znowu sprzedano. Stary właściciel zostawił sobie tylko zabudowania na zewnątrz fosy – i kiedy Maks i Sophia zobaczyli nowego, od razu wiedzieli, że teraz wszystko się zmieni. Nie było już wątpliwości, oto zwycięzca, bezlitosne mechanizmy rynkowe wreszcie znalazły, kogo trzeba: niewysokiego, zadowolonego z siebie człowieczka o łysej czaszce i krótko przyciętej bródce, nazywającego się Korwinus, właściciela firmy rozbiórkowej. Wyglądało na to, że postawił on sobie za cel drastyczne skrócenie trzyletniego terminu wypowiedzenia przy użyciu szykan, ponieważ z miejsca zaczął się wszystkiego czepiać. Kiedy Quinten, wbrew nowemu regulaminowi dla mieszkańców, znowu zostawił rower na placu przed wejściem, zamiast w schowku na rowery, następnego dnia Maks otrzymywał list polecony z dobitnym żądaniem, żeby się to więcej nie powtórzyło. Kern usłyszał, że wspólny hol na górze nie należy do powierzchni wynajmowanego przez niego mieszkania, nie może mu więc służyć jako miejsce składowania rzeczy. Clara została upomniana, aby nie rozwieszała więcej prania na dachu, jak to jest w zwyczaju w ubogich dzielnicach. Najwyraźniej kamienna kula, którą jego robotnicy przy użyciu dźwigów rozbijali mury domów, znalazła sobie miejsce także w jego głowie. Zjawiał się co najmniej raz na tydzień, zdaniem wszystkich wyłącznie po to, aby wymyślić nowe szykany – ale najwyraźniej tego jeszcze mu było mało. Postanowił, że trzeba zatrudnić strażnika. Dawne pomieszczenia na strychu ze starymi sprzętami barona zostały przerobione na mieszkanie i pewnego dnia pojawił się nowy lokator: pan Nederkoorn.

Maks aż się przestraszył, kiedy zobaczył go po raz pierwszy, przy następnych okazjach zresztą też. Ogromny mężczyzna w jego wieku, tępak chodzący zawsze w wysokich czarnych butach do konnej jazdy, które uderzał plecionym skórzanym pejcem, zawsze w towarzystwie psa obronnego. Maks najchętniej od razu wywaliłby w niego cały magazynek z pistoletu maszynowego, chociaż byłoby to raczej zachowanie właściwe temu nowemu lokatorowi. Nederkoorn nie przedstawił się nikomu, nigdy się nie kłaniał i całe godziny spędzał na łącznie przed dawnym mieszkaniem Pieta Kellera na tresowaniu swojego psa Paco. Mieszkał razem z korpulentną kobietą, znacznie młodszą od siebie i mniejszą o trzy głowy, która ku zdumieniu Maksa najwyraźniej była w nim zakochana i zawsze obejmowała go ramieniem, kiedy razem wyjeżdżali jego jeepem.

Pan Sem Spier nie ograniczył się tylko do morderczych fantazji.

– Wynoszę się stąd – oznajmił już po paru dniach z nieruchomą twarzą. – Nie mogę mieszkać z tym gościem pod jednym dachem. Bardzo mi przykro, ale robi mi się niedobrze, kiedy patrzę na tego osobnika. Za bardzo mi się z czymś kojarzy.

Wszyscy widzieli, że mówi poważnie; nikt z nich nie chciał dać Korwinusowi satysfakcji, ale wszyscy to uszanowali, a poza tym mieli świadomość, że sprawy weszły w końcową fazę.

Pożegnanie z Pietem Kellerem było dla Quintena takim samym przeżyciem jak pożegnanie z Verdonkschotem i jego przyjacielem: przepełniona zdumieniem konstatacja faktu, o którym napisał też w liście jego ojciec, mianowicie, że nie zawsze wszystko zostaje takie samo. Troje dzieci Kellerów dawno już wyszło z domu, podobnie zresztą jak córka Kernów, Martha, i Quinten pomagał im w pakowaniu kluczy, zamków i innych rzeczy z warsztatu, którymi tak często się bawił. Kiedy go spytał, czy nie zabiera ze sobą tych dwóch kół od wozu z obu stron ścieżki, Keller po chwili wahania stwierdził, że nie ma na nie miejsca w szeregowcu, w którym teraz będzie mieszkał. Gdy wynajęta ciężarówka, dudniąc po obluźowanych deskach drugiego mostka, zniknęła mu z pola widzenia, Quinten miał wrażenie, jakby Kellera – od którego tyle się przecież nauczył – nigdy tu nie było.

Ale kiedy wyprowadzał się pan Spier, nie był w stanie na to patrzeć. Pamiętał dobrze, że kiedy był małym chłopcem, babcia zawsze przychodziła wieczorem go przykryć i zgasić światło; kiedy już dała mu całusa na dobranoc i szła w stronę drzwi, on szybko naciągał kołdrę na głowę i z całych sił zamykał oczy – kiedy je potem otwierał, musiało być tak samo ciemno, jak kiedy miał je jeszcze zamknięte. Jeśli natomiast widać było światło, ponieważ babcia coś tam robiła u siebie w pokoju, to wtedy był koniec, wtedy noc była, można powiedzieć, zmarnowana.

W mieszkaniu Spierów wszystko było popakowane w kartony i szare płachty. Kiedy około południa na placyk przed zamkiem wjechał samochód do przeprowadzek, Quinten pożegnał się z nimi na schodach. Pani Spier miała łzy w oczach i nie mogła wydobyć ani słowa, objęła go tylko, przytulając do siebie i całując pięć czy sześć razy. Pan Spier natomiast mocno uściśnął mu dłoń i powiedział:

– Bardzo nam przykro, że już nie będziemy cię codziennie widywać, Q.Q. Stałeś się częścią naszego życia, a nawet po trosze naszym synem. Mam nadzieję, że będzie ci się dobrze wiodło w życiu, a właściwie nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Jeśli będziesz na siebie uważał, oczywiście. Przrzekasz mi, że będziesz na siebie uważał?

– Tak, proszę pana.

– Odwiedź nas kiedyś w Pontrhydfendigaid, jak będziesz w Anglii, czy raczej w Walii, powinienem powiedzieć.

Quinten poszedł ze swoim fletem nad staw zanurzony w objęciach rododendronów. Przez cały czas instrument leżał beczynn timer na kolanach; kiedy zaczęło zmierzchać, on nadal siedział przed swoim szałasem. Był pochmurny wczesnowiosenny dzień, zupełnie bezwietrzny, i oleście połyskującą wodę przecinało tylko od czasu do czasu lustrzane odbicie przelatującego ptaka.

Teraz zniknęli z jego życia także pan i pani Spier. Judyta. *Quadrata*. Pontrhydfendigaid... a może tam jest też jego ojciec? Poczł smutek. Dlaczego jest coś, a nie ma niczego. Skoro wszystko i tak przemija, to jaki jest sens, że w ogóle było? Czy w takim razie naprawdę było? Kiedy pewnego dnia nie będzie już ludzi, nikogo, kto mógłby cokolwiek pamiętać, to czy można będzie powiedzieć, że kiedykolwiek coś się zdarzyło? To znaczy, czy t e r a z można powiedzieć, że wtedy będzie można powiedzieć, że kiedykolwiek coś się zdarzyło, skoro nie ma już nikogo, kto mógłby to powiedzieć? Nie, to będzie znaczyło, że nigdy nic się nie zdarzyło – chociaż przecież się zdarzyło. Wiedział, że o czymś takim może porozmawiać z Maksem; ponieważ jednak nie mógł rozmawiać o tym z ojcem, nie chciał też rozmawiać z Maksem. Przypomniał sobie Ośrodek Pamięci, który w zeszłym roku otwarto na terenie obozu w Westerbork i w którym był z Maksem i babcią. Na wielkich zdjęciach oraz na filmie widział ludzi jadących na śmierć, którzy wsiadali do wagonów pod nadzorem żołnierzy przypominających pana Nederkoorna. Widział, jak Maks pochylił się do przodu, by uważnie przyjrzeć się wszystkim twarzom – oczywiście w nadziei, że przypadkiem dojrzy tam swoją matkę. Widać było też kobiety, ale tylko głowy, od tyłu. Wszystkie nieżywe. To na pewno nie mogło nigdy się nie zdarzyć! Maks opowiadał mu, że i dzisiaj są jeszcze zwolennicy Hitlera, którzy twierdzą, że te zdjęcia i filmy to oszustwo i że coś takiego nigdy się nie zdarzyło – ale w takim razie za co go podziwiają? Na to oni mówili, że Hitlerowi się nie udało, bo nie zdołał zrobić wszystkiego, co zapowiadał. Fajni zwolennicy! Hitler od razu kazałby takich postawić pod ścianą. Tyle że... jednak ktoś może p o w i e d z i e ć, że to się nie zdarzyło, chociaż tak naprawdę się zdarzyło – czego można by dowieść historioskopem – ale gdyby pewnego dnia nie było już ani jednego człowieka i nikt nie mógłby powiedzieć, że to się n a p r a w d ę zdarzyło, to jak wtedy nie mogłoby się to nie zdarzyć? Ta ryba, która właśnie na chwilę wystawiła pyszczek nad powierzchnię wody, tak że powstał rozchodzący się krąg, który wygląda jak coraz większa aureola, czy ona zrobiła to tak całkiem na zawsze? A on sam siedzi teraz tutaj, czy kiedyś będzie tak, że nigdy tutaj nie siedział? W takim razie czy teraz tu siedzi? Czy w ogóle istnieje? To trochę jak z Zamczyskiem. On tak samo: istnieje i zarazem nie istnieje. W żaden sposób nie chciało mu się to zgodzić. Czego on tu na tym idiotycznym świecie właściwie szuka? Po co tu w ogóle jest?

Kiedy wrócił do domu, państwa Spierów już nie było, Korwinus chodził z calówką po pustych pokojach i miesiąc później tam zamieszkał. Od tego momentu wydawało się, jakby zamek przechylił się na jedną stronę, zupełnie jak storpedowany okręt.

Nikt nie miał odwagi popatrzeć, nawet chyłkiem, jak Nederkoorn mieszka na poddaszu. Zdaniem Maksy na pewno sypiał pod flagą ze swastyką, z portretem Himmlera nad łóżkiem. Na piętrze, które Maks dzielił z Kernem, na pierwszy rzut oka wszystko pozostało bez zmian, ale na dole empirowe meble Spiera ustąpiły miejsca dębowemu umeblowaniu, tak masywnemu, że kto wie, czy nie dociążonemu w środku betonem; zdaniem Kerna Korwinus powinien się cieszyć, że mu to wszystko nie wpadło przez strop do piwnic. Także Korwinus miał żonę, która najwyraźniej była w nim zadurzona, ale ponieważ zabronił jej oczywiście spoufalać się z innymi mieszkańcami, nie udało się wysondować, czy było tak dzięki czy pomimo kamiennej kuli w jego głowie. Mieli dwóch synów w tym samym wieku co Quinten i Arend Proctor. Quinten się z nimi nie zadawał, za to Arend zaprzyjaźnił się ze starszym, Evertem – zapewne wbrew woli Korwinusa. Widać było, że ten chce mieć cały zamek dla siebie, a więzy przyjaźni z wrogiem utrudniały prowadzoną przez niego wojnę nerwów.

Kiedy Paco nie czołgał się po trawniku pod pejcem i komendami Nederkoorna, leżał uwiązany na łańcuchu pod oknem pokoju pana Themaata i nieprzerwanie ujadał. Powołując się na zły stan zdrowia męża, który nie mógł tego wytrzymać, Elsbeth kilkakrotnie zwróciła uwagę Nederkoornowi, ale ten tylko popatrzył na nią jak na przedmiot. Raz nawet nie wytrzymała i zrozpaczona wezwała policję, ta jednak nie mogła nic zrobić.

– Rzadko kiedy się zdarza – powiedział potem Maks – żeby policja mogła coś zrobić. Poza wyłapywaniem Żydów, bo z tym radziła sobie doskonale.

Do psa nie sposób było podejść: jeśli ktoś zbliżył się na mniej niż trzy metry, zaczynał warczeć, a drgające wargi odsłaniały kły, co wcale nie przypominało uśmiechu. Tylko widząc Quintena, natychmiast przestawał ujadać, skomlać, kładł uszy po sobie i pozwalał mu się głaskać. Kiedy Nederkoorn po raz pierwszy to zobaczył, wpadł w furję.

– Jak mi jeszcze raz dotkniesz bydlaka palcem, to będziesz miał ze mną do czynienia!

Quinten przestał więc psa głaskać – nie dlatego, żeby przestraszył się Nederkoorna, ale dlatego, że Paco oczywiście musiał za to odpokutować.

Ale kiedy tylko miał okazję, siadywał z książką pod oknem pana Themaata, tak żeby pies przynajmniej przez jakiś czas był cicho. Tyle się od tego człowieka dowiedział, że był mu to winien. Nad stawek i tak już nie chodził, od kiedy ształas został zniszczony. Paco podczołgiwał się do niego, na ile pozwalał mu łańcuch, i kładł się na ziemi, najbliżej jak mógł, patrząc na niego swoimi złotobrazowymi oczyma. Patrzy zupełnie jak ja, pomyślał Quinten, ale nie wie, że ma oczy. Pewnego razu pan Korvinus wyszedł na schody i nakazał mu natychmiast się stąd zabierać, ponieważ plac przed zamkiem to nie dzielnica biedy, gdzie łobuzeria wysiaduje na ulicy; wtedy jednak Sophia otworzyła okno na górze i rzekła spokojnie:

- Dziwnie często mówi pan o dzielnicach biedy, proszę pana. Ciekawe, z czego to wynika?

Pomogło - ale na jak długo?

Pewnego wieczora, leżąc na kanapie, Maks próbował jeszcze popracować, bezustannie jednak nachodziła go myśl o sytuacji panującej w zamku. Rozdrażniony wstał i poszedł do pokoju Sophii. Siedziała w podomce na skraju łóżka i właśnie wstrzykiwała sobie insulinę, od roku musiała to robić codziennie.

– Przepraszam, że ci przeszkadzam – zaczął Maks, patrząc na igłę w jej udzie – ale jestem strasznie wkurzony. W ogóle nie mogę się skupić, chociaż co ja mam z tym wszystkim wspólnego? Od kiedy skończyła się tutaj władza feudalna i rządy przejęło mieszczaństwo, całe godziny absorbuje mnie fakt mieszkania tutaj. A przecież człowiek mieszka właśnie po to, żeby robić coś innego. Kiedy człowiek chodzi, to przecież nie myśli cały czas o tym, że chodzi – chyba że właśnie złamał sobie nogę. Mam dosyć innych spraw na głowie, właśnie zajmuję się najciekawszym projektem w całej mojej karierze. Pamiętasz, jak ci tłumaczyłem, że te czasy w Westerbork to jakby jeden gigantyczny teleskop? Teraz, w dobie komputerów, jesteśmy w stanie zsynchronizować ze sobą wszystkie czasy na całej kuli ziemskiej, a wtedy mamy do dyspozycji superteleskop o średnicy ponad dziesięć tysięcy kilometrów, tak wielki jak cała nasza planeta. I po co mam się w tej sytuacji użerać z tym całym chamstwem panoszącym się na zamku? Po co to nam? Czy ja naprawdę muszę się zajmować takimi rzeczami? Moim zdaniem to ogromnie niebezpieczne i może nam zniszczyć życie. Weźmy takich Moluków, którzy mieszkali dawniej w Westerbork. Obóz Schattenberg, pamiętasz, prawda? Służyli kiedyś w holendersko-indyjskiej armii, byli więc w zasadzie kolaborantami i po uzyskaniu niepodległości przez Indonezję musieli się stamtąd wynosić. Tutaj oczywiście też nikt ich nie chciał, ale oni byli przeświadczeni, że pewnego dnia powrócą do swojej nowej, własnej republiki, Maluku Selatan. Dlatego za nic nie chcieli się wynieść z tych baraków, bo to by oznaczało, że pogodzili się z sytuacją. Ich synowie zaczęli w imię ideału porywać pociągi, a teraz siedzą w więzieniach. Poza tym uważali też, że rząd holenderski jest im jeszcze winien zaległy żołd, dwa tysiące guldenów na głowę, czy coś. Przez całe życie o to walczyli, śląc petycje i demonstrując przed parlamentem, w końcu dostali te pieniądze, ale wtedy życie mieli za sobą. A za te pieniądze nie można już było kupić nawet kolorowego telewizora. No a teraz wszystko to są staruszkowie, którzy wciąż jeszcze wciągają na maszt flagę swojego nieistniejącego kraju. Czy nie powinniśmy z tego wyciągnąć wniosków i wynieść się stąd jak najprędzej?

Przyciskając wacik do maleńkiej ranki, Sophia podniosła głowę.

– Nie podoba mi się, kiedy tak ni stąd, ni zowąd wpadasz do mojej sypialni, Maks.

Muzyka

Żeby się jakoś bronić przed ujadaniem Paco, pan van Themaat starał się w ciągu dnia przebywać w bocznym pokoju, znajdującym się pod sypialnią Sophii. Było to królestwo Elsbeth, tutaj też jadali. Pewnego dusznego, pochmurnego popołudnia w jakąś niedzielę późnym latem roku 1984 Elsbeth spytała Quintena, czy nie odwiedziłby jej męża, który na pewno by się ucieszył.

Pan Themaat leżał z zalecionymi rękami na sofie stojącej przy oknie z widokiem na fosę. Panorama była taka sama jak na górze, tyle że pod innym kątem, zarazem więc nie była taka sama: lilie wodne i kaczki były bliżej, drzewa po drugiej stronie wydawały się wyższe. Ponieważ niebo było już ciemne, paliła się lampka i rozbrzmiewała cicha muzyka, jakiś koncert skrzypcowy, może po to, by zagłuszyć dalekie szczekanie. Z panem Themaatem było źle. Quinten jakoś nie mógł sobie z tym poradzić, że ten stary, chory człowiek to ten sam, którego kiedyś znał. Usiadł, a ponieważ nie przyszedł z żadnym pytaniem, nie wiedział, co powiedzieć; nigdy dotąd nie rozmawiał z panem Themaatem ot, tak sobie. Popatrzył na staroświecki sekretarzyk pani Themaat. W symetrycznym rysunku słoju mahoni ujrzał diabelski nietoperzowaty kształt: głowa z dwojgiem wielkich oczu na szufladzie u góry, rozpostarte skrzydła na zamkniętym pulpicie, szpony na podwójnych drzwiczkach u dołu.

Wyglądało na to, że pan Themaat też czuje się niezręcznie. Coś dziwnego działo się z jego oczami: nie mrugał szybkim ruchem, jak każdy, tylko nieskończenie powoli zamykał oczy, a potem je otwierał, jakby był śmiertelnie zmęczony.

- Tak, Kuku - zaczął - czasy się zmieniają. Ile masz teraz lat?
- Szesnaście.

– Już szesnaście... – Pan Themaat podniósł oczy na dębowe belki sufitu. – Kiedy ja miałem szesnaście lat, był rok 1926. W maju tego roku Lindbergh jako pierwszy człowiek przeleciał Atlantyk bez międzylądowania, pamiętam, jakby to było dziś. Mieszkałem wtedy w Haarlemie, niedaleko były łąki, które nazywaliśmy „pchlim polem”; często włóczyłem się tam z kolegami. Była to rozległa łąka naprzeciwko wielkiego białego pawilonu z końca XVIII wieku, z kolumnami i tympanonem i wszystkimi tymi detalami, które tak lubisz. – Quinten widział, że pan Themaat ma to wszystko przed oczami, chociaż patrzy tylko w sufit. – Swoim przepychem zupełnie nie pasował do mieszczańskiego Haarlemu. – Spojrzał na Quintena. – Mnie też już wtedy o wiele bardziej interesowały Nieuwe Bouwen, De Stijl, Bauhaus i tak dalej. Twój gust zawsze wydawał mi się trochę dziwny jak na takiego chłopca, ale wiesz co? Jesteś absolutnie supernowoczesny z tym swoim Palladiem i Boulléem i innymi.

– Co pan ma na myśli?

– Już od dłuższego czasu nie śledzę literatury fachowej, ale po klasycyzmie i neoklasycyzmie wszystkie formy klasyczne powracają po raz trzeci. W roku 2000 cały świat będzie tego pełen, przekonasz się, zobaczysz na własne oczy. Z początku myślałem, że to tylko kaprys mody, ale to sięga znacznie głębiej. Ty masz rację, a ja nie wiem, czy się z tego cieszyć. W sztukach pięknych oraz w literaturze i muzyce modernizm pewnie rychło się skończy, podobnie w polityce. Gropius, Picasso, Joyce, Schönberg, Lenin, to oni byli wyznacznikami mojego życia, ale wygląda na to, że już bardzo niedługo wszystko to odejdzie w przeszłość.

– Freud i Einstein też? – spytał Quinten. W domu często słyszał te nazwiska w podobnych wyliczankach.

– Wcale by mnie to nie zdziwiło. W ostatnich latach czuję się niekiedy tak, jak musiał się czuć miłośnik gotyku w chwili nadejścia klasycyzmu. Wszystkie te wspaniałe katedry nagle stały się staroświeckie. Czy wciąż jeszcze interesują cię takie rzeczy?

Quinten odniósł wrażenie, że pan Themaat nie do końca wie, z kim właściwie rozmawia. Zupełnie jakby widział w nim jakiegoś emerytowanego profesora, takiego jak on sam.

– W taki sposób nigdy się tym nie interesowałem.

– W jaki sposób?

Quinten zastanowił się przez moment. A może opowiedzieć mu o Zamczysku ze swoich snów? Tylko jak tu opowiedzieć sen? Kiedy opowiada się sny, zawsze brzmi to idiotycznie, ale kiedy się je śni, wcale nie są idiotyczne – kiedy więc nawet dokładnie opowiada się sen, to jednak nie jest to opowieść o tym, o czym się śniło. Nie można opowiedzieć snu.

- Tak po prostu - powiedział. - Sam nie wiem. Wydaje mi się, że powiedział mi pan wszystko, co chciałem wiedzieć.

Pan Themaat patrzył na niego przez chwilę, potem z trudem przeniósł nogi na skraj kanapy i usiadł ze zgarbionymi plecami, dwie białe dłonie ułożone płasko przy udach. Zamknął oczy, a potem znowu je otworzył.

- Opowiedzieć ci jeszcze coś, czego być może nie wiesz?

- Bardzo proszę.

- Może wyda ci się to bezsensowne, zwykłe głupie gadanie chorego starego człowieka, ale i tak ci powiem. Zastanów się, jak to możliwe, że idealna architektura grecko-rzymska oraz renesansowa mogły przejść w nieludzki gigantyzm kogoś takiego jak Boullée? I jak to możliwe, że później, u Speera, stało się to wręcz wyrazem ludobójstwa?

- Powiedział pan kiedyś, że to ma coś wspólnego z Egiptem. Z piramidami. Ze śmiercią.

- To prawda, ale co sprawiło, że jedno zaczęło się wiązać z drugim?

- A pan to wie?

- Tak mi się wydaje, Kuku. I ty też powinieneś wiedzieć. To przez zmierzch muzyki.

Quinten spojrział na niego zdumiony. Muzyki? A co ma nagle muzyka wspólnego z architekturą? Po nieruchomej jak maska twarzy pana Themaata przemknął cień uśmiechu.

A potem pan Themaat powiedział, że architekci okresu humanizmu, tacy jak Palladio, nie kierowali się w swoich projektach wyłącznie odkryciem Witruwiusza, że kwadrat i okrąg są wyznacznikami proporcji ludzkiego ciała Chrystusa, ale też odkryciem Pitagorasa z VI wieku przed Chrystusem, że harmonijne interwały pozostają do siebie w takim stosunku, jak zwykłe liczby całkowite. Jeśli poruszy się strunę, a następnie zechcesz usłyszeć dźwięk o oktawę wyższy od poprzedniego, musisz nacisnąć ją w połowie – absolutnie harmonijne współbrzmienie z dźwiękiem o oktawę wyższym określane jest zatem stosunkiem 1:2. Przy kwincie było to 2:3, a przy kwarcie 3:4. Fakt, że równie proste, co niewiarygodnie fantastyczne 1:2:3:4 stanowi podstawę muzycznej harmonii, oraz że można z tego wyprowadzić całą wiedzę o muzyce, do tego stopnia zaszokowało Platona sto pięćdziesiąt lat później, że w dialogu *Timaios* kazał demiurgowi stworzyć wedle muzycznych zasad świat kulisty, włącznie z duszą człowieka. Tysiąc pięćset lat później nadal obowiązywało to w renesansie. Architekci uświadomili sobie wtedy, że harmonie muzyczne mają swój wyraz przestrzenny, mianowicie stosunek długości strun, a stosunki przestrzenne to przecież ich domena. Ponieważ zarówno świat, jak i ciało oraz dusza zostały zakomponowane zgodnie z harmonią muzyczną przez architekta demiurga, dotyczy to zarówno makrokosmosu, jak i mikrokosmosu, zatem w swoich własnych projektach architektonicznych muszą kierować się również zasadami muzyki. U Palladia rozrosło się to w nader zróżnicowany system. W następstwie owa grecka i boska harmonia świata weszła w związek ze starotestamentowym Jahwe, który nakazał Mojżeszowi budowę tabernakulum zgodnie ze ściśle podanymi wymiarami – ale tego już, jak stwierdził, tak dokładnie nie pamięta. Zapomniał.

– Tabernakulum? – spytał Quinten.

– To był namiot, w którym Żydzi w trakcie wędrówki przez pustynię trzymali swoje świętości.

– Był czworoboczny czy okrągły?

– No właśnie. Na tym polegała trudność pogodzenia Platona z Biblią. Jeśli dobrze pamiętam, w grę wchodziły czworoboki, żadnych okrągłości. Cały namiot miał być czworokątny.

Czworokątny? Greckie i egipskie świątynie też przecież były czworokątne – czy tak jak łóżka? Quinten na chwilę otworzył szeroko oczy, nie zdołał jednak pójść dalej śladem swojej myśli, ponieważ pan Themaat przystąpił do podsumowania.

Powiedział, że w XVI i XVII wieku, z chwilą narodzin nowych czasów, kiedy powstała nowoczesna nauka, wszystko to poszło w zapomnienie. Teza, że teoria muzyki stanowi metafizyczny fundament świata, ciała i duszy oraz architektury, została zarzucona jako obskurancka bzdura – a to doprowadziło w prostej linii do Boulléego i Speera. Oczywiście, kiedy elementy składowe zostały sto razy powiększone, harmonia między nimi nie uległa wcale zmianie, ponieważ jednak wymiary ludzkiego ciała, jako miara wszystkich rzeczy, również pozostały niezmienione, oznaczało to, że człowiek proporcjonalnie stał się sto razy mniejszy, zatem cała harmonia jednak została zaburzona, a dusza ludzka po egipsku się rozmyła.

Powoli, jakby dźwigał coś niebywale ciężkiego, pan Themaat uniósł palec wskazujący.

– A to, co widzisz w tej chwili, Kuku, to niespodziewany powrót wszystkich klasycznych motywów, wszystkich tych stylobatów i trzonów, i kapiteli, i fryzów, i tympanonów, na szczęście w ludzkich wymiarach, jakkolwiek często całkowicie bezsensownie. Zupełnie jakby gdzieś wysoko w przestrzeni rozpękł się klasyczny ideał i jego odłamki oraz szczątki spadły na ziemię, wszystko przemieszane, przetworzone, potrzaskane i wyzbyte równowagi. – Proszę – powiedział, sięgając po wielką, grubą księgę, którą najwyraźniej zawczasu przygotował. – Oto katalog Biennale w Wenecji. Cztery lata temu odbyła się tam wystawa architektoniczna, dzięki której po raz pierwszy dotarło do mnie, co się szykuje. „Obecność przeszłości”, brzmiało motto. Przyjrzyj się – rzekł, otwierając księgę w miejscu zaznaczonym papierkiem – Akropol w krzywym zwierciadle. – Z przymkniętymi na wpół powiekami wręczył Quintenowi książkę.

Czy to widok na Zamczysko? Quintenowi zabłyśły oczy. Jakie wspaniało! Były to zdjęcia fantastycznej ulicy umieszczonej we wnętrzu, zbudowanej w krytej hali: wysokie dekoracje z fasad zaprojektowanych przez różnych architektów, wszystkie diametralnie się od siebie różniące, a jednak jakoś do siebie przystające, przy czym każda fasada z kolei także składała się z elementów do siebie niepasujących, a jednak tworzących całość. Kiedy pan Themaat mówił, że gdyby Witruwiusz to zobaczył, dostałby ataku serca, a Palladio pokładałby się ze śmiechu, Quinten przyglądał się paradoksalnemu portykowi z czterema stojącymi tuż obok siebie kolumnami: pierwsza była w kształcie nagiego pnia drzewa, druga stała na makiecie domu, trzecia składała się tylko z jednej połowy, to znaczy z górnej połowy wiszącej w powietrzu, a jednak sprawiała wrażenie, jakby mimo wszystko podtrzymywała architrav, czwarta natomiast była przyciętym w kształt kolumny żywopłotem; tympanon zaznaczono wygiętym paskiem błękitnego neonowego światła. Wszystko to miało w sobie jakąś bajkową paradoksalność, dysharmonię jako harmonię. Pan Themaat zapewniał wprawdzie w dalszym ciągu wywodu, że to nadal jest język klasyki, tyle że wszystkie słowa są napisane z błędami, a składnia to istna stajnia Augiasza, tak jak piszą dzieci – Quintena jednak wypełniało bez reszty poczucie szczęścia.

– Tak myślałem, że ci się spodoba, Kuku – powiedział pan Themaat, ocierając kąciki ust chusteczką. – Dla mnie to koniec, coś w rodzaju fajerwerku na finał wielkiego święta, które kiedyś zaczęło się w Grecji. Wtedy jednak obowiązywał stabilny obraz świata Ptolemeusza, z Ziemią spoczywającą w środku wszechświata; w okresie humanizmu pojawił się wszechświat Kopernika, ze Słońcem spoczywającym w środku; potem był nieskończony wszechświat Giordana Bruna, który w ogóle nie ma środka. Wszystkie te wszechświaty były wieczne i niezienne, ale od niedawna żyjemy w wybuchowym, dynamicznym wszechświecie twojego przybranego ojca, który to wszechświat nagle otrzymał początek. No i z tego właśnie bierze się ów postmodernistyczny spektakl, to rozpadanie się na części i kawałki. Wszystko w jednej chwili eksplodowało, włącznie z przyrostem naturalnym, a nastąpiło to z powodu szaleńczego rozwoju techniki. Nagle nastały całkowicie inne czasy, których ja na szczęście nie będę już musiał oglądać.

Quinten w zamyśleniu spojrział w okno.

– Ale przecież taki punkt początku też jest czymś w rodzaju punktu stałego? Co może być bardziej stałego niż punkt początku? Właściwie powinien pan to uznać za postęp w stosunku do poprzedniego wszechświata, który nie miał środka.

– To prawda – zgodził się pan Themaat – można i tak na to spojrzeć.

- Oczywiście od razu sobie teraz przypomniałem, co mi Maks kiedyś powiedział: że człowiek jest mniej więcej o tyle mniejszy od wszechświata, o ile najmniejsza cząsteczka jest mniejsza od człowieka.

Pan Themaat przez kilka sekund wpatrywał się w niego swymi szeroko otwartymi, nieruchomymi oczami.

- A więc jednak? Jednak jest w samym środku? Pewnie oni o tym wiedzieli.

- Kto?

- No Platon, Protagoras, Witruwiusz, Palladio, oni wszyscy. - Pan Themaat położył się z powrotem, stękając, i przez chwilę nic nie mówił. - W ostatnich tygodniach ciągle rozmyślałem o muzyce, Kuku. Platowska harmonia sfer zniknęła gdzieś już w czasach Newtona, z samej muzyki harmonia zniknęła z chwilą pojawienia się Schönberga, czyli mniej więcej w czasach Einsteina. Ale podobnie jak te zdeformowane kolumny na zdjęciu w katalogu powraca też tonalność - tyle że muzyka zdążyła z błogosławieństwa stać się przekleństwem. My tutaj mamy jeszcze stosunkowo spokojnie, tu szczekają tylko psy, ale w mieście nie ma już przed nią ucieczki, muzyka jest wszędzie, nawet w windach i toaletach; z samochodów dudni muzyka, każdy robotnik na rusztowaniu ma własne przenośne radio, nastawione na cały regulator. Wszędzie jest taki hałas, jaki kiedyś panował wyłącznie na jarmarku. Lecz wszystkie te harmonijne muzyki razem tworzą kakofonię, przy której Schönbergowska dodekafonia relatywistyczna to drobiazg. I to właśnie wyrazem tej wszechobecnej kakofonii jest najnowsza kakofoniczna architektura. Bomba, o której kiedyś mówiłeś, Quintenie, właśnie wybuchła. To chciałem przez to powiedzieć, ale może lepiej będzie, jeśli o tym zapomnisz. Trochę się jednak zmęczyłem, chyba zamknę na chwilę oczy.

Ten wykład bardzo poruszył Quintena: brzmiał trochę jak testament. Nagle znowu usłyszał tyle nowych rzeczy, że jeszcze nie potrafił sobie wszystkiego uporządkować. Wchodząc schodami na górę, myślał, że zawsze można się o świecie dowiedzieć więcej, niż się już wie. Oczywiście, nie można wiedzieć wszystkiego, i nigdy nie jest to potrzebne, ale z pewnością mnóstwo ludzi nie wie nawet, ile tak naprawdę można wiedzieć. Żyją i umierają, nie dowiadując się nawet, że można wiedzieć jeszcze to czy tamto, o czym może chętnie by wiedzieli. Chociaż, skoro i tak kiedyś się umiera, to jaka to różnica? Wtedy równie dobrze można się było nie urodzić. Może większość ludzi w ogóle nie chce nic wiedzieć. Oni chcą po prostu być bardzo bogaci albo dużo jeść, albo oglądać piłkę nożną i inne takie rzeczy. Albo się ze sobą całować.

Już w swoim pokoju zatrzymał się niezdecydowany, spojrzawszy na czarny futerał z wiolonczelą matki, oparty pionowo o ścianę. Nigdy jeszcze go nie otworzył; zawsze miał poczucie, że byłoby nie w porządku zrobić to z czystej ciekawości. Lecz jeśli kiedykolwiek był ten właściwy moment, to właśnie teraz. Może to pierwszy raz od szesnastu lat znowu padnie na nią światło. Chociaż nie, ojciec na pewno nieraz na nią patrzył. Ostrożnie położył futerał na podłodze, ukląkł, otworzył dwa zameczki i powoli uniósł wieko.

Chociaż wiedział, że w środku jest instrument, to jednak jego widok był dla niego szokiem. Matowy i zakurzony, leżał na wznak w ciemnoczerwonym aksamicie, którego brzegi ponadgryzały mole. Miał kształt człowieka, z szerokimi biodrami, talią i torse z ramionami; na samym końcu długiej szyi komora kołkowa i ślimak tworzyły niewielką główkę, jak u strusia. Symetryczne otwory rezonansowe po obu stronach gryfu przypominały odciski stóp. Ostrożnie wyjął instrument z futerału – obicie pod spodem było niemal całkowicie wyjedzone – i uroczyście zaniósł na łóżko. Usiadł obok, jak obok człowieka, i ciągle patrzył. Może ten instrument bardziej był jego matką niż sama matka? Patrzył na struny, po których ślizgały się jej palce, na boczne ścianki pudła rezonansowego, które trzymała między udami – wszystko miało w sobie więcej wspomnień o niej niż ona sama o sobie.

Po chwili wstał i poszedł do drugiego pokoju. Sophia była zajęta polerowaniem szkła na oprawionym w ramki zdjęciu stojącym na gzymsie kominka i Quinten zapytał ją, czy może pożyczyć jej centymetr; kiedy powiedziała, że zapomniał się jakiś czas temu, poszedł do Theo Kerna i pożyczył calówkę. Z wielką ciekawością zmierzył potem strunę „a”, od kołka po podstawek: 62 centymetry. Teraz musiał ją szarpnąć, ale świadomość, że to on będzie tym, który po tylu latach znowu wydobędzie z instrumentu dźwięk, wymagała oswojenia się z tą myślą. Paznokciem palca wskazującego szarpnął strunę i wsłuchał się w dźwięczny ton. Zmarszczył brwi. Jego zdaniem dźwięk był o pół tonu za niski. Sprawdził na flecie: rzeczywiście, to było „as”. Chociaż nie miało to większego znaczenia, spróbował podciągnąć strunę, ale kołek ani drgnął. Potem wymierzył calówką środek struny: 31 centymetrów, przycisnął do tego miejsca palec wskazujący, a drugim znowu uderzył w strunę. Kiedy usłyszał to samo „as”, które zarazem nie było tym samym „as”, wyprostował się i spojrzął dokoła z ekstatycznym uśmiechem. To prawda! Pitagoras! Platon! Usłyszał dźwięk ze środka świata!

Nagle zostawił to wszystko, tak jak było, i zbiegł schodami do holu. Na dole pan Korvinus gwałtownie otworzył drzwi i napadł na niego, że tu mieszkają też inni ludzie, więc może by się trochę pohamował, ale Quinten nawet na niego nie spojrział. Przebiegł plac przed zamkiem – Nederkoorn właśnie uczył tam Everta Korvinusa jeździć jeepem, a Arend siedział z tyłu – potem minął obydwie mostki i pognął na prostokątną, otoczoną z trzech stron lasem łączkę za Klein Rechteren. Tam usiadł w rowie i ciężko dysząc, spocony patrzył na czerwoną krowę, która mieląc pyskiem, na moment odpowiedziała spojrzeniem na jego spojrzenie, a potem uspokojona powróciła do swego posiłku. Niebo wciąż było zaciągnięte, ale teraz jakimiś dziwnymi, pędzącymi przed siebie chmurami, które w środku były ciemnofioletowe, a na brzegach rozjaśnione światłem; wyglądało to tak, jakby wydostały się pionowo wprost z otchłani. Niemniej jednak tam, gdzie siedział, nie było wiatru i panowała duchota.

Przejęty spojrział w stronę ciemnych drzew otaczających łąkę, na pasącą się krowę między dwiema olchami i na trzy głązy leżące na swych idealnych miejscach, jak w japońskim ogrodzie. Nagle uświadomił sobie z całą pewnością, że jest przeznaczony do czegoś niesłychanego – zupełnie jakby otrzymał jakąś wiadomość, jakieś zadanie, które tylko on może wypełnić! Ale co to było? Jak się tego dowiedzieć? Czy to miało coś wspólnego z całkiem nowymi czasami, które zdaniem pana Themaata właśnie nadeszły? W tym momencie po przeciwnej stronie ukazał się między drzewami jelen, zatrzymał się i patrzył przez łąkę – i nagle, nie do wiary, zerwał się silny wiatr i zaczął wiać w twarz Quintenowi, cały las w jednej chwili rozszumiał się jak morze i spomiędzy drzew ruszyły w stronę łąki wysokie fale liści, a jelen kilkoma sasami zniknął w ciemnościach.

48

Prędkości

Kiedy Ferdinand Verloren van Themaat w początkach grudnia został przyjęty na czas nieokreślony do centrum psychoterapeutycznego w Apeldoorn, Elsbeth straciła cierpliwość i też przeniosła się do miasta, a Korvinus natychmiast przyłączył ich mieszkanie do swojego. Od tej chwili Paco nie był już wiązany na łańcuchu na placu przed zamkiem. Tak nadszedł rok 1985.

Przedsiębiorca rozbiórkowy zajmował teraz cały parter, co miało ten skutek, że pozostali lokatorzy nie mieli prawa korzystać z głównego wejścia: pan Korwinus nie życzył sobie kręcenia się po jego części. Odtąd musieli korzystać z wejścia dla dostawców, w bocznej ścianie zamku, potem droga prowadziła przez schowek na rowery, piwnice i dawne schody dla służby na tyłach. Podobnie jak piwnice, tak i ta klatka schodowa od dziesiątków lat była zastawiona rupieciami, pordzewiałymi wiadrami, połamanymi krzesłami, zrolowanymi dywanami; jeśli to komuś przeszkadza, to może sobie posprzątać, a jak się komuś nie podoba, to nikt go tu nie trzyma. W drodze na poddasze tylko Nederkoornowi wolno było korzystać ze starych, teraz zamykanych schodów na pierwsze piętro.

Proctora ta szykana doprowadziła do białej gorączki. Aż do tego momentu wydawało się, jakby wszystkie te zmiany go nie dotyczyły, oczywiście dlatego, że jego myśli całkowicie pochłaniało wielkie dzieło o *Lucyferze Vondela*; teraz jednak pewnego dnia w południe zbiegł jak furia po schodach z siekierą w dłoni i wrzeszcząc na całe gardło, zaczął rąbać wstawione przez Korwinusa drzwi. Clara, Sophia i Selma straciły godzinę, zanim udało im się uspokoić dygocącego na całym ciele tłumacza. Pijąc wodę ze szklanki, Proctor powtarzał nieprzerwanie, że nie pozwoli się zmuszać do wychodzenia tylnymi drzwiami, skoro przez dwadzieścia lat używał drzwi frontowych, i byle łobuz nie będzie mu kazał chodzić tylnymi. I że nie zostanie tu ani dnia dłużej! Wszyscy spodziewali się jakiejś straszliwej odpowiedzi Korwinusa, on jednak zareagował zdumiewająco powściągliwie; jeszcze tego samego dnia drzwi zostały zreperowane i Korwinus ani słowem nie wrócił do sprawy. Zdaniem Maksa wyjaśnienie mogło być takie, że i tak widział, jak krok po kroku zbliża się do celu, i miał świadomość, że coraz mniej musi robić, żeby podkopać ich morale; wystarczy od czasu do czasu niespodziewanie wyłączyć prąd czy odciąć wodę. Quinten przypuszczał jednak, że od radykalnych kroków powstrzymuje go przyjaźń Arenda Proctora z jego synem Evertem, bo chłopcy byli niemalże nierozłączni.

– To właśnie ci dwaj zniszczyli mój szałas – powiedział.

– Skąd wiesz, że to oni? – spytała Sophia. Quinten wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Ale tak właśnie jest.

Chociaż Marius Proctor zapowiadał, że nie zostanie ani dnia dłużej, to jednak został: ciosy siekierą najwyraźniej znacznie osłabiły jego siłę woli. Wyprowadził się dopiero po tym, jak w sylwestrową noc zadzwoniła do jego drzwi policja, informując, że zdarzył się tragiczny wypadek. Wypiwszy za dużo na dyskotecze, dwaj przyjaciele ukradli samochód, wpadli w poślizg na oblodzonej szosie i wyrzuciło ich na pobocze, gdzie uderzyli w drzewo. Evert Korwinus, który siedział za kierownicą, został ciężko ranny, ale istniała szansa, że przeżyje. Arend Proctor zginął na miejscu.

Wiadomość wstrząsnęła do głębi Groot Rechteren. Przez cały Nowy Rok Sophia i Selma podtrzymywały psychicznie Mariusa i Clare, którzy w żaden sposób nie mogli sobie poradzić z rozpaczą. Chociaż Maks już od dzieciństwa wiedział, że w każdym momencie może się zdarzyć wszystko, to jednak i on aż do wieczora chodził wytrącony z równowagi: nagle znów ożyło w nim wspomnienie innego wypadku samochodowego, który wydarzył się siedemnaście lat temu. Korvinus się nie pokazywał. Jego żona – która nagle zaczęła mieć jakieś imię i nazywała się Elsa – próbowała poprzez Sophie nawiązać kontakt z rodzicami Arenda, ale Proctor wykrzyczał do Clary, że ją własnoręcznie zamorduje, jeśli zamieni z tamtą choćby słowo. Arend nie żyje, a jej syn tak, poza tym ma jeszcze drugiego! Quinten słyszał, jak Proctor łamiącym się głosem krzyczy, że życie jest do dupy, że nic kompletnie nie ma sensu i nie wiadomo, po co człowiek w ogóle żyje! Stojąc w holu i słuchając, Quinten zadawał sobie pytanie, jak można tak mówić. Takie rzeczy mówi się tylko wtedy, kiedy ktoś umiera albo jak się samemu umiera, ale czy to wszystko prawda, czy właśnie nieprawda? Czy absolutna prawda kryje się w śmierci, czy w życiu? Skoro uważa się życie za bezsensowne, to czy powinno się uważać za sensowną właśnie śmierć? Wyglądało na to, że Proctor wszystko pomieszał. Skoro uważał śmierć Arenda za bezsensowną, to życie powinien uważać za sensowne! Inaczej co to za różnica, że Arend nie żyje? Czemu więc wykrzykiwał takie rzeczy? Może to zależy od tego, jakim się jest człowiekiem? Być może nawet jego własny ojciec, który już od trzech lat nie dał znaku życia, równie mało rozumiał, jak to się wszystko do siebie ma. On sam bowiem rozmyślał czasem o wypadku swojej mamy i o śmierci ciotki Helgi, ale tak ogólnie wiadomość o tym, co się stało, niewiele go obeszła: no bo kto im kazał zniszczyć jego szafas?

W nocy nie mógł spać z powodu biadań dobiegających z góry. Wstał z łóżka i stanął przy oknie. Zamarznęta fosa błyszczała w lodowatym blasku gwiazd. Nagle krzyki i hałasy w gabinecie Proctora przybrały natężenie wręcz infernalne – w chwilę później zobaczył szybujące za oknem papiery, za nimi poleciały parasole i kolejne papiery, chwilami całe stosy, i rozsypywały się w powietrzu.

Kiedy Proctorowie wyprowadzili się w tydzień po pogrzebie Arenda, Nederkoorn powiększył swoje mieszkanie o lokal zajmowany przez nich. Od tej chwili mieszkania Maks i Theo Kerna tkwiły między mieszkaniami hołoty jak między zębami smoka. Maks i Sophia byli jednak zgodni co do tego, że przez solidarność z Theo i Selmą nie mogą się teraz wyprowadzić. Evert Korvinus był sparaliżowany od pasa w dół i resztę życia miał spędzić na wózku, jak usłyszała Sophia od jego matki. Wyglądało na to, że w najbliższym czasie przedsiębiorca rozbiórkowy nie będzie za bardzo podskakiwał ani próbował zatruć im ostatniego roku gwarantowanego okresu ochronnego – już choćby dlatego, że Elsa Korvinus złamała zakaz rozmawiania z lokatorami.

Maks, całkowicie pochłonięty pracą przy kwazarze MQ 3412, który okazywał się coraz bardziej zagadkowy, cieszył się z perspektywy całego roku spokoju – ale nie dane mu było go zaznać. Już od jakiegoś czasu stan Ady stopniowo się pogarszał. Najpierw pojawiły się problemy z układem pokarmowym: raz miała obstrukcję, raz z kolei biegunkę; potem rozwinęło się przewlekłe zapalenie miedniczek nerkowych w następstwie ustawicznego cewnikowania. Pewnego lutowego dnia z niemal syberyjską temperaturą, kiedy w Groot Rechteren nawet nastawione na maksimum piece olejowe nie były w stanie ogrzać pokoi, Sophia wróciła z Emmen z daleko groźniejszą informacją. Poszła do dyrektorki porozmawiać na temat grzybiczego wykwitu, jaki zauważyła w ustach Ady, a wtedy usłyszała, że córka najprawdopodobniej zostanie wkrótce przewieziona do szpitala. Pojawiły się bowiem krwawienia między miesiączkami, i zdaniem lekarza prowadzącego wszystko wskazuje na to, że może to być rak macicy.

Kiedy Sophia to mówiła, jej twarz zmieniła się w nieruchomą maskę, tak dobrze Maksowi znaną. To, że Ada – czy raczej jej biedne ciało – przez całe siedemnaście lat regularnie miała okres, zaszokowało go bardziej niż wiadomość o jej chorobie. Choroba bowiem miała w sobie raczej coś budzącego nadzieję: stanowiła pierwszy krok w stronę końca jej absurdalnego istnienia.

– Czy to znaczy, że wybiła godzina prawdy?

Odkąd razem z Onnem podjęli tamtą dziwną akcję przed operacją cesarskiego cięcia, nigdy więcej nie rozmawiali o eutanazji. Z Sophią nie zamienił na ten temat ani słowa, chociaż ją też dręczyła ta kwestia. Nic teraz nie odpowiedziała, ale po jej oczach widział, że czuje tak samo.

Także dziesięć dni później, w samochodzie jadącym do szpitala w Hoogeveen, nie doszło do rozmowy. Kiedy otworzył drzwi samochodu i stojąc w skrzypiącym śniegu, rozejrzał się wokół, zdumiało go, że wszystko tutaj wygląda nadal tak samo jak tamtego wieczoru, kiedy mieli wypadek, feralnego dwudziestego siódmego lutego, po tym jak Onno świętował razem z nim ich jednoczesne poczęcie. Nagle przypomniał też sobie kierowcę taksówki, który nie chciał go zabrać do Lejdy, gdzie Sophia została wdową. To, że Ada po raz drugi tutaj trafiła, obudziło w nim poczucie, że zamknęło się koło – a zamykające się koło zawsze jest sygnałem zbliżania się jakiejś zasadniczej zmiany. Bardzo się cieszył, że umówił się z Tsjallingsje na ten wieczór.

Kloosterboer, lekarz, który poprosił Sophię, aby przyjechała, potwierdził wcześniejszą diagnozę. Siedzieli obydwoje przy jego biurku i spoglądali na młodego ginekologa, który z krótko ostrzyżonymi blond włosami i błękitnymi oczyma wyglądał raczej na nauczyciela gry w tenisa.

- Czy to zaawansowany etap? – spytała Sophia. Lekarz skinął głową.
- Nastąpiły przerzuty. Zabieg operacyjny nie ma już sensu.
- Też mi nowina – rzucił Maks. Lekarz wbił w niego spojrzenie.
- Nie rozumiem.

- Kobiety, która od siedemnastu lat leży w śpiączce i żyje jak roślina, nie poddaje się przecież operacji. Nawet jeśli miałyby to jakiś sens, to i tak nie miałyby przecież sensu.

Kloosterboer skrzyżował ręce na piersiach.

- Żebyśmy się od razu dobrze zrozumieli, proszę pana. Gdyby był chociaż cień szansy, na pewno byśmy taki zabieg wykonali.

Maks i Sophia wymienili spojrzenia.

- I co teraz? – spytała Sophia. – Chemioterapia? Naświetlania?

- Też już raczej nie.

- A środki przeciwbólowe? – spytał Maks. – Ciekaw jestem, czy podajecie jej środki przeciwbólowe. – Zobaczył, że Kloosterboer zwleka z odpowiedzią, bo nie bardzo wie, co począć z jego pytaniem. – No więc skoro nie podajecie jej środków przeciwbólowych, to jakie jest właściwie wasze stanowisko? Jak to się ma jedno do drugiego?

Twarz lekarza stężała.

- Doskonale rozumiem państwa podejście do sprawy i państwa sytuację, ale niestety absolutnie nie mogę tego zaakceptować. Państwo też muszą mnie zrozumieć.

- Toteż rozumiemy – powiedziała Sophia i podniosła się z miejsca. Kloosterboer odjechał do tyłu na krześle.

- Zaprowadzę państwa do pokoju córki.

- Proszę się nie trudzić. Sami trafimy.

Kiedy szli korytarzami, Maks powiedział, że Kloosterboer to oczywiście zwykły chrześcijański fundamentalista, mimo bezpretensjonalnego wyglądu.

– Może jest po prostu młody – zaproponowała Sophia – i boi się o karierę.

No tak, na pewno znała lekarski świat lepiej od niego. Kątem oka spojrzął na wyprostowaną siwiejącą zakonnice u swego boku, której nadal nie potrafił zrozumieć. Coraz bardziej przypominała swoją matkę. Przyszedł jednak moment, kiedy trzeba wreszcie o tym porozmawiać. Zwolnił kroku.

– Słuchaj, Sophia, co w tej sytuacji powinniśmy zrobić?

– O tym musi zdecydować mąż Ady.

Maks pokręcił głową.

– Nie, o tym musi zdecydować matka Ady. Doskonale pamiętam, że Onno tak do ciebie napisał.

– A co takiego napisał?

– Że Ada to twoja krew z krwi i kość z kości oraz że to ty masz ostatnie słowo, jeśli idzie o decyzje co do jej osoby. A to nie mogło dotyczyć niczego innego, jak właśnie obecnej sytuacji.

Sophia zatrzymała się i spojrzała mu prosto w oczy.

– Oni zamierzają pozwolić jej umierać, ale ja uważam, że trzeba położyć temu kres. Całkowicie aktywnie, za pomocą zastrzyku morfiny. Na to jednak nie ma co liczyć. Tutejszy personel w najlepszym razie może się zastanawiać, czy nie zaprzestać zgłębnikowania, ale...

– Zgłębnikowania?

– Karmienia przez sondę żołądkową. Tego jednak na pewno nie zrobią, ponieważ to, co się wtedy dzieje, jest trudne do zniesienia dla wszystkich. Człowiek powoli wysycha i w krótkim czasie zamienia się w szkielet.

Maks poczuł, jak wstrząsa nim dreszcz.

– Innymi słowy – powiedział – trzeba ją stąd zabrać do jakiegoś bardziej światłego szpitala, gdzie nie będą się tak bali, że sprawa przedostanie się do gazet. Gdzieś w Amsterdamie.

Sophia nie była pewna, że ją stąd wypuszczą i nie poczują się za bardzo urażeni. Ze szpitalami różnie bywa. Oczywiście Ada wcale nie musi iść do szpitala, każdy przyzwoity lekarz rodzinny może coś takiego zrobić, wszyscy to wiedzą, wymiar sprawiedliwości także, tyle tylko, że się o tym nie mówi.

Spojrzał na nią.

– Chcesz przez to powiedzieć, że powinniśmy ją zabrać do zamku?

– Oczywiście, że nie – powiedziała bez wahania. – Przy Quintenie...

– No właśnie, a co z nim? Czy powinien wiedzieć, co się dzieje?

Sophia spojrzała na niego niepewnie.

- A jaki to by miało sens obciążać tym jego życie? W świetlicy siedzieli pacjenci i pielęgniarki, oglądając w telewizji zawody łyżwiarские; ktoś pokazał im salę, w której leży Ada. Maks nawet nie pamiętał, kiedy odwiedził ją po raz ostatni, to było cztery, a może pięć lat temu, może jeszcze dawniej – ale to, co teraz zobaczył, pod oknem, ukryte za parawanem, widział po raz pierwszy. Skamieniał.

W bielszym niż białe śnieżnym świetle głowa Ady przypominała mu otwarty orzech kokosowy, który lata temu, jeszcze w Amsterdamie, zapomniał wyrzucić i po powrocie z urlopu zastał na talerzu. Jej szczeciniaste włosy posiwiały, śmiertelna szarość okalająca wychudzoną, pokrytą plamami twarz, nozdrza zaczerwienione, ze stanami zapalnymi od sondy. Z trudem można się było dopatrzeć, że pod prześcieradłem leży jakieś ciało. Jej chude, blade dłonie przypominały ptasie szpony; opuszki wszystkich palców były pozaklejane opatrunkami.

- Nigdy mi o tym nie mówiłaś – powiedział wstrząśnięty.

- Nigdy o to nie pytałaś.

Przyląpał się na myśli, że to się musi natychmiast skończyć, w ciągu pięciu minut – patrzył na to odarte z piękna ciało na żelaznym łóżku, a jednocześnie przed jego oczami jak opadające jesienne liście pojawiały się pożółkłe obrazy z przeszłości: Ada w domu rodziców, z wiolonczelą między udami, opuszki palców na strunach, Ada nago, siedząca po turecku naprzeciwko niego na łóżku, Ada oplatająca nogami jego biodra w ciepłym nocnym morzu... Czując drganie przepony, odwrócił się do okna i zapatrzył w osłepiający śnieg, na który świeciło słońce.

Nigdy wcześniej nie był tak zaabsorbowany pracą niż przez ostatnie półtora roku. Rano, kiedy jeszcze się całkiem nie obudził, ale już nie spał, właśnie na tej granicy, w jego mózgu natychmiast pokazywał się MQ 3412 – tyle że w postaci chaotycznego kłębowiska danych, diagramów, spektrogramów, map radiowych, zdjęć rentgenowskich z satelitów, bezsensownych interpretacji, zwiariowanych fantazji, wszystko splątane w węzeł nie do rozsupłania, jak kłębek wełny, którym bawił się kot; ponadto otoczony aureolą fatum: wszystko to błąd, ślepy zaułek, bezsensowna bzdura. Lecz te depresyjne przebudzenia zdążył już poznać; zaczęło się od tego, że wyrobił w sobie nawyk wypijania co wieczór butelki wina, a w ostatnim okresie, bywało, i dwóch – i kładł się spać w przeświadczeniu, że stoi u progu epokowego odkrycia. Z biegiem lat nauczył się tym nie przejmować. W chwili, kiedy z chrzęstem strzelał stawami kciuków i odrzucał prześcieradła, największy smutek już ulatywał.

Tak samo było w poniedziałek, 11 marca 1985 roku. Tego ranka miały nadejść dane z VLBI, radioteleskopu o rozmiarach całej Ziemi. Wraz z technikami dyżurowało tej nocy w Westerbork kilku młodych astronomów z Lejdy; Maks jednak nie zadzwonił tam od razu, w czasie śniadania skwaszony przerzucił jeszcze poranną gazetę. Umarł Czernienko i już w cztery godziny później Komitet Centralny na Kremlu wybrał jego następcę, niejakiego Gorbaczowa, który oczywiście też nic nie zmieni; nigdy już nic się nie zmieni, zimna wojna jest wieczna. Po głowie tłukły mu się jeszcze resztki snu – obrazu Ady: jej narządy wewnętrzne unosiły się w powietrzu poza ciałem jak na rysunkach ukazujących wnętrze silnika, tak że wyglądało to zarazem jak zatrzymany w kadrze moment eksplozji.

– Wieczorem pójde na kolację do Tsjallingtsje – powiedział, podnosząc się z lekkim sapnięciem.

– Wpadniesz jeszcze przedtem do domu? – spytała Sophia.

– Może tak, a może nie – odrzekł. – Zobaczą. – W przelocie przesunął dłonią po ramionach Quintena i rzucił: – Trzymaj się.

Jadąc do Westerbork w ten mglisty przedwiosenny poranek, słuchał *Niedokończonej* Schuberta, w wykonaniu orkiestry pod batutą Böhma. Nadal była nieskazitelnie piękna, znał każdą jej nutkę, tak jak to było już niemal ze wszystkimi utworami.

Znalazłszy się w zatłoczonej sterowni, miał już dołek za sobą i oglądał wydruki komputerowe, które dał mu Floris, z takim samym zapałem jak wówczas, kiedy miał o połowę lat mniej – tyle że wtedy nie było jeszcze wydruków komputerowych. Jeśli idzie o stopień zainteresowania pracą, czas najwyraźniej nic tu nie zmienił. Natomiast zmiany w czasie zdecydowanie wiązały się z kwazarem – i od razu na pierwszy rzut oka Maks zorientował się, że coś jest nie tak.

– Życzę powodzenia – stwierdził sarkastycznie Floris. – Równie dobrze możesz to od razu wyrzucić do kosza.

Ponieważ Quinten w dwunastym roku życia został niejako wynalazcą historioskopu, Maks naszkicował mu kiedyś portret kwazara: tajemniczy, superciężki obiekt na krańcach widzialnego wszechświata, emitujący tyle energii co tysiąc Dróg Mlecznych po sto miliardów gwiazd każda, przy czym ta nibygwiazda ma wielkość zaledwie jednego układu gwiazdowego. Przymuszczenie taki kwazar ma w sobie czarną dziurę, najpotworniejsze ze wszystkich zjawisk we wszechświecie. Najodleglejszy ze znanych kwazarów, OQ 172, jest oddalony o prawie piętnaście miliardów lat świetlnych od Ziemi; na jego przykładzie można więc zobaczyć, jak wyglądał wszechświat w pięć miliardów lat po Wielkim Wybuchu, kiedy miał zaledwie jedną czwartą swojej wielkości. Dawny kolega Maksa ze studiów w Lejdzie, który teraz pracował w obserwatorium w Mount Palomar w Kalifornii, wyliczył taką właśnie odległość w czterowymiarowej czasoprzestrzeni na podstawie przesunięć ku czerwieni w widmie wodoru. Maks wytłumaczył Quintenowi, że kiedy nadlatuje odrzutowiec, to ryk jego silników staje się coraz wyższy, a kiedy przelatuje nad nami i oddala się, dźwięk ten staje się coraz niższy: najpierw bowiem samolot jakby dogania trochę wytwarzane przez siebie fale dźwiękowe, przez co stają się one krótsze, a potem je rozciąga, tak że stają się dłuższe. Ponieważ najsilniejsza linia widma OQ 172 wykazuje ogromne przesunięcie od ultrafioletu w kierunku fal długich czerwieni, aż po środkową część widzialnej części widma, oznacza to, że obiekt oddala się w rozszerzającym się wszechświecie z prędkością równą ponad dziewięćdziesięciu procentom prędkości światła.

Quinten wykazał jedynie umiarkowane zainteresowanie, no ale w końcu, tłumaczył sobie Maks, ma przecież wybitne zdolności humanistyczne, jak jego ojciec.

MQ 3412 jakoś nie chciał się dopasować do wzoru odnoszącego się do prawie dwóch tysięcy znanych obecnie kwazarów. VLBI z kolei najwidoczniej cierpiał na poważne niedomagania wieku dziecięcego, przypuszczalnie jakiś defekt w niezwykle precyzyjnej komunikacji między setkami zwierciadeł w dziesiątkach krajów na różnych kontynentach, albo może coś było nie tak z zegarem atomowym, tak że dane nie wchodziły do komputera w pełni synchronicznie. Maks patrzył na wyniki pomiarów jak na jakąś nieprawdopodobną sztuczkę magiczną, której wcale właściwie nie chcemy poznać. Jak pokazywało dziwaczne widmo radiowe, tym razem MQ 3412 postanowił oddalać się z prędkością równą nieskończoności.

- Jednym słowem - stwierdził Maks - nasz tachionowy przyjaciel z energią równą zeru znajduje się jednocześnie we wszystkich punktach linii prostej.

- No, Einstein zrobiłby wielkie oczy - powiedział Floris.

Resztę dnia Maks spędził na debatowaniu, telefonowaniu, między innymi do Australii, czytaniu i wysyłaniu faksów oraz naradzaniu się z inżynierami. Jeden z nich wyraził przypuszczenie, że być może błąd powstał właśnie tutaj. Pod Westerbork wydobywa się gaz, wskutek czego mogło dojść do minimalnych odchyień, i zwierciadła nie są ustawione dokładnie tak jak trzeba; ponadto kilka miesięcy temu pod Assen zarejestrowano niewielkie trzęsienie ziemi o sile 2,8 w skali Richtera. Postanowiono od nowa skalibrować wszystkie urządzenia i skontaktować się z Unią Gazu w Groningen. Maksa zafrapował fakt, że zjawisko gdzieś w głębi Ziemi, w warstwach z okresu permu, prawdopodobnie zaburzyło widok na krańce wszechświata.

Pod wieczór Maks wycofał się do swojego niewielkiego gabinetu, żeby jeszcze raz w spokoju obejrzeć dane, ale nie udało mu się znaleźć żadnego punktu zaczepienia. Zupełnie jakby mała próbowała napisać na maszynie sonet. Od razu jednak przypomniał mu się rewolucyjny eksperyment, który przed trzema laty przeprowadzono w Paryżu. Nawiązywał on do fundamentalnej dyskusji, jaka odbyła się w latach trzydziestych między Einsteinem a Bohrem, czyli w zasadzie między teorią względności a mechaniką kwantową – obie jakoś nigdy nie mogły się ze sobą zgodzić. Eksperyment myślowy Einsteina przetestowano w roku 1982 i okazało się, że najprawdopodobniej rację miał Bohr. Także wtedy informowano o pojawieniu się stałych, nieskończenie szybkich, a więc szybszych od światła sygnałów; ponieważ nikt nie miał wątpliwości, że coś takiego jest niemożliwe, wskazywało to na istnienie w znanej rzeczywistości czegoś, czego nikt nie potrafił przewidzieć. Czy to ma jakiś związek z ich obecnym problemem? Ale jaki? Może rozwiązanie przyniesie dopiero kosmiczny VLBI, czasy umieszczone na satelitach, dzięki czemu powstanie teleskop o średnicy stu tysięcy kilometrów – ale to zajmie jeszcze z dziesięć lat, a wtedy on będzie pewnie na emeryturze.

Wokół siebie miał stoły, szafy i regały, a na nich stosy papierów, jak u wszystkich jego kolegów, z tą różnicą, że u niego już na pierwszy rzut oka widać było porządek. Jedną ścianę zajmowała zielona szkolna tablica, pokryta wzorami i diagramami rysowanymi różnokolorową kredą, ale nie byle jak, na wszystkich strony, w genialnym amoku, z plamami po niechlujnie wytartych miejscach, tylko harmonijnie skomponowane, jak dzieło sztuki.

Włożył wydruki do teczki, oparł podbródek na rękach i patrzył w okno. Po obu stronach widok ograniczały stalowe kratownice zwierciadeł. Właśnie je kalibrowano. W całkowitej ciszy słychać było, z krótkimi przerwami, ciche brzęczenie mechanizmów kompensujących obrót Ziemi wokół własnej osi, aby zwierciadło cały czas skierowane było na wybrany obiekt. Czy to nie ponura ironia losu, że właśnie pod dawnym obozem w Westerbork wydobywa się g a z ? Czy rzeczywistość nie jest aby sterowana przez jakiś diabelski mózg? Zaczynało już zmierzchać, ale w oddali wciąż jeszcze było widać na terenie zwiedzających – nie przychodzili oglądać teleskopów, tylko coś, czego dawno już tu nie było. O ile osoby, których to bezpośrednio dotyczyło, nie chciały mieć z obozem nic wspólnego, o tyle wśród młodego pokolenia Żydów odezwały się głosy, aby przywrócić temu miejscu pierwotny wygląd. Szlaban znowu stanął w dawnym miejscu, a przy koźle odbojowym postawiono zrekonstruowaną wieżę strażniczą. Pojawiły się nawet żądania, żeby przenieść obserwatorium. Gdyby groźba stała się realna, Maks natychmiast wysłałby list do działu łączności z czytelnikami „Neuw Israelietisch Weekblad”, wychwalający VLBI jako „obserwatorium w kształcie żydowskiej gwiazdy”, które wolno zlikwidować tylko wówczas, jeśli przeprowadzi się całkowitą rekonstrukcję obozu w Westerbork i jeśli pojawią się też przy Boulevard des Miseres te dziewięćdziesiąt trzy pociągi, by dostarczyć tu z powrotem wszystkich ludzi wywiezionych do gazu.

Westerbork

Jego związek z Tsjallingsje nabrał przez te lata trwania nieco spokojniejszego, małżeńskiego charakteru. Wprawdzie przeżywając orgazm, nadal krzyczała „o Boże!”, ale księgarenka, nad którą mieszkała, została przejęta przez duży koncern wydawniczy i jej piętro okazało się potrzebne do składowania przecenionych albumów w języku angielskim. Maks zadbał, żeby się przeniosła do rustykalnego, przypominającego chatkę Baby Jagi domku na skraju wsi Westerbork, gdzie pewien zahamowany elektronik z Dwingeloo aż do emerytury sprowadzał sobie młodych chłopców ze wsi. Jednocześnie Maks myślał już o końcu Groot Rechteren i o tej chwili, kiedy Quinten pójdzie z domu, co będzie oznaczało rozejście się dróg jego i Sophii. Na tyłach zapuszczonego ogrodu stała drewniana szopa, zajmująca całą szerokość posesji, właściwie zbyt duża, jak na to miejsce, ale można ją będzie potem przerobić na studio dla niego; już teraz siadywał tutaj, kiedy chciał w spokoju popracować. Nigdy nie poruszał tej kwestii z Tsjallingsje, ona tym bardziej nie kierowała rozmowy w tę stronę; ponieważ jednak wiedziała, że obiecał wychować syna przyjaciela, który w dodatku od czterech lat nie dawał znaku życia, doskonale rozumiała, że po tym okresie powstanie zupełnie nowa sytuacja.

W Dwingeloo usłyszała o fiasku projektu VLBI, więc pewnie, żeby go pocieszyć, stół był odświętnie nakryty, a w lodówce chłodził się szampan. Ona miała na sobie długą do ziemi, jaskrawo czerwoną sukienkę, przez co wydawała się jeszcze wyższa, i chociaż byli tego samego wzrostu, przytuliła go jak wyższy niższego; ona z ramionami zarzuconymi na jego szyję, on z dłońmi na jej wysoko umieszczonych biodrach, co oczywiście natychmiast zmieniło gospodarkę chemiczną jego organizmu.

– Przynajmniej wiesz, czego potrzeba rozczarowanemu badaczowi – rzekł, zdejmując marynarkę. Opadł ciężko na kanapę i z kieliszkiem szampana w dłoni opowiedział jej o międzynarodowej porażce astronomicznej, która kosztowała setki tysięcy, jeśli nie miliony. – Ale czy to nie wspaniałe, że coś takiego w ogóle jest możliwe? Z tych środków można by wybudować tysiąc świetlic dla dzieci, a nawet gdyby eksperyment się powiódł, to i tak nikt nic by z tego nie miał. Sam fakt, że na coś takiego można się jeszcze zdobyć, godzi mnie odrobinę z ludzkością. Oznacza to bowiem, że *homo sapiens sapiens* wciąż jeszcze nie całkiem wyrósł ze swej dziecięcej ciekawości. Dopiero wówczas, kiedy ostatecznie zwycięży krótkowzroczność i znaczenie rzeczy stanie się funkcją jej bliskości, sprawy pójdą w złym kierunku. Czy ty to słyszysz? Mówię jak z książki.

- Chcesz powiedzieć, że człowiek musi widzieć coś więcej niż czubek własnego nosa?

- W moim przypadku to raczej nie bardzo możliwe.

Może to właśnie sposób, w jaki wybuchła śmiechem, najbardziej go w niej pociągał. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek widział Sphię śmiejącą się naprawdę, Ada właściwie też nigdy się nie śmiała; za to poważna twarz Tsjallingsje w każdej chwili była gotowa zmienić wyraz na absolutnie przeciwny, zupełnie jak wówczas, gdy w ciemnym pokoju zapala się światło. Może to właśnie talent do śmiechu jest prawdziwym przejawem rozumu, bardziej niż zdolność do intelektualnego wysiłku.

Kiedy ona była zajęta w kuchni, on z rękami skrzyżowanymi na piersiach przebiegł wzrokiem wieczorną gazetę, na wpół rozłożoną obok niego na kanapie. Nie dotykając jej, przeczytał nagłówki mówiące o zmianach w Moskwie. Najwyraźniej i tam dokonało się coś w rodzaju przesunięcia w stronę czerwieni, czy też raczej odwrotnie, polityczne przesunięcie w stronę fioletu: coś z wielką prędkością zmierzało do spotkania ludzkości, ponieważ ekspansja politycznego wszechświata zamieniła się w swoje przeciwieństwo. Czuł się zmęczony. Położył nogi na kanapie i gdy tylko zamknął oczy, od razu zobaczył przed sobą te absurdalne rezultaty pomiarów. Może to z powodu szampana, w każdym razie nagle zaczął mieć dziwne poczucie, że w tym wszystkim jest jednak jakiś sens.

Przy kolacji znowu zwróciło jego uwagę, że Tsjallingsje zrobiła zakupy ponad stan. Podała ostrygi, które zapijali szampanem; a kiedy po chwili wyszła z kuchni, niosąc pieczeń z sarniny, i podała mu do odkorkowania butelkę volnaya, był już pewien, że coś jest na rzeczy.

- Słuchaj no, Tsjal - zaczął, kiedy stuknęli się kieliszkami - o co chodzi? Zapomniałem o jakiejś dacie?

Spojrzała na niego znad kieliszka i przełknęła ślinę; czuł, że dużo wysiłku kosztuje ją powiedzenie tego, co chce powiedzieć.

- Mam nadzieję, że nie będziesz na mnie zły, Maks, ale bardzo już bym chciała, żebyśmy mieli taką datę, o której nigdy nie zapomnimy.

- Mówisz zagadkami.

- Chcę mieć z tobą dziecko.

Przez chwilę zastygł bez ruchu, odwzajemniając tylko jej spojrzenie. Zupełnie jak ognista strzała, która wpada do pokoju przez otwarte okno, jej słowa rozpałyły myśli w jego głowie. Już wcześniej domyślał się, że ją to absorbuje, nigdy jednak by się nie spodziewał, że obwieści mu to tak zdecydowanie i bez ogródek. I zanim jeszcze zdał sobie sprawę, jak chce zareagować na to oświadczenie, podniósł się z miejsca, ukląkł przy niej, oplótł ją ramionami w tali i ukrył twarz na jej łonie. Tsjallingsje rozpląkała się. Ujęła jego lewą dłoń i przycisnęła usta do jej wewnętrznej strony, a drugą ręką gładziła go po gęstych, siwiejących włosach. W głowie Maksa kłębiły się myśli. Ależ oczywiście! Tak powinno być! Miał wrażenie, że w całym tym tumultie jakiś głos powtarza bez przerwy: „Wszystko wróci na swoje miejsce. Wszystko wróci na swoje miejsce”. Chciał sobie to przemyśleć, zastanowić się, uzyskać jasność, najchętniej w tym momencie wyszedłby przez otwarte drzwi do ogrodu, ale oczywiście nie mógł tak po prostu porzucić uroczystej kolacji.

Podniósł na nią oczy.

– Powiedz tak szczerze: jesteś w ciąży?

– Oczywiście, że nie, za kogo ty mnie masz? Myślisz, że próbuję cię szantażować? Ale bardzo chcę mieć z tobą dziecko, nawet jeśli ty tego nie chcesz. Mam już trzydzieści sześć lat i z każdym rokiem robi się bardziej niebezpiecznie, o czym być może wiesz. Jeśli poczekam z tym jeszcze parę lat, to zacznę rodzić same mongołki.

– Znam jednego bardzo miłego mongołka. – Ponieważ twarda mata kokosowa zaczęła go uwierać w kolana, usiadł na piętach. – A więc to tak się sprawy mają: dziecko z moją wolą lub wbrew mojej woli, byle dziecko.

– Tak.

– A gdybym teraz powiedział nie, to co wtedy? Wzięłabyś sobie innego?

Spuściła wzrok.

– Nie wiem. Nie pytaj mnie o takie rzeczy.

– I na pewno zdajesz sobie sprawę, że kiedy twoje dziecko będzie miało osiemnaście lat, mnie stuknie siedemdziesiątka?

– Nie ma lepszego ojca niż dziadek. Każdy to wie.

– Cóż, wszystko jasne. – Maks wstał, objął ramionami jej duże ciało i pocałował ją. – No to umówmy się, że jutro wyjmiesz sobie spiralkę. Rozumiem, że potem będziesz chciała ślubu?

– Niekoniecznie. Nie zależy mi.

– A twój ojciec, kaznodzieja?

– Moim zdaniem on już dawno nie wierzy w Boga.

– Na jakim my świecie żyjemy? – wykrzyknął Maks, czując, że naśladuje ton Onna.

Jednym haustem opróżnił kieliszek, zupełnie tak, jak pije się wodę, nalał sobie ponownie i jedząc, omawiali konsekwencje tej decyzji. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, w przyszłym roku Quinten zda egzaminy końcowe i może nawet pójdzie na studia, chociaż jak dotąd ani słowem nie wspomniał o takim zamiarze; jednocześnie mniej więcej w tym samym czasie upłynie gwarantowany okres mieszkania na zamku. Także Sophia nigdy nie wspominała, co zamierza potem zrobić, ale jak ją znał, od dawna już wiedziała.

– Nie pij tak dużo – powiedziała Tsjallingsje, stawiając na stole nową butelkę.

– Oczywiście, że będę dużo pił. Dzisiaj wieczór mam zamiar wypić nawet dużo za dużo. Czy zdajesz sobie sprawę, że jeśli nam się powiedzie, to ja też po raz pierwszy zostanę ojcem? – Przesunął dłońmi po twarzy. Nagle świat zrobił się inny. Całe te siedemnaście lat, które spędził z Sophią i Quintenem, nagle gdzieś odpłynęły, jakby zdmuchnął je powiew wiatru. Wszystko zacznie się od nowa, ale teraz tak naprawdę, bez żadnych dwuznaczności. Podniósł się i lekko zachwiał na nogach.

– Napijesz się kawy?

– Nie gniewaj się, ale muszę przez chwilę pobyc sam. Pójdę do szopy.

– Teraz? Do szopy? Jesteś lekko wstawiony, Maks, czemu nie pójdziesz na górę?

– Pozwól, że jednak wyjdę.

Pocałował ją w czoło, otworzył drzwi na werandę i z butelką w dłoni wyszedł do ogrodu. Zapadł wieczór, nad drzewami stał księżyc w trzeciej kwadrze. W połowie krętej ścieżki prowadzącej przez ogród wsparł się przez chwilę dnem butelki na wielkim głazie, który wyłaniał się tam z ziemi, sięgając mu do pasa. Kiedy już się jakoś pozbierał, zapalił w szopie gołą żarówkę i z westchnieniem opadł ciężko na zdezelowany wiklinowy fotel. Drzwi zostawił otwarte. Kiedyś to wielkie pomieszczenie służyło pewnie za magazyn albo warsztat; może w tym domu mieszkał kiedyś jakiś stolarz? Na wysokości oczu miał kilka małych okienek.

Napełnił kieliszek i zadumał się nad zagadkowością istnienia. Zupełnie tak jakby tych kilka słów Tsjallingsje, którymi zakomunikowała mu, że chce mieć z nim dziecko, nadały jego istnieniu nowy impet, tak jak w dzieciństwie uderzeniem bata wprawiał w ruch bąka. Od kiedy w zastępstwie Onna mieszkał w Groot Rechteren z Sophią i Quintenem, swoje własne życie postrzegał wyłącznie w kontekście przeszłości; teraz nagle wszystko jakby odwróciło się o sto osiemdziesiąt stopni i oto stanął twarzą ku przyszłości – w której oczywiście nie widział niczego konkretnego, ponieważ jeszcze nie istniała, ale która była przed nim jak ciemna czasoprzestrzeń rojąca się od możliwości. Jednym ruchem Tsjallingsje położyła kres zagmatwanej sytuacji, w której tkwił przez siedemnaście lat. Dziecko w kojcu. Kojec Quintena pewnie gdzieś stoi złożony w schowku, podobnie jak jego zdemontowane dziecinne łóżeczko. Miał wrażenie, jakby perspektywa pojawienia się dziecka, które bez wątplenia będzie jego dzieckiem, definitywnie czyniła Quintena synem Onna. Przeczytał gdzieś w gazecie, że od niedawna pojawiła się możliwość jednoznacznego stwierdzenia ojcostwa za pomocą badań DNA, ale jego lęki z przeszłości dawno już zniknęły. Z wyglądu Quinten nie był podobny do żadnego z nich dwóch, tylko do Ady, takiej jaka była kiedyś, a jego humanistyczne zainteresowania wskazywały o wiele bardziej na Onna niż na niego. Brak specjalnego zamiłowania do muzyki tylko to jeszcze potwierdzał; Quinten nawet nie miał w pokoju zestawu stereo. Może zresztą ten niepojęty chłopak nie przypomina nikogo, kto kiedykolwiek żył? Kiedy przed oczami pojawił mu się obraz tej nieruchomej, ginącej w oczach kupki nieszczęścia na szpitalnym łóżku, kilkakrotnie przejechał dłońmi po twarzy, jakby ten obraz przywarł mu do skóry. Wypił haust i pomyślał, że byłby w stanie własnoręcznie położyć kres istnieniu tego żywego trupa. Tylko jak? Nożem? A niby dlaczego nie? Dlaczego, zadawał sobie pytanie, świat miałby wydać z siebie krzyk oburzenia, kiedy by się okazało, że w jakimś szpitalu pacjentów w fazie terminalnej zabiera się do piwnicy i ścina gilotyną? Albo że gdzieś na podwórku dostają kulę w tył głowy? Tylko z powodu podobieństwa do egzekucji? Albo dlatego, że wtedy zbyt wyraźnie widać, iż zabijanie to zabijanie, a nie nic innego, na przykład „usypianie”? Może tak naprawdę wszystko jest tylko kwestią słów? Niemcy nazwali ludobójstwo popełnione na Żydach „ostatecznym rozwiązaniem”. Czyż może być coś piękniejszego niż „ostateczne rozwiązanie” czegoś, końcowy rezultat, pozbawiony reszty wynik dzielenia? To niemal jak wymarzona przez fizyków teoria wszystkiego. Przez wespółzymknięte powieki wpatrywał się w rdzawą czerwień w swoim kieliszku i myślał o Onnie. Chciałby z nim o tym porozmawiać, o języku jako maskowaniu rzeczywistości. Pewnie Onno od razu zbyłby ten problem jako banalny, godny co najwyżej tego, by łamali sobie nad nim głowy dorastający chłopcy, a potem jednak rzucił od niechcenia parę zaskakujących spostrzeżeń na ten temat. Gdzie jest teraz Onno? Co robi w tym

momencie? Czy też o nim myśli? Może. A może nie. Może całkowicie wyrzucił ich z pamięci – nie tylko jego, ale także Quintena i Adę, i Sopię. Może nawet już nie żyje. Może wczółgał się do jakiejś jaskini gdzieś na Krecie, gdzie za pięćdziesiąt lat ktoś odnajdzie jego kości, sądząc, że należą do osobnika, który sporządził dysk z Fajstos, dopóki metodą węgla C14 nie zostanie stwierdzone, że to niestety tylko zwyczajny holenderski polityk, przypuszczalnie kalwińskiej proweniencji.

Tsjallingsje włączyła telewizor, ale nie zapaliła światła; widział blask ekranu migocący w pokoju, jakby miała w nim miejsce seria niekończących się mikrowybuchów. Czuł, że nie powinien jej teraz zostawiać samej, ale jednak chciał coś przemyśleć, czy też raczej dać się nieść swoim myślom, zupełnie jak na dmuchanym materacu unoszącym się na wodzie. Tam w zamku Sophia też siedzi sama w pokoju, tak jak Quinten niewątpliwie siedzi sam w swoim. Każdy siedzi sam w swoim pokoju. Ostatnio trochę się niepokoił o Sopię: potrafiła godzinami siedzieć bez ruchu na krześle, patrząc przed siebie z rękami złożonymi na kolanach; kiedy jej na to zwrócił uwagę, wzdrygnęła się i spojrzała na niego, jakby nie zdawała sobie z tego sprawy. Z czasów, kiedy wyjeżdżał na urlopy, przypominał sobie francuskie i włoskie rodziny, zasiadające wieczorami przy długich stołach pod dostojną płataniną gałęzi drzew oliwnych, same zupełnie jak te drzewa, z prastarymi pradziadkami i prababkami i odchodzącymi od nich gałęziami w postaci dzieci, wnuków, prawnuków, kuzynów, kuzynek i nieprzebranej liczby ich żon i mężów, aż po niemowlęta przy piersi; stoły zastawione jedzeniem i winem: on czegoś takiego nigdy nie zaznał. Tylko rodzina Onna wykazywała pewne podobieństwo. Ale te urlopy to już odległa przeszłość, jeszcze z czasów jego fatalnego sportowego samochodu. Od kiedy mieszkał z Quintenem i Sopią na zamku, rzadko wyjeżdżali za granicę. Raz na parę lat na południe Francji albo do Hiszpanii, pod wpływem impulsu, kiedy pogoda sprzyjała takiemu wypadowi; ale i tak nigdzie nie było ładniej niż w Groot Rechteren. On sam nie odczuwał już potrzeby podróży, każdego roku wprawdzie musiał się parę razy udawać gdzieś w świat na konferencje z racji swojego zawodu, ale zawsze się cieszył, kiedy wrócił. Może zresztą brało się to stąd, że nigdy nie udało mu się przebić do absolutnej elity astronomów? Znał oczywiście wszystkich, wszyscy znali jego i cenili go za jego pracę, ale podczas oficjalnych bankietów na zakończenie nigdy nie siedział przy głównym okrągłym stole obok burmistrza czy ministra, tak jak jego kolega Maarten Schmidt z CalTech.

Nalewając sobie ponownie do kieliszka, z jednym okiem zamkniętym, żeby nie nalać do kieliszka, którego nie ma, przypomniał sobie, kiedy pierwszy raz pojechał na południe, w kilka lat po wojnie. Nieopisane wrażenie, jakie zrobiło na nim światło, barwa Morza Śródziemnego, którą potem ujrzał ponownie w oczach Quintena. W swoim studenckim pokoju w Lejdzie widział czasem tę barwę tuż po przebudzeniu, zanim jeszcze otworzył oczy – bo kiedy je otworzył, ustępowała miejsca szaremu holenderskiemu porankowi. Kiedy po raz drugi był na Riwierze, wymyślił coś, żeby zrekompensować sobie ten uraz. Otóż gdy się tam budził, z zamkniętymi oczami, wyobrażał sobie, że znowu jest w deszczowej Lejdzie i że wspomnienie śródziemnomorskich widoków zostanie zdmuchnięte, gdy tylko otworzy oczy. A potem je otwierał i wszystko było naprawdę! Morze było barwy lapis lazuli, co za wspaniałe cud! Natychmiastowe przeniesienie w inne miejsce, szybciej od światła! Morze... Nocą morze było czarne – ale o tym nie chciał myśleć. Jak ona miała na imię? Marilyn. Jej pistolet maszynowy. Bóg i odkrycie perspektywy zbieżnej; punktu zbiegu, przez który od XV wieku nic już nie może się precyzować ani w jedną stronę, ani w drugą. Pewnie ma już ze czterdzieści lat i siedzi z powrotem w Stanach w jakiejś prowincjonalnej dziurze, gdzie uczy historii sztuki i jest matką trojga dzieci, żoną dzielnego adwokata, który dostałby apopleksji, gdyby usłyszał o jej rewolucyjnej przeszłości. Nagle ujrzał przed sobą w jeszcze dalszej przeszłości sypialnię matki: pootwierane szuflady i szafy, stos jej ubrań na podłodze. To się nigdy nie skończy. Jak mawiał Onno: rodzina trwa najdłużej. Tsjallingsje nie ma o tym wszystkim pojęcia; może powinien jej coś niecoś opowiedzieć o babce i dziadku dziecka, które chce z nim mieć? Jak powinno mieć na imię? Oktawiusz? Oktawia? Zdaniem Onna jeden do dwóch to chyba najprostszy, w pełni konsonansowy interwał? Podobno można teraz określić płeć dziecka jeszcze w czasie trwania ciąży za pomocą ultrasonografu – przykład takiej właśnie całkowicie nowej zasady, jakiej potrzebuje Quinten dla swojego historioskopu. Spojrzał przez otwarte drzwi w stronę domu. Telewizor był już zgaszony, na górze w sypialni paliło się światło. Leżała w łóżku z książką, *Braćmi Karamazow*, którą jej zaordynował, i czekała na niego.

Głowa powoli opadła mu na piersi, a powieki się zamknęły. Ocknął się gwałtownie i kilka razy głęboko zaczerpnął powietrza. Zapach nasmołowanego drewna. Nalał sobie do pełna i kolejny kieliszek wypił jednym haustem; oparłszy głowę o fotel, patrzył na przestrzał przez szopę na dwór. Miał wrażenie, jakby jego życie było czymś wielkim, co można objąć ramionami jak zbyt wielkiego psa trzymanego na kolanach. Wszystko cały czas przybierało na wielkości, wszystko ciągle stawało się coraz bardziej skomplikowane, tak jak żołądź rodzi słaby, symetryczny kiełek, który rozrasta się w sękaty, rozłożysty dąb, w niczym nieprzypominający swego niemalże geometrycznego początku. A przecież miał już kiedyś taką właśnie formę. Jak zatem jedno przeszło w drugie? A skoro nawet nie da się tego powiedzieć, to jak w ogóle coś takiego mogło mieć miejsce? Doszedł do wniosku, że problem nie w tym, co się stało, bo to się już po prostu stało, ale w tym, jak to, co się stało, jest w ogóle do pomyślenia. Wszechświat miał jednolity początek – jak zatem może teraz wyglądać tak, jak wygląda, z takim właśnie, a nie innym rozmieszczeniem układów gwiazdnych? Dlaczego wszystko do dziś nie pozostało jednolite? Dlaczego Ziemia jest inna niż Słońce? A Słońce inne niż kwazar? Jak to możliwe, że tu stoi krzesło, a tam leżą grabie? Jak to możliwe, że istnieje on sam i że jest tak różny od Onna? Jak to możliwe, że teraz myśli co innego niż przed chwilą i zaraz będzie myślał co innego niż teraz? Co się stało po drodze? A może jednak ten początek nie był wcale jednolity? Oczywiście znał teorie mówiące o pierwotnych fluktuacjach kwantowych, ale czy one naprawdę wyjaśniają różnicę między nim a Onnem? Popatrzył na deski szopy, były do siebie podobne, ale takimi je zrobiono. A poza tym wcale nie były całkiem takie same: jedne były nieco szersze, nieco ciemniejsze, nieco jaśniejsze, a na jednej jakby coś było wycięte. Zmrużył oczy, ale nie mógł zobaczyć, co to takiego. Ponieważ uznał, że koniecznie musi się tego dowiedzieć, sapiąc, podniósł się z fotela i podszedł bliżej. Były to litery i liczby, cienkie i ledwie czytelne; oparł się jedną ręką o deskę, a drugą zakrył sobie oko.

Gideon Levi 8.3.1943

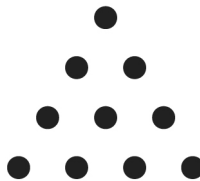
Oparł się teraz o deski także drugą ręką i wyczerpany zwiesił głowę. Szopa pochodziła z Westerbork. Czterdzieści dwa lata temu jakiś chłopak wyciął to scyzorykiem. Poszedł do gazu, ktoś kupił barak i postawił w ogrodzie. Przez małe okienko, które udało mu się zlokalizować, popatrzył w stronę domu. Chciał podzielić się tym z Tsjallingsje i powiedzieć jej, że zaraz jutro trzeba rozebrać szopę, ale światło w sypialni już zgasło. Jasny blask księżycy oświetlał ściany. Maks rozejrzał się. Pomieszczenie było zbyt małe, by służyć za barak mieszkalny; może była to szkoła albo szwalnia? Może siedziała tu kiedyś przy pracy jego matka? Opierając się o deski, szukał drogi powrotnej do fotela; opadł ciężko i nad kieliszkiem odwrócił butelkę do góry dnem.

Zasnął. Obudził się, ponieważ w szopie zrobiło się zimno i wilgotno, ale nie podniósł się, żeby zamknąć drzwi. Było już po północy, wiedział, że jest pijany i powinien pójść do łóżka, miał jednak wrażenie, że jego mózg pracuje swobodnie pomimo odurzenia alkoholem – może nawet swobodniej, niż kiedy jest trzeźwy. Z zamkniętymi oczami, lekko kołysząc się w przód i w tył, powrócił myślami do wydruków komputerowych. Czy te wyniki były prawidłowe czy bezsensowne? Wyraźnie widział przed oczami stronicę, zupełnie jakby je miał teraz przed sobą. I nagle poczuł, jakby w jego głowie zapaliło się wielkie światło: pojął wszystko! W jednej jedynej chwili wszystko ułożyło się w całość – ale co to takiego było? Znał odpowiedź, ale wyglądało na to, że odpowiedź jest jeszcze trudniejsza do rozwikłania niż pytanie. Ta tak zwana nieskończona prędkość kwazara MQ 3412 nie jest żadnym błędem, jak nadal myślą wszyscy jego koledzy na całym świecie, tylko wyrazem czegoś, co nikomu nie przyszło do głowy! Zupełnie jak z odkryciem penicyliny przez Fleminga: jego asystent odłożył na bok szalkę Petriego z kulturą gronkowców, żeby ją wyrzucić do śmieci, ponieważ była pokryta pleśnią; Fleming jednak raz jeszcze przyjrzał się jej dokładnie i zobaczył, że to nie bakterie zniszczyły penicylinę, tylko penicylina bakterie – co potem uratowało życie milionom ludzi, a jemu zapewniło Nagrodę Nobla. Nagroda Nobla! Nie ma wprawdzie Nobla w astronomii, ale z fizyki owszem. Myślami przeniósł się do Sztokholmu i widział siebie w smokingu na podium, w kręgu z literą N, w dłoniach złoty medal wręczony mu przez króla – albo przynajmniej dostałby doktorat honoris causa uniwersytetu w Uppsali.

Odpędził te fantazje i zmusił się do jakiegoś takiego przemyślenia swojego odkrycia. Rzekoma nieskończona prędkość to nic innego, jak złudzenie perspektywiczne! Zupełnie jak z tym punktem zbiegu: na horyzoncie szyny zbliżają się do siebie, żaden pociąg nie mógłby nimi przejechać, ponieważ zostałyby zniszczone w tym punkcie – a po jego drugiej stronie nic już nie ma. A jednak przez ten punkt przejeżdżają pociągi, zarówno w jedną stronę, jak i w drugą. Kwazar MQ 3412 wcale nie jest kwazarem! Albo może jest kwazarem, tylko wszyscy uważają go za coś, czym nie jest, z powodu innego obiektu, który leży w geometrycznej linii prostej za nim, w znacznie większej odległości, tylko jest przez niego przesłonięty. Może wcale nie zawiera czarnej dziury, tylko początkową osobliwość: ten punkt na niebie, w którym widać jeszcze Wielki Wybuch! Może poprzedniej nocy VLBI odebrał sygnały, które przeszły właśnie przez punkt zbiegu, czy raczej w tej sytuacji przez punkt rozchodzenia się! A więc także czarne dziury, z których teoretycznie nie może się wydostać żadna informacja, przy bliższym oglądzie okazują się dziurawe jak sito. W ujemnej czasoprzestrzeni nagle ukazały się wszystkie te nieskończoności, które bezustannie napotykały w swoich matematycznych obliczeniach teoretycy. Przez czas krótszy niż 10^{-43} sekundy od momentu „zero”, czas Plancka, hipermikroskopijny wszechświat był teoretycznym domem wariatów; według obliczeń wszechświat sprzed momentu „zero” to wszechświat paradoksalny o zerowej objętości, a więc punkt matematyczny, mający zarazem nieskończoną gęstość, nieskończone zakrzywienie czasoprzestrzeni i nieskończone wysoką temperaturę. Tam zawodziły zarówno ogólna teoria względności, jak i fizyka kwantowa. Wszyscy zgadzali się, że konieczna jest nowa, nadrzędna teoria, żeby można było dalej na ten temat mówić; pojawienie się nieskończoności zawsze interpretuje się jako oznakę jakiegoś fundamentalnego błędu w teorii – tymczasem jednak okazuje się, że te nieskończoności istnieją naprawdę, zostały zarejestrowane dwadzieścia cztery godziny temu! Tyle tylko, że nikt nie pomyślał, by tak je zinterpretować: cała kosmologia padła ofiarą złudzenia! A przecież byłoby właściwie absurdalne, gdyby początek wszechświata nie wiązał się z nieskończonościami. Skoro coś powstało z niczego, to jest to nieskończenie inna sprawa, niż kiedy coś powstaje z czegoś innego – przecież niepojętość jest e s e n c j ą właśnie tego, że świat istnieje, a nie tego, że nie istnieje!

Maks wyprostował się. Teraz pójdzie spać i zaraz rano to wszystko opracuje, żeby nadawało się do jak najszybszej publikacji, zanim ktoś inny wpadnie na ten sam pomysł.

Zamiast wstać, raz jeszcze przechylił butelkę nad kieliszkiem. Kiedy nic się z niej nie wylało, chciał ją odłożyć, ale wyslizgnęła mu się z palców. Wyciągnął rękę, żeby ją podnieść, ale na nic więcej nie było go już stać. Opuścił bezwładnie rękę, a głowa opadła mu na piersi. Nagle przebiegło mu przez myśl, że przecież jest taka nowa teoria, która od paru miesięcy sieje zamęt w fizyce, ponieważ wydaje się, że być może pogodzi mechanikę kwantową z teorią względności, tworząc od dawna poszukiwaną Wielką Unifikację – Teorię Wszystkiego! Tego lata w Bari ma się odbyć duża konferencja poświęcona temu właśnie zagadnieniu – czy nie powinien się tam udać? Dotąd cząstki elementarne, takie jak elektrony, zawsze traktowano w rozważaniach jak punkty o zerowych wymiarach, co oczywiście musiało znaczyć, że energia takiego punktu jest nieskończona, podobnie jak jego masa; co dziwne, nikt nigdy za bardzo się nie przejmował tymi nieskończonościami, ale taki bałagan i oburzanie się tylko z niektórych powodów powoli przestawały go dziwić: w nauce nie było przecież inaczej niż w polityce. Ta nowa teoria głosiła, że cząstki elementarne nie są zerowymiarowe, lecz jednowymiarowe: supercienkie struny w dziesięciowymiarowym świecie. Nie tylko wszystkie cząstki elementarne, ale też cztery fundamentalne oddziaływania przyrody i– siedemnaście stałych fizycznych dawało się wyjaśnić za pomocą drgań całkowicie poza tym identycznych strun. Struny! Monochord! Pitagoras! Czyżby nauka powróciła do punktu, od którego się zaczęła? Czyżby istotą świata była muzyka? Przed oczami pojawił mu się obraz Ady, wiolonczela między jej rozchylonymi udami. „Wszystkie rzeczy są liczbami”, powiadał Pitagoras. Dziesięć było dla niego świętą liczbą, którą można zliczyć na palcach rąk, podobnie jak dziesięcioro przykazań i dziesięć wymiarów w teorii superstrun. Dziesięć było „matką wszechświata”, a z zamierzchłej młodzieńczej lektury przypomniał sobie nagle mistyczną tetraktys Pitagorasa, czwórną, symboliczne przedstawienie wyliczanki „jeden, dwa, trzy, cztery”, którą to wyliczanką jego uczniowie składali przysięgę:



Jako porządny Grek, myślał dalej Maks, Pitagoras oczywiście nie chciał nawet słyszeć o nieskończonościach, chociaż w swoim słynnym twierdzeniu dotknął liczb niewymiernych – on natomiast potrzebował ich teraz, aby zinterpretować wartości zmierzone przez VLBI, czyli zinterpretować powstanie świata: Wielki Wybuch jako nieskończona muzyka! Nagle podniósł głowę i otworzył oczy. Ponieważ światło mu przeszkadzało, chwiejnym krokiem podszedł do lampy, zgasił ją i z powrotem opadł na fotel.

Czy to możliwe, że są już jakieś matematyczne podstawy tej teorii? Kiedy Einstein potrzebował dla swojej zakrzywionej czasoprzestrzeni nowej nieeuklidesowej, czterowymiarowej geometrii, okazało się, że już parędziesiąt lat wcześniej opracowali ją Gauss i Riemann. Skoro świat w pierwszej i ostatniej instancji ma być zrealizowaną nieskończonością, to może trzeba sięgnąć do Cantora, twórcy teorii mnogości? Cantor! To przecież znaczy „śpiewak”! Jako student zajmował się przez chwilę jego szokującą teorią pozaskończonych liczb kardynalnych, nieskończoną liczbą „skończenie” nieskończonych liczb, ale to było dawno temu. Przypominał sobie jeszcze oszołomienie, jakiego doznał po wejściu do tej przerażającej orfickiej *schola cantorum*: jego alefy, \aleph_0 , \aleph_1 ... Pierwsza z jego absolutnych nieskończoności Ω . Koniecznie musi się w to ponownie zagłębić, ale przy okazji trzeba uważać, bo sam Cantor dostał od tego wszystkiego pomieszania zmysłów. Ponieważ zainteresował się człowiekiem, który odważył się zapuścić w takie rejony, przeczytał jego biografię i pamiętał ją lepiej niż jego wywody. Cantor regularnie trafiał do szpitala dla umysłowo chorych; najpierw chciał zostać muzykiem, skrzypkiem, ale jak sam mawiał, wezwał go Bóg i objawił mu swoją naukę. Tak jak dla Pitagorasa, matematyka była dla niego zarazem metafizyką: wszystkie liczby były rzeczami. Był paranoikiem i cierpiał na ciężkie depresje, interesował się teozofią, wolnomularstwem, nauką różokrzyżowców i napisał pamflet, w którym wykazywał, że Chrystus był naturalnym synem Józefa z Arymatei, a ponadto prowadził wykłady o Baconie i „niezbicie” dowodził, że to właśnie Bacon był prawdziwym autorem sztuk Szekspira...

W ciemnej szopie Maks miał szeroko otwarte oczy. Co chwila mechanicznie podnosił pusty kieliszek do ust i odstawiał z powrotem; miał wrażenie, jakby w ciemnościach jego alkoholowe odurzenie rozwiewało się, zarazem jednak wiedział, że to nieprawda. Nagle przed jego oczami pojawił się denerwujący rysunek z jeszcze dawniejszej przeszłości i Maks od razu przypomniał sobie, skąd pochodził: z tłumaczenia popularyzatorskiej książki Gamowa zatytułowanej *One, Two, Three... Infinity*, którą przeczytał w wieku siedemnastu lat i która odegrała pewną rolę w jego decyzji, by zostać astronomem. Gamow, jak się dowiedział później, stworzył możliwe do zaakceptowania przez naukę podstawy teorii Wielkiego Wybuchu i w roku 1948 przepowiedział istnienie jego echa, czyli kosmicznego promieniowania tła, które odkryto w roku 1964, co definitywnie potwierdziło słuszność teorii. Jego własnoręczny rysunek w książce pokazywał topologiczne przekształcenie człowieka wędrującego po powierzchni Ziemi i podziwiającego gwiazdziste niebo: wszystko w tym rysunku było wywrócone na nice. O ile w rzeczywistości narządy są zamknięte w ciele otoczonym przez wszechświat – z połączeniem między światem wewnętrznym a zewnętrznym przez usta i układ trawienny z odbytnicą – tutaj wewnątrz zostało przekształcone w zewnątrz: wnętrzości człowieka rozciągały się w nieograniczony sposób jako zewnętrzości, podczas gdy wszechświat z planetami, gwiazdami i galaktykami stał się wnętrzem człowieka, który wywrócony na nice nadal wędrował w nim po powierzchni Ziemi i nadal na niego patrzył. Kto to jest ten przrenicowany człowiek? On sam, patrzący przez punkt rozchodzenia się w ujemnej czasoprzestrzeni na drugą stronę Wielkiego Wybuchu? Bóg? A może to kobieta? Czy to Ada, z guzem w brzuchu zamiast Quintena? A może to jego własna matka, z nim w brzuchu? Matka wszechświata... Ada i Ewa... kobiety... tylko kobiety...

Znowu zasnął. Kiedy się ocknął, czuł się bardziej niż szczęśliwy. Miał już pięćdziesiąt lat i wciąż zajmował się tym samym, co robił w wieku lat siedemnastu. Czy od tamtego czasu cokolwiek zdarzyło się w jego życiu? Nie było w nim przełomu, jak w życiu Onna; i chłopiec, którym kiedyś był, nie musiał się teraz za niego wstydzić. Wstał i znowu pomyślał o dziecku, które chciała z nim mieć Tsjallingsje. Oczywiście, że Oktawia! Dzisiaj nie może już jej zrobić, jest na to zbyt pijany; poza tym ona ma jeszcze w macicy spiralkę. Otworzył drzwi i przystanął z dłonią na klamce. Gdzie jest Onno? Kim się teraz stał? Jak to możliwe, że potrafił tak całkowicie odseparować się od własnego dziecka? A biedny Quinten – kto był bardziej od niego oddalony, matka czy ojciec?

W domu było ciemno, pogrążony w ciszy ogród zalany był blaskiem księżycy. Janáček, pomyślał Maks. *Bajka*. Starając się nie zataczać, poszedł ścieżką w stronę głazu narzutowego i usiadł na nim, żeby odpocząć. Marcowa noc była chłodna i wilgotna. Czy wszystko, co niedawno wymyślił, to bzdura? Czy też jednak VLBI rzeczywiście dostrzegł początkową osobliwość, a może wręcz zajrzał przez nią na wyłot w inny, pozbawiony czasu świat, który był większy od wszechświata? Czy o czymś nie zapomniał? Jak bardzo naprawdę jest pijany? W jaki sposób można by dowieść, że to wszystko absolutnie nie jest tak? Jeśli w ogóle może być mowa o czymś takim, to na pewno musi wystąpić nadzwyczajne przesunięcie widma w stronę czerwieni – tak wielkie, że nikt nawet nie wziął go pod uwagę. Maksimum tego, co dotychczas zmierzono, dla OQ 172 miało wartość 3,53; wówczas linia Lymana alfa doszła do przedziału światła widzialnego. Dla MQ 3412 szukano gdzieś między 4 a 5, a być może należałoby szukać w okolicach 20 albo 50. Albo nawet 100! Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie tam szukał, nawet Maarren. W jakich rejonach znalazłoby się takie przesunięcie w stronę czerwieni? Próbował to obliczyć, ale nie był już do tego zdolny. Pewnie gdzieś w okolicy fal krótkich. Może jakiś radioamator odebrał już kiedyś jedyny w swoim rodzaju głos: „Jam jest Pan, Bóg twój”, i obojętnie kręcił gałką dalej, ponieważ myślał, że ma do czynienia z jakimś maniakiem w eterze! Z pewnością nie nadawał się na drugiego Mojżesza!

Maks uniósł ramiona w górę, odchylił głowę do tyłu i wybuchnął głośnym śmiechem.

Straszliwe uderzenie oślepiąco białej kuli ognia, która w tymże samym momencie spadła z nieba, trafiając prosto w kamień, na którym siedział Maks, spaliło wszystkie drzewa i rośliny w całym ogrodzie, roztrzaskało szyby w domu Tsjallingsje, firanki stanęły w płomieniach, a eksplozja wyrwała ze snu całą wieś. Wszędzie rozszczeły się psy, zaczęły pisać koguty, w całej okolicy ludzie w panice zapalali światła i krzyczeli do siebie przez okna, że to na pewno wybuchł gaz. Następnego dnia okazało się, że wyparowała także część gazu.

Maks trafił więc jednak na łamy prasy światowej, jakkolwiek nie z powodu swojej teorii kosmologicznej, bo ta pozostała nieznana, tylko dzięki nieprawdopodobnemu zbiegowi okoliczności, że znalazł się dokładnie w miejscu, w którym się znalazł. Okazało się, że taki sam los spotkał przypuszczalnie jeszcze tylko jednego człowieka, pewnego siedemnastowiecznego franciszkanina z Mediolanu. Stuprocentowe trafienie sprawiło, że z pechowego holenderskiego astronoma zostało niewiele więcej niż z mrówki zmiażdżonej między dwoma krzemieniami.

Ekspertcy przypuszczają, że meteoryt był wielkości pięści. Odnaleziono tylko mikroskopijne jego odłamki, z których udało się wywnioskować, że to meteoryt kamienny, achondryt, liczący cztery miliardy lat, przypuszczalnie pochodzący z przestrzeni między Marsem a Jupiterem.

Zgodnie z międzynarodowym zwyczajem nadano mu nazwę najbliższego adresu pocztowego: Westerbork.

50

Decyzja

Cztery dni później, w czasie pogrzebu na cmentarzu w Westerbork – przy akompaniamencie *Bajki* Janáčka – Quinten nie miał odwagi zapytać, co jest w trumnie, którą wpuszczono do ziemi. Stojąc w otoczeniu astronomów i techników, spoznał na Sopię, która stała razem z Tsjallingsje. Czy coś w niej w ogóle było? Ale dopiero miesiąc później dotarło do niego tak naprawdę, co zaszło.

Theo i Selma Kernowie zaprosili Quintena i Sopię do siebie na wielkanocne śniadanie. Sophia przyniosła wino i siedząc przy wielkiej misie *pot-au-feu* z chrzanem, rozmawiali o gigantycznym wielkanocnym ognisku, które dawniej baron rozpałał każdego roku niedaleko Klein Rechteren – tradycji, której po jego śmierci nikt już nie kultywował. Zdaniem Kerna przyczyną był brak w okolicy miejscowej arystokracji; jej przedstawiciele można było znaleźć dopiero bardziej na południe, w Overijssel i Gelderland. Baron Gevers był najbardziej na północ mieszkającym arystokratą. Kern stwierdził, że od kiedy stara baronowa przeniosła się niedawno z Rutgerem i jego zasłoną, mierzącą już sto metrów kwadratowych, do swojej siostry, która w Hadze prowadziła doskonale prosperujący salon piękności dla wyższych sfer, hołota pojawi się wkrótce także w Klein Rechteren, doprowadzając do jego upadku.

– Jestem prostym człowiekiem z ludu – powiedział Theo Kern – moja babka sprzedawała wrzątek i opał w Utrechcie i miała w domu polepę, ale gdybym miał wybierać między arystokracją a tymi łajdakami nuworyszami, nie zastanawiałbym się długo. Arystokracja to oczywiście też łajdacy, wszyscy są łajdakami, ale oni przynajmniej mają styl.

– Starzejesz się, Theo – stwierdziła Selma.

– Pewnie, że tak. I bardzo dobrze.

Quinten spojrział na niego. Rzeźbiarz siedział na krześle jak kostropata, ośnieżona sosnowa szyszka; goła prawa stopa była oparta o obciążony białym lnem puf, kostka spuchnięta, fioletowa, zupełnie jakby wdepnęła w garnek z jeżynami. Arystokracja ma styl? Quinten od razu pomyślał o czapce ojca pana Roskama, którą ten zakopał na polecenie dziadka Rutgera. No tak, może to i był styl – ale jednak dość specyficzny. Z drugiej strony baron zapisał mu w spadku mnóstwo pieniędzy za to, że opiekował się grobem Deep Thought Sunstar i że nauczył Rutgera tkąć. Może arystokracja naprawdę uważa, że są dwa rodzaje ludzi: z jednej strony oni sami z królową na czele, a z drugiej zwykli obywatele – na tej samej zasadzie, na jakiej istnieją kobiety i mężczyźni. Chętnie porozmawiałby o tym z ojcem, ale on zniknął.

– Pamiętasz jeszcze wielkanocne pisanki? – spytała Selma. – Jak szukaliście ich razem z Arendjem pod rododendronami?

Jakże mógłby o tym zapomnieć? Natychmiast poczuł znowu na plecach gałęzie, jak wtedy, kiedy czołgał się po wilgotnych zeschniętych liściach, wśród których nagle rozbłyskiwał żywy kolor, skończony w kształcie, tak jak nagłe olśnienie, jakiego doznawał, kiedy się nad czymś zastanawiał. Podniecenie, żeby tylko Arendje nie znalazł więcej pisanek od niego...

– Najładniejsze zawsze chowałam – powiedziała Sophia. – Przynieść?

Kiedy wyszła z pokoju, Theo zwrócił się do Selmy:

– A wiesz, co Maks mi kiedyś powiedział? „Kura to środek, za pomocą którego jedno jajo wydaje na świat drugie”. Nie wiem, czego to dotyczyło, ale zapamiętałam to na zawsze.

– Biedny Maks... – westchnęła Selma.

Zaraz potem Sophia postawiła na stole wielki staroświecki słój po cukierkach, z szeroką szyjką i zakręcanym wieczkiem. Kiedy mówiła, że słój to jeszcze spadek po jej matce, Kern wpatrywał się w jego różnobarwną zawartość i z najwyższym trudem powstrzymywał wzruszenie.

– Każde z tych jajek było barwione tutaj, w tym pokoju, Kuku – powiedział – kiedy wy leżeliście już w łóżkach. Robili to wszyscy mieszkańcy zamku.

Selma sprzątnęła talerze i wtedy Sophia po kolei ułożyła ostrożnie wszystkie pisanki na stole. Quinten nie wiedział, że je przechowywała, ale rozpoznał swoje znaleziska niemal wszystkie bez wyjątku. Starannie poukładał je obok siebie, w czterech rzędach po osiem. Kern zdjął stopę z pufa, nałożył okulary do czytania w stalowej oprawce i pochylił się do przodu.

– Poznajesz, kto malował które?

Quinten uważnie przyglądał się każdemu po kolei i zaczął je zamieniać miejscami. Nagle poczuł, że powinien je ułożyć raczej w ośmiu pionowych rzędach po cztery niż w czterech rzędach po osiem. Był przecież Kern, Maks, Proctor, Themaat i Spier i ich pięć kobiet, czyli razem dziesięcioro ludzi, z tym że Elsbeth Themaat i Judith Spier na pewno nie brały w tym udziału, bo nigdy nie były tu na górze. Byłoby miło, gdyby od każdego pochodziły cztery jajka, ale od pana Spiera widział tylko jedno: na zupełnie wolnej od ozdób skorupce z jednej strony widniało napisane zgrabnymi czerwonymi kreskami „A?”, a z drugiej niebieskie „Q?” „A” oznaczało oczywiście „Arendje”, ale Quinten nagle pomyślał „Ada”. Panu Themaatowi przypisał trzy jajka z jasnymi, geometrycznymi wzorami: romby, kółka, trójkąty. Ponure, ciemnobrązowe, a czasem nawet czarne z zygzakowatymi błyskawicami pochodziły oczywiście od Proctora, Maks zaś przopuszczalnie zdecydował się na obojętne, świetliste barwy, które w pewien sposób zawierały w sobie jego śmierć. Nie mogło być pomyłki co do dzieła pana Kerna: fachowymi pociągnięciami pędzla namalowane twarze klaunów, kwiaty i głowy zwierząt. Także Clara ułatwiła mu zadanie, przedstawiając parasole we wszelkich stadiach otwarcia. Z Selmą i Sophią miał większy kłopot. Pozostałe jajka były bowiem wszystkie bez wyjątku pokryte abstrakcyjnymi ozdobami w formie punkcików, kreseczek i paseczków. Przyjął, że te ładne zrobiła Selma, a te o gryzących się kolorach Sophia.

Wszyscy w milczeniu patrzyli na to, co robi. Kiedy wreszcie przyporządkował wszystkie pisanki konkretnym osobom, Kern powiedział:

– W zasadzie nawet nic nie trzeba mówić. – Przez chwilę się im przyglądał, a potem podniósł wzrok i wskazując konstelację ułożoną na stole, powiedział do obydwu kobiet: – Oto, co zostało po nas wszystkich.

W tej samej chwili Quinten uświadomił sobie, że to istotnie prawda. Po śmierci Maksa zostało tylko tych troje starych ludzi, z których jego babka, licząca sześćdziesiąt dwa lata, była najmłodsza. Na górze mieszkał Nederkoorn, na dole Korvinus i już niedługo wszystko się skończy. Co go tu jeszcze trzyma? Wszystko wokół niego zostało zniszczone, wszyscy umarli, wyprowadzili się albo byli nieosiągalni, nawet gołębniki Kerna były puste od pół roku. Quinten nagle wstał i bez słowa wyszedł do swojego pokoju.

Postawił na stole swoją szkatułę z brązu. Ponieważ klucz od kłódki pewnego dnia zniknął ze schowka między obluzowanymi cegłami za olejowym piecem, Quinten wziął duży biurowy spinacz i dzięki lekcjom u Pieta Kellera zrobił z niego wytrych. Ostrożnie rozłożył list od ojca i spojrzął na ostatnie zdanie, chociaż nadal brzmiało tak samo, jak je zapamiętał: „Wybacz mi i nie szukaj mnie, ponieważ i tak nie uda Ci się mnie odnaleźć”. A więc jednak nie można powiedzieć, żeby jego ostatnią wolą było, by go nie szukał! Nie było tutaj ani słowa o tym, że sobie tego nie życzy, lecz tylko tyle, że Quinten może sobie nie zadawać trudu, bo i tak niczego nie osiągnie. Spojrzął na futerał z wiononczelą matki. Teraz był już pewny. Pójdzie. Pójdzie szukać ojca.

- Ale gdzie go będziesz szukał? - spytała Sophia następnego ranka przy śniadaniu. - Przecież może być wszędzie. Czy ty sobie zdajesz sprawę, jaki świat jest wielki?

- W każdym razie na pewno jest na Ziemi. A to przynajmniej wyklucza mnóstwo innych miejsc.

- Istotnie - przyznała Sophia. Na jej twarzy pojawił się uśmiech i patrzyła na Quintena, kręcąc głową. - Już go prawie znalazłeś, prawda?

- Tak - przytaknął Quinten, odpowiadając spojrzeniem na jej spojrzenie, ale bez uśmiechu.

Siedzieli na balkonie. Po raz pierwszy tego roku był przyjemny przedwiosenny ranek, na dole kaczki hałaśliwie świętowały w fosie zmianę pór roku.

- Ale czy pomyślałeś, co się stanie, jeśli go znajdziesz, a on nie będzie chciał cię znać? Czy zdajesz sobie sprawę, co się z nim stało? On jest już innym człowiekiem. Początkowo też myślałam, że wszystko się jakoś ułoży i że on za jakiś czas się pojawi, ale minęły już cztery lata. Przecież wie, gdzie cię szukać, a jednak nigdy nie próbował się z tobą skontaktować.

- Jeśli mnie zobaczy i nadal nie będzie chciał mnie znać, to wtedy się przekonam. Będę wiedział, że naprawdę stał się innym człowiekiem, tak jak mówisz, a inny mnie nie interesuje. Inny nie jest moim ojcem. Wtedy sprawa będzie dla mnie załatwiona.

- A szkoła? - spytała Sophia, nie podnosząc wzroku znad obieranego właśnie jabłka. - Co ze szkołą?

- Wiem już wystarczająco dużo. Najważniejszych rzeczy, których się dowiedziałem, i tak nie dowiedziałem się w szkole.

- Ale popatrz, jesteś teraz w piątej gimnazjalnej, niedługo ją skończysz, jeszcze rok, i zdasz maturę. Nie boisz się, że będziesz kiedyś bardzo żałował, iż nie skończyłeś gimnazjum? To wpłynie na całe twoje życie. Przecież zamierzasz kiedyś studiować, prawda?

Quinten zapatrzył się na nagie drzewa po drugiej stronie. Ciągle jeszcze mógł patrzeć na przestrzał przez las; już niedługo stanie się on nieprzeniknioną ścianą. Gdzieś w oddali jakiś samochód jechał drogą do Westerbork. Jego ojciec też zapytał go kiedyś, kim „chce zostać”. Maks odpowiedział wtedy za niego, że architektem, ale myśl o tym, że przez resztę życia miałby robić to czy tamto, i nic innego, wciąż była dla Quintena czymś idiotycznym. Nie urodził się po to, by zyskać pewność; od tego są inni. Na niego czekało coś zupełnie innego, to była ta jego pewność, która tamtego dnia pół roku temu stała się jego udziałem na łące za Klein Rechteren.

- Nie sędzę - powiedział. Sophia spróbowała raz jeszcze.

- Za miesiąc skończysz dopiero siedemnaście lat. Wytrzymaj jeszcze rok, będziesz miał osiemnaście, wtedy przez rok będziesz sobie robił, co chcesz. Albo nawet przez dwa. A potem zawsze możesz jeszcze zdecydować, czy chcesz studiować, czy nie. Ale jeśli przerwiesz naukę teraz, to zdecydujesz od razu.

- Muszę poszukać taty - powiedział Quinten.

Żal mu było Sophii. Żeby się jakoś opanować, zgarnęła dłońią okruszki do drugiej dłoni i wysypała je za balustradę, co natychmiast wywołało gwałtowne kwakanie na dole. Ona też była sama. Jej córkę dotknęło ogromne nieszczęście, człowiek, z którym mieszkała, zginął zabity przez meteoryt, a teraz w dodatku opuszcza ją wnuk. Co teraz pocznie? Za kilka miesięcy zostanie w dodatku bez dachu nad głową - z całym dobytkiem swoim, swojej córki i Maksa. Podszedł do niej, położył dłonie na ramionach i pocałował ją w czoło; w nozdrza uderzyła go dziwna słono-słodka woń. Potem ona przycisnęła czoło do jego piersi, co od razu przypomniało mu Gijsa, kozła Verdonkschota. Kiedy po chwili podniosła twarz, była mokra od łez. Quinten po raz pierwszy widział ją płaczącą.

- Babciu!

- Nie przejmuj się, to nic. Kiedy chcesz wyruszyć?

- Najszybciej, jak się da. - Dopiero kiedy to wypowiedział, stało się to nieodwołalne także dla niego samego.

Sophia już się opanowała.

- Ale dokąd, Quinten? W którą stronę? Przecież chyba nie wsiądziesz tak po prostu do pierwszego lepszego pociągu?

- Może to też jest jakiś sposób. Ale najpierw pojedę jutro do adwokata taty. On przecież podobno wie, gdzie jest tata.

- Na pewno ci tego nie powie. Obowiązuje go tajemnica zawodowa.

– W każdym razie nie zaszkodzi spróbować. Może jednak coś tam zdradzi albo niechcący wymknie mu się coś, na czym będę się mógł oprzeć. A nie sądzisz, że ciocia Dol też wie więcej, niż nam się zdaje? Może nawet lepiej będzie, jak najpierw pojedę do niej.

Sophia patrzyła na niego zaczerwienionymi oczami. Teraz znowu nie udało jej się powstrzymać łez, twarz jej się wykrzywiła, Sophia usiadła, zakryła oczy dłońmi i powiedziała wysokim, niemalże śpiewnym głosem:

– Quinten... jak wyjedziesz, zdarzy się coś strasznego...

Nigdy wcześniej jej takiej nie widział. Bez słowa usiadł naprzeciwko niej.

– Skąd ci to nagle przyszło do głowy?

– Sama nie wiem – wyszeptwała, a jej ramiona dygotały. – Ale tak czuję.

– Co za bzdura! Nikt nie wie, co się zdarzy. Może nie będzie mnie tylko kilka miesięcy i o wszystkim będę cię informował. A potem zawsze mogę wrócić do szkoły. Albo zrobię maturę eksternistycznie.

Sam nie bardzo w to wierzył i widział, że Sophia też nie jest przekonana. Z serwetką przy oczach siedziała jeszcze przez chwilę, a potem nagle wstała i odwracając twarz, weszła do pokoju.

Quinten patrzył na łupinę z obranego jabłka na jej talerzu: długa, nieprzerwana spirala, tak jak to zawsze robiła. Pomyślał, że taka spirala może być tak długa, jak się chce, nawet nieskończona, wystarczy, żeby była odpowiednio wąska. Głęboko wciągnął w płuca łagodne powietrze. Skończyło się, właściwie już go nawet tutaj nie było, a jednocześnie ta świadomość sprawiła, że wszystko docierało do niego jakby intensywniej, zupełnie jak to się dzieje wówczas, gdy wypalające się świece na bożonarodzeniowej choince na koniec raz jeszcze rozbłyskują płomieniem, a potem gasną nad podłogą pokrytą kolorowym papierem z rozpakowanych prezentów. W Wigilię Maks zawsze kazał mu zostać w pokoju dopóty, dopóki choinka nie zostanie przystrojona, a świece zapalone. „Już możesz wejść!” Z ostrego elektrycznego światła swojego pokoju wchodził wtedy w ciepły blask świec – mroczny świat z odległej przeszłości... Wstał i podszedł do kamiennej balustrady. Głęboko w lesie zahuczała sowa. Na sztucznej wysepce po drugiej stronie niezamordowane ciecioriki wybudowały nowe gniazdo, które wszystkie inne ptaki z szacunku omijały szerokim łukiem. Że też jego twarda zazwyczaj babka właśnie teraz musiała się rozpląkać! Ale czy z tego powodu powinien zostać? Czy powinien się nią teraz opiekować, tak jak ona opiekowała się nim przez wszystkie te lata? Jego decyzja była twarda – pojedzie. Musi poszukać ojca. Czuł w sobie niezachwianą pewność, że nic i nikt go od tego nie odwiedzie.

– Quinten?

Przez pokój Maks, w którym jego zaścienione łóżko stężało już w muzealny obiekt, przeszedł do pokoju Sophii. Siedziała na podłodze przy wysuniętej dolnej szufladzie komody. W rękach trzymała miniaturowy kompas, o wiele mniejszy od tego, który leżał na skraju biurka Maks; jego średnica wynosiła niecałe dwa centymetry.

– Weź go ze sobą – powiedziała, podając mu kompas; w jej oczach znowu były chłód i dystans. – Należał do twojego dziadka. Miał go zawsze przy sobie, kiedy wędrowaliśmy po De Heide, tuż po wojnie. Wtedy De Heide była jeszcze bardzo rozległa.

Igła była zablokowana, ale po odsunięciu sztyftu z boku kompasu zaczęła się chwiejnie kręcić: kompas nadal działał. Przez niewielkie kółeczko przeciągnięty był czarny rzemyk i Quinten bez słowa pozwolił, by Sophia powiesiła mu instrument na szyi. Z ulgą stwierdził, że już pogodziła się z jego wyjazdem. Nie znał dziadka Bronsa, w jego odczuciu kompas należał bardziej do historii niż do niego, tak jak większość rzeczy z przepełnionej szuflady. Chociaż nie była zamknięta na klucz, nigdy w niej nie szperał; nie lubił też, kiedy ktoś wtykał nos w jego sprawy. Schylił się i z chaosu, jaki tworzyły leżące tam fotografie, listy, tekturowe teczki, lalki i wełniane króliczek, wyłowił żółtą kartkę.

„Dowód zameldowania – przeczytał – zgodnie z paragrafem 9, ustęp 1 Zarządzenia nr 6/1941 Komisarza Rzeszy dla okupowanej Holandii, dotyczącego obowiązku meldunkowego osób całkowicie lub częściowo żydowskiego pochodzenia. – Odwrócił kartkę na drugą stronę. – Halcen, Petronela. Liczba żydowskich przodków w rozumieniu paragrafu 2 Zarządzenia: jeden”. Spojrzał pytająco na Sophię.

– To mojej matki – powiedziała. – Jej babka ze strony matki była Żydówką.

– To znaczy, że... – zaczęła Quinten.

– Tak, że w tobie też płynie żydowska krew.

– Nigdy mi o tym nie mówiłaś!

– Bo nie ma o czym. Sam sobie policz.

– Moja prababka miała jedną czwartą, ty jedną ósmą, mama jedną szesnastą, a ja jedną trzydziestą drugą. – Odłożył kartkę z powrotem i powiedział: – Rzeczywiście, dużo to to nie jest. Czy Maks o tym wiedział?

– Szczerze mówiąc, nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

Jego wujek i ciocia powtarzali tylko bez przerwy, że nie mają najmniejszego pojęcia, gdzie podział się Onno. Jako jedyna z rodziny list dostała wtedy Dol, potem i ona więcej o nim nie słyszała; Onno nigdy też ani przez nią, ani w żaden inny sposób nie zgłosił się po którąkolwiek ze zdeponowanych u nich swoich rzeczy. Tylko raz jeden – a i to już jakieś półtora roku temu – Giltay Veth napisał do nich, że Onno prosi o odesłanie do Uppsali swojego dyplomu doktoratu honoris causa. Tak też zrobili, chociaż nigdy nie poznali przyczyny, podobnie jak adwokat.

Był to ich ostatni dzień w willowej dzielnicy Rotterdamu, przyjęli go w samym środku przeprowadzki. Jego wuj Karel, który był chirurgiem, definitywnie pożegnał się ze skalpelem i obydwójce przenieśli się na stałe do swojego letniego domu na Minorce, gdzie Quinten kilkakrotnie mieszkał w czasie letnich wakacji. Siedzieli w pustym holu na zabitych gwoździach skrzyniach, w dłoniach plastikowe kubki z wodą mineralną, i odbywała się ta sama rozmowa, jaką miał już z Sophią: czy powinien przerywać naukę i czy jest pewien, że to, co robi, jest rozsądne, i gdzie zamierza szukać. Odnosił wrażenie, jakby Onno dawno już zniknął z ich życia. Jego rzeczy zostały kilka tygodni temu zabrane przez firmę depozytową i złożone w jakimś kontenerze na terenie portu. Sophia była o tym poinformowana, ale nic mu nie powiedziała, bo widocznie nie chciała go obciążać. Kiedy na peronie czekał na pociąg do Amsterdamu, w głowie cały czas brzmiało mu echo określenia, jakiego użył wuj w stosunku do ojca: *drop out*

W holu budynku za Rijksmuseum, w którym mieściła się kancelaria adwokacka, znalazł napis „Mr. J.C.G.F. Giltay Veth” wśród długiego szeregu innych nazwisk. Jego właściciel wyszedł do niego osobiście: korpulentny, życzliwy pan około pięćdziesiątki, z małymi okularami do czytania na czubku nosa. W windzie na najwyższe piętro opowiedział Quintenowi, że zna jego ojca jeszcze z czasów studenckich. Chociaż Onno potrafił straszliwie dopieć ciętymi uwagami, to jednak rzadko kiedy tak serdecznie się śmiał, jak wtedy z nim. Z jego gabinetu rozciągał się widok na całe śródmieście. Giltay pokazał Quintenowi widniejący w oddali pałac na Dam, gdzie Atlas dźwigał na plecach złoty ziemski glob – zupełnie jak ktoś nie z tego świata, pomyślał Quinten.

Kiedy czarnoskóra dziewczyna w białej sukience przyniosła herbatę, usiedli naprzeciwko siebie przy długim stole, którego połowę zajmowały teczki i segregatory.

– Przede wszystkim chciałbym ci złożyć wyrazy współczucia z powodu śmierci przybranego ojca – powiedział Giltay. – Czytałem o tym w gazecie. Wprost nie do wiary, że coś takiego mogło się zdarzyć. – Zamilkł i tylko kręcił ze zdumieniem głową. – Oczywiście to nie moja rzecz, ale mam nadzieję, że wszystkie sprawy spadkowe zostały właściwie załatwione?

– O to musiałby pan pytać moją babkę. Wydaje mi się, że są jakieś problemy, bo on w ogóle nie ma żadnej rodziny.

– Powtórz, proszę, swojej babci, że zawsze może się ze mną skontaktować, jeśli potrzebuje pomocy. Nie będzie to związane z żadnymi kosztami. Jestem przekonany, że byłoby to w duchu twojego ojca.

Quinten spojrział na niego badawczo.

– To znaczy, że go pan nie powiadomił?

Giltay trzymał kostkę cukru zanurzoną w herbacie i czekał, aż całkiem nasiąknie.

– Nie. – Wpuścił kostkę do herbaty. – Wolno mi się z nim kontaktować tylko w absolutnie wyjątkowych wypadkach.

– To znaczy, że on nie ma pojęcia o śmierci Maksa?

– Nie umiem ci na to odpowiedzieć. Może i on przeczytał o tym w jakiejś gazecie.

– A więc nie ma go w Holandii?

Na twarzy Giltaya pojawił się cień uśmiechu, ale natychmiast zniknął; z poważną miną mieszał przez kilka sekund łyżeczką w filiżance.

– Doskonale rozumiem, do czego zmierzasz, Quintenie. Szczerze mówiąc, spodziewałem się twojej wizyty już wcześniej. Wiedziałem, że pewnego dnia usiądziesz tu naprzeciw mnie; swego czasu powiedziałem to zresztą twojemu ojcu. Ale jeśli liczysz na to, że dowiesz się ode mnie, gdzie on jest, to niestety muszę cię rozczarować.

– Przysięgam, nie wygadam się, że wiem to od pana. Przecież mógłbym na niego wpaść niejako przypadkiem. Takie rzeczy się przecież zdarzają, prawda? Mój przybrany ojciec zginął trafiony meteorytem, to, chyba jeszcze rzadsza rzecz?

– Oczywiście – potwierdził Giltay. – Problem nie w tym, że ja to wiem i nie chcę ci powiedzieć, tylko naprawdę nie wiem. Nie mam zielonego pojęcia.

– Jak to w ogóle możliwe? W swoim liście pożegnalnym do Maksa ojciec napisał, że w razie konieczności zawsze można się z nim skontaktować przez pana.

- Bo to prawda. Ale nie bezpośrednio. Między nami są jeszcze dwa adresy kontaktowe. Pierwszy to pewien mój kolega, tak jest, za granicą, słusznie się domyślasz. Ale on zna tylko numer skrytki pocztowej w jeszcze innym kraju. A więc może to być Holandia, ale równie dobrze Paragwaj. Nawet zakładając, że udałoby ci się mnie nakłonić do wyjawienia, kim jest ten mój kolega, co oczywiście jest wykluczone, to i tak niewiele by ci to pomogło, ponieważ on nie ma dla ciebie żadnych wiadomości. Pomijając już fakt, że jedyne, co zna, to numer tej skrytki pocztowej w kraju innym niż jego kraj zamieszkania. - Złożył dłonie i spojrzał na Quintena. - Daj sobie spokój, chłopcze. Twój ojciec gruntownie zatarł za sobą ślady. Spotkało go coś strasznego; najlepiej byłoby, gdybyś przyjął, że już nie żyje. Jestem doskonale poinformowany o twojej sytuacji. Wiem, jaki straszny los spotkał twoją mamę, wiem, co stało się twojemu ojcu i zupełnie niedawno twojemu opiekunowi, ale musisz się z tym wszystkim jakoś pogodzić. Są chłopcy, których rodzice zostali zamordowani albo zginęli w katastrofie lotniczej, to wszystko jest równie straszne, ale takie jest widać życie. Spróbuj to jakoś od siebie odsunąć, nie pozwól, żeby wpływało to na twoje życie.

Z poczuciem bezradności Quinten powiedział:

- Gdybym wiedział, że mój ojciec naprawdę nie żyje, to byłoby po sprawie. Ale on żyje, jest gdzieś na Ziemi i w tym momencie robi to czy tamto. Może właśnie czyta gazetę albo pije herbatę - Quinten zamilkł. - Znaczy... pan wie na pewno, że on jeszcze żyje?

Giltay skinął głową.

- Gdyby było inaczej, na pewno bym się dowiedział, a tym samym ty również.

- W takim razie będę go jednak szukał.

Zadzwoił telefon, ale adwokat, nie pytając nawet, kto jest na linii, powiedział:

- Proszę mi teraz nie przeszkadzać. - Odłożył słuchawkę na widełki, skrzyżował ręce na piersi i odchylił się do tyłu. - Nikt nie może ci tego zabronić. Ale czy zadałeś sobie pytanie, czy działasz w duchu swojego ojca?

Ciągle mówił o działaniu w duchu jego ojca. Quinten wyjął z kieszeni list Onna i przeczytał ostatnie zdanie. Kiedy przedstawił swoją interpretację - że nie można doszukać się w nim zakazu, że jest w nim tylko zapowiedź bezskuteczności działań - na twarzy Giltaya pojawił się uśmiech.

- Byłby z ciebie doskonały prawnik, Quintenie.

- Co jest napisane, to napisane.

- Trudno się nie zgodzić. Ale napisane jest też, że go nie znajdziesz. Więc jak chcesz się do tego zabrać?

- Jeszcze nie wiem. Miałem nadzieję, że naprowadzi mnie pan na jakiś ślad, ale poradzę sobie inaczej.

Giltay uniósł brwi.

- A więc to w tym celu do mnie przyszedłeś?
- Tak, a jaki mógł być inny?
- Myślałem, że może potrzebujesz pieniędzy na swoje poszukiwania.
- Pieniądzy mam pod dostatkiem.
- Czyżby?
- Dostałem w spadku czterdzieści tysięcy guldenów.
- Czterdzieści tysięcy guldenów? – powtórzył Giltay, zdejmując z nosa okulary. – Od kogo?

Kiedy Quinten opowiedział mu, czym sobie na to zasłużył, Giltay popatrzył na niego przez chwilę w zamyśleniu.

- Wiele zostało ci odebrane, ale też wiele otrzymałeś. Bóg jeden wie, a nuż uda ci się naprawdę odnaleźć ojca, chociaż trudno mi sobie wyobrazić, jak miałbyś tego dokonać.

- Kto wie, może jeszcze nie wszystkie cuda na świecie miały już miejsce – stwierdził Quinten.

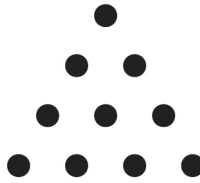
Mżawka była tak drobna, że kropelki sprawiały wrażenie, jakby wisały w powietrzu, a jednak twarz miał od nich mokną bardziej niż od prawdziwego deszczu. Dwie olchy, trzy głązy, wszystko na łączce za Klein Rechteren ociekało wodą, która sprawiała wrażenie, jakby brała się nie wiadomo skąd. Krowy nie było. Czy to dobry znak, czy może raczej zły? Oczywiście, że dobry, bo inaczej by tu była. Powinien teraz wybrać kierunek, w którym ma szukać ojca. Powoli, z szeroko otwartymi oczami obracał się dookoła własnej osi zgodnie z ruchem wskazówek zegara, uważając, czy w którymś momencie nie poczuje czegoś specjalnego. Nic nie poczuł, chociaż w jakiejś chwili na sto procent patrzył w stronę ojca. Wydało mu się to niepojęte. Spróbował ponownie, tym razem jeszcze wolniej i z zamkniętymi oczami, ale też bez rezultatu. Co teraz? Rozpiął koszulę i wydobyl zawieszony na szyi małego kompas. Znowu wykonał powolny obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni, nie odrywając przy tym oczu od igły kompasu. Kręciła się chwiejnie w obudowie z północy na zachód i przez południe z powrotem na północ, ale w jej zachowaniu nie ujawniło się nic szczególnego.

Zdumiony dał za wygraną. Nie rozumiał wprawdzie dlaczego, ale najwidoczniej ta metoda zawiodła. Schował kompas i spojrzął na łąkę, czując, jak jego wewnętrzna pewność zaczyna topnieć. Czyżby naprawdę było to niemożliwe? A może powinien spróbować od drugiej strony? Gdzie jego ojciec na pewno by nie pojechał? Na pewno nie do Afryki, na pewno nie do bloku wschodniego ani do Chin czy w ogóle gdziekolwiek w Azji. To już wiele wykluczało, ale i tak zostawała jeszcze cała Europa oraz Ameryka Północna i Południowa. Ojciec znał wszystkie języki, więc nie stanowiło to najmniejszego problemu. Może siedział w jakimś klasztorze, z którego już nigdy nie wyjdzie – przecież napisał chyba, że zostaje eremita? Albo w jakiejś własnoręcznie zrobionej chacie na bezludnej wyspie, przyodziany w palmowe liście, albo w jakiejś jaskini w górach. Może na Krecie, skąd pochodził dysk z Fajstos? Ma jechać na Krete? Ale nawet gdyby wiedział, że ojciec jest na pewno w Nowym Jorku, to i tak by go tam nie odnalazł. Nie wiadomo, od czego zacząć. Jutro kończą się ferie wielkanocne – czy powinien po prostu normalnie pójść do szkoły? To też było nie do pomyślenia, ponieważ za dużo się z nim w tym czasie wydarzyło: nie da się sprawić, aby upuszczony kamień w połowie drogi niczym jojo wrócił do ręki.

Cały mokry, jakby spocił się przy ciężkiej pracy, spoglądał na skraj lasu i nagle zaczął dygotać. Może właściwą metodą byłoby zwabienie ojca z powrotem do Holandii: na przykład gdyby udał, że został porwany – ukryć się gdzieś i wysłać groźne listy z powycinanymi z gazet literami. Może wtedy by się pojawił z okupem, gdzieś przy betonowym filarze pod wiaduktem...

Jego złudne przeświadczenie, że odnajdzie ojca, w jednej chwili rozwiało się jakby pod wpływem tego diabelskiego pomysłu. Odwrócił się i powoli ruszył z powrotem do zamku. Oczywiście wykluczone, żeby posunął się do czegoś takiego – ale i tak na pewno stąd wyjedzie, uda się w podróż, nie było odwołania. Dlaczego nie pojechać do Włoch? Nigdy tam jeszcze nie był. Do Veneto na przykład. Wreszcie zobaczyć na własne oczy budowle Palladia. Pieniądzy miał dość. Oczywiście musi zabrać ze sobą swoje szkice i rzuty Zamczyska, całe SOMNIUM QUINTI. Kto wie, co jeszcze będzie mógł do nich dodać?

Z otchłani



CZĘŚĆ CZWARTA

KONIEC KOŃCA

Trzecie intermezzo

- A już myślałem, że nic z tego nie będzie.
- Przecież od razu na początku powiedziałem, że zadanie zostało wykonane!
- To wszystko przez twój porywający sposób opowiadania. Tak to zawsze jest w dobrej opowieści: nie ma się wrażenia, że to relacja z tego, co się wydarzyło, tylko wszystko dzieje się niejako w trakcie opowiadania.
- W moim przypadku nie ma wielkiej różnicy między jednym a drugim.
- To prawda, jesteś losem tych ludzi, i szczerze mówiąc, czasami nie mogę wyjść ze zdumienia. Co za spustoszenia! Weźmy taki koniec Maksa Deliusa, czy to nie było zbyt drakońskie posunięcie?
- No jak to? Przecież był tuż przed odkryciem naszego istnienia!
- Był u progu, przyznaję, istotnie już jakby zaglądał przez dziurkę od klucza, ale przecież był pijany. Gdyby następnego dnia ocknął się z alkoholowego odurzenia, uznałby to wszystko za piramidalną bzdurę. To w końcu naukowiec, a nie twórca science fiction!

- I o to właśnie chodzi. Uznałem, że nie możemy sobie pozwolić nawet na najmniejsze ryzyko. Bo co by było, gdyby jednak potraktował siebie poważnie i jeszcze dysponował taką samą siłą przebicia jak jego syn. Nie miał zbyt wiele do stracenia w astronomii, może byłby gotów zagrać *va banque* w tym kluczowym momencie swego życia. Naszą przysłowiową brzytwą, której zawsze się jeszcze chwytamy, jest ludzka wiara. Kiedy kwestia naszego istnienia stanie się przedmiotem nauki, w ogóle przestaną sobie z nas cokolwiek robić. Wzruszą tylko ramionami i powiedzą: „No i wielkie mi rzeczy!” A poza tym zawsze stają się niebezpieczni, kiedy odkrywają obce istoty albo takie, które za obce uważają. Kiedy odkryli Indian, przez chwilę byli tym zafascynowani, ale bardzo szybko przestało ich to bawić i po prostu ich wytępilli. Albo przypomnij sobie, co aż po dziś dzień wyprawiają ze zwierzętami.

- No już przestań. Stadium: „No i wielkie mi rzeczy!”, i tak już osiągnęli. Tępią nas też już od dość dawna, nawet nie zdając sobie z tego sprawy – mniej więcej tak długo jak Indian. Nigdy nie podejrzewałeś, że Delius zaskoczy cię kiedyś czymś takim?

- Oczywiście, że podejrzewałem. W końcu to przecież właśnie on musiał zostać ojcem naszego agenta, a znając prawa dziedziczenia, nie miałem wątpliwości, że i on będzie dysponował wyjątkowymi zdolnościami. W pewnym sensie zawdzięczał je synowi.

- Triumf *causa finalis* nad *causa efficiens*.

- Można i tak powiedzieć, jakkolwiek niekoniecznie każdy od razu to zrozumie. Ponadto jego śmierć była niezbędna, żeby wreszcie wypchnąć naszego człowieka z Holandii. Już choćby do tego potrzebne było takie całkowite oczyszczenie przedpola.

- Istotnie, Holandia to szczególny kraj, ale nawet abstrahując od naszego wysłannika, można w pewnym momencie mieć dosyć. Czasami zadaję sobie pytanie, czy to naprawdę twój z rzeczywistego świata. W ludzkim roku 1580 niejaki Joannis Goropius opublikował księgę, w której dowodził, że Adam i Ewa mówili w Raju po niderlandzku – no i rzeczywiście Holandia to światowy ideał raj, każdy kraj chciałby taki być, taki miłujący pokój, taki demokratyczny, taki przyjazny, dostatni i uporządkowany, ale jednocześnie taki monotony, prowincjonalny i nudny – chociaż to ostatnie wydaje się w ostatnich latach zmieniać.

- Pomyśl choćby o tym, co się przytrafiło Onno Quistowi.

- Zawsze myślę o wszystkim jednocześnie, drogi przyjacielu. W tym momencie na przykład myślę też o tym, że to oczywiście przez ciebie go spotkało. Podejrzewam cię nawet, że tylko po to doprowadziłeś do powstania tej niezdrowej atmosfery w Amsterdamie, żeby Helgę mogło spotkać to, co ją spotkało.

- Niedługo uznasz konieczność tego posunięcia. Interweniowałem tylko wówczas, kiedy było to niezbędnie konieczne, w ogóle zawsze maksymalnie oszczędnie operuję środkami, ale cóż, bądź co bądź mam do czynienia z twardą gumą, z której uczyniony jest człowiek. Kiedy jeszcze mieliśmy w zwyczaju kierować do nich słowa, wszystko było nieco łatwiejsze, ale, jak sam wspominałeś: odkąd ci marzyciele wmówili sobie, że nie pochodzą one z góry, tylko z głębi ich własnego wnętrza, musieliśmy tego zaprzestać.

- Wbrew samym sobie.

- Przed chwilą mówiłeś o *causa finalis*. Także i my zaczęliśmy od teoretycznie najprostszego sposobu osiągnięcia założonego celu, mianowicie, żeby nasz człowiek znalazł się tam, gdzie chcemy, aby się znalazł, i zrobił to, co chcemy, żeby zrobił. Z drugiej jednak strony pojawiały się coraz to nowe przeszkody, w coraz większym stopniu utrudniające osiągnięcie celu – aż w końcu, w drodze improwizacji, znaleźliśmy skomplikowaną drogę celowych ciągów przyczynowych, która okazała się jedyną możliwą. Nie było to nawet w przybliżeniu tak skomplikowane jak nasze wysiłki, by powołać go do życia duchem i ciałem, ale jednak wystarczająco złożone. W moim dziale porównujemy to czasem z biegiem rzeki. Najłatwiejszym sposobem dla Renu, żeby od źródeł w Alpach dotrzeć do Hoek van Holland, jest oczywiście linia prosta, licząca, powiedzmy, sześćset kilometrów, w rzeczywistości jednak rzeka jest mniej więcej dwa razy dłuższa, bo zmusza ją do tego rzeźba terenu. W ten sam sposób droga, jaką przeszedł nasz człowiek, była wskutek ludzkich krajobrazów kręta i dziwaczna, a miejscami nawet naznaczona przemocą, tak jak wodospad na Renie pod Szafuzą; ale – by posłużyć się innym obrazem – nie da się zatrudnić kogoś w charakterze cieśli i jednocześnie zakazać wyrębu drzew. Przepraszam, ale chyba nie będziemy po raz kolejny powtarzać tej samej rozmowy, prawda?

- Po wieki wieków powtarzać się będzie rozmowa na temat konieczności istnienia zła na świecie, centralnego problemu teodycei, na którym ludzkość od zawsze łamie sobie zęby. Ale cóż, ziarno trzeba najpierw obić cepami, zanim zmieni się w święty chleb.

- Dzisiaj służą już do tego raczej kombajny. To takie pojazdy szerokości czasem i sześciu metrów, napędzane sześciocyndrowymi silnikami diesla, które suną po polach jak przedpotopowe koniki polne. Z przodu maszyna pożera kłosa, potem w specjalnych bębnach wytrząśnięte zostaje z nich ziarno, a na koniec specjalny kompresor oddziela za pomocą sprężonego powietrza ziarno od plew. Widać w ten sposób też można.

- Sam to powiedziałaś. Ale właśnie ta maszyna uosabia o wiele większe, bardziej radykalne zło. Technologiczno-diabelskie zło nie jest w optymistycznej służbie Szefa na tym najlepszym z możliwych światów, tak jak opatrnościowe zło, które ty musisz wyrządzać, tylko żywi się nim, pożera go, zajmując jego miejsce, jak wirus przejmujący rządy w komórce: podstępny pucz, niegodny zamach stanu. Rak! Królobójstwo! - Ależ po co się tak ciągle oburzać. Tak już po prostu jest. Przeliczyliśmy się, nie doceniliśmy możliwości człowieka, zarówno siły jego umysłu, jak i słabości jego ciała, co czyni go podatnym na takie szatańskie podszepty, w końcu jednak to my sami go stworzyliśmy, a zatem nie doceniliśmy swojej własnej siły stworzenia. To, co zrobiliśmy, okazało się czymś więcej, niż myśleliśmy, że robimy. W naszej porażce kryje się więc poniekąd komplement pod naszym własnym adresem: nasza siła stworzenia jest większa od nas samych!

- Twój optymizm jest najwyraźniej niewzruszony, zupełnie jak optymizm Leibniza. Okazuje się, że pomimo niewątpliwej fachowości jesteś jednak ni mniej, ni więcej, tylko nieodpowiedzialnym przedstawicielem cyganerii, artystycznym lekkoduchem, działającym w myśl zasady: będzie, jak Bóg da. Tymczasem może powinieneś zadać sobie pytanie, czy aby tak naprawdę to nie blask wielkości Szefa sprawia, że nasza siła stworzenia stała się większa od nas samych.

- O! Ale gdyby tak było, to za naszą zwycięską porażkę również nie my odpowiadamy, tylko sam Szef. Włącznie z odpowiedzialnością za ludzką podatność na wpływy diabła, a tym samym za koniec samego Szefa, który to koniec tak mi przed chwilą elokwentnie nakreśliłeś. Jednym słowem, tworząc człowieka, Szef sam sobie wykopał grób.

- Ta rozmowa zaczyna przybierać obrót, jakiego absolutnie sobie nie życzę. Mam naprawdę wielką nadzieję, że twoje kontakty z ludźmi oraz manipulowanie złem nie zbliżyły cię zbyt do Lucyfera-Szatana.

- Wtedy nie zadawałbym sobie tyle trudu. Ale mówiąc całkiem szczerze: trochę mi go jednak szkoda. W końcu on też jest tylko biednym nieborakiem, który nie może być inny, niż jest. Tak się po prostu składa, że teraz my gramy białymi, a on czarnymi. Jeśli ktokolwiek jest skazany na wieczyste piekło, to właśnie on.

- Przecież on niczego bardziej nie pragnie!

- No właśnie. To jego prywatne piekło w piekle.

- Co ty powiesz? To zupełnie tak, jakby ktoś na Ziemi zaczął twierdzić, że ten, którego imienia nie wypowiem, też jest biednym nieborakiem, a on sam jego nieszczęsną ofiarą.

- Nie jest rzeczą człowieka rozstrzygać w takich sprawach. Człowieka w najmniejszym stopniu.

– Cieszę się, że to mówisz, ponieważ przed chwilą twoje stanowisko wisiało na włosku.

– Coś tak czułem.

– Ale zostawmy to, póki jeszcze sprawy nie wymknęły się spoci kontroli. To oczywiście bardzo smutne, że musiało dojść do tego wszystkiego, zarazem jednak aż płonę z ciekawości, żeby usłyszeć, jak ci się udało zebrać to w całość. Opowiadaj dalej. Słucham.

51

Złoty Mur

Aby decydujące zdarzenie było w ogóle możliwe, trzeba było nieco ułagodzić charakter Onno Quista po tych wszystkich latach samotności – dlatego też podesałem mu zabłąkanego młodego kruka ze wzgórz. Pewnego słonecznego dnia koło południa przysiadł nagle w otwartym mansardowym oknie, strzepnął pióra, złożył skrzydła, obrócił się dookoła własnej osi i wparadował do środka, jakby też tam mieszkał.

Onno spojrział osłupiały znad swoich zapisków.

– A ty tu czego? – spytał. Ponieważ przez całe rano się jeszcze nie odezwał, musiał odchrząknąć.

Kruk wlepił w niego jedno oko i zakrakał.

– *Cras?* – powtórzył Onno. – Ach, prawda, przecież ty mówisz po łacinie. „Jutro”? Co będzie jutro?

Ptak zeskoczył z parapetu na stół, kilka razy pomieszał piórami ogona w chaosie papierów, zrobił niewielką kupkę, a następnie udał się w stronę talerza, na którym leżały resztki chleba. Głośno stukając dziobem, czarnogranatowym jak atrament do wiecznego pióra, pochłonął je co do jednego i znowu spojrział na Onna, jakby chciał zapytać, czy to wszystko. Kiedy już się najadł do syta, przeskoczył z powrotem na parapet, rozpostarł skrzydła i zniknął – lecz następnego dnia pojawił się znowu, o tej samej godzinie.

W ten sposób zawiązało się coś w rodzaju przyjaźni. Nigdy wcześniej Onno nie miał do czynienia ze zwierzętami; nie pojawiały się w jego świecie myślowym, sam był zdania, że nie mają duszy, ale już po kilku dniach przytąpał się na tym, że ogarnia go niepokój, kiedy ptak się spóźniał. Chociaż od wyjazdu z Holandii nie nosił zegarka, dzięki kościelnym dzwonom wiedział, która godzina. Kiedy pewnego razu kruk nie przyleciał przez cały dzień, nie potrafił się skupić, smutno spoglądał na nietknięty talerz karmy dla ptaków i co dziesięć minut wychylał się przez okno, żeby sprawdzić niebo.

- Nie wolno tak postępować z ludźmi, Edgarze - powiedział następnego dnia z wyrzutem, grożąc mu palcem - nawet jeśli się jest ptakiem. Nie każe się gospodarzowi czekać z jedzeniem. Mam nadzieję, że to się już więcej nie powtórzy.

Jego czarny jak noc gość chodził, podskakując, po pokoju, po krzesłach, wśród śmieci pod łóżkiem, bezustannie skrzecząc i kracząc, i Onno odniósł wrażenie, że ptak zostaje tym dłużej, im więcej do niego mówi. Od tej chwili nabrał zwyczaju mówienia w jego obecności. Z początku nie najlepiej mu to wychodziło; poza paroma słowami w sklepie, restauracji czy w banku nic od czterech lat nie mówił. Ale mówienia się nie zapomina, tak samo jak jazdy na rowerze czy pływania, a kto jak kto, ale on na pewno prędzej zapomniałby jazdy na rowerze niż mówienia; pływać nigdy nie umiał.

- Zastanawiasz się oczywiście, Edgarze, co ja tutaj robię. Powiem ci. Przygotowuję list do swojego ojca. Tyle że to taki trochę dziwny list, ponieważ nawet jeśli uda mi się go przelać na papier, to i tak nie będę go mógł wysłać. Kafka też napisał list do ojca, Maks kiedyś mi go czytał, dawno temu, w odległych, niewinnych czasach, ale biedny Franz Josef k.u.k. nigdy nie odważył się wrzucić go do skrzynki. Ja mam problem poważniejszy, bo jakież może być adres człowieka niezującego? Może ty wiesz, jako ptak żałobny; niestety i tak nie mógłbyś mi tego powiedzieć. Właśnie dlatego jednak, że jest to bezsensowne, chcę ten list napisać. Wobec faktu, że koniec końców wszystko jest bezsensowne, całe życie i cały świat, zatem zgodnie z zasadą odwrotności tylko zrobienie czegoś bezsensownego ma jakiś sens. Pojmujesz? Skoro wszystko jest absurdem, to w obrębie tego absurdu wyłącznie absurd nie jest absurdem! Tak czy nie? Pewnie słyszałeś o Camusie? To był taki filozof absurdu, który stracił życie w absurdalnym wypadku samochodowym. Dla wielu ludzi był to dowód słuszności jego twierdzenia, że wszystko jest absurdem. No bo dla filozofa absurdu absurdalna śmierć to nader sensowny koniec! Spróbuj się nad tym głęboko zastanowić. Zresztą, wszystko jest jeszcze bardziej absurdalne, niż mu się zdawało. Teraz pewnie będziesz ciekaw, cóż ja takiego absurdalnego zamierzam powiedzieć ojcu. Chodzi o charakter władzy. Przez ostatnie lata przemyślałem parę kwestii i chciałbym usłyszeć jego niemożliwe do usłyszenia zdanie na ich temat. Sprawa jest dość ponura – odpowiednikiem łańciskiego słowa *sinister* jest tutaj właśnie słowo „ponury”, tak bowiem tłumaczyć trzeba używane w tym kontekście łańciskie słowo *sinister*, choć jego pierwotnym znaczeniem jest „lewicowy”, natomiast do polityki bardziej pasuje słowo „prawicowy”, co po łacinie dałoby słowo: *dexter*. Kolejna różnica wobec Kafki jest taka, że mnie moich rozważań nie udaje się uporządkować. Nie powstało żadne przyzwoite „jedno po drugim”, tylko wciąż jest chaotyczne „jedno przy drugim”. Kiedy dawniej pisałem artykuł albo przemówienie, czy to o charakterze naukowym, czy politycznym, zawsze moje myśli były niejako ponumerowane, tak że od razu znałem kolejność zdań. Utraciłem tę cenną zdolność. Teraz wydaje mi się, jakbym miał ułożyć puzzle wielkości mojego pokoju, a wszystkie elementy były jednakowo białe – chociaż nie, czarne, tak czarne jak ty, Edgarze. Popatrz, co tu leży. Tysiące notatek. Całkiem osobistych, na temat Koosa i Dorusa, i Barta Borka, ale też całkiem ogólne, na temat tego, skąd się bierze władza, i nie wiadomo czego jeszcze. Co dzień góra kartek staje się wyższa, ale czy myślisz, że w ten sposób chociaż odrobinę zbliżam się do celu? Z każdą notatką się od niego oddalam! Cała ta sprawa jest jak drzewo, które nieprzerwanie się rozgałęzia, wypuszcza nowe pędy i rozrasta się, podczas gdy ja próbuję odnaleźć sam pień i miejsce, w którym wychodzi on z ziemi. Ilekroć kiedy próbuję zacząć list, muszę najpierw przejrzeć wszystkie te zapiski, żeby się rozpedzić, ale ostatecznie nigdy

nie powstaje pierwsze zdanie, tylko nowe zapiski. Mnóstwo z nich jest już nieczytelnych – a to dlatego, że leżały na słońcu, albo dlatego, że wychlapałem na nie kawę czy colę, albo dlatego, że posklejały się dżemem, albo dlatego, że zrobiłeś na nie swoją żrącą kupkę, która jest tak biała, jak ty jesteś czarny. Nie mam ci tego za złe, spokojnie, nie musisz się wstydzić, tak to w naturze jest.

W kilka tygodni później sytuacja się odwróciła: Edgar już nie przylatywał raz dziennie z wizytą, tylko raz dziennie wylatywał z domu. Zmieniwszy się z gościa w komensala, sypiał przeważnie w kącie pokoju między ubraniami, które leżały na podłodze. Za pierwszym razem, kiedy oswojony ptak z łopotem skrzydeł usiadł mu na ramieniu, przytrzymując się dziobem jego ucha, Onno odruchowo chciał go zrzucić, bardzo się jednak cieszył, że tego nie zrobił, ponieważ drugiego razu już by wtedy nie było. Każdego dnia Edgar wysłuchiwał teraz fragmentów tekstu, raz takiego, to znów innego – i nagle Onno poczuł, że to czytanie na głos zaczyna go przybliżać do jakiejś struktury, dzięki czemu mógł rozpocząć segregowanie i układanie.

– Posłuchaj na przykład tego – powiedział, siedząc przy biurku w okularach do czytania na nosie. – To bardzo ważne. Może nawet od tego powinien się zacząć mój patriarchalny traktat. U góry tytuł: *Złoty Mur*.

„Pod Złotym Murem panuje nieskładny bałagan, kłębi się lud w gwałnym chaosie powszedniości, a to, że wszystko jeszcze jakoś działa, zawdzięczać należy światu za Złotym Murem. Niby nieruchome oko cyklonu mieści się tam w tajemniczej ciszy świat władzy, opanowany, budzący zaufanie, uporządkowany przejrzyście jak szachownica: czysty świat platońskich idei. Taki przynajmniej obraz jawi się tym niemającym dostępu do władzy pod Złotym Murem. Umacniają go ciemne garnitury, bezszelestne limuzyny, ochrona, protokół, perfekcyjna organizacja, aksamitny spokój w pałacach i gmachach ministerstw. Kto jednak choć raz naprawdę znalazł się za Złotym Murem, tak jak Ty czy ja, ten wie, że to tylko pozór i że przy podejmowaniu każdej decyzji panuje tam taki sam nieskładny bałagan jak przed nim, jak w domach zwyczajnych ludzi, na uniwersytetach, w szpitalach czy zakładach pracy. Nigdzie nie przekonałem się o tym dobitniej niż w Muzeum Starożytności w Kairze. Jako sekretarz stanu byłem tam kiedyś z wizytą i oprowadzał mnie mój egipski kolega. Oglądaliśmy skarby z grobu Tutenchamona, wszystkie te wspaniałości, które w nim umieszczono w dowód szacunku. Wisiało tam także kilka fotografii przedstawiających stan grobowca w momencie jego odkrycia. Wszystkie przedmioty poniewierały się wtedy w nieładzie na ziemi i bałagan ten nie był tylko dziełem rabusiów. Także drewniana skrzynia, w której znajdował się sarkofag, była sklecona byle jak z surowych desek, granitowa płyta sarkofagu była niedopasowana i pękła w połowie przy opuszczaniu. Ten sam widok przedstawiały nędzne ludzkie szczątki, jakie ukazały się spod nieopisanie pięknej złotej maski faraona. O tym, że za Złotym Murem panuje ta sama żałosna tandeta co przed nim, wiedzą wszyscy politycy, wielu urzędników i niektórzy dziennikarze, ale oczywiście nie wie o tym żaden z obywateli niemających dostępu do władzy. Jeśli ktoś odkryłby – co jest oczywiście wykluczone – jak naprawdę wygląda uprawianie polityki, ten już przez całe życie miałby dojmujące poczucie braku elementarnej pewności. To, że i za Złotym Murem wszystko jednak jakoś działa, jest zatem pewnego rodzaju cudem: wskazuje na istnienie jeszcze wyższej władzy. Dla Ciebie nie jest to żaden problem, dla Ciebie tą władzą jest Bóg. Lecz dla mnie nawet fakt funkcjonowania społeczeństwa nie stanowi dowodu na istnienie Boga. Jak to zatem możliwe, że ono funkcjonuje po dziś dzień? Nie uwierzysz pewnie, ale ja to wiem. Wynika to z samego faktu istnienia Złotego Muru. To on jest tą najwyższą władzą”.

Zaraz, zaraz, tutaj pasuje oczywiście ten cytat z Szekspira, rozpoczynający jeden z jego sonetów. Gdzie to jest? *From what power hast thou this powerful might?* Jemu chodzi tu wprawdzie o miłość, ale Złoty Mur też ma coś wspólnego z miłością. Popatrz, co tu mamy: „Z czego składa się Złoty Mur? Niemający dostępu do władzy myślą, że zbudowany jest z przemienionego w kamień majestatu władców, którzy w pewnych przypadkach sami są przedmiotem uwielbienia: Wyzwoliciel, Król, Wódz. W rzeczywistości jednak Złoty Mur nie jest wytworem władców, tylko właśnie tych, którzy nie mają dostępu do władzy: jest krystalizacją ich własnego uwielbienia, szacunku i lęku. Ponieważ jednak pozbawieni władzy darzą uwielbieniem tylko własne uwielbienie, odczuwają szacunek dla własnego szacunku i lękają się własnego lęku, cóż zostaje dla władców? Kim są oni? Jeśliby ktoś kiedyś przedarł się na drugą stronę Złotego Muru, co zobaczy? Nic szczególnego. Działania zwyczajnych ludzi, nie bardziej interesujące i nieróżniące się charakterem od działań tych niemających dostępu do władzy. Nie sprawują oni władzy w jakiś specjalnie «władczy», ostateczny i nieomylnie matematyczny sposób, jak sobie myślą ci niemający dostępu do władzy, lecz tak samo po bałaganiarsku i nieskładnie, jak załatwia sprawy każdy z tychże właśnie niemających dostępu do władzy. Dorus i Frans sformowali gabinet w czasie posiłku, Churchill i Stalin podzielili Bałkany przy drinku. A jednak... muszą jednak mieć jakieś tajemnicze «coś», które wyczuwają niemający dostępu do władzy, bo przecież inaczej każdy z łaknących władzy usiłowałby przebić ten mur głową”. To oznacza, Edgarze, iż *powerful might* Szekspirowskiej Dark Lady w pewnym sensie nie było jej immanentną cechą, ponieważ nie na wszystkich mężczyzn działało. Jej odpowiedź na pytanie, skąd to ma, powinna zatem brzmieć: *From you yourself, Billy*. To on przekazał jej władzę nad sobą samym... jakkolwiek... Tak, muszę tu powtórzyć: jakkolwiek... a przecież... Na czym polega to „coś”? Na pewno nie na inteligencji, bo zawsze i wszędzie zdarzało się, że do władzy dochodziły nawet niewyobrażalne tępaki, a jest mnóstwo superinteligentnych osób, które nigdy nie dojdą do władzy, nawet gdyby mimo swojej inteligencji jej zapragnęły. Tym „czymś” nie jest też na pewno „wola mocy”, ponieważ istnieje niezliczona rzesza ludzi, którzy tego chcą, a nigdy im się to nie uda, podobnie jak zdarza się dojść do władzy osobom, które nigdy tego nie chciały, ale ku swojemu niebotycznemu zdumieniu zostały do niej popchnięte. A więc instynkt polityczny, powiesz pewnie, ale jest wielu ludzi z politycznym instynktem, którzy nigdy nie dojdą wyżej niż do stanowiska kierownika wydziału w byle jakiej gminie. Czyżby więc „charyzma”? To tylko zwykłe greckie słowo oznaczające „dar”, „łaskę”; ono nie stanowi odpowiedzi na pytanie, tylko jest raczej tego pytania postawieniem. Nie, tu wchodzi w grę coś, o czym nikt nie wie, poza mną. Ale najpierw to wszystko zapiszę, zanim zapomnę:

„Całe społeczeństwo jest oczywiście przesiąknięte jak gąbka wszelkimi możliwymi formami władzy: między kobietą i mężczyzną, w placówkach edukacyjnych, w zakładach pracy, w odniesieniu do zwierząt, nigdzie nie obywa się bez władzy – ale czym jest wobec tego władza p o l i t y c z n a ? Otóż władza polityczna polega na tym, że ktoś może powodować dziejąc się rzeczy, o których nie ma najmniejszego pojęcia; że znajduje się na takim stanowisku, z którego decyduje o losie ludzi mu nieznanych. Czasem nawet w sprawach życia i śmierci, i nierzadko jeszcze po swojej własnej śmierci. Ci, którzy nie posiadają władzy, widzą władcę, ale on ich już nie. Dotyczy to nie tylko Cezara, Napoleona, Hitlera czy Stalina, ale także naszych własnych dzielnych holenderskich decydentów, Koosa i Dorusa, i Ciebie oczywiście też, a kiedyś także w niewielkim stopniu i mnie samego”.

Nie mam pojęcia, jak to jest u kruków, w każdym razie tak właśnie jest wśród ludzi. Władza polityczna jest abstrakcją, która staje się konkretem dopiero poza polem widzenia władcy. Czym jednak jest w końcu to „coś”, dzięki któremu to właśnie ci, a nie inni są przy władzy? Co Dorus ma wspólnego z Hitlerem? Albo Koos ze Stalinem? Zdradzę ci coś, co cię zdziwi. W czasach kiedy sam miałem władzę, jadłem kiedyś kolację w Pałacu Elizejskim. Naprzeciwko siedział pewien francuski profesor socjologii. Po toaście Mitterranda opowiedział mi, jak to w czasie kampanii wyborczej kilku jego studentów powiesiło plakaty z portretami Giscarda i Mitterranda w jakiejś zapadłej wiosce w Tajlandii. Jej mieszkańcy nigdy w życiu o nich nie słyszeli, żaden z nich nie mógł też przeczytać informacji umieszczonych na plakatach. W dniu wyborów studenci kazali im głosować, no i jak ci się zdaje, kto wygrał? Wynik dokładnie pokrywał się z tym, jaki uzyskano we Francji. Obaj się z tego śmialiśmy, profesor uważał to za niezły dowcip, i nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek potrafił sobie uświadomić, do jakich to prowadzi przerażających wniosków; mnie jednak przypominała się ta anegdota, kiedy już odkryłem, jak to jest z tą władzą. Posłuchaj teraz:

„Jako chłopiec utożsamiałem władzę z faktem posiadania. Moje książki były moje, ale w większym stopniu były Twoje, a w jeszcze większym burmistrza; następnie wszystko po raz drugi było Twoje, jako premiera, na koniec jednak wszystko w Holandii było królowej. Jako kierownik wydziału myślałem, że władza polityczna jest wyłącznie władzą słowa. Kto ma najlepsze pomysły i najlepiej potrafi je wyrazić, ten ma największą władzę. Teraz wiem, że dopiero na trzecim miejscu chodzi o idee i słowa, a na drugim miejscu o tego, kto je wypowiada, o osobę. Nawet to większość ludzi uważa za straszliwie niedemokratyczne, tymczasem sprawa ma się znacznie gorzej. Otóż władza jest władzą ciała. Władza jest zjawiskiem czysto cielesnym. Nikt nie zdobywa władzy przez to, co mówi, jego program polityczny jest sprawą uboczną, podobnie jak to, kim jest on sam; równie dobrze z tym samym programem może przyjść ktoś inny i nie ma to żadnego znaczenia. Dany ktoś zdobywa władzę tylko i wyłącznie dlatego, że ma cielesną konstytucję kogoś, kto zdobywa władzę. Gdyby mówił co innego, coś diametralnie odmiennego na przykład, w jakiejś innej partii czy innym ruchu, także zdobyłby władzę. Ty zawsze zdobyłbyś władzę, Ojczy, nawet u katolików i komunistów. Władcą jest ktoś, kto zdobywa władzę wskutek tego, że jego fizyczność zawiera w sobie pewną tajemnicę, która każe innym mówić: «O, tak, to nasz pan. Albo nasza pani, oczywiście». Tym «czymś» jest tylko i wyłącznie ciało”.

Chodzi mi o to, że polityka to nie ekonomia, jak myślał Marks, czy teologia, jak myślał mój ojciec, albo socjologia, jak myślą z kolei jeszcze inni, lecz tylko i wyłącznie biologia. Jest to naukowo dowiedzione na tym przykładzie z tajlandzkiej wioski. Oczywiście nie czytam już żadnych gazet, Edgarze, nie mam najmniejszego pojęcia, co się dzieje na świecie, nie mam telewizora, nie mam radia, nie mam nawet telefonu – ale kiedy przechodząc obok kiosku z gazetami, widzę zdjęcie Margaret Thatcher, która chyba nadal ma coś do powiedzenia w Wielkiej Brytanii, to od razu wiem: oto kuta na cztery nogi erotyka. Burżuazyjna Kleopatra. Oczywiście, że jest inteligentna i przebojowa, i co tam jeszcze chcesz, ale takie potrafią być też inne Brytyjki, które nigdy w życiu nie zajdą wyżej niż do stanowiska menedżerki ekspedientek u „Harrodsa”. Jak to się dzieje? Weź takiego Hitlera.

Freud pokazał, że na chorobę nie należy patrzeć z perspektywy zdrowia, tylko na zdrowie z perspektywy choroby. Absolutnej władzy Hitlera nie można próbować pojąć z perspektywy normalnych niejako struktur władzy, ponieważ to nigdy się nie uda. Można tylko spróbować czegoś odwrotnego: wychodząc od Hitlera, można objaśnić Margaret i Dorusa, natomiast nie objaśni się Hitlera, wychodząc od nich. Założmy, że nie było Hitlera, tylko ktoś inny od chwili narodzin w Braunau mówił i robił dokładnie to samo co on – a byli tacy ludzie – myślisz, że wszystko przebiegałoby aż do samego żalostnego końca tak, jak przebiegało w rzeczywistości? Oczywiście, że nie! Jak długo ten inny by pociągnął? Pewnie najpóźniej z początkiem lat dwudziestych Röhm czy Strasser wrzasnęliby na niego: „Stul wreszcie ten swój rozdarty pysk!” Ale on nie był kimś innym, on był tym właśnie ciemnowłosym człowiekiem o zawziętej twarzy i „bazyliżkowym spojrzeniu”, jak określił to kiedyś Tomasz Mann, z bladym czołem, fanatycznymi kośćmi policzkowymi, napiętą skórą policzków i zaciśniętymi wargami. Ten wygląd wystarczył za trzydzieści trzy procent jego oddziaływania i do dzisiaj wszyscy neonaziści są w nim zakochani. Nawet Salvador Dali powiedział kiedyś: „Kocham jego plecy”. Można to oczywiście zbyć jako surrealistyczną uwagę hiszpańskiego wariata, ale jednocześnie wskazuje to przecież na świadomość wszechwarunkującej cielesności. A co powiesz na zdanie Heideggera adresowane do Jaspersa, kiedy ten zapytał, jak to możliwe, by taki niecywilizowany osobnik jak Hitler mógł rządzić Niemcami; Heidegger rzekł wtedy: „Ucywilizowanie nie ma tu nic do rzeczy... popatrz, jakie ma piękne dłonie”. Ponadto dysponował przenikającym do szpiku kości głosem, który sprawiał, że wszystko, co mówił, stawało się czymś innym, niż gdyby to samo powiedział ktoś inny. Oratorskie oddziaływanie jego słów na masy zupełnie spokojnie można w trzydziestu trzech procentach zapisać na konto tego głosu. W jakiejś książce widziałem kiedyś zdjęcie rentgenowskie jego czaszki, ze wskazaniem, by zwrócić uwagę na wyjątkowo pojemne zatoki czołowe, dające nadzwyczajny rezonans. A kolejne trzydzieści trzy procent władzy należy przypisać jego nie zrównanej motoryce. Z jednej strony budzące przerażenie wybuchy wściekłości na mównicy, a z drugiej może jeszcze bardziej przerażające milczenie: jego przypominająca maskę twarz, precyzja ułożenia ciała, naPiecie w najdrobniejszym nawet ruchu. Sposób, w jaki w czasie defilady wyciągał ramię w geście pozdrowienia, to leciutkie wygięcie nadgarstka, ułożenie kciuka, sposób, w jaki jego ręka wracała do pasa – wszystko to razem miało magiczną moc. Wszystko oczywiście wystudiowane przed lustrem; pokazują to fotografie. Niektórzy dyrygenci mają to samo, absolutne opanowanie ciała, jak u kolibra, który lecąc, stoi w powietrzu i nieruchomo trzyma dzióbek przytknięty do słupka kwiatu. „Kwiatu zła” w tym wypadku. Chyba nie czujesz się dotknięty, że posłużyłem się przykładem takiego małego ptaszka? O, tutaj mam coś, co się z

tym łączy: „Totalna dyscyplina fizyczna Hitlera sprawiła, że zdołał znaleźć posłuch dla równie totalnego bezładu swoich myśli. Ta dyscyplina fizyczna znalazła kontynuację w monstualnych paradach i przemarszach, które zawsze sam inscenizował i które nie były niczym innym, jak tylko reprodukcją zachowań jego ciała. Właściwie Hitler był artystą ruchu, tancerzem, baletmistrem śmierci. Choreografia wielkich faszystowskich Tańców Śmierci wywodziła się nie tyle z pruskiego militarizmu, ile raczej z ekspresjonizmu, z teatru Piscatora, z baletu Mary Wigman, nauczycielki Leni Riefenstahl, która uwieczniła fascynującą grozę norymberskich zjazdów partii w swoim równie fascynującym i wiejącym grozą filmie *Triumf woli*. Było to małżeństwo klasycyzmu z ekspresjonizmem, Apolla z Dionizosem: u r z e c z y w i s t n i o n a t r a g e d i a w nietzscheańskim sensie. Od kiedy istnieje ludzkość, nigdy wcześniej piękno formy nie zostało tak nadużyte i postawione w służbie zła. Sam Hitler był prawdziwym «twórcą zwyrodniałym». A oddziaływanie tych wszystkich kreacji nie było w ostatecznym rozrachunku estetyczne, lecz erotyczne, podobnie jak siła oddziaływania Hitlera”. To, co miał do powiedzenia, jego polityczne zamiary, element skandalu, wszystko to stanowiło nie więcej niż te pozostałe ułamki procenta jego władzy. Lecz fakt, że w ogóle miało miejsce to, co potem nastąpiło, że zrobili to ludzie, którzy sami w sobie nie byli wcale źli, że zginęło sześć milionów Żydów i pięćdziesiąt milionów innych ludzi, w tym osiem milionów tych, którzy wznosili okrzyki na cześć Hitlera i defilowali przed nim, wszystko to wynikało z tych dziewięćdziesięciu dziewięciu procent fizyczności. To właśnie było owo nieprawdopodobne „coś”, jakim dysponował; jego unikatowe ciało, które sprawiło, że jego władza stała się absolutna. Dlatego też nie może go odgrywać żaden aktor; nawet jeśli w filmie widać niby tylko jego plecy, to i tak nic się nie zgadza. Może to najlepszy dowód, że mam rację. Ale za swoim Złotym Murem także i ten posłaniec Opatrzności siedział jak każdy inny w fotelu w kwiatki przy ciasteczku i kawie, i całe wieczory do późna w noc spędzał na pustej gadaninie – znamy to z pamiętników jego architekta, Alberta Speera. A ten wiedział, co mówi, ponieważ wszyscy byli zakochani w Hitlerze, natomiast Hitler był zakochany w Speerze – może nawet bardziej niż w Ewie Braun. Naród niemiecki myślał, że ten n a d c z ł o w i e k o triumfującej woli nic tylko bez przerwy ciężko haruje dla dobra swojego kraju, tymczasem on w zasadzie nic nie robił, przespisał dzień do południa i ku rozpaczy swoich ministrów i generałów bez końca zwlekał z podjęciem jakiegokolwiek decyzji. No ale jednak! Speer opowiada, że w drugiej połowie lat trzydziestych ten swoisty cygan i artysta stawał się coraz bardziej ponury; w czasie przyjęć w jego alpejskiej siedzibie coraz częściej odłączał się od towarzystwa i stawał w kącie tarasu, wpatrując się w górskie szczyty; Speer w związku z tym pomyślał: żeby tylko nie było z tego wojny! Wyobraź sobie! Jakiś jeden człowiek staje się coraz bardziej ponury i to może oznaczać wojnę! No i na

domiar złego wojna rzeczywiście wybuchła. Na Boga, jak to w ogóle możliwe? Przez jego ciało, Edgare, wyłącznie przez jego przypadkowo takie, a nie inne ciało. To zjawisko naturalne. Wszyscy władcy są zjawiskami naturalnymi i w tym właśnie sensie „nadludźmi” – lecz owo „nad” tkwi nie tylko w ich gestach, ale też w ich ciele. Nie ma to nic wspólnego z urodą, można być niewyrośniętym człowieczkiem z brzuszkiem, jak Napoleon, albo na wpół inwalidą, jak Kennedy, albo mieć twarz jak Dorus; ale na pewno niezbędną jest ta trudna do zdefiniowania cielesność, wszyscy oni ją mają w mniejszym lub większym stopniu: Stalin w większym niż Trocki, Reagan w większym niż Carter, można wymieniać je wszystkie, ze wszystkich krajów i epok, te Dark Ladies władzy. Człowiek pragnie ich dotknąć, poczuć ich ciało. Czy to nie straszne? Zupełnie jak z przywódcami sekt i tymi, którzy zwodzą innych. A jeszcze straszniejsze jest to, że inaczej być nie może i że musi być właśnie tak. A to dlatego, że... ale lepiej posłuchaj:

„Panowanie jest nieodzowne, ponieważ stanowi samo jądro życia. W każdej najdrobniejszej komórce sprawowana jest władza: przez cząsteczki DNA w jej jądrze. To w nich znajduje się materiał genetyczny, który dyktuje warunki. Od momentu pojawienia się pierwszej żywej komórki, poprzez wspólnoty zwierząt, aż po dzisiejsze państwa władza zachowała swój cielesny charakter, ponieważ tylko w ten sposób jest możliwa: warunkiem cielesności jest władza i warunkiem władzy jest cielesność. Dlatego już od dawna władza jest dziedziczna. Pierwszy El Capitano danej dynastii sam miał fizyczną prezencję kogoś takiego jak Hitler, Stalin, Mussolini, Churchill, Fidel Castro czy Napoleon; potem wystarczyło być tylko ciałem z jego ciała. (Naszej rodziny także to dotyczy.) W Holandii we wszystkich gabinetach ministrów i burmistrzów oraz salach sądowych wisi portret królowej, ale i Ty, i ja wiemy, czyj portret wisi w gabinecie królowej: Wilhelma Orańskiego. Zresztą ci najpierwsi w wielu językach świata nawet nazywają się «urodzonymi» przywódcami. Przez całe wieki wojny były wojnami dynastycznymi, podobnie jak w mafii, przy czym chodziło w nich o interesy rodzin książęcych, a więc o cielesność – dokładnie tak samo wojny republikańskie też miały początek w cielesności nowych władców. Tam gdzie zniknęły rodziny książęce, tam ciągłość podtrzymuje już tylko warstwa urzędnicza, wywodząca się z dworu, i ciągłość ta trwa od czasów Babilonu i starożytnego Egiptu. Urzędnicy są wieczni, żyją dłużej od faraonów, królów i prezydentów, lecz bez przywódcy się nie da; urzędnicy bez przywódcy to jak szaty bez cesarza. Na tym właśnie może się jeszcze kiedyś wywrócić zjednoczona Europa. Ważniejszy od sprawności przywódcy jest fakt, że on w ogóle jest. Z niesprawnym przywódcą wszystko idzie źle, ale bez przywódcy wszystko pogrąża się w abstrakcyjnej samowoli, z której nieodwołalnie musi się wyłonić nowy przywódca, ponieważ – na przekór optymizmowi anarchistów – taka właśnie jest fundamentalna zasada DNA”.

Oczywiście obejmuje ona nie tylko życie, ale wszystko, co istnieje. Pierwszą żywą komórkę poprzedza atom, który także ma jądro, z lewarkami i siłami atomowymi. Układ Słoneczny też ma swoje jądro: wysyłające promienie światła Słońce ze swoją siłą grawitacji sprawuje władzę nad głupimi planetami. Jak widzisz, nie ma się do czego przyczepić, Edgarze. Myślę sobie, że skoro tak to właśnie jest zarówno w przypadku materii nieożywionej, jak i ożywionej, a więc, krótko mówiąc, ze wszystkim, to czy nie powinniśmy uważać Wielkiego Wybuchu za „jądro” wszechświata? Rozmawiałem o tym kiedyś z Makssem. No i znowu mówię o Maksie – innym razem ci opowiem, kto to taki. To też taki jeden, który zwodzi innych. A teraz posłuchaj tego:

„Wszędzie panuje zasada wodzostwa: musi istnieć władza, także w społeczeństwach demokratycznych, a władza może być tylko i wyłącznie cielesna. W religii jest to znane od dawna, a pierwszym, który to sformułował, był święty Jan: «A słowo stało się ciałem»”.

Wiesz, co powiedział Jezus? „Bierzcie i jedzcie, to jest Ciało moje”. *Hoc est enim corpus meum*. Kiedy je spożyjecie, spożyjecie Boga i będziecie zbawieni: to superwodzostwo idzie o wielki krok dalej niż wodzostwo Hitlera, ale zasada jest taka sama. Przypomnij sobie święte relikwie, czczone przez wiernych. Zepsuty ząb świętego Piotra w złotej szkatule! Paznokiec z palca u nogi świętego Pawła! Ciało, ciało, ciało! Lecz władza może zostać władzą tylko z łaski Złotego Muru. Aby umocnić swoją władzę, ziemski namiestnik nagiego Chrystusa musiał w końcu wycofać się jako papież w bogatych szatach za Złoty Mur Watykanu. I tu zaczyna się problem. Po raz pierwszy w dziejach ludzkości Złoty Mur grozi zawaleniem. Kiedyś, u zarania dziejów, został wzniesiony przez niemających dostępu do władzy – z budulca ich własnego uwielbienia, szacunku i lęku, ale teraz zaczęły się na nim pokazywać budzące przerażenie pęknięcia, jak w murach średniowiecznego zamczyska, przez które to pęknięcia każdy może sobie zajrzeć do środka.

„Za swoich czasów byłeś jeszcze «Jego Ekscelemcją Panem Premierem Prof. Dr H.J.A. Quistem», teraz jesteś dla wszystkich «Henkiem» – którym nawet dla nas nigdy nie byłeś, tylko dla matki”.

Ponieważ ludzie niemający dostępu do władzy widzą, że w komnatach zamczyńska panuje taki sam bałagan jak wszędzie, w szybkim tempie tracą uwielbienie dla swego własnego uwielbienia, szacunek dla swojego własnego szacunku i lęk przed swoim własnym lękiem, wskutek czego dochodzi przy okazji do podkopania władzy tych mających władzę, a siła ich cielesności popada w śmieszność. Przez to z kolei w ludziach niemających dostępu do władzy puszczają wszystkie wbudowane zabezpieczenia. A co nas to w ogóle wszystko razem obchodzi? Czemu nie mielibyśmy zdemolować tamtej budki telefonicznej? No właśnie, czemu nie? Furda tam. Gdzieś widać policję? Nie, nigdzie. Nawet w nas samych. No to rozwalmy ją. Będzie zabawnie. Czemu nas to bawi? A, tak sobie. Skąd się to nagle wzięło, po tych eonach czasu? Może ma to coś wspólnego z techniką, nie mam pojęcia; w każdym razie właśnie technika to jest to, co nagle rozwinęło się w zupełnie ekspresowym tempie. Nie do końca rozumiem ten związek i trochę zbija mnie z tropu fakt, że telefon także zalicza się do techniki – ale jeśli tak jest, to przyszłość rysuje się dość ponuro. Jak tak dalej pójdzie, umowa społeczna rozsypie się w proch i całe to współistnienie stopniowo ulegnie dezintegracji, wszystko utonie w pozbawionej jądra anarchii, co jest sprzeczne z „jądrowym” fundamentem istnienia. Poza tym na Zachodzie nikt już oczywiście nie wierzy w wymierzającego karę Boga, a i na Wschodzie niedługo to już potrwa; za dwadzieścia pięć lat i tam nikt już nie będzie wierzył w Allaha, kiedy tylko każdy dostanie lodówkę i samochód. Jak tu w tej sytuacji zapobiec inwazji faszystowskich tyranów, którzy zagnieżdżą się w opustoszałych jądrach jak chorobotwórcze wirusy? Odpowiedź zapisałem tutaj, Edgarze. Aż się boję przeczytać to na głos, i nawet się cieszę, że mój ojciec nigdy nie zobaczy tego na oczy.

„Kiedy byłem chłopcem – w czasach, które były jeszcze Twoimi czasami – zdarzyło się raz w parku, że moja piłka potoczyła się na trawnik. Ponieważ nie wolno było deptać trawników, czekałem dobre pięć minut, żeby przez chwilę nikogo nie było w zasięgu wzroku; dopiero wtedy odważyłem się z bijącym sercem przekroczyć niziutki płótek, zrobić kilka kroków po trawie i jak umiałem najszybciej, pognać z powrotem. Ten opór, to bicie serca – w tym właśnie rzecz. Czy czułem się pozbawiony wolności? W najmniejszym stopniu. Po prostu nie depte się trawników, i już. W tej chwili też nie czuję się pozbawiony wolności, dlatego że nie wolno mi zabić drugiego człowieka. Po prostu tego się nie robi, i już. Co zrobić, żeby kiedyś nie było tak, że każdy będzie zdolny uśmiercić każdego i nawet nie zabije mu mocniej serce? Co zrobić, żeby serca znowu zaczęły ludziom mocniej bić? Można to osiągnąć tylko i wyłącznie przez forsowanie szacunku. Mówię wyraźnie: «szacunku» – nie lęku biorącego się z jakiegoś dyktatorskiego reżimu, lecz szacunku dla samego szacunku: nowego Złotego Muru dla Złotego Muru. Jest to możliwe wyłącznie pod autorytarną władzą oświeconego despoty – z akcentem na słowie «oświecony». Kogoś, o kim wszyscy wiedzą, że sprawy współobywateli są dla niego najważniejsze, a więc kogoś, kto w tym sensie jest zarazem skończonym demokratą. Krótko mówiąc, kogoś takiego jak Perykles. Jak to jednak zinstytucjonalizować? Jak wiedzieć z góry, że dany despota rzeczywiście będzie oświecony? Już Platon borykał się z tym problemem, ale za jakieś dwadzieścia pięć lat będzie pewnie można takiego kogoś wyselekcjonować w drodze analizy DNA – analogicznie do sposobu, w jaki w Tybecie szuka się po wsiach nowego dalajlamy wśród noworodków. Pytanie tylko: jak bez większych nieszczęść przetrwać te najbliższe dwadzieścia pięć lat? Przeczuję jakieś nieprzewidywalne zmiany, po których przyjdą straszliwe katastrofy. Ta demokratyczna instytucja nie będzie zresztą musiała trwać specjalnie długo, może nawet tylko jedno stulecie; na bazie Dziesięciorga Przykazań za pomocą manipulacji genetycznych każdego przemieni się w tym czasie w przyzwoitego człowieka, rządzić zaś będzie sieć komputerów z mongoloidalnym człowiekiem albo głazem w roli *dominus mundi*. Kiedyś król panował z Bożej łaski, teraz ucieleśnieniem najwyższej boskiej wszechmocy zostanie technika. Wtedy nikt już nie będzie demolował budek telefonicznych i nikt nie będzie deptał trawników, nawet jeśli wpadnie tam jego piłka. Pewnie zresztą nikt już wtedy nie będzie grał w piłkę”.

Czy to nie przerażające? Jak to dobrze, że mój syn nigdy nie zobaczy tego na własne oczy. Tak, Edgarze, miałem też syna. Nazywał się Quinten. Szkoda, że nigdy się z nim nie spotkasz, jeszcze kiedyś ci o nim opowiem. Ale najpierw list. Wprawdzie nie wszystko jest jeszcze do końca jasne, ale może na początek zacznę po prostu: „Szanowny Ojcze!”

Edgar wskoczył mu na ramię trzepocząc skrzydłami.

– *Cras! Cras!*

52

Podróż włoska

Kiedy 11 maja 1985 roku papież Jan Paweł II po raz pierwszy leciał do Holandii, pod nim, po ziemi, jechał na południe pociąg wiozący Quintena. A potem także pod ziemią, przez tunele w Alpach, za którymi nagle rozpostarły się Włochy: błękitne, zielone i opadające w dół, zupełnie jak w Groot Rechteren, kiedy wychodził z wilgotnych piwnic ku ciepłemu słońcu na placu przed zamkiem. Sophia odprowadziła go na dworzec, przytuliła ze skamieniałą twarzą, ale zaraz po pożegnaniu zniknęła z jego myśli; po drodze nie czytał, nie spał, tylko nieprzerwanie wyglądał przez okno, patrząc na te niezliczone wioski w Niemczech i Szwajcarii, w których mógł być jego ojciec. Kiedy jednak w Mediolanie szedł w poszukiwaniu swojego pociągu przez tłum wypełniający perony, i to zniknęło, stopniowo ustąpiło miejsca wszechogarniającemu poczuciu wolności, które przybrało rozmiary szczęścia, kiedy w Mestre pociąg wjechał nasympem w morze i Quinten ujrzał w oddali rozciągającą się na wodzie Wenecję – mglistą błękitną uludę, jakby na horyzoncie ktoś lekko uchylił nieba, umożliwiając spojrzenie przez szparę na zupełnie inny świat. Czy to fatamorgana? A może tam znajduje się Zamczysko?

Wyszedłszy z dworca z szaroniebieskim nylonowym plecakiem, przystanął na chwilę. Na szerokich stopniach schodów i na samym placu siedziały w słońcu setki młodych ludzi, po drugiej stronie stał biały kościół, a między nimi ciągnął się Canale Grande, którego wody wyglądały zupełnie jak zamieszane wielkim, niewidzialnym, białym ptasim piórem: wszystko było na nich w ruchu, jakby samo światło falowało, marszczyło się i błyszczało w słońcu, gondole, vaporetta, wodne taksówki, wszędzie kołysanie i pokrzykiwania, wszystko przelewa się pieniście jak załamujące się fale przypląwu. Jednocześnie odniósł wrażenie, że kiedy tak stał, jakby więcej oczu było w niego wlepionych, niż działa się to w kraju. Poszedł do najzwyklejszego hotelu w pobliżu, w leżącej nieco na uboczu dzielnicy Cannaregio, gdzie trafiało niewielu turystów. Na łuku bramy wejściowej widniały hebrajskie litery, większość już nieczytelna. Jego okno wychodziło na małe wewnętrzne podwórko z kominami wywietrzników i odpadającym ze ścian tynkiem, łóżko zajmowało niemal cały pokój, a prysznic był na korytarzu, ale on nie potrzebował więcej przestrzeni: od tego miał miasto.

Po kilku dniach Holandia stała się tak daleka, jakby nigdy w niej nie był. Ciało jego matki w białym łóżku, pusty grób Maksa, jego zaginiony ojciec, wszystko to było już jakby nie jego życie. Nie musiał się nikim przejmować, przez cały dzień prowadził rozmowy z przedmiotami, od rana do nocy łąził płataniną kładek, kanałów, mostków, ciemnych bram, opustoszałych placów, tu zjadł porcję tortellini, tam talerz spaghetti, wchodził do kościołów i muzeów, od czasu do czasu pozwalał sobie się zgubić. Kiedy już za długo to trwało, rzucał krótkie spojrzenie na mały kompas zawieszony na szyi, mając w głowie plan Wenecji: dwie luźno włożone jedna w drugą dłonie, rozdzielone wodami Canale Grande. Labiryntowość tego miasta przypominała mu czasem o jego śnie, podobnie jak brak drzew, krzewów i samochodowych kół. Za Piazza San Marco odkrył kościół, San Moisè, którego czarna fasada od góry do dołu pokryta była barokową egzumą rzeźb i ornamentów; kiedy podszedł bardzo blisko i odchylił głowę do tyłu, wydało mu się, że dostrzega kawałek Zamczyska. Ołtarz główny był gigantyczną rzeźbą: *Święty Mojżesz otrzymuje na górze Synaj Tablice Praw*.

Generalnie jednak Wenecja była raczej przeciwieństwem jego Zamczyska, w którym nikt poza nim jeszcze nie był. Nie tylko ze względu na tłumy ludzi, przemieszczające się wciąż tymi samymi mrówczymi ścieżkami, których wkrótce nauczył się unikać, ale przede wszystkim dlatego, że Wenecja nie była wnętrzem bez zewnątrz, tylko raczej zewnątrz jako wnętrzem. Za każdym razem, kiedy wychodził z tego labiryntu przez jakąś bramę albo wąską uliczkę na plac Świętego Marka, było to dla niego jak uderzenie obuchem. Ta ogromna, wyłożona marmurem odświętna sala z niebem w charakterze plafonu, namalowanego przez Tiepola prawdziwym błękitem i ozdobionego pierzastymi obłoczkami! Wszystko takie leciutkie i zwiewne, czy to bizantyjskie, czy gotyckie, czy renesansowe, filigranowe arabeski Bazyliki, cztery konie ciągnące ją przez stulecia, różowy, jakby dopiero wczoraj skończony Pałac Dożów z jego galerią z kluczy, których bródkami są balustrady, trzpieniami kolumny, a ich ażurowe na gotycką modłę uszka zdają się dźwigać właściwy ciężar budowli – że też coś takiego w ogóle istnieje! A przy końcu Piazzetty, jakby brama na zewnątrz, na wielki, szeroki świat, stały dwie ogromne kolumny z czerwonego i białego granitu, z których jedna miała na kapitelu skrzydlatego lwa, a druga postać świętego stojącego na grzbiecie krokodyla; między nimi miejsce, gdzie przez wieki wykonywano karę śmierci. Nawet przestępcom pozwalano tutaj umierać w otoczeniu piękna: ostatnie, co mieli przed oczami, to migotliwe wody laguny i kościół na małej wysepce po drugiej stronie: San Giorgio Maggiore, dzieło Palladia.

Nareszcie był tu, gdzie był, już nie w książkach pana van Themaata, tylko w słońcu i adriatyckiej bryzie. Główna fasada z białego marmuru złożona z dwóch wsuniętych jeden w drugi świątynnych frontonów, harmonijna jak fuga; za nimi prosta nawa z czerwonej cegły, z szarą kopułą w punkcie skrzyżowania nawy głównej z poprzeczną. Oczywiście wsiadł do vaporetta, żeby obejrzeć wszystko z bliska i od środka, przy okazji przepływając obok miejsca, gdzie przez całe wieki każdy doża co roku wrzucał do wody pierścien, aby przypieczętować swoje zaślubiny z morzem. Dlaczego Wenecja tak go zafascynowała, skoro miasto niewiele miało wspólnego z Zamczyskiem? Jeśli się dobrze przyjrzeć, to również surowe symetrie Palladia zupełnie tutaj nie pasowały, ponieważ w Wenecji wszystko było po prostu niesymetryczne. Piazza nie była prostokątem, tylko trapezem, bazylika nie stała w osi, okna Pałacu Dożów nie miały zwierciadlanej symetrii. Czyżby trafił na ślad jakiejś zasady? Czy to możliwe, że piękno jest obliczalne geometrycznie i muzycznie, natomiast skończoność od tego odbiega? Na tej samej zasadzie, na jakiej linia prosta narysowana według linijki zawsze będzie w mniejszym stopniu linią prostą, niż kiedy bez linijki narysuje ją Picasso? Czyżby istniała różnica między linią martwą a linią żywą? Czy powinien studiować historię sztuki? Ale nie można iść na studia bez matury; poza tym zupełnie nie interesował się sztuką dla samej sztuki, tylko dla tego, co kryło się za nią.

W dzień Wniebowstąpienia Pańskiego zrobił sobie wycieczkę na stały ląd, do Vicenzy. W grupie angielskich przeważnie turystów obejrzał Teatro Olimpico z jego bajkowym wnętrzem bez zewnątrz oraz wszystkie inne kościoły i pałace, które tak dobrze znał z biblioteki w Groot Rechteren, z tomów na literę „P” jak „Palladio”, i które teraz nie były już obramowane milczącą bielą kartek, tylko stały obok innych budowli, na konkretnych ulicach, pełnych warkotu samochodów i skuterów, w mieście, gdzie na placach starsi panowie zatrzymywali się, dyskutując ze sobą gniewnie, by zaraz potem pójść dalej ręką w rękę, gdzie sprzedawczynie owoców głośno zachwalały swój towar, a młodzi chłopcy w pizzeriach z uśmiechem podrzucali w powietrze wirujące placki ciasta, żeby prawa natury w duchu Galileusza i Newtona mogły wykonać, co do nich należy. W drodze powrotnej autobus zatrzymał się jeszcze przy dwóch palladiańskich rezydencjach podmiejskich. Niedaleko Vicenzy najpierw Villa Rotonda: kamienna wizja na szczycie zielonego wzgórze, która poprzez swoją okrągłą centralną budowlę znowu wydawała się potomkinią rzymskiego Panteonu, tym razem jednak zaopatrzona w cztery portale wejściowe ze schodami i frontonami jak z greckiej świątyni, każdy zwrócony w inną stronę świata – zupełnie tak samo, jak to się dzieje w rodzinie, gdzie czasem pewne cechy powracają w dwójnasób albo nawet w czwórnasób.

Tam właśnie, wędrując po marmurowych płytach, między freskami *trompe-l'œil* kolumn i posągów bogów, wskutek czego wewnątrz wyglądało jak zewnątrz, po raz pierwszy zwrócił uwagę na ciemną blondynkę ze swojej grupy. Kiedy przyglądał się obrazowi przedstawiającemu Dianę polującą z odsłoniętą piersią w towarzystwie czarnego psa, poczuł nagle na sobie jej wzrok. W długiej białej sukni, z luźno upiętymi włosami i lekko pochyloną głową, co sprawiało, że jej uśmiech i spojrzenie wielkich brązowych oczu nabierały jeszcze większej zmysłowości, stała po przeciwległej stronie rotundy, pod rzeźbą przedstawiającą dumną postać Herkulesa. Czuł się nieswojo, rozpraszało to jego uwagę, próbował to więc zanegować; ale kiedy byli z powrotem w autobusie i usiadł na siedzeniu całkiem z przodu, nadal czuł, że bezustannie się w niego wpatruje. Mogła być o piętnaście, dwadzieścia lat od niego starsza, ale nawet gdyby było inaczej, to i tak nic by to nie zmieniło. Tego rodzaju sprawy dla niego nie istniały. Wiedział, że dla wielu chłopców i dziewcząt jest odwrotnie, nie istnieje dla nich nic poza tymi sprawami, i że one istniały przede wszystkim dla Maksa i być może też dla jego ojca; co do babci nie miał już takiej pewności, a o matce nawet nie odważył się myśleć w tym kontekście. Dla niego seksualizm liczył się równie mało co sport – przynajmniej na razie. To było w jego mniemaniu zajęcie dla ludzi, którzy chcą mieć potomstwo, a on nie odczuwał jeszcze takiej potrzeby. Na razie sam sobie wystarczał.

Po południu jechali z Padwy lokalną drogą wzdłuż Brenty, otoczeni nierzeczywistą, poetycką roślinnością, jaką potrafią stworzyć wokół siebie tylko rzeki, przez co w niezepsutych oczach jawią się jako coś świętego. Na zakończenie wycieczki zatrzymali się niedaleko jej ujścia, przy Villa Foscari, zwanej też Villa Malcontenta. Odczuwał już przesyt obcowania ze sztuką i chciał uniknąć spotkania z tą kobietą, rzucił więc tylko okiem na wewnątrz i zaraz poszedł nad rzekę, położyć się w trawie pod płaczącą wierzbą.

Nie spodziewał się, że za nim tam pójdzie. Nagle usiadła przed nim po turecku w sposób, który skojarzył mu się z pajacem na sznurku, którego kiedyś miał: kiedy pociągnąć za wiszący z dołu sznurek, ręce i nogi pajaca podskakują w górę. Siedziała tak blisko niego, że czuł jej zapach: przypominał mu woń jesiennych liści i raczej nie była to woń perfum. Wokół szyi i nadgarstków miała ze dwadzieścia złotych łańcuszków i bransoletek.

– Mówisz po angielsku? – spytała z uśmiechem w tym języku, ale z jakimś chyba niemieckim akcentem. Kiedy uniósł się i usiadł na trawie, a potem skinął głową, ona położyła dłoń z długimi, szczupłymi palcami i polakierowanymi na czerwono paznokciami wysoko na jego udzie, ledwie centymetr od jego genitaliów, pochyliła się do przodu i drugą ręką przesunęła mu po włosach z tyłu głowy. – Pewnie wiesz, jak bardzo ci do twarzy z tym białym kosmykiem?

Zanim zdążył ją odepchnąć, czego pewnie nawet nie odważyłby się zrobić, obie dłonie się cofnęły. Potem znowu wyciągnęła do niego prawą.

– Marlena – przedstawiła się. – Marlena Kirchlechner.

– Quinten Quist.

Uściskała jej dłoń i chciał ją puścić, ale go przytrzymała.

– Masz taką napiętą dłoń – powiedziała, patrząc mu w oczy. – Zupełnie jakbyś naprawdę nie chciał dotknąć mojej. Rozluźnij ją.

W tym samym momencie uświadomił sobie, że ma rację. Rozluźnił mięśnie i wtedy poczuł nagle ciepło jej dłoni w swojej, co ku jego przerażeniu przeniknęło ciepłem nie tylko jego dłoń, ale całe ciało. Widocznie zobaczyła, co się stało, bo wypuściła jego dłoń i pochyliła głowę, patrząc na niego tak jak przedtem w Villa Rotonda. W ciągu niespełna minuty udało się jej kompletnie go oszołomić. Chciał znowu trzymać jej dłoń w swojej, a zarazem tego nie chciał. Tym razem jednak jej dotknięcia poczuł na plecach.

– Ile masz lat, Quintenie?

– Za dwa tygodnie skończę siedemnaście.

Zawahalała się na moment, ale nie przestała na niego patrzeć.

– Jesteś w Wenecji z rodzicami?

– Nie – odrzekł zwięźle. – Jestem sam.

– To tak jak ja – rzekła Marlena Kirchlechner. A potem opowiedziała mu, że mieszka w Wiedniu, że każdego roku w maju tu przyjeżdża do miejsca, gdzie była w podróży poślubnej z mężem – na Lido, do hotelu „Excelsior”, zawsze do tego samego apartamentu z widokiem na morze. – Co ci zależy? – powiedziała, kiedy siedzieli obok siebie na przednich siedzeniach w autobusie jadącym groblą do Wenecji, na Piazzale Roma, ostatni przystanek wszelkiego zmotoryzowanego ruchu. – Chodź ze mną. Tam jest wspaniały basen; w całej Wenecji nie znajdziesz ani jednego basenu. Jak chcesz, możesz u mnie zostać. Gdzie teraz mieszkasz?

Quinten zrozumiał, że oto otwiera się przed nim perspektywa nieprzeczuwanych dotąd przygód, podobnych do tych z powieści pochłanianych przez Clarę Proctor. Marlena była dojrzałą, ładną, zmysłową kobietą, do tego wszystkiego najwyraźniej nieprzyzwoicie bogatą i chciała się nim zaopiekować – zarazem jednak wiedział, że to absolutnie nie dla niego. Miał poczucie, że nie wolno mu rozpraszać się na przypadkowe spotkania, chociaż nie bardzo wiedział, od czego by go to miało odciągać, bo przecież nie miał nic konkretnego do zrobienia. Robił po prostu to, co się nadarzyło; równie dobrze mógłby być w tej chwili w zupełnie innym miejscu.

Kiedy powiedział, że woli jednak pójść do swojego hotelu, ona uparła się, że odprowadzi go chociaż kawałek; nigdy jeszcze nie była w Cannaregio, a stamtąd może sobie od razu wziąć wodną taksówkę na Lido. Po drodze przez cały czas mówiła o sobie, o winnicach swojego męża w Wachau nad Dunajem, którymi teraz sama zarządza; na szczęście nie zapytała o jego sytuację rodzinną. Pod drzwiami swojego hotelu, pod praniem wiszącym nad ulicą niby girlandy od jednej ściany domu do drugiej, chciał się pożegnać, ona jednak zaproponowała, żeby jeszcze czegoś się napić. Na przykład jakiegoś orzeźwiającego prosecco z Conegliano-Valdobbiadene, które natychmiast uderza do głowy: kiedy się gdzieś jest, koniecznie trzeba spróbować miejscowego wina. Quinten nigdy jeszcze nie pił wina, ale też czuł pragnienie. W poszukiwaniu jakiejś kawiarenki na świeżym powietrzu, które w tej okolicy były rzadkością, przeszli przez drewniany mostek i przez niskie, ciemne *sotoportego* wyszli na placyk w obrębie szesnastowiecznego getta, od którego wszystkie późniejsze getta wzięły swoją nazwę. Domy były tu wyższe niż w innych częściach miasta, rosło nawet kilka drzew, jak prawie nigdzie indziej w Wenecji. Usiedli na ławeczce przy okrągłej studni, przykrytej marmurową płytą. Większość okiennic była już zamknięta; w wielu skrzynkach na kwiaty tkwiły obracające się papierowe wiatraczki. Poza gołębiami siedzącymi w niszach i na zwietrzałych parapetach nie było widać nikogo – w zapadającym zmroku siedzieli przez jakiś czas, patrząc w milczeniu w wielką ciszę zawieszoną nad domami.

Nagle pani Kirchlechner przytuliła policzek do jego ramienia i zaczęła szlochać.

– Co się stało? – spytał przestraszony.

Podniosła na niego wielkie, bezradne i mokre od łez oczy, zupełnie jakby był jej ojcem.

– Nie wiem, co we mnie wstąpiło... Zakochałam się w tobie, Quintenie. Gdy cię ujrzałam, miałam wrażenie, jakbym zobaczyła złotą monetę w błocie. Najpierw myślałam, że to taki chwilowy nastrój, często miewam coś takiego; ale kiedy sobie uświadomiłam, że już nigdy więcej cię nie zobaczę, zorientowałam się, że to całkiem co innego. Nie jestem z tych, co lecą na młodych chłopców, żebyś sobie nie myślał. Nigdy w życiu coś takiego mi się nie zdarzyło. Mój mąż był dwa razy starszy ode mnie, ale ja jestem więcej niż dwa razy starsza od ciebie. Dlaczego nie masz dwudziestu sześciu albo niechby i sześćdziesięciu sześciu lat? Ale szesnaście? Przecież to wykluczone, chyba zwariowałam! – Podniosła się nagle, ujęła jego twarz w dłonie i ucałowała każde z jego oczu. – Żegnaj, aniele... życzę ci wszystkiego dobrego.

Zanim zdążył coś powiedzieć, zobaczył tylko jej białą postać przemykającą przez *campo* i znikającą w ciemnej bramie, zupełnie jakby to było białe prześcieradło, które uwolniło się od klamerki do bielizny.

Kompletnie zszokowany gapił się w czarną dziurę. Co on takiego zrobił? Czy powinien za nią pobiec? I co potem? Nie, lepiej zostawić wszystko tak, jak jest. Zdarzają się takie kobiety w wielkim świecie; trzeba do tego przywyknąć. W drodze do hotelu słyszał w oddali dźwięk opuszczanych żaluzji sklepowych. W pokoju opłukał usta pod kranem i ochlapał twarz wodą. Chciał jeszcze trochę poczytać w łóżku przewodnik, ale niemal natychmiast zasnął, a sen, który go nawiedził, to nie było SOMNIUM QUINTI, tylko pożar...

Najpierw mieszka na poddaszu wysokiego domu, podobnego do tych z getta, w których po ścianach biegną od zewnątrz czworokątne kominy. Krzyczy z okna, żeby zawiadomić straż pożarną, a na dole wszyscy podnoszą głowy i wrzeszczą ramionami. Nic się nie dzieje, wszystko dobrze, po co ta panika. Kiedy mieszkanie staje w płomieniach, belki zmieniają się w architrawy z ognia, on mieszka już w jakiejś suterenie. Nagle i tutaj zaczynają się snuć kłęby dymu, znowu nikt nie chce go słuchać, tak więc i tu wszystko staje w płomieniach...

Obudził go głód. Na dworze zrobiło się ciemno; jest już dziesiąta. Strzelił kciukami i podniósł się wymęczony. W niewielkiej restauracyjce przy Canale Grande zjadł talerz ravioli w otoczeniu miejscowych i gondolierów w pasiastych koszulach, przekrzykujących się jeden przez drugiego w języku przypominającym niekiedy włoski. Od czasu do czasu przed oczami stawała mu wiedeńska Marlina. W hotelu „Excelsior”, otoczona przez szejków, japońskich potentatów przemysłowych i amerykańskich baronów naftowych, siedziała, zajadając oczywiście langusty i kawior pod kryształowymi żyrandolami; ale jego sen stworzył niejako barierę, wskutek czego należała już definitywnie do przeszłości. Dzięki baronowi on także na szczęście był bogaty. Pozwolił sobie na drugie espresso, położył pięćset lirów napiwku i poszedł jeszcze powłóczyć się po mieście.

W wymarłej nocnej Wenecji, kiedy wszystkie okiennice są już zamknięte, kawiarniane ogródki pozamykane i nigdzie nie widać nocnego życia, zatrzymał się na mostku nad jakimś wąskim kanałem. Po lewej i po prawej z nieruchomej wody wystawały odrapane ściany domów z rynnami; nieco dalej, za bocznym kanałem, widać było drugi mostek; na końcu perspektywę zamykał wyrafinowany tył jakiegoś gotyckiego palazzo, który właściwie był jego frontem. Spojrzał na pokryte zielonymi algami stopnie, wyłaniające się z mrocznych łuków okratowanych bram, i prowadzące w dół do wody, schodzące jeszcze głębiej, już pod jej powierzchnią. Idealna cisza. Czy jego matka kiedykolwiek tu była? A jego ojciec? A Maks? Nagle ciszę wypełnił ledwie słyszalny szmer, w chwilę później spod mostu, na którym stał, wyłoniła się gondola z błyszczącą wenecką halabardą na dziobie. Potem ukazały się trzy milczące japońskie dziewczęta i gondolier, który wyprostował się teraz i nieznacznym pchnięciem wiosła skierował gondolę odrobinę w bok i niewypowiedzianie harmonijnym ruchem – pełna jedność z gondolą, wodą, ciszą, miastem – odepchnął się stopą od ściany domu, żeby nie stracić prędkości.

W tym momencie Quinten dostrzegł na następnym mostku biel postaci Marleny Kirchlechner, która natychmiast zniknęła, gdy tylko zorientowała się, że ją zauważył. Oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia. Kiedy on spał, ona przez cały czas na niego czekała, poszła za nim do restauracji, znowu czekała i doszła za nim aż tutaj. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości: musi natychmiast wyjechać z Wenecji – najlepiej jeszcze dziś wieczorem.

Może to brzmienie nazwy Florencja sprawiło, że spodziewał się, iż to miasto będzie jeszcze bardziej srebrzyste i jeszcze bardziej rozmarzone. Tymczasem trafił w sam środek hałaśliwego, śmierzącego tygła ulicznego ruchu, od którego odwykł po pięciu dniach Wenecji. Poza tym, o ile tam wszystko był lekkie i otwarte, tutaj było ciężkie i zamknięte. Rolę morza, które całkowicie osłaniało Wenecję, tutaj spełniały grube mury, gigantyczne kamienne bloki, kraty, budowle przypominające fortece; piękno było prawie wyłącznie we wnętrzach, w pałacach i muzeach. Lecz właśnie to, czym Florencja różniła się od Wenecji, przypominało mu nieco Zamczysko: pozwoliło mu to pogodzić się trochę z rozczarowaniem.

Ponieważ wszystkie hotele na jego kieszeń były pełne, musiał się zadowolić zatęchłym schroniskiem, gdzie dzielił pokój z siedmioma innymi osobami; przeważnie byli to studenci, ale też kilku starszych mężczyzn; oprócz łóżka miał tam do dyspozycji tylko krzesło, z którego mógł spoglądać na krucyfiks wiszący nad drzwiami. Przy akompaniamentem międzynarodowego chrapania po raz pierwszy pomyślał o swoim pokoju w Groot Rechteren. A może go już nie ma? Czy Korvinus zdążył zagarnąć wszystko? Nie, tego nie da się oczywiście przeprowadzić tak szybko. Miał wrażenie, że nie ma go w domu już od miesięcy, chociaż minął ledwie tydzień. Nie dał znaku życia z Wenecji i postanowił teraz, że jak najszybciej napisze do babci. Lecz nie dość że nie napisał listu, to jeszcze gdy przechodził ulicą obok stojaka z widokówkami – Piazza delia Signoria, Palazzo Pitti, Ponte Vecchio, Battistero – opanowało go takie przemożne obrzydzenie, że nie kupił ani jednej, żeby napisać bodaj: „Pozdrowienia z Florencji”.

Natomiast bez oporów nabył w Galerii Uffizich całą kolekcję kartek z reprodukcjami, które położył sobie na krzesło przy łóżku. W morzu dzieł sztuki, wlewających się niepowstrzymanie w muzealną cieśninę, urzekło go *Zwiastowanie* Leonarda da Vinci: anioł niejako podkradający się do Marii Panny, z lekko pochyloną głową i pełnym poczucia winy spojrzeniem kogoś, kto dobrze wie, że to, co zamierza zrobić, nie do końca jest w porządku. Nic dziwnego, że Maria sprawia wrażenie, jakby się zastanawiała: „Kim jesteś? Czego tu szukasz?” W gimnazjum Quinten uczył się, że „zwiastować” to po łacinie *annuntiare*, czyli „zapowiadać coś, co się stanie”: ten anioł miał zapowiedzieć Marii Pannie, że za jakiś czas zostanie zapłodniona przez Ducha Świętego; ale Quinten był zdania, że na obrazie dzieje się coś znacznie więcej niż sama „zapowiedź zdarzenia”, mianowicie, że przedstawia on samo zdarzenie. Anioł zaraz się do niej dobierze. No bo czemu nie ma przy niej Józefa? Przecież chyba miał prawo się upewnić, że jego wybranka nie zdradza go z człowiekiem do mycia okien? Przecież każda może twierdzić, że zaszła w ciążę z czystej pobożności. W innych salach też zaczęł się rozglądać za zwiastowaniami, ale na żadnym z obrazów nie było Józefa. Ten fajtłapa był chyba w swoim warsztacie ciesielskim, gdzie w pocie czoła zarabiał na chleb powszedni, może nawet wykonując krzyże dla Rzymian, podczas gdy w domu jego przyszła nadstawia ucha na anielskie zaloty i zaraz odda się boskiemu wysłannikowi. Nagle przypomniał sobie relief przedstawiający Zwiastowanie, umieszczony na moście Rialto w Wenecji. Na lewym filarze, tuż przed krzywizną łuku, widział archanioła Gabriela, pośrodku przęsa gołębia, którego archanioł wypuścił, a na prawym filarze Marię czekającą z oddaniem na Ducha Świętego. A więc gołąbek był po prostu świętym nasieniem anioła!

Jakże pragnęłyby porozmawiać o tym z ojcem. Czy zgodziłby się z jego interpretacją? Może ojciec z aprobatą nazwałby obrazy przedstawiające Zwiastowanie „religijnym peepshow”, a może wykrzyknęłyby ze świętym oburzeniem: „Żeby ci te haniebne myśli mózg rozwałkowały!”. Wybuchnął śmiechem. To ostatnie wydało mu się najbardziej prawdopodobne.

Kiedy drugiego dnia pobytu spacerował pośród posągów Museo Bargello, niespodziewanie przyszedł mu na myśl Theo Kern, który oczywiście na pewno też tu był, żeby się nauczyć, jak jego koledzy odłupywali zbędny kamień. Przez okna starego pałacu spoglądał od czasu do czasu na florentyńczyków idących ulicą albo jadących kopącymi autobusami i zadawał sobie pytanie, ilu z nich kiedykolwiek przyszło tutaj oglądać te wszystkie wspaniałości. Który z nich wie, że to w jego mieście wymyślono renesans? Być może pamięć większości ludzi na świecie obejmuje tylko ich własne życie; może nie uświadamiają sobie wcale, że żyją już tysiąc lat po „tysiąc lat temu”. Między momentem narodzin a godziną śmierci tkwili w pozbawionej okien celi; dla nich wszystko było tak jak zawsze. Oczywiście naprawdę wcale tak nie było, choć w pewnym sensie jednak było, ponieważ tak samo było niemal dla wszystkich i tysiąc lat temu, i dwa tysiące lat temu i dziesięć tysięcy lat temu też. A więc tak zwyczajnie żyjąc, pracując, bawiąc się, jedząc i się rozmnażając, byli właściwie znacznie bardziej odwieczni od wszystkich tych nieśmiertelnych dzieł sztuki, wykonanych przez niezwykle jednostki!

Zatrzymał się przy pierwszej z brzegu rzeźbie i pomyślał: Weźmy na przykład to tutaj. Co to takiego jest? Przepięknej urody nagi młodzieniec, prawą dłoń trzyma na głowie, lewą na głowie wielkiego orła, siedzącego u jego stóp i spoglądającego na niego z oddaniem. Benvenuto Cellini, 1500-1571, *Ganimedes*. Samego mitu nie znał, ale nie miało to żadnego znaczenia; w każdym razie wiedział, że kryje się za tym starożytna opowieść. Za wszystkim zawsze kryła się jakaś opowieść. Tylko ktoś znający wszystkie opowieści zna świat. I nawet nie mogło być inaczej, że za całym tym światem ze wszystkimi jego opowieściami tkwi jeszcze inna opowieść, starsza od tego świata. To właśnie tę opowieść trzeba by umieć poznać!

– To ty do tego pozowałeś?

Wzdrygnął się. Wysokiego wzrostu mężczyzna, który wydał mu się jakoś znajomy, patrzył na niego z uśmiechem, ale ten uśmiech mu się nie podobał. Łysiejący, około pięćdziesiątki, człowiek ten miał rozumne oczy, spiczasty nos i cienkie wargi; z podwiniętych do środka rękawów wystawały dwie blade ręce, na każdym przegubie złoty łańcuch. Nagle Quinten przypomniał sobie, kim on jest: spał razem z nim w tym samym pokoju, po drugiej stronie przejścia między łózkami.

– Nie – odburknął.

– Widziałem twój przewodnik na krześle, stąd wiem, że też jesteś Holendrem. Mam na imię Menne.

Quinten skinął głową, ale nie miał zamiaru zdradzać swojego imienia. Czego ten facet od niego chce? Czy on też za nim chodził? Menne patrzył to na niego, to na rzeźbę.

– Wiesz, że jesteście wybitnie do siebie podobni? Pewnie też masz takie spiczaste cycuszki i takie piękne nogi. Tylko oczy masz o wiele ładniejsze. No i ten mikroskopijny siusiaczek, założę się, że masz o wiele większego. Prawda? Przyznaj się... – Pochylił się w jego stronę, oddech miał trochę przyśpieszony. – Masz już na nim włoski? Bawisz się nim czasem? Pewnie często, co?

Quinten nie wierzył własnym uszom. Co za świnia! Nie odezawszy się ani słowem, odwrócił się i wyszedł z sali.

– Coś nagle taki wrażliwy! – zawołał za nim mężczyzna. – To tylko żart. Skoczmy może gdzieś razem na cappuccino.

Dotarłszy do schodów, Quinten zbiegł po trzy stopnie na raz, wybiegł na ulicę i kluczył po zaułkach, żeby go zgubić. Chyba niepotrzebnie: Menne wcale go nie gonił, ponieważ wiedział, że pod koniec dnia i tak spotka go w schronisku. Kiedy Quinten o jedenastej kładł się spać, na szczęście jeszcze go nie było. Kto wie, może się nawet wprowadził.

Jednak w środku nocy obudziła go czyjaś ręka pod kocem, manipulująca między jego nogami. Menne siedział na skraju jego łóżka, cuchnący alkoholem, z rozpiętym rozporkiem, z którego wystawał gruby penis, sinoblady jak proszek do prania, i drugą ręką pocierał go z szybkością, która przypominała Quintenowi ruch tłoka lokomotywy, kiedy Arendje rozpędzał ją po torach do maksymalnej prędkości. Penis był lekko skrzywiony – oczywiście od tego pocierania.

– Odwal się, gnoju! – powiedział.

– Och, kochany, kochany – szeptał Menne – jeszcze troszeczkę, jeszcze troszeczkę, zaraz skończę...

Menne próbował przycisnąć usta do ust Quintena i Quinten po raz pierwszy w życiu zacisnął dłoń w pięść, zamachnął się i z całej siły trzasnął mającą w ciemności twarz. Ze zduszonym okrzykiem niedoszły kochanek zerwał się na równe nogi, rzucił się twarzą na swoje łóżko i leżał teraz z drgającymi plecami. Nie ulegało wątpliwości, że płacze.

Nikt niczego nie zauważył. Przez parę sekund Quinten oszołomiony wsluchiwał się w odgłosy chrapania naokoło. Zrozumiał, że oto po raz drugi zostaje przegnany z jakiegoś miasta. Wściekły wstał z łóżka, ubrał się, spakował rzeczy do plecaka, kartki ze *Zwiastowaniami* włożył do przewodnika. Zapłacił u recepcjonisty, który siedział na skórzanej ławce, czytając „*Osservatore Romano*”, i ruszył chłodnymi nocnymi ulicami w stronę dworca. Dworcową halę wypełniały już dziesiątki innych młodych ludzi, siedzących na podłodze i próbujących się choć trochę przespać.

53

Cień

Kiedy Onno wychodził rano na zakupy, Edgar też siedział mu na ramieniu. Wkrótce w okolicznych sklepach przestano na to zwracać uwagę. Na ulicy ptak niespodziewanie rozpościerał czasem skrzydła, podskakiwał, odbijał się od głowy Onna i odlatywał na jakiś dach albo znikał za domami, ale zawsze wracał. Onnowi zależało na nim bardziej, niż chciałby się przed sobą przyznać – może dlatego, żeby zabezpieczyć się na ewentualność, że któregoś dnia ptak nie wróci. No bo gdyby jakiś łajdak go na przykład zastrzelił! Ludzkość jest w końcu do tego stopnia pełna mętów, że powinna się wręcz wstydzić przed zwierzętami, które giną tylko dlatego, że są całkowicie wolne od wszelkiego zła.

– Oczywiście zdarzają się porządni ludzie – mówił do Edgara, idąc ulicą i nie zwracając uwagi na spojrzenia przechodniów – szacuję, że będzie to może z osiem procent całej populacji. Ale jest też z kolei drugie osiem procent, zawszt i wszędzie, składające się z największych łajdaków zdolnych do wszystkiego. Jeśli tylko nadarzy się okazja, to wytepią na początek te osiem procent dobrych. Reszta nie jest ani dobra, ani zła, tańczy, tak jak jej zagrają. Na pierwszego i trzynastego trzeba uważać, pozostałych jedenastu nie ma większego znaczenia. To znaczy, ten pierwszy musi dbać, żeby byli po jego stronie, pomagając trzymać w szachu tego trzynastego, bo inaczej za te same pieniądze będą ścigać jego. W najlepszym wypadku ten trzynasty w końcu sam się powiesi, tak jak Judasz, albo zostanie powieszony, jak ci w Norymberdze, albo trafi przed pluton egzekucyjny, jak w Scheveningen; ale zawsze dzieje się to wtedy, kiedy już zrobią swoje, kiedy już właściwie nie ma to większego znaczenia. Znowu kręci mi się w głowie, Edgarze. Temu pierwszemu słabnie chwyt, ten trzynasty próbuje swoich granic, sprawdza, jak daleko może się posunąć, tu rozetnie tapicerkę siedzenia w pociągu, tam zdemoluje budkę telefoniczną. To właśnie się teraz dzieje, Edgarze, w świecie pozbawionym Boga i ze Złotym Murem, który grozi zawaleniem.

Sam na to pracowałem. *Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa*. A jak nawet trafi pod sąd, od razu znajdzie się jakiś psychiatra jako *advocatus diaboli*, który będzie tłumaczył jego zachowanie jako skutek określonych przyczyn. Trudne dzieciństwo, częste kary cielesne, rozwiedzeni rodzice. Lecz wyjaśnienia przyczynowe nie mogą być usprawiedliwieniem jego zachowania. Człowiek nie jest maszyną ani też nie jest po prostu zwierzęciem jak ty – chociaż co do ciebie nie mam całkowitej pewności. Dlatego zachowania nie należy analizować przyczynowo, tylko skutkowo. Pozwolisz, że uderzę w ton naukowy? Z przyczynowego opisu zniknęła gdzieś ocena moralna, a ta żałosna resztką, która potem zostaje, przedstawiana z punktu widzenia prawa, staje się okolicznością łagodzącą, co pociąga za sobą zmniejszenie kary. Jest to oczywiście zaprzeczenie ludzkiej wolności. Prowadzi to do odczłowieczenia człowieka, poprzez odebranie mu odpowiedzialności za własne czyny. Przypominam sobie niejasno, że coś takiego właśnie przeczytałem w wyroku wydanym na ojca Maksa; może ten człowiek też został kiedyś w dzieciństwie zdradzony przez matkę. Zaniechanie kary to nieludzka kara. Poza tym jest to niedopuszczalna obraza dla tych ludzi, którzy mieli równie zafajdane dzieciństwo, a jednak nie dopuszczają się przestępstw. Gdyby trzymać się tej zasady, to właściwie władza powinna ich nagradzać. Drogo by to państwo kosztowało. Skoro się tego jednak nie wprowadza, to sprawiedliwość wymaga wygnania psychiatrów z sal sądowych, tak jak kiedyś kupców ze świątyni. O nie, to, czego potrzeba sędziemu, to żelazna ręka, taka, jaką miał Götz von Berlichingen. Dopóki nie dysponujemy najłodszym ciałem Zbawiciela, zło można zwalczać tylko złem. To tragiczne, ale w służbie dobra trzeba z konieczności dopuścić do siebie zło; to jest cena, którą trzeba jednak zapłacić. „Nie można rządzić i być bez winy” – tak powiedział już Saint-Just, zanim sam trafił na gilotynę.

Nie zwracał uwagi na spojrzenia przechodniów rzucane dziwakowi mówiącemu do siebie niezrozumiałymi, charczącymi słowami. Dawno już nie należał do świata ludzi, tylko się nad nimi zastanawiał, tak jak ornitolog zastanawia się nad ptakami. Kiedy przechodził przez zatłoczony czworokątny plac, pełen kawiarnianych ogródków pod pomalowanymi na pomarańczowo ścianami domów, Edgar sfrunął na ziemię i zmieszał się z gołębiami, które przestraszone zrobiły miejsce dla jego czarnej postaci.

– Dobry pomysł, Edgarze. Spróbujmy tutaj, na ciepłym słończku, przyjrzeć się w spokoju trzynastu osobom.

Usiadł na stopniach fontanny, stawiając obok plastikową torbę z zakupami. Z misy wyrastał rzeźbiony postument z plującymi wodą delfinami, na którym stał obelisk wysokości około sześciu metrów, pokryty hieroglifami i zwieńczony złotą gwiazdą, z której wystrzelał krzyż z brązu.

- Trzynastu mężczyznom, żebyśmy się dobrze zrozumieli, ponieważ jak przystało na gentlemana, kobiety zostawiam na boku. Wiesz, co powiedział Weininger: „Kobieta to wina mężczyzny”. Hitler był mężczyzną, ale drogą wolnych wyborów doszedł do władzy tylko i wyłącznie dzięki zakochanym w nim niemieckim kobietom; przykryjmy to na wszelki wypadek demokratycznym i feministycznym płaszczkiem miłości. Weźmy na przykład tego – powiedział, wskazując ruchem głowy dystygnowanego starszego pana z gazetą pod pachą i marynarką zarzuconą luźno na ramiona. – Miły człowiek, prokurent w średniej wielkości banku, referent jakiegoś wydziału. Godny zaufania, lekko zarozumiały, w każdym razie na pewno ani pierwszy, ani trzynasty. Ten tam tym bardziej – rzucił, odprowadzając wzrokiem człowieka w kombinezonie, który szedł, oglądał jakąś część od maszyny i zastanawiał się pewnie, czy ją naprawiać, czy wymienić. – On po prostu robi swoje. Jest zbyt zajęty, żeby mordować czy dokonywać cudów. Ale tam rozmawia dwóch takich, z których jeden absolutnie mi się nie podoba. Za bardzo sztuczny jest ten jego uśmieszek. Twarz też zbyt gładka i błada.

Mężczyzna miał dwadzieścia parę lat i natychmiast się zorientował, że jest obserwowany. Uśmiesch od razu zniknął z jego twarzy tak całkowicie, jakby ktoś przesunął dźwignię, i mężczyzna wbił w Onna zimne, przenikliwe spojrzenie. Onno odwrócił wzrok.

- Cholera, Edgarze, moim zdaniem mamy tam naszego trzynastego. Nie patrz w tamtą stronę, to niebezpieczne. Ten człowiek jest niebezpieczny, ponieważ potrafi kierować swoimi uczuciami, tak jak inni kierują samochodem; a to, jak nimi steruje, nie zasługuje na miano uczucia. Miejmy nadzieję, że jeszcze dzisiaj sam wpadnie pod samochód. Lepiej popatrzmy sobie, kogo mamy, o, tam – powiedział i spojrzął w stronę nastolatka, który nieśmiało przemierzał plac, z otwartymi ustami wpatrując się w budynek po drugiej stronie.

W tym samym momencie zaparło mu dech w piersiach. Zaczął cały dygotać i wolno podniósł się z miejsca.

Panteon! Oto ma go wreszcie przed sobą! Quintenowi wydawało się, że to, co widzi, nie może być prawdą. Rzymska świątynia poświęcona wszystkim bogom, licząca dwadzieścia wieków: szara i naga, odarta skrupulatnie ze wszystkiego przez barbarzyńców, cesarzy i papieży, stała jak coś pochodzącego nie tylko z innego czasu, ale też z innej przestrzeni – tak jak niekiedy za dnia jawi się niepokojący obraz ze snu, jaki się śnił człowiekowi poprzedniej nocy.

Quadrata! Oto one, cudownej piękności, uduchowione litery na architrawie nad ośmioma kolumnami, pod dwoma tympanonami, które tak dokładnie przestudiował Palladio: podobno Panteon został wzniesiony przez Marka Agrypę, syna Lucjusza, za czasów jego trzeciego konsulatu, ale tak naprawdę przez cesarza Hadriana, jak powiedział mu pan Themaat. Co się teraz dzieje z panem Spierem, w tym jego Pontrhydfendigaid? Po lewej i prawej stronie portalu i po obu stronach okrągłej budowli z tyłu, przykrytej od góry kopułą, biegingy wzdłuż murów kilkumetrowej gęębokości rowy sięgające poziomu starorzynskiej ulicy, przez co świątynia zdawała się wyłaniać z ziemi, jak głązy narzutowe w Drenthe. Z przodu, jak słyssał, pod asfaltem był dalszy ciąg schodów. Powoli szedł wzdłuż szeregu czekających dorożek w stronę cienia wysokiego prostokątnego portyku, także wspartego na ośmiu kolumnach – razem było ich tyle, ile miał lat. Pod budynkiem czekała już grupka zwiedzających. Chwilę później uchylily się jedne z ośmiu wysokich na ponad siedem metrów spiżowych drzwi; żeby je otworzyć ledwie na szerokość człowieka, dwóch mężczyzn musiało użyć całej swojej siły.

Kiedy przekroczył próg, ogromna pusta przestrzeń zaparła mu dech w piersiach. Zupełnie jak w nieprzeniknionym centrum kryształu pozbawione cienia światło zawisło nad posadzką z jasnego marmuru, wisiało na kolumnach, w niszach i kaplicach, w których dumnych rzymskich bogów zastąpili pokorni chrześcijańscy święci. Zamiast zwornika zamykającego sklepienie centralne miejsce kopuły zajmowało błękitne niebo, okrągły otwór o średnicy prawie dziesięciu metrów, z którego niby obelisk sterczał ukośny słuł sonecznego światła, tworząc na zniszczonych freskach oślepiający owal. Kopuła z otworem przypominała mu tęczówkę ze źrenicą: świątynia była okiem, w którego wnętrzu się znajdował. Z zewnątrz otwór był pewnie czarny. Zaraz, co wtedy powiedział pan Themaat? Że Panteon to wprawdzie nie ta budowla, ponieważ ona po prostu nie istnieje, ale na pewno jest doskonałym kandydatem na drugie miejsce i można go traktować jak przedstawienie świata. Zapewne miał przy tym na myśli nie tylko naturę, Ziemię, Księżyc, Słońce, gwiazdy, ale też wszystkie inne światy, na przykład świat liczb, świat figur geometrycznych czy świat muzyki. Budowla ta była też oczywiście zegarem sonecznym, który wskazywał godzinę nie za pomocą cienia, ale samego światła. Quinten stanął na środku, dokładnie pod otworem w sklepieniu, i wyjął swój kompasik. Wejście znajdowało się dokładnie od północy.

Spojrzał w stronę, którą wskazywała igła, i jego uwagę przyciągnęła zaniedbana postać jakiegos człowieka, który przyglądał mu się od drzwi. Był wysoki i zwalisty, miał ciemne okulary; na jego ramieniu siedziała czarna wrona, chociaż nie, to wyglądało raczej na kruka. Niechlujna siwa broda kryła resztę jego twarzy, długie włosy związane były z tyłu w kucyk, brudna, rozchełstana koszula wystawała ze spodni, tak że widać mu było pępek, bosc stopy tkwiły w rozlatujących się adidasach. Quinten przestraszył się. No chyba nie znowu? W Wenecji wiedenka, we Florencji ten zбочeniec, a tutaj jakiś menel – coraz gorzej. Już chciał się odwrócić ze złością, kiedy czarne jak heban ptaszysko sfrunęło z ramienia włóczęgi, trzepocząc skrzydłami, zatoczyło koło we wnętrzu świątyni, przysiadło na chwilę na górnej krawędzi rotundy, na której opierała się kopuła, a potem z głośnym krakaniem wzleciało w górę i zniknęło w błękitnym otworze.

Wszyscy w Panteonie patrzyli za nim, Japończycy szybko robili mu zdjęcia, i Onno nagle uświadomił sobie, że ptak już nie wróci. Nie miał zamiaru odzywać się do Quintena, chciał tylko przez moment na niego popatrzeć, chciał zawołać kruka, ale bał się, że Quinten pozna go po głosie. Nawet nie pożegnał się z Edgarem i nagle znowu był tak całkiem sam, że nie mógł tego wytrzymać.

Widząc, jak dygocący na całym ciele biedak idzie w jego stronę, podpierając się laską, Quinten miał ochotę ominąć go wielkim łukiem i wybiec na dwór, w końcu postanowił jednak powiedzieć mu jasno i wyraźnie, żeby zostawił go w spokoju – oczywiście jeśli będzie rozumiał po francusku, niemiecku czy angielsku – a potem dostojnie opuścić świątynię. Biedak zatrzymał się przed nim i zdjął ciemne okulary.

Quinten poczuł, że zamienia się we własny posąg. Wydało mu się, że wszystko w nim na moment zamarło, oddech, serce, mózg, jelita; przez chwilę był jak z marmuru, spoglądając w oczy Onna, które tak dobrze znał i którymi zarazem zdawał się na niego patrzeć zupełnie kto inny niż jego ojciec. A potem padli sobie w ramiona i stali tak bez ruchu przez kilka sekund, trzymając się w objęciach.

– Tato... – zaszlochał Quinten.

Onno rozejrzał się, szukając czegoś wzrokiem.

– Muszę usiąść.

Trzymając się za ręce, podeszli do drewnianej ławki, oddalanej o kilka metrów od sarkofagu ze szczątkami Rafaela, i siedzieli, patrząc na siebie bez słowa. Z jednej strony Quinten miał poczucie, że to nie może być prawda, że jego ojciec, ot, tak po prostu nagle siedzi tu obok niego, a z drugiej było dla niego w jakiś sposób oczywiste, że go znalazł, chociaż wcale nie szukał. Ależ jest zaniedbany! Na pewno nie z braku pieniędzy, niemniej jednak wyglądał zupełnie tak, jakby się staczał. Wujek Karel miał rację: śmierć cioci Helgi sprawiła, że ojciec jest *drop out*. Czy to w ogóle dobrze, że się spotkali?

Onno też był kompletnie zbity z tropu. Uświadomił sobie, że znowu przez jeden spontaniczny odruch rozhuśtał sobie życie. Zaczepiając Quintena, zrobił coś nieodwracalnego: nie było już mowy, żeby znowu zniknąć na dobre, z drugiej strony nie do pomyslenia też był powrót do poprzedniego stanu. Zarazem jednak odczuwał coś w rodzaju ulgi, że nagle wszystko jest inaczej niż przez ostatnie cztery lata. Kiedy wyjechał z Holandii, Quinten był dwunastoletnim chłopcem; teraz Onno miał przed sobą niemal mężczyznę. Po raz pierwszy w życiu się zawstydyził. Spuścił oczy i nie miał pojęcia, co powiedzieć.

Quinten zobaczył to i spytał:

– Mam sobie pójść?

Onno pokręcił przecząco głową.

– Jest, jak jest – powiedział łagodnie. – Co... co tam u ciebie? Wspaniale wyglądasz! Urosłeś o dwie głowy.

– Chyba tak.

– Od kiedy jesteś w Rzymie?

– Od wczorajszego południa.

– Przyjechałeś z klasą? Ja też przyjechałem tu po raz pierwszy w szóstej klasie.

– Ja powtarzałem czwartą, więc właściwie jestem dopiero w piątej. Ale nie wrócę już do szkoły.

Onno, który porzucił o wiele więcej, zrozumiał, że nie powinien tego komentować: przez sam fakt, że nic o tym nie wiedział, stracił prawo zabierania głosu na ten temat. Poza tym słyszał w głosie Quintena ten rodzaj zdecydowania, który z góry ucina wszelką dyskusję. Chciał zapytać o Adę, ale pomyślał, że może już nie żyje.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że tak po prostu sobie tutaj siedzimy, Quintenie.

– Może wcale tak nie jest.

Na twarzy Onna pojawił się uśmiech.

– Słusznie, może nam się to śni. Obydwaj śnimy ten sam sen. – Spojrzał na niego z ociąganiem. Czuł, że musi spytać o Adę. – Jak mama?

– O ile wiem, cały czas tak samo. Też dawno jej nie widziałem. – Quinten nie chciał rozmawiać o matce; poza tym nagle zirytował go fakt, że ojciec o to zapytał. Kto wie, może już umarła? Jego babcia nadal nie miała pojęcia, gdzie go szukać. A ojciec na pewno zaraz będzie też chciał wiedzieć, co u Maksa, i on musi opowiedzieć, co się stało. Żeby skierować rozmowę na inne tory, spytał: – Czemu chodzisz o lasce?

Onno położył laskę na kolanach i popatrzył na nią. Była to grubo ociosana sękata gałąź, której dolny, niechroniony niczym koniec wyglądał już jak zeschnięty pędzel; wygięta rączka była kunsztownie wyrzeźbioną głową węża.

- Ładna, prawda? Wypatrzyłem u jakiegoś tandeciarza. - Onno powoli odwrócił twarz w stronę Quintena i rzekł: - Półtora roku temu miałem lekki wylew krwi do mózgu. - A kiedy zobaczył, że Quinten się przestraszył, dodał: - Nie ma powodu do obaw, mam to już za sobą. Tyle że wylew miał miejsce bardzo głęboko, w dość ryzykownym miejscu, w okolicy zwanej fachowo wzgórzem, po łacinie *thalamus*. Parę centymetrów do przodu, i siedziałbym już na wózku inwalidzkim. Zdaniem neurologów mogę mówić o szczęściu. Znasz to, prawda? Jak wpadniesz pod tramwaj i obetnie ci nogę, to masz się cieszyć, że nie obcięło ci obydwu. Za każdym razem, kiedy stanie się coś poważnego, trzeba mówić o szczęściu i się cieszyć.

- Bardzo bolało?

- Wcale. Tak naprawdę wszystko zawsze przebiega inaczej, niż sobie człowiek wyobraża. Opowiedzieć ci?

Quinten wzruszył ramionami. Właściwie nie chciał wiedzieć, bardzo jednak zależało mu, żeby jak najdłużej odwleć pytanie o Maksa.

Onno zaczął opowiadać, że pewnego chłodnego zimowego dnia szedł ulicą niedaleko stąd. W pewnym momencie wydało mu się, że zaraz coś się stanie. Poczucił się tak, jakby nie całkiem był sobą, lewa dłoń zaczęła mu dygotać, po chwili to samo zrobiło się z lewą stopą. Było to takie uczucie, jakby miał w lewym bucie mnóstwo małych kamyków i jakby te kamyki wszystkie razem tworzyły jego stopę. Po kolejnej minucie zorientował się, że coś jest zupełnie nie tak. Utracił czucie w lewej nodze, lewej stronie ciała i lewej połowie twarzy. Ponieważ wszystko dotyczyło lewej strony, pomyślał o sercu, ale nie czuł bólu w klatce piersiowej, tylko lekki ból głowy, ale tak słaby, że nawet nie byłoby po co brać aspiryny. Od czasu do czasu musiał przystanąć. Kiedy dotknął pulsu, okazało się, że serce bije z taką szybkością, że nie da się tego policzyć. Próbował zdjąć rękawiczkę z lewej dłoni, ale przecież nigdy nie nosił rękawiczek i dopiero wtedy zorientował się, że ciągnie za własne palce. Z twarzy idących z przeciwka ludzi usiłował wyczytać, czy można poznać, że dzieje się z nim coś dziwnego, ale nie dostrzegł nic szczególnego. Niemniej jednak wiedział, że porusza się w zupełnie innym świecie niż oni, usiadł na skraju chodnika i jakaś kobieta spytała, czy wezwać karetkę. Powiedział, że nie trzeba, ona jednak wezwała pogotowie; niedługo później odwieziono go na sygnale do szpitala. Tam wsunęli go do czegoś w rodzaju wielkiego, obracającego się piekarnika, żeby wykonać warstwowe zdjęcia mózgu. Trzy dni później był z powrotem w domu.

- Nie wolno mi już tylko pić i palić. No, maksimum trzy kieliszeczki wina dziennie, ale przy takiej ilości człowiek jest właściwie abstynentem. Lewa strona ciała wciąż jest częściowo pozbawiona czucia i oczywiście cały czas kręci mi się w głowie, kiedy idę. Może to przejdzie, ale jak człowiek robi się starszy, to takie rzeczy przeważnie nie przechodzą. Dlatego właśnie chodzę o lasce. Mogę i bez, ale z laską czuję się bezpieczniej.

- Skąd się wzięło to nagłe krwawienie?

- Mam pewne przypuszczenia. Pamiętasz jeszcze, że zajmowałem się odcyfrowywaniem archaicznego pisma? Opublikowałem kiedyś pracę o pochodzeniu języka etruskiego, za którą otrzymałem w tamtym czasie doktorat honoris causa.

- Tak, ciotka Dol mówiła niedawno, że kazałeś go odesłać.

- Dol... - powtórzył Onno i zamilkł. - Co tam u niej?

- Mieszkają teraz na Minorce.

Onno rozejrzał się melancholijnie po pomieszczeniu, które coraz bardziej zapełniało się turystami.

- Może też wiadomo ci, że po etruskim pracowałem nad dyskiem z Fajstos, ale tu mi się nie udało. Zająłem się polityką, żeby mieć wymówkę przed sobą samym, dlaczego przestałem się tym interesować. Ale w polityce też nie najlepiej mi szło, a kiedy zmarła ciocia Helga, w ogóle nie widziałem sensu. Ale to już wam napisałem. Chciałem się wynieść na dobre - tylko dokąd? No więc pomyślałem: wróciłem do punktu wyjścia, pewnie nigdy już nie będę niczego chciał, ale tak do końca nie byłem pewien. Oprócz śmierci w życiu nie ma nic definitywnego - jak właśnie mogłeś się przekonać. Wtedy pomyślałem sobie: jeśli jeszcze kiedykolwiek mam coś zrobić, to muszę zacząć od tego, na czym skończyłem, czyli od dysku. Tego pisma wciąż jeszcze nie odcyfrowano. Moje dawne notatki to w zasadzie jedyne, co przywiozłem z Amsterdamu, chociaż dzisiaj prawie ich już nie rozumiem. A ponieważ i tak dokądś musiałem wyjechać, ta okoliczność określiła przy okazji moje miejsce przeznaczenia. Zatem Rzym. Nigdzie nie da się znaleźć tyle materiałów w tej dziedzinie, co tutaj. No, może jeszcze w Londynie, ale tam przeważnie pada.

- No przecież! - wykrzyknął Quinten. - Sam powinienem na to wpaść! Pomyślałem tylko o Krecie.

Onno spojrzał na Quintena.

- Zamierzałeś mnie odnaleźć?

- Oczywiście. Uważasz, że to głupie?

Onno spuścił wzrok. Przez wszystkie te lata musiał być chyba otumaniony ciosem, zupełnie jak bokser wiszący w linach i bezustannie obrabiany przez przeciwnika, chociaż od czasu do czasu rozdziela ich sędzia ringowy w muszce. Tak naprawdę nigdy nie dopuścił do siebie myśli o Quintenie. Od dnia jego narodzin wmówił sobie, że chociaż chłopiec biologicznie jest synem jego i Ady, to jednak właściwie od pierwszej chwili bardziej jest synem Maksa i Sophii. Cóż za pomyłka! Cóż za obrzydliwe kłamstwo! Z minuty na minutę okrywająca go skorupa kruszyła się coraz bardziej i odpadała po kawałku, zupełnie jak skórka ze świeżo wyjętego z pieca *croûte*.

– Nie, wcale nie uważam, że to głupie. – Znowu na niego spojrzął. – Byłeś u Giltaya Vetha?

– No pewnie. Ale nic mi to nie dało.

Onno milczał przez chwilę, potem jednak zmusił się, żeby powiedzieć: – Wybacz mi, Quintenie.

Quinten spojrzął na niego swoimi lazurowymi oczami.

– Nie mam ci nic do wybaczenia.

Onno czuł się tak, jakby siedział naprzeciwko własnego ojca – zupełnie jakby jego syn go przewyższał, tak że on nie miał mu nic do zaoferowania.

– Opowiadałem ci przed chwilą, co być może było przyczyną mojego wylewu – podjął wątek. – Wszystkie te lingwistyczne rzeczy poniewierały się gdzieś po moim pokoju i nigdy do nich nie sięgałem. Ale pewnego ranka, jakieś półtora roku temu, poszedłem na targ, tu na placu za rogiem, żeby przynieść sobie coś do jedzenia. Kupiłem dzwonko piotrosza, to taka morska ryba, do dziś to pamiętam, mam jeszcze przed oczami ten obraz, jak straganiarka pakuje kawał ryby w gazetę czerwonymi, obrzmiałymi rękami. Odkąd wyjechałem z Holandii, przestałem czytać gazety, ale kiedy rozpakowałem w domu rybę, nagle zobaczyłem w niej swoje nazwisko, napisane w formie Qiuts. Jak już kiedyś będziesz sławny i będą o tobie pisali w gazetach, to sam zobaczysz: będzie ci się wydawało, jakby litery twojego nazwiska wyskakiwały z papieru i pchały się do oczu. Artykuł mówił o moim dawnym konkurencie, niejakiem Pellegrinim, który jest profesorem tu, w Rzymie i który nigdy nie traktował poważnie moich teorii na temat języka etruskiego. Swego czasu, jak się potem dowiedziałem od tamtejszej pani rektor, słał nawet listy do Uppsali, żeby przeszkodzić w nadaniu mi honorowego doktoratu. I oto przeczytałem, że na stare lata postanowił odwiedzić swojego syna w jego nowym wiejskim domu gdzieś pod Arezzo, i spacerując po ogrodzie, nagle zapadł się pod ziemię. No i jak myślisz, co się stało? Otóż profesor wpadł do etruskiej komory grobowej. Złamał sobie biodro, ale pierwsze, co zobaczył, to stela z bilingwą – to znaczy dwujęzycznym tekstem, w tym wypadku etruskim i fenickim. Z tekstu wynikało ni „mniej, ni więcej, że *il professore islandese Qiuts* był w błędzie. Tym samym nic już mi z tego mojego życia nie pozostało.

– No, chyba oprócz mnie.

– To prawda – przyznał Onno, odwracając wzrok. – Oprócz ciebie, oczywiście. Ale poza tym nic. I zdałem sobie sprawę, że nikt w świecie naukowym nie potraktuje mnie już poważnie, kiedy ogłoszę rozwiązanie zagadki dysku z Fajstos. W tej sytuacji wyrzuciłem wszystkie notatki, setki stron, owoc wieloletniej pracy. Najbardziej zaszokowany byłem chyba jednak uwagą tego starego łajdaka Pellegriniego, który na pytanie dziennikarza, jak to możliwe, że to właśnie on wpadł do grobowca, odrzekł: „To kwestia talentu”. Miał całkowitą rację. Jestem pozbawiony talentu. Następnego dnia zdarzył się ten incydent w sypialni.

– Jak to w sypialni? Mówiłeś, że to się stało na ulicy.

– To właśnie znaczy łaciński termin *thalamus*: „sypialnia”, „łóże”, „łóże małżeńskie”.

Quinten spoglądał na oślepiający owal światła: opuścił już freski, przesunął się w dół i trochę w prawo, ku kaplicy z przedstawieniem Zwiastowania w czerwonobrazowych barwach. Zrobiło się tłoczno, ale nadal było cicho, zupełnie jakby gwar rozmów niby dym ulatywał przez otwór w kopule. Quinten westchnął ciężko. Nic nie zostało jego ojcu oszczędzone, wiele należy mu wybaczyć. Czy z każdym jest tak samo? Czy na tym właśnie polega życie? Skoro na koniec wszystko i tak okazuje się nic niewarte, to po co to właściwie jest? Czy jego też coś takiego czeka? Ta myśl wydała mu się nagle śmieszna. Oczywiście, że nie! Nie miał wprawdzie pojęcia, co będzie robił, ale kiedy już raz podejmie decyzję, to bez wątpienia doprowadzi wszystko do końca, nic ani nikt mu w tym nie przeszkodzi, tego był stuprocentowo pewny!

– Nie boisz się, że to się powtórzy?

– Masz na myśli wylew? – Onno wzruszył ramionami. – Najwyżej się powtórzy. Niezbyt się przejmuję swoim ciałem, zawsze miałem wrażenie, że to ktoś zupełnie inny. Coś w rodzaju zwierzęcia domowego. – Spojrzał na moment w górę, w stronę świetlnego otworu, przez który odleciał Edgar.

– No i co teraz robisz całymi dniami?

– Nic. Śpię. Coś piszę. Trochę rozmyślał, ale wszystko, co mi przychodzi do głowy, to same okropności. – Spojrzał na Quintena. – Mnie już nie ma, Quintenie. Czytałem kiedyś takie opowiadanie o kobiecie bez cienia, a ja jestem cieniem bez mężczyzny.

Niewątpliwie tak właśnie było. Quinten wręcz nie potrafił sobie wyobrazić, że ma przed sobą tego samego człowieka, który dawniej na takie pytanie wykrzyknąłby, wznosząc nad głowę palec wskazujący jak jakiś prorok: „Oddaję się rozumowi! Zewowi otchłani!” Chciał go spytać o kruka, który niedawno odleciał przez błękitną źrenicę, ale w tym samym momencie Onno też otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Quinten umilkł i już wiedział, że oto nadszedł ten moment.

– Maks też jest w Rzymie?

Quinten nie odpowiedział, ale cały czas patrzył mu prosto w oczy.

– Czemu nic nie mówisz?

Quinten drżał na całym ciele, widząc, jak wiadomość o śmierci Maksa dociera do ojca bez słów, tak jak woda przenika przez skały.

– Kiedy? – wykrztusił w końcu Onno.

– Kilka miesięcy temu.

– Jak?

– Trafiony przez meteoryt.

Onno w milczeniu patrzył w wypełnioną szeptami przestrzeń. Może to właśnie ta wiadomość, to, że mógłby usłyszeć tę właśnie wiadomość, była tym, przed czym uciekł cztery lata temu w obawie, że tego już nie potrafi znieść? Teraz jednak weszła ona do jego wnętrza jak pożywienie, które się spożywa – może dlatego, że na miejsce Maksa wrócił do niego Quinten? Po jakiejś minucie nabrał głęboko powietrza i rzekł:

- A więc on także.
- Co „on także”?
- Brak talentu.

Tego wieczoru w schronisku Quinten nie mógł zasnąć i przez cały czas miał przed oczami rysunek z pewnej książki, którą dostał kiedyś od Maksa na urodziny: raz widać było na nim jakby kontury wazonu, raz dwa profile zwróconych do siebie przodem twarzy: przestrzeń i materia bezustannie zamieniały się miejscami, materia stawała się przestrzenią, a przestrzeń materią. Kiedy wreszcie zapadł w sen, twarz ojca zniknęła, zniknęła też jego własna twarz – zostało tylko to, co było między nimi: wazon wypełniony płynnym powietrzem, błękitną wodą o temperaturze bliskiej zera absolutnego...

Kamienie Rzymu

Następnego ranka Quinten udał się pod adres, który dostał od Onna. Via del Pellegrino była stromą, wąską i krętą uliczką, wychodzącą na Campo del Fiori, duży plac z targowiskiem. Na rogu pod kawiarnią leżał stos śmieci, ale nie była to jeszcze dzielnica nędzy; pomarańczowe i czerwone fasady, mnóstwo sklepików z używanymi meblami, na przemian ze stoiskami, gdzie sprzedawano plastikowe przybory kuchenne, do tego warsztat naprawy pianin i mały sklepik spożywczy. Naprzeciwko sklepu z zegarkami znajdowało się przejście obwieszone lustrami w złożonych ramach, mające po obu stronach dwie starożytne zwietrzałe kolumny, których większa część musiała tkwić głęboko w ziemi; prowadziło ono do bramy, za którą leżało kameralne wewnętrzne podwórko, zastawione kwiatami w donicach oraz parkującymi tam skuterami i motorowerami. Pod ozdobnymi girlandami suszącego się prania pracował stolarz, zza rozchylnych okiennic dobiegały głosy i muzyka. Quinten szeroko otwartymi oczami wchłaniał w siebie to wszystko. A więc tak wyglądało to miejsce na ziemi, którego szukał przez wszystkie lata, a które przez cały czas istniało. Kiedy już się znalazł w tym miejscu, wydało mu się niepojęte, dlaczego wcześniej nie wiedział, że musi tutaj przyjechać.

Przez zewnętrzne schody, opisane przez ojca, wszedł na korytarz, w którym panował silny przeciąg i hałas powodowany przez bawiące się dzieci, przerywany od czasu do czasu głosami matek wykrzykujących „Paolo!” albo „Giorgio!”. Na najwyższym piętrze zobaczył uchylone drzwi mieszkania ojca. Niezdecydowany stanął na progu.

– Tato?

– *Entrez!*

Pochylny do przodu, z obnażonym torsem, Onno stał przy umywalce i mył zęby. Jego długie włosy były rozpuszczone, broda zmierzwiona; teraz dopiero było widać, jak bardzo utył przez ostatnie lata.

– Dzień dobry – powiedział z białą pianą na wargach, patrząc na Quintena w małym lusterku do golenia. – Chętnie bym powiedział: „rozgość się”, ale tu nie bardzo jest gdzie.

Bałagan nie zdziwił Quintena. Łóżko służyło zarazem jako szafa na ubrania, z kartonowych pudeł wylewały się trudne do nazwania rupiecie; galimatias wokół kuchenki gazowej w rogu pomieszczenia ledwie przypominał kuchnię. Nigdzie telefonu ani radia, nie mówiąc już o telewizorze. Wyrżał przez mansardowe okno nad biurkiem. Pofalowane morze dachówek rdzawego koloru, anten telewizyjnych i kościelnych wież, odcinające się od ciemnego błękitu nieba. W oddali dostrzec można było ogromnego anioła na szczycie Castel Sant' Angelo po drugiej stronie Tybru. Parapet pokrywała gruba warstwa ptasich odchodów.

– Ależ tu bałagan. Posprzątać ci?

– Nawet nie byłoby wiadomo, od czego zacząć. Ale jak chcesz, to proszę bardzo. Po prostu wszystko wywal, i koniec.

Nie rozmawiali już o Maksie. Kiedy Onno opowiadał o Edgarze, który w ostatnim czasie dotrzymywał mu towarzystwa, Quinten sprzątał na biurku, wypełnił dwa worki na śmieci różnymi odpadkami i zebrał brudne ubrania porozrzucane gdzie popadnie.

– Czemu dałeś mu na imię Edgar?

– To po Edgarze Allanie Poe. Napisał słynny poemat o kruku: *The Raven*. – Wyprostował się, popatrzył w okrągłe lustro wiszące na gwoździu wbitym w ścianę i wyrecytował: – *Other friends have flown before – on the morrow he will leave me as my Hopes have flown before. Then the bird said, Nevermore.* Ale jednak mnie opuścił i wydaje mi się, że już nie wróci. Może wystraszył się Panteonu? Jakoś się z tym pogodziłem, bo zamiast niego mam ciebie. – I zamiast Maksy, pomyślał jeszcze, ale zachował to dla siebie.

Obydwaj czuli się trochę niepewnie w nowej sytuacji, ale żaden z nich nie umiał znaleźć słów, żeby o tym porozmawiać. Zanieśli rzeczy do pralni kilka domów dalej i usiedli w kawiarnianym ogródku na rogu. Pośrodku zatłoczonego prostokątnego placu stał ponury pomnik mnicha w kapturze na głowie.

– Kto to? – spytał Quinten.

– Giordano Bruno.

Quinten skinął głową.

– Dzięki któremu wszechświat jest nieskończony.

– Maks ci to powiedział?

– Nie, pan Verloren van Themaat.

– A ty to zapamiętałeś.

– A czemu nie? Ja prawie wszystko pamiętam.

Zatopiony w myślach Onno patrzył przez chwile na pomnik.

– Tam jest miejsce, gdzie go spalili na stosie jako heretyka. – Wskazał laską tłum między straganami. – Wiesz, co to wszystko jest? To jest też wszystko, co nie jest.

– Tego nie rozumiem.

– Teraz świat jest już na dobre bezmaksowym światem.

Quinten wiedział, że dla ojca Maks znaczył o wiele więcej niż dla niego; że dawno temu łączyła ich taka przyjaźń, jakiej on sam nigdy nie doświadczył ani już nie doświadczy. Kątem oka patrzył na ojca. Jego głowa była nieco pochylona do przodu, bliskość ukrytej pod brodą twarzy z ciemnymi okularami na nosie miała w sobie coś nierealnego, zupełnie jakby jednocześnie był gdzieś w nieosiągalnej dali.

Z kawiarni wyszedł kelner, przywitał Onna jak starego znajomego i nazwał go „signor Enrico”. Wycierając blat stołu wilgotną ścierką, spojrział przez moment na Quintena i lekko unióśł brwi.

– To mój syn, Mauro – powiedział Onno po włosku. – Quintilio. Mauro podał Quintenowi rękę, nie zmieniając lekko ironicznego wyrazu twarzy. Widać było, że nie do końca w to uwierzył: ten stary dziwak przygadał sobie pewnie jakiegoś chłoptasia z Via Appia – ale niech mu tam będzie.

– Wszyscy znają mnie tutaj jako pana Enrico – wyjaśnił Onno, kiedy Mauro wrócił do kawiarni. – Enrico Delius – powiedział z nutą zażenowania w głosie. – Oni mnie tu biorą za Austriaka z Tyrolu.

Quinten skinął głową z takim wyrazem twarzy, jakby to wszystko było dla niego oczywiste.

– Ten Mauro tak jakoś dziwnie na mnie patrzył – stwierdził i opowiedział o awansach, jakie czyniono mu w Wenecji i Florencji, na co Onno spytał:

– Chyba nie zostawiłeś w Holandii jakiejś wielkiej miłości?

– Nie – odparł Quinten lakonicznie.

Te sprawy dla niego nie istniały i nie był skłonny o tym rozmawiać. Onno chciał mu powiedzieć, żeby lepiej tak już zostało, ponieważ każda miłość jest zarazem nieodwołalnie początkiem rozdzierającego końca, ale zdecydował, że jednak nie będzie go zarażał swoimi ponurymi myślami. One nie pasują do początku, tylko raczej do kresu życia. W milczeniu przyglądali się tłumowi na targu. Kiedy kelner postawił przed nimi *caffè latte* i croissanty, Onno powiedział:

– Chciałoby mi się jeszcze spróbować kiedyś krokietów z mięsem.

– Kiedy mnie tu bardziej smakuje. Żeby tak babcia mogła nas zobaczyć, jak sobie siedzimy przy śniadaniu.

– Zawiadomiłeś ją, że się spotkaliśmy?

– Nie, w ogóle jeszcze nie dałem znaku życia.

– Myślę, że na razie powinieneś to jednak zachować dla siebie.

– Dlaczego?

– Sam nie wiem... Inaczej wszystko dotrze do twoich wujków i ciotek, a nie wiem, czy tego chcę.

Quinten skinął potakująco głową. Spodobało mu się, że będzie dzielił z ojcem jakąś tajemnicę. Onno wsparł się na kolanie i zanurzył croissanta w kawie. Wciąż jeszcze nie do końca wiedział, co robić, ale nagle spytał:

– Co byś powiedział na to, żeby się do mnie wprowadzić? Nie wiem, jak długo zamierzasz pozostać w Rzymie, ale to przecież bezsens, żebyś siedział gdzieś w hotelu, kiedy możesz mieszkać u mnie. – A kiedy Quinten spojrział na niego zaskoczony, dodał: – Kupimy łóżko polowe, przyniesiesz swoje rzeczy i będziemy mieli problem z głowy.

Na twarzy Quintena pojawił się szeroki uśmiech. Nareszcie się spełnia: będzie mieszkał z ojcem!

Nigdy wcześniej nie spędził z Onnem tyle czasu jednym ciągiem. Każdego dnia chodzili razem do miasta. Kiedy po raz pierwszy znalazł się na placu Świętego Piotra, widok obelisku pośrodku okalających go kolumnad Berniniego uderzył go nawet bardziej niż imponujący fronton Bazyliki, która znowu kojarzyła się z zasadą zastosowaną w Panteonie.

– No i co ty na to? – spytał Onno. – Egipski obelisk w sercu chrześcijaństwa. To tutaj ukrzyżowali świętego Piotra do góry nogami, w cyrku Nerona. W Rzymie na każdym kroku można się natknąć na obelisk.

– Może... – zaczął Quinten – może ma to jakiś związek z egipską niewolą, z której Mojżesz uwolnił Żydów.

– A bo to wiadomo? – powiedział Onno ze śmiechem. – Ale taki związek może dostrzec niewątpliwie tylko ktoś z twoim niepowtarzalnym sposobem myślenia.

Quinten popatrzył na długi cień, rzucany przez obelisk niby przez słoneczny zegar, a potem na niezapisane płaszczyzny jego boków.

– Nic na nim nie ma. Chyba powinieneś coś na nim napisać.

Onno popatrzył na gładki granit, wskazał laską na jego czubek, a potem przy każdym słowie przesuwał ją coraz niżej:

– *Paut neteroe her resch sep sen ini Asar sa Heroe men ab maä kheroe sa Ast auau Asar.* To znaczy...

– Nie chcę wiedzieć. Zbyt ładnie brzmi.

Także dla Onna wszystko było tu nowe. Kiedyś bywał kilkakrotnie w Rzymie – ostatnio jako sekretarz stanu: poprzedzana przez policyjnych motocyklistów na sygnale rządowa limuzyna przewiozła go bez zatrzymywania się na czerwonych światłach z lotniska aż do Kwirynału – ale odkąd tutaj mieszkał, nie wychodził poza swoją dzielnicę.

W kolosalnej Bazylice pomógł Quintenowi przetłumaczyć pisane gigantycznymi literami słowa, ułożone koliście na kopule nad głównym ołtarzem:

TV ES PETRVS ET SVPER HANC PETRAM
AEDIFICABO ECCLESIAM MEAM

– W pierwszej chwili czytamy: „Ty jesteś Piotr, i na tym Piotrze zbuduję Kościół mój”. Ale trzeba ci wiedzieć, że *petra* to greckie słowo, które znaczy także „skała, opoka”. Grób Piotra znajduje się podobno pod tym ołtarzem i dlatego w tym miejscu zbudowano kościół – nie tylko tę budowlę, ale Kościół katolicki jako taki. Papieże uważają się za jego następców.

Zwiedzili Muzea Watykańskie i wspaniałą Kaplicę Sykstyńską, w której wolno mówić tylko szeptem, ale w której kardynałowie za swym Złotym Murem oczywiście wrzeszczą i hałasują, kiedy muszą wybrać ze swego grona nowego papieża, o ile oczywiście wcześniej nie posną od tego marudzenia. Na widok *Stworzenia Adama* Michała Anioła, wyłaniającego się w jasnych barwach z osiadłego przez wieki na sklepieniu ciemnobrązowego dymu świec, Onno przypomniał sobie nagle komunistyczną neonową wersję tego fresku przy La Rampa w Hawanie, osiemnaście lat temu, kiedy wszystko się zaczęło. Ale nie chciał o tym mówić.

– Czy twoim zdaniem Adam powinien mieć pępek? – spytał Quinten, kiedy wyszli z kaplicy. – Przecież nie miał matki.

– Jak to dobrze, że nie jesteś holenderskim pastorem, bo oni przez całe wieki odsądzali się nawzajem od czci i wiary za takie właśnie pytania.

Quinten zabierał go też w różne miejsca, w których Onno nigdy przedtem nie był, na przykład na Awentyn: „żeby popatrzeć przez dziurkę od klucza”. W małym uczęszczanym zakątku, na opadającym stromo ku Tybrowi zboczcu wzgórze, znajdowało się prostokątne, otoczone z trzech stron murem wybrzuszenie ulicy, ocienione cyprysami i palmami. Nazwa Piazza de' Cavalieri di Malta niezbyt do tego miejsca pasowała, ponieważ przypominało ono raczej niedokończoną świątynię. Byli sami i Quinten natychmiast poczuł przenikający go dreszcz, którego przyczynę doskonale znał: Zamczysko. Onno widział, że Quinten jest czymś zaabsorbowany, ale o nic nie pytał; Quinten powiedział tylko, że chodzi o pewien szkic Piranesiego. Gdy Onno przysiadł na kamiennej ławce, żeby uspokoić nieco zawroty głowy, Quinten chodził wzdłuż murów wysokich na cztery czy pięć metrów, rzucając od czasu do czasu okiem na kompas. Szczyt muru po dłuższej stronie południowej i krótszej zachodniej zdobiły obeliski, stele, plakiety i tajemnicze ornamenty, utrzymane w tak osobliwym stylu, czy raczej tak pozbawione stylu, że aż trudno mu było w to uwierzyć. Liry, kule, trójkąty, hełmy, krzyże, miecze, skrzydła, fletnie Pana. Po stronie północnej mur przechodził w bramę prowadzącą do klasztoru Kawalerów Maltańskich: rozległy architektoniczny twór z manierycznymi ozdobami, ślepymi niszami w funkcji okien i szeregiem wielkich urn, ustawionych na szczycie, który na pierwszy rzut oka skojarzył mu się z Palladiem, potem jednak wydał mu się równie osobliwy jak reszta murów. Cały ten uświęcony obszar oddychał atmosferą *Carceri*, niekończących się lochów Piranesiego, które pokazywał mu pan Themaat, ale też tą znaną mu z jego własnych snów – wszystko to wplecione ściśle w prostokątną osnowę. Pochylił się i popatrzył przez słynną dziurkę od klucza w bramie. Hen w oddali, dokładnie na osi długiego, równo przyciętego żywopłotu z krzewów wawrzynu, widać było kopułę Bazyliki Świętego Piotra. Nic dziwnego, że dla wielu ludzi to właśnie był ś r o d e k ś w i a t a , ale nie dla niego.

Chciał pomachać ojcu, ale kiedy zobaczył go po drugiej stronie, siedzącego samotnie z laską, jak bezdomny pijaczek szukający jedzenia w koszach na śmieci, zrezygnował. Opuszczony placyk leżał rozgrzany w mętym blasku wiosennego słońca. Los wreszcie połączył ich ze sobą, ale kiedy się to już stało, Quinten uświadomił sobie, że więcej ma wspólnego z kamieniami Rzymu niż z własnym ojcem. Także wieczorami, już na Via del Pellegrino, rozmawiali niewiele i nigdy o przeszłości; ta bowiem zdawała się w jakiś sposób być po drugiej stronie bariery, której żaden z nich nie zamierzał przełamywać. Wiedział jednak na pewno, że muszą ze sobą zostać, jak dwaj skazani na siebie towarzysze niedoli.

Spojrzeli po sobie. W tym chłopaku kryje się coś nieubłaganego, pomyślał Onno. Coś nieludzkiego. Jakiś kosmiczny chłód.

Na Piazza Venezia policjant w białym hełmie kierował ruchem tak fascynująco nieomylnymi gestami, że Onno od razu przypomniał sobie swoją teorię o cielesności władzy. Aby się jednak nie dać odstraszyć, stanął na skraju chodnika, uniósł w górę sękatą laskę i ze śmiechem zaczął sobie torować drogę między jadącymi samochodami, jakby przedzierał się przez rozpedzone stado trąbiących słoń. W kilka minut później zanurzyli się w spokojnych odmętach przeszłości.

Forum Romanum, długi ciąg białych i rdzawych ruin, mniejszych i większych fragmentów potrzaskanych murów, zielska, poprzewracanych kolumn, kamieni, dziur, resztek budowl, wszystko przejechane otwartą dłonią czasu, dla Onna było żalonym obrazem jego własnego życia, na Quintenie natomiast wywierało zupełnie inne wrażenie. Widok ten wywoływał w jego piersi dziwne podniecenie, jakie inni chłopcy odczuwają być może w czasie pokazów lotniczych, kiedy tuż nad ich głowami przelatują formacje odrzutowców. Znowu przypomniało mu się Zamczysko, ale tym razem „w formie, jaką zapamiętywał po przebudzeniu. Był coraz bliżej czegoś, gdzieś tam było coś, co na niego czekało! Ale gdzie? Co to takiego jest? Wzdłuż krawędzi odsłoniętych podziemi z hukiem pędziły samochody po Via dei Fori Imperiali, po drugiej stronie wznosiło się mroczne, groźne zbocze Palatynu, gdzie stały cesarskie pałace; słońce okrężało kolumnę Fokasa, a oni godzina za godziną wędrowali po drogocennych gruzach. Po pienistej lekkości Wenecji, unoszącej się na wodzie jak korek, i po masywnej zwartości Florencji tutaj rzeczy były tak ciężkie, że zapadły się w ziemię na wiele metrów. Słuchając Onna, z przewodnikiem Istituto Poligrafico delio Stato w lewej ręce i palcem wskazującym na właściwej stronie, Quinten chłonał ruiny, które w jego oczach układały się, przesuwały i nabierały pewnego porządku. Comitium. Regia. Ceglana budowla o nietrafionych proporcjach, brzydtko zagrządzająca drogę przy Łuku Triumfalnym Septymiusza Sewera, która aż się prosiła, żeby ją wyburzyć, okazała się nagle Gurią, siedzibą rzymskiego senatu; jak informował przewodnik, jej dawne spiżowe drzwi znajdują się obecnie w Bazylice Laterańskiej.

– Co to jest Lateran? – spytał Quinten.

– W średniowieczu była to siedziba papieży, zanim przeprowadzili się do Watykanu.

– W takim razie tam też musimy pojechać.

– Oczywiście – zgodził się Onno. – Wystarczy, że powiesz. To niedaleko stąd, w tamtą stronę, za Koloseum. Tyle że pierwotny pałac już nie istnieje.

Z każdym krokiem po wielkich kamiennych płytach Via Sacra, Świętej Drogi, Forum Romanum przemieszczało się w inne stulecie. Każda strzaskana kolumna, jak opowiadał Onno, każdy okruch murów, każdy kawałeczek marmuru lśniący w słońcu na wyschłej trawie był bezustannie obracany na wszystkie strony w tysiącach publikacji, aż wreszcie przydzielono mu konkretne miejsce w historii: początek naszej ery, III wiek po, VI wiek przed, renesans, średniowiecze. Monstrualne ruiny, które Quinten uważał za jakąś pozostałość drugiej wojny światowej, nagle okazały się Bazyliką Maksencjusza. Trzy zachowane kolumny świątyni Wespazjana, z fragmentem potrzaskanego architrawu na górze: Onno wyciągnął rękę w tamtą stronę i powiedział, że to właśnie jest absolutny w swej skończoności obrazkowy symbol antyku. Okrągła, odrąbana pionowo przez środek i do połowy zmieciona przez czas świątynka bogini Westy. Łuk Triumfalny Tytusa, zamykający Via Sacra w jej najwyższym punkcie, obok Koloseum.

Onno wskazał Quintenowi fryz w przejściu pod łukiem, przedstawiający triumfalny powrót oddziałów Tytusa spod Jerozolimy po zdobyciu miasta w roku 70 naszej ery. Tytus był synem cesarza Wespazjana i przeżył ojca zaledwie o dwa lata. Mimo uszkodzeń relief jest mistrzowskim przedstawieniem żołnierzy, którzy maszerowali przez Forum tą samą drogą, na której teraz stoją oni, przedstawieniem pełnym ruchu, zupełnie jakby jeszcze słyhać było muzykę i okrzyki wiwatujących tłumów, nad ich głowami trofea z ograbionej żydowskiej świątyni: srebrne trąby, złoty stół na chleby pokładne oraz złoty siedmioramienny świecznik.

– Co to są „chleby pokładne”?

– Ofiary – wyjaśnił Onno. – Dwanaście okrągłych chlebów z mąki niekwaszonej, w dwóch stosach po sześć. W każdy szabat chleby się zmienia, a stare zostają spożyte przez kapłanów. W chrześcijaństwie odnajduje się tę tradycję w nieco innej formie. Chrystus powiedział, że jego ciało to święty chleb.

– Naprawdę tak powiedział? Że jest z chleba? W takim razie jego samego też pewnie zjedzono?

– Jak najbardziej. Nadal jest to punkt kulminacyjny każdej katolickiej mszy.

– W takim razie katolicy są kanibalami!

– Twój dziadek też to zawsze powtarzał, ale kanibale to ludożercy, natomiast katolicy uważają, że spożywają ciało Boga.

– Może z kanibalami jest podobnie?

– Niewykluczone. Ponieważ jednak koniec końców katolicy zjadają po prostu chleb, a nie ludzi, to są co najwyżej kimś w rodzaju wysublimowanych kanibali, albo raczej należałoby powiedzieć: transsubstancjalnymi kanibalami. Dziwne jest w każdym razie to, że tego magicznego spożywania ciała Boga nie ma w nabożeństwie żydowskim. Wygląda na to, że ów zwyczaj wywodzi się z Egiptu, z kultu Ozyrysa, który też zresztą zmartwychwstał. W świątyni jerozolimskiej składano tylko ofiary z jagniąt, a Chrystus powiedział, że sam również jest barankiem ofiarnym. Ponadto porównuje swoje ciało także do samej świątyni.

– Widocznie budowla zrobiła na nim wrażenie.

– Pewnie tak.

Jeśli Panteon jest przedstawieniem wszechświata, pomyślał Quinten, to widocznie świątynia jerozolimska była przedstawieniem człowieka. Łącznie były wszystkim.

– A świecznik?

– To był święty przedmiot Żydów. Menora. Sam Bóg we własnej osobie poinstruował Mojżesza, jak trzeba ją wykonać.

– I Rzymianie tak po prostu to sobie zabrali? – Jak widzisz. Wprawdzie świecznik nie jest tutaj przedstawiony tak do końca jak należy, niemniej jednak z jakiegoś powodu Izrael obrał go za godło państwowe.

Quinten przyglądał się wysokiemu prawie na człowieka świecznikowi.

– A gdzie on teraz jest?

– Nikt tego nie wie. Pewnie został zrabowany przez Wandalów w V wieku naszej ery. To takie plemię germańskie, które miało swoje własne państwo w Afryce Północnej. Od nich wzięło się określenie „wandal”. – Kiedy to powiedział, poczuł, że ogarnia go wielkie zmęczenie.

Urwane kapitele, bruk, wydeptane schody, inskrypcje, grotty... Wszędzie czyhające na siebie zdziczałe koty. To tutaj był kiedyś środek świata, rozmyślał Quinten, środek świata, do którego prowadziły wszystkie drogi, nie tylko ta, którą Tytus wracał z Jerozolimy, ale także jego własna, zaczynająca się w Westerbork – ale to chyba jednak co innego niż t a m t e n środek świata z jego snu. A może nie? Przystanął na drugim końcu Forum Romanum, przy Lapis Niger, Czarnym Kamieniu.

Tajemnica! Nikt nie znał znaczenia tego czworokątnego bloku kamienia, tam w zagłębieniu, niczym w pępku. Według przewodnika mogło to mieć jakiś związek ze zrzuceniem hegemonii etruskiej, a może był to grobowiec Romulusa, mitycznego pierwszego władcy Rzymu z VIII wieku przed Chrystusem. Już w czasach Juliusza Cezara było to święte miejsce. Zszedł kilka stopni w dół, z każdym stopniem o stulecie głębiej w przeszłość, i ukląkł przy zwietrzałym, graniastym bloku, pod Czarnym Kamieniem, gdzie widniały resztki starożytnych inskrypcji. Chciał poprosić ojca, żeby mu je odczytał, ale Onno został na górze.

– Tato! – zawołał. – Możesz tu przyjść? Co tu jest napisane?

Onno patrzył z góry w jego stronę, ocierając rękawem czoło.

– Pewnie jakiś rytualny napis. To bardzo archaiczna łacina, a napis jest prawie nieczytelny. Wiadomo tylko tyle, że kto zbezczęści to miejsce, będzie przeklęty, wracaj więc na górę.

– Czemu nie zejdziesz tu na chwilę?

– Słuchaj, zdaję sobie sprawę, że jesteś dziedzicznie obciążony, Quintenie, ale ja już nie chcę mieć nic wspólnego z żadnymi napisami. Powinieneś to jakoś zrozumieć. Chodźmy już. Mam zawroty głowy.

Następnego dnia, w niedzielę Zielonych Świątek, zmieniła się pogoda. Ciemnogrnatowe chmury płynęły szybko nad miastem, z oddali słychać było od czasu do czasu głucho dudnienie. Po śniadaniu u Maura Quinten chciał od razu jechać do kościoła San Pietro in Vincoli, jakby był tam umówiony i za nic nie mógł się spóźnić. Średniowieczny kościół stał w miejscu, gdzie w czasach rzymskich była prefektura, w której zakuto w kajdany Piotra i Pawła, na cichym, zamkniętym placu niedaleko Forum Romanum; czarne wejście przypominało mu mysią dziurę.

Chociaż w kościele nie odbywała się msza, wszędzie na ławkach siedzieli zatopieni w modlitwie ludzie. Rozglądał się wokoło, szukając wzrokiem w półmroku – i nagle odkrył w prawej bocznej nawie postać, z którą od dawna już miał umówione spotkanie. Ze zdumieniem wpatrywał się w resztę, jaka pozostała po odłupaniu przez Michała Anioła zbędnego marmuru: rogaty *Mojżesz*, którego tak dobrze znał z fotografii przypiętej pinezką do belki w pracowni Theo Kerna – jeden wielki kłęb siły, w dodatku jeszcze potężniejszy, niż to sobie wyobrażał, z wyrazem twarzy jeszcze bardziej wściekłym, pokryta grubymi żyłami dłoń wczepiona gwałtownym gestem w brodę. Przy pulpicie informacyjnym stał chłopak z dziewczyną, niemal ucho przy uchu, słuchawka między nimi, i patrzyli na kipiącą gniewem postać.

– Ten to jest dopiero wkurzony – powiedział Quinten cicho. Onno roześmiał się.

– Bardziej na miejscu jest tutaj określenie „pałający gniewem”, no ale miał po temu powody.

– A jakie?

Onno spojrzął na niego lekko zaniepokojony.

– Chyba znasz trochę Biblię?

– Ale tylko trochę. Ze Starego Testamentu prawie nic.

– Nic nie szkodzi. Od tego masz ojca, który zna go na pamięć, przynajmniej kiedyś tak było. Wszystko dzięki tysiącom godzin czytania Biblii z ojcem, na lekcjach religii w szkole i na zajęciach przed konfirmacją. Pewnie wiesz przynajmniej tyle, że Mojżesz wyprowadził Żydów z niewoli egipskiej. Potem uciekinierzy przez czterdzieści lat błękali się po pustyni w poszukiwaniu Ziemi Obiecanej. Na początku tego okresu Jahwe przez czterdzieści dni i nocy udzielał Mojżeszowi wszelkich możliwych instrukcji na górze Horeb – między innymi na temat siedmioramiennego świecznika, który wczoraj widziałeś na Łuku Triumfalnym Tytusa. Na koniec Mojżesz otrzymał... – W tym momencie kościół rozjaśnił nagły blask błyskawicy, z niemal jednoczesnym przeraźliwie głośnym hukem gromu, który z dudnieniem przetoczył się nad miastem niby żelazna kula, wielka jak kopuła Panteonu. Onno spojrzął na Quintena z wyrazem zdumienia na twarzy i rzekł: – Co za idealne zgranie w czasie!

Wyglądało na to, że Quinten nie bardzo pojmuje aluzję.

– No to co otrzymał na koniec?

– Na koniec otrzymał dziesięcioro przykazań, które Jahwe własnym palcem napisał na dwóch kamiennych tablicach. Mam nadzieję, że o dziesięciorgu przykazaniach przynajmniej słyszałeś? Dekalog, mówi ci to coś?

– Oczywiście. „Nie zabijaj”.

– No, to jest akurat błędne, chrześcijańskie tłumaczenie. W oryginale jest „Nie morduj”: *Lo tirtsach*. Zabijać wolno, w pewnych okolicznościach. Nieważne, w każdym razie Mojżesza nie było ponad miesiąc, Żydzi już myśleli, że coś mu się stało, i w tym czasie zaczęli czcić złotego cielca zamiast Jahwe. To dlatego Mojżesz zapałał takim gniewem, że aż rozbił kamienne tablice. Ten właśnie moment uwiecznił Michał Anioł.

Quinten popatrzył na tablicę pod pachą Mojżesza, którą zawsze uważał za teczkę, taką samą jak te, w których Theo Kern trzymał swoje szkice.

– A potem?

– No, potem musiał jeszcze wrócić na górę po nowe dwie tablice, za których wykonanie tym razem sam już zapłacił. O ile dobrze pamiętam, w Biblii nie jest tak wyraźnie powiedziane, czy Bóg znowu własnoręcznie zapisał przykazania na tablicach, czy też już tylko dyktował. Gdybym był skrybą, to też nie chciałoby mi się robić dwa razy tego samego.

– A te śmieszne różki na głowie? Co one znaczą?

– Znowu złe tłumaczenie.

– Znowu złe tłumaczenie?

– Kiedy Mojżesz zszedł z góry po raz drugi, jego twarz tak przeraźliwie promieniowała od rozmowy z Bogiem, że okrył ją welonem. Ale hebrajskie słowo „promienieć” można też przełożyć jako „mieć rogi”, chociaż to oczywiście zupełnie bez sensu.

Quinten skinął w zamyśleniu głową i spojrzął na posąg.

– To by znaczyło, że właściwie powinno się te różki odrąbać. Onno spojrzął na niego zdumiony.

– Patrzysz takim wzrokiem, jakbyś naprawdę był w stanie to zrobić.

– A czemu nie? Przecież to zwykła pomyłka w języku!

– No, raczej w marmurze.

Quinten miał wrażenie, jakby wszystko zaczynało się jakoś układać, tylko co to takiego mogło być? Kiedy podniósł oczy na marmurowego dzikusa, poczuł wlepiony w siebie wzrok ojca.

– Czemu tak na mnie patrzysz?

– Czy ty właściwie wierzysz w Boga, Quintenie?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. A ty?

– Odkąd zacząłem się nad tym zastanawiać, już nie.

– Ile miałeś lat, kiedy zacząłeś się zastanawiać?

– Mniej więcej tyle, co ty teraz. – Przed oczami stanęła mu scena sprzed trzydziestu pięciu lat, w jego rodzinnym domu, w pokoju, gdzie na specjalnym pulpicie leżała Biblia. Włożywszy niedzielne ubranie, uroczyście poinformował ojca, że długo wahał się między sformułowaniami: „nie wierzę, że Bóg istnieje” a „wierzę, że Bóg nie istnieje”, i że jako wierzący zdecydował się na drugą wersję. Ciskające błyskawice oczy ojca, płacząca matka... Odkąd jednak jako już niewierzący wybrał pierwszą wersję, przestał myśleć o przeszłości.

– I co masz teraz w programie? – spytał Onno.

Niedawny grom najwyraźniej był jednocześnie początkiem i końcem burzy, przez chmury zaczęło przebijać słońce, od czasu do czasu jasny blask rozświetlał na chwilę wnętrze kościoła.

– Mielśmy chyba jechać na Lateran?

Onno przyglądał się Quintenowi przez kilka sekund.

– Czego ty szukasz, chłopcze? Quinten wzruszył ramionami.

– Niczego. Jestem zwykłym turystą.

55

To miejsce

Kiedy dziesięć minut później Quinten wysiadł z taksówki na Piazza San Giovanni na Lateranie, nie wierzył własnym oczom. Stał pod katedrą obok ośmiokątnego baptysterium Konstantyna i z rozwiewanymi przez wiatr włosami spoglądał na rozległy plac. Oto i ona! Oprawiona w ramki rycina Piranesiego, która stała u pana Themaata na podłodze, oparta o regał! Powinien o tym wiedzieć, ale ani przez moment się nie spodziewał, że naprawdę go tutaj zobaczy: wysoki jak wieża obelisk, wyglądający jak rakieta przed wystrzeleniem na Księżyc; sto metrów dalej renesansowa budowla o dwóch kondygnacjach, w której znajdowało się Sancto Sanctorum, prywatna kaplica średniowiecznych papieży i Święte Schody z pretorium Poncjusza Piłata w Jerozolimie. Piaszczysta nawierzchnia ustąpiła wprawdzie miejsca asfaltowi, po którym pędziły samochody, ale z szarymi strzępami chmur na plamach błękitu nawet niebo wyglądało jak na rycinie.

Onno spojrział na obelisk. Też nigdy tutaj nie był; zadzierając głowę i w zamyśleniu gładząc brodę, przyglądał się hieroglifom.

– Umiesz to przeczytać?

– Właśnie zauważyłem, że mam z tym pewne trudności. Wygląda mi to na ceremonialny traktat o wiecznym życiu faraona Totmesa czy inaczej Tutmosisa III.

– Znowu ktoś mający w imieniu Mojżesza.

– No ale w tym wypadku starszego o paręset lat od tego żydowskiego. To – powiedział Onno, wskazując palcem obelisk – to niemal z całkowitą pewnością najstarszy artystyczny pomnik na terenie Europy. Mówimy tu o mniej więcej trzech i pół tysiąca do czterech tysięcy lat.

Onno wyjaśnił Quintenowi, że Mojżesz, czyli Moses lub Mosis, to imię egipskie i znaczy tyle co „dziecko”, „syn”. Gdy faraon nakazał wymordować wszystkich żydowskich chłopców, matka Mojżesza włożyła swojego nowo narodzonego synka do koszyka i ukryła w trzcinach na Nilu; koszyk był upleciony z papirusu, ponieważ krokodyle rzekomo brzydziły się tą rośliną. Siostra Mojżesza zobaczyła, że chłopca znalazła córka faraona, i zaraz powiedziała księżniczce, że zna doskonałą mamkę dla znajdy, mianowicie swoją matkę. I tak to się stało. Księżniczka dała dziecku na imię „dziecko” i Mojżesz został wychowany przez własną matkę, o czym nikt nie wiedział. Ponad tysiąc lat później, opowiadał dalej Onno, niejako w lustrzanym odbiciu tych wydarzeń, Maria i Józef uciekli ze swoim synem właśnie do Egiptu, żeby uniknąć rzezi niewiniątek, jaką zarządził w Betlejem Herod – i o ile mamka Mojżesza była w rzeczywistości jego własną matką, o tyle prawny ojciec Jezusa nie był jego prawdziwym ojcem.

– W tych kręgach stosunki rodzinne bywają często dość skomplikowane – zakończył.

– Zwiastowanie – pokiwał głową Quinten.

– Ty to powiedziałaś. Tutmosis oznacza zatem „dziecko boga Tota”. To był wynalazca pisma.

– Masz taką minę, jakbyś naprawdę w to wierzył.

Onno wzruszył ramionami.

– Były kryptograf też potrzebuje swojego Boga, nie wolno? A poza tym co to znaczy „naprawdę wierzyć”? Znasz opowieść o Nielsie Bohrze, tym wielkim fizyku? Maks mi ją opowiedział. Inny wielki fizyk, Wolfgang Pauli czy ktoś w tym rodzaju, przyjechał podobno do letniego domu Bohra i zobaczył przybitą nad drzwiami wejściowymi podkowę. „Ależ profesorze! – wykrzyknął. – Pan i podkowa? Pan w to wierzy?” Na co Bohr odrzekł: „Oczywiście, że nie. Ale wie pan co, Pauli, powiadają, że to pomaga nawet wtedy, kiedy się nie wierzy”. – Onno wybuchnął śmiechem i Quinten domyślił się, że pewnie przypomniał sobie sposób, w jaki Maks opowiadał tę anegdotę. – Na pewno pamiętasz, synu, że „obelisk” to było pierwsze słowo, jakie wypowiedziałeś w życiu? Tam, przy grobowcu tego konia, w Groot Rechteren.

Deep Thought Sunstar – pomyślał Quinten. Nie przypominał sobie tego momentu, ale nagłe przywołanie zamku tu, na tym placu, i to przez jego własnego ojca, wywołało w nim takie wrażenie jak wypicie szklanki ciepłego mleka w mroźny zimowy dzień.

– Czasami – mówił, kiedy szli razem w stronę bocznego wejścia do katedry – wydaje mi się, że świat jest strasznie skomplikowany, ale że za nim kryje się coś znacznie prostszego, a zarazem niepojętego.

– Na przykład?

– Sam nie wiem... kula. Albo punkt.

Onno rzucił mu z góry krótkie spojrzenie.

– Mówisz teraz o opowieściach takich jak ta o Mojżeszu, czy raczej o rzeczywistości?

– A to aż taka różnica?

Może opowieść to po prostu całkowite przeciwieństwo rzeczywistości, pomyślał Onno, ale jednocześnie miał poczucie, że nie powinien mu teraz mieszać tym w głowie.

– A ta kula czy ten punkt, czy one nie nadają rzeczywistości sensu?

– Sensu? Co masz na myśli?

Onno milczał. Myśl o tym, że cokolwiek miałyby nadawać sens światu, była mu zupełnie obca. Świat istniał, ale jego istnienie było kompletnie pozbawione sensu. Równie dobrze mogłoby go nie być. Usłyszawszy od Quintena o kuli, od razu przypomniał sobie o pierwszej błyszczącej kuli, jaką w Los Alamos polerowali młodzi żołnierze, chodzący wieczorami na tańce w towarzystwie swoich dziewczyn. Jak rozżarzony chaos Hiroszimy ma się do tej platońskiej bryły? Jednego nie sposób pojąć z perspektywy drugiego, chociaż z niego się właśnie wzięło. Jak zrozumieć człowieka z perspektywy zapłodnionego jajeczka? Jak w ogóle można pojąć cokolwiek? Rzeczywistość to nie sylogizm à la Sokrates: „Sokrates jest człowiekiem – wszyscy ludzie są śmiertelni – zatem Sokrates jest śmiertelny”, tylko raczej: „Helga jest człowiekiem – wszystkie budki telefoniczne są zdewastowane – zatem Helga musi umrzeć”. Albo: „Hitler jest człowiekiem – wszyscy Żydzi to zwierzęta – zatem wszyscy Żydzi muszą umrzeć”. Lepiej będzie, jak Quinten sam odkryje tę niepojętą logikę, która opanowała wszystko, zarówno to, co dobre, jak i to, co złe, i to, co neutralne. Nie uważał za stosowne mącić czystości tego chłopca. Ktoś, kto nie rozumie znaczenia słowa „sens”, powinien jak najdłużej pozostać w tej nieświadomości.

W pełnej ludzi Arcybazylice – „matce i głowie wszystkich kościołów na świecie” – odbywało się właśnie nabożeństwo, celebrowane przez kardynała w purpurze; na palcach przeszli do przodu. Chłodne barokowe wnętrze rozczarowało Quintena; ze średniowiecznej budowli z czasów cesarza Konstantyna zostało równie niewiele, co z dawnego pałacu papieży. Spodobał mu się tylko wyglądający tajemniczo główny ołtarz z gotyckim daszkiem. W jego górnej części, w klatce z ozdobnych tralek, stały posągi Piotra i Pawła, pod nimi miały podobno spoczywać ich głowy. Quinten podniósł wzrok znad stron przewodnika.

– Czy oni się przyjaźnili? – spytał szeptem.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Kiedy człowiek zajmuje się takimi sprawami, jakimi zajmowali się oni, to chyba nie ma tam już miejsca na przyjaźń. W religii jest podobno tak samo jak w polityce.

Quinten znowu wlepił wzrok w zamkniętą, pokrytą malowidłami część cyborium, w którym miały spoczywać relikwie. Miał wrażenie, jakby wręcz widział znajdujące się tam czaszki.

– Chciałbym móc tam kiedyś zajrzeć.

– Nic z tego, przyjacielu.

Błysnął flesz: ktoś zrobił zdjęcie zwracającej uwagę parze: włóczędze z cudownej urody młodzieńcem. Onno odwrócił się z wyrazem paniki w oczach. To jakaś młoda Japonka w czarnym przeciwdeszczowym kapeluszu na głowie; właśnie poszła sobie dalej, zupełnie jakby to było wolno, bez pytania przywłaszczyc sobie czyjś obraz. Chwilę później zatrzymał ją kościelny i kręcąc przecząco głową, pokazał na jej aparat.

– Czemu się tak przestraszyłeś, tato?

Onno zrobił bezradną minę.

– Przepraszam, to taki głupi odruch. Każda holenderska bulwarówka z przyjemnością zapłaciłaby tysiąc guldenów za to zdjęcie. Tego rodzaju reakcje budzą się w człowieku, kiedy przez długie lata ukrywa się przed wszystkimi.

– Ale właściwie już tak nie jest?

– Nie, Quintenie, już nie. Ale jak jest naprawdę, to szczerze mówiąc, sam nie wiem. Zobaczmy. – Nie chciał się nad tym zastanawiać; najchętniej zawsze w ten właśnie sposób chciałby spędzać z Quintenem dni w Wiecznym Mieście. – Dokąd teraz?

– Na drugą stronę.

Ogromne spiżowe wrota rzymskiej Curii, które stanowiły teraz główne wejście, były zamknięte; wyszli na zewnątrz przez boczne drzwi. Quinten odwrócił się na chwilę i spojrzał w górę. Odcinając się ostro na tle nieba, na górnym gzymsie Bazyliki stały obok siebie wielkie postacie, gestykulujące z przejęciem, jakby działo się coś niezwykłego.

Przeszli na skos zatłoczony, wietrzny plac i przy wejściu do budynku Sancta Sanctorum Quinten zatrzymał się, by spojrzeć przez otwarte drzwi do środka. Na prawo od niego, po drugiej stronie wysokiego portalu, znajdowały się Święte Schody.

*

Przeszedł go dreszcz. Mając za plecami zgiełk ulicy, zaglądał w świat, w którym było cicho jak w akwarium. Na niezbyt stromych schodach, szerokości niecałych trzech metrów, klęczało kilkanaścioro kobiet i mężczyzn, zatopionych z pochylonymi głowami w modlitwie, zwracając ku niemu plecy i podeszwy stóp. Był w nich bezruch ludzi na ruchomych schodach, tylko że te schody nie były ruchome, one tkwiły w miejscu; od czasu do czasu ktoś mozolnie, na kolanach wspinał się na następny stopień. Ściany i półokrągłe sklepienie pokryte były pobożnymi freskami; architekt tak zaprojektował tę klatkę schodową, że powstało wrażenie, jakby schody były poziomym długim korytarzem, z punktem zbiegu w pępku ukrzyżowanego Chrystusa. Schody pokryto drewnem, ale niewielkie szpary ukazywały marmur, po którym miał rzekomo stąpać podsądny.

– Teraz ty z kolei wyglądasz, jakbyś się otarł o transcendencję – powiedział Onno ironicznie, kiedy weszli do środka. – Tylko mi nie mów, że naprawdę wierzysz, jakoby te schody pochodziły z Antonii, zamczyska niejakiego Poncjusza Piłata.

Na dźwięk słowa „zamczysko” w tym właśnie miejscu i w tym właśnie momencie Quinten aż się wzdygnął.

– Tak jak ci ludzie tam? Absolutnie nie. Albo raczej, zupełnie nie zastanawiam się nad tym, czy są prawdziwe. Ale nie wiem... – zaczął, rozglądając się dokoła – ...mam takie wrażenie, jakby opowiadała się tu jakaś historia.

U staruszka zakonnika siedzącego za stołem kupił folder o kaplicy. Gdy odliczał pieniądze, drugi staruszek zakonnik głośno zastukał stuliorową monetą w szybę okienka i wykonał niedwuznaczny gest, zakazujący wstępu człowiekowi, który myślał, że wejdzie do świątyni w krótkich spodniach. Ten zakonnik również miał na czarnym habicie naszyte na wysokości piersi białe serce z napisem JESU XPI PASSIO, zwieńczone krzyżem.

– Aha, masz na myśli opowieść „Cóż to jest prawda”, o umywaniu rąk, „Ecce homo”, te rzeczy? – spytał Onno przytłumionym głosem, kiedy szli w stronę schodów i zatrzymali się w należytym odległości.

Tę biblijną opowieść Quinten znał jednak bardzo słabo. Nabrał powietrza, żeby coś powiedzieć, ale w końcu nic nie rzekł, tylko pokręcił głową – tak naprawdę też nie bardzo wiedział, co ma na myśli.

– Sam nie wiem, dajmy temu spokój. W każdym razie jakaś historia, której częścią są ci ludzie – ruchem głowy wskazał klęczących – co modląc się, wczołgują na górę, do ipsylonu.

– Do ipsylonu?

– Do ukrzyżowanego Chrystusa na fresku przy końcu schodów. Przecież on ma formę ipsylonu.

– A niech cię – powiedział Onno. – Litera Pitagorasa. – Spojrzał z uznaniem na Quintena. – Bystry jesteś. A wiesz, że taki widlasty krzyż znajduje się też na ceremonialnych szatach biskupów? Może dokonałeś jakiegoś odkrycia?

Quinten zupełnie go nie słuchał.

– Mam poczucie, jakby ten budynek sam coś opowiadał – stwierdził.

– Mówisz zagadkami. Ale tutaj to chyba nawet jest na miejscu.

– Na razie sobie to przeczytam.

Pod jedną z kolumn Quinten usiadł na marmurowej posadzce i otworzył folder, od razu jednak rozbrzmiał czyjś skrzekliwy głos, nakazujący mu wstać. Kolejny zakonnik, też stary i odziany na czarno, jak ci poprzedni, siedział pośrodku pomieszczenia na drewnianym krześle i kiwał groźnie bladym palcem. Dziwiąc się w duchu temu nagłemu podekscytowaniu Quintena, Onno oglądał rzeźby i obrazy przy wejściu. W tym czasie Quinten czytał krótki tekst, zakończony dwudziestoma ośmioma modlitwami, przypisanymi do każdego ze stopni Świętych Schodów.

Po kilku minutach podniósł wzrok.

– Tato?

– Słucham.

– Już wszystko wiem.

– No to sporo.

– Sprawa wygląda tak, że według średniowiecznej legendy schody zostały sprowadzone w IV wieku przez cesarzową Helenę z Jerozolimy na Lateran. Helena była matką Konstantyna.

– Wiem. Miał za żonę niejaką Faustę; pobożny chrześcijański cesarz kazał ją potem zamordować. – Spojrzał na Quintena z krzywym uśmiechem.

– Kiedy papież powrócił z niewoli awiniońskiej, w XIV wieku, pałac w dużej części był spalony i wtedy za swoją główną siedzibę obrali Watykan. W XVI wieku Sykstus V kazał wyburzyć pałac na Lateranie, z wyjątkiem tej papieskiej kaplicy na górze. Architekt – Quinten zajrzał do folderu – Domenico Fontana przeniósł tutaj schody. Z niewiadomych powodów działo się to w nocy, przy blasku pochodni.

– Widocznie unikał dziennego światła.

– Schody układano od góry do dołu, bo inaczej robotnicy musieliby na nich stawać.

– To zrozumiałe.

Quinten wykonał kolisty ruch ręką, patrząc wokół.

– Wyobraź sobie: wszystko zniszczone, cały wielki pałac, w którym przez tysiąc lat mieszkali papieże, została tylko ta kaplica ze schodami. Budynek postawiono, niejako otulając nim kaplicę.

– Co w tym dziwnego? W całym Rzymie tak robiono.

- No a ci czołgający się po schodach ludzie? Przecież to nie jest po prostu muzeum, jak wszystko inne tutaj! Tu cały czas coś się dzieje, prawda? Zupełnie jakby w górze była scena, na której odegrane zostanie jakieś misterium. Popatrz na to zakratowane okno pod obrazem przedstawiającym ukrzyżowanie, do którego oni wszyscy zmierzają. Wygląda jak okno więziennej celi. Chodź, pójdziemy zobaczyć.

- Słuchaj, chyba nie myślisz poważnie, że będę wchodził na kolanach po tych schodach?

- Tu z boku są zwykłe schody. Z drugiej strony oczywiście też.

Wchodząc na górę marmurowymi schodami po lewej stronie, Onno cieszył się z zapachu Quintena. Który chłopak interesuje się dzisiaj czymkolwiek innym poza technicznymi gadżetami, zabawą czy pieniędzmi? Przypominał sobie siebie w tym wieku, jak pochłaniały go studia, co zdumiewało jego kolegów. Nie, zawsze tak było, chłopcy jego pokroju czy Quintena stanowili wyjątek. Ale kiedy samemu jest się wyjątkiem, to upływa dwadzieścia pięć lat, zanim do człowieka dotrze, że nie każdy jest wyjątkowy, i ta świadomość oznacza dla niego wielkie rozczarowanie, podczas gdy tym niewyjątkowym cały czas się zdaje, że wyjątkowi są nieustająco i arogancko świadomi swojej wyjątkowości. A jest odwrotnie. Wyjątkowi nie gardzą tymi drugimi, oni ich przeceniają. To właśnie ci niewyjątkowi mają nieustającą świadomość wyjątkowości wyjątkowych. Zupełnie jak z nieporozumieniem między psem a kotem. Kiedy pies się boi, podkula ogon pod siebie, ale kiedy się cieszy, merda nim, kierując w naszą stronę miłą woń swojego podogonia, natomiast kot macha ogonem właśnie wtedy, kiedy się boi, a trzeba wiedzieć, że jego odchody cuchną. Machający ogonem pies rzuca się do przodu, żeby pobawić się z machającym ogonem kotem, a ten myśli, że jest atakowany, i przeoruje mu pazurami nos - pomieszanie języków zrodziło nieprzejednaną wrogość między nimi. Kątem oka spojrzął na Quintena. Gdy wchodził po schodach, jego włosy kołysały się jak ciężki jedwab.

Kiedy Onno przystanął niezdecydowany, tam gdzie zbiegały się wyjścia pięciu klatek schodowych, Quinten bez wahania przeszedł do miejsca, na które wychodziły schody środkowe, te święte. Wierni, którzy wyłaniali się z otchłani, modlili się z pochylonymi głowami i nie zwracali na niego uwagi. Odwrócił się do nich plecami, pochylił się i patrzył przez grubsze niż palec kraty, ujęte w marmurowe obramowanie.

Sancta Sanctorum. Kontrast był jeszcze większy niż chwilę wcześniej między placem a bramą wejściową – w mrocznej kaplicy było tak cicho jak w lustrze, i pierwsze, o czym pomyślał, to twarz matki na poduszce. Serce zabiło mu mocniej. Niewielkie pomieszczenie było wysokie i miało kształt regularnego kwadratu mniej więcej siedem na siedem metrów, przemożnie emanując wszystkim tym, czego już nie było: obecnością stu sześćdziesięciu papieży, którzy modlili się tutaj codziennie przez całe dziesięć wieków. Zupełnie jakby czas stąd zniknął. Pośrodku, na wyłożonej marmurem posadzce, naprzeciw ołtarza, stał kłęcznik. Ołtarz znajdował się pod dobudowanym do tylnej ściany sklepieniem, wspartym na dwóch porfirowych kolumnach. Na całej szerokości listwy ponad złożonymi kapitelami widniał napis:

NON·EST·IN·TOTO·SANCTIOR·ORBE·LOCVS

Quinten skinął na ojca.

– Jak byś to przetłumaczył? – spytał szeptem.

– Quintenie – powiedział Onno surowo – masz za sobą pięć lat gimnazjum. Sam potrafisz.

– Nie ma... – spróbował Quinten – w całym... świętszego... miejsca świata? – Porywająca proza. Oczywiście można by też powiedzieć: „Nigdzie na świecie nie ma świętszego miejsca”. Tylko dlatego, że siadywali tutaj papieże? Jak dla mnie, to lekka przesada.

Quinten wskazał dużą ikonę umieszczoną nad ołtarzem: tryptyk z otwartymi skrzydłami. W półmroku prawie nie było widać obrazu, ale opowiedział, co właśnie przeczytał: podobizna przenajświętszego Zbawiciela w części środkowej, *acheiropoëton*, nie została namalowana ludzką ręką, lecz przez anioła. Tylko namalowanej na jedwabiu twarzy nie przykrywało pozłacane, kunsztownie obrobione srebro, ale i ona nie była tą prawdziwą, która była ukryta pod spodem. Nad tą właśnie środkową częścią umieszczony był półokrągły baldachim, zwieńczony złożonymi postaciami dwóch aniołów.

– Tak, Quintenie – powiedział Onno z uśmiechem – już nie jesteśmy w Holandii. – Położył dłoń na kracie. – Na moje wyczucie to wewnątrz bardziej przypomina izbę tortur. Popatrz tam, między te toczone w drewnie kolumny nad ołtarzem: widać dwa zakratowane okienka. Stamtąd miano świętych ojców na oku, kiedy się tu modlili. A dolna część ołtarza też cała okratowana. Spójrz na te kłódki.

Quinten patrzył na kłódki, których wcześniej nie zauważył. Ta najwyżej był to kawał żelaza, kłódka wielka jak bochen chleba – w chwili kiedy ją zobaczył, owładnął nim lęk. Gdzie on jest? Czy to mu się śni? Czy jest we własnym śnie? Spojrzał na ojca wielkimi oczami.

- Co z tobą? – spytał Onno przestraszony. – Zrobiłeś się nagle błądy jak ściana.
- Sam nie wiem... – wyjąkał Quinten.

Czyżby ten nieistniejący już pałac na Lateranie był Zamczyskiem? Czyżby był u celu? Te schody, cztery razy po siedem stopni, kaplica, jego matka... Zdezorientowany odwrócił się od krat i napotkał spojrzenie staruszki, która właśnie wspięła się na dwudziesty ósmy stopień, stęknęła przy wstawianiu z kłęczek, przeżegnała się, posłała mu krótki uśmiech i rozmasowując udo, ruszyła do bocznych schodów.

– Chodźmy stąd – powiedział Onno. – Tu jest jakoś niezdrowo. Powinieneś coś zjeść.

Quinten potrząsnął głową.

– To nie to... – Wykluczone, żeby opowiedział ojcu, co się w nim dzieje, ponieważ była to najgłębsza tajemnica. – Może to nie kaplica znajduje się za kratami, może to właśnie my siedzimy za kratami...

– Rozejrzał się wokół szeroko otwartymi oczami. – Jestem przekonany, że to miejsce ma w sobie coś bardzo dziwnego, nie umiem powiedzieć, dlaczego tak czuję, ale muszę i na pewno dojdę, co to takiego.

Onno przyglądał mu się uważnie przez kilka chwil. W oczach Quintena nagle pojawił się twardy blask. Onno skinął głową, wsparł się na lasce i też rozejrzał się wokoło, jakby czegoś szukał. Zawroty głowy były silniejsze niż zazwyczaj; może przez to wchodzenie po schodach.

– Nie mam wprawdzie pojęcia, co masz na myśli, ale też właśnie zauważyłem coś dziwnego.

– Co takiego?

– Ta kaplica nazywa się Sancta Sanctorum, prawda? – A kiedy Quinten przytaknął ruchem głowy, dokończył: – No właśnie, i tego w zasadzie nie rozumiem.

– Dlaczego nie?

– Bo to znaczy Święte Świętych.

– Oczywiście.

– Ale wyrażenie to w takiej formie nie pojawia się w religii chrześcijańskiej.

– A w jakiej?

– Tylko w żydowskiej.

Uczoność w Piśmie

- A tam jak?

- Nie stójmy tutaj - powiedział Onno - tak przy wszystkich.

Zeszli na dół. Na lewo od Sancta Sanctorum znajdowała się renesansowa kaplica z dwoma małymi ołtarzykami, nazwana imieniem San Silvestro; usiedli tam w jednej z ciemnobrązowych ławek ustawionych wzdłuż trzech ścian. Onno widział, że Quinten nie może się już doczekać, co też mu powie; jego zazwyczaj łagodna twarz była napięta jak żagiel na wietrze. Onno nie rozumiał, o co chodzi, i odczuwał niepokój. Może powinien zachować swoją uwagę dla siebie?

- Co w ciebie nagle wstąpiło, Quintenie?

- Opowiadaj!

Zdumiony, że ktoś może czegoś takiego nie wiedzieć, Onno wyjaśnił mu, że w żydowskiej tradycji religijnej Świąte Świątych to pewne miejsce w dawnej Świątyni Jerozolimskiej. Było to prostokątne pomieszczenie podzielone na trzy części - albo raczej na cztery. Najpierw był Przedśionek, do którego nie mogli wchodzić niewierzący, tylko wyłącznie Żydzi, to znaczy żydowscy mężczyźni. Potem było pomieszczenie główne z ołtarzem na ofiary całopalne. Po obu stronach wejścia do właściwego Przybytku stały dwie kolumny: Jakin i Boaz.

Prostokątne? Tak jak łóżko jego matki? Czy już kiedyś nie rozmawiał o tym z panem Themaatem?

- Kolumny z imionami? - spytał Quinten, myśląc jednocześnie o dwóch kolumnach na Piazzetie w Wenecji. - Czemu tak?

Onno westchnął.

- Czasami sam nie mogę się nadziwić własnej wiedzy, ale jednak wciąż nie wiem wszystkiego. Ale wiem przynajmniej zawsze, gdzie można wszystko znaleźć, i jest to niezwykle użyteczna alternatywa dla pełnej wiedzy. Po wejściu do środka - ciągnął, nie wracając już do sprawy kolumn - trafiało się przez bramę do pogrążonego w półmroku pomieszczenia głównego, zwanego Świątym. Oczywiście tylko, jeśli było się kapłanem; nikt inny nie miał prawa tam wejść. W Świątym stał ołtarz do ofiar kadzielnych, siedmioramienny świecznik oraz stół na chleby pokładne. Ostatnie pomieszczenie miało formę sześcianu, przed którym wisiała zasłona. W środku zawsze panowały całkowite ciemności. To było Świąte Świątych. Do tego pomieszczenia mógł wejść wyłącznie arcykapłan, i to tylko raz do roku, w Jom Kippur, czyli w Dzień Pojednania. Quinten aż wyprostował się z przejęcia.

– To prawie całkiem jak tutaj! Na placu stoi obelisk Tutmosisa, tam więc jest Przedśionek, potem mamy portal, Święte Schody, to będzie Święte, no i Sancta Sanctorum, Święte Świętych! Wprawdzie to nie sześcian, ale pomieszczenie ma podstawę kwadratową.

– Kiedy to właśnie jest w tym wszystkim dziwne – powiedział Onno, krzywiąc się lekko. – W religii chrześcijańskiej Święte Świętych nigdy nie było tworem architektonicznym, jak u Żydów; chrześcijanie używają tego pojęcia wyłącznie w znaczeniu symbolicznym. W Ewangeliach na przykład napisano, że w chwili śmierci Jezusa zasłona między Świętym a Świętym Świętych rozdarła się – „pękła na dwoje”, jeśli dokładnie przetłumaczyć greckie słowo – co zinterpretowano w ten sposób, że przez śmierć na krzyżu i zmartwychwstanie Chrystus, jako ktoś w rodzaju superarcykapłana, uczynił Święte Świętych, czyli niebo, na stałe dostępnym dla każdego człowieka. U chrześcijan nigdy nie była to żadna ziemską budowlą.

– A w żydowskim Świętym Świętych? Co tam stało?

– Arka Przymierza.

Przechodzący obok zakonnik rzucił im krótkie spojrzenie i przyłożył palec do ust, a potem zniknął w niewielkich drzwiach między ławkami.

– A co to takiego?

Onno spojrział na niego z westchnieniem i rzekł:

– Z jednej strony uważam za straszne, że dzisiejsza młodzież nie ma o niczym pojęcia, a z drugiej wydajecie mi się szczęśliwi, że nie musicie nosić ze sobą całego tego balastu wiedzy. No, ale niech tam, w końcu moja krew. Arka Przymierza to była złota skrzynia, najświętsza relikwia, jaką mieli Żydzi: coś jakby tron Jahwe. W pewnym sensie to nawet sam Jahwe.

– A wczoraj mówiłeś, że najświętszą relikwią Żydów był siedmioramienny świecznik.

– Bo w czasach Wespazjana i Tytusa tak już było. No dobrze, w takim razie lepiej opowiem ci od razu wszystko.

Onno wyprostował jeden palec lewej i trzy palce prawej ręki i powiedział, że Quinten musi rozróżnić cztery rzeczy: Namiot Spotkania oraz trzy następujące jedna po drugiej Świątynie Jerozolimskie. Kiedy Mojżesz otrzymał na pustyni tablice z dziesięciorgiem przykazań, Jahwe nakazał mu też postawić namiot, ściśle według podanych wymiarów. Był to zwykły, dający się złożyć namiot, który Żydzi mogli zabierać ze sobą przy kolejnych przenosinach, ale już on składał się z Przedśionka, Świętego i Świętego Świętych. Jahwe powiedział też Mojżeszowi dokładnie, jak ma wyglądać Arka; wszystko to można sobie przeczytać w Biblii. Na złotym wieku Arki stały dwa złote cherubiny z rozpostartymi skrzydłami, zwrócone twarzami do siebie. Po bokach znajdowały się złote pierścienie, przez które można było przełożyć drągi służące do przenoszenia Arki. Kilkaset lat później, mniej więcej tysiąc lat przed Chrystusem, król Salomon wedle tych samych wskazówek wybudował świątynię w Jerozolimie. W Świętym Świętych tej świątyni po obu stronach Arki stały dwa wielkie cherubiny, każdy wysokości pięciu metrów, też z rozpostartymi skrzydłami.

- To gdzie się podziały te poprzednie?

- Nie mam pojęcia, Quintenie - odrzekł Onno, znowu wzdychając. - Ale słuchaj dalej. Świątynia Salomona została zburzona przez Nabuchodonozora i od tego momentu Arka znika. Znacznie później, gdzieś w VI wieku przed Chrystusem, w miejscu Świątyni Salomona Zorobabel wybudował Drugą Świątynię, już bez Arki Przymierza. Ponieważ budowla popadła w ruinę, została potem rozebrana przez Heroda Wielkiego, który na jej miejscu wybudował Trzecią Świątynię. Tak się składa, że tradycja żydowska nie rozróżnia Drugiej i Trzeciej Świątyni, ponieważ rabini nie poważali Heroda, gdyż kolaborował z Rzymem. Dla nich Trzecia Świątynia wciąż jest tą Drugą, rozbudowaną przez Heroda do niebywałych rozmiarów, ale wciąż na tym samym miejscu. Świątynia ta nie przetrwała jednak więcej niż kilka lat: jak wiesz, została zdobyta i zniszczona przez Tytusa. Z relacji naocznych świadków wiadomo, że Święte Świętych też było w niej puste.

- To nie może być prawda - powiedział Quinten, wskazując palcem dwa ołtarzyki, za którymi znajdowało się Sancta Sanctorum - ponieważ Arka Przymierza jest tam w środku.

Onno przez kilka sekund patrzył na niego oniemiały.

- To mi się podoba! - roześmiał się w końcu. - Pokolenia teologów, rabinów, historyków i archeologów ustaliły, że Arka Przymierza zniknęła w czasach drugiej niewoli babilońskiej, a tymczasem profesor doktor inżynier dyplomowany Q. Quist wie lepiej. Słuchaj, dla mnie to też trochę dziwne, że ta kaplica nazywa się Sancta Sanctorum, ale może jednak nie bralibyśmy tego zbyt dosłownie.

- Ta kaplica nie tylko tak się nazywa, ale jeszcze w dodatku napisano w niej, że na całym świecie nie ma świętszego miejsca. To nie jest przenośnia.

- To wszystko prawda, ale jak w takim razie wyjaśnisz, że na Łuku Triumfalnym Tytusa doskonale widać świecznik i stół na chleby pokładne, ale nie ma Arki? Gdyby Tytus zdobył ją również, to chyba umieszczono by ją na głównym miejscu?

- A może był jakiś powód, żeby tego nie robić?

- Na przykład jaki?

Quinten wzruszył ramionami.

- Bo ja wiem... Może Tytus i Wespazjan jednak trochę się bali Boga Żydów i uważali, że bezpieczniej będzie nie robić tyle zamieszania z powodu Arki.

- Sam w sobie całkiem niezły pomysł – przyznał Onno z krótkim kiwnięciem głową. – Nam trudno to stwierdzić, jesteśmy spadkobiercami żydowskiego monoteizmu, który uznaje jedyne Boga i żadnego innego poza nim; taka jest zresztą treść pierwszego przykazania. Ale kiedy Rzymianie pokonywali wroga, to nie tylko brali do niewoli jego żołnierzy, czasami też wcielali jego bogów do swojego panteonu. Założmy jednak, że było tak, jak mówisz, to co mogło się stać dalej?

- No, to przecież oczywiste – powiedział Quinten. – Tytus zabrał Arkę, ale jej nie pokazał w czasie triumfalnego przemarszu wojska. Wespazjan ukrył ją potem w pałacu cesarskim, a później Konstantyn w największej tajemnicy przekazał papieżom. Ci z kolei umieścili ją gdzieś za tamtymi kratami. To by był jednocześnie powód, dla którego zachowano kaplicę, kiedy rozbierano papieską siedzibę na Lateranie.

- Całkiem niezłe – pochwalił Onno. – Z tym że architekt, Domenico Fontana, musiał o wszystkim wiedzieć. Inaczej nie nawiązywałyby do tej świątyni, przenosząc tutaj Święte Schody. Chociaż nie, on sam oczywiście nie miał o niczym pojęcia, tylko jego zleceniodawca Sykstus V.

- Pewnie tak.

- Ale czy to nie byłoby nazbyt ryzykowne, w powiązaniu z nazwą kaplicy i tą inskrypcją? Czy nie mogło to naprowadzić kogoś na myśl, że tutaj właśnie ukryta jest Arka Przymierza?

- A słyszałeś kiedyś o czymś takim?

- Co to, to nie - przyznał Onno i zamilkł na chwilę. - To prawda, pewne pomysły są tak oczywiste, że aż trudno uwierzyć, iż nikt na nie wcześniej nie wpadł. Przez całe wieki wszyscy wierzyli, że Ilion jest krainą mityczną; tymczasem Schliemann z eposem Homera w ręku zaczął po prostu kopać i od razu znalazł Troję pięknej Heleny. Jak wiadomo, był to właśnie ktoś taki jak ty. Gdybyśmy już mieli ten twój historioskop, po prostu sprawdzilibyśmy w przeszłości. - Spojrzał na Quintena z rozbawieniem. - Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, co by to oznaczało, gdyby to, co mówisz, było prawdą?

- W jakim sensie?

Onno odwrócił się w jego stronę.

- A r k a , Quintenie! Świat stanąłby na głowie, gdyby nagle okazało się, że ona istnieje i że znajduje się tutaj, w Rzymie. Miałoby to oczywiście jeszcze całkiem inne dziwne skutki.

Ten aspekt jednak Quintena nie interesował. W zamyśleniu wlepił wzrok w ścianę, za którą znajdowało się Sancta Sanctorum, a potem zapytał:

- Jak duża była ta Arka?

- Przykro mi, ale nie znam jej wymiarów na pamięć. Mojżesz otrzymał na górze Horeb setki wymiarów oraz regułą i nawet nie robił notatek, ale takiej pamięci nie mam nawet ja.

- Tego możemy się dowiedzieć.

- Oczywiście, wszystkiego zawsze można się dowiedzieć. Wystarczy tylko zapytać. Wszystko jest napisane w Torze.

- W czym?

- W Torze. W Prawach. Po grecku Pentateuch, czyli Pięcioksiąg, pierwsze pięć ksiąg spisanych podobno przez Mojżesza: Genesis, Exodus, Leviticus, Numeri, Deuteronomium. Ciągłe potrafię to wszystko wymienić bez zająknięcia, chociaż ty nigdy o nich nie słyszałeś.

- O Genesis oczywiście - powiedział Quinten i podniósł się z miejsca. - No to chodźmy zobaczyć, czy nie da się gdzieś tutaj kupić Biblii.

- W Rzymie nie powinno być z tym trudności.

- Zobaczymy, czy da się obejść Sancta Sanctorum naokoło.

Średniowieczna kaplica istotnie leżała w centrum renesansowej budowli jak rdzeń w reaktorze jądrowym. Z tyłu, za nią, znajdowało się inne święte pomieszczenie, a po prawej była kaplica San Lorenzo. Kiedy się do niej zbliżyli, Quinten przystanął zdumiony i patrzył na drzwi, które zdawały się patrzeć na niego.

Środek świata! Spiżowe podwójne drzwi z IV wieku naszej ery, które najwyraźniej stanowiły wejście do Sancta Sanctorum. Na górnych ich częściach widniały okrągłe zdobienia, zupełnie jak źrenice w tęczówce. Drzwi były zamknięte na dwie wiszące jedna pod drugą kłódki, równie wielkie jak ta przy ołtarzu, przypominające nos i usta. Szerokie marmurowe framugi były zwieńczone dwoma krótkimi pilastrami wspierającymi tympanon; miejsce pod spodem zajmował napis:

SIXTUS·V·
PONT·MAX

Słowa „Pont Max”, skrót od *pontifex maximus* i przysługującego papieżom tytułu „Wielkiego Budowniczego Mostów”, Quinten oczywiście znał; niemniej jednak patrzył poruszony na imię Maks, które ujrzał nagle nad spiżowym obliczem, znanym mu ze snu o Zamczysku. Odwzajemnił swojskie spojrzenie drzwi i tym razem nie odczuwał już strachu.

Nagle odwrócił się w stronę Onna.

– A co było w środku?

– W czym?

– W Arce Przymierza.

– Dwie kamienne tablice Mojżesza z dziesięciorgiem przykazań.

Następnego ranka pojechali autobusem na Via Omero, gdzie mieścił się Istituto Storico Olandese. Początkowo Onno wahał się, czy tam iść, bo może będzie musiał podać nazwisko i zostanie rozpoznany: swego czasu placówka mu podlegała i obciął jej fundusze, żeby wygospodarować pieniądze na trzynaste i czternaste zwiernadło dla Maksa. Z drugiej jednak strony zdawał sobie sprawę, że taki ktoś jak sekretarz stanu odchodzi w zapomnienie niekoniecznie dopiero wiele lat po swoim odejściu, ale często jeszcze w okresie urzędowania. Każdemu, kto był choć raz sekretarzem stanu czy ministrem, wydaje się, że on i jego rodzina po wsze czasy będą chodzili w tej chwale, ale tak naprawdę nikt poza nimi o tym nie pamięta. Może zresztą i lepiej; ponieważ wszystko się powtarza, być może gdyby nie krótka pamięć ludzkości, polityka w ogóle nie byłaby możliwa? Poza tym w zasadzie nie miało już dla niego większego znaczenia, czy zostanie rozpoznany, czy nie.

W cichej czytelnicy, w której siedziało tylko paru studentów pochylonych nad papierami, Onno podszedł do bibliotekarki, niezwykle malutkiej siwej pani, stojącej na palcach i z ołówkiem w zębach szukającej czegoś w wyciągniętej szufladce kartoteki. Z dużym trudem najpierw odpędził od siebie obraz Helgi, zanim był w stanie zapytać, czy mają w zbiorach podręcznych Biblię po niderlandzku.

Bibliotekarka rzuciła krótkie spojrzenie na jego niechlujną postać i rzekła:

– Źle pan trafił. Może raczej w ambasadzie.

– Jest pani pewna? – spytał Quinten.

Spojrzała na niego i Onno dostrzegł, jak w tym momencie jej twarz zupełnie się zmieniła, tak jak zmienia się krajobraz, kiedy zaświeci słońce.

– Masz taką minę, jakby strasznie ci się z tym śpieszyło – powiedziała ze śmiechem.

– Bo tak właśnie jest

– Poczekaj. Może coś się znajdzie.

Kiedy zniknęła, Onno spytał:

– Co w tobie jest, że działasz na kobiety?

Quinten spojrział na niego z takim zdziwieniem w oczach, że Onno uznał, iż lepiej będzie poprzestać na tej uwadze. Po kilku minutach bibliotekarka wróciła z małą Biblią w rękach i wręczyła ją Quintenowi.

– Bardzo proszę. To dla ciebie. Leżała w szufladzie nocnej szafki w pokoju gościnnym. Moim zdaniem i tak nikt do niej nie zagląda, więc teraz się przynajmniej na coś przyda.

– Byłoby to coś niesłychanego – stwierdził Onno, patrząc na nią surowo – oficjalna holenderska placówka bez Biblii!

Usiedli na ławce w pobliskim parku Villa Borghese. Cisza wśród drzew i trawników, pogłębiona jeszcze odległym hałasem ruchu ulicznego dobiegającym ze wszystkich stron, sprawiała wrażenie ponadczasowej. Delikatny nalot jasnej zieleni, którym przedwiośnie okryło wszystko dokoła, jak dziecko chuchające na szybko, przypomniał Quintenowi o Groot Rechteren – i na moment poraziło go pytanie, co to wszystko ma ze sobą wspólnego: przyroda i sprawy, którymi się właśnie zajmują.

– O jakie przymierze właściwie chodzi? – spytał, podczas gdy Onno z nogą założoną na nogę wertował zadrukowane stroniczki papieru, nie grubszego niż papierosowa bibułka.

– O przymierze między Bogiem a Izraelem, tak zwane Stare Przymierze. Z chwilą pojawienia się Chrystusa następuje Nowe Przymierze, między Bogiem i tymi, którzy wierzą w Chrystusa. Według chrześcijan w tym momencie Stare Przymierze dopełniło się i stało nieaktualne.

– A co na to Żydzi?

– A jak myślisz? Nie byli specjalnie zachwyceni. Jezus z Nazaretu był rabinem, który twierdził, że jest Mesjaszem, a inni rabini uznali to za bluźnierstwo. Rabini między sobą, rozumiesz. Ich zdaniem prawdziwy Mesjasz miał dopiero przybyć, tak zresztą uważają do dziś. – Onno złapał się jedną ręką za głowę. – Wielkie nieba, żeby tak mój ojciec mnie teraz słyszał! – Nagle zastygł i patrzył przed siebie nieruchomym spojrzeniem, którego Quinten nie rozumiał.

– Co się stało?

Onno spojrział na niego krótko, a potem podał mu Biblię i powiedział:

– Potrzymaj, muszę coś załatwić.

Quinten patrzył zdumiony, jak jego ojciec wyciąga z wewnętrznej kieszeni marynarki kopertę, z kieszeni spodni zapałki i podpala róg koperty.

– Co robisz?

– Wysyłam list.

Cały czas obracał płonąca kopertę w palcach, aż do momentu, kiedy nie mógł jej już utrzymać. Zwęglone resztki, które spadły na ziemię, rozdeptał obcasem i porozrzucił końcem laski, tak że na koniec nie zostało po nich śladu. Quinten patrzył na niego ze zdziwieniem.

– Nie zwracaj na to uwagi i o nic nie pytaj. – Onno wziął od niego z powrotem Biblię i poszukał w Liście do Hebrajczyków tych fragmentów, o których wiedział, że powinny się tam znajdować. – Dużo wody upłynęło od czasu, kiedy poświęcałem się studiom biblijnym, mój synu. Na szczęście jest to jeszcze porządny stary przekład w języku biblijnym, a nie taka nowomodna wersja w duchu teologii „Bóg umarł”.

Czasem alejką przeszła kobieta z dzieckiem czy mężczyzna z psem albo przebiegł ktoś uprawiający jogging, a Onno czytał Quintenowi o Chrystusie, że „wszedł nie do świątyni, zbudowanej rękami, która jest odbiciem prawdziwej [świątyni], ale do samego nieba, aby teraz wstawiać się za nami przed obliczem Boga”.

– „Chrystus – recytował podniosłym tonem – zjawiwszy się jako arcykapłan dóbr przyszłych, przez wyższy i doskonalszy, i nie ręką – to jest nie na tym świecie – uczyniony przybytek, ani nie przez krew kozłów i cielców, lecz przez własną krew wszedł raz na zawsze do Miejsca Świętego, zdobywszy wieczne odkupienie”. Tu jest napisane, że wtajemniczył człowieka „poprzez zasłonę, to jest przez ciało swoje”. Proszę, proszę, to już coś. A tutaj czytamy, że te słowa dotyczą „świątyni i prawdziwego przybytku zbudowanego przez Pana, a nie przez człowieka”. Moim zdaniem zawiera się w tym także zakaz wybudowania kiedykolwiek ludzkimi rękami ziemskiego Świętego Świętych.

– A przecież, jak sami widzieliśmy, istnieje chrześcijańska budowla, która nazywa się Sancta Sanctorum i jest podobno najświętszym miejscem na ziemi – stwierdził Quinten.

- O tym właśnie mówię.

- A więc może wcale nie jest to taka bardzo chrześcijańska budowla? To znaczy chrześcijańska, a zarazem niechrześcijańska.

Onno skinął głową.

- Pojmuję twój punkt widzenia, ale do czego teraz zmierzasz?

Quinten wskazał na Biblię.

- Poszukaj czegoś o Arce Przymierza. Chciałbym wiedzieć, jaka była duża.

Onno otworzył Księgę Wyjścia i od razu znalazł to, czego szukał. Wydało mu się, jakby widząc te wszystkie imiona i zwroty, znowu miał w nozdrzach zapach rodzinnego domu.

- „Której długość wynosiła dwa i pół łokcia, jej zaś szerokość i wysokość półtora łokcia”.

- A ile to jest łokieć?

- Hmm, to odległość od łokcia do końca palca środkowego, a więc, powiedzmy, jakieś pięćdziesiąt centymetrów.

- A zatem metr dwadzieścia pięć długości, siedemdziesiąt pięć centymetrów szerokości i siedemdziesiąt pięć centymetrów wysokości.

- Tak mniej więcej powinno być.

Quinten patrzył na pagórkowaty park, ale widział tylko i wyłącznie ciężką kłódkę.

- Moim zdaniem takie właśnie są też wymiary ołtarza w Sancta Sanctorum.

- Miejmy nadzieję, że jednak trochę większe, bo inaczej Arka by się tam nie zmieściła – stwierdził Onno z lekkim uśmiechem.

- Czemu się uśmiechasz?

- Bo wszystko zawsze się zgadza, jeśli się tylko chce. Przypomnij sobie tego stukniętego Proctora, tam w zamku. Pamiętasz jeszcze? Popatrz, mam jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem guzików przy koszuli, z czego ostatni jest odpięty. To doskonale odpowiada sześciu dniom stworzenia i szabatowi.

- Ale chyba coś może się przecież zgadzać n a p r a w d ę , nie?

- Oczywiście, że tak.

- Inaczej po co by były takie grube kraty przy ołtarzu? A na baldachimie u góry siedzą przecież dwa cherubiny z rozpostartymi skrzydłami, zgadza się? Wpadliśmy na jakiś trop, tato! *Non est in toto sanctior orbe locus*; przecież taki napis równie dobrze mógł widnieć na Świątyni Jerozolimskiej!

Onno zamknął Biblię, popatrzył na Quintena z powagą i wykonał gest dłonią.

- Istotnie.

- No właśnie? Muszę się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

- Po co, Quintenie?

- Sam nie wiem – powiedział Quinten zniecierpliwionym głosem, myśląc o ś r o d k u ś w i a t a .

57

Odkrycia

Przyczyna podekscytowania Quintena była dla Onna zagadką. Maks i Sophia wychowali chłopca w duchu agnostycznym, prawie nie znał Biblii, a religie, o ile zdążył się zorientować, nigdy go nie interesowały. Gdyby to było coś w rodzaju teomanii, to jeszcze by to rozumiał, ale najwyraźniej nie miało z nią nic wspólnego. Stwierdzenie, że Arka Przymierza znajduje się w Sancta Sanctorum, było oczywiście czystym nonsensem – wywód Quintena cechował się entuzjazmem młodości i pięknem szczerzej naiwności, on sam aż za dobrze znał pułapki tego rodzaju prostych konkluzji. Sprawy nigdy tak prosto nie wyglądały; zawsze w jakimś momencie pojawiała się coś, co nagle zmieniało piękną prostotę w deprymujący chaos, w którym tylko z największym trudem udawało się ponownie odnaleźć porządek, ale wtedy i tak już wyglądał on na znacznie bardziej skomplikowany. Choć uważał teorię Quintena za wymysł, nie przeszkodziło mu to przez kilka następných dni zgłębiać odpowiedniej literatury – może zresztą właśnie ta oczywista nonsensowność tak go pociągała: w świecie bezsensu tylko bezsens ma jeszcze jakiś sens, jak sam napisał w liście do ojca.

Ponieważ większość książek, do których musiał sięgnąć, napisana była po włosku, po łacinie, po grecku i po hebrajsku, następnego ranka Onno udał się na poszukiwania do Biblioteca Nazionale, a Quinten w tym czasie chodził własnymi drogami. Starą szmatą Onno przetarł sobie jako tako buty, włożył jak należy koszulę w spodnie i po raz pierwszy od wielu lat zawiązał pod szyją krawat.

Już pierwszego dnia, i to zaledwie po paru godzinach, przekonał się o tym, co dawno sam już przypuszczał, a mianowicie, że przez stulecia piśmiennictwo na temat Świątyni Jerozolimskiej i Arki Przymierza stanowi równie mało przejrzysty konglomerat, jak sam Rzym, w którym jedną budowlę stawiano na drugiej, a większość i tak nadal pozostaje pod ziemią. Nie mógł się oprzeć pokusie przekopania się przez rabiniczne komentarze i rzucenia okiem na to, co o Arce pisał Filon, a potem w średniowieczu Tomasz z Akwinu, w Odrodzeniu Pico della Mirandola, Francesco Giorgi, Campanella, w XVI i XVII wieku Fludd i Kepler, a nawet sam Newton, aż po rozwodnione wywody współczesnych masonów, różokrzyżowców i antropozofów. Istnienie tych wszystkich spekulacji jeszcze mocniej utwierdziło go w przeświadczeniu, że zapanowałoby wielkie poruszenie, gdyby Arka rzeczywiście ujrzała gdziekolwiek światło dzienne – ale poza wszystkim cała ta sprawa okazała się niezmiernie interesująca. Z doświadczenia wiedział, że do niczego nie dojdzie, jeśli za bardzo się w czymś zagłębi. Przekopując się przez hasła z żydowskich encyklopedii, nie tylko tych hebrajskich, przypisy, odsyłacze, bibliografie, cały czas trzymał się swojego tropu, zupełnie jak policyjny pies, który idzie z nosem przy ziemi, nie oglądając się za siebie ani na boki, nie zwracając uwagi na nic, co nie służy bezpośrednio dotarciu do celu. A cel nie był religijno- czy metafizyczno-symboliczny, lecz nader konkretny: czy Arka jeszcze istnieje, a jeśli tak, to gdzie się znajduje?

Następnego ranka, posługując się konkordancją biblijną, przejrzał wszystkie miejsca mówiące o Arce, raczej dwieście niż sto, a po południu spojrzął oczyma Quintena na dzieje Pałacu Laterańskiego, Bazyliki i Sancta Sanctorum. Do wieczora, kiedy zamykano bibliotekę, zdążył dokonać kilku odkryć, które niewątpliwie powinny zdziwić Quintena; postanowił jednak, że porozmawia z nim dopiero wtedy, kiedy będzie już miał mniej więcej jasność w sprawie. W ostatniej chwili natrafił jeszcze w katalogu systematycznym na wielce obiecujące dzieło w języku włoskim na temat skarbu z Sancta Sanctorum, ale ponieważ nie miał wielkiej chęci po raz kolejny przychodzić do tej samej biblioteki, zadzwonił najpierw do Holenderskiego Instytutu Historii Sztuki przy Via Omero; okazało się to dobrym posunięciem, ponieważ mieli tam nawet niemiecki oryginał. Dopiero po drodze zorientował się, że znowu założył krawat.

Zobaczywszy go ponownie, bibliotekarka przywołała na twarz uśmiech.

– Swojego pobożnego towarzysza zostawił pan tym razem w domu?

– To mój syn. Włóczy się gdzieś po mieście w poszukiwaniu tajemnic z przeszłości.

– Moje gratulacje. Jeszcze nigdy nie widziałam tak pięknego młodzieńca. Wypisz wymaluj, Jan Chrzciciel z obrazu Leonarda da Vinci. – Wyciągnęła dłoń i rzekła: – Elsa Schulte.

Onno przestraszył się. Przełożył laskę do drugiej ręki, uściśnął dłoń bibliotekarki i już chciał się przedstawić słowami „Enrico Delius”, ale zanim się spostrzegł, powiedział:

– Onno Quist.

Uświadomił sobie, że oto dokonał ostatecznego wyłomu w swojej izolacji, ale na twarzy Elsy Schulte nie pojawił się najmniejszy sygnał, że go rozpoznaje. Książka, o którą poprosił, leżała już na jego stoliku: *Die römische Kapelle Sancta Sanctorum und ihr Schatz. Meine Entdeckungen und Studien in der Palastkapelle der mittelalterlichen Päpste*, opublikowana w roku 1908 przez austriackiego jezuitę, niejakiego Grisara. Z niej dowiedział się już wszystkiego – także tego, że ołtarz mierzy metr czterdzieści osiem długości, dziewięćdziesiąt pięć centymetrów szerokości i dziewięćdziesiąt osiem centymetrów wysokości, tak że Arka dość ściśle by do niego pasowała. Tyle że jej tam nie było. On sam ani przez moment nie miał co do tego wątpliwości, ale było mu przykro, że będzie to musiał Quintenowi niedługo powiedzieć. Koło południa zjadł w bufecie dwie kanapki panini i wrócił uporządkować notatki. Zaczynał się czuć jak student, który prowadzi badania na polecenie szalonego profesora i już wie, że na pewno obleje egzamin doktorski, ponieważ ich wyniki nie potwierdzają przesadnych oczekiwań zleceniodawcy. Zarazem jednak ta idiotyczna praca obudziła w nim nostalgiczne wspomnienie dni spędzonych nad dyskiem z Fajstos.

Jakąś godzinę później podszedł do niego człowiek o wyglądzie intelektualisty. Spojrzał na laskę leżącą na krześle obok Onna, potem na jego kucyk i przemówił z surowym wyrazem twarzy:

– Dzień dobry panu, panie Quist. Nordholt. Jestem tu dyrektorem.

– Wiem – skinął Onno i spojrzął na niego przez okulary do czytania. Wiedział o tym, ponieważ swego czasu sam mianował go na to stanowisko.

– Jestem niezmiernie zaszczycony, że zechciał pan łaskawie skorzystać ze zbiorów naszego instytutu. Kilka lat temu nasz budżet został drastycznie ograniczony przez pewnego sekretarza stanu, trzeba było poczynić spore cięcia, ale mam nadzieję, że jednak znalazł pan to, czego szukał. – Mężczyzna skinął lekko głową na pożegnanie, odwrócił się i wyszedł.

I znowu rachunek wyrównany. Onno nie miał okazji odezwać się ani słowem, ale z drugiej strony, co miał mu do powiedzenia? Że pan dyrektor powinien pojechać do Westerbork zobaczyć zwierciadła? Że dzięki cięciom w budżecie na dofinansowanie zagranicznych placówek kulturalnych poznany wszechświat powiększył się dwukrotnie? Że to była przyjacielska przysługa? Tak czy inaczej informacja o jego obecności w Rzymie bez wątpienia dotrze teraz szybko do Holandii; może Nordholt już w tym momencie wisi na telefonie, przekazując wiadomość, że ten Quist, wiesz, który, tak, właśnie ten, kompletnie zszedł na psy. Onno wzruszył ramionami i pochylił się z powrotem nad książką, ale za nic nie mógł się skupić. Zdjął okulary, wstał, jakiś czas wyglądał przez okno, a potem poczłapał do stołu w kącie, na którym wyłożono różnojęzyczne periodyki z historii sztuki, a także kilka holenderskich gazet i tygodników.

Przeczytał na stojąco, że wczoraj w Rzymie rozpoczął się proces Turka, który cztery lata temu dokonał zamachu na papieża. „Jestem Jezusem Chrystusem – wołał oskarżony ze swojej okratowanej klatki – koniec świata blisko!” Że też musi się tego dowiadywać z holenderskiej gazety. Przerzucił kolejne stronicę, usiadł zdumiony i po raz pierwszy od czterech lat przyjął do wiadomości sytuację w Holandii i na świecie.

Kiedy godzinę później podniósł wzrok, uświadamiając sobie, gdzie jest, miał takie uczucie, jakby po śmierci znalazł się z powrotem wśród żywych. Nic już nie było takie samo. Z komentarzy politycznych wynikało, że gabinet Dorusa, w którym miał być ministrem obrony, nie przetrwał nawet dziewięciu miesięcy; potem Koos i socjaldemokraci wyszli z koalicji albo zostali z niej przegnani, przez jakiś czas wszystko się kisiło, aż w końcu premierem został Dolf. Dolf! Ależ oczywiście! Nazywany prowokacyjnie przez Dorusa „wymiataczem”, co, jeśli dobrze zrozumiał, było jakimś terminem sportowym, i zawsze niedoceniany także przez Koosa. Ucieszył się z tego; w czasie tego straszego rejsu ostatniego dnia jego poprzedniego życia on jeden położył mu dłoń na ramieniu. Tak, tak to właśnie bywa – mieli na oku tylko drzwi przed sobą, a nie zważali na te za plecami: klasyczny błąd. Ale sytuacja polityczna zmieniła się nie tylko w Holandii. Gdyby został wtedy ministrem obrony, miałby do czynienia z masowymi demonstracjami przeciwko rozmieszczeniu w Europie amerykańskich rakiet typu Cruise; a w Związku Radzieckim od kilku miesięcy rządził nowy sekretarz generalny – człowiek mniej więcej w jego wieku, już nie tradycyjny beton, tylko ktoś o otwartej, ludzkiej twarzy i spokojnym, zdecydowanym spojrzeniu.

Nagle dopadło go odczucie, że świat przechodzi jakąś metamorfozę. Jak by to miało wyglądać? Czyżby zbliżał się koniec zimnej wojny? Ta myśl była oczywiście absurdalna, zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie zbrojenia były w pełnym toku, ale on czuł się tak, jakby właśnie spojrzął na świat podobnie jak szachista, który rzuciwszy okiem na partię rozgrywaną przez dwóch innych graczy, z miejsca dostrzega możliwy rozwój gry, chociaż sami grający jeszcze nic o tym nie wiedzą. Złożył gazety i czasopisma i zapatrzył się przez okno. Czy to do pomyślenia, że w roku 2000 partia komunistyczna będzie w Związku Radzieckim zakazana? Oczywiście było to nie do pomyślenia, ale może właśnie nadszedł taki moment, kiedy rzeczy nie do pomyślenia zaczynają się stawać? Może jego pozbawiona czucia lewa połowa – co było następstwem pęknięcia w prawej połowie mózgu – stanowi coś w rodzaju politycznej przepowiedni? Zdumiał się tym swoim pomysłem; czyżby przejmował sposób myślenia Quintena? Zarazem jednak myśl ta jakby odrobinę godziła go z jego ułomnością. Przypomniał sobie, że Lenin miał wylew mniej więcej w tym samym wieku, tyle że jemu sparaliżowało prawą stronę ciała.

Tego samego dnia Quinten po raz trzeci wybrał się do budynku z Sancta Sanctorum, który zdążył już poznać niemal tak dobrze, jak swój własny pokój w Groot Rechteren. Nie dostrzegał złagodniałych spojrzeń ojców pasjonistów, którzy przyglądali mu się z ukosa, gdy znowu swoimi pięknymi błękitnymi oczami wpatrywał się przez kraty w zaryglowany papieski ołtarz albo gdy w którejś z bocznych kaplic pobożnie kartkował smukłymi dłońmi swoją malutką Biblię. Bezpośrednia bliskość tajemnicy, którą mógł obejść naokoło w pół minuty, a która jednocześnie była równie niedosiężna, jak za dnia jego sen o Zamczysku, całkowicie odgradzała go od wszystkiego, co działo się wokół. Trudno było to ocenić na odległość, ale wydawało mu się, że przestrzeń pod blatem ołtarza jest jednak wystarczająco duża, by pomieścić Arkę. Przekonał się, jakie to trudne, dokładnie się czemuś przyglądać, ale dopiero po którejś wizycie dostrzegł, że za kratami ołtarza kryją się spiżowe drzwiczki, także zamknięte na wielką kłódkę. Nigdy wcześniej nie był czegoś tak bardzo pewny jak teraz: tam w środku niewątpliwie przechowywano coś nadzwyczajnego – czuł to całym sobą, tak jak igła kompasu czuje biegun. Kiedy około godziny piątej ojcowie pełnymi godności ruchami dali zwiedzającym do zrozumienia, że czas opuścić pomieszczenie, Quinten wyszedł na plac i okrążył kilkakrotnie cały kompleks, przyglądając się kanciastym ścianom zewnętrznym kaplicy, z przytykającą do nich nieco niższą budowlą, wzniesioną przez Fontanę. Obok na małym trawniku kilku Tamilów rozpaliło ognisko; jakiś na wpół rozebrany mężczyzna bez ręki mył się, ktoś robił mu z zaparkowanego samochodu zdjęcie aparatem wyposażonym w teleobiektyw.

W drodze do domu Quinten raz jeszcze poszedł obejrzeć Łuk Triumfalny Tytusa na Forum Romanum. Mrużąc oczy, próbował wypatrzeć, czy może jednak Arka była kiedyś na reliefie i tylko została potem umyślnie wyrębana na polecenie któregoś z papieży. Ostre cienie w świetle zachodzącego słońca sprawiały, że płaskorzeźba nabrała życia i była jeszcze bardziej natchniona niż wówczas, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Tuż obok powietrze wypełniał hałas przejeżdżających samochodów i autobusów, ale on niemal słyszał te emocje i zgiełk triumfalnego przemarszu, odbywającego się w tym miejscu bez mała dwadzieścia wieków temu, i brzmiało to zupełnie jak odgłos prawdziwej burzy, wdzierający się do teatralnej sali, gdzie odgrywana jest sielankowa scena. Zacięte miny żołnierzy, każdy w wieńcu laurowym na głowie, nad nimi las poruszających się sztandarów, zdobyczny świecznik niesiony na ramionach, srebrne trąby, stół na chleby pokładne. Każdy coś robił, coś niósł, tylko ostatnia postać szła jakby nieco zagubiona; jako jedyna prawie zupełnie nie miała twarzy. Relief był zwietrzały, pozniakały detale, a wyziewy spalin sprawiają, że wkrótce zniknie ich jeszcze więcej, ale po zrabowanej Arce nie było ani śladu.

Po powrocie do domu zastał Onna leżącego na materacu i pogrążonego w lekturze „International Herald Tribune”. Quinten zatrzymał się z ręką na kłamce.

– Od kiedy to czytasz gazety?

Onno opuścił płachtę i spojrzał na niego znad okularów do czytania.

– Doszedłem do dna, Quintenie.

Opowiedział mu, co się wydarzyło w instytucie, i że teraz już bardzo szybko skończy się jego anonimowość, ale że w zamian na nowo odkrył świat.

– Nie myślałem, że to jeszcze kiedykolwiek nastąpi. Myślałem, że już do śmierci będę trwał w żałobie, i gdyby nie twoje przybycie do Rzymu, na pewno by tak było, ale widocznie co innego było mi pisane.

– Zawsze tak jest – powiedział Quinten, siadając na krześle przy biurku Onna.

Onno położył splecione dłonie na gazecie i przez chwilę patrzył na wielkie czarne pióro ze skrzydła Edgara, wetknięte w pusty kałamarz na biurku.

– Wiesz, jakie jest najstraszniejsze powiedzenie na świecie? „Czas leczy rany”. Ale to prawda. Na zawsze pozostaje blizna, która może nawet boleć na zmianę pogody, ale jednak pewnego dnia rana okazuje się zagojona. Kiedy miałem jakieś osiem lat, przewróciłem się, trzymając w rękę takie zakrzywione nożyczki do paznokci, i wbiłem je sobie głęboko w kolano, do dziś pamiętam, jak byłem z bólu. A więc jak każdy chłopak mam bliznę na kolanie, ale dzisiaj już nie potrafiłbym powiedzieć, na którym. Ty też masz pewnie jakieś blizny po ranach, których pochodzenia nie potrafisz sobie przypomnieć. Jest w tym coś wstrętnego. To znaczy przecież tyle, że tych ran równie dobrze mogłoby w ogóle nie być. To, co mi się przydarzyło, jest oczywiście bagatelą wobec tego, co spotyka innych ludzi, na przykład w czasie wojny, no i rana najwyraźniej się zabiłżniła, ale twoja mama leży w śpiączce, a ciocia Helga nie żyje. Coś tu jest nie tak.

Quinten wyglądał na skonsternowanego tymi słowami, więc kiedy Onno to dostrzegł, wyprostował się trochę i powiedział ze śmiechem:

– Nie słuchaj starego ojca. Gdyby było inaczej, ludzkość w ogóle by nie przetrwała, a dla zwierząt to żaden problem. Nawet kiedy już niedługo rozwiążemy wszystkie zagadki, to i tak zostanie nam jeszcze zagadka czasu. Bo to my sami nią jesteśmy. Dlatego czytam teraz tę gazetę. Wydaje mi się, że niezbyt jesteś zainteresowany wydarzeniami w polityce światowej, ale pozwolisz, że opowiem ci, co odkryłem?

– Oczywiście – powiedział Quinten. – Pod warunkiem, że nie o tym, co odkryłeś w polityce światowej.

Onno nabrał głęboko powietrza, rzucił gazetę na podłogę i podniósł się z materaca.

– Puść mnie tutaj. – Quinten wstał i oparł się o parapet, a Onno usiadł przy swoich notatkach. – Wiele rzeczy mi się wyjaśniło, ale nie sądzę, żebyś był z tego zadowolony. – Jak ktoś, kto przygotowuje się do pasjansa, ułożył swoje notatki na biurku w czterech długich rzędach, skrzyżował ręce na piersiach i przyglądał się im przez kilka sekund. – Od czego by tu zacząć?

– Od początku.

– A może jednak od przypuszczalnego końca? – Wziął do ręki jakąś kartkę. – Jak napisano w II Księdze Królewskiej rozdział 25, werset 9, Świątynia Salomona została splądrowana i podpalona przez Babilończyków, razem z całą Jerozolimą. Na ogół przyjmuje się, że wtedy zaginęła także Arka. Tak więc wiesz już wszystko. Siedmioramienny świecznik i inne przedmioty wykonano potem od nowa, natomiast Arki nie. Jeśli otworzysz swoją minibiblię na księdze Jeremiasza, rozdział 3, werset 16, to dowiesz się, iż Jahwe pouczył proroka, że nikomu nie wolno już mówić o Arce, że nikomu nie wolno już myśleć o Arce, że nikomu nie wolno jej szukać ani zrobić jej na nowo. To zarazem ostatnie nawiązanie do Arki w Starym Testamencie.

– Ale skoro nikomu nie wolno jej szukać – powiedział Quinten – to przecież oznacza, że wcale nie przestała istnieć, nawet jeśli jej nie było w drugiej i w trzeciej Świątyni Jerozolimskiej.

– Owszem, można wyciągnąć taki wniosek. Znalazłbyś nawet poparcie tej tezy w kilku tekstach apokryficznych. Na przykład w tak zwanej syryjskiej Apokalipsie Barucha. Jest tam napisane, że kiedy zbliżały się wojska babilońskie, do Świętego Świętych opuścił się z nieba anioł i wydał rozkaz ziemi, żeby pochłonięła Arkę. Co by oznaczało, że Arka nadal znajduje się w Jerozolimie, w miejscu dawnej Świątyni, gdzieś pod ziemią. Problem w tym, że opowieść ta powstała dopiero w I wieku po Chrystusie, a więc już po zniszczeniu świątyni Heroda przez Rzymian. Stąd być może wzięła się legenda, którą znalazłem w literaturze rabinicznej. Po zburzeniu Świątyni Salomona pewien kapłan miał zobaczyć w ruinach dwie płyty posadzki wystające ponad inne; w chwili kiedy opowiedział o tym innemu kapłanowi, padł martwy na ziemię. Miałoby to więc stanowić dowód, że Arka nie została zrabowana ani też nie spłonęła, tylko została zakopana tam, gdzie stała. Inna piękna opowieść znajduje się w II Księdze Machabejskiej. Możesz tam przeczytać, że tenże sam Jeremiasz, o którym mówiłem przed chwilą, zabrał Arkę na polecenie Jahwe i gdzieś ukrył.

– Naprawdę? – spytał Quinten z przejęciem. – A gdzie?

– W jaskini na górze Nebo. To ta góra, z której Mojżesz dostrzegł na drugim brzegu Jordanu Ziemię Obiecaną, gdzie z jakiegoś powodu na rozkaz Jahwe jemu samemu nie wolno było wejść.

– I nikt Arki tam nie szukał?

- Oczywiście, że szukał. Prawie natychmiast. Ludzie, którzy z nim byli, próbowali zapamiętać i zaznaczyć drogę do jaskini, ale potem w żaden sposób nie mogli jej odnaleźć. Kiedy Jeremiasz o tym usłyszał, zaczął na nich rzucać gromy i powiedział... zaraz zobaczę... no gdzie to jest? Istnieje tylko grecki tekst tej księgi, ale można się zorientować, że był tłumaczony z hebrajskiego. O, jest, spróbuję przetłumaczyć ci, jak leci: „Miejsce to nie będzie wiadome, aż zbierze Bóg zgromadzenie ludu i zmiłuje się; a natenczas Pan ujawni te rzeczy”. - Onno spojrział z rozbawieniem na Quintena, który wertował swoją Biblię. - Rzeczywiście można by ewentualnie powiedzieć, że ten moment właśnie nadszedł, skoro powstało państwo Izrael. Szkoda tylko, że i ta opowieść została spisana dopiero jakieś sto pięćdziesiąt lat po Chrystusie.

- Jakos nie mogę znaleźć tej Księgi Machabejskiej w mojej Biblii.

- To prawda, jej tam nie ma. To księga apokryficzna, ale to niewiele znaczy, bo równie dobrze mogłaby być kanoniczna. O tym wszystkim zdecydowano arbitralnie na soborach. Z kolei przypisywany świętemu Pawłowi List do Hebrajczyków, pamiętasz, ten, w którym Chrystusa porównuje się do świątyni, równie dobrze mógłby być uznany za apokryficzny, ponieważ oczywiście wcale nie został napisany przez świętego Pawła, tylko przez jakiegoś aleksandryjskiego zwolennika Filona.

- A to kto znowu? - spytał Quinten, będąc myślami zupełnie gdzie indziej. Cały czas próbował się zorientować, jaką te informacje mogą mieć dla niego wartość.

- To taki żydowski uczony, Filon z Aleksandrii, współczesny Chrystusowi, próbował połączyć religię żydowską z grecką filozofią. Ciekawy człowiek. Ale nie rozpraszajmy się, bo zaczniemy się zapadać coraz głębiej w ruchome piaski dziejów. No dobrze. Jeśli to wszystko jest prawda i jeśli według ciebie Arka w tej chwili znajduje się ukryta w Sancta Sanctorum, to jak Rzymianie weszli w jej posiadanie? Czy to nie jest mało prawdopodobne, że właśnie oni odnaleźli jaskinię na górze Nebo?

- No, pewnie jest - przyznał Quinten. - Ale dlaczego w takim razie tamto miejsce nazywa się Sancta Sanctorum? I dlaczego ma to być najświętsze miejsce na świecie? Sam mówiłeś, że to bardzo dziwne, prawda?

- Chwileczkę, spokojnie, to jeszcze nie koniec. Najbardziej prawdopodobne jest więc, że Arki Przymierza nie przedstawiono na Łuku Triumfalnym Tytusa, ponieważ Rzymianie jej po prostu nie mieli. Już wcześniej Pompejusz wdarł się raz do Świętego Świętych i nic tam nie znalazł. Wszystko to potwierdza Józef Flawiusz – to taki żydowski pisarz w służbie Rzymu, a więc ktoś w rodzaju kolaboranta. Opisał z bliska całą wojnę żydowską, łącznie z triumfalnym pochodem na Forum Romanum, wymieniwszy stół na chleby pokładne, siedmioramienny świecznik i inne rzeczy; przedstawia je dokładnie w tej samej kolejności, w jakiej zostały utrwalone na Łuku Triumfalnym. W młodych latach służył oczywiście w świątyni Heroda i także jego zdaniem *debir* był całkowicie pusty.

- Debir?

- Tak nazywa się po hebrajsku Święte Świętych. Pewnie jest tak, że sam nigdy tam nie zajrzał, bo do Przybytku wolno było wchodzić tylko arcykapłanowi. Cóż, tak wygląda jedna strona całej sprawy. Ale! – Tu Onno podniósł do góry palec wskazujący, drugi przyłożywszy do innego stosu kartek. – Bo żeby cię pocieszyć, w życiu zawsze jest jakieś „ale”, Quintenie. Druga strona całej sprawy, która na pewno podsyci twoje fałszywe nadzieje, to pewien manuskrypt z XII wieku, autorstwa niejakiego Jana Diakona. Tam po raz pierwszy została użyta nazwa Sancta Sanctorum, z tym że nie odnosi się jeszcze do kaplicy papieskiej, tylko do jakiegoś skarbu-relikwii, który miał się znajdować pod głównym ołtarzem dawnej Bazyliki Laterańskiej.

- Tego z głowami Piotra i Pawła?

- Tak, ale pod nim, w ziemi. I co tam się miało takiego znajdować, zdaniem Diakona? Otóż nie tylko wyplatany koszyk Mojżesza, obrzezany napletek Chrystusa i różne inne kurioza, ale też, słuchaj uważnie: *arca foederis Domini*. I co ty na to? – zakończył Onno, odchylając się na oparcie krzesła z zadowoleniem hojnego ofiarodawcy. – Boska Arka Przymierza.

Quinten patrzył na niego zaskoczony.

- Dlaczego fałszywe nadzieje? Przecież to właśnie to! A od kiedy nazwa Sancta Sanctorum dotyczy kaplicy papieskiej? – spytał Quinten z przejęciem.

- To również wiem. Od końca XIV wieku.

- No proszę! A więc to oznacza, że gdzieś między XII a XIV wiekiem Arka została przeniesiona z Bazyliki do kaplicy. Nazwa przeszła razem z nią.

– W zasadzie to, co mówisz, nie jest wcale takie głupie. W XIII wieku kaplica została całkowicie odrestaurowana, na tych kilka miesięcy usunięto z niej relikwie; potem może dodano do nich po prostu Arkę. Ale znowu zapomniałeś o takim drobiazgu, że Arka równie dobrze może sobie stać w jakiejś jaskini w Jordani. Nigdy nie była w Rzymie. – Obiema rękami Onno wykonał uspokajający gest. – Zauważ, że wszystko to opiera się na średniowiecznej legendzie. No bo co na przykład powiesz o napletku Chrystusa i koszyku Mojżesza?

Quinten zdecydowanie pokręcił głową.

– Całkiem możliwe, nie wiem też, jak to wszystko przebiegało, ale wiem na pewno, że Arka tam jest.

– A ja – powiedział Onno, czując się jak chirurg, który musi bez znieczulenia wbić skalpel w ciało pacjenta – jeszcze bardziej na pewno wiem, że nie.

– Skąd możesz wiedzieć na pewno?

– Ponieważ wiem, co jest w środku – powiedział Onno, nie odwracając wzroku od Quintena.

Quinten z niedowierzaniem odwzajemnił jego spojrzenie.

– I co to takiego?

– Nic.

– Nic? – powtórzył Quinten po kilku sekundach.

– Pusta szafka.

– Skąd to wiesz?

– Ponieważ w roku 1905 ołtarz został otwarty i opróżniony. O, proszę – powiedział Onno, biorąc do ręki książkę wypożyczoną z instytutu, co wymagało podania adresu zamieszkania, który i tak przestał być tajemnicą. – Tutaj znajdziesz dokładny opis i fotografie wszystkiego, co tam znaleziono. Były tam różne nadzwyczajne rzeczy, na przykład pępowina Chrystusa i kawałek drewna z krzyża, ale żadnej Arki. Na polecenie papieża profesor Grisar z Innsbrucku osobiście zaniósł wszystkie te rzeczy do Biblioteki Watykańskiej, gdzie możesz je obejrzeć w kaplicy Piusa V.

Quinten przeglądał książkę przez chwilę, spojrzał na rycinę przedstawiającą ozdobny relikwiarz i odłożył z powrotem. Przestała go już interesować.

– A jednak kaplica nazywa się Sancta Sanctorum. – powtórzył. – A jednak nad ołtarzem umieszczone są dwa cherubiny. A jednak nad ołtarzem jest napisane, że nie ma świętszego miejsca na ziemi.

– Nie dasz za wygraną, co? – zaśmiał się Onno. – Dowierzasz raczej intuicji niż faktom. To dla mnie bardzo heroiczna cecha, ale łatwo można przesadzić. Nie powiesz mi chyba, mam nadzieję, że to jakaś zмова i że ta książka została napisana tylko po to, żeby ukryć fakt, że Arka tak naprawdę tam właśnie się znajduje.

– Oczywiście, że nie – odparł Quinten. – Nie jestem wariatem.

– W takim razie kim? Może marzycielem? Na razie sobie daruj, jeśli chodzi o tę sprawę, twoja intuicja okazała się błędna. Co do innej sprawy, nie byłeś już tak daleki od prawdy. Ostatnio wyraziłeś przypuszczenie, że Wespazjan być może bał się Boga Żydów i dlatego kazał ukryć Arkę w swoim pałacu. Wprawdzie nie było tam mowy o Arce, ale wczoraj przeczytałem u Józefa Flawiusza, że po wielkim triumfalnym pochodzie przez Forum Romanum Wespazjan kazał przenieść do swojego pałacu zasłonę ze Świętego Świętych.

– To trochę dziwne – stwierdził Quinten nieufnie. – Na pewno nie te cenne złote rzeczy: świecznik i stół na chleby pokładne?

– Nie, one zostały wystawione w świątyni. Tylko purpurową zasłonę i żydowskie Prawo.

– Żydowskie Prawo? – Quinten zdziwiony uniósł brwi. – A co to takiego?

– Tak się nazywa Torę, Pięcioksiąg Mojżeszowy. O Mojżeszu też mówi się czasem Prawodawca.

Quinten zastanowił się przez chwilę.

– A jak mniej więcej wygląda to Prawo?

– Musiałeś chyba widzieć kiedyś na jakimś zdjęciu? Wielki zwój pisma, który można zobaczyć na ołtarzu w każdej synagodze.

– Jaki mniej więcej?

– Myślę, że zwój Tory ze świątyni Heroda był bardzo duży. Może z półtora metra wysokości.

Quinten skinął głową.

– I pewnie to monstrum też niesiono w czasie pochodu na Forum Romanum.

– Istotnie. Według Flawiusza żydowskie Prawo niesiono jako ostatnie z trofeów.

– Naprawdę? – zdziwił się Quinten. – Skoro było to takie ważne dla cesarza, że kazał je sobie przynieść do pałacu, ważniejsze nawet niż menora, to dlaczego nie ma tego na Łuku Tytusa?

– A skąd pewność, że nie ma?

– Ponieważ dopiero co go oglądałem. Za to zauważyłem coś innego – powiedział Quinten z nagłym zapałem. – Ostatnia postać, całkiem z lewej, człowiek bez twarzy, ten, który właściwie powinien nieść zwój Tory, stoi tam sobie, jakby nie miał nic do roboty, z opuszczonymi rękami. O, tak – pokazał. – Lewej ręki nie widać, ale jak się dobrze przypatrzeć, to można zobaczyć, że na pewno miał coś w prawej, coś ciężkiego i prostokątnego, co sięgało mu mniej więcej do łokcia. – Quinten wziął z biurka jedną z książek i przyłożył sobie do uda, objawszy od dołu zgiętymi palcami. – Powiedzieć ci, co to musiało być?

– Nie mogę się doczekać.

– Kamienne tablice Mojżesza z dziesięciorgiem przykazań.

Przygotowania

Onno patrzył na niego zdumiony.

– To właśnie było to żydowskie Prawo, o którym mówiłeś! – wykrzyknął z wielkim zapałem Quinten. – Jakie były wymiary tych kamiennych tablic?

Onno pochylił się nad notatkami.

– Według Berekiasza, rabina z IV wieku, sześć *tefah* długości i dwie *tefah* szerokości.

– A *tefah* ma ile?

– To szerokość dłoni.

– A jak szeroka jest dłoń? – zastanowił się Quinten, patrząc na swoją. – Osiem centymetrów? To by znaczyło, że czterdzieści osiem na szesnaście! Wszystko się zgadza!

– Ale pan Berekiasz nigdy ich nie widział.

– Przecież już wszystko jasne, tato! – Quinten z przejęcia zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju. – Posłuchaj... – zaczął ze wzrokiem wbitym w podłogę – ...Jeremiasz zabrał Arkę i schował w jaskini, ale to wcale nie musi oznaczać, że zostawił w niej kamienne tablice. Czy może jest napisane w tej Księdze Machabeuszów, że one też miały zniknąć?

– Nie.

– W porządku, a więc je wyjął. No i widział je ten kapłan z legendy rabinicznej, który myślał, że to tylko kamienne płyty posadzki, wystające ponad inne. Zachowały się zatem, a potem leżały w Świętym Świętych drugiej i trzeciej Świątyni Jeruzolimskiej. No bo przecież to by było głupie, jakby przez całe wieki świątynie miały być puste! Arcykapłan, który co roku w Dzień Pojednania wchodził uroczyście do środka przez zasłonę... i co, nic? Pusty sześcian? Przecież wyszedłby na głupka. Zupełnie jakby Bóg nie istniał. To by znaczyło, że przez wszystkie te wieki świątynie były pogrążone w śpiączce... zupełnie jak mama.

– Co ty wygadujesz za przerażające rzeczy, Quintenie? – spytał Onno zaszokowany.

– To tylko takie porównanie. Daj mi skończyć, bo stracę wątek. A więc w Świętym Świętych zawsze znajdowały się te dwie tablice z dziesięciorgiem przykazań. Tak samo jak przed wejściem z Przedśionka zawsze stały te dwie kolumny. Ten Józef Flawiusz dał sobie po prostu wmówić arcykapłanom, że *debir* był pusty. Razem z zasłoną tablice zostały zabrane z Jeruzolimy. Potem był ten pochód w Rzymie. Czy są jeszcze jakieś inne relacje naocznych świadków?

– Nie.

– A na ile wiarygodny jest ten Józef Flawiusz?

– Nie jakoś specjalnie.

– No tak, myślę, że w całym tym tumultcie i ścisisku sam nie wszystko by tak dokładnie zobaczył, ale potem, kiedy już to spisywał, posłużył się pewnie także tym, co usłyszał od innych. A oni powiedzieli tylko coś niejasno o jakimś „żydowskim Prawie”, które niesiono na końcu pochodu. To byli Rzymianie, nie mieli pojęcia o religii żydowskiej. Ale on jako Żyd od razu pomyślał o Torze ze Świątyni. Oczywiście tablice z dekalogiem nawet mu nie przysłyły do głowy, bo w jego przekonaniu zniknęły razem z Arką. Ale Wespazjan był lepiej poinformowany. Złota miał dosyć, więc mu już na nim nie zależało. Kazał przynieść sobie do pałacu jedynie te rzeczy, które miały coś wspólnego ze Świątym Świątych, czyli zasłonę i to tak zwane żydowskie Prawo. Zwój pisma, którego używano tylko w Świątym, do tych rzeczy nie mógł należeć; samo w sobie było to coś niezwykłego, ale nic wyjątkowego, przecież powiedziałaś, że takie zwoje można spotkać w każdej synagodze. Nie, to musiał być oryginał dekalogu, który Mojżesz własnoręcznie spisał na górze Horeb na Pustyni Synajskiej. Rzeźbiarz, który wykuł relief, był widać lepiej zorientowany. – Quinten rzucił krótkie spojrzenie na ojca, który wodził za nim okrągłymi ze zdumienia oczami. – A potem działa się z nimi dokładnie to, co myślałam, że działa się z Arką. Konstantyn nawrócił się na chrześcijaństwo i zrobił z tych dwóch tablic podarunek dla ówczesnego papieża, który umieścił je w relikwiarzu pod ołtarzem w swojej Bazylice. Dlatego zaczęto ją nazywać Sancta Sanctorum, a potem Jan Diakon napisał o *arca foederis Domini*, ponieważ słyszał, że dzwonią, ale nie wiedział, w którym kościele. Bo pod ołtarzem jego kościoła znajdowała się nie sama Arka, tylko jej zawartość. W XIII wieku odrestaurowano papieską kaplicę i po remoncie przeniesiono do niej także tablice Mojżesza, wskutek czego nazwa Sancta Sanctorum przeszła teraz na kaplicę. A kiedy w roku 1905 Grisar otworzył jej ołtarz, to po prostu przegapił te dwie kamienne płyty, tak jak Pompejusz, kiedy wszedł do Świętego Świątych, i jak Józef Flawiusz w czasie pochodu w Rzymie i tak jak wszyscy, którzy dotąd przyglądali się reliefowi na Łuku Triumfalnym Tytusa. A zatem one tam cały czas leżą.

Z triumfalnym okrzykiem Quinten podskoczył nagle do góry, rzucił się plecami na materac i dziko zamachał nogami, potem znowu się zerwał, posuwistym, tanecznym krokiem podbiegł do parapetu, podskoczył, obracając się w powietrzu, i usiadł; zaraz też podciągnął kolana pod brodę i objąwszy je rękami, patrzył na Onna.

Zapadł zmrok. Okno było otwarte i Onno widział tylko czarną sylwetkę Quintena, odcinającą się ostro na tle purpurowego wieczornego nieba, na którym pojawiły się już pierwsze gwiazdy.

- Nader kuszący wywód – skonstatował. – Podoba mi się taka argumentacja. Istotnie, tak właśnie mogło być. Ale może wcale nie było.

- Absolutnie było! – Ponieważ usta Quintena pozostawały niewidoczne, jego głos wydał się wyższy niż zazwyczaj. – Ludzie, którzy od wieków wchołgują się po schodach Sancta Sanctorum, klęczą przed czymś zupełnie innym, niż im się wydaje.

Onno przytaknął melancholijnie.

- Zupełnie jakbym słyszał samego siebie, Quintenie. Ale ja też byłem kiedyś głęboko przekonany o prawdziwości swojej hipotezy aż do dnia, kiedy w Arezzo pewien człowiek zapadł się pod ziemię.

- To, że twoja hipoteza okazała się nieprawdziwa, nie oznacza chyba od razu, że żadna hipoteza nigdy nie była prawdziwa? – powiedział Quinten wzburzony.

- Oczywiście, że nie. – Onno machnął ręką. – Nie słuchaj tego mojego gadania.

- No to znajdź jakiś kontrargument.

- Myślę, że bez trudu można przytoczyć wiele kontrargumentów. Na przykład: dlaczego w czasach drugiej i trzeciej Świątyni tylko arcykapłani wiedzieli, że w Świątym Świątych znajdują się tablice Mojżesza? Przecież świadomość tego faktu podnosiłaby chyba Żydów na duchu?

- Dlatego – odparł bez namysłu Quinten – że Jeremiasz trochę naoszukiwał. Bóg kazał mu ukryć Arkę i powiedział, że nikomu nie wolno już o niej myśleć. O tablicach nie było mowy, więc Jeremiasz na własną rękę wyjął je z Arki i oczywiście powstało pytanie, czy na pewno było to po myśli Boga. Tak więc na wszelki wypadek arcykapłani okryli to zasłoną tajemnicy.

- No dobrze - zgodził się Onno z rozbawieniem. - W takim razie spróbujmy rzecz zreasumować. Na podstawie licznych tekstów hebrajskich, greckich i łacińskich zbudowałeś pewną teorię, i przyjmijmy, że jest to teoria spójna. Wciąż jednak pozostaje niebagatelne pytanie, czy jest prawdziwa. Od literatury do rzeczywistości daleka droga, Quintenie. A sprawdzić to można, tylko zaglądając do ołtarza. A to jest możliwe wyłącznie za zgodą papieża, jak wyczytałem u Grisara. Takiej zgody na pewno nigdy nie dostaniesz, nie dlatego, że chodzi o ciebie, ale dlatego, że nikt by jej nie dostał na podstawie twojej teorii. Wyobraź sobie, że piszesz do papieża o swoim odkryciu. Oczywiście papież dostaje mnóstwo dziwnych listów, których nigdy nawet nie zobaczy na oczy, bo każdy wariat może sobie napisać list do papieża, ale za pośrednictwem kardynała Simonisa, arcybiskupa Utrechtu, naprzeciwko którego siedziałem kiedyś w czasie uroczystego bankietu w królewskim pałacu Noordeinde w Hadze i z którym miałem dobry kontakt, mógłbym doprowadzić do tego, żeby twój list trafił na papieskie biurko. W porządku. Papież Wojtyła czyta twoją opowieść swoimi sprytnymi oczkami. Oczywiście możesz powiedzieć, że on na pewno od dawna wie, iż te kamienne tablice znajdują się w ołtarzu. Za pośrednictwem kamerlinga, czyli takiego kardynała podskarbiego, który sprawuje władzę w okresie między kolejnymi papieżami, papież prawdopodobnie przekazują sobie tego rodzaju tajemnice, podobnie jak kiedyś żydowscy arcykapłani. Zgodnie z twoją własną teorią taka ciągłość musiała istnieć co najmniej do XIII wieku, kiedy to tablice zostały przeniesione z Bazyliki do kaplicy. Ale wiem na pewno, że obecny papież nic o tym nie wie, ponieważ na początku XX wieku Pius X też już tego nie wiedział. Inaczej nigdy nie udzieliliby Grisarowi zezwolenia na otwarcie ołtarza, ponieważ zdawałby sobie sprawę, że nieodwołalnie pojawią się żydowskie roszczenia i całe to zamieszanie, jakie z tego wynika. Ta niewiedza sama w sobie nie musi przemawiać przeciwko twojej teorii, ponieważ od XIII wieku mogło się na przykład zdarzyć, że jakiś kardynał kamerling zmarł w okresie między jednym papieżem a drugim albo został zamordowany razem ze swoim Ojcem Świętym, wskutek czego ciągłość uległa przerwaniu. Może zresztą nawet było to gdzieś napisane czarno na białym, na przykład w akcie darowizny Konstantyna, który to akt zaginął potem w Awinionie, bo wierz mi, że zawsze i wszędzie panuje wielki bałagan. Lecz jest problem żydowskich roszczeń, Quintenie, jest ten zasadniczy problem. Wskutek istnienia państwa Izrael zyskują one dodatkowy wymiar polityczny, a nasz Jan Paweł ani myśli wsadzać kij w mrowisko. Ma wystarczająco dużo zajęć z rozmiękczeniem komunizmu w Europie Wschodniej, jak się dzisiaj zorientowałem. Nawet jeśli by uznał twoją teorię za kompletną bzdurę, to i tak nie zdecyduje się na bodaj najmniejsze ryzyko, bo a nuż by się okazało, że jednak masz rację. Zresztą, po co mu to? Może na tym tylko stracić. No bo założmy, że tablice rzeczywiście tam będą. Co wtedy? Oddać je Żydom? Taką superświętą

relikwię? Przecież Stolica Apostolska nawet nie uznała dotąd państwa Izrael. Nie oddać? I narazić się tym samym po raz kolejny na wysłuchiwanie zarzutów o chrześcijańskich korzeniach antysemityzmu? I o miękkim kursie Piusa XII wobec nazistów? O niemieckich zbrodniarzach wojennych, którzy po wojnie znaleźli azyl w katolickich klasztorach? Na protesty żydowskiego lobby w Stanach Zjednoczonych? Na dyplomatyczne problemy z Waszyngtonem? Na to, że naczelny rabin Izraela rzuci klątwę na papieża? Na lądowanie izraelskich komandosów na Piazza San Giovanni in Laterano, którzy spróbują porwać tablice i zabrać je z powrotem do Jerozolimy? A potem na triumfalizm ultraortodoksyjnego żydostwa wobec islamu? Na wypędzenie muzułmanów ze Wzgórza Świątynnego? Na powstanie czwartej Świątyni do zdeponowania tablic? Na ogłoszenie džihadu, czyli świętej wojny, przez islam? Na atak raketowy irańskich fundamentalistów na Tel Awiw? Na wybuch trzeciej wojny światowej? O nie, mój chłopcze, mogę ci spokojnie zagwarantować, że nawet najstynniejszy i najbardziej katolicki archeolog na świecie nie dostałby takiego pozwolenia. W uprzejmym liście zakomunikowano by mu w imieniu Jego Świątobliwości, że profesor Hartmann Grisar SJ z niezwykłą pieczołowitością zbadał był swego czasu ołtarz, który od tej pory stoi pusty. Daj sobie spokój. Tego ołtarza nikt już nie otworzy przez najbliższe tysiąc lat. – Onno zamilkł. Miał nadzieję, że ostatecznie wybił Quintenowi ten pomysł z głowy. – A swoją drogą... Grisar podaje, że pozwolenie otrzymał 29 maja 1905 roku, a przed chwilą zobaczyłem po dacie w „Herald Tribune”, że dzisiaj mija dokładnie osiemdziesiąt lat od tamtego dnia.

Zapadła cisza.

– To znaczy, że jutro skończę siedemnaście lat – odezwał się wreszcie Quinten zaskoczony.

Quinten ani przez chwilę nie myślał o swoich urodzinach. Od kiedy wyjechał z Holandii, czas przybrał dla niego charakter nieskończoności przedwcześnie rozpoczętych letnich wakacji.

– No nie! – wykrzyknął Onno. – Jeszcze i to! Znaki na niebie są pomyślne, więc niedługo pójdziemy świętować, punkt o północy, u Maura na rogu. Powiedz, czego sobie życzysz, a obiecuję, że to dostaniesz.

Po kilku sekundach z czarnego otworu okna, w którym prawie już nie widać było zarysu postaci na tle rozgwieżdżonego nieba, rozległ się głos Quintena:

– Twojej pomocy.

– Mojej pomocy? Przy czym?

– Przy wydobyciu na światło dzienne dziesięciorga przykazań.

- Drogi Quintenie - odrzekł Onno po dłuższej chwili tonem udawanej rezygnacji w głosie - nawet jak na żart nie wydaje mi się to specjalnie udane. Nie powiesz mi chyba, że naprawdę rozważasz użycie przemocy?

- Oczywiście. To znaczy... to nie żart. A przemoc? Nie. Chociaż... jeśli wszystko, co robi się bez pozwolenia, jest przemocą, to tak, jak najbardziej.

Onno po omacku poszukał czegoś na biurku, znalazł pudełko zapalek i zapalił świeczkę. Kiedy ujrzał twarz Quintena, z dwoma płomyczkami w ciemnych oczach, wiedział już, że ten mówi poważnie. To przecież nie do pomyślenia! Aż do tej chwili bez oporu pozwalał sobą manipulować jego tyleż zaraźliwemu, co bezwzględnemu entuzjazzmowi, ale teraz już naprawdę najwyższy czas położyć temu kres.

- Wystarczy tego dobrego, Quintenie - stwierdził zdecydowanym tonem. - Trzeba umieć wyczuć, kiedy należy powiedzieć stop. Powoli zaczyna się to przerażać w obsesję. Słuchaj, doskonale znam to uczucie uskrzydlenia i rozgorączkowania przy snuciu nowej teorii, zwłaszcza jeśli samemu się ją wymyśliło; mnie też nie potrzeba do tego ani meczu piłki nożnej, ani wojny. Niemniej jednak grozi ci przekroczenie pewnej granicy, a to już może się skończyć fatalnie, mianowicie nawet więzieniem. A włoskich więzień raczej nikomu bym nie polecał.

Ponieważ zaczęło mu ciągnąć po plecach, Quinten ześliznął się z parapetu i zamknął okno.

- Czy dekalog nie jest wart ryzyka więzienia?

- Pewnie, że jest! - wykrzyknął Onno, wznosząc ręce do góry. - Jeśli tak pytasz, to tak, oczywiście! Nawet dożywocia! Stosu!

Quinten zaśmiał się krótko.

- Powiedz szczerze, tato, uważasz, że to idiotyzm, prawda?

- Właściwie sam nie wiem - westchnął Onno. - Znowu przypomniła mi się anegdota Maksa o Nielsie Bohrze. Kiedy ktoś przedstawił mu jakąś nową teorię fizyczną, Bohr powiedział: „Pańska teoria jest kompletnie zwariowana, ale jednak nie dość zwariowana, by móc się okazać prawdziwa”. - Spojrzał na Quintena z ironią. - Jeśli o to chodzi, to twoja ma wszelkie szansę.

- Czyli że prawie na pewno jest prawdziwa.

- Czyli że prawie na pewno jest prawdziwa. *Credo quia absurdum.*

Onno czuł, że znowu oddał pole. Wstał i zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem w swoich rozdeptanych brązowych butach z pościeranymi obcasami, nie podpierając się laską, a przy każdym nawrocie szukając oparcia. Jak tu, na Boga, do tego podejść? Gdyby to chodziło o złoto Romanowów albo o skarb w Srebrnym Jeziorze – ale kamienne tablice Praw! Czy Quinten w ogóle zdaje sobie sprawę, o czym mówi? Oczywiście Bóg nie istnieje i Mojżesz być może też nigdy nie istniał, ale dziesięcioro przykazań istniało na pewno: co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Tymczasem jednak wyglądało na to, jakby samo istnienie dekalogu – fundamentu wszelkiej moralności – z jednej strony krystalizowało się w Boga, a z drugiej w Mojżesza, i jeszcze w dodatku w kamienne tablice. Czyżby było tak, że pierwotnie istnieją nie same rzeczy, tylko relacje między nimi? Czyżby miłość stwarzała zakochanych, a nie odwrotnie? Czyżby zatem miłość jako taka mogła przybrać kształt kamienia albo dwóch kamieni?

– Nad czym myślisz?

Onno zatrzymał się, szukając słów. Quinten spoglądał na niego, połowę jego twarzy skrywał czarny cień, powstały od blasku świecy. Spokój, jakim emanował chłopak, wzbudził nagle jego gniew.

– Do jasnej cholery, Quinten, czy ty jesteś przy zdrowych zmysłach? – wybuchnął. – Co ci się roi w tej łepetynie? Jak ty sobie to wyobrażasz? Jak chcesz się dostać do kaplicy? A potem do ołtarza? Zamierzasz przepiłować te wszystkie kraty? Poczytaj sobie Grisara! W XVI wieku miało miejsce Sacco di Roma, kaplicę splądrowali francuscy żołdacy, ale tylko dlatego udało im się wejść do kaplicy, że zmusili ojców do otwarcia drzwi. Ci nie mieli jednak kluczy od krat ołtarza i jakoś nie udało się go otworzyć. Inaczej w roku 1905 nie byłoby już w nim tych wszystkich złotych i srebrnych skarbów. A ty myślisz, że akurat tobie się to uda? Tak, żeby nikt nie zauważył?

– Tak.

– Niby jak?

– Przez otwarcie kłódek.

– I ty to potrafisz zrobić, tak?

– Tak.

– Bez kluczy?

– Tak.

– W czasie, kiedy naokoło roi się od zakonników, a Święte Schody są pełne ludzi?

– Nocą nie są. Damy się po prostu zamknąć.

– My? Naprawdę sobie wyobrażasz, że namówisz mnie na takie wariackie przedsięwzięcie?

– Mam taką nadzieję.

– Przecież tam na pewno są jakieś elektroniczne zabezpieczenia!

- Nie ma żadnych.
- Skąd wiesz?
- Sprawdziłem.
- A pamiętasz może przypadkiem, jak brzmi ósm e³ z dziesięciorga przykazań?

- Nie.
- Nie kradnij.
- Nie uważam tego za kradzież.
- Tylko za co?
- Za konfiskatę.
- Za konfiskatę! Skąd ci przychodzą do głowy takie pomysły? - Onno bezradnie odwrócił się do połowy wokół własnej osi i powiedział błagalnym tonem: - Quintenie, nie rób mi tego. Kiedy dziesięć dni temu nagle ujrzałem cię, jak idziesz w stronę Panteonu, żyłem tutaj jak Łazarz w grobie innej osoby, że tak powiem. Jedyną bratnią duszą, do której przez cały ten czas chciało mi się otworzyć usta, był dzielny Edgar. Wydobyłeś mnie z rozpacz i jestem ci za to wdzięczny. Ale to, co teraz zamierzasz, naprawdę przekracza wszelkie granice! Dać się zamknąć w Sancta Sanctorum, żeby sprawdzić, czy w ołtarzu są tablice Mojżeszowe! Kiedy mówię te słowa, nie wierzę własnym uszom. Wyobraź sobie, że nagle wpadają karabinierzy z pistoletami w dłoniach: młodociany rabuś dzieł sztuki przyłapany na gorącym uczynku w świątyni! Już widzę te tytuły w „La Stampa”.

- Rabuś dzieł sztuki? - powtórzył Quinten. - A sam przed chwilą mówiłeś, że według Grisara w ołtarzu nic już nie ma.

- Jeszcze się powołuj przed policją na literaturę archeologiczną! Czy ty w ogóle wiesz, co to jest policja? Przecież coś jednak jest n a ołtarzu, dla własnej wygody zdajesz się o tym zapominać: Acheiropita, czyli wizerunek Chrystusa namalowany ręką anioła, od ponad tysiąca lat noszony przez kolejnych papieży w procesji ulicami Rzymu, będziesz miał szczęście, jeśli cię nie zastrzelą na miejscu. Są takie rzeczy na świecie, od których lepiej trzymać się z daleka.

Quinten rzucił mu krótkie spojrzenie.

- W porządku - powiedział. - W takim razie zrobię to sam.

Zapalił światło, usiadł przy biurku i otworzył książkę Grisara.

Onno z przerażeniem uświadomił sobie, że nic nie jest w stanie odwieść Quintena od jego nieszczęsnego planu. Jakaż to siła go ku temu pchała? Żelazny upór, z jakim się do wszystkiego zabierał, już od jego urodzenia zdumiewała Onna. I co tu zrobić? Jeśli pozwoli mu iść samemu, to oczywiście go straci, a przecież, jak sobie nagle uświadomił, odnaleźli się właśnie dzięki tejeż zawziętości Quintena. Czy wolno odpychać od siebie coś, czemu zawdzięcza się życie? A poza tym przecież on sam to wszystko sprowokował swoją uwagą, że chrześcijaństwo nie zna Świętego Świętych jako tworu architektury. Powoli zaczynało do niego docierać, że przegrywa. Z westchnieniem opadł ciężko na materac, opierając brodę na splecionych rękach. Nie miał szans z własnym synem. Ale tak Bogiem a prawdą, co miał właściwie do stracenia? Oczywiście nie ma mowy, żeby Quintenowi udało się otworzyć którąkolwiek z tych kłódek. Może zostaną przyłapani w czasie tej bezsensownej próby i naprawdę trafią za kratki – i co wtedy? Po przedstawieniu swojej teorii oraz po długim i pełnym niedowierzania kręceniu głowami pewnie zostaną wkrótce wypuszczeni. Niewątpliwie sprawa dostanie się do gazet. Papież będzie milczał jak zaklęty, wszyscy rabini tego świata uniosą brwi do góry, że są jeszcze tacy *meszugi*, a stary Massimo Pellegrini oświadczy przed kamerami telewizyjnymi, że wprawdzie od dawna wiedział, iż Onno Quist to zwykły amatorzyna, ale nie miał pojęcia, że jest w dodatku niezrównoważony psychicznie i wciąga swojego nieletniego syna do realizacji własnych tyleż chorych, co i niebezpiecznych pomysłów. Włączy się holenderska ambasada, jego dawny kolega z Ministerstwa Kultury po cichu wsadzi ich w samolot lecący do Holandii i na tym skończy się cała sprawa – ale przynajmniej nie straci Quintena. Zdecydował zatem, że z Bożą pomocą weźmie w tym udział. Odwrócił głowę w stronę Quintena.

– A jeśli ich tam jednak nie ma? Przecież istnieje minimalna szansa, że tak właśnie będzie.

– No to trudno. Wtedy zamknę wszystko z powrotem i wrócimy do domu – powiedział Quinten, nie podnosząc wzroku. – Ale na pewno są.

– Jeśli tak, to co z nimi zrobisz?

– Zabiorę stamtąd, a jak myślałeś? Nikt się o tym nigdy nie dowie. Sam powiedziałeś, że ten ołtarz otworzą najwcześniej za następne tysiąc lat, ale wtedy też nikt się nie zorientuje, bo nikt nie wie, że one tam kiedykolwiek były.

Onno patrzył na niego zdumiony.

– No to teraz już całkiem nic z tego nie rozumiem. Dokonujesz wstrząsającego dla całego świata odkrycia, które może uczynić cię nieśmiertelnym, i zachowujesz je dla siebie?

– Sam przecież powiedziałeś, że to grozi wybuchem wojny, prawda?

– Istotnie. Ale co w takim razie zamierzasz z nimi zrobić?

To pytanie zaskoczyło Quintena. Podniósł wzrok, zdziwiony. Nad tym się dotąd ani przez moment nie zastanawiał.

– Jeszcze nie wiem – powiedział z tonem bezradności w głosie. Po paru sekundach wzruszył ramionami i z powrotem pochylił się nad książką: – Potem się zobaczy.

*

Następnego dnia – w urodziny Quintena – siedząc obok siebie przy biurku, studiowali szczegółową relację Grisara, oglądali zdjęcia i fotografie, wodzili palcami po przekrojach budynku. Na podstawie obserwacji Quintena poczynionych w kaplicy ułożyli plan, który, jak stwierdził Quinten, nie może się nie udać. Zdaniem Onna natomiast, wszystko mogło się zawsze nie udać, nawet nieudanie się – więc odchylił się na oparcie krzesła i opowiedział Quintenowi o nieudanym nieudanym samobójstwie: chodziło o to, żeby za pomocą nieudanej próby samobójczej zwrócić na siebie uwagę, co się nie udało, ponieważ całkiem niespodziewanie udana okazała się próba samobójcza.

– Czyż może być coś smutniejszego? – spytał ze śmiechem.

Wprawdzie nie umówili się jakoś konkretnie, że Onno będzie pomagał Quintenowi w tym szalonym przedsięwzięciu, ale wyglądało na to, że Quinten nie ma co do tego wątpliwości – a kiedy już Onno zdecydował się jednak rzucić w wir tej przygody, owładnęło nim coś w rodzaju ojcowskiej lekkomyślności. Nadal wprawdzie uważał, że pomysł, aby kamienne tablice wciąż znajdowały się w tamtym ołtarzu, to piramidalna bzdura, a całe przedsięwzięcie zakończy się kompletnym fiaskiem, ponieważ nie uda im się otworzyć nawet pierwszych drzwi i będą z tego potężne kłopoty – ale czy ktokolwiek ma syna o tak fantastycznych aspiracjach? Czego pragną inni synowie? Technicznych gadżetów. Pieniądzy. Rozrywki. Czy ktokolwiek poza nim miał syna, który pragnął dekalogu?

Ponieważ relief na Łuku Triumfalnym Tytusa umieszczony był dość wysoko i trudno go było dokładnie obejrzeć, poszli w południe na Piazza Monte Citorio, gdzie naprzeciwko parlamentu mieściła się wielka księgarnia. Kiedy szli wzdłuż Panteonu, Onno zatrzymał się nagle i spytał:

– Może byś teraz zadzwonił do babci?

– Nie – odpowiedział bez namysłu Quinten.

– Ależ Quintenie! Ona tam siedzi całkiem sama w zamku i wie, że masz dzisiaj urodziny. Co do mnie, to możesz jej powiedzieć, że ze mną mieszkasz. Nie dociera do ciebie, że ona zapewne się niepokoi? Nie ma cię w domu już trzy tygodnie.

– Ciebie nie było dłużej i też nie zadzwoniłeś.

Ta uwaga zamknęła Onnowi usta; przez resztę drogi nie odezwał się ani słowem. Quinten może mu nawet i wybaczył, ale zapomnieć, na pewno nigdy nie zapomni. Również to, że na tak długo zostawił go samemu sobie, zobowiązywało go w jakiś sposób do udziału w jego przygodzie.

W księgarni znaleźli w dziale książek o sztuce opasły album o tym zabytku, gdzie było mnóstwo szczegółowych zdjęć reliefu. Onno z wielką uwagą przestudiował postać bez twarzy, stojącą z lewej strony.

- Rzeczywiście - stwierdził w końcu. - Jeśli chce się to zobaczyć, to naprawdę można zobaczyć, że niesie coś płaskiego.

- A nie mówiłem?

- Oczywiście.

Na Via del Corso wsiedli do autobusu i pojechali do Sancta Sanctorum, żeby sprawdzić godziny otwarcia i skonfrontować swój plan z rzeczywistością. Wyglądało na to, jakby na schodach wciąż klęczeli ci sami wierni, również atmosfera w tchnącej ciszą kaplicy była niezmienną. Onno z zadowoleniem przyjrzał się potężnej kracie i kłódkom przy ołtarzu: to, co nie udało się francuskim rabusiom przed czterystu laty, nie uda się też Quintenowi. Ale Quinten nie zwracał już na ołtarz najmniejszej uwagi; widocznie był tak pewny swego, że interesowały go wyłącznie szczegóły techniczne. Niby to podziwiając malowidła na plafonach, pokazał Onnowi, że nigdzie nie ma kamer. Najwidoczniej świątynia była traktowana wyłącznie jako cel pielgrzymek, a nie muzeum; Onno pomyślał, że nadnaturalnej wielkości postać Zbawiciela na ołtarzu może i była cudownego pochodzenia, ale na rynku dzieł sztuki niewarta jest nawet centa, bo nie do sprzedania. Kiedy starzy, pokręceni jak drzewka oliwne ojcowie znowu ujrzeli Quintena, ich twarze rozjaśnił jakiś uduchowiony blask; pewnie sami nie wiedzieli, kogo im przypomina.

- Oni wszyscy są głusi - powiedział szeptem Quinten.

- Miejmy taką nadzieję.

Kiedy znaleźli się z powrotem na dworze, Onno zaproponował, żeby od tej pory nie rozmawiali o całym zamiarze.

- To zupełnie jak z egzaminem: ostatniego dnia nie wolno już nic wkuwać, trzeba się oderwać od wszystkiego, żeby umysł nabrał sił. A teraz chodźmy świętować twoje urodziny; za Piazza Navona jest porządna restauracja. Jutro dokonamy tych twoich kryminalnych zakupów, ja doczytam jeszcze trochę na temat tablic i dla zabicia czasu pójdziemy sobie pojutrze je zabrać. Zgoda?

Oczywiście Quinten zauważył ironiczne skrzywienie kącików ust ojca, ale wcale mu to nie przeszkadzało.

- Załatwione - powiedział.

Antyszambrowanie

Wieczorem następnego dnia, był to piątek, znaleźli kawiarnię z ogródkiem na tarasie naprzeciw Panteonu i usiedli, żeby coś zjeść. Plac wypełniały tłumy spacerujących rzymian; młodzi turyści w dżinsach tworzyli błękitne grona na schodach fontanny z obeliskiem, gdzie dziesięć dni temu przysiadł Onno, postawiwszy na ziemi plastikową torbę z zakupami. Kiedy zapadł zmrok i ze wszystkich stron rozległy się odgłosy opuszczania metalowych rolet na sklepowe wystawy, wydawało się, jakby świątynia – kunsztownie oświetlona reflektorami umieszczonymi na okolicznych dachach – zaczęła fosforyzować od podróży przez dzień i setki tysięcy innych przesyconych słońcem dni. Wkrótce wokół antycznych murów zaczęło fruwać kilka małych nietoperzy, jak zwęglone kawałki papieru z odległego pożaru. I nagle Quinten zobaczył to, czego nie było widać na zdjęciach i rycinach u pana Themaata: budowla przypominała zwietrzałą ludzką czaszkę, z kopułą jako pokrywą czaszki, tympanonem jako trójkątnym otworem nosowym i kolumnami jako rzędem zębów.

Chociaż Quinten ani razu o to nie zapytał, Onno założył, że z pewnością chce wiedzieć coś więcej na temat dekalogu, który zupełnie niespodziewanie stał się jego obsesją, bo przecież dotychczas nie wyszedł poza „Nie zabijaj”. W czasie posiłku, kiedy pod ich nogami chodziły gołębie wydziobujące okruszki, wprowadził go we wszystko, czego zdążył się dowiedzieć. Przede wszystkim w Biblii hebrajskiej w ogóle nie ma mowy o „dziesięciorgu przykazaniach”, lecz o „dziesięciorgu słowach”: *asereth ha'dewarim* – co pokrywa się z greckim przekładem *deka logoi*. Na każdej z dwu kamiennych tablic znajdowało się zatem pięć „słów”. Według tradycji pierwsze przykazanie brzmiało: „Jam jest Pan, twój Bóg, i nie będziesz miał cudzych bogów obok Mnie!”. Lecz w hebrajskim nie było właściwie tego „nie będziesz”, tam słowa te brzmiały: „i nie macie oczywiście żadnych bogów obok mnie”. Onno powiedział, że po ponownym dokładniejszym przyjrzeniu się tekstowi odkrył, że dekalog wcale nie miał charakteru zbioru praw, tylko raczej poradnika dobrych manier: „Czegoś takiego się nie robi”. Spaghetti nie je się za pomocą łyżki, nie mówiąc już o nożu. Warto też pamiętać, że Jahwe wcale nie powiedział, iż poza nim nie ma żadnych innych bogów, tylko powiedział, żeby ich nie czcić – co w zasadzie jest jakby potwierdzeniem ich istnienia. Drugie „słowo” również ma oczywiście podwójne dno. To, że niedozwolone jest wykonywanie żadnych obrazów i rzeźb, tylko pozornie było nakazem antyartystycznym, ponieważ należy pamiętać, że nakaz pochodził od tego, który sam uczynił człowieka na swój obraz i podobieństwo – a więc to typowa uwaga artysty, który nie tylko chce być najlepszy, ale też jedyny; dlatego też zaraz mówi w tym samym przykazaniu, że jest Bogiem zazdrosnym. Trzecie „słowo”, że nie wolno używać jego imienia nadaremno, oraz czwarte, że dzień święty należy święcić, również odnoszą się do relacji między człowiekiem a Bogiem. Piąte, że należy oczywiście czcić ojca i matkę swoją, stanowi przejście do „słów” z drugiej tablicy, które wprawdzie regulują stosunki ludzi między sobą, jednocześnie jednak nadal należą do pierwszej tablicy, ponieważ rodzicielstwo stanowi odbicie dzieła stworzenia przez Boga.

– Taki był przynajmniej komentarz Filona, i zdajesz sobie sprawę, mój synu, że jestem całkowicie za tym.

Ten swobodny ton nie był tak do końca szczery – obydwaj w tym samym momencie pomyśleli o Adzie, tam daleko, na północy, na białym łóżku. Niziutki kelner w butach na koturnach, przypominający trochę Goebbelsa i patrzący na świat wzrokiem, który mówił, że najchętniej zniszczyłby go już dzisiaj, a nie dopiero jutro, sprzątnął ze stołu i postawił przed nimi dwie kawy. Dorożki zniknęły już spod Panteonu, kioskarze chowali do budek stojaki z gazetami; minęła też godzina nietoperzy, ustąpiły miejsca jaskółkom pomykającym wokół świątyni i nad placem ze świstem przypominającym ostrzenie miniaturowych nożyków: itis... itis... Quinten w milczeniu słuchał wywodów ojca, ale myślami był zupełnie gdzie indziej. Onno mylił się, zakładając, że Quintena interesuje dziesięcioro przykazań: to nie one go zajmowały, tylko tablice, na których były spisane, konkretne kamienne twory, leżące kilka kilometrów stąd i czekające na niego – do jutrzejszej nocy.

Mord, jak po chwili dalej zaczął wywódzić Onno, był według szóstego „słowa” *not done*, cudzołóstwo według siódmego, kradzież według ósmego, według dziewiątego krzywoprzysięstwo, a według dziesiątego próba przywłaszczenia sobie cudzej własności. Ten drugi zestaw pięciu „słów” uosabiał tak właściwie prastarą „złotą zasadę”: nie czyni drugiemu, co tobie niemiło. Według Hillela, jak mówił dalej Onno, legendarnego żydowskiego uczonego z czasów Heroda, do tego sprowadza się cała Tora, czyli Pięcioksiąg Mojżeszowy, z przytoczonymi tam 613 zasadami. W judaizmie tych dziesięć nie było wcale ważniejsze od 603 pozostałych – tak stało się dopiero w chrześcijaństwie. Wiele z pozostałych zasad zostało nawet zniesionych, na przykład ta o obowiązku obrzezania, które zastąpiono chrztem. Onno wybuchnął śmiechem, bo, jak powiedział, przypomniał sobie od razu swojego pastora z lekcji religii w Hadze przed czterdziestu laty. Mówiąc o tym, że żydowscy chłopcy wchodzili w przymierze z Bogiem po wykonaniu małego cięcia na napletku, wykonał pionowy ruch palcem gdzieś na wysokości mostka. On naprawdę myślał, że tam właśnie jest ten „napletek” – i to pastor! Aż strach pomyśleć, w jakim świecie żyli ci holenderscy kalwiniści!

Czubkiem wskazującego palca, który zwilżył śliną, dotknąwszy na moment języka, podniósł z blatu okruszek i włożył go do ust. Ponieważ Quinten nie reagował na jego wykład, Onno zaczął sobie uświadamiać, że chłopak słucha tylko z uprzejmości, wcale jednak nie przeszkodziło mu to mówić dalej. Było poniżej jego godności stać się wyłącznie asystentem technicznym własnego syna.

Kontynuował zatem, mówiąc, że kiedy pewien uczony spytał Jezusa, które jego zdaniem przykazanie jest w Prawie największe, ten odrzekł, iż umiłowanie Boga; a drugie, równorzędne z pierwszym, aby miłować bliźniego swego jak siebie samego. Najwyraźniej wychodził z założenia, że każdy siebie lubi; od razu widać, że znajomość natury ludzkiej nie była jego mocną stroną: jeśli o to chodzi, trzeba było jeszcze poczekać na innego Żyda, z Wiednia. Komuś, kto siebie nie tylko nie miłował, ale co gorsza, siebie nienawidził, wolno było, zgodnie z drugim „słowem”, nienawidzić także swoich bliźnich, wolno było mordować, skoro potem popełnił samobójstwo, tak jak Judasz czy Hitler. Widać, że Jezus nie miał pojęcia o piekle, co jest raczej oczywiste: w końcu był istotą, którą Bóg umiłował jak siebie samego. Lecz głębia jego odpowiedzi polega na postawieniu znaku równości między pięcioma przykazaniami z pierwszej tablicy i tymi z drugiej; pewnego dnia sformułował nawet pozytywną wersję tamtej ogólnej „złotej zasady”: „Co chcesz, aby uczyniono tobie, uczyni to drugiemu; albowiem to jest Prawo i Prorocy”.

– Albowiem to jest Prawo i Prorocy... – powtórzył Quinten, a na jego twarzy pojawiło się coś jak wyraz radości.

Tajemniczy zwrot mu się spodobał. Spojrzał na ojca. Praca jego mózgu kojarzyła się Quintenowi z błyskawicznymi zwodami, jakimi hokeista mija przeciwników, umieszcza krążek w siatce, ze zgrzytem łyżew zawraca za bramką i w triumfalnym geście unosi do góry kij. Był już prawie taki sam jak kiedyś. W ogóle wyglądało na to, że ostatnich dziesięć dni całkowicie wymazało poprzedzające je cztery lata; właściwie żaden z nich nie potrafił już sobie przypomnieć, jakie one były. Onno zastanawiał się, jaki to wszystko miało sens. Przez moment odpowiedział spojrzeniem na spojrzenie Quintena, zaraz jednak opuścił wzrok. Przypomniał sobie rozmowę pod obeliskiem Tutmosisa: tę o kuli i punkcie. Nawet jeśli życie miało jakiś sens, zastanawiał się, to jaki jest tego sens? A jeśli to tylko gra słów, to czy nie dotyczy to również pytania o sens życia? Może to właśnie był powód, dla którego Quinten nie wiedział, co oznacza słowo „sens”?

Podnieśli się dopiero wówczas, gdy Goebbels wyciągnął im niemal krzesła spod siedzeń i od strony Piazza delia Minerva z warkotem nadjechały powoli dwa samochody miejskiego przedsiębiorstwa oczyszczania, zupełnie jak kraby, ze strumieniami wody zraszającymi jezdnię i obracającymi się szczotkami. Reflektory były już od pewnego czasu wyłączone i Panteon osunął się z powrotem w szary mrok nocy. W milczeniu wędrowali do domu wąskimi, ciemnymi uliczkami, na zmianę z opustoszałymi placami, na których stały brodate marmurowe postacie, zastygłe w swym cyklopowym wysiłku, by uwolnić się od siły ciężenia. Quinten pomyślał, że być może teraz nikt już nie patrzy na Panteon, więc jak to możliwe, że on nadal istnieje? Czy na pewno nie jest tak, że aby cały ten świat mógł trwać, ktoś musi bezustannie na wszystko patrzeć?

Zgodnie z planem obudził się dopiero gdzieś koło południa, ponieważ w najbliższym czasie nie będzie mowy o śnie; natomiast Onno co chwila wyrwał się ze snu przerażony. Za każdym razem z bijącym sercem wpatrywał się w ciemność, zadając sobie rozpaczliwe pytanie, w co też najlepszego się wmanewrował. Czy gdyby ktoś mu to kiedyś przepowiedział, to czy nie unikałby takiego kogoś do końca życia, jako człowieka niespełna rozumu? W to sobotnie popołudnie niewiele ze sobą rozmawiali. Na dworze było szaro i smętnie, Onno próbował czytać gazetę, ale w miarę upływu czasu jego niepokój narastał. Miał nadzieję, że coś im przeszkodzi, trzęsienie ziemi, wojna, koniec świata, ale rzeczywistość postanowiła nie przejmować się planowaną przez nich ekspedycją.

Quinten natomiast dziwił się swojemu własnemu spokojowi. Czuł się zupełnie tak, jakby zaraz miał tylko zająć się jakąś rutynową czynnością, taką jak wyprowadzenie psa albo podkręcenie ogrzewania – podczas gdy jednocześnie miał poczucie, że całe jego życie było przygotowaniem do tego właśnie dnia. Świadomość, że dzisiaj w nocy przeniknie do ś r o d k a ś w i a t a , którego tak się bał w swoim śnie, zupełnie go nie przerażała. Może wewnątrz tajemniczego Zamczyska było groźniejsze od rzeczywistości? Niby pasmo trawy morskiej snuł się przez jego myśli tytuł książki – a może sztuki teatralnej? – *Życie snem...* Przypomniał sobie też, jak Maks powiedział kiedyś, że nie da się udowodnić, iż nie śnimy, będąc na jawie, ponieważ we śnie też czasem jest się w stu procentach przekonany, że to się nam nie śni, tylko dzieje naprawdę. Skoro więc rzeczywistość może być snem, to może i sen może okazać się rzeczywistością?

Pod wieczór stanął ze skrzyżowanymi ramionami przy parapecie i spoglądał na spiżowego anioła na Castel Sant' Angelo, który nagle, gdy promienna pomarańcza słońca wyłoniła się zza chmur, rozbłysnął zupełnie jak jakaś złota wizja.

– Musimy iść – powiedział, odwracając się. Onno spał.

– Co, co? – spytał, prostując się ze stęknięciem na swoim materacu. – Nie, naprawdę? Rzeczywiście mamy to zrobić?

– No pewnie. Jest wpół do szóstej. Za dwie godziny zamykają Sancta Sanctorum. – Quinten wziął leżący na polowym łóżku plecaczek z jaskrawoczerwonego płótna, który kupił wczoraj i już parę godzin temu spakował. – Idziesz? Czy wolisz zostać i się przespać?

– Oczywiście, że wolałbym dalej spać – powiedział Onno burkliwie i poczłapał w stronę kranu. – Właśnie śnił mi się idealny świat bez przestępstw, bez przykazań i bez nazbyt przedsiębiorczych młodych ludzi.

Kiedy już zjedli u Maura po pół bagietki z szynką, z jednym małym espresso, i odwiedzili jeszcze toaletę, Onno chciał zatrzymać taksówkę, ale Quintenowi wydało się to nierozsądne: gdyby coś poszło nie tak, kierowca mógłby podać ich rysopisy. Na Corso Vittorio Emanuele wsiedli do autobusu i wysiedli koło Bazyliki. Kiedy przechodzili przez plac obok obelisku, Onno podniósł laskę do nieba i powiedział:

– *Ave, faraonie, morituri te salutant.*

W drugiej ręce trzymał płaską, sztywną walizkę lotniczą z szarego plastiku, w której niedługo miały się znaleźć kamienne tablice Mojżesza.

W Sancta Sanctorum panował większy tłok niż w poprzednie dni – może dlatego, że przed niedzielą. Skwaszona twarz starego zakonnika, który siedział za szybą, gotowy w każdej chwili zastukać w nią monetą, rozjaśniła się uśmiechem, gdy tylko ujrzał Quintena.

– I ty chcesz okraść tego poczciwego staruszka? – spytał Onno.

– Ja tylko wezmę coś, o czym on nie ma nawet pojęcia, że to ma.

– I tobie się wydaje, że wtedy to nie jest kradzież, tak? A to może wręcz coś gorszego. Takich rzeczy się nie robi. To nawet nie jest kwestia mozaistycznej moralności, tylko wychowania.

– To trzeba mnie było wychowywać – wypalił Quinten bez namysłu. Zaraz zresztą pożałował, że mu się wyrwało. – Przepraszam, nie gniewaj się, nie chciałem tak powiedzieć.

Onno pokiwał głową, nie patrząc na niego.

– Nie ma sprawy. Masz rację.

Nie, wcale nie jest złodziejem, przecież nigdy w życiu niczego nie ukradł, rozważał w myślach Quinten. Wcale nie chciał mieć tych tablic dla siebie! Jak już je będzie miał, to w równie małym stopniu, jak mają je teraz ojcowie pasjonści. Oni sami na pewno znacznie lepiej by go zrozumieli – chociaż nie, przecież wstąpili do klasztoru tylko po to, żeby pójść do nieba, oczekują sowitej nagrody. On nie oczekiwał niczego, a ojciec po prostu podjął ostatnią próbę odwiedzenia go od jego decyzji. Jeśli jednak nie jest złodziejem, to kim jest?

Aby zdobyć pełne zaufanie ojców i w razie ewentualnego fiaska móc dowieść swojej pobożności, Quinten namówił Onna do wejścia na górę po Świętych Schodach. Przeszli przez portal i czekali przed pierwszym stopniem na swoją kolej, jak przed kasą.

– A więc zaraz mam tu paść na kolana – powiedział Onno cicho – a mój ojciec, siedząc po prawicy Boga, będzie na mnie spoglądał gniewnie z kalwińskiego nieba, by za moment osunąć się bez czucia na ziemię.

To wszystko twoja wina. – A kiedy zwolniło się miejsce i rzeczywiście ukląkł, wspierając się na lasce, pochylił głowę i wymamrotał: – Wybacz mi, ojcze, albowiem nie wiem, co czynię. To wie tylko twój wnuk.

Zabrzmiało to jak modlitwa i Quinten z trudem powstrzymał się od uśmiechu. Coraz częściej powracała u ojca dawna mieszanka powagi i humoru, którą tak dobrze znał. Albo raczej: teraz nie była to już mieszanka, było to zarazem jedno i drugie – żarty były poważne, wcale nie przestając być przez to żartami. Może nikt nigdy się na tym nie poznał, poza Maksem; może na tym właśnie polegała ich przyjaźń.

Quinten również, złożony ręce, ukląkł na pierwszym stopniu. Nie posunął się do tego, żeby nauczyć się na pamięć wszystkich dwudziestu ośmiu oficjalnych modlitw, ale poruszanie bez sensu wargami przez kwadrans wydało mu się zbyt idiotyczne, zaczął więc powtarzać łacińskie deklinacje:

– *Hic, haec, hoc. Hic, huius, hoc. Hic, huic, hoc. Hunc, hanc, hoc. Hoc, hac, hoc. Hi, hae, haec. Horum, harum, horum. Horum, his, horum. Hos, has, haec. Hos, his, haec.*

Pokryte drewnem stopnie były niskie i szerokie, dwa powyżej były puste, na czwartym kłęczała zakonnica i zwalisty, z wiejska wyglądający człowiek. Podeszwy ich butów, które Quinten widział przed sobą, miały głębokie nacięcia, w których tkwiły zaklinowane kamyczki. Miał wielką ochotę wyjąć z kieszeni szczyryki i je wydłubywać, tak żeby odskakiwały na dwa metry. Kiedy zakonnica i mężczyzna obok niej mozolnie wspięli się na następny stopień, jak inwalidzi, to samo zrobili Quinten i Onno. Kątem oka widział, jak ojciec nieporadnie manewruje laską i walizką.

Po pięciu czy sześciu schodkach, które zakonnica całowała jeden po drugim, Quinten nie znał już więcej rzeczowników i zaczął odmieniać czasowniki:

– *Capio, capis, capit, capimus, capitis, capiunt. Capiam, capias, capiat, capiamus, capiat, capiant. Capiebam, capiebas, capiebat, capiebamus, capiebatis, capiebant. Caperem, caperes, caperet, caperemus, caperetis, caperent. Capiam, capies, capiet, capiemus, capietis, capient.*

W miarę jak wchodził coraz wyżej, czasowniki stawały się coraz bardziej nieregularne i Quinten wpadał w coś na podobieństwo transu. Zaraz, zaraz, jak to było? *Deponentia, semideponentia... Volebamus, ferebatis, ferrebaris...* Przez małe szklane okienko w drewnie schodów widać było jasnobrązowe plamy na białym marmurze: oczywiście krew Chrystusa. *Conficit, confecit, confedus...*

U samej góry, pod zakratowanym otworem wejściowym do kaplicy, podnieśli się z kłęzek.

– Jeśli teraz nie zginiemy ostatecznie z mocy Boga – powiedział Onno – to będzie to ontologiczny dowód na jego nieistnienie.

Była szósta. Przez ostatnie pół godziny chodzili razem z turystami po różnych kaplicach, które powoli pustoszały; na dole, przy Świętych Schodach, stał jeden z ojców, żeby nikt już nie zaczynał wspinaczki.

– Jeszcze możemy wyjść – powiedział Onno bez większych nadziei.

– Ale tego nie zrobimy. Lepiej zajmijmy już pozycje.

Poszli do bocznej kaplicy po prawej stronie, w której została tylko para starszych ludzi, zapewne Niemców; obydwójce byli ubrani w zielone lodenowe kurtki i oglądali fresk Lorenza nad ołtarzem. Quinten wiedział, że zaraz jeden z ojców zrobi obchód, by pełnym namaszczenia gestem przypomnieć, że czas już wychodzić. Nie będzie czekał, aż wszyscy wyjdą, tylko za jakiś czas pojawi się ponownie na ostatnią kontrolę. Jeśli zjawiłyby się, zanim niemieckie małżeństwo sobie pójdzie, też nie stanowiłoby to problemu: poczekaliby, aż zostaną na moment sami, i wtedy szybko by się schowali – między ojcem sprawdzającym na górze a tymi stojącymi u stóp czterech zwykłych ciągów schodowych nie było łączności. Szczęście im jednak sprzyjało. Kiedy stali pod ścianą, naprzeciw spiżowych drzwi z kłódkami, prowadzących do Sancta Sanctorum, mężczyzna w lodenie spojrzął raptownie na zegarek, powiedział przestraszony: „*Good heavens!*” i wyszedł pośpiesznie, prowadząc małżonkę pod rękę.

Gdy tylko tych dwoje zniknęło z pola widzenia, Quinten i Onno odwrócili się, odsunęli czarne aksamitne zasłony w konfesjonale i wśliznęli się do środka.

Szuranie sandałów jednego z ojców pasjonistów zbliżyło się i oddaliło, po pięciu minutach ponownie zbliżyło się i oddaliło, zatrzasnęły się z hukiem główne drzwi wejściowe, pogasły światła i w całkowitych ciemnościach swojej kryjówki nasłuchiwali odgłosów. Kiedy tylko świecy znaleźli się na ulicy, bogobojną ciszę przerwała gwałtowna kłótnia, prowadzona po włosku na dole przy wejściu. Najwyraźniej duchowni przeszli nagłą metamorfozę. Onno nie mógł zrozumieć, co mówią szczekliwe starcze głosy, ale sam fakt, że kłótnia w ogóle miała miejsce, uznał za potwierdzenie swojej teorii Złotego Muru: także za Złotym Murem Kościoła działo się to, co wszędzie, i w pewnym sensie było to nawet w porządku, ponieważ ogarnięci pasją starcy w czarnych sukienkach dowiedli w ten sposób, że są religijnymi profesjonalistami, a nie pobożnymi amatorami. Po jakichś dziesięciu minutach znowu zapanował spokój. Niewyraźnie mamroczące głosy w oddali, chyba gdzieś u wylotu zewnętrznych schodów po drugiej stronie, wychodzących na kaplicę San Silvestro; potem odgłos zamykania drzwi prowadzących do konwentu.

Cisza.

Trzymając laskę między kolanami, Onno siedział na ławeczce przeznaczonej dla księdza, ręce miał splecione na rączce w kształcie głowy węża i czuł się zupełnie tak, jakby odgrywał rolę w jakieś absurdalnej sztuce. To nie mogło się dziać naprawdę. Pod ławeczką stała jego walizka. Gdyby ktoś wysłał go z siatką na motyle i pustym stoikiem po dzemie na polowanie na bazyliuszka, nie czułby się bardziej idiotycznie. A więc do tego ostatecznie doprowadziła go ta duszna kubańska noc przed osiemnastu laty, kiedy uwiodła go Ada: że siedzi z własnym synem w katolickim konfesjonale, zamknięty tuż obok najświętszego miejsca na świecie, ponieważ tam, jak twierdzi ten mały tyran, schowane są kamienne tablice Mojżesza z dziesięciorgiem przykazań. Oczywiście nie ma ich w ołtarzu, tak samo jak nie ma tam wczorajszej gazety – a nawet gdyby, to i tak nigdy się tego nie dowiedzą. Napięcie, jakie odczuwał, brało się wyłącznie z niepewności, jaki będzie koniec tego ich dziwnego wtargnięcia.

Także Quinten nie był tego tak do końca pewien, ale ani przez chwilę nie wątpił, że uda mu się włamać do kaplicy, a następnie dostać do tablic. Po prostu tam leżą i na niego czekają. W jego połowie ciasnej szafki było mniej wygodnie: znajdował się tam tylko klęcznik, na którym usiadł. Oddzieleni od siebie ścianką z okratowanym otworem w kształcie krzyża słyszeli swoje oddechy.

– Słyszysz mnie, synu? – spytał szeptem Onno.

Quinten odwrócił się ostrożnie i przysunął usta do kratki.

– Tak.

– Zadowolony jesteś, że w końcu dopiąłeś swego?

– Tak.

– Ciekawe, co by... – o mały włos wyrwałoby mu się „Ada” – ...powiedział Maks, gdyby tak zobaczył, jak tu siedzimy.

– Nie mam pojęcia.

– Wiesz, co myślę? Że ogarnąłby go pusty śmiech.

Onno przypomniał sobie, jak Maks dostał ataku śmiechu w Hawanie, kiedy odkryli, na jaką trafili konferencję. Tam na wyspie nie tylko został poczęty Quinten, ale też zostało zasiane ziarno jego własnej politycznej klęski. Twarz Koosa, na jachcie płynącym do Endhuizen: „Czy naprawdę jesteś aż tak głupi?” Tego samego dnia śmierć Helgi... Ada... Quinten też myślał o Maksie, który zniknął ze świata tak całkowicie, jakby nigdy go na nim nie było. Jego pusta trumna w ziemi. Jego własna matka...

– Zapewne – powiedział szeptem Onno – to się bierze stąd, że tu jest tak ciemno i cicho, ale nie mogę przestać myśleć o twojej mamie.

– Ja też.

– A wiesz, że kiedyś ją razem odwiedziliśmy?

– No pewnie. Wtedy goniła nas policja.

– Coś tam sobie niejasno przypominam.

Quinten wahał się przez chwilę, ale w końcu jednak to powiedział:

– Tego samego wieczora po raz pierwszy miałem taki fantastyczny sen.

– I ty to pamiętasz? Minęło prawie dziesięć lat.

– Mówiłem ci przecież, że niewiele rzeczy zapominam.

– I o czym był ten sen?

– Nie powiem – odrzekł Quinten i lekko odwrócił głowę. – Coś z budowlą. –

Ś r o d e k ś w i a t a . Przypomniawszy sobie śmiertelny strach, z jakim się obudził, kiedy usłyszał ten spokojny, chrypliwy głos, przypomniał sobie, jak potem bezradnie błądził po omacku w takich samych ciemnościach i ciszy jak teraz, ale chociaż już nie śnił i chociaż fakt, że był tu i teraz, wiązał się jakoś ze snem, nie odczuwał najmniejszego strachu. – Dopiero na sam koniec nagle zamieniło się to w koszmar. Zupełnie nie wiedziałem, gdzie jestem, chyba zacząłem krzyczeć i dopiero kiedy babcia wyszła z sypialni Maksy i zapaliła światło, zorientowałem się, że stoję na progu jej pokoju.

Onnowi zaparło dech w piersiach. Sophia wyszła w nocy z sypialni Maksy? Zaraz, co to ma znaczyć? Miał poczucie, że nie powinien o to pytać, ale jednak nie potrafił się powstrzymać.

– To znaczy, że Maks i babcia sypiali razem?

– Nigdy nic takiego nie zauważyłem. Może wtedy akurat rozmawiali albo coś, nieważne. Cicho...

W oddali rozbrzmiał cichy, śpiewny głos: przypuszczalnie z refektarza, gdzie któryś z ojców odczytywał budujący tekst, podczas gdy pozostali w milczeniu coś tam sobie przegryzali, wcale go nie słuchając.

Najchętniej Onno zapytałby jeszcze, jak Sophia była ubrana tej nocy, ale i tak wiedział już wystarczająco dużo. A to łądak. Oczywiście. Ten to nie cofnął się przed niczym – nawet przed tą chłodną, tysiąc lat od siebie starszą Sophią Brons. Jak mógł kiedykolwiek myśleć inaczej! Ale czy naprawdę kiedykolwiek myślał inaczej? Po prostu nigdy nie chciał tak o tym myśleć, bo oczywiście niejasno podejrzewał, że coś musi być między tymi dwojgiem w czasie długich nocy w pustym zamku, tylko nie chciał się do tego przed sobą przyznać. Zresztą, czemu nie? Co to komu przeszkadza? Z tego powodu, że propozycja Maksy wychowania jego syna miała być aktem czystej, pełnej samozaparcia przyjaźni? Nagle też uświadomił sobie z przestraszeniem, że w tej sytuacji jego teściowa – z czego nikt nie zdaje sobie sprawy – w wieku sześćdziesięciu dwóch lat niedawno po raz drugi została wdową.

– Jeśli tylko ujdziemy stąd z życiem – powiedział szeptem – koniecznie musimy od razu skontaktować się z twoją babcią.

– W porządku – zgodził się Quinten obojętnie.

Wszystko, co miało się stać potem, leżało dla niego po drugiej stronie góry, z której widział teraz jedynie grzbiet: za nią mogło się znajdować morze albo miasto, albo pustynia, albo nawet wypełniona mgłą otchłań. Miał poczucie, że do tej chwili wszystko, co trzeba, zrobił sam, a to najważniejsze zrobi w ciągu następnych kilku godzin – dopiero potem, był tego pewien, zdarzenia potoczą się same i wtedy zobaczy, jak sobie z tym poradzić. Powoli zapadał w drzemkę, ale nie umknął mu żaden dźwięk, zupełnie jak śpiącemu psu...

– Quinten?

– Tak? – Rzucił okiem na fosforyzujący dziecinny zegarek, który kupił wczoraj za parę tysięcy lirów, taki z kołyszącą się to w jedną, to w drugą stronę Myszką Miki w charakterze sekundnika. Dochodziła dziewiąta.

– Spałeś?

– Trochę.

– Jesteś całkowicie spokojny, prawda? Nic ci się nie może stać.

– Moim zdaniem nie.

– Chciałbym móc to samo powiedzieć o sobie, ale ja tu bez przerwy umieram ze strachu i ciężko mi się oddycha.

– Czemu mnie budzisz?

– Nie wiedziałem, że spałeś.

– To co chciałeś mi powiedzieć?

– Cały czas myślę o Maksie – powiedział Onno. – Czy miałeś kiedyś serdecznego przyjaciela?

– Serdecznego przyjaciela?

– A więc widać nie. Serdeczny przyjaciel to taki ktoś, komu opowiadasz o rzeczach, o których nikomu innemu byś nie opowiedział.

– Masz na myśli tajemnice?

– Nie bardzo wiem, co rozumiesz przez tajemnice, ale mnie chodzi o takie wstydlive sprawy, o coś, czego się tak bardzo wstydzisz, że nikt się o tym nie może dowiedzieć.

– Niczego takiego nie mam.

– Naprawdę?

– A co by to było? Mam oczywiście swoją tajemnicę, o której nigdy nikomu nie opowiem, ale nie jest to coś, czego musiałbym się wstydzić.

– Nikomu? Nawet mamie? – spytał Onno po chwili wahania.

– Nikomu.

Quinten zamilkł. Czy ojciec sam nie stwierdził kiedyś, że mamy w zasadzie nie ma? Więc przez to, że nie opowiada o swojej tajemnicy nikomu, opowiada ją jakby swojej mamie. Czy powinien to powiedzieć ojcu? On natychmiast by zrozumiał, ale oznaczałoby to też oczywiście zdradzenie części tajemnicy. Czy może tak naprawdę tą tajemnicą była jego mama?

Nagle ciszę przerwały jakieś dalekie hałasy.

– Już są – powiedział szeptem Quinten.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem. W kaplicy San Silvestro ojcowie zbierali się na kompletę, potem udadzą się na spoczynek. W kilka chwil później rozległ się chóralny śpiew starczych głosów.

Z zamkniętymi oczami, które przygniotła ciemność, Onno i Quinten słuchali wątłego chorału gregoriańskiego, który rozpościerał się po wszystkich pomieszczeniach niby cieniutka pajęczyna. Onno wyczuwał w nim rozpaczliwą samotność, metaliczne zimno, niemal dotykalnie wdzierające się przez szparę wprost ze średniowiecza – w Quintenie natomiast harmonijne współbrzmienie tego śpiewu wywołało obraz kilkunastu mężczyzn, którzy toną razem ze statkiem, ale do ostatniej chwili trzymają się za ręce. Psalmi, które miały zapoczątkować noc, przerywane były na krótko słownymi modlitwami.

Po kwadransie znowu rozległ się odgłos zamykania drzwi do konwentu.

– Piętnaście po dziewiątej – powiedział szeptem Quinten. – Czyli do dziesiątej po dziesiątej.

Za kwadrans ojcowie znajdują się pewnie w łózkach i mniej więcej za piętnaście dziesiąta powinni już spać. Ponieważ Onno przypomniał sobie, że czytał kiedyś o różnych fazach snu, Quinten nakłonił go, żeby przejrzał w bibliotece uniwersyteckiej jakąś książkę na ten temat. Poza okresami fantazjowania w fazie tak zwanego snu paradoksalnego – kiedy człowiek śni i trudno go obudzić – sen ma cztery poziomy głębokości. Pierwsza i najdłuższa faza najgłębszego snu pojawia się w dwadzieścia pięć minut od momentu zaśnięcia i sama trwa mniej więcej dwadzieścia pięć minut. Druga faza następuje dwadzieścia pięć minut później, trwa nie dłużej niż dziesięć minut i po czasie krótszym niż pół godziny następuje po niej jeszcze krótsza faza trzecia, a po niej ostatnia. Dla Quintena była to wystarczająca wiedza, by postanowić, że będą pracowali tylko w czasie tej czwartej, najgłębszej, pozbawionej marzeń sennych fazy, kiedy to śpiących najtrudniej obudzić. Łącznie miał więc do dyspozycji trzy kwadranse. Powinno całkowicie wystarczyć.

60

Komando

– Dziesiąt po dziesiątej.

Kiedy Myszka Miki pokazała z dokładnością co do sekundy tę właśnie godzinę, Quinten wstał i bezgłośnie odsunął zasłonę. Przez trzy witrażowe okna wpadały światła miasta, sprawiając, że w środku nie było zupełnie ciemno. Nad ołtarzem płonęła czerwona lampka. W swoich miękkich butach włamywacza szybko i bezszelestnie obszedł Sancta Sanctorum aż do kaplicy po drugiej stronie, ale tam też światło było zgaszone; pod drzwiami zakrystii przykucnął i ostrożnie wyjrzał zza rogu: nikt tu nie został, pogrążony w cichej modlitwie, tylko kwaśna woń unosząca się w powietrzu świadczyła o tym, że byli tu starcy. Po powrocie do kaplicy San Lorenzo zobaczył niewyraźny zarys postaci ojca, który rozcierał sobie obolałą lewą nogę. Quinten wyjął z konfesjonau swój plecaczek, podał ojcu latarkę i przeszedł między rzędami ławek do znajdujących się naprzeciwko dwuskrzydłowych drzwi z oczami, prowadzących do Sancta Sanctorum.

Jak lekarz, który bada puls pacjenta, na moment położył dłoń na górnej kłódce, tej stanowiącej nos spiżowej twarzy. Następnie ukląkł, odpiął klamry plecaka i ostrożnie rozłożył na posadzce kawałek miękkiej skóry, w którą było owinięte kilkanaście długich metalowych prętów różnych rozmiarów, naoliwionych, aż błyszcząły. Onno przyświecał mu latarką ustawioną na najmniejsze światło. Niedawno w domu przyglądał się przygotowanym Quintena, które wydały mu się tak śmieszne, że aż niezręcznie mu było o nie pytać – ale to, co teraz zobaczył, napełniło go niebotycznym zdumieniem. Quinten wsadził sobie za pasek spodni gumowy młotek i jak zawodowy włamywacz wybrał kilka prętów pasujących do dziurki od klucza w kształcie litery H. Wsuwając je w ogromną kłódkę i przy okazji nasłuchując jednym uchem, odwrócił wzrok, żeby całkowicie skupić się na tym, co wyczuwały we wnętrzu kłódki jego ręce. Nagle Onno przypomniał sobie coś z wczesnego dzieciństwa, jeszcze sprzed wojny: fotografa na plaży w Scheveningen. Po zdjęciu osłony z soczewki stał z tyłu za swoim trójnogiem, wetknął obie ręce w zwisające z wielkiej skrzynki aparatu czarne rękawy i wykonywał w jego wnętrzu jakieś tajemnicze ruchy, które nie mogły ujrzeć światła dziennego, i wlepił przy tym niewidzące spojrzenie w horyzont, tak samo jak Quinten wpatrywał się teraz w niewidoczne malowidła na suficie. Ruchy jego rąk stały się jeszcze oszczędniejsze i bardziej precyzyjne, a Quinten przymknął oczy i lekko rozchylił wargi. Wreszcie wyjął zza paska młotek, przyjrzał się dokładnie temu, co zrobił, i krótkim, głuchym puknięciem uderzył w pręty. We wnętrzu kłódki rozległ się stłumiony szcęk. Quinten z uśmiechem podniósł wzrok na ojca i ostrożnie wysunął ciężki pałąk z korpusu kłódki, a potem z pierścieni w drzwiach.

– Pierwszą już mamy – powiedział szeptem.

Onno patrzył na niego z rozdziawionymi ustami. Quinten opowiadał mu wprawdzie o Piecie Kellerze, ślusarzu z Groot Rechteren, u którego przesiadywał często jako mały chłopiec, ale Onnowi wydawało się niemożliwe, żeby po tylu latach mogło to doprowadzić do tego, co właśnie zobaczył: otwarcia kłódki. Kiedy Quinten, nie tracąc czasu, od razu wziął się do otwierania tej na samym dole, Onno uświadomił sobie, że oto wszystko stało się nagle jeszcze bardziej niebezpieczne. Jesliby odkryto ich obecność na początku lub na końcu całej eskapady, to mogliby powiedzieć, że z pobożności zapragnęli spędzić noc w pobliżu Chrystusa Acheiropity; Onno był wcześniej przekonany, że po bezowocnym mocowaniu się z kłódkami nie dotrą dalej niż do kaplicy San Lorenzo. Tymczasem jednak pierwsza kłódka została sforsowana, a w drugiej tkwiły już metalowe pręty. Jego początkowa beztraska zniknęła bez śladu – niemniej jednak na tym etapie nic już oczywiście nie mogło powstrzymać Quintena. Jedyny sposób, żeby położyć temu kres, to pójść do drzwi konwentu, zacząć walić w nie laską i próbować w ten sposób obudzić ojców z czwartego poziomu głębokości snu. Ale wtedy na pewno utraciłby syna już na zawsze.

Kiedy druga kłódka poddała się ze szcęknięciem, nadal było jeszcze bezpiecznie. Quinten spojrział na zegarek: za siedem minut wpół do jedenastej. W spiżowej powierzchni prawego skrzydła drzwi w różnych niezrozumiałych miejscach widać było kilka dziurek od kluczy; u Grisara przeczytał jednak, że drzwi pochodziły z czasów rzymskich i miał nadzieję, że dziurki są tylko pustymi relikdami z tamtego okresu. Ostrożnie pchnął lewe skrzydło – poddało się od razu...

Środek świata!

Wziął swój plecaczek i podczas gdy ojciec przyświecał mu latarką, przekroczył próg. Miał wielką ochotę zrobić to bardziej dostojnie, tak powoli, stąpając niby pontifex maximus, ale kiedy przyszedł ten moment, zaczęło mu się nagle śpieszyć: do zakończenia pierwszej fazy operacji zostało jeszcze dwanaście minut. Czy zawsze się tak dzieje? Czy właściwa praca kryła się w samych przygotowaniach, a dotarcie do celu to już tylko zwyczajna powtórka? Kiedy tak szedł długim na mniej więcej cztery metry korytarzem, otwierającym się na wewnątrz kaplicy, przyszła mu do głowy chińska bajka, którą opowiedział mu kiedyś Maks: kiedy cesarz zamówił u pewnego rysownika rysunek koguta, usłyszał w odpowiedzi, że potrzeba na to dziesięciu lat. Po dziesięciu latach, w czasie których rysownik żył na koszt cesarza i każdego dnia szkicował tysiące kogutów, udał się ponownie do cesarskiego pałacu. Gdy cesarz spytał, czy ma przy sobie rysunek koguta, rysownik poprosił o papier i ołówek i narysował koguta jednym pociągnięciem ręki, na co głupi i nic nierozumiejący cesarz wpadł w taką wściekłość, że podarł rysunek, a rysownika kazał skrócić o głowę.

Niski, wąski korytarz, liczące półtora tysiąca lat połączenie z dawnym pałacem papieskim, raptownie rozszerzył się na końcu w wysokie, czworoboczne pomieszczenie gotyckiej kaplicy. Nie oglądając się na nic, Quinten podszedł do ołtarza i uklęknął przy nim z narzędziami. Onno szedł za nim z latarką i chociaż nic nie pił, czuł się zupełnie tak, jakby był podchmielony. *Non est in toto sanctor orbe locus.* To, co dokonywało się na jego oczach, do tego stopnia przekraczało wszelkie granice, że zupełnie już tego nie pojmował. Być może to wszystko mu się tylko śni. W przeciwieństwie do ojców pasjonistów znajdował się pewnie w fazie snu paradoksalnego: zaraz się obudzi, cały złany potem, jak to się mówi, na parapecie będzie sobie siedział Edgar, a słońce wstanie, by rozpocząć nowy ciepły dzień w Rzymie, pełen polityki, turystów i wszystkiego tego, co dwadzieścia cztery godziny później, jak zawsze, pójdzie w kompletne zapomnienie. Obejrzał się na moment za siebie i zobaczył zakratowane wejście do kaplicy, tyle że tym razem od środka, mającące w szarej poświacie, która wnikała przez okna na parterze, docierając aż tutaj przez Święte Schody.

– Nie ruszaj latarką – polecił szeptem Quinten.

Wejście do kaplicy było przypuszczalnie regularnie używane, lecz kłódek od kraty chroniącej ołtarz nikt nie otwierał od roku 1905. Zostało zaledwie dziesięć minut do końca pierwszej fazy, ale Quinten nie zmuszał się do spokoju, ponieważ cały nim emanował. Zobaczył, że dwie dolne kłódki, nie większe niż dłoń, mają konstrukcję konwencjonalną i mogły wytrzymać próbę sforsowania siłą, ale nie sposobem: z pięciu prostych wytrychów, które zamówił u ślusarza na tyłach Panteonu, już za pierwszym razem wybrał ten właściwy. Bez wielkiego wysiłku z jego strony puściły pałki kłódek, najwidoczniej konserwowanych w czasach Grisara. Monstrualna kłódka trzpieniowa też pewnie była wtedy odnowiona. Po raz pierwszy mógł jej się przyjrzeć z bliska. Uśmiechnął się i pomyślał: co za cudeńko. Kłódka blokowała ciężką żelazną sztabę, która na całej szerokości uniemożliwiała otwarcie kraty. W kilka minut później, po lekkim puknięciu gumowym młotkiem, skapitulował i ten egzemplarz.

Małą strzykawką szybko wpuścił jeszcze odrobinę oliwy w każdy z czterech zawiasów, schował narzędzia do plecaka i postawił go przy ołtarzu.

– Pomóż mi – powiedział szeptem.

Onno oparł łaskę o papieski klęcznik i bardzo ostrożnie, żeby nie narobić hałasu, razem wysunęli sztabę z dwóch pierścieni i położyli ją na wydeptanym marmurowym podeście, na którym przez tysiąc lat dzień w dzień stało stu sześćdziesięciu papieży odprawiających mszę.

Quinten spojrzął na zegarek.

– Pięć po wpół do jedenastej. Już czas.

Po prowizorycznym zawieszeniu klódek na drzwiach do korytarza Quinten położył się w kaplicy San Lorenzo na ławce naprzeciwko ołtarza i natychmiast poczuł, że zapada w sen...

Brunatna ściana w odległości trzydziestu paru centymetrów od jego oczu jest pośrodku nieco ciemniejsza, tak że wygląda to tak, jakby patrzyło się w tunel. W chwilę później zaczyna tam wirować malutki fioletowy kłębuszek, jakby kręcił się kłębuszek wełny, nie większy niż kulka do gry; krótko potem na jedną chwilę okazał się precyzyjnie wyrysowanym pyskiem małpy, również malutkim, który zaraz zniknął, a w tej samej chwili pojawił się nowy wir, z którego zrobiła się malutka twarz potwora z ostrymi zębami, znów niezwykle dokładnie odwzorowana... Nawet w tym półśnie zachował w pełni świadomość, z przyjemnością przygląda się spektaklowi, jaki rozgrywa się przed jego oczami: obserwuje, jak wszystko powoli się rozmywa i zamiast tego pojawia się ryba, kobieca głowa o rozczochranych włosach, jakieś dziwaczne prosię, kot, garnek, mężczyzna z poradlonym czołem i z brodą, wszystko zawsze precyzyjne w każdym szczególe, zupełnie jak na fotografii. Skąd się to bierze? On tego nie wymyśla, nigdy w życiu nie widział tego i nie ma najmniejszego pojęcia, co będzie następane. Czy te rzeczy istniały już, zanim je zobaczył? Czy istnieją nadal, kiedy już ich nie widzi? Przypominają mu malowidła Hieronima Boscha, który też niczego nie wymyślał, tylko po prostu wszystko dobrze zapamiętywał. Ale potem coś zaczyna się zmieniać. Ściana, odległa o jakieś trzydzieści parę centymetrów, stopniowo staje się przezroczysta, tak jak widział to kiedyś z Maksem i Sopią w czasie Holland Festival na przedstawieniu opery *Czarodziejski flet* Mozarta, kiedy to oświetlona od przodu zwiewna materia, zasłaniająca scenę, z wolna zaczyna być oświetlana od tyłu, przez co stopniowo otwiera się przed widzami ogromna przestrzeń z perspektywicznymi dekoracjami à la Bibiena...

Onno również nie skorzystał ponownie z konfesjonału; mając Quintena z jednej strony, a walizkę z drugiej, gapił się w ciemność, nasłuchując odgłosów, z nogami wyciągniętymi przed siebie i z rękami zaplecionymi na karku. Ze wszystkich stron budynek otaczało lekkie brzęczenie, to typowy dla soboty wieczorny ruch uliczny; gdzieś daleko usłyszał sygnał karetki albo policyjnego auta. Rzymianie się bawili. Restauracje, kawiarnie i teatry były pełne, miasto tętniło życiem – a oni dwaj siedzieli tutaj, odpoczywając w trakcie swego metafizycznego Commando Raid, niewiarygodnie anachronicznego polowania na tablice Prawa, które nie dość że nikogo już nie obchodzą, to jeszcze większość ludzi nigdy w życiu nawet o nich nie słyszała. Spojrzał na Quintena, który oddychając głęboko, właśnie wchodził ze swej strony w czwartą fazę snu, podczas gdy ojcowie pasjonisci zaczynali wracać do regionów bogatszych w marzenia senne. Onno westchnął głęboko. Do końca życia nie zapomni szczęku otwierających się kłódek. Jeśli ktokolwiek kiedykolwiek spróbuje mu teraz powiedzieć, że to czy tamto jest niemożliwe, od razu usłyszysz to klik! i zaśmieje się takiej osobie w twarz.

Od czasu do czasu odpływał na parę minut. W konwencie dał się słyszeć odgłos spuszczenia wody w WC, było po jedenastej, więc teoria o fazach snu okazała się jednak prawdziwa. Przypomniawszy sobie, jak rygorystycznie Quinten dopasował do niej swój plan, z dokładnością do minuty, zupełnie jakby tu chodziło o matematykę, a nie o psychologię. Po kim ma takie ścisłe myślenie? Na pewno nie po nim. On sam był przekonany, że z wyjątkiem tego, co w matematyce, nic nigdy się nie zgadza; zresztą nawet w samym sercu matematyki też nie wszystko chyba do końca jest w porządku. Zawsze i wszędzie tylko chaos. Może ta robiąca wrażenie skłonność to po Adzie, z jej muzyki, która przecież była jakby słyszalną matematyką. Ale techniczne zwycięstwa, które Quinten odniósł dotąd nad tymi wszystkimi zamknięciami, z pewnością jeszcze bardziej zaostrzyły jego apetyt; tym boleśniejsze będzie wkrótce rozczarowanie. Ani śladu tablic Prawa w ołtarzu. Pustka. Kurz. Może jakiś krótki liścik z roku 1905 z pozdrowieniami od pana Grisara...

Quinten otworzył oczy, strzelił kciukami i wstał. Dwadzieścia minut do północy. Na dworze słyhać było dudnienie głośnej muzyki, widocznie z otwartych drzwi jakiegoś zaparkowanego w pobliżu auta. Ojciec spał pochylony do przodu, z głową na skrzyżowanych rękach opartych na stojącej przed nim ławce. Oddychał głęboko, lekko pochrapując przez otwarte usta. Quinten potrząsnął go za ramię.

– Obudź się!

Onno wyprostował się ze stęknieniem.

– My wciąż jeszcze tutaj?

Chwilę później pocłapał za Quintenem, z poczuciem, że właśnie teraz zaczął śnić naprawdę. Gdy byli przy drzwiach, Quinten odwrócił się i spytał szeptem:

– Masz walizkę?

Walizka! Onno bez słowa wrócił do ławki, pod którą ją zostawił. Przez ten czas Quinten zdjął kłódkę z drzwi wejściowych, a kiedy dotarli do kaplicy, okazało się, że oliwa chyba zrobiła swoje: kraty osłaniające ołtarz otworzyły się bezgłośnie.

Ich oczom ukazały się dwuskrzydłowe spiżowe drzwiczki z wizerunkami Piotra i Pawła w górnej części; na nich też wisiała kłódka z grubym trzpieniem. Po raz pierwszy Quinten zobaczył ją z bliska. Wydawała mu się nieco innego typu, ale po chwili z ulgą stwierdził, że jest jednak klasyczna. Kiedy okazało się, że nie reaguje na żaden z jego wytrychów, wyjął z plecaka specjalnie wygięty pręt i wetknął go do dziurki od klucza w korpusie kłódki. Po kilku próbach udało mu się popchnąć zapadkę, tak że sztyft zamykający został dociśnięty do języczków zastawek; następnie drugim zgiętym prętem ostrożnie podważył zastawki na tyle, żeby odskoczył rygiel blokujący ruch trzpienia. Wysunął trzpień najpierw z kłódki, a potem z czterech spiżowych pierścieni drzwi i położył go na posadzce obok tych trzech, które już tam leżały.

– Zrobione – powiedział szeptem i spojrzął na zegarek. – Jeszcze dwie minuty, i idziemy.

Obiema rękami otworzył drzwiczki.

Na podstawie ryciny oglądanej w książce Grisara Onno także rozpoznał od razu zdobiony relikwiarz z cyprysowego drewna. Choć liczył już ponad tysiąc sto lat, wyglądał, jakby dopiero co został zrobiony. Na listwie u samej góry widniał napis głoszący, że relikwiarz pochodzi od niegodnego sługi Bożego papieża Leona III; tekst przedzielała pośrodku drewniana tabliczka, na której widać było złote litery, układające się w następujący wzór:

SCA

SCO

RV

Godny analfabety skrót od Sancta Sanctorum. Widać było, że napis dodano znacznie później, kiedy relikwie zostały przeniesione tutaj z Bazyliki Laterańskiej i kaplica otrzymała swoją nazwę.

Czy stało się tak dlatego, że od tego momentu znajdowały się w niej tablice Mojżesza? Onno spojrzął na Quintena. Quinten popatrzył na czworo kwadratowych zdobionych drzwiczek, które wyglądały jak schowki bagażowe na dworcu. Do drzwiczek przymocowane były małe kółeczka, za które należało pociągnąć, żeby je otworzyć. Każde drzwiczki miały swój zamek, ale Quinten od razu zobaczył, że nie są zamknięte. Wydął usta i pociągnął za kółeczko górnych drzwi po lewej stronie. Srebrne okucie obrazu Jezusa Acheiropity na ołtarzu rozbłysło na moment, kiedy Onno skierował snop światła latarki do środka. Szafka była pusta. Quinten otworzył prawe drzwiczki: pusto. Potem lewe dolne, prawe dolne: wszędzie pusto.

Quinten spojrzął na zegarek. Za pięć dwunasta. Podniósł się i powiedział: – Musimy iść.

Kiedy zbierał się do wyjścia, Onno spytał szeptem:

– Nie powinniśmy posprzątać? Przecież nie możemy tego tak tutaj zostawić?

– Za pół godziny tu wrócimy. Onno zeszywniał.

– Po co? Ich tu nie ma, Quintenie. Pomyliłeś się. Do tej chwili wszystko poszło dobrze, więc lepiej już to zakończmy.

Quinten przyłożył palec do ust i Onno po raz kolejny zdał sobie sprawę, że nie ma tu nic do powiedzenia.

Kiedy po raz drugi znaleźli się w kaplicy San Lorenzo i w ciemnościach usiedli obok siebie na ławce, Onno pomyślał o tym całym bałaganie, jakiego narobili: pootwierane kłódki i drzwi, porozkładane na posadzce narzędzia. Wystarczy sobie wyobrazić, że jakiś cierpiący na bezsenność pasjonista weźmie do ręki brewiarz, czytając, zacznie się przechadzać po budynku i trafi na ten bałagan w świątyni! Jeszcze bardziej jednak dręczyło go pytanie, w jaki sposób pomóc teraz Quintenowi. Z powodów, które były dla niego niepojęte, chłopak tyle zainwestował w tę przygodę, że najwyraźniej nie mógł się pogodzić z myślą, iż to wszystko na próżno. Jak go przekonać, że tak to właśnie w życiu bywa? Kiedy człowiek ma siedemnaście lat, to jest przekonany, że świat składa się z tej samej substancji co jego teorie, tak że wystarczy wyciągnąć ręce i już można go kształtować wedle własnej woli. Każdemu jednak przychodzi pewnego dnia doświadczyć gorzkiej prawdy, że sprawy tak nie wyglądają; życie to zupa, a nasze myślenie to najczęściej widelec: taki zestaw raczej nie pozwala się specjalnie nasycić. Właśnie dzisiaj wybiła dla Quintena godzina tej prawdy – chociaż w zupełnie inny sposób niż dla większości chłopców, co do tego nie ma wątpliwości, ale i tak na jedno wychodzi.

– Quinten?

– Słucham?

- Czego ty więcej chcesz?
- Jeszcze raz dokładnie się przyjrzeć.
- Przecież przyjrzeliliśmy się dokładnie.
- Ale nadal nie lepiej niż Grisar czy Józef Flawiusz.

Onno westchnął z rezygnacją. Znowu poczuł, jakby próbował ugryźć granit. Swoje mądre nauki może sobie zachować dla siebie; zupełnie jakby ojciec Freuda próbował przekonać syna, że nie ma czegoś takiego jak podświadomość – chociaż było rzeczą bardzo wątpliwą, czy jest. Zarazem jednak dawało mu to poczucie zadowolenia: Quinten miał bowiem jeszcze w sobie ten rodzaj niezłomnej pewności siebie, który on sam dawno już utracił – jeśli w ogóle kiedykolwiek ją posiadał, bo nawet tego nie był już całkiem pewien. Nie miało sensu starać się odwozić go od tego pomysłu, niech do końca wypije czarę goryczy. A poza tym inaczej do końca życia będzie musiał wysłuchiwać od niego, że może jednak tablice rzeczywiście gdzieś tam były w tym przeklętym ołtarzu.

Tymczasem ojcowie leżący na swych ascetycznych postłaniach powrócili na krótko do drugiej fazy snu, by następnie zapaść w fazę czwartą. Piętnaście po dwunastej Quinten wziął latarkę i powiedział:

- Już czas.

Obydwaj czuli się już jak w domu w tej kaplicy, do której co chwila wchodzili i z niej wychodzili. Quinten przykucnął, oparł latarkę na marmurowym stopniu i w skupieniu przyglądał się relikwiarzowi, z głową podpartą rękami, których łokcie spoczywały na kolanach. Wszystko musiało się rozstrzygnąć w ciągu najbliższych dziesięciu minut.

To, że te cztery szafki były puste, wcale go nie zdziwiło, bo to już wiedział. Gdzie jeszcze można by ukryć dwie kamienne płyty? W zasadzie tylko z tyłu, z a relikwiarzem. Tył relikwiarza przytykał do ściany, od tej strony nie można więc się tam dostać. Ale relikwiarz na pewno dawał się wyjmować: w końcu przecież kiedyś go tutaj włożono. Pośrodku dolnej listwy zauważył teraz pierścień służący pewnie do tego, żeby wyciągnąć całość. Chociaż nie, to niemożliwe, ponieważ marmurowe kolumny ołtarza zachodziły na boczne krawędzie szafki. Oznaczało to, że relikwiarz nie został wsunięty do wnętrza ołtarza, tylko że ołtarz zbudowano wokół niego. I musiało się to stać około roku 800, podczas gdy tablice Prawa przeniesiono tu z Bazyliki dopiero cztery wieki później. A to oznaczało, że nie mogły znajdować się za relikwiarzem. Czyli? Czyli że musiały leżeć pod nim.

Relikwiarz nie stał bezpośrednio na ziemi, była pod nim wąska szpara. Widocznie stał na jakichś nóżkach, których też nie było widać, bo zasłaniały je kolumny ołtarza. Quinten położył się na brzuchu, przyłożył policzek do stopnia i zaświecił latarką pod relikwiarz. Czy Grisar też to wtedy zrobił? Jaki miałby powód? Na posadzce pod relikwiarzem widać było najróżniejsze trudne do zidentyfikowania śmieci, jakieś okruchy i odłamki, może pozostałości po pracach murarskich. Po obu stronach podpierały go nie nóżki, tylko dwie kamienne płyty.

Quinten patrzył na nie znieruchomiały, czując, jak krew odpływa mu z twarzy. Wyjął z plecaka długi, zagięty na końcu pręt i zaczepił go o tył prawej płyty. Pomagając sobie ułożoną na płask dłonią, która ledwie mieściła się w szparze, spróbował, czy da się ją poruszyć. Zgrzytając po odłamkach gruzu, płyta przesunęła się do przodu. Zupełnie niczego nie podtrzymała!

– Tato! – wyszeptał niemal bezgłośnie. – Mam je!

61

Ucieczka

Kiedy Onno ujrzał wyłaniające się spod relikwiarza podłużne, szare, niemalże czarne płyty, na krótki moment przypomniał sobie, jak dawno temu, jeszcze jako mały chłopiec, stawał czasem przy szparze do wrzucania listów, kiedy przychodził listonosz: otwierająca się nagle klapka, listy wpadające do środka nie wiadomo skąd.

Zaczął dygotać.

– Ty oszalałeś! – wyszeptał, chociaż wydawało mu się, że krzyczy. – To niemożliwe! Pokaż!

– Nie teraz – powiedział Quinten zdecydowanie. – Daj walizkę.

– Pokaż, czy tam jest coś napisane!

– Później. Pośpiesz się.

Trzęsącymi się rękami Onno podał mu walizkę i Quinten z trzaskiem otworzył zamki. Płyta była lżejsza, niż się spodziewał, chociaż i tak ważyła mniej więcej tyle, ile zwykła płyta chodnikowa; ostrożnie ułożył ją między gazetami, które umieścił tam już w domu: „Corriere della Sera”, „La Stampa”, „Herald Tribune”. Kiedy Onno zobaczył, jak wyłania się druga płyta, mało nie oszalał. Przecież to nie do pomyślenia, żeby to mogły być Mojżeszowe tablice Prawa! Absolutnie nie do pomyślenia! Na pewno dwie zwyczajne stare płyty z posadzki, Quinten po prostu widzi to, co chce widzieć, i osiągnie tylko tyle, że późniejszy kac będzie jeszcze większy!

Quinten zatrzasnął zamki walizki, zebrał wszystkie narzędzia i włożył do plecaczka. Stojąc z nim w dłoniach, raz jeszcze przesunął wzrokiem po relikwiarzu, a potem otworzył jego prawe górne drzwiczki i wepchnął tam pleczek.

– Dla uczciwego znalazcy – powiedział, zamykając drzwiczki. – Za tysiąc lat.

Zamknął teraz spiżowe drzwi ołtarza, wziął trzpień kłódki leżący na stopniu, przepchnął przez pierścienie i z twardym szczęknięciem wcisnął w korpus kłódki. Potem przyszła kolej na kraty – dwa kliknięcia kłódek i także one były zamknięte. Z pomocą Onna przesunął przez pierścienie sztabę i powiesił na niej największą kłódkę. Kiedy ścisnął ze sobą jej części, zatrzasnęły się one z tak przeraźliwym dźwiękiem, jakby ktoś uderzył młotem w kowadło. Onno zaczął nasłuchiwać, czy kogoś to nie obudziło, ale Quinten podał mu walizkę i pchnął go w plecy.

– Wyośmy się stąd, zanim ktoś przyjdzie.

Szybko przeszli wąskim korytarzem do kaplicy San Lorenzo, gdzie Quinten zamknął za sobą drzwi i powiesił na nich dwie kłódki, które również wydały głośnie szczęknięcia.

– No – powiedział nasłuchując. – Teraz już niewiele nam grozi.

Onno lewą ręką wskazał walizkę, którą niósł w prawej.

– Jeśli tu rzeczywiście znajdują się tablice z dziesięciorgiem przykazań, co Boże broń, to grozi nam więcej, niż sobie potrafiłbyś wyobrazić w najśmielszych nawet snach, drogi przyjacielu. To coś bardziej wybuchowego niż bomba atomowa.

– Ale tylko wówczas, jeśli się wygadasz. Nikt się o tym nigdy nie dowie.

Cóż jego ojciec mógł wiedzieć o jego najśmielszych snach? Tylko dzięki temu, że śniło mu się Zamczysko, wy dobył tablice ze ś r o d k a ś w i a t a – tym samym pozbawiając niejako SOMNIUM QUINTI jego żądła. To żądło znajdowało się teraz w walizce.

Kiedy okazało się, że w konwencie nadal panuje cisza, usiedli z powrotem na ławce naprzeciwko ołtarza. Pozostało im teraz czekać na nadejście poranka. Jest niedziela, więc będzie tłok. Zaplanowali, że w kwadrans lub w pół godziny po otwarciu Sancta Sanctorum po prostu wyjdą: żadnemu z ojców nie przyjdzie do głowy, że wychodzą, chociaż wcześniej nie weszli – widząc ich wychodzących, pomyślą na pewno, że wcześniej musieli wejść. Perspektywa siedzenia przez całą noc w niepewności, co tak naprawdę mają w walizce, była jednak dla Onna wprost nie do zniesienia.

– Muszę je zobaczyć, Quintenie – powiedział szeptem. – Inaczej zwariuję.

– No to trudno. Wyobraź sobie, co by było, gdyby ktoś tu nagle wszedł i zobaczył, że oglądamy przy latarce kamienne tablice! Przecież umówiliśmy się, że siedzimy tutaj z pobożności? Kiedy ktoś przyjdzie, uklękniemy i będziemy udawać, że się modlimy. Latarki też trzeba się jakoś pozbyć. Tylko jak? Czemu o tym nie pomyślałem?

– Naprawdę jest coś, o czym nie pomyślałeś? – spytał Onno z lekką ironią w głosie; zaraz jednak sam niepewnie rozejrzał się dokoła w ciemnościach: – Ja zresztą też mam dziwne uczucie, że o czymś zapomniałem.

– O czym?

– Nie mam pojęcia... – Nagle Onno skamieniał. – Moja laska! Quinten! Zostawiłem w kaplicy laskę. W tym pośpiechu, kiedy wkładaliśmy razem sztabę...

Quinten już podniósł się z miejsca, wziął latarkę i bezszelestnie pobiegł do okratowanego wejścia u szczytu Świątych Schodów. Poświecił do środka. Laska ojca stała przy papieskim klęczniku naprzeciwko ołtarza, zupełnie jakby sama była pogrążona w modlitwie: dolnym końcem opierała się o podnózek, rączką o atłasową poduszkę z pomponami. Pokiwał głową. Nic się już nie da zrobić. Latarka też wypełniła swoje zadanie i w drodze powrotnej ukrył ją za jednym z konfesjonatów.

– Zgadza się – powiedział, siadając z powrotem koło Onna. – To prawda. Musimy zmienić cały plan.

– Quinten...

– Daj spokój, to moja wina, niepotrzebnie cię tak poganiałem, nie ma sensu teraz o tym mówić. Tak czy inaczej musimy się stąd wydostać, zanim ktoś to odkryje.

Onno czuł, jak kropla potu spływa mu spod pachy wzdłuż boku.

– A jak stąd wyjść? Siedzimy jak szczury w pułapce. Quinten pomyślał przez chwilę.

– Jest tylko jeden sposób. O której jest ta poranna modlitwa, jak ona się nazywała?

– Jutrznia. Na ogół koło czwartej nad ranem.

– No to zwyczajnie pójdziemy do tej drugiej kaplicy, powiemy, że niechcący zasnęliśmy, i spytamy, czy mogliby nas wypuścić.

– A jeśli spytają, co jest w walizce?

– A czemu mieliby pytać? Przecież tu nawet nie ma co ukraść. A jeśli nawet, to co? Dwa brudne kamienie.

- Módlmy się, żeby to naprawdę były tylko dwa brudne kamienie – mruknął Onno. – Ale to nas wcale jeszcze nie ratuje. Jutro rano ojcowie nagle odkryją moją laskę w Sancta Sanctorum, i co wtedy? Co się wtedy stanie? Po śladach oliwy w zawiasach policja zorientuje się, że otwieraliśmy ołtarz. Zajrzą do środka i znajdą twój plecak. Nic poza tym w środku nie ma, ale kto dzisiaj ma pojęcie, że relikwiarz jest pusty już od osiemdziesięciu lat? No, może sami ojcowie, ale im wcale nie zależy, żeby to się rozniosło, zważysz sławę kaplicy. Roześlą nasze rysopisy i już wieczorem w watykańskiej telewizji pokażą portrety pamięciowe, razem ze zbliżeniami laski. Ojciec i syn: zbezczeszczenie świętości. Dziesięć milionów lirów nagrody. I jak myślisz, co zrobi Mauro? Signor Enrico z Tyrolu! A Nordholt? Od razu się domyśli, po co pożyczałem tę książkę, a w instytucie mają teraz mój adres. On nadal ma ze mną na pieńku, ale pewnie na wszelki wypadek zadzwoni najpierw do ambasady po instrukcje. Po konsultacji z Hagą powiedzą mu pewnie, żeby na razie trzymał się w cieniu.

- A mnie oczywiście rozpozna ten ślusarz, który robił mi narzędzia. Już kiedy je zamawiałem, tak jakoś dziwnie na mnie patrzył.

Onno odwrócił głowę w jego stronę.

- Nie widzę dobrze twojej twarzy, ale mam wrażenie, że się uśmiechasz.

- No bo się uśmiecham.

- A do czego tu się, na miłość boską, uśmiechać?

- Sam nie wiem... Może do perspektywy podróży?

- Podróży? Jakiej podróży?

- Naszej podróży, oczywiście. Nie słyszałeś o czymś takim, jak religijny gniew ludu? Przecież nawet nie będziemy się mogli pokazać na ulicy, tutaj, w paszczy lwa. Zanim rano otworzą Sancta Sanctorum, my musimy już wynieść się z miasta – wszystko jedno dokąd.

Ponieważ święty Benedykt z Nursji wiedział, że marzenia senne w fazie snu paradoksalnego bardzo łatwo mogą oplatać mnicha siecią cielesnej pokusy i że dlatego co najmniej raz w ciągu nocy należy je drastycznie przerwać ostami i cierniami modlitwy, około czwartej nad ranem konwent zaczął ożywać. Jakieś szurania, w kaplicy San Silvestro zapaliło się światło, którego odbicie rozproszyło ciemności także tutaj, gdzie byli oni. Z ulgą, że wreszcie nadszedł czas, podnieśli się i usiedli w ławkach. Przez wszystkie te godziny w coraz dłuższych odstępach rozważali, co powinni zrobić, dokąd uciekać – ale zdaniem Quintena wszystko i tak samo się potem okaże, i w końcu nawet Onno przyznał, że lepiej się tym nie zajmować, ponieważ tu jest tak jak z szachami: człowiek często zastanawia się długo nad kolejnym pociągnięciem i kiedy wreszcie wymyśli dobry ruch i go wykona, w tym samym momencie uświadamia sobie, że popełnił błąd. Taka właśnie jest fundamentalna różnica między myśleniem a działaniem. Quinten nic na to nie powiedział. Jego własne doświadczenia były inne. Kiedy się zastanowił i dopiero potem coś zrobił, nigdy nie było to niewłaściwe, tylko wprost przeciwnie; dowodem były tablice dekalogu w lotniczej walizce. Wkrótce też wyjaśni się wszystko inne. Na temat tablic i tego, co się z nimi powinno zrobić, już nie rozmawiali. Kiedy w mieście stopniowo milkła muzyka w ostatnich nocnych klubach, budynek ponownie wypełniły archaiczne gregoriańskie współbrzmienia. Słuchając ich, Quinten uświadomił sobie z nagłą jasnością, że dawne dzieła sztuki zawsze były też dawnymi przedmiotami: dawnymi cegłami, dawnym marmurem, dawną farbą – natomiast dawna muzyka zawsze błyszczała zarazem jak nowa, ponieważ wydobywała się z żywych gardeł. Jeszcze tylko dawne opowieści potrafiły być jak nowe. Oczywiście wszystko dlatego, że zarówno muzyka, jak i opowieści istniały nie w przestrzeni, tylko wyłącznie w czasie.

– Dopiero co się ocknęliśmy – powiedział, po raz pierwszy nie zniżając głosu do szeptu. Przeciągnął się z westchnieniem. – Zdziwieni rozglądamy się wokół, gdzie jesteśmy. W Sancta Sanctorum! No, też coś! Jak to możliwe? Widocznie się nam przysnęło. Chodź, idziemy.

– Chyba trzeba będzie – westchnął Onno.

– Ty mów. I daj mi walizkę, bo jeszcze znowu zapomnisz.

Kiedy przechodzili przez ostatnią kaplicę z tyłu, gdzie było już jaśniej i gdzie głośniej dobiegał śpiew, Onno czuł się jak aktor z amatorskiego zespołu teatralnego, któremu przyszło odtwarzać rolę króla Leara na deskach Royal Shakespeare Theatre. Skręcili za róg i przystanęli.

W ławkach kilkanaście starych twarzy wyłaniających się z czarnych habitów odwróciło się w ich stronę, a poranna pieśń o zmartwychwstaniu zamarła im na wargach. Nikt nie okazał cienia przestachu, było tylko łagodne zdumienie; na widok Quintena na tej i owej twarzy pojawił się nawet uśmiech. Quinten pojął, że musi posłużyć się tą właśnie bronią. Wolną ręką przetarł oczy i właśnie zamierzał udać, że ziewa, kiedy nagle ziewnął naprawdę: ciszę wypełnił odgłos długiego, rozkosznego ziewnięcia promiennego młodzieńca.

- Wybaczcie nam, ojcowie - powiedział Onno po włosku - że przeszkodziliśmy w nocnym czuwaniu. Ja i mój syn musieliśmy tutaj niechcący usnąć. Przez cały dzień wędrowaliśmy po waszym cudownej piękności mieście, a wieczorem na chwilę usiedliśmy sobie śmiertelnie znużeni w konfesjonale, żeby odetchnąć. No i właśnie...

Ze złączonymi rękami, trzymanymi tak, jak trzyma się je w fotelu z poręczami, wysunął się naprzód starzec, pochylony, z głową przytwierdzoną krzywo do tułowia, i słabym głosem przedstawił się jako padre Agostino, przeor. Na chwilę rozłączył dłonie, by zaraz złączyć je z powrotem, i rzekł:

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Może coś zjecie? Albo może filiżanka kawy?

Onno patrzył na niego zbity z tropu. Takie natężenie pobożnej naiwności i dobroci działało rozbijająco. Bracia zostali okradzeni, miał nadzieję, że tylko z dwóch bezwartościowych kamieni, i że nigdy się o tym nie dowiedzą, ale przecież za kilka godzin odkryją jednak, iż zostali oszukani przez dwóch włamywaczy, którzy zbeczcili ich świętą kaplicę. O niczym innym tak nie marzył w tej chwili, jak właśnie o filiżance kawy, ale miał poczucie, że gdyby ją przyjął, to już byłby naprawdę grzech śmiertelny; poza tym jak najszybciej jednak musieli się stąd wydostać. Odrzekł więc, że nie chcieliby już dłużej przeszkadzać, na co przeor wykonał gest ubolewania, a potem na moment unióś lewą rękę nad głowę Quintena, jednocześnie błogosławiąc go prawą. Wtedy Onno wyciągnął rękę na pożegnanie, ale przeor cofnął się z gwałtownym przestachem, patrząc na dłoń Onna, jakby ten zagroził mu co najmniej nożem. Zaraz jednak jakiś inny ojciec powiódł ich do drzwi, konwentu, a pozostali, uśmiechając się i kiwając głowami, odprowadzili ich wzrokiem.

W wyłożonym białym kamieniem korytarzu, gdzie wisiał portret obecnego papieża, odprowadzający ich ojciec rzekł z przepaszającym gestem:

- Proszę nie mieć za złe ojcu przeorowi. Nikomu nie wolno go dotykać. Padre Agostino od kilku miesięcy uważa, że jest z masła.

W chwilę później opuścili miejsce pielgrzymek wejściem dla dostawców.

Wciągając głęboko w płuca powietrze nocy, szli przez plac. Przy obelisku Quinten odwrócił się i spojrział jeszcze raz na budynek, jakby chciał się z nim pożegnać.

– Od tej chwili nie jest to już najświętsze miejsce na świecie – powiedział.

Przypuszczenie, że to właśnie on ma być teraz tym najświętszym miejscem, było dla Onna tak szokujące, że nie wiedział, co powiedzieć. Wyciągnął rękę i zatrzymał taksówkę; tym samym kierowca dołączył do grona tych, którzy mogą ich potem rozpoznać, ale wtedy oni będą już od dawna za granicą. Podał adres, Quinten położył sobie walizkę na kolanach i ciesząc się w milczeniu wolnością, pędzili obok Koloseum przez szeroką Via dei Fori Imperiali w stronę Piazza Venezia. Kiedy z piskiem opon taksówka brała zakręt, Onno wykrzyknął niespodziewanie:

– Z masła! Jak, na miłość boską, coś takiego może przyjść człowiekowi do głowy!

– Uważasz, że to aż takie głupie?

– A ty nie?

– Wcale. To nawet logiczne.

– No oczywiście – powiedział Onno, unosząc brwi. – Kto jak kto, ale ty na pewno to rozumiesz. W takim razie przekonaj mnie, proszę, że to nie przejaw sklerozy, tylko logiki.

– Przecież Chrystus powiedział, że jest chlebem.

Onno zaniemówił. Przez okno spoglądał na opustoszałe chodniki mrocznego Corso Vittorio Emanuele. Według jakich zasad pracuje mózg tego chłopaka? Czy on w ogóle jest człowiekiem? Przeor, który sam siebie rozsmarowuje na Chrystusie jak na kanapce – w jakiej głowie może powstać taka myśl? W jakim on żyje świecie? A może to rzeczywiście prawda? Może dla kogoś takiego jak stary padre Agostino teologia ma też wymiar psychologiczny, o którym nie ma pojęcia sama psychologia?

Na podwórku przy Via del Pellegrino wszystkie okna były jeszcze ciemne. Cicho wdrapali się po schodach, a kiedy już byli w mieszkaniu, Onno powiedział:

– A teraz muszę je obejrzyć.

Quinten popatrzył na swoją Myszkę Miki.

– Nie mamy na to czasu, trzeba spakować rzeczy. Co w ogóle bierzesz ze sobą?

– Nic. Tylko paszport i coś z ubrania.

– A te wszystkie notatki?

– One już spełniły swoje zadanie. Zostawię właścicielowi wiadomość, że wyjeżdżam na parę tygodni. Czynsz jest zapłacony za dwa miesiące z góry; jeśli do tego czasu nie wrócę, na pewno sam zadba, żeby to wszystko stąd sprzątnąć.

– Tylko się pośpiesz, bo w ciągu paru godzin musimy się wynieść z Włoch.

– Pięć minut!

– No to zaparzę kawę.

- Niczego bardziej mi nie potrzeba! A ty przygotuj się na największe rozczarowanie twojego życia, Quintenie – Onno podniósł walizkę i położył ją na biurku pod oknem. – Czy może być coś bardziej idiotycznego? Przez moją głupotę musimy teraz uciekać z kraju, a powód? Nie ma powodu! – Daremnie próbował otworzyć zamki. – Jak to działa?

Z papierowym filtrem w dłoni Quinten wyszedł z prowizorycznej kuchni, otworzył zamknięcia, tak że odskoczyły, i od razu wrócił do parzenia kawy. Dla Onna było to niezrozumiałe. Chłopak zrobił wszystko, żeby wejść w posiadanie tych kamieni, a teraz, kiedy już je ma, z jednej strony jest pewien, że to tablice Prawa, a z drugiej jakby zupełnie go nie obchodziły. Otworzył wieko, obniżył trochę biurkową lampę, włożył na nos okulary do czytania i odwinął gazety.

Już na pierwszy rzut oka stwierdził, że sprawa nie jest wcale taka prosta. Kamienie ze wszystkich stron pokrywała szara, chropowata masa, wyglądająca, jakby składała się z minionego czasu. Czy coś było pod spodem? Spróbował podrapać paznokciem kciuka, ale udało mu się oderwać tylko parę drobnych okruchów. To było zadanie dla laboratorium archeologicznego, ale jeśli dobrze zrozumiał Quintena, kamienie nigdy tam nie trafią. Miały rozmiary mniej więcej takie, jakie podał rabbi Berekiasz, nigdy nie widząc tablic. Z zaciśniętymi wargami odchylił się do tyłu. Czy to naprawdę do pomyślenia, żeby te dwie płyty były oryginałami tego, co widnieje nad ołtarzem każdej synagogi? Tablicami Prawa, symbolem wiary żydowskiej, tak jak menora jest godłem żydowskiego państwa, a sześcioramienna gwiazda – *magen Dawid*, czyli „tarcza Dawida” – godłem syjonizmu? Czy to naprawdę do pomyślenia, że te kamienie na jego biurku leżały kiedyś w Arce Przymierza, całymi latami noszone były po pustyni, przez wieki przechowywane w Świętym Świętych trzech Świątyń Jerozolimskich, żeby następnie Tytus... Czy to do pomyślenia, żeby Quinten miał jednak rację? Czy pod tą skorupą kryło się pismo Mojżesza? Znaki wyryte w kamieniu cztery tysiące lat temu w wyniku czyjejś inspiracji? Nagle serce zaczęło mu bić szybciej. Najstarsze znane inskrypcje pisma kananejskiego pochodziły mniej więcej z tysięcznego roku przed Chrystusem. Pismo Mojżesza musiało zatem być jeszcze o tysiąc lat starsze. Niewątpliwie było bardzo bliskie egipskich hieroglifów – a może dysk z Fajstos też się w jakiś sposób z tym łączy? Tamte znaki pochodziły mniej więcej z tego samego okresu! Przypomniał sobie znak, który wyglądał jak coś w rodzaju lektyki – czy to może Arka? Niezależnie od tego, jak niewielkie były szanse, żeby Quinten miał rację, to jednak należałoby najpierw wykazać, że jej nie ma! Tylko jak? I co on w ogóle zamierza?

Słyszając metaliczne szczęknięcie z tyłu, przy karku, odwrócił się przestraszony. Quinten z uśmiechem jedną ręką podniósł jego koński ogon, w drugiej trzymając nożyce. Zdecydowali się na tę metamorfozę, żeby nikt na lotnisku ich nie skojarzył, kiedy pojawią się listy gończe, i nie mógł w związku z tym powiedzieć, dokąd polecieci. Quinten zdjął ojcu gumkę z kucyka – zostało na niej kilka jego siwych włosów – i ścisnął nią swoje własne, które zebrał z tyłu głowy. W tym samym momencie Onno ujrzał chłopca zmieniającego się w mężczyznę, podobnie jak to się dzieje w filmowej scenie, gdy twarz młodego aktora nagle zastępuje się twarzą starszego. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek przedtem widział uszy Quintena, – Pij kawę – powiedział Quinten. – Ale nie ruszaj głową.

Jak zawodowy fryzjer trzymał grzebień w lewej ręce zębami do góry, kciuk prawej ręki włożył w jedno oczko nożyczek, a w drugie nie palec środkowy, tylko serdeczny i co chwila wykonywał kilka szybkich cięć w powietrzu. Po każdym cięciu ojciec coraz bardziej zbliżał się do obrazu, jaki miał w pamięci: w ciągu pięciu minut włączęga ustąpił w znacznej mierze miejsca człowiekowi władzy, który od czasu do czasu przyjeżdżał do Groot Rechteren służbową limuzyną. Od czasu do czasu patrzył nad jego ramieniem na tablice Prawa, tak jak fryzjer rzuca od czasu do czasu spojrzenie na magazyn ilustrowany, trzymany przez klienta na kolanach.

– Brodę musisz już sam zgolić – powiedział, strzepując sobie włosy z ubrania.

Kiedy Onno poszedł do umywalki, żeby się ogolić, Quinten pochylił się nad rogiem jednej z tablic, gdzie jego uwagę zwróciła mikroskopijna błyszcząca plamka. Zwilżył śliną opuszkę środkowego palca i potarł to miejsce, które od razu zajaśniało ciemnoniebieskim blaskiem. Wyprostował się. Obie tablice były z szafiru. Z kamienia szlachetnego. Ponieważ jeden gram kosztował pięć tysięcy guldenów, miał przed sobą coś wartego setki milionów guldenów, a może nawet miliard. Uznał, że lepiej będzie nie mówić o tym ojcu. Pomyślał przez chwilę, a potem wyjął ze swego niebieskiego plecaka beżową teczkę z napisem SOMNIUM QUINTI, której nie otworzył przez wszystkie te tygodnie, ponieważ już nie śniło mu się Zamczysko i nie miał co dodać do swoich szkiców. Położył ją na tablicach i zamknął walizkę.

Gdy punktualnie o szóstej rano wyjeżdżali taksówką z miasta przez Porta San Paolo i mijali piramidę Cestiusza, zaczynało się już robić jasno. Onno znów miał na sobie szary garnitur, w którym cztery lata temu wyjechał z Holandii; z przyjemnością napawał się chłodnym powiewem, muskającym mu policzki i kark. Jak człowiek może tak zarosnąć! Przypomniawszy sobie rozmowę, jaką dawno temu, w czasie kongresu w Hawanie, prowadził z pewnym człowiekiem, który przesiedział dziesięć lat w stalinowskich obozach pracy. Chodziło o brody, jakie nosili Fidel Castro i jego przyjaciele, i Onno powiedział wtedy, że jeśli kiedykolwiek zapaści brodę, to tylko gdy pójdzie do więzienia. Tamten patrzył na niego przez chwilę w milczeniu, a potem rzekł:

– Jeśli znajdziesz się w więzieniu, to będziesz się golił cztery razy dziennie.

Niebo zaczęło zabarwiać się na czerwono, zupełnie jakby za horyzontem powoli uchyłano drzwiczki pieca. Była niedziela i panował niewielki ruch.

– A jeśli ten pierwszy lepszy samolot będzie leciał do Zimbabwe? – spytał Onno.

– No to polecimy do Zimbabwe. Pieniądzy mamy dość.

– Przecież nie chodzi o pieniądze, zresztą ja funduję. Ale chyba mamy wystarczająco dużo czasu, żeby sobie coś wybrać? Wolałbym na przykład polecieć do San Francisco. Czemu wszystko musi zależeć od przypadku?

– Nie mam pojęcia – powiedział Quinten zniecierpliwiony. – Tak po prostu jest.

– A kiedy już będziemy w Zimbabwe, to co wtedy?

Quinten wzruszył ramionami i odwrócił się do okna. W oddali ledwie już było widać kopułę Bazyliki Świętego Piotra. Co jakiś czas pojawiały się wielkie postmodernistyczne budowle, takie jakie widywał w katalogu pana Themaata. Naprawdę nie miał pojęcia. Jedyne, co wiedział, to to, że odtąd nie musi już w nic ingerować. Od tej pory we wszystkim powinien podporządkowywać się okolicznościom, na tej samej zasadzie, na jakiej narciarz dostosowuje się do terenu, wymija drzewa i przepaście i nie próbuje jechać pod górę.

Kiedy wysiedli w porcie lotniczym Leonardo da Vinci, nad horyzontem pojawiło się słońce i załało maszyny na płycie nagłym złocistym blaskiem, który w chwilę później zamienił się w srebrzysty. Już panował tłok. W hałaśliwej hali odlotów, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach, Onno powiedział:

– Tylko popatrz: sami złodzieje i każdy ulatnia się z łupem.

Quinten niósł walizkę z tablicami; do tego miał jeszcze plecak. Przystanęli pod wielką tablicą odlotów i patrzyli w górę na nazwy miast, do których miały być rejsy w czasie najbliższych godzin: Buenos Aires, Frankfurt, Santo Domingo, Londyn, Kair, Wiedeń, Nikozja, Nowy Jork, Singapur, Sydney, Amsterdam...

– A jeśli to będzie Amsterdam? – spytał Onno.

– No to będzie.

Za ladą, gdzie sprzedawano bilety *last minute*, siedziała młoda dziewczyna z identyfikatorem, na którym było jej imię: Angiolina. Najwyraźniej pochodziła z głębokiego południa, włosy miała czarniejsze niż czarne, nad górną wargą widać było ciemny puszek. Onno powiedział do niej, że poczuli nagłą chęć wybrania się w kilkutygodniową podróż i chętnie zabukowaliby bilety na jakiś samolot.

– Proszę bardzo – powiedziała, poprawiając jedwabną apaszkę, którą zdaniem Quintena założyła tyłem naprzód. Wzięła długopis i spytała: – Dokąd zamierzają panowie lecieć?

– Pani niech nam powie. Chcielibyśmy polecieć pierwszym samolotem, na który będą wolne miejsca.

– Też bym tak chciała żyć – powiedziała dziewczyna i po jej twarzy było widać, że nic już jej nie zdziwi. Spojrzała na zegarek, a potem na monitor. – Na Wiedeń się nie da. Zostaje jeszcze Kair albo Santo Domingo. Chociaż może jeszcze zdążą panowie na angielski czarter o ósmej dziesiąt do Nikozji.

– W takim razie proszę dwa bilety w jedną stronę do Nikozji – powiedział Onno pośpiesznie, żeby nie zostało mu już tylko Santo Domingo.

– Nikozja? – powtórzył Quinten. – A gdzie to jest?

– Na Cyprze. Ładna wyspa. Dużo do oglądania.

– Paszporty proszę. – Przygotowując bilety, dziewczyna spytała: – Czy życzą sobie też panowie ubezpieczenie?

Onno zaśmiał się i podniósł wzrok.

– Powinniśmy się ubezpieczyć, Quintenie?

– Oczywiście, że nie.

– Zdajemy się na naszą dobrą gwiazdę, Angiolino.

Skinęła głową.

– O godzinie dwunastej dwadzieścia czasu lokalnego jest krótkie międzylądowanie w Tel Awiwie.

Onno spojrział ponownie na Quintena, który w milczeniu odwzajemnił jego spojrzenie. Onno odwrócił się z powrotem do Angioliny i powiedział:

– Proszę zmienić na dwa do Tel Awiwu.

62

Tam

– A więc lecimy odwieźć je z powrotem – skonstatował Quinten, kiedy już dostał kartę pokładową.

Onno nie odpowiedział. Zdawał sobie sprawę, że to jeszcze nie koniec przeszkód. Stanowiska odprawy znajdowały się w drugim końcu sali, oddzielone od reszty barierkami. Karabinierzy z pistoletami maszynowymi i w kamizelkach kuloodpornych przechadzali się dwójkami po marmurowej posadzce; tu i tam stali oparci o kolumny mężczyźni w cywilu. Na zewnątrz, tuż przy wysokim oknie, stał na chodniku policyjny samochód pancerny. Panował tłok; głównie starsi wycieczkowicze wybierający się na Cypr, prawdopodobnie zorganizowana grupa, jak wskazywały na to kolorowe wakacyjne stroje; pasażerów lecących do Tel Awiwu można było rozpoznać po nieobecny wyrazie twarzy. Po przejściu przez bariery ochronne każdy był odprawiany indywidualnie przy jednym ze stojących w szeregu metalowych stolików.

– Usiądźmy sobie tutaj, aż przyjdzie nasza kolej – zaproponował Onno. – Jestem wykończony, a bez łaski ledwie trzymam się na nogach.

Quinten spojrzał na niego zatroskany. Dopiero teraz uświadomił sobie, że ani przez chwilę nie liczył się ze stanem zdrowia ojca.

– Może powinieneś sobie teraz przez parę dni odpocząć.

– Doskonały pomysł, Quintenie. Izrael wydaje mi się wprost znakomitym krajem na wypoczynek. Czy zastanowiłeś się już, co powiemy, kiedy przyjdzie nam otworzyć walizkę?

– Nie.

– Wszystko jakoś samo się ułoży, tak?

– Oczywiście.

– A więc na pytanie, co to za kamienie, odpowiemy po prostu: kamienne tablice Mojżesza, tak?

– A czemu by nie? I tak nikt nam nie uwierzy, a przynajmniej nie skłamiemy.

– Ale kiedy już przestaną się śmiać, zapytają po raz drugi. – Onno spojrzał na niego z westchnieniem. – Wygląda na to, że mamy do wyboru więzienie albo szpital wariatów. – Myśl o tym, że mogłaby istnieć najdrobniejsza bodaj szansa, iż tablice rzeczywiście są tym, za co uważa je Quinten, znowu wydała mu się kompletnym idiotyzmem.

– Czyżbyś miał jakiś lepszy pomysł? – spytał Quinten.

– Ja zawsze mam jakiś lepszy pomysł. Wiesz, co im powiemy? Że to dzieło sztuki. Artystyczna kreacja współczesnego plastyka. Nikt nie odważy się podać tego w wątpliwość, ponieważ sztuka współczesna umiała stać się już tak nietykalna, jak dajmy na to... Siegfried z sagi o Nibelungach. Nawet policja nie może się do niczego przyczepić.

Quinten przyglądał się patrolującym halę policjantom.

– Popatrz: przy wszystkich innych stanowiskach jest spokojnie, tylko tutaj zupełnie jakby była jakaś wojna. Co to jest z tymi Żydami?

Onno pokiwał głową.

- Po tysiącach lat ich istnienie coraz wyraźniej zaczyna mieć cechy dowodu na istnienie Boga.

Ta uwaga przypomniała Quintenowi, co kiedyś powiedziała pani Korwinus. Otóż w dzień po śmierci Maksa usłyszał w holu, jak Nederkoorn mówi do pani Korwinus, że jeśli o niego chodzi, to wszyscy Żydzi mogliby zostać podobnie ukamienowani z kosmosu, na co ona odrzekła, iż nadal spotyka ich kara za to, że ukrzyżowali Chrystusa.

- Jak to dobrze, że już nie mieszkasz w tym zamku - stwierdził Onno, krzywiąc twarz. Ponieważ jednak nie był do końca pewien, czy idiotyczny antysemitowski argument nie zagnieździł się w umyśle Quintena, postanowił od razu zdusić go w zarodku. - Żydzi wcale nie ukrzyżowali Chrystusa, Quintenie, Chrystusa ukrzyżowali Rzymianie. Ukrzyżowanie było rzymską karą dla winnych ciężkich zbrodni. Popatrz tam, na tego ortodoksyjnego Żyda z brodą i w czarnym kapeluszu na czubku głowy, gdybyś teraz powiedział do mnie: „Zamorduj go”, i ja bym go zamordował, to ty byłbyś mordercą, a nie ja? Chyba nie muszę robić tego, co mi każesz? Gdybym był całkowicie podporządkowany twojej władzy, wtedy co innego; ale nie jestem. Tyle na pewno można powiedzieć. Wprawdzie Żydzi krzyczeli: „Ukrzyżuj go”, ale zrobił to Piłat. Mógł się przecież nie zgodzić, tam, u szczytu Świętych Schodów, mógł powiedzieć: „Wynoście się stąd, ani mi się śni, on jest niewinny”. To on chyba był szefem? Ale cóż, odpowiadał za spokój na okupowanych ziemiach, chciał być w porządku wobec cesarza w Rzymie, wszystko zrozumiałe, tak to się właśnie odbywa w polityce, tylko dlaczego potem prześladowano i tępieno potomków tych krzykaczy, a nie potomków faktycznych morderców, czyli Italczyków? Piotra i Pawła także ukrzyżowali Rzymianie, chociaż Żydzi wcale o to nie prosili. A tu nie dość, że nikt nie posłał narodu włoskiego do komór gazowych, to jeszcze do niedawna ziemskimi namiestnikami Chrystusa byli niemal wyłącznie włoscy potomkowie Rzymian. I papieże nadal mają siedzibę w Rzymie, tak samo jak rzymscy cesarze. Dziwne to wszystko, prawda? Kręte są ścieżki Pańskie, można by powiedzieć. Dawniej też myślałem, że nienawiść do Żydów jest związana z Chrystusem, ale to nie tak; ona istniała jeszcze przed Chrystusem, za każdym razem wymyślano tylko nowe powody: a to, że są bogaci i przemądrzali, a to, że są biedni i brudni, a to, że pociągają za sznurki plutokratycznego kapitalizmu, a to, że są rewolucjonistami i mają na sumieniu komunizm, a to, że nie mają ojczyzny, a to, że budują sobie ojczyznę; wszystko jest dobre, byle tylko było złe. Nie ma znaczenia, że jedno wyklucza drugie, ponieważ naczelną sprawą jest nienawiść. A to, że ona istniała od zawsze, dla antysemitów stanowi kolejny dowód na to, że z czegoś musiała wynikać.

W drodze na pas startowy samolot kołujący po płycie lotniska odwrócił się do nich tyłem i na kilka sekund zapanował ogłuszający hałas. Quinten odczekał chwilę.

- No i z czego wynika?

Onno położył dłoń na walizce, którą Quinten trzymał na kolanach.

- Z tego. Oczywiście jeśli jest w niej to, co myślisz. Z faktu, że żydowski Bóg, zawierając umowę ze swoim narodem, uczynił go świętym, czym żaden inny naród nie może się poszczycić. Widocznie ta świadomość jest dla wielu ludzi nie do zniesienia. A propos, lepiej żebyś mi dał tę walizkę, jak będzie trzeba, to ja będę mówił. - Onno wstał. - I pomyśl sobie, że nie masz o niczym pojęcia, tylko mi towarzyszysz.

Przy dwóch oddzielnych stołach, oddalonych od siebie o parę metrów, zostali dokładnie przepytani przez agentów bezpieczeństwa, Quinten po angielsku, Onno po włosku. Czy walizka i plecak są ich własnością. Czy sami je pakowali. Czy od momentu spakowania cały czas mieli je na oku. Czy ktoś dał im cokolwiek do przewiezienia. Na pytanie, jaki jest cel jego podróży do Izraela, Quinten odpowiedział, że dotrzymuje towarzystwa ojcu, który chce odwiedzić święte miejsca, Onno natomiast rzekł:

- Interesy.

- Jakie interesy?

- Z umiarkowanym sukcesem próbuję wyżyć z handlu sztuką.

Urzędnik obejrzał obydwie walizki ze wszystkich stron, przykleił do nich czerwone nalepki, oddał Onnowi bilet i paszport i gestem dłoni nakazał, żeby przechodził dalej.

- Jeśli oddamy walizki na bagaż - powiedział Onno, kiedy jako ostatni w kolejce stanęli do odprawy celnej - płyty mogą pęknąć, bo nikt na taki bagaż specjalnie nie uważa. Jeśli z kolei weźmiemy je jako bagaż podręczny, to oczywiście każą nam je otworzyć. Co robimy?

- Bagaż podręczny.

- Słusznie - skinął Onno głową i nie mógł się powstrzymać, by nie dorzucić z uśmiechem: - W końcu pierwszy zestaw też się roztrzaskał na kawałki.

Za kontrolą paszportową, w przepelnionej poczekalni przy wyjściu, także stali uzbrojeni po zęby policjanci i różne osoby, których funkcję nie od razu można było odgadnąć. Pochylona przed ekranem aparatury prześwietlającej siedziała gruba kobieta w niebieskim mundurze, za nią stała ze skrzyżowanymi rękami, przyglądając się, dziewczyna o blond włosach. Onno położył walizkę na przesuwającej się taśmie i walizka zniknęła za gumowymi klapkami. W chwilę potem taśma stanęła. Może walizka nigdy już nie wyjdzie z drugiej strony, pomyślał Quinten, obraz rentgenowski powoli zacznie się rozmywać, aż wreszcie zniknie całkiem z ekranu; nawet po rozebraniu maszyny na najmniejsze śrubki nie odnajdą ani śladu walizki.

Kiedy po upływie pół minuty walizka jednak wyłoniła się z drugiej strony spod gumowych kłapek, podeszła do nich ta blondynka i z ostrym jak brzytwa uśmiechem poprosiła Onna o otwarcie walizki. Po akcencie od razu poznał, że nie jest Włoszką, tylko Izraelką. Quinten pomógł mu otworzyć zamki i ku swemu zdumieniu Onno ujrzał na samym wierzchu kopertę z nagłówkiem „Westerbork Synthese Radio Telescope” i logo w kształcie czaszy teleskopu. Dziewczyna odłożyła kopertę na bok i odwinęła gazety.

– Co to jest, na miły Bóg? – Dłonie z rozczapierzonymi palcami trzymała w powietrzu, patrząc z wykrzywioną twarzą na dwie szare płyty.

Uniosła trochę jedną z nich i spytała: – Z czego to jest? Lżejsze, niż wygląda. Lawa?

– Pewnie jakieś tworzywo sztuczne – wyjaśnił Onno, na ile potrafił w języku starohebrajskim. – W każdym razie sztuka współczesna. Dzieło bardzo obiecującego młodego niemieckiego artysty Anselma Buchwalda. Niezwykle nastrojowa ewokacja legendy świętego Graala.

Dziewczyna spojrzała na niego i powiedziała w iwrit:

– Wygląda mi raczej na niezwykle nastrojową ewokację Trzeciej Rzeszy.

– Kto wie, może na jedno wychodzi?

Spojrzała na niego badawczo swoimi zielonymi oczami.

– Mówi pan po hebrajsku jak prorok Jeremiasz.

– Należałoby raczej powiedzieć jak Hiob – stwierdził Onno z udawanym smutkiem. – Dał Pan i zabrał Pan. Niech będzie imię Pańskie błogosławione!

Kiedy ich już przepuszczono, Onno spytał Quintena, co jest w kopercie.

– Tajemnica – odrzekł Quinten szorstko. Onno pokręcił głową.

– Nie powinienesz robić takich nieuzgodnionych wcześniej rzeczy. Jakbyśmy nie mieli dosyć innych problemów.

– No – powiedział Quinten z uśmiechem, kiedy samolot oderwał się od ziemi.

– Udało się.

– Pod warunkiem, że nie czekają już na nas w Tel Awiwie – stwierdził Onno ze zmartwioną miną. – Jest w tej chwili piętnaście po ósmej. Księża przypuszczalnie zauważyli moją łaskę albo stanie się to najwyżej w ciągu godziny, padre Agostino zamieni się z przerażenia w ser gorgonzola, a za dwie godziny Angiolina poda szczegółowy opis dziwacznej pary, ojca i syna, którzy chcieli odlecieć pierwszym lepszym samolotem; a od izraelskich agentów usłyszą, że tych dwóch miało ze sobą coś nader osobliwego. – Tu Onno wskazał na skrytkę bagażową nad swoją głową. – Za jakieś trzy godziny, kiedy wylądujemy, na lotnisku będzie już czekała prośba o ekstradycję i tym samym samolotem, pod eskortą, zostaniemy odstawieni przez Cypr do Rzymu, gdzie do końca życia będziemy gnili w lochach Zamku Świętego Anioła, pobrzękując łańcuchami, podgryzani przez szczury.

– O, wtedy w Ziemi Świętej nie wydarzyłoby się coś bardzo szczególnego – powiedział Quinten. – A poza tym zapominasz o różnicy czasów.

Onno spojrział na niego pytająco.

– Jak to zapominam o różnicy czasu?

– W Izraelu jest przecież o godzinę później niż we Włoszech! – No i?

– Przez tę godzinę w pewnym sensie nie istnieliśmy. A skoro ktoś nie istnieje przez godzinę, to moim zdaniem nikt już go nie znajdzie.

Onno przez chwilę przyglądał się z rezygnacją, jak Quinten przesuwając zegarka z Myszka Miki o godzinę do przodu, a potem z rękami skrzyżowanymi patrzy przez okno. Samolot zostawił ziemię w dole i zatoczywszy wielki łuk, wyleciał w okolicach Ostii nad morze, które w promieniach niskiego, porannego słońca wyglądało jak starczo pomarszczona skóra. Wobec pewności siebie wykazywanej przez Quintena czuł się jak ptak próbujący rozbić dziobem sejf. Musiał się na niego zdać, tak jak sam Quinten zdawał się na... no właśnie, na co? Na coś, o czym zapewne sam nie miał pojęcia.

– Czy może już wiesz, co zamierzasz zrobić w Izraelu?

– Zobaczysz się – Quinten rzeczywiście jeszcze nie wiedział. Wiedział tylko tyle, że na pewno wszystko samo się jakoś ułoży.

– W jednym z moich poprzednich żywotów miałem tam kolegę – spróbował Onno po raz ostatni, aczkolwiek bez większej nadziei – który będzie nam mógł jakoś pomóc, jeśli oczywiście jeszcze żyje. Mają tam fantastyczne laboratoria, w których dokonują renowacji kamieni; jeśli o to chodzi, nigdzie nie ma lepszego wyposażenia niż w Izraelu. Wszyscy Izraelczycy są archeologami, każda skorupa, jaką uda im się znaleźć, stanowi polityczny argument uzasadniający istnienie ich państwa.

– A co z trzecią wojną światową?

– Oczywiście musiałyby się to odbyć w najściślejszej tajemnicy.

– A ten twój kolega... jak on się nazywa?

– Już nie pamiętam, chociaż... tak, Landau. Mordechaj Landau.

- Kiedy zobaczy, że ma przed sobą autentyczne tablice z dziesięciorgiem przykazań, to utrzyma język za zębami?

Onno westchnął głęboko.

- Natychmiast zadzwoni do premiera.

- No widzisz.

Onno milczał. Zrezygnował już ostatecznie. Było oczywiste, że nigdy nie będzie mu dane dowiedzieć się na pewno, że te dwie płyty nie są tablicami Mojżesza. Może Quinten zechce je ukryć w grotach nad Morzem Martwym, pod Qumran, które przeszukano już dziesiątki razy i w których nikt już niczego nie będzie szukał; albo zakopie je gdzieś na pustyni Negew, w miejscu którego sam nie będzie potem umiał wskazać. Izrael to małe państewko, autobusem w ciągu paru godzin można dotrzeć wszędzie, dzisiaj nawet na półwysep Synaj. Może je więc zanieść z powrotem na górę Horeb, a potem przejechać do Egiptu, zamykając w ten sposób biblijny krąg. A tam mógłby się na koniec dać zamknąć w komorze królewskiej piramidy Cheopsa, przez której ciasne, duszne korytarze on sam przeciskał się kiedyś w czasie jednej z oficjalnych wizyt, i położyć się w pustym czarnym sarkofagu. W końcu przecież zdaniem piramidiotów działają tam jakieś nadnaturalne siły, które uniosą go do nieba jak proroka Henocha. Onno odpiął pas bezpieczeństwa i odchylił oparcie fotela. Musiał się pogodzić z faktem, że cały ten epizod nabierze charakteru snu, o którym nawet nie będzie mógł z humorem opowiadać, nie narażając się na podejrzenie, iż nie do końca jest przy zdrowych zmysłach.

Śniadanie, które im podano, wyglądało, jakby zrobiono je z tej samej substancji co plastikowe sztućce, którymi mieli je spożywać. Quinten pomagał otwierać przezroczyste pojemniczki, nie dlatego żeby ojciec sam nie umiał tego zrobić, lecz dlatego, że ten najwyraźniej nie chciał tego umieć zrobić, i zachodziła obawa, że za chwilę ogarnie go szal, który każe mu wbijać się w plastik zębami, co mogło się zakończyć tylko i wyłącznie klęską zębów.

- Ten rodzaj jedzenia to zupełny zmierzch ludzkiej kultury - burczał pod nosem, usiłując poprawić swoje zwaliste ciało za odchylnym do poziomu stoliczkiem.

– Najważniejsze, że lecimy – powiedział Quinten z pełnymi ustami. Kiedy już tacki z ustawionymi w określonym porządku pojemniczkami zamieniły się w budzące obrzydzenie stosy odpadków, które stewardesy z uśmiechem wsuwały do metalowych wózek na kółkach, Quinten oparł się czołem o okienko. Przestrzeń. Świat. Niby nieregularne szarobrazowe oka tłuszczu pływające po powierzchni morza pojawiły się pierwsze greckie wyspy, a nad jego głową leżały tablice z dziesięciorgiem przykazań, odbywające drogę powrotną do początków: miał wrażenie, jakby od momentu narodzin żył właśnie dla tej chwili. Co jeszcze może się zdarzyć? Coś się zdarzy na pewno, ale co potem? Po prostu żyć dalej? Wrócić do Holandii i dożyć osiemdziesiątki? Myśleć o tym, co teraz się dzieje, jak o incydencie z przeszłości, nikomu nieznanym wydarzeniu z zeszłego wieku? Nagle owładnęło nim przeświadczenie, że być może to jego ostatnie dni na ziemi; ale ta myśl wcale go nie sparaliżowała. Może każdy ma określone zadanie do wykonania w swoim życiu i wtedy jego życie jest spełnione? Może to być coś zupełnie nieważnego albo pozornie nieważnego, na przykład bezinteresowne okazanie komuś pomocy w taki sposób, że ten ktoś nawet o tym nie wie. Właściwie każdy powinien przeanalizować swoją przeszłość pod tym kątem, żeby sprawdzić, czy coś takiego już się wydarzyło, i w razie czego zacząć coś w tym kierunku robić.

Hen w dole ujrzał delikatny biały ślad komety na błękitnej powierzchni wody: stateczek, sam zbyt mały, by można było dostrzec, że płynie w stronę przeciwną. Czy tablice, menora i inne przedmioty ze Świątyni zostały przetransportowane przez Tytusa do Rzymu właśnie w taki sposób, czy przewieziono je łądem? Dopiero kiedy zwrócił się do Onna z tym pytaniem, zorientował się, że go obudził.

– Bardzo cię przepraszam.

– Nie dasz człowiekowi chwili spokoju – poskarżył się Onno zbolalym głosem, rozluźniając krawat. – Jak przewożono łupy? Nie mam pojęcia. Ja dla pewności niewątpliwie wybrałbym drogę lądową. Prawdę mówiąc, uważam, że to ty powinienesz wiedzieć takie rzeczy. Ale ty nie chcesz studiować, ty po prostu działasz.

– A czy to czasem nie wystarczy?

– Aż za bardzo! Ale rzeczywiście masz rację. Studiować może każdy, do tego są inni ludzie, na przykład ja. Kiedy na swój skromny sposób uczestniczyłem w polityce, też wiedziałem o niej o wiele mniej od politologów, którzy wiedzieli więcej niż Hitler i Stalin razem wzięci, ale nie mieli ani okrucucha władzy i nigdy mieć nie będą. Tyle tylko, że w twoim przypadku sprawy poszły jeszcze o krok dalej. Ty jesteś niezłomnie przekonany, że właśnie odwozisz do Izraela kamienne tablice Prawa – nadal z trudem przechodzi mi to przez gardło – ale moim zdaniem nie masz nawet pojęcia, w jaki sposób ich autor został zainspirowany na Synaju do ich napisania. Nigdy w życiu nie czytałeś o tym w Biblii.

- Nie czytałem - potwierdził Quinten, myśląc jednocześnie: to nie są kamienne tablice, tylko szafirowe. - Więc jak to było?

- Jak należy. W wulkanicznej scenerii, z towarzyszeniem gromów i błyskawic, dymu, drżenia ziemi, ryku trąb, głosu Jahwe widocznego w ciemnej chmurze.

- Widocznego? Widoczny głos?

- Tak. Zdaniem Filona to był właśnie prawdziwy cud. Jahwe mówił widocznymi słowami, literami ze światła, które nie były na niczym napisane. Spisanie ich było właśnie zadaniem Mojżesza. Widzialny głos Boga, jak powiedział potem Mojżesz, to największy cud od czasu stworzenia świata.

Gdy Onno skończył, Quinten poczuł, że ojciec nadal patrzy na niego z boku. Pewnie chciał go zapytać, czy ciągle wierzy, że jest w posiadaniu kamiennych tablic z dziesięciorgiem przykazań, ale najwyraźniej opuściła go odwaga. Quinten odwzajemnił jego spojrzenie i rzekł:

- A więc w tej chwili Sancta Sanctorum to Francis Bacon.

- Jak to Francis Bacon?

- Nie widziałeś przy wchodzeniu? Tak się nazywa nasz samolot.

Kiedy przelatywali nad Peloponezem, Quinten też zrobił się senny.

Z ciężkimi powiekami patrzył na dużą czarną muchę, siedzącą na szybie okienka. Jeszcze nigdy tak szybko nie leciała i to bez machania skrzydłami - jak ona wróci do domu? Ponieważ owad budził jego odrazę, przepędził muchę ruchem dłoni, tak że przeleciała kilka rzędów dalej i usiadła na ramieniu jakiegoś ortodoksyjnego Żyda w kapeluszu na głowie. Oczy Quintena powoli się zamknęły, a ryk silników zmienił się w potężną harmonię dźwięków gigantycznej orkiestry...

Ze snu wyrwał go głos kapitana, który powiedział po angielsku, że na prawo widać właśnie Kretę. Spojrzał na groźne fioletowe góry w oddali, ale Onno nadal nie otwierał oczu.

- Tato, Kreta.

- Nie chcę tego oglądać - powiedział Onno, odwracając na bok głowę i ciągle nie otwierając oczu. - Nie cierpię Krety.

Parę minut później ryk silników nagle osłabł i po ucisku w uszach Quinten zorientował się, że samolot schodzi coraz niżej. Jego ojciec otworzył na moment oczy, potem przymknął je z powrotem i powiedział:

- *Luhot ha'eduth* czują już zapach stajni.

- Co teraz powiedziałaś?

- Tablice Świadectwa. To inne określenie Przymierza.

Quinten gwałtownie odwrócił głowę i wielkimi oczami patrzył na wnętrze samolotu niewidzącym wzrokiem. Miał wrażenie, jakby słowo „świadectwo”, tkwiło już gdzieś głęboko w jego wnętrzu, niby oszlifowany, sypiący skrami diament w głębi ziemi.

W Lod, na lotnisku Ben Guriona, roіło się od policjantów i uzbrojonych agentów bezpieczeństwa, co przypomniało Onnowi Hawanę sprzed osiemnastu lat, a więc z czasów, gdy wszyscy ci młodzi mężczyźni leżeli jeszcze w kołyskach z grzechotkami w dłoniach. Nikt jednak nic od nich nie chciał. Urlopowicze lecący na Cypr, bijący kapitanowi brawo po lądowaniu, pozostali w samolocie. Przy długich stołach ponownie przejrano ich bagaże, po raz trzeci sprawdzono, czy są podobni do swoich zdjęć w paszportach, znowu musieli otworzyć walizki i znowu trzeba było przywoływać na pomoc legendę świętego Graala. Tuż obok stał ortodoksyjny Żyd, który również rzucił obojętne spojrzenie na tablice.

– Gdyby tak wiedział – rzucił Quinten po niderlandzku.

– Ostrożnie – upomniał go szeptem Onno. – Za granicą też może się zdarzyć, że ktoś rozumie, co mówisz. Zwłaszcza w Izraelu.

Kiedy ich wreszcie przepuszczono i podjęli pieniądze – w szeklach, które, jak wyjaśnił Onno, były środkiem płatniczym już w czasach Starego Testamentu – Onno spytał:

– I co teraz?

– A co ma być? Wychodzimy.

Dochodziła pierwsza, nad dziedzińcem przed halą przylotów wisiał piekący upał, ich cienie niewiele wychodziły poza stopy. Przez gęszcz samochodów i autobusów przeciskali się w stronę niskiego, białego budynku z informacją turystyczną i rezerwacją hotelową.

– Jeśli czegokolwiek mi teraz potrzeba – powiedział Onno – to jakiejś cywilizowanej łazienki. Czy ty wiesz, że od dwudziestu czterech godzin jesteśmy w tych samych ubraniach? Nie czujesz się brudny?

– Ujdzie.

– *Sherut?* – zawołał jakiś człowiek w okrągłej czapeczce na czubku głowy, pośpiesznie ładujący do niewielkiego busa stojące na chodniku walizki. – *Yerushalayim?*

Miał jeszcze dwa wolne miejsca do Jerozolimy i Onnowi zaczęło świtać, że po prostu powinni skorzystać. Usiedli na ostatnim siedzeniu, obok siwej pani czytającej „L'Express”; pozostali pasażerowie to byli panowie o intelektualnym wyglądzie, Amerykanie w koszulkach z krótkimi rękawami, niektórzy z muszką. Po zapuszczeniu silnika kierowca odwrócił się i spytał, kto jedzie do jakiego hotelu. Pani chciała do „King David”, Amerykanie do „Hilтона”. Kiedy Onno nie odpowiedział od razu, kierowca spytał niecierpliwie:

– Też do „Hilтона”?

Onno wykonał gest, że niech już będzie, i w chwilę później wjechali między wypalone słońcem, usiane kamieniami wzgórze.

W czasie trwającej trzy kwadransy jazdy nie rozmawiali. Onno także nie był nigdy w Izraelu, ale miał wrażenie, jakby czuł emanującą z tego krajobrazu metafizyczną potęgę, która szalała tutaj od czterech tysięcy lat i nadal szaleje. Była to oczywiście nader romantyczna myśl, wywodząca się ze wszystkiego tego, co wiedział o historii zarówno z lektury Biblii wspólnie z ojcem i pastorem, jak i z przesłodzonych rycin katechizmu, oglądanych we wczesnym dzieciństwie, pełnych chmur, przez które przebijały wachlarze świętych promieni; także dla niego Izrael był „ziemią obiecaną”, ale coś całkowicie nieprawdopodobnym była myśl, że odwiedzi ją kiedyś w takich właśnie okolicznościach: w towarzystwie syna, który trzyma na kolanach walizkę z tablicami Praw. Było zupełnie tak, jakby w palącym blasku słońca, niezakłóconym ani jedną holenderską chmurką, czas zwinął się w sobie jak trzymany nad płomieniem owad. Wzgórza stopniowo pojawiały się coraz rzadziej, niektóre były porośnięte zielenią, a w rowie na poboczu czteropasmowej autostrady widać było od czasu do czasu wraki zniszczonych ostrzałem ciężarówek i transporterów opancerzonych, pokrytych rdzawobrunatną minią. Kierowca poinformował, że wraki pochodzą z wojen w latach 1948 oraz 1967, równie dobrze jednak mogłyby pochodzić z czasów wojen krzyżowych, czasów rzymskich czy babilońskich...

Wieżowiec „Hilтона” w Jerozolimie, z izraelskimi flagami narodowymi na balustradach wszystkich balkonów, znajdował się w zachodniej części miasta, w nowej, pozbawionej wyrazu dzielnicy – o tym, że kiedyś było tu inaczej, świadczyły prowadzone tuż obok wykopaliska. W chłodnym, rozległym holu, otoczonym małymi sklepikami, Amerykanie zameldowali się u miłych pań przy pełnym chorągiewek i dokumentów stole; tablica na koźle serdecznie witała uczestników międzynarodowej konferencji na temat nawodnienia pustyni Negew. Onno położył paszporty na kontuarze recepcji i poprosił o dwa pokoje. Pewnie dlatego, że paszporty były holenderskie, recepcjonista odesłał ich po angielsku do stołu ekspertów od urządzeń wodnych.

– Nie, nie, my nie jesteśmy stamtąd.

– A dlaczego by nie? – spytał Quinten.

– Na litość boską! – wykrzyknął Onno, wznosząc ręce ku niebu. – Tylko nie to!

Zupełnie jak Maks!

– Nie rozumiem.

– Wyjaśnię ci kiedy indziej.

Niestety okazało się, że nie ma wolnych pokoi, w ogóle wszystkie hotele były pełne, ponieważ jak wyjaśnił recepcjonista, równocześnie odbywa się w Jerozolimie pięć kongresów. Może dałoby się coś znaleźć jeszcze na starym mieście, ale tam środki bezpieczeństwa pozostawiają wiele do życzenia. Kiedy Onno powiedział, że ich nie tak łatwo przestraszyć, a poza tym muszą przecież znaleźć dach nad głową, recepcjonista zadzwonił pod kilka numerów i w końcu zapisał im na kartce nazwę i adres jakiegoś hotelu.

Posiliwszy się przedtem w barze – Quintenowi odmówiono podania szklanki mleka do jego bułki z szynką – pojechali taksówką do wschodniej części miasta. Przy końcu szerokiej ulicy ze sklepami, na której chwilami tworzyły się korki, jezdnia zaczęła stopniowo opadać i w chwilę później na wzgórzu po drugiej stronie porośniętej zielenią doliny, przypominającej kanion, ukazały się masywne mury starej Jerozolimy. Za nimi, w potokach słonecznego światła, widać było niezliczone wieże, a pośrodku między nimi złotą i srebrną kopułę.

Quinten pochylił się głęboko do przodu nad trzymaną na kolanach walizką, żeby lepiej widzieć przez przednią szybę.

– Popatrz – powiedział cicho. – No proszę. Ona istnieje naprawdę.

Chociaż Arab na wielbłądzie należał do tego samego porządku co piaskowego koloru ciężkie kamienie miejskiego muru, wzdłuż którego jechał, kierowca przepędził go klaksonem na bok, przejechał przez Bramę Jafską i zatrzymał się na niewielkim placu. Za chwilę stali na nim w tłumie turystów, handlarzy palestyńskich w chustach na głowie, rzymskokatolickich zakonników i zakonnice, prawosławnych, ormiańskich i koptyjskich kapłanów w egzotycznych szatach, pobożnych Żydów w chałatach oraz wojskowych patroli składających się z dziewcząt i chłopców, obwieszonych uzi i kałasznikowami. Z głosów kościelnych dzwonów i krzyków przekupniów powstawał hałas, który z łatwością pochłoniął dwa głucho grzmoty, wywołane przez myśliwiec odrzutowy, właśnie przekraczający gdzieś w oddali barierę dźwięku.

Hotel „Rafael”, którego próżno byłoby szukać w jakimkolwiek przewodniku turystycznym, nie rzucał się w oczy, wciśnięty między kantor wymiany walut a sklep towarów mieszanych, którego skrzynki i worki z warzywami rozłożone były na chodniku niby paleta Carpaccia: czerwień cynobrowa, rdzawy brąz, sjena palona, błękit, oliwkowa zieleń, żółć szafranowa. Recepcję stanowił prosty, zbity z desek kontuar w wąskim korytarzu, który kończył się kilkoma kamiennymi schodkami, przechodzącymi w coś w rodzaju holu czy pokoju śniadaniowego. Na plastikowym krześle z urwanym oparciem siedział pochylony do przodu mężczyzna około sześćdziesiątki i oglądał telewizję. Na odbiorniku stała antena pokojowa w kształcie litery V. Mężczyzna odłożył papierosa na skraj popielniczki i wstał.

– Quist? – spytał z melancholijnym uśmiechem. – *Szalom*. – A potem dodał po angielsku: – Mój kolega pana zapowiedział. – Podał im obu rękę i przedstawił się jako Menachem Aron.

Nie ułatwiał sobie życia. Na głowie miał perukę z gęstych, nazbyt jednolicie brązowych włosów, spod której przy uszach wystawały jego własne, siwiejące i rude; dodatkowo na czubku głowy miał okrągłą czapeczkę, co z liturgicznego punktu widzenia nie było pewnie w tym wypadku absolutnie konieczne, pomyślał Onno, ale być może właściciel liczył się z możliwością, że pan Bóg się nie zorientuje, iż on ma na głowie perukę. Aron położył przed nimi dwa formularze i spytał, jak długo zamierzają zostać.

Onno spojrzał w milczeniu na Quintena.

– Dwie noce? – spytał Quinten. – Czy może trzy?

– Nic nie mówię. To twoje przedsięwzięcie, ty powinieneś wiedzieć.

– A więc dwie.

– Powinno wystarczyć.

– Pysznic jest na korytarzu – powiedział Aron, kładąc przed nimi klucze do pokoi.

– Nie wiem, co masz zamiar teraz robić – powiedział Onno – ale ja kładę się od razu do łóżka, bo już nie daję rady. – Wskazał na walizkę. – Jak sądzisz... powinniśmy spytać, czy mają tutaj sejf?

Aron zniknął w drzwiach za kontuarem i po chwili wrócił z wąską metalową szufladą, do której zmieściłby się najwyżej portfel. Kiedy wyjaśnili mu, o co chodzi, poprosił Quintena, żeby poszedł za nim. W zagraconym kantorku, służącym jednocześnie jako składzik skrzynek z pustymi butelkami, siedziała przy maszynie do pisania jakaś dziewczyna, która podniosła głowę i skinąwszy głową na powitanie, popatrzyła na Quintena w sposób, który go lekko zmieszał. Czarne włosy miała obcięte bardzo krótko, zupełnie jak jego matka. W kącie stał wysoki na człowieka zielony sejf z zamierzchłych czasów; pośrodku drzwi przymocowana była gruba mosiężna tabliczka z nazwą firmy: Kromer. Quinten od razu się zorientował, że to monstrum ma staroświecki zamek na kombinacje literowe, jakich od dawna już się nie używa. Aron ukląkł jednym kolaniem na wyłożonej terakotą podłodze i obrócił pokręteł czterech razy w różne strony, dbając o to, aby gość nie zobaczył kombinacji. Kiedy ogromne stalowe drzwi grubości dobrych dwudziestu pięciu centymetrów otworzyły się powoli, Quinten zobaczył, że w środku spokojnie wystarczyłoby miejsca na sto przykazań.

– Ciężkie – powiedział hotelarz, wsuwając walizkę na najniższą półkę, ale nie zadawał żadnych pytań. Zamknąwszy z głuchym hukiem drzwi, przekręcił dwa razy pokręteł wewnętrzną powierzchnią dłoni. – W porządku?

– Tak.

Dziewczyna odwróciła się i zapytała o coś w iwrit, może tylko po to, żeby jeszcze raz spojrzeć na Quintena z jasnym pasmem w ciemnej czuprynie. Lecz Aron bardzo pilnował córki i dał Quintenowi znak, że może już wracać do kontuaru.

Tymczasem tam musiało coś zajść. Onno stał z otwartymi ustami, wlepiając oczy w ekran telewizora. Rozkazującym gestem ręki trzymanej na wysokości biodra nakazał Quintenowi milczenie. Quinten podszedł bliżej i też popatrzył na ekran: migawki przedstawiające tłum modlących się i śpiewających wiernych na placu, większość klęczy z rozpostartymi ramionami, wszyscy z ekstatycznym wyrazem twarzy patrzą w niebo; wśród tłumu wózki sprzedawców pizzy. Hebrajskiego komentarla Quinten nie rozumiał. Kiedy pokazano panoramę całego miejsca, zorientował się nagle, skąd są zdjęcia: plac przy Sancta Sanctorum! Przepelnione Święte Schody, kaplica, zbliżenie przez kraty na łaskę jego ojca, opartą o papieski klęcznik przed ołtarzem! W chwilę później na ekranie pojawiła się twarz starszej kobiety, która gestykulując z przejęciem, łamiącym się głosem mówiła coś po włosku, z czego zrozumiał tylko słowo *miracolo*, potem pojawił się niezwykle rozważnie formułujący myśli duchowny, ale nie ten z masła, a jego wypowiedź pojawiała się na ekranie po hebrajsku w formie napisów. Kiedy po raz kolejny pokazano łaskę z węzową gałką, izraelski reporter zakończył relację ironicznym spojrzeniem w stronę kamery.

Onno ciężko opadł na krzesło, nie mogąc wydobyć z siebie słowa.

– Opowiadaj! – poprosił Quinten. – Co się stało?

– Chyba oszaleję. Dzisiaj rano odkryto w kaplicy moją laskę, ta starsza pani. Jak co niedziela, przyszła jako pierwsza na Święte Schody i od razu zaalarmowała ojców pasjonistów. Kiedy zobaczyła ich zaskoczenie, zaczęła krzyczeć, że zdarzył się cud, no bo przecież nikt nie mógł wejść do kaplicy. W ciągu godziny wieść rozeszła się po mieście i do kaplicy ze wszystkich stron zaczęły napływać tłumy. I jak ci się wydaje? Oni uważają, że moja laska jest laską Mojżesza, tą samą, którą uderzył w skałę, żeby trysnęła woda. Dowodem ma być gałka w formie głowy węża: kiedyś bowiem na dworze faraona Mojżesz cisnął laskę na posadzkę, a wtedy ona zamieniła się w węża. Niektórzy z kolei twierdzą, że to rajski wąż modli się do Chrystusa Acheiropity w papieskim Świętym Świętych i że to oznacza kres grzechu pierworodnego oraz zapowiedź ponownego nadejścia Chrystusa. Podobno na wszystkich drogach dojazdowych do Rzymu zaczęły się już tworzyć gigantyczne korki.

Minęła dobra chwila, zanim Quinten się odezwał:

– Ale przecież ojcowie wiedzą, że to twoja laska?

– Widać zdecydowali, że zostawią wszystko, tak jak jest – powiedział Onno. – Nie pilnowali wystarczająco dobrze i nie leży w ich interesie, żeby to wyszło na jaw. Poza tym taka nobilitacja kaplicy to dla nich coś wspaniałego.

– A jeśli Mauro rozpozna twoją laskę?

– Nie będzie miał odwagi nic powiedzieć. Może każe sobie zapłacić za milczenie. Teraz nie ma już odwrotu.

– To dlaczego przeor nie zabrał głosu? Przecież można by z tego zrobić jeszcze większą sensację.

– Kto wie, może ojciec Agostino zostanie wkrótce ogłoszony świętym? Będzie patronem przemysłu mleczarskiego.

– A kto to był ten duchowny na końcu?

– Kardynał Sartolli, arcybiskup San Giovanni in Laterano. Jak zwykle, lawirował dyplomatycznie. Powiedział, że Kościół oczywiście raduje się pobożnością ludu, ale że należy poczekać na oficjalną reakcję Watykanu. – Onno podniósł wzrok na Quintena. – Quintenie! Co myśmy narobili!

Quinten też patrzył na niego przez chwilę, a potem nagle padł na ziemię jak rażony piorunem i zaczął się tarzać ze śmiechu.

Środek środka

- Jeszcze nigdy nie widziałem, żebyś tak się śmiał - powiedział Onno następnego ranka podczas śniadania, kiedy już przeczytał Quintenowi ostatnie wiadomości na temat sytuacji w Rzymie, zamieszczone w gazecie „Ha'aretz”: z całego świata do Sancta Sanctorum zaczęli napływać pielgrzymi, Piazza San Giovanni in Laterano został całkowicie zamknięty dla ruchu; zarówno Stolica Apostolska, jak i Główny Urząd Rabinacki w Jerozolimie powstrzymują się na razie od wszelkich komentarzy.

- A czy to nie jest powód, żeby pękać ze śmiechu? Wszyscy ci rozmodleni ludzie, podczas kiedy to właśnie teraz nie ma już tam do czego się modlić? Zwykła śmieszna laska do podpierania się.

Onno złożył gazetę.

- W porządku. A więc zamieniliśmy tablice z dziesięciorgiem przykazań na moją laskę i teraz masz zamiar je oddać. - Spojrzał na Quintena sponad okularów do czytania. - A jeśli te dwie tablice są mniej więcej tym samym, co czczona teraz przez wszystkich laska Mojżesza?

- Jak możesz tak myśleć? - Quinten był oburzony. - Przecież twoja laska nie jest laską Mojżesza, prawda?

Onno skinął głową i w milczeniu dojadł łyżeczką jajko.

- Mam tylko nadzieję, że sejf hotelu „Rafael” nie jest ich miejscem przeznaczenia?

- Oczywiście, że nie.

- Niezbyt dobrze dzisiaj spałem, jak się pewnie domyślasz, i znowu próbowałem postawić się w twojej sytuacji... wiem, że to niemożliwe, ale dlaczego człowiek nie miałby czasem spróbować też niemożliwego... i wydaje mi się, że zamierzasz odstawić je dokładnie na to miejsce, z którego zabrał je Tytus. A może się mylę?

- Nie mam pojęcia - powiedział Quinten. Rzeczywiście jeszcze się nad tym nie zastanawiał, bo przecież wszystko samo się okaże we właściwym momencie, ale może nie był to taki zły pomysł.

- A więc na miejsce, gdzie kiedyś stała Świątynia Heroda.

- Ale jeśli tak - dodał Quinten - to dokładnie na to miejsce, gdzie znajdowało się Świąte Świątych.

Onno z westchnieniem otarł usta.

– Oczywiście, nigdy dosyć precyzji. Jednym słowem, znowu trzeba się będzie uczyć. Nigdy bym nie pomyślał, że dzięki tobie dowiem się tylu nowych rzeczy. – Z nieznosnym zgrzytem odsunął krzesło i wstał. – To co, może się rozejrzemy w sytuacji?

Quintena zdumiała trochę inicjatywa, jaką nagle wykazał ojciec. Wyglądało to tak, jakby zaczęło mu się śpieszyć; może uznał, że po tej aferze, jaka wybuchła w Rzymie, należy w miarę szybko zamknąć całą sprawę. Sam jednak też był ciekaw miejsca, w którym znajdowały się te wszystkie świątynie. Stojący w drzwiach Aron wskazał im wąską uliczkę, którą mieli się udać: cały czas przed siebie, a wtedy wyjdą prosto na świątynne wzgórze Moria; dziesięć minut spacerkiem.

Po chłodnej nocy znowu wzmagął się upał. Zatłoczona uliczka, przyozdobiona girlandami suszącego się prania jak wszystkie uliczki w basenie Morza Śródziemnego, stanowiła początek suku: nieprzerwanego ciągu mikroskopijnych sklepików z pamiątkami, wyrobami artystycznymi, barwnymi tkaninami, błyszczącymi słodyczami, wyrobami z miedzi, a także różnych trudnych do zdefiniowania warsztatów i warsztacików, zakładów fryzjerskich, ale przede wszystkim był tam tłum rozkrzyczanych przekupniów, usiłujących wmusić turystom swój towar. Co parę metrów stali też mężczyźni w chustach na głowach, proponujący swoje usługi jako przewodnicy; gdy słyszeli, skąd obaj pochodzą, każdy z nich bez wyjątku wykrzykiwał po niderlandzku:

– *Allemachtig achtentachtig*⁴.

Onno zatrzymał się przed wystawą sklepiku z laskami o prymitywnie zdobionych gałkach.

– Jeśli teraz kupiłbym sobie tę – powiedział, wskazując laskę z gałką w kształcie głowy węża – to byłoby już prawdziwe kuszenie diabła.

– W Jerozolimie lepiej z tym uważać.

– Czterdzieści szekli – powiedział handlarz, wyciągając laskę.

Ponieważ dla Onna wszystkie te laski były jednakowo szpetne, pokręcił przecząco głową i poszedł dalej. Handlarz jednak pobiegł za nimi i po paru krokach cena spadła do trzydziestu szekli, do dwudziestu pięciu, potem do dwudziestu.

– Jeszcze trochę, i dostaniemy ją za darmo – stwierdził Onno.

– Jeśli się tak po prostu tędy przejdziemy, to automatycznie zostaniemy milionerami – dorzucił Quinten i przez chwilę pomyślał o ich kamuflującym łysinę hotelarzu, który nie miał zielonego pojęcia, że jego sejf zmienił się na chwilę w Arkę Przymierza i kryje w sobie szafiry wartości miliarda guldenów.

Za dziesięć szekli Onno kupił ciężką laskę ze zwykłą, pozbawioną ozdób rączką, raczej kij, którą handlarz usłużnie wyniósł mu ze sklepu. Z ulgą, że znowu ma się czym podeprzeć, ruszył dalej. Ich wędrówka trwała już kwadrans, a góry świątynnej nadal ani śladu. Nieco dalej nad ulicą pojawiły się łuki, a po chwili znaleźli się w zacienionym labiryncie przepelnionego bazaru, na którym nie było już nawet mowy o poruszaniu się cały czas przed siebie. Kiedy Quinten poszedł na róg ulicy, żeby zobaczyć jej nazwę, przeczytał:

– Via Dolorosa.

– Ach, to tutaj. To droga krzyżowa naszego Pana i Zbawcy. – Onno wskazał laską relief nad wejściem do kościoła. – Tu jest miejsce czwartej stacji, gdzie Jezus spotkał swoją matkę. Ale – spojrzał w lewo, a potem w prawo – to by znaczyło, że na końcu tej trasy znajduje się Golgota, gdzie zbudowano Bazylikę Grobu Świętego, a zaczynać się powinna w twierdzy Antonia, należącej do Piłata, z której pochodzą Święte Schody Tak więc musimy się udać w tę stronę, ponieważ moim zdaniem również twierdza znajduje się na wzgórzu świątynnym.

W tym momencie Quinten gwałtownie szarpnął go za ramię i wciągnął do sklepu z ozdobami.

– Co się stało?

– Tam jest ciocia Trees.

Podążała za mężczyzną, trzymającym nad głową złożony czerwony parasol, w grupie białowłosych dam, które wszystkie były do siebie dziwnie podobne, zupełnie jak ich kwieciste sukienki. Kuląc się, żeby go nie zauważyła, Onno odprowadził ją wzrokiem. Poczł coś w rodzaju wzruszenia.

– Ależ się postarzała, szantrapa – powiedział cicho. – A nadal tak samo nabożna. Na pewno pierwsza wsadzi łapę w dziurę, która powstała w miejscu, gdzie stał krzyż Jezusa Chrystusa.

– Może chciałbyś się z nią spotkać? – spytał Quinten. – Teraz na pewno też by cię poznała.

– Właściwie sam nie wiem – Onno wyprostował się ze stęknieniem. – Nie mam pojęcia, co dalej począć ze swoim życiem, ale oczywiście nie mogę już udawać, że jest tak jak dotychczas. Wszystko przez ciebie.

Sklepiarz uniżonym gestem podetknął im pod oczy rzekomo srebrny, ale najpewniej podrabiany łańcuszek z małą gwiazdą Dawida. Onno spojrzał w oczy starego Araba, który miał na głowie czapkę z delikatnej koronki.

– Pewnie trzeba to będzie kupić.

Zapłacił bezsensownie wysoką cenę, jakiej zażądał sklepiarz, i założył łańcuszek Quintenowi na szyję. Quinten dotknął go dłonią i spytał:

– Wolno coś takiego nosić, jeśli się nie jest Żydem?

– Tylko jeśli się dostało od ojca. Na pewno jest gdzieś o tym w Talmudzie.

Kilka domów dalej kupili w kiosku z gazetami plan miasta, dzięki któremu szybko odnaleźli drogę powrotną do dzielnicy żydowskiej. Przejście było wyraźnie rozpoznawalne po czymś w rodzaju granicy, którą stanowili nudzący się po obu stronach ulicy żołnierze. Gdy schodzili po szerokich schodach, po chwili znowu minęli grupę żołnierzy: odprężeni siedzieli w cieniu na krzesłach obok radiostacji z długimi antenami, trzymając na kolanach gotowe do strzału automaty.

- Bóg i przemoc - powiedział Onno - tak tu już jest od czterech tysięcy lat.

Schody skręcały pod kątem prostym i obaj w tym samym momencie stanęli jak wryci.

Na chwilę Quintenowi przypomniała się Wenecja, kiedy z gęszczy schodów wyszedł na Piazza San Marco. Tam jednak panowała sztuka, piękno, pełne wiatru i morza, naznaczone zwiewną lekkością - tutaj miał do czynienia z czymś zupełnie odmiennym: to, co ujrzał, nie było piękne, było powalające. Doznał uczucia, jakby widok, jaki się przed nim rozciągał, był nie tylko tam, gdzie był, ale też w nim samym, jak pestka w owocu - podobnie jak słowo „świadectwo”, które usłyszał wczoraj w samolocie. Buchając żarem niby z pieca, wypełniony ludzkim gwarem, odgłosem bębnow i egzotycznych, świdrujących tryłów, dobywających się z kobiecych gardeł, otwierał się przed nimi wielki plac, zamknięty od przeciwnej strony ogromną żółtawą Ścianą Płaczu. Nie rozdzielała ona dwóch przestrzeni, jak na przykład mury miejskie, była czymś w rodzaju skalnej ściany. Powyżej znajdowały się dwie kopuły, złota i srebrna, które widzieli już z taksówki; dobiegał stamtąd wzmocniony elektronicznie, biadający śpiew muezina. W tym mieście religie istniały nie tylko obok siebie, one były niejako nałożone jedne na drugie.

- Ta ściana - powiedział Onno - to jedyna pozostałość po Świątyni Heroda. Sama świątynia stała powyżej, na tym płaskowyżu. O ile wiem, nazywa się „ścianą płaczu” nie dlatego, że tutaj od wieków oplakuje się prześladowania Żydów, takie jak Auschwitz i komory gazowe, tylko oplakiwało się splądrowanie świątyni przez Rzymian, Pewnie cię to zainteresuje - Onno popatrzył na Quintena niezadowolony. - Wszyscy modlą się o jej odbudowanie i o przybycie Mesjasza.

Quinten spojrział w górę. Tu i ówdzie na szczycie muru siedzieli żołnierze z karabinami.

- Jak się tam dostaniemy?

Choć kręciło mu się w głowie, Onno pokonał ostatnie stopnie.

– Skoro już jestem w Jerozolimie, to chciałbym najpierw rozejrzeć się tu na dole. Czy ty sobie zdajesz sprawę, co to wszystko znaczy dla mnie? Przez całą młodość wbijano mi te czary-mary młotkiem do głowy. Moja siostra kręci się właśnie tutaj nieprzypadkowo.

Nastrój u podnóża muru był raczej odświętny niż żałobny. Część placu była odgradzona płotkami i zarezerwowana dla mężczyzn, nieco mniejsza dla kobiet; przy wejściu każdy z nich dostał papierową czapkę – pewnie składaną w więzieniach przez Palestyńczyków – i na pół godziny wmieszali się w religijny tłum. Na całej długości muru, z którego wyrastały kępki trawy, stali wierni zwrócenii twarzami do wielkich kamiennych bloków, dwa najniższe ich rzędy nabrały już brunatnej barwy od niezliczonych dłoni i warg, które dotykały ich w ciągu ostatnich dwudziestu wieków. Ortodoksyjni Żydzi w spodniach do pół łydki, w okrągłych kapeluszach i z pejsami zwisającymi wzdłuż policzków, gorliwie wykonywali dziwaczne, szarpane ruchy, jak pajace na sznurkach, czytając jednocześnie w książkach; starszycy z siwymi brodami siedzieli na stołeczkach, twarzami do muru, także czytając. Szczeliny między kamiennymi blokami były wprost zacementowane niezliczonymi, złożonymi w pół karteczkami, na których zapisano oczywiście życzenia.

– Tak to właśnie jest – stwierdził Onno. – Znajdujesz się w centrum świata książki. Ja też z niego pochodzę. Może powinieneś się cieszyć, że zostało ci to oszczędzone, a może i nie.

Gdzieniedzie stały stoliki z książkami, które niekiedy ktoś wertował; od czasu do czasu ten i ów brał egzemplarz i szedł pod Ścianę Płaczu. Przez kamienny łuk w lewym rogu placu Quinten przeszedł kilka kroków w głąb ciemnego pomieszczenia, które przez chwilę kojarzyło mu się z jego Zamczyskiem i gdzie na półkach stało jeszcze więcej książek. Nagle z wnętrza wyszła niewielka bezładna procesja: mężczyźni w szatach modlitewnych, z głowami okrytymi chustami wynosili na światło otwartą drewnianą skrzynię. Zawierała ona dwa zapisane zwoje.

– Tam masz właśnie swoje „żydowskie prawo” – rzucił Onno z ironicznym naciskiem i spojrzął z boku na Quintena. – To jest Tora.

Quinten usłyszał oczywiście nutę ironii w jego głosie, ale ją zignorował. Po drodze zwoje były dotykane i całowane, a następnie wniesiono je do części dla kobiet, skąd znowu dobiegły piskliwe tryle. Okazało się, że jest to uroczystość inicjacyjna dwunastoletniego chłopca; czarnobrodzi mężczyźni w białych czapczkach oplatali jego obnażone lewe ramię jakąś tajemniczą wstęgą, do czoła przymocowali mu dziwaczne pudełeczko w kształcie kostki, wyglądające jak gadżet z filmu science fiction, a rabin o patriarchalnym wyglądzie, odziany w złocistą togę, odczytywał wersety z przyniesionej w procesji Tory. Rozradowane kobiety i dziewczęta przez ogrodzenie rzucały w ich stronę cukierki.

- Co jest w tym pudełeczku?
- Tekst. Przykazania.

Quinten poczuł ukłucie zazdrości. Jemu nikt nigdy nie poświęcił tyle uwagi. Dlaczego ten chłopiec to miał, a on nie? Tylko dlatego, że tamten jest Żydem, a on nie jest? Ale za to on całkiem na własną rękę odkrył coś, o czym ani temu chłopcu, ani w ogóle żadnemu z obecnych tu ludzi nawet się nie śniło!

- Wejdziemy na górę?

Po prawej stronie Ściany Płaczu widniała wyasfaltowana ścieżka, prowadząca łagodnym łukiem w górę; wzdłuż nieprzerwanego szeregu fotografujących i filmujących turystów doszli do bramy, gdzie policjanci z pistoletami maszynowymi na ramieniu sprawdzali torby. Większy bagaż trzeba było zostawiać.

- Widzisz, jak tu jest? - spytał Onno ściszym głosem, kiedy czekali na swoją kolej. - Ze wszystkich stron strome mury ze strzeżonymi silnie bramami. Poniżej najświętsze miejsce Żydów, a tutaj od ponad tysiąca lat trzecie, jeśli się nie mylę, pod względem ważności święte miejsce islamu, po Mekce i Medynie. To coś w rodzaju religijnej bomby atomowej: kiedy te trzy elementy zderzą się ze sobą, nastąpi przekroczenie masy krytycznej, a wtedy eksploduje cały świat. Izraelczycy doskonale to zrozumieli i nigdy nie uda ci się tędy przejść ze swoimi tablicami, chociaż nikt tutaj nie ma pojęcia, za co je w swoim nieskończonym optymizmie uważasz. To tak zwane „odniesienie” możesz sobie zatem wybić z głowy, ponieważ tutaj nie masz do czynienia ze zbieraniną stetryczalnych ojczulków z masła. Skoro nie nazywasz się Nabuchodonozor czy Tytus, musisz wymyślić coś innego.

Quinten wzruszył ramionami zniecierpliwiony.

- Jakoś to będzie.

Był trochę przejęty. W bramie stał stół, przy którym kobiety z nazbyt odkrytymi nogami musiały wciągać sięgające kostek szare spódnice; kiedy wyszli z cienia na drugą stronę, przystanął oniemiały, zobaczywszy rozległy, cichy plac. Emanująca z niego atmosfera nieobecności przypomniła mu na moment jego łękę w Groot Rechteren, z rudobrązową krową, dwiema olchami i trzema głazami. Nie tylko było tu o wiele mniej ludzi niż na dole, ale jeszcze ta cisza miała taki osobliwy nastrój jakby wyczekiwania, zupełnie jak te sekundy, które upływają między błyskawicą a uderzeniem gromu... a może to było tylko znużenie przeszłością, tym, co rozgrywało się w tym miejscu przez wieki, wszystkimi religiami, mordami i spustoszeniami? Sto metrów dalej, nieco na lewo od środka, na podwyższonym tarasie stała wielka świątynia w jaskrawych kolorach błękitu i zieleni: ośmiokątna budowla zwieńczona złotą kopułą, niby drugim słońcem ujętym w ramy bezchmurnego nieba. Na szczycie kopuły widniał sierp półksiężyca. Z gałęzi cyprysów i drzewek oliwnych, wyrastających tutaj ze swojego cienia, dobiegał świergot ptaków; po jednej stronie rozciągał się rozległy widok na porośnięte zielenią wzgórze, zajęte przez kościoły, klasztory, kaplice i cmentarze.

Quinten rzucił okiem na płaskowyż i wskazał poetycko wyglądające zbocze wzgórza.

– To jest Góra Oliwna.

– Mój Boże – westchnął Onno. – Tego jeszcze brakowało. Masz rację: to wszystko istnieje naprawdę.

Z pewnym wahaniem podszedł do nich starszy, bardzo chudy pan, ubrany konwencjonalnie w szary garnitur i białą koszulę z krawatem; na policzku miał przyklejony mikroskopijny kłębusek waty. Odchrząknął, zakrywając usta dłonią, jakby długo się nie odzywał, a potem ochrypłym głosem rzekł po angielsku:

– Nazywam się Ibrahim, jestem poetą i od sześćdziesięciu trzech lat mieszkam w Jerozolimie. Ze mną w ciągu godziny dowiedzą się panowie więcej niż beze mnie w ciągu tygodnia.

Onno wybuchnął śmiechem.

– Ponieważ tak się składa, że nie jesteśmy turystami, jest pan właśnie tym, kogo potrzebujemy.

Ibrahim natychmiast przystąpił do pracy. Na wópół odwrócił się do tyłu i wskazał na wielki meczet ze srebrzystą kopułą, koło którego się znajdowali i na który Quinten nie zwrócił jeszcze uwagi. Przed budowlą stała grupa arabskich uczennic w białych chustach na głowach i w sukienkach nałożonych na długie spodnie.

– Al-Aksa – powiedział.

– „Najdalszy punkt” – przytaknął Onno. Ibrahim spojrział na niego zdumiony.

– Pan to wie?

- Ale nie wiem, dlaczego tak się nazywa. Najdalszy punkt od czego? Od drugiego krańca ziemi?

- Najdalszy punkt, do jakiego kiedykolwiek dotarł Prorok. Pewnej nocy usnął przy Kaabie w Mekce...

- A co to takiego? - spytał Quinten, odruchowo zwracając się do Onna.

- Najświętsze miejsce islamu, ale znacznie starsze niż islam. Wielki sześcian z czarnym kamieniem: przypuszczalnie meteorytem.

- ...a wtedy rumak z głową kobiety i ogonem pawia lotem błyskawicy przeniósł go do Jeruzolimy. Prorok przywiązał wierzchowca tam na dole, pod Ścianą Płaczu, i przyszedł tutaj tą samą drogą co panowie, po czym odbył nocną podróż do nieba.

- Zakładamy, że mu się to śniło? - spytał ostrożnie Onno.

- Niektórzy uczeni tak właśnie sądzą - przytaknął Ibrahim. - Ale są też tacy, którzy zakładają, że przybył tutaj we własnej osobie, a tylko jego podróż do nieba była wizją.

- A jakie jest pańskie zdanie jako poety?

- Takie, że oczywiście nie ma wielkiej różnicy między snem a czynem - powiedział Ibrahim z uśmiechem. - Sny poety są jego czynami.

- Brawo, panie Ibrahimie!

- Czy Mahomet wzniósł się dokładnie z tego miejsca? - spytał Quinten, wskazując głową meczet.

Ibrahim skinął w stronę budowli ze złotą kopułą.

- Stamtąd. Nie wzniósł się zresztą, tylko wspiął po drabinie ze światła. W to samo miejsce później powrócił i nim nastał dzień, jego rumak al-Burak odwiózł go do Mekki.

- Błyskawica? - spytał Onno. - No więc w końcu powrócił na koniu czy na błyskawicy?

- Tak właśnie nazywał się jego rumak: Błyskawica. - Ibrahim wykonał zapraszający gest. - Może najpierw obejrzymy meczet? Ten gotycki portal został dobudowany dziewięćset lat temu przez krzyżowców; na pewien czas zamienili go w kościół, który nazwali Templum Salomonis.

Quinten bez większego zainteresowania spojrzał na wysokie łuki.

- A ta prawdziwa żydowska świątynia, gdzie ona stała?

Ibrahim ponownie wskazał złotą kopułą.

- Tam.

- Też tam? - spytał Quinten, unosząc brwi.

Ibrahim popatrzył na niego swoimi ciemnymi oczami i znowu odchrząknął.

- Tam jest wszystko.

- To bardzo dużo, drogi panie - powiedział Onno.

- Zna pan zapewne to żydowskie powiedzenie: „Żydzi zawsze przesadzają, Arabowie zawsze kłamią”. Proszę samemu ocenić. Najwyraźniej nie są panowie zainteresowani meczetem.

Obok głębokiej wanny do rytualnych obmyć, otoczonej kamiennymi leżakami, przeszli wprost na szerokie schody prowadzące na położony cztery metry wyżej taras; u góry schodów stały osamotnione arkady, składające się z czterech zwietrzałych łuków. Im bardziej się do niej zbliżali, Quintenowi wydawała się ta budowla z kopułą coraz bardziej odpychająca, podobnie jak to się dzieje z latarniami morskimi, na które najlepiej patrzeć tylko z daleka. Dolna połowa podstawy, obłożona białym marmurem, przechodziła w bajecznie kolorowy ornament z płytek, a pas pod samym dachem wypełniony był cytatami z Koranu w ozdobnym piśmie arabskim. Ibrahim powiedział, że budowle tę powszechnie uważa się za meczet, choć nim nie jest, ponieważ Kopuła Skały to raczej pomnik wybudowany w VII wieku przez kalifa Abd al-Malika – ale, pomyślał sobie Quinten, zdejmując buty przy wejściu – i tak według projektu chrześcijańskiego architekta, ponieważ ośmiokątna budowla nie wydawała mu się mahometańska. Oktagon był formą stosowaną w bazylikach, jakie widział we Florencji czy w Rzymie; przypominał sobie też, jak pan Themaat mówił, że ma to związek z „ósmym dniem”, dniem zmartwychwstania Chrystusa, które też nastąpiło gdzieś w tej okolicy. O tej budowli jednak pan van Themaat nigdy mu nie opowiadał.

W skarpetach weszli do zasłanego dywanami wnętrza. Po kilku krokach Quinten zatrzymał się. Aż mu zaparło dech w piersiach. Czy to możliwe, żeby naprawdę widział to, co widzi?

Kamień. Pośrodku mrocznego pomieszczenia, w kręgu kolumn podtrzymujących kopułę, otoczone drewnianą balustradą znajdowało się coś, co było ni mniej, ni więcej, tylko wielkim fragmentem skały, wysokim na człowieka, o dziwacznej powierzchni. Kiedy się jej tak przyglądał, czuł na sobie wzrok ojca, ale nie odpowiedział na to spojrzenie. Trapezowaty w kształcie kamień był złotożółty, jak cała Jerozolima; najwyraźniej był to wierzchołek góry świątynnej. Ile mógł ważyć? Przez ostatnie trzy tygodnie wszystko stawało się coraz cięższe: po lekkości Wenecji ponure fasady Florencji, potem zapadające się w ziemię rzymskie ruiny, przed chwilą gigantyczne bloki Ściany Płaczu, a teraz stał oko w oko z czymś najcięższym: z samą Ziemią, choć jednocześnie, jak opowiadał mu kiedyś Maks, krąży ona zupełnie nieważka po orbicie wokół Słońca. Czuł tutaj świętość – czy może brało się to tylko ze sposobu prezentacji tego miejsca, jak kamienia szlachetnego w złotej oprawie? Czy w ten sposób ze wszystkiego można uczynić świętość? Dlaczego było tu zaledwie dwoje czy troje turystów? Na szerokiej galerii po drugiej stronie kręgu arkad tu i ówdzie siedziały na ziemi, odwrócone twarzami w przeciwną stronę, arabskie kobiety w długich białych szatach, okrywających także głowy.

W narożniku balustrady stała nadbudówka w kształcie wieży, w której wedle słów Ibrahima przechowywano trzy włosy z brody Proroka. Następnie Ibrahim wskazał zagłębienie w skale i powiedział:

– To jest odcisk jego stopy, który powstał, gdy udawał się w nocną podróż. A tutaj – ciągnął, pokazując kilka szerokich bruzd w skale – są odciski palców archanioła, który przytrzymał rumaka, bo ten też rwał się do nieba. Był to archanioł Gabriel, jak wy go nazywacie, to on podyktował Prorokowi tekst Koranu.

Quinten przesunął wzrokiem po skale.

– I tutaj – upewnił się – stały też świątynie Salomona, Zorobabela i Heroda?

– Tak się przyjmuje.

– Ale przecież chyba łatwo byłoby to stwierdzić? Czemu Żydzi nie przeprowadzą wykopalisk gdzieś tu w okolicy?

Ibrahim zmarszczył ironicznie czoło.

– Ponieważ nasi religijni zwierzchnicy niezbyt byliby radzi, gdyby Żydzi prowadzili jakieś wykopaliska gdzieś tu w okolicy.

– A sami też tego nie robią?

– Jak dotąd nie.

- W pewnej mierze sam możesz tego dowieść na podstawie Nowego Testamentu – powiedział Onno po niderlandzku. – Pamiętasz ten tekst na kopule Bazyliki Świętego Piotra: „Ty jesteś Piotr (czyli Skała), i na tej skale zbuduję kościół mój”? Przypuszczalnie Chrystus wypowiedział te słowa z konkretnym akcentem: „Ty jesteś Skała, i na tej skale zbuduję kościół mój”? To znaczy – powiedział Onno, wskazując na skałę – w odróżnieniu od świątyni na tej skale.

Ibrahim poczekał grzecznie, aż Onno skończy mówić. Quinten zauważył, że było mu nieprzyjemnie, iż został tak wykluczony, toteż kiedy wolno szli dalej, okrążając skałę zgodnie z ruchem wskazówek zegara, spytał:

- Czy tutaj było Święte Świętych?

- Zdaniem niektórych tak. Zdaniem innych znajdowało się tutaj miejsce składania ofiar całopalnych. – Zwrócił ich uwagę na miejsce, gdzie ze skały wydobywało się słabe światło. – Znajduje się tam otwór, który dochodzi do grotu; bardzo możliwe, że tędy spływała krew zwierząt ofiarnych. Wówczas Święte Świętych musiałyby leżeć nieco dalej na zachód.

Quinten poszukał pod koszulą kompasu, przy czym najpierw natknął się na swoją nową gwiazdę Dawida. Wejście, którym się tutaj dostali, było dokładnie od południa, w jednej linii z meczetem Al-Aksa, który oczywiście skierowany był ku Mekce. Zachód znajdował się więc od strony Ściany Płaczu, wschód po stronie Góry Oliwnej. Na nią także wychodziły stąd bramy.

- Ale przecież – kontynuował, gdy szli dalej – Mahomet nie dlatego chyba przybył w to miejsce, żeby odbyć swoją podróż do nieba, że stały tutaj żydowskie świątynie?

- Nie – odpowiedział Ibrahim z uśmiechem – pod tym względem nadal nic się nie zmieniło.

- W takim razie dlaczego właśnie tu?

- Z powodów, które wiążą się również z budową żydowskich świątyń w tym, a nie innym miejscu.

- Czyli? – spytał Onno. Zupełnie jakby inkwizytorska maniera, z jaką Quinten miał zwyczaj dopytywać się o szczegóły, przeniosła się też na niego.

Z lekkim zdziwieniem Ibrahim spoglądał to na jednego, to na drugiego.

- Zupełnie jakbym był w krzyżowym ogniu pytań.

- Bo tak jest – rzekł Onno z naciskiem.

- Zachowało się bardzo wiele przekazów związanych z tym miejscem – powiedział Ibrahim sucho. – Wystarczą panom cztery? Pierwszy mówi, że król Dawid widział stojącego na tej skale anioła, który właśnie miał zamiar zniszczyć Jerozolimę. Kiedy udało się zażegnać to niebezpieczeństwo, król wybudował tutaj coś w rodzaju ołtarza. Salomon, jego syn, później postawił tutaj pierwszą świątynię.

- A drugi przekaz?

– Ten powiada, że jeszcze tysiąc lat wcześniej praojciec Jakub miał tutaj sen o drabinie wiodącej do nieba, po której wstępowali i zstępowali aniołowie.

Onno uniósł dłoń i wyrecytował:

– „I zdjęty trwogą rzekł: «O, jakże miejsce to przejmuje grozą! Prawdziwie jest to dom Boga i brama nieba!»” To po niderlandzku – wyjaśnił po angielsku Ibrahimowi.

– Ładny język – zauważył Ibrahim. – Trochę przypomina arabski. Też taki gardłowy.

– To prawda. Pańscy koledzy z lubością powtarzają: *Allemachtig achtentachtig*.

Ibrahim spojrział na niego z wyrzutem.

– To nie są moi koledzy – powiedział głosem, który nagle zabrzmiał jeszcze odrobinę bardziej ochryple.

W tym momencie Onno pożałował swojej uwagi. Może Ibrahim naprawdę był poetą, który dorabia jako przewodnik, a nie przewodnikiem, który w wolnych chwilach pisuje marne wiersze.

Tymczasem zdążyli już obejść północną, węższą część skały. Tutaj też wszędzie widać było siedzące kobiety w bieli. Z każdym krokiem, jaki zrobił, i z każdym słowem, jakie usłyszał, Quinten miał coraz mniejsze wątpliwości, że właśnie tutaj znajdowało się kiedyś Święte Świętych.

– A dlaczego – spytał – Jakub usnął właśnie tutaj?

Ibrahim przejechał dłonią po rzadkich siwych włosach.

– Ponieważ wcześniej wydarzyło się tutaj coś jeszcze. Jest to mianowicie miejsce, gdzie jego ojciec Izaak miał zostać złożony Bogu w ofierze przez jego dziadka Abrahama.

– No proszę – powiedział znów po niderlandzku Onno.

– Tyle że w ostatniej chwili powstrzymał go przed tym archanioł.

– Gabriel? – spytał Quinten.

Ibrahim gestem wyraził powątpiewanie.

– Chyba Michał, jeśli dobrze pamiętam. W tamtym czasie skała była więc w pewnym sensie także ołtarzem: na ofiary z ludzi. To była przyczyna, dla której Prorok przybył właśnie tutaj, czy raczej dlaczego archanioł Gabriel tutaj skierował jego rumaka. Kiedy tu się zjawiał, powitali go Abraham, Mojżesz i Jezus.

– Tak – stwierdził Onno – oczywiście wierzymy na słowo we wszystko, co pan mówi, bo tacy już jesteśmy. Ciekawi mnie jednak bardzo czwarty przekaz, ponieważ w tym ciągu wydarzeń, które nam pan tutaj przedstawia, dostrzegam linię wznoszącą, drogi panie Ibrahimie. – Onno zawahał się przez moment. – Cóż ja słyszę ze swoich własnych ust? Ibrahim? Czy pańskie imię wywodzi się od Abrahama?

Ibrahim skłonił się lekko.

- Mój ojciec uczynił mi ten zaszczyt. - Przystanął przy wschodniej stronie skały, gdzie skała była niższa; jakaś kobieta w bieli, wyglądająca jak ćma, modliła się plecami do nich w niszy. - Jerozolima to oczywiście żydowski środek świata - powiedział, wyciągając rękę - a od najdawniejszych czasów właśnie ta skała była dla Żydów środkiem środka.

*

- Środkiem środka? - powtórzył Quinten z okrągłymi ze zdumienia oczami.

- Ta skała - powiedział Ibrahim uroczyście - nie tylko nosiła na sobie świątynie, według Żydów jest to zarazem fundament podpierający cały gmach świata. Od tego miejsca zaczęło się stworzenie nieba i ziemi. Z tego właśnie miejsca wyszło pierwsze światło.

Czyli Wielki Wybuch - pomyślał Onno. Szkoda, że Maks nie dożył widoku tego namacalnego dowodu teorii... wiara jako religijne promieniowanie tła... Zaniepokojony spojrzął na Quintena. Znowu coś tam rodziło się w jego umyśle; cokolwiek by to jednak miało być, on już nie weźmie w tym udziału.

Może przez to, że na twarzy Onna malował się sceptycyzm, Ibrahim zwracał się teraz już tylko do Quintena.

- W tej skale zbiegają się niebo i ziemia oraz świat podziemny. Dopóki tutaj służyć się będzie Bogu, dopóty będzie on powstrzymywał niszczycielskie wody świata podziemnego, które wyrwały się na powierzchnię w czasach Noego.

- Ale przecież tutaj już się nie służy Bogu?

- Nie na sposób żydowski.

Quinten westchnął głęboko. Miał już absolutną pewność, że to było Święte Świętych. Niespodziewanie dotarł jeszcze o krok dalej niż do ś r o d k a ś w i a t a - wyprzedził swój sen. Tutaj, w środku świata, stała kiedyś Arka Przymierza, a później na tej skale leżały tablice Prawa. Najchętniej wspiąłby się od razu na skałę, żeby zobaczyć, czy nie ma tam wykutego przez Jeremiasza miejsca, w którym mogłyby spocząć. I w tej samej chwili ujrzał to miejsce, tuż obok, na skraju skały, gdzie siedziała modląca się kobieta w bieli: prostokątny otwór o wymiarach dwadzieścia na pięćdziesiąt centymetrów, do którego idealnie pasowały tablice.

Ibrahim poszedł za jego wzrokiem i rzekł:

- To jest odcisk stopy Idrysa, biblijnego Henocha.

- Tato... - powiedział Quinten, wskazując to miejsce bez dalszych słów.

Onno natychmiast pojął, w czym rzecz, i przewrócił z rozpaczycy oczyma.

– Kiedy wreszcie skończysz z tymi wołającymi o pomstę do nieba bzdurami, Quintenie! Czy już nie dość sobie narobiliśmy kłopotów? – Nagle rozsierdził się na dobre. – Zrozum wreszcie, że przywiozłeś z Rzymu tylko jakieś nieokreślone rupiecie, dwie starożytne dachówki, i ta dziura już prędzej będzie odciskiem stopy Henocha niż tym, za co ją bierzesz. Numer buta osiemdziesiąt osiem!

– Może jedno i drugie.

– Bzdura, bzdura, kompletna bzdura! A teraz chcę już stąd wyjść, mam kompletnie dosyć. Wychodzimy – powiedział, zwracając się do Ibrahima.

– Może zechcą jeszcze panowie obejrzeć grootę, Studnię Dusz...

– Wychodzimy.

Wybuch Onna Quinten przyjął obojętnie. Miał tablice Prawa w swoim posiadaniu; tysiące lat przeleżały one w tej dziurze, w ciemnościach *debiru*, zupełnie nie rzucając się w oczy, całkiem z boku. Kiedy wyszli na dwór przez wschodnią bramę, w upał i oślepiające światło odbite od płyt z białego marmuru, którymi wyłożony był taras świątyni, powiedział:

– Nie mam zamiaru dzisiaj ich tam odkładać.

– I tak by ci się nie udało.

– Tego nie wiem, ale zaraz następnego dnia znaleźliby je Arabowie, a to byłaby pewnie jeszcze gorsza katastrofa, niż gdyby dostały się w ręce Żydów.

– Twoja sprawa, co zrobisz, ja w każdym razie nie chcę już o tym słyszeć ani słowa. Ale na twoim miejscu bym uważał. Jeśli zależy ci, żeby zginąć z rąk dyszących wściekłością muzułmanów, to rzeczywiście coś tutaj rób. Igrasz z ogniem.

Ibrahim, który przez cały czas grzecznie trzymał się z tyłu, podjął swoje zajęcie i wskazał niewielką srebrną kopułę niedaleko bramy, otoczoną rusztowaniami i ochronnym ogrodzeniem. Była to Kopuła Łańcucha, zwana tak od srebrnego łańcucha zawieszono tam przez króla Salomona, podarunku archanioła Gabriela: kiedy ktoś skłamał, trzymając łańcuch w dłoni, spadało jedno ogniwo. Onno przestał słuchać, powoli zaczynał brać wszystko na wiarę, ale Quinten zajrzał do środka przez szparę w ogrodzeniu. Nadnaturalnej wielkości wykrywacz kłamstw był miniaturową wersją Kopuły Skały, tyle że otwartą ze wszystkich stron; ziemia była usiana odłamkami, potrząskanymi kamieniami, okruchami i kawałkami skał, narzędziami, pogniecionymi puszkami, plastikowymi butelkami i szmatami; pośrodku stała elektryczna piła do cieciska kamienia. Nikt tam nie pracował. Na północ od Kopuły Skały znajdowały się jeszcze inne niewielkie budowle, ale teraz także Quinten uznał, że widział już wszystko, co chciał zobaczyć. Wrócił do Onna, który stał u szczytu wschodnich schodów tarasu świątyni, w cieniu arkad i spoglądał ku Górze Oliwnej.

Ibrahim był niezmordowany.

- Tam - powiedział tonem dumnego właściciela i wyciągnął rękę w stronę podnóża góry - znajduje się Ogród Getsemani, gdzie Jezus Chrystus...

- Wiem, wiem.

- Dalej z tyłu jest grób jego matki, a tam, na górze... widzą panowie tę niewielką kopułę? Tam właśnie dokonało się wniebowstąpienie.

Onno poczuł zawrót głowy i wsparł się ciężko na lasce.

- Mam nadzieję - powiedział do Quintena - że mają tu w Jerozolimie jakiegoś funkcjonariusza od regulowania ruchu w pionie, żeby zapobiec tworzeniu się korków.

Quinten parsknął śmiechem; cieszył się, że ojcu minął już atak złości. Choć mogło to ponownie wywołać gniew ojca, zwrócił się z pytaniem do Ibrahima:

- A wie pan może, gdzie był obóz Tytusa?

Ibrahim pokazał północną flankę Góry Oliwnej.

- Gdzieś tam. Zdobywcy Jerozolimy zawsze przybywali z północy.

Quinten rozejrzał się dookoła i rozłożył plan. To by oznaczało, że tablice Prawa, menorę i wszystkie inne przedmioty niesiono ze świątyni tą samą drogą, tymi schodami na dół, a potem Doliną Cedronu na drugą stronę. We wschodniej części miejskiego muru, nieco w bok, dojrzał teraz dziwny budynek z bramą, zarośnięty trawą i drzewami: wyglądał, jakby zapadł się głęboko w ziemię, był dwunawowy, zwieńczały go dwie niskie wieżyczki z płaskimi kopułami; obydwa wejścia były zamurowane. Przed frontem budynku o zębatych blankach stali izraelscy żołnierze w zielonych beretach.

- Co to za brama?

- Ach! - powiedział Ibrahim, wznosząc w górę ręce. - Złota Brama! Według Żydów jest to brama, którą kiedyś Bóg wszedł do ich świątyni, by tam zasiąść na tronie. Musi pozostać zamknięta do czasu przybycia Mesjasza u kresu dni. Dlatego właśnie każdy pobożny Żyd najbardziej chciałby być pochowany na zboczu Góry Oliwnej.

Onno pokazał laską żołnierzy na dachu.

- Mesjasz zostanie natychmiast sprzątnięty.

Na twarzy Ibrahima pojawił się krzywy uśmiešek.

- To jeszcze nie wszystko. Mesjasz będzie miał też inny kłopot. Po drugiej stronie muru znajdują się groby muzułmanów, a one są nieczyste, nie wolno mu przez nie przejść.

- Co za perfidny pomysł, żeby je tam umieszczać - powiedział Quinten.

- No i sam widzisz - zaśmiał się Onno - tutaj idzie się po trupach, albo raczej właśnie nie, czy jak to powiedzieć.

- Dla chrześcijan - dodał jeszcze Ibrahim - Złota Brama to symbol Marii, przez którą Jezus wyszedł na świat i która przed, w czasie i po jego narodzinach pozostała dziewicą: była zamknięta, że tak powiem.

Ta ostatnia uwaga stropiła Quintena. Rzucił onieśmielone spojrzenie na tajemniczą bramę i pomyślał przez chwilę o swojej matce; żeby jakoś odzyskać równowagę, rzucił okiem na plan miasta, który cały czas trzymał rozpostarty w dłoniach. I nagle uderzyło go, że cały ten świątynny plac ma kształt trapezu, podwyższony taras z Kopułą Skały także. Zwrócił na to uwagę ojcu.

– I co w tym szczególnego?

– No bo ta skała, którą przedtem oglądaliśmy, też ma kształt trapezu.

– Aha, chyba tak jest – przytaknął Onno.

Quinten też nie wiedział, co o tym sądzić. Może skała była pierwowzorem tarasu i placu? Także Piazza San Marco w Wenecji ma kształt trapezu – tak mu się to wtedy spodobało. Czy wszystkie trapezoidalne przedmioty przez swoją formę muszą od razu mieć ze sobą coś wspólnego? Albo wszystkie kuliste? Czy oko ma coś wspólnego ze Słońcem? No oczywiście, wszystko. A z piłką futbolową? Kula, koło, ośmiokąt, kwadrat, elipsa, prostokąt, trójkąt, sześciąt, piramida – wszystkie te figury i bryły, z którymi po raz pierwszy zapoznał go pan Themaat, jakie one niosą przesłanie? Czym naprawdę są? Czy one gdzieś kiedyś istniały w stanie czystym? Może tam, skąd pochodzi muzyka? Spojrzał znowu na mapę i zobaczył, że dokładnie pośrodku placu wcale nie stoi Kopuła Skały, ale Kopuła Łańcucha.

– Szczerze mówiąc – stwierdził Onno, omiatając spojrzeniem Górę Oliwną, Górę Skopus, Górę Syjon – powoli zaczynam mieć powyżej uszu całej tej tutejszej metafizyki. Poza tym robi się za gorąco. Co byś powiedział, gdybyśmy wsiedli do autobusu i pojechali się czegoś napić bardziej na zachód, do nowej części miasta? Tam chyba nic nam się już nie może stać. – Odwrócił się. – A gdzie się podział nasz poeta? Trzeba mu jeszcze zapłacić.

– Tam idzie.

Zdążyli jeszcze zobaczyć Ibrahima, jak z rękami założonymi na plecach i z lekko przekrzywioną głową, niby prawdziwy dżentelmen, opuszczał właśnie taras północnymi schodami.

64

Chawa Lawan?

Na zatłoczonym skrzyżowaniu wysiedli i przeszli na drugą stronę ulicy, kierując się ku pasażowi handlowemu, gdzie w zacienionym kawiarnianym ogródku właśnie zwolnił się stolik.

– No proszę – powiedział Onno, rozcierając lewe udo – tutaj wreszcie będziemy mogli normalnie porozmawiać.

Na ulicy nie było tu ortodoksyjnych Żydów ani duchownych, nawet turyści w większości ustąpili miejsca robiącym zakupy kobietom, pracownikom i grupkom uczniów. Chociaż nie było też widać Arabów, to jednak na brzegach wielkich pojemników z roślinami siedzieli żołnierze obojga płci w pełnym oporządzeniu.

- Jak to się dzieje - spytał Quinten - że Ibrahim tyle wiedział o tych wszystkich biblijnych postaciach? Przecież mahometanie mają Koran, prawda?

Onno patrzył na niego przez kilka sekund.

- Czy to właśnie jest dla ciebie normalna rozmowa?

- A co w tym takiego nienormalnego? Przecież to zwykłe pytanie! A poza tym chyba mówimy o czymś, co istnieje?

- W porządku, odpowiem ci - zgodził się Onno zrezygnowany. - Otóż Biblia i Koran w dużej mierze pokrywają się ze sobą. W rozumieniu islamu tylko Allah w niebie dysponuje oryginałem Pisma Świętego; Tora i Ewangelie są zatem jedynie tendencyjnymi wydaniem oraz falsyfikatami tegoż; tylko Koran jest prawdziwą wersją. - Kiwając głową, spojrział na Quintena. - Cóż, wystarczy zebrać się na odwagę i obwołać swojego dziadka i ojca synem i wnukiem... No, dobrze. A czy teraz moglibyśmy zmienić temat? Czy może ty już w ogóle nie jesteś zainteresowany zwyczajną rzeczywistością?

- Kiedy dla mnie to jest zwyczajna rzeczywistość.

- Tego się właśnie obawiam. Ale czy nie miałeś nigdy wrażenia, że dla innych może to być na dalszą metę śmiertelnie nużące? - Przecież nikt się chyba nie może zmęczyć myśleniem i uczeniem czegoś nowego? Ja się męczę tylko wtedy, kiedy się nudzę.

- Przyznaję - powiedział Onno - na nudę w twoim towarzystwie nie ma wielkich szans. - Rozejrzał się dokoła. - Masz oczywiście rację, to wszystko naprawdę istnieje, choć nie wszystko istnieje w ten sam sposób. Czy kiedykolwiek próbowałeś posłuchać rozmów innych ludzi? Tu, w tej kawiarni, ich nie rozumiesz, ale tak w ogóle ludzie najczęściej mówią o innych ludziach, o swoich krewnych i znajomych albo o kolegach z pracy czy o ludziach polityki i sportu, a najczęściej o sobie samych.

- A jeśli tak się składa, że mnie śmiertelnie nuży właśnie ta k a paplanina? Kiedy mówią o jakichś rzeczach, to zawsze jest to mówienie o rzeczach, które można mieć, takich jak samochody czy pieniądze. Ja nigdy nie mówię o ludziach, nie mówię o sobie ani o tym, co mam.

- Ależ nie, ty mówisz o trapezach albo o świętych skałach, a potem już nie chodzi o skały, tylko o ich świętość albo o to, co znaczą. Ty mówisz wyłącznie o znaczeniach i związkach. Przyznaję, może odziedzyczyłeś to po mnie, bo konkret nigdy nie był moją mocną stroną; ale jednak ja nie obracam się aż do tego stopnia wśród abstrakcji, jak ty. Czy ty przyjrzałeś się tamtej skale? Wiesz może, jaki to rodzaj kamienia? Wiesz, czy to granit, czy może wapień?

- A po co miałbym się jej przyglądać, skoro ona nic nie znaczy? Tyle jest skał.

- Czy ty w ogóle słyszysz, co mówisz? Jeśli jakaś skała coś znaczy, to nie musisz się jej przyglądać, a jeśli nie znaczy, to też nie musisz. A więc właściwie nie ma powodu, żebyś w ogóle kiedykolwiek się czemuś przyglądał. Czy ty na pewno jesteś z tego świata?

Quinten nie odpowiedział. Nikt nie wiedział, kim jest – nawet on sam. Co to znaczy „z tego świata”? Grający w piłkę chłopcy z Westerbork, oni byli z tego świata – ale te emocje, jakie oni odczuwali po zdobyciu gola, on odczuwał, kiedy coś interesującego przyszło mu do głowy. Wszyscy ci ludzie tutaj siedzieli i paplali o innych ludziach albo o rzeczach, które można mieć, jak na przykład te dwie siwowłose panie przy następnym stoliku: z czymś takim on w ogóle nie miał nic wspólnego. Czy więc najlepsze, co może zrobić, to pójść do klasztoru? Zostać pasjonistą? Albo pod Ścianą Płaczu dać sobie zawiązać rękę czarną taśmą? W tym momencie pomyślał o tym, co tu przywiózł, o tablicach z dziesięciorgiem przykazań, o ś w i a d e c t w i e , które zarazem nie było jego własnością i które jeszcze dzisiaj albo najdalej jutro w jakiś sposób zamierza oddać. Potem nie ma już tutaj czego szukać, nawet w klasztorze. Wczoraj, na pokładzie Francisa Bacona...

Jego rozmyślania przerwała dziewczyna, która przysła odebrać zamówienie. Quinten pokazał na sąsiedni stolik, gdzie siedząca plecami do niego starsza pani miała przed sobą szklanekę z jakimś napojem o pomarańczowej barwie.

- Co to takiego?

- Sok z marchwi.

- Sok z marchwi? Nigdy nie piłem.

- No to trzeba wziąć – skwitował Onno. – Nie chciałbyś czegoś zjeść? Która to godzina?

- Za piętnaście dwunasta. Nie jestem głodny. Zamówiwszy dla siebie filiżankę kawy, Onno spytał:

- Może potem pójdziemy od razu na pocztę i zadzwonimy do babci Sophii? Mówiliśmy już o tym w Sancta Sanctorum.

- I co, chcesz jej o wszystkim opowiedzieć?

- No coś ty! To by pewnie wywołało krótkie śpięcie w centrali. Chodzi tylko o to, żeby dać znak życia. Nie mam pojęcia, jakie są twoje dalsze plany, ale pewnie skończy się na tym, że wrócimy do Holandii.

- Tak? – spytał Quinten. – I co dalej?

Onno westchnął.

- Dla mnie to też wielka zagadka. Kiedy zobaczyłem teraz na Via Dolorosa ciotkę Trees, był to dla mnie sygnał, że świat znowu się o mnie upomina. Tylko co ja tam będę robił? Dla ciebie to żaden problem, masz dopiero siedemnaście lat, wszystko stoi przed tobą otworem; ale ja nie mam już właściwie żadnego punktu oparcia. W zasadzie jestem jedynie chodzącą wieżą Babel. Co komu po kimś takim? W naszej rodzinie wszyscy dożywają sędziwego wieku, przecież nie mogę przez następne czterdzieści lat tylko się snuć po tym świecie.

Wsparł łaskę o ziemię między rozstawionymi kolanami, położył dłonie na gałce i oparł o nie brodę, przyglądając się przechodniom. Taka postawa wydała się Quintenowi nazbyt starcza, więc zapytał:

- Nie możesz się zająć czymś zupełnie nowym?

- Czymś zupełnie nowym, powiadasz... wymień mi chociaż jedno, co będzie zupełnie nowe.

- Albo czymś całkiem starym - powiedział Quinten. - Kim chciałeś być, jak byłeś mały?

Onno oparł policzki na rękach i w zamyśleniu patrzył na Quintena.

- Kim chciałem być, jak byłem mały...

- Właśnie. Najpierwsze, o czym wtedy myślałeś.

- Najpierwsze, o czym wtedy myślałem... - znowu powtórzył Onno z takim zaśpiewem w głosie, jakby odmawiał litanie. Uniósł głowę: - Doktorem lalek.

- Doktorem lalek? - powtórzył z kolei Quinten. - A kto to taki?

- Ktoś, kto naprawia zepsute lalki. - Od prawie pół wieku Onno o tym nie myślał, ale teraz, kiedy to powiedział, nagle zrozumiał, że oczywiście wiązało się to jakoś z jego matką, która przez całe lata ubierała go jak dziewczynkę.

- No to - powiedział Quinten - na pewno jeszcze będziesz doktorem lalek!

W tym samym momencie Onno ujrzał samego siebie, jak siedzi w maleńkim sklepiku w centrum Amsterdamu, przy jakiejś wąskiej uliczce, wśród regałów zapełnionych setkami błyszczących różowiućko lalek, dorabiając brakujące rzęsy, montując nowe głosiki mówiące „mama”.

- Kiedyś o tym pomyślę - powiedział. - Ciekawe, co robił Łazarz po wskrzeszeniu?

- Nie ma tego w Biblii?

- Chyba nie. Przypominam sobie niejasno jakąś legendę, że pojechał do Marsylii, gdzie został pierwszym biskupem.

- Pewnie bez przerwy zanudzał ludzi opowieściami o swoim doświadczeniu śmierci.

– Wtedy na pewno byśmy coś o tym wiedzieli. Moim zdaniem nigdy o tym nie mówił. – Onno odwrócił głowę w stronę Quintena. – Podobnie jak ja nigdy nie będę mówił o pewnym swoim doświadczeniu. – Kiedy Quinten nie zareagował, dodał: – Tak czy inaczej musimy gdzieś w tym Amsterdamie mieszkać. Pierwsze parę tygodni możemy spędzić w hotelu, ale potem muszę coś wynająć albo kupić. Od razu zadzwonię też do Hansa Giltaya. Ale się zdziwi.

Quinten wiedział, że z nim nie pojedzie, ale nie mógł mu tego powiedzieć. Jak zareagować, kiedy ojciec zapyta, dlaczego. Sam tego nie wie. Nie pojedzie nie dlatego, że nie chce jechać, ale dlatego, że to po prostu nie nastąpi.

– Ciotka Dol mówiła, że twoje rzeczy są złożone w Rotterdamie gdzieś na terenie portu.

– Nic z tego już mi nie potrzeba – powiedział Onno bez zastanowienia i w tym samym momencie przed oczami stanął mu ciemnobrązowy, bogato zdobiony chiński kufer z kamforowego drewna, w którym od siedemnastu lat leżą ubrania Ady.

– Wiolonczeła mamy – powiedział Quinten – stoi w moim pokoju w Groot Rechteren.

Onno skinął głową w milczeniu.

Dziewczyzna postawiła przed nimi zamówione rzeczy. Quinten upił łyk soku marchwiowego i ku swemu zdumieniu poczuł smak marchewki, czy raczej: ku jego zdumieniu okazało się, że smak marchewki może się też objawić bez głośnego chrupania. Właśnie miał zamiar podzielić się tym spostrzeżeniem z ojcem, kiedy zobaczył, że on też jest czymś zdumiony.

– Popatrz – powiedział Onno, nie posiadając się ze zdziwienia, i pokazał na ciemnobrązowe ciasteczko z palonego cukru i migdałów, leżące na talerzyku obok filiżanki z kawą. – Makaronik! Pamiętasz jeszcze? Zawsze takie dostawaliśmy u babci To. One tak fantastycznie trzeszczą w zębach! – Ostrożnie wziął w palce okrągłe brązowe ciasteczko, uniósł je obiema rękami w górę jak kapłan hostię i już, już miał powiedzieć: „Mamusiu! *Hoc est enim corpus tuum!*”, ale w końcu tylko wykrzyknął z zachwytem w głosie: – Makaronik!

W tym momencie jego zdumienie jeszcze wzrosło. Od następnego stolika wstawały właśnie dwie starsze panie; jedna czekała już na ulicy, druga – w śmietankowego koloru sukience z sięgającymi tuż za łokieć rękawami – rozliczała się właśnie z kelnerką i na chwilę z uśmiechem odwróciła twarz w stronę Onna.

– Makaronik – powiedziała po niderlandzku z silnym żydowskim akcentem. – Jakże dawno nie słyszałam tego słowa!

Quinten nie patrzył na jej twarz, jego uwagę bowiem przyciągnął niebieski numer na pomarszczonym przedramieniu: 31415. Kiedy starsze panie odeszły, Onno otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Quinten go ubiegł, pytając:

– Widziałeś ten numer na jej przedramieniu? Myślałem, że tylko prostactwo robi sobie tatuaże.

Przez kilka chwil Onno wpatrywał się nieruchomo w oczy Quintena.

– Miała numer na przedramieniu? – spytał, jakby nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Trzy jeden cztery jeden pięć. Co się stało? Co tak dziwnie patrzysz?

Onno zaczął drżeć na całym ciele i miał przy tym uczucie, jakby to drżenie szło od krzesła, od ziemi, jakby to był początek trzęsienia ziemi. Nie przestawał wpatrywać się w oczy Quintena.

– Co się stało, tato? – spytał Quinten zaniepokojony. – Czemu nic nie mówisz?

To, co widział Onno, a czego nie zobaczył Quinten, to kolor oczu tej kobiety – ta nieopisana barwa lapis lazuli, którą przez całe swoje życie tylko raz jeden widział u innego człowieka: mianowicie u Quintena. Przez moment chciał mu powiedzieć, że ona miała zupełnie takie same oczy jak on, ale kiedy Quinten wspomniał o tatuażu, o tym numerze, jaki dostawało się w Auschwitz, w głowie od razu błysnęła mu przerażająca myśl. Czyżby zobaczył ducha? Nie chciał myśleć o tym, o czym myślał, to było zbyt straszne, ale niezaprzeczalne, próbował to od siebie odepchnąć, strząsnąć i zdeptać jak szerszenia, ale to już po prostu było i nie chciało zniknąć. Musi to przemyśleć, musi to zniszczyć myślami, ale nie przy Quintenie – do tego musi być sam. Quinten nie może się nigdy dowiedzieć, o czym on teraz myśli. Wstał raptownie, przytrzymując się krzesła.

– Muszę iść, wracam do hotelu. Ty tu zostań, niedługo się zobaczymy.

Quinten również się podniósł.

– Mam nadzieję, że to nie twoja głowa. Wezwać lekarza?

– Nie, nie, to nie moja głowa, znaczy... Nie pytaj o nic, proszę.

– Pójdę z tobą.

Quinten zapłacił kelnerce, która sprzątała właśnie stolik po dwóch starszych paniach, i wziął Onna pod ramię. Na końcu ciągu pieszego zatrzymał taksówkę i pomógł mu wsiąść. W czasie krótkiej jazdy nie rozmawiali ze sobą; Quinten czuł, że ojciec toczy wewnętrzną walkę z czymś, o czym on nie ma pojęcia. Czyżby rzeczywiście miał znowu mikrowylew, tylko nie chce się do tego przyznać? Tak czy inaczej nie chciał go zostawiać samego. Jechali wzdłuż murów starego miasta z powrotem do Bramy Jafskiej, a potem wysiedli przy placu, który wydał im się tak znajomy, jakby mieszkali tu od tygodni.

– Przewodnik? Przewodnik? Skąd jesteście?

Z kantorka wyszedł Aron i z miną, która zdawała się mówić, że nic na świecie nie jest w stanie go zdziwić, zważywszy, że wszystko po prostu jest, jakie jest, i zawsze będzie, jakie będzie, położył klucze na kontuarze. Po pełnych zakrętów schodach, przerywanych zaniedbanymi korytarzami, do których prowadziło kilka stopni w dół albo kilka w górę, dotarli do swoich pokoi na tyłach hotelu. Quinten otworzył drzwi pokoju Onna i podał mu klucz.

– Będę obok – powiedział. – Gdybyś mnie potrzebował, to wołaj.

– Nie musisz przeze mnie zostawać w hotelu. Idź sobie spokojnie do miasta, jest wystarczająco dużo do oglądania. Na razie.

– Odpocznij sobie.

Przestąpiwszy próg, Onno odwrócił się i przez chwilę obaj patrzyli na siebie, jakby każdy z nich czekał jeszcze na jakieś słowo, ale żadne nie padło.

W pokoju Onno od razu padł na łóżko, rzucił laskę na podłogę, zamknął oczy, złożywszy dłonie na piersi. Ledwie przybrał tę trumienną pozę, natychmiast z powrotem dopadły go myśli.

Znowu zobaczył ją przed sobą tam, w kawiarnianym ogródku, jak odwraca głowę w jego stronę. „Makaronik! Jakże dawno nie słyszałam tego słowa!” Te jedyne w swoim rodzaju oczy... 31415... Ile mogła mieć lat? Siedemdziesiąt parę? Prawie osiemdziesiąt? Czyżby to, co właściwie nie do pomyślenia, miało się jednak okazać możliwe? Czyżby naprawdę zobaczył matkę Maksa? Ewę Weiss? Czy to możliwe, żeby jeszcze żyła? Próbował przypomnieć sobie jej ślubne zdjęcie, które stało u Maksa w Groot Rechteren na „honorowej półce”, na gzymsie kominka. Zdjęcie z lat dwudziestych było oczywiście czarno-białe; przypomniał sobie tylko, że Maks miał oczy po ojcu, a nos i usta po matce. Także numer 31415 miał wydatny nos, ale w tym kraju nie było to nic nadzwyczajnego zarówno u Żydów, jak i u Arabów; jej usta też zachowały jeszcze pewien rys zmysłowości. Lecz jeśli to prawda, to musi się pogodzić z niewyobrażalnymi wręcz konsekwencjami, jakie to za sobą pociąga. To by znaczyło bowiem, że Quinten nie jest jego synem, tylko Maksa. To by znaczyło, że Ada zdradziła go z Maksem. To by znaczyło, że Maks sprzeniewierzył się ich przyjaźni. Poczuł obrzydzenie do samego siebie. Co to za wymysł? Załóżmy, że matka Maksa przeżyła Auschwitz, wtedy przecież natychmiast wróciłaby do Holandii szukać syna i za pośrednictwem Czerwonego Krzyża w krótkim czasie odnalazłaby go w tamtej rodzinie zastępczej. Ale oni byli katolikami – czy to możliwe, żeby w tamtych czasach chaosu zdołali go jakoś zatrzymać, aby nikt go nie wychował w duchu żydowskim, bo wówczas jego dusza zostałaby potępiona na wieki? Kilka razy coś takiego się zdarzyło; raz nawet z uprowadzeniem do klasztoru. Nie, przecież pamiętał, jak Maks opowiadał, że nawet nie musiał robić znaku krzyża przed posiłkiem. A może Niemcy jej powiedzieli, że syn także znalazł się w transporcie do obozu zagłady, podobnie jak jej rodzice. Po powrocie do Holandii próbowała się dowiedzieć, czy ktoś z nich powrócił. Okazało się, że nikt. Tyle że Maks nie powrócił z tego powodu, że nigdy nie był deportowany. Być może udałoby się jej tego dowiedzieć w państwowym Instytucie Dokumentacji Wojennej, którym w czasie wojny zawiadywał Judenrat; ponieważ jednak całe lata żyła w przekonaniu, że Maks także został wywieziony do Polski, nie wpadła na ten pomysł. Dlatego nic jej już nie trzymało w Holandii, z którą związane były wyłącznie straszne wspomnienia, i wyemigrowała do Izraela. Ale zaraz, przecież przybrani rodzice Maksa też mogli próbować się dowiadywać, czy wróciła jego matka, i pewnie otrzymali odpowiedź przeczącą. Jak to możliwe? Zawsze wszystko jest możliwe. Może oni pytali o Ewę Delius, podczas gdy matka Maksa zarejestrowała się jako Ewa Weiss, ponieważ nazwisko Delius nie chciało jej przejść przez gardło? Jeśli tak było, to zapewne można to prześledzić w Instytucie. Choć wszystko mogło przebiegać też zupełnie inaczej, ponieważ myślą nie da się zrekonstruować rzeczywistości; trzeba po prostu spróbować się dowiedzieć, czy ta kobieta to była Ewa Weiss. Nie powinno to być takie trudne,

Izrael to w końcu niezbyt duży kraj. Jeśli jednak naprawdę nią była, to najprawdopodobniej używała imienia i nazwiska w formie zhebraizowanej, tak więc dzisiaj nazywała się pewnie Chawa Lawan. Poza tym w roku 1945 nie miała jeszcze czterdziestu lat; tak atrakcyjna kobieta o tak cudownych oczach z pewnością wyszła ponownie za mąż i dzisiaj mogła być już wdową noszącą zupełnie inne nazwisko. Powinien natychmiast wstać i pójść do urzędu stanu cywilnego, do Instytutu Pamięci Narodowej Yad Vashem, gdzie udokumentowano miliony pomordowanych; może mają tam też niemieckie rejestry numerów z Auschwitz. Ale nie wstał, pozostał na łóżku w swoim małym pokoiku bez klimatyzacji. Czy miała jeszcze jakieś dzieci? Pewnie nie. Jej własny syn już teraz naprawdę nie żył – czy ona rzeczywiście siedziała obok swojego wnuka? Czy Quinten siedział obok swojej babki? Przyłapał się na tym, że oddaje się tym spekulacjom tylko dlatego, aby uniknąć najważniejszego. Nie otwierając oczu, zmarszczył na moment brwi. Czy Maks byłby zdolny do czegoś takiego? Oczywiście, że tak, on był zdolny do wszystkiego; dla kobiety byłby gotów zdradzić nawet Boga. Ale Ada? Powrócił myślą do tamtej nocy w Hawanie prawie osiemnaście lat temu, kiedy to według jego wyliczeń został poczęty Quinten. Późnym wieczorem zarys jej postaci w drzwiach jego pokoju hotelowego... Skąd wracała? Otworzył oczy. A niech to, no przecież! Była z Maksem na plaży, bez niego, bo on w tym czasie zdradzał ją z Marią, wdową po rewolucjoniście – to znaczy: dał się jej uwieść, zupełnie wbrew swojej biernej naturze! Usiadł na łóżku, a po głowie tłukło mu się zdanie z *Pasji według świętego Mateusza: Was dürfen wir weiter Zeugnis?* Czyżby spróbowała z Maksem czegoś w rodzaju powtórki z przeszłości, nieco zbyt aktywnie poddała się nostalgii, po czym przyszła do niego szukać oczyszczenia, przez co tylko zbrukała się Marią? I jednak Maks okazał się silniejszy: przecież ona nie miała prawa zająć w ciążę, ponieważ brała pigułkę, lecz jego nasienie było tak samo bezczelne jak on sam i nic sobie z tego nie robiło. To by w zasadzie wyjaśniało wszystko! Przez całe miesiące Maks żył pewnie w strachu, że dziecko będzie do niego podobne, i propozycja, że zajmie się jego wychowaniem, nie była tak po prostu aktem przyjaźni, lecz raczej próbą zadośćuczynienia – choć przez to w pewnym sensie jednak aktem przyjaźni. Zarazem Maks obarczył go przez to poczuciem winy, że nie wychowuje własnego syna, który być może wcale nie jest jego synem, ale którego potem zostawił całkowicie na łasce losu! Odwrócił głowę i patrzył przez okno na wypełnione błękitem powietrze, w którym unosił się niewidzialny dźwięk kościelnych dzwonów i gruchanie gołębi. I co teraz? Jeśli to wszystko prawda, to ta starsza pani mogła być Ewą Weiss; ale może wcale nią nie była? Czy Maks wiedział, że Quinten jest jego synem? Quinten nie był podobny do żadnego z nich, ale może Maks odkrył jednak coś, co miał wspólnego z Quintenem? A może Sophia też o tym wiedziała? Z pewnością przecież między nią a Maksem coś

było! A może Sophia odkryła jakiś szczegół łączący Maksa i Quintena, jakiś nierzucający się w oczy, osobliwy drobiazg, tylko nigdy mu o tym nie powiedziała? Ponieważ nie powiedziała też jemu, Onnowi, to pewnie nie zrobiłaby tego i teraz. Komu zresztą taka wiedza byłaby potrzebna? Quintenowi najmniej. Przez całe lata szukał ojca, podczas gdy być może w rzeczywistości codziennie siedział naprzeciwko niego przy stole, a Maks też przez cały ten czas funkcjonował praktycznie jako jego ojciec. Jediną osobą, która by się z tego ucieszyła, byłaby Chawa Lawan. Wiadomość o tym, że jej syn nie zginął zagazowany w wieku dziewiętnastu lat, tylko został uznanym astronomem i stracił życie dopiero niedawno, mając lat pięćdziesiąt jeden, niewątpliwie napełniłaby ją nieprawdopodobną mieszaniną radości i rozpacz; może zresztą nawet przeczytała informację o jego niezwyklej śmierci w jakiejś tutejszej gazecie, która napisała o „holenderskim astronomie z Westerbork” bez nazwiska, bo przecież nie był aż tak sławny. Jeśliby jednak przeżyła jakoś tę wiadomość, to potem przeglądałaby się w oczach swojego wnuka jak w lustrze. Tylko ustalwszy tożsamość kobiety o numerze 31415, mógł dowiedzieć się prawdy – i dzisiaj zapewne byłoby to już możliwe na drodze naukowej. Od lat nie miał w ręku gazety, ale wcale by się nie zdziwił, gdyby się okazało, że badania DNA pozwalają już na wiarygodne potwierdzenie tożsamości. Ale do tego konieczna byłaby też krew lub ślina Quintena – już sam fakt takiego badania zatrząłby nieodwracalnie jego życie, nawet gdyby testy wykazały jednoznacznie, że to jednak Onno jest jego ojcem. A poza tym: czy naprawdę chce to sprawdzać? Po wypadku Ady, po śmierci Helgi oraz po swoich politycznych i naukowych katastrofach miałby się jeszcze w dodatku dowiedzieć, że nie ma też syna? Czy me lepiej w tej sytuacji wyrzucić z pamięci kolor oczu tej jerozolimskiej kobiety? Jeśli nie podejmiemy teraz żadnych kroków, nikt więcej nie wpadnie na podobny pomysł i wszystko zostanie po staremu: Quinten będzie miał ojca, którego szukał i którego odnalazł, a on sam będzie miał syna, tak jak przez cały czas miał go Maks: swojego i nie swojego zarazem...

Opuścił nogi na podłogę, podniósł laskę i wstał. Poszedł do pokoju Quintena, który pewnie cały czas się o niego martwi. Powie mu zaraz, że chyba dostał lekkiego udaru słonecznego na wzgórzu świątynnym, ale już znowu wszystko jest w porządku.

Prawobiorca

Odprowadziwszy Onna, Quinten poszedł do swojego pokoju. Także przy jego drzwiach na framudze przymocowany był biały futerałik, mezuzah, zawierający, jak wyjaśnił mu ojciec, zwitek pergaminu z przykazaniami z Tory. Dotknął jej przelotnie, zamknął za sobą drzwi i machinalnie zasunął łańcuszek.

Był upał. Zdjął z siebie wszystko, rzucił rzeczy na łóżko, odłożył zegarek i kompas na umywalkę i odświeżył się. Okno było otwarte, ale nikt nie mógł go podejrzeć; tyły hotelu wychodziły na wewnętrzny dziedziniec, z trzech stron otoczony o wiele niższymi budynkami. Nie wycierając się, owinął ręcznik wokół bioder i ukląkł na podłodze przy oknie, opierając ręce na parapacie. Sennie wędrował wzrokiem po panoramie starej części miasta, nad którą unosił się spizowy dźwięk kościelnych dzwonów; wzgórze świątynne znajdowało się jeszcze dalej za nią. Od dachu dobiegało gruchanie gołębi. Rzut oka na rozchybotaną igłę kompasu poinformował go, że na wprost ma północny zachód. Uświadomił sobie, że za łagodnie połyskującymi wzgórzami w oddali – za morzem, Turcją, Bałkanami, Austrią, Niemcami – znajduje się łóżko, na którym leży jego matka. Tam oczywiście nic się nie zmieniło, w końcu nie ma go w domu zaledwie od miesiąca. Naprawdę? To nie były cztery lata? Albo czterdzieści? Co porabia babcia Sophia? Oczywiście myśli, że on nadal włóczy się po Włoszech, zwiedzając kościoły i muzea. Ciekawe, czy żyje jeszcze pan Themaat, od którego tyle się nauczył. Gdyby mógł się dowiedzieć, ile on tu już zdążył zdziałać! Ciekawe, co by na to powiedział? „Doskonale, Kuku, *you did it again*”. A Piet Keller? Bez niego w ogóle nie byłoby o tym wszystkim mowy. Czy pan Spier nadal mieszka w Walii, w miejscowości o tylu dziwnych literach w nazwie? A Clara i Marius Proctorowie, i Verdonkschot ze swoim Etienne, i Rutger z tą swoją zasłoną – gdzie się oni wszyscy podziewają? Czy Groot Rechteren jeszcze istnieje, czy może cały zamek opanowali już szubrawcy w czarnych oficerkach? Theo Kern pewnie jeszcze tam jest, z tymi swoimi fioletowymi stopami. Pomyślał też przez moment o Maksie, ale jakoś tak inaczej. Chociaż całe życie mieszkał z nim pod jednym dachem, z jakiegoś powodu nie potrafił go sobie tak całkiem dokładnie wyobrazić. Zapomnieć, o niczym nie zapomniał – jednym z jego najdawniejszych wspomnień było, że Maks wziął go na kolana i przy pianinie pokazywał mu najróżniejsze akordy – ale wszystko sprawiało takie wrażenie, jakby rozgrywało się gdzieś pod wodą: widoczne i bliskie, ale jednak dziejące się w obcym żywiole. Może tą wodą była wojna, która w jakiś sposób stale mu towarzyszyła? Znał z grubsza losy Maks: odrębny, niezrozumiały świat, z którym zupełnie nic go nie łączyło; niewiele miał też wspólnego z rodziną ojca, tyle tylko, że koniec końców była to jego własna rodzina. Żydzi i mordercy Żydów – ta straszna małżeńska więź była dla niego czymś tak obcym, jak historia Azteków, choć przecież przechowywał tablice żydowskich Praw na dole w sejfie. Nie miało to jednak nic wspólnego z faktem, że on sam, jak to kiedyś odkrył, był w jednej trzydziestej drugiej Żydem – to dość słabe stężenie, niewiele ponad trzy procent – ale z jego snem o Zamczysku. Maks natomiast był w pięćdziesięciu procentach Żydem; ciekawe, czy kiedyś odwiedził Izrael? Czy też chodził sobie ulicami Jerozolimy? Mniej więcej dwa razy do roku pakował walizki i wyjeżdżał

na międzynarodowe konferencje, do Ameryki, Japonii i Australii, ale Quinten nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek słyszał o Izraelu. Może tutaj nie za bardzo zajmowali się astronomią?

Maks, Sophia, jego matka, jego ojciec... czuł się tak, jakby żegnał się z nimi wszystkimi. Sennie oparł brodę na rękach i spoglądał na wysuszone, zalane słońcem zbocza wzgórz, ciągnących się nieruchomo po horyzont za leżącą nieco niżej nową częścią miasta. Miało się wrażenie, jakby rozpalone kontury, jakimi ta przesiąknięta krwią ziemia odcinała się od błękitu nieba, nie powstały wskutek procesów geologicznych, tylko zostały nakreślone jakąś natchnioną ręką. Jego ciało obeschło, palący upał wiszący nad miastem znowu spadł również na niego... i nagle zdziwiony uniósł głowę. Nie dobiegał go już żaden dźwięk. Kościelne dzwony zamilkły, może dlatego, że minęła albo właśnie się zaczęła ta czy owa święta godzina, ale nie było też słycać przez okno żadnych głosów z okien wokół dziedzińca. Zniknęło gdzieś nawet gruchanie gołębi. Wydawało się, jakby cały świat zapadł w głęboki sen: domy, krajobraz, powietrze... Co się nagle z tym wszystkim stało? Czy jego ojciec w pokoju obok też zasnął? Nigdzie żadnego ruchu, ustało nawet wibrowanie rozgrzanego powietrza nad dachami w oddali. Miał wrażenie, jakby nie patrzył na coś rzeczywistego, tylko na coś w rodzaju staroświeckiej malowanej panoramy, takiej jak panorama Mesdaga⁵ w Hadze, którą oglądał kiedyś z cicią Dol; nad tamtym wydmowym krajobrazem także unosiła się zapierająca dech w piersiach cisza jak teraz tutaj. Wszystko, co teraz widzi, istnieje, a jednocześnie nie istnieje... Tylko w nim samym nic się nie zmieniło, nadal słyszy bicie swego serca i szum krwi w uszach.

W pewnej chwili dzieje się coś jeszcze. Na błękitnej kopule nieba ukazuje się nagle mały, czarny punkcik, zupełnie jakby zrobiła się w niej dziurka – niezbyt wysoko nad horyzontem, od strony Tel Awiwu. Porusza się lekko w górę i w dół, powoli staje się coraz większy i większy. Nagle wydaje się o wiele bliżej, zupełnie jakby to było coś zbliżającego się w jego stronę: jednocześnie zaczyna nabierać kształtu, rozciąga się na szerokość w czarną kreskę, której zakończenia majestatycznie unoszą się w górę i opadają. Czy to ptak? Ale jeśli tak, to jakiś duży. Quinten podnosi się gwałtownym ruchem i otwiera szeroko oczy. Edgar! To Edgar! Już jest nad stromo opadającą doliną i zmierza prosto w stronę hotelu. Czy to naprawdę możliwe, żeby trafił tutaj za Onnem aż z Włoch? Nie, to niemożliwe! Ale człowiek nie wie nic o ptakach; nikt nie ma pojęcia, w jaki sposób odnajdują drogę czasem przez pół świata. Kiedy Edgar jest już nad murami miasta, zaprzestaje ruchów skrzydłami i rozpostarłszy je na całą szerokość, przechodzi w elegancki lot nurkowy. W chwilę później ląduje na parapecie z wyciągniętymi do przodu łapami, strzepuje pióra, składa skrzydła, obraca się raz dookoła własnej osi, unosi ogon, wypuszcza porcję odchodów i wpatruje się w Quintena jednym okiem.

– Powinieneś być tam – mówi Quinten, cofając się o krok. Pokazuje obok. – Okno dalej.

Zdumiewa go własny głos. Normalnie słyszał siebie zawsze niejako z dwóch stron: przez uszy i od środka; teraz jego słowa pozostają uwięzione głęboko w piersi, zupełnie jakby miał zatkałe uszy. Przybycie Edgara odbyło się w całkowitej ciszy. Chociaż ptak usłyszał jego słowa, to jeszcze ich nie zrozumiał albo przynajmniej zupełnie się nimi nie przejął. Sfruwa z trzepotem na podłogę i z niezaprzeczalną gracją rusza, podskakując, do drzwi.

– Oczywiście – mówi Quinten. – Jak sobie życzysz. Można też korytarzem. Ale będzie miał tato niespodziankę.

Kiedy jednak przekracza próg, aż go zatyka. Nie ma już korytarza. Ściana naprzeciwko ustąpiła miejsca balustradzie o amforowatych w kształcie tralkach, za którą rozciąga się nieogarniona przestrzeń, pełna schodów i galerii. Quinten obraca się dookoła własnej osi. Zniknęły nie tylko drzwi do pokoju ojca, ale także do jego pokoju, w ogóle zniknęła cała ściana: również po tej stronie ciągną się teraz w oddali, w górze i na dole, nieskończone kaniony arkadowych korytarzy, nisz, portali i komnat... Czy to sen? Stoi na wąskiej, wspieranej przez kariatydy kładce, jakby wychodzącej z wykutego w kamieniu parapetu okna z tympanonem u góry; jej drugi koniec niknie gdzieś w cieniu wysokiego portyku. Głęboko westchnąwszy, Quinten zaczyna się rozglądać. Z całą swoją słodką błogością, ciepłe jak jego własne ciało, nareszcie otacza go Zamczysko. Raz po raz myślał o nim w Wenecji, we Florencji, w Rzymie, w Jerozolimie, ale kiedy teraz stało się ono nim samym, nie pozwala mu już myśleć o niczym innym: Zamczysko jest, jakie jest, i podobnie jak Słońce nie potrzebuje niczego poza sobą, by być widocznym. Lecz Quintena nie otacza światło słoneczne, tak jak nie otacza go też zwykły blask księżyca, tylko raczej coś, co w astronomii nazywa się popielatym światłem, widocznym tuż przed albo tuż po nowiu na powierzchni Księżyca obok cienkiego sierpa, i niekiedy wcale nie popielatym, tylko raczej siwomarmurowym – spowodowane to jest, jak mu wyjaśnił Maks w pewien zimowy wieczór na balkonie jego sypialni, odbiciem światła słonecznego od Ziemi, i światło to jest tym jaśniejsze, im bardziej zachmurzona jest odbijająca je powierzchnia.

Edgar niecierpliwie przesuwają się po balustradzie to w jedną, to w drugą stronę, popatrując z przekrzywioną głową to w dół, to w górę, to na obie strony jednocześnie; w pewnej chwili rozpościera skrzydła i nurkuje w dół, wznosi się w górę, szybkuje wzdłuż szeregu masywnych występów, znika w oddali za filarami ceglanego łuku, rzuca się w otchłań przy gigantycznej kolumnie z nadzwyczajnie rozbudowanym kapitelem; na mlecznobiałym trzonie widać ustawione jedna pod drugą litery XDX. Może się wydawać, że zostawia za sobą ślad swego zwiadowczego lotu w postaci czarnej smugi zawieszanej w powietrzu. Kiedy już wystarczająco dużo zobaczył, opuszcza się przy końcu kładki, odwraca głowę w tył o sto osiemdziesiąt stopni i skubie dziobem pióra, prostując jedno skrzydło i rozczapierzając lotki. Quinten ma wrażenie, że ptak robi to wyłącznie dla zabicia czasu, że on na niego czeka. Kiedy do niego podchodzi, Edgar zaczyna iść przed nim, podskakując, jakby wskazywał mu drogę. Kolumnada kończy się przy szerokich marmurowych schodach z rzeźbami po obu stronach, prowadzących w dół do skomplikowanego układu ślepych arkad i wąskich, niekiedy krytych zaułków, które wychodzą na ciąg majestatycznie rozległych sal. Kiedy te z kolei przeszły w wewnętrzną uliczkę, mającą po lewej i prawej stronie potężne, rozdzielane pilastrami, wręcz kapiące od ornamentów fasady, Quinten stracił wszelkie poczucie czasu i kierunku. Ale też nie potrzebował już ani jednego, ani drugiego. Najchętniej szedłby tylko przed siebie za Edgarem, tutaj, w tym wypełnionym śmiertelną ciszą, zachwycającym gmachu świata, stworzonym jedynie dla niego. Przy kręconych schodach prowadzących wokół połączonych zaprawą bloków filara metrowej średnicy Edgar odkrywa nagle pewien trik: chwyciwszy się dziobem i szponami okrągłej poręczy, swobodnie ześlizguje się w dół po spirali, a równowagę łapie ruchami skrzydeł. Ze śmiechem, biorąc po dwa stopnie na raz, Quinten próbuje dotrzymać mu kroku. Kiedy po pięciu pełnych obrotach znajduje się na dole, staje chwiejnie i szuka wzrokiem dokoła. Gdzie się podział Edgar? Czyżby zachciało mu się zabawy? Czyżby się przed nim ukrył?

Zaskoczony Quinten orientuje się, gdzie się znalazł, ale nie odczuwa strachu. Nie, to nie może być sen. Wszystko inne jest snem, Izrael, Włochy, Holandia – tylko Zamczysko istnieje naprawdę. Naprzeciwko niego, w odległości może siedmiu metrów, widać otwarte na oścież, dwuskrzydłowe, okute krzyżującymi się sztabami drzwi do środka świata; wielka, ciężka zardzewiała kłódka trzpieniowa leży na posadzce. Czarny jak odwrotna strona lustra Edgar siedzi na progu niby strażnik i patrzy prosto na niego w sposób, w którym nie ma już cienia zabawy. Kiedy Quinten powoli podchodzi, widzi z tyłu za nim zielony hotelowy sejf.

Edgar odwraca się, kilkoma krótkimi ruchami skrzydeł frunie na sejf i zaczyna ostrzyć dziób o jego krawędź, ale i bez tego gestu Quinten od razu wie, co powinien teraz zrobić. Z uczuciem lekkiego dreszczu przekracza próg. Pomieszczenie ma kształt regularnego sześcianu, długiego, szerokiego i wysokiego na dziesięć metrów; chociaż w ścianach nie ma żadnych otworów, wypełnia je poświata, ta sama, co w całym gmachu. Poza stojącym pośrodku sejfem nic tu nie ma. Quinten przykłęka przy literowym zamku i ujmuje palcami pokrętko. Nie musi się zastanawiać nad kombinacją, jest tylko jedna, którą wchodzi w rachubę: J, H, W, H. Otwiera monumentalne drzwi i zdejmuje walizkę z najniższej półki. Kiedy odskakują zamki walizki, pierwsze, co widzi, to beżowa koperta z napisem SOMNIUM QUINTI. Niemal z czułością bierze ją w dłonie. Oto jest w miejscu, gdzie mógłby uzupełnić swoje rysunki, ale byłoby to mniej więcej tak, jakby matematyk miał policzyć własne palce i zapisać wynik. Quinten rozchyła gazety, wyjmuje z nich szare tablice i ostrożnie kładzie jedną obok drugiej na kamiennej posadzce. Następnie odkłada kopertę do walizki, wsuwa ją z powrotem na miejsce i zamyka drzwi sejfu, co tym razem odbywa się bezgłośnie. Tak jak widział to u Arona, dwa razy obraca pokrętko wewnętrzną stroną dłoni. Zupełnie nie wiedząc, co dalej zrobić, bierze obydwie ciężkie tablice, przyciska je do bioder wyprostowanymi wzdłuż ciała rękami i wstaje, co dla Edgara jest sygnałem, by wskoczyć mu na ramię.

Kiedy jednak Quinten przestępuje próg, znowu zachodzi zmiana. Staje przestraszony, z Edgarem tuż przy uchu, czując na ciele jego skórzaste łapy z twardymi pazurami. Masy kamieni wokół niego zaczynają tracić swoją substancję: wyglądają, jakby były z drewna... potem z pomalowanego płótna... a potem z ażurowej brukselskiej koronki, przez którą widać na przestrzał... wszystko rozpada się w pył i rozplywa się w powietrzu, do środka zaczyna przenikać światło dnia i w chwilę później już tylko na krótko widać jeszcze rozedrgany obraz Zamczyska, to jednak wystarczy, by niespodziewanie dać Quintenowi wyobrażenie o jego rozmiarach: dobry tysiąc kilometrów na wschód, aż do Bagdadu, tysiąc kilometrów na zachód, aż do Libii, tysiąc kilometrów na północ, aż do Morza Czarnego, tysiąc kilometrów na południe, aż do Medyny, i dwa tysiące kilometrów w górę, aż do pierwszych pasów radiacyjnych wokół Ziemi... Razem z Edgarem i dwiema tablicami stoi nagle na dworze, w słońcu i od razu orientuje się, gdzie jest: w Dolinie Cedronu.

Naprzeciwko niego, wysoko nad świątynnym murem, błyszczą złotem Kopała Skały; za nim jest Góra Oliwna. Odległość, jaką przeszedł wewnątrz Zamczyska, odpowiada mniej więcej dystansowi, jak dzielił ich hotel od tego miejsca. Czuje się trochę nieswojo, w samym ręczniku okręconym wokół bioder, lecz świat wciąż jest cichy i znieruchomiały, jak poprzednio. Czy Słońce również stoi nieruchomo na firmamencie? To oczywiście wykluczone, ponieważ wszystko wówczas by spłonęło – nie potrzebuje Maksa, by to zrozumieć. A może między tym, co było przed chwilą, a tym, co jest teraz, nie upłynął czas? Jeśli jednak to nie sen, to co to jest „teraz”? Jego spojrzenie pada na Złotą Bramę, która nieco wystaje przed mury. Żołnierze na dachu zniknęli; obydwa wysokie przejścia są otwarte. Czy po prostu przejść przez bramę i położyć dziesięcioro przykazań na skale? Ale ojcu powiedział przecież, że nie zamierza tego robić, skoro nie mają się dostać w obce ręce. Brama od strony wzgórza świątynnego i tak jest zamurowana. Nie pozostaje mu jednak nic innego, jak iść tą stroną: potem się zobaczy. Po kilku krokach zatrzymuje się. Nierówne podłoże usiane jest kamieniami, które boleśnie wrzynają mu się w boscie stopy, zwłaszcza że jest teraz o wiele cięższy, ponieważ dźwiga pod pachami obie tablice. Rozgląda się badawczo po ziemi, czy nie leżą gdzieś jakieś stare szmaty czy palmowe liście – najwspanialej byłoby oczywiście, gdyby stała tu gdzieś para butów. Nagle kątem oka dostrzega jakiś ruch. Z prawej, w oddali, od strony północnej zbliża się, biegnąc galopem wzdłuż murów świątyni, biały koń z rozwianą grzywą i rozkołysanym ogonem. Otworzywszy ze zdumienia usta, Quinten patrzy na to zjawisko w zastygłym krajobrazie. Tuż przed nim siwek staje na tylnych nogach i bryzgając pianą dokoła, szarpie głową w górę i w dół, jakby coś potwierdzał. I w tym samym momencie Quinten już wie, co potwierdza koń.

Deep Thought Sunstar!

Coś w nim pęka. Szlochając, chciałby objąć go za szyję ramionami, ale uniemożliwiają mu to kamienne tablice; kiedy wyciska pocałunek na jego chrapach, koń klęka na przednich nogach jak wielbłąd. Gdy Edgar trzyma się dziobem kosmyka włosów z tyłu jego głowy, Quinten wspina się na spocony grzbiet; krótkim, gwałtownym ruchem Deep Thought Sunstar staje na nogi i rusza stępą w stronę Złotej Bramy. Prostując nagi tułów, z krukiem na ramieniu, kamiennymi tablicami pod pachami, Quinten, śmiejąc się, spogląda na bajkowe wzgórza i bliski już mur świątyni. Gdyby tak Tytus mógł go teraz zobaczyć, i papież, i naczelny rabin! W chwilę później Deep Thought Sunstar ostrożnie odnajduje drogę między grobami i przy bramie znowu klęka na ziemi przednimi nogami. Kiedy Quinten już zsiadł, koń od razu wstaje i truchtem odchodzi z powrotem w stronę doliny; także Edgar rozkłada w tym momencie skrzydła, uderza nimi Quintena w czubek głowy i leci za wierzchowcem. Quinten patrzy ze smutkiem, jak robią się coraz mniejsi i mniejsi: siwy koń w galopie, nad nim kruk, jeden tak biały, jak drugi czarny... Kiedy znikają, dookoła znowu panuje bezruch.

Quinten odwraca się z westchnieniem i zbliża do bramy. Teraz otwarta jest także druga strona. W podniosłym nastroju przechodzi przez wypełnione półmrokiem pomieszczenie, w którym tu i ówdzie stoi kilka kolumn; wydaje się, jakby wisiał między nimi cichy szum, zupełnie jak szum morza w muszli. Na dworze ponownie wita go słońce i Quinten z wolna wspina się po schodach prowadzących na poziom wzgórza świątynnego. Tam przystaje i rozgląda się wokół. Cały teren to mniej więcej tyle, ile obserwatorium w Westerbork. Nigdzie żywej duszy. Wszystko tu jest tylko i wyłącznie dla niego, cały świat jest teraz tylko dla niego i na niego czeka. Po trawie dochodzi do szerokich schodów na taras świątyni. Fragment arkad, zamykający je od góry, składa się z pięciu łuków; Quinten przystaje pod środkowym. Na prawo od niego znajduje się niewielka srebrna Kopuła Łańcucha, tuż za nią złota Kopuła Skały: dziecko i ojciec. Prace konserwatorskie przy mniejszej świątyni zostały już zakończone: przez otwartą na wszystkie strony budowlę może zajrzeć w ciemne wnętrze Kopuły Skały. Wstrzymuje oddech i rusza w stronę czarnego otworu, ani na chwilę nie odrywając od niego wzroku.

Kiedy jednak przechodzi przez otoczony podwójnym szeregiem kolumn srodek Kopuły Łańcucha, następuje wreszcie upragniony moment: przejmując sprawę z jego rąk. Quinten słyszy nagle ciche trzaski i zatrzymuje się. Rozgląda się zdziwiony, ale dźwięk jest gdzieś bardzo blisko. Wygląda, jakby dochodził z trzymanyh przez niego tablic. Quinten opiera je o biodra i ze zdumieniem patrzy na to, co się dzieje. Zupełnie jakby szara płaszczyzna ożyła, bo porusza się, roztopia, coś chce się spod niej wydostać, uwolnić; w chwilę później dostrzega na całej powierzchni małe, przezroczyste jak szkło istotki; uwalniają się od szorstkiej warstwy tysięcy lat, odskakują od niej i zaczynają krążyć wokół niego. Litery! To litery! Litery ze światła! W tym samym momencie szafirowe płyty stają się tak ciężkie, że nie może ich już dłużej utrzymać – jednocześnie z ręcznikiem, który zsuwa mu się z bioder, z rąk wyslizgują się tablice i bezgłośnie rozpryskują w kawałki na marmurowej posadzce. To jednak już go nie interesuje, on musi łąpać litery, nie mogą mu umknąć! Dziesięcioro przykazań! Nie kradnij! Nie zabijaj! Obiema rękami próbuje je chwycić, ale rój liter wzlatuje pod kopułę, w stronę zielonej pięciolistnej koniczyny w jej najwyższym punkcie, tam litery fruwią naokoło jak motyle, potem obniżają się, mkną w stronę Kopuły Skały i znikają w czarnym otworze wejścia. Quinten rozpaczliwie stara się je dogonić.

W panującym wewnątrz półmroku litery tańczą połyskliwe nad wierzchołkiem świętej skały. Boże, co robić? Nagle czuje, że wpatrują się w niego jakieś oczy. Kobieta w bieli, która modląc się, siedziała w niszy, odwróciła się w jego stronę i patrzy na niego błyszczącymi, sarnimi oczami. Chusta zsunęła się jej z głowy, twarz ujęta w prostokąt czarnych włosów. Quinten kamienieje. Czyżby to jednak był sen?

– Mamo! – woła, ale z jego ust nie wydobywa, się żaden dźwięk.

Tam gdzie stoi, siedzą na galerii także inne kobiety i też patrzą na niego sarnimi oczami – jednym skokiem Quinten ląduje na wierzchołku skały: naokoło same Ady! Wszystkie te kobiety to jego matka! Quinten powoli rozkłada ramiona, odchyła głowę w tył i kieruje spojrzenie na arabeski pokrywające wnętrze kopuły: sieć niezliczonych, splecionych ze sobą cyfr 8 – i w tej chwili rój Mojżeszowych liter otula jego nagie ciało tak nieskończoną i oślepiającą Światłością, że niknie ono w niej, jak płomyk świecy niknie w blasku Słońca...

Na korytarzu Onno zapukał do drzwi Quintena. Kiedy również za drugim razem nie usłyszał odpowiedzi, cicho otworzył drzwi, ale ustąpiły tylko na dziesięć centymetrów, na więcej nie pozwalał łańcuch. Przez szparę Onno widział jedynie kawałek umywalki, na której leżały zegarek i kompas Quintena.

– Quinten? – zapytał Onno. – Śpisz?

W środku nadal panowała cisza. Onno pochylił się, próbując zajrzeć przez dziurkę od klucza, ale nic nie zobaczył. Wtedy zawołał głośno: „Quinten!”, i trzy razy zastukał laską w drzwi.

Żadnej reakcji. Co się dzieje? Przecież Quinten musi być w pokoju, łańcucha nie da się założyć od zewnątrz. Coś nie tak! Czując krew napływającą do twarzy, Onno włożył grubą laskę w szparę drzwi i użył jej jak łomu, nacisnąwszy z całych sił, aż łańcuch wyskoczył z zaczepu. W środku nikogo. Na łóżku leżało ubranie, które Quinten miał na sobie rano; także bielizna. Onno spojrział przerażony w stronę otwartego okna. Czyżby coś tu się stało? Czyżby Quinten miał te same co on przemyślenia na temat kobiety z numerem 31415 i wskutek chwilowego zaćmienia umysłu... Ale coś musiałyby przecież usłyszeć! Kilka kroków i znalazł się przy parapiecie pobrudzonym ptasimi odchodami – spojrzął w dół. Na dziedzińcu jakaś kobieta zajęta była pakowaniem góry pościeli w wielkie worki; na kamiennej ławce leżała szczupła rudowłosa dziewczyna czytająca książkę, drugą ręką mechanicznie kołysała dziecięcy wózek. Spojrzął w lewo i w prawo, potem w górę ściany – nigdzie śladu drabiny przeciwpożarowej ani rynny, po której Quinten mógłby wejść lub zejść. Czemu zresztą miałby wychodzić nago? Zajrzał jeszcze do szafy w ścianie i pod łóżko, potem stanął chwiejnie na środku pokoju. Trzeba się dobrze zastanowić. Skoro Quintena tu nie ma i skoro nie wyszedł przez drzwi, a tym bardziej przez okno, to wniosek mógł być tylko jeden: zdarzyło się tu coś niemożliwego.

O tym, że pewnego dnia Quinten zrobi coś niemożliwego, Onno wiedział już od chwili jego narodzin. To, że rzeczywiście zabrał z Sancta Sanctorum tablice Prawa, było tylko o krok od niemożliwego, ale jego zniknięcie z tego pokoju było już naprawdę czymś absolutnie niemożliwym. Mimo że niemożliwe nie jest przecież możliwe! Onno pomyślał o tablicach, które Quinten złożył wczoraj w sejfie: czy jedno ma coś wspólnego z drugim? Czyżby niemożliwe dowodziło prawdziwości tego, co niemal niemożliwe?

Raz jeszcze rozejrzał się po pokoju, zupełnie jakby Quinten mógł nagle pojawić się z powrotem, i szedł na dół. Recepcja i hol były puste; nacisnął guzik staroświeckiego dzwonka stojącego na kontuarze. Chwilę później w drzwiach za kontuarem ukazała się dziewczyna o krótko obciętych czarnych włosach.

– Szalom.

– Mój syn – powiedział Onno i w tym samym momencie zdumiał się brzmieniem tego słowa – wczoraj włożył walizkę do sejfu. Czy może odbierał ją w ciągu ostatniej godziny?

– Niestety, dzisiaj w ogóle jeszcze nie widziałam pańskiego syna.

– A pan Aron?

– Ojciec pojechał dzisiaj rano do Betlejem, żeby odwiedzić moją chorą babcię. Sejf od wczoraj nie był otwierany. Jeśli pan chce, może się pan sam przekonać.

Udał się za nią do kantorka, gdzie dziewczyna przykucnęła przy sejfie i zaczęła manipulować pokręteł. Otworzyła drzwi i pokazała walizkę leżącą na najniższej półce. Onno patrzył na nią przez kilka sekund, a potem powiedział:

– Czy mogłaby mi ją pani podać?

Wręczyła mu ją, a kiedy Onno ją podniósł, walizka jakby sama poderwała się w górę, chcąc wyskoczyć w powietrze; wyglądało to tak, jakby Onno próbował podrzucić ją pod sufit, tak była lekka. Tablice zniknęły!

– Co pan robi? – spytała dziewczyna ze śmiechem.

– Mam zawroty głowy – powiedział Onno, szukając oparcia. Dziewczyna pośpiesznie podsunęła mu krzesło i Onno usiadł z walizką na kolanach. To też było niemożliwe. Podobnie jak Quinten nie mógł zniknąć ze swojego pokoju, tak tablice nie mogły zniknąć z sejfu. Chociaż wiedział, że to nie ma sensu, spytał: – Czy ktokolwiek jeszcze znał szyfr?

Spojrzała na niego przestraszona.

– Tylko mój ojciec i ja. Czy coś panu zginęło?

Onno pokręcił przecząco głową. Drżącymi palcami, jakby jednak nie miał pewności, zaczął majstrować przy zamkach walizki, aż w końcu dziewczyna nachyliła się ku niemu i pomogła mu je otworzyć. Na kopercie, którą widział już wczoraj podczas kontroli na lotnisku, zobaczył teraz litery SOMNIUM QUINTI. Sen Quintena? Może to list pożegnalny, który napisał już wcześniej? Wyjął kartki z koperty, ale były to wyłącznie szkice architektoniczne, rysunki labiryntowych przestrzeni, na których od czasu do czasu pojawiały się podpisy w rodzaju: „kładka”, „środek świata”, „kręcone schody”. Jedyne wyjaśnienie niewyjaśnialnego... Onno złapał się nagle obiema rękami za głowę. Nie wolno mu o tym wszystkim myśleć! Być może Quinten nie był jego synem, a być może jednak był, ale teraz już go nie ma, nie ma go na dobre, zniknął z powierzchni ziemi, nie wiadomo gdzie. Quinten go opuścił, tak jak kiedyś on opuścił Quintena, tyle tylko, że on już nigdy go nie odnajdzie, tak jak Quinten odnalazł jego. Teraz naprawdę był w sytuacji, którą sztucznie stworzył sobie cztery lata temu: nie miał już nikogo...

– Czy wszystko dobrze?

– Nie – powiedział Onno, sięgając pośpiesznie do wewnętrznej kieszeni marynarki – zupełnie nie... Muszę... – Drżącymi rękami zaczął wertować notes. – Czy mogę stąd zadzwonić? – Oczywiście. – Dziewczyna zdjęła walizkę z jego kolan i pokazała aparat telefoniczny na małym biurczku, obok maszyny do pisania. – Miejscowa?

– Zagraniczna.

– W takim razie włączę licznik. – Nacisnęła guzik czarnej skrzynki na ścianie, zamknęła sejf i powiedziała: – Zostawię pana samego.

- Sophia Brons, słucham.

- Mówi Onno.

- Kto?

- Onno. Onno Quist.

- Onno? Czy ja dobrze słyszę? To ty, Onno?

- Tak.

- No, nie do wiary. Powtórz to jeszcze raz.

- Mówi Onno. Pani zięć.

- Onno! Jak to możliwe! Wiedziałam, że pewnego dnia znowu się pojawisz! Skąd dzwonicz? Jesteś w Holandii?

- Nie, w Jerozolimie.

- W Jerozolimie! To tam siedziałeś przez te wszystkie lata?

- Nie. Wiem, że mam dużo do opowiadania, i na pewno to zrobię, ale teraz dzwonię, żeby...

- To niesamowite, że dzwonicz właśnie teraz... zupełnie jakbym to przeczuwała...

- Co pani przeczuwała?

- Onno...

- Co się stało?

- Przygotuj się na wstrząs, Onno. Właśnie wróciłam z kremacji Ady. Jeszcze nawet nie zdążyłam zdjąć płaszcza... Onno? Jesteś tam?

- Przepraszam, ale kręci mi się w głowie, te wszystkie sprawy razem... To znaczy, że Ada właśnie została skremowana?

- Tak, myślę, że właśnie wsypują jej prochy do urny. Nie trzeba się smucić, to powinno się już stać o wiele, wiele wcześniej.

- Aha.

- Biedne dziecko... ale na szczęście już po wszystkim. Po siedemnastu latach z górą, to przecież woła o pomstę do nieba.

- Tak.

- Pewnie chciałbyś porozmawiać z Quintenem, ale go nie ma. Na kremacji byłam sama. Od paru tygodni Quinten jest we Włoszech, ale nie dał jeszcze znaku życia. Niedawno miał urodziny, nawet nie wiedziałam, gdzie go szukać. On jeszcze o niczym nie wie.

- Mamo... właśnie dlatego dzwonicz. Chodzi o Quintena.

- O Quintena? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Myśmy się spotkali. Przypadkowo. W Rzymie.

- Spotkaliście się? To niesłychane! Kiedy? Czemu nic o tym nie wiem? Pewnie się strasznie ucieszył, prawda? A co wy robicie w Jerozolimie?

- Bardzo dużo się przez ten czas wydarzyło, nie mogę pani teraz tego wszystkiego wyjaśnić, oczywiście tego w ogóle nie da się wyjaśnić, ale...

- Ale? Czemu nic nie mówisz? Czy coś się stało z Quintenem?

- Tak.

- Co takiego? Onno! Na miłość boską! Chyba nie chcesz powiedzieć, że nie żyje?

- Sam nie wiem. Nie ma go.

- Nie ma go? Zawiadomiłeś policję?

- To nie ma sensu.

- Skąd wiesz? Od kiedy go nie ma?

- Od godziny.

- Od godziny? Powiedziałeś: „od godziny”? Może jesteś trochę przemęczony, Onno?

- To też. Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale...

- Daj spokój. Skoro nie ma go od godziny, to za godzinę wróci. Znam zwyczaj tego chłopaka, jako dziecko był taki sam. Weź coś na uspokojenie albo spróbuj się przespać. Wybacz mi, ale głowę mam zajęta innymi rzeczami. Muszę ci teraz zdradzić coś, co powinieneś wiedzieć, ale nikt poza tobą.

- Prawie nie słyszę, co pani mówi.

- Muszę mówić cicho, bo to było w zamku czasem mnie podsłuchuje. Na szczęście niedługo się stąd wyprowadzam, będę mieszkała u dawnej przyjaciółki Maksa w Westerbork. Pewnie słyszałeś o wszystkim, co się tutaj wydarzyło?

- Tak.

- Słuchaj uważnie, Onno. Czy nie dziwi cię, jak to możliwe, że Ada umarła tak niespodziewanie?

- Chce pani powiedzieć...

- Tak, to właśnie chcę powiedzieć. W swoim liście pożegnalnym napisałeś, że Ada jest krwią z mojej krwi i kością z mojej kości i że ostatnie słowo, jeśli chodzi o jej osobę, należy do mnie. Strasznie źle już z nią było, że aż żal było patrzeć. Nerki przestały pracować, miała nowotwór macicy z przerzutami, woleł oszczędzić ci szczegółów. Całkiem posiwiiała. Ale szpital, w którym leżała, nie należy do tych, w których mówi się ostatnie słowo, musiałam to zrobić sama.

- W jaki sposób?

- Przedawkowując insulinę. Zrobiłam jej zastrzyk w sobotę wieczorem, w czasie odwiedzin, o wpół do ósmej, pod prześcieradłem, w lewe udo. Nikt nic nie widział. Dopiero wczoraj wieczorem odkryto, że nie żyje. Kiedy do mnie zadzwonili, dowiedziałam się, że musiało to nastąpić gdzieś o wpół do pierwszej w nocy. Oczywiście jeśli założyć, że śmierć nie nastąpiła już całe lata wcześniej. W południe pozwolono mi ją zobaczyć w kostnicy. Przypominała sarniátko, taka się zrobiła malutka.

- I już dzisiaj została skremowana? Dzisiaj dopiero poniedziałek. Czy to nie za szybko?

- Oczywiście, wszyscy zwrócili na to uwagę. Zadzwoiłam do twojego adwokata, pana Giltaya, powiedział, że zgodnie z prawem od chwili zgonu do pochówku musi minąć co najmniej trzydzieści sześć godzin. Szpital bardzo ściśle trzymał się tego wymogu. Myślę, że mieli jakieś podejrzenia, podobnie jak Giltay. Może w czasie obdukcji odkryli ślad ukłucia na jej udzie i chcieli jak najszybciej pozbyć się dowodu, że w ich placówce mogą się dziać jakieś dziwne rzeczy. Dzisiaj w gazecie był krótki komunikat, że pani Q. zmarła śmiercią naturalną po siedemnastu latach śpiączki.

- Zaraz, chwileczkę... to... to przecież niemożliwe... Muszę to sobie zapisać. A więc w sobotę wieczorem zrobiła jej pani zastrzyk. Było wtedy wpół do ósmej. Tej samej nocy o wpół do pierwszej zmarła. Rano zabrano ją do kostnicy i leżała tam przez cały wczorajszy dzień. Dzisiaj rano włożono ciało do trumny i zabrano do krematorium. Tam została spopielona jakąś godzinę temu.

- Tak. Jakie to ma znaczenie, kiedy to się wszystko działo? - Jakie... jak to... ja...

- Onno? Halo! Onno? Słyszysz mnie? Onno! Jesteś tam?

- Coś jest nie tak z moją głową, Sophia, czuję, że... Nie mogę pisać... lewa strona mojego ciała... Półtora roku temu też mnie...

- Wielkie nieba, Onno! Gdzie ty jesteś!

- Hotel „Rafael”...

- Natychmiast dzwoń po doktora. Przylecę najbliższym samolotem, żeby was stamtąd zabrać.

Epilog

- Wystarczy! Trzeba wiedzieć, kiedy skończyć. Przypomnij sobie słowa Goethego: „W ograniczeniu dopiero znać mistrza”.

- Ale na wszelki wypadek dodał gdzie indziej: „Że skończyć nie możesz, wielkim czyni ciebie”.

- No tak, tacy oni są, ci poeci. Zawsze chcą tańczyć na dwóch weselach. Wykonałeś zadanie, a ja mam sześćset sześćdziesiąt sześć pytań na temat twoich machinacji, ale już ich nie zadam. Najważniejsze, że w ostatniej chwili udało się nam odzyskać Świadeństwo. Gdzie jest w tej chwili nasz człowiek?

- Powrócił do Światłości.

- Spokojnie możesz już mówić: do półmroku. A co się stało ze szczątkami obydwu tablic?

- Zostały sprzątnięte przez Miejskie Przedsiębiorstwo Oczyszczania w Jerozolimie. Razem z innymi kawałkami gruzu poniewierającymi się w Kopule Łańcucha odwieziono je na wysypisko.

- Samo Świadectwo to teraz też jeden wielki chaos. Wygląda jak rozsypana kaszta drukarska.

- Skoro już używasz ziemskiego sposobu obrazowania, to powinienesz raczej sięgnąć po nowocześniejszy zwrot: jak skasowany software.

- To jest już język świata, dla którego nie mamy żadnego przesłania. A więc szafirowe tablice Prawa to w takim razie hardware?

- Niejako.

- No, tak, od czasów Bacona diabeł mówi po angielsku. Angielski stał się językiem świata. Dlatego poprzestańmy może na łacinie: *consummatum est*. Dokonało się. Jestem u kresu sił. Już się do niczego nie nadajemy. Świat też się do niczego nie nadaje. Ludzkość się do niczego nie nadaje. Nic się już do niczego nie nadaje – poza Lucyferem. Stało się to właśnie, co uważaliśmy za niemożliwe: czas zyskał do nas dostęp. Czas – tajna broń Lucyfera. Jedyne, co nam zostało po ponad trzech tysiącach lat, to odzyskać dziesięcioro przykazań. Prawdziwy gest bezyśli: zupełnie to samo, co zwrócenie pierścionka zaręczynowego zdradzonej dziewczynie. Wątpliwa pociecha, symboliczne działanie, melancholijne pożegnanie. Dekalog był fundamentalną sprawą na Ziemi: umową Szefa z ludzkością, umową zawartą z jej przedstawicielem, narodem żydowskim, ucieleśnionym w osobie jego przywódcy Mojżesza w roli notariusza. Od tej chwili Lucyfer ma wolną rękę. Niech sobie zabiera te marne istoty, właściwie nic mnie to już nie obchodzi.

- Może jednak pojawi się na Ziemi ktoś, kto znowu to wszystko naprawi?

- Musiałyby przybyć stąd, od nas, ale stąd nikt się już tam nie pojawi. W Moskwie od niedawna rządzi pewna oświecona osoba – w sensie pozytywnym największy człowiek ludzkiego XX wieku, tak jak tamten, którego nazwiska nie wymienię, był największy w sensie negatywnym – w ciągu pięciu lat zburzony zostanie mur berliński, Rosja utraci swoje kolonie, cały świat z powodu nadejścia nowych czasów będzie wiwatował ze szczęścia... a potem w uwolnionych krajach zacznie się panoszyć największa z możliwych, żadna krwi głupota, nastąpią wędrówki ludów, w Sarajewie znowu padną strzały i wraz z nadejściem trzeciego tysiąclecia zacznie się na skutek oszałamiającego sukcesu powtórka budzącego obrzydzenie XX wieku.

- Nigdy w to nie uwierzę.

- Wkrótce nauczysz się wierzyć. W dodatku to wszystko jest jeszcze stare, to polityka, która nic nie znaczy. Wzrost i upadek światowych imperiów dokonywał się od zawsze. Polityka jest jak marszczenie się fal w czasie sztormu, które nie ma najmniejszego wpływu na fale, bo one się biorą z czego innego - z Księżyca. Niezależnie od dotychczasowych katastrof nastąpi teraz niszczący zalew całkiem nowych: przez baconowskie ujarzmienie praw natury ludzkość uzbroi się nuklearnie, spali się przez dziurę, jaką wybiła w warstwie ozonowej, rozpuści w kwaśnym deszczu, usmaży w wyniku efektu cieplarnianego, zdepta sama siebie z przeludnienia, powiesi się na podwójnej helisie DNA, udusi we własnych odpadkach: w gównie Szatana, bo ta bestia nie zawarła przecież paktu z miłości do rodzaju ludzkiego, lecz tylko i wyłącznie z nienawiści do nas. Wybuchnie piekło na Ziemi i ludzie być może wspomną stare dobre czasy, kiedy jeszcze nas słuchali - chociaż może i nie. Nie będzie to już nawet tragedia, tylko nijakość. Sprawa jest beznadziejna. Nie ma o czym mówić.

- A jeśliby się dowiedzieli, co zrobiliśmy, czy to nie skłoniłoby ich do nawrócenia? Mogę się o to postarać. W tej chwili na Ziemi jest jeszcze jeden człowiek, który wie o całej sprawie.

- Już raz coś takiego zaproponowałeś. Nie miej złudzeń. Jeśli się tego dowiedzą, żaden z nich nawet w to nie uwierzy. Tu i tam pojawi się parę informacji na ten temat; może parę tysięcy sprawiedliwych, paruset teologów i z dziesięciu archeologów w różnych krajach się przejmie, ale wkrótce i tak wszystko zmyje nieustanna powódź innych informacji, tak że po paru miesiącach sprawa pójdzie w zapomnienie. Nie, nie, daj sobie spokój, to już koniec. *Finis comoediae*.

- Może jednak warto spróbować!

- Nie, nasi zdradzieccy potomkowie nie są godni nawet tego, żeby się o tym dowiedzieć.

- Czy ja dobrze słyszę? Czyżby Onnowi Quistowi groziło niebezpieczeństwo, jeśli to komuś opowie?

- Trzeba zapobiec takiej ewentualności. Zaraz, chwileczkę... Właśnie zostałem wezwany. Muszę zdać sprawę z twojej opowieści.

- To może wymyślimy co innego, musimy walczyć do ostatka - nadal jeszcze wszystko jest możliwe! Lepiej doznać niepowodzenia, niż czekać z założonymi rękami! Czy nie moglibyśmy na przykład odszukać tego paktu, który Lucyfer zawarł z Baconem? Natychmiast przydziel mi nowe zadanie!

- Czas minął. Idziesz na emeryturę. Wielkie dzięki za wszystko, w imieniu Szefa również. Adieu.

- W takim razie zrobię to na własną rękę! Słyszysz? Nie pozwolę, żeby tak to się skończyło! Co ty sobie wyobrazasz? Ty myślisz, że kim oni są, ci nieszczęśnicy? Odpowiedz!